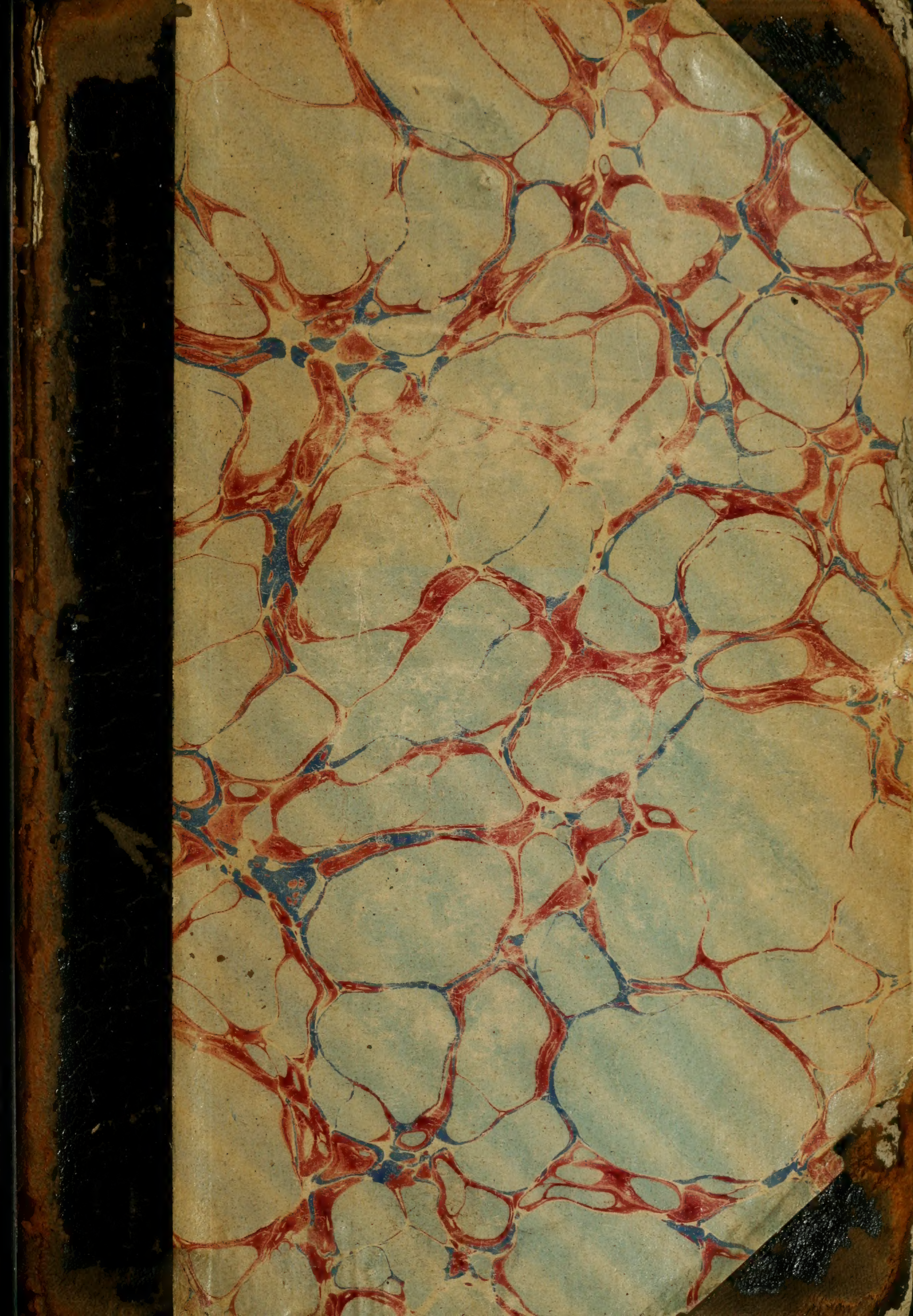

ROZPRAWY

AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

WYDZIAŁ

FILOLOGICZNY.

Serya II. Tom XXIII.

Ogólnego zbioru tom trzydziesty ósmy.

W KRAKOWIE.
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1904.

Kraków, 1904. — Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego.

TREŚĆ.

Strona

1. Józef Tretiak: Juliusz Słowacki. Historya ducha poety i jej odbicie w poezyi.
   Część pierwsza . . . . 1—151
   Część druga . . . . 152—291
2. Aleksander Brückner: Przyczynki do słownictwa polskiego . . . 292—397

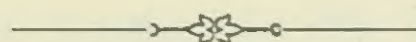

Juliusz Słowacki.

Historya ducha poety i jej odbicie w poezyi.

Napisał

Józef Tretiak.

SŁOWO WSTĘPNE.

Praca niniejsza miała mieć w pierwotnym zamiarze szczuplejszy zakres. Uderzał mię zawsze i domagał się wyjaśnienia ów antagonizm, który tak rażąco występuje we wzajemnym stosunku dwu największych poetow polskich, w szczególności ze strony Słowackiego. On też. ów antagonizm, jego przyczyny, jego koleje, jego różne objawy tak w życiu, jak w poezyi Słowackiego. miały być przedmiotem niniejszej pracy. Ale studyując ów antagonizm, przekonałem się, że on do tego stopnia przenika całą istność duchową Słowackiego, iż bez podania pełnej historyi ducha poety nie da się przedstawić należycie. I stąd poszło rozszerzenie pierwotnego planu, i to, co pierwotnie miało być przedmiotem wyłącznym, według nowego planu stało się tylko głównym.

Nie sama ciekawość naukowa wiodła mię do zbadania i objaśnienia tej jedynej w swoim rodzaju walki między dwoma geniuszami poetyckimi. Miałem i mam to przekonanie, że należyte zrozumienie tego antagonizmu może mieć doniosłe znaczenie społeczne. Mickiewicz i Słowacki to nie byli tylko przedstawiciele dwóch przeciwnych natur artystycznych, jak ich przedstawiał niegdyś trzeci poeta z wielkiej trójcy, Krasiński, ale zarazem i przewodnicy i cho-

rążowie na drogach społecznych, rozbiegających się w dyametralnie przeciwnym kierunku. Wprawdzie chorągiew Słowackiego była za życia poety niemal zupełnie osamotnioną, ale za to po śmierci, począwszy mniej więcej od r. 1863, kult dla niej ciągle wzrastał i nie przestaje wzrastać do chwili obecnej. Niekiedy góruje on bardzo widocznie nad kultem dla drugiej chorągwi, przeważnie jednak kojarzy się na równych prawach z tamtym i taka harmonia mogłaby być uważana za szczęśliwe rozwiązanie walki, którą dwaj wielcy chorążowie toczyli z sobą za życia, gdyby nie polegała na nieporozumieniu, na niezrozumieniu tej walki, na niejasnem pojmowaniu wzajemnego stosunku dwu tych przeciwników i znaczenia ich twórczości dla narodu. To wszystko objaśnić, o ile mi przeniknąć ten stosunek pozwoliły dłuższe nad nim studya, jest głównem zadaniem niniejszej pracy.

Każdy historyk zabierający się do przedstawienia, a przez to już i osądzenia jakiegoś sporu, jakiejś walki, której motywy poruszają wiele strun w sercach żywych, współczesnych, narażony jest na niebezpieczeństwo stronniczości. Pamiętałem o tem niebezpieczeństwie w ciągu pisania całej pracy i starałem się od niego odgradzać. Czy zupełnie udało mi się ustrzedz wszelkiego wpływu uprzedzeń na przedstawienie duchowego wizerunku Słowackiego i jego stosunku do Mickiewicza, to rzecz inna: w tym względzie pewności mieć nie mogę. Wiem tylko, że jeśli jest, to po za granicami mojej świadomości.

W części biograficznej niniejszej pracy zwracam uwagę na wydarzenia z zewnętrznego życia poety o tyle tylko, o ile one stanowią konieczne ramy dla historyi wewnętrznej jego ducha, o ile rzucają światło na jego charakter, wyobrażenia, poglądy i uczucia. W części krytycznej poddaję szczegółowej analizie tylko te utwory, w których się pierwiastek indywidualny, to jest historya ducha poety silniej odzwierciedliła.

CZĘŚĆ I.
W drodze do sławy.

ROZDZIAŁ I.

Dzieciństwo i pierwsze lata młodości. 1809—1831.

Rodzina poety i miasto rodzinne. — Charakterystyka ojca i matki. — Charakterystyka samego poety: stosunek jego do ludzi, stosunek do przyrody. — Wpływy wychowania. — Ewolucya marzeń dziecinnych. — Początek anhellizmu Słowackiego. — Stosunek poety do filaretyzmu i romantyzmu. — Pierwsze próby poetyckie Słowackiego. — Wpływ *Konrada Wallenroda* na jego młodzieńczą poezyę. — Szukanie karyery cywilnej w Warszawie. — *Hugo* i *Mindowe*. — Stanowisko poety w listopadowem powstaniu. — Podróż do Londynu.

Ojciec poety, Euzebiusz Słowacki, pochodził z ubogiej rodziny szlacheckiej, oddawna osiadłej na Wołyniu. Wyższego wykształcenia szkolnego nie otrzymał nad to, jakie mogła dać dawniejsza szkoła krzemieniecka, ale mając zamiłowanie w literaturze, sam się dalej kształcił i swojemi pracami literackiemi, w szczególności przekładem Henryady Woltera, tyle sobie zdobył rozgłosu, że Czacki, organizując liceum krzemienieckie, powołał go na profesora poezyi i wymowy. Był to jako literat czystej wody klasyk, albo raczej pseudo-klasyk, po za łacińską poezyą i francuską tyle tylko widzący świata, ile go przez szkła literatury francuskiej osiemnastego wieku można było zobaczyć, jako profesor pilny i wymowny.

W rok po zajęciu profesorskiej posady Euzebiusz Słowacki ożenił się z szesnastoletnią panną Salomeą Januszewską, córką rządcy dóbr, któremi uposażone było liceum krzemienieckie, a w rok potem w Krzemieńcu 23 sierpnia st. st. 1809 roku przyszedł na świat jedyny syn jego, Juliusz Słowacki.

Ale Euzebiusz Słowacki niedługo był profesorem krzemienieckiego liceum. Niebawem ogłoszony został konkurs na wakującą od dawna posadę profesora poezyi i wymowy w uniwersytecie wileńskim, Euzebiusz Słowacki stanął sam jeden do konkursu, dzięki

poparciu Śniadeckiego otrzymał wileńską profesurę i w roku 1811 przeniósł się z Krzemieńca do Wilna. Ale i ta nowa jego karyera profesorska niedługo trwała: tym razem śmierć ją zamknęła w roku 1814. Po śmierci męża wdowa z pięcioletnim synem wróciła do rodziców, do Krzemieńca i tu mieszkała przez cztery lata, póki powtórnie nie wyszła zamąż za prof. Bécu i nie przeniosła się powtórnie do Wilna.

Te cztery lata spędzone w Krzemieńcu przypadły na wiek, w którym dusza dziecka zaczyna uważniej przypatrywać się otoczeniu. Wtedyto dziecinna dusza Słowackiego nagromadziła najbogatszy zapas wrażeń, które tęczowymi kolorami rozbłysnąć miały potem w jego poezyi. Stąd Krzemieniec był mu drogim nietylko jako miejsce urodzenia, ale i jako miejsce, w którem budząca się dusza z podziwem przypatruje się światu. Obraz Krzemieńca taki, jaki przechował się na zawsze w wyobraźni poety, tylko przesłonięty późniejszą tęsknotą wygnańczą, odzwierciedlił się w pięknym urywku pisanym pod koniec życia:

Jeżeli kiedy w tej mojej krainie,
Gdzie po dolinach moja Ikwa płynie,
Gdzie góry moje błękitnieją mrokiem,
A miasto dzwoni nad szmernym potokiem,
Gdzie konwaliją woniące lewady
Biegną na skały pod chaty i sady,

Jeśli tam będziesz duszo mego łona,
Choćby z promieni do ciała wrócona;
To nie zapomnisz tej mojej tęsknoty,
Która tam stoi jak Archanioł złoty,
A czasem miasto, jak orzeł, obleci,
I znów na skałach spoczywa i świeci.

Juliusz Słowacki odziedziczył po ojcu wątły organizm i skłonność do suchot, które go też zabrały ze świata mniej więcej w tym samym wieku, co i ojca. Wraz z tą smutną spuścizną odziedziczył także pewne cechy temperamentu. Ojciec według twierdzenia matki miał naturę „zgryźliwą", to jest pessymistyczne usposobienie, do którego i sam się przyznawał w poetyckim *Liście do Erazma,* pisząc:

czyli to skład ciała czyli nędze życia,
Smutek jest towarzyszem moim od powicia.

Gdy patrzał na ludzi, uwaga jego zwracała się przedewszystkiem na ich słabe strony i widział w nich wady i błędy dla innych niewidzialne [1]).

Otóż matka sądziła, że i syn ma ojca swego „zgryźliwą naturę", a choć się syn do takiej natury nie przyznawał, to jednak nietowarzyskie usposobienie Juliusza, ten brak uczucia społecznego, który stanowił tak wybitną a ujemną cechę jego charakteru, widocznie dostał mu się był w spadku po ojcu. Matka przeciwnie była bardzo towarzyską i przez wszystkich, którzy ją bliżej znali, serdecznie lubioną. Dotychczas znaliśmy ją po trosze ze wspomnień jej przyjaciela Odyńca, po trosze z Listów syna do niej; była to więc znajomość pośrednia, patrzaliśmy przez cudze, a przytem przyjacielskie i synowskie szkła na nią. Ogłoszone niedawno przez p. Meyeta jej Listy do Odyńca (Przewodnik nauk. i lit. styczeń — grudzień 1898) pozwalają nam zaznajomić się z matką sławnego poety bezpośrednio.

Była to istota niezmiernie czuła, wrażliwa, poetyczna, rozmarzona. Jej uczucia dla młodszego o lat kilkanaście Odyńca miały koloryt o wiele gorętszy od przyjacielskich; taiła się tam jakby niezaspokojona życiem potrzeba miłości romantycznej. Wielka żywość temperamentu pozwalała jej łatwo przechodzić od łez do śmiechu i odwrotnie. Sama pisze o sobie, że gotowa była skakać z radości na widok ładnej wstążki i zanosić się od płaczu bez żadnej wyraźnej przyczyny. „Czytam teraz głośno mamie *Władysława Łokietka* Wężyka — pisze z Krzemieńca w lutym 1828 — zadziwi się Pan niemało, kiedy mu powiem, że ciągle płaczę przy tej lekturze; szczególnie mi się nie udało w pierwszym tomie, od początku łzy mię dławiły, ale nie mogłam ich przytłumić i rozszlochałam się w miejscu... niech Pan zgadnie... oto, kiedy Bolesław, książe kaliski z Władysławem wybrali się na wyprawę pod Gdańsk i w dro-

---

[1]) W tym samym *Liście do Erazma* (Dzieła Euzebiusza Słowackiego, Wilno. 1826. T. IV) znajdujemy takie zwierzenia:

Dar prawdziwy czy zwodny dalszego widzenia
Stawiał w mych oczach ludzi nie bardzo przyjemnych,
Fałszywych, próżnych, srogich, zuchwałych, nikczemnych,
Nieszczęściami mojemi sprawdziłem te wnioski:
Tak cierpienia i klęski, zamiary i troski
Były i są przyczyną, że nigdy wesoła
Myśl zoranego smutkiem nie wyjaśni czoła.

dze ich deszcz napadł. Wszyscy słuchający mnie czytającą rozumieli, że ten deszcz mnie tak rozczulił" [1]).

W tej żywości i nagłej zmianie uczuć był jakiś wdzięk dziecinny; sama pani Salomea spostrzegała podobieństwo swoje do dziecka, gdy już jako matka dorastającego Julka, pisała o swoich rodzicach i otoczeniu krzemienieckiem: „Śmieją się ze mnie, bo widzą co robię i mówię, co piszę, uważają mnie tu za dziecię dobre, ale popsute, zdziwaczałe, litują się i kochają" [2]).

Poeta nie odziedziczył po matce ani towarzyskości, ani jej dobrego, wylanego dla innych serca. Czułości mu nie brakło; i owszem skłonny był do rozrzewnienia; ale to rozrzewnienie, ta czułość zwracała się niemal wyłącznie do jego własnej osoby i tego, co się bezpośrednio z nią wiązało. Nie przeszkadzało mu to łudzić się, że kocha ludzi, że „jeżeli gryzie co, to sercem gryzie" i z tego powodu wiele mówić o swojem sercu, dopóki sam wreszcie w chwili głębszej skruchy nie poznał, „jaki to był kawałek szkła błyszczącego", to serce jego. I wtedy, w ostatnich latach życia, gorąco pragnął nastroić serce swoje na ton miłości i walczył z naturą swoją, a choć zdawało mu się, że tę naturę zwyciężył, to jednak i to było tylko złudzeniem: brała ona górę przy najlżejszem draśnięciu jego przeczulonego indywidualizmu. Dlatego przez całe życie uczuwał Słowacki swoje osamotnienie wśród ludzi i brak przyjaźni ludzkiej. „Ty mi, droga mamo — pisał jako 25-letni młodzieniec ze Szwajcaryi — zawsze słusznie wyrzucasz, że nie żyję z ludźmi. Czuję sam sprawiedliwość twoich wyrzutów i co zimy staram się poprawić: zaczynam wizyty i znów odpadam w dawny grzech samotności. Widać, że jest coś w moim charakterze nietowarzyskiego. Zdaje mi się, że gdybym miał władzę ziemską, byłbym okrutnym władcą, jak wszystkie zwierzęta żyjące samotnie" [3]). Jest w tych wyrazach trochę bajronizowania, trochę manfredowskiego: „lew żyje samotny, jestem jak lew", ale i stwierdzenie zarazem niewątpliwego faktu nietowarzyskości Słowackiego. Mickiewicz nie był także łatwym do robienia znajomości, zawierania przyjaźni, otwierania swojej duszy

[1]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1273.

[2]) Tamże, str. 1247.

[3]) Listy Jul. Słowackiego z autografów poety wydał poraz pierwszy Leopold Meyet. Lwów. Nakładem Księgarni Polskiej. 1899. T. I, str. 263. Ponieważ dwa dotąd wydane tomy zawierają tylko listy do matki, pod tą więc nazwą (Listy do matki) lub jeszcze krócej (Listy) będę cytował nadal wydanie p. Meyeta.

na oścież przed pierwszym lepszym, jak n. p. Odyniec, ale że „miał serce i patrzał w serce“, czuł więc przez całe życie, od ławy szkolnej aż do grobowej deski, bijące przy sobie serca przyjaciół, między innymi nawet takich, od których dzieliły go różnice wiary, narodowości i tradycyi. Słowacki, który wszędzie i zawsze mierzył się z Mickiewiczem, spostrzegał i w tym względzie różnicę między nim a sobą. Donosząc matce o wrażeniu, jakie wywarł na nim *Pan Tadeusz,* pisał też i o nowem pożyciu małżeńskiem Mickiewicza. „Co wieczora mnóstwo naszych braci schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z mojemi samotnemi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w tej smutnej wędrówce życia“ [1]). A kiedy zastanawiał się nad przyczyną tej smutnej dla siebie różnicy, odkryć jej nie mógł. „Mam w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy ze mną spoufalić się nie mogą. Często szukam w głębi serca mego przyczyny tego i znaleźć nie mogę“ [2])

Z podobnymi skargami spotykamy się nieraz w listach poety, spotykamy się nawet w listach z tych czasów, kiedy już w duszy jego zaszło wielkie przeobrażenie, kiedy chwilami zdawało mu się, że „odzyskał ten czar, który miłością ludzi uderza i wiąże ich w jeden wieniec“. I tak pisał matce (w maju 1845): „choć powierzchownie nie sam, to rzeczywiście powiedzieć mogę, że samotny jestem“, a na kilka miesięcy przed śmiercią (11 września 1848) tak się skarżył: „Omdlenia i zniechęcone duchy ludzi, którzy mnie otaczają, są mi nieraz zabójczą treścią; duch mój żyć z ludźmi bez zlania się duchowego nie umie“ [3]).

Jak nie zaznał przez całe życie prawdziwej przyjaźni, tak nie zaznał i prawdziwej miłości. W przyjaciołach kochał przedewszystkiem siebie, to jest kochał ich za to, że wielbili jego talent, uznawali jego potęgę duchową: z kochankami było podobnie: miłość kobiety była dla niego potrzebą raczej ambicyi, niż serca, miała służyć przedewszystkiem za aureolę dla geniuszu. Naprawdę nie kochał żadnej, poczynając od Ludki Śniadeckiej, a kończąc na pani Bobrowej. I w czasach towianizmu, kiedy dbał przedewszystkiem o piękność duchową, nie mógł pokochać nikogo, bo w nikim nie mógł znaleźć siebie samego. Nadzwyczaj charakterystyczne są słowa

[1]) Przewodnik nauk. i lit. I, 275.

[2]) Tamże. I, 282.

[3]) Listy do matki, II, 231, 323.

jego listu do matki ze stycznia 1845: „Czekam, czekam, jak cudu, aż który z tych ludzi obudzi się nagle przedemną i zawoła zupełnie moim językiem... Czy ty wystawisz sobie torturę takiego oczekiwania. Często już prawie zgodziłbym się pójść jak Jezuita i zmagnetyzować jaką kobietę sercem, aby mieć coś podobnego zupełnie do siebie, choćby ta dusza była tylko artyficialną i pomalowaną po wierzchu piękności złotem i kolorami, ale ta myśl bezbożna trwa krótko, wolę nic nie mieć, niż fantazmo i widmo".

Było to więc serce dziwnie zbudowane, niezdolne pokochać nikogo prócz siebie, daremnie szukające poza sobą jakiegoś sobowtóra, i w tym względzie poeta wcale niepodobny był do matki. P. Bobrowa, która miała sposobność dobrze poznać ją i jego, spostrzegała wyraźnie tę różnicę i nie kryła się z tem odkryciem nawet przed Słowackim. „W domu Zosieńki — pisze syn do matki — ukochano ciebie i kilką słowy odmalowano mi ciebie doskonale, z poniżeniem nawet dla mnie; oto jest frazes: „J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a! quelle sincérité d'ésprit et de sentiments!" [1]). Nie mogąc zaprzeczyć temu, poeta pocieszał się myślą, że tak być powinno, że to „właśnie różnica między kwiatem a drzewem".

Z czegoż był podobny syn do matki, na czem polegało owo podobieństwo, które spostrzegano „w domu Zosieńki", które widziała także Hersylia Januszewska, gdy po wielu latach niewidzenia, przeżyła ze Słowackim dłuższy czas razem we Włoszech? Myślę, że podobieństwo tkwiło w nadzwyczajnej wrażliwości, którąbym nazwał estetyczną, wreszcie w wygórowanej skłonności do marzycielstwa [2]). Prof. Małecki w swem znakomitem dziele o Słowackim bardzo pięknie określił „tę najistotniejszą cechę oryginalności jego talentu" jako „melancholijny urok poetyckiego na świat spojrzenia". „Przed jego okiem widne są wszystkie barwy tęczowe poezyi rozlanej po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajemniejsze objawy jej przytomności pomiędzy nami, mówią do jego wyobraźni: jesteśmy!" [3]). Otóż źródłem tego „poetyckiego na świat spojrzenia"

---

[1]) Listy do matki. II, 219.

[2]) Odyniec powiada, że w usposobieniu matki nie było nawet cienia ironii i pychy, właściwych poecie, a które, jak mówiono, miały być spuścizną po charakterze ojca, „tak jak niezawodnie po matce wziął on nerwową wrażliwość, bujną imaginacyę i w ogólności usposobienie poetyczne — z wyjątkiem wszakże kochającego jej serca i zapominania o sobie. Wspomnienia z przeszłości. 176.

[3]) Juliusz Słowacki. Lwów. 1881. T. I. 114.

był mojem zdaniem szczególny stosunek Słowackiego do przyrody nadzwyczajna wrażliwość jego na wszystkie jej kształty i barwy, odcienia i tony i nadzwyczajna żywość tych wrażeń, która pozwalała mu obrazy dzieciństwa i młodości przechowywać przez całe życie z niczem nieprzyćmioną świeżością i wyrazistością. „Dziesięć lat temu — pisał do matki z Florencyi w sierpniu 1838 — w tej właśnie porze czułem woń sosnowych lasów koło Oszmiany; jak to prędko przebiegło! Chciałbym kiedy o słońca zachodzie wjeżdżać z tobą, droga moja, przed dom ten żółty, drewniany, przed którym rośnie jarzębina, koralowemi gronami okryta, choćby tam już nikogo z dawnych nie było, to ja wszystko sobie wskrzeszę pamięcią“ [1]). Czytając ten ustęp czujemy, z jaką żywością barw przypominany obraz występował w jego pamięci. Najdrobniejsze szczegóły otoczenia z czasów dzieciństwa przechowywały się tam najdokładniej. „Przychodzą mi na myśl te kamienie pod domem babuni, na które ja często patrzałem w dnie słotne, widząc jak krople wody dachowej wyjadają w nich żłobki i dziury; żłobki te jeszcze dziś widzę przed sobą, moje dziecinne oczy wmyślały się w nie głęboko“ (w styczniu 1845 II 220). Obok obrazu rodzinnego Krzemieńca najżywiej, z największą świeżością poetyckiego uroku przechowywały się w pamięci Słowackiego obrazy podolskiej przyrody, którą miał sposobność poznać z bliska, gdy jako kilkunastoletni chłopak jeździł z matką nieraz latem do przyjacielskiego domu Michalskich w Wierzchówce. Tam to był ogród na cześć pięknej Julki Michalskiej, nazwany Julinkami, o którym nieraz poeta wspomina w swojej korespondencyi i który pod nazwą Anielinek wprowadził do *Beniowskiego*. Tam to brzozy podolskie „szeptały mu dziwne rzeczy“, usposabiając do marzeń „o wielkich podolskich rycerzach“, tam to w szczególności roztaczająca pogodne błękity nad złotemi łanami przyroda wydawała mu się harfą grającą:

cała natura oddycha
I gra jak harfa — choć zdaje się cicha.

Uczucie, którego przyszły poeta doznawał na widok błękitnookiej, słońcem ozłoconej, falistej i gajami ozdobionej przyrody było dziwnego rodzaju: zdawało mu się, że to jakaś żywa, swawolna

---

[1]) Listy do matki II 111. Dom, o którym tu Słowacki pisze, był to dom Jana Śniadeckiego w Jaszunach, dokąd poeta jadąc z Wilna do Krzemieńca nieraz zajeżdżał i gdzie się spotykał z Ludwiką Śniadecką.

czarodziejka, która go bawi swoimi czarami, ale sama ukrywa się przed nim i tylko z ukrycia woła na niego po imieniu:

Często, gdym stanął zamyślony w chłodzie,
Myślałem, że mię kto za ramię trąca,
Woła... ucieka... kryje się za drzewa,
Za kaskadami chowa się i śpiewa [1].

Mickiewicz miał także głębokie poczucie przyrody i w nietkniętej świeżości przechował wrażenia dzieciństwa, które się tak cudownie przelały w obrazy *Pana Tadeusza*, ale stosunek jego do przyrody był inny, niż Słowackiego. Jego heroiczny temperament nie pozwalał mu na lubowanie się w kontemplacyi, na czysto estetyczne nasycanie się wdziękami przyrody. Dusza jego, napojona w dzieciństwie obrazami ojczystej przyrody, raz tylko potem, w podróży krymskiej, otwarła się na nowe widoki, tak że zdołały one zapłodnić jego fantazyę, ale i w Sonetach krymskich nie ma całkowitego oddania się przyrodzie, obrazy jej są tylko jakby akkordami do idei i uczuć, głucho tętniących w duszy poety. W późniejszych latach ani brzegi Renu, ani Szwajcarya, ani Włochy nie rozgrzały jego fantazyi, nie wywołały natchnienia. Słowacki wszędzie i zawsze miał otwarte ramiona dla przyrody i o ile stronił od ludzi, o tyle dobrze mu było w obcowaniu z naturą. Jego chorobliwie wygórowany indywidualizm, nie znoszący innego indywidualizmu, nie mógł znaleźć klucza do serc ludzkich; były też dla niego przez całe życie zamkniętą księgą. Słowacki doskonale malował zewnętrzne poruszenia ludzi, ale do dna serca ludzkiego nie umiał sięgnąć. Przeciwnie natura otwierała przed nim wszystkie swoje skarby, śpiewała mu najpiękniejsze swoje pieśni. Te wiersze w pamiętniku Zofii Bobrówny:

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poematy składać,
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać,

nie były czczym frazesem, ale szczerą prawdą. Słowacki miał dla natury tę miłość, jakiej nie mógł w sobie znaleźć dla ludzi, a to, jak sądzę dla tego, że natura była bezosobową, że mógł w nią za-

[1]) Nieznane fragmenta i waryanty *Beniowskiego*. — „Gazeta Lwowska“ 1902 Nr. 222. W swojej książce notatkowej Rkp. Bibl. Oss. liczba inw. 1792 Nr. 2 k. 128 Słowacki zapisał taką uwagę: „Wołanie po imieniu często przez dzieci słyszane w dzień pogodny“.

tem wkładać siebie samego, z nią zlewać się w jedno, na jej tle swobodnie snuć swoje marzenia. Ona go upajała jak wino. Z powodu pewnej wycieczki w okolice Florencyi pisał w liście z 3 października 1837. „Piękne niebo błękitne, kryształowe powietrze jesienne, lasy sosnowe ogromne koło klasztoru, błękitne góry w odległości, zachwycenie oddechem spokojności mniszej, wszystko to upoiło mnie i w spokojne pogrążyło dumania“ (II 73). Przyroda nie ograniczała, nie krępowała w niczem jego indywidualizmu, niczem nie drażniła jego ambicyi, stawała się jego własnością, państwem dla jego królującej myśli i kornie przynosiła mu w dani niewyczerpane bogactwo obrazów, które też w poezyi jego stanowiły główny kapitał obrotowy. „Bardzo kontent jestem — pisał z Genewy we wrześniu 1834 po odbyciu podróży, której wrażenia miały się uwiecznić w poemacie *W Szwajcaryi* — że odbyłem podróż po górach tego roku. Obrazy gór i lasów zostały w mojej pamięci; imaginacya moja, jak salon pałacowy, ustrojona jest nowemi malowidłami“ (I 260).

Była też przyroda dla Słowackiego czemś więcej, niż hołdowniczką, niosącą złoto i karmin barw swoich wielkiemu koloryście; stawała się niekiedy, jak to sam uznawał, i mistrzynią jego i wierną pocieszycielką po ciągłych drażniących i bolesnych starciach z ludźmi. „Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia — pisze po powrocie z Veytoux do Genewy w 1835 — były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnemi dźwiękami natury, widziałem ją z bliska błękitną albo chmurną“ (I 314). A kiedy w r. 1843, po całorocznej już gorączce transfiguracyi, która nadwerężyła jego siły fizyczne a myśli jego oderwała od przyrody i rzuciła w kierunku mistycznych teoryi towianizmu, znalazł się w bezpośrednim z nią zetknięciu nad brzegami oceanu w Pornic, jakże mu się miłą, drogą i kochającą wydała ta zaniedbana przez jakiś czas od niego hołdownica, mistrzyni i kochanka. O żadnej kobiecie nie pisał nigdy z tak bezwzględnem uwielbieniem, jak o niej. „A ta cała natura, gdybyś ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna, otoczyła mnie skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia; jak ona mi wyrzucała, żem się długo gorączkowym myślom oddawał, a o niej zapomniał! jak w płotach ćwierkaniem makolągiew,

wonią malin orzeźwiała mnie, zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnieniu tego woza żywota, w którym my jak konie pracujemy! Jaka ona dobra i litosna dla strudzonych ludzi! Podziękowałabyś jej, że cię wyręczyła na miesiąc przy twoim synu“ (II 186).

Taki był stosunek Słowackiego do przyrody i do ludzi. Ludzie drażnili go, psuli mu jego marzenia, przyroda uspokajała i kładła się jego marzeniom pod stopy, widział w niej siebie, symbole własnych stanów duszy. Co się tyczy marzeń, przeobrażały się one w ciągu życia, zależnie od rozmaitych wpływów zewnętrznych, ale wypływały zawsze z jednego źródła, z zapatrzenia się w siebie, z zamknięcia się w najwygórowańszym indywidualizmie, a dokładniej mówiąc, z najczystszego egoizmu. Żywość wrażeń, bogactwo wyobraźni dawało mu od dzieciństwa poczucie swej genialności, wyższości nad otoczeniem, a najwyższym celem pragnień i marzeń tej genialności było przejrzeć się w szerokiem jak morze, jak świat źwierciedle sławy. W tem, jak zobaczymy, tkwił tragizm życia Słowackiego. Przyroda, ku której się nachylał, której najlżejsze szmery i westchnienia rozumiał, nie mogła mu bić oklasków, otaczać wrzawą i blaskiem sławy, a serca ludzi, którzy mu jedynie dać mogli to, czego z takiem wytężeniem pragnął, były dlań obojętne, bo nie umiał trafiać do nich, bo ich nie rozumiał, bo im współczuć nie umiał.

Wychowanie Słowackiego w wysokim stopniu sprzyjało rozwojowi ambitnych marzeń i tej dążności do samoubóstwienia, która się stała głównym charakterystycznym rysem jego ducha. Jako na jedynaku, skupiały się na nim wszystkie promienie miłości i troskliwości obojga rodziców, póki żył ojciec, potem matki, która przez całe życie poety była jego opiekuńczym duchem. Już w czwartym czy piątym roku jego życia rodzice zapragnęli mieć portret swego ukochanego jedynaka, a zadania tego podjął się najznakomitszy wówczas malarz wileński, Rustem. Był też ten portret poniekąd symbolem przyszłych marzeń poety o apoteozie, przedstawiał Julka nie w naturalnej postaci dziecka, ale w postaci Amorka ze skrzydełkami u bioder i z łukiem w rączkach.

Gdy ojciec umarł, a matka wróciła do Krzemieńca, czuł jedynak nad sobą oprócz miłości macierzyńskiej, troskliwość i czułość dziadka i babki. Gdy matka wyszła drugi raz zamąż za dr. Bécu, i Julek znów przeniesiony do Wilna znalazł się wśród rozszerzonej rodziny, jako najmłodszy i jedyny reprezentant męski młodego pokolenia, nie przestawał być głównym przedmiotem pieszczot i starań,

zwłaszcza, że odznaczająca się powierzchowność jego, wyraz inteligencyi w twarzy i ogień w oczach i wcześnie objawiające się zdolności poetyckie wcześnie zwracały na niego uwagę wszystkich. Troskliwość starszych od siebie, a zupełnie obcych krwią córek ojczyma, Aleksandry i Hersylii, uwydatnił poeta w *Godzinie myśli*, pisząc, że jego włos czarny gęstym sypiący się pierścieniem

co dnia dziewic ręką gładką
Utrefiony brał blaski dziewiczych warkoczy.

Jak był przyzwyczajony do tego, że się wszyscy nim zajmowali, jak drażliwy był, kiedy wyjątkowo spotykał się z obojętnością i jak obojętność taką uważał za naruszenie praw swoich, świadczy o tem wybornie ustęp z jego listu do Stattlera (z r. 1845), przypominający chwile z czasów dalekiego dzieciństwa, kiedy jako małe dziecko bawił się w przytomności Jana Śniadeckiego i oburzał się w duchu na brak względów, brak szczególnej uwagi dla siebie ze strony tego potentata wileńskiego. „Przy tym człowieku, ja, dziecko igrałem jak przy wielkim posągu, ale ten lew brązowy zdawał się nie zważać na mnie, nie wiedzieć, nie czuć, że ja egzystuję na świecie; to też przekonany byłem, że jego oczy siwe nie widzą mnie, że jego ucho wyrazów moich nie słyszy i nieraz wrzał we mnie gniew“ [1]).

Nic dziwnego, że takie dziecko roiło o wielkiej i sławnej przyszłości: „Pamiętam — czytamy w liście do matki z 1834 r. — że przez długie godziny nieraz chodząc po pokoju, rozwijałem w myślach moich jakieś świetne szczęścia bogactw i sławy obrazy. Niski sufit mego w Wilnie pokoiku nie wstrzymywał mojej bujającej myśli“ (I, 246). I w ośm lat potem skarżąc się, że go nuda ogarnia, że już marzenia mu nie wystarczają do zapełnienia samotności, z rozkoszą wspominał owe wieczory w dzieciństwie, kiedy to w świeczce jego „paliły się różne nadzieje tęczowe i brylantowe...“ „Gdybyś ty, droga, wiedziała, co ja tam śnił niegdyś w pokoiku moim naprzeciwko wież St. Michalskich, jakie kochanki, jakie korony i wieńce, jakie tysiączno-nocne wydarzenia i awantury na świecie“ (II, 156).

Jaką była ewolucya marzeń dziecięcych Słowackiego, sam poeta nam daje w tym względzie wskazówkę. W czasach głębokiego zanurzenia się w mistycyzmie pisał on wykład nauki w formie dyalogu pomiędzy mistrzem a uczniem i temu uczniowi, Helionowi, włożył w usta takie własne wspomnienia z dzieciństwa. „U do-

---

[1]) Listy J. Słowackiego, wyd. drugie, Lwów. 1883, T. II, str. 233.

statnich rodziców urodzony, chciwy łakotek i cukierków, lubiłem wystawę, księży, procesye, resurekcye odbywające się przy ogniu wystrzałów, zwłaszcza gdy w księżycową noc widziałem księży wychodzących z krzyżem srebrnym na plac licealnego kościoła z pochodniami, z celebrantem, nad którym niesiono namiot złoty i jedwabny drogiemi perłami wyszywany... Gdy to wszystko przy blasku miesiąca, przy biciu dzwonów północnych, przy błyskawicowych ogniach moździerzy szło i śpiewało po placu, duch mój niby wylatywał ze mnie, klaskałem w ręce, a oczy moje dziecinne otwierały się szeroko pełne łez i skier radosnych... Ś. p. ksiądz Sobkiewicz, oprowadzający zwykle te procesye, widząc we mnie zapał do rzeczy religijnych, już przepowiadał, że księdzem zostanę, gdy oto nagle, z książeczką Tassa weszły we mnie nowe rycerskie zapały i imaginacye. Odtąd więc już nie procesye, lecz wojny z rówiennikami, jakieś koła hetmańskie, buńczuki, księżyce, szable sadzone turkusami snuły się po główce dziecinnej... Marzyłem o półrozbójniczym rycerskim żywocie, o ścinaniu chorągwi, o tryumfalnych wjazdach na rumaku tureckim do mego rodzinnego miasteczka... Potem ja... wziąłem się do malarstwa samym nazwiskiem kolorów, już jakoby elektrycznie wstrząsany“ [1]).

W tych samych mniej więcej czasach w liście do matki (10 września 1845) wspominał Słowacki o jednym z dawnych znajomych (Pawle Jarkowskim, świeżo wtedy zmarłym), który jak z listu widać, musiał w rozmowach z matką przypominać różne szczegóły z dzieciństwa poety. „Dla czegoż on nie wiedział o tem matematycznie, że ja przyszedłszy na świat, a mając lat sześć, koniecznie musiałem się ubierać w ornaty i mszę odprawiać?... dla czego nie wiedział, że po takim śnie w duchu moim koniecznie potem drugi sen Achillesowy i bicie się na tarcze blaszane nastąpi? Dla czego nie wiedział, że potem ja muszę koniecznie rzucić zbroję tak, jakem był ornaty porzucił a wziąć się do malarstwa... Gdyby te trzy rzeczy i następstwo onych po sobie był zgłębił, byłby wiedział, co ja za jeden i skąd przyszedłem, i co uczynię... a tak dziwił się tylko fenomenowi i uważał go, ten jednak wniosek uczyniwszy, żem jest dziecko nad dzieci mego wieku więcej wiedzące i pełniejsze niespodziewanych błyskawic...“ (II 241).

---

[1]) Wykład nauki w wydaniu H. Biegeleisena. J. Słowacki. Warszawa, bez roku wydania, str. 197—198.

Nie chodzi mi tym razem o mistyczne znaczenie następstwa trzech rzeczy wymienionych w tym ustępie, ale tylko o stwierdzenie przez samego poetę tego następstwa. Więc naprzód wyobraźnia jego była olśniona i pociągnięta blaskiem obrzędów kościelnych i dzięki temu, jak zarówno zapewne dzięki sferze rodzinnej w Krzemieńcu, był on w pierwszych latach dzieciństwa, jak sam w pamiętniku powiada, „zapalenie nabożnym“ (I 18) i chciał się blaskiem pobożności, naturalnie zewnętrznej, odznaczyć. Potem trafiła do jego wyobraźni Iliada w przekładzie Dmóchowskiego i Jerozolima wyzwolona w przekładzie Piotra Kochanowskiego i zapaliły go żądzą bohaterskiej sławy i chciał on naśladować Achillesa w zapasach z nieznanymi nam rówieśnikami[1]). Potem „wziął się do malarstwa“, to jest zaczął roić o sławie malarskiej. Brat jego matki, Teofil Januszewski, młodzieniec jeszcze w czasach dziecinnych Słowackiego, uczył się wtedy przez czas jakiś w Wilnie malarstwa i miał swoją pracownię i poeta w jednym z listów do matki (19 lipca 1845) przypomina, że to on „w ciemnej malarni swojej wileńskiej“ wiele mu „snów o Rafaelu nastręczył“ i że w jego małym pokoiku czuł „jakiś zapach niewymówiony dawnego artystycznego włoskiego żywota“. Dopiero po tych trzech „snach w duchu swoim“, mówiąc mistycznym językiem Słowackiego, po tych trzech różnych próbach dążenia do blasku sławy, stanął przyszły poeta na stopniu, z którego odkrył się przed nim ostateczny cel jego dążeń: sława poetycka, wielka, niezmierzona, wszystkim jak słońce nad światem widzialna i wszystkich olśniewająca.

Kiedy nastąpiła ta ostatnia ewolucya, dokładnie oznaczyć trudno, można się domyślać tylko, ze już „po snach o Rafaelu“, ale samo dążenie do sławy takiej czy innej, sam pęd w górę do wyniesienia się nad światem sięgał zapewne pierwszych czasów budzenia się inteligencyi i świadomości w dziecku. Co zaś najwięcej zadziwia w tem wczesnem dążeniu, to fakt parokrotnie przez poetę przytaczany i którego prawdziwości nie mamy powodu podejrzewać, że poecie, gdy był dzieckiem, chodziło przedewszystkiem o sławę pośmiertną, a więc o sławę wieczną, nieśmiertelną, i że dla niej

[1]) P. Hösick nie zrozumiał przytoczonego ustępu z listu Słowackiego, gdy pisał (I 55): „Iliada go zachwycała tak, iż spać nie mógł, tylko marzył o Achillesie i Hektorze, którzy mu się śnili, gdy usnął“. Wyrażenie „sen Achillesowy“ w liście Słowackiego użyte jest w znaczeniu symbolicznem, oznacza obraz symboliczny, mistyczną przepowiednię, nie zaś sen rzeczywisty.

gotów był wszystkie blaski i tryumfy tego świata poświęcić, nie przeczuwając zapewne, jak trudno mu będzie wytrwać w tej roli. „Pamiętam — pisał w pamiętniku drukowanym przy listach do matki (I 18) — że będąc małem dzieckiem i zapalenie nabożny, modliłem się nieraz: O Boże! daj mi sławę choć po śmierci, a za to niech będę najnieszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w mojem życiu. Tak się modliłem, przekonany jestem, że zły duch pochwycił moje przymierze; to, co ma być w życiu, już się spełnia... to, co ma być po śmierci... być musi“. Tak pisał w roku 1832, a w trzynaście lat potem jeszcze dokładniej ten fakt przypominał w liście do matki: „Droga moja! ja ośm lat mając, przysiągłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał, a za to za grobem o wszystko się upomnę“ (II, 218). Z tych wynurzeń wynika, że „zapalona pobożność“ dziecka za cel najwyższy miała nie zbawienie duszy, nie dostanie się do raju, ale raj wiekuistej sławy ziemskiej, i że już przed ośmioletnim chłopcem płonęła pełnym blaskiem ta gwiazda, przewodniczka całego jego życia. Tak wczesną tedy była w nim ta tak zwana przezeń „anielskość“ jego, którą wcielił potem w Anhellego, która, w miarę rozwoju pojęć albo raczej marzeń jego, nabierała rozmaitego znaczenia, ale która początkiem swoim sięgała owego wzgardzenia wszystkich dóbr ziemi dla sławy [1]).

---

[1]) Zachodzi tu pewna chronologiczna wątpliwość na razie trudna do rozwiązania. Ze wzmianki o katedrze i o ośmiu latach trzeba wnosić, że żądza sławy w całej swej potędze zbudziła się w chłopaku za powtórnem jego przybyciem do Wilna, kiedy matka jego wyszedłszy powtórnie zamąż za dr. Bécu, opuściła powtórnie Krzemieniec. Kiedyż to się stało? Poeta w czwartym rozdziale swego pamiętnika, pisanym jeszcze w r. 1831, a więc w kilkanaście lat tylko po owym wypadku, podał datę ślubu matki i wyjazdu do Wilna na sierpień 1817 (I, 1). Ponieważ się urodził w sierpniu 1809 roku, miał więc w czasie wyjazdu powtórnego do Wilna równo lat ośm, ze wszystkich więc świadectw jego wypadałoby, że owa chwila układu z Bogiem o sławę pośmiertną przypada na pierwsze czasy jego powtórnego przyjazdu do Wilna, na koniec roku 1817. Możnaby myśleć nawet, że wspaniałe obchody żałobne na cześć Kościuszki, które się w grudniu 1817 roku odbyły w Wilnie, a takim blaskiem otoczyły pamięć zapomnianego przez wiele lat bohatera, że te obchody odegrały pewną rolę w sprawie przymierza przyszłego poety z Bogiem. Ale te kombinacye psuje wiadomość, podana przez p. Meyeta w przypisku do pamiętnika Słowackiego, że według wypisu urzędowego aktu ślubnego ślub dr. Bécu z matką poety odbył się w sierpniu nie 1817 ale 1818 r., że zatem i powtórny przyjazd do Wilna Słowackiego nastąpił dopiero w sierpniu 1818 roku. W tym czasie miał już Słowacki lat 9, więc jeżeli naprawdę jako

Jakkolwiek nie można zupełnie szczegółowo oznaczyć daty, kiedy w sercu przyszłego poety zbudziła się żądza sławy z potęgą namiętności, tyle przecież napewno można twierdzić, że chwila ta przypadła na czasy, kiedy wśród wileńskiej młodzieży uniwersyteckiej, a więc w sferze, mającej zbliska otoczyć dom matki poety, zaczęły się objawiać dwa prądy wielkiego znaczenia dla przyszłości: filaretyzm i romantyzm. Okres rozwoju i największego wybujania obu prądów w Wilnie aż do katastrofy, która rozmiotła po świecie najznakomitszych filaretów i romantyków, obejmował lat pięć do sześciu (od 1818 do 1824). Na początku tego okresu Julek Słowacki miał lat dziewięć, więc jakikolwiek udział jego w początkach filaretyzmu był niemożliwy, ale przy końcu liczył lat piętnaście, a więc już wtedy prąd filarecki łatwo mógł dotrzeć do niego i poruszyć go [1]). Czy go poruszył? Pamiętnik jego doszedł do nas w urywkach i brak w nim rozdziałów, odnoszących się do owego okresu, więc nic dziwnego, że w urywkach pamiętnika niema o tem żadnej wzmianki, ale to zastanawia, że ani z obfitej poezyi jego, ani z obfitych wspomnień listownych nie pada ani jeden promień na stosunek jego do ruchu filareckiego.

Po roku 1832, po ukazaniu się trzeciej części *Dziadów,* gdzie jego ojczymowi haniebna dostała się rola, wspominanie tego ruchu i związanych z nim wypadków mogło być zapewne dla poety przykrem, ale że do ukazania się tego poematu nigdzie u Słowackiego niema śladu wrażenia temi wypadkami wywołanego, zdaje się to wyraźnie świadczyć, że był obojętnym dla tego ruchu. Potwierdzają to ubocznie późniejsze okoliczności, n. p. ta, że kiedy w roku 1827 miał się odbyć spóźniony chrzest jego wraz ze chrztem idącej wówczas zamąż Hersylii Bécu, poeta zgodził się na to, aby jego ojcem chrzestnym był Pelikan, prawa ręka Nowosilcowa w Wilnie. Słowacki miał wtedy lat 18 i niepodobna przypuścić, ażeby matka,

ośmioletni przysięgał nie prosić Boga o nic przed grobem, to stało się to jeszcze w Krzemieńcu. Ale w Krzemieńcu nie było kościoła katedralnego, trudno zaś przypuścić, aby Słowacki, który tak żywo miał w pamięci obrazy swego dzieciństwa, pomylił się w tym względzie. Prędzejby można przypuścić, że pomylił się w liczbie lat, choć i to byłoby rzeczą dziwną w człowieku, który od lat najmłodszych tak był sobą zajęty, taki miał kult dla samego siebie. Sądzę, że należałoby sprawdzić datę wypisu urzędowego, bo i daty takich wypisów nie zawsze, jak wiadomo, bywają prawdziwe.

[1]) Trzeba dodać, że nauczycielem Julka przez jakiś czas był jeden z filaretów, Józef Massalski.

która tak we wszystkiem starała mu się dogodzić, bez jego zgody narzucała mu jakiegokolwiek ojca chrzestnego. Brał też w owym czasie udział w wielkim balu, wydanym dla Nowosilcowa, a nawet z łaski Pelikana mieszkał jakiś czas wraz z matką w mieszkaniu pana senatora [1]. Prawda, że ani Nowosilcow, ani Pelikan nie nosili jeszcze na sobie tego piętna, jakie na nich wycisnęła potem trzecia część *Dziadów*, ale że młodzieńca nic nie odstręczało od tych ludzi, świadczy to, że filaretyzm nie znalazł echa w jego sercu.

I w istocie rzecz to zupełnie zrozumiała, że hasło filareckie „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“ nie mogło trafić do nawskróś egoistycznej natury młodzieńca, który sobą tylko był zajęty, którego serca żadna „złota nić“ nie wiązała z sercami innemi. Stosunek z Ludwikiem Szpicnaglem, towarzyszem szkolnym, choć nie z jednej klasy, nie stanowi przeciwnego dowodu. Nie było tu „nici złotej“; główną rolę i tutaj grała ambicya, zadowolona ze ścisłego stosunku z towarzyszem „większym nauką i laty“, przy którego pomocy Julek mógł wspinać się myślą wysoko ponad zwykły dziecinny zakres wyobrażeń. Obraz tego stosunku i wogóle czasów szkolnych, podany przez samego poetę w *Godzinie myśli*, potwierdza brak owej złotej nici w przyszłym poecie. On i jego starszy towarzysz przedstawieni tu są, jako „niezmieszani w tłumie“ i „oba we współzawodnej wykarmieni dumie“. Stosunek ze starszym, excentrycznym, o marzycielskim, wertherowskim nastroju młodzieńcem, jakim był Szpicnagiel, mógł się przyczyniać tylko do zaniku uczuć koleżeńskich w Słowackim. On, którego starszy „nauką i laty“ towarzysz wtajemniczał w mistyczne teorye Swedenborga i w swoje zamiary wędrówki po „wschodnich krainach“, który idąc za przykładem tego towarzysza, lubował się w różnych ekscentrycznościach, tem wyższym czuł się od swoich kolegów-rówieśników, tem mniej lgnął do koleżeńskiej fali.

Co się tyczy romantyzmu, który zakwitnął w Wilnie w czasach szkolnych Słowackiego, dla tego kierunku młodzieniec, rojący o sławie a bujną obdarzony wyobraźnią, nie mógł być obojętnym, i jeżeli wahał się jeszcze w wyborze drogi do sławy, to niewątpliwie blask nowej poezyi musiał go stanowczo pociągnąć na tę drogę, którą sobie obrał na całe życie. W r. 1822 wychodzą w Wilnie *Ballady* Mickiewicza, w r. 1823 *Grażyna* i *Dziady*: trzynastoletni

---

[1]) Listy p. Bécu do Odyńca. Przewodnik nauk. i lit. str. 1159 i 1240.

chłopak jest świadkiem niebywałego tryumfu nowej poezyi wśród młodego pokolenia, a sam czując w sobie bogactwo wyobraźni, czuje też, że na tej właśnie nowej drodze najłatwiej potrafi swem bogactwem świat olśnić i zadziwić. I tu — rzecz naturalna — uwaga jego zwrócić się musiała naprzód na Mickiewicza; jego namiętna żądza sławy miała wytknięty najbliższy cel przed sobą: ażeby się stać najsławniejszym na całym świecie poetą, trzeba było naprzód prześcignąć tego, który się stawał najsławniejszym z młodych poetów w Polsce. Wiadomo, że w kilka lat potem, na wiadomość o śmierci Goethego, przyznawał się Słowacki w liście do matki [1]) do myśli, że Bóg zabrał największego z poetów europejskich, ażeby zrobić miejsce dla niego.

Że marzący o wielkiej sławie chłopak już zaraz w pierwszych latach po ukazaniu się poezyi Mickiewiczowskiej próbował sił swoich poetyckich, mamy o tem wyraźną wiadomość nietylko z wątpliwych nieraz wspomnień Odyńca, zawartych w Listach z podróży, ale i z własnych ust Słowackiego. W liście do matki z 10 listopada 1842 [2]) mówi poeta, że Mickiewicz w swojej sławnej improwizacyi na uczcie, którą dlań urządzono w dzień imienin 1840, przypomniał, jak mu matka Słowackiego „dawno, dawno“ pokazywała małe próbki poetyckie swego syna i jak on już wtenczas przepowiedział matce, „że jego (Słowackiego) wielka i świetna czeka przyszłość“. Z tych próbek nic nie znamy. Że musiały nosić na sobie piętno niepospolitego talentu, świadczą o tem przytoczone słowa Mickiewicza; można się też domyślać, że były w balladowym duchu i kierunku pisane. Jeżeli się zaś nie przechowały, jeżeli kilkunastoletniego chłopaka chętka rozgłosu nie pociągnęła do umieszczenia ich w jednem z pism wileńskich, gdzie je łatwo można było umieścić, gdzie już towarzysz jego marzeń Spitznagel drukował swoje utwory, to objaśnia się to nadzwyczajną drażliwością młodego poety na ujemne sądy ludzkie. Nie śpieszył się on z drukiem swoich utworów, póki nie miał pewności, że blaskiem zaimponują, i jeżeli nie zaćmią innych, to przynajmniej same zaćmić się nie dadzą. Trzeba tak wnosić z różnych uwag matki jego w Listach do Odyńca, a w szczególności z tej obawy jej, aby Julka „na śmieszność nie wystawić, bo to pierwszy krok zrobić na świat a źle, to boleśnie i uraża młodego chłopca“ [3]).

[1]) Listy I, 96.
[2]) II, 148.
[3]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 825.

Najdawniejszym ze znanych utworów Słowackiego jest *Duma Ukraińska;* pisał ją Słowacki w Wierzchówce na Podolu podczas wakacyi letnich 1826, mając lat 17. Był to pierwszy utwór, który odważał się puścić w świat dalszy, do Warszawy, i to nie dając jeszcze pozwolenia na druk, ale zapewne dla wybadania, jakie wrażenie zrobi na Odyńcu i kole jego znajomych literatów warszawskich. Była to rzecz charakterystyczna, że młody poeta występował, a przynajmniej gotów był wystąpić poraz pierwszy przed światem z utworem na temat ukraiński. Utwór jego, wysnuty z przędzy wrażeń i reminiscencyi, których mu dostarczyła *Marya* Malczewskiego i dumki Bohd. Zaleskiego, nie stawał jeszcze do zmierzenia się z poezyą Mickiewicza, tylko z poezyą tych, których łatwiej można było prześcignąć. Było w tem także świadome czy nieświadome zajęcie stanowiska prowincyonalnego, odmienne od tego, jakie zajął Mickiewicz. Pomimo, iż znacznie większą część swego życia dotychczas spędził w Wilnie, nie stawał Słowacki w szeregu litewskich poetów, ale na ukraińskiem skrzydle poezyi. Do tego skrzydła, prócz wyżej wskazanych względów, mogły go ciągnąć inne jeszcze rzeczy: wpływy sfery krzemienieckiej, która obok szkoły humańskiej, była kolebką polsko-ukraińskiej poezyi, która wydała Malczewskiego, Zaborowskiego, Padurrę, Gosławskiego a później Olizarowskiego; a także znajomość z ludową pieśnią ruską i zamiłowanie matki w tej pieśni [1]).

Niebawem ukazują się *Sonety* Mickiewicza i dostają się do Wilna. „Nie bardzo się tu ogólnie podobają", pisze pani Bécu do Odyńca [2]), nie przeszkadza to jednak, że Julek, korzystając z tego, że lekarze radzą o wzmocnieniu jego wątłego zdrowia, marzy o podróży do Krymu i zachwycony jest jej projektem, a następnie pisze sam sonety, które układem i tonem tak zbliżają się do Mickiewiczowskich, że matka coraz śmielej wychwala poezyę syna, powtarzając, iż jest „niepospolitym człowieczkiem". Ani poezya filarecka, ani poezya *Dziadów*, o ile wiemy, nie wywołała echa z młodzieńczej duszy Słowackiego, bo nie znajdowała tam nic pokrewnego;

---

[1]) Z Paryża 20 paźdz. 1831 pisał do matki: „Sowiński niejaki wydaje pieśni ukraińskie i polskie ludu, z tłómaczeniem francuskiem, w którem się na sentymentalną muzykę zamieniają. Kobietom tutejszym niezmiernie się „Hryć" podoba, także pieśń o Potockim, ale ja znajduję, że Mama ją lepiej ułożyła...".

[2]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 825.

dokazała tego poezya *Sonetów,* dzięki swoim tonom bajronicznym i obrazom przyrody.

Poezya Bajrona zalatywała Słowackiego już dawniej, ale nie znał jej jeszcze zbliska, ze źródła. Na dobre zaczął się uczyć po angielsku dopiero po ukończeniu uniwersytetu 1828, podczas półrocznego pobytu w Krzemieńcu, bo w całem Wilnie — jak utrzymywał — nie było nikogo, od kogoby się można było po angielsku nauczyć [1]). Ale że już przedtem czuł pociąg do jego poezyi i do samej postaci Bajrona, to rzecz pewna. Wiemy, że miał sposobność jeszcze w Wilnie zaznajomić się z życiem poety i musiało mu to sprawiać wielką przyjemność, gdy matka „czytając o pierwszych latach Bajrona, znajdowała wiele podobieństwa do Julka“ [2]). Można przypuszczać, że i Ludwika Śniadecka, starsza o kilka lat od poety synowica wielkiego Jana, w której się Słowacki kochał, odegrała pewną rolę w skierowaniu młodzieńca ku poezyi bajrońskiej, wiemy bowiem ze Wspomnień Odyńca, że była „na ton bajroniczny nastrojoną“ [3]). Miłość ku niej zostawała w ścisłym związku z nastrojem bajronicznym młodego poety. Dla swego horyzontu poetycznego potrzebował on takiej właśnie postaci, jak Ludka, a jej obojętność dla niego była tylko ostrogą dla jego ambicyi. Jak wielką rolę próżność grała w tej młodzieńczej miłości, świadczy o tem najlepiej jego późniejsza korespondencya z matką [4]).

Jeszcze przed opuszczeniem na zawsze Wilna i rozstaniem się na zawsze z Ludką, poznał Słowacki nowy poemat Mickiewicza: *Konrada Wallenroda.* „Julek i ja ciekawi jesteśmy poematu Mickiewicza — pisze p. Bécu do Odyńca 23 lutego 1828 — Julek prenumerował, a ja się cieszę, że będzie z portretem Mickiewicza“ [5]). Już w połowie następnego miesiąca był egzemplarz *Wallenroda* w rękach matki Słowackiego w Krzemieńcu. Rzucono się tu na niego chciwie, wynajdowano „między tysiącem piękności tyleż niepiękności“, zarzucano „brak delikatności czy smaku“. Zarzuty pochodziły głównie od Hersylii Bécu, która była już wtedy wujenką poety, żoną Teofila Januszewskiego. Pani Bécu nie wiedziała dobrze, co

---

[1]) Listy I, 20. „Profesor, dający ten język w uniwersytecie, tak dawał, że sami Anglicy nie poznaliby, jakim on mówił językiem“.

[2]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1156.

[3]) Wspomnienia z przeszłości 171.

[4]) Listy do matki. T. I, str. 112 i 144.

[5]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1273.

sądzić o nowym poemacie i rada była wiedzieć, co publiczność warszawska sądzi o nim, a w parę tygodni potem już wstydziła się tego, co przedtem napisała o *Wallenrodzie* i prosiła Odyńca o spalenie kartki, gdzie były sądy o tym poemacie [1]. Łatwo sobie wyobrazić, że z większą jeszcze chciwością rzucił się na poemat Słowacki, jako na utwór poety, którego uważał za głównego swego współzawodnika. Uwagi, które nakreślił ołówkiem na swoim egzemplarzu, są późniejszego o trzy lata pochodzenia, pozwalają jednak, przynajmniej po części, odtworzyć wrażenie, jakie powieść krzyżacka wywarła na nim przy pierwszem jej poznaniu. Wskazują one, jak szczegółowo analizował styl utworu, jak brał na wagę estetyczną każde niemal wyrażenie, jak wyszukiwał błędy gramatyczne; z drugiej strony świadczą, że poemat wielu ustępami, a w szczególności Powieścią Wajdeloty wielce mu zaimponował.

Jednym z godniejszych uwagi szczegółów tej krytyki ołówkowej jest to, co zanotował o charakterystyce *Wallenroda* w poemacie: „całe opisanie charakteru nie nowe". Słowacki, który wkrótce po ukazaniu się *Wallenroda* zaczął się uczyć po angielsku i już „we trzy miesiące dosyć rozumiał Byrona", bystro dostrzegł pewnego pokrewieństwa Konrada z bohaterami Bajrona, a więc pewnego naśladownictwa i ta słaba strona utworu współzawodnika mogła go ośmielać i zachęcać do zmierzenia się z nim w jakiejś podobnej romantycznej powieści. Z tej zachęty i z tego pragnienia: prześcignąć *Wallenroda* w duchu bajronicznym — wypłynął cały szereg postaci poetycznych Słowackiego: *Hugo, Mnich, Jan Bielecki, Arab* i *Żmija,* pisanych w ciągu dwóch lat, od 1829 do 1831.

Po ukończeniu uniwersytetu i półrocznym pobycie w Krzemieńcu, Słowacki, stosując się do życzeń matki pojechał do Warszawy, aby tam w jednem z biur (w komisyi skarbu) „robić karyerę cywilną". Pierwotnie zamiary matki były inne: „Matka moja exaltowana — pisał Słowacki w Pamiętniku — roiła sobie ciągle, że skoro ja ukończę nauki, to ze mną na wojaż pojedzie". Ale ta myśl nie uśmiechała się młodzieńcowi nastrojonemu bajronicznie, który pragnął jakiegoś wojażu podobnego do wędrówek Childe-Harolda, a nie spokojnej i powolnej podróży od miasta do miasta. „Myślałem o nim (wojażu) zawsze, jako o poetycznej pustyni, na którą sam jako poetyczna i ciemna osoba rzuconym będę... Wszystka zaś

[1]) Przewodnik nauk. i lit. 1898, str. 1275—76.

poetyczność znikała. skorom pomyślał, że mam podróżować z matką — byłbym wtenczas jak dobroduszna osoba. odprawiająca świętą pielgrzymkę. nic nadspodziewanego. nic dzikiego w mojem życiu"...[1]. Naturalnie młodzieniec, pozujący na Harolda lub Korsarza. wydawałby się śmiesznym sam sobie. podróżując pod opieką matki. Jej czułość i troskliwość. przy tym bajronicznym nastroju. były mu natrętne. „Matka wymagała odemnie ciągłej otwartości i zwierzania się... to być nie mogło... Wymagała tego odemnie wtenczas, kiedy się właśnie uczyłem wszystko w sobie zamykać i łzy pożerać w milczeniu. stąd ciągłe jej skargi i nudzący mnie płacz. i wychowany między kobietami pragnąłem jak najprędzej z rąk ich się wyrwać i być samotnym".

Szukanie karyery cywilnej w Warszawie dało mu sposobność wyrwania się z rąk matki i rozpoczęcia samodzielnego życia. Wabiła go przytem Warszawa. jako główne naówczas ognisko życia literackiego polskiego. główna arena ścierania się nowych prądów literackich z dawnemi. Ale te początki samodzielnego życia były ciężkie i przykre. Towarzyska Warszawa nie rozochociła nietowarzyskiego i zamkniętego w sobie z marzeniami o sławie młodzieńca. a praca biurowa, do której łatwo znalazł przystęp (była to bezpłatna applikacya. która dopiero po paru latach miała go doprowadzić do stałej, płatnej posady). ciężyła kajdanami na jego marzycielskiej duszy. „Przy zielonym stoliku komisyi skarbu większą część dnia przepędzałem. Pamiętam. że mnie wtenczas jakaś rozpacz ogarnęła... zdawało mi się, że jestem skazany aż do śmierci w tem biurze pracować". Co za kontrast był między świetnemi obrazami szczęścia, bogactwa i sławy. które snuł pod niskim sufitem studenckiego pokoiku w Wilnie. a tą szarą. powszednią. wśród martwych cyfr obracającą się pracą biuralisty.

Melancholiczne usposobienie wzmogła jeszcze uporczywa febra. która trapiła poetę przez całe lato 1829 r. i wyniszczała i bez tego wątłe jego siły fizyczne. „Okropne gorączki paliły mnie po każdym paroksyzmie. a wtenczas. leżąc twarzą na sofie. marzyłem o różnych poematach — i te marzenia były trudzące. Z rozpaczą chciałem je odpędzić i wracały zawsze, a krew bijąca w skronie coraz okropniejsze przynosiła mi obrazy". Miało to silny wpływ na gorączkowy koloryt jego poezyi ówczesnej. i sam poeta powiada, że jego powieść

---

[1] Listy I. 21.

Mnich była utworem jednej z takich gorączek, choć napisana dopiero w kilka miesięcy później. Można też powiedzieć, że ta gorączka witająca poetę u progu samodzielnego życia, była jakby symbolem, wróżbą tej gorączkowości, która cechowała całe niemal życie Słowackiego i poezyę.

Pierwszym poematem jego, który poeta uważał za godny puszczenia w świat, był *Hugo*, drukowany w *Meliteli* warszawskiej na r. 1830. *Hugo* był kombinacyą rozmaitych reminiscencyi z *Grażyny, Konrada Wallenroda* i poezyi bajrońskiej. Poza tą kombinacyą niema tu jeszcze nic własnego poety. To co Słowacki pisał o matce swojej w Pamiętniku: „Tworzyła sobie nieznacznie z tysiąca myśli przeczytanych i zapomnianych nową myśl" [1]) daje się dobrze zastosować do bardzo wielu jego utworów, a najbardziej zapewne do *Hugona*. Co jest jednak charakterystyczne, że do tej kombinacyi Słowacki wciągnął z Mickiewicza tylko szczegóły, któreby można nazwać dekoracyjnemi, ani trochę zaś pierwiastku patryotycznego, który tak żywo tętni w *Grażynie* i *Wallenrodzie*. Na licytacyę patryotyczną jeszcze był czas nie nadszedł. Jego bohaterka w *Hugonie* przebiera się w strój męski, jak Grażyna, i ginie, jak tamta, ale nie z pobudek patryotycznych; Hugo ściąga na siebie wyrok trybunału tajemnego, jak Wallenrod, ale dlatego tylko, że wykradł zakonnicę. Osią pomysłu *Hugona* jest sytuacya wzięta z Bajrońskiego *Lary*, którą szczególnie upodobała fantazya Słowackiego: kochanka w przebraniu pazia towarzysząca bohaterowi. Możnaby myśleć, że Słowacki w swoim poemacie chciał rozwiązać zagadkę *Lary*, przez Bajrona nierozjaśnioną. Ta sytuacya tak opanowała wyobraźnię Słowackiego, że wprowadził ją znów potem do *Lambra*, a co ważniejsza, że w kilka lat potem przychodziła mu chętka wprowadzić ją w życie. „W podróży mojej wschodniej — pisał do matki 3 października 1837, żałowałem trochę, że nie jestem dobrze złotem nadziany, bo mi przychodziła myśl romansowa: kupić na rynku kairskim ładną Abisynkę, przebrać ją za pazia i być nowym Larą, z nową Gulnarą, ale nie mogłem tego uczynić i dobrze się stało dla zbawienia duszy mojej... Wyznam ci jednak, że to było jedyne i istotne zachcenie na Wschodzie. Zdawało mi się nawet, żebym kochał szalenie tak nieszczęśliwą dziewczynkę, któraby nikogo oprócz mnie na ziemi nie miała" [2]).

[1]) Listy. T. I, 21.
[2]) Listy II, 75.

Słowacki tak był wrażliwy na krytykę, że swój poemat puszczał bezimiennie. *Hugo* wywołał parę głosów krytycznych, z których jeden był ogólnikowo zachęcający, drugi z lekceważeniem odzywał się o bezimiennym utworze. „Jakiś bezimienny umieścił w *Meliteli* powieść krzyżacką, wiernie przypominającą *Wallenroda* i nieoddzielną cechę naśladownictwa — niedołężność“ [1]). A więc spychano go ze szczebla, na którym chciał stanąć obok Mickiewicza.

Ogłaszając *Hugona,* Słowacki był już autorem tragedyi *Mindowe,* otwierającej długi szereg jego utworów dramatycznych. Wydając tę tragedyę w parę lat potem, w zbiorze swoich poezyi, traktował ją jako utwór dziecinny i tylko „dziecinnem“ przywiązaniem swojem do kilku scen pierwszego aktu i do całego aktu trzeciego tłómaczył jej ogłoszenie. Ale w r. 1830 innemi na ten utwór spoglądał oczyma i roił niewątpliwie, że postawienie jej na scenie mogłoby mu odrazu zdobyć blask sławy. Chodziło o aprobatę jakiejś wielkiej powagi, któraby tej tragedyi wstęp na deski teatralne ułatwiła lub przynajmniej dała zachętę do ogłoszenia drukiem. Taką powagą był Niemcewicz, do niego więc, do jego wiejskiej siedziby w Ursynowie, wybrał się pewnego razu Słowacki w towarzystwie jednego z młodych znajomych sędziwego poety, aby mu odczytać to, co uważał za najlepszy ustęp swojej tragedyi, t. j. akt trzeci. Ale i tu spotykał go zawód, jakkolwiek osłodzony pochwałami ze strony starego Niemcewicza. Weteran poeta przyznał Słowackiemu — według sprawozdania tego ostatniego — „wielki talent“, ale uważał, że tragedya nie może być graną i powinna czekać w rękopisie szczęśliwszych czasów.

Niebawem Słowackiego, który dzielił swój czas pomiędzy nudną pracę biurową a tworzenie ultra-bajronicznych poematów, zaskoczyło listopadowe powstanie. Ze wszystkiego można wnosić, że wybuch powstania był dla niego niespodzianką; przedewszystkiem tak sądzić należy z nastroju jego utworów poetycznych, które ten wybuch poprzedziły: nie było w nich nic patryotycznego. Ale zawrotny zapał, który w pierwszych dniach powstania ogarnął Warszawę i towarzyszące mu nadzieje złudne, rozgrzały fantazyę Słowackiego i zwróciły ją w kierunku patryotycznym. Odkrywała się przytem sposobność pozyskania wśród rozgorączkowanych tłumów wielkiego rozgłosu i niejako zastąpienia Mickiewicza, który był

---

[1]) Hösick: Życie Jul. Słowackiego. I, 338—339.

daleko i nie mógł pieśnią swoją przewodniczyć powstaniu. I oto zaraz w pierwszych dniach po wybuchu Słowacki pisze *Odę do wolności*, *Hymn do Bogarodzicy*, *Kulig* potem *Pieśń legionu litewskiego*. *Kulig* ma formę pożyczoną od Malczewskiego ze śpiewu masek w *Maryi*; w trzech innych pełno reminiscencyi Mickiewiczowskiej poezyi, mianowicie *Ody do młodości*, wiersza *Do Lelewela*, a potroszę i *Hymnu na Zwiastowanie*.

Te cztery grzmiące pobudki powstańcze, z których najbardziej efektowny *Hymn do Bogarodzicy* sprawiał najsilniejsze wrażenie, wyniosły Słowackiego nagle na szczyt jego marzeń, zrobiły go sławnym poetą. Ale wyżyna, na której się znalazł tak nagle i niespodziewanie, miała swoje niebezpieczeństwa, które bardzo prędko spostrzegł poeta. Temu, który tak mocno uderzał w dzwon wolności i tak głośno wołał: do broni! nie było do twarzy siedzieć z założonemi rękami, gdy wszystka młodzież śpieszyła na pole bitwy. Jego chwilowy zapał, w który go wprawiła gorączka pierwszych dni powstania, wystrzelił jak rakieta i zagasł, nie znajdując w duszy poety nic, coby go podsycać mogło. Zostały niczem niestłumione marzenia o sławie, został instynkt samozachowawczy i ten mu nakazał wyjechać z Warszawy za granicę, pomimo iż sam poeta czuł, że taki wyjazd, w takiej chwili, był niczem innem, jak ucieczką ze stanowiska.

Chcąc należycie ocenić szczerość późniejszych patryotycznych utworów Słowackiego, nie można zapominać o tej próbie jego patryotycznego zapału. Sytuacya jego była zupełnie inna, niż Mickiewicza. Mickiewicz był zdaleka od kraju, kiedy powstanie wybuchło, Mickiewicz nie rzucał pieśni wzywających do broni. Nie może też i to usprawiedliwiać Słowackiego, że matka trwożna o jego życie, pragnęła, aby syn trzymał się zdaleka od widowni wojennych wypadków. Sam poeta nie był pewny, czy skwapliwe spełnienie jej życzenia nie wywoła w głębi duszy tej romantycznie nastrojonej niewiasty jakiegoś niemiłego wrażenia. „Dopełniając woli kochanej Mamy, która aż nazbyt z moją chęcią zgadzała się — pisał z Wrocławia, pierwszego etapu swej podróży — wyjechałem za granicę i teraz z wielkim strachem oczekuję listu od kochanej Mamy, nie wiedząc, czy mój wyjazd podoba się Mamie, czy nie“ [1]). Przyznawał się tu i naiwnie i szczerze, że nie miał

[1]) Listy, I, 34.

wcale ochoty brać udziału w ruchu powstańczym, do którego innych tak gromko powoływał; ale już z Drezna, gdzie się spotkał z Odyńcem, przed którym musiał swój wyjazd z Warszawy tłómaczyć inaczej, wszystko zapewne zwalając na matkę — już z Drezna pisał: „Trzeba było iść do wojska, miałem aż nadto do tego chęci“ [1]. Tych to słów nieszczerość musiała wywołać jakieś ironiczne uwagi ze strony wuja, które mocno ubodły Słowackiego. „Kochany Teofilu — odpowiadał na nie — jeśli mi chcesz wiele zgryzot oszczędzić, niech w twoich listach nie przebija taka ironia, jak w ostatnim przypisku. Chciałem, nie mogłem być użytecznym“ ... [2].

Zanim nadeszły listy z domu, uspokajające jego sumienie narodowe, znalazł się inny sposób uspokojenia w tym względzie poety. Poruczono mu w Dreznie misyę kuryerską; pojechał z ważnemi depeszami do Londynu. Misya była mu bardzo na rękę; tym sposobem uprawniał niejako swój pobyt za granicą, pełnił niejako służbę narodową, a przytem mógł poznać największą stolicę europejską — bez kosztu. Doznał też w tej podróży rzadkiej przyjemności, która jego bajronicznemu nastrojowi szczególnie schlebiała. Oto ponieważ spóźnił się na parostatek pocztowy, który go miał z Calais zawieść do Dover, a sądził, że nie może czekać do dnia następnego, więc najął osobny statek dla swego przejazdu. Wiele to kosztowało, „ale za to — pisał — byłem panem okrętu i wszyscy byli na moje rozkazy“. Był więc jakby cieniem bajrońskiego korsarza i myślę, że to z tego cienia urodził się *Lambro*, do pisania którego zabrał się niebawem po spełnieniu misyi kuryerskiej, gdy na stałe osiadł w Paryżu.

---

[1]) Listy. I, 41.

[2]) Tamże, 45. Małecki (I, 206—207) za przyczynę nagłego wyjazdu z Warszawy podaje broszurę Lelewela *Nowosilcow w Wilnie,* która się ukazała w Warszawie na początku 1831 roku, a przedstawiała ojczyma poety, dr. Bécu — według wszelkiego prawdopodobieństwa niezasłużenie — jako donosiciela i zausznika Nowosilcowa. Że ta broszura mogła odegrać pewną rolę w sprawie wyjazdu, na to zgodzić się łatwo, ale żeby to miała być okoliczność, „która raczej zaszczyt sercu poety przynosi, aniżeli żeby miała ujmę czynić jego charakterowi“ (Małecki I, 43), tego uznać niepodobna. Obszerniej o tem mówię w *Szkicach literackich* (Serya I, 170—172).

ROZDZIAŁ II.

Początek zatargu z Mickiewiczem.

1832.

Wydanie dwu pierwszych tomów poezyi i przyjaźń z Michałem Skibickim. — Przelotna chwila powodzenia. — Oczekiwanie przyjazdu Mickiewicza, — Krytyka *Wallenroda*. — Przyjazd Mickiewicza. — Jego sąd o poezyi Słowackiego — Przedmowa Słowackiego do tragedyi *Mindowe*. — Jak Słowacki zrozumiał sąd Mickiewicza. — Ukazanie się trzeciej części *Dziadów*. — Co sądzić o wprowadzeniu doktora Bécu do *Dziadów*. — Część winy Odyńca. — Zaostrzenie się antagonizmu. — Poemat *Lambro* i jego stosunek do *Wallenroda*. — Zatknięcie bandery patryotycznej. — Przedmowa do *Lambra*. — *Godzina myśli;* prawda i zmyślenie w tym poemacie. — Odpowiedź Mickiewicza na wyzwanie.

Zbliżała się ważna chwila w życiu poety. Miał wydać dwa tomy swoich poezyi pisanych w ciągu trzech ostatnich lat, miał poraz pierwszy ukazać w całej pełni przed światem skarby swojej poezyi, o których wielkiej wartości był głęboko przekonany. Na optymistyczne usposobienie poety wiele się składało, najwięcej przyczynił się do tego przyjaciel, którego znalazł w osobie Michała Skibickiego. Ten blagier na wielką skalę, który potem jako oszust wsadzony został do więzienia, schlebiając próżności poety, równając go z Bajronem, umiał pozyskać przyjaźń Słowackiego, tak mało skłonnego wogóle do społecznych uczuć. Słowacki, póki się z nim nie zetknął, przez kilka pierwszych miesięcy w Paryżu, czuł się osamotnionym; potem było inaczej. „Życie moje teraz — pisał do matki — jest daleko rozmaitsze, a przyczyną tego jest Skibicki, który tu przyjechał z Ameryki, i z którym wzajemnie tak pokochaliśmy się, iż teraz wszędzie razem chodzimy“ [1]). Jemu poświęcił swoje powieści wschodnie, *Mnicha* i *Araba,* do niego napisał wiersz osobny, echo Mickiewiczowskiego wiersza *Do doktora S.* Skibicki miał się czem odwdzięczyć za te poetyckie zaszczyty: wprowadził nietowarzyskiego poetę do wyższego towarzystwa polskiego w Paryżu i robił mu wszędzie sławę wielkiego poety. W domu książąt Czartoryskich zaraz na pierwszej wizycie przy prezentacyi oświadczył, że „Polska, mając Słowackiego, nie będzie Anglii Bajrona zazdrościć“ [2]). Wśród emigracyi przytem znany był Słowacki jako autor pieśni rewolucyjnych, a o tem, jaki charakter miał jego wyjazd z Warszawy, bodaj czy kto wiedział. „200 Polaków publicznie uradziło —

---

[1]) Listy I, 81.
[2]) Tamże 84.

pisał w marcu 1832 — aby mi dać pierścień, jako poecie przeszłorocznych wypadków. Dotychczas nie dali mi go jeszcze, ale to jest bardzo korzystnem dla mnie, bo z niecierpliwością dzieł moich czekają“ [1]). Zdaje się, że ten pomysł, który zresztą nie doczekał się urzeczywistnienia, pochodził z głowy Skibickiego, jak również i starania o to, aby robić Słowackiemu rozgłos i wśród Francuzów. Do tych starań należało umieszczenie nazwiska poety, jeszcze przed wydaniem jego poezyi, w Słowniku biograficznym pisarzy współczesnych. „Dziś zobaczyłem u Pinnard regiestr ludzi sławnych, zawarty w biografii *Contemporins* (sic), z pod S litery taki porządek: Skrzynecki Jan, Słowacki Euzebiusz, Słowacki Juliusz, Smuglewicz Franciszek, Śniadecki Jan, Śniadecki Jędrzej, etc. Widzicie, że w dobrem jestem towarzystwie. Ucieszyło to mnie bardzo. Jest to najsławniejsza biografia; ciekawy jestem, co o mnie piszą, będę się starać dostać jej. To dziwniejsza, że ta biografia wyszła wprzód, nim zacząłem drukować moje poezye; a stąd nie wiem, z czego mnie tam sławnym zrobili“ [2]). Do tych starań należało i staranie o to, ażeby Lemaitre, jeden z francuskich poetów, wziął się do tłómaczenia *Mnicha* i *Araba*, właśnie tych utworów, które były poświęcone Skibickiemu. Były one potrzebne temu ostatniemu do artykułu o poezyach Słowackiego, który miał umieścić w *Revue Encyclopédique*.

Jednocześnie spodziewał się Słowacki być tłómaczonym i na język angielski. Przynajmniej tak pisał w pamiętniku, z którego wyjątki posyłał matce: „Sienkiewicz dowiedziawszy się, że ja wydaję teraz poezye, pisał do Błotnickiego z Anglii, każąc mi się kłaniać i prosząc, abym mu jak najprędzej poezye moje przysłał, bo je chce na język angielski tłómaczyć. Widzisz, kochana Matko, jak to ja będę zaraz w dwóch językach figurował. Sienkiewicz spodziewa się wziąć za to znaczne pieniądze i pewny jestem, że wszyscy moi tłómacze lepiej wyjdą niż ja“ [3]).

Wielkim tryumfem dla Słowackiego, przynajmniej o ile o tem z jego własnych słów wnosić można, był obchód rocznicy wybuchu powstania na Litwie, urządzony w Paryżu przez Polaków i Francuzów 25 marca 1832. „Zrana odebrałem list z wielu podpisami, między któremi znajdował się podpis Julliena starego, list, zaklina-

[1]) Listy I, 82.
[2]) Tamże, 99.
[3]) Tamże, 97.

jący mnie, abym na posiedzeniu literackiem czytał. Siadłem więc do roboty i w kilka godzin napisałem odę, w której umieściłem kilka myśli z różnych poematów. Przyszedł wieczór — ogromne zgromadzenie, mnóstwo dam polskich i francuskich, młodych i ładnych. Lafayette prezydował, wszyscy czytali po francusku... potem na końcu vice-prezes (Cezary Plater), obracając się do zgromadzenia, rzekł, że towarzystwo uprosiło największego z poetów polskich, aby po polsku deklamował, a stąd wzywa pana S., aby zasiadł miejsce. Pan S. nie zasiadł, lecz stojąc mówił... Cóż?... trudno opisać: rzucałem całem zgromadzeniem; potem rozłamałem wiersz ody i powiedziałem jednę śliczną historyczną powieść w trzydziestu wierszach, znów wróciłem do ody i zakończyłem myślą z *Lambra* wyjętą...

Ja będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce...

„Po skończeniu prezes ściskał mnie za rękę i gadałem z nim przez chwilę. Starzec interesujący. Francuzi mówili, iż z taką duszą deklamowałem, że wszystko zrozumieli prawie. Kiedy po skończeniu spojrzałem na tłum dam, obaczyłem oczy jednej ślicznej tak impertynencko zwrócone na mnie, że moje musiałem odwrócić, i znów spojrzałem i jeszcze to samo spojrzenie; żeby tak długo, tobym zwaryował“ [1]).

Ten samochwalczy ton, jeżeli z jednej strony nosi na sobie piętno bratania się z tak lichą figurą, jaką był Skibicki, z drugiej strony dowodzi, że poeta w najwyższym stopniu zadowolony był z początków swojej poetyckiej karyery i najświetniejszą widział przed sobą perspektywę. Czuł się też prawdziwie szczęśliwym, czuł, że mu teraz „lepiej na świecie, niż kiedykolwiek było“, a donosząc o swoich tryumfach rodzinie, pragnął do reszty zatrzeć to, co niemiłego mogło być dla niej w jego ukradkowym wyjeździe z Warszawy. „Matko kochana, widząc jak tu wiele teraz ludzi lubi mnie i kocha, i mogę powiedzieć uwielbia, nie wstydziłabyś się twego syna. Czuję to i to dumne uczucie sprawia mi przyjemność...“ [2]). Nie omieszkał też donieść matce, że nazajutrz po wyjściu dzieł Oleszczyński, „sławny sztycharz“, prosił go, aby mu portret swój zrobić pozwolił, a o powodzeniu *Żmii*, jednego z wydanych świeżo

[1]) Listy I, 93—94.
[2]) Tamże, 91.

poematów, którego układ wydawał się matce niedość dobrym, tak pisał: „Jeden z najsławniejszych naszych krytyków powiedział o mnie, przeczytawszy *Żmiję*, że cały naród ożył w pieśni, że tam, gdzie inni z murów cegiełki dobywali, ja całe mury wzniosłem. Cieszy mnie, że *Żmiję* wszyscy znajdują najlepszym, bo to jest mój ostatni poemat. Widać więc, że postępuję i kształcę się... Kniaziewicz chory ozdrowiał, przeczytawszy pieśń pierwszą i skoczył z łóżka do czytającego; a jenerał Umiński pytał się raz na wieczorze Skibickiego, jak po francusku sumak, bo chciał jechać do Jardin des Plantes, aby to źwierzę widzieć..." [1]).

Jeżeli nie tylko ostatnia wiadomość, ale i dwie pierwsze dotyczące *Żmii*, co rzecz prawdopodobna, pochodziły od Skibickiego, to wiarogodność wszystkich trzech jest bardzo podejrzaną, bo że Skibicki lubił zmyślać i nawet przyjaciela zaprawiał do tego, możemy tak wnioskować z następującego naiwnego wyznania poety. „Chodząc na spacer ze Skibickim, wymyślaliśmy różne bajki czyli kłamstwa wojażerskie, któremi będziemy bawić kiedyś naszych rodaków za przyjazdem do kraju" [2]).

Ale już wtedy, gdy Słowacki pisał tak o swojem powodzeniu, na horyzoncie jego świetnych nadziei i przyjemnych złudzeń zaczęły się, jak się zdaje, ukazywać ciemne punkty. Nie umiem sobie inaczej wytłómaczyć jego niezadowolenia z „ziomków", których coraz więcej przybywało do Paryża, jak tylko tem, że nie dawali się olśniewać jego świeżo objawioną światu poezyą. „Często wierszami robię (w listach do Zienkowicza) gryzące obrazy naszych tu ziomków... Nie uwierzycie, jakie zebranie głupców; zwłaszcza litewskie posły są nieporównani... i to mnie trochę zaczyna zrażać od Litwy, którą dotąd bardzo kochałem" [3]). Skibicki namawiał go nawet, aby „napisał poemat drwiący o luminarzach naszych", ale Słowacki nie chciał sobie robić nieprzyjaciół [4]).

Mickiewicz jeszcze nie był wtedy w Paryżu, ale już dochodziły wieści, że ma przyjechać. „Mickiewicz przyjeżdża — zapisał Słowacki w swoim pamiętniku pod datą 22 lipca 1832 — już jest w Chalons... mówił mi Podczaszyński, że Bohdan Zaleski przyjeżdża także... Więc Parnas Polski będzie w Paryżu, jeżeli nazbyt

[1]) Listy I, 112.
[2]) Tamże 115.
[3]) Tamże 115.
[4]) Tamże 117.

huczny, to ja z niego ucieknę" [1]. Łatwo zrozumieć, dlaczego z niepokojem oczekiwał tego przyjazdu Słowacki. Nazwany na publicznem zgromadzeniu największym z poetów polskich, przez Skibickiego utrzymywany w tem przekonaniu, że poezya jego dorównywa bajrońskiej, miał teraz stanąć obok człowieka, któremu dotychczas głos powszechny przyznawał pierwszeństwo na Parnasie polskim, ba, któremu i on sam nie mógł tego pierwszeństwa odmówić. Tak było dotychczas, dopóki on, Słowacki, nie wydał dwóch tomów swej poezyi. Ale teraz jak będzie? Czy głos Cezarego Platera i Michała Skibickiego stanie się głosem powszechnym? Czy też sława przybywającego Mickiewicza zaćmi jego tryumfy? I co też sam Mickiewicz powie o jego poezyi?

Wtedy to zapewne, wśród tych niepokojących myśli, pokreślił Słowacki swój egzemplarz *Wallenroda* rozmaitemi uwagami i znakami, śladami niezmiernie szczegółowej analizy [2]. Cóż go do tej analizy w kilka lat po ukazaniu się *Wallenroda* ciągnęło? Oto chęć dokładnego zdania sobie sprawy, jaką jest wartość poetycka największego i najgłośniejszego utworu przeciwnika, którego miał prześcignąć. Wielu ustępom nie mógł zaprzeczyć piękności, n. p. całej „Uczcie" z pieśnią i powieścią Wajdeloty, ale gdzie tylko najdrobniejszą skazę spostrzegał, tam kreślił odpowiednią uwagę [3]. Najwięcej słabych stron odkrywał w charakterystyce Wallenroda; w jednem miejscu dopisał przy niej: „całe opisanie charakteru nie nowe", w innem, gdzie już Konrad występuje jako mistrz wielki, zrobił uwagę: „Niema poezyi, dlatego *Wallenrod* przetłómaczony po

---

[1]) Listy I, 117.

[2]) Że te uwagi mogą pochodzić najwcześniej z roku 1831, zauważył to już Chmielowski w *Tygodniku Illustr.* 1893. Nr. 27 w artykule: „Co sądził Słowacki o *Konradzie Wallenrodzie*". Przypuszczenie opiera się na tem, że w uwagach jest mowa o przekładzie francuskim *Wallenroda*, z którym Słowacki mógł zaznajomić się dopiero po przyjeździe do Paryża z Londynu.

[3]) Nie wszystko to, co uważał za skazę, było nią wistocie; nie wszystko nawet to, w czem mu słuszność przyznali niektórzy krytycy. N. p. przy wierszach „Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie — Chcące z głębiny ziemnej coś wydostać" napisał Słowacki uwagę: „Jeżeli brwi podniesione, to nie z głębiny ziemnej będzie dostawał". Chmielowski w cytowanym artykule nazywa to „słusznym zarzutem", zanim Hösick (I 224), a przecież niesłuszność tej uwagi jest widoczna. „Brwi podniesione", wyraz natężenia myśli, mogą się doskonale pogodzić z „pochyłem wejrzeniem", nie do brwi zaś, tylko do wejrzenia odnosi się wiersz następny: „Chcące z głębiny ziemnej coś wydostać".

francusku stał się nudną powieścią". Musiał się wtedy cieszyć myślą, że jego powieści *Mnich* i *Arab*, które miano tłómaczyć na język francuski, nie stracą na przekładzie. Z tych uwag widać także, że Słowacki dostrzegał bajroniczności w charakterze Wallenroda, ale ta bajroniczność nie czyniła zadość jego silnie i jednostronnie napiętemu bajronizmowi, nie imponowała mu, wydawała mu się za „pospolitą"; i oto na czem mogły polegać jego nadzieje przewyższenia groźnego współzawodnika.

Z pomiędzy innych uwag Słowackiego, nakreślonych przy tekście *Wallenroda*, niepodobna pominąć jeszcze jednej, niezmiernie charakterystycznej dla ówczesnej sytuacyi Słowackiego i dla jego antyspołecznego usposobienia w przeciwstawieniu do nastroju Mickiewicza. Mianowicie przy dobrze znanym dwuwierszu Wallenroda: „Szczęśliwa przyjaźń, świętym jest na ziemi — kto umiał przyjaźń zawrzeć ze świętemi", Słowacki dopisał uwagę: „dziwna myśl". Uderzyła go, nie wydała mu się jak wiele innych, pospolitą, ale stawał przed nią, jak przed sfinksem, nie rozumiał jej znaczenia, a przedewszystkiem nie domyślał się, ile w niej mógł znaleźć nauki dla siebie. Nie wątpię, że Mickiewicz, stawiąc ten dwuwiersz, miał na myśli Zana, swój stosunek do niego [1]), że Zanowi przypisywał wpływ na rozniecenie tego, co było „świętem" w jego poezyi: promienistego idealizmu i patryotycznego ognia, ale gdyby nawet nie miał przy pisaniu dwuwiersza tej świadomości, to i w takim razie dwuwiersz byłby odzwierciedleniem ich stosunku. Otóż czem był Zan dla Mickiewicza w pewnym okresie jego życia, (On był i duszy jego kierownikiem — on był i serca jego spowiednikiem), tem był, niestety! dla Słowackiego w czasie wydawania pierwszych dwóch tomów poezyi i pisania *Lambra* — Michał Skibicki. Wpływ takiego przyjaciela podsycać mógł tylko w Słowackim ujemne strony jego charakteru: egoizm, próżność, chełpliwość i wysokie rozumienie o sobie.

Nareszcie Mickiewicz przyjechał do Paryża, co zaraz pod dniem 31 lipca zanotował Słowacki w dzienniczku, matce przesłanym w liście, dodając: „nie pójdę pierwszy do niego; jeżeli się zechce poznać ze mną, to dobrze..." [2]). Słowacki był o dziesięć lat młodszy od Mickiewicza, jeszcze na ławie szkolnej siedział, gdy

[1]) Porówn. to, co podałem w uwagach do *Dudarza*. Dzieła Adama Mickiewicza wyd. Tow. im. Ad. Mick. Lwów, 1896. T. I, str. 268—269.

[2]) Listy I, 125.

Mickiewicz miał sławę poety, a mimo to sądził, że ubliżałoby to jego godności, nadawałoby mu cechę wasalstwa, gdyby pierwszy złożył wizytę Mickiewiczowi. Niebawem jednak spotkali się w Paryżu, a spotkanie to tak opisał Słowacki: „Żaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania się kroku, a było kilka osób, którym mówił (Mickiewicz), że mnie chciałby widzieć; starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać... Dziś zeszliśmy się na wielkim obiedzie... Mickiewicz improwizował, ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa. Mówił mi, że mnie znał dzieckiem .. przypominałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim. Śmiał się z przypomnienia, potem przypomniał mi, że mu Malewski moje wiersze za granicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę, jeden z Polaków, stojący za mną, podchmielony zapewne, powtarzał jak echo: „nadto jesteś skromny“ i temi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę“ [1]).

Czy Słowacki, podając głos owego „podchmielonego zapewne“ Polaka, chciał rodzinie pokazać, że nie sam Cezary Plater uważał go za największego z poetów polskich? Może, ale to pewna, że ów głos wygląda bardzo ironicznie, i daje do myślenia, że już wówczas Słowacki wydawał się emigracyi zarozumiałym i że już wówczas nie podobały się jej pretensye jego do pierwszeństwa.

Ze wszystkich sądów, jakie mógł usłyszeć Słowacki o swoich poezyach, najważniejszym był dla niego — rzecz naturalna — sąd Mickiewicza. Za sąd istotny nie mógł uważać grzecznych słów, które Mickiewicz wymieniał przy pierwszem z nim spotkaniu za „komplementa“, otrzymane od niego. Wiedział, że takie grzeczności nie odźwierciedlają prawdziwego sądu; wszak i jego przyznanie pierwszeństwa Mickiewiczowi nie było szczerem, przynajmniej nie było szczerem w tem znaczeniu, że Mickiewicz przewyższa go geniuszem poetyckim. Otóż o ten sąd istotny Mickiewicza o jego poezyach bardzo mu chodziło i niebawem miał możność dowiedzieć się coś o tem. „Jeden z Polaków — czytamy w pamiętniku Słowackiego, przesyłanym matce, pod datą 12 sierpnia — mówił mi zdanie, jakie dał Mickiewicz o moich dwu tomikach: powiedział, że moja

[1]) Listy I, 129.

poezya jest śliczna, że jest to gmach piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga niema... Prawda, że śliczne i poetyczne zdanie? podobne do jego sonetu pod tytułem *Rezygnacya*..."

Ten sąd Mickiewicza jest nadzwyczaj ważnym momentem w tragedyi życia Słowackiego i jego monomachii z Mickiewiczem. Zarysowywał on wyraźnie stanowisko obu poetów, obdarzonych geniuszem poetyckim i stojących na czele poezyi polskiej. Ale naprzód co znaczył? a powtóre, jak go Słowacki zrozumiał?

Mickiewicz do przyjazdu swego do Paryża nic z poezyi Słowackiego nie znał, oprócz tych wierszy, które mu Malewski za granicę przesłał. Najpewniej był to *Hugo*, umieszczony bezimiennie w *Meliteli*. W Dreźnie, spotkawszy się z Odyńcem już w r. 1832, mógł wiele od niego słyszeć o późniejszych poezyach Słowackiego, o ile te były Odyńcowi znane, ale własnego jeszcze sądu o nich mieć nie mógł. Przyjechawszy do Paryża, zastawał dwa tomy tych poezyi, jako nowość księgarską, bardzo dla siebie interesującą i zaraz też zabrał się do ich poznania. W tych tomach, oprócz już dawniej ogłoszonego *Hugona*, znajdował cały szereg nowych, nieznanych sobie utworów: kilka powieści poetyckich, *Mnicha, Araba, Jana Bieleckiego* i *Żmiję* i dwie tragedye: *Mindowę* i *Maryę Stuart*. Przedewszystkiem musiał zauważyć nadzwyczajną świetność i wykwintność stylu, płynność i łatwość wiersza, wogóle bogactwo i wdzięk draperyi poetyckiej. Następnie musiał go uderzyć we wszystkich tych utworach, od pierwszego do ostatniego, ultra-bajroniczny kierunek, mianowicie chęć przelicytowania Bajrona w pessymiźmie, chęć, która szczególnie rażąco występowała w *Mnichu* i w *Arabie*. Dalej musiał spostrzedz wiele naśladowania swojej własnej poezyi, a także Zaleskiego, Malczewskiego, Goszczyńskiego. Gdyby mu to spostrzeżenie samo się nie nawinęło, to musiała mu je nasunąć przedmowa Słowackiego, poprzedzająca tragedyę *Mindowe* i *Maryę Stuart*.

Przedmowa ta jest bardzo godną uwagi ze względu na światło, jakie rzuca na ówczesny stosunek Słowackiego do Mickiewicza i ze względu na wrażenie, jakie mogła wywrzeć na Mickiewiczu. Zadaniem przedmowy było uprzedzić rozmaite zarzuty krytyków, w szczególności zaś zarzut naśladowania Mickiewicza, a przy tej sposobności chciał Słowacki ubocznie obniżyć znaczenie *Wallenroda*. Oto co w niej czytamy:

„Jeden z literatów, który dawniej przebiegał sceny *Mindowy*,

uczynił mi zarzut, że scena, gdzie Mindowe porównywa Litwę z krajem Krzyżaków, a bogactwa swoje z bogactwem zakonu, jest naśladowaniem mowy Litawora w ślicznej *Grażynie* Mickiewicza. Pisząc tę scenę, miałem przed oczyma kilka miejsc z historyi Karamzina, gdzie nieraz z upodobaniem czytałem o dawnem ubóstwie królów i kniaziów... Takie homeryczne ubóstwo królów ówczesnych podało mi myśl wzmiankowanej sceny i aby ją uczynić zupełnie oryginalną, dosyć było kilka ostatnich wierszy o zamku przemazać, dosyć było wyrzucić wiersz: „Nie dbam ja o bogactwa, o złoto nie stoję", i ten drugi: „A tu patrz Lutuwerze, jak posępne gmachy". Wolałem przecież scenę nietkniętą pozostawić i wyznać, że bez upokorzenia dług myśli względem największego z naszych poetów zaciągam".

W ustępie tym *Grażyna* nazwana jest „śliczną", Mickiewicz „największym z naszych poetów". Słowacki szedł więc za głosem ogółu i zdawałoby się, że stawał w szeregu wielbicieli Mickiewicza. Ale byłoż to wyznanie i uznanie szczere? Dlaczego z uwagi prywatnej „jednego z literatów" robił sprawę publiczną? Czy naprawdę sądził, że tylko w tym jednym, bez większego znaczenia, ustępie zapożyczał się z poezyi Mickiewicza, nie mówiąc o innych poetach? Otóż to, co dalej następuje w przedmowie zdaje się świadczyć, że całe przyznanie się do jednego, może wyraźniejszego, ale niewątpliwie mniej ważnego od wielu innych długu, służyło tylko za sposobność do obniżenia oryginalności najsławniejszego, najznakomitszego z dotychczasowych utworów Mickiewicza, *Wallenroda,* który przedewszystkiem chciał w swojej poezyi prześcignąć. Tak bowiem pisał dalej:

„Dzisiejsi poeci muszą również jak dawniejsi w myślach spotykać się, a nawet częściej, bo malują wiernie naturę i serce człowieka, ta różnica tylko zachodzi, żo dawniejsi naśladować chcieli i starali się, gdy drudzy przypadkowie naśladują, ile razy tego uniknąć nie mogą. I gdybyśmy każde dzieło geniuszu rozbierać chcieli, czyż trudnem byłoby powiedzieć, że Wallenrod sam jest szpiegiem Coopera, że opisanie charakteru Wallenroda jest opisaniem charakteru Lary lub Korsarza, z tą różnicą, że Korsarz w napojach gorących ulgi nie szukał; że nareszcie, przystępując do drobniejszych szczegółów, krzyk Aldony umierającej w *Wallenrodzie,* jest krzykiem ostatnim i przeraźliwym Pariziny, a jednak pewny jestem, że autor zbliżenia obrazów nigdy nie dostrzegł i takie przy-

stosowania. również jak błędy przez drukarzów popełniane. prędzej w oko czytelnika, niż w oko autora wpadać mogą“.

Nie chcę zastanawiać się nad tem, o ile trafnemi lub nietrafnemi były wskazówki naśladownictwa w *Wallenrodzie*, podane przez Słowackiego, chodzi mi tylko o to, ażeby pokazać, jak Słowacki, ciągle zajęty przymierzaniem swojej poezyi do poezyi Mickiewicza, przy pozornem ustępowaniu pierwszeństwa tej ostatniej starał się obniżyć jej znaczenie, i jak Mickiewicz, gdyby nawet nie był skłonny do zwracania uwagi na naśladowniczość Słowackiego, musiał na nią zwrócić uwagę, po przeczytaniu tej wyzywającej przedmowy.

Cóż więc mogło znaczyć w ustach Mickiewicza porównanie poezyi Słowackiego z pięknym kościołem, w którym Boga niema. Znaczyło niewątpliwie z jednej strony uznanie dla strony zewnętrznej poematu, dla dźwięczności wiersza i języka, dla malowniczości słowa, z drugiej — brak wszelkich ideałów religijnych i społecznych, a natomiast gonienie za efektem i stąd strojenie się w najjaskrawsze szaty bajronizmu. Pamiętajmy, że Mickiewicz wypowiadał to zdanie o Słowackim już jako twórca trzeciej części *Dziadów*, jako ten, który duchowi pokory chrześcijańskiej dał stanowcze zwycięstwo nad duchem pychy bajrońskiej. W poezyi Słowackiego znajdował apoteozę tej pychy, a ta apoteoza tem więcej go mogła razić, im mniej szczerości uczucia i oryginalności w pomysłach znajdował u Słowackiego.

Czy Słowacki odrazu zrozumiał sąd Mickiewicza o jego poezyi, skrystalizowany w jednem porównaniu? Nie, nie zrozumiał odrazu, bo nie znał jeszcze nowego zwrotu, który zaszedł w duszy Mickiewicza, nie znał jeszcze ani *Ksiąg pielgrzymstwa*, ani trzeciej części *Dziadów*. Był mocno uderzony tem porównaniem, ale szukając komentarza do niego w dotychczasowej, bajronicznie nastrojonej poezyi Mickiewicza, wytłómaczył je jak najkorzystniej dla siebie. Wiemy już, że nazwał je „ślicznem i poetycznem zdaniem, podobnem do sonetu p. t. *Rezygnacya*“. W tym sonecie, pisanym jeszcze w czasach nastroju bajronicznego, Mickiewicz porównywał serce swoje do dawnej świątyni „Spustoszałej niepogód i czasów koleją — Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją“. Otóż podobną świątynią — rozumiał Słowacki — miała być i poezya jego według nowego porównania Mickiewicza. Brak bóstwa w niej w tem rozumieniu nie był czemś ujemnem, ale tylko znakiem ducha czasu, cechą bajronicznego jej nastroju. Wszakże i Wallenrod mówi o sobie:

Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie.
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.

Jakkolwiek Słowacki nie zdawał sobie jeszcze sprawy z dokładnego znaczenia słów Mickiewicza o kościele bez Boga, to jednak niechętnie był dla niego usposobiony, a spotykając się z nim w towarzystwie emigracyjnem, w jego słowach, w jego obejściu, w jego stroju nawet znajdował coś, co go odpychało od niego. „Nie możecie sobie wyobrazić — pisał do rodziny w październ. 1832 — jak po liderlichowsku (Mickiewicz) wygląda z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym“; a w miesiąc potem (9 list.), mówiąc, że jeszcze nie zna trzeciej części *Dziadów*, która wychodziła wtedy właśnie na świat, tak pisał o nim: „Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religię na plac wyprowadza, uniewinnia papieża, nawet bullę, słowem, że mi się jako obecnie żyjący człowiek nie podoba“ [1]).

Niebawem dostał Słowacki do rąk trzecią część *Dziadów* i z niej dopiero mógł wyrozumieć, co znaczyło porównanie jego poezyi do kościoła bez Boga. Znalazł on tam coś gorszego, coś bardziej przygnębiającego dla siebie, znalazł swego ojczyma, dr. Bécu, w roli prześladowcy i denuncyanta Filaretów. Łatwo sobie wyobrazić jego zdziwienie, przerażenie i oburzenie, łatwo zrozumieć, jak dotychczasowa niechęć jego dla Mickiewicza zamieniła się w głęboką nienawiść. Wprawdzie ojczym nie był nazwany imiennie, ale scharakteryzowany tak wyjątkowemi rysami, że nikt nie mógł wątpić, kogo Mickiewicz pod nazwą doktora przedstawiał. Położenie Słowackiego w Paryżu, niedawno jeszcze, przed przybyciem Mickiewicza, tak świetne i tyle rokujące, stawało się teraz, po ukazaniu się trzeciej części *Dziadów*, nieznośnem. Nowy poemat nietylko przyćmiewał jego świeżo ogłoszoną poezyę a nowym blaskiem zdobił skroń przeciwnika, ale najboleśniej dotykał Słowackiego, wyciskając piętno hańby na jego ojczymie. Słowacki pod pierwszem wrażeniem chciał podobno wyzwać Mickiewicza na pojedynek — tak przynajmniej donosił matce w rok potem — ale odradził mu tego kroku Skibicki. Ale zostawać dłużej w Paryżu i mieć na siebie zwrócone oczy wszystkich, nie mógł i to była główna przyczyna, dla której wyjechał z Paryża do Genewy [2]).

[1]) Listy I, 140 i 148.

[2]) W rok potem, kiedy poraz pierwszy pisał otwarcie o tej sprawie do matki, przyznawał się do tego. Listy I, 214.

Co mamy sądzić o wprowadzeniu doktora Bécu do *Dziadów* w tak haniebnej roli, jaką on tam odgrywa? Że pomysł jest rażący, że Mickiewicz w najboleśniejszy sposób obrażał uczucia rodzinne ludzi, z którymi go wiązały stosunki towarzyskie, przedewszystkiem panią Bécu, dla której jeszcze przed odjazdem w imionniku wiersz napisał — na to powszechna zgoda. Do tego należałoby jeszcze dodać, że scena, w której występuje doktór w rozmowie z senatorem, Pelikanem i księdzem, razi nas pewną przesadą, pewną karykaturalnością realizmu. Nasuwa się pytanie, czy ta scena była konieczna, czy poemat nie mógł się obejść bez niej bardzo dobrze a jeśli tak, to co pobudziło Mickiewicza do jej wprowadzenia? Byłaż w tem jakakolwiek chęć dokuczenia Słowackiemu, jako swemu współzawodnikowi, albo zemszczenia się na nieboszczyku doktorze za jego stanowisko nieprzychylne dla młodzieży filareckiej?

Do podobnych podejrzeń, tak ubliżających Mickiewiczowi, nic nas nie upoważnia, zwłaszcza że trzecia część *Dziadów* pisana była jeszcze przed wyjściem na świat poezyi Słowackiego. Jeśli zaś rozpatrzymy się uważnie w poemacie, to przekonamy się, że postać doktora, podobnie jak i Bajkowa, wiąże się ściśle z głównym pomysłem poematu, że stanowią one jakby pomost, jakby ogniwo pomiędzy historycznem, realnem tłem wypadków a mistycznym światem, który się nad tem tłem unosi. Wprawdzie, gdyby chodziło tylko o historyę uczuć Konrada, to poemat mógłby się był już na trzeciej scenie zakończyć, na słowach chórów anielskich, które głoszą „pokój grzesznemu sierocie“, i wszystkie dalsze sceny, a między niemi i ta, gdzie doktór występuje, byłyby zbytecznemi. Ale Mickiewiczowi chodziło o coś więcej, jak o sam przełom w duszy Konrada, chodziło mu o szerokie przedstawienie prześladowania Filaretów i to w świetle mistycznem i w ramach przypominających dawniejsze części *Dziadów*.

Że taki był zamiar poety, świadczy o tem przedmowa do poematu, w której Mickiewicz kładzie nacisk na to, że „w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego“. „Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana, naczelnika młodzieży, religijna rezygnacya, braterska zgoda i miłość młodych więźniów, kara boża sięgająca widomie prześladowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń; a opisane, zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów“. Otóż nic tak nie nadawało

cudowności przedstawianym przez poetę wypadkom, jak nagła śmierć od pioruna profesora Bécu, oskarżonego wśród młodzieży o konszachty z Nowosilcowem, i Mickiewicz, nastrojony mistycznie i pragnący wykazać mistyczny charakter wileńskich wypadków, gdyby odrzucił tę śmierć i jej mistyczne powody, byłby się pozbawił najbardziej mistycznego motywu, jaki mu ówczesne wypadki nastręczały.

Taką była niewątpliwie pobudka, której ulegał Mickiewicz, wprowadzając postać doktora do *Dziadów*. Czy mu nie przychodziło na myśl, że mógł się mylić w sądzie o profesorze Bécu? Czy nie zastanawiał się nad tem, jak boleśnie zrani serce pani Bécu i jej syna? Co się tyczy pierwszego pytania, to nie można wątpić, że poeta głęboko wierzył, iż profesor Bécu był takim, jakim on go przedstawił w *Dziadach;* najlepiej świadczy o tem ton głębokiego przekonania, z jakim powiada w przedmowie, że „kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osób działających skreślił sumiennie, nic nie dodając i nigdzie nie przesadzając“. Co się tyczy drugiej kwestyi, to można przypuszczać, że brak wszelkiej względności w Mickiewiczu dla pani Bécu i jej syna był następstwem tej ścisłej zażyłości i przyjaźni, jaka wiązała matkę Słowackiego z Pelikanem, prawą ręką i głównem narzędziem Nowosilcowa i to już w czasach potilareckich. O tych stosunkach, o opiece, jaką roztaczał Pelikan nad panią Bécu, która nie była w takiem położeniu, aby tej opieki potrzebowała koniecznie, o tem, że Pelikana obrano na ojca chrzestnego dla Julka, który nawet za jedno z imion chrzestnych wziął imię Wacław, jakby na cześć swego ojca chrzestnego, o tem wszystkiem musiał dobrze wiedzieć Mickiewicz od Odyńca, przed którym naiwna pani Bécu ze wszystkiem się zwierzała w listach.

Że sam Słowacki w nadaniu wiadomej roli doktorowi Bécu w *Dziadach* upatrywał znaczną część winy Odyńca, można tak wnioskować z pewnego ustępu jego listu do matki (z kwietnia 1833 r.). Rzuciwszy na Odyńca, pod wpływem silnego rozgoryczenia, podejrzenie, że zatrzymuje przy sobie pieniądze, ze sprzedaży jego, Słowackiego, poezyi i że „zapewne wesele Odyńca opędziło się niemi“, pisał dalej: „Mniejsza o to... ma on na sumieniu bardziej ciężką winę... i dziwię się, że do ciebie, Matko, śmie pisać... Brakowałoby Ci jeszcze listu Mickiewicza“ [1]). Łącząc w ten sposób Odyńca z Mi-

---

[1]) Listy I, 184.

ckiewiczem, miał widocznie na myśli ustępy trzeciej części *Dziadów,* obrażające uczucia rodzinne pani Bécu. Dlaczego zaś czynił Odyńca współwinnym? Możnaby myśleć, że w obrazie balu senatorskiego znajdował coś takiego, co według jego przekonania tylko za pośrednictwem Odyńca mogło się dostać pod pióro Mickiewicza.

Bądź co bądź antagonizm Słowackiego do Mickiewicza, który dotychczas polegał przedewszystkiem na chęci prześcignięcia najsławniejszego ze współzawodników, zaostrzał się teraz do najgłębszej nienawiści, do której też Słowacki otwarcie przyznawał się przed matką, kiedy już dowiedział się, że i matka wie o wszystkiem [1]). Powodów do nienawiści było teraz tem więcej, że teraz dopiero, jak już wspomniałem, zrozumiał Słowacki, co znaczyło wyrażenie Mickiewicza „wzniosły kościół, ale w kościele Boga niema", określające poezyę Słowackiego. Teraz dopiero po odczytaniu *Ksiąg pielgrzymstwa,* a jeszcze więcej trzeciej części *Dziadów,* otworzyły mu się oczy na różnicę, jaka dzieliła jego stanowisko poetyckie od nowego stanowiska, które zajął Mickiewicz w tych utworach. On, Słowacki, cały zanurzony był w bajronizmie, cała jego poezya nasiąkła była bajrońskim pessymizmem, bajrońską dumą i pogardą dla ludzi, kiedy Mickiewicz otrząsał się z bajronizmu, i ponad dumę, ironię i wątpienie, wynosił wiarę i pokorę. A więc określenie Mickiewicza nie mogło się teraz wydawać Słowackiemu tylko „ślicznem i poetycznem zdaniem", przeciwnie ujrzał w tem zarzut dla siebie, godzący w kierunek swej poezyi, i wskazówkę nowej drogi dla niej.

W chwili gdy sąd Mickiewicza wskutek przeczytania nowej części *Dziadów* stawał się przezroczystym dla Słowackiego, ten ostatni był już autorem *Lambra.* Do żadnego z poprzednich ani późniejszych poematów Słowackiego ten sąd nie stosował się tak dobrze, jak właśnie do *Lambra,* bo nigdzie dotąd, trochę pożyczany, trochę własny pessymizm Słowackiego nie oblekał się w tak piękną formę, jak w tym poemacie. Do *Lambra* domieszał poeta trochę własnych wrażeń, odniesionych w krótkiej podróży morskiej, w której był panem najętego wyłącznie dla siebie statku, [2]) ale jeśli *Lambro* był

[1]) Listy I, 214.

[2]) Ślady tych wrażeń można znaleźć szczególnie na początku pieśni drugiej *Lambra:*

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemnieje i t. d.

poniekąd owocem podróży morskiej Słowackiego, to jednak więcej jeszcze był owocem trawiącej chęci prześcignięcia Mickiewicza i stworzenia postaci w duchu bajronicznym, którąby przyćmiła *Wallenroda*. Wiemy już, że ta chęć prześwieca z jego dawniejszych utworów, że Hugo, Bielecki, Żmija byli *sui generis* Wallenrodami na tle pełnej efektownych świecideł dekoracyi. Ale w miarę dojrzewania Słowacki zapewne coraz wyraźniej dostrzegał, że żaden z tych dawniejszych bohaterów, pomimo nagromadzenia efektów, nie może się mierzyć siłą wrażenia z *Wallenrodem*, i oto *Lambro* teraz miał spełnić zadanie, którego nie zdołali spełnić jego poprzednicy, miał stanąć do walki z *Wallenrodem* i przewyższyć go blaskiem swojej poezyi, przelicytować nastrojem bajronicznym.

Ani Hugo, ani Bielecki, ani Żmija nie mieli nic wspólnego z ideą patryotyzmu, która stanowi duszę Wallenroda; ich podobieństwo z tym bohaterem było przeważnie zewnętrzne i dekoracyjne; Lambro był bliższym Wallenrodowi z tego względu, że występował jako obrońca sprawy greckiej. Lambro, jak wiadomo, jest postacią historyczną. Słowacki w przypisach Bajrona do *Narzeczonej z Abydos* znalazł wiadomość, że Lambro i Riga byli najsławniejszymi rewolucyonistami w greckiej walce z Turkami o niepodległość, znalazł też w poezyach Bajrona przekład śpiewu wojennego Rigi: „Powstańcie dzieci Greków“ i to zapewne zwróciło jego uwagę na te dwie postaci, gdy potrzebował nowego tematu dla swej poezyi. Z Rigą mógł się sam porównywać, jako także twórca hymnów powstańczych; w Lambra chciał włożyć duszę nowożytnego człowieka, t. j. kwintesencyę bajronizmu, jak ją sam pojmował.

Moralną wartość Lambra dostatecznie oświetlił Małecki w swojem studyum; tu chodzi o stosunek Lambra do Wallenroda. Zapewne Słowacki nie zdawał sobie sprawy z tego, ile jest analogii pomiędzy jednym a drugim poematem, ale analogia jest widoczna, a źródłem jej, jak można przypuszczać, było to, że jego wyobraźnia ciągle była zajęta poematem, który chciała prześcignąć. A więc Lambro jest mścicielem krzywd swego narodu, podobnie jak Wallenrod, i podobnie jak on szuka pociechy w napoju; w jego rozmowach z Idą odzywają się echa rozmów Konrada z Aldoną. Ida, jak Aldona, ma „zamknąć się w cichej celi“ i Lambro sądzi, że „klasztorna krata już go na wieki rozdzieliła z Idą“; a co najwięcej zbliża utwór Słowackiego do utworu Mickiewicza, to wstawienie *Powieści Greka* w środek pierwszej pieśni *Lambra*. Ta powieść od-

grywa tu rolę bardzo podobną do tej, jaką spełnia *Pieśń Wajdeloty* w obrazie uczty, wydanej przez W. Mistrza. Obie są wstawianemi powieściami, jak jedna tak i druga służy do odsłonięcia przeszłości głównego bohatera, jak jedna tak i druga ma swoją treścią pobudzić do patryotycznego działania; wreszcie pierwszy ustęp *Powieści Greka*, na którą później jeszcze zosobna wypadnie mi zwrócić uwagę, zawiera w sobie pewne ukryte, ale niemniej przeto istotne analogie z pieśnią poprzedzającą *Powieść Wajdeloty*.

Ale jeżeli niepodobna zaprzeczyć wpływu *Wallenroda* na *Lambra* t. j. zachodzących między temi dwoma poematami analogii, to znowu bardzo łatwo dostrzedz ogromnej różnicy, dzielącej ideały dwu poetów w bohaterach tych poematów wcielone. To, co stanowi potęgę *Wallenroda*, głębokie uczucie patryotyczne, u *Lambra* wyrodnieje, schodzi na plan dalszy, niemal znika. Jego czyn bohaterski, spalenie okrętu z trupem Rygi, wygląda na wyskok kapryśnej fantazyi. Jego kochanka, patrząc na jego czoło, widzi na niem z przerażeniem „ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę“. Możnaby w nim widzieć jakby wcielenie tego westchnienia, którem się raczyli wzajem — mniej więcej w czasie pisania *Lambra* — Słowacki i jego przyjaciel Skibicki: „cette vie c'est une farce un peu trop lourde“. Gdybyż przynajmniej ta nuda, ta pogarda dla życia była szczerą w Słowackim! Ale nie, to był tylko grymas modny i nic więcej. Kto tak był głodny sławy, jak Słowacki, ten nie mógł uczuwać przesytu i znudzenia życiem.

O ile patryotyzm Wallenroda w Lambrze zwyrodniał i, rzec można, znikczemniał, o tyle zaznaczony silnie ale krótko przez Mickiewicza nałóg Wallenroda rozwinął się i wybujał pod piórem Słowackiego do nadzwyczajnych rozmiarów i z podrzędnej stał się główną cechą bohatera. A nie tylko pod względem rozmiarów, ale i pod względem charakteru nałóg Lambra odbiega od nałogu Wallenroda. Ten upijał się czasami winem, aby choć na chwilę przenieść się w szczęśliwą „krainę pamięci“, i po torturach ciągłej obłudy choć na chwilę wypocząć we wspomnieniach szczęścia, które poświęcił dla ojczyzny; Lambro upija się stale, systematycznie i nie winem, ale trucizną, „napojem makowym“, a czyni to dlaczegóż? Oto, aby życie, rzeczywistość, zamieniać

na sen gorączkowy,
Sen tak jasnemi grający barwami,

Że chwile życia zdają mu się snami,
A sen szalony wydaje się życiem.

To poszukiwanie gorączkowych marzeń i sennych wizyi jest najbardziej oryginalnym rysem charakteru Lambra, rysem, którego ani bohaterowie Bajrona ani Mickiewicza nie mają, a który Słowacki dobył z siebie, ze swej natury, ze swej niesłychanej przewagi wyobraźni nad innemi władzami duszy. W gorączkowych marzeniach Lambra była jakby przepowiednia tego stanu duszy, w jaki popadł Słowacki w ostatnich latach życia, kiedy tworzył *Srebrny sen Salomei*, *Króla-Ducha* i dalsze pieśni Beniowskiego. I jak poecie wtedy wydawało się, że w swoich apokaliptycznych wizyach daje narodowi swemu zbawcze ideje, tak i Lambro teraz woła:

dzisiaj sennym wydrę cudom
Myśl wielką... potem tę myśl zmartwychwstania
Jak Kleopatry perłę w krwi roztopię,
W czarze z kryształu i dam czarę ludom...

Ta myśl zmartwychwstania, ta perła Kleopatry w czarze krwi roztopiona nie może oznaczać nic innego, jak zerwanie się do krwawej walki z ciemiężycielami narodu, nie było też w niej nic nowego, ale poecie chodziło o to, aby tę ideę otoczyć urokiem nowości i tajemniczości i dlatego Lambro nazywa ją „tak bezcenną i drogą“

Że o niej dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.

Ta sama myśl i taka sama chęć otoczenia jej tajemniczością dla przydania jej większego znaczenia występuje na początku *Powieści Greka*:

Więc będę śpiewał i dążył do kresu,
Ożywię ogień jeśli jest w iskierce,
Tak Egipcyanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie [1]),
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu na dnie.

Już Spasowicz zauważył, że Słowacki przywiązywał szczególną wagę do tego ustępu i położył go za *motto* do *Kordyana;* a obraz serca owiniętego w liście aloesu tak mu się podobał, że jeszcze w *Testamencie* swoim, pisanym pod koniec życia, nie zapomniał

[1]) W tym wierszu należy domyślać się opuszczonego wyrazu: serce. „Kiedy serce myśl słowa tajemną odgadnie“.

o nim, polecając przyjaciołom, aby serce jego spalili w aloesie. Wiemy też, że ten ustęp właśnie wybrał do deklamacyi na uroczystym obchodzie pierwszej rocznicy wybuchu powstania na Litwie. Dlaczegóż tak go upodobał sobie i dlaczego tak go akcentował. Zapewne dlatego, że w tym obrazie chciał usymbolizować znaczenie swojej poezyi dla narodu i jej stosunek względem niego. Młody Ipsaryota śpiewający *Powieść Greka* jest przedstawicielem samego poety, i to, co on mówi o umarłem sercu i liściach aloesu, to ma zastosowanie do narodu polskiego i poezyi Słowackiego. Można przypuszczać, że ustęp ten pisany był w czasach, kiedy Słowacki podniecony był wiadomością, iż „200 Polaków publicznie uradziło, aby mu dać pierścień jako poecie przeszłorocznych wypadków“, i że autorowi *Lambra* chodziło o tajemne nawiązanie nowej swojej poezyi do rewolucyjnego *Hymnu,* święcącego „ludu zmartwychwstanie“.

Ale i o co innego jeszcze chodziło mu zapewne, o dorównanie *Pieśni Wajdeloty,* która dyamentowym blaskiem idei rozbłyskując na wszystkie strony, wyzywała niejako Słowackiego do stworzenia czegoś równie świetnego i głębokiego. Że to, co stworzył, pomimo całej śpiewności wiersza i innych zalet zewnętrznych, dalekie było od dorównania *Pieśni Wajdeloty,* tego nie potrzeba dowodzić, ale winienem tylko wskazać, na czem głównie polega analogiczność, o której przedtem wspomniałem, pomiędzy tą pieśnią a wstępem do *Powieści Greka.* I tu i tam tematem jest potęga pieśni, i tu i tam piewca zapowiada swój zamiar rozgrzania, zapalenia serc. Wajdelota litewski chciałby „własne ognie przelać w piersi słuchaczów“, wajdelota grecki będzie śpiewał, aby „ożywić ogień, jeśli jest w iskierce“.

Powiedziałem już, że *Lambro* był już napisany, kiedy się ukazała trzecia część *Dziadów.* Przed jej ukazaniem się, a po napisaniu nowego poematu, Słowackiemu mogło zdawać się, że tym razem dopędzi, a może prześcignie, swego wielkiego poprzednika, zaćmi go barwami swej poezyi, że w nowym turnieju poetyckim ultrabajroniczny Lambro pokona bajronicznego Konrada i pozwoli Słowackiemu zająć miejsce obok lub wyżej Mickiewicza. Ukazanie się trzeciej części *Dziadów* musiało rozwiać te nadzieje. Mickiewicz w nowym poemacie czynił zwrot niespodziewany, rzucał tor bajroniczny, otwierał nowe horyzonty i jak Farys swego obłocznego współzawodnika, tak on galopującego z tyłu z nadzieją zwycięstwa autora *Lambra,* „o całe niebo zostawiał za sobą“.

Bądź co bądź, jakkolwiek *Lambro* po ukazaniu się *Konrada*

i *Dziadów* był poniekąd spóźnionym współzawodnikiem *Konrada Wallenroda,* niemniej przeto Słowacki nie myślał go trzymać w tece. Natychmiast po przybyciu do Genewy i rozlokowaniu się w pensyonacie pani Pattey, pisał do matki, że wydrukuje *Lambra,* „bo czuje konieczną potrzebę nowego ukazania się na literackim świecie“ [1]). I w kilka miesięcy potem pojawił się trzeci tom poezyj Słowackiego, który przyniósł *Lambra* i prócz tego kilka innych mniejszych utworów. Między niemi były pieśni rewolucyjne: *Hymn Bogarodzica, Kulig, Pieśń legionu litewskiego,* czyli jak się o nich Słowacki w liście wyrażał: „różne wiersze, znane w nieszczęściu naszej kuzynki“ [2]) i *Duma o Wacławie Rzewuskim.*

Umieszczenie tych wierszy w trzecim tomie świadczyło, że przed wydaniem jego musiało zapaść w duszy Słowackiego ważne postanowienie. Dopóki te wiersze nie były drukowane w zbiorze jego poezyi, dopóki sam nie przypominał się światu i cenzurze rosyjskiej, jako ich autor, mógł jeszcze myśleć o powrocie do kraju. W pierwszych dwóch tomikach nie było nic takiego, coby go czyniło w Rosyi politycznie podejrzanym; ale trzeci tomik zagradzał mu drogę powrotu. Wiedział o tem Słowacki, a przecież go wydawał, widocznie zatem postanawiał zrzec się na zawsze powrotu do kraju i zostać poetą emigracyjnym.

Jakie pobudki skłoniły go do takiego postanowienia? Znając jego dążenie do sławy i stosunek do Mickiewicza, nie można wątpić, że najważniejszą tu rolę odegrał przykład tego ostatniego. Mickiewicz także do chwili wydania trzeciej części *Dziadów* miał otwartą drogę powrotu do kraju, bo *Księgi pielgrzymstwa* były jeszcze wydane bezimiennie. Teraz, wydając tę część *Dziadów* wraz z *Ustępem* i wierszem *Do przyjaciół Moskali,* jako czwarty tom swych poezyi, wypisując na nim otwarcie swoje nazwisko, zamykał przed sobą tę drogę na zawsze, skazywał się dobrowolnie na wygnanie i zatykał na obcym gruncie swoją chorągiew poetycką, ażeby pod nią walczyć piórem, gdy walka orężna była skończona. Był to naturalny wynik poczucia swego posłannictwa; mógłże Konrad wracać tam, gdzie tylko jako Gustaw mógłby był głos podnosić. Ten krok Mickiewicza miał doniosłe następstwa; dokoła chorągwi przez niego zatkniętej zaczęła się gromadzić tak obfita i bujna literatura emigracyjna.

---

[1]) Listy I, 167.

[2]) Tamże, 174.

Słowacki zrozumiał, że wracając do kraju, i tam dalej uprawiając poezyę w granicach, jakie cenzura jej stawiała, schodziłby na stanowisko znacznie niższe od tego, jakie w ostatnim swoim poemacie zajął Mickiewicz i walki swojej o pierwszeństwo z Mickiewiczem musiałby zaniechać. Wprawdzie mógł być pewnym, że zająłby pierwsze pomiędzy poetami w kraju miejsce, ale takie ograniczone pierwszeństwo nie nęciło jego dumy. I to jest rys, który lepiej niż co innego wskazuje, że Słowacki miał pierś skrojoną nie na miarę krawca, szkoda tylko, że w piersi tej rozdymająca ją żądza sławy tak mało zostawiała miejsca dla innych uczuć. Mickiewicz skazywał się na wygnanie, bo widział w tem swój obowiązek, jako wieszcza narodu; Słowacki skazywał się na wygnanie, bo tak mu dyktowała żądza sławy [1]).

Wprowadzając do III tomu swych poezyi pieśni rewolucyjne, które niewinnemu pod względem politycznym *Lambrowi* zagradzały drogę do kraju, Słowacki zatykał także banderę patryotyczną na swojej fregacie poetyckiej, chciał przypomnieć światu, t. j. emigracyi, swoją rolę Tyrteusza polskiego, swoje podobieństwo do Rigi jednego z bohaterów *Lambra*. Tym sposobem zbliżał się już niejako do nowego stanowiska, jakie zajął Mickiewicz, jako wieszcz narodu. Ale zanimby się w nowym jakimś utworze zmierzył z jego nowym Konradem, pragnął wydając *Lambra*, obronić go od tego przygniatającego sąsiedztwa, jakiem dlań była współczesność wielkiej postaci nowego Konrada, chciał uwydatnić to, co w jego mniemaniu stanowiło wyższość Lambra i stąd poszła przedmowa, w której pisał takie rzeczy:

„Świat myśli jest tak obszerny, że można w nim wyciągnąć nieodparte granicami ramiona. Szanuję szkołę religijną, ową wieczerzę pańską polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu — sądzę bowiem, że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchnięta słowami Fryderyka Schlegla, który w katolickiej religii

---

[1]) Że jeszcze na bardzo niedługo przed poznaniem III części *Dziadów* Słowacki myślał o powrocie do kraju, świadczą o tem słowa jego listu z października 1832, zwrócone do wuja Teofila: „Teofilu! Zdaje mi się, że Tobie dobrzeby było w Kijowie; miasto tanie i przyjemne; ja kiedyś także bym tam rad z Mamą mieszkał, tylko żeby mi to nie krepowało mojego zawodu, bo *Lambro* straszny...“ (Listy I, 142). Wyobrażenie Słowackiego o niecenzuralności *Lambra* było przesadne, i dlatego chciał z początku drukować ten poemat osobno, nie jako tom III, ażeby dwu pierwszym tomom nie przeszkadzał. (Tamże).

źródło jedyne poezyi upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezya była obrazem wieku. Dant pisał o piekle, kiedy ludzie w piekło wierzyli, Wolter zgadzał się z wiekiem materyalizmu. Byron, rozpaczający o wątpliwą przyszłość poeta, zaczął wiek dziewiętnasty; ci trzej ludzie wyobrażają epoki, w których żyli, oblicza wieków odbite są na ich umysłowej twarzy, gdyby z myśli większej liczby ludzi, w owych czasach żyjących, można utworzyć było jeden posąg myśli, ten posąg byłby Dantem, Wolterem, Byronem. Wyżej nad nich wzniósł się Szekspir, bo on nie własne serce, nie myśli swojego czasu, lecz serca i myśli ludzkie niezależne od epoki przesądów malował i stwarzał władzą do boskiej podobną. Na niższym szczeblu stoją poeci ściśle krajowemi zamknięci obrębami, jak Goethe, Calderon, Walter-Scott, stoją jednak wysoko i mocno, bo ich podstawami są narody. Szukajmy więc różnemi drogami treściwej myśli żywotnej naszego kraju; szczęśliwy, kto w ogniwie duszy własnej najwięcej promieni połączy i odbije. Lecz myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezyi zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którem trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata".

Co znaczyły te uwagi, tak dziwnie wyglądające w przedmowie, zwłaszcza po oświadczeniu, że autor postanowił zamknąć się „w jak najściślejszych obrębach potrzeby", i co znaczyło to ustawianie poetów podług rang wielkości? Wszystko to staje się zrozumiałem przy świetle, jakie rzuca na tę przedmowę współzawodnictwo Słowackiego z Mickiewiczem, a w szczególności chęć wykazania, że Lambro jest wyższy w swoim pomyśle od Konrada z *Dziadów,* bo jest obrazem naszego wieku, czego o Konradzie powiedzieć nie można. Niedość tego. Słowacki chce utorować czytelnikowi drogę do przekonania, że Lambro odbijając w sobie „duszę świata", odzwierciedla i „duszę narodową" pomimo greckiej swojej szaty, bo narodowość poezyi nie zależy na opisywaniu narodowych wypadków. Co się zaś tyczy insynuacyi, że katolicki charakter nowej poezyi Mickiewicza[1]) ma źródło w poglądach Fryderyka Schlegla i jest „sztucznie natchnięty".

[1]) Słowacki w przedmowie nie wymienia ani razu Mickiewicza, ale rzecz widoczna, że to, co mówi o szkole religijnej poetów polskich, odnosi się głównie a nawet wyłącznie do Mickiewicza, bo wtedy jeszcze żaden z tych poetów, prócz niego, nie uderzał w ton religijny.

to była ona jakby odpowiedzią na prywatny sąd Mickiewicza o poezyi Słowackiego, że jest ona pięknym kościołem bez Boga.

W końcu przedmowy autor zwracał się do narodu, do „Polaków“, i prosił ich o przebaczenie, że się dobija o jedno z niższych miejsc we wspomnieniach szczęśliwej niegdyś przyszłości“. Było to jakby wezwanie do krytyki, ażeby zaprzeczyła tej przesadnej skromności poety i wyznaczyła mu to miejsce, jakie mu się w głębi jego przekonania należało — jedno z najwyższych, albo jeszcze lepiej: najwyższe ze wszystkich.

Z *Lambrem* ukazała się także i *Godzina myśli*, poemat daleko przewyższający *Lambra* szczerością uczucia, jeden z piękniejszych, rzetelniejszych poematów Słowackiego. Wprawdzie i tutaj Słowacki miał wzór bajroński przed sobą, mianowicie *Sen* Byrona, ale oryginalność poematu polegała na tem, że poeta czerpał treść wyłącznie z rzeczywistych, przeżytych wrażeń i uczuć swoich, a nie z książkowych reminiscencyi. Słowacki czuł dobrze tę siłę prawdy, jaką miała *Godzina* i jej wyższość nad *Lambrem*, gdy wyrażał w liście do matki nadzieję, że za ten poemat dadzą mu kiedyś miejsce w polskim Westminsterze [1]). Pobudką do napisania *Godziny* był niewątpliwie list Ludwiki Śniadeckiej, otrzymany przez poetę jeszcze 4 października 1832. Tego listu chciwie musiał oczekiwać Słowacki, bo w nim miał znaleźć wrażenie, jakie na jego bajronicznie nastrojoną Laurę wywarły pierwsze dwa tomy jego poezyi. „W tych tworach — pisała Ludwika — chował się człowiek, nieraz się jednak zdradził, a jam go poznała“. Z tych słów Słowacki wnioskował, że jego Laura „gniewa się za mało pamięci o niej w książkach“ i dodawał: „Spodziewam się, że jak wydrukuję *Lambra*, to mnie nie będzie obwiniać, abym się krył z mojemi uczuciami“ [2]). Otóż *Lambro* zamało jeszcze odkrywał uczucia Słowackiego i tak jak poprzednie poemata nie zawierał wyraźnych dowodów pamięci poety o oddalonej kochance; zadanie to spełniła napisana wkrótce potem *Godzina myśli* [3]).

---

[1]) „Dla tego jednego poematu chciałbym, abyście tom III czytali kiedy. Matko moja, kiedyś w Westminsterze naszego kraju może mi dadzą kąt jaki!“ Listy I, 174.

[2]) Listy I, 156—157.

[3]) Należałoby sądzić, że *Godzina myśli* napisana była w grudniu 1832, a to z powodu, że w liście poety z d. 8 grudnia jeszcze nie ma mowy o *Godzinie*, pod wierszem zaś postawił poeta, jako datę, r. 1832. Wszelako spokojny ton *Godziny*

Pisząc ten piękny utwór, znał już Słowacki trzecią część *Dziadów*. Można też znaleźć pewną jej reminiscencyę w tym dwuwierszu:

I co dnia z łona Boga dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina,

który bardzo żywo przypomina słowa archanioła pierwszego z *Dziadów*:

Runęły z niebios, jak deszcz gwiaździsty, aniołów tłumy,
I deszczem lecą za niemi codzień mędrców rozumy.

Ale *Godzina* urodziła się w jakiejś szczęśliwej chwili, kiedy już minęło wzburzenie wywołane odczytaniem *Dziadów*, bo panuje w niej spokój i skupienie, na jakie Słowacki rzadko się zdobywał. Był to jakby wypoczynek przed dalszą walką o pierwszeństwo. A jednak walka ta i tutaj odbiła się dalekiem echem. Sąd wypowiedziany przez Mickiewicza, że jego, Słowackiego, poezya jest pięknym kościołem bez Boga, brzmiał mu ciągle w duszy, po części jako wyzwanie, po części jak zagadka. Po odczytaniu trzeciej części *Dziadów* zagadka rozjaśniała się i niemal przestawała być zagadką, wyzwanie zostawało i zaostrzało się. W *Godzinie myśli* jest już odpowiedź na to wyzwanie, jakkolwiek bardzo jeszcze ciemna i niewyraźna. Poeta nie wypierał się, że w kościele jego poezyi nie było Boga, t. j. przyznawał, że ten kościół był „niedowiarstwem ciemny“, ale nie uważał jeszcze sobie tego za ujmę, bo wszakże takim samym był i kościół poezyi Bajrona. Chciał tylko wyjaśnić, uzasadnić taki stan swego kościoła i tu mu się nastręczyła dobra sposobność złożenia winy na swoją bajroniczną Ludkę. Nie było w tem prawdy, ale była wykwintna bajroniczność; sądził, że było mu z tem do twarzy, a i Ludka nie powinnaby się gniewać za tę rolę, jaką jej wyznaczał, fatalną wprawdzie, ale górującą, rozstrzygającą o kierunku jego uczuć i poezyi. Więc przy końcu *Godziny* znajdujemy obłokiem poezyi przesłonięte wyznanie, jak „dziecko z czarnemi oczyma, Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki“. Aniołem snów dziecinnych była Ludwika Śniadecka, a żegnaniu miało towarzyszyć wyznanie miłości. Tę miłość odrzuciła starsza wiekiem kochanka, a to odrzucenie poryło serce poety „w setne skazy“; tracąc wiarę w szczęście, tracił wiarę i w Boga, nie tracił tylko wiary w swoją potęgę twórczą i przez zemstę „gmach budował niedowiarstwem ciemny“. Ale

lepiej odpowiada pierwszym miesiącom pobytu w Szwajcaryi; trzeba też dodać, że pierwsza wzmianka o *Godzinie* w listach poety znajduje się pod datą 15 marca 1833.

warto posłuchać własnych słów poety, których nie zastąpi streszczenie, choć służy do ich objaśnienia.

Tego wieczora dziecię ustami drżącemi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki;
A potem bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące,
Bo dziecko miało duszę, wielkiego człowieka
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi, a z temi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem;
Serce, jak kryształ, w setne poryło się skazy,
I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby,
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga,

. . . .

On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny.

Jest w tym pięknym obrazie prawda i zmyślenie. Prawdą była wiara młodzieńca w świetną przyszłość i duma jej towarzysząca, prawdą było, że Ludwikę Śniadecką obierał za cel swoich nawpół dziecinnych marzeń, i że ona z góry traktowała te marzenia (bo i traktować inaczej nie mogła). Wszystko poza tem było zmyśleniem: i scena pożegnania, która, jak wiemy z pamiętnika poety [1], inaczej się odbyła i przy innej dekoracyi, i to, że odrzucenie miłości miało tak fatalne następstwa i sprawiło, że gmach jego poezyi stał się „niedowiarstwem ciemny". Jeżeli był on takim, to przedewszystkiem dlatego, że u Bajrona w tym rodzaju ciemność panowała. Ale do tego się przecież nie mógł przyznać Słowacki, a chciał jakoś poetycznie uzasadnić to, z czego mu zarzut robiono. Więc zwalił wszystko na Ludkę i jej obojętność. Ale nie zapomniał przytem ugodzić krytym sztychem w swego wielkiego przeciwnika, a to w następujących wierszach:

Ta budowa, ciężkiemi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom; lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód, jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się i myślami przybrać karłów postać.

[1]) Listy I, 15—16.

Była to mglista alluzya do katolickiego stanowiska, jakie zajął Mickiewicz w *Dziadach* drezdeńskich, pokrewna insynuacyi zawartej w przedmowie do *Lambra,* że „wieczerza pańska polskich poetów" w Paryżu jest sztucznie natchnięta słowami Fryderyka Schlegla [1]). Że te i inne alluzye, insynuacye i zwroty Słowackiego do Mickiewicza tak w przedmowie do *Lambra,* jak i w dawniejszej przedmowie do tragedyj, nie mogły podobać się Mickiewiczowi i źle go uprzedzały do młodego współzawodnika, to rzecz naturalna. To też zamiast wdać się w obszerną polemikę ze Słowackim, której ten widocznie pragnął i do której wzywał, Mickiewicz dość lekceważąco potraktował młodego przeciwnika w emigracyjnem piśmie *Pielgrzym polski,* w którem wówczas brał udział: podał suchą wiadomość o pojawieniu się trzeciego tomu poezyj Słowackiego, a jakby dla charakterystyki poety przytoczył parę ustępów z przedmowy do *Lambra,* w których się dostatecznie malowała pretensyonalność Słowackiego. Było tam powtórzone i wyzwanie jego, ale tylko powtórzone i zostawione bez odpowiedzi [2]).

O tej recenzyi z przekąsem odzywał się Słowacki w liście do matki z 6 czerwca 1833. „Przemowa (do *Lambra)* krótka i gryząca, trochę obraziła Mickiewicza. Zemścił się w jednem z małych pisemek, ale dosyć niezgrabnie" [3]). A w kilka miesięcy potem (w listopadzie 1833), kiedy już nie krył się przed rodziną z nienawiścią ku Mickiewiczowi za piętno hańby rzucone na doktora Bécu w *Dziadach,* jeszcze raz zwracał się do owej recenzyi, ale zapomniawszy widocznie o tem, co dawniej pisał, o tem, że sam swoją przedmowę nazwał gryzącą, przedstawiał teraz tę rzecz w innem świetle. „Wyjątek z mojej przedmowy on obciął i umieścił w pisemku, ale tak obciął, że mu dał inne zupełnie znaczenie, pozór jakiejś uszczypliwości, a przemowa moja jest raczej moim usprawiedliwieniem i wszyscy, którzy ją całą przeczytają, przyznają, że Adam ze złą wiarą postąpił" [4]).

---

[1]) Pokrewnemi są także uwagi o Mickiewiczu w liście do matki z 9 listopada 1832: „... Mickiewicz bardzo już ostygł w poezyi. W rozmowach ciągle religię na plac wyprowadza, uniewinnia papieża, nawet bullę, słowem, że mi się, jako obecnie żyjący człowiek nie podoba. (Listy I, 1848—1849).

[2]) Porówn. autograf recenzyi przedrukowany przez dr Br. Gubrynowicza w artykule „Współpracownictwo Mickiewicza w *Pielgrzymie polskim*". Pamiętnik Tow. imienia Adama Mickiewicza. Rocznik szósty. 1898. Str. 364—365.

[3]) Listy I, 186.

[4]) Listy I, 214.

Oskarżenie niesłuszne. Sam Słowacki nazywał swoją przemowę „gryzącą“, a potem gniewał się, gdy tę jego chęć gryzienia Mickiewicz uwydatniał. Więc złej woli ze strony Mickiewicza nie było, ale było, jak to już powiedziałem, lekceważenie, na które sobie Słowacki zarobił wyzywającą pretensyonalnością swoich przedmów. Zewnętrzną piękność poezyi Słowackiego Mickiewicz niewątpliwie i teraz, jak przedtem, uznawał, ale ten piękny kościół odstręczał go pustką; nie widział on tam żadnego innego ołtarza prócz tego, który poeta dla własnego *ja* wystawił.

ROZDZIAŁ III

W Szwajcaryi.

1833—1836.

Chęć zmierzenia się z nowym utworem Mickiewicza. — Stosunek *Kordyana* do *Dziadów* trzeciej części i do *Wacława* Garczyńskiego. — Co znaczy prolog w tym dramacie. — Słowacki nastraja się patryotycznie. — Recenzya *Kordyana* w dzienniku *Le Polonais;* jak ją przyjął Słowacki. — Wrażenie, jakie sprawił na nim *Pan Tadeusz.* — *Balladyna.* — Znaczenie epilogu. — Myśli matrymonialne Słowackiego: stosunek z Maryą Wodzińską. Pragnienie większej doskonałości poetyckiej.

Wydawszy trzeci tom swych poezyj, Słowacki zaraz zaczął myśleć o tem, jakby się zmierzyć z nowym utworem Mickiewicza, który luzując *Wallenroda,* stawał u szczytu poezyi polskiej. Dotychczas zdołał on tylko — w przemowie do *Lambra,* w *Godzinie myśli* — rzucić parę pocisków przeciwko kierunkowi trzeciej części *Dziadów;* teraz chodziło o coś ważniejszego dla poety i trudniejszego: o stworzenie poematu w rodzaju drezdeńskich *Dziadów,* o pokazanie, że autor *Lambra* i w tym nowym rodzaju dorówna Mickiewiczowi, a może go i przewyższy. Już w połowie lipca 1833 pisał do matki: „Czekam z niecierpliwością dzieł Kochanowskiego: zastąpią mi one w pewnym względzie obcowanie Polaków i pomogą wielce w pisaniu nowego poematu, którego pierwszą część pod zmyślonem imieniem wydać sobie zamierzam“ [1]. Chciał więc naostrzyć klingę poetycką do nowego boju i już z góry postanawiał sobie wystąpić z zamkniętą przyłbicą, co jużcić oznaczało mniejszą pewność zwycięstwa.

[1]) Listy I, 194.

Zanim zamiar nowego utworu został wykonany, dostał Słowacki do ręki świeżo wydany poemat Garczyńskiego: *Wacława Dzieje*, który nosił na sobie wyraźne ślady wpływu trzeciej części *Dziadów*; był tak samo jak tamten fantastycznym, z mocno napiętą struną patryotyczną, tak samo przedstawiał wewnętrzne przeobrażenie bohatera-poety, tak samo wreszcie urwanym. Dla Słowackiego ukazanie się *Wacława* było nowym i silnym bodźcem, aby zabrać się do napisania poematu w stylu przez Mickiewicza w *Dziadach* obranym. I było zarazem ułatwieniem. Muza Słowackiego o ile miała wielką łatwość naśladowania, kojarzenia, kombinowania, strojenia i ozdabiania cudzych motywów, o tyle mało zdolną była do ich oryginalnego tworzenia, co było przedewszystkiem skutkiem braku społecznych uczuć w Słowackim. Stawać do zapasów z Konradem z *Dziadów* i od niego tylko pożyczać motywów do współzawodniczego poematu, chociażby inaczej obróconych i rozwiniętych, przedstawiało wiele niedogodności; ale z motywów, zawartych w dwu pokrewnych poematach, skombinować coś trzeciego, było zadaniem o wiele łatwiejszem, przy którym daleko łatwiej można było ukryć brak własnej oryginalności. To też potem, po zaznajomieniu się z *Wacławem* Garczyńskiego, robota poszła żwawo i poeta w ciągu dni 20 napisał 2200 wierszy [1].

Donosząc o tem matce, dodawał: „Czuję jakąś pociechę, myśląc, że moja młodość nie jest zupełnie stracona dla dobra ojczyzny mojej, przynajmniej tak sobie powiadam i słodzę tem wszystko". Czuł więc dobrze Słowacki, że jego poezya obiera nowy tor — patryotyczny, idąc w tem w ślad za *Dziadami* drezdeńskiemi i *Wacławem* Garczyńskiego. Ale czy zdawał sobie poeta sprawę z pobudek, które go na ten tor wepchnęły. Zapewne nie, jak sobie z tego nie zdają sprawy liczni wielbiciele Słowackiego, stawiający go, jako patryotę, na równi z Mickiewiczem i Krasińskim. Niestety, jego patryotyzm pochodził z głowy nie z serca; obierał on ten kierunek nie wskutek wzruszeń, wywołanych powstaniem listopadowem, bo w najgorętszych i najfatalniejszych jego chwilach mógł się akademicznie oddawać poezyi, pisząc *Żmiję*, a po upadku powstania bajronizował tak samo, jak przedtem, w swoim *Lambrze*. Na nową drogę wciągnęła go przedewszystkiem żądza sławy, której się na innej drodze poetyckiej wówczas dobić trudno było, chęć prześcignięcia wielkiego przeci-

[1]) Listy I, 217.

wnika, który tędy poszedł i nowemi się ozdobił laurami. Sam on prawie przyznawał się do tego w liście do matki, gdy nazywając swój nowy utwór „wielkiem dziełem“ i zapewniając, że się nie zaślepia, że to dzieło osądził „obcego człowieka rozwagą“, dodawał: „drukuję bezimiennie, będzie tak równiejsza walka z Adamem“ [1]. O walkę więc głównie chodziło; nie idea patryotyczna, ale nadzieja zwalczenia, prześcignięcia Mickiewicza była gwiazdą przewodnią poety przy pisaniu *Kordyana*. Zapewne, można wierzyć poecie, że i uczucia synowskie odegrały tu pewną rolę i dużo akcentu prawdy mają te słowa poety w liście (już cytowanym) do matki: „Nic mi nie pozostaje, jak okryć ciebie, Matko moja, promieniami takiej sławy, aby cię inne ludzi pociski dojść nie mogły . . .“. Ale i w tych słowach uczucie dla matki występuje jakby nierozdzielnie złączone z żądzą sławy, jakby jakąś przynależność tej żądzy stanowiące.

Jakiż jest stosunek *Kordyana* do *Dziadów?* Miała to być tak samo historya wewnętrzna ducha poety, osadzona na tle wypadków politycznych i tak samo miała mieć formę napół fantastycznego dramatu. Historya ta u Słowackiego była dotychczas bardzo uboga: prócz żądzy sławy, która go od dzieciństwa trawiła, nie było w niej silniejszych uczuć, bo jego dziecinna miłość dla Ludwiki, była także tylko jakby attynencyą tej żądzy, z głowy nie z serca brała początek. To, co było ciekawego w tej historyi, zawarł w *Godzinie myśli,* a choćby się powtórzył, to przecież nie było z czego stworzyć poematu, któryby mógł się mierzyć z III częścią *Dziadów*. Trzeba więc było dokomponować historyę swego ducha, wymyśleć jakieś przeobrażenie się, któreby odpowiadało przeobrażeniu się Gustawa w Konrada; Słowacki to zrobił i w tem zapewne tkwił jeden z powodów bezimiennego wydania *Kordyana,* bo jeśli poeta utożsamiał się ze swoim bohaterem, co było rzeczą z wielu ustępów widoczną, to w ten sposób wystawiał się na porównanie swego stanowiska patryotycznego ze stanowiskiem swego bohatera, co musiało prowadzić do niepochlebnych dla poety wniosków. Kordyan rwący się do poświęcenia i poeta, uchodzący z Warszawy w czasie najgorętszego ruchu, to była niezgodność zbyt rażąca. Bezimienność poematu naturalnie miała być chwilową, miała ułatwić powodzenie jego, a potem blask sławy wyrównałby wszystko.

Pierwsze dwa akty przedstawiają Kordyana przed jego przeo-

[1]) Listy I, 215.

brażeniem się wewnętrznem. Poeta włożył tu z siebie co mógł: więc swój bajroniczny sceptycyzm, swoją miłość dziecinną dla starszej wiekiem Ludwiki, swoje myśli, a raczej fantazye samobójcze, swoje wrażenia z podróży po świecie; do tego dokomponował trzy sceny, albo raczej trzy stosunki: z Grzegorzem, Violettą i papieżem. Grzegorz jest postacią sztuczną, pożyczoną z *Dziadów*, o ile przypomina Kaprala, to znów w piosence o Janku, co psom szył buty, jest echem *Wacława*, to jest piosnki Nieznajomego o pchle, którą zresztą Garczyński wziął z *Fausta* Goethego [1]. Scena z Violettą nie ma w sobie nic analogicznego ani z *Dziadami*, ani z *Wacławem;* wymyślił ją poeta, albo wreszcie może wziął ją z bardzo poziomych wspomnień, ale podniósł w sferę wyższej fantazyi, ułożył bardzo szczęśliwie, oblał czarem i blaskiem swego słowa. To też scenę tę, oddzielnie wziętą, można nazwać koncertowym kawałkiem; jest ona jakby *pendant* do rozmowy Kordyana z Laurą, która także jest koncertową, to jest z samych efektownych zwrotów ułożoną i która, jak to zobaczymy, w inny się jeszcze sposób wiąże z poprzednią. Myślę nawet, że scena z Violettą lepiej się udała poecie, i że mimo awanturniczego pomysłu o złotych podkowach, przypominającego śmiałość fantazyi Szekspirowskiej, jest więcej szczerości w tej scenie, niż w tamtej; szczerszym jest wzgardliwy ton słów Kordyana zwróconych do Violetty, niż Hamletowskie rozmyślania i bajroniczne pozy, które on przybiera w rozmowie z Laurą.

Scena u papieża była zapewne echem wrażenia, jakie w wielu kołach emigracyjnych w Paryżu wywarła encyklika Grzegorza XVI do biskupów polskich, powstrzymująca ich od mięszania się do spraw politycznych. Jako pamflet polityczny ułożona zręcznie, dowcipnie i złośliwie, w ogólnym planie poematu jest zupełnie zbyteczną. Słowacki ją tu przyplątał dlatego, że chciał uwydatnić różnicę pomiędzy swojem stanowiskiem względem Kościoła, a stanowiskiem Mickiewicza, który, według cytowanych już dawniej słów Słowackiego, uniewinniał w prywatnych rozmowach papieża a nawet bullę [2]).

[1]) Możnaby myśleć, że Słowacki tworząc postać Grzegorza miał i żywy model w pamięci, to jest pewnego starego sługę, który mu usługiwał w Warszawie w czasach, gdy poeta był trawiony gorączką; powiada bowiem w swoim Pamiętniku, że w chorobie bawił się czasem oryginalnem opowiadaniem tego sługi. Ale na to przypuszczenie nie pozwala charakterystyka sługi, podana w tymże Pamiętniku (Listy I, 24) a wcale niezgodna z charakterystyką Grzegorza.

[2]) Listy I, 148.

Scena na szczycie Mont-Blanc, zamykająca akt drugi, w pomyśle swoim jest splątanem echem wielkiej improwizacyi *Dziadów*, przeobrażenia Gustawa w Konrada, a także tej sceny z *Wacława*, kiedy Wacław pod wpływem melodyi narodowej postanawia cały oddać się ojczyźnie. W porównaniu z Improwizacyą Mickiewicza wygląda poniekąd na parodyę, taki tu w niektórych ustępach brak szczerości poetyckiej, taka teatralność wyrażeń. Poeta chciał przedstawić i uzasadnić przeobrażenie się wewnętrzne bohatera, zbudzenie się w nim zapału patryotycznego, a do wyrażenia tego nie znajdował nic w historyi własnego ducha i stąd to taka sztuczność i teatralność Kordyana w tej scenie [1]. Jest on śmieszny nawet, gdy ze szczytu Mont-Blanc szuka wielkiej idei, jak gdyby idea była jakiemś zjawiskiem fizycznem i gdy lody szwajcarskie niewiadomo dlaczego stawią mu przed oczy poświęcenie się Winkelrieda i budzą w nim miłość dla Polski, a zarazem myśl o posłannictwie Polski, jako Winkelrieda narodów. Wszystko to sztuczne i nagłe, prawdziwe salto mortale, które Kordyan wykonywa skacząc z góry Mont-Blanc do szkoły podchorążych w Warszawie.

A jednak poeta usiłował ten skok swojego bohatera uzasadnić. Oto co Kordyan powiada o sobie:

Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem...
Wiara dziecinna padła na papieskich progach...
Nic, nic, nic, aż w powietrza błękicie
    Skąpałem się i ożyłem,
    I czuję życie!

Jest tu jakby streszczenie i powiązanie jedną myślą rzuconych przedtem luźnie obrazów, ale poeta nie dostrzega braku konsekwencyi w tem powiązaniu. Gorzkie, kupione pocałowania kobiety dobrze wyrażają skargę poety na brak wzajemnej miłości, ale cóż znaczy wiara dziecinna padająca na papieskich progach? Słowacki do szczętu zapomniał, że jego Kordyan oddawna już nie miał tej wiary dziecinnej, jeszcze kiedy parafrazował monolog Hamleta, wybierał się rąbać nadpróchniałe krzyże i przykładał lufę pistoletu do czoła. W tę niekonsekwencyę popadł Słowacki przez chęć położenia nacisku na

[1]) Przyznaję, że kiedy miałem lat dwadzieścia, a nawet trochę więcej, nie było dla mnie nic piękniejszego od tej sceny, bo jest to wiek, w którym teatralność nie razi, owszem przypada do smaku, a do ocenienia szczerości i prostoty nie ma jeszcze odpowiedniego doświadczenia.

scenę, która miała uwydatniać różnicę w poglądach między nim a Mickiewiczem. Co się tyczy „skąpania się w błękicie powietrza“ i odświeżenia ducha, to jakkolwiek ono nie jest dostatecznem do uzasadnienia Kordyanowego *salto mortale*, przecież znajduje pewien grunt w historyi ducha poety.

Skąpanie się w powietrzu szwajcarskiem, to jest pobyt w Genewie, mogło nietylko na stan fizyczny Słowackiego pomyślnie oddziaływać, ale i na moralny. Po drażniącem życiu paryskiem znalazł się on tu w warunkach, które jak najlepiej sprzyjały uspokojeniu się i skupieniu ducha. Miał piękne widoki przyrody szwajcarskiej przed oczyma, z taflą jeziora genewskiego u dołu, ze szczytem Mont-Blanc u góry; miał życie wygodne i swobodne i mógł z wielką łatwością przechodzić od pracy i ciszy do rozrywki; otoczony był najtroskliwszą, najczulszą opieką gospodyni domu i jej córki, Eglantyny Pattey, która nietylko w nim była zakochaną, ale umiała to nawet bardzo poetycznie wyrażać (gdyby on umarł, toby ona jego serce w urnie srebrnej piechotą do kraju zaniosła)[1]; używał w różnorodnem towarzystwie, które go otaczało, sławy poetyckiej, „małej sławy“, jak się wyrażał, która nadawała urok jego postaci. Sam poeta spostrzegał dodatni wpływ genewskiego otoczenia, gdy pisał do matki: „Pobyt w Dreźnie, w Londynie, w Paryżu, zupełnie inne obrazy i bardzo wydatne odcieniami zostawiły w mojej pamięci. Pobyt w Genewie różni się zupełnie i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy“[2].

Nawet żywa tradycya o Kościuszce, ze czcią powtarzana przez Szwajcarów, uszlachetniająco działała na egoistyczne usposobienie Słowackiego i budziła w nim nowe pragnienia. Powtarzając matce w jednym z listów historyę o koniu Kościuszki, który się sam zatrzymywał przed każdym żebrakiem, autor *Lambra*, który dotychczas wzgardę dla ludzi uważał za szczyt poetycznego nastroju, dodaje z westchnieniem: „O matko moja, jakbym ja chciał być dobrym człowiekiem...“[3]. Ale od tych uspokajających i uszlachetniających wrażeń do jakiegoś przełomu wewnętrznego, któryby odpowiadał Kordyanowemu *salto mortale*, droga była bardzo daleka. Nie było go też w duszy Słowackiego w owych czasach i w tym względzie

[1]) Listy I, 184.
[2]) Tamże 172.
[3]) Tamże 177.

jego Kordyan nie był wyrazem własnego ducha poety. ale tylko echem — pośredniem lub bezpośredniem — Konrada.

Akt III roztacza tło polityczne, na którem występuje postać przeobrażonego Kordyana — w mundurze podchorążych. Szukając tła, odpowiadającego obrazowi prześladowania Filaretów w *Dziadach*, Słowacki nie mógł znaleść nic lepszego od chwili spisku koronacyjnego. którą mu podsuwał poemat Garczyńskiego. Sam wprawdzie nie należał do spisku, nie znał go z wnętrza, ale znał atmosferę Warszawy w owych czasach. stosunek ludności do Wielkiego Księcia. zapał nurtujący w młodzieży. Więc wyobraźnia jego miała obfity materyał do układania efektownych obrazów. Dzięki temu akt III ma wiele ruchu i życia. Co się tyczy Kordyana, to jego patryotyczne uniesienia są retoryką, nie zawsze zrozumiałą, i pozą, która szczytu dosięga w owem *excusez du peu:* „Narodowi zapisuję, co mogę... Krew moją i życie i tron do rozrządzenia próżny“. I nie mogło być inaczej: akcentu prawdy i szczerości nie mógł dać Słowacki patryotyzmowi Kordyana, bo patryotyzmu w samym poecie nie było. Wciągał on go dopiero w siebie wyobraźnią, napełniał się nim zzewnątrz, z poezyi mickiewiczowskiej. Ale dał swemu bohaterowi jedną rzecz z siebie, rzecz, która uczyniła tę postać oryginalną, żywą, zajmującą, mianowicie dał mu gorączkową wyobraźnię, zdolność miewania wizyj, dorównywających żywością swoją obrazom rzeczywistym. Kordyan z bagnetem w ręku, w dyalogu z Imaginacyą i Strachem, jest rodzonym bratem Lambra, którego pod wpływem napoju makowego obięgają mary gorączkowe; obaj noszą na sobie piętno wyobraźni samego poety.

Poemat Słowackiego jeszcze i pod tym względem jest echem *Dziadów,* że jest jak one nieskończonym, i jak one zaczyna się od wstępu (nazwanego „Przygotowaniem“), w którym występują nadziemskie potęgi, złe i dobre, mające wpływać na losy ludzkie. Tylko w *Kordyanie* wpływ tych potęg nie jest zwrócony ku osobie bohatera, jak w *Dziadach,* ale się odnosić ma do całego narodu; szatani w pierwszą godzinę nowego, dziewiętnastego wieku stwarzają narodowi polskiemu dygnitarzy. Pochop do tego pomysłu może dała Słowackiemu scena fantastyczna Garczyńskiego p. t. *Wizya,* w której czarownica wywołuje przed oczami poety rozmaite wcielenia szatana. Możnaby myśleć, że i samo imię bohatera poematu, wymyślone przez Słowackiego, a utworzone z łacińskiej nazwy serca, podsunięte zostało zakończeniem *Wizyi,* ostatniemi jej wyrazami, określającemi

szatana jako „człowieka — bez serca“. Jakkolwiekbądź. *Przygotowanie* bardzo luźnie wiąże się z samym poematem. Z dygnitarzy utworzonych przez szatana jeden tylko Niemcewicz występuje w poemacie jako prezes spisku. hamujący zapał i gotowość do poświęceń Kordyana. Wiadomo. że Niemcewicz wmieszany został przez Słowackiego do spisku. jak Piłat w Credo. ale gdyby nawet odegrał był w nim rolę. jaką mu poeta wyznaczył. to jeszcze tworzenie całej machiny piekielnej. ażeby uzasadnić w starcu panowanie rozwagi nad zapałem. byłoby niedorzecznością. Ale Słowacki. jak się zdaje. chciał swoim wstępem do *Kordyana*, umieszczonemi tam zagadkami. odnoszącemi się do ludzi. o których najwięcej mówiono w emigracyi. zainteresować. zaintrygować ogół emigracyjny i nadać tem większy rozgłos swemu poematowi; mógł przytem i osobiste rachunki załatwić. Takim osobistym rachunkiem jest niewątpliwie pełne złości i urągania przedstawienie Lelewela. który. jako autor broszury *Nowosilcow w Wilnie*, przedstawiającej doktora Bécu jako zausznika pana senatora. stał mu się nienawistnym: na taki rachunek zakrawa i charakterystyka Niemcewicza. bez śladu uszanowania dla wielkiej a zasłużonej powagi starca. Nie wiemy czem sobie zraził sędziwy autor *Śpiewów historycznych* Słowackiego; najpewniej jakąś prywatną krytyką jego poezyj. która doszła uszu niesłychanie drażliwego na ujemne sądy ludzkie poety. Czytając te i inne charakterystyki. mimowoli przypominamy sobie fatalną przyjaźń Słowackiego ze Skibickim. który go na rok przedtem namawiał do napisania poematu drwiącego „o luminarzach naszych“. To też o wstępie do *Kordyana* można powiedzieć. że w nim pokutuje duch Skibickiego.

Mickiewicz nigdzie nie został dotknięty w owem *Przygotowaniu,* bo na to Słowacki wyznaczał osobny ustęp, nazwany przez niego prologiem. Był to plac odmierzony do walki z najbardziej nienawistnym wrogiem. W Prologu przemawiają trzy osoby: pierwszą z nich ma być Mickiewicz. między dwie drugie rozdzielił Słowacki siebie. Mickiewicz przedstawia tu siebie takim. jakim się wydał Słowackiemu. jako autor trzeciej części *Dziadów*. Trzeba oddać tym razem słuszność Słowackiemu. że pomimo wytężonego antagonizmu, przedstawił swego przeciwnika wprawdzie niezupełnie wiernie i z akcentowaniem stron ujemnych. w każdym razie w rysach nie odbiegających daleko od rzeczywistości. Oto jak przemawia pierwsza osoba prologu:

Boże! ześlij na lud twój wyniszczony bojem
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;

. . . .

Niech się we łzach nie budzi przed dniem zmartwychwstania,
A mnie daj łzy ogromne i męki niespania.
Po mękach wręcz mi trąbę sądnego anioła;
A kogo przed tron Boga ta trąba zawoła,
Niechaj stanie przed tobą. Daj mi siłę, Boże,
A komu palec przekleństw na czoło położę,
Niech nosi znak na czole...

. . . .

A kto ja jestem? Jestem duch Apokalipsy...

. . . .

W ręku siedem gwiazd niosę, a z ust mi wytryska
Miecz ostry, obosieczny; a twarz moja błyska
Jak słońce w całej mocy wyświecone kołem.
A gdy przedemną na twarz upadniecie czołem,
Powiem wam... Jestem pierwszy... i ostatnim będę.

Mistyczna charakterystyka pierwszej osoby prologu w znacznej części wzięta jest niemal dosłownie z *Objawienia św. Jana*, [1]) ale dość zręcznie zastosowana do autora trzeciej części *Dziadów*, w której pierwiastek mistyczny tak ważną odgrywa rolę. Wogóle w tej charakterystyce Mickiewicza miłość ojczyzny, duma i mistycyzm, te trzy główne tony *Dziadów*, uwydatnione są, jak widzimy, bardzo trafnie, ale najsilniejszy nacisk położył Słowacki na dumę i dlatego w zwierciedle swego prologu wykrzywił obraz swego przeciwnika. W okrzyku: „Jestem pierwszy i ostatnim będę“, pochwyconym także z Apokalipsy, było jakby oskarżenie Mickiewicza, że nie chce dopuścić nikogo do współrzędnego panowania w poezyi

---

¹) Dla porównania przytaczam odpowiednie ustępy z *Objawienia św. Jana*: (Rozdz. I, 12—17).

12. I obróciłem się, abym słyszał on głos, który mówił ze mną, a obróciwszy się ujrzałem siedm świeczników złotych.

13. A w pośrodku onych siedmi świeczników podobnego Synowi człowieczemu, obleczonego w długą szatę i przepasanego na piersiach pasem złotym;

14. A głowa jego i włosy były białe, jako wełna biała, jako śnieg, a oczy jego jako płomień ognia;

15. A nogi jego podobne mosiądzowi, jakoby w piecu rozpalone, a głos jego jak głos wielu wód.

16. I miał w prawej ręce swojej siedm gwiazd, a z ust jego wychodził miecz z obu stron ostry, a oblicze jego jako słońce, kiedy jasno świeci.

17. A gdym go ujrzał, upadłem do nóg jego, jako martwy. I włożył prawą rękę swoją na mię, mówiąc mi: Nie bój się! Jam jest on pierwszy i ostatni etc.

polskiej, albo jeszcze lepiej, że nie chce uznać Słowackiego za swego następcę i dziedzica swego tronu.

Druga osoba prologu przedrwiwa mistyczny zapał pierwszej. Słowacki za pośrednictwem tej drugiej osoby chciał przypiąć Mickiewiczowi kilka łatek, dość niefortunnych: więc, że podobny z postaci do tureckiego derwisza, że już siwieje, że słowa poetyckiego używa do zemsty na wrogach osobistych. Druga osoba jest jakby na to tylko wprowadzona, aby nadać pozór bezstronności trzeciej, która „spędza zwaśnionych obu ze scenicznych progów“, i zająwszy ich miejsce, zapowiada i zaleca nową poezyę patryotyczną — poezyę Słowackiego. Oto jak przemawia:

Zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.
Dajcie mi proch zamknięty w narodowej urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zedrę całun zgniły,
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami
Pozdrowieni uśmiechem — pożegnani łzami.

Zapowiedź bardzo niejasna. Cóż znaczą „aktorowie wyżsi o całe mogiły“? Zdaje się, że poeta chciał tu wskazać wyższość swego bohatera i jego towarzyszy nad Filaretami, bohaterami poematu Mickiewicza, wyższość polegającą na tem, że tamci narazili się tylko na więzienie i wygnanie, ci zaś położyli głowy. Ale czy położyli? W pierwszej części *Kordyana,* t. j. w tej, która jedynie istnieje, tego nie widzimy, zapowiedź zatem mogła się odnosić do dalszych części dramatu, o których poeta zapewne na seryo nie myślał, których planu nie układał, bo jak pierwsza część *Kordyana* była jakby echem pierwszego aktu trzeciej części *Dziadów,* tak i te dalsze części mogły były ułożyć się w głowie Słowackiego tylko pod wpływem dalszego ciągu *Dziadów.* Ale jest w tem zaleceniu *Kordyana* jeden wiersz, który bardzo trafnie charakteryzuje główną właściwość, główny urok poezyi Słowackiego i świadczy, że poeta jeśli nie zdawał sobie dokładnie sprawy, to przynajmniej czuł instynktowo, co jest tą właściwością, tym urokiem, co stanowi główną siłę jego poezyi. „Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem“, powiada trzecia osoba prologu, a z tej zapowiedzi błyskają ku nam tysiące ulotnych obrazów przyrody polskiej i niepolskiej, oblanych

światłem poezyi, a stanowiących istotny skarb wątpliwej nie pod jednym względem spuścizny po Słowackim.

Wiemy, że Słowacki nazywał swój nowy utwór „wielkiem dziełem"; podczas drukowania *Kordyana* pisał do matki: „Wyjście na świat tego poematu będzie dla mnie bardzo ważną epoką" [1]). Sądził, że *Kordyan* objawi go światu, a przynajmniej Polsce, jako wieszcza narodowego, a poruszając świeże uczucia i wspomnienia, wyniesie go odrazu na piedestał sławy. Zostawał on sam poniekąd pod wpływem własnego poematu i patryotyzm *Kordyana*, więcej z wyobraźni, niż z własnych wzięty wrażeń, udzielał się teraz samemu poecie. Domyślać się tego można z niektórych poetycznych westchnień poety, pojawiających się w listach do matki od czasu napisania *Kordyana*. Tak opowiadając matce (w liście pod datą 30 listopada 1833) o jakiejś wycieczce w młodej kompanii na wieś, podczas której wśród innych pieśni śpiewano chórem „Święty Boże", Słowacki dodaje: „Wystawcie sobie tę garstkę na obcej ziemi, a pewno uczujecie wrażenie, jakiem nas natchnęła ta pieśń pobożna... Nasze uczty połączone są ze smutkiem. Łzy pijemy w naszych kielichach i kielichy są pełne goryczy... dopóki Bóg ich od nas nie odwróci" [2]). W innym, późniejszym liście, prawie bezpośrednio po oznajmieniu, że wyjście na świat *Kordyana* ma być ważną dla poety epoką, znajdujemy takie westchnienie: „O, gdybyście wiedzieli, jak mi się nasz kraj pięknym teraz wydaje! szczególniej Litwa, do niej kiedyś świętą zrobię pielgrzymkę" [3]).

Puściwszy w świat *Kordyana*, przyczajony w bezimienności poeta z bijącem sercem wyczekiwał odgłosu wrażenia, jakie jego poemat wywrze na emigracyi, która była wówczas duszą i kwiatem polskiego społeczeństwa. Nie wstrzymywało to jednak rozbudzonej jego wyobraźni od dalszego tworzenia, i zaraz po napisaniu *Kordyana* zabrał się do pisania innego utworu dramatycznego, który, jak się można domyślać, pokrewny był treścią *Kordyanowi*. „Donoszę ci, Mamo, pisał 24 marca 1834, że teraz zajęty jestem pisaniem nowej tragedyi: o Wallasie, szkockim rycerzu... Wiesz, co mię do niej przywiodło? Długo myślałem, jaki w dziejach różnych narodów najczystszy jest bohater i z najpiękniejszą duszą. Przypomniało mi się, że niegdyś w dzieciństwie, kiedyś mię Mama do uczenia się francuskiego języka zachęcała, mówiłaś mi: „Poznasz

[1]) Listy I, 220. [2]) Tamże, 216. [3]) Tamże I, 220—221.

Wallasa życie". Samo imię Wallas uderzało magnetycznie na moją imaginacyę... Wystawiałem sobie coś podobnego do burzy, która w a l i l a s y. Nie mogę zdać sprawy z tego wrażenia, ale czuję je dotąd... W kilka lat potem czytałem romans: *Les Chefs Ecossais*. Mama wtenczas grałaś na fortepianie smutnego niemieckiego walca. Smutne wrażenie romansu tak się pomięszało z tą muzyką, że dzisiaj przez walc tylko romans widzę, jak we mgle... Teraz w różnych historyach poznałem się z rzeczywistym Wallasem. Już w tragedyi nie romansowie, ale w historycznej prawdzie maluję tego człowieka, ale składając tragedyę i pisząc ją teraz, często wstaję od stolika i idę do fortepianu i gram tego samego walca, aby koloryt wspomnień smutkiem napełnił moje karty". Następnie dodawał, że tragedyę tę chce poświęcić pamięci swego wuja Jana, który zginął w powstaniu [1]). Z tej genezy, przez samego poetę podanej, łatwo wyrozumieć, że Wallas miał być owocem tego nastroju patryotycznego, który fantazya poety przybrała w ciągu pisania *Kordyana*.

Czując w sobie wzbierającą twórczość, a niczem nie drażniony z zewnątrz, czując, że w *Kordyanie* wszedł na drogę, która go musi zaprowadzić do sławy, czując, że „jest tem, czem być powinien", że „nie minął swego powołania", Słowacki był zadowolony z siebie i ze swego ustronnego życia i tak pisał do matki jeszcze przed otrzymaniem jakichkolwiek wiadomości o powodzeniu swego *Kordyana:* „Wszystkie przyjemności życia mijają mię i obchodzą kołem, mówiąc „nie przeszkadzajmy temu człowiekowi, on o przyszłości pogrobowej marzy". O Mamo! ale ja jestem szczęśliwy tak, jak jestem i czasem nie mogę zrozumieć, jak ludzie inni bez takich wrażeń żyć mogą; zdaje mi się, że chleb, który spożywają, musi pachnąć nicością". Wprawdzie to, co mówił o przyjemnościach życia, nie jest dokładne, bo przyjemności go nie omijały i stanowiły spokojne ramy dla jego marzeń, ale w następujących potem pełnych poezyi słowach, które najdokładniej wyjaśniają słynne wyrażenie Słowackiego o „zjadaczach chleba", doskonale maluje się ów ciągły stan poety zapatrzenia się w sławę. Maluje się także i spokój, jakiego wówczas doznawał dzięki przyrodzie i towarzystwu szwajcarskiemu. „Piszę i chodzę po ogrodzie i tak całe długie dnie mi upływają... Sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą i zdaje mi się, że czuję ją do głębi mej duszy" [2]). Poczucie piękna przy-

---

[1]) Listy I, 230. [2]) Tamże 231.

rody rosło w nim razem z poczuciem siły swej twórczości, bo stanowiło główny element tej ostatniej.

Słowacki niedługo czekał na głos krytyki. W kilka tygodni po wyjściu *Kordyana* na świat ukazała się recenzya o nim w dzienniku *Le Polonais,* w kwietniowym zeszycie 1834 r. Miesięcznik ten, założony w połowie 1833 w Paryżu, w obronie praw Polski, pod protekcyą takich przyjaciół Polski, jak Montalembert, zaznajamiał Francuzów nietylko z cierpieniami ówczesnemi Polaków, z prześladowaniem, jakiego doznawali, nietylko z ich politycznemi dążeniami i nadziejami, ale i z literaturą, w szczególności emigracyjną. W poprzednich numerach redakcya podawała w przekładzie ustępy z *Dziadów* Mickiewicza, z *Ksiąg pielgrzymstwa,* wiersz *Do Matki Polki,* parę wierszy Garczyńskiego ze świeżego wydania jego poezyi. W tym samym numerze, w którym była recenzya *Kordyana,* był także *Farys* w tłómaczeniu Ostrowskiego. Sąd tego pisma miał dla Słowackiego wielkie znaczenie. Ponieważ pismo było przeznaczone i dla emigracyi i dla Europy, tędy więc była droga do sławy europejskiej.

Recenzya podawała naprzód dosyć szczegółowo i zupełnie objektywnie treść poematu i dodawała, że jakkolwiek z dzieła można łatwo poznać autora, który ukrył swoje nazwisko, nie będzie go jednak odsłaniała. „Jest to młodzieniec dobrze znany przez naszych ziomków. Złożył on już dowody talentu, a obecna książka pozwala spodziewać się jeszcze więcej po nim“. Po tych dopiero słowach następował właściwy sąd o *Kordyanie:* „W każdej poezyi można odróżnić dwie strony: ducha i formy, myśli i wyrażenia. Są ludzie poetyckiego ducha, ale nie posiadają liry Apollina, brak im pewnej harmonii, mowy wierszowanej. Są znów inni, pełni harmonii, ale brak im innej zdolności, innych przymiotów poetyckich [1]). Obawiamy

---

[1]) Toute poésie se compose de deux parties, de l'esprit et de la forme, de la pensée et de l'expression. Il y a des hommes remplis de l'esprit poétique, mais qui n'ont point la lyre d'Apollon, il leur manque une certaine harmonie, la langue des vers. Il y en a d'autres, qui sont pleins d'harmonie, mais qui manquent d'autre talent, d'autres qualités poétiques. Nous craignons que cela ne puisse s'appliquer en partie à l'auteur de Kordian“. Le Polonais, journal des intérêts de la Pologne. T. II. Paris 1834. Str. 187. Podaję ten ustęp w oryginale dlatego, że w komentarzu p. Biegeleisena do *Kordyana* (Słowacki — Dzieła T. V) a także w monografii p. Hoesicka (T. II, str. 53), który widocznie oryginału nie miał przed oczyma, a oparł się tylko na p. Biegeleisenie, ustęp ten przełożony został w sposób, który sens jego zupełnie odmienił. „Cały poemat pod względem ducha i formy, pod względem myśli i wykonania, rozpada się na dwie części. Są ludzie posiadający natchnie-

się, że to się da w części zastosować do autora Kordiana. Nowy ten utwór, jak i pierwsze tego autora, odznacza się bogactwem rytmu, czystością i siłą języka, harmonią, doborem wyrażeń. Poeta uderza czytelnika śmiałością wyrażania i rozwijania swej myśli. Ale za mało przemawia do serca, nie sprawia należytego wrażenia. Nie chcemy go sądzić według prawideł sztuki. Nie będziemy mówili o toku poematu, o sposobie rozwijania akcyi. Darujemy mu nawet błędy historyczne; talent może do pewnego stopnia usprawiedliwić kaprysy wyobraźni. Wolno poecie uchylać się trochę od prawdy: *Mendax poeta*. Chcielibyśmy za to inną w nim znaleźć zaletę: naturalność. Zdaje się, że muza autora Kordiana więcej czerpała z książek i opowiadań, aniżeli z natury i rzeczywistości i oto dlaczego jest nieco teatralną. Ale ta muza jest młodą, i ażeby się przekonać, jak wiele jeszcze można się spodziewać po niej, dość jest przypomnieć niektóre z tych pięknych utworów, które mu natchnęły okoliczności".

Recenzya w swej części krytycznej była krótką, ale zadziwiająco mądrą. Trafiała ona najcelniej w samo jądro rzeczy, w najsłabszą stronę *Kordyana* i całej poezyi Słowackiego: teatralność, ale czyniła to najdelikatniej, uwzględniając drażliwość młodego poety, z całem uznaniem i życzliwością podnosząc zewnętrzny czar jego poezyi. Ostatecznie wypowiadała ona to samo, co powiedział był przed blisko dwoma laty Mickiewicz o pierwszych dwu tomikach poezyi Słowackiego, mianowicie, że jego poezya to piękny kościół bez Boga, tylko tym razem wiadomo było dokładnie, co należało rozumieć przez słowo Bóg: prawdę uczucia. Dlatego też przypuszczam, że i ta recenzya, podana bezimiennie, jeżeli nie pochodziła w całości od Mickiewicza, to przynajmniej ten główny sąd swój zaczerpnęła od niego.

Że i Słowacki tak się domyślał, można to wnosić z jego słów w liście do matki z 27 kwietnia: „Mój śpiew ostatni, jeżeli nie podobał się, to zadziwił. W jednem z pism po francusku wydawanych czytałem o nim zdanie i rozbiór, pochlebne o tyle, ile przeciwna partya ganić nie może, a tą przeciwną partyą są nieszczęściem wszyscy poeci, na których czele Adam, od tego bowiem sam pierwszy stronić zacząłem" [1]. Jakkolwiek jednak z przekąsem odzywał się o recenyi,

nie, nie posiadający jednak artyzmu. Inni znowu wprawni w sztuce, nie mają talentu poetyckiego. Ani jedno, ani drugie nie może odnosić się do *Kordyana*". Wypadło zatem coś wręcz przeciwnego oryginałowi.

[1]) Listy I, 237.

widać z tonu słów przytoczonych, że nie odtrącał jej. jako niezasłużonej napaści, że uznawał w głębi ducha życzliwość, która z niej promieniowała. Czy wziął do serca i głęboką naukę. która w niej zawartą była? Możnaby myśleć, że nauka ta sprawiła na nim wrażenie, że w nowem świetle starał się przyjrzeć sobie i swojej poezyi i starał się nastroić odpowiednio do otrzymanej nauki. Wskazówkę pewną w tym względzie można znaleźć w cytowanym tylko co liście poety. Donosząc o tem. że codzień odczytuje Kochanowskich. tak pisał: „Jak ten Jan Kochanowski był spokojny i szczęśliwy w swojej chacie. z żoną, z dziećmi. Pod wyniosłą lipą Czarnolesia musiał sobie po obiedzie zasypiać i do tej lipy tak piękne wiersze napisał. Prawdziwie mu zazdroszczę jego chaty. lipy, żony, dzieci i czasów szczęśliwych, w których żył... Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki. których używam, zmierzają do tego, abym w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył. Dotąd już tyle w tej nauce postąpiłem. że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniętą przez godność natury człowieka. Zewsząd widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności próżno się o zewnętrzną starają". To dążenie do spokoju wewnętrznego, to wielbienie spokoju w życiu i poezyi Kochanowskiego nie byłoż jeżeli nie równoznaczne, to przynajmniej równoległe z dążeniem do naturalności i szczerości w poezyi, zalet, których brak w nim recenzya wskazywała.

Niebawem — latem 1834 — nastały czasy najszczęśliwsze dla wyobraźni Słowackiego. Dotychczas nie ruszając się z Genewy korzystał on tylko z tych widoków, jakie mu Genewa nastręczyła; teraz w towarzystwie rodziny Wodzińskich odbył dłuższą wycieczkę po górach Szwajcaryi i wyobraźnia jego wzbogaciła się mnóstwem nowych. nieznanych mu dotąd obrazów przyrody szwajcarskiej. „Nigdy w życiu mojem nie widziałem jeszcze tak pięknych obrazów, jak te. które przed dwadzieścia dni przemijały przed mojemi oczyma", pisał do matki w sierpniu 1834 [1]). Z brylantowej przędzy wrażeń. odniesionych w tej podróży, miał w kilka lat potem utkać swój najświetniejszy poemat *W Szwajcaryi.* Ale bezpośrednio po podróży, choć miał „imaginacyę, jak salon pałacowy ustrojoną nowemi malowidłami". nie rwał się do pisania, jakby czekając na to, ażeby muza jego wyrobiła w sobie tę zaletę, której brak jej wskazywano: naturalność. prostotę. Dopiero w jesieni tego roku. pod wpływem pewnego kompli-

[1]) Listy I, 251.

mentu. który usłyszał z pięknych ust panieńskich o swoim wołyńskim sposobie tańcowania mazura, zapaliła się nagle jego wyobraźnia i w ciągu kilkunastu dni galopem napisał tragedyę o Mazepie.

Tymczasem dochodziły go wieści o nowym poemacie Mickiewicza. Jego paryscy korespondenci donosili mu o *Panu Tadeuszu,* zanim jeszcze został w „kurs puszczony“ i na podstawie tego, co wiedział od nich, donosił matce, „że Pan Tadeusz jest to szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811—1812 rokiem“ [1]. I w następnym liście z końca września 1834, także jeszcze przed odczytaniem *Pana Tadeusza,* wspominał o nowym utworze Mickiewicza i dodawał, bodaj czy szczerze: „Cieszę się zawsze, ile razy nowego co wychodzi, bo dla literatury naszej nietylko trzeba, aby było dobre, ale też aby i wiele było, inaczej zawsze francuszczyzna będzie w modzie“. Dla samego twórcy *Pana Tadeusza* ciągle żywił głęboką niechęć i w jednym z listów, w tym samym, w którym wychwalał matce swoją „cienką postawę“ i swego „wołyńskiego mazura“, donosząc o małżeństwie Mickiewicza, szydził z jego powierzchowności, szydził w sposób, który trącił dawną zażyłością i przyjaźnią ze Skibickim. „Prawdziwie, że nie mogłem wierzyć zrazu, gdy mi o tem powiedziano, bo ten Adam, to czysty szczep suchy, ma minę lokaja najczęściej, czasem szalonego od Bonifratrów i nie lubi nosić guzików rzędami osadzonych na sukni, ale je obrywa, gdy są do pary“ [2]. Jakże daleko jeszcze był Słowacki w praktyce od owej „filozoficznej piękności moralnej“, do której w teoryi chciał zdążać!

Nareszcie dostał do rąk *Pana Tadeusza,* przeczytał i — został zwyciężony. To, czego brak zarzucała mu krytyka, stawało teraz przed nim w najdoskonalszem wcieleniu. Był to najwyższy tryumf poezyi Mickiewicza: siła szczerości i prostoty tak słonecznie biła z Mickiewiczowskiego arcydzieła, że rozbroiła duszę jego zaciętego przeciwnika. Pycha, zawiść, nienawiść, wszystkie uprzedzenia i urazy Słowackiego stopniały wobec majestatu piękności, której głównemi cechami były: szczerość i prostota. Świadczy o tem wyraźnie list jego do matki z 18 grudnia 1834: „Bardzo piękny poemat, podobny do romansu W. Scotta, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś świeżość dawnych opisów, coś dziwnie zachwycającego prostotą... Wiele opi-

---

[1]) Listy I, 250. [2]) Tamże, 268.

sów miejsc, nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych. Natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy niż smutny, a jednak często z najweselszych na pozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poemat zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca, dmącego w róg myśliwski, cudowny opis, trochę mi przypomniał Pana Jakóba trąbiącego w lesie i drugi opis żyda grającego na cymbałach także prześliczny... Chciałbym, abyście ten poemat prędko czytać mogli...“

I o samym Mickiewiczu jakże inaczej teraz się odzywał, aniżeli przed miesiącem, jak inne myśli nasuwały mu się teraz, gdy siebie z nim porównywał. „Co do samego autora, piszą mi z Paryża, że żyje dobrze z młodą żoną, a żona ta ma być piękna i ładnie gra na fortepianie. Nie dziw, bo córka Szymanowskiej. Co wieczora mnóstwo naszych braci schodzi się do mieszkania poety i bawią go, a on ciągnąc dymy z cybucha, słucha i uśmiecha się. Co za sprzeczność z mojemi samotnemi wieczorami! Niech będzie ze mną, jak Bóg chce, w tej smutnej wędrówce życia“. Zwracałem już uwagę na ten ustęp, a powtarzam go teraz dlatego, że uwydatnia on, jak właśnie wtedy, pod wpływem silnych wrażeń odniesionych z lektury *Tadeusza,* przed skruszoną duszą poety silniej niż kiedykolwiek zarysowała się tragiczność jego życia: obojętność serc ludzkich dla tego, który, przy największych skarbach wyobraźni, w sercu nie miał nic prócz miłości własnej. Rozglądając się w takiej chwili po horyzoncie swoich stosunków i znajomości, uczuwał dreszcz trwogi. „Droga, kochana Mamo! tylko ty nie opuszczaj mię myślą swoją, bo tak, to mniej jestem samotny niż wielu ludzi, bo wiem, że posiadam coś czego mi ludzie zazdrościć mogą: twoje przywiązanie. Kiedy myślę przed zaśnięciem o mojem położeniu, to mi nieraz włosy na głowie wstają. Oprócz moich gospodyń, które mi sprzyjają bardzo, nie mam przyjaciela na tym szerokim świecie“ [1]).

Jakże oddziałał *Pan Tadeusz* na twórczość poetycką Słowackiego? Dotychczas prawie każdy nowy utwór Mickiewicza: *Sonety, Farys, Dziady* (część III) pobudzał Słowackiego do współzawodnictwa, do zmierzenia się z wielkim przeciwnikiem na jego własnem polu; Słowacki puszczał się w ślad za Mickiewiczem naturalnie w tej myśli, aby go prześcignąć, naśladował, aby go przewyższyć. Teraz było

---

[1]) Listy I, 275–276.

inaczej. Poruszony do głębi pięknością *Pana Tadeusza*, Słowacki nie myślał teraz o ponownem mierzeniu się z jego twórcą, składał broń przed arcydziełem, czując, że na nowo obranej przez Mickiewicza drodze, sprostać by mu nie mógł. Próba takiego zmierzenia się miała kiedyś później nastąpić. — zachowały się jej ślady w urywkach dalszego ciągu *Pana Tadeusza* — teraz, o ile można wnosić z jego ówczesnej korespondencyi, nie przychodziło mu nic podobnego do głowy.

„Nie wiem dlaczego, ale większa niż kiedykolwiek melancholia i obojętność napadły na mnie“, pisał w tym samym liście do matki, w którym dzielił się wrażeniami z odczytania *Pana Tadeusza*. Jest w tych słowach, jakby ton rezygnacyi i uspokojenia, które rezygnacya przynosi z sobą. Możnaby myśleć, że szczyt poezyi, na który wzniósł się Mickiewicz w ostatnim swoim utworze, wydał się Słowackiemu tak niespodziewanie wysokim, że zmęczony dotychczasowem pięciem się w górę, aby podążać za swoim przeciwnikiem i dogonić go, gdy go ujrzał nagle tak wysoko nad sobą, stracił na chwilę wiarę w skuteczność gonitwy i zaprzestał jej, dając folgę znużeniu. W melancholijnej rezygnacyi, jaka go wtedy ogarnęła, myśl jego biegła nie w przyszłość, ale w przeszłość, ku czasom wileńskim i krzemienieckim. „Wszystko, co zniknęło w przeszłości, ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos“: Że w tym zwrocie myśli ku czasom dzieciństwa i pierwszej młodości był także wpływ *Pana Tadeusza*, przyznawał to sam poeta dodając: „Adama nowy poemat obudził we mnie także wiele dźwięków przeszłości“. I nie mogło być inaczej. Wszakże to „kraj lat dziecinnych“, jak wiemy ze wstępu do epopei, (którego Słowacki nie znał), „kraj lat dziecinnych“ ze swoją świeżością barw i czystością wrażeń był głównem źródłem natchnienia dla Mickiewicza przy tworzeniu *Pana Tadeusza*.

Była inna jeszcze przyczyna pewnej bezwładności, której doznawała wówczas muza Słowackiego. Oto świeżo ukończył był pisać *Balladynę* i przez kilka tygodni władze jego myślenia „rozkręcały się teraz, jak struny jakiego instrumentu“. *Balladynę*, jak z wszystkiego w niej można wnosić, zaczął pisać, jeżeli nie ukończył, jeszcze przed poznaniem *Pana Tadeusza*. Najwięcej przemawia za tem brak wszelkich mimowolnych (a tak zwykłych u Słowackiego) reminiscencyj z mickiewiczowskiej epopei[1]). W *Balladynie* widnieje na każdym

[1]) Dopiero w ostatniej scenie, słowa strażnika:

niemal kroku nie wpływ Mickiewicza, ale, jak to wszyscy zgodnie uznają — wpływ Szekspira. Wpływ pierwszego ogranicza się tylko do pewnego pokrewieństwa pomiędzy bohaterką tragedyi a mickiewiczowską „panią, co pana zabiła“ z ballady *Lilie,* a także pewnego zewnętrznego podobieństwa Goplany do mickiewiczowskiej Świtezianki [1]). Co się tyczy wpływu Szekspira, do tego sam Słowacki przyznawał się do pewnego stopnia we współczesnym liście do matki: „Nie mogę tu ci dać, kochana Mamo, wyobrażenia dokładnego rodzaju dramatyczności w mojej tragedyi. Jeżeli ma ona rodzinne podobieństwo z którą znajomą sztuką, to chyba z królem Learem Szekspira. O gdyby stanęła kiedy przy królu Learze!“ [2]). Że tu się Słowacki mylił, to rzecz widoczna. W *Balladynie* odzywa się echo *Króla Lira* obok wielu rozmaitych ech szekspirowskich, to prawda, nie ono jednak jest najsilniejszem: daleko silniej odzywają się echa motywów *Makbeta* i *Snu nocy letniej.*

Tak więc nie z Mickiewiczem szedł w zawody Słowacki, pisząc *Balladynę,* i jeżeli to współzawodnictwo odgrywało jaką rolę przy tworzeniu tej tragedyi, to chyba taką, że Słowacki w razie podniesienia się na wysokość twórcy *Króla Lira,* o czem marzył, mógł się czuć wyższym od Mickiewicza. Ale na co chcę zwrócić uwagę, mówiąc o *Balladynie,* to na pewną jej zależność od krytyki *Kordyana,* umieszczonej w dzienniku *Le Polonais* i od wskazówek, jakie znalazł tam Słowacki dla siebie. Zarzucono mu tam teatralność, zalecono naturalność, a jednocześnie rozgrzeszano go z dowolnego traktowania historyi, przez wzgląd na talent usprawiedliwiano kaprysy wyobraźni. Słowacki, który dotychczas swoje dramata osnuwał na tle historycznem, w tej krytyce, akcentującej zasadę: *mendax poeta,* znajdował poniekąd zachętę do przeniesienia swych kreacyi dramatycznych na tło legendowe i do puszczenia cugli wyobraźni, niczem nie krę-

---

A cała niebios równina niebieska,
Jakby się z jednej urągała chmury.

przypominają słowa Tadeusza o okręcie, który płynie „po niebios błękitnej równinie“.

[1]) To podobieństwo występuje naprz. w tych słowach Goplany do Grabca:

Mój drogi!
Więc teraz co wieczora na leśne rozłogi
Musisz do mnie przychodzić. Będziemy błądzili,
Kiedy księżyc przyświeca, kiedy słowik kwili,
Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem
Będziemy razem marzyć przy księżycu.

[2]) Listy I, 272—273.

powanej prócz estetycznego poczucia, a wzory gotowe znajdował w *Śnie nocy letniej* i *Burzy* Szekspira. Myślę, że to owa krytyka zwróciła Słowackiego w tę okolicę szekspirowskiego świata i że to ona pobudziła go do przeciwstawiania zewnętrznej prawdzie historycznej wewnętrznej prawdy uczuć. Posłuchajmy, co sam Słowacki pisał o swojej *Balladynie* tak w liście do matki, jak i w przedmowie do Zygmunta Krasińskiego. „Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła — czytamy w liście do matki — ta tragedya jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nie tknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, ułożona tak, jakby ją gmin układał, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwemi i aby w sercu mieli nasze serca...“ [1]. A w przedmowie zwróconej do autora *Irydiona* mówił, że jego *Balladyna* „obdarzona jest wnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie“ i że „niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy“, jeżeli to, co poeta stworzył „ma wnętrzną siłę żywota“, jeżeli stworzone zostało „podług praw boskich“, „to *Balladyna* wbrew rozwadze i historyi zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości“.

Tak więc i w jednym i w drugim razie silnie akcentował prawo poety do tego, co wiadoma krytyka *Kordyana* nazywała kaprysami wyobraźni. Ten piorun zaś, który rozwiązuje tragedyę, a przypomina cudowne rozwiązanie ballady *Lilie,* wprowadzony został, dość niefortunnie, do epilogu, z jednej strony, aby dać poecie sposobność do traktowania „z aryostycznym uśmiechem“ historyi, z drugiej — aby powtórnie wywrzeć na Lelewelu publiczną zemstę literacką za jego sąd o ojczymie, wypowiedziany w broszurze „Nowosilcow w Wilnie“. Nie wystarczały Słowackiemu szyderstwa, któremi osypał Lelewela w *Kordyanie* (w scenie stwarzania ludzi dla wieku XIX), wprowadził go znowu na scenę w epilogu *Balladyny,* dał mu nazwę podobną z brzmienia do jego nazwiska (Wawel) i kazał

---

[1]) Listy I, 272.

prawić niedorzeczności uroczystym tonem nauki. W słowach Publiczności do dziejopisa:

Jakżeś ty piorunowy opisał przypadek?
Powiedz! myśmy widzieli rzecz całą do końca.

jest jakby alluzya do słów Lelewela (w broszurze *Nowosilcow w Wilnie)* o śmierci doktora Bécu od piorunu. Jeszcze widoczniejsza alluzya, nie tyle godząca w Lelewela, ile w Mickiewicza, jako autora III części *Dziadów,* zawiera się w słowach samego Wawela:

Ten, co w laurach chodzi,
Autor niniejszej sztuki, słusznie wam opowie,
Że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie,
Piorun weń nie uderzył.

Miało to zapewne znaczyć, że ustęp o doktorze w *Dziadach* był piorunem, ciśniętym w Słowackiego, ale takim, który mu nie zdołał zaszkodzić. Bądź co bądź, ten epilog, wciągający motywy osobiste i dla nich tylko napisany, jest niemiłym grymasem, mocno osłabiającym wrażenie tragedyi; myślę też, że napisał go poeta nie razem z tragedyą, ale dopiero później, kiedy się zabierał do wydania *Balladyny.*

Niedługo po napisaniu *Balladyny,* na wiosnę 1835, otrzymał Słowacki wiadomość, że matka i wujostwo wybierają się za granicę, że więc będzie się mógł z nimi, przynajmniej na jakiś czas, połączyć. Jak przyjął tę wiadomość? Jużcić rad był zobaczyć się z matką, ale nad tem pragnieniem górowała obawa, że ten wyjazd może nadwerężyć interesa ich majątkowe, a on tak potrzebował pieniędzy nietylko na utrzymanie swoje, ale i na wydawanie coraz to nowych utworów swoich poetyckich. Na zapytanie jej, co myśli o tym zamiarze, odpowiedział w taki sposób, że matka zamiaru zaniechała i tylko wujostwo Teofilowie do Włoch się wybrali [1]). Tymczasem budował nowy dramat, wciąż z szekspirowskiego lasu wywożąc materyał, tylko z innej niż przedtem jego okolicy. Był to pozujący na Hamleta Szczęsny z dramatu p. t. *Horsztyński,* który wraz z *Balladyną* i może innemi jeszcze utworami miał leżeć w tece poety i czekać

[1]) „Więc, mamo moja, ty co jesteś na miejscu, dobrze tylko rozważ, czy przerwa w zwyczajnych naszych interesach nie zabije nas zupełnie. Jeżeli wszyscy nasi Debitorowie są honorowymi ludźmi, jeżeli w kiesce z Teofilem będziesz mogła złożyć 4000 fr., to jest trzecią część wydatków, jeżeli na rok drugi popłacą ci procenta, jeżeli pewna jesteś, że powróciwszy, znajdziesz wszystko nieodmienione — jedź, przyjeżdżaj“. Listy I, 293. Znaczyło to tyle, co nie przyjeżdżaj.

lepszych czasów. „Bóg wie, dla kogo piszę i kiedy to wydrukuję“, skarżył się poeta przed matką. „Kiedyś to wszystko ktoś wyda na świat, może mały Stasio, jak dorośnie“ [1]). Sam nie miał środków do wydawania nowych utworów swoich, a nakładcy się nie zjawiali.

Wśród tak zatarasowanej drogi do sławy przychodziły mu do głowy myśli matrymonialne. Bogate małżeństwo mogło go wydobyć z trudnego położenia i otworzyć wszystkie rogatki na gościńcu sławy. W jego otoczeniu genewskiem była bogata panna polska, Marya Wodzińska, ta, z którą przed rokiem odbywał wędrówkę po górach, do której albumu wpisał wiersz żartobliwie smutny. Że jej nie kochał, ani miłością opiewaną w poemacie *W Szwajcaryi,* ani jakąkolwiek inną, mniej eteryczną, ale szczerą, o tem wątpić nie można, znając usposobienie Słowackiego i znając jego listy współczesne do matki. Ale ożenić się z nią, gdyby się w nim zakochała, znaleść w niej opiekunkę swych materyalnych interesów, jaką dotychczas znajdował w matce, skojarzyć z jej majątkiem swój geniusz poetycki i wyzwolić go od zależności pieniężnej? Tego Słowacki pragnął potajemnie i pod wpływem tego pragnienia łudził się, że fala wypadków, fala codziennych stosunków z rodziną Wodzińskich niesie go ku temu brzegowi. Najwięcej złudzić go mogła w tym względzie ta okoliczność, że na lato w r. 1835 rodzina Wodzińskich przeniosła się do domu pani Pattey, w którym sam mieszkał. Ślady tego złudzenia, a także rozczarowania, które potem nastąpiło, przeświecają i w listach do matki. Donosząc matce, że „mąż pani Wodzińskiej przyjechał po nią i ma wkrótce porwać stąd całą rodzinę“ i zazdroszcząc im, że „wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnuć sobie domowe szczęście“, Słowacki, czynił zwrot do siebie i pisał: „Pamiętasz, mamo, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilia wodna niech się tobie zamieni w jedną miłą, spokojną i cichą duszkę, a zrozumiesz moje żądanie... O! o! o! z takim wykrzyknikiem konają osoby w moich tragedyach... z takiem długiem westchnieniem kona moja nadzieja...“ [2]).

Że tą lilią wodną miała być Marya Wodzińska, to rzecz jasna; widocznie też za zbliżaniem się terminu wyjazdu Wodzińskich z Ge-

[1]) Listy I, 299. [2]) Tamże 303.

newy zaczynały chwiać się matrymonialne nadzieje Słowackiego. Wprawdzie o Maryi Wodzińskiej w tym samym liście pisał, że i ona „także zapłynęła trochę w kraj ideału“, ale stosował potem do niej ogólną uwagę, która wskazywała, że niewiele mógł budować na jej poetyckiem usposobieniu. „Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej realności“.

Żeby wyjść z niepewności, obudzić wyraźny objaw uczucia w tej, w której podejrzywał utajoną dla siebie miłość i przyspieszyć rozwiązanie sprawy, która go od dłuższego czasu zaprzątała, postanowił wyjechać z Genewy jeszcze przed wyjazdem Wodzińskich. Tak sobie tłómaczę jego trzymiesięczny pobyt w Veytoux. Oświadczyć się sam nie chciał, nie śmiał, ale chciał, aby zwrócono uwagę na jego dziwny wyjazd, aby go szukano i pociągnięto do oświadczenia się. Nikt o tem, jak wiadomo nie myślał, to też kiedy rodzina Wodzińskich wyjechała z Genewy, Słowacki pisał do matki: „Takiego doznaję uczucia, jak gdyby mi się coś na świecie przez dwa lata klejonego nie skleiło“ [1]). Nie przeszkodziło mu to jednak w trzy lata potem wmawiać w siebie i w matkę, że „młodziutka Marya kochała go krótko, ale mocno, jak zazwyczaj młode polskie dziewczynki kochają“ [2]).

Po tym zawodzie matrymonialnych nadziei ostatnie miesiące pobytu w Szwajcaryi przechodziły Słowackiemu smutno i nudno, zwłaszcza że i fantazya nie dawała się ożywić i rozruszać. „Ja, co zawsze w jesieni nawiedzany byłem przez jakąś nową myśl poematu. — pisał do matki 29 listopada 1835 — tego roku głowę mam podobną do niezapalonej latarni; więc nudzę się, czczość myśli jest największą dla mnie męką: nie wiem, o czem marzyć, a nie mając w głowie żadnego zmyślonego obrazu, muszę myśleć o nudnej rzeczywistości“. Ale ten stan jałowości miał swoje dobre strony: poeta skupiał się, dojrzewał, doskonalił i zupełnie inaczej, niż przedtem spoglądał na swoje dawniejsze utwory poetyckie. W tych czasach matka w jednym z listów swoich przesłała mu szczegółowe uwagi o jego utworach poetyckich, o ile je znała z trzech wydanych tomików. Odpowiadając na ten list pisał: „Zgadzam się zupełnie na wszystko i wyznam ci, najdroższa, że ten list zapalił mię, abym podwoił usiłowań, abym

---

[1]) Listy I, 308.

[2]) Listy II, 98.

ciebie... czem lepszem uradował, bo wyznam ci, że znienawidziłem moje pierwsze utwory. Czuję potrzebę większej doskonałości, rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcej łez było w słowach" [1]).

Co wpłynęło na to, że poeta znienawidził swoje pierwsze utwory i poczuł potrzebę i chęć większej doskonałości? Myślę, że działał tu na poetę naprzód *Pan Tadeusz,* w którym widział, jak „cała natura czuje i żyje", w którym tyle było „jasnego", a przecież „często z najweselszych miejsc smutek ujmował" duszę Słowackiego. Powtóre oddziałał w tym kierunku, jak to wiemy od poety z tegoż samego listu — trzechmiesięczny pobyt w Veytoux w ciszy, w samotności, „pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia". Wtedy to przyroda uczyła go tej harmonii, „która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem", wtedy to „zastanawiał się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnemi dźwiękami natury". Przypuszczam wreszcie, że i głos krytyki, na którą tak był wrażliwy Słowacki, miał także pewien udział w wywołaniu tej chęci poety doskonalenia się w artyźmie i tego niezadowolenia ze swoich pierwszych trzech tomów poezyj, o którem pisał w liście do matki.

Właśnie na kilka miesięcy przedtem zaczął wychodzić w Krakowie poważny miesięcznik literacko-naukowy, *Powszechny pamiętnik nauk i umiejętności* i zaraz w pierwszych zeszytach zaczął drukować obszerną jak na owe czasy rozprawę Goszczyńskiego o współczesnej poezyi polskiej (Nowa epoka poezyi polskiej). Goszczyński, gorliwy wyznawca zasad Brodzińskiego, wielbiący jego *Wiesława,* jako „zorzę, ukazującą polskiemu narodowi ową stronę nieba, z której wejdzie mu słońce prawdziwej jego poezyi", pragnący, aby poezya polska czerpała soki swoje tylko z gruntu rodzimego polskiego lub słowiańskiego, a nie poddawała się wpływom angielszczyzny i niemczyzny, z tego stanowiska sądził wszystkie utwory nowszej poezyi polskiej, o ile mu — w chwili pisania rozprawy — były już znane. I sądził ostro, nie oszczędzając ani Mickiewicza, jako autora ballad, *Wallenroda* i pierwszych *Dziadów* (trzeciej części *Dziadów* i *Pana Tadeusza* widocznie jeszcze nie czytał) ani nawet samego siebie, jako autora *Zamku Kaniowskiego,* którego grzechy przypisywał „czarnej melancholii Byrona".

---

[1]) Listy I, 314.

W zeszytach majowym i czerwcowym *Pamiętnika* były ustępy poświęcone Słowackiemu [1]). Goszczyński z wielką i szczerą życzliwością witał nowego poetę na horyzoncie polskim (Przed kilku laty zjawił się na chlubę i pociechę naszą niepośledni poeta Juliusz Słowacki), nazywał go „wyższym zdolnościami nad tłumem“, „poetą znakomitych nadziei“, ale jednocześnie ostro krytykował jego poezye zawarte w trzech pierwszych tomach (a więc bez *Kordyana),* zarzucał im brak rodzimości lub oryginalności, twierdził, że „przez błyskotki powierzchownej fantazyi są bardziej dla zmysłów, jak dla duszy“ i porównywał je do pozrywanych i powtykanych w ziemię w dziecinnym ogródku „kwiatków chwilowego życia i woni“.

Czy Słowacki, pisząc do matki, że „znienawidził swoje pierwsze utwory“, znał już ową krytykę? Pewności w tym względzie mieć nie można, ale wiedząc, jak się interesował wszystkiem, co o nim gdziekolwiek pisano, i wogóle ruchem literackim polskim, łatwo przypuścić, że już mu owa krytyka była wtedy znaną, a jako pomimo surowości swej życzliwa, mogła się przyczynić do owego niezadowolenia poety ze swoich pierwszych utworów.

ROZDZIAŁ IV.

Wschód i Włochy.

1836—1838.

Stosunek do wujostwa w Rzymie. — Znajomość z Zygmuntem Krasińskim i jej wpływ na Słowackiego. — Podróż na Wschód. — Nastrój poety, jak się objawił w poemacie opisującym podróż. — *Grób Agamemnona.* — Czego Słowacki żądał od narodu. — U grobu Chrystusa. — Geneza i znaczenie *Anhellego.* — Pobyt we Florencyi — Życie salonowe. — Próby miłości w celach artystycznych: Amerykanka, stosunek z Fornariną. — Aniela Moszczeńska. — Nadzieje pokładane w *Anhellim.*

W początkach roku 1836 wybrał się nareszcie Słowacki do swoich wujostwa, którzy już na niego oddawna czekali we Włoszech, a których od lat wielu nie oglądał. Harmonia między Januszewskimi a siostrzeńcem z początku dobra, niedługo psuć się zaczęła, a przyczyny tego bardzo dokładnie przedstawił Słowacki w swoim liście do matki z Rzymu. Skarżąc się, że „stracił serce Fila“ i przy-

---

[1]) *Powszechny Pamiętnik* 1835. T. I, str. 221 i 370—371.

znając się po części do winy, tak pisał: „Na początku mego tu pobytu żyłem z niemi ciągle razem, całe dnie i wieczory przepędzałem na gawędce, razem chodziłem na obiad, słowem bez żadnej myśli zapisałem im wszystkie godziny mego życia. Tymczasem przybyło tu wielu ziomków moich; sami Filowie powiedzą Ci kiedyś, że nie szukałem ich znajomości i tak dalece stroniłem, że wszyscy prawie musieli mnie pierwsi szukać w mojem mieszkaniu i pierwsi robić znajomość, a chociaż wszyscy zapoznali się z Teofilami, przywykli do kawalerskiego, biegającego i cygara palącego życia, powoli wszystkiemi sposobami starali się mnie przyciągnąć do swoich mieszkań, bo moje mieszkanie tak jest z Filów salonem połączone, że u mnie przesiadywać bez żenowania się nie mogli; stąd poszło, że po kilku tygodniach zacząłem rzadziej w domu siedzieć.“ To był jeden powód nieporozumienia; drugi ważniejszy był taki: „Przeczytałem był wszelkie prace moje Filom, które się im niebardzo podobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie. Młodzi moi znajomi z chciwością pożerali, cokolwiek im udzieliłem. Wiesz, droga, że dusza najmędrsza wiele ma miłości własnej i choć się jej broni, jak może, mimowolnie jednak woli pełne zapału pochwały, niż zimne i grzeczne pochwalenie krewnych. Nawet w tej smutnej walce z imaginacyą ostygającą potrzeba czasem, aby obcy dodali jaką skrę...“ [1]).

To, co Słowacki czytał swoim krewnym, to nie były owe pierwsze utwory, które sam znienawidził, a które przedtem już wujostwu były niewątpliwie znane, ale rzeczy nowe, w ostatnich czasach pisane, między nimi *Balladyna,* utwory, które uważał za nierównie wyższe od dawniejszych i na których chciał teraz oprzeć swoją sławę. Więc czuł żal do wujostwa, że nie dość chwalili jego poezye, ci zaś mieli mu za złe, że przenosił towarzystwo młodych wielbicieli swej poezyi nad towarzystwo rodzinne.

Pomiędzy tymi młodymi znajomymi był człowiek, który w historyi ducha Słowackiego miał bardzo ważną odegrać rolę — Zygmunt Krasiński. Z nim to najwięcej biegał po Rzymie, i „gadał po szalonemu językiem imaginacyi“, z nim najczęściej przepędzał wieczory w willi Mills, w ogrodzie na ruinach dawnego pałacu Cezarów, „przy świetle księżyca, kiedy kwiaty wydawały dziwne zapachy, kiedy ruiny, otaczające tę willę, przybierały kształt duchów, a Rzym daleki w mgle sinej tonął“. Jemu to przedewszystkiem czytał swoje poezye,

---

[1]) Listy II, 4—5.

on przedewszystkiem przyjmował je z uwielbieniem i zapałem, jego też towarzystwu zapewne więcej, niż powietrzu włoskiemu zawdzięczał „tysiąc zachceń, tysiąc wielkich podlotów do nieba“, o których wówczas pisał do matki.

Zygmunt Krasiński był już wtedy autorem *Nieboskiej Komedyi* i *Irydiona,* od kilku lat już wyszedł był z tej fałszywej poetyczności, w którą drapował się jeszcze jako autor *Agaj Chana,* a którą potępił w *Nieboskiej,* a przecież jako poecie, jako styliście, coś mu z tej dawnej maniery pozostało i wtedy — i na zawsze. Jego koturnowość była zdaleka pokrewną teatralności, z której się wyzwolił, i dlatego to, sądzę, i w poezyi Słowackiego teatralność nie raziła go tak, jak innych współczesnych, a stąd i wszystkie dodatnie strony tej poezyi, wszystkie jej szczęśliwe i śmiałe wyrażenia, jej subtelne arabeski, jej ulotne błyski i uśmiechy, cała gra kolorów oraz harmonijność i płynność jego wiersza, wszystko to większe na nim, niż na innych sprawiało wrażenie, bo nie było poczuciem owej teatralności osłabione. Później starał się rodzaj poezyi Słowackiego filozoficznie wytłómaczyć, co zaś myślał o Słowackim i jego poezyi w czasach pierwszego z nim zbliżenia się, wiemy o tem z jego listów współczesnych do przyjaciela — Gaszyńskiego. „Jest tu Juliusz Słowacki — pisał z Rzymu — młody człowiek, ogromem poezyi obdarzony od niebios. Kiedy ta poezya w nim dojdzie harmonijnej równowagi, będzie wielkim. *Kordyan* jest poematem zapału, szaleństwa; są w nim pyszne położenia i dziwnie trafne pojęcia. *Marya Stuart* jest także znakomitą. Mickiewicz nawet sam nie miał tak rożnobarwnej i giętkiej wyobraźni. Jednak trzeba, by te żywioły doszły w Słowackim do harmonii muzycznej, by sztuczniej jeszcze nauczył się godzić dyssonanse z prawdziwemi dźwiękami. Brak mu czasem powagi, bez której poezya może być miłą igraszką, ale nigdy nie zostanie częścią świata. Tej on nabędzie, bo zdolności tak silne nie ustają, nie słabną, aż odbędą drogę sobie przeznaczoną i wydadzą wszystkie owoce w nich nasiennie zawarte. Garczyński nie miał i trzeciej części jego ducha, choć tak w obłoki podchwalony przez Mickiewicza“ [1]).

Z tych słów widać, że Krasiński zupełnie z innego stanowiska zapatrywał się na poezyę Słowackiego niż Mickiewicz i ci co szli za jego głosem. Mickiewicz szukał przedewszystkiem wysokiej myśli, szczerości i głębi uczucia, formę stawiał na drugim planie; i dlatego

---

[1]) Listy Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1882. T. I, str. 80.

mógł wysoko wynosić poezyę Garczyńskiego, która nieraz formę miała nieudolną; sam piękny kościół nie olśniewał go, gdy w nim nie czuł obecności Boga. Krasiński w przytoczonych powyżej słowach spoglądał na poezyę przeważnie ze stanowiska sztuki, formy, więc miał do zarzucenia Słowackiemu nie brak szczerości, nie gonienie za efektem, tylko nie dość sztuczne rozwiązywanie dysonansów. Olśniony zewnętrznemi blaskami poezyi Słowackiego, czuł wprawdzie czasem brak w niej powagi, ale źródła tego braku nie spostrzegał, gdy przypuszczał, że Słowackiemu sam rozwój zdolności artystycznych ją przyniesie. A kiedy Gaszyński, odpowiadając Krasińskiemu na jego uwagi o Słowackim, czynił jakieś objekcye, Krasiński krótko mu odpowiedział: „Mów co chcesz, Juliusz Słowacki jest poetą i kiedyś imię jego świetnem będzie“ [1]).

A jednak zewnętrzny urok poezyi Słowackiego nie zakrywał przed Krasińskim ujemnych stron charakteru tego poety, jako człowieka. W kilka miesięcy po pierwszych swoich wynurzeniach o Słowackim tak pisał poufnie o nim do Gaszyńskiego: „Dziwny to kontrast w tym człowieku: awanturniczy wyobraźnią, tchórz zaś nerwami i całem ciałem. Jest on z tych poetów, którzy nigdy w danej chwili poezyi w działaniu mieć nie będą. Zawsze uważałem, że poeci, w których silnego indywidualizmu nie czuć, jak np. w Byronie, są tchórzami: Goethe był nim, Szekspir być musiał; ale za to więcej obejmują, mniej są ludźmi, bardziej są światem. Jest w nich jakiś panteistyczny kunszt, rozlani w cudzych charakterach, w zewnętrznych fenomenach, mniej dbają na godność osobistą; słowem są to siły ogromne duchowne, ale nie ludzie. Tę uwagę jednakowoż o Julku schowaj dla siebie. Ogadywać bym go nie chciał, tak jakbym w żadnym przypadku także liczyć na niego nie chciał. Z temi istotami obchodzić się trzeba jak z morzem, jak z elektrycznością: zważać ich objawienia i dziwić się im, jeśli silne, żadnej zaś nadziei ni rachuby na nich nie pokładać; w tem ich podobieństwo do kobiet i do sił ślepych natury“ [2]).

Nie wiemy, jakie okoliczności dały powód Krasińskiemu do takich sądów, ale to pewna, że zestawienie Słowackiego z Goethem i Szekspirem nie było trafne, bo jakim był Szekspir jako człowiek, nic na pewno nie wiemy, a Goethe z egoistyczną naturą nie łączył awanturniczej wyobraźni, jak Słowacki. Zresztą nie można powiedzieć

---

[1]) Listy Krasińskiego I, 83, [2]) Tamże I, 92.

o Słowackim, aby w nim nie było silnie rozwiniętego indywidualizmu. I owszem, był on w nim zanadto, tylko jednostronnie, chorobliwie rozwinięty w kierunku żądzy błyszczenia, żądzy sławy. Ale rycerski nastrój duszy Krasińskiego był przyczyną, że z ujemnych stron Słowackiego odczuł on nie to, co było główną rzeczą, ale tylko to, co najwięcej ten nastrój raziło — brak odwagi.

Na Słowackiego znajomość z Krasińskim podziałała niezmiernie ożywczo. Znajdował on w nim przyjaciela takiego właśnie, jakiego pragnął: umiejącego wnikać we wszystkie subtelności jego poezyi i szczere, bezzawistne uwielbienie przynoszącego mu w hołdzie. Po Ludwiku Spitznaglu i Michale Skibickim był to trzeci człowiek, którego Słowacki mógł nazwać swoim przyjacielem. Ale jeżeli Krasiński swoją egzaltacyą rzeczywiście podobny był do przyjaciela Słowackiego z lat dziecinnych, Spitznagla[1]), to z Michałem Skibickim stanowił rażący kontrast. Skibicki zaostrzał w nim tylko antyspołeczny kierunek i nie zdołał natchnąć myślą wyższą nad to, że życie jest ciężką farsą (cette vie c'est une farce un peu trop lourde); Krasiński podnosił myśl jego ku niebu, zachęcał do rozwiązywania dyssonansów życia w wyższej harmonii a z zapałem wyznając wiarę w ogrom jego talentu, wlewał weń przekonanie o wysokiem jego posłannictwie. Nie znamy wprawdzie treści rozmów, które wówczas przy zawarciu pierwszej znajomości prowadzili z sobą młodzi przyjaciele, ale domyśleć się jej łatwo, tak z cytowanej już współczesnej korespondencyi Krasińskiego z Gaszyńskim, jak i z późniejszych listów Krasińskiego do Słowackiego, w których autor *Irydiona* wyznaczał Słowackiemu stanowisko przeciwstawne, ale równorzędne stanowisku Mickiewicza, wzywał go do trzymania duszy „na kształt harfy eolskiej... nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba" i ostrzegał przed zupełnem oddaniem się Szekspirowi, w którym obok dobrego ducha upatrywał i złego.

Po odjeździe Krasińskiego z Rzymu Słowacki razem z wujostwem przejechał do Neapolu, ale „neapolitański hałas" zbyt drażnił lubiącego ciszę i spokój poetę, więc przeniósł się on na cały miesiąc do cichego Sorrento, aby tu swobodnie obcować z naturą i rozczytywać się w Szekspirze. Zdaje się, że Słowacki chciał także skorzystać z samotności dla uporządkowania i zharmonizowania wielu wrażeń

[1]) Sam Słowacki widział to podobieństwo. Listy II, 1. Spostrzegał je również Odyniec.

świeżo doznanych, owego „tysiąca wielkich podlotów do nieba“, ale nic się z tego widać nie wysnuwało takiego, coby uważał za wyraz godny tych podlotów, ponieważ w liście współczesnym do matki znajdujemy tylko wzmiankę, że „pisał trochę“, bez bliższego określenia treści i wartości rzeczy pisanej.

Niebawem otwarła się przed nim sposobność wzbogacenia swojej wyobraźni całym cyklem obrazów wschodniego świata, o którym dotychczas roił w mglistych marzeniach. Trzej młodzi bogaci Podolanie, z których jeden, Zenon Brzozowski, był synem przyjaciółki pani Bécu, postanowili odbyć wspólną podróż do Egiptu i namawiali Słowackiego, aby im towarzyszył, żeby zaś usunąć przeszkody finansowe, które mogły powstrzymać poetę od tej podróży, jeden z owych bogatych młodzieńców, zapewne Brzozowski, ofiarował mu 1000 rubli sr. jako pożyczkę, zwrotną po czterech latach.

Trudno było Słowackiemu oprzeć się pokusie i nie skorzystać z nastręczającej się sposobności poznania światów, do których nieraz latał wyobraźnią. Nęciła go Grecya, którą szczególnym urokiem otoczyła dla niego poezya i tradycya bajrońska, nęcił go Egipt nie tylko swoją starożytnością, ale i blaskiem świeżych tradycyi napoleońskich, nęciła go wreszcie Ziemia Święta.

Wprawdzie głębszego uczucia chrześcijańskiego w Słowackim nie było, świadczyła o tem jego poezya dotychczasowa. Wszak w *Kordyanie* wybierał się w świat, aby rąbać nadpróchniałe krzyże, w *Godzinie myśli* z pewną chlubą mówił o tem, jak gmach jego wyobraźni, gmach jego poezyi, był „niedowiarstwem ciemny“. Wskazówka, którą znalazł u wielkiego przeciwnika w trzeciej części *Dziadów,* aby w religii szukać natchnienia, jako pochodząca z nienawistnej ręki, nie zwróciła go w stronę chrześcijańskich, katolickich ideałów. Ale inaczej było, gdy tę samą wskazówkę otrzymał z ręki człowieka, który wielbił jego poezyę, przenikał wszystkie jej subtelności, otaczał go najszczerszą życzliwością i wróżył nieśmiertelną sławę, a którego religijność miała szeroki podkład filozoficzny. Tym człowiekiem był autor *Nieboskiej Komedyi* i *Irydyona,* a nad obu temi utworami, jak wiadomo, unosi się krzyż, jako znak zwycięstwa, jako gwiazda polarna dla skołatanej nawy społeczeństwa polskiego i jego poezyi. Że ten znak pojawiał się tam, jako odbicie, jako wyraz wpływu trzeciej części *Dziadów* i *Ksiąg pielgrzymstwa,* tego Słowacki zapewne nie spostrzegał, bo to i dzisiaj nie dla wszystkich jest widocznem.

Otóż sądzę, że w owych „tysiącznych podlotach do nieba“, których Słowacki w towarzystwie Krasińskiego doznawał w Rzymie, trzeba widzieć początek pewnego zwrotu w nim ku ideałom chrześcijańskim, chociaż to naturalnie był raczej zwrot wyobraźni niż uczucia. Wyobraźnia poety, przynajmniej chwilowo, zbaczała z torów bajrońsko-szekspirowskich, aby szukać poetycznej przędzy dla siebie w chrystyanizmie, do czego zresztą już głośnem odczytywaniem Biblii w ostatnim roku pobytu Słowackiego w Szwajcaryi mogła być przygotowaną [1]). Do ponęty, jaką miała dlań Ziemia Święta, mógł się przyczynić i przykład Chateaubriand'a i Lamartine'a, którzy szukali u Grobu Pańskiego natchnienia; wiemy przynajmniej, jak miło było Słowackiemu, gdy mieszkańcy Bejrutu zestawiali imię jego z imieniem Lamartine'a [2]).

Bądź cobądź, głównym, niejako oficyalnym celem podróży Słowackiego miała być Ziemia Święta, Grecya zaś i Egipt miały służyć za stopnie do tych wrażeń, które sobie obiecywał po krainie pełnej śladów Chrystusa. Tak trzeba wnioskować z urywku listu pisanego do matki przed samem odpłynięciem z Włoch, gdzie poeta nazywa podróż swoją „pobożną wędrówką — przez Grecyę, Egipt do Jeruzalem“, [3]) a wreszcie i z tych wierszy *Podróży na Wschód* [4]):

> Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże,
> Po święte myśli i szkaplerze święte.

Taki był zamiar poety, powzięty, jak przypuszczam, pod wpływem obcowania z Zygmuntem Krasińskim. Ale nastrój, w jakim się puszczał poeta w tę podróż, bynajmniej nie odpowiadał owemu zamiarowi. Nastrój ten bardzo wyraźnie maluje się we wspomnianym wyżej poemacie, który Słowacki rozpoczął wraz z podróżą swoją, a może i przed nią jeszcze, a w którym wrażenia z podróży miały się odrazu przelewać w poezyę. Jest to nastrój wirtuoza, zachęconego oklaskiem i szukającego coraz nowych sposobności, aby okazać mistrzostwo swoje. Lubowanie się swoją łatwością przele-

---

[1]) Listy I, 289—290. [2]) Listy II, 50. [3]) Tamże. 29.

[4]) Co się tyczy tytułu, pod którym figuruje *Podróż na Wschód* w *Pismach pośmiertnych* Słowackiego, wydanych przez A. Małeckiego, a który brzmi: *Podróż do Ziemi Świętej z Neapolu,* ten za dowód służyć nie może, ponieważ jak świadczy Małecki w trzeciem wydaniu swojej monografii o Słowackim (Dodatki T. III str. 264—265) pochodzi nie od samego poety, ale od jego wuja Januszewskiego Teofila. Poeta na brulionie swego poematu nie wypisał żadnego tytułu.

wania najulotniejszych wrażeń w poezyę, w rymy ozdobne i gładkie, uwydatnia się co chwila, a najwyraźniej w tej strofie:

Przypisek winien być pisany prozą,
Lecz ja nie mogę pisać tylko wierszem
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na pierwszym,
A za mną drugi jedzie krok za krokiem
Rym z parasolem, z płaszczem i z tłómokiem.

Wirtuozostwo, żartobliwość, lekka ironia, to wszystko nie godziło się jak należy z celem podróży, jeżeli nim miało być „szukanie myśli świętych pod krzyżami Golgoty". Słowacki miał nadzieję, że to pogodzi, ślubował sobie być „nieco zabawnym, lecz skromnym", i w tym szczególnym kompromisie między chęcią igraszki i popisu a pragnieniem myśli świętych liczył także na swoje wirtuozostwo. Wszystko to powiedziane było wpółżartem, niemniej przeto wiernie odźwierciedlało nastrój poety.

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo expir,
Z muzyki — znaku milczenia pożyczę
I muzę moją w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

Już wtedy zapewne, to jest przy pierwszem zbliżeniu się ze Słowackim, musiał Krasiński ukazywać Słowackiemu w „przyjacielu Szekspirze" pewne ciemne strony, brak chrześcijańskiej syntezy, nad czem później szeroko się rozwodził w jednym ze swoich listów do Słowackiego. Znać w przytoczonej strofie jakby ślad przestrogi Krasińskiego, ale czuć zarazem, że Słowacki niebardzo do serca brał tę przestrogę, że nie myślał rozstać się z przyjacielem Szekspirem, choć dążył do Ziemi Świętej po „myśli święte".

Ale ten lekki nastrój, ten aryostyczny uśmiech, który tak był do twarzy Balladynie, a którym Słowacki chciał zabarwić swój nowy poemat, nie na długo mógł mu wystarczyć. Już w Grecyi, potrącony falą wspomnień jej bohaterskiej przeszłości, nie umiał nowego swego nastroju pogodzić z poprzedzającym, nie umiał znaleźć przejścia od jednego do drugiego, i stąd nowy poemat jego zaczął się łamać, a z jego okruchów powstał *Grób Agamemnona* i *Smutno*

mi Boże, pierwszy jeszcze formą stroficzną zupełnie podobny do *Podróży na wschód,* drugi o strofach inaczej wyrzeźbionych [1].

W historyi ducha Słowackiego, o którą nam tu głównie chodzi, tylko pierwszy wielkie ma znaczenie, jego też chcę rozważyć. Poeta chciał się tu skupić i wybłysnąć syntezą, z roli wirtuoza chciał przejść na stanowisko wieszcza, przewodnika narodu. Wprawdzie już w czwartej pieśni *Podróży na Wschód* podawał on swoje *Credo,* które świadczyło, że poeta znał już wtedy wydaną przed paru laty *Historyę powstania* Mochnackiego i że republikańskie i rewolucyjne ideały historyka żywo przemówiły do jego wyobraźni; ale tamto *Credo* było rodzajem igraszki, podane w tonie, który mu odbierał wszelkie znaczenie poważne. Tutaj ton przechodził w najwyższe pathos, pełne błyskawic i gromów.

O cóż chodzi w tym wierszu? Bynajmniej nie o grób Agamemnona. Mistrzowski obraz „tej kopuły podziemnej, co krwią Atrydów zwalana okrutną“ i obraz tego skupienia, które jej widok wywołuje w poecie, to tylko cicha, mistrzowska przegrywka do tej burzy uczuć, która po niej następuje, a która stanowiąc główną treść poematu z grobem Atrydy nie ma najmniejszego związku, albo raczej ma czysto przypadkowy związek. Do pieczary z głazów wpadł złoty promień słońca, i przypomniał poecie strunę z harfy Homera, z tej harfy, którą święcił u samego wstępu:

O jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać.

I przypomniał mu zarazem, że i on ma harfę złotą, że i on jest Homerem, ale gdzież sława jego? gdzie jego słuchacze? Im głębsze było upokorzenie się chwilowe przed nicością wieków, tem silniej potem w piersi jego zawrzała duma i żądza sławy. Ta żądza wstrząsa nim całym, rzuca go na koń i każe pędzić na Termopile i Cheroneję, aby z tych pól rzucić gromy potępienia na naród, a jednocześnie objawić się narodowi, jako wieszcz, wzywający go na

---

[1]) Co się tyczy wspaniałego wiersza, znanego pod tytułem *Wschód słońca nad Salaminą* (tytuł dany przez wydawcę), ten jakkolwiek się treścią bezpośrednio wiąże z dziewiątą pieśnią *Podróży na Wschód,* napisany jednak został dopiero w kilka lat później, w czasie pisania *Beniowskiego* i miał według pierwotnego planu wejść w skład tego poematu, jak o tem wyraźnie poucza autograf poety. Zob. mój artykuł: „Nieznane fragmenta i waryanty Beniowskiego“ w *Gazecie Lwowskiej* (z września 1902 r.), albo w *Bibliotece Warszawskiej* w sierpniowym zeszycie tegoż roku, gdzie ów artykuł podany jest w skróceniu.

nowe drogi. Jak te gromy potępienia, jak to oburzenie na brak w Polakach Leonidasowego męstwa niestosownem było w ustach Słowackiego, którego rola w czasie powstania listopadowego w żadnym razie zaszczytną nie była, — na to już gdzieindziej zwróciłem szczególną uwagę [1]). Tu chciałbym tylko wskazać, co wywołało te gromy, co było ich bezpośrednią przyczyną.

Słowacki, rozważając przyczynę niepopularności swej poezyi, przyszedł do przekonania, że jest nią niski stopień rozwoju umysłowego narodu. On, Bajron, Aryost, Szekspir polski, siejący tysiącem blasków, tworzący cuda poetyckie, nie zdoła niczem rozgrzać i poruszyć serc polskich. Najwięcej go ubodło to, że nawet we własnej rodzinie nie znalazł tego zajęcia i uwielbienia dla swej poezyi, jakiego pragnął, do jakiego rościł pretensye. Wiemy już, co pisał do matki z Rzymu na trzy miesiące przed wyjazdem w podróż na Wschód: „Przeczytałem był wszelkie prace moje Filom, które im się nie bardzo podobały i mówili mi zawsze, że szlachta nie zrozumie“. Podejrzywać o zazdrość, zawiść swoich wujostwa, niepodobna było; nie mniej przeto zrażało to Słowackiego i do Filów i do szlachty, a więc i do całego narodu, którego ona była przedstawicielką. Że w tym braku współczucia dla Słowackiego w narodzie, który echem zachwytu odpowiadał na każdy głos Mickiewicza, mogła być własna wina poety, a mianowicie brak zmysłu społecznego, którym w najwyższym stopniu obdarzony był Mickiewicz, o tem Słowacki nie wiedział, tego nawet nie przypuszczał. Tem łatwiej mu było zwalić całą winę swej niepopularności na społeczeństwo, że w Zygmuncie Krasińskim i zapewne w podobnie do niego nastrojonych towarzyszach jego rzymskich, znalazł i zrozumienie swojej poezyi i uwielbienie dla niej. Były to więc w jego rozumieniu wyjątkowe, doskonalsze jednostki, wybiegające wysoko ponad poziom szlacheckiego społeczeństwa, które jego poezyę odtrącało. W ich uwielbieniu, w szczególności w uwielbieniu Krasińskiego, (bo o jego towarzyszach w tym względzie nie wiele wiemy), znalazł punkt oparcia dla wiary w swoją niezrozumianą przez naród genialność i dla potępienia narodu.

Tylko w świetle tych przypuszczeń można zrozumieć, co znaczy nagi trup Leonidasa „bez złotego pasa“ i „bez czerwonego kontusza“, co znaczą skargi na Polskę, że „duszę anielską więzi w czerepie rubasznym“, i że sęp jej wyjada „nie serce — lecz mózgi“. Słowa

[1]) Artykuł p. t. „Juliusz Słowacki“ w Szkicach literackich. Serya I. Kraków 1896.

Filów: „szlachta nie zrozumie twojej poezyi“, oświetliły jaskrawo przepaść dzielącą marzycielskiego wirtuoza, siejącego tysiące blasków z czarodziejskiej fantazyi, od społeczeństwa, łaknącego prostych, ale silnych, ciepłych, żywych, z serca dobytych słów, takich, jakie znajdowało np. w wierszu *Do matki Polki,* w *Reducie Ordona,* w *Panu Tadeuszu.* Czyż „fantastycznie nastrojona“ jego lutnia nie była „duszą anielską“ zamkniętą „w rubasznym czerepie“ szlacheckiego społeczeństwa? Poeta, zapatrzony w siebie i skłonny do ubóstwienia siebie, nie zawahał się w to uwierzyć. A potępiwszy społeczeństwo w stosunku do siebie, zapragnął je potępić także pod względem patryotycznym i politycznym.

Otóż tu niemałą zapewne rolę odegrała Mochnackiego *Historya powstania,* która z ogromnem ciepłem artystycznem i żywością barw odświeżała w pamięci współczesnych gorączkę dni rewolucyjnych i odzwierciedlała gorący temperament i rewolucyjne ideały swego autora. Ale rozgrzany cudzym ogniem, ogniem człowieka, który dla wcielenia swoich ideałów w życie gotów był położyć głowę i nieraz ją narażał, Słowacki zupełnie zapomniał o swym wyjeździe z Warszawy, którego sam się kiedyś wstydził, a pamiętał tylko, że jest autorem *Kordyana* i zdało mu się, że jako twórca tego teatralnego patryotyzmu ma prawo piętnować naród, że nie walczył do ostatniej kropli krwi. Nic też niema bardziej teatralnego od tych strof wezwania do narodu, które do dziś, niestety, zamierzonego efektu nie chybiają:

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę Dejaniry palącą koszulę,
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styxowym wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie,
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

Wspaniała wizya i patetyczność teatralna posunięta do najwyższej potęgi, ale cóż się w tych patetycznych frazesach ukrywa? czego chce naprawdę poeta? A naprzód dlaczego pas i kontusz mają być „płachtami ohydnemi“, „palącą Dejaniry koszulą“, którą Polska

powinna zrzucić do ostatka? Widocznie Słowacki chciał w nich widzieć symbol tych wad szlacheckich, które naród wtrąciły do grobu politycznego; i wołanie jego pod wspaniałością frazesu ukrywałoby ogromną siłę treści, gdyby w tem wołaniu właśnie nie tkwiło głębokie nieporozumienie.

Polska szlachecka w istocie miała na sobie „palącą Dejaniry koszulę", a tą koszulą był anarchiczny kult złotej wolności, w *liberum veto* skrystalizowany; ale czy tak rozumiał ten symbol Słowacki? Nie, tak rozumieć nie mógł, bo on sam w całej swojej poezyi i w całej swojej istocie duchowej był najdoskonalszym, najwierniejszym tego anarchizmu przedstawicielem. Jeżeli co ukrywał w tym symbolu, to chyba tylko kastowość dawnej Polski. Ale to nie kastowość zgubiła Polskę w czasach, kiedy jeszcze kastową była cała Europa, tylko kult bezrządu, który i kastowość czynił w Polsce nierównie fatalniejszą, niż gdzieindziej. Gromy więc jego źle były wymierzone, a przytem nie widział, że to co było prawdziwą Dejaniry koszulą dla narodu, na nim samym najsilniej gorzało. Wprawdzie jest tam jeden wiersz skruchy: „Mówię, bom smutny i sam pełen winy", ale ten wiersz tak się pojawia nawiasowo i przelotnie, tak przygłuszony jest gromami, ciskanymi na naród, że wygląda jakby wywołany raczej potrzebą rymu, aniżeli potrzebą serca.

I czegóż ostatecznie żądał Słowacki od narodu, jako wieszcz stając przed nim? Jaką drogę mu wskazywał? Przetłómaczywszy jego wspaniały, teatralnie wspaniały, język poezyi na zwyczajną prozę, widzimy, że Słowacki potępiał naród za to, że ten dał sobie nałożyć kajdany i wzywał go do nowej walki orężnej i to takiej, w którejby cały naród podniósł się, jak „wielki posąg z jednej bryły". Czemże było takie żądanie, szczególnie w ówczesnych warunkach, kiedy naród dźwigał na sobie jeszcze cały ciężar świeżej klęski, jeśli nie pięknym frazesem bez wszelkiej realnej podstawy? A czczość tego frazesu tem większą i przykrzejszą się nam wyda, jeśli go zestawimy z temi hasłami, które Mickiewicz i Krasiński nieco przedtem rzucili obalonemu i broczącemu krwią narodowi. Pierwszy w *Księgach pielgrzymstwa* rzucał hasło wewnętrznego doskonalenia się, od którego wszystkie zewnętrzne zwycięstwa zależą, a którego żaden wróg zatamować niezdolny. „O ile powiększycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice". A drugi w zakończeniu *Irydyona* wskazywał, jako drogę zbawienia, cierpliwą i nieustannie czynną miłość: „Idź i czyń — prze-

mawia głos z nieba do Irydyona — choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych...“. To były prawdziwe słowa mądrości, otuchy i nadziei; wobec nich wołanie Słowackiego jest tylko wspaniałą pozą teatralną. A następujący okrzyk jego: „Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!“ nie da się nigdzie lepiej zastosować, jak do tego teatralnego patryotyzmu Słowackiego.

Bądź co bądź *Grób Agamemnona* pisany był w zupełnie innym tonie, niżeli reszta *Podróży na Wschód*. Podniósłszy się pod wpływem bohaterskich wspomnień starogreckich do tak wysokiego nastroju, Słowacki musiał uznać, że ten nowy ton nie daje się sprządz i pogodzić z lekkim nastrojem, z jakim rozpoczynał wcielać swoje wrażenia z podróży w poezyą. Tem mniej z tym nastrojem dawały się pogodzić dalsze wrażenia, które go czekały: w Egipcie, a przedewszystkiem w Ziemi Świętej. Poeta więc przerwał pisanie swojego poematu, czekając wysokich natchnień, które miały nań spłynąć na szczytach piramid i u grobu Chrystusa. Ale natchnienie ani tu ani tam nie przybyło. Piramidy nie zadziwiły go tak swoim ogromem, jak się tego spodziewał i z pewnym żalem pisał do matki: „Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, który sobie o nich moja imaginacya tworzyła“ [1]). Wprawdzie na tle wrażeń zebranych w podróży po Egipcie osnuł plan wielkiego fantastycznego poematu w kilku częściach, ale ten plan nie doczekał się częściowego nawet wykonania [2]). Co się tyczy grobu Chrystusa, to posta-

[1]) Listy II, 33.

[2]) Plan ten zachował się w pamiętniku podróżnym poety, który jest obecnie własnością p. L. Meyeta. Przedrukował go p. Biegeleisen w artykule: „Wrażenia z podróży J. Słowackiego na Wschód, na podstawie nieogłoszonego pamiętnika poety“. Bibl. Warsz. 1891. IV, str. 348. Jako rzecz mało znaną, a charakteryzującą współczesny nastrój fantazyi Słowackiego i rozmiary jego pomysłów poetyckich, podaję go tutaj.

Część I. Rhamezes po tryumfie postawił grób. — Homer. — Siostra i żona Rhamezesa. — Aleja Sfinksów przy kościele Typhona. — Samobójstwo, miecz pod kamieniem. — Żal siostry. — Każe miłości historyę wyryć na obelisku i serca nabalsamowanego nie wyjmować — potem węża przykłada do piersi — i złożona w jednym alabastrowym sarkofagu. — Charon. — Hymn dziewic. — Sąd przed statuami Memnona. (Monolog przy zachodzie słońca — figura żórawi — apostrofa do Memnona). Homer, odchodząc do Grecyi śpiewa. — Chór.

Część II. Oślarz Hanut. — Chata gołębiami otoczona. — Zgon starej Arabki. — Hanut widzi rozbicie sarkofagu . — Góra nad Memnonem. — Mono-

nowił noc spędzić przy nim, aby tem silniejszych doznać wrażeń, i o tej nocy pisał potem do matki, że „zostawiła mu mocne wrażenie na zawsze“ [1],) ale choć się „z wielkim płaczem rzucał na kamień grobu“, grób zimno przyjął te uściski poety-wirtuoza, którego tu nie uczucie pobożne przywiodło, ale poetyzująca wyobraźnia, i nie odpłacił się poecie oczekiwanem natchnieniem. W jego dzienniczku z podróży, notującym w jak najkrótszy sposób doznawane wrażenia, znajduje się współcześnie wpisany poetyczny urywek sześciowierszowy, świadczący, że poeta wkrótce po owej scenie czuwania nocnego przy Grobie Chrystusa usiłował wykrzesać z serca swego „myśli święte“:

I porzuciwszy drogę światowych omamień,
I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!
Tu rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste!
Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była
Ani przeciwko ludziom ani przeciw Bogu...

I nic więcej nie potrafił Słowacki wydobyć z siebie na temat grobu Chrystusowego, ani teraz, ani później, choć we dwa lata jeszcze potem myślał o tem, jako o niespełnionem zadaniu. „Doznaję prawie wyrzutów sumienia, żem dotąd nic ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie napisał, ale jak mówi dawna piosneczka: serce nie sługa, nie zna co to pany“ etc., tak i ja o mojej imaginacyi powiedzieć mogę“ [2]).

Ale jeśli Jerozolima nie obdarzyła poety oczekiwanem przez niego natchnieniem, to za to inne miejsce w Syryi, klasztor Betchesz-

---

log młodego Araba. — Żórawie. — Przepływa Nil. — Idzie do Karnaku — Aleja Sfinksów zarosła palmami. — Rozwaliny Typhona. — Pustelnik Tebaidy — Widzenie Hanuta całych Thebów przerwane śpiewem. — Miecz Rhamezesa. — Dziewczyna wiejska donosi, że ma gołębia, dziesiątak i osła, zabrane dla syna Baszy. — Hanut przeklina. — Rada z pustelnikiem. — Idzie do Komir (czy nie do Kairu?) dowiaduje się, że baszy syn zginął w płomieniach właśnie w godzinie przekleństwa. — Młoda Daphne uratowana od Beduinów. — Dwa tysiące lat życia darowano dyabłu. — Hymn duchów.

Część III. Sivah. — Zycie kochanków. — Omdlenie miłości. — Scena z Dyabłem. — Ostatnie tysiąc lat darowane. — Miłość dla młodej Arabki, która piersią tłucze źwierciadło czarownika. — Daphne daje kochankom życie nowe. — (Części IV brak). Zakończenie: ogromna biesiada duchów w kościele Ipsabala. — Śmierć Araba.

[1]) Listy II, 42. [2]) Tamże, 92.

ban na Libanie stał się kolebką jednego z najoryginalniejszych i najsławniejszych utworów Słowackiego — kolebką *Anhellego*. Dla Słowackiego podróż na Wschód była przedewszystkiem wyprawą po materyał poetycki, po silne wrażenia i wzruszenia i po „święte myśli", z których się miało utkać jakieś wspaniałe dzieło. Orzeźwiony, podniesiony na duchu uwielbieniem Krasińskiego, miał najlepsze pod tym względem nadzieje, a jakby chcąc próbować mistrzowstwa swego, zaraz zaczął wrażenia z podróży przelewać w bajronicznie nastrojone strofy. Niebawem przyszedł do przekonania, że z tych strof nie da się skleić wielka, powagą imponująca całość. Poemat się urwał właśnie wtedy, gdy poeta poważniej się nastrajał, czy to rozmyślając nad znikomością wieków w *Grobie Agamemnona*, czy nad znikomością własną na widok morza o zachodzie słońca. Wrażenia odniesione w Ziemi Świętej nastroiły go jeszcze poważniej [1]) i domagały się ujścia w poezyi, którego bezpośrednio znaleźć nie mogły. Nie Byron ani Szekspir, ale Dante najlepiej odpowiadał nastrojowi temu, więc opuszczając innych dawniejszych przewodników, jego sobie obrał Słowacki za wyłącznego przewodnika przy układaniu planu wielkiego dzieła, które miało być wyrazem nowego nastroju. Żeby to dzieło było wielkiem i znalazło silny odgłos w sercach narodu, musiało mieć odpowiedni przedmiot, a takim przedmiotem były współczesne cierpienia narodu, które już z taką siłą odzywały się w trzeciej części *Dziadów*, które z tak przejmującym liryzmem podkreślał Krasiński w epilogu *Irydyona*.

W Słowackim patryotycznego nastroju nie było aż do czasów pisania *Kordyana*, a i w *Kordyanie*, jak widzieliśmy, patryotyzm Słowackiego jest więcej powierzchowny, teatralny, niż rzetelny. Po napisaniu *Kordyana* poeta, jak to już dawniej zauważyłem, zostawał pod wpływem swego poematu i dostrajał się do niego pod względem patryotycznym. Nowy i silniejszy niż przedtem przypływ patryotycznego nastroju w Słowackim wywołał niewątpliwie Krasiński tak swoim *Irydyonem*, jak jeszcze więcej zapewne osobistym stosunkiem, rozmowami, w których struna patryotyczna musiała drgać często, jak się tego łatwo domyślić, sądząc po współczesnej korespondencyi Krasińskiego. Tem łatwiej było Słowackiemu przejmować się nastrojem Krasińskiego, że ten nastrój pochodził od człowieka, który był wielbicielem jego poetyckiego geniuszu. Za wskazówką tedy epilogu

[1]) „Wszystkie te okolice Jerozolimy napełniają serce jakąś prostotą i świętością". Listy II, 43.

Irydyona („Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów“ i t. d.) postanowił Słowacki ująć współczesne cierpienia narodu w dantejski poemat fantastyczno-symboliczny. Jeszcze przed przybyciem do klasztoru libańskiego — jak o tem świadczą autografy poety — powziął on plan wielkiego poematu p. t.: *Posielenje,* który w dantejskich tercynach miał przedstawić cierpienia rzuconych na Syberyę Polaków. Formę poematu podsuwał mu Dante, który w ostatnich latach wraz z Szekspirem i Biblią stanowił główną jego lekturę. I jakim przewodnikiem był Vergili dla Danta w *Boskiej Komedyi,* takim samym Dante miał stać się w tym poemacie dla Słowackiego.

Poeta miał już kilkadziesiąt tercyn napisanych, ale zadowolony z nich nie był. Do stworzenia poematu tak wiele ogarniającego trzeba było skupienia, którego wędrowne życie dać nie mogło. Zapragnął ciszy, samotności, którąby mu pozwoliła uspokoić „rozigrane nerwy“, uporządkować nawał wrażeń, które od kilku miesięcy kołatały w jego duszę i znaleźć syntezę swego ducha, prawdziwszą i lepszą od teatralnego *Kordyana.* W tym celu, rozstawszy się z towarzyszem podróży, Brzozowskim, w Bejrucie, udał się przed Wielkanocą 1837 do klasztoru Betcheszban, o którym tak później pisał do matki: „Miejsce prawdziwie bezludne, klasztor zbudowany na skale, dobrzy księża ormiańscy, piękne kwiaty, rozwijające się wiosną na górach, rozległy widok na morze z mojej celi, wszystko to miłe mi zostawiło wspomnienie“ [1]). Zmęczony ciągłą zmianą wrażeń, w nienaruszonej jednostajności życia klasztornego wyciągał się, jak strudzony człowiek w letniej kąpieli. Ta cicha jednostajność zachęcała go do zagłębiania się w sobie i szukania w sobie zagadki swego życia i stosunku jego do życia narodu. Wśród tych dumań przeglądał przeszłość swoją, aby wydobyć z niej syntezę swego życia i odziać ją w eteryczną szatę swych marzeń. Jakby źwierciadłem przeszłości były dlań listy matki, które zabrał z sobą jadąc na Wschód i teraz w klasztorze odczytywał, wskrzeszając w pamięci minione wrażenia, pragnienia, nadzieje i troski. „Gdybyś Ty wiedziała — pisał w następnym roku z Florencyi — jak ja na Libanie w klasztorze nadchmurnym, wydobyłem cały pakiet Twoich listów, z jaką smutną uwagą je podług dat sześcioletnich układałem, jak je potem odczytywałem ze łzami nieraz nad tobą i nad sobą“ [2]).

[1]) Listy II, 47. [2]) Tamże, 71.

Pod wpływem tych dumań, rozmyślań i kojącej ciszy klasztornej poemat rozpoczęty, a mający tu być ukończonym, doznał znacznych przeobrażeń tak w samym pomyśle jak i pod względem formy [1]). Domyślam się, że zbyt wyraźne naśladownictwo Danta, które wygląda z planu i znanych nam tercyn, nie odpowiadało nastrojowi poety w klasztorze, że chciał on prawdziwiej, szczerzej, naturalniej wypowiedzieć swoje ówczesne uczucia i marzenia. Powtóre, o ile można sądzić z planu i tytułu *Posielenja*, poemat ten miał roztoczyć głównie, jeśli nie wyłącznie, obraz cierpień narodu, dantejskie piekło Polski, tyle tylko na tem tle jaskrawem zarysowując postać samego poety, ile Dante własną postać przedstawił na tle obrazów *Boskiej Komedyi*. W nowym planie, który się z dawnego wyłonił, chodziło o wyznaczenie ważniejszej roli samemu poecie, synteza jego ducha, oświetlenie jego wnętrza, pokazanie jego duszy miało być ważniejszą rzeczą od tła, na którem się ta postać zarysowywała.

Stąd poszło przeobrażenie się *Posielenja* w *Anhellego*. Ponieważ tercyny nie chciały mu płynąć z pod pióra tak swobodnie i naturalnie, jak tego pragnął, więc porzucił tę formę. Mamy własne jego przyznanie się w *Beniowskim* (Pieśń V oktawa 11):

> Próżno deptałem Parnasowe grzbiety,
> I miałem nieraz Dyannę usłużną:
> Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
> Muza została mi rymami dłużną,
> Z tego więc poszło, że pisałem prozą.

[1]) Plan poematu *Posielenje* był następujący (wyrazy wzięte w nawias są przekreślone w autografie): Pieśń I. (Zgon poety — cisza — ksiądz — ostatnia godzina — jezioro — zachód słońca). II. (Obudzenie się) Dante (kraj nocy, wicher płacze). III. Dzieci — Tonio. IV. Spalenie się człowieka na koniu — próchno. V. Forteca (obłąkany, trują go). VI. Chata — jabłoń gwiazd. VII. Uczta jeńców pijanych. VIII. Noc — życie poety. IX. Wilki — ciało jeńca. X. Jama — historya. XI. Dalszy ciąg — zgon kobiety. XII. Druga śmierć — ostatnie światło. XIII. Mewy — słońce na wschodzie — Boże Narodzenie. XIV. Cień matki — przeczucie — koło ogniste. XV. Cmentarz — gil — palą kości. XVI. Uczta duchów — zorza północna — Anieli Piasta. XVII. Omdlenie śmierci — Dante i Anioł. — XVIII. (Orzeł świętych — Dante tłómaczy). XIX. Dante znika — Anioł w podziemne prowadzi kraje. XX. Sen jeńców — zgon księdza. XXI. Rąbanie skał rozżarzonych — spalenie nogi. XXII. Odpoczynek nad solnem jeziorem. XXIII. Przez rózgi — starzec łańcuchami bity. XXIV. Wielki kolos. XXV. Świecznik biblijny. XXVI. Gwiazda sumienia. XXVII. Drzewo pod deszczem ognistym. Bibl. Warsz. 1891, IV, str. 348—349.

Że nie zwrócił się do innych strof, sekstyny lub oktawy, które mu nigdy nie odmawiały posłuszeństwa, gotowe naginać się do wszelkich kaprysów jego wyobraźni i że wolał od nich prozę biblijną, można to przedewszystkiem tem tłómaczyć, że mu chodziło o wielką prostotę i naturalność wyrażenia. Zresztą przykład zastosowania prozy biblijnej do poezyi patryotycznej już był dany w *Księgach pielgrzymstwa*. Wczytywanie się poety w owych czasach w Biblię, cisza klasztorna, nastrajająca religijnie i harmonizująca z powagą i prostotą stylu biblijnego, zapewne i chęć zmierzenia się i przewyższenia w stylu biblijnym Mickiewicza, to wszystko skłaniało Słowackiego, który tak niedawno szczycił się, że go „rymy wiozą“ i że „nie może pisać tylko wierszem“, do obioru prozy biblijnej za formę dla swego nowego poematu.

Dając pierwszeństwo Biblii nad Dantem pod względem formy, chciał i w pomyśle usunąć wyraźnie zaznaczoną zależność swego poematu od *Boskiej Komedyi* i postać Danta-przewodnika zamienił na postać Szamana, mędrca-czarodzieja, daleko lepiej niż tamta harmonizującą z tłem sybirskich śniegów i sybirskiego nieba. Co z osobistych stosunków włożył w tę postać, o tem później; teraz chcę jeszcze wskazać, że przesunięcie punktu ciężkości z tła cierpień narodowych na syntezę własnego ducha poety uwydatniło się i w zmianie tytułu. Pierwotnie, jak wiemy, poemat miał się nazywać *Posielenje*, poeta zaś, jak Dante w swoim utworze, nie wciągał na siebie obcej postaci, nie miał obcej nazwy i przemawiał w pierwszej osobie. Po przeobrażeniu się pierwotnego pomysłu poeta ukrył się w postaci Anhellego i to imię postawił w tytule poematu, oznaczając tem, że ta postać stanowi główną treść jego.

Imię „Anhelli“ było symboliczną nazwą, jeszcze bardziej przezroczystą, niż Kordyan. Kordyan miał oznaczać człowieka o głęboko czującem sercu, Anhelli — człowieka o anielskiej duszy. I jedna i druga nazwa była fałszywą, o ile w nich Słowacki chciał usymbolizować swego ducha; ale w różnym stopniu. Słowacki miał czułe serce w tem znaczeniu, że wszelkie wrażenia świata zewnętrznego silnie się w nim zabarwiały uczuciem przykrem lub przyjemnem, ale nie umiał zapominać o sobie i przejmować się uczuciami innych, jednem słowem miał czułe serce dla siebie nie dla innych. Anielską też trudno nazwać duszy, która miała tak wysoce egoistyczny nastrój; ale przecież pretensye poety do anielskości miały pewne uzasadnienie. Jego pogarda dla „zjadaczy chleba“, marzycielstwo, wy-

noszenie sławy pośmiertnej nad wszelkie dobra doczesne, wreszcie nadzwyczajna czystość, wszelki brak cynizmu i zmysłowości w jego poezyi nadają istotnie pewną anielskość jego duszy.

Szczególnie zastanawiającą jest nadzwyczajna czystość pod względem zmysłowym poezyi Słowackiego. On, wielbiciel i naśladowca Bajrona, on, któremu autor *Don Juana* imponował wszystkiem: i życiem swojem i poezyą, donjuanizmem i walką z przesądami, nie wciągnął do swej poezyi nic z cynizmu i zmysłowości swego mistrza. Możnaby rozmaicie objaśniać tę dodatnią cechę poezyi Słowackiego: szczególną organizacyą fizyczną, wychowaniem pod kobiecą opieką, przygłuszeniem żądz zmysłowych żądzą sławy i wypływającą stąd czystością życia, ale stanowczego objaśnienia dać trudno. W każdym razie warto zwrócić uwagę na słowa listu poety do matki (z Florencyi 10 lipca 1838) następujące: „. . dotąd na uwięzi trzymałem serce moje i czystsze życie wiodłem, niż inni, znajdując w tem jakąś dumną pociechę dla duszy. Widziałem, że to dziwiło Teofila, kiedyśmy byli w Rzymie i że mię miał za oryginała nie do naśladowania“ [1]).

Jakże się przedstawia poeta-Anhelli w poemacie. Jest on wybranym przez Szamana, mędrca i czarodzieja, na ofiarę, która ma odkupić jego nieszczęśliwy naród. „Wybiorę jednego z nich, powiada Szaman i ukocham go jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój i większy ciężar niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie“.

„I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu“.

I potem przywołał do siebie Anhellego „i położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość“.

Słowa Szamana spełniają się, Anhelli ogląda wszystkie nieszczęścia swojej ojczyzny, serce jego napełnia się po brzegi goryczą i zwątpieniem i on umiera, nie doczekawszy się promienia nadziei ale ta śmierć przynosi narodowi odkupienie, i oto zaraz po niej zjawia się rycerz cudowny, zwiastujący zmartwychwstanie narodów.

Wartość tej idei dostatecznie ocenił Małecki [2]), ale jak się ona

---

[1]) Listy II, 104.

[2]) „Trzebaż, aby najczystsi i najlepsi w narodzie marnieli w bezczynnym smutku? . . . Czy społeczeństwu zda się to na co, że ten i ów — wyrzucony z zastępu czynnych strawi się w samotności i melancholii . . .“. Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła, wyd. trzecie. Lwów 1901. T. II, str. 144.

zrodziła w Słowackim? Sądzę, że w tym względzie pozostaje coś do dopowiedzenia.

Powiedziałem już, że poeta w ciszy klasztornej zagłębiał się w dumania nad swojem życiem, nad jego znaczeniem, nad stosunkiem swoim do narodu. Że był człowiekiem nadzwyczajnych przeznaczeń, wyjątkowo obdarzonym od natury, to czuł i w to wierzył mocno, oddawna, od dzieciństwa. Ale na czem polegało to przeznaczenie, czem miał stać się dla własnego narodu, jaką rolę odegrać w jego losach nieszczęsnych, o tem dotychczas nie rozmyślał. Drogę miał wytkniętą: dążyć do najwyższej sławy, która mu się w jego rozumieniu należała i walczyć o nią. Wprawdzie w *Kordyanie* starał się pokazać syntezę swego ducha i swego stosunku do narodu, a i w *Grobie Agamemnona* zajął wobec narodu stanowisko *Kordyana*, ale mógłże nie czuć teraz, w chwilach zagłębiania się na dno duszy, że to stanowisko jest sztuczne, nie odpowiadające prawdziwej treści jego ducha? Gdzież i kiedy był on bohaterem rwącym się do czynu? Więc czemże był? jakie znaczenie miało jego życie? Jak Anhelli przed śmiercią na stepie sybirskim, tak i on w cichej celi klasztornej z widokiem na morze zapytywał siebie: Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen? Tyle posiadać skarbów fantazyi, tyle blasków z siebie wydobyć, tyle roić o sławie, i być samotnym, zapomnianym, nieuznanym, a w dodatku jeszcze oddalonym od swoich najbliższych i skazanym na tułactwo po świecie! Niewątpliwie też i cierpieniami społecznemi przejmował się teraz Słowacki więcej niż przedtem, jakkolwiek i teraz nie ciężyły one na sercu jego więcej od osobistych. Ale wiara w swoją wielkość podsunęła Słowackiemu rozwiązanie tej smutnej zagadki. Tak czy inaczej, był zawsze wybrańcem potęg wyższych. Jeśli zamiast tryumfu życie przyniosło mu cierpienie, więc widocznie przeznaczony był na to, aby odegrać Chrystusową rolę względem swego społeczeństwa, rolę odkupiającej ofiary. I oto „myśli święte“ po które wyjeżdżał w pobożną wędrówkę, kończyły się na samoubóstwieniu, a „brzemię myśli i tęsknot“, pod którem rozkrusza się serce, uznane zostało za dostateczną ofiarę do odkupienia narodu.

Tak sobie wyobrażam genezę idei *Anhellego*. A teraz jeszcze kilka słów o postaci Szamana, która w owym planie zajęła miejsce Danta. Ten człowiek jest przedstawicielem jakiejś nadziemskiej mądrości, jakby opiekuńczym duchem narodu polskiego, i sam powiada o sobie, że w nim „wiele jest Boga“, ale w stosunku jego do Anhellego odzywa się jakby echo stosunku Krasińskiego do Słowackiego.

Szaman wlewa w Anhellego „miłość serdeczną dla ludzi i litość“, Szaman pokazuje mu wszystkie nieszczęścia i cierpienia narodu, a co najważniejsza, w czem najsilniej to echo się odzywa, Szaman wywołuje duszę Anhellego i pokazuje ją w całej świetności jej barw i białości skrzydeł zdziwionej gromadzie rybaków. Myślę, że poeta do pewnego stopnia świadomie symbolizował wpływ Krasińskiego na siebie i to szczere uwielbienie, jakiem autor *Irydyona* otoczył jego poezyę, podobnie jak niedługo potem w *Lilli Wenedzie* w postaciach braci związanych łańcuchem symbolizował braterstwo duchowe, które go przez jakiś czas jednoczyło z Krasińskim.

Czy Krasiński domyślał się znaczenia tej tak zaszczytnej dla siebie symboliki, nie wiemy, ale że był za pobłażliwy w sądzie swoim o *Anhellim,* to pewna, bo nietylko wielbił potęgę fantazyi, która potrafiła „otchłań Sybiru wystroić w alabastry śniegów i sine oczy gwiazd“ nietylko podziwiał „styl spokojny, przejrzysty, kryształowy“ *Anhellego,* w czem się z nim zupełnie zgodzić trzeba, ale i uznawał w poemacie myśl prawdziwą. „*Anhelli* — pisał do Gaszyńskiego — to pokolenie, które przemarnieje w łzach, w boleści, w daremnych żądzach, a umrze dnia poprzedzającego dzień, w którym te ich żądze dopełnić się mają. Ten Anhelli taki samotny, taki opuszczony, patrzący na śmierć wszystkich swoich, jest doskonałym symbolem poetycznym naszego przeznaczenia“. Otóż Krasiński podsuwał Anhellemu myśl zasadniczą, której on nie miał, bo Słowacki w postaci Anhellego nie miał zamiaru przedstawiać całego pokolenia, ale tylko siebie. Z drugiej strony Krasiński zupełnie pomijał istotną zasadniczą myśl poety o odkupiającej sile smutku i cierpienia, myśl, której sam nie mógł przyklasnąć, bo była sprzeczną z ideą Irydyona. Irydyon otrzymał rozkaz: „idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich“, Anhelli miał tylko biernem cierpieniem dokazać tego, co podług Krasińskiego miało być zdobyczą „pracy wieków“.

Z nowego utworu swego był Słowacki zadowolony i taką wagę przywiązywał do niego, że wracając morzem do Włoch myślał nawet zamknąć go w butelce, „aby na wypadek rozbicia można go rzucić w morze i tak coś po sobie ocalić“ [1]). Jednakże do wydania nie zaraz przystąpił, brakło na to środków. Tymczasem, wróciwszy ze Wschodu, osiadł na jakiś czas we Florencyi, gdzie najął sobie małe, ale ładne, dobrane do swego gustu i usposobienia, mieszkanie z wie-

[1]) Listy II, 53.

życzką, skąd miał „najpiękniejszy widok na wszystkie góry Toskanii i na wszystkie gwiazdy nad Toskanią świecące“. Tu miał przepędzić zimę z 1837 na 1838 i popracować trochę, a „na wiosnę — pisał do matki — chciałbym pojechać do wielkiego miasta, z książką pod pachą, jak student, z suknią splamioną atramentem, z piórem za uchem i znów oddać wielki ukłon mojej królowej sławie, jako wierny jej do śmierci błazen“ [1]). Miał wtedy najmłodszemu dziecku swemu „dać wyprawę“, a o tem dziecku pisał, że „jest zupełnie inne, jak przeszłe, i już mi pięknie rośnie i płacze i ma jakieś rysy bardziej regularne, a jak mi się zdaje, piękne i szlachetne“. Zapewne wykańczał wtedy *Anhellego*, nadawał mu tę artystyczną doskonałość stylu, jaką się ten poemat odznacza.

Ale Słowacki nie chciał poprzestać na tym jednym, choć wysoko przez siebie cenionym, utworze; chciał stanąć przed swoją królową z obfitszą daniną, chciał po dłuższem milczeniu odezwać się tem głośniej i tem większe chciał wywrzeć wrażenie. Przedewszystkiem wrażenia z podróży, na które tyle liczył, domagały się zużytkowania. Tymczasem pomimo miłego mieszkania, które zapraszało do dumań, do pracy i pozwalało „samotność zamieniać w słodką melancholię“, praca poetycka nie postępowała, co dręczyło poetę. „Żałuję, żem został na zimę we Florencyi — pisał w styczniu 1838 do matki — nic bowiem nie pracuję i z rozpaczą myślę o moim 28 roku życia, kończącym się na marnościach światowych. Prawdziwie, że na skrzydłach mi wiek ucieka i chciałbym zatrzymać lata, nie dlatego, ażebym się jakiego szczęścia spodziewał, ale żeby nie zejść ze świata niepłatnym dłużnikiem“ [2]). I w trzy miesiące potem narzekał podobnie, że dotąd nic ani o piramidach, ani o grobowcu Chrystusa nie napisał i pocieszał się tylko spostrzeżeniem, „że dla nas, ludzi z pod zimnej gwiazdy Niedźwiedzia, Włochy są antiimaginacyjną krainą. Mój starszy i wielki Pierwszy (Mickiewicz) bawiący tu dawniej przez lat kilka, nic nie napisał i dopiero przybywszy między błędne żórawie, zaczął śpiewać i rymy lać obficie; z tego wnoszę, że imaginacyi jest potrzebne ojczyste, a przynajmniej zbliżające się do ojczystego powietrze, potrzebna jest także atmosfera napełniona westchnieniami ludzi czujących i oświeconych... tego wszystkiego braknie tu, więc dobranoc marzeniom“ [3]).

Towarzystwa nie brakło mu we Florencyi, ale w tem towa-

[1]) Listy II, 72. [2]) Tamże, 83. [3]) Tamże 92.

rzystwie nie znajdował zachęty i bodźca do pracy poetyckiej. „Od jakiegoś czasu — pisał do matki w cytowanym już liście z 2 stycznia 1838 — dałem się wciągnąć mimowolnie w świat i już od kilku tygodni prowadzę życie pełne roztargnienia, co mię męczy i nudzi. Często, wyszedłszy z towarzystwa, gdzie wiele gadałem, przypomina mi się twój talent, droga moja, bawienia gości, i dziękuję Bogu, że mi po tobie trochę tego daru gawędzenia spadło; lecz ta między nami jest różnica, że ty lubisz obudzać myśli w kole towarzyskiem i wyciągasz z niego iskry, jak z krzemieni, a ja nieszczęśliwy gawędzę i niczego się nawzajem od ludzi dopytać nie mogę, więc powracam zwykle zmęczony i pozbawiony moich marzeń, bo rozmowa z ludźmi jest to dla mnie pole, gdzie ja złote moje myśli, moje samotne marzenia na zdawkową rozmieniam monetę i rozsypuję“ [1]. Odnosiło się to zapewne najbardziej do wizyt u Hermanostwa Potockich i księżnej Survilliers, synowicy Napoleona I, gdzie Słowacki bywał, jak się zdaje, najczęstszym gościem, ponieważ „co środy znajdował tam koło dobrze dobrane, starające się dowcipem naśladować paryskie zgromadzenia“.

Młody, przystojny, o salonowych manierach poeta był pożądanym dla każdego salonu, nawet takiego, gdzieby poezyi jego nie umiano ocenić, to też łatwo wierzyć Słowackiemu, że ubiegano się o jego towarzystwo w salonach florenckich. Ale wpływ tych salonów na poetę korzystnym nie był; sam on przyznawał się przed matką, nawpół ze skruchą, nawpół z chlubą, że przy księżnej „znalazł swoją dawną uszczypliwość w rozmowie“, i że używał różnych „szarlataneryj“, aby jej nieznacznie pokazywać swoje „pańsko-eleganckie wychowanie“ [2]. Czcze życie wśród tego towarzystwa wydawało mu się „ciągle trwającą niedzielą“; skarżył się, że nie ma nikogo „coby go ożywił i podniósł trochę“, a w szczególności żałował, że nie ma tu Zygmunta Krasińskiego, którego towarzystwo w Rzymie miało dla niego, według własnych słów jego, „lekarskie, uzdrawiające skutki“ [3]. Od czasu do czasu miewał tylko listy od niego, które służyły zapewne za rodzaj antydotum wobec wpływu towarzystwa florenckiego.

Wiedząc, że dla wszystkich poetów świata miłość była główną krynicą natchnienia, Słowacki chciał się koniecznie zakochać; miłość potrzebną mu była do ożywienia i rozruszania uśpionej muzy.

---

[1]) Listy II, 83. [2]) Tamże, 93. [3]) Tamże 91.

„Dziwna jakaś czcza melancholia dręczy mię — pisał w tych czasach do matki — chciałbym się kochać, ale nie mam w kim. Filowie już ci musieli powiedzieć, droga mamo, że to jest jedno z najgłówniejszych żądań mojego teraz życia... Otóż rok przeszedł nowy, a ja się nie kocham; co to będzie?". I tu opowiadał matce jedną z nieudanych prób swoich zakochania się. „Poznałem tu teraz ładną, jak anioła Amerykankę i to był kamień probierczy mojego ostygłego serca. Zdawało mi się zrazu, że to była jedna z nimf Nijagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami, i już miałem zachwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mię odstręczyła od niej jej ciągła wesołość, ciągły prawie uśmiech na rozkwitłych ustach; włożyłem więc znowu, jak ptak, głowę pod skrzydła i pogrążyłem się w moje sny melancholiczne" [1]).

Próba miłości, jakkolwiek się nie powiodła, nie pozostała przecież bez śladu w poezyi Słowackiego. Amerykanka, która przypomniała Słowackiemu powietrzną czarodziejkę alpejską (Witch of the Alps), co wywołana przez *Manfreda* ukazuje mu się w blaskach tęczy wodospadu (Akt II, scena II), dostarczyła poecie pewnych wrażeń, wsnutych potem w przędzę miłosnego poematu, ona to niewątpliwie podała mu myśl owego cudnego obrazu pierwszego poznania się z kochanką u kaskady, „gdzie Aar wody błękitnemi spada" i pożyczyła swoich błękitnych źrenic bohaterce poematu. Naturalnie, wspomnienie Amerykanki kojarzyło się w tym obrazie z pewnemi reminiscencyami z *Manfreda,* a przedewszystkiem z wrażeniami wielkiej podróży po górach Szwajcaryi w towarzystwie rodziny Wodzińskich.

Ale wspomnienie Amerykanki, jeżeli wystarczało do stworzenia jednej sceny miłosnej na tle górskiej przyrody, nie wystarczało do stworzenia całego poematu miłosnego z całą gammą tonów tego uczucia, o co widocznie wówczas poecie bardzo chodziło. Do tego potrzeba się było zakochać, poeta wiedział o tem, ale jakże tu serce zmusić do kochania i przez serce podziałać na wyobraźnię? Ta jałowość wyobraźni i oschłość uczucia budziły w Słowackim obawę, czy nie znaczą już końca młodości. „Pierwszy raz mieszkanie moje nie przywiązało mię do siebie, choć bardzo ładne i poetyczne, osoby przyjazne nie utonęły mi w sercu — słowem: jest to dziwny dla mnie fenomen ta oziębłość dla wszystkiego i dla wszystkich. Czy to już starość? Lecz ja tak mało używałem serca mojego, że jeszcze młode być

---

[1]) Listy II, 84—85.

musi". Zostając ciągle pod wrażeniem powieści pani Sand, które poznał jeszcze w Szwajcaryi, wielbił ją w listach do matki i żałował, że nie skorzystał kiedyś na genewskiem jeziorze ze sposobności zbliżenia się do niej. „Kto wie, czy w tej chwili słowa jej nie mogłyby nadać innego kierunku moim uczuciom. Serce moje było wtenczas jak glina miękkie i zdatne do przyjęcia innego kształtu. Teraz już późno na wszystkie metamorfozy" [1]).

A jednak wkrótce potem — bodaj czy nie pod wpływem romansów pani Sand — chciał dokonać na swojem sercu nowej próby, która miała je ożywić, rozruszać wyobraźnię i dostarczyć jej pożądanego materyału. Wszakże dotychczas nie zaznał naprawdę czarów miłości, nie pił nigdy z jej kielicha. Ta, którą obrał za panią swoich marzeń jeszcze w dzieciństwie, z góry spoglądała na niego, i sam on w *Anhellim* przyznawał, że „choć był jak gołąb na ramieniu dziewczyny, nie wziął nawet pocałowania od jej ust koralowych". W stosunku z Maryą Wodzińską lub z ową Amerykanką, nie było nawet takiego zbliżenia, jak z Ludwiką Śniadecką, a dla cudzoziemek Kory Pinard i Eglantyny Pattey, które się naprawdę w Słowackim kochały, poeta okazał się zupełnie obojętnym. Postanowił więc żywemi ustami skosztować tego napoju, który znał dotychczas z książek i marzeń; postanowił wyrwać się „ze zwyczajnego omdlenia i lenistwa władz swoich", odegrać rolę „młodego chłopca szalonego", znaleźć sobie jaką Fornarinę, „owinąć to bóstwo w idealne szaty i z rzeczy pospolitej zrobić sobie romans, kończący się łzami, a tak głębokie zostawiający wrażenie, że pamiątki jego wystarczą na zapełnienie marzeniami wszystkich mglistych dni zimowych, które jeszcze trzeba będzie przebyć na ziemi".

Słowa poety, w ostatnim cudzysłowie zawarte, a wzięte ze współczesnego listu do matki [2]), najwyraźniej świadczą, że ten romansowy stosunek z jakąś prostą dziewczyną włoską nie wypłynął nieświadomie, żywiołowo z serca, ale zawiązany był w celach artystycznych. Ślad też jego spotykamy w poemacie *W Szwajcaryi*, który jest osnuty

---

[1]) Listy II, 101—102. Pierwsza wzmianka o pani Sand w listach Słowackiego do matki umieszczona jest pod datą 28 września 1834. „Zjawiła się we Francyi nowa pani de Staël, którą ja przekładam nad dawniejszą. Nowa ta autorka kryje się pod nazwiskiem George Sand i pod tem imieniem wydała 4 romanse, z których dwa pierwsze są prawdziwie zachwycające. Staraj się, Mamo, dostać *Indiana* i drugi romans *Valentine* przez G. Sand, a przepędzisz kilka godzin rozkosznie". Listy I, 261.

[2]) Listy II, 103.

na kanwie wrażeń, odnoszących się do rozmaitych postaci kobiecych. W cytowanym tylko co liście do matki, opisuje Słowacki, chełpiąc się trochę, nie tyle, jak się zdaje, przed matką, ile przed Filami, którzy trochę sceptycznie spoglądali na jego wstrzemięźliwość, pewną wycieczkę ze swoją Fornariną do ogrodu Pratolino. „Lataliśmy po murawach, kląby róż między ciemną zielonością błyszczące przypomniały mi Julinki; wchodziliśmy odpoczywać o południu do grot, w których mruczały strumienie — słowem dobrze mi było i sądziłem się nowym Numą z Egeryą...“. Myślę, że z tego zaglądania do grot urodziły się niektóre strofy poematu *W Szwajcaryi*, i że Fornarina, pomimo, iż poeta mówi „o dziwnem w niej zakochaniu się“, któreby go mogło „do jakich szaleństw przywieść“, na nic więcej nie była mu potrzebną, jak na model do miłosnego poematu, który mu już wtedy snuł się po głowie, a może nawet w części był już napisany.

Pobyt Słowackiego we Florencyi przeciągnął się nad zamiar, ale bynajmniej nie dla Fornariny, tylko dla innej „osóbki“, którą tam później poznał poeta, a która w jego życiu odegrała rolę podobną do roli Maryi Wodzińskiej. Była to Aniela Moszczyńska, córka obywatela z Ukrainy, a krewna towarzysza Słowackiego z podróży na Wschód. Jak tamta, nie była ładną, ale wykształconą i bogatą, a ponieważ i panna i ojciec uprzejmie go witali w swym domu, zdało się Słowackiemu, że znajdzie w niej taki „kwiat biały na rzece żywota“, o którym dawniej marzył, taką lilię wodną, około której mógłby się „obwinąć i zasnąć“, czyli mówiąc językiem prostym, że bogata panna chętnie ofiaruje mu swą rękę i podzieli się z nim swoim posagiem. Złudzenie było silniejsze, niż pierwszym razem, ponieważ ojciec, czy to dobrodusznie, czy dla złośliwego żartu, powtarzał mu: „Popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię“ i poeta sam przyznaje, że dlatego zatrzymał się we Florencyi, aby „kiedyś nie miał na sumieniu swojem, że się po szczęście w ludzkiem rozumieniu wielkie nie schylił wtenczas, kiedy mu leżało na drodze“ [1]. Ale rozczarowanie nastąpiło teraz prędzej, niż przedtem, i było zapewne przykrzejsze, ponieważ poeta pisał w rok potem: „cała ta awantura zostawiła mi tylko gorycz w sercu i niepewność, czy się nie urągano ze mnie“ [2]. Pisał to już wtedy, gdy Aniela Moszczyńska nie żyła, i gdy ją „śmierć upiękniła w jego oczach“, ale i wtedy

[1]) Listy II, 123. [2]) Tamże.

przyznawał otwarcie, że za jej miliony „nic jej nie mógł dać nawzajem, nawet serca“. Tak więc Anhelli pomimo swojej anielskości gotów był nie oglądać się przy zawieraniu małżeństwa na serce, dbając przedewszystkiem o to, aby swemu marzycielstwu i dążeniu do sławy dać silną materyalną podstawę.

Jeszcze zanim zawiodły poetę nadzieje bogatego małżeństwa, nadesłano mu z Paryża świeżo wydany jego poemat. Usposobienie, w jakiem się wówczas poeta znajdował, było bardzo dalekie od tej anielskiej melancholii, która z poematu zawiewa, jednak Słowacki, jako sztukmistrz, zachwycony był tym swoim utworem, który w istocie pod względem kunsztownej prostoty i melodyjności stylu i harmonii barw jest trudnem do prześcignienia arcydziełem. To też w listach do matki formalnie obsypywał pieszczotami to swoje najmłodsze dziecko. Wspomniałem już, że prawdopodobnie jeszcze przed wykończeniem pisał o niem, że „już mu pięknie rośnie i płacze i ma jakieś rysy bardziej regularne“ i spodziewał się, że matka je pokocha; w kilka miesięcy potem, przed samem wydaniem, donosił matce o Anhellim, że „melancholiczną i trochę Chrystusową ma twarz, wielką prostotę w ubiorze i nie podobny jest do niczego“ [1]), kiedy zaś nadesłano mu już wydaną książeczkę z Paryża, tak dzielił się z matką wrażeniami dnia owego: „Przedwczoraj miałem dzień miły dla mnie. Oto przyszło mi z Paryża moje ostatnie dziecko, które tylko 11 dni dopiero żyje, w ładną sukienkę ubrane, potulne, melancholiczne, prosto mówiące, dziecko słowem, które ja kocham bardzo i o którem zaręczano mię, że mu się dobrze powiedzie Odebrałem je z rana w niedzielę, więc porzuciwszy obojętnie, ubrałem się i poszedłem na śniadanie, ale mnie coś ciągnęło do domu i do mego dziecka. Więc już chciałem powracać śpiesznie, ale przypomniałem sobie, że jest niedziela, że kościoły otwarte, że Bóg tak jest dobry dla mnie. Więc poszedłem do wielkiej, ciemnej, pustej katedry i stanąwszy pośrodku, zacząłem myśleć o Bogu, aż oczy moje napełniły się łzami. Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim. Otóż takie były myśli moje, takie uczucia po odebraniu tego nowego płodu. Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny!...“.

Z tych słów widać, jak nawet pobożność i pokora u Słowa-

[1]) Listy II. 104.

ckiego przybierały jakiś teatralny charakter, ale widać także, jak wielkie znaczenie przypisywał on swemu nowemu poematowi. *Anhelli* był czemś zupełnie nowem w poezyi Słowackiego, a różnił się od poprzednich jego utworów nietylko formą i treścią, ale i pewnym nastrojem religijnym, jakiego w poprzednich nie było śladu. Zdawało się zapewne poecie, że teraz nikt nie będzie mógł powiedzieć o jego poezyi, że jest to piękny kościół, ale bez Boga, ani też nikt odmówić mu oryginalności. Niebawem, w jesieni 1838 r., zjawił się we Florencyi Zygmunt Krasiński, i — jak się łatwo domyśleć, znając jego uwielbienie dla *Anhellego* — mógł łatwo wzmocnić w Słowackim to przekonanie o wielkiem znaczeniu nowego poematu. Wdzięczność Słowackiego dla Krasińskiego za to nowe pokrzepienie jego ducha, jego ufności w potęgę swego geniuszu, wylała się w pożegnalnym wierszu *Do Zygmunta,* gdzie Słowacki młodszego wiekiem, ale starszego powagą myśli przyjaciela nazywał „archaniołem wiary“, i „serc wskrzesicielem“.

ROZDZIAŁ V.

Walka o sławę.

1838—1839.

Przyjazd do Paryża. — *Poema o Piaście Dantyszku.* — Poemat *W Szwajcaryi.* — *Ojciec Zadżumionych.* — *Wacław.* — Sąd Krasińskiego o *Wacławie.* — Pierwsze głosy krytyki o *Anhellim.* — *Młoda Polska* o Trzech poematach i Dantyszku. — Odpowiedź Słowackiego. — O ile słuszne były żale Słowackiego. — Kosmopolityczny estetyzm Słowackiego i Krasińskiego. — Sadowskiego recenzya *Anhellego.* — Nadzieja wystąpienia na widowni europejskiej.

Nareszcie pod sam koniec 1838 r. Słowacki pojechał do Paryża, aby tam stanąć do nowego turnieju, odnieść tryumf i otrzymać z rąk „Królowej sławy“ najwyższą nagrodę. *Anhelli* już był ogłoszony i przypomniał światu imię poety, który od czasu wydania *Kordyana,* t. j. od pięciu lat prawie, nie dawał o sobie znaku życia. Za *Anhellim,* wkrótce po przyjeździe poety do Paryża, miały się posypać inne utwory Słowackiego, pisane w ciągu lat ostatnich, a więc *Poema o Piaście Dantyszku, W Szwajcaryi, Wacław, Ojciec Zadżumionych* i *Balladyna* i swoją różnorodnością i świetnością barw zdobyć dla poety to uwielbienie, jakiego dotychczas zakosztował on tylko ze strony Krasińskiego.

Chwila, w której Słowacki wystąpił do nowej walki o pierwszeństwo na polu poezyi, jakkolwiek smutna dla niego z powodu prześladowania politycznego, jakiego jego matka i wuj w kraju doznawali, była jednak szczęśliwie obraną ze względu na ciężkie położenie, w jakiem się wówczas znajdował ten, o którego prześcignięcie chodziło Słowackiemu. I Mickiewicz od lat pięciu, od czasu napisania *Pana Tadeusza,* zapadł w milczenie, ale z tego milczenia, dzięki kłopotom życia małżeńskiego, nie miało się nic urodzić dla literatury polskiej. Wiedział o tych kłopotach Słowacki. „Wiadomość smutna, pisał do matki jeszcze w maju 1838, że Adam, chcąc zarobić na kawałek chleba, dramę po francusku napisał i wyznał sam, że ją pisał jak szewc, co szyje buty, aby wyżywić żonę i dziecko; że pisał bez zapału, a teraz przechodzi przez męki tych autorów, którzy z nieznanem imieniem chcą reprezentacyę dla pierwszego dzieła na scenie otrzymać" [1]). Wiadomo, że do tej reprezentacyi nie doszło i Mickiewicz musiał szukać innego sposobu utrzymania rodziny, który go miał jeszcze bardziej oderwać od twórczości poetyckiej. Jak ciężko był przygnębiony Mickiewicz w czasach przyjazdu Słowackiego do Paryża, tak z powodu obłąkania żony, jak i pokrzyżowania się planów dotyczących posady profesorskiej, najlepiej się to maluje w kilku wierszach jego współczesnego listu do Domejki z Paryża (8 stycznia 1839 r.): „Odczytawszy twoje wiadomości o Coquimbo zawyrokowaliśmy ja i Stefan (Zan), że tobie tam lepiej niż nam tu, bo tu nas otacza step moralny bez końca, a na drodze miewamy ciężkie przeprawy. Ja doznałem różnych nieszczęść. Byłem w Szwajcaryi starając się tam o miejsce w Akademii w Lausanne. Miejsce otrzymałem, było bardzo dobre. Tymczasem odbieram wiadomość, że żona chora. Znajduję konsylium przy żonie, a drugie konsylium przy synku małym. Łatwo pojmiesz moje położenie. Żona po kilku miesiącach ledwie teraz daje nadzieję wyzdrowienia. Dzieci w obcych domach, ale przecie zdrowe. Miejsce owo w Lozannie nie wiem czy znowu dostanę. Bieda wszędzie. Dziwię się, że wszystko to przetrwałem dotąd, alem bardzo zestarzał w duszy...". A nieco niżej w tym samym liście dodawał: „Nic nawet przez ten czas czytać nie mogłem i nawet czytając nie rozumiałem. Większą cierpiałem biedę, niż tobie opisuję" [2]). Kto wie, jak mało pochopnym był Mickiewicz do

[1]) Listy II, 100.

[2]) Korespondencya Ad. Mickiewicza. Paryż-Lwów 1880. T. I, str. 195—196.

użalania się na swoje losy. ten łatwo oceni wymowność tego ostatniego wyrażenia.

Tak więc Słowacki, przybywając do Paryża, mógł być pewnym, że nie grozi mu niebezpieczeństwo, aby blask jego nowych utworów mógł być przyćmiony jakim nowym poematem Mickiewicza. O innych poetów mniej dbał; nadto był pewnym swojej wyższości nad Zaleskim i Goszczyńskim. Wprawdzie Krasiński jako autor *Nieboskiej Irydyona* był nową gwiazdą na niebie poezyi polskiej, ale naprzód Krasiński nie miał daru formy poetyckiej, powtóre, co ważniejsza. Krasiński sam się pochylił przed Słowackim, składał hołd jego geniuszowi poetyckiemu i mianował go następcą po Mickiewiczu.

Pierwszym poematem Słowackiego, który ukazał się po przybyciu jego do Paryża, było *Poema Piasta Dantyszka herbu Leliwa o piekle.* Dlaczego poeta nie kładł swego nazwiska na tym utworze? Czy obawiał się, że położenie nazwiska na poemacie, pełnym jaskrawych alluzyj do ostatniego powstania, do Wielkiego księcia Konstantego i samego cara, może ujemnie oddziałać na sprawę jego matki i wuja w kraju? Czy nie zupełnie był pewnym artystycznej doskonałości swego poematu, i przed przyznaniem się do niego, chciał zobaczyć, jakie sprawia wrażenie? Zdaje mi się, że pierwszy z tych dwu względów odegrał tu rozstrzygającą rolę, ponieważ poeta ubocznie, stawiąc na czele poematu i czas i miejsce napisania, wskazywał poniekąd publiczności emigracyjnej swoje autorstwo. Bądź co bądź, to pewna, że Słowacki, wyprowadzając z ukrycia na świat, Dantyszka, składał dowód wielkiego zaślepienia ojcowskiego i niemało szkodził sprawie swego tryumfu poetyckiego. Poemat napisany był na zimno, bez wszelkiego natchnienia; prawdopodobnie pochodził z tych czasów, kiedy poeta skarżył się na Włochy, jako na antiimaginacyjną krainę. Pomysł przedstawienia rubasznego szlachcica Leliwy w roli Danta, odbywającego zaziemską wędrówkę, miał być zapewne w intencyi autora bardzo oryginalnym, w wykonaniu stał się dziwacznym i niesmacznym. A ze wszystkiego najniesmaczniejszem w *Dantyszku* to połączenie humorystycznego tonu, w jakim jest przedstawiona postać Leliwy, z wysokiem patos patryotycznem, które się z różnych miejsc poematu odzywa; najniesmaczniejszem nie dlatego, żeby się te dwa tony nie dawały nigdy skojarzyć harmonijnie, bo że mogą, świadczy o tem *Pan Tadeusz,* ale dlatego, że oba brzmią tutaj nieszczerze.

Co mogło pobudzić Słowackiego do tego dziwnego skojarzenia dantejskiej fantazyi z rubasznością szlachcica, i tonu drwiącego z apoteozą? Jeżeli porównamy *Dantyszka* z *Grobem Agamemnona*, to dostrzeżemy pewnej rażącej sprzeczności. W *Grobie* poeta przeklinał „rubaszny czerep“ szlachecki, który więzi w sobie anielską duszę Polski, i wzywał do zrzucenia kontusza i pasa, „tych płacht ohydnych“, „tej palącej koszuli Dejaniry“; w *Dantyszku* ten rubaszny czerep w kontuszu i z dzbanem w ręku, choć w niektórych ustępach traktowany tonem Krasickiego z *Myszeis* [1]), przybierał w końcu aureolę świętości i męczeństwa. Cóż było prawdą podług poety? Kiedy był szczerym, czy wtedy kiedy pisał *Grób Agamemnona*, czy kiedy pisał *Dantyszka?* Niewątpliwie szczerszym był w pierwszym razie, sam ton jego poezyi świadczy o tem.

Jeżeli zaś wbrew niechęci do rubasznego czerepu, chciał go zrobić bohaterem dantejskiego poematu i ubierał w patryotyczne blaski apoteozy, to myślę, że skłoniła go do tego chęć szukania popularności, chęć znalezienia sposobu, któryby jego „fantastycznie nastrojoną lutnię“ uczynił przystępną dla szlachty. Znający dobrze tę szlachtę Filowie mówili mu, że ona jego utworów nie zrozumie, otóż Słowacki próbował podać jej swoją fantastyczność w naczyniu, któreby ją pociągało do zawartej w niem treści, to jest w rubasznym czerepie Leliwy. Ażeby zaś tem większą zjednać dla swego poematu popularność, tem więcej zachęcić do niego ogół, uderzał na wstępie w „Ofiarowaniu“, w wielki dzwon patryotyczny, poświęcał swój poemat Warszawie „żałosnej wdowie polskiego ludu“, „matce w żałobie — tych co śpią w krwawym pochowani w grobie — i tych, co wierzą, że wstanie na nowo“. Jak *Anhelli* był przedewszystkiem przeznaczony dla tak marzycielsko nastrojonych, jak Zygmunt Krasiński, *Dantyszek*, w którym jest coś z Sienkiewiczowskiego Zagłoby, miał przemawiać przedewszystkiem do tych, co według pewnej strofy *Beniowskiego*, omijają „szczyt Parnasu stromy“, i wolą „pijące gardła, wąsy, psy, kontusze — a nadewszystko szczere, polskie dusze“. Jak się zawiódł, o tem później.

---

[1]) Przypominam np. te wiersze:

Niosą szlachcica w niebo z dzbanem w ręku,
A ja z nad chmury upuściłem dzbana
I potem aż się dowiedziałem w siole,
Że upadł z nieba na księdza plebana,
I wybił mu jak talar guz na czole i t. d.

Zaraz po *Dantyszku*, w początkach r. 1839, ukazały się razem wydane, pod zbiorowym tytułem *Trzy poematy: W Szwajcaryi, Wacław* i *Ojciec Zadżumionych*. Poemat *W Szwajcaryi* uważał Słowacki za najlepszy z tych trzech i stawiał go obok *Anhellego* [1]. I w istocie wykończeniem stylu i eteryczności obrazów dwa te poematy zbliżają się do siebie i wraz z *Ojcem Zadżumionych* stanowią trójcę najsubtelniej wykończonych utworów Słowackiego. We wszystkich trzech poematach tło przyrody odmalowane jest z właściwym Słowackiemu wdziękiem i stanowi główny urok, ale w żadnym innym poemacie jego nie ma ono tak wielkiego znaczenia, jak w tej sielance szwajcarskiej. Czuł to dobrze sam poeta, gdy nadawał poematowi swemu tytuł: *W Szwajcaryi,* bo tym sposobem wyraźnie zaznaczył, że główną rzeczą w poemacie jest tło krajobrazowe, dekoracya, nie zaś dzieje serca, które się na tem tle rozwijają. Przyroda szwajcarska, którą Słowacki poznał w całej jej piękności podczas wycieczki z rodziną Wodzińskich w Alpy, obdarzyła go skarbem wrażeń, które z całą świeżością przechowywały się w duszy poety i domagały się ujścia dla siebie w poezyi. Dzieje pisania tego poematu nie są nam znane, w każdym razie zdaje się być rzeczą pewną, że rozpoczęcie jego przypada na czasy florenckie, prawdopodobnie na te, kiedy poeta jeszcze nie wyszukał był sobie Fornariny i skarżył się przed matką, że „chciałby się kochać, ale nie wie w kim“, i kiedy daremnie próbował swego „ostygłego“ serca na jakiejś ładnej Amerykance.

Wspomniałem już, że te próby, to szukanie miłości było potrzebne poecie do celów poetyckich, bo co się tyczy małżeństwa, to ze stosunku poety z Anielą Moszczyńską, wiemy, że dla Słowackiego miłość wzajemna nie stanowiła niezbędnego w tym względzie warunku. Poeta miał w wyobraźni wspaniałe tło przyrody szwajcarskiej i chciał je wprowadzić do poezyi, ale uważał za rzecz konieczną rzucić na to tło jakiś haft miłosny, któryby je ożywił i ozłocił. Wzoru do tego haftu wziął trochę z wrażeń osobistych, trochę z lektury (Dante) [2], wreszcie z fantazyi i oto tak powstała ta pajęcza tkanka

[1]) W przedmowie krótkiej do *Wacława* pisał: „Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić, ani przemienić nie jestem zdolny; a dwa poprzedzające poematy: *W Szwajcaryi* i *Anhelli* przybiegną w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia poecie.

[2]) Mówię o tem obszerniej w *Szkicach literackich*. Serya I. Kraków 1896, str. 157—160.

fabuły miłosnej, która jak nić babiego lata unosi się na tle gór, dolin, błękitnych jezior, lodowców i wodospadów Szwajcaryi. Niewątpliwie ze wszystkich utworów Słowackiego, do owego czasu napisanych, był ten poemat najbardziej harmonijnym, był jakby koroną dotychczasowej twórczości poety, naprzód dla swego artystycznego wykończenia, a powtóre, ponieważ to, co stanowi główną siłę geniuszu Słowackiego, głębokie poczucie piękna przyrody, znalazło tu dla siebie najszerzej otwarte wrota.

O poemacie *W Szwajcaryi* można powiedzieć, że tam prawdziwą kochanką Słowackiego była przyroda alpejska, ustrojona we wszystkie swoje wdzięki i uśmiechy, szafiry jezior, tęcze wodospadów, szmaragdy lasów, rubiny koron śnieżnych, istota zaś w ludzkiem ciele, odgrywająca w poemacie rolę kochanki, była tylko fikcyą, była jakby wymarzonem uosobieniem tamtej, i wszystkie swoje blaski, całą piękność zawdzięczała tamtej. Cóżby się z nią stało, gdyby ją wyrwać z tych ram wspaniałych i rzucić na tło powszednie? Zapewne to samo, coby się stało ze srebrną nicią babiego lata, przeniesioną z szafirowych i złocistych dni wrześniowych na szare, słotne tło listopada.

W *Ojcu Zadżumionych* znalazł poeta sposobność uplastycznić wrażenia, których doznał podczas dwunastodniowej kwarantanny na granicy między Egiptem a Syryą. I tu krajobraz gra ważną rolę, ale nie taką jak w sielance szwajcarskiej, ponieważ pomiędzy duszą poety, a „smutną doliną piaszczystą“ nie było tego węzła, jaki łączył tę duszę ze wspaniałą przyrodą Szwajcaryi, nie było zachwytu, tylko raczej uczucie smutku i grozy.

W *Ojcu Zadżumionych* fabuła choć także dostrojona do krajobrazowych wrażeń poety i od nich do pewnego stopnia zależna, grała daleko ważniejszą rolę, miała swój byt odrębny, kształty wyraziste, do tkanki pajęczej wcale podobną nie była.

Wiadomo, że Słowacki zaczerpnął tej fabuły z ust lekarza włoskiego z miasteczka El-Arish, zaczerpnął na miejscu opowiadanego wypadku, stąd fantazya jego miała w tym utworze tak realną podstawę, jak w żadnym innym. Miało to dodatnie skutki, i jakkolwiek niesłusznie, mojem zdaniem, stawiano *Ojca Zadżumionych* obok Laokona i grupy Nioby [1]), to jednak trzeba przyznać, że wśród całej, obfitej poezyi Słowackiego, tak często mglistej, mętnej, gorączkowej

---

[1]) Porówn. *Szkice literackie.* Serya I, artykuł o Juliuszu Słowackim.

i kapryśnej, utwór ten zajmuje wyjątkowe stanowisko i świeci wyjątkowo klasyczną jasnością i klasyczną doskonałością budowy. Mistrzowskie stopniowanie cierpień nawiedzonego szeregiem nieszczęść Araba budzi w nas podziw i poemat piętrzy się przed nami istną piramidą boleści. Ale podziwiając kunszt artysty, czujemy pewien chłód akademicki, wiejący z utworu, a artyzm tematu na tle uczuć przenikających współczesną poezyę polską wygląda dziwnie i na anhelliczność poety rzuca szczególne światło. To też Szujski, nie mogąc pogodzić tego egzotyzmu z wyobrażeniem, jakie miał o Słowackim, jako wieszczu narodowym, widział w *Ojcu Zadżumionych* allegoryę cierpień Polski[1]).

Nie potrzebuję rozpraszać tego złudzenia, bo to już dawno uczynił Małecki w swojem dziele o Słowackim; dodam tylko do tego, co tam powiedziano, że gdyby w istocie przewodniczyła poecie przy pisaniu *Ojca Zadżumionych* jakakolwiek myśl o „sprawach domowych“, nie omieszkałby mniej lub więcej wyraźnie zaznaczyć tego w przedmowie do poematu. Tymczasem w przedmowie poeta wyłącznie jest zajęty sobą i swojemi wrażeniami z czasów kwarantanny w El-Arish, z których się utworzyła cała dekoracyjna część poematu. Jakie zaś uczucie przewodniczyło poecie, jeśli nie przy tworzeniu, to przynajmniej przy ogłaszaniu tego arcydzieła, tego domyślić się możemy z ostatnich słów przedmowy. Powiada on tam, że chętnieby podziękował w przedmowie doktorowi Steble, od którego miał historyę o Ojcu Zadżumionych, gdyby wiedział, że te kilka wyrazów znajdzie go na pustyni. „Ale czemże jest dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku i wymówione głosem, który zaledwo się tak rozchodzi, jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej kamieniu“. Była to cicha skarga na brak sławy, a pod nią ukrywająca się cicha i nie bezzasadna nadzieja, że ten egzotyczny poemat bardziej od innych zdolny jest rozszerzyć sławę poety poza narodowe szranki.

Ostatni z *Trzech poematów*, *Wacław*, był niepodobny ze swego nastroju do żadnego ze współczesnych utworów Słowackiego; przypominał jeszcze dawniejszą manierę bajroniczną poety. W *Wacławie*, jak wiadomo, występuje jako bohater Szczęsny Potocki, tylko nie

---

[1]) *Treny* Jana Kochanowskiego i *Ojciec Zadżumionych* Juliusza Słowackiego. „Arab sierocy Słowackiego jest niczem innem, jak jednem ze strasznych marzeń o domowych sprawach, jednem przeczuciem wieszczem więcej, jedną chwilą krzyżowej drogi, którą krwią z pod serca odznaczył poeta — siedząc w namiocie pustynnym, a sięgając myślą ojczyzny“.

w rozkwicie młodości, jak u Malczewskiego, ale jako starzec, zdradzany przez piękną i niewierną Greczynkę Zofię i dręczony zgryzotami sumienia z powodu Targowicy. Wybór tego tematu daje się objaśnić rozmaitymi motywami: szczególnym kultem dla *Maryi* Malczewskiego, wspomnieniami odwiedzin Tulczyna jeszcze w czasach uniwersyteckich, stosunkiem znajomości zawiązanej w Rzymie 1836 r., a odnowionej we Florencyi 1838, z Aleksandrem Potockim, synem Szczęsnego. Wszystkie te motywy mogły działać razem z większą lub mniejszą siłą, ale bezpośrednią, jak sądzę, pobudką, było wprowadzenie postaci Szczęsnego do poematu o piekle. Wtedy to zapewne, kiedy pisał *Dantyszka* i zapełniał piekło różnemi postaciami politycznemi z czasów upadku Polski, stanęła przed oczami Słowackiego cała ponura tragiczność tej postaci i nastręczyła mu temat do jednego z dzieł poetyckich, które miał w cichości wykończyć, aby niemi odrazu zabłysnąć przed światem. Myślę, że z tem przypuszczeniem zgadzają się dobrze słowa usprawiedliwienia poety w krótkiej przedmowie: „Są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownymi kolorami w poemacie *Marya* odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mnie do napisania następnego poematu“. Otóż ten „pociąg“ zbudził się w poecie najpewniej przy kończeniu *Dantyszka* i stąd naturalnie wniosek, że *Wacław* napisany był później, niż *Poema o piekle,* a ponieważ to poema, jak wiemy od samego poety, powstało we Florencyi, więc i *Wacława* trzeba odnieść do czasów florenckich [1]).

Jest w dalszym ciągu przedmowy jeszcze jeden ustęp, na który warto zwrócić uwagę. Słowacki, przewidując, że nie wszystko się będzie podobało czytelnikom w *Wacławie*, prosił, jak wiemy, o pobłażanie.

[1]) W przypisach do poematu o piekle czytamy; „Opowiadanie Dantyszka o piekle, natchnięte niby echem dalekiem Danta, napisane w ojczyźnie tego księcia poetów i t. d.“. Za florenckiem pochodzeniem *Wacława* przemawia jeszcze zgodność w pewnem wyrażeniu pomiędzy poematem a florenckimi listami poety. W poemacie (ustęp XVI) czytamy:

A dziś... już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna *królowa przestrachu.*

W liście zaś z 10 lipca 1838 taki zwrot się znajduje: „można w Azyi i w Afryce wojażować bez żadnego niebezpieczeństwa, a na drodze do Pratolino można się spotkać *z królową ostatecznych przestrachów*, jak pismo święte mówi“. (Listy II, 106).

„Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem zdolny“. Skąd to tłómaczenie się i po co wiadomość, że poeta nie jest zdolny poprawić swego poematu? Zdaje mi się, że odgaduję okoliczność, która do tej exkuzy pobudziła poetę. Niedługo przed wyjazdem Słowackiego z Florencyi, bawił tam Zygmunt Krasiński. Odżyła znajomość zawiązana przed paru laty w Rzymie i Krasiński bywał częstym gościem w owej wieżyczce Słowackiego, skąd na wszystkie strony roztaczał się piękny widok na okolice Florencyi. Niewątpliwie Słowacki czytał swemu wielbicielowi nowe swoje rzeczy, które miał niebawem drukować w Paryżu, a między niemi i gotowego już *Wacława,* i niewątpliwie musiał go pytać o zdanie. Wiemy, jakie było zdanie Krasińskiego o utworach Słowackiego z owych czasów. Najwyżej stawiał *Anhellego,* nad którego nie widział „nic smętniejszego, nic poetyczniej pomyślanego i wykonanego“ [1]); poza *Anhellim* najwięcej się zachwycał poematem *W Szwajcaryi* [2]), co się zaś tyczy *Wacława,* to w liście do Konstantego Gaszyńskiego (niedługo po wyjściu na świat *Trzech poematów,* 19 października 1839), pisał o Słowackim, że „w *Wacławie* potknął się, Malczewskiemu nie dotrzymał kroku. Nie jest to poemat, raczej paszkwil; nie jest to poezya, raczej anegdota, ale wiersz zawsze pyszny!“ [3]). W cytowanym już liście do Romana Załuskiego (z 13 maja 1840) sąd Krasińskiego o *Wacławie* jest przychylniejszy. „W *Wacławie* spowiedź pełna motywów tak pięknych, jak rzadko. Charakter Wacława, przejęty z ręki konającego Malczewskiego, dociągniony, dorysowany, domalowany jak na wielkiego mistrza wypada. Byron lepiejby nie był potrafił, to też całkiem byrońskie“ [4]). Ale i ta pochwała nie znaczyła, żeby Krasiński nie miał nic do zarzucenia *Wacławowi,* w liście bowiem, o którym mowa, występuje on tylko jako adwokat Słowackiego wobec niechętnej dla tego ostatniego publiczności, stara się wykazać tylko zalety jego poezyi, nie sądzi, ale broni. „Gdyby publiczność — powiada w końcu tego listu — była Juliusza wyniosła pod obłoki, byłbym krytykę pisząc, wspomniał o tem, co w nim jest słabością, usterkiem, niedokończeniem, dys-

[1]) Listy Zygmunta Krasińskiego. Lwów 1882. T. I, str. 138—139.
[2]) List do Romana Załuskiego, loco citato. T. III, str. 59.
[3]) Tamże. T. I, str. 149.
[4]) Tamże. T. III, str. 59—60.

harmonią. Ale to wam zostawiam, którzy na to otwarte oczy macie". Dlatego też i tego nie wytykał, co mu się w *Wacławie* nie podobało.

Na podstawie przytoczonych tu ustępów z korespondencyi Krasińskiego łatwo odgadnąć, co mówił on we Florencyi Słowackiemu o jego najnowszych utworach. Niewątpliwie *Anhellego* i *W Szwajcaryi* otoczył bezwzględnem uwielbieniem, natomiast mówiąc o *Wacławie* musiał do pochwał dołączyć pewne zarzuty, a może i rady, aby to i owo, co nadawało w jego oczach poematowi cechę paszkwilu, poprawić i odmienić. Słowacki nie zastosował się do uwag swego znakomitego przyjaciela i wielbiciela, ale te uwagi pobudziły go do tłómaczenia się przed czytelnikiem w przedmowie. Treść przedmowy zupełnie odpowiada sądom Krasińskiego o *Wacławie, Anhellim* i *Szwajcaryi.*

W parę miesięcy po *Trzech poematach* ukazała się *Balladyna*, poprzedzona listem do Krasińskiego i zakończyła szereg utworów, które Słowacki po kilkoletniem milczeniu w ciągu niespełna roku puścił w świat, nie wątpiąc w głębi ducha, że tym razem zdobędzie to, o co dotychczas daremnie walczył — sławę. Jeżeli zresztą mógł cokolwiek wątpić o powodzeniu *Dantyszka* i *Wacława,* to był przekonany, a w przekonaniu tem utwierdzał go sąd Krasińskiego, że *Anhelli, W Szwajcaryi, Ojciec Zadżumionych* i *Balladyna* są arcydziełami, które muszą imię twórcy otoczyć aureolą sławy. Częściowy wyraz tego przekonania widzieliśmy tylko co w przedmowie do *Wacława.*

Jakże przyjęła te utwory krytyka? Naturalnie poecie najwięcej musiało chodzić o uznanie krytyki emigracyjnej i społeczeństwa emigracyjnego, bo emigracya była wówczas kwiatem narodu, bo poeta do niej się głównie zwracał w swoich utworach, bo tędy zresztą wiodła droga do sławy europejskiej.

Pierwsze głosy krytyki emigracyjnej, wywołane ukazaniem się *Anhellego,* zdawały się, przynajmniej po części, odpowiadać pragnieniom i nadziejom poety. Pierwszym takim głosem była wzmianka o *Anhellim* w *Młodej Polsce,* piśmie świeżo założonem przez Eustachego Januszkiewicza, wydawcy utworów Słowackiego, za pieniądze jednego z hrabiów galicyjskich (Uruskiego). Pismo, z którem nieraz jeszcze wypadnie się nam spotkać, chciało się stać „organem partyi katolickiej w Polsce i emigracyi", ale nie miało nic wspólnego z Mickiewiczem i tym prądem religijnym, który płynąc z *Ksiąg pielgrzymstwa* i *Trzeciej części Dziadów,* ogarnął wielu jego przyjaciół

i dał początek zakonowi Zmartwychwstańców. Wprawdzie to przedsiębiorstwo księgarskie chciało ów prąd na swój młyn obrócić i starało się wciągnąć do spółki Bogdana Jańskiego, założyciela klasztorku, z którego wyszedł Zakon Zmartwychwstańców, ale ten się wciągnąć nie dał. *Młodą Polskę* nazywał „dziwną i misterną entrepryzą“, a o jej głównym redaktorze, Stanisławie Ropelewskim, pisał, że jest to „dandy z opiniami tylko katolickiemi, niepraktykujący, próżny, chwiejący się, najniepewniejszy człowiek“ [1]. Tego Ropelewskiego Hieronim Kajsiewicz przedstawiał, jako „kołyszącego się i drzemiącego w mglistej, czczej, sentymentalnej religijności“ [2], a Mickiewicz, jakkolwiek pobłażliwie traktował *Młodą Polskę*, utrzymując, że „kto uczy w imię Chrystusa nie może długo być jego nieprzyjacielem“, dodawał dowcipnie: „Prawdę mówiąc, zdaje mi się, że oni sami dobrze nie wiedzą, w co wierzą i czego chcą; może pisząc, dowiedzą się“ [3]. Atoli redaktor był zdolnym stylistą, a Januszkiewicz pocichu rozgłaszał, że to Mickiewicz redaguje jego pismo [4]) i *Młoda Polska* sprawiała wrażenie.

Otóż w tej *Młodej Polsce* w numerze z 10 sierpnia 1838, a więc jeszcze przed przyjazdem Słowackiego do Paryża, znalazła się taka wiadomość bibliograficzno-krytyczna: „W tych dniach wychodzi z pod prasy *Anhelli*, poemat Juliusza Słowackiego... bijący urok stylu, przy niewyraźnem odrysowaniu idei, zresztą wysokie udoskonalenie tego, co jest w piśmiennictwie nabytkiem: oto główny charakter niniejszego poematu, jak i wszystkich utworów autora. W *Anhellim* przeglądają nadto, niby przez mgłę, dążności chrześcijańskie. Zapisujemy ten postęp“. W tem ostatniem wyrażeniu traktowano Słowackiego trochę z przekąsem, ale za to pochwała

---

[1]) Ks. Paweł Smolikowski. Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Kraków 1893. T. II, str. 145.

[2]) Tamże II, 247.

[3]) Korespondencya Ad. Mickiewicza T. I, str. 174. Bohdan Zaleski pisał z Endoume (18 sierpnia 1839) do Semenenki i Kajsiewicza: „Adam żali się nam na Młodą Polskę, która tiarą papieską nakrywa dość świeckie cele. Zowie ją karczemką Januszkiewicza et Comp., którą wystawili obok kościoła, bo się ludzie poczynają schodzić na odpust“. Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego. Lwów 1900, T. I, str. 128.

[4]) W cytowanym tylko co liście czytamy: „N. N. słyszę, że mnie jako redaktora pocichu ogłasza“. To „N. N.“ zastępujące miejsce nazwiska, które Bohdan Zaleski wykreślił, oddając listy Mickiewicza wydawcy *Korespondencyi* do druku, niewątpliwie oznacza Januszkiewicza.

jego stylu tem większego nabierała znaczenia; wreszcie i z tego musiał być poeta zadowolony, że za ową wzmianką krytyczną podany został na próbę poematu cały drugi rozdział *Anhellego*, ten właśnie, w którym zasadnicza idea się ukrywa.

W miesiąc po owej wzmiance w *Młodej Polsce*, odezwało się o *Anhellim* inne pismo paryskie, najpoważniejsze z ówczesnych emigracyjnych, organ tego odłamu, na którego czele stał ks. Adam Czartoryski, *Kronika Emigracyi polskiej*. W numerze pod datą 15 września 1838, w dziale bibliograficzno-krytycznym (*Przezor* księgarski) znajdowała się już nieco dłuższa, niż w *Młodej Polsce*, recenzya.

Podczas gdy *Młoda Polska* cieszyła się z chrześcijańskich dążności poematu, *Kronika Emigracyi* podkreślała kierunek patryotyczny. „Jak dla chrześcianina każda książka jest dobra, która umysł jego zwraca do nieba, tak dla Polaków wszelkie pismo jest dobre, co myśl ich zwraca ku uciemiężonej ojczyźnie i przemawia silnie o nieszczęściach rodaków. Z tego względu świeżo wyszły poemat prozą już znanego autora ma zaletę nie małą. Scena jego jest w Syberyi, a treścią niemal całą obrazy męczarni dręczonych tam wolą wściekłego tyrana braci naszych. Możnaby zarzucić temu utworowi: brak wątku i jasności; sferę nadnaturalną, osoby cudowne i niepojęte wtedy, kiedy prawda tak dostateczną być mogła [1]; niektóre wyrażenia przesadzone; naśladowanie śmiałe a nie zawsze szczęśliwe Biblii; wreszcie przejęcie się zbyteczne gustem dzisiejszych poetów francuskich, ale nikt nie zaprzeczy, że są miejsca poetycznej piękności, myśli wysokie i nowe, obrazy zajmujące“. W końcu recenzent podsuwał radę, aby przełożyć ten poemat na język francuski, „ale wtedy autor musiałby wiele rzeczy choć w przypisach wytłómaczyć. Korzystaliby z tego i rodacy“ [2]).

---

[1]) Odpowiedzią na te uwagi były wiersze w *Beniowskim* (Pieśń I):

O Boże! gdyby przez Metampsychozę
W Kozaka ciało wleść, albo w Mazura,
I ujrzeć jaką popełniłem grozę,
Pisząc naprzykład Anhellego . . . .
. . . .
Pewniebym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realny etc.

[2]) Kronika Emigracyi polskiej. T. VII 1838, str. 272.

Tak więc i *Kronika Emigracyi*, podobnie jak *Młoda Polska*, skarżyła się na niejasność *Anhellego*. „Język imaginacyi“ zrozumiały dla Krasińskiego, nie był zrozumiały dla ogółu. Byłaż tu winną tępość „rubasznego czerepa“ szlacheckiego, którą Słowacki w *Grobie Agamemnona* przeklinał? Nie, widzieliśmy, że i Krasiński, który dziwił się, jak można nie rozumieć *Anhellego* i innych współcześnie wydanych utworów Słowackiego [1], nie zrozumiał jego głównej myśli zasadniczej. Ale między Krasińskim a ogółem ta była różnica, że Krasiński, lubujący się w fantastycznych obrazach, dawał się im unosić, sam własne im podkładając myśli [2], ogół, nie nastrojony tak marzycielsko, szukał w tych obrazach myśli poety, a nieraz ich nie znajdując lub nie mogąc pogodzić jednych z drugiemi, nie umiał ich zastąpić swojemi.

Bądź co bądź, obie pierwsze recenzye, pomimo zarzutów, które czyniły poecie, były tak napisane, iż nie odbierały mu jeszcze przy obecnem nowem wystąpieniu wobec świata nadziei na zdobycie powszechnego uwielbienia. Dopiero następna z kolei czasu recenzya o jego najnowszej poezyi, już nie o *Anhellim*, ale o *Trzech poematach* i *Dantyszku*, umieszczona w dodatku do nr. 8 *Młodej Polski* (21 marca 1839), sprawiła mu bolesne rozczarowanie. Autor jej, kryjący się pod literami Z. K., niewątpliwie Stanisław Ropelewski, zaczynał swoją rzecz od ogólnych uwag o poezyi dzisiejszej i zastanawiając się nad tem, dla czego ta poezya tak słabo przemawia do serc naszych, dla czego wolimy czytać dawne, obce arcydzieła, aniżeli najnowsze i najbliższe nam utwory, dostrzegał przyczyny tego zjawiska w tem, że ta dzisiejsza poezya „jest fałszem, albo co gorsza osobistem prezentowaniem się poety w udanych postaciach i ze śmiesznemi uroszczeniami“. Była to alluzya do Słowackiego, tem wyraźniejsza, że autor, omówiwszy naprzód z wielką sympatyą bajki i poezye Antoniego Goreckiego, zapowiedziane również w tytule recenzyi i zaznaczywszy, że naturą swoją i skromnością swych żądań“ wychodzą one „z pod surowej nagany rzuconej na nowoczesną poezyę“, w ten sposób rozpoczynał swój zwrot do poezyi Słowackiego:

---

[1]) W liście do Romana Załuskiego: „Zapytam się, w czem go nie rozumieją? Ty pierwszy, powiedz mi, czegoś w nim nie rozumiał?“ Listy Zygmunta Kras. III 59.

[2]) Bardzo dobrze to przedstawił Małecki w swojem dziele o Słowackim wyd. trzecie. Lwów 1901, II. str. 123.

„Ale naprzykład, bez poprzednich ogólnych uwag o dziwnym rozbracie poezyi ze społecznością, niepodobnaby nam było wytłómaczyć, z jakiej przyczyny pieśni Juliusza Słowackiego są dotąd prawie bez echa w narodzie. Nie znam poety, coby miał równy talent wykonania. I musi być wielka niezgoda w ogólnem pojmowaniu poezyi pomiędzy Polską a p. Słowackim, kiedy mimo uroczą świetność formy, nie przyjął się lepiej na jejr gruncie. Przecież Polska mało dotąd miała pisarzy, mało stylów w poezyi i jak dziecko łakoma jest zewnętrznego połysku".

I po tym zwrocie następowała krótka, pobieżna, już samą pobieżnością niesprawiedliwa recenzya *Trzech poematów* i *Poematu o piekle,* którego autorstwo choć zakryte w tytule [1]) musiało być dobrze znane w redakcyi *Młodej Polski.* Ażeby zrozumieć wrażenie, jakie ona wywarła na Słowackim, trzeba poznać ją w całości.

„Trzy nowe poemata P. Słowackiego świadczą już o uznanej piękności stylu, a na usposobienie narodowe ku utworom poety nie tyle wpłyną, ilebyśmy życzyli. Pierwszy poemat *Ojciec Zadżumionych w El-Arish* jest ustępem żywym i zajmującym wprawdzie, ale tylko ustępem; a co do pomysłu jest to przerysowanie owego znowu ustępu, który P. Słowacki na pamięć umie:

> La bocca sollevó dal fiero pasto
> Et peccator, etc. etc. [2]).

„Jednakże *Ojciec zadżumionych* jest najlepszym ze trzech poematów. Drugi pod napisem *W Szwajcaryi* należy do tej osobowej poezyi, która gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniusza, albo też źródłem jakichś nowych lirycznych natchnień, zajmuje więcej samego pisarza niż czytelników. Ostatni poemat *Wacław*, w mniemaniu autora nawet potrzebował usprawiedliwienia: ładnie pisany, jak wszystko, co pisze P. Słowacki, nie tłómaczy jednak poety ani z zaufania, że się pokusił robić dalszy ciąg *Maryi* Malczewskiego, ani szczególniej z braku artystowskiego uczucia, że chciał zdzierać tę czarowną zasłonę, którą Malczewski zarzucił w końcu na główne osoby swego poematu".

---

[1]) Dla czego p. Hösick w swojej monografii o Słowackim (III 55) utrzymuje wbrew karcie tytułowej pierwszego wydania, że „Dantyszek wyszedł jako dzieło Juliusza Słowackiego", jest to jego tajemnicą, której objaśnić nie umiem.

[2] Et peccator jest mylką zamiast Quel peccator.

„*Poemat o piekle* nie nosi nazwiska autora; ostrożność bardzo na miejscu. Nie wiemy, kto się dopuścił tego cudactwa, czy jako człowiek talentu napisał to na żart dla wypróbowania publiczności, czy też ktoś w dobrej wierze popadł w błąd taki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapać; jeśli zaś nasz autor jest dobra dusza, radzimy mu aby tytułów, jakie mieć może do poczciwości, nie wymieniał na tytuł śmiesznego poety“.

Jeżeli *Dantyszek* zasługiwał na złośliwe uwagi recenzenta, a przedewszystkiem na nazwę „cudactwa“, jeżeli zarzuty czynione *Wacławowi* były do pewnego stopnia uzasadnione, to przejście do porządku dziennego nad tak misternie wykończonemi, tak świetnemi poematami, jak *Ojciec Zadżumionych* i *W Szwajcaryi*, wraz z zarzutem „przerysowania“, dotyczącym pierwszego z tych arcydzieł, było aktem wielkiej niesprawiedliwości i niechęci dla poety. Wprawdzie recenzent w ogólnych uwagach o poezyi Słowackiego, przyznawał jej uroczą świetność formy“, ale właśnie te utwory, w których ta świetność formy dosięga zenitu, zbywał półgębkiem, lekceważąco. Jednakże pewnym ustępom recenzyi nie można odmówić trafności; bystre było przedewszystkiem zwrócenie uwagi na to, dla czego poezya Słowackiego, pomimo nieprześcignionej świetności stylu, nie budziła echa w narodzie. Recenzent nie odpowiadał wyraźnie na to pytanie, ale pozwalał domyślać się, że przyczyną był brak szczerości w uczuciach poety i w tym względzie trzeba mu przyznać słuszność.

Dla Słowackiego recenzya *Młodej Polski* była ciosem, który nim wstrząsnął do głębi. Wszystkie złudne nadzieje opanowania serc narodu, salwą swoich nowych świetnych poematów, pierzchały w jednej chwili. Kiedy przybywał do Paryża, zdawało mu się, że teraz, wobec milczenia Mickiewicza, nic mu nie przeszkodzi stanąć na szczycie Parnasu polskiego i skupić na sobie wszystkie promienie sławy. Recenzya strącała go na dół, wskazując, że do zajęcia tego wysokiego stanowiska nie wystarcza sam zewnętrzny blask słowa. Zraniony do głębi w tem, co było głównym nerwem jego życia, Słowacki nie potrafił znieść tego ciosu w milczeniu i postanowił natychmiast odpowiedzieć na recenzyę i skorzystać z tej sposobności, aby wylać z piersi oddawna w niej wzbierający żal do narodu za brak uznania z jego strony dla siebie. Gorąca ta skarga uka-

zała się już w następnym dodatku do *Młodej Polski* pod tytułem: „Kilka słów odpowiedzi na artykuł pana K. Z. o Poezyach Juliusza Słowackiego“ [1]) a brzmiała, jak następuje:

„Wolę prosto w piśmie *Młoda Polska* na artykuł pana Z. K. o poematach moich odpowiedzieć, niż odpowiedź tę zostawiać do zapełnienia kart wstępnych jakiego przyszłego dzieła, jeżeli mi na nowe prace Bóg dosyć życia; a publiczność zniechęcająca, dosyć cierpliwości i zapału zostawi. Ostatni krytyk trzech poematów dotknął najgłębszej struny sumnienia mego zapytaniem; dla czego pomimo wytworność kształtów poezye moje tak mało mają odgłosu w Polszcze. Jest to dla poety *to be or not to be*, nad którym ja jak Hamlet rozmyślam... a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi mojemu zostawi. Tym czasem kwestyi téj pan K. Z. długim wstępem swoim do krytyki trzech poematów i krótką krytyką trzech poematów nie rozwiązał... wiemy bowiem tylko ze wstępu, że pan Z. K. a z nim Polska lubi czytać Bibliją... Danta i Manfreda... a nie lubi moich poematów. Już to zbliżenie moich poezyi do wielkich mistrzów jest dosyć pochlebne dla mnie, chociaż w celu zniechęcenia mnie zrobione, ażebym się za nie mógł szczerze gniewać. Powiem tu tylko, jak własna miłość autorska broni mię, ilekroć mię ta oziębłość polska do rozpaczy przywodzi... powiem panu Z. K. jakie przyczyny pozbawiły mnie dotąd, i na długo zapewne a może na zawsze odgłosu w Polszcze pozbawią“.

„Pierwsze tomy poezyj moich są bez duszy. Imaginacya moja, młoda jak motyl, wabiona była połyskiem, słońcem, kształtami, kiedym je pisał. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się więc po raz pierwszy jako artysta ludziom, którzy bynajmniej o artystostwie nie myśleli... ważną i okropną tragedyą rzeczywistą zajęci. Pierwszemi dwoma tomami zgubiłem się na cały czas życia mego i teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczej, albowiem Polska nie ma ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegli, ani czytelników dość szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sądu otrząsnąć mogli i z czystą uwagą iść za nową pieśnią poety. Do tej pierwszej i głównej przyczyny niech pan Z. K. doda trochę wyrachowanej obojętności, ze strony tych

---

[1]) Dodatek do N. 9 z dnia 30 marca 1839, str. 35—36. Przedrukowano w Pismach Słowackiego T. IV.

poetów naszych, którzy dość mają lekko zrobionej sławy, a wszelako stoją jak Koklesy na moście literatury i czekają aż Car go zrąbie, aby skoczyć w wodę, obroniwszy od nowych tryumfatorów polską poezyę — tych poetów, którzy podobnie do ministeriów politycznych, związawszy się niegdyś razem w opozycyą przeciwko Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło i dziś są równie przeciwko nowym autorom, partyą Osińskich i Koźmianów. Niech pan Z. K. doda wpływ takich artykułów na polską publiczność, jakim jest jego ostatni artykuł, gdzie *Ojca Zadżumionych* chce zrobić naśladowaniem Ugolina, tak właśnie jak gdyby kto powiedział, że grupa Nioby tracącej dzieci jest naśladowaniem posągu Laokona z dwoma synami zjedzonego przez węże. Niech jeszcze doda, że Polska teraźniejsza podobna jest do Prometeusza, któremu sęp wyjada nie serce, ale mózg i rozum; wtenczas może i sam zrozumie dla czego poezye Słowackiego są bez rozgłosu w Polszcze; dla czego dusza Anhellego napróżno wychodzi z ciała i po słupie światła księżycowego wraca do ojczyzny, myśląc, że ją tam poznają i przyjmą ze łzami: dla czego nareszcie biały Anhelli i ciemny Ojciec zadżumionych i Nimfa Szwajcarska i Wacław z Eolionem będą jeszcze długo, długo figurami niezrozumianemi dla duszy narodu, aż może jaka nagła błyskawica oświeci oblicza tych tworów i pokaże je przezroczystemi aż do głębi serca, oczom narodowym“.

„Cożkolwiek bądź; sumnienie mi powiada, że przez osiem lat pracowałem bez żadnej zachęty dla tego narodu, w którym epidemiczną jest chorobą uwielbienie, epidemiczną chorobą oziębłość i pracowałem jedynie dla tego, aby literaturę naszą, ile jest w mocy mojej, silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić. *Kordyan* świadczy, żem jest rycerzem tej nadpowietrznej walki, która się o narodowość naszą toczy. Przez osiem lat każdą chwilę życia mojego wyrywałem roztargnieniom, osobistemu staraniu o szczęście, abym ją temu jedynie poświęcił celowi... A jeżelim go nie osiągnął, to dla tego, że mi Bóg dał więcej woli, niż zdolności, że chciał, aby poświęcenie się moje bezskuteczne przydane było do liczby tych większych ofiar, które Polacy na grób ojczyzny składają; aż wyniszczywszy wszystkie siły duszy i całą moc indywidualnej woli napróżno, muszą iść na spoczynek w ziemi, strudzeni i smutni, że miecz ich nie był piorunem, a słowo nie było hasłem zmartwychwstania“. *Juliusz S.*

Przytoczyłem odpowiedź poety w całości. aby w całej pełni pokazać stan rozżalenia jego duszy, wywołany ciosem krytycznym *Młodej Polski*, a teraz chcę zwrócić uwagę na niektóre ustępy odpowiedzi. Poeta. stając w obronie swojej dzisiejszej poezyi. spoglądał z góry na dawniejszą, poświęcał ją chętnie na pastwę krytyce, przyznawał sam. że pierwsze tomy jego poezyi były „bez duszy", że stawał w nich „na teatralnym koturnie". że występował tylko jako artysta wtedy. gdy wszyscy byli „okropną trajedyą rzeczywistą zajęci"; ale dla czego teraz śpiew jego nie budzi echa w narodzie, chociaż on śpiewa inaczej. lepiej. piękniej, chociaż już w *Kordyanie* nastroił się patryotycznie. stał się wraz z innymi „rycerzem nadpowietrznej walki o narodowość?". Czyjaż to wina? Wina krytyki, która nie umie ostrzegać czytelników „o zmianie lutni" poetów i traktuje jego nowsze utwory podobie jak dawniejsze. wina „wyrachowanej obojętności" poetów-poprzedników, którzy „lekko" zdobywszy sławę, nie chcą się nią dzielić z nowym przybyszem (alluzya przedewszystkiem do Mickiewicza). wreszcie wina społeczeństwa. Polski teraźniejszej. tego „Prometeusza. któremu sęp wyjada nie serce, lecz mózg i rozum".

Zarzuty uczynione krytyce o tyle były słuszne. o ile się odnosiły do ostatniej krytyki *Trzech poematów*. W poprzednich krótkich recenzyach *Anhellego* zwracano i owszem uwagę na „zmianę lutni". na religijny i patryotyczny jej kierunek. a i recenzya *Kordyana* w *Le Polonais*, o której wyżej była mowa, już przez samo bardzo szczegółowe podanie treści utworu wskazywała czytelnikom jego nastrój patryotyczny. Więc mógł Słowacki skarżyć się na pobieżność krytyk, ale nie miał racyi uogólniać zarzutu. który się należał tylko krytykowi *Trzech poematów* w *Młodej Polsce*. Co się tyczy poetów. których miał na myśli. przedewszystkiem Mickiewicza. to przypisywanie swego niepowodzenia ich „wyrachowanej obojętności". było bardzo naiwnym zarzutem. porównanie ich z Osińskim i Koźmianem było więcej złośliwe. niż trafne, a sąd o ich „lekko zrobionej sławie" był. niestety. wyrazem głębokiej zawiści dla Mickiewicza. tlejącej ciągle w sercu Słowackiego. Wreszcie. co się tyczy społeczeństwa. narodu. to zarzut. że „sęp mu wyjada nie serce. lecz mózg i rozum" był frazesem wziętym z *Grobu Agamemnona*, ale co znaczył naprawdę? i ile było słuszności w pretensyach Słowackiego do narodu?

Że Polska miała więcej serca, niż rozumu, to było wielką

prawdą i to nie tylko w czasach Słowackiego, ale co najmniej od czasów, kiedy Kochanowski obawiał się, aby Polak mądry po szkodzie nie zamienił się na Polaka i przed szkodą i po szkodzie głupiego. Tak, brakło Polsce w ostatnich wiekach rozumu, mianowicie rozumu politycznego i ten brak, ta niezdolność trzeźwego obrachowywania przyszłości, instynktowego odróżniania rzeczy ważnych od nieważnych, była jedną z głównych przyczyn wewnętrznych, które ją doprowadziły do politycznego upadku. Ale czy taki rozum mógł mieć na myśli Słowacki, on, który w zapaleńcu *Kordyanie* apoteozował polityczne szaleństwo i który sam był z natury, z temperamentu swego anarchicznie nastrojonym? Rzecz naturalna, że nie. Przez „mózg i rozum“ nie mógł tu nic innego Słowacki rozumieć, tylko wyższą kulturę estetyczną zachodnio-europejską, której sam czuł się przedstawicielem, a której brak spostrzegał w „rubasznym czerepie“ narodu, tę inteligencyę artystyczną, która lubowała się w „języku imaginacyi“, w grze wyobraźni, dla samych kształtów tej gry, podczas gdy cierpiącemu społeczeństwu polskiemu z wytężonem w jedną stronę uczuciem ta gra wydawała się marną i niezrozumiałą igraszką.

Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* doskonale przedstawił ten kontrast między kosmopolitycznym estetyzmem jednostek a nastrojem spółczesnym narodu w postaciach Hrabiego i Tadeusza. Za wzór do pierwszego, według mego przekonania, które gdzieindziej starałem się uzasadnić [1], posłużył mu ośmnastoletni, ale już dorosłego rolę odgrywający Krasiński; a jeśli nie posłużył, to mógł mu posłużyć. Bo w istocie Krasiński, podobnie jak Słowacki, był u nas przedstawicielem kosmopolitycznej kultury estetycznej i pewnej egzotyczności fantazyi i zarówno ze Słowackim lubował się w grze wyobraźni. Ale ta była walna różnica między nimi, że Krasiński, nie mający daru harmonii formy i blasku słowa, właściwych Słowackiemu, miał umysł filozoficzny i zmysł społeczny, czego niemal zupełnie pozbawiony był Słowacki; stąd gra jego wyobraźni miała podkład ideowy, nie była nigdy świecącą tylko pianą, kalejdoskopowem skupieniem barwnych szkiełek, ale stawała się szatą, czasem zbyt powłoczystą i teatralną, zawsze jednak szatą tylko jakiejś żywej, wykołysanej w duszy własnej, idei. Przeciwnie u Słowackiego

---

[1]) Zygmunt Krasiński w pierwszym okresie młodości. Przewodnik nauk. i lit. 1885.

płonąca wszystkiemi kolorami wyobraźnia nie znajdowała w duszy poety, przynajmniej aż do czasu przeobrażenia wewnętrznego, żadnego jądra głęboko odczutych idei społecznych czy filozoficznych i rwąc się na zewnątrz dla objawienia światu swego bogactwa, chwytała się cudzych pomysłów i uczuć, aby się dokoła nich krystalizować w najrozmaitsze kombinacye kształtów i kolorów. U Krasińskiego gra wyobraźni była sługą idei; u Słowackiego rolę służebną, rolę narzędzia odgrywała idea, panią była wyobraźnia.

I stąd to pochodzi owa nieszczerość, tak często rażąca w poezyi Słowackiego tych, którym nie dość bogactwa farb i melodyjności słowa i którzy pod jasną i śpiewną szatą poezyi szukają duszy poety. Nieszczerość objawiła się i w skardze Słowackiego, o której mowa. Powiada on, że jedynym celem jego pracy poetyckiej było, aby „literaturę naszą... silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić“. Byłoż to prawdą? Widzieliśmy z własnych poufnych źwierzeń Słowackiego, co było głównym, najwyższym celem jego pragnień, jego życia, a więc i jego twórczości poetyckiej, poznaliśmy rodowód patryotyzmu Kordyana. Nie o walkę z „wichrami północnymi“ chodziło tam przedewszystkiem, ale właśnie o walkę z tym, który tym wichrom stawał najsilniej na wstręcie, a który jednocześnie swoją sławą przyćmiewał młodszego współzawodnika. Na obronę tej nieszczerości tyle tylko można powiedzieć, że Słowacki zapewne nie tylko w innych, ale i w siebie wmawiał, że przewodnią gwiazdą jego twórczości poetyckiej była tylko miłość ojczyzny.

Redakcya *Młodej Polski*, otrzymawszy pismo Słowackiego, była zdumiona tym jego wybuchem żalu, a razem i zgorszona lekceważącem odezwaniem się jego o sławie poetów, stojących na czele poezyi polskiej, t. j. przedewszystkiem o sławie Mickiewicza. Postanowiła poprzedzić odpowiedź Słowackiego krótką przedmową, która, jakkolwiek trzymana w tonie spokojnym, była surową nauką daną rozżalonemu poecie.

„Umieściliśmy w piśmie naszem — pisała redakcya — kilka słów o poezyach p. J. Słowackiego w przekonaniu, że krytyka nawet niesprawiedliwa lepsza jest dla poety od zimnego milczenia obojętności; rozumieliśmy więc, iż robimy przysługę p. Słowackiemu, dając miejsce jakiemubądź objawieniu myśli Polaków o poezyach jego. P. Słowacki osądził za rzecz stosowną odpowiedzieć na krytykę pana Z. K. Nie wchodzim, czyli słusznie uczynił. Wolelibyś-

śmy byli w inny sposób okazać naszą życzliwość P. Słowackiemu. Ale skoro chciał umieszczenia swej odpowiedzi, wypadało się nam stosować do jego woli. Bodaj był szczęśliwym swoich losów prorokiem".

„O jednej rzeczy ostrzedz czytelników jest przecie obowiązkiem naszym. Pan J. Słowacki zdaje się mieć jakieś powody goryczy względem ludzi, których my uważamy za prawych naczelników polskiego intellektualizmu, których sławę mamy nie za lekko, ale za łatwo zarobioną, bo zdobycze geniuszu są tak naturalnego pozoru, że nie zdają się kosztować ni usiłowań, ni trudu. Otóż nie chcielibyśmy, żeby czy to publiczność kochająca imiona tych ludzi, czy to oni sami sądzili, iż umieszczając list P. Słowackiego bierzemy na się wspólnictwo, o narodowej ich sławie cierpko i lekko wyrzeczonego sądu".

Bardzo prędko po owym wybuchu żalu Słowackiego ukazała się w poznańskim *Tygodniku literackim* (1 kwietnia 1839) recenzya *Anhellego*, napisana przez I. N. Sadowskiego, która o tyle mogła pocieszyć przygnębionego niepowodzeniem poetę, że była niezwykle obszerną i że przykładała wielką wagę do myśli, jakoby zawartej w poemacie. Po zatem mało w sobie miała przyjemnego dla poety. Sadowski napojony filozofią Hegla puścił się z mdłym kagankiem jego idei w labirynty *Anhellego* i objaśniał je w taki naprzykład sposób:

„Wiek ten, który dziś pod ciężarem starości ku ziemi się już chyli, rozwinął się w pewnym systemie umysłowych pojęć i dzieł im odpowiednich. Cały ten system, jako jedna niepodzielna Całość w sobie wzięty, stanowi wyraz Ducha owego wieku i jest jego Rozumem. Reprezentantem tego rozumu jest w poemacie Szaman... Rozum ów przy dzisiejszem obumarciu całego społeczeństwa już tylko zlodowaciałemu ciału panuje, — również Szaman w poemacie, jako król Ludu w śnieżnych siołach zamieszkałego, jako pan krainy grobowcowej występuje. Pochód jego poprzedzają stada kruków — złowrogi znak blizkiego zgonu dla Wieku, którego myśl reprezentuje i t. d.". Z tych to i tym podobnych objaśnień Sadowskiego żartował sobie Słowacki w pieśni II Beniowskiego:

Znowu błądzę
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
A zbiera mrówki - mrówkami są żądze —
Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
Żem dostrzegł, jako Poznańczyk, idei.

Były jednak w tej recenzyi i rzeczy trafne, nawet bystre spostrzeżenia, jak np. to, że „zdaje się, jakoby Słowackiego zadaniem było: uznać nową dążność Narodowej Poezyi i nie wiążąc się wprost i niewolniczo do przewodniego autora, każdą Myśl nową uchwycać i w osobny sposób rozwijać“ i dlatego to „źródła jego poezyi nie w niej samej, ale zewnątrz Poety się znajdują“. Trafną była uwaga, że „Duch Anhellego wprost z Irydyona wytryska“, że „*Anhelli* jest jakoby wyśpiewaniem tego wrażenia, które *Irydyon* zrobił na autorze“, trafnem było wskazanie różnicy, która zachodzi między tymi dwoma poematami, mianowicie, że „Myśl Irydyona nietylko śmierć (jak Anhelli), ale i nowe życie zwiastuje“ [1]).

Podobne uwagi nie mogły pochlebiać Słowackiemu, a to tem więcej, że krytyk poznański wynosił Krasińskiego pod obłoki i z pominięciem nawet Mickiewicza przyznając mu godność arcywieszcza, Słowackiemu hołdownicze zakreślał stanowisko. „Jak zawsze cały Duch jakiego Wieku najtreściwiej zbiera się w jednym Wielkim mężu, a reszta podrzędnych mu duchów obok niego się kupi i barwą swych dzieł i pomysłów jakoby girlandę około zarysowanego przezeń obrazu maluje; tak i dzisiaj około Arcywieszcza naszego zbierają się przedniejsze Piewce Narodowe i Myśl tak jenialnie przezeń rzuconą barwią i cieniują. Takiem odcieniem owej Myśli-Matki całej przyszłości jest *Anhelli*“. Słowackiemu tedy dostawała się tu rola jednego z tłumu „duchów podrzędnych“, a jego przyjaźń i wdzięczność dla Krasińskiego, którego tu arcymistrzem mianowano, wystawione tu były po raz pierwszy na ciężką próbę.

---

[1]) Rozwinięciem tego poglądu, prawda, że dosyć mętnem, był końcowy ustęp krytyki. Przytaczam go dlatego, że utkwił on najsilniej w pamięci poety i odezwał się potem w *Beniowskim:* „Autor uchwycił obie strony myśli w *Irydyonie* zarysowanej, ale je tylko pobratał nie ożenił. Zupełnie jasno pojął tylko konieczność strony ujemnej, konieczność upadku tego, co nie mając dalszego od spełnionego już powołania, do dłuższego życia jeszcze się zabiera i w bolach konania jeszcze usilnie ze śmiercią się łamie. W odmalowaniu tej strony dał dowód wielkiego talentu i stopniując tęsknotę i boleść do najwyższej ostateczności, nie przechodzi jednak nigdzie granic Piękności; — owszem, krokiem owej, jak ją sam nazywa „Melancholii z Mocy“ czaruje duszę czytelnika; ale za to drugą dodatnią stronę, — stronę Prawdziwego Organizmu zniżył do płaskości bezwzględnej, niczem nie przeciętej Równości, zużytej już pod koniec przeszłego wieku; i słabością tej myśli dowiódł, czego nie chciał, że Moc Melancholii może być wielką, ale jednak nie jest Największą Mocą Wieszczego Ducha“. Tyg. liter. 1839. T. II, str. 16.

Tę próbę zupełnie szczęśliwie przebyły. Zanadto żywą była jeszcze w sercu Słowackiego wdzięczność za pokrzepienie ducha, które był winien Krasińskiemu, zanadto w walce z obojętnością lub niechęcią ogółu potrzebował tak znakomitego sprzymierzeńca, aby dać się unieść zazdrości. Zresztą czuł on, że o tytuł arcymistrza właściwie z kim innym miał do walczenia.

Niedługo potem zabłysła Słowackiemu nadzieja zwrócenia na siebie uwagi już nie polskiej tylko emigracyi, ale całej literacko wykształconej Europy. Oto Konstanty Gaszyński, zapewne zachęcony słowami Krasińskiego, pełnemi uwielbienia dla *Anhellego,* a może stosując się do życzenia wypowiedzianego w *Kronice emigracyi polskiej,* przełożył ten poemat na język francuski, i doniósł o tem Słowackiemu. Ucieszył się tem Słowacki, ale wątpił, „aby się znalazł jaki księgarz, biorący na siebie wydanie dziełka“, natomiast chciał skorzystać z tej sposobności, aby za pomocą pani Sand, o której ciągle marzył, jako o jakimś pokrewnym sobie duchu, a do której zbliżyć się nie znajdował okazyi, aby za jej pomocą dostać się do *Revue des deux mondes.* „Dla twego *Anhellego* — pisał do Gaszyńskiego — najlepsza byłaby droga przez Chopina do pani Sand, przez panią Sand do *Revue des deux mondes.* Wydrukowany tam mógłby potem odbity być osobno... Pani Sand zaś możeby sobie to dziełko upodobała, albowiem ona ma nerwy z siedmiu strun złożone“ [1]). Jednocześnie doradzał Gaszyńskiemu udać się do pana Saint-Marc Girardin, „który już o północnej literaturze pisał“ i uprosić u niego przedmowę do poematu, bo „we Francyi wszystko teraz, nawet w świecie literackim protekcyi wymaga“. Donosił też, że jeden z literatów paryskich, H. Latouche, ofiarował mu swoją gotowość napisania dziennikarskiego artykułu o *Anhellim.*

Zabiegał tedy Słowacki, jak mógł, aby się dostać na europejską widownię, ale zabiegi nie zostały pomyślnym skutkiem uwieńczone. *Anhelli* w przekładzie francuskim Gaszyńskiego nie ukazał się ani w *Revue des deux mondes,* ani gdzieindziej. Dlaczego? Czy Gaszyński nie posłuchał rady Słowackiego? I owszem, można się domyślać, że poszedł za jego radą i że kołatał do pani George Sand. Domyślamy się tak z listu Krasińskiego do Gaszyńskiego, pisanego w kilka miesięcy później (z datą 19 października 1839), bo w tym liście Kra-

[1]) Nieznany list Słowackiego do Konstantego Gaszyńskiego, podany przez L. Meyeta w *Gazecie Lwowskiej* z d. 29 maja 1902.

siński winszuje przyjacielowi zapoznania się z panią Sand. A więc chyba *Anhelli* nie przemówił do jej siedmiostrunnej duszy, jak tego spodziewał się Słowacki? Prawdopodobnie tak było, a nowy ten zawód tem więcej miał dla Słowackiego goryczy, że ta sama pani Sand na której wybredny smak liczył, w tem samem piśmie, do którego dostać się pragnął, bardzo prędko potem (w jednym z ostatnich zeszytów 1839 r.) umieściła pełen entuzyazmu dla Mickiewicza artykuł o *Dziadach* w zestawieniu z *Faustem* Goethego i *Manfredem* Byrona.

ROZDZIAŁ VI.

Dwaj Wenedzi.

1839—1840.

Przedmowa do *Balladyny*. — Recenzya *Balladyny* w *Młodej Polsce*. — Współczesne usposobienie i twórczość Słowackiego. — Nowy głos krytyki w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego*. — List Krasińskiego, dodający ducha Słowackiemu. — Krasiński o Słowackim w liście do Załuskiego. — Porównanie sądów Krasińskiego o Słowackim z sądem Mickiewicza. — Niekonsekwencya w radach Krasińskiego. — *Lilla Weneda*, żywioł osobisty w tej tragedyi. — Sąd Krasińskiego o niej. — Wpływ Słowackiego na przedmowę do *Trzech myśli Ligenzy*.

We wrześniu 1839 r. puszczał Słowacki w świat swoją, tak wysoko przez Krasińskiego cenioną *Balladynę*, a poświęcając ją autorowi *Irydyona*, rozszerzył dedykacyę do rozmiarów listu do „kochanego poety ruin“, listu pełnego poezyi, pisanego owym „językiem imaginacyi“, którym tak lubili z sobą rozmawiać ci dwaj poeci.

Ale ten list był nietylko wyrazem przyjaźni i pewnej wspólności duchowej; odezwało się w nim także i echo żalu, który tak gwałtownie wybuchnął w odpowiedzi na krytykę *Trzech poematów*. List zaczynał się od apologu o starym i ślepym harfiarzu, który śpiewał pustemu morza brzegowi, myśląc, że śpiewa tłumom i skończywszy pieśń swoją zdziwił się i zasmucił, że ta pieśń nie wydarła żadnego westchnienia, żadnego oklasku nie wywołała. Była to więc ta sama skarga, co w odpowiedzi, tylko wypowiedziana nie w chwili bolesnego podrażnienia i podniecenia, ale w chwili, kiedy boleść zawodu ułożyła się już była do spokojnego żalu, a ten żal łączył się z nadzieją, że nowy utwór, zupełnie różny od wszystkiego, co przedtem wydała muza Słowackiego, zdobędzie mu to może, czego poprzednie utwory zdobyć nie zdołały. Był tu Słowacki podobny do gracza który stawia ciągle na loteryę i po każdem ciągnieniu doznaje smu-

tnego zawodu, ale w miarę, jak zbliża się nowe ciągnienie, nabiera nowej otuchy. I teraz roił poeta, i to roił głośno, wobec świata, w owym liście do przyjaciela, że „*Balladyna*, wbrew rozwadze i historyi zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości“; roił, że za *Balladyną* siostrzanym korowodem pójdzie pięć innych tragedyj, które wziąwszy się za ręce utworzą „wielki poemat w rodzaju Ariosta“ i że za to imię jego słyszane będzie w szumie rodzinnej jego Ikwy, a „jakaś niby tęcza z jego myśli“ unosić się będzie nad rinami zamku rodzinnego Krzemieńca.

Niedługo czekał Słowacki na objaw wrażenia, jakie *Balladyna* jego wywołała. Już w 29 numerze *Młodej Polski* z dnia 20 października 1839 ukazała się recenzya *Balladyny*, obszerna, prawie dwie trzecie numeru zajmująca. Ale ta obszerność nie była bynajmniej objawem względności recenzenta dla poety; przeciwnie wypływała z chęci zupełnego zmiażdżenia i ośmieszenia poety wobec emigracyi. Recenzentem był ten sam Ropelewski, który przedtem umieścił był w *Młodej Polsce* krytykę *Trzech poematów* i który czuł się dotknięty odpowiedzią Słowackiego na tę krytykę. Zdawało mu się, że *Balladyna* daje mu dobrą sposobność do okazania słuszności wypowiedzianych przedtem krytycznych poglądów na poezyę Słowackiego i do zemszczenia się na poecie.

Cały ton recenzyi był drwiący. „Tyle dobrych pogłosek — tak zaczynała się recenzya — z pewnego źródła bo pono od samego autora i przyjacielskiej drużyny czerpanych biegało o *Balladynie*, żeśmy sobie obiecywali oddać się uwielbieniu, otrzymać od poety świadectwo mądrości krytycznej i naprawić dawną niezgrabność, jaką popełniliśmy, nie umiejąc uznać w *Trzech poematach* i w *Dantyszku* owych piękności pierwszego rzędu widnych ojcowskiemu oku P. Słowackiego. Po przeczytaniu *Balladyny* rozchwiały się nasze nadzieje; tak losy kazały, spadniemy jeszcze w mniemaniu poety: zostaniemy na zawsze nikczemnym krytykiem...“. I opowiedziawszy dość szczegółowo, ale ciągle w drwiący sposób, treść *Balladyny*, krytyk zapytywał: „W czem te kilkadziesiąt scen bez logicznego związku między sobą, bez względu na czas i miejscowość, bez poezyi, bez stylu, bez historycznej prawdy; w czem ten dyalog, pełen niedorzeczności i krwi, ma rozjaśniać starożytne dzieje Polski? nie wiem“.

Ale najsroższe ciosy krytyczne zachował recenzent na sam koniec. Zacytowawszy niefortunny epilog *Balladyny*, wołał: „Wielki

Boże! że też człowiek talentu, artysta, a zatem człowiek delikatnych odcieni, nie czuje, jaką to ckliwość musi obudzać w czytelnikach to nieustanne, grube pochlebstwo samemu sobie... Szkoła nieprawych dzieci Byrona, exagierując błędy mistrza, zaczęła od apoteozy dumy, a skończyła na apoteozie własnej". I tu na temat dumy dana była poecie nauka, która zamieniała się w końcu w najsroższe urąganie. „Duma jest to namiętność milcząca; że w sobie samej szuka zadowolenia, przeto ani dba czy ją odkryto, ani spieszy zawiadomić publiczność o swoim bycie. Ale komu na ustach „jestem dumny, spojrzałem dumnie, odpowiedziałem dumnie", albo co gorsza, kto to pisze i drukuje na tysiące egzemplarzy, ten dalibóg niesłusznie się oskarża; podobny jest maniakom, co się za umierających podają, choć jedzą dobrze, śpią dobrze i kwitną czerstwym rumieńcem. Przecież lekka nauka synonimów wywiodłaby go łatwo ze złudzenia i oświeciła, że co on bierze za szatański, boży grom, wywołujący występek, jest tylko pretensyą, śmiesznością towarzyską, odpowiedzialną przed biczem Arystofana. Mój Boże! i po co to robić się większym grzesznikiem, niżeli się nim jest rzeczywiście? Zwiedzając kraje ciemności, wieszcz średnich wieków spotykał tłumy, którym ogromne ciężary chyliły czoła ku ziemi; byli to dumni i Dante uczuł ciśnienie na barkach swoich; autor zaś *Balladyny* jeśli nic nie ma na sumieniu, prócz opisanej przez nas zdrożności, to może być pewny, że pójdzie prosto do nieba, a za całą karę będzie musiał doń wchodzić z miną buńczucznie nastrojoną i przywitan będzie u progu serdecznym śmiechem chórów niebieskich".

Nauka o dumie potrzebną była Słowackiemu. Czuł to i Krasiński, gdy we dwa lata potem tłómaczył mu, że duma powinna iść w parze z pokorą i dopiero wtedy stanowi wielkość człowieka, bez pokory zaś staje się tylko próżnością. Ale Ropelewskiemu nie o naukę chodziło, tylko o podanie jej z wyrafinowanem okrucieństwem. Trudno było boleśniej dotknąć poetę wiecznie śniącego o nieśmiertelnej sławie, jak owym powitalnym śmiechem chórów niebieskich. Ale z drugiej strony zanadto widoczną była w całej recenzyi zła wola piszącego, aby to nie osłabiało pocisku. Zdaje się, że echo wrażenia, jakie ta recenzya wywarła na Słowackim, odzywa się w jednym ze współczesnych listów jego do matki [1]), z tych czasów, kiedy przez

[1]) Listy II, 119—122. List, o którym mowa, nie ma wprawdzie daty, ale ręką matki poety dopisano na autografie: R. 1839 Paryż, a na odpisie zrobionym przez Teofila Januszewskiego dodano: Październik.

obawę skompromitowania jej wobec policyi swoją korespondencyą, pisywał do niej nie pod własnem imieniem, ale jako jakaś przyjaciółka Zofia. „Mam na świecie kilku przyjaciół takich, jakich zawsze żądałam (mowa tu o Krasińskim), to jest przyjaciół, którzy mnie szacują i bronią, ale ci wszyscy są odemnie dalecy; a teraz otoczona jestem ludźmi, do których przylgnąć nie mogę; zazdrośni bowiem są, małego serca, nie zdolni ani uczuć, ani pojąć szlachetnych myśli, słowem są to zatarte szelążki, zimne i spleśniałe... Najwięcej więc czasu przepędzam sama, pisząc sobie i bazgrząc różne awantury i przywidzenia, z czego korzyść taka, że mi samej życie złocą i różnemi okrywają tęczami. Są to miłe mi okienka w chacie mojej, przez które widzę wiele rzeczy i twarzy znajomych; czy życie takiemi snami zajęte jest życiem, nie wiem, ale to pewna, że mię od wielu rozpaczy broni a czasem przyjemność sprawia... Nie jestem (że) ja podobna do lampy, która w szejne-katarynce siedzi i przez różnokolorowe szkła rzuca kilka bladych promyków? Dopóki więc jaki szczur łojem zwabiony nie zgryzie tego, co świeci w mojej latarce, nie zgaszą mnie ćmy i komary".

Jeżeli ten list pisany był już po ukazaniu się recenzyi *Balladyny* w *Młodej Polsce*, co prawdopodobne, to z niego możnaby wnosić, że Słowacki obojętniej przyjął drugą krytykę Ropelewskiego, niż pierwszą, pomimo, iż była nieskończenie zjadliwszą. Do tej względnej obojętności przyczyniać się mogło nietylko to, że w recenzyi *Balladyny* widział nie sam szczery wyraz przekonań recenzenta, ale przedewszystkiem chęć zemszczenia się za odpowiedź na recenzyę *Trzech poematów*, lecz i to, że czuł w sobie wówczas więcej, niż kiedykolwiek przedtem, wzbierającą twórczość poetycką. Słowacki, skończywszy lat 30, wchodził w południe swego życia, płodność jego fantazyi dosięgała zenitu. Na owe czasy, na koniec 1839 i na rok 1840 przypada naprzód przetworzenie *Mazepy*, potem cały szereg nowych dramatów, wykończonych i wydanych za życia, lub pozostawionych w tece: *Lilla Weneda*, *Krakus*, *Wallenrod*, *Beatrix Cenci*, dramat *Beniowski;* wreszcie prócz drobnych rzeczy wierszem i prozą bodaj czy i *Złota Czaszka* nie należy do tego okresu [1]). Oddawał się on

[1]) Podług kombinacyi Małeckiego (II, 276—277) dramat *Złota Czaszka* był pisany w 1841 lub 1842. Małecki jednak nie uwzględnia jednej rzeczy, mianowicie, że cytowane tylko co słowa listu poety z r. 1839, o okienkach fantazyi, przez które poeta „widzi wiele rzeczy i twarzy znajomych", ze wszystkich utworów, które mogły być pisane przed r. 1841, najlepiej się stosują do *Złotej Czaszki*.

wtedy całkowicie Szekspirowi, z zadziwiającą łatwością naśladował go w niezliczonych scenach dramatycznych, które wysnuwał ze swej fantazyi, zabarwiając je coraz bardziej swojskim kolorytem i czuł, że na tem polu, na polu dramatycznem, w literaturze polskiej nikt się z nim mierzyć nie może, ba, nawet nikt nie próbuje. A czując się Szekspirem polskim, czując obfitość palnego materyału w latarce swojej wyobraźni, krzepił się tem w duchu i pocieszał, gdy ćmy krytyczne uderzały o szyby tej jego latarki.

Niebawem usłyszał nowy głos o swojej poezyi, który mógł mieć tem większe dla niego znaczenie, że obejmował i oceniał całą jego poezyę w zestawieniu z całą współczesną poezyą emigracyjną, że był niejako pierwszą próbą historycznego traktowania tej poezyi. W *Kalendarzu Pielgrzymstwa polskiego* na r. 1840 ukazało się obszerne, bo 64 stronice zajmujące „Wspomnienie o piśmiennictwie polskiem w emigracyi". Nieznany krytyk [1]) (bodaj czy nie Ropelewski) uwydatniał naprzód ogólne znamię literatury emigracyjnej, jej kierunek „namiętnej wojującej polityki", potem kolejno oceniał twórczość wybitniejszych pisarzy emigracyjnych, począwszy od Mochnackiego, którego ocena miała już być „słowem potomnych o umarłych". Wysoko wyniósłszy autora *Historyi narodowego powstania,* w którym widział i pierwszorzędnego męża stanu i malarza, co połączył w sobie „trójgeniusz Rembrandta, Rubensa i Van-Dyka", krytyk zwrócił się do Mickiewicza i jemu najobszerniejszy poświęcił ustęp. Nie był to bynajmniej hymn bezwzględnego uwielbienia. Wprawdzie nazywał sławę Mickiewicza „najpiękniejszym wieńcem, jaki zakwitł na polskiej ziemi", a jego samego „pierwszym a wobec cudzoziemców jedynym wyobrazicielem rozumowej potęgi polskiej", przecież pozwalał sobie

---

[1]) P. Hoesick (III, 28) powiada: „zdaniem niektórych był nim Feliks Wrotnowski" i nie zbija tego twierdzenia, pomimo iż uczynić to bardzo łatwo, ponieważ „Wspomnienie" zajmuje się także i Feliksem Wrotnowskim i to w taki sposób, że niepodobna przypuścić, aby sam Wrotnowski mógł tak pisać o sobie (np. na str. 88 Kalendarza). Natomiast jest rzeczą prawdopodobną, że Wrotnowski był autorem artykułu p. t. „Wspomnienia siedmiu lat pielgrzymstwa polskiego" umieszczonego w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego* na rok 1839. Że te dwa wspomnienia nie wyszły z pod jednego pióra, jest na to wyraźne świadectwo w drugiem wspomnieniu, gdzie powiedziano: „Nie jest zamiarem naszym uważać pod względem politycznym to przeciągnienie żywota Polski w tułactwie. Już w zeszłym roku dopełniono tego ze znakomitym talentem. Zamiast się rzucać w niebezpieczne współzawodnictwo, wolemy obaczyć drugą stronę tego zjawiska i t. d." (*Kalendarz pielgrz. pol. na r.* 1840, str. 32).

i *Dziadów* część III-cią i *Pana Tadeusza* surowej poddawać krytyce. Nie podobało mu się w *Dziadach* naśladownictwo *Fausta,* w szczególności nie podobało mu się to, co dziś uchodzi za szczyt i koronę *Dziadów,* „osobiste zapasy poety z Panem Bogiem“, w *Panu Tadeuszu,* którego nazywał „pierwszym romansem prawdziwie polskim“, nie podobały mu się najwięcej „przyczepki polityczne“ i za jedną z nich (Jacyś Francuzi wymowni — Wynaleźli niedawno, że ludzie są równi) najniedorzeczniej karcił Mickiewicza, zapominając nawet o tem, że te słowa nie idą wprost od poety, ale od jednej z osób poematu.

Daleko względniejszym okazał się dla autora *Nieboskiej Komedyi* i *Irydyona.* Widział w tych utworach „tryumf geniuszu“, witał nowego poetę „jako szczęśliwie pojawioną gwiazdę na polskim widnokręgu, jako człowieka dalszego spojrzenia i silniejszej twórczości, niż był ktokolwiek po dziś dzień w piśmiennictwie polskiem“. Wypowiadał tylko obawę, aby jego „styl brylantowy“ nie przeszedł w manierę, i aby jego genialne utwory nie wywołały niedołężnych naśladownictw. „Podobną przysługę zrobiono za dni naszych Byronowi; trzeba lat kilkadziesięciu, aby, gdy wymrze płaczliwa, dumna, odludkowa literatura dzisiejsza, ludzie przyjść mogli do rzetelnego sądu o tym wielkim poecie“.

Ta ostatnia uwaga służyła krytykowi za przejście do sądu o Słowackim, co już było złowróżbną dla tego poety wskazówką. W istocie sąd ten pod pozorami bezstronności a nawet życzliwości krył w sobie zabójcze strzały, godzące w sławę Słowackiego. „Tu szykuje nasze wspomnienie pisarza — tak się zaczynał ustęp poświęcony Słowackiemu — z najzasłużeńszych w emigracyi, pierwszego co do niezmordowanej i niczem niezrażonej obfitości. Wbrew zwykłemu biegowi rzeczy, obojętność czytelników była mu zachętą, krytyka posunięta do niesłusznej napaści, bodźcem. My nie chcemy w ten sposób dawać bodźca Juliuszowi Słowackiemu, jakiekolwiek by dobro miało stąd spłynąć na literaturę; mówić o nim będziemy jako o człowieku, którego talent uznajem, a wolę mamy za godną szacunku“. Po tym wstępie, zapowiadającym bezstronność i życzliwość, krytyk przypominał pierwsze powieści Słowackiego i z pomiędzy nich najwyżej stawiał *Żmiję.* „Wogóle wszystkiemu temu brakło cokolwiek duszy, ale kształty, chociaż tu i ówdzie zdradzały nieraz pożyczkę, przecież śmiałym swym ruchem obok pełnego wykończenia, zdały się zapowiadać artystę. Było to dość świetne wystąpienie. Pogrążenie umysłów w rzeczach polityki sprawiło zapewne, że nic naówczas nie pisano

o poezyach Słowackiego; jednak zajmowano się niemi. wróżono rozmaicie. Dla jednych rodzaj zalet i niedostatków poety w tem pierwszem dziele był niepomyślnym na przyszłość znakiem; czytając te poezye. mówili, co parę stronic odbiega cię uwaga, a jeśli wpatrzysz się w robotę szczegółów. wszystko piękne, skończone, mistrzowskie, w tem ci jest złe, bo widać ten pisarz już nic nie zyska z laty. ma już wszystko, co się zdobywa pracą, a brak mu, czego nabyć nie można — iskry z nieba. Drugie stronnictwo. optymistów, do których należymy. tłómaczyło to jakoś na lepiej. Nie przecząc lichu. co ubezwładnia poezyę Słowackiego, nie pozwalaliśmy, aby to była suchość duszy. On jest w pierwszej radości. w pierwszem upojeniu tworzenia, uderzył po strunach arfy i sam zdumiony dźwiękami, jakie wydostał, gwałtownie budzi tę harmonię, nie dbały o jej logikę. znaczenie. cele; ale czekajcie niech się oswoi z własną potęgą, a ujrzycie, że to u niego jest tylko narzędziem wielkich pomysłów. Wszyscy odwołali się do przyszłości. przyszłość nadbiegła. została obecną chwilą".

Wszystko. co dotychczas krytyk mówił o Słowackim. było jakby zamaskowaniem tych ciosów krytycznych, zaprawionych trucizną ironii, które mu w końcu miał zadać. „W tym czasu upływie — pisał w dalszym ciągu — autor napisał wiele: przypomnienie Korsarza, *Lambro* o nieskończonem konaniu; *Kordyan* we współzawodnictwie z trzecią częścią *Dziadów* i *Anhelli* na cześć *Irydyona*, dziwne dwa dramata, które Bóg chyba osądzi, bo klucza do nich poeta żyjącym nie udzielił; trzy nowe powieści. pełne romantycznych ślicznostek, naprzykład kiedy ojciec owdowiały po żonie i dzieciach opowiadając swoje rozpacze przypomina, że „mysz w księżycu przebiegła"; lub gdy dziewica Alpejska chroni się do szaletu. drzwi i okienice zawiera dla ważnych powodów: „ażeby na nią nie patrzały kwiaty"; tragedye wreście, jakieś dawniejsze. tuż za pierwszemi powieściami zronione, i *Balladyna,* ta *Balladyna,* o której wspaniałomyślnie przemilczym; co tu dzieł! jak krople ulewy jedno po drugiem między publiczność spadło. A jednak. gdyby nas autor zapytał, co przenosimy z jego poezyjnego życia? odrzeklibyśmy, że nadzieje młodzieńca. Pierwsze powieści, choć więcej w poezyę zewnętrzną, a może w nią tylko samą bogate. są jeszcze w naszem przekonaniu szczytem twórczości Słowackiego. Kiedy wyszły. mistrz doświadczony. gruntując tę poezyę, nazwał ją piękną świątynią, w której nie było Boga: od tej chwili Słowacki wziął się do reform; na trafny wpadł pomysł,

złoto i emalię zastąpił warstwą wapienną, ale nie sprowadził bóstwa do swej świątyni".

Ten pogląd krytyczny na twórczość Słowackiego był jakby ukrytą odpowiedzią na jego żale i skargi na krytykę, wynurzone przed kilku miesiącami w *Młodej Polsce*. Tam poeta sam lekceważył swoje pierwsze utwory, aby tem wyżej podnieść późniejsze i zarzucał krytyce, że nie umiała poznać się na różnicy między niemi zachodzącej i ostrzedz o tem publiczności; tu za szczyt twórczości uznano pierwsze powieści Słowackiego, i najwięcej im poświęcono uwagi, wszystkie zaś późniejsze jego utwory traktowano pobieżnie, z lekceważeniem i ironią. Naturalny wniosek, wypływający z tej oceny, choć nie wypowiedziany, był, że mieli słuszność ci, którzy twierdzili, „że brak mu, czego nabyć nie można — iskry z nieba" [1]).

Łatwo odgadnąć, jak przygniatające wrażenie wywarła na Słowackim ta krytyka. Nie miał nawet tej pociechy, aby widzieć w niej ukrytą rękę Mickiewicza, ponieważ krytyka i Mickiewicza nie oszczędzała. Pod świeżem jej wrażeniem napisał list do Krasińskiego, „bardzo smętny list, choć udający, że nie smętny, z powodu krytyk" [2]). Listu tego nie znamy, ale znamy bardzo obszerną odpowiedź Krasińskiego na ten list. Słowacki pisząc do Krasińskiego porównywał się zapewne z młodziutkim poetą angielskim Keats'em, którego krytyka edynburska pobudziła do samobójstwa i którego grobowiec w Rzymie Słowacki oglądał przed kilku laty z ciekawością [3]). Krasiński odpowiadając uderzał naprzód na to porównanie, jako niewłaściwe. „Kto mówi o Keatsu? Kto słyszał o Keatsu? Kto to jest Keats? Łzę litości upuść nad grobem dziecka; niech ptaszki szczebiocą hymn umarłych tej duszy rozwiązanej przez Edynburską krytykę — a teraz słuchaj i wiedz". I tu następowało dowodzenie i przekonywanie, że on Słowacki, nie jest jakimś Keatsem, ale jest wielkim poetą, a choć go ogół dotychczas nie rozumie, niema w tem nic nadzwyczajnego i do rozpaczy pobudzającego, bo tak samo z po-

---

[1]) P. Hoesick zaliczył tę ocenę do kategoryi „życzliwych i sprawiedliwych ocen" (III, 28), a zaliczył głównie dlatego, że ustęp poświęcony Słowackiemu we *Wspomnieniu* „nierównie więcej zajmował miejsca, aniżeli inne, traktujące o współzawodnikach Juliusza". I w tem jest niedokładność, Mickiewiczowi bowiem we *Wspomnieniu* poświęcono cztery razy więcej miejsca, niż Słowackiemu.

[2]) Listy Zygmunta Krasińskiego do Konstantego Gaszyńskiego. Lwów 1882, str. 157.

[3]) Listy do matki. II, 2.

czątku Byron i Goethe w swoim *Fauście* i Mickiewicz nie byli zrozumiani. „Słuchaj i wiedz, pisał dalej. W tobie leży jeden ze znaków, że to co poczytują za *umarłe* nie *umarło*. Życie twoje duchowe jest tak wzniosłem, że mi zawsze jest jakoby znakiem zmartwychwstania. Znam takie trzy duchy, każdego wielkim w swoim okręgu. Jeden przeszedł, minął, zostawił za sobą obelisk granitowy wśród pustyni. Obelisk stoi; ten, co go postawił uczy Szwajcarów, jak nie mają nigdy umieć po łacinie. Drugi posiadł wszystko, na czem zbywało pierwszemu: posiadł język polski, tak jak się posiada kochankę, gotową na każde skinienie, na śmierć, gdy każesz, na życie, gdy spojrzysz; posiadł i objął ten język magnetyzera cudną potęgą, tak, że nie on za językiem, ale język za nim goni i prosi go i mówi mu: „Ot cały twój jestem, każ a posłucham, zawołasz — przybiegnę; mrugniesz w niebo — polecę tam; wskażesz piekło palcem — zstąpię do piekła; chcesz, bym stwardniał w bryłę — patrz, marmur ze mnie; bym w gaz się ulotnił — patrz, jakim błękitny i znów śniady a przejrzysty, płynny, prawie już nie będący, jednak zawsze „twój". Ten drugi duch zagarnął pod siebie wszystkie widnokręgi wyobraźni; to, co w pierwszym było jednością twardą, granitową, w siebie garnącą świat, w pewne ciaśniejsze kluby niż sam wszechświat chwytającą, tu się stało rozpłynieniem, powrotem do szerzy, do płynności światła, do gry tęcz, do fal muzyki, do woni kwiatów, do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznalezionego Boga. Jest forma panteistyczna niezawodnie w tym drugim duchu: on stoi jako szyba mórz wśród wszechświata i odbija wszystkie słońca, księżyc, anioły, bogi, szatany, co się przesuwają nad nim. W nim właśnie jest jedność ich wszystkich; stąd pochodzi, że ludzie jego władzy nie umieją odkryć, bo im zawsze chodzi o to, co mają najbliżej pod nosem, nie o to, co nad głowami ich się dzieje, a to jednak dzieje się w niebie. Ten drugi duch, ty wiesz, że to Ty! Trzeci to August Cieszkowski, ale ten należy do filozofii. Otóż w was trzech odgadnąć łatwo, że ziemia, co was wydała, zieloną jest i że na jej mogiłach kwiaty porosną" [1]).

List, z którego ten wyjątek podaję, ma datę 23 lutego 1840 roku. W liście Zygmunta Krasińskiego do Romana Załuskiego, pisanym w półtrzecia miesiąca potem (13 maja 1840), znajdujemy

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego, T. III, 45.

podobne poglądy na poezyę Słowackiego i może jeszcze piękniej, poetyczniej wyrażone. W tamtym liście chodziło o to, aby poetę, przygnębionego krytyką, natchnąć ufnością w potęgę swego talentu, w tym, aby przekonać niechętnych poezyi Słowackiego ludzi, że jest on wielkim poetą, równym potęgą geniuszu Mickiewiczowi, chociaż wyrażającym wręcz przeciwny kierunek ducha. „Cechą niezawodną, piętnem jego poezyi, jest owa cudowna mieszanina złożona z wstrętu i ponęty, ów urok panteistyczny, co razem każe twoim stopom cofać się od brzegu przepaści, a głowę twoją ku niej podaje i serce nachyla, aż ciebie całego rzuci w głąb! ta barwa nadzmysłowa i zmysłowa zarazem, która ci ducha powleka, ile razy spojrzysz w noc gwieździstą, w noc wszechświata, zasianą światami. Ciekawość, pragnienie wiedzy, żądze niebotyczne porywają wtedy umysł. Radbyś rzucił się i pływał w nieskończoności; aż tu trwoga cię obejmie zarazem, zmysły twoje cofną się przed temi ogromy, pomyślisz o nich i mózg ci się zawróci; a jednak w tejże samej chwili znów uczujesz, że chciałbyś na zabój przez wszystkie drogi mleczne dostać się do Boga! rozpłynąć się, nie być i być zarazem, topić się, czując, że się topisz, czując wiecznie, że się topisz w błękicie! Z tego to głównego akkordu, raczej tonu, rozwiedzionego po całym duchu dzieł Juliusza, wypada ich forma, raczej rozprzęgliwa, niż skupliwa, raczej odśrodkowa, niż dośrodkowa, raczej malownicza, niż kująca rzeźbę, raczej muzyczna, niż malownicza, raczej szukająca Boga, niż mówiąca dogmatycznie o wynalezionym i opisanym, słowem jednem, raczej panteistyczna niż katolicka! Ale bo też panteizm jest niezawodnie połową jedną życia, natury, sztuki, wszechświata, Boga!“

Ten panteistyczny kierunek, którego przedstawicielem dla Krasińskiego był Słowacki, uważał autor *Irydyona* za równie uprawniony, jak i ten kierunek, „wiary uosobiszczonej, energii, środka, co zbiera w siebie wszystkie promienie okręgu“, który się wyraził w Mickiewiczu. Co więcej, uważał, że te kierunki na pozór tylko są sprzeczne, w gruncie zaś harmonijne, dążące do tego, aby zlać się razem; „a gdy się zleją, wtedy będzie mistrz trzeci“, przedstawiciel nowego kierunku, stanowiący syntezę dwu poprzednich. I w tem następstwie kierunków widział Krasiński nieodwołalną konieczność, z natury rzeczy wypływającą, a w duchu Słowackiego widział dalsze rozwinięcie, „koniecznie potrzebną wynikłość“ ducha Mickiewicza, pomimo, iż pozornie pierwszy zdaje się walczyć z dru-

gim. Ta pozorna walka jest tylko złudzeniem chwili. „Gdy się oddali świat od dni naszych, może temu przeczuciu mojemu przyznają prawdę“.

Odmiennemi, a zawsze pięknemi słowami powtórzył Krasiński te poglądy swoje na stosunek Słowackiego do Mickiewicza w rok potem (1841) w *Tygodniku literackim* poznańskim. Od tych czasów oddalił się świat o lat z górą sześćdziesiąt; o ileż dziś można przyznać prawdę temu, co Krasiński nazwał „przeczuciem“ swojem?

Przedewszystkiem, ażeby przeniknąć do źródła tych jego poglądów, trzeba pamiętać, że Krasiński zostawał jeszcze wówczas ciągle pod wpływem filozofii Hegla, jakkolwiek godził ją po swojemu z katolicyzmem i że wierzył mocno w troistość logiki Hegla, to jest w to, że wszelkie istnienie przechodzi przez trzy momenta: tezy, antytezy i syntezy. Jego współczesna korespondencya z przyjacielem, Edwardem Jaroszyńskim[1]), także heglistą, najlepiej o tem poucza. Ukazały się były wówczas *Prolegomena zur Historiosophie* Augusta Cieszkowskiego, oparte na Heglu, ale skierowujące jego filozofię w stronę dążeń i natchnień współczesnej polskiej poezyi. Krasiński był olśniony tym utworem polskiego Hegla, który poprawiał Hegla niemieckiego, a ponieważ poprawka (odmienny podział historyi nie na cztery, jak u Hegla, ale na trzy części) opierała się na troistości heglowskiej, więc ta troistość wydała się Krasińskiemu jeszcze bardziej cudowną i niewzruszoną, dlatego stosował ją do różnych zagadnień, które go żywo zajmowały, więc i do rozwoju nowszej poezyi polskiej. Dla tego widząc rażące przeciwieństwa między poezyą Mickiewicza a Słowackiego, uważał pierwszą poezyę za tezę, drugą za antytezę i czekał trzeciej, któraby była syntezą dwu pierwszych Zapewne w głębi duszy pragnął, aby tą trzecią stała się jego własna poezya, ale zarozumiałym nie był, więc ani śladu podobnego marzenia nie można znaleźć w jego współczesnych wynurzeniach.

Ta upatrywana przez niego troistość w poezyi polskiej pozostaje ścisłym związku z inną troistością, którą upatrywał w rozwoju pojęć religijno-filozoficznych. W tej troistości tezą jest osobowość Boga, antytezą panteizm, syntezą zaś połączenie jednego z drugiem, połączenie, którego symbol widział w trzeciej osobie Trójcy świętej, w Duchu św. Oto co pisał do Edw. Jaroszyńskiego 1 sierpnia 1840: „Bóg tylko jako *Allgemeinheit* pojęty, Bóg Heglowski.

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego, Tom III, str. 69—106.

Bóg li tylko panteistyczny jest taką wyłącznością, takim jednym tylko terminem, jak Bóg li tylko osobisty, li pojedyńczy, odłączony od wszechświata. Idzie teraz o zlanie tych dwóch bóstw w trzecie, równie osobiste, jak panteistyczne, równie wszystko obejmujące, jak siebie samego. W Trójcy naszej najdoskonalszym punktem jest Duch święty. Czekaj na niego w filozofii, nie nadszedł jeszcze, nie Hegelisty go odkryją; ale przyjdzie, i świat padnie przed nim, z samej Logiki to wypada“ [1]).

Ten filozoficzny pogląd Krasińskiego służyć może za najlepszy komentarz do zagadkowego *Syna Cieniów*, którego w owym czasie napisał, a zarazem za najlepsze świadectwo, jak katolicyzm autora *Irydyona* przepojony był filozofią heglowską. Co się tyczy związku, zachodzącego między tym poglądem a troistością w poezyi polskiej, to polega on na tem, że w trójcy poetycznej przeciwieństwo między poezyą Mickiewicza a Słowackiego odpowiada przeciwieństwu między osobowością Boga a panteizmem. Widzieliśmy, jaki nacisk Krasiński kładł na panteistyczność formy poetyckiej Słowackiego i jak przytem wołał, że panteizm „jest niezawodnie połową jedną życia, natury, sztuki, wszechświata, Boga“. W dalszym ciągu cytowanego już listu do R. Załuskiego związek między jedną a drugą troistością jeszcze może wyraźniej wskazany. „Mickiewicz na zawsze zwać się będzie stwórcą; on zastał chaos, on rzekł w naszej literaturze: „Światło stań się“. By z rozerwanych samopas chodzących atomów coś stworzyć i ukształtować, trzeba tej siły wszystko do środka kierującej, wszystko osadzającej na dół, wszystko co płynne zmieniającej w kształt. Mówią, że z wyżyn atmosfery błąkające się gazy opadły na ziemię w kształcie granitowych skał: to kości planety, jądro jej, energia jej. Tem samem Adam w świecie duchowym Polski; w nim siła tytańska, to Michał Anioł nasz. W oczach posągu Mojżesza, któremu roztłukł młotem kolana Michał Anioł, mówiąc: „Adesso parla!“ — jest coś przypominającego oczy Mickiewicza“.

„Ale teraz planeta choć ma granit i marmur, choć nad tym marmurem świeci światło białe, jeszcze nie jest zupełnym, całkowitym! Muszą rododendrony zakwitnąć na granitach, musi światło białe rozpaść się na siedm barw tęczy i znów z posady tej kamiennej, tytańskiej, z tej planety, którą zaokrągliła siła skupień;

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego T. III, str. 101.

muszą ku Niebu rozlecieć się wonie, wiązki kolorów, piany wodospadów, wyziewy dolin, chmury coraz wyżej, wyżej powracające w Niebo, aż zginą przed oczyma — i tam gdzieś, gdzieś poniosą wieść o tem, że świat nowy stanął i bieży w przestrzeni! Takim gońcem świata do światów wszystkich, takim powrotem stworzonej rzeczy do okręgu niebios, w naturze samej już jest dźwięk muzyczny, pochodzący z drgania ciał i niszczenia się pewnych atomów w ciele drgającem; *w duchu ludzkim jest kierunek panteistyczny (la facette panteistique); w literaturze polskiej Słowacki*" [1]).

Tak więc nie ulega żadnej wątpliwości, że sąd Krasińskiego o znaczeniu i wartości poezyi Słowackiego wypływał z jego poglądów filozoficznych, przedewszystkiem z jego wiary w logikę Heglowską. Jeżeli teraz zestawimy ten kwiecisty, niemal w poemat urastający sąd Krasińskiego z dobrze nam znanym, krótkim a lapidarnym sądem Mickiewicza o poezyi Słowackiego, to na pozór zdawać się może, że między tymi sądami pomimo różnicy wyrażenia panuje zgoda wewnętrzna. Mickiewicz powiedział, że poezya Słowackiego to piękny kościół bez Boga, Krasiński widzi w niej panteizm poetycki, a panteizm według niego, to antyteza osobowego Boga. Więc na jedno wychodzą dwa te określenia. A przecież nie jedno znaczą. W określeniu Mickiewicza była nagana, było wskazanie pustki, czczości w tej poezyi o pięknych kształtach; w określeniu Krasińskiego była pochwała, było wskazanie naturalnego, logicznego, koniecznego rozwoju poezyi polskiej, a kościół Słowackiego w tem określeniu nie był pusty, ale napełniony panteizmem, który według Krasińskiego był „połową", drugiem niejako obliczem Boga, jakby drugą osobą Trójcy boskiej.

Ta różnica w pojmowaniu wypływała z rozmaitego stosunku Mickiewicza i Krasińskiego do filozofii Hegla. Dla heroicznie nastrojonej duszy Mickiewicza filozofia Hegla i wogóle pokrewna jej filozofia niemiecka była scholastyką i to gorszą od średniowiecznej, bo taką, „która chciałaby zatrzymać wszelki ruch ducha ludzkiego koło jego słońca i wbić go całkiem w ziemię" [2]), która Boga zniżała do człowieka, zamiast podnosić człowieka do Boga; przeciwnie dla Krasińskiego była bardzo ponętną gimnastyką umysłową, kanwą dla poetycznych haftów marzycielsko nastrojonej wyobraźni.

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego, T. III, str. 62—63.
[2]) Literatura Słowiańska, Poznań 1865, T. III, str. 265.

Drugą jeszcze ważniejszą przyczyną różnicy w sądach Krasińskiego i Mickiewicza o poezyi Słowackiego było to, że pierwszy miał przedewszystkiem, może nawet wyłącznie, zwróconą uwagę na jej formę, na jej styl, na jej zewnętrzną szatę, drugi, uznając piękność formy, nie zatrzymywał wzroku na niej, ale sięgał do utajonej w niej duszy poety, do jego pragnień, dążeń, ideałów.

Ostatecznie dwa te krańcowo sobie przeciwne sądy dają się pogodzić i wzajemnie się uzupełniają. Tylko z sądu Krasińskiego trzeba odrzucić to wszystko, co jest naciąganiem do filozofii Hegla, a zostawić charakterystykę artyzmu Słowackiego [1]). Bo i Mickiewicz wskazując pustkę w kościele poezyi Słowackiego, przyznawał że ten kościół jest piękny, tylko nie określał piękności jego. Krasiński pierwszy to uczynił, pierwszy podniósł i uwielbił malowniczość, płynność, eteryczność poezyi Słowackiego, pierwszy uwydatnił różnicę, jaka zachodzi pomiędzy jego temperamentem artysty-

[1]) Że sąd Krasińskiego nie był pełny i że charakterystyka przez niego podana nie wypływała z logicznej konieczności, w którą wierzył, na to już zwrócił uwagę Małecki w swojem dziele. Ale Małecki, wytykając lukę w sądzie Krasińskiego: brak uwag o ideach Słowackiego, o jego stanowisku względem dążności i ideałów spółczesnych, to jest o tem, co uważał za wewnętrzną istotę poezyi, — nie postarał się tej luki zapełnić i choć analizując pojedyńcze utwory Słowackiego, oceniał z osobna ideje w nich zawarte, nie ujął przecież rozproszonych sądów w ogólną syntezę. Jasnego, wyraźnego słowa o tej „wewnętrznej istocie“ poezyi Słowackiego Małecki nie wypowiedział, jej antyspołecznego charakteru nie uwydatnił.

Przy tej sposobności wypada mi zwrócić uwagę na pewną sprzeczność w sądach znakomitego krytyka. Mówiąc o Krasińskim, że na stronę ideową, wewnętrzną poezyi Słowackiego nie zwrócił uwagi, Małecki powiada: „Na tej to zaś wewnętrznej dzieł poetyckich istocie, zdaje mi się, że odrębność każdego pisarza, przedewszystkiem polega. Styl i forma bowiem — to rzecz osobista i prawie powiedziałbym prywatna, skutek tysiąca czynników, z których przynajmniej połowa może iść na karb przypadku“ (Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła wyd. 3, Lwów 1901, T. II, str. 267). Nie zgodziłbym się na to, żeby styl znakomitego poety miał być rzeczą przynajmniej w połowie przypadkową, bo w takiem określeniu zaciera się to, co przedewszystkiem nadaje odrębność stylowi — temperament pisarza; ale nie o to chodzi, tylko o to, że w innem miejscu (T. I, str. 114) Małecki uznawał, że „najistotniejszą cechą oryginalności talentu“ Słowackiego jest „melancholijny urok poetyckiego na świat spojrzenia“. Miałażby „oryginalność talentu“ nie być równoznaczną z „oryginalnością pisarza?“ A jeżeli to są rzeczy równoznaczne, w takim razie między przytoczonymi sądami zachodzi sprzeczność, bo gdzież mamy szukać „melancholijnego uroku“ poezyi Słowackiego, jeżeli nie w stylu jego?

cznym a Mickiewicza i w tym względzie po sześćdziesięciu latach nie ma w tym sądzie nic do sprostowania. Ale Krasiński, zapatrzony w artystyczną stronę poezyi Słowackiego, nie odczuwał w niej tego braku, który tak raził Mickiewicza: braku prawdy uczucia, braku prawdziwej miłości, braku społecznego zmysłu. Przeciwieństwo między „duchem Adama a duchem Juliusza", polegało nie tylko na różnicy wyobraźni artystycznej, różnicy, którą Krasiński z taką lubością i w tak poetycznych przedstawiał obrazach, ale równie a może i więcej na głębokiej różnicy charakterów. Poezya Mickiewicza główne źródło swoje miała w sercu poety, w głębokiem przejęciu się pewnemi idejami, w głębokiej miłości, którą poeta sam przeżył, czy to jako Gustaw, czy Konrad; wyrastała wprost z życia jego i dla tego była tak oryginalną i miała taką potęgę i prawdę uczucia. Poezya Słowackiego płynęła tylko z głowy, z bogatej i ruchliwej wyobraźni, regulowanej jedną tylko głęboko odczutą ideą — wykwitem chorobliwego indywidualizmu poety — ideą samoubóstwienia. I stąd to pod olśniewającym jej blaskiem zewnętrznym tai się w niej ubóstwo idei i brak szczerości uczucia. Nasuwa mi się tu porównanie z pewnym obrazem z poezyi Mickiewicza, jakby stworzonym na to, aby allegorycznie przedstawić charakter poezyi Słowackiego, w myśl właśnie skojarzenia dwóch sądów, o których była mowa. Poezya Słowackiego, to istna Zosia z *Dziadów:*

A toż czy obraz Bogarodzicy?
Czyli anielska postać?
Jak lekkim rzutem obręcza
Po obłokach zbiega tęcza,
By z jeziora wody dostać;
Tak ona świeci w kaplicy.
Do nóg biała spływa szata,
Włos z wietrzykami swawoli,
Po jagodach uśmiech lata,
Ale w oczach łza niedoli.

Ta Zosia, jak wiadomo, skazana jest na bujanie pomiędzy niebem a ziemią i „ani wzbić się pod niebiosa, ani dotknąć ziemi nie może" dla tego, że za życia nikogo nie kochała prócz siebie. Zupełnie jak poezya Słowackiego: piękna, lotna, olśniewająca, ale niezdolna zstąpić do serc i zamieszkać w nich dla braku szczerej miłości ludzi i Boga, dla tego, że była tylko poezyą samoubóstwienia.

Ale wróćmy do listu Krasińskiego. Dla Słowackiego ten list przyjaciela, wielbiący jego poezyą, miał ogromne znaczenie. On go namaszczał na następcę Mickiewicza, na najwyższego w bieżącym okresie przedstawiciela poezyi polskiej, on uzasadniał i uświęcał antagonizm nurtujący oddawna w duszy Słowackiego względem Mickiewicza, on wlewał ufność w duszę poety, którą ciągły brak uznania i szydercze krytyki do rozpaczy doprowadzały.

W tym samym liście, w którym się ów sąd zawierał, znalazł Słowacki dla siebie i pewne rady, które miały w jego poezyi odegrać ważną rolę. „Julu, zaklinam cię, pisał Krasiński pod koniec listu, nie dbaj o te gwary, które kiedyś nawrócą się do ciebie. Trzymaj nakształt harfy eolskiej duszę twoją wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba: niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej, a nie myśli ludzi, redakcye paryskie, zdania, uwagi, rozprawy“. To była jedna rada, trudna do spełnienia, ale wzniosła. Tuż obok niej, niczem nieprzedzielona od pierwszej następowała druga, która źle świadczyła o konsekwencyi doradcy, bo była wprost zaprzeczeniem pierwszej. „Przymieszaj trochę żółci do twoich lazurów, obaczysz, jak ten ziemski pierwiastek chemiczny ziemię przynęci do ciebie: więcej jest wątrób na świecie, niż serc, ach! jakże cię wtenczas będą rozumieć wątroby! Dalej niezawodnie żółć jest w poecie tym klejem, co spaja rozerwane cząstki jego bytu, co świat cały przeistacza w jego osobę! Spróbuj, oni się tego domagają. Dopiero uczują twoją rękę, gdy z gruba na nich uderzysz, gdy im spadnie ciężka, koścista na skronie. Dopóki wzniesiona w powietrzu i ku gwiazdom, ku przybytkowi Boga, dopóty oni myślą, że to biała lilia rosnąca niewinnie na łąkach błękitnych przestrzeni“.

Więc naprzód radził Krasiński Słowackiemu trzymać duszę swoją wyżej nad wszystkie gwary ludzkie, a potem radził z gruba pięścią uderzyć na gwarzących, czego, bez zniżenia się do nich, uczynić było niepodobna. Trudno o większą niekonsekwencyą, jak również trudno o piękniejszą szatę poetycką, w którą ta niekonsekwencya była przystrojona. Była to jakby teza i antyteza Heglowska. Spostrzegł widocznie to przeciwieństwo i sam Krasiński, bo w ten sposób starał się niby pogodzić pierwszą radę z drugą: „Do korda i na sejmik, rąbać mi i siekać, a zostawiwszy trupy na placu, znów poróść w skrzydła i zawisnąć na niebie“ [1]).

[1]) Listy Zygm. Kras. III. 9.

Zobaczymy później, jak skorzystał z tych rad Słowacki, a teraz zwróćmy się do *Lilli Wenedy,* która wkrótce po owym liście (w początkach kwietnia 1840) wychodziła z druku, a była nowym publicznym wyrazem przyjaźni i wdzięczności Słowackiego dla autora Irydyona.

Tragedya ta była przedmiotem wielu poważnych i różnostronnych analiz; rozważano jej stronę estetyczną, historyczną, ideową, niedawno dr. W. Hahn wykazał, jak wiele obcych motywów szczególnie z Chateaubrianda zaczerpnął do niej Słowacki [1]). Tu zaś chodzi przedewszystkiem o wskazanie, o wyświetlenie, jaką rolę w genezie Lilli Wenedy odegrał ów szczególny przyjacielski stosunek, który wówczas wiązał Słowackiego z Krasińskim.

Jak *Balladyna*, tak i *Lilla Weneda* ukazywała się poprzedzona listem otwartym do autora *Irydyona.* Ale *Balladyna* utworzoną została jeszcze wtedy, kiedy Słowacki nie znał Krasińskiego, stosunek więc wiążący dwu tych poetów nie mógł odegrać żadnej roli w jej genezie. Inaczej, sądzę, było z *Lillą Wenedą.* A naprzód wyraźną w tym względzie wskazówkę znajdujemy w owym liście zastępującym jej przedmowę. Wspomniawszy dwóch wodzów wenedyjskich, złączonych łańcuchem, Słowacki zapytuje: „Czy ty myślisz, Irydyonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią... ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie". Tak więc niewątpliwie dla Słowackiego ten motyw zaczerpnięty z Chateaubrianda stawał się symbolem jego przyjaźni z Krasińskim. Ale czy tylko przyjaźni? Wszakże ten łańcuch wiąże braci Wenedów na to, aby mogli jako jeden mąż walczyć, więc jest symbolem nietylko przyjaźni, ale i wspólnej walki dwóch poetów ze światem. Jeśli z tego punktu spojrzymy na całość poematu, to walka Wenedów z Lechitami, która jest osią jego, przedstawi się nam w zupełnie nowem świetle.

W walce tej widziano dotychczas tylko echo tradycyi historycznej o pochodzeniu szlachty od szeregu zdobywców i niewątpliwie jest ona takiem echem, ale jest i czemś innem jeszcze, jest także

---

[1]) Wiktor Hahn. Studyum nad genezą Lilli Wenedy Lwów 1894.

echem ówczesnego stosunku Słowackiego do społeczeństwa polskiego i do Krasińskiego. To echo odzywa się także, jak widzieliśmy, i w *Grobie Agamemnona* i myślę, że nie sam przypadek sprawił, iż *Grób Agamemnona* wydany został po raz pierwszy przy *Lilli Wenedzie*. Był to jakby tajemny komentarz do tragedyi.

Wiemy już, że w tym wierszu występuje „anielskość", anhellizm poety w przeciwstawieniu do rubaszności szlacheckiej. Podobne przeciwstawienie znajdujemy w charakterystyce Wenedów i Lechitów. Wenedzi to lud pieśniarzy, wyższy od Lechitów o całą skalę kultury poetyckiej, pełni wzniosłych natchnień, które bohaterskiem światłem oblewają postaci Derwida, Lilli i Rozy Wenedy i dwu ich braci: Lelum i Polelum, a symbol dla siebie znajdują w cudownej harfie Derwida. Lechici — to lud krewki i bitny, ale bez rozumu, bez wyższych pragnień i wyższej kultury; poeta, uposaża go we wszystkie wady, przypisywane szlachcie z najgorszych czasów jej panowania. O królu Lechu, głównym przedstawicielu Lechitów, tak mówi w przedmowie: „Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i molierowskiej w domostwie słabości; kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki siarką cuchnący i krwią oblany po szyję. — Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje... bez jutra". Z tej charakterystyki już widać, że Słowacki gardzi tym bratem Rolanda i że kontusz odgrywa tu tak niewdzięczną rolę, jak w *Grobie Agamemnona*. W samej tragedyi w usta Ślaza poeta wkłada jeszcze bardziej szyderczą charakterystykę Lechitów:

Gdybym nie mienił to być uchybieniem,
Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,
Czy ja Lechita... Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać *in verba magistri?*
Oszczerstwo?... czy to wszystko mam na twarzy?

Ten wyskok Ślaza tak odbiega od mitycznego tła walki Wenedów z Lechitami, że nie można w nim widzieć nic innego, jak alluzyę do teraźniejszości, do niskiego poziomu umysłowego szlachty, jak on się przedstawiał Słowackiemu. Wreszcie przy samym końcu tragedyi puszcza poeta strzałę pogardy w przedstawiciela szlachty, Lecha i sprzymierzonego z nim przedstawiciela duchowieństwa, św. Gwalberta, wkładając w usta Polelum, stojącego na stosie te słowa:

> Boże! patrzaj z nieba
> Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
> Konającego... patrzaj na tych ludzi,
> I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
> Chwilę tryumfu i urągowiska?

Dla czegoż pomimo swojej wyższości Wenedzi ulegają w walce z Lechitami? Naturalnie dla tego, że ma się stać zadość tradycyi historycznej, ale zarazem także i dla alluzyi do osobistych stosunków poety. On sam, Słowacki, w walce z emigracyjną krytyką, która przedrwiwała jego fantastyczność i wołała, (w satyrycznem pisemku *Pszonka* z r. 1839), aby „mniej mówił do uszów, a więcej do kontuszów", to Lelum, zabity i spoczywający na piersiach brata, a ten brat Polelum, tak czule dźwigający zabitego brata i taką wzgardę czujący dla Lechitów, to Krasiński. jedyny wielbiciel i obrońca poezyi Słowackiego wobec ogólnej obojętności albo niechęci i napaści. Otóż oni są stokroć wyżsi (naturalnie w rozumieniu Słowackiego) od ogółu emigracyi i krytyki emigracyjnej, ale osamotnieni nie mogą wziąć góry nad tym ogółem i muszą być pokonani. Ale ta przegrana jest tylko chwilową przewagą liczby nad intelligencyą, bynajmniej nie ostatecznym wyrokiem historyi i jak Krasiński upewniał Słowackiego o przyszłem zwycięstwie [1]), tak i Słowacki miał zawołać wkrótce (w *Beniowskim*):

> Przyszłość moja!
> I moje będzie za grobem zwycięstwo!

Otóż i ten stosunek i ta nadzieja przyszłego zwycięstwa, niezależnego od klęski obecnej, odzwierciedla się, znajduje analogią w walce Wenedów z Lechitami. Klęska Wenedów jest zwycięstwem siły brutalnej nad kulturą, ale zwycięstwem — bez jutra. Prawdziwe zwycięstwo w poemacie, zwycięstwo moralne — na co dotychczas, o ile wiem, nikt nie zwrócił uwagi — odnoszą Wenedzi, to jest ich przedstawiciele, rodzina królewska. Św. Gwalbert, niefortunna kreatura, dwojąca się w znaczeniu, pomimo całej swej śmieszności obdarzony został przez poetę mocą wizyj cudownych,

---

[1]) „Mojem zdaniem, komu zaraz sypną się wieńce laurowe, ten znać że dyablą buffonadę, przystępną, zrozumiałą natychmiast wszystkim, powiedział; kto ma nigdy nie umierać, niech poczeka trochę, aż żyć zacznie". Listy Zygm. Kras. T. III str. 6.

bezpośredniego przestawania z bóstwem i oto on na początku piątego aktu oznajmia Lechowi. że w dniu tym, w dniu ostatecznej walki, objawi się Najświętsza Panna „nad najświętszym trupem — nad krwią najbardziej Bogu ukochaną". I staje się cud w istocie: nad gasnącym stosem, na którym spłonęły ciała Derwida, Lilli i jej braci ukazuje się Najświętsza Panna. Wprawdzie tym „najświętszym trupem" o którym mówi Gwalbert, ma być trup Lilli Wenedy i jej to tryumf moralny ma przedewszystkiem oznaczać zjawienie się nad stosem Bogarodzicy, ale ta biała Lilla jest tak spojona miłością i cierpieniem. i z braćmi i z ojcem i z całym narodem swoim. jest takiem wcieleniem duszy Wenedów, jakby drugą harfą Derwidową, że jej tryumf moralny można śmiało uważać za tryumf całego narodu. za tryumf moralny sprawy Wenedów.

Ten motyw cudownego zjawiska był niewątpliwie wzięty, jak to już wskazywano [1]), z *Nieboskiej Komedyi* Krasińskiego. ale o tyle różnie użyty. że tam w *Nieboskiej* nie oznaczał tryumfu moralnego żadnej ze stron walczących. tu przeciwnie wyraźnie wskazywał tryumf tych, którzy spłonęli na stosie.

Ażeby żywioł osobisty w *Lilli Wenedzie*, bez roentgenowskich promieni analizy niedostrzegalny i do dziś niedostrzegany, tem lepiej uwydatnić, zwrócę jeszcze uwagę na jeden ustęp przedmowy, to jest wstępnego listu do Irydiona. „Tylko ty. Irydionie, nie opuszczaj mnie wśród zimnego świata słuchaczy, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu. który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa, a gdybyś widział na mnie idące węże. weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się. że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie. że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu; sądziłem. że wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jednę taką postać jak nimfa. uwieńczona jaskółkami. które pierzchają z włosów. dotknięte słońca promykiem; jednę taką postać jak nimfa, uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żórawi. można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma. Teraz widzę, że innych widm. innych kolorów, innych potrzeba obrazów".

---

[1]) St. Tarnowski w odczycie o *Lilli Wenedzie* w Poznaniu 1881.

W tych słowach, które się odnoszą do *Balladyny* i jej przyjęcia przez krytykę, mamy wyraźnie zarysowaną różnicę estetycznego wykształcenia i usposobienia między ogółem słuchaczy polskich a takimi „Ateńczykami“ o platońskiej uwadze i rafaelowskich oczach, jak Słowacki i Krasiński. Różnica ta, znajdująca analogię do tej, która dzieli Lechitów od Wenedów, a harfa Lilli Wenedy w rękach Krasińskiego, podobnie jak i owa nadzieja Słowackiego, że kiedyś go ludzie we wspomnieniach powiążą z przyjacielem i na jednym stosie postawią, wszystko to coraz wyraźniej podkreśla pokrewieństwo dwu poetów z Wenedami.

Czy ten żywioł osobisty, to pokrewieństwo idealne własnej sprawy poety ze sprawą Wenedów było pierwszą pobudką do napisania Lilli Wenedy, tego nie śmiem przypuszczać, i skłonny jestem wierzyć poecie, gdy powiada w przedmowie: „Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszły same; przyprowadziła je z sobą Lilla Weneda“, ale śmiało przypuszczam, że gdy już te mary stanęły przed nim, nasunęło mu się podobieństwo sprawy Wenedów z własną sprawą i odtąd to podobieństwo nie opuszczało go przy kształtowaniu tragicznej fabuły, było jakby tajemnym do niej wtórem, a przy końcu uwydatniło się najsilniej.

Jak przyjął Krasiński nową tragedyę Słowackiego, który ją składał w ręce przyjaciela z nieograniczoną ufnością w „ateńskość“ i przyjaźń jego? Ze wszystkiego widać, że *Lilla Weneda*, jako całość, daleko mniej zachwyciła Krasińskiego, aniżeli jej poprzedniczka, *Balladyna*, albo *Anhelli*. Z Sorrento przy końcu września 1840 r. pisał do Konstantego Gaszyńskiego: „Czytałem w Niemczech *Lillę Wenedę*, pomysł mytu Lelum Polelum jest prawdziwie wzniosłym i poetyckim. Sama Lilla jest białą Antygoną, ale żal się Boże św. Gwalberta i tego Szlaza, który naśladuje Grabca z Balladyny, który Grabiec sam naśladuje jakiegoś z tysiącznych potwornych błaznów Szekspira. Aż mnie smutek wziął, gdym ujrzał tych dwóch bohatyrów i tę anielską siostrę ich w towarzystwie takiem gałgańskiem. Zaniosę przed Jula, kiedy będę pisał do niego, skargę Lilli, bo mi się bardzo dziewczyna skarżyła. Szlaz jej białą tunikę powalał rękoma, tabaka u nosa Gwalberta na skroń jej kapnęła; lepiej ją było zaraz nożem w serce pchnąć, niż tak jej strój zwalać. Ale to niech pozostanie uwagą moją, wypowiedzianą tobie. Spowiedź jest nienaruszalnym sakramentem“ [1]).

[1]) Listy Zygm. Kras. T. I, str. 161—162.

Wkrótce potem Krasiński wyprawił bardzo długi list do Słowackiego z uwagami o *Lilli Wenedzie.* List ten zaginął, a przynajmniej nie wyszedł dotąd z ukrycia, ale treści jego łatwo się domyślić z cytowanego już listu do Gaszyńskiego. Zarzuty zapewne były te same, tylko w łagodniejszej formie wyrażone. Widać to i z późniejszego listu do Słowackiego, w którym jest wzmianka o dawniejszym. „Iżaliś go odebrał? przeczytałżeś skargę białej dziewczyny? uznałżeś w głębi serca Jej prawo do skargi?...“ [1]). Skarga jak wiemy, dotyczyła postaci Ślaza, a jeszcze więcej św. Gwalberta. Harmonia między dwoma Ateńczykami, tak wysoko w przedmowie podniesiona, po raz pierwszy pękała, w tem właśnie miejscu, w punkcie religijnego nastroju. Okazywała się w tym względzie głęboka między nimi różnica, z której, jak się zdaje, Słowacki, pisząc *Lillę Wenedę* nie zdawał sobie sprawy. Krasiński nie był ortodoksem, sam siebie nawet w owych czasach nazywał kacerzem („Kacerstwo moją naturą jest i iścizną mojej figury“). w *Niedokończonym poemacie* ukochał potępiony zakon Templaryuszów („za to, że potępiony“), nie tail się z niechęcią dla obrońców prawowierności, Jezuitów, i katolicyzm jego ówczesny był bardzo wyraźnie podszyty heglizmem, a dzięki temu godził się, jak widzieliśmy, nawet z panteizmem, ale pomimo tego wszystkiego, Krasiński miał na dnie serca żywe uczucie chrześcijańskie, głęboką wiarę w boskość idei chrześcijaństwa i samego Chrystusa, i ten krzyż, co w *Nieboskiej* pojawiał się na niebie, nad walką dwóch światów, jak „szabla mściciela“, i ten czarny i cichy, co w Colosseum pociągnął ku sobie serce Irydiona, nie były tylko produktem poetyckiej gry wyobraźni, ale symbolem z głębi serca dobytym. Tego religijnego, chrześcijańskiego uczucia nie było w Słowackim; gdyby je miał, toby w *Podróży na Wschód* piruety baletowe nie brały tak łatwo góry nad „myślami świętemi“, po które w podróż się wybierał; gdyby je miał, ostrzegłoby ono w *Lilli Wenedzie*, że postać Gwalberta, streszczająca w sobie wpływ chrześcijaństwa, jest szyderstwem z niego, niemal w rodzaju Woltera.

To szyderstwo mocno ubodło Krasińskiego, wydało mu się rażącym dyssonansem, a ponieważ wiedział, jak Słowacki wielbił i naśladował Szekspira, więc zdało mu się, że ujemnemu wpływowi Szekspira trzeba ten dyssonans przypisać.

---

[1]) Tamże T. III, str. 11.

Jeden tedy z późniejszych listów do Słowackiego zapełnił cały krytyką Szekspira, to jest jego stanowiska empirycznego, a to w tym celu, aby obudzić w Słowackim potrzebę wyższej syntezy filozoficzno-religijnej, której brak w nim teraz żywo uczuł. „Jest w starym Szekspirze i duch dobry, wzniosły, tytański, ale i zły jest również, i ten zły, czyli nie domiar dobrego, brak wielkości, brak poczucia na czem powszechność, ogół, harmonia wszechżycia zależy, piętno materyalizmu angielskiego, piętno specyficzne, narodowe, wyciska na czole Szekspira piętno charakterystyczne, ale nie piętno piękności“. W ocenie tego złego ducha Szekspira zapewne przesadzał Krasiński, ale na to tylko, aby dać przestrogę i naukę Słowackiemu i zwrócić jego uwagę na to, że jego tragedya ostatnia, która była mieszaniną Szekspira i Eurypidesa, a zbyt przechylała się w stronę Szekspirowskiego *buffo*, nie miała w sobie prawdziwej tragiczności. Nie mówił jużcić tego wyraźnie, ale pozwalał domyślać się. „A płakać, męczyć się, krwawić się o nic, za nic, jest w rzeczy samej smętnem błazeństwem: dopiero tam prawdziwa i wyniosła tragiczność, gdzie jest cel męce, gdzie życie pokoleń ludzkich pojęte, jako męka po Szekspirowsku, ale jako męka *serio* nie *buffo*, męka wznosząca się coraz wyżej ku Bogu, męka rozwijająca wszystkie siły natury ludzkiej na to, by kiedyś wstała i przeszła w błękit pogody“... [1]).

Otóż w porównaniu z tak pojętą tragicznością tragiczność *Lilli Wenedy* musi się wydać jako okazała wystawa, popis, gimnastyka mąk torturowych, przeplatana buffonadą, a pozbawiona wszelkiego dążenia do syntezy, do Boga, do rozwiązania dyssonansów w harmonii. Ostatecznie tedy i Krasiński zaczynał uczuwać w poezyi Słowackiego to, co odrazu uczuł Mickiewicz: brak uczucia religijnego, krótko mówiąc: brak Boga.

Jednakże, choć *Lilla Weneda*, jako całość, nie podobała się Krasińskiemu, dla niektórych jej motywów, w szczególności dla postaci wenedyjskiej Antygony i jej braci miał oko i poczucie Ateńczyka, nie mógł też być obojętnym na hołd, jaki mu Słowacki składał w postaci Polelum. Winienem też tu zwrócić uwagę jeszcze na jedną okoliczność. Krasiński, choć młodszy wiekiem od Słowackiego i niższy talentem poetyckim, czuł się wyższym, doj-

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego T. III, str. 14.

rzalszym duchowo od niego, starał się wpływać na kierunek dążeń przyjaciela i w istocie wpływ wywierał. Jednak i sam on do pewnego stopnia ulegał wpływowi Słowackiego, a przynajmniej wtórował pewnym jego uczuciom. Wpływ ten, albo raczej ten wtór, widzę w *Trzech myślach Ligenzy*, które się ukazały w tym samym roku, co *Lilla Weneda*, ale nieco później od niej; widzę naturalnie nie w treści samych „Myśli", które są wyrazem ówczesnych przekonań, poglądów, czy też marzeń filozoficznych i historyozoficznych Krasińskiego, ale w zestawieniu tych „Myśli" z Przedmową wydawcy, w której Krasiński nazwawszy się „Stefan, Szczęsny, Bogdan Mielikowski, przydomku i herbu Gozdawa" wybornie naśladował ton, język i horyzont umysłowy ukraińskiego szlachcica-hreczkosieja, zmuszonego z woli żony podróżować po horyzontach włoskich [1]). Ów fikcyjny szlachcic-wydawca, który spogląda na „Trzy myśli" jako na „dziwaczne szusy umierającego na suchoty", ale je wydaje przez uszanowanie dla ostatniej woli zmarłego, przy tym fikcyjnym Henryku Ligenzie, w którym się ukrył sam Krasiński [2]), jest jakby powtórzeniem tego kontrastu, który u Słowackiego widzieliśmy w *Grobie Agamemnona,* w *Piaście Dantyszku*, wreszcie w *Lilli Wenedzie*, tego przeciwieństwa między rubasznością i naiwnością szlacheckiego ogółu, a wysokim rozwojem intellektualnym wyjątkowych jednostek. Tylko to powtórzenie kon-

---

[1]) Michał Budzyński w swoich *Wspomnieniach z mojego życia*, Poznań 1880 II 120—121 nawiasowo powiada, że przedmowę do *Trzech myśli* Ligenzy pisał Czajkowski. Gdyby i tak było, to zawsze pomysł kontrastu pomiędzy szlachcicem-hreczkosiejem a poetą-filozofem musiał wyjść z głowy Krasińskiego. Ale zdaje mi się, że tak nie było, bo przedmowę mógł napisać tylko ten, co jak Krasiński (r. 1839) był w Palermo i pamiętał różne szczegóły tego miasta. Natomiast bardzo być może, że na Czajkowskim, na jego postaci, na stylu jego opowiadań wzorował Krasiński swojego hreczkosieja. W r. 1840 (9-go maja) pisał do Sołtana: „Jest tu Czajkowski Wernyhora, dzielny jeździec, z całego Rzymu pojmujący tylko piękność łąk Kampanii, bo siostrzaną stepom, zresztą mało dbający o ruiny miasta wiecznego: siądzie ci na kolumny korynckiej podstawie i gada o Skibickim, zarżniętym przez hajdamaków; pójdzie do Kolizeum i przypomina sobie, jak Ataman Konaszewicz przebił Bezborodkę; w Termach Karakalli widzi Czarneckiego, który ścina atamana Wychowskiego. Ale co do Kozaczyzny jedyny badacz głęboki, przenikliwy, zgadujący, historyk żywy, śmiały, kozacki romansista, a sercem całem i wszystkiemi pojęciami głowy szczery szlachcic polski. Listy Zygm. Krasiń. III, 195.

[2]) Krasiński tym razem starał się ukryć autorstwo swoje nawet przed Konst. Gaszyńskim.

trastu było do pewnego stopnia i poprawieniem jego, rubaszność i naiwność szlachecka występowały tu daleko prościej, naturalniej, sympatyczniej, oblane światłem humoru, a nie szyderstwa. Możnaby myśleć, że Słowacki skorzystał z tej poprawki przyjaciela, że w *Beniowskim*, do którego wtedy się zabierał, uchwycił ton, podany przez Krasińskiego, i że to było przynajmniej w części przyczyną, iż w nowym poemacie z humorem i pewną sympatyą traktował rubaszność szlachecką

polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze,
A nadewszystko szczere polskie dusze [1]).

---

[1]) Drobną, ale znaczącą wskazówką, że Słowacki rozpoczynał pisać *Beniowskiego* pod świeżem wrażeniem Przedmowy wydawcy w *Trzech myślach Ligenzy* jest okoliczność, że bohaterowi swemu nadał trzy imiona: Maurycy, Kaźmierz Zbigniew. Z tych imion pierwsze tylko historyczne, dwa inne fikcyjne, dodane jakby pod wrażeniem tego, że u Krasińskiego szlachcic-wydawca nosi trzy imiona: Stefan, Szczęsny, Bogdan.

CZĘŚĆ II.

Zdobycie sławy.

1840—1842.

ROZDZIAŁ VII.

Beniowski. 1840—1841.

Geneza poematu. — Zamiar stworzenia polskiego Fausta. — Co było zadaniem poematu. — Uczucia miłosne Słowackiego dla Anieli Moszczeńskiej, p. Bobrowej i Ludwiki Śniadeckiej i ich odźwierciedlenie w poemacie. — Stosunek Słowackiego do Mickiewicza. — Pierwsza uczta na cześć Mickiewicza w Paryżu. — Walka na improwizacye. — Pomysł drugiej uczty. — Drażliwość Słowackiego. — Artykuł „Improwizatorowie". — Oburzenie Słowackiego. — Epicki wątek poematu. — Swentyna jako muza poety.

Rada, którą Krasiński dawał Słowackiemu w pierwszym ze znanych nam listów do niego, aby przymieszał żółci do swoich lazurów i „z gruba uderzył" na swoich przeciwników, na to zresztą, aby porąbawszy i posiekawszy ich „znów porość w skrzydła i zawisnąć na niebie", ta rada prędko znalazła zastosowanie. Trafiła ona tem łatwiej do przekonania Słowackiego, że skłonności ku takiej rąbaninie miał on i przedtem dosyć; można ją znaleźć w rozmaitych zaczepkach i przekąsach polemicznych i w *Kordyanie* i w epilogu *Balladyny* i w niewydanej *Podróży na Wschód.* Ale tamte zaczepki zwracały się przeciw wielkim powagom emigracyjnym, Mickiewiczowi i Lelewelowi, z którymi walka była trudną; teraz według rady Krasińskiego chodziło o porąbanie tych podrzędnych duchów, tych bezimiennych krytyków, którzy go lekceważyli i z niego szydzili w *Młodej Polsce*, z którymi zatem walka łatwiejsze obiecywała zwycięstwo.

Formy dla tej rąbaniny Krasiński nie wskazywał, ale też wzór dla niej tak był blisko oczu Słowackiego, że wskazywać nie było potrzeby. Wprawdzie od kilku lat Byron przestał już być wyłącznym jego przewodnikiem w dziedzinie poezyi, bo Szekspir i Dante wysunęli się naprzód, ale Byrona Słowacki tak dobrze znał i pamiętał, że odrazu mógł znaleźć w *Don Juanie* wzór dla tego rodzaju poezyi, o który mu chodziło. Wracał więc do dawnego mistrza, ale wracał dojrzalszy, bogatszy doświadczeniem i dzięki Krasińskiemu świadomy w całej pełni tego, co stanowiło jego oryginalność, t. j. czarodziejstwa swego stylu. To czarodziejstwo pokazać w całym blasku i na tle tego czarodziejstwa posiekać swoich wrogów, oto było zadanie, które miał teraz do spełnienia.

Ażeby nowy utwór był czemś w rodzaju *Don Juana* polskiego, potrzeba było obrać jakiś awanturniczy wątek powieściowy, któryby służył za ramy dla najrozmaitszego rodzaju wynurzeń i wycieczek i którvby sam przez się bawił wyobraźnię. Na niedługo przed otrzymaniem owego listu Krasińskiego, prawdopodobnie w końcu 1839 r., rozpoczął był Słowacki pisać dramat, którego bohaterem miał być Beniowski. Z fragmentów dramatu, które się dochowały, widać, że fantazya Słowackiego potrąconą była świeżo wydanymi (w 1839) *Pamiątkami Soplicy* Rzewuskiego i może dla tego obrała za bohatera nowego dramatu jednego z bohaterów konfederacyi barskiej. *Pamiątki Soplicy* przypomniały mu zapewne inne pamiętniki, odnoszące się do tych samych czasów, a głośne w całej Europie, bo pisane i wydane po raz pierwszy po francusku (w r. 1791), a potem na wiele języków tłómaczone, pamiętniki Beniowskiego. I w Polsce poczytność ich była niemała, skoro w niespełna dziesięciu latach aż się trzy wydania ich ukazały (1797—1802—1806). Zresztą w tym samym roku 1839 ukazały się Pamiętniki Kitowicza (do panowania Augusta III i Stan. Augusta), które wiele anegdotycznego materyału przynosiły do dziejów konfederacyi barskiej. Dramat nowy jednakże miał być czemś więcej, jak dramatycznym obrazem epoki. Jak w *Horsztyńskim*, pisanym jeszcze w Szwajcaryi, chciał Słowacki na tragicznem tle ostatnich chwil niepodległości Rzeczypospolitej przedstawić, w postaci Szczęsnego, niby polskiego Hamleta, tak teraz, jak z fragmentów widać, chodziło mu o to, ażeby z Beniowskiego zrobić coś na kształt polskiego Fausta.

Jak Faust Mephista, tak Beniowski ma przy sobie Pamphila,

który mu ciągle towarzyszy. Z pewnej rozmowy Chrystusa ze św. Piotrem, która się zachowała we fragmentach tego utworu, dowiadujemy się, że Chrystus sam zezwolił na to, „aby człowiek ten (Beniowski) oddany był na pokuszenie i spróbowany w ogniu“, taki więc sam układ między Bogiem a szatanem, jaki jest w *Fauście*, miał i nasz poeta w pomyśle. Jak się ten pomysł miał rozwijać, można powziąć o tem pewne, zresztą bardzo niepełne i niejasne wyobrażenie z wiersza wstawionego w środek dramatu; tu dość powiedzieć, że fabuła dramatu miała być zupełnie inna, niż późniejszego poematu o tej samej nazwie, pełna cudowności i fantastyczności, którą faustowski temat za sobą prowadził. Warto też zwrócić jeszcze uwagę na to, że Pamphilus, który pełniąc rolę Mephista, zakrawa nieraz na jakiegoś błazna szekspirowskiego, za cel swojej ironii obiera ze szczególnem zamiłowaniem romantyczny kierunek poezyi [1]). Natomiast w ironizowaniu jego nie ma najmniejszej alluzyi do osobistych spraw poety, do redakcyj i krytyk paryskich. Czy jednak Beniowski, jako Faust polski, nie miał reprezentować pewnej strony ducha poety, zaręczyć nie można; i owszem jest nawet wskazówka, że tak mogło być: Pamfilus mówi o Beniowskim że „to jest człowiek, który ma pokruszyć zęby na białym marmurze sławy“, malownicze określenie, które się doskonale daje zastosować do samego poety.

Ale zamiar stworzenia polskiego *Fausta* przerastał siły Słowackiego. Stworzyć kilkadziesiąt scen fantastycznych i efektownych, przy ówczesnem rozbudzeniu fantazyi, nie byłoby dlań rzeczą trudną, ale powiązać te wszystkie sceny jedną ideą i to ideą wielką, ogarniającą zagadkę życia ludzkiego, lub przynajmniej życia narodu, i stworzyć z tego całość organiczną taką, o którejby mógł nabrać przeświadczenia, że „ta pieśń nie przeminie“ [2]), na to się

---

[1]) Nazwę Pamfila wziął Słowacki prawdopodobnie z *Dziewosłęba dworskiego*, dyalogu staropolskiego, którego streszczenie wraz z cytatami znajdował w dziełach swego ojca (Dzieła III 142—145). Pamfilus jest to pan, który chce użyć świata; w sprawie czwartej dyabli i śmierć na scenę przybywają, chcą zabrać Pamfila. W sprawie piątej przybywa wiara w towarzystwie anioła i odpędza śmierć i czartów. Czarci biją się z sobą, potem śmierć mordują za to, że nie pośpieszyła z odjęciem życia Pamfilowi, a gdy ta bez znaku życia upadła, dla przywrócenia jej do życia wzywają doktora „i to jest, powiada Euzebiusz Słowacki, najdowcipniejsze w tej sztuce zmyślenie“.

[2]) W wierszu, wstawionym w środek dramatu i ręką poety przekreślonym, znajdował się taki ustęp:

mógł porwać Słowacki, ale dokonać tego nie był zdolny. Uczuł on to zapewne w chwili, gdy stanęło przed nim nowe zadanie, stworzenia polskiego *Don Juana* i dla tego zaniechał dramatu, a widząc, że jego bohater, zarówno jak i tło konfederacyi barskiej nadaje się doskonale do nowego zadania, postanowił ten kapitał, włożony w niedokończony dramat, wycofać stamtąd i obrócić na nowe przedsięwzięcie poetyckie.

To nowe przedsięwzięcie, gdzie rąbanina miała być rzeczą główną, a sama powieść tylko tłem lub ramą, nie wymagało organicznej całości, dawało najpełniejszą swobodę fantazyi. Słowacki znalazł się tu w swoim żywiole: mógł puścić cugle rumakowi swojej poezyi, nie troszcząc się wcale, gdzie go zaniesie. Tej swobodzie szczególnie sprzyjała okoliczność, że o Beniowskim wiadomo było tylko, iż brał udział w konfederacyi barskiej, ale szczegółowa historya tego udziału, z wyjątkiem pewnego tylko ustępu, wiążącego się z obroną Krakowa, nie była znaną [1]. Że powieść swoją zaczął pisać bez jakiegokolwiek wyraźniejszego planu, na to są w samej powieści jaskrawe dowody. Kończąc pieśń pierwszą, która z wątku powieściowego zamknęła tylko scenę tajemnego widzenia się Beniowskiego ze swoją ukochaną w Anielinkach, poeta nie wiedział jeszcze, czem zapełni pieśń drugą.

O rycerzu więc owym, co był ci do końca
Wiernym i różnej nędzy dla ciebie skosztował,
Śpiewać będę... *i może ta pieśń nie przeminie.*

[1]) W Pamiętniku swoim Beniowski tyle tylko o tym swoim udziale powiedział: „Urodziłem się ze znakomitej familii węgierskiej i z zaszczytem służyłem Rzeczypospolitej Polskiej, której broniąc praw i swobód, ran siedm odebrawszy, zostałem na placu potyczki przez Moskalów wzięty w niewolę“ (Historya podróży i osobliwszych zdarzeń sławnego Maurycego Augusta Hrabi Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego z franc. tłomaczona. Edycya nowa. W Warszawie 1806. T. I str. 55—56). We wstępie do pamiętnika opowiedziane są czyny wojenne Beniowskiego z lata 1768 r., kiedy jako generał artyleryi bronił Krakowa i robił stamtąd różne wycieczki, ale opowiadanie to urywa się z chwilą, kiedy Beniowski po ataku na Apraksyna (11 sierpnia) ranny wpada w ręce nieprzyjaciół. Dowiadujemy się jeszcze tylko, że odrzucił propozycyę służby w wojsku rosyjskiem, że wykupił się z niewoli i wrócił do Krakowa, a potem nagle takie oto oświadczenie następuje: „Nie będziemy wchodzić w szczegóły operacyj wojennych Hrabi w ciągu tej wojny. Dosyć powiedzieć, iż od tego momentu aż do dnia 19 maja 1769 r. dawszy jak największe dowody swojej zdatności, męstwa i determinacyi, wpadł powtórnie w ręce moskiewskie, dwa razy szablą a raz od kartacza ranny“. (Tamże, str. 22).

więc mój czytelniku,
Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,
Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch święty promyku;
Także cokolwiek szlachty. Powieść taka,
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

Z tych słów trzeba się domyślać, że poeta chciał do pieśni drugiej wprowadzić jakąś scenę sejmikową, która zwykle odgrywała się w kościele lub w refektarzu klasztornym i możnaby nawet myśleć, że słowa Krasińskiego: „do korda i na sejmik, rąbać mi i siekać“ sprawiały tu pewną suggestyą. Ale zacząwszy pieśń drugą Słowacki zapomniał, czy też nie dbał o to, co przedtem zapowiedział i w tej pieśni drugiej nie znajdujemy wcale ani kościoła, ani słonecznej framugi, ani nic z tego, co te szczegóły zdają się zapowiadać, natomiast znajdujemy dziki wyskok księdza Marka, wbicie sztyletu w dłonie regimentarza Dzieduszyckiego, niczem niezapowiedziany i niespodziewany i stosowniejszy dla jakiejś powieści bajrońskiej o korsarzach, niż dla takiej, która ma być „jak dawny, długi, lity pas Polaka“.

Kończąc pieśń drugą, Słowacki znowu zapowiadał rzeczy, które nie miały się ukazać ani w następnej, ani w którejkolwiek z pięciu pieśni, które sam wydał:

Dalej ujrzycie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem na drogoskazie
Wiszących — Romans w poemat urasta!
Coś w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu. Pociągnąwszy hausta,
Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginacyą,
Dyabłowi oddam bohatera duszę i t. d.

Z ostatnich wierszy widać, że nie był pewny, czy nie wypadnie mu powrócić do pomysłu Fausta-Beniowskiego, co także wskazuje, jak żadnej jeszcze wytkniętej drogi nie miał przed sobą w *Beniowskim.* W pieśni trzeciej żartował sobie nawet z własnego planu swojej powieści, pisząc, że czterdzieści cztery (mistyczna liczba) pieśni całych „w planie stoi“, a przy końcu tej pieśni wpół żartem, ale poniekąd trafnie określił charakter i cel swego poematu.

I mój rym także . . . . . .
. . . .

Porozciągawszy tęcze na obrazie,
Pokołysawszy nakształt dobrej łodzi,
Idzie spać. Wyraz został przy wyrazie,
Nie wiem czego chce i czego dowodzi?
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił i nic więcej.

Tak, pokazać czarodziejstwo stylu swego i olśnić niem, to był jeden cel; drugi, to nasypać żaru z tych gwiazd palących się za kołnierz tym wszystkim, których uważał za swoich przeciwników.

Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syryusz zrzucony przez nią (muzę) lub Niedźwiadek,
Spali się, lecz ja nie winien.

Można powiedzieć, że każda pieśń *Beniowskiego* z osobna spełniała to podwójne zadanie: olśniewać czytelników i wydrwiwać nieprzyjaciół. Ale nim przejdę do analizy tej walki podjazdowej, którą Słowacki prowadził w *Beniowskim* i różnego rodzaju wynurzeń osobistych, które jej towarzyszyły, winienem zwrócić uwagę na niektóre szczegóły z jego życia w ciągu pisania *Beniowskiego*, ponieważ one odzwierciedliły się w poemacie i wogóle w historyi ducha jego niemałą odegrały rolę. Chodzi tu przedewszystkiem o stosunek Słowackiego do p. Bobrowej i do Mickiewicza w tym czasie.

Pani Bobrowa była, jak wiadomo, w przeciągu lat kilku, od 1833—1838, przedmiotem miłości Zygmunta Krasińskiego. Młoda piękna, bogata, wydaną została za mąż za człowieka, który był także bogaty i cieszył się znaczeniem wśród swoich współziemian wołyńskich, ale wykształceniem i usposobieniem nie odpowiadał bynajmniej romantycznemu nastrojowi młodej żony. Wyjechawszy dla zdrowia do Włoch, spotkała się z Zygmuntem Krasińskim, który przez Radziwiłłów był jej powinowatym i w młodszym od siebie o lat kilka, ale umysłowo przedwcześnie rozwiniętym i na wysoki ton romantyczny nastrojonym poecie znalazła pokrewną sobie duszę. Wrażenie, jakie wywarła na Krasińskim przy pierwszem spotkaniu, odzwierciedliło się w *Niedokończonym poemacie*, w wykrzyknikach młodzieńca, opisującego Aligierowi księżnę Rahoga: „jak Polska cała, tak ona, ta jedna Polka jest bezmiar m nieszczęścia, ubranym w nadziemski wdzięk! Nigdym nic podobniejszego do przechodzącej ojczyzny nie widział“ .... „przysięgam ci, nigdym ta-

kiego wyrazu boleści nie oglądał w stworzonej ziemiance. Wystaw sobie marmur najniepokalańszy, paryjski, blaskosiejny marmur — napisu żadnego — spojrzysz i powiesz: „Posąg medycejskiej być z niej ma“ — a w tem znów spojrzysz i patrzysz, aż tu kamień grobowy już i pod tą bryłą światła — śmierć. Więc klękaj i módl się i płacz! — to Ona!“

Ta marmnrowa grobowość nie przeszkodziła pani Bobrowej oplątać siecią miłości Zygmunta Krasińskiego tak, że stał się jej niewolnikiem i wspólnikiem winy wobec męża i dzieci. Jeżeli mowa o wspólnej winie, to trzeba zwrócić uwagę na to, że jakiegoś uwodzicielstwa ze strony Krasińskiego niepodobna przypuścić; sam stosunek wieku pomiędzy nimi świadczy za tem stanowczo. Dość powiedzieć, że kiedy pani Joanna wychodziła za mąż, Krasiński miał dopiero wtedy lat trzynaście. W ośm lat potem, kiedy się poznał z panią Bobrową, był młodzieńcem, dopiero wychodzącym i to niezupełnie z pod ścisłej kurateli ojcowskiej, ona zaś była kobietą w całej pełni dojrzałą i w dodatku matką dwojga dzieci. Ciężar winy zatem, jeżeli się rozdzielał na dwoje, to bardzo nierówno, Krasiński jednak, choć ostygł później w miłości, czuł się skrępowanym wobec pani Bobrowej dawniejszym z nią stosunkiem i dopiero staraniom jego ojca w r. 1838 udało się wyzwolić go z tej zależności.

W r. 1840 pani Bobrowa, która wzorem wielu bogatych rodzin polskich, próżniacze wiodących życie, przebywała prawie ciągle za granicą, przyjechała na dłuższy pobyt do Paryża, a ponieważ trzymała dom otwarty, więc łatwo było Słowackiemu dostać się do jej salonów. Poznał on ją był kiedyś, jeszcze w r. 1831, w Dreźnie, ale ta przelotna znajomość nie wywarła była wtedy na nim jakiegokolwiek silniejszego wrażenia. Inaczej teraz było. Słowacki wprawdzie, jak się zdaje, nie wiedział z początku nic o tem, że to p. Bobrowa była tą Maryą, której poświęcone były trzy utwory Krasińskiego: *Agay-Chan, Nieboska komedya* i *Irydyon*, ale ten uroczysty smutek, ten posągowy spokój w postaci pani Bobrowej, który tak zachwycał Krasińskiego, nie omieszkał tym razem i na Słowackim wywrzeć głębokiego wrażenia. W jednym z późniejszych listów jego, z czasów kiedy fantazya poety błąkała się po ścieżkach mistycyzmu, znajduje się wspomnienie pierwszego, jak się zdaje, spotkania się Słowackiego z p. Bobrową i refleks wrażenia, jakie wtedy wywarła na poecie. „W tym ranku mroźnym nowembrowym

obaczyłem czarną postać Pani, niby większą, na horyzoncie pól czarnym wrzosem pokrytych, wobec tych firanek złotych i srebrnych, które aniołowie podnosili na niebie i niby na wałki zwijali... Widzę blask złoty strasznego słońca i twarz Pani oświeconą, i oczy i usta wpół otwarte, strój nawet Pani jakiś ciemny, obszerny, w złote łamiący się fałdy, i pytam się, jaki to żurnal poradził Pani krój i kolor tej sukni, w której mi się Pani pokazałaś w Paryżu? Tak ubierała się matka Grachów, ostatnia po prorokiniach dawnej Judei, a po matce Grachów już nikt przez dwadzieścia wieków płaszcza z błyskawicy wschodniej nie wdziewał, aby ukryć smutek i twarz zachmurzoną ozłocić....“ [1]).

Na Słowackiego zatem, jak można z przytoczonego ustępu wnioskować, p. Bobrowa wywarła silne wrażenie nie tylko swoją pięknością, nie tylko posągowym wyrazem smutku, ale i artystycznie dobraną do tego smutku dekoracyą, na co tak czułym był zawsze autor *Kordyana*. Były i inne powody, dla których coraz częściej i chętniej bywał w domu p. Bobrowej Słowacki. Naprzód znajdował tam komfort i elegancyą, a także może nieliczne, ale wykwintne towarzystwo nawpół polskie, nawpół francuskie, co wszystko pociągało go ku temu domowi; powtóre, jak się łatwo domyślić, pani domu ze szczególną uprzejmością go witała, ze szczególnem upodobaniem z nim rozmawiała, nie tyle jako z poetą, ile jako z przyjacielem innego poety, Krasińskiego. O tej zaś przyjaźni dowiedzieć się musiała wcześnie, jeżeli nie skądinąd, to w każdym razie z listów do Krasińskiego, stanowiących przedmowy do *Balladyny* i *Lilli Wenedy*.

Pani Bobrowa pielęgnowała ciągle w sercu miłość dla Krasińskiego, choć już dwa lata upłynęły od ostatecznego zerwania między nimi. Czy łudziła się nadzieją, że to zerwanie może nie jest ostatecznem, że sprowadziła je tylko wola ojcowska wbrew woli synowskiej? Jakkolwiekbądź, to pewna, że Słowacki był dla niej zwierciadłem, w którem mogła oglądać z daleka postać swego ukochanego i w którem sama mogła z daleka pokazywać się swemu ukochanemu, bo Słowacki korespondujący z Krasińskim mógł każdą z dwóch stron obdzielać wiadomościami o drugiej stronie. Tego się zapewne nasz poeta nie domyślał i skłonny do brania wszystkiego

---

[1]) Listy J. Słowackiego do p. Joanny Bobrowej jako dodatek do Małeckiego „Juliusz Słowacki“ wyd. 3. T. III, str. 304—305.

na swoją korzyść, ze szczególnej uprzejmości gospodyni dla siebie wnioskował o szczególnych jakichś uczuciach, które w niej obudził. Zdawało mu się, że pani Bobrowa zaczyna się w nim kochać, to naturalnie mocno mu schlebiało i pobudzało do ubiegania się o jej miłość. A gdy widział, że te zabiegi bynajmniej przewidywanych nie wywołują następstw, gdy nie widział postępu rzekomej miłości w pani Bobrowej dla siebie, był zbity z tropu.

Stosunek Słowackiego do p. Bobrowej, a także do dwu innych kobiet, o których miłość się ubiegał, to jest do Ludwiki Śniadeckiej i Anieli Moszczyńskiej, odzwierciedlił się w *Beniowskim*, to też ten poemat daje najlepszą sposobność do zbadania i ocenienia miłosnych uczuć poety i tej roli, jaką miłość odgrywała w jego życiu i poezyi.

W drugiej pieśni *Beniowskiego*, mówiąc o podolskim domu i Podolankach, Słowacki umieszcza następujące strofy:

Sam znałem jednę... lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej,
Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,
Niż gdybym w Boga patrzał się najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga,
Ona umarła już... jest częścią Boga,

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego... O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jej żałobę nosić,
Jej słońca drogi mlecznej nie omylą;
Zdziwiona blaskiem będzie się podnosić
Jako harmonii lekkiej głos, bez końca,
Od słońc na wielkie słońca i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże,
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał. Miałem ja troski i krzyże,
Więcej niż śniło się wam filozofom —
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom.

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu — ziemskim, tam — nadsłonecznym...

To wspomnienie. w tak eterycznych wyśpiewane strofach, nie może się do nikogo innego odnosić, jak do panny Anieli Moszczyńskiej. Z tej eterycznej poezyi jakiż się da wycisnąć wniosek o stosunku, który wiązał poetę z ową wspomnianą Podolanką? Wszystko tu niejasne, mgliste. ale czytelnik, któryby nie wiedział, jaki był naprawdę stosunek pomiędzy nimi, musi przypuścić, że była tam głęboka miłość, przynajmniej z jednej strony, ale jeszcze pewniej obustronna, że tę miłość, albo raczej szczęście, które ta miłość obiecywała, zerwała śmierć i strzaskała serce poety. Zresztą i innym domysłom stała tu brama otworem i można się było i tego domyślać, że owa „jedna“ umarła z miłości dla poety. Tymczasem istotny stosunek poety z Anielą Moszczyńską, jak to widzieliśmy w jednym z poprzednich rozdziałów, nie był ani trochę podobny do tego. jaki się z lekka zarysowuje w eterycznych strofach *Beniowskiego*. Wszak w rok potem pisał Słowacki do matki: „pewny jestem, że byłaby mnie odrzuciła; wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca“ [1]).

Ale nie dość tego, boleść zawodu matrymonialnych nadziei, jakiej doznał Słowacki przy rozstaniu się z domem Moszczyńskich, wyraziła się w dwóch współczesnych sonetach, wydanych dopiero w pośmiertnych pismach poety (T. I). Otóż jeżeli te dwa sonety zestawimy z trzema strofami *Beniowskiego*. tej samej poświęconemi osobie, tu dopiero pokaże się dyametralna różnica w przedstawieniu stosunku. który wiązał poetę z mniemaną jego kochanką. W pierwszym sonecie czytamy te słowa:

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby łzami je zaprószyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony...

Czego właściwie chce poeta w tych pięknych wierszach. tego dokładnie określić nie można, to tylko pewna, że gniewa się na tę.

---

[1]) Listy II, 124.

„która go chciała zdeptać“ i chełpić się wbrew wprawdzie, że była kochaną. W drugim sonecie ton oburzenia jest równie silny, może nawet silniejszy, ale pretensye poety do Anieli M. są zrozumialsze.

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak shańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem!
A ty myślałaś, że ja z tem ognistem
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! pierwej piekło, niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne

I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaka ty jesteś, zimna, — lepiej w trumnę!

Cóż można wyrozumieć z tego wspaniałego oburzenia? Oto że poeta kochał gorąco ową Anielę, nie wiedząc kogo kocha; ale przekonawszy się, że ona jest zimną, jak bryła lodu, odwraca się od niej ze wstrętem i poczytuje to nawet za hańbę własnemu sercu, że ją kiedyś kochało.

Zdaje się, że nie można piękniej i z większą siłą wyrazić oburzenia, wywołanego takim zawodem. Ale jeżeli to oburzenie i zarzuty ciskane na kochankę zestawimy z pewnymi ustępami listów poety do matki, to dziwnie przykra spotka nas niespodzianka, pociski rzucone przez poetę obrócą się przeciw niemu, a oba sonety wydadzą się nam prześlicznem opracowaniem wymarzonego tematu lirycznego bez związku z rzeczywistością, podobnie jak wiersz *Przekleństwo*, pochodzący z czasów szwajcarskich, gdzie biednej i dobrej Eglantynie Pattey dostała się najniezasłużeniej rola „gadziny“, która swojem żądłem wygnała poetę na samotność.

Oto, co pisał Słowacki do matki z Florencyi w czasach, kiedy go żywo łudziła nadzieja poślubienia bogatej panny. Pani Moszczyńska wybierała się wtedy sama z Florencyi na Ukrainę i spodziewała się, że przejeżdżając przez Krzemieniec, zobaczy się z matką poety. „Jeżeli więc będziesz widzieć panią M., bądź, moja droga, dla niej uprzejmą i o mnie źle nie gadaj, bo mnie mają za bardzo dobre stworzenie, a nawet panna M., dla

wszystkich dosyć zimna, ze mną jest dobrze i nawet z szacunkiem...“ Był że to język ognistej miłości, a nie zimnego wyrachowania i ostrożnego zapobiegania, aby matka nieostrożnem słówkiem nie popsuła mu u rodziców panny opinii „dobrego stworzenia?“ I czy znając charakter Słowackiego nie mamy prawa przypuszczać, że w stosunku jego z panną Anielą stało się coś wręcz przeciwnego temu, co wyrażają sonety, to jest, że panna nie znalazła w Słowackim tego, czego się spodziewała, to jest szczerego uczucia i potraktowała go w końcu z pewną dumą, która rozbiła jego nadzieje i zraniła dotkliwie — i oto prawdziwe a nie wymarzone przez poetę źródło oburzenia, ktorem dyszą jego sonety.

Ale przejdźmy do zestawienia sonetów z trzema strofami *Beniowskiego*, poświęconemi pannie Anieli. Ta, która miała zimne serce i była marmurową skałą, zamienia się w siostrę róż najbielszych, źródło woni i blasków, w istotę, której pamięć rozsłonecznia duszę poety, w głos harmonii, przenikający światy. Cóż się stało pomiędzy napisaniem sonetów, a chwilą pisania owych strof Beniowskiego? Czy poeta znowu się z nią spotkał i przekonał się, że ją fałszywie osądził i pojednał się z nią i pokochał? Bynajmniej; dowiedział się tylko, że umarła. I oto otwarte było pole dla przypuszczeń i rojeń, które i miłości własnej poety i jego marzycielskiej naturze dogadzały. „Choroby, z której umarła, pisał do matki[1]) nie zrozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozumiały, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał. Może być jednak, że ta, która tylu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą przez to, żem się nie oświadczył...“ Było to więc delikatne przypuszczenie, że umarła z miłości dla niego. „A jednak, dodawał zaraz, pewny jestem, że byłaby mnie odrzuciła; wreszcie ona miała miliony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca. Przyznam ci się jednak, droga moja, iż kiedym się o jej śmierci dowiedział, cierpiałem... Bo choćby to było w niej chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać litośnego anioła, a śmierć jej dopełniła obrazu... Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i spuszczając oczy przedemną, pyta się, dla czegoś mnie nie kochał? Śmierć ją upiękniła w oczach moich“...

---

[1]) Listy II, 123—124.

Owoż tak źródłem oburzenia w sonetach, jak źródłem zachwytów w *Beniowskim* była gra wyobraźni, przystrajająca podrażnioną miłość własną poety — i nic więcej.

Czy stawiąc strofy, poświęcone Anieli Moszczyńskiej, poeta znał już p. Bobrową i liczył na to, że ona je będzie czytała? nie wiemy. Ale to pewna, że pisząc pieśń trzecią, Słowacki nietylko znał już p. Bobrową, ale i łudził się nadzieją jej miłości. W ustępach widocznie do niej zwróconych jest mgliste oświadczenie własnych uczuć i lekkie próbowanie jej serca.

Krwią do was piłem, moim duchem, zdrowiem;
A teraz ciskam serce, puhar lśniący...
Słyszycie? Pękło. Teraz mi wezgłowiem
Jedno kobiece serce — jestem śpiący;
Omdlały jestem, ogniem owionięty...

A o parę strof niżej:

Ona jak złoty mój duch dobrej rady
Odgoni czarne cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.
Ale to wszystko sen — i może smutny!

W tych wierszach jest mowa tylko o litości siostrzanej, ale ta litość ma moc wskrzeszenia serca i zbawienia poety, więc łatwo się domyślamy, że poecie chodziło o coś więcej, jak o litość; a ostatni wiersz był jakby nieśmiałem zapytaniem jego, czy może mieć jakąkolwiek nadzieję.

Za komentarz do tych ustępów może służyć współczesna korespondencya Krasińskiego ze Słowackim z początku roku 1841. Przeniknąwszy wskutek rozmów z p. Bobrową stosunek, jaki wiązał ją z Krasińskim, Słowacki w jednym z listów swoich do przyjaciela dotknął tej struny, aby i z drugiej strony coś się o tym stosunku dowiedzieć, ale zarazem, może mimowolnie, odkrył coś i z własnych uczuć dla pani Bobrowej. Nie znamy tego listu Słowackiego, ale znamy odpowiedź Krasińskiego na ten list. Krasiński nie zapierał się, nazywał panią B. „najsłodszą, najlepszą, najszla-

chetniejszą z dusz, którym ten planeta już czyśćcem i męką ciągłą", sądził, że jej „nadewszystko teraz, przyjaznej, męskiej, a jednak, że tak powiem, siostrzanej ręki potrzeba", ale jednocześnie ostrzegał Słowackiego, że się znajduje na zdradzieckej pochyłości. „Nam, powiadasz, zostawisz koniec zagmatwanej naszej tragedyi, a sam odejdziesz! O nie, ty się mylisz, ty zostaniesz i sam się zagmatwasz, sam, jeśli czasu ci stanie" [1]). A w następnym liście jakby przeczuwając, jaki charakter przybierze uczucie Słowackiego dla p. Bobrowej, pisał mu: „Pytasz się, czego żądam od ciebie? Oto tego, byś się nie bawił, oto jedno cię proszę, a jeśli masz kochać, kochaj, ale pamiętaj, że kto kocha, ten szanuje" [2]).

Jak w pieśni drugiej Anielą Moszczyńska, a w trzeciej p. Bobrowa, tak w czwartej króluje Ludwika Śniadecka; jej poświęca Słowacki całych dziewięć strof. Ten zwrot do „kochanki pierwszych dni" (Kochanko pierwszych dni! znów jestem twoim) po strofach poświęconych p. Bobrowej zdaje się wskazywać, że nadzieje Słowackiego pozyskania serca tej ostatniej, w czasie pisania czwartej pieśni, musiały zblednąć i nasuwa się nawet przypuszczenie, że cały ten długi hymn na cześć pierwszej kochanki napisany był przedewszystkiem *ad usum* p. Bobrowej, trochę aby ją podrażnić, trochę, aby się popisać stałością uczuć, któraby jej stałości dorównać mogła.

I powiedz, czy ja duszę mam powszedną?
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. O! ileż razy
Na skałach i nad morzami, bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,
A miłość twoją miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła;
Twa dusza znała to — i przychodziła.

Czy poeta czuł na prawdę to, co tu pisał? Czuł tak, jak czuje dobry aktor, głęboko przejęty swoją rolą i nie pamiętający ani trochę, że poprzedniego wieczora w odmiennej występował roli. I Słowacki stawiąc w *Beniowskim* entuzyastyczne strofy dla „ko-

---

[1]) Listy Zygm. Kras. III, 18.
[2]) Tamże III, 27.

chanki pierwszych dni“ nie pamiętał zapewne tego, co pisał o niej przed czterema laty. Niewątpliwie postać Ludki otoczoną była w jego pamięci poetycznym urokiem niezatartych wrażeń dzieciństwa i pierwszej młodości, ale były chwile, kiedy podrażniona ambicya dyktowała mu najzłośliwsze sarkazmy na tę, której „anioł“ jakoby „bez skazy spał“ na piersiach poety. Co myśleć o prawdzie tych poetycznych zapewnień, poucza nas kilka strof z *Podróży na Wschód*, która już od czterech lat spoczywała była w jego tece

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę bardzo podobną do greckiej.
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu,
A Moskal zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskiem polu
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

I przyszła sama, smutna jak Armida,
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!“
— „Jakie?“ rzekł gruby emir Bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*...

Wiadomo, że strofy te odnoszą się do Ludwiki Śniadeckiej, że ona kochała się w synu generał-gubernatora wileńskiego Korsakowa, który zginął pod Warną w wojnie tureckiej 1828 roku. Otóż analiza wszystkich ustępów *Beniowskiego*, poświęconych różnym kochankom Słowackiego pozwoliła nam stwierdzić prawdę określenia, podanego na początku tej pracy, a mianowicie, że miłość kobiety była dla Słowackiego raczej potrzebą ambicyi, niż serca, miała służyć przedewszystkiem za aureolę dla jego geniuszu.

A jeżeli nie było szczerości w jego wynurzeniach miłosnych, za to miał najdoskonalsze poczucie artystyczne tego wszystkiego, co stanowi wdzięk kobiecy i umiał tym wdziękiem tak przyozdobić stworzone przez się postaci kobiece (a szereg ich długi), że pod tym względem nikt z poetów polskich dorównać mu nie może·

Możnaby powiedzieć, że dla niego kobieta stanowiła część przyrody, że nie budziła w nim takich uczuć, jakie budziła i budzi w innych, kochliwych zazwyczaj poetach, tylko takie, jakie budził w nim widok pięknej przyrody. Nie ma w tych postaciach głębi psychicznej, nie ma czasem konsekwencyi, ale jest nadzwyczajny wdzięk linii, kolorów i tonów.

Zobaczmy teraz, jaki był stosunek Słowackiego do Mickiewicza w czasie pisania *Beniowskiego*. Jak ciężkiem było położenie Mickiewicza w tym czasie, kiedy Słowacki przybywał powtórnie do Paryża dla zdobycia sławy, o tem już wyżej była mowa. Położenie to w ciągu dwu lat następnych (1839 i 1840) o tyle się polepszyło, że nie brakło już autorowi *Pana Tadeusza* środków utrzymania rodziny, która z każdym niemal rokiem zwiększała się, ale profesorska praca, która mu tych środków dostarczała, była ciężkiem jarzmem na szyi poety. „Ja wczora zwaliłem z karku trzeci tydzień lekcyi, pisał do Bohdana Zaleskiego (z Lozanny 2go listopada 1839) i dzisiaj, jak katorżnik wypuszczony na światło, dyszę. Pracę mam wielką. Dni całe nie wstaję od stołu, a często do pierwszej w nocy rozbieram jaki trudny metr łaciński. O siódmej muszę być na nogach we dni lekcyjne. Żrę tedy łacinę i pluję francuszczyzną. Nie prędko będę mógł spotkać się z tobą na lutnię. Śpiewaj tymczasem za nas, mój słowiku“[1]). To też czasy lozańskie nic nie przyniosły do wieńca poezyi mickiewiczowskiej, prócz kilku drobnych urywków, z których jeden „Gdy tu mój trup itd.“ jest właśnie wyrazem owej niezgody, owego rozdwojenia w życiu poety pomiędzy usposobieniem jego poetyckiem a wymaganiami pracy profesorskiej, tem cięższej, że uczył wśród obcych i w obcym języku.

Słowacki musiał z zadowoleniem porównywać swoje położenie z położeniem ówczesnem Mickiewicza, bo nie potrzebował na chleb pracować, miał dzięki troskliwości matki środki na skromne, ale wygodne życie, i mógł się całkowicie oddawać poezyi. To też oddawał się jej z większem niż kiedykolwiek natężeniem sił twórczych, jakby chcąc korzystać z czasu, póki jego wielki współzawodnik milczał, przyciśnięty jarzmem profesorskiem. Przyjemnie mu też brzmiały słowa Krasińskiego o Mickiewiczu, że „przeszedł, minął“, jak i ten dość niefortunny, chyba tylko dla rozweselenia

---

[1]) Korr. Ad. Mick. 1880 I, 209.

przyjaciela napisany koncept Krasińskiego, że ten, co postawił obelisk granitowy „uczy Szwajcarów, jak nie mają umieć po łacinie.“ Zresztą Mickiewicz był w Szwajcaryi, zdaleka od dziennikarstwa emigracyjnego w Paryżu, nie można go było posądzać o udział w krytykach, które godziły w Słowackiego, więc już i dla tego słabnął w Słowackim antagonizm względem Mickiewicza.

Ale pod koniec 1840 r. sytuacya się zmieniła. Mickiewicz mianowany został profesorem literatur słowiańskich w Collège de France i zjechał na stały pobyt do Paryża. Wprawdzie i przy tem nowem zadaniu, jakie miał przed sobą, trudno mu było oddawać się poezyi, ale stanowisko jego profesorskie było nierównie ważniejsze i świetniejsze teraz, kiedy miał przemawiać nie w jakimś zakątku szwajcarskim, ale w stolicy świata, i nie *de re metrica* lub *de asse romano* [1]), ale o dziejach i twórczości umysłowej Słowian, i śledzić bieg myśli polskiej na tle słowiańskiem. Więc uwaga całej emigracyi zwróciła się na niego, a jego wielka sława poetycka, od kilku lat niczem nie odświeżana, na nowo w pamięci wszystkich zabłysła. Nie brakło wprawdzie i głosów niechętnych, ale tonęły one w ogólnym chórze uwielbienia i radości.

Początek kursów (22 grudnia 1840 r.) zbiegł się z podwójną uroczystością: Bożego Narodzenia i imienin poety-profesora. Już wspólna wigilia w klubie polskim, która zgromadziła przeszło sześćdziesiąt osób, a której przewodniczył osiemdziesięcioletni Niemcewicz, przedstawiciel dwóch zamkniętych okresów literatury polskiej i trzech powstań polskich, była owacyą dla Mickiewicza. Nazajutrz drugą owacyę dla poety przygotował jeden z jego najgorętszych wielbicieli, księgarz-emigrant, wydawca *Młodej Polski*, Eustachy Januszkiewicz; mianowicie wydał na cześć poety sutą ucztę, na którą sprosił do czterdziestu znajomych, przeważnie ze świata literackiego i artystycznego. Między zaproszonymi był także i Słowacki i stawił się na ucztę, pomimo, iż mógł się spodziewać, że spotka się tam nietylko z Mickiewiczem, ale i z autorem recenzyi o *Balladynie*, Ropelewskim.

Żeby zrozumieć, dla czego obraza, jakiej doznał Słowacki ze strony *Młodej Polski*, nie przeszkodziła mu wziąć udziału w uczcie wydanej przez Januszkiewicza, trzeba wiedzieć, że na pół roku przed tą ucztą, *Młoda Polska* w Nr. 17 pod datą 20 czerwca 1840

[1]) Porówn. Korespondencyą Mickiewicza T. I, str. 206.

dała mu jakby lekkie zadośćuczynienie za dawniejszą obrazę, a to mianowicie w ten sposób, że umieściła wiersz jego „*Na sprowadzenie prochów Napoleona*“ z bardzo pochlebnym dla autora przypiskiem: „Szczęśliwem dla nas zdarzeniem, doszedł rąk naszych niniejszy wiersz pana Słowackiego. Pozwolił nam, abyśmy przypuścili naszą publiczność do rozkoszy, jakiej doznaliśmy sami, czytając te piękne strofy.“ Słowacki nie był zapewne zupełnie rozbrojony tym dopiskiem, ale sądził, że może teraz bez ujmy dla siebie zająć miejsce przy uczcie u wydawcy *Młodej Polski*.

Uczta była wydawaną na cześć Mickiewicza; na tej uczcie miał spotkać się z tym, za którym przez wiele lat daremnie podążał, aby go prześcignąć na drodze do sławy, któremu przez tyle lat zazdrościł pierwszeństwa, z którym oprócz tego miał różne rachunki nie załatwione, jak wprowadzenie doktora w *Dziadach*, jak nazwanie jego, Słowackiego, poezyi kościołem bez Boga. Ale ten wielki współzawodnik, którego sława „lekko“, jak się wyraził, zarobiona, tak go trapiła, od kilku lat przestał tworzyć, i nie było to już tajemnicą, i już inni twierdzili o nim, że „przeszedł i minął“. Słowacki, który sypał ciągle nowe utwory, jak z rękawa, którego styl poetycki dosięgał w tym czasie najwyższej doskonałości, którego wyobraźnia kotłowała mnóstwem obrazów, postanowił skorzystać ze sposobności, jaką mu dawała uczta, aby okazać wyższość swoją teraźniejszą nad tym wielkim przeciwnikiem, którego opuściło natchnienie. Znając charakter Słowackiego, mam przekonanie, że z tą myślą szedł na ucztę i że z tej to myśli wypłynęły dwie tak zwane improwizacye jego na tej uczcie, które były jakby wyzwaniem Mickiewicza do zmierzenia się z nim na poezyą.

Słowacki, przyjmując zaproszenie na ucztę, mógł być pewnym, że będzie wezwany do przemówienia, czy to wierszem, czy prozą na cześć Mickiewicza, dla tego to improwizacye jego były zapewne z góry obmyślane, nie były we właściwem tego słowa znaczeniu improwizacyami. Tak przypuszczać każe przedewszystkiem okoliczność, że Słowacki nigdy, ani przedtem, ani potem nie występował jako improwizator, nie miał tego zadziwiającego daru, którym jaśniał i tak podbijał serca słuchaczy i widzów w pewnym okresie swego życia Mickiewicz. Trudno więc przypuścić, aby on, tak trwożnie dbający o swoją sławę poetycką, chciał ją, nawet przy szczególnem podnieceniu fantazyi, stawiać na kartę przypadku i puszczać się w takiej właśnie chwili na drogę, nigdy przez siebie

nie wypróbowaną. A że wystąpił aż z dwiema improwizacyami bezpośrednio jedna po drugiej i to bez żadnego już wezwania do drugiej, więc możnaby myśleć, że obie te improwizacye. jednę poważną, górną, wojowniczą, drugą łagodną i zabarwioną humorem, miał na wszelki wypadek obmyślane i opracowane w głowie, gdy zasiadał do uczty.

Potrącając te przypuszczenia, nie chcę bynajmniej obniżać poetyckiej wartości owych dwu improwizacyi Słowackiego, ale chcę tylko uwydatnić, że w tym pojedynku na improwizacye, który na owej uczcie stoczyli z sobą dwaj najwięksi poeci polscy, Słowacki o tyle wygodniejsze miał stanowisko, że zaczynał, że obierał broń, że miał daleko więcej czasu i swobody do przygotowania natarcia na przeciwnika, niż ten przeciwnik do przygotowania odparcia.

Cóż było treścią owych dwu improwizacyi Słowackiego? Wiemy o tem tylko tyle, ile zostało w pamięci niektórych słuchaczy i przelało się następnie w opowiadania listowne. Jest też o tem wzmianka w jednej z ostatnich strof *Beniowskiego*, ale poetycznie mętna i urwana, widocznie poeta przykrawywał ową treść do tego usposobienia, w jakiem kończył piątą pieśń *Beniowskiego*. Posłuchajmy naprzód opowiadania gospodarza uczty, Januszkiewicza, które w trzy dni po uczcie przesyłał swojej narzeczonej a późniejszej żonie:

„Przy wieczerzy, której prezydował kochany od nas kasztelan Ludwik Plater, wznoszono rozmaite toasta. Ottavi, Korsykanin, w imieniu Włoch witał Adama, jako wieszcza katolika, tem Adama przeniósł w czasy pobytu w Rzymie. Wezwany Słowacki improwizować zaczął, a w swojej improwizacyi wystąpił z całą swoją dumą, którą jednak u końca składa w ofierze przed potęgą geniuszu Adama. Mówił długo o sobie, o wyjściu w świat poezyi, o przyjęciu, jakiego doznał i było wiele ładnych rzeczy, ale to wszystko miało cechę zarozumiałej dumy i zmęczony umilkł, a kiedy wśród oklasków szemrał każdy choć pokryjomu przeciw niemu, on znowu powstał i tłumacząc się z tego, co powiedział, trzema czy czterema strofami oddał hołd Mickiewiczowi i uznał słabość swoją. Kończył prawie temi słowy: „O ty coś w *Tadeuszu* tak pięknie opisał grzybobranie, naśladuj twego Wojskiego ze mną: on przez fantazyą czy kaprys kładł do worka różne grzyby i nieraz omijał rydze, a brał muchomory“. Podobało się to wszystkim, dawano brawo“ [1]).

[1]) Ten list Eustach. Januszkiewicza wydrukowany jest u Wład. Mickiewicza, „Żywot Adama Mickiewicza“ Poznań 1894 T. III, str. 30—34.

Drugi uczestnik uczty, Jan Koźmian, nazajutrz po uczcie tak pisał o niej do swoich rzymskich „braci w Chrystusie“. Kajsiewicza i Semenenki. „Był wieczór u Januszkiewicza, ja się przez jakieś przeczucie nań zawlokłem. Improwizował Słowacki i ślicznie. ale wielka duma w wierszach jego przebijała. Rzucił się pod stopy Mickiewiczowi, ale nie z czci, tylko zabity. Drugi raz jeszcze mówił, ale już z uczuciem lepszem“[1]). Ten sam świadek w pół roku potem podobnie, ale nieco szczegółowiej przedstawiał wystąpienie Słowackiego (w Dzienniku Narodowym Nr. 16): „W wierszu pełnym giętkich zwrotów, światłych porównań i życia, zwycięzcą swoim wieszcza *Dziadów* ogłosił; przebijała czasem gorycz i ironia w jego strofach, ale piękność ich artystyczna uderzyła słuchaczy i kiedy siadł, wielkie się dały słyszeć oklaski. Wszakże w zadowoleniu otaczającego koła zrozumiał improwizator więcej admiracyi jak współczucia; za szczęśliwem idąc natchnieniem, jeszcze raz do stołu wrócił: „Na łodydze mego życia, mówił do wieszcza Dziadów, dwa błyszczą kwiaty; jeden niechęci ku tobie, ten więdnie i opada; drugi przyjaźni, ten rozwija się z pączka. Jakkolwiek nizko zakwita, schyl się, aby go zerwać!“

Co się tyczy strofy *Beniowskiego*, streszczającej owo przemówienie Słowackiego, to jakkolwiek mętna, jakkolwiek odwołująca wypowiedziane wówczas słowa hołdu, jest przecież potwierdzeniem dwu przytoczonych wyżej świadectw.

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska,
Tak mówiąc... ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem. — A tyś już następował zbliska!
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem... jam tylko strach i śmierć udawał!

Z zestawienia tych świadectw intencye poety występują bardzo wyraźnie. Chciał on naprzód w olśniewających strofach wyrazić skargę na brak uznania, przeciwstawić ten los swój tryumfującemu pochodowi poezyi Mickiewicza i uznać się zwyciężonym przez niego. ale zwyciężonym niejako zewnętrznie („rzucił się pod stopy Mickiewiczowi, ale nie z czci, tylko zabity“) jakby gromem jego po-

[1]) X. Smolikowski op. c. II. 309—310.

czyi („A w ustach słowo, co jak piorun błyska“). Była w tem może daleka alluzya do ciosu, który ugodził Słowackiego w III-ej części *Dziadów*, alluzya podobna do tej, którą wprowadził do epilogu *Balladyny*, może alluzya do krytyki, która padła z ust Mickiewicza na pierwsze tomy poezyi Słowackiego. Po wypowiedzeniu tej swojej krzywdy, w dwuznaczną szatę hołdu przybranej, a dla niewielu może zrozumiałej, chciał przeciągnąć rękę do zgody, pod warunkiem naturalnie, że przeciwnik uzna w nim równorzędnego sobie przedstawiciela poezyi polskiej, a ponieważ ten przeciwnik przestał tworzyć, więc musi w nim uznać i następcę swojego. Dawał więc Słowacki jakoby do wyboru wojnę lub pokój swemu przeciwnikowi, a przedewszystkiem chciał olśnić zgromadzonych wielbicieli Mickiewicza potęgą swojego stylu, rozsypać przed nimi gwiaździste skarby swojej fantazyi, i w ten sposób okazać wyższość swoją nad przeciwnikiem, który zdawał się już być tylko wygasłym wulkanem poezyi.

Że pod formą hołdu było wyzwanie ze strony Słowackiego, tak to zrozumiał i Mickiewicz. Żeby dokładnie przedstawić sobie znaczenie tej sceny i to wrażenie, jakie dalszy jej przebieg wywarł na obecnych, trzeba pamiętać, że zgromadzeni na tej uczcie byli to ludzie z nielicznym wyjątkiem skazani na niedolę tułactwa, ludzie, którzy wielbili i czcili poezyę Mickiewicza, nietylko dla jej piękności artystycznej, ale jeszcze więcej dla tego, że streszczała wszystkie ich bole i tęsknoty patryotyczne i dawała im, szczególnie w *Panu Tadeuszu,* idealny obraz tego, co utracili, a do czego nie przestawali tęsknić, ludzie, którzy od wielu lat przywykli byli widzieć w Mickiewiczu, jako poecie, duchowego wodza narodu. Trzeba pamiętać, że umysły były podniecone i ucztą i różnemi produkcyami muzycznemi, które ją poprzedziły, i rozmową towarzyską i późną porą nocną, i że po improwizacyach Słowackiego, zwróconych do Mickiewicza, cała uwaga obecnych musiała się skupić na tych dwóch poetach. Jeden z nich był dla wielu obojętny, może nawet z powodu swej pychy niemiły, ale podziwiać musieli świetność jego improwizacyi. Drugi był im nierównie droższy, ale o drugim dobrze wiedzieli, że od sześciu lat, od napisania *Pana Tadeusza,* przestał tworzyć. Nie wniknęli może we wszystkie zwroty myśli Słowackiego, ale i dla nich nie mogło się zupełnie utaić wyzwanie, zawarte w strofach jego. Otóż łatwo sobie wyobrazić, jaki niepokój wewnętrzny trapił niejednego z nich, jak oczekiwano tego, co ma

nastąpić: czy Mickiewicz przyjmie wyzwanie, czy odpowie Słowackiemu i jak odpowie? Czy odnajdzie w sobie dar improwizatorski, którym słynął niegdyś przed wielu laty, który uwiecznił nawet w III części *Dziadów?* Czy znajdzie tyle natchnienia, aby odpowiedź jego mogła dorównać świetnym strofom Słowackiego?

Ze wszystkich opisów tej sceny najlepiej i najwierniej mojem zdaniem, maluje ją cytowany już opis Jana Koźmiana: „Wieszcz *Dziadów*, pisze on, milczał, pasował się z natchnieniem; powstał w końcu i w poważnej, dziwnie prostej osnowie wzniósł pieśń miłości przeciw pieśni współzawodnictwa, przypomniał młodemu przeciwnikowi lata dziecinne, mówił mu, dla czego ludzie za nim nie poszli, mówił i o sobie, jak nieraz jeszcze niewiary doznaje. Skończył, jak zaczął: spokojnie i wzniośle. „Dla poety jedna tylko droga... ztąd (z serca) — przez miłość tam — do Boga". Kto był obecny tej wspaniałej improwizacyi, nie zapomni nigdy natchnionego oblicza drugiego poety (Mickiewicza), poważnej harmonii jego twarzy. Nie było tam popisu, nie było walki. Przy końcu uściskali się improwizatorowie: żaden nie zwyciężył, żaden nie był zwyciężony. Jeżeli który z dwóch zwyciężył, to ten, co czuł więcej, co szczerzej dłoń drugiego chwytał. Tak to zrozumieli obecni"[1]).

Wierność tego opisu najlepiej stwierdzają świadectwa listowne samychże poetów. „Wczoraj — pisał Mickiewicz nazajutrz po uczcie do Bohdana Zaleskiego — byliśmy na sutej uczcie u Eustachego Januszkiewicza. Wyzwany przez Słowackiego improwizacyą, odpowiedziałem z natchnieniem, jakiego od czasu pisania *Dziadów* nigdym nie czuł. Było to dobrze, bo wszyscy ludzie różnych partyi rozpłakali się i bardzo nas pokochali i na chwilę wszyscy napełnili się miłością. W tę chwilę duch poezyi był ze mną"[2]). A Słowacki w kilka miesięcy potem w jednym z listów do matki pisał o Mickiewiczu: „w improwizacyi nie tylko mi przyznał to, co mi należy, ale jeszcze chwalił się w niej, mówiąc, że Ty mu sama moje małe próbki dawno, dawno pokazywałaś, a on Tobie już wtenczas przepowiedział, że mnie wielka i świetna czeka przyszłość... Tem wziął mię za serce i tego wieczora byliśmy z nim jak dwaj bracia, ściskaliśmy się, chodzili, opowiadając sobie nasze przeszłe za-

---

[1]) Dziennik Narod. Nr. 15 z d. 10 lipca 1841 str. 60.
[2]) Koresp. Ad. Mick. T. I, str. 230.

targi... I gdyby nie ludzie, którzy to wszystko popsuli, byłoby dotychczas zupełnie dobrze“ [1]).

Z tych i innych świadectw można dość dobrze wyrozumieć tok i nastrój odpowiedzi Mickiewicza. Koźmian trafnie ją nazwał: „pieśnią miłości“ w przeciwstawieniu do „pieśni współzawodnictwa“. Mickiewicz, poruszony wyzwaniem ze strony Słowackiego, w tem skupieniu ducha, które to wyzwanie wywołało, a wśród którego zstąpił nań dawno niewidziany gość, duch poezyi, — w tem skupieniu oczyścił duszę swoją z wszelkiej niechęci, jaką mógł mieć ku Słowackiemu i chciał tylko pokazać jemu, a zarazem innym słuchaczom, tę różnicę, jaka ich dzieliła, różnicę stanowisk, jako poetów, i wypływającą stąd różnicę ich stosunku do społeczeństwa. W pokazaniu tej różnicy była nauka dla Słowackiego, nauka ostatecznie dająca się sprowadzić do owego porównania jego poezyi z pięknym kościołem bez Boga, które tak jątrzyło Słowackiego, ale nauka podana ręką starszego brata, bez cienia zawiści, z gorącem współczuciem i szczerem uznaniem dla jego genialnych zdolności. Więc jeżeli poezya Słowackiego nie zyskała uznania, nie przemówiła do serc narodu, to dlatego, że płynęła jedynie z głowy, ze świetnej fantazyi, bez udziału serca i nie niosła z sobą tego, co tylko serce dać może i czego naród przedewszystkiem łaknie — wiary i miłości. Na tej drodze on, Mickiewicz zdobył laury; droga ta stoi otworem i dla Słowackiego.

Wrażenie, wywołane improwizacyą Mickiewicza, było ogromne, nietylko dla jej treści i tonu, nietylko z powodu nastroju obecnych i ich wytężonego oczekiwania, czy odezwie się wielki poeta, którego głosu poetyckiego oddawna nie słyszano, ale także i z powodu owego dziwnego przeobrażenia, jakie się zwykle objawiało w twarzy poety, gdy schodziło nań natchnienie, gdy poczuwał w sobie siłę improwizatorską. Wiemy od Odyńca, że w czasach wileńskich przemiana w twarzy i w głosie Mickiewicza podczas improwizacyi działała na słuchaczów silniej, niż same słowa [2]). Z uczestników obecnej uczty mało kto słyszał i widział Mickiewicza improwizującego, mało kto był dawniej świadkiem owego cudownego zjawiska, owego wcielonego natchnienia, to też im bardziej było nie-

---

[1]) Listy Jul. Słow. T. II, str. 148.

[2]) O wrażeniu, jakie wywoływały wileńskie improwizacye Mickiewicza, szczegółowo mówiłem w książce „Młodość Mickiewicza“ T. II, str. 290—297.

spodziane, tem silniej działało na obecnych. „Cała twarz jego przybrała jakąś anielską postać; dziwna, niepojęta światłość otoczyła jego skronie. Powstali wszyscy jakby na zjawienie się bóstwa, przychodzącego odwiedzić śmiertelnych", z takim zachwytem pisał gospodarz uczty do swojej narzeczonej w cytowanym już liście, a Stefan Witwicki, który nie był na tej uczcie, ale wiele słyszał o niej, donosił Bohdanowi Zaleskiemu w kilka dni potem, że „ta uczta było to coś bardzo wielkiego, dziwnego, nadprzyrodzonego. Wszyscy są tem jak pijani. Widziałem już kilkanaście osób z tych, co były obecne i nie sposób sobie wystawić, z jakiem wzruszeniem o tem mówią. Twarz Adama miała być w ten moment jak anielska, spokojna, piękna, jasna. Dość ci powiedzieć, że Kaszyc płakał całą noc, a Szadurski, który także nie jest entuzyastą, wczoraj mi jeszcze przysięgał, że gdyby mu Adam kazał skoczyć z najwyższej wieży, skoczyłby natychmiast" [1]).

I na Słowackiego nietylko to, co znalazł on pochlebnego dla siebie w odpowiedzi Mickiewicza, ale sam ów czar promieniejący z natchnionej postaci poety musiał działać, skoro i on według własnego świadectwa obejmował braterskim uściskiem Mickiewicza, a nawet, jak niektórzy twierdzili, płakał. Koźmian w cytowanym już opisie powiedział, że nie było tam zwycięzcy ani zwyciężonego, i było to słuszne o tyle, o ile tryumf jest równoznaczny z poniżeniem przeciwnika. Tu takiego zewnętrznego tryumfu nie było, skoro przeciwnicy rzucili się sobie w objęcia ze szczerem uczuciem braterstwa, ale był przecież po stronie Mickiewicza wysoki tryumf moralny, skoro jego przemówienie taki wywołało skutek, że przeciwnika zamieniło w brata: Słowacki był tu zwyciężony wewnętrznie, w sercu swojem, tak samo jak wtedy, gdy po przeczytaniu *Pana Tadeusza*, pomimo głębokiej nienawiści dla autora *Dziadów*, pochylił głowę przed jego nowem arcydziełem.

Ale ten błogi nastrój w Słowackim, wywołany ucztą, nie trwał długo; podrażniona różnymi okolicznościami ambicya poety prędko wzięła górę nad tem uczuciem, z jakiem obejmował swego przeciwnika na uczcie i to, co mogło się stać początkiem przyjacielskiego stosunku z Mickiewiczem, stało się powodem namiętnej walki, którą mu wytoczył w *Beniowskim*.

---

[1]) Kronika Rodzinna 1883 Nr. 1 str. 14.

Januszkiewicz zachwycony przebiegiem uczty i dumny z tego, że był jej gospodarzem, że to jego Bóg „wziął za narzędzie pokazania tym, co wierzyć przestali w ducha Adama, że to jest lew na spoczynku“ [1]), podał pomysł uczczenia tej chwili wspaniałym puharem, który wraz z odpowiednim adresem, przez uczestników uczty podpisanym, miał być ofiarowany Mickiewiczowi. Dawało mu to sposobność wyprawienia drugiej uczty, i czynił on wszelkie starania, aby ta nowa uczta była powtórzeniem „górnie przeżytej“ chwili, a nawet większe niż tamta przyniosła rozkosze. Zdawało mu się zapewne, że w ten sposób rozbudzi drzemiący geniusz Mickiewicza, a nie wiedział, czy nie pamiętał o tem, że takie „górne“ chwile przychodzą same przez się, a nigdy się nie zjawiają na zamówienie.

Pomysł, podany przez niego, przyjęty był z zapałem przez uczęstników uczty, którzy i na drugą stawić się mieli, pieniądze na zakupienie puharu prędko się znalazły, chodziło o sposób wręczenia. Układającym plan nowej uczty zdawało się, że najstosowniej będzie poruczyć tę zaszczytną rolę temu, który swoją poezyą wywołał improwizacyę Mickiewicza, a w hierarchii poetyckiej zajmował jedno z najwyższych miejsc po nim — Słowackiemu [2]). Ale znaleźli się oni w położeniu Podkomorzego z *Pana Tadeusza*, który przysądzając skórę z zabitego niedźwiedzia Hrabiemu, „myślał, że Hrabiego ucieszył — nie wiedział, jak boleśnie serce jego przeszył.“ „Czar braterskiej miłości, który ogarnął duszę Słowackiego przy końcu uczty, pierzchnął bardzo prędko: drażliwa ambicya wzięła górę na pierwszą myśl, że to on jest teraz panującym królem poezyi polskiej, bo dawniejszy już „przeszedł i minął“, że zatem

---

[1]) Słowa z listu do narzeczonej.

[2]) P. Hoesick (l. c. III 88—91) na podstawie listu, który otrzymał od Leonarda Niedźwiedzkiego, jednego z uczestników uczty, (szkoda, że listu tego nie ogłosił w całości zamiast użyć go za kanwę do własnego haftu) opowiada, że pierwotnie był zamiar, aby obu poetów uczcić puharami, i że Słowacki wiedział o tym zamiarze. Czy przynajmniej w tym ostatnim szczególe nie zawiodła pamięć Niedźwiedzkiego, jak to się stało np. z Romanem Załuskim lub z Januszkiewiczem, który w liście do Małeckiego z r. 1867 opisując drugą ucztę, najwyraźniej — a przecież, jak skądinąd wiemy wbrew prawdzie — opowiadał, że „przy wieczerzy, Juliusz pił zdrowie Adama i oddał mu kielich“. (Juliusz Słowacki wyd. 3-cie T. II, str. 240). Niedowierzanie względem opowiadania Niedźwiedzkiego nasuwa się z tego powodu, że Słowacki lubił się chwalić przed matką wszelkimi tryumfami swymi, nawet niedoszłymi, a o tym szczególe wcale nie wspomina.

przynajmniej równe hołdy im się należą, a tu mu każą przy oddawaniu puharu hołdownicze zajmować stanowisko. Zrodziło się w nim zaraz podejrzenie, że jest w tem ukryta chęć upośledzenia go i upokorzenia. „Trzeba, abyś wiedziała — pisał do matki w listopadzie 1841 r. — że przyjaciele mego antagonisty widząc, że z równą sławą wychodzimy, umyślili zaraz, aby mnie czemkolwiek zbić i strącić, więc umyślili dwie rzeczy: 1) abym ja jemu za tę improwizacyą oddał puhar, co było niby uznaniem mego wasalstwa; 2) napisali zaraz do dalekich stąd pism wielkie kłamstwo... jakoby mi Adam powiedział, że nie jestem poetą“ [1]).

Otóż tu Słowacki powiązał z sobą dwie rzeczy, które niewątpliwie nie z jednej wypływały pobudki. O drugiej rzeczy potem będzie mowa; co się tyczy pierwszej, upatrywanie wasalstwa w oddaniu puharu Mickiewiczowi i ukrytej złej myśli w tych, którzy mu to proponowali, świadczyło tylko, że Słowacki zajęty wyłącznie swoją osobą i tą rolą następcy po Mickiewiczu, który już „przeszedł i minął“, jaką mu Krasiński wyznaczył, nie spostrzegał, jak słuszną, naturalną, a nawet zaszczytną była propozycya, którą mu czyniono, jak słuszną i naturalną było rzeczą, że hołd zgromadzonych na uczcie zwracał się wyłącznie do tego, na którego cześć ta uczta była wydana, który nietylko niespożyte skarby poezyi dał narodowi, ale teraz w imieniu tego narodu miał głos zabierać wobec Europy z katedry w Collège de France, który nareszcie był sprawcą owego cudownego podniesienia ducha, w jakiem się uczta zakończyła.

W jaki sposób Słowacki wymówił się od tego zaszczytu, w którym widział oznakę wasalstwa, nie wiemy, ale to pewna, że się wymówił. Widocznie jednak wstyd mu było zupełnie zapierać się tych uczuć, wywołanych improwizacyą Mickiewicza, które go rzuciły w objęcia przeciwnika, skoro nie odmówił swego podpisu na adresie, który miał być wraz z owym puharem doręczony Mickiewiczowi, a brzmiał jak następuje:

„Polacy w liczbie trzydziestu siedmiu, dnia dwudziestego piątego grudnia 1840 roku w gronie spólnem z Adamem Mickiewiczem zebrani, przechowują w sercach swoich drogą pamięć chwili górnie z nim przeżytej. A imiona swe tu zapisują w hołdzie uwielbienia i miłości“.

---

[1]) Listy II, 148.

Kładąc swój podpis na tym adresie, nie przewidywał Słowacki, jak prędko i w jak rażący i namiętny sposób zaprzeczy w końcowych strofach Beniowskiego podpisanym przez siebie słowom „uwielbienia i miłości". — Do czasu niechęć jego z powodu nowego hołdu dla Mickiewicza zwracała się głównie przeciw tym, którzy go chcieli w jego mniemaniu wykierować na wasala, najwięcej zapewne przeciw Januszkiewiczowi, który w tem wszystkiem był *spiritus movens*. Ze swojej strony Januszkiewicz i jego pomocnicy w organizowaniu hołdu musieli być urażeni odmową Słowackiego, tem bardziej, że druga uczta nie odpowiedziała nadziejom przez nich żywionym i kiedy wzywany do zastąpienia Słowackiego Bohdan Zaleski, mieszkający wówczas w Fontainebleau „przez pierzchliwość ptasią i obawę niezasłużonej owacyi", jak sam pisał[1], nie zjechał do Paryża i nie zjawił się na uczcie — nie było odpowiedniej osoby do wręczenia puharu Mickiewiczowi.

Zamiast w duchu owej miłości, która ogarnęła wszystkich po improwizacyi Mickiewicza na pierwszej uczcie, puścić płazem urazę i wybaczyć Słowackiemu chorobliwą drażliwość ambicyi, Januszkiewicz sam, czy przy pomocy innych, postanowił ukarać go za odmowę, zemścić się w sposób niezmiernie dotkliwy, szczególnie dla Słowackiego, który był tak czuły na wszelki głos drukowany. Na podstawie listu Januszkiewicza do narzeczonej, w którym znajdował się bardzo szczegółowy opis pierwszej uczty, ułożono artykuł, opisujący tę ucztę w sposób dla Słowackiego bardzo nieprzychylny, w jaskrawem świetle wystawiający jego pychę i zarozumiałość i opacznie tłómaczący słowa Mickiewicza zwrócone do Słowackiego — i nadawszy artykułowi temu tytuł „Improwizatorowie", przesłano go *Tygodnikowi literackiemu* w Poznaniu, który go umieścił w numerze z dn. 22-go lutego 1841 (Nr. 8). W artykule nie wymieniano wprawdzie poetów po nazwisku, tylko po imieniu, ale była to zasłona tak przezroczysta, że właściwie nic nie zakrywała, a tylko nadawała artykułowi pozór pewnej dyskrecyi.

Otoż w tym artykule powiedziano, że „drugi poeta, którego nazwijmy sobie Juliuszem, wystąpił z całą dumą szatańską, którą jednakże geniuszowi Adama kładł u nóg. Mówił długo o sobie o swojem wejściu na świat poetyczny, o zimnem przyjęciu, którego

---

[1]) Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego wydał Dyonizy Zaleski. — Lwów 1900, T. I, str. 194.

doznał; wiele pięknych rzeczy, w wierszach od razu wprost i z duszy wylanych, powiedział z zupałem — ale wszędzie przebijała się jego duma i zarozumiałość“. To był jeden ustęp, odnoszący się do Słowackiego, a ujemnie go przedstawiający, jako pysznego i zarozumiałego, ale nie ten ustęp dotknął go najboleśniej, nie zarzut „szatańskiej dumy“ uraził najdrażliwszą stronę jego ambicyi, zwłaszcza, że był pewnemi opleciony pochwałami. To, co go jak rozpalonem żelazem przypiekło, to był dalszy ustęp, streszczający słowa Mickiewicza. „Adam odpowiedział Juliuszowi, wyrzucał mu jego grzechy poetyckie. Oświadczył wręcz, że on nie jest poetą. Tłómaczył, co go zgubiło. Nie jesteś poetą, mówił, bo nie masz wiary i miłości“. Więc w streszczeniu improwizacyi Mickiewicza omijano zupełnie to, co tak zjednało Słowackiego, przepowiednię o wielkiej i świetnej przyszłości, wypowiedzianą przez Mickiewicza matce Słowackiego o jej jedynaku, a objaśnienie Mickiewicza, że poezya Słowackiego nie znalazła oddźwięku w narodzie dla tego, że w niej naród nie znajdował miłości i wiary, przekręcono na stanowcze zaprzeczenie prawa do tytułu poety.

Łatwo zrozumieć, znając naturę Słowackiego, jak był wzburzony, przeczytawszy ten artykuł. Jemu, który oddał się cały poezyi, który żył tylko nadzieją sławy poetyckiej, który czuł całe bogactwo swojej fantazyi, któremu Krasiński przyznawał berło poezyi polskiej po Mickiewiczu i który właśnie sądził, iż swoją improwizacyą na uczcie zbliżył się do osiągnięcia tego berła — jemu zaprzeczano publicznie nawet tytułu poety i to zaprzeczenie wkładano w usta człowieka, którego głos był dla wielu wyrocznią.

Słowacki jakiś czas zapewne liczył na to, że Mickiewicz wystąpi ze sprostowaniem słów fałszywie mu przypisanych. Ale Mickiewicz obarczony przygotowywaniem wykładów, z których każdy był dla niego „jak bitwa“ albo według słów listu jego do Domejki „jak podróż przez Pampas, skroś tygrysów i Indyanów“, trapiony w domu obłędem żony, który się ciągle powtarzał, i chorobą dzieci, nie miał czasu ani ochoty do czytania bieżących rzeczy i nie czytał owego artykułu zaraz po jego wyjściu. W to Słowackiemu, chciwie chwytającemu z dzienników wszystko, co się do jego osoby odnosiło, trudno było uwierzyć, to też w dziesięć miesięcy po tej uczcie nie dowierzał własnemu zapewnieniu o tem Mickiewicza. „Trzeba ci wiedzieć, pisał wtedy do matki, że Adam o tym kłamstwie dla niego uczynionem, niby nie wiedział, przynajmniej tak mi to teraz

mówił, ale powinien był wiedzieć i odeprzeć..." [1]). Posądzał więc Mickiewicza, że ów artykuł był napisany za jego wiedzą i wolą i zapewne analizował skrzętnie to, co mu w pamięci zostało z improwizacyi wielkiego przeciwnika, aby się przekonać, czy w istocie nie ukrywało się w niej coś podobnego do owego „nie jesteś poetą". Zresztą cokolwiek powiedział Mickiewicz, Słowacki miał mu już to za złe, że z jego nawoływania na drogę miłości i wiary mogli słuchacze wywnioskować, że on mu odmawia tytułu poety. A czy w tych wierszach, które zapamiętano:

Ja rymów nie dobieram, ja wierszy nie składam,
Takem wszystko napisał, jak tu do was gadam...

nie zawierała się alluzya do Słowackiego, ukryta myśl, że jego poezya jest dobieraniem rymów i składaniem wierszy? To, co w całości, owianej tchnieniem braterskiego uczucia, nic nie raziło, i nie przeszkodziło wcale Słowackiemu rzucić się w objęcia Mickiewicza, teraz rozważane z osobna, w rozdrażnieniu i wśród podejrzeń wywołanych artykułem „Improwizatorowie", nabierało innego, wrogiego znaczenia. Obudziły się przytem wszystkie dawne, przez jakiś czas drzemiące zawiści i niechęci do Mickiewicza i poczuł on w piersiach gwałtowną żądzę zemsty na tym, którego wielkość nie przestawała go dotąd przygniatać, gwałtowną chęć rozprawienia się z tym, który zdawał się ciągle stawać mu na drodze sławy, a przeświadczony o mocy i ostrości swojej klingi poetyckiej i o zwinności swego ramienia, postanowił rozprawić się ze swoim wielkim przeciwnikiem, tylko nie tak, jak to uczynił na uczcie, gdzie chciał odnieść zwycięstwo, olśniewając przytomnych gwiaździstym deszczem swej improwizacyi, uderzenia zaś osłaniał pozorami hołdu: ale nacierając otwarcie, wprost i z impetem na przeciwnika, siekąc go i rąbiąc według recepty Krasińskiego — mylnie tym razem zastosowanej. I oto z jakich pobudek wypłynęły ostatnie strofy piątej pieśni *Beniowskiego*.

Ale w chwili gdy poeta zabierał się do walki ze swoim wielkim przeciwnikiem, już piąta pieśń *Beniowskiego*, jak to wiemy z autografów poety, była zamknięta, już nawet rozpoczęta szósta. — To pierwotne zamknięcie piątej pieśni [2]) jest godne

[1]) Listy II, 148.

[2]) Małecki umieścił je (wraz z kilku poprzedzającemi strofami, w których występują Beniowski i Swentyna nad Bohem) w drugim tomie *Pism pośmiertnych* Słowackiego (str. 156—159) jako jeden z „dodatkowych luźnych urywków niewiadomo do której pieśni należnych", ale nie wskazał, że urywek ten w pierwotnym planie należał do pieśni piątej.

uwagi naprzód jako jeden z najpiękniejszych ustępów lirycznych Słowackiego, powtóre jako najzupełniejsze przeciwieństwo z późniejszem zakończeniem. Był to hymn na cześć matki, pełen głębokiego żalu, smutku i synowskiej wdzięczności, najpiękniejszy pomnik poetycki, jaki Słowacki swojej matce wystawił.

Do ciebie, matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak jak anioł biały,
Z obłędnych krajów położyć się wrócę
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łzy próżnej...
. . . .

Z błogosławieństwa twego miałem blaski
Gwiazdom podobne i cień w puszczach Gazy...
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
Rył imię twoje...
. . . .

I nad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdem miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, o moja miła,
Wszędzie, gdzie w polach bieleją się kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije:
Tyś była ze mną, jam cię czuł — i żyję.
. . . .

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze — kiedy rym ustanie —
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biednych stóp pocałowanie,
Bo łez nie słyszał...

Co za kontrast w zestawieniu tego aktu pokornego żalu i miłości synowskiej z aktem szaleństwa i samoubóstwienia, który zajął jego miejsce! Ale nie uprzedzając analizy tego ostatniego aktu, którą na właściwem miejscu podam, chcę tu zwrócić uwagę na związek, jaki zachodzi między przytoczonym zwrotem do matki, a współczesną korespondencyą poety, zdolną objaśnić genezę tej cudownej perły liryzmu. W początkach 1841 roku, jeszcze przed ukazaniem się artykułu o improwizatorach, otrzymał Słowacki jakiś list od matki, w którym ona wyrażała obawę, aby syn nie myślał, że ona go kochać przestała. Czułe serce matczyne musiało

w liście syna znaleść jakiś zwrot, który w niej tę obawę wywołał. Obawa była niesłuszną, bo Słowacki wprawdzie nie zawsze odpłacał się matce miłością synowską, godną macierzyńskiej, ale nigdy na chwilę nawet nie wątpił o tej ostatniej. I teraz (16 lutego 1841 roku) pisał do matki: „Nigdym nie myślał, droga moja, że ty mnie kochać przestałaś. Niestety, tak kochać, jak ty kochasz, nikt nie umie na świecie; boli mnie tylko, że ja ci mojej miłości niczem dowieść nie mogę, dla tego w słowach moich jest czasem jakaś smutna niespokojność. Gdyby nie to, byłoby mi dosyć dobrze na ziemi, stałem się bowiem spokojniejszy, weselszy prawie, w wielu rzeczach mniej niecierpliwy, to jest rozsądniejszy, słowem, świat mi był nauką niezbyt gorżką, pełną wspomnień i wrażeń".

Słowackiemu chodziło o to, aby uspokoić matkę o siebie [1]), a zarazem, aby dać jakąś przeciwwagę jej tęsknocie macierzyńskiej, która ją coraz silniej gniotła, podczas gdy nadzieja połączenia się z synem stawała się coraz dalszą i mglistszą, więc dodawał: „Nie darmo żyliśmy i tęskniliśmy; to przeświadczenie powinno i tobie osłodzić czasem marzenia szarych godzin". Żeby zaś dowieść, że nie darmo żyli i tęsknili, tak pisał dalej: „Ty wiesz, droga! jakem ja niegdyś nie lubił exaltacyi próżnej i wielkim nieszczęściem nieusprawiedliwionej (odnosiło się to do matki, którą Słowacki w swoim pamiętniku z r. 1832 nazywa egzaltowaną). Lecz teraz nasze myśli smutne być mogą, a kto nas obaczy chodzących w ciemności, albo patrzących w blade oczy księżyca, ten jużby szaleńcem był, gdyby się szydzić odważył. Tak więc najpiękniejszy stan duszy, to jest jej anielskość stała się nam dozwoloną i zwyczajną, wszak nieprawdaż?"

Znaczyło to, że matka nie miała dawniej prawa do stanu exaltacyi, a teraz je dzięki cierpieniom rozłąki posiadła. Dla marzycielsko nastrojonej matki pociecha ta niewątpliwie mogła mieć pewne znaczenie, ale poeta czując słabość argumentu, nie omieszkał wzmocnić go innym, ważniejszym, wyznaczeniem jej pierwszego miejsca w swojem sercu i obietnicą poetyckiej aureoli dla niej i dla jej smutku. „A teraz bez exaltacyi (!) i prosto ci napiszę, że ty zajmujesz pierwsze miejsce w sercu mojem; gdybym umierał,

---

[1]) Zwracam uwagę na wyrażenia listu „dosyć dobrze"; „weselszy prawie" „nauką niezbyt gorżką", które świadczą, że poecie trudno było wbrew prawdzie upewniać matkę o swoim spokoju.

kazałbym spalić i odnieść ci serce moje, bo jego popiół, do nikogo innego nie należy. Zawsze czegoś brakowało tym, którym je oddać chciałem. Najpiękniejszej z córek moich dam imię twoje chrzestne, i to imię długo będzie brzmiało owiane zapachem konwalii, która rośnie na Czerczy; to jedno mogę: dźwięk, głos, echo dać naszemu smutkowi".

„Najpiękniejszą z córek", o której tu wspomina Słowacki, była niewątpliwie Salomea z dramatu, nazwanego przez wydawcę *Horsztyńskim*. Widocznie zamyślał wówczas Słowacki o wykończeniu i wydaniu tego utworu; ale nim to miało nastąpić, chciał wywiązać się z danej obietnicy już w *Beniowskim*, to jest „dać echo" anielskiemu smutkowi, wiążącemu dusze syna i matki i pod wpływem uczuć rozbudzonych ostatnim listem matki napisał owo rzewne zakończenie pieśni piątej.

Wtem niespodzianie pojawił się ów nieszczęsny artykuł o improwizacyach, przypiekł najboleśniej ambicyą Słowackiego i wywołał w nim niepowstrzymaną chęć prędkiego rozprawienia się z Mickiewiczem wobec świata. Postanowił on zatem, nie przedłużając poematu, który dopiero w szóstej pieśni miał zacząć opiewać wojenne czyny bohaterów [1], to, co już było napisane, odpowiednio przerobić, ułożyć, zakończyć ostrzem, wymierzonem w Mickiewicza i natychmiast ogłosić drukiem. W przerobieniu musiała doznać wielkich zmian pieśń piąta i ów końcowy pełen głębokiej rzewności zwrot do matki odpadł, ustępując miejsca szalonym zapędom walki o sławę [2].

---

[1]) Porówn. wydane przezemnie *Nieznane fragmenty i waryanty Beniowskiego* Bibl. warsz. 1902 T. III, str. 215 (a także obszerniej w Gazecie Lwowskiej 1902 Nr. 211—223).

[2]) Zdaje się, że i pieśń czwarta doznała wtedy przeobrażenia, a mianowicie, że wtedy dopiero wprowadził do niej poeta ustęp poświęcony „kochance pierwszych dni." Tak się należy domyślać z dopisku, zrobionego ołówkiem przez wuja poety na autografie pierwotnego zakończenia pieśni piątej, gdzie jest ów rzewny zwrot do matki. Dopisek jest taki: „Te strofy przerobione z matki do kochanki są drukowane na końcu IV pieśni." Wprawdzie porównawszy dwa te ustępy ze sobą, trudno powiedzieć, aby jeden był prostem przerobieniem drugiego, wszakże jest między nimi widoczna analogia. Jak w jednym jest wyłączne oddanie się matce, tak w drugim kochance, jak w jednym myśl o matce, tak w drugim o kochance towarzyszy poecie we wszystkich wędrówkach. Dwa te ustępy razem nie mogły figurować w jednym poemacie, bo byłyby częściowo przynajmniej wzajemnem zaprzeczaniem siebie. Dla czego poeta odrzucił zwrot do matki, a wstawił podobny

Zanim przypatrzymy się tym zapędom i wogóle walce, którą poeta wytoczył w tym poemacie światu, a raczej swojemu społeczeństwu za to, że nie chciało uznawać jego wielkości, należy się przedtem jeszcze kilka słów epickiemu wątkowi poematu, (o którego znaczeniu mówiłem już wyżej), ponieważ wiązał się on z tą walką, odgrywał po części taką rolę, jaką w procesach odgrywają dokumenta dowodowe, mianowicie miał świetnością obrazowania uzasadnić pretensye poety do wielkości. O obrazy też tylko chodziło w epickiej części *Beniowskiego*, poeta obierał wyszukane, malownicze sytuacye, aby je odziać w czarodziejskie barwy, a bynajmniej nie troszczył się, że tym obrazom brak nieraz logicznego powiązania, psychologicznego uzasadnienia. Dość jest przypomnieć, jak nienaturalnego sposobu używa niańka Anieli, ażeby sprowadzić Beniowskiego do Anielinek, a ksiądz Marek, żeby doręczyć Dzieduszyckiemu wydany na niego wyrok, jak nienaturalnym dalej jest ów dąb, do którego chroni się przed żołdakami Swentyna, albo raczej jak nienaturalnem jest zachowanie się żołdaków, którzy mogąc najswobodniej wyciągnąć ją z szerokiego jak namiot dębu, tak szerokiego, że mógł go ksiądz Marek użyć za swoję kancelaryę, zamiast tego wolą ją upiec. Za szczyt nienaturalności można uważać tę scenę, kiedy ksiądz Marek, patrząc na pojedynek Beniowskiego z Sawą, zamiast natychmiast dowiedzieć się, o co chodzi i pogodzić walczących, pozwala im bić się, aby sobie trochę krwi utoczyli, bo to ich potem uczyni rozważniejszymi w boju. A przecież to nie były żarty, gdy Sawa z pistoletu celował prosto w czoło Beniowskiego.

Ale poecie nie chodziło wcale o prawdopodobieństwo, tylko o malowniczość obrazów i dla tego rozwiązanie walki między dwoma bohaterami poematu poruczył Swentynie, ponieważ to mu dawało sposobność do popisania się obrazem, bardzo sztucznym, ale pełnym eterycznego wdzięku, w którym nikt mu dorównać by nie mógł. Wirtuozostwo, mistrzowstwo Słowackiego w tym obrazie sięgało zenitu. Oto jest ów obraz:

---

zwrot do kochanki, do tej kochanki, z której tak złośliwie drwił przed czterema laty? Niestety, zdaje się, że i tu przyczyną było zamiłowanie Słowackiego w teatralności.

Z obłoków spadła na konia ze śniegu,
Na którym siedział pan Sawa złowrogi.
Nim się obejrzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu bogi,
Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za leje i na tylne nogi
Podniosłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomięszała go, że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop taki pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka,
A ta dzieweczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowi!
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętemi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się zrobił złoty wąż zwinięty
W kłęby i leciał wraz za tą szaloną
W połyskające ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyamentów.

Za włosem i za kwiatami i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem,
Nie widzę więcej, jary się tumanią,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią;
Jeszcze raz galop konia ruszył grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął...

W tym obrazie nie ma za grosz uzasadnienia psychologicznego, bo przecież rozmija się z wszelkiem prawdopodobieństwem przypuszczenie, że Sawa, przed chwilą roznamiętniony walką, teraz najspokojniej, jakby z założonemi rękami, pozwala się wieść dziewczynie — nie wiedząc dla czego, dokąd i po co; — ale obraz to nieporównany swoją malowniczością, powietrznością, wdziękiem linii i barw, mistrzowstwem w szczegółach, cudowne malowidło dekoracyjne, gdzie nie chodzi o wzorowanie życia lub natury, o symbolizowanie idei, a tylko o malownicze grupowanie przyjemnych dla oka motywów. A ta Swentyna, nawpół cyrkowa amazonka, na-

wpół stepowa królewna, nawpół cyganka, wzorowana na różnych Esmeraldach, nawpół ukraińska dziewczyna, ta Swentyna, pędząca rumaka Sawy, mimo woli poety stała się jakby uosobieniem jego muzy, naśladowniczej, kapryśnej, ale giętkiej, lotnej, powietrznej, siejącej blaskami ócz i uśmiechami. I zdaje się, że jemu samemu przyszła ta myśl, gdy w pieśni piątej powracając do porzuconego obrazu i przedrzeźniając Malczewskiego i Mickiewicza, zapytywał niby to Sawę, a właściwie samego siebie:

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach,
Wonnemu jadę na stepach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny jasny w skrzydła łowi
I leci za mną, jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany... Mówi Sawa.

Słowa te włożone w usta Sawy, odnoszą się najwidoczniej nie do niego, ale do samego poety, który identyfikując się z Sawą, zamieniał w ten sposób Swentynę w swego anioła poezyi, w swoją muzę, popędzającą rumaka fantazyi. Spostrzegał on coraz wyraźniej pod koniec poematu, to jest tej części, którą miał wydać, że jakkolwiek w pomyśle poematu miał za przewodnika Byrona, to jednak w rozwinięciu jego wjeżdżał na nowe tory poetyckie, zbliżał się do kapryśnej i lotnej fantazyi Ariosta, z którym pokrewieństwo swoje spostrzegał już w *Balladynie* i dla tego wołał w ostatniej pieśni, porzucając Beniowskiego dla Sawy:

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moją szlachtę — a sam w stepy,
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.

ROZDZIAŁ VIII.

Beniowski (Ciąg dalszy)

1840—1841.

Liryczno-polemiczna strona poematu. — Uwielbienie własnej poezyi. — Walka poety z krytyką. — Sprawa króla *de facto*. — Jak się odzwierciedliło w poemacie stanowisko Słowackiego w walce stronnictw emigracyjnych. — Credo religijne. — Religijność Słowackiego i Mickiewicza. — Walka z Mickiewiczem w ostatnich strofach. — Zarzut ultramontanizmu i panslawizmu, — Dokąd to Słowacki chciał prowadzić naród. — Szaleństwo gniewu. — Wpływ Krasińskiego.

Przechodzę teraz do tego, co nie jest powieścią w poemacie, do jego liryczno-polemicznej strony, do tego mnóstwa wynurzeń i wycieczek, które wartkim strumieniem spienionym płyną przez cały poemat, a wśród których obrazy powieściowe wyglądają jak wysepki zewsząd żywiołem liryzmu oblane. Te wszystkie wynurzenia i wycieczki dadzą się ująć w kilka grup. Zwróćmy naprzód uwagę na te dygressye, gdzie poeta sam sobie pieje hymny pochwalne, sam wielbi i charakteryzuje czarodziejstwo swojej sztuki. Są one szczególnie ważne z tego względu, że w nich streszcza się główna dążność poematu — chęć poety roztoczenia wszystkich blasków swego stylu, dla przyćmienia współzawodników, a olśnienia wszystkich. Taka dążność niewątpliwie nieraz już przedtem towarzyszyła twórczości Słowackiego i zapewne nie obcą była i jest wielu innym poetom, ale nigdzie, sądzę, nie jest tak wybitną, tak rażącą i tak regulującą cały poemat, jak w *Beniowskim*.

Słowacki czuł, że samouwielbienie może nań rzucić cień śmieszności, więc starał się je powlekać żartobliwym kolorytem, ale rozgrzawszy się w tem samouwielbieniu, zapominał o obawach i niczem już nie krępował swojego zapału dla własnej muzy. Tak w pierwszej pieśni jest jeszcze żartobliwa wzmianka o olśniewających skrzydłach tej muzy (I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie — Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniej — Niż miałem zamiar), wzmianka, w żartobliwy sposób i przelotnie ukazująca istotny zamiar poety. W pieśni drugiej poczyna on samouwielbienie także od żartów, o pieśniach swoich mówi: „Ponieważ moje są, otwarcie chwalę“, cytuje żartobliwie wykrzyk Szekspirowskiego Ryszarda: „Głupi! o sobie dobrze mów!“, ale potrąciwszy o to, że jego przeciwnicy czynią mu nawet z łatwości pisania zarzut, zaczyna się rozgrzewać:

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich durniów być zabawą!
Wyspą dla grubych naszych Sanszo Pansów,
Na którejby się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę... do wiersza mam, jak sądzę prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mię Sekstyna.

Ton jeszcze żartobliwy w tej strofie, ale już samouwielbienie znajduje dla siebie silne akcenta i pełne wdzięku porównania. W następnej strofie poeta chce podeprzeć własne przekonanie o świetności swojej poezyi, sądem obcym, sądem Krasińskiego.

Ktoś to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem *patri patriae*...

I ten obcy sąd jest już niejako upoważnieniem dla Słowackiego do tego, aby odrzucić względy krępujące go dotąd i wybuchnąć pełnem samouwielbieniem:

Stój! ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi;
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same, jak Dryada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasem na pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola!
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz... że w niebo ulatujesz z chatą...

Tu już nie Krasiński, ale sam Słowacki, korzystając z porównania przyjaciela, śpiewa hymn na cześć swoją, na cześć swojej poezyi. W innym ustępie tej samej pieśni jest uwielbienie nie samej poezyi własnej, ale tego źródła, skąd ona wypływa, to jest fantazyi swojej, wyobrażonej w postaci kopuły tęczowej, a także i swojej duszy, rzekomo anhellicznej, w postaci srebrnego anioła. Porówanie fantazyi z kościołem może było nasunięte znanemi słowami Mickiewicza o poezyi Słowackiego, które tak głęboko utkwiły w pamięci tego ostatniego.

O tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem!
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wisząca aniołem!
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca.
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz, jak niebo, nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białemi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

W tym ustępie samouwielbienie przybiera ton melancholijny i przechodzi w skargę, która szczególnie w następnej strofie (Skończona wielka tragedya powagi) staje się bardzo niejasną i bardzo, teatralną. Wogóle, gdzie tylko Słowacki mówi o swojem sercu z patosem, tam jest poza teatralna i frazes — zwykle bardzo piękny, ale z głowy, nie z serca wzięty; tam gdzie wielbi swoją fantazyę. swój styl czarodziejski, tam jest szczery, wymowny tonem prawdy, I tutaj porównanie fantazyi swojej z kopułą tęczową jest wysoce piękne, ale przyrównanie serca do urny z popiołem jest tylko frazesem, który każe domyślać się, że pożar jakiejś miłości wielkiej przeszedł przez to serce, a tymczasem wiemy, że żadnej takiej miłości w Słowackim, ani indywidualnej, ani społecznej, nie było, i jeżeli co trawiło serce jego, to tylko chorobliwa, a niezaspokojona żądza sławy.

Jest też sporo teatralności i w tym ustępie pieśni trzeciej gdzie poeta wielbi nie już szatę swojej poezyi, nie tęczową kopułę swojej fantazyi, ale siebie, jako bohatera tragedyi życia, a życie swoje, jako poemat dla Boga.

Lecz z mego życia poemat dla Boga.

On wie, On wiedział, nad jakimi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących — te chóry
On słyszał, gdyśmy z Bogiem byli sami.
Nie zwiodły go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami

Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazurowe
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie... Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni — te cierpiące —
Milcz serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bolu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone...
Uderzam ciebie w złości... Milcz, szalone! —

Że w życiu Słowackiego była tragedya, to pewna, i właśnie praca niniejsza ma zadanie ją przedstawić, ale nie była to tragedya zupełnie taka, jak ją sobie Słowacki wyobrażał i jaką chciał w przytoczonych strofach wyobrazić. Tragedya jego życia, jak to już wskazywałem, wypływała z dziwnego braku harmonii, równowagi między różnymi władzami jego duszy, z dziwnego kontrastu między bogactwem fantazyi a ubóstwem serca, między do najwyższego stopnia rozwiniętym zmysłem estetycznym, a wcale nierozwiniętym zmysłem społecznym, wreszcie z kontrastu, który był następstwem tamtych, między samoubóstwieniem poety i pożerającą go żądzą sławy z jednej strony — a obojętnością społeczeństwa — z drugiej. U Słowackiego, w podanych strofach, tylko to ostatnie przeciwieństwo zarysowane, przyczem o ile sam siebie idealizował i stawał na koturnie, stając do pary z Bogiem lub przynajmniej Cezarem, o tyle czarno malował przeciwną stronę, której się dostała nazwa gadów. Winy tragicznej nie widział w sobie wcale, tylko w społeczeństwie, a końcowa apostrofa do serca była bardzo pięknym efektem teatralnym, ale niezgodnym z rzeczywistością, bo poeta przedstawiał tu siebie jako kryjącego swoje cierpienia przed światem, podczas gdy, jak wiemy, miał on ciągle skargę na ustach na brak uznania. Dla objaśnienia dodam, że owem „jednem sercem ludzkiem“, które tylko wraz z Bogiem znało jego cierpienia, a dla którego przedewszystkiem zapewne był zro-

biony ów patetyczny gest końcowy, nie mógł być nikt inny, jak Krasiński.

W pieśni piątej całe zakończenie jest wielkim aktem samouwielbienia poety, ale ponieważ ten ustęp ma charakter na wskroś polemiczny, analizę jego odkładam na później. Jest jednak inny jeszcze ustęp w pieśni piątej, zawierający uwielbienie poety dla siebie, na który chcę tutaj zwrócić uwagę. Jest w nim uwielbienie własnego stylu, jak w pierwszym z ustępów analizowanych, ale z tą różnicą, że tam poeta wielbił słodycz, melodyjność, słowiczość swego stylu, tu chciał uwydatnić i uwielbić jego giętkość, rozmaitość, jego proteuszową naturę. Była tu jakby wierszowana poetyczna parafraza cytowanego już ustępu z listu Krasińskiego o tem, jak Słowacki posiadł język polski, jak „nie on za językiem, ale język za nim goni“ i prosi i mówi mu: „Ot cały twój jestem, każ, a posłucham, zawołasz — przybiegnę; mrugniesz w niebo — polecę tam; wskażesz piekło palcem — zstąpię do piekła; chcesz bym stwardniał — patrz, marmur ze mnie i t. d.“ Rymowana parafraza tej pochwały Krasińskiego brzmiała w *Beniowskim* jak następuje:

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem.

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą;
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą.
Potem w promieniach ją pokazać złotą;
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strzechą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa.

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał, on to by zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski...

To, czem się tu chlubił, było nie urojeniem, nie przywidzeniem pychy, ale najrzetelniejszą prawdą. Giętkość języka jego, zdol-

nego oddać najrozmaitsze tony, najsubtelniejsze rysy, barwy i odcienia, była niezrównaną, a właśnie w *Beniowskim*, w różnorodnych jego obrazach, znajdowała sposobność do ukazania się w całej swej czarodziejskiej doskonałości, i *Beniowski* w tym względzie przewyższał wszystkie poprzednie poematy Słowackiego. Miał też prawo Słowacki, oglądając się za siebie, sięgać wzrokiem aż do Jana Kochanowskiego, który pierwszy nadał giętkość polskiej mowie poetycznej, bo nikt z tych, co go dzielili od ojca poezyi polskiej, nie przewyższał go w tym względzie, nikt, nawet Mickiewicz. Tylko powinien był wiedzieć, że gdyby naprawdę „stary ów Jan Czarnoleski z mogiły powstał" i przysłuchiwał się jego poezyi, to wydałby sąd o niej podobny do sądu Mickiewicza: wielbiąc piękność świątyni, nie znalazłby w niej bóstwa.

Przypatrzmy się z kolei tym dygresyom, które miały charakter polemiczny, w których się wyraziła walka poety z krytyką i stosunek jego do różnych stronnictw emigracyjnych. Z krytyk najwięcej go ubodły te, które *Młoda Polska* umieściła, to też na to pismo wylał najwięcej żółci, uderzał z największą zajadłością, tak że dowcip jego stawał się grubijański i niesmaczny. Ponieważ *Młoda Polska* miała barwę wybitnie katolicką, dawało to sposobność Słowackiemu do uderzenia na nią z zasadniczego stanowiska, do nazywania jej (w pieśni I) „Arkadyą, gdzie Jezuici są barankami", krainą, „pełną wężowych ślin, pajęczej nici i krwi zepsutej", „przeklętą wodą, której pies nie chce, wąż nawet nie pije" i t. p., jednem słowem do wylania na nią z sześciu strof, jakby z sześciu konwi, najgorszych mętów swego gniewu, i to pod pozorem, że oburzony jest na nią za jej stanowisko, nie za krzywdę osobistą, jakiej doznał. Jest tu apostrofa do Polski i przestroga dla niej przed papiestwem (krzyż twym papieżem jest — twa zguba w Rzymie), przyczem Polska tak niedawno jeszcze w *Grobie Agamemnona* nazwana przez poetę „pawiem narodów i papugą" i „służebnicą cudzą" zamieniała się niespodzianie, po części zapewne dla kontrastu z Polską „młodą" (O Polsko! jeśli ty masz zostać młodą) po części może gwoli Krasińskiemu, zamieniała się w „córkę Boga" i „siostrę Ukrzyżowanego". Dopiero przy końcu pieśni I natarł otwarcie na *Młodą Polskę* za krytykę *Balladyny* i starał się odpłacić pięknem za nadobne.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi;

Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i *Młoda Polska,* co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię, która po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń miry albo malin.

Jeżeli porównamy ten złośliwy, a nie dość swobodny dowcip z tą złośliwą fantazyą, jaką się kończyła krytyka *Balladyny*, to musimy przyznać, że odparcie nie dorównywało pociskowi. Musiał to uczuwać Słowacki, ponieważ nie poprzestał na tym dowcipie, ani na insynuacyi, że *Młoda Polska* zostaje pod wpływem tak niepopularnych wśród emigracyi Jezuitów, ale starał się jeszcze dokuczyć jej, ośmieszyć ją, szerzeniem pogłoski, że „baby“ dają na nią pieniądze, że to „baby“ ją piszą. Ile mogło być prawdy w tej pogłosce, która obraźliwą stawała się jużciż nie sama przez się, ale przez sposób, w jaki była podaną — trudno dziś wiedzieć i trudno wiedzieć, kogo w szczególności miał na myśli pisząc o „babach“, ale z kilkakrotnego potrącania tej struny w poemacie można wnioskować, że uważał ją za najdrażliwszą dla wydawców i redaktorów *Młodej Polski*. Tak już w pieśni I-ej powiedziano z alluzyą do tego pisma: „Niebieska kraina! Co za pieniądze bab... truć nas zaczyna“. W pieśni III mszcząc się za krytykę Balladyny, podpisaną literami Z. K., całą strofę poświęcił rozstrząsaniu tej pogłoski:

Imię krytyki? nie, krytyków. A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K. S. K. E. K.
Mówią, że Młodą Polskę pisze — baba!
Ale, ja widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że jezuita, a ma draba,
Który tłómaczy na język człowieka:
Hymny, przestrogi, pacierze i lekcye
W dyabelskim napisane dyalekcie.

I pozatem złość Słowackiego do „bab“, których przekonaniu odpowiadał katolicki kierunek *Młodej Polski*, objawia się parę razy, czy to gdy Słowacki wspomina jakąś pannę Praksedę, (Święta, aniołek jezuicki, wdowi), czy gdy do porównania wprowadza „jedną z tych przestałych — Owoców, starą pannę, seraficznie — Rozeskrzydloną w Bogu“. Dostało się przy sposobności ataków na baby i Jezuitów i pisarzom emigracyjnym w duchu katolickim, Witwickiemu i Bohdanowi Zaleskiemu; co się tyczy Mickiewicza, z tym długi rachunek miał być osobno załatwiony.

Drugiem pismem, któremu chciał dokuczyć, był poznański *Tygodnik literacki*. Wiemy, że tu była drukowaną krytyka *Anhellego*, pisana przez Sadowskiego, z której Słowacki nie mógł być i nie był zadowolony, i że tu był drukowany artykuł p. t. *Improwizatorowie*. Prócz tych powodów niechęci, były jeszcze inne: *Tygodnik* w r. 1840 w swoich „Doniesieniach literackich“ umieścił parę wzmianek o najnowszych utworach Słowackiego w tonie lekceważącym[1]. Jednakże ani krytyka *Anhellego*, ani owe wzmianki nie byłyby pobudziły Słowackiego do odwetu w *Beniowskim*, jak go nie powstrzymały od drukowania swoich utworów w *Tygodniku*, gdyby nie ukazał się był artykuł o improwizatorach. Wnoszę to z tego, że są dwa ustępy w *Beniowskim*, które mówią o *Tygodniku* i podnoszą ten sam szczegół, ale w tonie zupełnie różnym. Mianowicie ku końcowi pieśni III poeta pisze:

> O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza?
>
> Odbiegła. — Skarży się na moją ciemność.
> Poeto, „fiat lux“ zaciecie krzyczą
> I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:
> Życzę, aby to było, czego życzą!
> Tygodnik jakąś odnalazł odjemność
> We mnie; lecz niech się dobrze wtajemniczą,
> A ujrzą, żem jest coś, jak grecki antyk.
> Lecz panteista trochę i romantyk.

W tym ustępie jest jakby odpowiedź poety na zarzuty czynione mu w „Doniesieniach literackich“ i w krytyce *Anhellego*. Żeby czytelnik mógł zrozumieć, co znaczy owa odjemność, o której Słowacki wspomina, przypominam, że Sadowski kończył swoją obszerną krytykę *Anhellego* stwierdzeniem, że Słowacki tylką „ujemną“ stronę myśli zarysowanej w *Irydyonie* zupełnie jasno pojął.

---

[1]) W Nrze 17 z d. 27 kwietnia 1840, wiadomości o tem, że się ma wkrótce ukazać *Lilla Weneda*, towarzyszyła uwaga: „Jest ona (jak nam jeden z szanowych literatów donosi) równie, jak i pierwsze płody tego autora mało zrozumiała dla czytającego“. W Nrze 20 z dnia 18 maja 1840 *Tygodnik* podawał wiadomość o wyjściu na świat *Beatrix Cenci* z takim dodatkiem: „Trudno, pisze jeden z naszych najszanowniejszych korespondentów, wyobrazić sobie większego steku zbrodni, pominąwszy dążność, która dziś i samym Francuzom obrzydła. Cóż Polak ma wspólnego z Włochami? Autor ten posiada szczególniejszą łatwość: w dniach kilkunastu buduje dramat, a Witwicki powiada o nim, że ledwo się tyłułu jednej jego tragedyi na pamięć nauczy, to już druga wychodzi. Ztąd też wszystko mu przez głowę, a nic przez serce nie przechodzi; utwory jego nie absorbują mu, jak innym pisarzom, życia“.

„dodatnią“ zaś obniżył i osłabił. Z tej „ujemnej strony“ Słowacki zrobił „odjemność“, ale zresztą odpowiedź ta, o ile dotyczyła Tygodnika, nie miała w sobie nic złośliwego, i owszem poeta wobec zarzutów ciemności i ujemności starał się poważnie wyjaśnić charakter swej poezyi. Że wyjaśnienie to bodaj czy było jaśniejszem od owych tragedyj, na których ciemność skarżyła się publiczność, to inna sprawa, tu chodzi o to, że Słowacki, pisząc pieśń III, nie czuł jeszcze potrzeby zemszczenia się na *Tygodniku*. Inaczej było, kiedy w pieśni V potrącił znowu o *Tygodnik* i o tę samą wspomnianą już przedtem „odjemność“.

Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
Odjemną — mówi Tygodnik — o zgrozo!

Odjemną!... czy od Tygodnika? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry,
Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze,
Z twoją tabliczką w ręku...

Dowcip był dosyć naciągany, pocisk zwracał się poniekąd przeciw samemu poecie, który przecież drukował tam niektóre rzeczy swoje[1], ale chęć okazania pogardy *Tygodnikowi* była widoczną, a stąd wniosek, że Słowacki pisał drugi ustęp w *Beniowskim*, dotyczący *Tygodnika*, już wtedy, gdy dostał w ręce artykuł o improwizatorach.

Inne zacinania Słowackiego, wymierzone w stronę dziennikarstwa i literatury, były już więcej pobieżne, nawiasowe, niewywołane chęcią zemsty, więc i trafniejsze. Dostało się tam z lekka kalendarzykowi emigracyjnemu i Tygodnikowi petersburskiemu, Kiefalińskiemu, t. j. Hołowińskiemu za przekład Szekspira, w którym Szekspir znika, poznańskim Heglom, do których zaliczał Słowacki zapewne i Sadowskiego i Libelta, „kozakopowieściarzom“, których głównym przedstawicielem był Czajkowski, Goszczyńskiemu, nie

[1]) Na rok przed wydaniem *Beniowskiego* ukazało się w *Tygodniku* — prawda, że bezimiennie — „Święcone u J. O. księcia Radziwiłła Sierotki“, jako „wyjątek z niedrukowanego rękopisu“ (Nr. 15 i 16), gdzie Słowacki do niepoznania podrabiał styl Rzewuskiego w *Pamiętnikach Soplicy*, a Mikołaja Sierotkę przedstawił zupełnie jak księcia Karola Panie kochanku, zostawiając mu nawet to przysłowie.

nazwanemu zresztą, jako autorowi *Zamku Kaniowskiego*[1]), wreszcie nie nazwanemu także „Krakowczykowi“, autorowi książki, która „ma polską duszę, a na zmysły działa jak Niemiec“[2]). Z literatury krajowej najwięcej go interesował Michał Grabowski, którego pisma krytyczne już wyszły były w zbiorowem wydaniu, a z którego artykułami spotykał się także w Tygodniku petersburskim. Więc kilka razy go wspomniał, raz w pieśni pierwszej, nazywając prymasem, wkładającym koronę na głowę poetów, w trzeciej, żartując z niego i z wieszczów krajowych, których on odkrywa, a którzy „kiedy straszną opisują burzę — To burza piorun zostawia w cenzurze“, wreszcie w piątej, gdzie zdaje się dotykać jego słowianofilskich dążności.

Zobaczmy teraz, jak się w *Beniowskim* zarysowuje stanowisko Słowackiego względem różnych stronnictw, na które się dzieliła ówczesna emigracya. Czas, w którym przyszedł *Beniowski* na świat, był chwilą ożywionych starć pomiędzy stronnictwami głównie wskutek roli, jaką stronnictwo grupujące się koło X. Czartoryskiego chciało wyznaczyć swojemu przedstawicielowi, naturalnie nie bez jego zgody. Chodziło o to, aby uznać i ogłosić księcia królem polskim; uzasadniano potrzebę tego argumentem, że główną przyczyną upadku powstania listopadowego był brak silnej władzy monarchicznej, brak króla, że zatem trzeba go mieć w gotowości na wszelki wypadek, a także tem, że Czartoryski tak ma wielkie znaczenie w emigracyi i w oczach Europy, iż jeżeli nie *de jure*, to jest królem *de facto*. Żeby został królem *de jure*, potrzeba, aby go ostatni sejm polski, przebywający za granicą, uznał za króla, a właśnie wtedy, przy końcu 1840, sejm ten w przewidywaniu jakichś pomyślnych dla Polski wypadków, zaczął się po kilkuletniem uśpie-

---

[1]) Alluzya do Goszczyńskiego zawiera się w tych wierszach pieśni III:

Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
Widząc, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puhacze i żmije.

[2]) Nienazwanym „Krakowczykiem“ był Franciszek Paszkowski, generał wojsk polskich z czasów Napoleona, ten, którego Kościuszko obdarzył w testamencie znacznym zapisem. W Paryżu 1840 wydał on bezimiennie swoje „Pomysły do do dziejów Polski“. W rozdziale p. t. „Opinia“ utrzymywał, że poeci jak dawniej byli pochlebcami królów, tak teraz pochlebiają ludom i ilustrował swój wywód ustępem z *Kordyana*. Szczególnie godnymi uwagi są tam poglądy autora na powstanie 1831 roku.

niu ruszać. Ale w sejmie. gdzie najważniejszą rolę odgrywał wojewoda Ostrowski, kandydatura Czartoryskiego na króla nie znajdowała dostatecznego poparcia i w ogóle stała się przedmiotem żartów w emigracyi. Nawet ludzie, którzy wysoko cenili i kochali księcia, byli zrażeni tym niewczesnym pomysłem. „W emigracyi — pisał Mickiewicz do Domejki w tym czasie[1]) — ciągła walka o królestwo Czartoryskiego. którego partya nowa gwałtownie popiera a dawni stronnicy zatrwożeni i zrażeni odeszli. Książe zacny, nie zawsze zręczny, pozwala bić medale z napisami *Boże wróć nam króla*, co jego przeciwników wprawia w wściekłość. Ja po dawnemu księcia kocham, ale nie wszystkie jego kroki rozumiem i potwierdzam“...

Podobne stanowisko względem niefortunnego pomysłu „nowej partyi“ Czartoryskiego zajmowali emigranci. najwięcej zbliżeni do katolickiej *Młodej Polski*, a po jej zniknięciu z końcem r. 1840, do *Dziennika Narodowego*, w którym upatrywano dalszy ciąg *Młodej Polski*. Oba te pisma, przy całem uszanowaniu dla osoby księcia, występowały przeciw jego królewskiej godności i żywo polemizowały z pismem *Trzeci Maj*, ówczesnym organem stronnictwa Czartoryskiego. Reszta emigracyi, wywieszająca sztandar demokratyczny, dzieliła się na dwa obozy: Zjednoczenie, którego organem był *Orzeł Biały*, a głównym przedstawicielem zamieszkały w Brukselli Lelewel i Towarzystwo Demokratyczne, które się uważało za jedynie prawdziwą demokracyę i zarzucało Zjednoczeniu chęć paktowania z ludźmi innych przekonań politycznych, a którego urzędowym niejako organem był *Demokrata Polski*, wydawany w Poitiers. gdzie była osobna sekcya Towarzystwa. Sekundował *Demokracie* humorystyczny *Pszonka*, wydawany przez Leona Zienkowicza w Strassburgu, a zasilany najbardziej przez Goszczyńskiego i Lucyana Siemieńskiego. Stamtąd to dostawały się największe cięgi księciu. którego ironicznie nazywano „królem *de facto*“, i jego stronnictwu nazywanemu przez demokratów arystokracyą. A kiedy *Trzeci Maj* w numerze z 1. kwietnia 1841 wyciągał rękę do demokracyi i pisał, że „myśl demokratyczna i myśl *Trzeciego Maja* przeznaczone

---

[1]) Korresp. Ad. Mick. I 227. Data listu (1 listopada 1840) jest niewątpliwie mylną, ponieważ w tym samym liście Mickiewicz donosi Domejce już o swojej pierwszej prelekcyi w Collège de France. W każdym razie pisany jest niedługo po 22 grudnia 1840

są do porozumienia się, połączenia się w przyszłości i pracowania wspólnie nad wywalczeniem i szczęściem ojczyzny", to *Demokrata Polski* widział w tem „dziwaczne, śmiech obudzające oświadczenie", które „służy z jednej strony za nowy dowód słabości, z drugiej niepospolitego nierozumu arystokracyi naszej"[1]).

Jakież Słowacki zajął stanowisko wobec sprawy „króla de facto" i w ogóle wobec walki stronnictw emigracyjnych. Taki poemat, jak *Beniowski,* dawał najlepszą autorowi sposobność do objawienia w tym względzie swoich sympatyj i poglądów. Ale Słowacki w jednym tylko kierunku objawił się wyraźnie, mianowicie w kierunku niechęci ku temu stronnictwu emigracyjnemu, które chciało oprzeć narodowość polską na religii, na katolicyzmie, które chciało sprawę narodową rozwijać w zgodzie z Kościołem, a do którego należał Mickiewicz i jego najbliżsi przyjaciele, Zaleski Bohdan i Witwicki. Co go do tego popchnęło, to już wiemy: naprzód współzawodnictwo z Mickiewiczem, potem ciosy krytyczne, które z tej strony, z pod sztandaru katolickiego nań padły, po trzecie brak głębszego uczucia chrześcijańskiego w poecie. Ale wystąpienie Słowackiego przeciw tak zwanym przez niego Jezuitom nie stanowiło jeszcze o jego stosunku do dwu innych głównych stronnictw emigracyjnych, to jest do stronnictwa Czartoryskiego i do Towarzystwa Demokratycznego, ponieważ oba te stronnictwa, z różnych naturalnie powodów i w różny sposób walczyły wówczas ze stronnictwem katolickiem. Otóż stanowisko Słowackiego między dwoma temi stronnictwami zarysowuje się w *Beniowskim* bardzo niejasno, jest jakby umyślnie lekką przykryte zasłoną, tak, że czytelnik zwyczajny nie widząc wyraźnie wszystkich linii, mógł je rozmaicie sobie tłómaczyć.

Z demokratami w owych czasach Słowacki nie miał właściwie nic wspólnego oprócz niechęci do papiestwa i katolicyzmu. Wprawdzie w *Podróży na Wschód* oświadczał, że wierzy „w religię mass, w republikanizm, w postęp", w to, że „ludy idą jako chmura — pełna błyskawic na trony zachwiane" i „że nawet królewska purpura próchnieje w trumnach"; w zakończeniu *Anhellego* kazał bladym królom stać „nad krwawymi rzekami i na krużgankach pałacowych... trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą itd.", a na chorągwi rycerza

[1]) Demokrata Polski. Poitiers 1841 T. III str. 268.

zwiastującego zwycięstwo wypisywał „trzy ogniste litery", które według własnego jego komentarza miały oznaczać *Lud*[1], ale to wszystko było tylko echem wrażenia, jakie na nim książka Mochnackiego wywarła, świadczyło tylko o lubowaniu się jego wyobraźni w efektownych obrazach rewolucyjnych, bynajmniej nie o współczuciu dla smutnego położenia ludu. Kwestya wyzwolenia ludu z pańszczyzny i uwłaszczenia włościan, wysuwana przez Towarzystwo demokratyczne na czoło jego programu, była dlań obojętną, jak wogóle wszelkie kwestye społeczne, co łatwo daje się wytłómaczyć brakiem zmysłu społecznego w Słowackim. Osiadłszy na nowo w Paryżu, zapisał się do klubu polskiego, który u demokratów, jako arystokratyczny, używał najgorszej opinii i przez *Demokratę* z Poitiers nazywany był „hultajskim związkiem". Pismo to wzywało każdego rodaka, przejętego obowiązkami emigranta, aby „przechodząc ulicą Godot de Mauroy spojrzał na dom pod liczbą 18 i z należnem ku hultajstwu uczuciem wzgardy pomyślał sobie: **Tu się urągają powszechnej niedoli i szydzą ze straty ojczyzny**". Dlaczegoż tak? Bo „czyż może być jaki postępek rzucający większą plamę na święty charakter wygnańców politycznych, powołanych wyobrażać przed obcymi *Lud męczennik*, jak stowarzyszać się w celu przyjemnego przepędzania czasu, gry w billard i karty?" „Ci niecnoty, pisał dalej korespondent *Demokraty*, nazwali się klubistami, tak jak inna lubo moralniejsza szlachta zowie się demokratami, aby znaczenie najświętszych wyrazów sfałszować i zohydzić"[2]).

Otóż Słowacki zapisał się do klubu polskiego, był stałym jego członkiem a w chwili kończenia *Beniowskiego* jednym z jego dyrektorów. To samo stanowiło już mur wysoki, dzielący go od demokracyi emigracyjnej. Jego stosunki znajomości i przyjaźni jeszcze więcej dzieliły go od demokracyi a łączyły z arystokracyą, w szczególności ze stronnictwem Czartoryskiego. Jego najlepsi znajomi, Błotnicki, dawny jego nauczyciel, a później nauczyciel synów księcia i jego sekretarz, Loman, Reitzenheim, i ze wszystkich najbliższy w owych czasach Leonard Niedźwiedzki, sekretarz jenerała Zamojskiego, byli to ludzie całkiem oddani sprawie księcia. Zre-

---

[1]) List Słowackiego do Konst. Gaszyńskiego podany przez L. Meyeta w Gazecie Lwowskiej 1902 Nr. 121.

[2]) Demokrata Polski T. I 1838 str. 111.

sztą Słowacki był bardzo czuły na grzeczności, których doznał ze strony księżnej jeszcze za pierwszego pobytu w Paryżu, a któremi się chwalił, bardzo szczegółowo je opisując w jednym z listów do matki[1]). Stąd zapewne poszło, że owym jedynym „godnym“ z pomiędzy wszystkich wielkich ludzi, których szatan stwarza dla Polski w *Kordyanie*, był Czartoryski[2]).

Słowacki w stosunku do demokracyi w *Beniowskim* zdawał się trzymać zasady wypowiedzianej w tym poemacie, że „jest niebezpiecznie — Z demokratami być nie dosyć grzecznie“. Nigdzie też nie zaczepił ani *Demokraty polskiego* ani *Pszonki*, a parę zwrotów do demokracyi wogóle, jak tylko co przytoczony (z pieśni II) i ten (z pieśni I), w którym przypisywał demokratom dbałość o godność osobistą (Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą — I o swą godność indywidualną — Dbasz wielce) choć miało lekki odcień ironii, nie zawierało przecież w sobie nic „niegrzecznego“, a nawet „nie dosyć grzecznego“. Ale ta obawa narażenia się demokratom, których mógł uważać za swoich sprzymierzeńców w walce z *Młodą Polską*, przeszkadzała mu w jasnem wypowiedzeniu się, co myśli o głośnej wówczas sprawie „króla de facto“ i jasnego wyrażenia swoich sympatyi dla księcia. Że Słowacki obawiał się, ażeby go nie wzięto za Czartoryszczyka, dowodzi to, że drukując w tych czasach w *Trzecim Maju* artykuł o *Nocy letniej* Krasińskiego, który był zarazem odpowiedzią na artykuł „Improwizatorowie“, zaznaczał, że pismo, w którem występuje, jest dla niego „obcem“.

Otóż w *Beniowskim* jest naprzód alluzya do sprawy Czartoryskiego w tem miejscu, gdzie bohater poematu, wiedziony przez gołębie, pędzi pod dąb, do którego schroniła się Swentyna. Mówiąc o tem, jakie nadzieje obudził w rycerzu lot ptaków, poeta dodaje:

Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.
O, gdyby nie to! to nigdy Ikar by

---

[1]) Listy I 83—84.

[2]) Przypominam ustęp ze wstępu do *Kordyana* (Przygotowanie Roku 1799 dnia 31 grudnia w nocy). Szatan każe wrzucić do kotła dyament i polać atramentem z kałamarza Talleyranda a następnie dyabli wołają:

Już gotowy! mimo czary
Wyszedł jakiś człowiek godny.
Złe w tym kotle były wary,
Płyn za rzadki lub za chłodny.

Nie latał, nigdy by nie żył Don Kiszot,
Nigdy by w Trzecim Maju nie urosły
Iluzye, na co dziś tak wrzeszczą posły.

Że wyraz „iluzye“ odnosi się do sprawy królestwa Czartoryskiego, to nie ulega wątpliwości, ale co właściwie należało rozumieć przez owe złudzenia: czy wiarę w potrzebę i stosowność ogłoszenia Czartoryskiego królem, czy wiarę w to, że emigracya da się pociągnąć tej myśli i pozwoli ją urzeczywistnić? Można było rozumieć dwojako i ta niejasność dogadzała Słowackiemu; dla Czartoryszczyków jednakże niechętne wyrażenie o posłach, że „wrzeszczą na to“, mogło być wskazówką, że poeta rozumiał te iluzye w sensie przychylnym dla tych, którzy im ulegli.

Jeszcze więcej na taki domysł mógł naprowadzać ustęp, zawarty w dalszym ciągu tej samej (III) pieśni. Ustęp to jeszcze bardziej niejasny, bardziej zamglony od poprzedniego, ale rozgarnąwszy mgłę, można wydobyć z niego wiersze, które nie mogą znaczyć nic innego, jak to, że Słowacki w sprawie królestwa Czartoryskiego, tak żywo poruszającej ogół emigracyi, stawał po stronie księcia. Powiedziawszy, że nawet dyabeł nie chce już emigracyi, „i żadną serca żądzą już nie łechce“, poeta pisze dalej:

Ambicya serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,
Gwiazdy się spyta każdej, co upadła:
Jakie pryncypia ma?... A księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dla tego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś — srebrnego.

Pryncypia... O pryncypia! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna... Więc przekréślę
Te strofy... Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie boża ręka,
Tak dziwnie!... że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje Falanstery,
Bądźcie mi zdrowe!... I wy co bez głowy
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery
W arystokratów gracie: smętne sowy!

Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy.
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca — lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna! — Ha — to mię przestrasza —
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka — śmiech mię zbiera

Cóż znaczyło to gorące oburzenie i przeciw komu się zwracało? Możnaby myśleć, że poeta całą emigracyą smaga tem oburzeniem, gdyby z pojedyńczych zwrotów nie wynikało, że chodzi tu głównie o sejm, o gminy, z których się składało stronnictwo środkowe, Lelewelowskie, i o jenerałów. Ale cóż oni wówczas zrobili takiego, ażeby aż serce miało pękać poecie? albo raczej co powinni byli robić podług poety, a czego nie robili?

Prawda, ciągłe spory i kłótnie w emigracyi były rzeczą smutną i czyniły życie emigracyjne ciężkiem i jałowem. Mickiewicz pisał do brata w tym czasie (3 marca 1841): „Nie możesz sobie wystawić. co to za bieda z ludźmi zamkniętymi w tak smutnem położeniu. Każdy dzień i noc kuje projekta polityczne i wścieka się, kiedy drugich nie może na swoją stronę przemówić“[1]). A do Domejki w parę miesięcy potem: „Między naszymi zawżdy to samo głupstwo i kłótnie jeszcze żwawsze. Już to u nich stało się chroniczne i do nieuleczenia“[2]). Ale czy sama kłótliwość emigracyi mogła wywołać w Słowackim takie potoki rozpaczliwego oburzenia i potępienia? Że Słowacki nie należał do ludzi, którzy cenią jedność i zgodę, dał tego liczne dowody i przedtem i potem, więc już to samo nie pozwala na powyższe przypuszczenie. Ale prócz tego jest jeszcze inna wskazówka, która nakazuje inaczej tłómaczyć to potępienie. Wśród potępionego ogółu poeta znajduje jedną tylko postać, dla której nawiasowo wprawdzie, ale bardzo gorąco wyraża współczucie. Postać ta zakryta jest nazwą „asa“, który jest „z sercem i laurowy“, a którego chcą bić jakieś młódki, dlatego, że „kozery“. Tym asem w ówczesnej sytuacyi nie mógł być kto inny,

---

[1]) Koresp. I 231. [2]) Tamże I. 232.

jak książe Czartoryski, „kozerami“ były zapewne różne figury sejmowe, przeciwne dynastycznym zamiarom księcia, a ta nawiasowa, ale tak gorąca sympatya dla asa, całemu oburzeniu poety nadawała szczególny charakter. Był w tem wszystkiem jakby wtór do skargi, wypowiedzianej przez księcia na ostatnim obchodzie 29 listopada (1840), który stronnictwo księcia odbywało zwykle w Towarzystwie literackiem, skargi, że na trudnem stanowisku swojem „często ani poparcia dostać, ani dobrego słowa nie zdarzy mu się usłyszeć“[1].

Sprawa „króla de facto“, obok strony osobistej i w danych warunkach śmiesznej, miała stronę zasadniczą, poważną. Było w niej uznanie, że Polska potrzebuje silniejszego rządu i ciągłości władzy i że brak tego przyczynił się do jej zguby. Ale nie zasadniczą strona, która była wręcz przeciwna całemu nastrojowi Słowackiego, mogła ta sprawa przemawiać do serca, raczej do fantazyi jego, tylko właśnie stroną osobistą. Nie byłoż czynem efektownym zdobić wygnańcze czoło koroną? Nie dodawałże temu czynowi uroku powszechny opór tych, nad którymi jedynie mógł nowy król panować? Była przytem pewna analogia pomiędzy stanowiskiem księcia a Słowackiego. Wszak i nasz poeta o niczem innem nie marzył, tylko o królewskiej i polskiej koronie, koronie poetyckiej, która nawiasem mówiąc więcej wówczas miała realnej wartości od tamtej, tak samo wierzył, że jest w polskiej poezyi królem de facto, i tak samo bezskutecznie walczył z ogółem emigracyi o przyznanie mu korony. Dodajmy do tego osobisty stosunek z domem księcia, zażyłość z takimi ludźmi jak Błotnicki lub Niedźwiedzki, a zrozumiemy, jak to się stało, że Słowacki wystąpił w *Beniowskim* jako stronnik Czartoryskiego w jego dążeniu do korony *in partibus infidelium*. Wystąpienie to było gęstą zasłoną przykryte, nie tak jednak gęstą, aby interesowani nie mogli jej wzrokiem przeniknąć

Tem też tylko można wytłómaczyć, dla czego redaktor *Trzeciego Maja*, Orpiszewski, tak chętnie otwierał przed Słowackim łamy swojego pisma i podawał mu sposobność do odparcia fałszów, zawartych w artykule *Tygodnika poznańskiego* O improwizatorach; dla czego *Trzeci Maj* zamieścił potem tak entuzyastyczną ocenę *Beniowskiego*, dla czego w roku następnym Czartoryscy tak łaskawie traktowali Słowackiego, iż poecie zdawało się, że mu chcą syna oddać w opiekę. „W oczach ich widzę, że mi chcą syna swego

---

[1]) *Trzeci Maj* z 12 grudnia 1840.

w przyszłości powierzyć, że im to miło wiedzieć, że za ich grobem syna ja będę strzegł i kochał bezinteresownie, jak kochają ludzie dumni i równi wszystkim". Wprawdzie Słowacki w liście podawał inną przyczynę[1], można jednak być pewnym, że gdyby był zajął w *Beniowskim* przeciwne względem dynastycznych dążeń księcia stanowisko, to takie zbliżenie z rodziną księcia, o jakiem pisał, te „małe codzienne tryumfy", te „maleńkie zdarzenia", z których każde „wymagałoby arkuszowych listów... i łańcucha całego okoliczności miejscowych", a któremi tak delektował się Słowacki, to wszystko byłoby niemożliwem.

Zatrzymałem się dłużej nad tą sprawą dla tego, aby pokazać, że Słowacki, który później tak wysoko wynosił sztandar demokratyczny i tak ostentacyjnie nim potrząsał, który w wierszu *Do Autora trzech psalmów* i w *Liście do księcia A. C.* okazywał się stanowczym przeciwnikiem korony i monarchizmu Czartoryskich, w czasach pisania *Beniowskiego* nie myślał być jeszcze takim, jak później, demokratą, i w tym poemacie, w którym miał doskonałą sposobność zarysowania swego stanowiska wobec emigracyjnej walki demokracyi z arystokracyą, stanął dzięki osobistym stosunkom bliżej obozu arystokratycznego niż demokratycznego.

Pozostaje nam jeszcze analiza zakończenia *Beniowskiego*, a raczej piątej jego pieśni. Jest to wierzchołkowy punkt poematu, i tu na tem końcowem wzniesieniu ustawił Słowacki najsilniejszą baterye poetycką, aby z niej otworzyć morderczy ogień na tego, który mu przez całe życie stał na drodze do sławy, w którym widział głównego sprawcę swoich niepowodzeń. Walkę z nim, zawartą w kilkunastu ostatnich oktawach, poprzedził wyznaniem wiary, ponieważ zostawało ono w ścisłym związku z tą walką. W pierwszym sądzie swym o poezyi Słowackiego zarzucał jej Mickiewicz brak Boga; ten sąd obiegał przez cały szereg lat emigracyą i drażnił uszy Słowackiego, i oto w natchnionej improwizacyi wielkiego przeciwnika znajdował go znowu. Wiemy, że w pier-

[1] „Guwerner mój dawny, jak pamiętasz, z długim nosem (Błotnicki)... wychował, ile ci wiadomo, drugiego pupilla, i wysłał go na uniwersytet... Na tym uniwersytecie uczeń ten poznał się z jednym moim kochanym (Krasińskim?), który mu tyle o mnie nagadał, że dobre chłopczysko, przyjechawszy tu na wakacye do starych rodziców, szukał mnie, a dobrze już będąc o mnie uprzedzony, pokochał szczerze... Za nim poszli rodzice, którzy dotąd nigdy się do mnie byli nie zbliżyli tak, jak teraz". Listy II 154.

wszej chwili nie był Słowacki dotknięty tym zarzutem, nie czuł tego pocisku, ujęty uznaniem swego talentu ze strony Mickiewicza, jego szczerością tonu i blaskiem natchnienia. Ale gdy w *Tygodniku literackim* fałszywie przedstawiono improwizacyę Mickiewicza i ów pocisk umyślnie zaostrzono (nie jesteś poetą, bo nie masz wiary i miłości), wtedy tem silniej zabolała poetę oddawna jątrząca się rana. Zarzucają mu brak wiary, brak Boga w kościele jego poezyi: otóż on ma Boga i ma wiarę, a jaką? to pokaże.

Rzecz to charakterystyczna, że *Credo* swoje, wypowiedziane w *Beniowskim*, zaczął Słowacki od artykułu wiary estetycznej: „Wierzę sercem poganina — W rym szekspirowski, w Danta i Homera". Nic naturalniejszego, że zaczynał od wiary w bogów poezyi on, który siebie także za Boga poezyi uważał, on, dla którego sfera wiary artystycznej była najwyższą sferą. Potem następowało *credo* polityczne. W tym względzie Słowacki nie znalazł nic więcej do powiedzenia nad to, co napisał był w *Podróży na Wschód*. Ten poemat ze wszystkich poprzednich utworów Słowackiego najpodobniejszy był do *Beniowskiego*. Jak tu, tak i tam, wzorem bajrońskiej poezyi, opowiadanie przeplatane było rozmaitemi dygresyami, rozmaitemi wynurzeniami lirycznemi i alluzyami, które prowadziły za sobą ciągłą zmianę tonu; i tu i tam poeta chlubił się swojem wirtuozostwem poetyckiem, i tu i tam przewodniczyła mu chęć olśnienia swoim artyzmem czytelnika. Wreszcie jakkolwiek dygresye w *Podróży na Wschód* nie odgrywały tak ważnej roli, jak w *Beniowskim* i nie miały za główny cel walki z przeciwnikami, znajduje się między niemi *credo* polityczne nie tylko w treści, ale i w wielu wyrażeniach bardzo podobne, niekiedy identyczne z tem, które podał w *Beniowskim*. Po co się ono tam pojawiało? (a pojawiało się dwukrotnie i w obu razach dosyć niespodzianie), trudno na to pytanie odpowiedzieć stanowczo. Być może, że i tam już grała pewną rolę chęć pokazania Mickiewiczowi i światu, że poeta ma czem zapełnić kościół swej poezyi. Możnaby tak wnosić z tych strof pieśni dziewiątej, gdzie Słowacki przedrwiwa proroctwa Mickiewicza i „jezuicką reakcyę"[1]).

---

[1]) Czy nie widzicie żem chory? Szatanizm,
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;
Wierzę w religię mas, w republikanizm,
W postęp... a nawet... wierzę w te czterdzieści
Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,

Credo z pieśni dziewiątej *Podróży na Wschód* było tylko jakby echem, skróceniem *creda* z pieśni czwartej, to jest tego wstępu, który w parafrazie przeszedł do *Beniowskiego*. Zwraca tu naprzód uwagę, w jednym i w drugim poemacie, trawestacya *creda* apostolskiego, zastosowana do Mochnackiego, rewolucyi listopadowej i emigracyi. Ma ona zwykły ton trawestacyi, ton drwiący, z pod tego tonu jednak widocznie przebija się sympatya dla Mochnackiego, który swoją *Historyą powstania* wywarł, jak wiemy, wielkie wrażenie na Słowackim, którego przekonania i poglądy polityczne odpowiadały dobrze nastrojowi psychicznemu poety. Ale na trawestyi nie mógł poeta poprzestać, jeżeli naprawdę chciał pokazać swoją wiarę polityczną, więc doszedłszy do „amen“ zmienił ton szyderczy na poważny i wygłosił swoje *credo* polityczne, które w *Beniowskim* tak brzmi:

Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp, że z kości rodzą się rycerze;
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi
I z gniazd najmłodsze orlęta wybierze;
I ogień z nim śpi i węże i trwoga...

W *Podróży na Wschód* odpowiada tym wierszom następująca strofa:

Wierzę, że idą ludy, jako chmura
Pełna błyskawic na trony zachwiane,
Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;
Wierzę, że Milcyad żył i Temistokles.

Porównywając pierwszy ustęp z drugim, dostrzegamy, że w tym pierwszym, późniejszym, znikło to, co miało wyraźnie anti-monarchiczny kierunek, więc znikła wiara w republikanizm, znikły trony zachwiane i próchniejąca w trumnach purpura, zostało zaś to, co monarchizmowi nie przeczyło: wiara w postęp, w bohaterów, w Nemezys dziejową. Nie chcę twierdzić, że Słowacki przerabiał swoje wyznanie wiary w ten sposób świadomie (bo, że tu było przera-

---

Ale w nią wierzę, jak w dogmat... z rozpaczy.

Mam także wielką ufność w jezuicką
Reakcyę... lecz się nie łączę i czekam;...

bianie, świadczą o tem poprzedzające strofy)[1], przypuszczam raczej, że mimowoli dostrajał się do sympatyi i przekonań stronnictwa, z którem go wówczas łączyły przyjazne stosunki i nieświadomie dobierał obrazów i wyrażeń, któreby tej harmonii towarzyskiej nie psuły.

Ale credo estetyczne i credo polityczne to były tylko dwa stopnie, potrzebne poecie na to, aby, wspiąwszy się po nich, wyjść na trzeci, najwyższy, i z tego wzniesienia ogłosić światu swoje wyznanie wiary religijne, zaśpiewać hymn swojemu Bogu, i tem wyznaniem, tym hymnem zmierzyć się z religijnością wielkiego przeciwnika, który mu brak wiary zarzucał.

Wierzę w to wszystko... ha!... a jeszcze w Boga.

Pięć strof, które następują po tem przejściu do religijnego *credo*, jest to niezmiernie ważny, ogromnie charakterystyczny ustęp, naprzód dla tego, że wyraził się w nim jeden z najwybitniejszych momentów monomachii Słowackiego z Mickiewiczem, powtóre, że w tym ustępie poeta otworzył na oścież bramy swojej świątyni, aby w pełnym blasku pokazać nam swojego Boga.

Na horyzoncie duchowym każdego poety, jak wogóle zresztą na horyzoncie duchowym każdego człowieka, można odróżnić cztery główne strony świata jego wyobrażeń i uczuć, cztery zasadnicze stosunki: do kobiety, jako przedstawicielki płci odrębnej; do społeczeństwa w jego rozmaitych formach albo zakresach: rodziny, koleżeństwa, narodu, ludzkości; do przyrody, jako karmicielki nietylko ciała, ale i ducha, jako do głównej mistrzyni, kształcącej wyobraźnię człowieka; wreszcie do tego pierwiastka jedności, tego Najwyższego Utajonego, bez którego nieskończoność zjawisk stawałaby się nieskończoną dla ducha ludzkiego zmorą. Dotychczas mieliśmy sposobność poznać stosunek duszy Słowackiego do kochanki, do społeczeństwa i do przyrody. Dwa pierwsze stosunki ukazały się nam w charakterze ujemnym, to znaczy, przedstawił się w nich Słowacki, jako niezdolny do szczerego ukochania kobiety i narodu; przeciwnie w trzecim stosunku, dzięki szczególnej swojej organizacyi duchowej, w której wyobraźnia wybujała kosztem innych władz ducha, objawił się jako nieporównany tłómacz piękności natury, jako ten, który umiał odczuć każdy jej wdzięk najsubtelniejszy, złowić naj-

[1]) Mianowicie trzy strofy, poświęcone Mochnackiemu w *Beniowskim*, które są przerobieniem trzech odpowiednich sześciowierszowych strof czwartej pieśni *Podróży na Wschód* na oktawy.

przelotniejszy jej uśmiech, dosłyszeć najlżejszego jej westchnienia i to wszystko czarodziejskiem słowem odmalować. Jakiż był stosunek jego względem Boga?

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!
W popiołach ziemi słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma!

Kto Cię nie widział nigdy, Wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywem,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje się krwią i płomieniem krzywym...
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie.

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu
Na wielkim stepie albo na Golgocie;
Ani wśród kolumn, które zamiast dachu
Mają na sobie miesiąc i gwiazd krocie,
Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie
Znalazł w stokrociach i niezapominkach:
A szuka w modłach i dobrych uczynkach —

Znajdzie... ja sądzę, że znajdzie... i życzę
Ludziom małego serca: kornej wiary,
Spokojnej śmierci... Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą... i świadczą o Bogu... szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza...
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżna, stracona przed kościoła progiem,
Przed Nim upadam na twarz — On jest Bogiem!

Czemże jest Bóg Słowackiego? Żeby go pokazać, poeta daje nam rozległy obraz stepu ukraińskiego, z szumem wiatru, z czerwonym ogniem zachodzącego słońca, z tęczą szarańczy na niebie. Tam on czuł i znajdował Boga. To, co dalej wspomina o kolumnach pod gwiaździstym dachem niebios, o zapachu młodości i stokrociach, jest już słabem tylko uzupełnieniem pierwszego obrazu, w nim więc, w tym obrazie mamy przedewszystkiem szukać pojęcia Słowackiego o Bogu. Bóg jego w tym obrazie uderza ogromem przestrzeni, ale nie tym bezkształtnym, jaki się w pojęciu nieskończoności zawiera, tylko tym plastycznym, jaki obraz stepu przedstawia, a obok ogromu plastycznego uderza szumem i blaskiem. Jest to Bóg, przemawiający tylko do zmysłów, do oczu i uszu, a przez te zmysły do wyobraźni, podobny do bogów, czczonych przez ludy pierwotne, nie umiejące oddzielić przyczyny zjawisk natury od samych zjawisk, przytem Bóg to jakiś stepowy, pierwiastek ruchu dla samego ruchu, niby wiatr ukraiński, niby koń rozhukany, niby ptak wielki z szumem przelatujący „przez wszystkie równiny“. Cóż dziwnego, że Bóg taki „lubi huczny lot olbrzymich ptaków“ i że „rozhukanych koni On nie kiełza“. Lubi on podobno także wielkie czyny, ale łatwo się domyślić, że tylko takie, które tworzą wspaniałe widowisko, które są ucztą dla oczu.

Jest coś panteistycznego w tem przedstawieniu Boga i być może, że Słowacki ulegał tu poniekąd suggestyi słów Krasińskiego, który widział formę panteistyczną w jego poezyi, który ją, jak wiemy nazywał „rozpłynieniem, powrotem do szerzy, do płynności światła, do gry tęcz, do fal muzyki, do woni kwiatów, do wszystkiego, co tylko chce się rozprysnąć i rozwiać na wszystkie strony, by znaleźć nieznalezionego Boga“ [1]). Zapewne pod wpływem tych słów mówił o sobie poeta w *Beniowskim*, że jest „panteistą trochę“, więc może i swoje wyznanie wiary dostrajał do określeń przyjaciela. Ale przedewszystkiem to wyznanie wiary, ten obraz Boga Słowackiego miał być przeciwstawieniem do religijnych pojęć tych ludzi, z którymi toczył zaciętą walkę, w szczególności do pojęć Mickiewicza, który mu zarzucał brak wiary i miłości i wzywał jego muzę na drogę, wiodącą do Boga. I to przeciwieństwo dobywał już Słowacki wprost z siebie, nie ze słów Krasińskiego i dla tego wiernie się wypowiedział w swojem wyznaniu wiary.

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego T. III, str. 5.

Żeby zrozumieć, jak dyametralna różnica zachodziła między Słowackim a Mickiewiczem w tym względzie, to jest w ich stosunku do Boga, dość jest odczytać choćby jednę strofę z *„Rozmowy wieczornej"* Mickiewicza, pisanej, podobnie jak Credo w *Beniowskim*, w chwili, gdy poeta czuł pełnię sił twórczych i stał u zenitu życia, i porównać ją z tem *Credo*.

Z Tobą ja gadam, co królujesz w niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha,
Gdy północ wszystko w ciemnościach zagrzebie,
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! słów nie mam dla Ciebie,
Myśl Twoja każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz i służysz w pobliżu,
Król na niebiosach, w sercu mem na krzyżu.

Słowacki znajdował Boga w obrazach przyrody, groźnych i wspaniałych, w szumie i blasku, rzecby można w błyszczącej i szeleszczącej szacie bóstwa, która olśniewała jego wyobraźnię, i przed takim Bogiem padał na twarz. Mickiewicz, jakkolwiek szukał go myślą „za gwiazd kołowrotami" (w *Dziadach)* znajdował jednak dopiero we własnem sercu i znajdował dopiero wtedy, gdy wszelkie szumy i blaski dzienne poznikały, gdy północ wszystko w ciemnościach pogrzebała i nic skupieniu uczucia nie przeszkadzało [1]). I wtedy uczucia żalu, skruchy i miłości płynęły z jego serca, jak wonie z kwiatów, których kielichy na noc się rozwijają, płynęły modlitwą bez słów, wiążącą domek jego ducha z Tym, który gościł w tym domku, ale zarazem królował w niebiosach, to jest serce poety z nieskończonością. Jednem słowem religijność Mickiewicza tkwiła w sercu, religijność Słowackiego w wyobraźni. Ten ostatni fakt potwierdzają tak inne utwory (np. *Hymn o zachodzie słońca na morzu*), jak i listy poety, o ile on w nich wspomina o budzeniu się swoich uczuć religijnych, np. opis wrażeń doznanych na Wezuwiuszu [2]).

---

[1]) Podobna myśl wypowiedziana jest w *Zdaniach i Uwagach* Mickiewicza, wziętych z pism mistyków:

Głośniej niźli w rozmowach Bóg przemawia w ciszy,
I kto w sercu ucichnie, zaraz go usłyszy.

[2]) „Raz tylko na Wezuwiuszu, patrząc na słońce wschodzące, odwróciłem się i modliłem się i łzy miałem w oczach. Raz tylko od kilku miesięcy coś czułem wiejącego na mnie z tamtego świata". Listy II, 10.

Czy ten błyszczący i szumiący Bóg Słowackiego miał co wspólnego z chrześcijańskiem pojęciem o Bogu? Nie, podobniejszy był raczej do Jehowy Starego Zakonu, który trzymał naturę w przestrachu i podziwie, którego świetność zewnętrzną i potęgę wielbił psalmista. Słowacki, wczytując się w Kochanowskiego psalmy, znajdował tam ustępy, dobrze odpowiadające obrazowi Boga z *Beniowskiego* np. w psalmie XVIII:

Trzęsła się w swym gruncie ziemia na wszystkie strony,
Trzęsły się góry, bo Pan był gniewem wzruszony.
Dym się kurzył z nosa jego, oczy pałały
Żywym ogniem, a z oblicza węgle strzelały itd.

albo we wspaniałym psalmie CIV:

Ciebie obeszła w koło cześć i świetna chwała,
Ciebie jasność jako płaszcz ozdobny odziała...

. . . .

Pan, który kiedy pojrzy, ziemia drży; Pan, który
Kiedy ręką gór dotknie, dymem pójdą góry.

Oto jest Bóg objawiający się, jak chce Słowacki, w natury przestrachu, mierzący tym przestrachem swoją potęgę. Jakże inaczej wygląda Bóg w ewanielii, Bóg, który błogosławi ubogim w duchu i zapewnia im królestwo niebieskie, błogosławi cichym i zapowiada, iż oni to odziedziczą ziemię, błogosławi pokój czyniącym i swoimi synami ich nazywa, każe miłować nieprzyjaciół i modlić się za nich. „Abyście byli synami Ojca waszego, który jest w niebiesiech; bo on to czyni, że słońce jego wschodzi na złe i na dobre, i deszcz spuszcza na sprawiedliwe i na niesprawiedliwe". (Mat. V, 45). Słowacki, w którym żądza wielkości, żądza sławy, zajęła niepodzielnie serce i rozpierała je, nie miał zupełnie, przynajmniej do owego czasu, zdolności do zrozumienia moralnego piękna, jakie świeci z prawdziwej pokory chrześcijańskiej, z prawdziwej miłości bliźniego, z prawdziwej miłości Boga, jako ideału najwyższej doskonałości moralnej. Najwięcej jeszcze zbliżył się on do tych pojęć w *Hymnie na morzu* i w *Anhellim*, ale w Hymnie jest raczej skarga na swoje losy, niż pokora i miłość chrześcijańska, w Anhellim miłość i litość, którą wlewa Szaman w bohatera poematu, przemieniają się, jak widzieliśmy, w samoubóstwienie. W *Beniowskim*, w owem wyznaniu wiary, które analizujemy, jest wręcz negacya idei chrześcijańskich, któremi od lat dziesięciu tak głęboko był przejęty

Mickiewicz, które tchnął w *Księgi pielgrzymstwa*, w *Dziadów Część III*, które od niego wychodząc szerzyły się w pewnem gronie emigracyi i wcielały się w życie, ściągając nieraz na to grono niechęć i szyderstwa płytkiej i rozpolitykowanej emigracyi. Słowacki. który znajduje Boga w wichrze stepowym, pod kolumnami świątyń egipskich, nakrytych gwiaździstem niebem, a nawet w stokrociach, z ironią mówi o tych, którzy go szukają w modlitwie i dobrych uczynkach, ludzi „kornej wiary“ nazywa ludźmi „małego serca“, porównywa ich z robakami i płazami i przeciwstawia im tych, którzy jak szumnoskrzydłe ptaki lub rozhukane konie przelatują przez życie.

Uniesiony antagonizmem względem Mickiewicza i jego religijności, podobny w istocie do uwielbianego przez się konia rozhukanego, który się na nic w pędzie nie ogląda, zapominał Słowacki o niekonsekwencyach, w jakie popadał, o tem, że jego wyznanie wiary kłóciło się najwyraźniej z tą czcią dla Chrystusa, którą niejednokrotnie manifestował, którą jeszcze w pierwszej pieśni *Beniowskiego* głosił, wspominając, jak „bił czołem w marmur Chrystusowy“. Dopóki się rzucał na Jezuitów, na Rzym, na papiestwo, nawet na katolicyzm, jeszcze jego cześć dla Chrystusa mogła była w ten lub ów sposób z tem całem miotaniem się pogodzić, jak się godziła nieraz w inowiercach, w różnego rodzaju kacerzach, sekciarzach i marzycielach, rojących o powrocie do pierwotnej gminy chrześcijańskiej. Ale kiedy uderzał już nie na to, co mógł uważać za skrzywienie nauki Mistrza, ale na to, co musiał uważać za samą jej rdzeń, za główne zasady i ideały, kiedy ośmieszał pokorę, modlitwę, skruchę i miłosierdzie, jakże mógł z tem wszystkiem pogodzić cześć dla Chrystusa?

Zagadki nie można inaczej rozwiązać, jak w ten sposób, że w Słowackim cześć dla Chrystusa z wyobraźni brała początek, nie z serca. Wielbił Go — naturalnie nie zdając sobie z tego sprawy — nie dla jego doskonałości moralnej, której niezdolny był odczuć sercem, ale dla tej aureoli, która otacza jego postać w dziejach, i dla dramatyczności, jaką historya jego męki przedstawia.

Jak ta dramatyczność działała na jego wyobraźnią, świadczy o tem pewien list jego szwajcarski, z czasów, kiedy studyował Biblię i nieraz przed zaśnieniem odczytywał głośno jakiś z niej rozdział. „Przedwczoraj — pisał do matki — tak mocno wraziła

mi się w imaginacyę męka Chrystusa, że we śnie umęczenie całe widziałem. Obudziłem się okropnie przerażony" [1]).

Jeżeli znalazłszy się sam jeden u grobu Chrystusa w nocy, na ten grób z płaczem się rzucał, wywołała to do najwyższego stopnia podniecona wyobraźnia poety, która mu uprzytomniała cały zewnętrzny blask postaci Chrystusowej.

Żeby lepiej zrozumieć charakter religijności Słowackiego, warto jeszcze przypomnieć to, co pisał o swoich uczuciach religijnych po otrzymaniu z Paryża pierwszego egzemplarza *Anhellego* swego ukochanego dziecka, jak go nazywał. Poszedł on wtedy, jak wiemy, „do wielkiej, ciemnej, pustej katedry", stanął po środku, zaczął myśleć o Bogu i oczy jego napełniły się łzami. „Upokorzyłem się, bo mi się zdawało, żem tego ranka urósł nieco i że Bóg upokorzenie moje widzieć będzie, jak gdyby jaka z najwyższych kolumn w ruinie upadała przed nim... Dziwnie, jak we mnie katolicyzm jest dumny". Otóż łzy, które mu się wówczas pokazały w oczach, nazwał Słowacki upokorzeniem się, z tego jednak, jak pisze o tem, z owego „urośnięcia", z owego porównania siebie do najwyższych kolumn, łatwo wywnioskować, że te łzy napędziła mu nie pokora, ale wyobraźnia poetyzująca chwilę, od której jak mu się zdawało, miał się rozpocząć okres jego sławy, i poetyzująca dekoracyą tej chwili, owo sam na sam z Bogiem w „wielkiej, ciemnej i pustej" katedrze. To też i sam, choć mówił o upokorzeniu się swojem, nazywał, i to z pewną chlubą, swój katolicyzm dumnym.

Ogłosiwszy swoje wyznanie wiary, pokazawszy swego Boga i upadłszy na twarz przed nim, Słowacki zwracał się do Mickiewicza, aby w ostatnich dwunastu strofach stoczyć z nim bój z zaciętością, która pod koniec przechodzi niemal w szaleństwo. Rozpoczynając *Beniowskiego*, nie przewidywał jeszcze, że jego poemat zakończy się takiem ostrzem, wymierzonem w pierś wielkiego przeciwnika, bo jeszcze wtedy nie był podrażniony ucztą, jej komentarzami i różnymi owacyami dla Mickiewicza. Poemat miał być przedewszystkiem chłostą dla *Młodej Polski* i tego stronnictwa emigracyjnego, które Słowacki upatrywał za nią. Mickiewiczowi naturalnie miało się dostać, ale do takiego szalonego pojedynku, jakim poemat się kończy, nie było jeszcze powodu. Zaczepiał go Słowacki w ciągu pierwszych trzech pieśni parę razy, czy to w pieśni III

---

[1]) Listy I, 289—290.

wspominając o „wieszczu wszystkowiedzącym“ i przedrzeźniając jego proroczą liczbę 44 (Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych! — Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi)[1]); czy to w pieśni drugiej starając się aż w pięciu oktawach ośmieszyć wallenrodyzm i w złem świetle ukazać Wallenroda. Ale były to tylko lekkie natarcia w porównaniu z atakami na *Młodą Polskę* i Jezuitów[2]).

Teraz, po obu ucztach na cześć Mickiewicza i po ukazaniu się artykułu o improwizatorach, Słowacki, rozdrażniony w najwyższym stopniu na Mickiewicza, postanowił skorzystać z poematu, który już był doprowadzony do początku pieśni szóstej, nie przedłużać powieści, ale przerobić tylko ostatnie dwie pieśni i w zakończeniu wytoczyć swoją sprawę przed światem, wypowiedzieć swoje pretensye do wielkości, której uznawać nie chciano, i z całym

---

[1]) Małecki nie dopatruje w tem ironii i powiada: „Poemat ten całkowity miał się składać z czterdziestu czterech takich pieśni, jak owe pięć co wyszły z druku 1841 r. Tyle ich przynajmniej autor zapowiedział w jednej ze zwrotek pieśni trzeciej“. (Juliusz Słowacki Lwów 1901 II 272). Zwracam uwagę, jak już w *Podróży na Wschód* Słowacki przedrwiwał tę liczbę proroczą, mówiąc, że wierszy w nią „z rozpaczy.“

[2]) Co się tyczy ustępu o wallenrodyzmie, który podług Słowackiego „wiele zrobił dobrego“, bo „wprowadził pewny do zdrady metodyzm. — Z jednego zrobił zdrajców sto tysięcy“, to ustęp ten nie jest oryginalnym pomysłem Słowackiego, ale echem pewnego artykułu *„Pszonki“* z roku 1840, (półarkusz 6 str. 21) p. t. „Wallenrodo-mania“. Ale w *Pszonce* z ośmieszaniem rzekomych naśladowców Wallenroda szło w parze uwielbienie dla twórcy tej postaci i dla samego Wallenroda. „Nieporównany Mickiewicz... wywołał z cieniów przeszłości krzyżackiej ową ogromną postać, od stóp do głów w kirysie, dumną, tragiczną. mściwą, słowem zakonnika rozkochanego, co pił, mordował i śpiewał ballady, a kreśląc ten olbrzymi charakter, mogący wielką myśl zaszczepić w narodzie, nie spodziewał się może wywołać najśmieszniejszych w świecie naśladowców, którzyby Molierowi mogli dostarczyć materyi do nowego rodzaju Tartiufów.“ Widział wprawdzie Pszonka „jakąś niedoskonałość“ w Wallenrodzie z powodu „że znikczemnienie podłość, brak charakteru, wyparcie się uczuć narodowych tak łatwo parodyują ten płaszcz krzyżacki i ten hełm z tajemniczą przyłbicą“, ale i przy tych słowach nie omieszkał nazwać Wallenroda „prześlicznym ideałem“, a Mickiewicza „nieporównanym wieszczem“. Słowacki w swojem natarciu na wallenrodyzm zwrócił ostrze głównie przeciwko Mickiewiczowi.

Ponieważ „Wallenrodo-mania“ ukazała się w czerwcowym półarkuszu *Pszonki*, przeto pieśń II Beniowskiego, a przynajmniej ów ustęp o wallenrodyzmie i to, co po nim następuje, nie mogło być pisane wcześniej, jak w drugiej połowie 1840.

impetem uderzyć na tego, którego sława, od pierwszych wystąpień Słowackiego na polu poezyi, przyćmiewała jego sławę. Ale do zawiści któż i kiedy się przyznawał? Tem mniej od innych mógł to uczynić Słowacki, więc za powód do swego uderzenia na Mickiewicza wziął przeciwieństwo zasad. Ale o tem później.

Pierwsza strofa tej monomachii była wyzwaniem:

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze — w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczoraj go w piersi uderzył,
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, żem skinął Ja — i wieszcza wskrzesił.

Ton wyzwania namiętny zapowiadał namiętną walkę. To, co Słowacki mówi o piołunie w ustach było alluzyą do pewnych szczegółów improwizacyi Mickiewicza, mianowicie do przyznania, że i on nieraz doznaje niewiary ze strony ziomków [1]). Przy końcu strofy zaznaczył Słowacki swoją wyższość nad przeciwnikiem, którego natchnienie od kilku lat opuściło; a jeżeli się na chwilę teraz zjawiło, to tylko dzięki Słowackiemu.

W czterech następnych oktawach podany jest obraz walki improwizatorskiej, stoczonej na uczcie. Słowacki „zwolna serca swego rwał kawały, zamieniał w piorun“ i ciskał w przeciwnika, to jest wypowiadał to, co mu od wielu lat nakipiało na sercu przeciw Mickiewiczowi, ale wypowiadał w poetycznych obrazach, których słuchacze pojąć należycie nie byli zdolni, więc choć sam czuł, że pociskami swymi zwyciężył przeciwnika, zwycięstwa tego słuchacze nie zrozumieli.

Za błękitami był bój i zwycięstwo
Ludzie nie widzą we mnie — tylko męstwo.

---

[1]) „Oto niedawno, rzekł on, kiedy miałem mówić przed obcymi, żaden z moich przyjaciół nie miał wiary w słowa moje, wszyscy mnie odbiegli, odstąpili; jedni mówili: skądże mu ta śmiałość w obcym odzywać się języku? Inni obwiniali mnie o miłość własną, a nie widzieli, że oto tu w sercu (i odkrył je) Bóg złożył słowa prawdy, które ja mocen jestem na wszystkie tłómaczyć języki itd.“ (Wyjątek z listu Januszkiewicza, Wł. Mickiewicz Żywot Ad. Mickiewicza T. III, str. 31) Jan Koźmian w cytowanym artykule (Dziennik Narodowy Nr. 16) potwierdza świadectwo Januszkiewicza: „Mówił i o sobie, jak nieraz jeszcze niewiary doznaje“.

Nie dość tego, ci słuchacze, to przyjaciele lub wielbiciele przeciwnika, to w znacznej części jego współkrajowcy, Litwini, już z góry niechętnie usposobieni dla Słowackiego. I poeta czuł tę niechęć ich ku sobie, czuł samotność swoją wśród „tej zgrai ciemnej“, czuł, że daremnie rzuca słowa „pełne łez i krwi i błyskawic świetnych“, na serca dla siebie „wstrętne“. Czemuż, jak Mickiewicz swoich Litwinów, tak on nie ma za sobą swoich Wołyniaków, którzy jako wychowańcy tego samego kraju „pełnego łąk kwietnych“, wykarmieni przez tę samą ziemię „krwią i mlekiem płynną“, powinniby go lepiej rozumieć i kochać?

Słowacki rozczulał się nad sobą i w tem rozczuleniu był szczery, ale kiedy potem wołał:

Jeśli wy bez serc! Wy! — to moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.

to był to frazes, w tak rozpaczliwej niezgodzie zostający z całym poematem, że jeśli go Słowacki nie usunął po napisaniu, to można to objaśnić tylko albo pośpiechem w oddaniu poematu do druku, albo co pewniejsza, brakiem zmysłu dla szczerości uczucia, któryby go ostrzegł o fałszywym akordzie.

Różnica prowincyonalizmów podsunęła Słowackiemu przeciwstawienie rodzinnej, krzemienieckiej Ikwy litewskiemu Niemnowi i tej to allegoryi użył poeta do sprostowania fałszu umieszczonego w artykule o improwizatorach, to jest tego szczegółu, że Mickiewicz w swojej improwizacyi odmówił mu jakoby prawa do tytułu poety. Nie, tak nie było.

Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy,
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy“.

I tu następują dwie strofy, w których Słowacki chciał swój antagonizm względem Mickiewicza, swój obecny zapęd wojowniczy, oprzeć na różnicy zasad społecznych i wspiąć się wobec narodu na stanowisku wieszcza-przewodnika, równorzędne stanowisku Mickiewicza, ale wręcz tamtemu przeciwne.

Ha! ha! mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie!
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża,
Piorunem myśli podniesione ślecie...
Gnacie... Znam wasze porty i wybrzeża!

Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej!... i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoję śpiewał.
Kiedy kląć zechce... przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć... ja będę rozgrzewał,
Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Na czemże polegała różnica zasad? Jakąż to drogą Mickiewicz, według rozumienia Słowackiego, chciał prowadzić naród, a jaką drogą on, Słowacki? Autor *Beniowskiego* chciał koniecznie przeciwstawić swoje zasady społeczne zasadom Mickiewicza, ażeby uzasadnić swoją namiętną z nim walkę i swoje pretensye do przewodniczenia narodowi, czyli do pierwszeństwa. Ale nie była to rzecz łatwa, przedewszystkiem dla tego, że kwestye społeczne były dotychczas dla Słowackiego rzeczą obcą, obojętną, że właściwie żadnych zasad społecznych nie miał. Jeżeli chodziło o patryotyzm, to szedł on tak samo w kierunku patryotycznym, jak Mickiewicz, z tą różnicą, że patryotyzm jego w *Kordyanie* przejęty był z drugiej ręki, właśnie z ręki Mickiewicza. Jedną tylko różnicę w patryotyzmie spostrzegał wyraźnie Słowacki między sobą a Mickiewiczem: patryotyzm tego ostatniego opierał się na katolicyzmie, na doskonaleniu się wewnętrznem w duchu ewanielii, a wobec tego Słowacki zachowywał się odpornie i szyderczo, jak np. w Przedmowie do trzeciego tomu poezyj, albo jak w owem wyznaniu wiary, którego analizę już podałem. Otóż tę różnicę Słowacki postanowił uwydatnić teraz, stając przed narodem, jako nowy jego wieszcz przewodnik, żeby zaś odstręczyć od Mickiewicza tłum emigracyjny, religijności jego nadawał niepopularną barwę ultramontanizmu. Tak trzeba rozumieć zarzut Słowackiego, że portową wieżą dla Mickiewicza i jego przyjaciół jest korona papieża.

Ale ten zarzut zapewne wydawał się niedostatecznym poecie, więc skorzystał z rozmaitych plotek i niedowarzonych sądów emigracyjnych o pierwszych wykładach Mickiewicza w Collège de France, aby do pierwszego zarzutu: ultramontanizmu, dodać drugi: panslawizm. „Lub w Sławiańszczyźnie bez echa toniecie“.

Żeby zrozumieć, skąd taki zarzut mógł powstać, trzeba wiedzieć, że znaczna część emigracyi paryskiej sądziła, że Mickiewicz,

zostawszy profesorem Collège de France, będzie korzystał z tej katedry, ażeby niejako z obowiązku patryotycznego wszystko, co rosyjskie, bez względu na prawdę historyczną, przedstawiać w złem świetle. Tego się też obawiano i ze strony rządu francuskiego. Mickiewicz w pierwszych swoich wykładach rozproszył i nadzieje i obawy, i pokazał, że ani polskość, ani patryotyzm nie odbierają mu bezstronności historycznej. To wywołało w różnych kołach emigracyjnych niezadowolenie, ujemne a nawet obraźliwe sądy. Już w pierwszej prelekcyi nie podobało się to niektórym polskim słuchaczom, że Mickiewicz charakteryzując języki słowiańskie, nazwał język rosyjski językiem prawodawstwa i administracyi, język polski językiem literatury i rozmowy potocznej. Jeszcze większe niezadowolenie wywołało to, co mówił na drugiej lekcyi o zasługach Rusi i Polski względem chrześcijaństwa, przyznając Rusi, a właściwie Rosyi zasługę pokonania Tatarów, Polsce zasługę powstrzymania potęgi Turków. Najwięcej wrzawy wywołała trzecia lekcya z powodu słów Mickiewicza o charakterze patryotyzmu polskiego. „Niepodobna jest określić patryotyzmu polskiego wyrazami i zamknąć go w formule scientyficznej. To pewna, że u poetów, mowców i polityków narodowych polskich, ojczyzna nie jest to miejsce gdzie jest dobrze (ubi bene), nie jest to pewny stan pomyślności, nie jest to pewny kawał ziemi określony granicami, za któremi kończy się byt i działanie narodowe Polaka. Ojczyzna Polaków żyje i działa wszędzie, gdzie biją wierne serca jej synów...“[1]) I zacytowawszy w końcu słowa Aleksandra I: „Polacy poświęcają rzeczywistość dla urojeń“, dodawał: „Miał on słuszność, jeżeli jak to dziś bywa, nazwiemy urojeniem wszelką ideę, która jeszcze nie ma władzy na ziemi i jeszcze dąży ku rzeczywistości“.

To idealne pojmowanie patryotyzmu i ojczyzny, w którem się już taił późniejszy mesyanizm, dla większej części emigracyi, rozpolitykowanej i płytko rzeczy biorącej, było niezrozumiałem i gorszącem. *Narodowość* wydawana przez niejakiego Słowaczyńskiego, odsyłała Mickiewicza do słownika Lindego i kazała mu tam dowiadywać się, co znaczy słowo ojczyzna. *Zjednoczenie* z tego samego powodu wołało: Adamie! — przebóg! niegdyś wielki nasz poeto! Ojczyzna nie jest dla Polaka ni snem, ni marzeniem. Naród, który za swoją wiarę, za swoje swobody, za swoją wolność i nie-

---

[1]) Literatura słowiańska Poznań 1865 T. I str. 21.

podległość przez ośm wieków swą krew przelewał. ten naród wiedział i wie. co jest jego ojczyzną"[1]). *Pszonka* dowcipkował: „Emigracya gniewa się za jakieś tam brednie o Polsce i Ojczyźnie. Czy zapomniała, że poecie wszystko wolno?"

Ale wszystkie pisma emigracyjne prześcignęła *Nowa Polska*, wydawana przez osławionego krzykacza J. B. Ostrowskiego, który pierwszym wykładom Mickiewicza poświęcił sążnisty artykuł, na dwa numery rozciągnięty, p. t. „Pan Adam Mickiewicz profesor". Co on tam naprzód o ucztach dla Mickiewicza, a potem o jego wykładach popisał, przechodzi wszelkie pojęcie: „Ten Polak, ten męczennik, ten pierwszy wieszcz, jako raczy nazywać siebie — przyjmuje szumne wieczory, zachmiela się szampanem — kiedy Polska łzy i krew wylewa"[2]). „We swoim umyśle Polski potężnej, zasłużonej, poważnej, przygotowanej na nowe nieograniczone poświęcenia nie znalazł. To był pył dlań. Moskwa zajęła jej miejsce jako najgrubsza, jako najogromniejsza"... W dalszym ciągu J. B. Ostrowski dowodził, że Mickiewicz „rozmyślnie, przez dobrze i spokojnie rozważany i przyjęty zamiar, uczynił to, co dosyć trafnie nazwano złorzeczeniem narodowym świętościom..."[3]) Przypomniał przedmowę do pierwszego wydania Wallenroda, gdzie Mikołaj nazwany był ojcem ludów i twierdził, że uczucia patryotyczne Mickiewicza oziębiły się „na salonach moskiewskiej arystokracyi i przez lubieżne pieszczoty moskiewek"[4]).

Nie podobało się także wielu słuchaczom, że Mickiewicz w pierwszych swoich wykładach szczególnie się zajmował Ukrainą i jej poezyą dawniejszą i współczesną. Z powodu różnych ujemnych sądów, jakie o tem krążyły, pisał Bohdan Zaleski do Goszczyńskiego (29 stycznia 1841): „Nie wierz, mój Sewerynie, co ci piszą o Mickiewiczu. Byłem sam bez wiedzy profesora na jednej lekcyi i wyszedłem całkiem rozradowany. Była mowa o charakterze fizycznym różnych miejscowości słowiańskich, a mianowicie Polski, Moskwy, Ukrainy. Oczywiście Ukraina, która ma pieśni ludu, ma piewców swoich dawnych i nowych, najwięcej dostarcza barw poetyckich. To się zaraz nie podobało słuchaczom. „Czy to już w Polsce oprócz Malczewskiego, Goszczyńskiego, Zaleskiego nie było i nie ma po-

---

[1]) Zjednoczenie z 25 kwietnia 1841 T. I str. 3.

[2]) Nowa Polska T. IV Oddział 3 str 617.

[3]) Tamże str. 618.

[4]) Tamże str. 619.

etów?“ Sam słyszałem taki wyrzut. Ty wiesz, że u nas wciąż krąży w obiegu pewna masa pospolitych wyobrażeń i, broń Boże, uderzyć na nie... Byle nowszy nieco lub śmielszy pomysł, natychmiast podejrzywają patryotyzm“[1]).

O podobnych podejrzeniach pisał i zbijał je Bohdan Zaleski w liście do Lucyana Siemieńskiego, o parę miesięcy późniejszym (3 kwietnia 1841). „Czytałem noty stenografów i ani słówka o tem, co mi pisałeś i co czytałem sam po emigranckich żurnalach. Wierzaj mi, wszystko to plotki ludzi, nierozumiejących rzeczy sobie nieswojskich, a chcących przecież o nich wyrokować. Mickiewicz, jako Litwin, nie wierzy nawet w Słowiańszczyznę, ale w samą jedną Polskę, z którą zjednoczyli się ongi jego przesławni Olgierdowicze. Ale poradźże Polonii! Dla nich Ruś Kijowska, Nestor i Bojan, to Moskiewszczyzna. Ani chcą wierzyć, że tam wcześniej rozwinęła się poezya samorodna itp. A cóż dopiero mówić im o Czechach i Serbach? Sam to wiesz z własnego doświadczenia. Polityka u nas, przedewszystkiem polityka i dla lada jakiego widzi mi się tej lub owej partyi trzebaby wciąż poświęcać prawdę“[2]).

Na takich to emigracyjnych plotkach i podejrzeniach opierał Słowacki swoje posądzenie Mickiewicza o panslawizm[3]), opierał tem

---

[1]) Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego, wydał Dyonizy Zaleski. Lwów 1900. T. I str. 195. Lekcya, o której Zaleski pisze, był to piąty wykład z d. 12 stycznia 1841.

[2]) Tamże I, 198.

[3]) Na obronę Słowackiego można powiedzieć, że wtedy, kiedy pisał *Beniowskiego,* prelekcye Mickiewicza jeszcze nie były ogłaszane drukiem, nie było więc łatwo oceniać wartość podejrzeń i plotek emigracyjnych. Tłómacz wykładów Mickiewicza, Feliks Wrotnowski, w przedmowie do trzeciego wydania Literatury słowiańskiej powiada, że nie tylko rodacy rozsypani po Francyi, ale „obecni nawet w Paryżu nie mogli częstokroć zgodzić się o to, co z katedry było powiedziane“, i to właśnie było głównym powodem, że zabrano się do ogłaszania tych prelekcyj. Ale z drugiej strony trzeba zaznaczyć, że gdyby Słowacki pilnie uczęszczał na wykłady Mickiewicza, lub przynajmniej postarał się o przejrzenie stenograficznych zapisków, które już od piątej lekcyi się poczęły, to byłby się przekonał, jaki jest prawdziwy pogląd Mickiewicza na panslawizm. Mianowicie przy końcu wykładu dziewiątego (z 26 stycznia 1841) znajdujemy te słowa: „Narzekania słowianofilów, że wszczęcie się królestw rozerwało jedność Słowiańszczyzny, nie ma żadnej zasady. Jedności tej nigdy nie było. Jedność ludów znajduje się tylko zapisana na pierwszej karcie religijnych podań Biblii i znajdzie się znowu, jak się spodziewamy, na ostatniej stronicy filozofii prawdziwej. Przed początkiem historyi politycznej żaden węzeł powszechny nie łączył Słowian, a hi-

chętniej, że cytowanie Malczewskiego, Goszczyńskiego i Zaleskiego (tego ostatniego kilkakrotne) w pierwszych wykładach Mickiewicza, cytowanie ich, jako poetów ukraińskich, a pomijanie jego, Słowackiego, który jako autor *Żmii* opiewał również Ukrainę i kozaczyznę, mogło mu się wydawać i wydawało się zapewne umyślnem upośledzaniem jego przez Mickiewicza.

Ale wróćmy do pytania, jaką to drogę własną przeciwstawiał Słowacki „kłamnej“, jak ją nazywał, drodze Mickiewicza, dokąd to chciał prowadzić „lud“ za sobą, pewny, że lud za nim pójdzie? Nie chciał prowadzić do Rzymu, ani do roztopienia się w Słowiańszczyźnie, to było wyraźne, ale nie mówiąc już o tem, że przypisywanie Mickiewiczowi ultramontanizmu lub panslawizmu w zwykłem tego słowa znaczeniu było fałszem, sama ta niechęć do obu kierunków nie wskazywała jeszcze, jaką drogą chciał Słowacki lud czy naród prowadzić. W tym względzie poecie, jak już wspomniałem, trudno się było jasno wypowiedzieć, poprostu dla tego, że żadnej takiej jasnej drogi nie miał. Wspaniałe wezwania, które z *Grobu Agamemnona* rzucał Polsce, aby wstała, „nagością żelazną bezczelna... jak wielki posąg z jednej bryły“, zarówno jak i to, co wieszczył w zakończeniu *Anhellego* o przewadze ludu, o „krwawych rzekach“, o „bladych królach“ i „wichrze zemsty ludzkiej“, świadczyło tylko o tem, że wyobraźnia Słowackiego podobnie jak w „hucznym locie olbrzymich ptaków“ i w widoku „rozhukanych koni“ lubowała

---

storya ta pracowała ciągle nad zatarciem plemiennictwa, którego już wszelki ślad zniknął. Polak dzisiaj uważa Rosyanina za człowieka zupełnie innego rodu; Serb i Czech nie przyznaje się do wspólnego pochodzenia z ludami północnych krajów słowiańskich. Pojęcie Słowiańszczyzny całkowitej zaświtało dopiero w wieku przeszłym: jest to owoc scientyficznej i literackiej roboty uczonych; ale żeby tę całość kiedyś rzeczywiście otrzymać, podobno chwycono się dróg nie najlepiej prowadzących do celu. Uczeni wołają zawsze w imię wspólnego rodu, nie pomnąc, że to instytucye religijne i polityczne sprawiły te różnice, któreby oni chcieli zniszczyć, i że nie można zniszczyć całej historyi ludu, aby go wrócić do początku fizycznego“... „Insi zajmujący się myślą przyszłego odbudowania Słowiańszczyzny, upatrują środek w tej lub owej formie rządu. Ale żaden rząd nigdy nie miał dosyć mocy na spojenie różnych narodowości. Cesarstwo rzymskie, które było ideałem siły materyalnej, narzuciło swój kształt wielu ludom zachodnim; za pierwszym wszakże ciosem Barbarzyńców, pękła na zawsze ta spojnia martwa. Owoż i Słowianie nie powinni spodziewać się, żeby ich mogła zgromadzić fizyczna skłonność krwi wspólnej, albo ponętna obietnica jakiej upodobanej formy rządu; dokazać tego potrafiłaby tylko idea powszechna, wielka, idea zdolna objąć całą ich przeszłość i przyszłość“. (Lit. Słow. I. str. 79 i 80).

się także w jaskrawych obrazach rewolucyjnych ruchów, ale nie świadczyło o wyrobionych i głęboko odczutych w sercu przekonaniach społecznych i za wskazanie narodowi drogi do wyzwolenia uważane być nie mogło. Ażeby się wywinąć z tej trudności, skorzystał Słowacki z pewnego przeciwieństwa swego względem Mickiewicza, przeciwieństwa. z którego — dzięki Krasińskiemu — zdawał sobie jasno sprawę, z tego mianowicie, że jego geniusz poetycki był antytezą geniuszu Mickiewicza, że jak tamten, Mickiewicza, miał charakter siły dośrodkowej, tak jego — odśrodkowej. I dla tego to pokazując niby drogę, którą ma prowadzić naród, nie potrafił powiedzieć nic więcej nad ten wiersz, który dobrze odśrodkowość jego ducha malował, ale jako wyraz przekonań politycznych był frazesem bez treści:

Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.

Kto prowadzi wszędzie, ten nie prowadzi nigdzie. Jeżeli jednak Słowacki drogi swojej nie pokazał, bo dla swego antyspołecznego indywidualizmu formuły odpowiedniej jeszcze wtedy nie znajdował, to zato, znalazłszy nową sposobność uwielbienia swojej poezyi, znowu, już nie wiem poraz który, uwielbił jej blask i śpiewność i wspaniałym wybuchem samouwielbienia (Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie głosy i t. d.) zakrył nicość głównej myśli.

Po tem samouwielbieniu, zdaje się, że szaleństwo ogarnia poetę. W ostatnich pięciu strofach rzuca się on, niby Orland szalony, z mieczem na swego przeciwnika, szydzi z niego i urąga, mówiąc o jego twarzy „zielonej“ w nocy[1]), o „liści dreszczu“, świadczącym „o próchnie duszy“, wieszczy sobie zwycięstwo, grozi mu losem Hektora — zabiciem i włóczeniem trupa, wykrzykuje, rzucając hasła, które zdają się coś wielkiego znaczyć („Kocham lud więcej, niż umarłych kości...“ albo „Bóg mi obronę przyszłości poruczył“) a właściwie są tylko teatralnym gestem, wypływającym z chęci podkreślenia swego stanowiska, jako wyższego od stanowiska Mickiewicza, wreszcie wieńczy to całe we wspaniałą szatę swego stylu przybrane szaleństwo pożegnaniem:

Bądź zdrów! — A tak się żegnają — nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi

---

[1]) „Zielona“ twarz jest alluzyą do bladości, którą się okrywała zwykle twarz Mickiewicza w chwilach improwizacyi.

To pożegnanie jest nowym dowodem, jak na całym poemacie zaciężył wpływ listu Krasińskiego. Wyrażenie: „Dwa bogi na słońcach przeciwnych“ było jakby powtórzeniem wskazanego w liście Krasińskiego przeciwieństwa pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem, przyczem ci, których Krasiński nazywał „wielkimi duchami“, otrzymywali tytuł „bogów“, także pod wpływem Krasińskiego, jego uwielbienia dla poezyi Słowackiego; bo to uwielbienie w prywatnym liście zamknięte, a więc światu jeszcze nieznane, w rozdrażnieniu, w jakie popadł wówczas Słowacki w skutek artykułu o improwizatorach. jeszcze więcej go podniecało i ośmielało do samoubóstwienia. A przyznając sobie boskość, dla konsekwencyi musiał ją przyznać i drugiemu „wielkiemu duchowi“, swemu poprzednikowi i przeciwnikowi.

Tym sposobem współzawodnictwo względem Mickiewicza. które od lat dziecinnych tlało w sercu Słowackiego, objawiając się na zewnątrz z większą lub mniejszą siłą, teraz w ostatnich strofach *Beniowskiego* dosięgało zenitu, wybuchało wielkim płomieniem, a ten płomień jaskrawo oświetlał tragedyę życia poety, i tę, co już była za nim. i tę, którą Słowacki miał jeszcze do przebycia.

ROZDZIAŁ IX.

Trwogi i tryumfy.

1841.

Obrona *Nocy letniej* Krasińskiego. — Wyjazd do Frankfurtu i pobudki tego wyjazdu. — Światło, które pada na epizod frankfurcki z korespondencyi poety z Niedźwiedzkim, matką i p. Bobrową. — Przestrogi Krasińskiego. — Roznerwowanie Słowackiego. — Miłość ku pani Bobrowej. — Komedya w tragedyi życia Słowackiego i moment tragiczny w tej komedyi. — Sprawa pojedynku z Ropelewskim. — Jakie wrażenie wywarł *Beniowski* na Bohdanie Zaleskim i Mickiewiczu. — Sądy krytyki emigracyjnej o *Beniowskim* i stosunek trzech głównych stronnictw emigracyi do tego poematu. — Tryumfatorski nastrój Słowackiego.

Jeszcze przed ukazaniem się na świat *Beniowskiego* Słowacki znalazł inny sposób pomszczenia krzywdy, którą mu wyrządzono w artykule *Tygodnika* poznańskiego o improwizatorach. Ukazała się była w owym czasie *Noc letnia* Krasińskiego, drukowana jak i poprzednie jego utwory bezimiennie. Powieść ta, trzymana w hyperromantycznym tonie, była jakby cofaniem się Krasińskiego do ma-

niery Agay-chana[1]). *Tygodnik literacki*, który tak wysoko wyniósł był Krasińskiego, jako autora Irydyona, nie wiedząc, że i *Noc letnia* jest jego utworem, podał w doniesieniach literackich taką o niej krótką i pogardliwą wiadomość: „W Paryżu wyszło dzieło *Noc letnia*. Słabe naśladowanie stylu Krasińskiego, bez myśli i ładu“[2]). Słowacki, który wiedział, kto jest autorem *Nocy letniej* i który niedawno otrzymał wiadomość od Krasińskiego, że ten ostatni ma w jego obronie wystąpić w jednem z pism poznańskich[3]), postanowił wywzajemnić się przyjacielowi i również stanąć w obronie jego utworu, a zarazem skorzystać z tej sposobności, ażeby uderzyć na tych, którzy w tymże Tygodniku tak boleśnie go dotknęli, przekręcając słowa improwizacyi Mickiewicza. To też otrzymawszy od redakcyi *Trzeciego Maja* zaproszenie do napisania fejletonu o *Nocy letniej* (a otrzymać takie zaproszenie przy ówczesnych jego dobrych stosunkach z Czartoryszczykami było rzeczą łatwą) podzielił się on z przyjacielem ofiarowanem sobie miejscem w taki sposób, że niemal połowę obrócił na swoją sprawę, a resztę poświęcił przyjacielowi. Było to zapewne w oczach Słowackiego jakby powtórzenie sceny z *Lilli Wenedy*: Lelum i Polelum, związani z sobą łańcuchem, występowali do walki przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi.

Żeby powiązać swoją sprawę z oceną powieści przyjaciela wystarczyła Słowackiemu gra słów: przeciwstawienie wyrazowi „Noc letnia“, wyrazu „Noc zimowa“. Oto jest początek owego fejletonu; falują w nim jeszcze te same wzburzone uczucia poety, które się tak piętrzą w ostatnich strofach *Beniowskiego*.

„Chcecie, ażebym wam napisał fejleton o Nocy letniej, lekko, zgrabnie i stylem brylantowym. Niestety! niestety! myśl moja zajęta jest pewną nocą zimową, gorzej, dotkliwiej, kwaśniej, niżby

---

[1]) Obszerną i trafną analizę *Nocy letniej* podał Stan. Tarnowski w swojej monografii: „Zygmunt Krasiński“ W Krakowie 1892 str. 322—332.

[2]) Nr. 14 Tygodnika literackiego z dnia 5 kwietnia 1841.

[3]) „Jeśli tam macie z księstwa dzienniki, tak koło kwietnia, maja i aż do pół czerwca, pilnuj, czy w nich nie znajdziesz pewnych myśli bratnich a szczerych, a już nie w biurku zatęchłych, lecz wolnem okąpanych powietrzem. Gdy je czytać będziesz, nie myśl o ich treści, bo to, co w sobie masz, znasz przecież, a tam, o tem tylko mowa; ale pomyśl, że w Villi Róż było niegdyś dwóch ludzi, co sobie ślubowali przyjaźń i dochowali jej, a wtedy to może rozwidni twoje niektóre marzenia o niestałości uczuć ludzkich“. List z datą 16 marca 1841. Listy Zygm. Krasińskiego III, str. 20.

na poetę przystało. a właśnie tak, jak przystoi na fejletonistę, który radby się dziennie ścierać i wygrywać bitwy — a ilekroć ukolą go fałszerze, rzuca się jak lew leżący na podstawie dziennika. Słyszeliście zapewne o jednej sławnej nocy zimowej, o improwizujących dwóch poetach — o łzach słuchaczy, o mdleniu krytyków, o ściskaniach się wieszczów, którzy długo rozdwojeni okolicznościami, zbliżyli się duszą nareszcie... a których dusze były tak białe, jak Anhellego cień, idący po sybirskich jeziorach — i miała nawet rozlać się w sali woń konwalii — i rozpromienić się sala jutrzenką, dusz różanem światłem. . Kłamstwo! Wiecież wy, co się działo tej nocy? Oto Adam powiedział Juliuszowi wręcz, że nie jest poetą, oto Tygodnik poznański powtórzył głośno słowa Adama i to nazwał improwizacyą. Na Boga!... jeżeli tak było, to przynajmniej wyrok ów improwizacyą nie jest, ale długo i dobrze pomyślanym poematem — który to poemat zapewne Grabowski w krytyce za kamień węgielny *Litewskiej szkoły* położy. Cieszmy się, że taka wielka fantazya przewodniczy tworzeniu się kłamstw — cieszmy się, że improwizacye są jak owe historyczne wypadki, w których Szyler kazał wyszukiwać poezyi — to jest, że zaginąwszy w rzeczywistości, już nie mogą zmartwychwstać, ani się bronić — i są jak trupy bez mowy... Cieszmy się, bo zapewne o tego Juliusza nikt dbać nie będzie; a gdyby powiedziano, że owej nocy zimowej Adam oskarżył go o brak honoru w grze — albo o jaki nałóg haniebny, albo inszą rzecz jaką podłą — równieby kłamstwo korespondenta przyjął Tygodnik — równeby echo rozeszło się między czytającymi — wielkie, niezaprzeczone, twarde, kończące się tym: Adam powiedział. O! jakże więc lepiej, że go tylko w osobie poety zabito! Jakże dobrzy są owi litewscy rycerze, że mogąc wszystko skłamać — lub kłamać dozwolić — to jedno tylko skłamać pozwolili. Taki jest poemat o nocy zimowej — gwiazdy skrzyły się nad Sekwaną — księżyc świecił — stanęliśmy na mostach nad Sekwaną — rzuciliśmy z bladością Lary trupa do Sekwany — tyle razy zmartwychwstawał — może teraz ostatecznie zabity — może już nigdy nie pokaże się na świata widowni — jeżeli nie, jeżeli wstanie — mamy w ręku kamienie kłamstwa, rzucimy wszyscy na niego głazy czerwone — a kysz! a kysz! po co przychodzisz na dziady?...“ — „O nie przyjdzie już więcej — przysięgam!... Nigdy kawałkami serca nie będzie was karmił, nigdy za karm du-

szy nie odbierze od was puharu nalanego goryczą i przykrytego kłamstwa pokrywą — nigdy więcej, przysięgam".

I tu następowało przejście do oceny albo raczej uwielbienia *Nocy letniej,* ale i w tem przejściu znajdowały się jeszcze nawiasowe pociski wymierzone w stronę „litewskich rycerzy". „Oto ujrzał nową krainę poezyi rosnącej — piękną, szlachetną, wzniosłą, tam usiądzie w cieniu pięknych posągów, ten który je budował i krzesał, wielki jest — jeżeli improwizuje, to nie w gronie pół pijanych zwolenników szkoły, ale wśród starych, siwych rycerzy... Wojewodowie zbrojami okryci — z Chrystusowemi wizerunkami na puklerzach, słuchają słów jego — a kiedy śpiewa, to nie mdleją, to nie padają na kolana, ale tylko wychylają czary, dobywają mieczów i wstając — idą walczyć za ojczyznę"[1]).

Cały ten ustęp, drukowany na parę tygodni przed pojawieniem się *Beniowskiego,* był jakby przygotowaniem opinii publicznej do niego, jakby komentarzem i uzasadnieniem tej walki, jaką w ostatnich strofach poematu wytoczył poeta Mickiewiczowi i jego litewskim przyjaciołom i wielbicielom. Ażeby uwydatnić winę Mickiewicza, Słowacki odróżniał tych co „skłamali", od tych, którzy „skłamać pozwolili", podsuwając w ten sposób Mickiewiczowi świadomy udział w przekręceniu słów jego. Co jeszcze zwraca uwagę w tym ustępie, to kilkakrotne zaznaczenie, że jego przeciwnicy są Litwinami (litewska szkoła, litewscy rycerze, a kysz! a kysz!), że zatem w walce, którą toczy, gra pewną rolę pierwiastek prowincyonalizmu, co było słusznem nietylko dla tego, że Litwini tem więcej wielbili Mickiewicza, jako wielkiego poetę, że był Litwinem, ale i dla tego, że bliżsi mu byli od reszty emigracyi nastrojem psychicznym.

Dalszy ciąg fejletonu pod niebiosa wynosił *Noc letnią* i jej autora i to w stylu, jakby pożyczonym od Krasińskiego. Stary wojewoda z powieści jest „większy od Leara i straszniejszy — większy król, choć jest tylko polskim szlachcicem", poemat jest „wysoki jak pierwsza wieża gotyckiej, staropolskiej epopei", a każdy pomysł autora „widać, jak się wiąże z całym światem Ducha, z jakim krzykiem boleści wyrywa się na świat stworzenia, jak się krwawi odstając od słońc na wysokościach, do których był pierwszemi ćwiekami poczęcia przybity". Tym razem łańcuchem, wią-

[1]) Trzeci Maj Nr. z d. 29 kwietnia 1841 str. 59—60.

żącym dwóch Wenedów, nie była „ateńskość“ ducha, ale barokowy nastrój wyobraźni.

Napisawszy ten fejleton i oddawszy go redakcyi *Trzeciego Maja*, Słowacki, jak się zdaje jeszcze przed jego ogłoszeniem, wyjeżdża z Paryża do Frakfurtu[1]). Co go do tego wyjazdu pobudziło? Sprawa nie przedstawia się dość jasno. Wprawdzie ze współczesnych listów Słowackiego można wnioskować, i tak to uczynił p. Hoesick, że Słowackiego pociągnęła do Frankfurtu tylko miłość ku p. Bobrowej, która tam na niedługo przedtem wyjechała z Paryża; ale są względy, które nakazują domyślać się współdziałania innego jeszcze czynnika. Słowacki wiedział dobrze, że naprzód jego fejleton w *Trzecim Maju*, a potem, i jeszcze więcej, *Beniowski*, sprawią wielkie wrażenie w emigracyi i wywołają wielkie oburzenie wśród „Litwy“, przeciw której były głównie wymierzone. Wyobraźnia jego mogła rozmiary i objawy tego spodziewanego oburzenia przesadzać i w jaskrawych barwach przedstawiać niebezpieczeństwo, grożące mu szczególnie w pierwszych chwilach oburzenia ze strony tych, których obrażał. Dlatego czy nie chciał on usunąć się z Paryża na jakiś czas, aż przejdzie pierwsze wrażenie, aż dowie się przez listy, co tam o nim mówią, czem się odgrażają? Przypuszczenie to nasuwa się z tego powodu, że w Słowackim żądza sławy górowała nad wszystkiemi innemi żądzami, walka o sławę była najważniejszą sprawą jego życia, co tak wyraźnie odźwierciedliło się w *Beniowskim*, więc czy podobna, aby w chwili największego natężenia tej walki sama miłość tylko, która nigdy w życiu Słowackiego wybitnej nie odegrała roli, sama miłość tylko (i to jaka miłość!) mogła go odciągnąć z pola tej walki i spodziewanego tryumfu? Wszakże odjeżdżając, zostawiał za sobą drukujący się poemat, zostawiał go na łaskę niebiegłego w rzeczach korekty przyjaciela Niedźwiedzkiego, wskutek czego poemat zaroił się od błędów drukarskich, które aż sprawiały poecie wrażenie mnóstwa pcheł, skaczących po prześcieradle. Wszakże pani Bobrowa nie uciekała z Frankfurtu, mógł ją tam był znaleźć i o miesiąc później, jeżeli liczył na to, że we Frankfurcie powiedzie się mu lepiej, niż w Paryżu w pozyskaniu jej miłości. Natomiast odwaga jego mogła łatwo

[1]) Ta hypoteza chronologiczna, opiera się na tem, że fejleton ukazał się w numerze z d. 29 kwietnia, Słowacki zaś pisząc d. 18 maja do Niedźwiedzkiego z Frankfurtu wspomina już o dwóch listach, które od niego odebrał z Paryża, musiał więc już wtedy sporo czasu bawić we Frankfurcie.

chwiać się w obec niepewności, jakie mu grozić może niebezpieczeństwo ze strony obrażonych, w pierwszej chwili.

Ten nagły jego wyjazd z Paryża przypomina dwa inne dziwne jego wyjazdy: z Warszawy w r. 1831 i z Genewy w r. 1835. W obu pierwszych razach domyślać się trzeba pewnego wyrachowania: czy go nie było i tym razem, i to takiego, jakie zaznaczyłem? Naturalnie jest to tylko przędza domysłów, o tyle usprawiedliwiona, o ile objaśnianie nagłego wyjazdu Słowackiego z Paryża w takiej chwili wyłącznie jakimś miłosnym szałem nie zgadza się z jego temperamentem, z jego całem życiem.

Zobaczmy teraz, jak się przedstawia ta miłość, albo raczej ten frankfurcki okres miłości Słowackiego w jego listach współczesnych do matki, do Niedźwiedzkiego i do p. Bobrowej. Są to jakby trzy zwierciadełka dla jednego i tego samego przedmiotu, który w każdem z nich przedstawia się inaczej, a bywa nawet, że i w jednem zwierciedle stosunek ten w rozmaitych występuje barwach. Tak jest mianowicie w listach do matki. Raz Słowacki donosi matce krótko i ogólnikowo, że zna panią Bobrową („pewną damę, która po Czerczy na osiolkach przed dwoma laty jeździła“) i że „bardzo miłe z nią przepędził miesiące“ w Paryżu i Frankfurcie[1]). Nieco później tak pisze o tym stosunku: „Serce moje długo zimne i ostygłe, doznało teraz, że może jeszcze wiosennem oddychać powietrzem, charakter mój, zimny tak długo, zaczął mi znów figle płatać. Szalałem, kochałem się, latałem za marą szczęścia w różne strony, płakałem, śmiałem się, jak człowiek szczęśliwy, żyłem“[2]). Ustęp ten przypomina trochę wiadomość, którą poeta przesyłał matce o swoim stosunku z tak zwaną przez siebie Fornariną, przynajmniej o tyle, że matka i tym razem mogła domyślać się powodzenia swego jedynaka w miłości. Ale oto w nieco późniejszym liście (z 10 listop. 1841) znajdujemy wiadomość, że we Frankfurcie, gdzie przepędził wiosnę, był „jak szaleniec, bardzo dręczony przez pewną osóbkę“, i że powrócił stamtąd „smutny i rozpaczony łając szalonemu sercu swemu“[3]). Różnica w przedstawieniu pomiędzy drugim a trzecim listem pochodzi stąd, że w drugim liście poeta chciał udokumentować wiadomość, że „teraz szczęśliwszy jest niż

[1]) Listy II, 141.
[2]) Tamże II, 143.
[3]) Tamże II, 149.

kiedykolwiek w życiu". w trzecim zaś chciał udramatyzować sytuacyę, w której, jak zobaczymy niżej, znalazł się po powrocie z Frankfurtu. Dla tego też w listach do matki trudno szukać wiernego odźwierciedlenia tego stosunku miłosnego. Zabarwiał się on stosownie do tego, jak się chciał poeta w danej chwili przedstawić matce.

Listy do Niedźwiedzkiego rzucają nieprzyjemne światło na ten nowy romans Słowackiego, na samego poetę a po części i na przyjaciela, do którego były adresowane. Byłoby daleko przyjemniej nie zajmować się tymi listami, i możnaby było tak zrobić, gdyby znajomość ich nie była niezbędną do zrozumienia tego dziwnego stanu psychicznego, w jaki popadł Słowacki w owym czasie. Pozuje tu on przed swym przyjacielem na jakiegoś Don Juana, popisuje się cynizmem, widocznie gra jakąś niewłaściwą sobie rolę. Właśnie te listy swoim nienaturalnym tonem mogą także budzić podejrzenie, że nie sama miłość dla pani Bobrowej popchnęła Słowackiego do Frankfurtu. A ta miłość wygląda tu tylko jak jakiś zapał zmysłowy, jak chęć zdobycia donżuanowskich laurów; Słowacki nie uczuwa żadnych skrupułów, opisując Niedźwiedzkiemu swoje postępy w zbliżaniu się do tych laurów, traktuje ukochaną swoją wobec niego tylko jako cel pożądania zmysłowego i pozwala sobie przesyłać rady, które trącą knajpą lub biwakiem, a z jakimkolwiek idealizmem w miłości nie mają nic wspólnego.

Znane są trzy listy Słowackiego do Niedźwiedzkiego z Frankfurtu; wszystkie trzy pisane po francusku i bezimiennie lub z wymyślonem nazwiskiem, co było skutkiem jakiejś ostrożności ze strony Słowackiego, trudnej dziś do wyjaśnienia. Oto co w pierwszym z tych listów (18 maja 1841) pisał o swojej miłości i o sobie:

„Je vous ai écrit il y a quelques jours et ma lettre était remplie des plaintes sur l'état malheureux où je me suis placé moi même, en suivant cette bulle de savon, qui se nomme amour. Mon martyr ne finit pas — cependant j'avance à petits pas, et j'espère que l'habitude fera, ce que n' a pu faire l'amour... Je ne me repens pas cependant d'être venu... mes journées se passent agréablement... je la vois, je sens les battements accelerés de mon coeur et du sien... son visage se colore d'une rougeur qui me rappelle la clarté diaphane de l'aurore en Grèce — j'apprends à parler le langage d'amour, je vis — et je rayonne... que faut-il de plus?...

„Avant-hier je lui ai lu ma Beatrix C...(enci) et la commotion électrique qu'elle en a ressentie ne peut se comparer qu' à celle qu'on reçoit en se baignant d'une torpède... Elle a trouvé la passion supérieurement bien peinte; il est vrai, qu'en lisant je trouvais des inflexions de voix qui faisaient vibrer toutes les cordes de son âme"... A w dalszym ciągu popisywał się konceptem, którym jakby umyślnie chciał rzucić donżuanowskie światło na swój romans:

„Je ne suis pas tenté de faire connaissance avec les hommes de lettres d'ici... ce sont tous des gens décrépits, usés, et sans aucune force vitale... Hier, quand on m' a parlé d'un savant fort grave, fort maladif — et fort profond penseur, et que des gens qui m'en parlaient croyaient me pénétrer de respect, je leur ai repondu... per Bacco! donnez-lui des cantharides, une jeune fille et qu'il essaye d'être homme! Tu conçois bien, que des preceptes comme celui-la et des doctrines de ce genre, me me font pas de prosélytes..."[1])

Ten grymas cyniczny w ustach zakochanego poety, który rościł pretensye do anhellizmu i ateńskości, jest poczwórnie nienaturalnym i niesmacznym i rzuca niepochlebne światło nie tylko na autora listu, ale i na „przyjaciela", do którego upodobań i poziomu moralnego widocznie był list zastosowany.

W następnym liście (z 22 maja) Słowacki tak opisywał dalszy przebieg swego romansu frankfurckiego: „La dame des mes pensées ne me laisse pas un instant de repos et les calmes sont rares sur la mer où je vogue à pleines voiles... Je souffre et je ronge mon frein en écumant... Votre conseil d'oser et de tout oser n'est pas bon à suivre; je l'ai essayé et j'ai manqué de périr — un instant de plus et tout aurait été fini pour moi. Maintenant je suis plus prudent et elle aussi. Que Dieu nous garde et nous sauve"!

„Il y a des jours où je ne la vois presque pas; ce sont ceux, où sa fille vient à la maison — ces jours-là sont un véritable enfer pour moi — je suis obligé de les passer tout seul avec mes livres allemands et mon piano, qui est tout discord, et une petite servante allemande, qui est amoureuse de moi. Vous sentez bien, que j'enrage et que je ne touche souvent ni à mes livres, ni à mon piano, ni à la petite fille, mais je reste plongé dans mes noires pensées comme Corsaire ou Lara".

---

[1]) Biblioteka Warszawska 1893. T. I. Listy nieznane Juliusza Słowackiego str. 359—366.

Pisząc ten list miał już Słowacki wiadomość od Niedźwiedzkiego, że jego *Beniowski* jest już wydrukowany, i domagał się, aby mu go co prędzej przysłano do Frankfurtu, a w przypisku żądał od przyjaciela, aby mu doniósł, co mówią o poemacie. W dziewięć dni potem, kiedy pisał list trzeci (1 czerwca), miał już i egzemplarz *Beniowskiego* w ręku i miał już zapewne dokładne wiadomości o wrażeniu, jakie ten poemat w kołach emigracyjnych wywiera, a to tak z listu Niedźwiedzkiego, jak i od pewnego członka klubu polskiego, który w owym czasie przejeżdżał przez Frankfurt. (J'ai vu le vice-directeur de notre cercle, qui passait par Francfort pour se rendre à Posen, toujours gai, rouge et bien portant). I oto w tym samym liście, jakby wskutek otrzymanych wiadomości, Słowacki donosi Niedźwiedzkiemu, że niebawem wróci do Paryża i stara się wyjaśnić przyczynę powrotu, którego widocznie przyjaciel nie spodziewał się prędko. „Je me propose bientôt de revenir à Paris, plusieurs causes m'y obligent. La vie que je mène ici est insupportable; — je suis seul — à sa merçi — ayant les entrailles dechirés par elle. Il est impossible que je souffre plus longtemps une torture pareille — il faut que je parte; aussi dans dix jours tout au plus — mon petit appartement d'hirondelle me reverra. Oh! qu'il y a de désespoir dans cette pensée"!

Jak przedtem cynizm, tak teraz ta rozpacz nie wydaje się naturalną i szczerą, zwłaszcza, że zaraz po niej następują rozmaite koncepta pod adresem Witwickiego i Januszkiewicza, i że w ogóle w całym tym trzecim liście poeta bardzo żywo jest zajęty swoim nowym poematem, daleko więcej, niż miłością. Martwią go błędy drukarskie; zaledwie otworzył książkę, ujrzał ich mnóstwo: zrobiły mu wrażenie pcheł skaczących po prześcieradle. Za powrotem musi zaraz poprawić drukowane egzemplarze ołówkiem, bo nieraz brak potrzebnej ilości zgłosek, niekiedy nawet myśl zepsuta. Obawia się nawet, żeby krytyka nie przyczepiła się do tych błędów drukarskich, i na karb poety ich nie policzyła. Nie ma innej rady, tylko co najprędzej puścić w obieg pierwsze wydanie i zrobić drugie. Za karę Niedźwiedzki musi zostać powtórnie wydawcą, a to na to, żeby dać od siebie przedmowę, przyznać się w niej do grzechu i wziąć go na swoją odpowiedzialność. Dopiero po tem wszystkiem pocieszał Słowacki przyjaciela zapewnieniem, że bierze tę rzecz filozoficznie, i nadzieją, że krytyka, dostawszy porządne cięgi od niego, nie tak skora będzie do zaczepiania jego (je ne pense pas, que la

critique soit assez bête pour se frotter à moi après l'échantillon, que je lui ai donné de mon savoir-faire et de ma rage canine).

Przy końcu listu był godny uwagi ustęp, bo wskazujący, jak sobie w danej chwili wyobrażał Słowacki wrażenie, które powinien był wywrzeć *Beniowski*, i którego on pragnął. Przesyłając ukłony Błotnickiemu, kazał go prosić, aby źle poety nie sądził, bo on jest w gruncie dobry, i jego namiętna szczerość nie powinna mu szkodzić, ilekroć objawia się na wielką skalę i zapala mu gwiazdę na czole (ma franchise passionnée ne doit pas me nuire toutes les fois qu'elle se montre en grand et qu'elle m'allume une étoile au front).

Z tego, co powiedziałem o listach do Niedźwiedzkiego i co z nich przytoczyłem, można sądzę wnioskować, że i w tych listach nie przedstawia się stosunek Słowackiego do p. Bobrowej w świetle naturalnem, ponieważ poeta pozuje przed swoim przyjacielem, jeżeli nawet nie ukrywa przed nim głównego motywu wyjazdu z Paryża.

Pozostaje trzecie zwierciadło, listy do p. Bobrowej. Listy te pochodzą z różnych lat od 1841 do 1845, niektóre z nich zatem pisane już były po wielkiej transfiguracyi duchowej Słowackiego, stąd też panuje w nich rozmaity nastrój[1]). O pobycie Słowackiego we Franfurcie nic one nie mówią, żadnych alluzyj do tej wycieczki nie zawierają, ale mają tę ważną zaletę, że w nich maluje się stosunek Słowackiego do pani Bobrowej taki, jaki był rzeczywiście, że na ich podstawie można odtworzyć sobie koloryt frankfurckiego epizodu i zrozumieć charakter tej ostatniej miłości Słowackiego.

Tak o rok później od wycieczki do Frankfurtu, poeta, urażony jak się zdaje tem, że p. Bobrowa wybrała się z Paryża do St. Cloud na puszczanie wodotrysków, nie uprzedziwszy jego o tem, pisze do niej list niby pożegnalny[2]), a w tym liście tak przemawia: „Jam ciągnął za panią dawny jęk przeszłości, za mną do salonu wchodziła wieść, wspomnienie, boleść dawna. A ilem ja osobiście, jako środkowy kamień, cierpiał, tego trudno zliczyć i tej nuty może nigdy Pani między różnemi tonami wspomnień nie znajdziesz. Lepiej więc, że się rozstaniemy, że ja zniknę, jak gdybym nigdy nie egzystował, nigdy nie żył. Wszystko zniknie! i wszystko

---

[1]) Listy J. Słowackiego do pani Joanny Bobrowej, wydane w Dodatkach do trzeciego wydania monografii Małeckiego o Słowackim T. III. 280—308.

[2]) Tamże 286—288.

się znajdzie w łonie Bożem. ale biada ludziom. co nie zrywają prędko ostatnich bolących łańcuchów". I do listu dodana była prześliczna improwizacya na temat wycieczki do kaskady (O! gdybym ja wiódł Panią do kaskady), która kończyła się takiem żartobliwo-gorącem oświadczeniem:

Gdybym był duchem wersalskiej natury,
A taką Ciebie między tłumem zoczył,
Zleciałbym na Cię, jak kaskada, z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył.

A w miesiąc potem, kiedy p. Bobrowa, znowu już była we Frankfurcie, poeta błagał ją listownie, aby rzuciła błękitnemi oczyma w stronę Paryża, „niech mi tu od tego spojrzenia błyśnie i rozwidni się ciemne powietrze". Połowę tego światełka i tej błyskawicy obiecywał oddać, jak zwierciadło wierne, Aleksandrowi Potockiemu, synowi Szczęsnego i sławnej Zofii Greczynki, który także był wielbicielem p. Bobrowej, i z którym Słowacki spotykał się często w jej domu. A nażartowawszy się z dowcipem pełnym dystynkcyi z tego współzawodnika swego, zwracał znowu westchnienia do pani B. „Gdybyś pani wiedziała, jak oddalenie upiększa każdy ton głosu, jeżeli ten jest bez szyderstwa, a prawdziwie smętny i serdeczny — i zdaleka budzić przychodzi; gdybyś Pani wiedziała, jak mi tu słychać każdy szept w jej domu, każdy szelest jej sukni; jak echo każdego jej kroku dochodzi do mnie uroczyste"...

„Ostatnia to moja skarga, bo mi już wszystkie inne nie pomogły, ostatnia i wiem, że próżna. A jednak czuję, że sam winien jestem, że była we mnie jakaś siła nieużyta, jakieś wojsko duchów niewyprowadzone do walki, jakiś grom piorunowy, który leżał w sercu spokojnie, jakaś głąb nie odkryta, coś takiego, co musiałoby pokonać, a czego ja sam lękałem się wyprowadzić na jaw — i część zimna, marmurowa mojej natury zwyciężyła"[1]).

Wreszcie z listu, pisanego już po przeobrażeniu duchowem Słowackiego, dowiadujemy się, „że biedna głowa" jego nic mu dotąd nie zdolna była zdobyć „prócz półurągającego uśmiechu i politowania" pani Bobrowej. Przyznawał też w tym liście, że jego serce było jak źródło wyschnięte, że nie było w niem szczerych uczuć i że tę martwość uczucia serce pani B. odczuwało i dla tego „lękało się i cofało się z przestrachem"[2]).

[1]) Tamże 292—293. [2]) Tamże 294—295.

Jeżeli teraz skupimy rozmaite promienie, padające z korespondencyi poety na ten jego stosunek miłosny, i dołączymy do nich światło, które w tę stronę rzucają listy Krasińskiego, to epizod frankfurcki przedstawi się nam, sądzę, w następującem oświetleniu. Słowacki, jak to już nadmieniłem w poprzednim rozdziale, na początku swej znajomości z p. Bobrową, nie wiedział jeszcze, jaką rolę w jej życiu odegrał Krasiński. Z czasem przeniknął tajemnicę i objawił to przyjacielowi, odchylając przytem z lekka zasłonę z własnych uczuć dla p. Bobrowej. Krasiński, odpowiadając na te wynurzenia w dwu listach prędko po sobie następujących (z 16 marca i 10 kwietnia), usprawiedliwiał się z tego, co mu się wydało zarzutem w liście Słowackiego, a jednocześnie przesyłał mu różne rady i przestrogi, owinięte w obfitą a poetyczną szatę filozoficznych rozmyślań. Pomiędzy pierwszym a drugim listem ta zachodzi różnica, że w pierwszym p. B. występuje, jako „najszlachetniejsza z dusz", której nieszczęściem jest tylko, że „nie umiała nigdy w jedną chwilę skupić wieczności na ziemi", a w drugim, wskutek zapewne nowych spostrzeżeń Słowackiego, przesłanych przyjacielowi, otrzymuje już nazwę, „anioła obłąkanego". Dla nas tym razem szczególnie drugi list jest ważny. „Julu, pisał Krasiński, ty broń, co boskiego w niej znajdziesz, od zaguby, broń się od tej kobiety, której nigdym nie widział, ale którą nosiłem przeczuciem w duszy, tak jak mi ją postawiłeś przed oczyma. To moje ostatnie słowo do ciebie o *przeszłości*. I to jeszcze dodam: zapewne nie zawsze po chrześcijańsku lub po katolicku, po stoicku lub po cnotliwemu i t. d. postępowałem, miałem straszne chwile egoizmu, dla mojego *Ja* zapominałem, że drudzy mają *Ja* swoje; ale nigdy i nigdzie w niczyjem sercu *wiary* nie zniszczyłem, owszem osłabłą krzepiłem, nieistniejącą stwarzałem i umarłą wskrzeszałem. Kto powie, iż odemnie się nauczył, że człowiek nie winien być aniołem, nie winien być boskim i dążyć, odepchnąwszy podłość wszelką, w wznioślejsze okręgi; kto powie, żem kiedykolwiek przystał w drugim na jedną chwilę niegodności, niedumy, niepowagi, żem kiedykolwiek zalecił brak szlachetności i urody nieśmiertelnej, by stało się zadość chwilowym chętkom lub namiętnostkom moim: tego powoływam nie przed ludzi sąd, bo ludzie niby tu nie pojęli — ale przed sąd Boga"![1])

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego III 25—26.

„O Julu, pisał w dalszym ustępie, nie myśl o mnie tego, coś pomyślał, kiedyś mnie w duchu oskarżył, żem nie użył, czy użyć nie chciał, czy nie umiał pewnych chwil potęgi nad pewnemi sercami. Taki zarzut mógłby mnie przywieść do szaleństwa. Nie, przez Boga wiekuistego, nigdy i nigdzie natury bliźnich moich o włos jeden nie poniżyłem; wszystką siłą ducha w niebo porywałem ich, przynajmniej pragnąłem ich wnieboporwania. I wiele siły mojej wyszło ze mnie, a im nie pomogłem, owszem wołają na mnie: „tyś zgubił nas“, i przeklinają mnie. Ich nieszczęście biorę na się, jako winę moją i wyrzut nadal; ale tu granica tego, na co mogę przystać, nic więcej, nic więcej mojej barwy nie nosi, z mojego wpływu się nie wywikłało“.

Sam Krasiński, stawiając te słowa, dodawał, że „ciemno pisze“; dla nas naturalnie te słowa są jeszcze bardziej ciemnemi, niż były dla Słowackiego, wszakże jedna rzecz, jak się zdaje, wynika z nich jasno, a mianowicie, że Słowacki przedstawił Krasińskiemu p. Bobrową, jako znajdującą się na niebezpiecznej pochyłości moralnej i gotową stoczyć się po niej, i że w tem tkwił niejako wyrzut dla Krasińskiego. Ale Krasiński dostrzegł także widocznie, czy przeczuł z listu Słowackiego, że i ten, który ostrzegał o pochyłości, miał ochotę znaleść się na niej razem z tą, nad którą ubolewał, że się na tej pochyłości znajduje, więc do obrony własnej dodał gorące przestrogi dla przyjaciela. Pozwalał mu dawną swoją kochankę pokochać, ale pokochać szczerze i prawdziwie; i jej by nie miał za złe odwzajemnienia takiej miłości; ale potępiał najsurowiej bawienie się w miłość, szukanie w niej tylko zmysłowej rozkoszy. „Poniżeniem nie zowię ja troski serca nieszczęśliwego, szukającego tęskno jeszcze jednej chwili życia i wiosny na ziemi — nie, nie, bom ani pedant, ani ksiądz, ani dziecko, ani młodzieniaszek; ale poniżeniem zowię przystać na *zabawę*, kiedy *szczęście* znikło, poniżeniem zowię cały świat, który krąży koło ciebie, wieszczu, w tem mieście rozbłotnionej zabawy, rozdziawiający pyszczek, jak ostryga, by zachwycić cośkolwiek powietrza smrodliwego. Ty nie jesteś z nich, ty z nich być nie możesz: *non fiunt, sed nascuntur*. Szlachetnąś się duszą urodził, masz kryształową naturę, biały marmur nie, gips wchodzi w skład kości twoich. Ty mnie pojmiesz, ty mnie pojmiesz! A zatem raz jeszcze powiadam ci, zbaw, jeśli możesz niech pająki, ślimaki, szerszenie, węże, skorpiony, niech plugastwo

stworzenia nie przyprzęże się do anioła obłąkanego i nie powiezie go do kałuży piekielnej“.

W końcu listu jeszcze raz ponawiał przestrogę przed robieniem zabawy z miłości i jeszcze raz starał się skierować Słowackiego na dobrą drogę pochlebną ufnością w szlachetność jego natury. „Pytasz się, czego żądam od ciebie? Oto tego, byś się nie bawił, o to jedno cię proszę, a jeśli masz kochać, kochaj, ale pamiętaj, że kto kocha, ten szanuje. Zresztą ty nie jesteś z tych którzy mogą się bawić: ty musisz być albo *bogiem* szczęśliwym, albo człowiekiem potępionym i pełnym bolu“.

Jeżeli ten list Krasińskiego zestawimy ze znaną korespondencyą Słowackiego z Niedźwiedzkim, to będziemy mieli najjaskrawszy, jaki tylko można sobie wyobrazić, kontrast. Co znaczył ten kontrast? jak go wytłómaczyć? A naprzód, jak to się stało, że Słowacki w tydzień, najwyżej w parę tygodni po odebraniu takiego właśnie listu puszcza się za p. Bobrową do Frankfurtu, i to w tej samej chwili, kiedy się drukuje jego fejleton o *Nocy letniej*, wynoszący pod niebiosa „wzniosłą krainę poezyi“ przyjaciela? Jakie kontrasty i niekonsekwencye!

Myślę, że zagadka daje się rozwiązać tylko w taki sposób, że główną przyczyną wyjazdu Słowackiego do Frankfurtu było ogromne roznerwowanie, w które poeta popadł po napisaniu *Beniowskiego*, a które już w ostatnich strofach tego poematu występuje tak wyraźnie. W tem roznerwowaniu czekać w Paryżu na wrażenie, jakie wywrze naprzód jego wojowniczy fejleton, a potem szalejący poemat, a do tego zapewne spotykać się często w klubie z niektórymi przynajmniej Litwinami, których tak miał obrazić, było, sądzę, dla Słowackiego rzeczą nie do zniesienia, zwłaszcza, że podniecona wyobraźnia jego, jak już wyżej wspomniałem, mogła przesadnie przedstawiać mu kształty spodziewanego oburzenia obrażonych w pierwszym jego impecie. Nie darmo Kordyanowi w chwili, gdy miał wykonać zamach, towarzyszyły strach i imaginacya; wiemy, że ten motyw wziął poeta z siebie; otóż teraz on sam miał dokonać wielkiego zamachu, choć w innym rodzaju, i łatwo przypuścić, że te władze duszy do pewnego stopnia analogiczną w nim teraz odegrały rolę.

Wiemy z przeszłości Słowackiego, że w chwilach szczególnego rozdrażnienia lub podniecenia szukał lekarstwa na usunięcie tego stanu w samotności. Tak było zapewne w Szwajcaryi,

gdy się schronił do Veytoux, rozdrażniony niepewnością swego stosunku z Maryą Wodzińską i pragnący w ten sposób rozwiązanie tej niepewności przyśpieszyć. Tak było za pierwszego pobytu we Włoszech, gdy po nadzwyczajnem podnieceniu, jakiego tam doznawał, szukał samotności w cichem Sorrento; tak było, gdy po utrudzającej a pełnej nowych wrażeń podróży na Wschód, zamknął się na kilka tygodni w klasztorze na górze Libanu. Teraz w chwili, gdy miał się ukazać *Beniowski*, na użycie tego sposobu, na wyjazd z Paryża do jakiegoś cichego ustronia na jaki miesiąc, nie pozwalał wzgląd jeden: obawa, aby go nie posądzono, że schował się ze strachu przed odpowiedzialnością. Ale tu z pomocą przyszła miłość ku pani Bobrowej.

Miłość! Ten wyraz jest jak szeroki płaszcz, który może okrywać najrozmaitsze postaci, sam nic o nich nie mówiąc. Co okrywa tym razem? Jaką była właściwie miłość Słowackiego ku pani Bobrowej? Że nie była miłością prawdziwą, którą Krasiński określał słowami: „Kto kocha, ten szanuje", to już można wnioskować z tego, że Krasiński uważał za potrzebne czynić przyjacielowi podobne uwagi, jak wreszcie z korespondencyi Słowackiego z Niedźwiedzkim. Że nie była z drugiej strony czysto zmysłową zabawą, jakby można było z tej ostatniej korespondencyi wnosić, to wynika to z listów do p. Bobrowej, tak każe zresztą sądzić wszystko, co wiemy o temperamencie poety, w którym zmysłowość bardzo podrzędną odgrywała rolę.

Miłość dla p. Bobrowej w Słowackim była podobną trochę do pierwszej jego miłości dla Ludki, choć naturalnie nie owiana świeżością wrażeń dziecinno-młodzieńczych: podobną dla tego, że jak tamta była potrzebą artystycznej i tylko o sławie rojącej duszy. Naprzód p. Bobrowa pociągała poetę ku sobie swoją pięknością, wykwintnością wykształcenia salonowego, artyzmem w stroju i otoczeniu, miała wszystkie zewnętrzne warunki, ażeby na deskach świata odegrywać rolę kochanki; powtóre poeta w swojej karyerze poetyckiej czuł brak miłości kobiety, miłości, któraby szczególną aureolą otoczyła jego skronie: wszakże dotychczas nie znalazł ani jednej, któraby jego uczucia i zabiegi miłosne odpłaciła wzajemnością. Więc chodziło mu o tę aureolę tem więcej teraz, gdy czuł w sobie nieprzebrane skarby wyobraźni i rzucał niemi pełnemi garściami w *Beniowskim*, gdy dzięki Krasińskiemu nabrał pewności, że jest najwyższym szczytem poezyi polskiej, że jest bogiem

poezyi, gdy dzięki tylko tej wyobraźni umiał w tak gorących kolorach odmalować namiętną miłość w *Beatrix Cenci*.

Więc jakże to? Krasiński jeszcze jako młodzieniaszek pozyskał miłość tej kobiety, i po zerwaniu nawet ciągle był w jej pamięci przytomny, a on, który i powierzchownością mógłby go przyćmić, a przedewszystkiem geniuszem poetyckim, czarodziejstwem słowa tak górował nad nim, nie mógłby pociągnąć ku sobie tej, którą dawny kochanek porzucił? To także było zapewne ostrogą, bodźcem do tego, aby rozkochać w sobie panią B. O ożenieniu się z nią naturalnie trudno było myśleć, ale i bez tego mogła się ona dla niego stać taką lilią wodną, o jakiej kiedyś marzył, dokoła której chciał był jak wąż okręcić się i wygrzewać na słońcu sławy, to jest nie tylko kochanką, ale i zakochaną w nim opiekunką. W przestrogach Krasińskiego bodaj czy nie upatrywał tylko zazdrości dawnego kochanka, czy nie podejrzewał, że idealizm jego jest tym razem interesownością podszyty? Zresztą Krasiński pozwalał mu zostać „bogiem szczęśliwym", a on w swojem rozumieniu właśnie do tego dążył.

Taki, wyobrażam sobie, był nastrój „miłosny" Słowackiego w chwili, gdy miał się ukazać fejleton *Nocy letniej* a *Beniowski* był już oddany do druku. Na kilka dni przedtem pani Bobrowa wyjechała z Paryża do Frankfurtu i Słowackiemu zabrakło wykwintnego ogniska domowego, gdzie był na stopie przyjacielskiej, znajdował miły odpoczynek po dziennych zajęciach, mógł igrać i olśniewać iskrzącym dowcipem, pozować na zakochanego i wpatrywać się w „błękit siostrzanej duszy", czekając, rychłoli zacznie się zorzą miłości powlekać. W rozdrażnieniu, w jakie go wprawiła walka z Litwinami i niepewność, jak będzie przyjęty jego manifest wojenny, brak tego ogniska dawał mu się uczuwać tem silniej. I oto błyska mu myśl, aby pojechać za nią do Frankfurtu. W ten sposób usunie się z Paryża na czas, kiedy pęknie jego bomba, w emigracyę polską rzucona, znajdzie ustronność i względną przynajmniej samotność, której natura jego potrzebowała, a wreszcie będzie mógł korzystać z pożądanego sam na sam z panią Bobrową, o co w Paryżu było trudno, aby pozyskać jej miłość. Posądzenia o tchórzostwo nie potrzebuje się obawiać, skoro będzie rzeczą wiadomą, że wyjechał szałem miłosnym ogarnięty; i owszem, autorowi polskiego *Don Juana* ten nagły, romansowy wyjazd powinien być do twarzy. I bodaj czy nie do tego poglądu zastosowany był ów

niesmaczny i nienaturalny ton listów Słowackiego do Niedźwiedzkiego. Bodaj, czy nie dla tego i Krasiński tak wcześnie był o wyjeździe i jego miłosnej pobudce uwiadomiony, że już 21 maja mógł donosić Sołtanowi: „Słowacki zakochał się wściekle w pani Bobrowej i poleciał za nią do Frankfurtu". Że to dla niego było rzeczą niespodzianą, dowodzi dalszy wykrzyknik: „Co też to za ogrom dziwactw, szaleństw, głupstw, i ciągłych sprzeczności dzieje się na świecie"![1])

To wszystko naturalnie było nie tragedyą, ale komedyą. Do komedyi należy także i owo czytanie głośne *Beatrix Cenci*, przy którem w scenach miłosnych poeta dobierał akcentów głosu, mających elektrycznie wstrząsać sercem pani Bobrowej. *Beatrix Cenci* miała pokazać tej pani nie tylko, jak pięknie poeta umie malować namiętną miłość, ale i do jakiej sam jest zdolny. Można też zgodzić się na przypuszczenie p. Hoesicka, że Słowackiemu zdawało się, iż będzie to powtórzenie sceny z opowiadania Franczeski da Rimini[2]). Do komedyi należy i to, jak pani B. traktowała Słowackiego i jak przyjmowała jego uczucia. Widziała naturalnie w Słowackim wielki talent poetycki, podziwiała siłę przedstawienia namiętności w *Beatrix Cenci*, ceniła jego zdolności towarzyskie i dowcip, ale główną miał dla niej wartość, jako przyjaciel Krasińskiego, jako ten, który mógł jej coś nowego o nim powiedzieć, przed którym ona mogła w opowiadaniu coś z dawnej szczęśliwej odnowić przeszłości. Ale gdy chciał wyjść z roli „środkowego kamienia", gdy sam zaczynał wzdychać ku niej i robić czułe oczy, gdy okazywał chęć zastąpienia dawnego kochanka, przyjmowała to z „półrągającym uśmiechem i politowaniem", albo z całem „szyderstwem". A czyniła to nie dla tego tylko, że tamtego stawiła nierównie wyżej w sercu swojem, że uważała go za takiego, który zastąpić się nie da, ale i dla tego, że nie wierzyła w szczerość uczuć Juliusza, że odczuwała, jak to on sam później przyznał, martwość jego serca. Przypominam znamienne słowa, które się jej wymknęły w liście o cztery lata późniejszym, gdy donosząc Słowackiemu o poznaniu się z jego matką, pisała: „J'ai beaucoup retrouvé de vous en elle. Mais que de coeur elle a!

---

[1]) Listy Zygm. Krasińskiego II 235.

[2]) l. c. III 128. Że tę scenę miał Słowacki dobrze w pamięci, dowodem, że naśladował ją w swojej szwajcarskiej sielance.

quelle sincérité d'esprit et de sentiments!"[1]) Więc ani serca, ani szczerości nie dostrzegała pani B. w poecie.

Cały tedy epizod frankfurcki wygląda, jak komedya w tragedyi życia Słowackiego. A jednak i w tym epizodzie był moment, przelotny wprawdzie, ale wysoce tragiczny, który i na całą komedyę frankfurcką rzuca cień tragiczny. Wiadomość o nim zawdzięczamy późniejszym listom poety do matki, kiedy Słowacki z nowego punktu widzenia spoglądał na swoją przeszłość i podnosił w niej różne znamienne szczegóły, na które przedtem mało zwracał uwagi. Mianowicie w liście z 29 lipca 1845 przesyłając z namaszczeniem rady i przestrogi rodzinie, w szczególności wujowi (ażeby się jego dawna duma szlachetna w próżność jeżdżącą na dryndułi nie zamieniła), robił nagły zwrot do siebie i tak pisał: „Jam był już przyszedł do tego stanu, żem był zerwał wszelki związek z duchem piękności na świecie, lat temu pięć nazad[2]), w jednej chwili, stojąc w ogrodzie Frankfurckim, otoczony mnóstwem kwiatów, wśród brzóz i drzewek nagle uczułem się martwy, jakby martwą naturą otoczony... te brzozy, które mi dawniej na Podolu tak dziwne rzeczy szeptały, stanęły przedemną, jak obce figury, myśl zimna poleciała po ich gałązkach — niebo i ziemia zatrwożyły mię, nic nie mówiąc do mnie... Ta chwila była jedną z najstraszniejszych w życiu... ale mię zaraz Pan Bóg obudził — albowiem tego wieczora wicher taki wyjący powstał i tak przeraźliwie zaczął przewiewać przez okna czarne eleganckiego, w którym byłem, salonu — że mi nigdy dawniej niedoznane uczucie strachu — włosy podniosło na głowie i przez to wstrząśnienie obudzona była moja sympatyczna natura duchowa... A to, ci piszę, droga, abym ci pokazał, że są straszne choroby dusz naszych, na które my często nie zwracamy uwagi"...[3])

Tak, w istocie, moment, opisany przez Słowackiego, był objawem strasznej choroby ducha, oddawna nurtującej w poecie, a teraz zbliżającej się do przesilenia. Tą chorobą była martwość serca przy rozognionej wyobraźni, wszystko pożerająca żądza sławy, która pod wpływem zewnętrznych podmuchów zamieniła się w samoubóstwienie, zupełne zesztywnienie serca w bezwzględnym ego-

---

[1]) Listy Jul. Słow. II 219.

[2]) Słowacki myli się tu w rachubie o rok jeden, a właściwie o dziesięć miesięcy.

[3]) Listy II str. 237.

izmie. Poeta nigdy, przez całe życie, nie doznawał tych rozkoszy, jakie daje zapomnienie o sobie, zlanie się we wspólnem uczuciu miłości lub przyjaźni, poświęcenie swojego „ja“ na rzecz drugich; nie doznawał dla braku zmysłu społecznego, którego mało dostał od natury, a którego słabym zadatkom wychowanie pozwoliło zmarnieć. Jak poezya jego dla braku tego zmysłu pomimo swojej świetności nie znajdowała echa w sercach współczesnego pokolenia, tak jego osobistość, pomimo blasku zewnętrznego, dla braku szczerości uczucia nie pociągała ku sobie serc kobiecych, ku którym się zwracał. Jednę tylko, jak wiemy, miał kochankę, która mu wynagradzała obojętność serc współbraci i kobiet, z którą obcowanie było dlań rozkoszą, która mu wszystkie oddawała swoje skarby, przemawiała doń najczulszym, najpieszczotliwszym językiem — to jest przyrodę. Z niej on czerpał swoją potęgę, moc swojej wyobraźni, barwy i blaski swojej poezyi; w niej znajdował jedynie prawdziwą osłodę w życiu i uspokojenie; ona, rzecby można, była dla niego i siostrą, i matką i kochanką — i ojczyzną.

I oto nagle i ta bezosobowa kochanka, na której wierność i czułość mógł dotąd liczyć bezpiecznie, która mu szeptała do ucha to, co było najpiękniejszego w jego poezyi — nagle i ona odstępowała go, albo raczej zamykała przed nim swoją duszę i spoglądała nań martwo, sucho i bezmownie. Dla poety, w którym prawdziwie szczerym był tylko kult piękności plastycznej, gdy źródło tego kultu nagle wysychało, gdy znikała piękność z przyrody, dla takiego poety w takiej chwili świat musiał się stawać straszną, rozpaczliwą pustką i dla tego to Słowacki nazwał tę chwilę „jedną z najstraszniejszych w życiu.“

Co było przyczyną tego nagłego znieczulenia estetycznego? Nie podejmuję się dokładnego wyjaśnienia tego faktu, w każdym razie sądzę, że był to szczególny objaw roznerwowania, które go już wypchnęło z Paryża, a które w samotności frankfurckiej zamiast ustać, jeszcze się wzmogło wskutek fałszywego położenia, w jakiem się znajdował, wskutek nienaturalnej roli Don Juana, którą chciał odgrywać. Była to jakby przestroga dla poety z wnętrza natury jego wychodząca, zarazem jakby wskazówka, że niedalekim był już wielki przełom w duchu poety.

Ale ta straszna chwila trwała krótko, poeta odzyskał swoją „sympatyczną naturę duchową“, jak nazywał stosunek swój do przyrody, choć przyczyny niepokoju, który trapił poetę, nie zaraz

ustać miały. Wiemy już, że zaraz po otrzymaniu wiadomości o wrażeniu, jakie wywarł *Beniowski* w Paryżu, postanowił Słowacki powrócić do tego miasta. Jakkolwiek uspokajającemi mogły być te wiadomości, wszakże poeta przypuszczał, że ci, których najdotkliwiej obraził, zechcą go, gdy wróci do Paryża, pociągnąć do odpowiedzialności i takie przewidywania wypowiadał przed panią Bobrową, wyjeżdżając z Frankfurtu [1]).

Przewidywania jego sprawdziły się, a ponieważ ten, który miał pomścić obelgi rzucone na *Młodą Polskę*, więcej liczył na tchórzostwo przeciwnika, niż na własną odwagę, cała ta sprawa zakończyła się zupełnym tryumfem Słowackiego. Tryumf ten i cały przebieg sprawy opisał Słowacki bardzo obszernie i dokładnie, z myślą nietylko o współczesnych, ale i o potomnych, w dwóch listach: do pani Bobrowej i do matki [2]). Listy zgodne są w treści, zupełnie tak samo przedstawiają całą sprawę; ta tylko różnica między nimi, że list do p. Bobrowej pisany bezpośrednio po niedoszłym pojedynku szczegółowiej rzecz całą przedstawia, i że w nim Słowacki pozuje przed p. B. na bohatera *sans peur ni reproche* i stara się pokonać niedowierzanie, którego się z jej strony widocznie spodziewa, czego nie ma w liście do matki. Dla charakterystyki Słowackiego w danym okresie oba listy wiele przynoszą, ale pierwszy więcej niż drugi. Wezmę więc opis pojedynkowej sprawy z pierwszego listu, a uzupełnię tylko niektórymi szczegółami z drugiego.

„Pani! Przebyłem nareszcie mój dzień donkiszotowski, nogę silnie postawiłem na szali i podniosłem w górę całą zgraję jezuitów, potem zdjąłem ją i poupadali w błoto, ale w błoto, z którego się już nie wygrzebią tak prędko — niech spoczywają. Gdybym wiedział, że Cię pani opis dnia tego cokolwiek mógłby zabawić, nie lękałbym się pisać, bo wiem, że Pani jesteś szlachetna i nie będziesz wątpiła, że to, co mówię, jest prawdą — staram się nareszcie tak żyć, abym o każdej chwili życia mojego mógł szczerze mówić, a teraz więcej niż kiedykolwiek dbam o to, aby tak było i na Boga tak jest! — Zaledwo przyjechałem do Paryża, wrogi moje wychłostane w pierwszej i w trzeciej pieśni *Beniow-*

[1]) Listy do matki II, 149.

[2]) List pierwszy z datą 16 czerwca 1841 r., drugi z datą 10 listopada tegoż roku.

skiego, wydawcy Młodej Polski, jezuickiego dziennika, a obszerniej biorąc jeszcze rzecz, Litwini — postanowili zabić mnie, lub upokorzyć; jakoż na drugi dzień zaraz przysłali mi jednego z eleganckiej litewskiej młodzieży, aby mię wyzwał. Ten, z miną bardzo dumną, oddał mi bilecik, który tu w liście Pani posyłam, abyś wiedziała, do jakiej otwartej wściekłości przyszli ci jezuici, którzy mnie dotąd bezimiennie po różnych pismach kąsali. Przeczytawszy bilecik, schowałem go do kieszeni i odpowiedziałem, że papieru wzmiankowanego nawet widzieć nie chcę i będę się strzelał, przyjmując wszystkie warunki, które mi podadzą. Jakoż nazajutrz posłałem do nich mojego sekundanta z poleceniem, aby na wszystkie pojedynkowe punkta, przez nich podane, przystał. Przez dni pięć czekałem na ostateczną ich decyzyę; w poniedziałek dopiero pod wieczór o jedenastej dowiedziałem się, że pojedynek ma być nie w St. Germain, ale koło Paryża, na placu otoczonym pustemi murami w miejscu zamkniętem; że schodzić się mamy do mety o 20 kroków i strzelać, kiedy się podoba. Dowiedziałem się [o tem od mego sekundanta, że mój przeciwnik, ten sam krytyk *Balladyny*, który podczas improwizacyi mojej omdlał, przywieziony został z St. Germain, gdzie serce swoje u p. Pauliny Pl... zostawił, przywieziony bez serca, blady, z czerwonemi obłąkanemi oczyma, bardziej do miłości, niż do strzelania się skłonny. Jest to młody, 28-letni chłopak — ładny, lecz chorowitej i nieco nalanej cery, możebyś go Pani żałowała [1]). Możebyś... sam nie wiem, ale Pani i zawsze Pani mieszasz się teraz do wszystkich spraw moich — myśl o Pani jest zwierciadłem dla ducha mojego i duch mój musi być takim, aby się w nim zawsze bez wstydu mógł przejrzeć".

„Teraz z dziecinnemi szczegółami opiszę Pani ranek wtorkowy. Między 9 a 10 godziną miał być pojedynek, aby zaś w razie napadu przez ludzi sądowych można się było czem od procesu kryminalnego obronić — pojedynki teraz bowiem są zakazane we Francyi i chociaż sąd przysięgłych zwykle przez wzgląd na opinię pojedynkowego zabójstwa, tak jak innych morderstw nie karze, zawsze jednak sześciomiesięczne więzienie i kara pieniężna spada na zabójcę i sekundantów — dla zapobieżenia więc temu kupili-

---

[1]) Zdaje się, że w tych słowach jest złośliwie figlarna alluzya do powierzchowności Krasińskiego i do stałości uczuć pani B. dla niego.

śmy królika, który miał nam służyć w razie napadu przez policyę za wymówkę... biedny królik! — on był śmieszno-tragiczną stroną naszego pojedynku. We wtorek więc o godzinie 5-tej rano obudziłem się — przysięgam Pani zupełnie spokojny — spojrzałem na drzewa rosnące pod memi oknami, na słońce złote, zapaliłem cygaro, wypiłem szklankę starego wina, zjadłem dwa ciasteczka, i ubrawszy się cały czarno, tak, aby żadnego celu na mojej osobie nie było, wyszedłem sam z domu o 7-ej do ogrodu Lnxembourg, gdzie o pół do dziewiątej miał się zejść ze mną Nabielak i zaprowadzić na plac. niedaleko od ogrodu będący. Przechodząc koło kościoła Magdaleny przez targ kwiatów, kupiłem za grosz różę, abym ją przez ten ranek w ręku trzymał i mógł potem zwiędłą posłać — komu? Pani to odgadniesz. Idąc dalej, zaszedłem do kościoła Ascension i tam właśnie trafiłem, że ksiądz kończący mszę, żegnał; schyliłem pokornie przed błogosławieństwem głowę — i wyszedłem... W ogrodzie, na który Pani patrzałaś, stanąłem znowu i długo oczy moje zatrzymały się na dwóch dobrze znajomych oknach; ten dom teraz walą; okna były zamknięte, żaluzye popuszczane — poszedłem dalej. — Pani nie wiesz, co to jest iść samotnie, bez przyjaciela, z różą w ręku, przez cały Paryż, nie pożegnanemu przez nikogo. w tej pewności, że nikt nie drży o życie hazardowane i może nikt żałować nie będzie? — Dobrze jest jednak użyć takiej przechadzki, uczuć w sercu siłę dumną i niezłamaną, uczuć nawet zachcenie krwi, w ręce czuć broń, na sobie samym oprzeć się i uśmiechnąć się, czując, że dobrą jest podpora. W Luxemburgu o trzy kwadranse na 9-tą ujrzałem zbliżającego się Nabielaka. Tu mi Nabielak donosi, że nowa się rzecz stała: że Ludwik kasztelan Plater — przyjechał z St. Germain za moim przeciwnikiem; że nabożny Cezary Plater mu towarzyszy, że oba są u Ropel... i godzą sprawę; że oba mają natychmiast do mnie z prośbą przyjechać. Zawrzała we mnie krew: postrzegłem, że Jezuici z rąk mi uciekają — przeczułem, że ten blado-zielony wróg, któryby pod moim pistoletem omdlał, nie pokaże mi się na celu u już zapalonego krwią oka mojego; spokojnie jednak rzekłem do Nabielaka, że jestem na placu boju i nie ulegnę. Nabielak prosił mnie tylko o grzeczne z kasztelanem obejście się i o krew zimną; wkrótce zjawili się pacyfikatorowie. Kasztelan wziął mię pod rękę, Cezar wziął pod rękę sekundanta mojego i tak w głębokiem milczeniu szliśmy przez ogrodową aleję. Nareszcie kasztelan zaczął

lisią przemowę, przeciwnika mego oskarżył o nierozwagę dziecinną, mnie i moje postępowanie zaczął wynosić pod niebiosa, skończył pokorną, ale bardzo podstępną prośbą, abym go upoważnił do medyacyi... Tu odbiegła mnie już zupełnie rozwaga. — „Nie upoważniam Panów do żadnej medyacyi, krzyknąłem, jestem na placu boju; jeżeli przeciwnik, który mnie wyzwał, odstępuje od pojedynku, to ja go przymusić do bicia się nie mogę, ale nie pozwolę na to, aby mnie każdy bła.... wyzywał, zwlekał od dnia do dnia i na plac mnie wyprowadzał napróżno". Tu obróciwszy się do Nabielaka — Panie Nabielak! — rzekłem — proszę, aby mi była wyznaczona dziś albo jutro godzina pojedynku; ja na nią stanę i będę czekał."

„Widząc Nabielak, że coraz bardziej w gniew wpadam, wydał nareszcie całą tajemnicę. Z kimże ty się bić chcesz, rzekł do mnie, chyba z wiatrem; oni się już cofnęli. — Czy tak? — A tak, już się cofnęli; — rzekł kasztelan z miną pokorną, spodziewał się albowiem, że jeszcze nie mówiąc mi nic o tem, dla Pana Ropelewskiego wyrobi, że mu dam jaką słowną przynajmniej exkuzę; lecz obaczywszy we mnie wściekłość tygrysią, on i Cezar Pl... zadrżeli o swoją bladą i drżącą lalkę — i prosto mi ją z pod pistoletu uchylili... Wtenczas poznałem, co to są za wrogi ci przyjaciele, którzy więcej dbają o życie, niż o honor człowieka — tryumfowałem! — Chciał mnie jeszcze kasztelan Plater wmówić, że o tak zakończonym pojedynku pod słowem honoru milczeć należy Na to mu rzekłem prosto, że słowa honoru na to nie dam, bo do kilku osób o pojedynku już pisałem, więc gdybym dalej milczał i te same osoby strzałów pistoletowych nie słyszały, mogłyby myśleć, żem się ja upokorzył i dał jaką wymówkę słowną lub na piśmie — będę więc mówił i pisał o pojedynku, jak mi się podoba. Kasztelan i to przyjął — i tylko obróciwszy się do Nabielaka i wzniósłszy oczy do nieba, zawołał litośnie: „Jak on mnie traktuje!" Tu jeszcze nowa przeprawa: Cezar Plater zaprasza na śniadanie, chce koniecznie, abym się tego dnia z przeciwnikiem moim widział, zgodził się i kochał. Na to mu odpowiedziałem, że kochać można tylko człowieka, którego się szanuje, a ja dla pana Rop. jeszcze szacunku mieć nie mogę; że będę z nim grzecznie i nie dam mu uczuć wzgardy, ani go poniżę w towarzystwie, ale z kochaniem wstrzymam się, aż pan Ropelewski co dobrego zrobi. Od śniadania wyrywałem się, lecz Nabielak, który miał, jako sekun-

dant prawo rozporządzać moim czasem i rozkazywać mi, zawiódł mnie koniecznie do Cezarego Platera i tam z moim przeciwnikiem widziałem się. Plater Ludwik miał przemowę, w której dowodził, że do pojedynku racyi nie było, że to swoje przekonanie wpoił w serce p. Ropelewskiego. że Pan Ropelewski wzruszył się i dał się nakłonić do cofnięcia wyzwania swego. Po której to mowie p. Rop. podał mi rękę, ja mu podałem moją, mówiąc mu zimno: „zapomnijmy o tem, ale jeżeli mamy zapomnieć, to zapomnijmy na zawsze!“ Na te słowa, choć nie bardzo czułe, p. Rop. rozpłakał się, potem dano śniadanie, na którem jeden tylko z sekundantów pana Rop. był przytomny, drugi (Kołysko) przez wstyd został w domu, i teraz z wroga stał się moim, to jest mojego tryumfu rozgłosicielem. Stalo się tak, że klub się cały o pojedynku rano dowiedział, wieczorem przyjęli mnie więc wszyscy po bratersku i we wszystkich oczach widziałem błyszczącą przychylność, wszyscy o poemat się dobijają, wszyscy chcą czytać strofę, którą ja krwią moją pieczętować byłem gotowy. wszyscy się dziwią, że widząc mnie przez pięć dni przed moim pojedynkiem, nigdy żadnej zmiany we mnie, nigdy żadnego cienia na czole nie spostrzegli; ten mi przypomniał, że mię w poniedziałek wieczór o jakąś książkę prosił, a ja mu ją dać we wtorek obiecałem, drugi, że mi jakąś sztuczkę teatralną chwalił i we wtorek na teatr iść ze mną proponował, — słowem, wszystko się do mnie nawraca...“

„A teraz, choć się tak stało i ludzie mówią, że dobrze się stało, wolałbym był, przysięgam Pani na tego Boga, który wczoraj do mnie przybliżył swoje łono i gotów był mnie wziąć w objęcia swoje, jak dziecko skrwawione, przysięgam, że wolałbym wroga mojego mieć przedemną i tam go nauczyć, co to jest igrać z życiem człowieka temu, który nie gotów jest swoje zupełnie odważyć, ale i tak nauka jest dana, a kara jego może jest gorszą, niż śmierć“ [1]).

W liście do matki było daleko mniej pozowania. Słowacki, który pisząc do pani Bobrowej przedstawiał się jako żądny pojedynku i żałujący, że do niego nie doszło, w liście do matki przyznawał się, że pięć dni, które dzieliły wyzwanie od pojedynku, przeszły mu w wielkim niepokoju. „Ja przez pięć dni bawiąc się,

---

[1]) Listy J. Słowackiego do p. Joanny Bobrowej, jako dodatek do III tomu monografii Małeckiego o Słowackim (wyd. 3 str. 280—285).

jak zwykle z kolegami w cerklu naszym, tak dobrze pokryłem do ostatniego momentu pięciodniową niespokojność, że potem, gdy się dowiedziano, każdy się dziwił, iż ze mnie tego bynajmniej nie spostrzegł. A jednak wyznam ci, że te pięć dni... były mi bardzo gorżkie". Chciał też, aby ten list jego do matki świadczył o nim przed potomnością: „Chciałbym, ażebyś, droga, chowała ważniejsze z listów moich, bo to będzie najszczerszy ślad życia mego" [1]).

Sprawę pojedynkową znamy tylko z listów Słowackiego lub jego przyjaciela Niedźwiedzkiego [2]), znamy więc ją tylko z jednej strony, nie mamy jednak powodu wątpić, że Słowacki wyszedł z niej z zupełnym tryumfem. Mniej jasno przedstawia się nam postępowanie strony drugiej, Litwinów, a także sekundanta Słowackiego, Nabielaka. Niedźwiedzki donosił Zamojskiemu, że „Litwa nie zdołała strawić nowych poezyi Słowackiego, że ją ubodły do żywego i nierozumujący dawnym [3]) obyczajem chcą we krwi obmyć obrazę... Były narady, zjazdy i na nich postanowiono, że Ropelewski wyzwie Słowackiego, stanie się ofiarnym kozłem za Litwę całą." Z tej i z innych wskazówek można wnioskować, że wśród Litwy, która się naradzała, jak postąpić ze Słowackim wobec ogłoszenia drukiem *Beniowskiego*, zarysowała się różnica zdań, że jedni, jak n. p. Kołysko lub Franciszek Szemioth, widzieli konieczność wyzwania Słowackiego na pojedynek, (byli to ci, których Niedźwiedzki nazywał nierozumującymi), inni jak Platerowie Ludwik i Cezary, a niewątpliwie i Mickiewicz, wychodząc z katolickiego punktu widzenia, byli pojedynkowi przeciwni. Strona gorętsza, jak zwykle bywa w takich razach, wzięła górę i wmówiła w Ropelewskiego, który był najdotkliwiej obrażonym, że powinien krwią zmyć obrazę i pomścić zarazem siebie i Litwę; poważniejsi cofnęli się, ale na to, żeby do pojedynku nie dopuścić, co im nietrudno poszło.

Z przebiegu całej sprawy, jak go przedstawił Słowacki, można przypuszczać, że owi poważniejsi, a w szczególności Platerowie, potrafili zjednać dla swoich starań Nabielaka, sekundanta Słowa-

---

[1]) Listy II, 150—152.

[2]) Na listach Niedźwiedzkiego do Wład. Zamojskiego z dnia 14 i 21 czerwca 1841 p. Biegeleisen, oparł swój artykuł: „Pojedynek Słowackiego z Ropelewskim" w Tyg. Powszech. z r. 1884 Nr. 41.

[3]) W cytowanym wyżej artykule wydrukowano: dziwnym obyczajem, co jest zapewne myłką druku lub przepisywacza.

ckiego. Przeciwnie sekundant Ropelewskiego, Adam Kołysko, zgorszony był pokojowem zakończeniem sprawy pojedynkowej, skoro Niedźwiedzki powiada o nim, że jakkolwiek „człowiek lubiący cudze śniadania, zwłaszcza kiedy go na nie proszą,“ nie chciał pójść na śniadanie, na którem przeciwnicy mieli sobie podać ręce.

Tryumf Słowackiego był tem większy, że właśnie w owym czasie w *Tygodniku literackim* poznańskim ukazał się ów, na kilka miesięcy przedtem zapowiedziany Słowackiemu, artykuł o nim Krasińskiego. Ukazał się anonimowo p. t. *Kilka słów o Juliuszu Słowackim*, a był powtórzeniem, parafrazą tego, cośmy już przedtem poznali w cytowanych wyjątkach z listów Krasińskiego do Słowackiego i Załuskiego. Słowacki nie znajdował w tym artykule nic dla siebie nowego; ale dla ogółu emigracyi były tam rzeczy zupełnie nowe, sądy wynoszące Słowackiego do równej z Mickiewiczem wysokości i służące poniekąd za komentarz do owej walki bogów, którą się kończy *Beniowski* [1]).

Zobaczmy teraz, jakie wrażenie wywarł ten poemat na głównych przedstawicielach poezyi emigracyjnej, Bohdanie Zaleskim i Mickiewiczu i jakie sądy publiczne wywołał. Zaleski już w pierwszych dniach czerwca, a więc natychmiast po ukazaniu się *Beniowskiego*, czytał go i tak pisał o nim do Lucyana Siemieńskiego 7 czerwca 1841. „Ale, ale, ma tam dla ciebie Seweryn (Goszczyński) egzemplarz poematu Słowackiego p. t. *Beniowski.* Sam obaczysz. Najlepszy ze wszystkiego, co dotąd napisał. Ogromna fantazya, a serca ani źdźbła. W nic nie wierzy, nikogo nie miłuje, niczego się nie spodziewa. Siebie uważa za *centrum* świata i Polski i wszystkich rzeczy, które jeno są; ma się słowem za Boga. Nieznośny pyszałek, zapalczywszy i złośliwszy stokroć, niż Bajron. Smaga niemiłosiernie biczem, kto mu się nawinie. Zaciął mnie i Seweryna, Mickiewicza ciemięży najstraszliwiej na śmierć... Wpadł jednak na swój rodzaj i dla tego został od razu znamienitym pisarzem; wątpię, czy poetą? Wierszowanie niesłychanie świetne i żwawe. Oktawy jego lepsze niż Ariosta. Język giętki, czysty, ale brakuje mu jakiejś woni poetyckiej, którą daje serce, tego samego, co Ariostowi. Nienawiść — jego Muza; a ja brzydkie —

---

[1]) Ludwik Plater miał usunąć z czytelni klubu polskiego numer *Tygodnika*, w którym był ten artykuł, a Feliks Wrotnowski, nie chciał umieścić ogłoszenia płatnego w „Dzienniku Narodowym.“ Patrz Biegeleisen l. c.

Bogiem. Gorączkowy stan duszy odźwierciedla się i w obrazach narodowych obyczajów. Pozorna też to narodowość. Gdzie mu do Soplicy? Zadziwi może blaskiem i naturalnością swoją nową czytelników, ale nie zniewoli serc na długo" [1]).

Ustęp ten najwymowniej dowodzi, jak olśniewające wrażenie wywarł *Beniowski* na Bohdanie Zaleskim. Doskonale się też zarysowuje w tym ustępie przeciwieństwo pomiędzy poezyą Zaleskiego i Słowackiego: z jednej strony pewna jałowość fantazyi przy pełni i świeżości uczucia, z drugiej strony ubóstwo serca przy olśniewającym przepychu i niewyczerpanem bogactwie fantazyi. Jak na antagonistę i to jeszcze zaczepionego w poemacie, sąd Zaleskiego był dość bezstronny. Słuszny był zarzut, że Słowacki uważa się za centrum świata, słusznem i to, że gorączkowy stan duszy poety odźwierciedlił się w obrazach narodowych obyczajów, niesłusznem tylko określenie, że muzą jego była nienawiść, niesłusznem powątpiewanie, że był poetą.

W dziesięć dni potem pisząc do Seweryna Goszczyńskiego, Zaleski poddawał się przygnębieniu moralnemu, które widocznie wypływało z wrażenia, jakie wywarł na nim *Beniowski*. On, tak wysoko postawiony przez Mickiewicza w pierwszych wykładach Literatury słowiańskiej, on, któremu Mickiewicz przed rokiem pisał, że mocą swego ducha „ciągnie do siebie całe ciepło i światło poetyczne [2])", porównywając swój śpiew i lot skowronka z czarodziejstwem słowa w *Beniowskim*, z burza i błyskawicami fantazyi Słowackiego w tym poemacie, uczuwał nikłość swoją i stąd pochodziło przygnębienie. „Jakiś niesmaczny niepokój trapi mnie wewnątrz, że ustawicznie to tęsknię za czemś, to nudzę się na śmierć. Tęsknię za swobodną milszą pracą, jak to bywało ongi; a nudzę się ze swojej dzisiejszej niemocy. Pospólna to podobno nam choroba, generyczna dla wszystkich poetów. Może my, Sewerynie, dla tego jałowiejem, że inne spółczesne nam duchy płodzą. Szczęść im Boże! byle więcej mieli miłości i pokory, niż Słowacki, bo inaczej nie wiele przysporzą dobra i chwały dla Polski. Ej, żeby to rychlej dostać się nam na Ukrainę! Zsadzilibyśmy jeszcze z Pegaza niejednego pyszałka. Ale tak, jak jesteśmy, to i same ręce opadają.

---

[1]) Korespondencya I. B. Zaleskiego T. I, 1900 str. 205.

[2]) Korespondencya Ad. Mick. T. I, 210—211.

Czużyna trawi nas powoli, jak suchoty; przepadniem nie wiedzieć po jakiemu" [1]).

W liście do Mickiewicza, o dwa dni późniejszym (19 czerwca 1841 r.), Zaleski inaczej pisał, nie z tą szczerością, co w listach do Siemieńskiego i Goszczyńskiego. Widocznie chciał sobie i Mickiewiczowi dodać ducha.

„Czytałem też tu nieco uważniej *Beniowskiego*. Nie ma co mówić, wiersze zgrabne, ale duch mdły, pomimo pozornej ruchliwości. Poeta buja na płytkich bardzo fluxach i oprócz grubego skandalu nie ułowi ani drobnej perełki, którą godziłoby się zawiesić, choćby na pogańskim ołtarzu lub na szyi jakiejbądź kochanki. Ja taki niepoczesny, a wcale się nie stracham i spodziewam się, że kiedyś po leciech zsadzę go z Pegaza. A cóż dopiero ty, nasz Adamie, taki doświadczony i zawołany jeździec! Skoro nastaną wakacye, weźno się w skok do pióra. Panowie młodsi poeci obrali sobie na Muzy złość i pychę, my przytulmy się jeszcze bliżej ku miłości i pokorze, a obaczysz, kto wygra? kto i jasne i roznośniejsze dźwięki wydobędzie dla narodu, któremu wcale dziś nie do śmiechu. *Wojna Bogów!* głupie cielce, obydwa ze swoim X. (Krasińskim)... mniemają, że o taką wojnę chodzi Polsce. Liczę sobie za dobrą kreskę, żem cię ongi odstręczał od pokusy poetyckiej à la Słowacki. Mnie samego o mało nie namówił Gurowski, żebym w taki sposób kontynuował mego *Diabła Borutę*. Ale pomiarkowałem się i spaliłem, a wyręczył oto nas obydwóch autor Beniowskiego: nie warto dłużej o tem pisać" [2]).

Lekceważenie okazywane tu poezyi Słowackiego wydaje się więcej sztucznem niż prawdziwem i bodaj czy nie wypływało z przyjacielskiej chęci zatarcia w Mickiewiczu przykrych wrażeń, wywołanych ostatniemi strofami Beniowskiego. Z tem lekceważeniem nie licowało pobudzanie Mickiewicza, aby za nadejściem wakacyi wziął się w skok do pióra. Widocznie dolegały Zaleskiemu pociski, którymi Achilles-Słowacki szturmował w poetycką Troję Mickiewicza, widocznie chodziło mu o przyćmienie sławy, którą sobie autor *Beniowskiego* zdobywał tym utworem, o przyćmienie jej jakimś nowym tryumfem podobnym do tego, który na uczcie odniósł Mickiewicz nad Słowackim.

---

[1]) Korespondencya I. B. Zaleskiego T. I, str. 208.

[2]) Tamże T. I, str. 214.

Ale Mickiewiczowi, zmęczonemu kursem literatury, a mającemu w perspektywie napisanie a raczej przepisanie z Niemców porównawczej gramatyczki słowiańskiej, ciągle niespokojnemu o zdrowie żony i przygnębionemu smutnemi wiadomościami, jakie nadchodziły z Litwy, nie do poezyi było. Więc odpowiedział: „O poezyi boję się myśleć. Chybabym gdzieś głęboko na wsi osiadł, tobym może coś wydumał. Nie masz tedy na ten raz współubiegaczów prócz Słowackiego". Ale wyrzekając się współzawodniczenia ze Słowackim, najzupełniej pochwalał sąd Bohdana o duchu jego poezyi. „Dobrze i święcie powiedziałeś, że nam trzeba tulić się ku miłości i pokorze. Gdyby i nieboszczyk Byron był między nami, pewnieby nas zbudował pokorą. Ale biedne pyszałki, co się im dzieje! Boję się, żeby ich nie spotkał taki los, jakiego doznają dyktatorzy emigranckie, gryzieni troskami władzy najwyższej, której rozkoszy nigdy nie użyli"[1]).

Sądy dotychczas przytoczone były prywatne, przypadkowo tylko mogły dochodzić uszu Słowackiego: ale nie długo miał czekać na publiczne. *Beniowski* był niezwyklem zjawiskiem w literaturze emigracyjnej, nie tylko dla tego, że świetnością formy olśniewał, ale i dla tego, że poruszał mnóstwo ważnych i drobnych spraw i stosunków życia emigracyjnego, że wreszcie wprowadzał ton, nieznany dotychczas w poezyi polskiej, ale od początku emigracyi rozbrzmiewający w dziennikarstwie emigracyjnem, ton zaciętości polemicznej. Powszechna uwaga emigracyi zwróciła się na ten poemat, a trzy główne jej stronnictwa, katolickie, demokratyczne i dynastyczne uczuły potrzebę wydania o nim sądu, zajęcia wobec niego stanowiska.

Najwięcej czuło tego potrzebę stronnictwo katolickie, przeciw któremu ostrze poematu najwyraźniej było wymierzone. Krytyka przytem *Beniowskiego*, ze stanowiska tego stronnictwa wychodząca, powinna była naprawić to, co popsuł śmieszny pojedynek Ropelewskiego ze Słowackim. Myślę, że właśnie owi poważniejsi Litwini, którzy byli przeciwni pojedynkowi, za jedynie godne odparcie obelg rzuconych w *Beniowskim* uznawali rozumną, spokojną i wyższą nad złość i oburzenie krytykę. Organem stronnictwa, o którem mowa, był niedawno przedtem założony, a przez Wrotnowskiego redagowany *Dziennik Narodowy*, tu więc miała się ukazać

---

[1]) Koresp. A. Mick. T. I, 1880 str. 234.

owa krytyka. Podjął się jej Jan Koźmian, który już przedtem w tem samem piśmie podał rozbiór *Nocy letniej* Krasińskiego i umiał niektóre trafne poczynić uwagi autorowi.

Krytyk na wstępie przyznawał, że nie łatwo mu będzie „spokojnie mówić o utworze, w którym tyle zimnego gniewu i nienawiści, nie łatwo wstrzymać się od odpłacenia uszczypliwością, lekkim żartem za wyuzdany dowcip“, ale oświadczał, że będzie się starał przy całej surowości sumiennej krytyki zachować miarę i powagę. Tego przyrzeczenia dotrzymał; niektóre zarzuty jego, szczególnie odnoszące się do formy, nie były trafne, były nawet śmieszne, ale nigdzie zjadliwość, nigdzie chęć zemsty z nich nie przebijała. W *Beniowskim* widział naśladownictwo *Don Juana* i to mu dało powód do porównania Słowackiego z Byronem. „Byron miał w sobie ogień niebieski... miał potęgę miłości i tylko w nadużyciu łatwych uciech, w miękkiej pomyślności hart duszy stracił“; nawet w *Don Juanie*, który jest otchłanią sceptycyzmu „często się ocknie dawny ogień; miłość, cześć wolności dźwięczą na strunach poety wzniosłą nutą, nawet szyderstwo jest namiętne“... „Słowacki jest człowiek zimny, cały jego zapał w głowie; wyobraźnię ma bogatą i świetną, ile się zaś razy w uczucia zapuszcza, znać przymus, wysilenie, udaje namiętność, ale w nim nigdzie namiętności nie znajdzie. Indywidualizm Byroński mocno do niego przystał, tylko co w Byronie był tak głęboko ognisty, w Słowackim wziął znamiona ciasnej próżności. Mile czasem z głębi duszy odzywają się rzewność i tęsknota polska, ale i te znać przelotem, i tych dobrych uczuć wstydzić się zdaje“.

Ten sąd porównawczy, najpewniej od Mickiewicza zaczerpnięty, był słuszny. Słuszne też były uwagi, że Słowacki „chętnie się pieści z natchnieniami snu gorączkowego,... często nawet jakieś zachcenie za natchnienie biorąc, między nasuwającemi się myślami nie przebiera“, (Chodzi mi o to, żeby język giętki — powiedział wszystko, co pomyśli głowa) i że „należy do rzędu tych, co w obcej myśli popędu szukają“, że „nie do poety należało polemikę małych dzienników wznosić do powagi poematu epicznego“ i inne. Najmniej szczęśliwem było to, co mówił o stronie zewnętrznej poematu, o strofach, wierszach i rymach, o błędach „przeciw pierwszym zasadom gramatyki.“

Walce Słowackiego z Mickiewiczem poświęcony był osobny ustęp. Była to ze strony wielbicieli autora *Pana Tadeusza* odpo-

wiedź na pociski rzucone nań w *Beniowskim*. „Nie widzimy potrzeby stawać w obronie wielkiego poety, którego bezsilny gniew nie dotyka. W czyich wierszach całe pokolenie uczyło się szukać wyrazu na najwznioślejsze uczucia, czyje śpiewy dziś jeszcze powtarza wszystko, co cierpi i wszystko, co się spodziewa w Polsce, ten żyje i żyć będzie w historyi. Choćby do Słowackiego, jak sam wykrzykuje, należała przyszłość, do niego zwycięstwo za grobem, to jeszcze piętnastoletniej nie zatrze chwały. Nienawiść dla autora Pana Tadeusza wrzała w Słowackim od dawna; głośna już dzisiaj improwizacya grudniowa przyśpieszyła tylko jej wybuch". I tu Koźmian znajdował sposobność podania opisu walki improwizatorskiej, którą już na właściwem miejscu poznaliśmy.

Zakończenie krytyki było napisane w duchu improwizacyi Mickiewicza, było wezwaniem Słowackiego na drogę wiary i miłości. „Niechaj rozdmucha w sobie iskrę uczucia, tylko się sercem serca rozpalają; niech się uspokoi, trzeba pogody wewnętrznej, żeby wielkie rzeczy pojmować i tworzyć. My nie zwątpiliśmy jeszcze o nim. Wierzymy mu, kiedy mówi o swoim smutku i goryczy... wierzymy, że jeszcze to zmieni..." niechaj nie woła, że już zapóźno wziąć nową harfę niepokalaną [1]). „Nie, nigdy późno: po co schylać czoło pod jakąś fatalnością. Obejrzyj się wkoło, młody poeto, oto jesteś wśród nieszczęśliwego ludu wygnańców; koło ciebie tyle cierpień, cichego poświęcenia, czystych nadziei, sław cierpienie, darz poświęcenie wieńcem nagrody, grzmij pieśń nadziei. Obiecujesz wieść naród, śpiewać narodowi. Śpiewaj, chętnie ci wtórować będą, ale weź, jak sam mówisz, lutnię niepokalaną. Gorycz, nienawiść, nasz codzienny chleb na wygnaniu, już wiele świętych rzeczy, wiele poezyi zwarzyły. Wojując ironią ciężko wykroczyłeś przeciw Bogu, przeciw Polszcze, masz przyszłość do poprawy" [2]).

---

[1]) Słowa te odnoszą się do następującej strofy *Beniowskiego* (Pieśń IV.).

A jednak gdyby twoja, o! młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może, lutnię szalonego Barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną.

[2]) Dziennik Narodowy Nr. 14 i 15 z d. 3 i 10 lipca 1841.

Były to słowa z serca płynące, a tem łatwiej mogły pociągać ku sobie Słowackiego, że krytyk chętnie się godził na przewodnicze stanowisko jego, jako poety, w narodzie, byle tylko wziął inną, „niepokalaną“ lutnię. Wogóle krytyka Koźmiana, pomimo swych rozmaitych słusznych i niesłusznych zarzutów, jako pochodząca z obozu, na który Słowacki tyle wyrzucił obelg, i skąd mógł się spodziewać surowego odwetu, musiała wywrzeć na nim dodatnie, uspokajające wrażenie.

W parę tygodni po ukazaniu się krytyki Koźmiana wystąpił z równie obszerną, równie na dwa numery rozciągniętą oceną *Beniowskiego*, przedstawiciel obozu demokratycznego, *Demokrata Polski*, które to pismo na niedługo przedtem, właśnie w czasach wychodzenia *Beniowskiego* z druku, przeniesione było z Poitiers do Paryża i pod nową wychodziło redakcyą. W redakcyi brał udział i Seweryn Goszczyński, więc nasuwa się przypuszczenie, ze może to on był autorem owej oceny [1]). Krytyka *Demokraty* była jakby odpowiedzią na krytykę *Dziennika Narodowego*, i to wszystko, czemu ten ostatni przyganiał w *Beniowskim* ze stanowiska religijnego, brała w obronę — niekiedy dość chaotycznie — Słowackiego zaś przedstawiała, jako prześladowanego przez „pewien polityczno-religijny lub semi-religijny kącik“, który „z trudem podnosił na ramionach Stefana Garczyńskiego, wielką pracą i wysileniem dźwigał Kajsiewicza, może nawet i z autora *Nieboskiej Komedyi* za wielkiego zrobił olbrzyma“. Był to pocisk wymierzony głównie przeciw Mickiewiczowi, którego katolickie stanowisko zarysowane w III. części Dziadów nie podobało się autorowi.

---

[1]) W tym samym arkuszyku *Demokraty*, w którym był pierwszy artykuł o *Beniowskim* (z 23 lipca 1841), znajdował się artykuł p. t. *Narodowość*, pisany przez Goszczyńskiego. Bohdan Zaleski we współczesnym liście do niego rozpisuje się o tym ostatnim artykule, chwaląc go, o krytyce zaś *Beniowskiego* milczy najzupełniej. To jednak, co mówi z powodu artykułu „Narodowość“, jest jakby wymierzone przeciw owej krytyce. „Zgadzam się na wszystko, co tam powiedziałeś i podkreśliłem tylko jedno miejsce, gdzie podejrzywasz katolicyzm Skargi. Sewerynie! och Sewerynie! nie przyjdziecie wy nigdy do ładu z ludem, póki nie uszanujecie jego wiary i nie rozniecicie wielkiej miłości w Chrystusie. Bijcie na księży, na Jezuitów, na wszystko złe w kościele, które także spłodził ten sam świecki materyalizm, duszący dziś wolność, ale brońcie religii i moralności, dwóch kotwic, na których stoją narody. Dalibóg! Skarga szczerze kochał i Chrystusa i Polskę“. Koresp. I. B. Zaleskiego T. I, str. 216.

Największe wrażenie na krytyku *Demokraty* wywarło wołanie Słowackiego, że poprowadzi „lud“ inną drogą, niż Mickiewicz. Przytoczywszy wiersze: „Ha! ha! mój wieszczu, gdzież to wy idziecie... pójdę gdzie indziej i lud pójdzie za mną“, tak pisał dalej: „Kiedyśmy następne odczytali strofy, dusza nasza uniesiona została całą świętością posłannictwa poezyi w naszym narodzie, myślą sięgnęliśmy cały przestwór, całe gmachy, całe głębie, jakie prawdziwie natchniony duch obudzić i poruszyć może, i w dłoniach takich pieśni, oskrzydlonych archanielskiemi póry, ujrzeliśmy i miecz archanioła, ale niestety! ta pieśń budząca z grobów dotąd jeszcze nie zabrzmiała. Lud za nią pójdzie i lud jej czeka. Lecz wieszczom że to pokazywać, gdzie podobnego mają szukać natchnienia? niech się wpatrzą z całą miłością w mękę tego ludu, w jego poniżenie i cierpienia, jak się wpatrywali święci w rany i krew Zbawiciela, ażeby w nieskończoności mogli śpiewać hymn wiecznego szczęścia i chwały. Mamyż wyrażenie się poety lud pójdzie za mną za uroczystą uważać obietnicę?“

Loika ostatniego zdania nieco chroma, (bo pewność, którą ma poeta, że lud pójdzie za nim, nie może być jeszcze uważana za obietnicę jakąś z jego strony, że poślubi sprawę ludu), ale o co chodziło autorowi krytyki, domyśleć się łatwo. Widział on w tem wyrażeniu „lud pójdzie za mną“ jakby oświadczenie, że poeta chce zostać śpiewakiem ludu, wyśpiewać dążenia i ideały demokracyi. Ale porównywając dotychczasową twórczość poetycką Słowackiego z tym okrzykiem, tak rozumianym, jak sam rozumiał, widział, że się z nim nie godzi, to też musiał przyznać, że „niestety! ta pieśń budząca z grobów, dotąd jeszcze nie zabrzmiała“. Wszakże co się dotąd nie stało, to stać się może, jeżeli Słowacki przejmie się cierpieniami i nędzą ludu. Rzecz charakterystyczna, że kiedy krytyk *Dziennika Narodowego*, mówiąc o tym okrzyku Słowackiego, brał wyraz lud w znaczeniu narodu, krytyk *Demokraty* nadawał temu słowu znaczenie jednej tylko warstwy społecznej.

W całej tej pochwalnej krytyce dwa tylko były zarzuty uczynione *Beniowskiemu:* jeden dotyczył zamieszania w obrazach, niewykończenia scen, drugi, o wiele ważniejszy, umieszczony na końcu, miał być nauką na pożegnanie daną, odmienną, ale analogiczną do tej, której udzielał Koźmian w swojej krytyce. Przystępował do niej *Demokrata* bardzo czule, chciał z wielką delika-

tnością, „z całem współczuciem braterstwa, z całą zręcznością“... „przyłożyć dłonie do bolesnej i dotkliwej rany“... O cóż chodziło *Demokracie?* Widział i on, pomimo całego współczucia, jakie miał dla walki Słowackiego z katolicyzmem, widział w Słowackim zanadto wyłączne przejęcie się sprawą osobistą, z drugiej zaś strony brak wiary w naród i nadziei lepszej przyszłości dla niego. „Możeby i silniejszemi były te gromy, które poeta tak słusznie na głowy nieprzyjaciół rzuca, gdyby padały z całej wysokości niczem niezachwianej narodowej wiary, gdyby wieszcz był się okazywał więcej obrońcą prawdy wyższej i niezależnej od niego; niechby spoczywała na jego czole i barkach, czyliż ją nie nadto wcielił i w swą przyszłą chwałę i w swe nieszczęścia minięte i w swą walkę obecną. Kiedy miłość wyższa, kiedy prawda, obiorą sobie kogo za rycerza i obrońcę, wysokiego udzielając mu natchnienia, niechaj zapomni sam siebie, one go pewnie nie zapomną, wzleci na ich skrzydłach, bez znużenia się własnem szamotaniem“. W końcu przypominał *Demokrata* Słowackiemu jego własną strofę z *Beniowskiego*, w której się podobna przestroga zawierała:

Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa itd.[1]).

Ostatecznie krytyka *Demokraty* była bardzo pochlebną dla Słowackiego, stawała stanowczo po jego stronie przeciw Mickiewiczowi i zapraszała poetę do obozu demokracyi emigracyjnej, od którego trzymał się on dotychczas zdaleka.

Teraz przyszła kolej wypowiedzenia sądu o *Beniowskim* na stronnictwo dynastyczne, z którem, jak wiemy, łączyły Słowackiego dość ścisłe stosunki osobiste. Jakież stanowisko miał zająć *Trzeci Maj* wobec tego poematu? W piśmie tem spoglądano na wszystko pod kątem dynastycznym, i jak *Demokrata* znajdował w *Beniowskim* wyrażenia, w których dosłuchiwał się wyznania wiary demokratycznego, tak *Trzeci Maj* mógł łatwo w niektórych zwrotach dopatrzeć sympatyj dynastycznych, (gdzie, to już wiemy,) a im więcej pierwszy starał się poetę dla swego obozu pozyskać, tem więcej drugiemu mogło chodzić o to, ażeby nową sławą poetycką uświetnić swoje stronnictwo. Przytem *Trzeci Maj* ciągle prowadził

---

[1]) Demokrata Polski z d. 23 lipca i 5 sierpnia 1841 T. IV, str. 44—47 i 52—54.

polemikę z *Dziennikiem Narodowym*, organem emigracyi najbardziej zbliżonej do Mickiewicza, o potrzebę uznania dynastyi i skarżył się (w numerze z 3 sierpnia 1841), że „widzi się w każdym niemal numerze *Dziennika Narodowego* wprost i w zelżywych słowach atakowanym“. Zelżywych słów nie było, ale było traktowanie organu dynastycznego, jako niedowarzonego, jakim on był niewątpliwie.

Dla takich to względów *Trzeci Maj* umieścił krytykę *Beniowskiego*, która w uwielbieniu daleko przelicytowała *Demokratę*, bo nie znalazła nic do przygany w poemacie, podobnie jak *Demokrata* brała w obronę poemat od zarzutów *Dzien. Narodowego* i obniżała umyślnie znaczenie Mickiewicza, aby tem wyżej wynieść Słowackiego i otoczyć go gęstemi kłębami kadzidła. Oto jakim pompatycznym i zawiłym stylem pisał p. Wacław Jabłonowski — autor owej krytyki — o Słowackim.

„Juliusz Słowacki wzrósł nagle w ogromnego olbrzyma, opartego silną stopą o piękne, fantastyczne charaktery żywo wyjęte z koła społeczności polskiej ze wszystkiemi jej odcieniami, formami i czysto narodowym kolorytem, sięgającego czołem tego autora tylko geniuszowi znanych podniebnych wysokości, które słusznie i głęboko filozoficznie jeden z recenzentów krajowych (Krasiński) nazwał siłą odśrodkowania — a które, ja, instynktem politycznym wiedziony — słuszniej może językiem zrozumialszym dla masy nazwę: usiłowaniem polskiej duszy i instynktów czysto narodowych uwolnienia się z więzów form i idei cudzoziemskich — w olbrzyma nacechowanego stąd całą siłą, wypływającą z dwóch wielkich jego własności — narodowości — i misyi jej oczyszczenia“.

Cóż znaczyła ta gmatwanina, mająca pretensyę, że jest „zrozumialszą dla massy“ od słów Krasińskiego? Oto, że poezya polska nie miała dotychczas cech narodowych, że Słowacki dopiero jej te cechy nadawał i że jakoby to miał na myśli Krasiński, mówiąc o odśrodkowym kierunku poezyi Słowackiego. Jak dalece entuzyastyczny krytyk rozmijał się z Krasińskim, nie potrzeba tego dowodzić, ale warto pokazać, jak uzasadniał swoje twierdzenia, ponieważ w tych słowach jego znajdował Słowacki to, co było jego marzeniem od dzieciństwa, to jest przyznanie mu wyższości nad Mickiewiczem.

„Pan Tadeusz, ta głośna epopea narodu polskiego — pisał Jabłonowski — przy Beniowskim dopiero w prawdziwej swej farbie nagle okazuje się i nawzajem Beniowskiego zachwycające barwy

wydatnemi oku massy czyni — przy Beniowskim to dopiero mocno czuć się daje, że Pana Tadeusza nie koniecznie Polak, ale może i cudzoziemiec, dobrze znający zewnętrzne formy życia i charakteru polskiego, polskim językiem gdzieś w buduarze paryskim, w Berlinie czy Edynburgu napisał... Bo gdzie w Panu Tadeuszu znajdziesz tę polską szlachecką duszę, co w każdej myśli, zwrocie mowy, w każdej osobie poematu Beniowski ciągle wyjawia się; ciągle wre i kipi — znajdziesz tam zimne, piękne posągi mowy i czucia, ulane na formę bóstw niemieckich lub angielskich i lekko gdzieniegdzie okryte, to rogatą czapką — to jednym (!) butem czerwonym; ale gdzie tam znajdziesz tę duszę tęgą, że tak powiem chwacką, to jest silną, a wesołą, dziką i fantastyczną, pełną prostoty a razem głębokiego czucia wszelkich odcieni — duszę naszych ojców — dla której plastyczne uczucia piękności form cudzoziemskich, narzucane siłą narodowi w każdej chwili wahania się jego w wyborze drogi ku postępowi — były ogromnemi cięgami, które zagłuszyły życie i byt narodu".

Krótko mówiąc, wbrew powszechnie panującemu przekonaniu, że Mickiewicz jest poetą prawdziwie narodowym i oryginalnym, a Słowacki naśladowniczym, krytyk *Trzeciego Maja* przedstawiał ten stosunek odwrotnie, z Mickiewicza robił naśladowcę, w Słowackim widział tego, który pierwszy zrzucał jarzmo naśladownictwa, a na zarzut *Dziennika Narodowego*, że ironia *Beniowskiego* jest naśladowaniem *Don Juana*, odpowiadał długo, zbijając to twierdzenie takiemi np. argumentami: „Ironia Bayrona wydobywa nam mimowolnie z piersi śmiech piekielnego zepsucia duszy — w Słowackim przymusza serce, że tak powiem, dowodzić w sobie uczuć cnoty i piękności". Była w tem odpowiedź na niekorzystne dla Słowackiego zestawienia *Don Juana* z *Beniowskim* w *Dzienniku Narodowym*, jak znów w innym ustępie było odparcie zarzutu tego Dziennika, że „Słowacki jest człowiek zimny", że „cały jego zapał w głowie", że w nim nie ma prawdziwej namiętności. Oto jak patetycznie przemawiał Jabłonowski o sercu Słowackiego. „Ja kocham i podziwiam silną pasję co w Słowackim ciągle się odbija — boleję nad cierpieniami tego pięknego, silnego serca! — Biedne serce! co ono cierpieć, co ono czuć musi! — Serce wybrane na męczeństwo — bo Bóg widząc, że ani krew ani niedola w sercach Polaków siły obudzić i wydobyć nie mogą — rzucił okiem na Polskę i gdzieś wśród lasów Wołynia — wybrał silne serce, zdolne wy-

trzymać burze i gorące jady. które na przeczyszczenie dusz polskich zgotował, którymi to serce zaprawił — i wychyliło się ono dzisiaj ognistym deszczem mowy, co pożre wszystko, co złe, śmieszne i podłe — a z którego wyjdzie całe i nietknięte, wszystko co święte i co prawda"[1]).

Cała recenzya Jabłonowskiego była jednym wielkim hymnem uwielbienia dla autora *Beniowskiego*. Na taki akt publiczny długo czekał Słowacki, więc choć zapewne i sam dostrzegał pewnych niedorzeczności w tym hymnie, błogo mu było, gdy się widział tak wysoko wyniesionym, takiemi kłębami kadzidła otoczonym. Błogo mu było, gdy tak przeciwne sobie stronnictwa, jak centralizacyi demokratycznej i *Trzeciego Maja* ubiegały się o pozyskanie jego dla siebie, gdy nawet stronnictwo, które najzajadlej szarpał, ofiarowywało mu przymierze i gotowość uznania jego przewodnictwa w poezyi, jeżeli weźmie lutnię „niepokalaną".

Inne go jeszcze spotkało w tym czasie odznaczenie, twarz jego w dwojaki sposób została uwieczniona: raz w stalorycie przez pewnego Anglika (James Hopwood'a według rysunku Józefa Kurowskiego), drugi raz w znakomitym medalionie Władysława Oleszczyńskiego, a pochwalny opis tego medalionu w *Trzecim Maju* (z 11 września 1841) był poniekąd także tryumfem dla poety. „Z siedmiocalowej tarczy wystaje pełno-wypukły profil Słowackiego, ze wszystkiemi charakterami znamionującemi tę niepospolitą głowę. Widzisz je w dziwnem ścięciu korony głowy; w natężonem, ogniem pałającem oku; w wardze dolnej pełnej skargi i niesmaku dla świata; w rozdętym, dziką energią tchnącym nosie; w czole wyniosłem, obarczonem myślami, ciężarem swoim naciskającem oko. Oblicze zionie surową pogodą i otwartością, jaka znamionuje dusze wyższe, zacięte lecz szlachetne. Myśl, jakaś mgła posępna, surowość też pogoda, duch żywy, wyglądają na przemian z tej pięknej, podobnej, miłością snycerską obrobionej, z i d e a l i z o w a n e j twarzy".

Te wszystkie różnego rodzaju tryumfy, które odniósł Słowacki po ukazaniu się *Beniowskiego*, wpłynęły na jego usposobienie, co się odbiło we współczesnych listach do matki. W liście bez daty, ale widocznie pisanym zaraz po niedoszłym pojedynku z Ropelewskim, pisał Słowacki do matki, że teraz szczęśliwszy jest, niż kiedykolwiek w życiu: „Wszystko się tak składa, jakby Bóg nademną

[1]) Trzeci Maj z 5 października 1841. Str. 166—169.

czuwał i kochał mnie i błogosławił". I tu napomknąwszy w kilku słowach o swojej miłości dla p. Bobrowej i o swojem „lataniu za marą szczęścia", dodawał: „Z drugiej strony nabierałem także powagi i blasku; tych. co mi byli niechętni, przymusiłem, że otwarcie przedemną stanęli i widząc mnie niedrżącego, z przed oka mego ustąpili ze wstydem". Więc wzywał matkę. aby dziękowała Bogu, że go „widocznie broni i niczemu nie pozwala przemódz nad nim", a ponieważ z jej listu wysnuł nadzieję zobaczenia się z nią w Dreźnie, więc tak pisał o tej nadziei: „Tak teraz wierzę, że jestem w jakiejś dobrej szczęścia epoce, że i ta nadzieja snem mi się nie wydaje". List kończył się równie wesoło, jak się zaczynał: „Cierpliwy, spokojny i smutny, przeżyłem nudne chwile życia; teraz z uśmiechem patrzę na to, co minęło, i ty się droga uśmiechnij i kochaj mnie wesoło"...[1]).

W nieco późniejszym liście do matki powtarzał Słowacki te same zapewnienia, że mu „lepiej na tym świecie dziś niż wczora"... „Są lata napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynię; nic mu wtenczas w porę nie przychodzi, dobro każde na złe się obraca, usiłowanie żadne skutku nie bierze. Są to lata dążenia, gorączki, podróży, upragnień, zachceń, bolu, złe słowem, i bezsenne lata... Lecz nagle, jeżeli Bóg nam sprzyja, uczuwamy, że wszystko się odmienia, że życie staje się pełniejszem... że jedni ludzie zupełnie przeciw nam się deklarują, drudzy są naszymi przyjaciółmi... jest coś w sercu, co nas o tem ostrzega... może to zmiana jakaś w zdrowiu, w systemacie nerwowym, ale dobra ona jest i mnie teraz weselej"... A wiedząc, że matka radaby poznać bliżej przyczynę tej zmiany usposobienia w ukochanym synu, pisał w dalszym ciągu: „Tak dawno nie widzieliśmy siebie, że gdybym cię listem chciał o stanie mego serca, o zmianach charakterowych humoru mego uwiadomić, potrzebaby list zrobić dziennikiem dni prawie i wypadków; bo, rozważywszy rzeczy, nic dla mnie bardziej szczęśliwego nie zdarzyło się. Jestem, jak zawsze, dość samotny, pracuję, dumam, ale ta czczość jakaś, która mi prace moje i dumania obrzydzała, zniknęła... Widzę, że mnie Bóg nie zapomniał w niebie i to mi daje dziwnie dumną spokojność"[2]).

---

[1]) Listy II. 143—145.

[2]) Listy IV 139—140. Trzy listy bez wyraźnej daty, oznaczone numerami 74, 75 i 76 p. Meyet ustawił nie w porządku chronologicznym. List nr. 76, pisany

Dla nas, znających wrażenie, jakie wywołał *Beniowski*, powody tej zmiany usposobienia, jaka się malowała w listach, są jasne, ale matka, niewtajemniczona w szczegóły ówczesnego życia swego syna, w szczegóły jego walki o sławę, nie mogła ich zrozumieć. Zdawało się jej, że syn, ciesząc się nowem powodzeniem, mniej dba już o matkę, nie dzieli się z nią ani wrażeniami swego życia, ani swymi utworami, i skarżyła się przed nim na swoje smutne i samotne życie. Odpowiedzią na podobne skargi jest list poety z wyraźną już datą 10 listopada 1841. „Najdroższa moja! Dziś odbieram list, który mnie zasmucił, jest w nim albowiem jakby echo żałosnej skargi, a co okropniej, zdaje się, że udręczonej tylą cierpieniami, już i syn twój przestał ci być miły. Ilekroć chciałbym się bronić, nie mogę, bo wiem, iż jestem winny względem ciebie, ale ty pomyśl, że dziecko twoje oddało się całkiem tej zimnej, marmurowej kochance, która na grobach ludzkich stoi, a dla kochanków dopiero po śmierci ma łzy i uśmiechy, a za życia z poświęcenia się często urąga: więc się lituj i pomyśl sobie, że już jest późna godzina i już nic się nie odstanie“. Zapewniał matkę, że „nie przez obojętność“ nie posłał jej swoich „dzieci“, to jest

widocznie świeżo pod wrażeniem pojedynku, jest mojem zdaniem wcześniejszy od numeru 74, gdzie jest mowa o liście poprzednim, jako „weselszym niż dawniej“. Co się tyczy Nru 75, ten był pisany na początku wiosny (Zda mi się, że mię promień wracającej wiosny najwięcej cieszy), ale mam pewne wątpliwości, czy przypisana na liście przez matkę data (r. 1841) jest prawdziwa, czy nie odnosi się ten list raczej do wiosny 1842. Do tego przypuszczenia skłaniają mię następujące względy. W liście Nr. 74, który mógł być pisany nie wcześniej, jak latem 1841, Słowacki pisze o swoich „dzieciach“ t. j. utworach, że je wyprawi do matki, „jak znajdzie człowieka, któryby im za mentora w podróży mógł służyć, bo inaczej nie odważy się ich w podróż wyprawiać“, to znaczy, jak znajdzie kogoś wracającego do kraju, który się podejmie je przewieść i matce przesłać. Obietnica ta spełnioną została dopiero w listopadzie 1841, bo w liście z 10 listopada t. r. czytamy: „Wysłałem więc wczora pakę maleńką, gdzie znajdziesz wszystko, co ja z siebie i co ze mnie zrobiono. Medalion w ramkach axamitnych i trzy w czerwonych, złotych sukienkach xiążki do nabożeństwa, także dwa wizerunki na stali“. Książkami do nabożeństwa nazywał poeta przez ostrożność swoje trzy utwory. Otóż w liście Nr. 75 jest widocznie mowa o tych książkach, tylko już pod postacią kwiatów: „Sądziłem, że cię cybulki i nasiona kwiatów moich doszły... Była między niemi georgina koloru bronzowego ze złotemi obwódkami (zapewne mowa o medalionie), były także trzy gatunki czerwonych tulipanów (zapewne trzy książeczki w czerwonej oprawie) miałżeby jaki żydek pokwapić się na nie? albo może im zima zaszkodziła?“... A zatem, skoro list nr. 75 pisany był po liście z listopada 1841 i pisany na wiosnę, więc trzeba go koniecznie przenieść na rok 1842.

swoich nowych utworów, ale przez obawę, że to ją może narazić na jaką przykrość, a na skargę jej na rozdział, tak odpowiadał: „I cóżbyśmy dziś robili, siedząc przy wiejskim kominie, gdyby nas los nigdy był nie rozłączył? Możebyśmy utyskiwali na zimno i dym w pokoju i na inne małe cierpkie życia trudności... a teraz wiemy, że Bóg o nas pamięta i jest naszym dłużnikiem".

W tym to liście znajdował się obszerny opis pojedynku, o którym przedtem krótka tylko była wzmianka, opis widocznie wywołany użalaniem się matki na brak szczegółów z życia synowskiego w listach. Słowacki przypuszczając, że jego *Beniowski* nie zupełnie będzie się matce podobał, że poeta nie wyda się jej tam „zupełnym aniołem" według jej wyrażenia z jakiegoś dawniejszego listu, tak przy tej sposobności pisał o tym swoim poemacie. „Ostatni maleńki zły jest, ale był potrzebny, był konieczny, celu swojego dopiął i więcej jeszcze, bo zwrócił wszystkich oczy i stał mi się strażą". I w dalszym ciągu dodawał: „przed malutkim moim uchylili czoła ci, którzy nigdy przedtem nie oddali mi pokłonu, a mnie smutno, żem zejść musiał z mojej podstawy, aby właśnie wtenczas przyznano mi, że jestem na niej".

Nic jednak we współczesnych listach Słowackiego do matki nie maluje tak dobrze jego ówczesnego usposobienia, jego wewnętrznego zadowolenia ze zdobycia stanowiska, o które się tak długo dobijał, jak ten oto ustęp z cytowanego listu: „te rzeczy już od kilku miesięcy ucichły w mojem sercu i teraz doskonale jestem usadowiony w mojem krześle ze słoniowej kości... Rzadko przed śmiercią otrzymać, aby się ludzie sami za niesprawiedliwych uznali, wydrzeć im to siłą jest bardzo miło"[1]).

---

[1]) Listy II 145—152.

ROZDZIAŁ X.

Przed transfiguracyą.

1841—1842.

Korespondencya z Krasińskim; nowe przestrogi przyjaciela. — Jego nauka o dumie i pokorze. — Niezadowolenie Słowackiego ze swojej twórczości. — Dalszy ciąg *Beniowskiego*; inne zadanie przed poetą. — Dygresye w dalszych pieśniach *Beniowskiego*; sytość zwycięstwa. — Pierwsze dreszcze *Króla Ducha*. — Owczesny stosunek poety do staroszlacheckiej przeszłości. — Wątek epicki w dalszych pieśniach *Beniowskiego*. — Dramat *Fantazy*, jego pokrewieństwo z *Beniowskim*. — Kogo przedstawiał Słowacki w postaci Fantazego? — Krytyka krytyki i literatury. — Hogartowski nastrój Słowackiego. — Niekonsekwencye dramatu i jego melodramatyczność.

Podczas gdy Słowacki był tak dobrze usadowiony w swojem krześle ze słoniowej kości, i nasycony powodzeniem, poraz pierwszy w życiu zażywał tryumfującego pokoju, co też o jego tryumfach i o jego poemacie myślał ten, który mógł się uważać za głównego sprawcę tych tryumfów: i jako taki, który go natchnął myślą napisania polemicznego poematu i jako autor „Kilku słów o Juliuszu Słowackim"? Ten artykuł rozpoczynał szereg głosów publicznych, wielbiących poezyę Słowackiego, ale o jego *Beniowskim*, jako pisany przed ukazaniem się poematu, nic jeszcze nie mówił.

Beniowski nie prędko, jak się zdaje, doszedł rąk Krasińskiego. Oznajmiając Słowackiemu, w liście z Rzymu 18 czerwca 1841, że za kilka dni wyjeżdża do Kissingen i prosząc go, aby tam do niego pisał, dodawał, że dotychczas jeszcze *Beniowskiego* nie odebrał. Prawdopodobnie otrzymał go nie wcześniej, jak w lipcu. Czy przeczytawszy go, przesłał niebawem autorowi swoje wrażenia i sądy o poemacie? Trzeba się tak domyślać, ale listów jego do Słowackiego z lipca, sierpnia i września 1841 nie posiadamy. Tylko z treści jednego późniejszego listu, którą później przedstawię, można przypuszczać, że z różnych rzeczy w poemacie był niezadowolony. Był też niezadowolony i ze stosunku Słowackiego do p. Bobrowej, z jego gwałtownego ubiegania się o jej miłość. Zachował się fragment listu Krasińskiego do Słowackiego, pisanego zapewne w początkach października 1841 w odpowiedzi na jakiś list autora *Beniowskiego*, w którym to liście były dwie strofy, mające widocznie za temat miłość dla pani Bobrowej. O tym liście Słowackiego i o jego strofach tyle tylko wiemy, ile na nie pada światła z fragmentu listu Krasińskiego. Krasiński zapewniał przy-

jaciela, że nie chce się skarżyć na niego, że rozumie i pojmuje „tę rzutną falę krwi, która te dwie strofy, te dwa kwiaty do serca mu przyniosła“, ale jednocześnie nazywał tę falę „nieostrożną, nieprzezorną, ufną w miłosierdzie ludzkie, zatem grubo mylącą się“ i ostrzegał, zaklinał przyjaciela, aby nadal był „jak wąż skryty, jeśli chce być dobrym i czystym i tkliwym jak gołębica“.

Z tych słów tyle tylko domyślać się można, że owe dwie strofy niemile dotknąć musiały Krasińskiego swoją zmysłowością. Dalej następowały przestrogi, które były jakby dalszym ciągiem, rozwinięciem przestróg, przesyłanych przyjacielowi jeszcze przed podróżą frankfurcką. „Wierz mi, jeśli sam nie chcesz gorzko żałować kiedyś przeszłości, stań się jej przyjacielem, a nie chciej, by serce, które pękło i umarło, zmartwychwstając dla ciebie, stało się upiorem, bo taki los, taka barwa konieczna dusz, które w trumnie już usłyszawszy dźwięk harfy, podnoszą się na chwilę i marzą, marzą, że mogą żyć raz drugi harfowemi dźwięki. One nie wiedzą, że powtórne życie czeka dopiero na nie w niebie. Ale z tego złudzenia wynikają okropne skutki, wierz, wierz mi Julu. Przyjaciel w tej chwili całem sercem się odzywa do ciebie. Chciałbym cię przycisnąć do serca i wlać w ciebie pogrobową mądrość tych piersi moich. W przyjaźni będziesz szczęśliwy, kochany, odwdzięczony, ale miłość taka stanie się goryczą wam obojgu. Czara szczęścia pęknie wam w dłoniach za pierwszem dotknięciem i rozleje się na strugi trucizny! Na przekleństwach kończyć będziecie ten gorżki dramat. Ale czas jeszcze! Możecie wyrobić go sobie pokojem, ciszą, błogością, wspólnem czuciem, wiarą, zaufaniem. Szukaj tam przyjaciółki, gdzie żądasz kochanki, a będziesz miał duszę siostrzaną na wieki, a przestaniesz być samotnym“[1]).

List Krasińskiego kończył się słowami: „O żadnych mistycznych waryatach nie słyszałem“, słowami, które wskazywały, że Słowacki musiał już coś donosić Krasińskiemu o pierwszych poruszeniach towianizmu i że wyznawców Towiańskiego, do których szeregu sam niedługo miał wstąpić, nazywał mistycznymi waryatami. W następnym liście Słowackiego, którego także nie mamy, musiały być już obszerniejsze i dokładniejsze wiadomości o Towiańskim i jego wyznawcach, skoro odpowiedź swoją na ten list

[1]) Tadeusz Sternal. Kartka ze stosunku Krasińskiego ze Słowackim w Dodatku literackim do Kraju 1890 Nr. 7.

zaczynał Krasiński od tego, że w „cudotwórców“ nigdy nie wierzy, choć w cuda wierzy zawsze i wszędzie.

Ta odpowiedź Krasińskiego, datowana z Monachium 27 października 1841, jest bardzo ważnym dokumentem do historyi wzajemnego stosunku dwu tych znakomitych przyjaciół, bo w niej znajdował się sąd autora *Irydyona* o *Beniowskim*, a w szczególności o jego zakończeniu. Sąd to był przysłonięty, nie zwrócony wprost do poematu, niemniej przeto zrozumiały. Krasiński zaczynał swój list od cudotwórców, jakby na to tylko, żeby przejść do ogólnych nauk o dumie i pokorze, które w końcu już bez ogródki zastosowywał do Słowackiego. O cudotwórcach pisał, ze nie zna większej próżności nad tę, „która siebie uważa za konduktorkę płynu cudów“ i takie czynił porównanie stosunków emigracyjnych z dziejami biblijnemi: „W sferze nibyto widomej wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt, nazwa miasto rzeczy, blichtr miasto istoty, słowem *królewskość;* w sferze niewidomej, w kościele poezyi, awansowano na proroków. Jest to to także stopień, *dignitas.* I znowu tu jak tam tytuł wprost rzecz samą skaził. Kształt obrócił się przeciwko treści, wyniknęła komiczność“! Była to alluzya do znanego nam ubiegania się Czartoryskiego o tytuł królewski, do sprawy *króla de facto,* i do wystąpienia Towiańskiego.

Bolejąc nad tem, że jakkolwiek żył niedługo, doczekał się przecież zbłaźnienia wszystkiego, tem się tylko pocieszał, że odkrył przyczynę tych smutnych zjawisk. I tu było przejście do nauki, którą chciał dać starszemu wiekiem, ale młodszemu dojrzałością ducha przyjacielowi. Przyczyna owa „zowie się brakiem dumy a przesytem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnym *niepracy* w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki, tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą *chwały* bez pracy; kiedy *duma,* wbrew przeciwnie, jest wieczną żądzą chwały, lecz za pomocą olbrzymiego trudu. Kto *dumny,* ten i *pokorny* zarazem, a *duma* połączona z *pokorą,* stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory, to próżność. pokora bez dumy to podłość. Na pozór tylko sprzeczne te władze duszy, a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwóch obejść się nie może. *Pokora* powinna zawsze objawiać się w *środkach,* a duma w *celu.* Tem, że duch nigdy nie zadowolni się tem, co uczynił już; tem, że dalej iść pragnie i piękniejszego czynu się dorwać; tem, mówię, *pokorę* swoją pokazuje, bo ciągle się ma z niższego do Ideału: skąd tęsknota.

smętek, czasem zwątpienie. Tem zaś, że dalej stąpa, że karmi się wiarą urzeczywistnienia w końcu piękna, które pojął, że gardzi wszelką skończonością i poczuwa się do pobratymstwa z nieskończonością, że uznaje się niezwalczonym i wolnym od śmierci, tem jest *dumnym* i *boskim*! Lecz nie mógłby takim być, gdyby zarazem nie był *ludzkim* i *pokornym*, bo bez *pokory* duch stanąłby na pierwszem lepszem stanowisku osiągniętem i nazwałby to doskonałością wszystkiego, końcem i dopełnieniem, wiecznością, wielkością, pięknem! i zaraz by tem samem okrutnie się zbłaźnił... Patrz tylko, na co wyszli Lammennais, Lamartine, Sandowa w ostatnich płodach? A wszystko przez próżność, przez *serwilizm* dla ludu lub urzędu, przez chętkę poklaseczków teraźniejszości, niepamiętni o poklasku wieków!"

Dotychczas ta nauka o dumie i pokorze nie miała wyraźnego zastosowania do Słowackiego; następowało to w końcu. Za pretekst do tego zwrotu Krasiński brał jakąś skargę Słowackiego, w jego liście ostatnim, skargę na niemoc fantazyi, na to, iż jest już tylko „mozaikowym artystą". To ostatnie wyrażenie odnosiło się zapewne do *Beniowskiego*, ale co znaczyła powyższa skarga Słowackiego? Możnaby myśleć, że za pomocą tej skargi chciał Słowacki wydobyć z Krasińskiego sąd o *Beniowskim*, z którym się może dotychczas przyjaciel wstrzymywał, albo przynajmniej którego mu dotychczas zupełnie wyraźnie nie podał.

Bądź co bądź, w taki sposób zwracał się Krasiński ze swoją nauką już wprost do Słowackiego: „Teraz, mój drogi Julu, o tobie słów kilka. Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości: unikaj wszelkiej, nie zapadaj w *niemoc*, bo *niemoc* nie jest *pokorą;* ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić, bo takie przekonanie nie jest *dumą*. Bądź *dumny* a *pokorny!* Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, której za podstawę dałeś piersi swoje". I po kilku uwagach dotyczących owej Madonny-Bobrowej, z których widać, że Słowacki skarżył się także na nią, iż odtrąciła jego uczucie i w niemoc go wprawiła, Krasiński pisał dalej: „Julu, powtarzam Ci, nieśmiertelność jest w tobie, od ciebie zależy z piersi ją własnych wyrwać i uzewnętrznić. Nie kładź się więc na ziemię, *taking the measure of an numade grave*, nie chciej sobie samemu wmawiać, żeś tylko już mozaikowym artystą! Nie, tak nie jest. Artysta z cie-

bie, Mistrz! Lecz nie ufaj nigdy chwilowym ludzi poklaskom. Wszystko co żyć ma i trwać, musi wprzód przejść przez walkę... Co zatem zaraz zyskuje aprobacyą gminu, to nie długo pożyje, wierz mi Julu! Tyś przeznaczony żyć, jeśli sam nie wyrzeczesz się wieczności dla znikomych ułudek. Bądź *dumny* a *pokorny* a będziesz *wielkim*"![1])

Cóż znaczyły i skąd się brały te przestrogi i nauki o dumie i pokorze? To pewna, że nie wywołał ich ani ówczesny stosunek Słowackiego do towianizmu, ani do p. Bobrowej, choć były one zewnętrznie w liście z tymi stosunkami powiązane. Wywołać je mogło tylko wrażenie, jakie wywarł na Krasińskim *Beniowski*, z owem samouwielbieniem poety, z pięciem się jego na stopień bóstwa, z pogardą dla wszelkiej pokory, a także wywołać je mogła krytyka bezwzględnie wielbiąca *Beniowskiego* w *Trzecim Maju*. Krasiński rozumiał dobrze, że *Beniowski* napisany był za jego pobudką, czuł więc poniekąd odpowiedzialność na sobie za ten poemat, za drogę, na którą popchnął przyjaciela, za receptę mieszania żółci do lazurów, wykonaną nie po jego myśli, i tem więcej poczuwał się do obowiązku ostrzegać Słowackiego przed fałszywą dumą, w którą się ten ostatni drapował w swoim poemacie, a także przed nierozumnym szumem takich pochwał, jakiemi go *Trzeci Maj* obdarzał. I stąd to pochodziła przestroga, aby Słowacki „nie rósł w dzikie przekonanie, że można jedną strofą świat przewrócić", stąd wezwanie, aby „nie ufał nigdy chwilowym ludzi oklaskom"", stąd tłómaczenie, że prawdziwa duma i boskość człowieka łączą się z ludzką jego pokorą.

Jak przyjął te nauki i przestrogi przyjaciela Słowacki? Ani w jego, ani w Krasińskiego listach, o ile nam znane, nie znajdujemy nic, coby na to pytanie mogło być odpowiedzią. Z listów Krasińskiego do Słowackiego tyle tylko wywnioskować można, że przestrogi owe nie przerwały korespondencyi dwu przyjaciół i nie oziębiły ich stosunku, przynajmniej widocznie. Słowacki nie przestawał skarżyć się na melancholię, i na brak miłości ze strony madonny Rubensowej, któraby go ożywić mogła, Krasiński w którym już dojrzała ta ewolucya wyobrażeń, jakiej wyrazem miał być w krótce *Przedświt*, ale który był wtedy bardzo chory i miał obok siebie umierającego przyjaciela, najdroższego mu ze wszystkich przyjaciół, Danielewicza, choć ledwie piórem mógł ruszać, odpisy-

---

[1]) Listy Zygmunta Krasińskiego T. III. str. 31—34.

wał Słowackiemu (z Monachium 28 lutego 1842) i chciał mu „wiele rzeczy powiedzieć“, chciał go przedewszystkiem „wyrwać z melancholii, bo nie czas na nią teraz“, a w razie śmierci swojej czynił go opiekunem tego, „co po jego duchu się zostanie“. „A ostatnią moją wolą, pisał w końcu tego listu, jest, byś nie tracił życia na nędzne zgryzoty, ale na wielkie gotował się bole, a po nich na wielkie wzniesienie. Bądź mężem z białego marmuru! zrzuć z piersi nogi Rubensowych Madonn, żyj, a gdy mnie już nie będzie, wspomnij o mnie“[1]).

W miesiąc później, odpisując na jakiś nowy list Słowackiego, wśród rozpaczliwych żalów nad stratą Danielewicza, którego agonia lada chwila miała się zakończyć, taki zwrot czynił do stosunku Słowackiego do Bobrowej. „Pytasz, czego żądam od ciebie i od niej: od ciebie, byś mi dotrwał w przyjaźni tak, jak ja tobie, a kiedy chwila *taka* się zdarzy, był *tak!* Od niej zaś, cóż powiem? nic zupełnie, chyba spokoju“! I tu przytaczał jedną ze strof, które jej napisał kiedyś na pożegnanie:

Ukląkłbym może, błagał przebaczenia!
Lecz wy przebaczać nigdy nie umiecie.
Daj mi więc jeszcze tu na żywych świecie,
Co zmarłym dają, pokój zapomnienia!

Czegóżby innego mógł żądać od niej? Dosyć jej już złego mimowoli wyrządził. „Była niegdyś aniołem dobroci dla mnie, lecz szczęścia, podług jej o szczęściu wyobrażenia, nie miałem na podorędziu, ni w losach moich takiem pedanckiem kiedy kogo módz obłogosławić szczęściem. Są błyskawice i pioruny, lecz nie ma niw jednostajnych szczęścia! Serce kobiece o pioruny nie dba, chce mu się niw tych gładkich, długich, jednakowych, konserwatorskich zawsze! Znajdźże je na ziemi“! W tych wywodach tkwił dawny, romantyczny kochanek Henryety, tak żywo przypominający swoją dyalektyką Hrabiego z *Pana Tadeusza* w ostatniej scenie z Telimeną, kiedy ta również domagała się pedanckiego szczęścia.

Ale list, o którym mowa, skądinąd jeszcze zasługuje na uwagę. Pisany do przyjaciela, poświęcony był głównie innemu przyjacielowi, umierającemu, i wielbił tę przyjaźń i tego przyjaciela w taki sposób, że Słowacki porównywając swoje stanowisko przyjacielskie ze stanowiskiem umierającego Danielewicza, mógł czuć dotkliwie

---

[1]) Listy Zygm. Kras. III 35—36.

niezadowolenie z różnicy, jaka z tego porównania występowała. Krasiński wielbił przedewszystkiem bogactwo idei w Danielewiczu. „O Konstanty, Konstanty mój, gdzie ty odszedłeś już? gdzie duch twój ten wielki i pełen idei... Pamiętaj o mnie, Julu, pamiętaj, żem odtąd jak ty bardzo sam na ziemi; bo ci, co ruchy moje naśladują, nie zapełnią mi serca i wezmą odemnie, lecz nie dadzą, jak on zawżdy mi dawał, ducha swego! Tak, on był dobrodziejem moim duchownym, idee jego zstępowały we mnie. Rzadko, myślę, takiej przyjaźni na planecie tym"[1]).

Czy uczuwał Słowacki przy czytaniu tych słów, jak różnym był jego stosunek do Krasińskiego? Wszak i on należał do tych, którzy brali od Krasińskiego ducha i ideje, a w zamian dać mu własnych nie byli zdolni. Jakiekolwiek zresztą refleksye wywołał ów list w Słowackim, to pewna, że nasz poeta w owym czasie, choć w obec świata „usadowiony na krześle ze słoniowej kości" odgrywał rolę tryumfatora, uczuwał przecież w sobie jakąś niemoc, jakąś niepewność, jakieś niezadowolenie ze swojej twórczości. Świadczą o tem tylko co przytoczone listy Krasińskiego, w których jest mowa o zapadaniu w niemoc Słowackiego, o tem, że się on uważa już tylko za mozajkowego poetę, o jego melancholii i zgryzotach. Te ostatnie odnosiły się zapewne do miłosnego stosunku, ale i ten stosunek, mojem zdaniem, wiązał się ściśle z owem poczuciem niemocy twórczej, na którą się skarżył Słowacki przed przyjacielem. Poeta pragnął zdobyć serce p. Bobrowej nie tylko dla tego, że czuł samotność w życiu i potrzebę serca, któreby dla niego tylko biło; nie tylko dla tego, że kochankę uważał za drogi klejnot w dyademie sławy poetyckiej, klejnot, którego mu dotąd brakowało — ale i dla tego, że przypisywał tej zdobyczy siłę, zdolną ożywić i wzmocnić jego twórczość. Wszakże jeszcze w III pieśni *Beniowskiego* wyrażał nadzieję, że „hymny w nim zmartwychwstaną, jeżeli ona go jak harfę ruszy".

Żeby lepiej zrozumieć tę niemoc, na którą się skarżył się Słowacki, potrzeba przypatrzeć się jego twórczości z czasów bezpośrednio następujących po ukazaniu się pierwszych pięciu pieśni *Beniowskiego*, to jest od lata 1841 do lata 1842. Owocem tej twórczości jest dalszy ciąg *Beniowskiego* i dramat, przez autora samego nie nazwany, (przynajmniej nie wiemy, jaką mu chciał dać nazwę),

[1]) Tamże III str. 37—39.

a w pośmiertnem wydaniu ochrzczony wcale nietrafnie tytułem *Niepoprawni.* Trafniejszą już jest nazwa *Nowej Dejaniry*, którą mu chcą dać niektórzy, ale najtrafniejszą, sądzę, byłaby nazwa *Fantazy*, to jest imię głównej osoby dramatu.

Naprzód o *Beniowskim.* Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że do okresu, o który nam teraz chodzi, nie można zaliczyć całego dalszego ciągu *Beniowskiego*, ale co najwyżej sześć dalszych pieśni, dla tego o nich tu tylko będzie teraz mowa. Otóż porównywając tych sześć dalszych pieśni *Beniowskiego* z pierwszemi pięciu pieśniami, spotrzegamy odrazu widoczną różnicę w stosunku żywiołu liryczno-polemicznego do epickiego. W pierwszych pieśniach, jak wiemy, żywioł epicki odgrywał podrzędną rolę, był tylko niejako dokumentem dowodowym, na pierwszy zaś plan wysuwał się żywioł polemiczny, indywidualność samego poety. W dalszych pieśniach stosunek zupełnie się zmienia. Wycieczki polemiczne bledną, kwiatów lirycznych daleko mniej, choć niektóre, rzadka rzucone, są bardzo piękne, natomiast żywioł epicki występuje w zwartych massach i ściąga na siebie główną uwagę.

Była to rzecz zupełnie naturalna. Dawszy folgę swojej zemście, swojej drażliwości a zarazem i chełpliwości autorskiej w ogłoszonej części poematu i zyskawszy poklask w emigracyi, jeżeli nie powszechny, to przynajmniej bardzo szeroki, poeta nie czuł już potrzeby prowadzenia dalszej walki ze światem. Mógłby już był zupełnie zaniechać dalszego ciągu *Beniowskiego*, bo to, co ogłosił, osiągnęło cel, dla którego zabrał się do pisania swego poematu. I bodaj, czy myślał o dalszym ciągu, dając pierwsze pięć pieśni do druku.

Ale kiedy poemat wywarł wielkie wrażenie, podobał się wielu a zainteresował wszystkich i to nietylko swoją stroną polemiczną, ale także i epicką, wtedy pod bodźcem powodzenia Słowacki nie mógł nie zabrać się do dalszego ciągu. Tylko inne teraz stawało zadanie przed poetą. Domagano się od niego narodowej powieści poetyckiej. Nie wypowiadał tego wyraźnie *Demokrata*, ale skarżąc się na zamęt wywołany przez poetę w „uczuciach, myśli i uwadze czytelnika“, i stawiąc poecie za wzór opowiadania jegoż własny poemat, *Ojca Zadżumionych,* zwracał go w kierunku owego zadania. Krytyk *Trzeciego Maja*, jak wiemy, namaszczał Słowackiego, jako autora *Beniowskiego*, na pierwszego narodowego poetę, pierwszego, który umiał przedstawić „duszę naszych ojców“, i dając mu w tym

względzie wyższość nad Mickiewiczem, pobudzał go naturalnie do dalszego malowania „polskiej, szlacheckiej duszy“.

Ale najwyraźniej to zadanie wskazywał mu ten sam Ropelewski, który się niegdyś tak pastwił nad jego *Balladyną*, a wskazywał w przedmowie do drugiego wydania *„Pamiątek JPana Seweryna Soplicy“*, które wyszło w Paryżu 1841 roku, już po zgodzie zawartej między poetą a krytykiem. Mówiąc o tem, że autor *Pamiątek*, biorąc na siebie postać starego Soplicy, mógł z tego stanowiska dobrze pokazać taką postać jak Radziwiła Panie Kochanku, ale nie mógł przedstawić „w całym blasku“ takiej postaci, jak Kazimierz Puławski, krytyk czynił taki niespodziewany zwrot do Słowackiego: „Gdyby Juliusz Słowacki wyzwolił swojego Beniowskiego ze wspomnień Don Żuanowych i polemikę z rodzajem ludzkim, która mu rwie osnowę, na inne miejsce odłożył, lub dał zasnąć jej z Juvenalisem i Byronem, możeby jemu się dostało wskrzesić rycerzy barskich. W pierwszych pieśniach poematu *Beniowski*, śród rzeczy zupełnie obcych dla przedmiotu i okresu, padają od pisarza błyskawice na przeszłość, świadczące o jego powołaniu epicznem. To powołanie widne już w pierwszych powieściach... w *Beniowskim* się zapowiada przez wyraźniejsze znaki, a nas utwierdza w myśli, że przekroczeniem przeciwko niemu były wszystkie wycieczki autora na inne szlaki poezyi. Zresztą przez robotę epicznego talentu rozumiemy tu powieść, romans poetycki, nie zaś to wielkie *słowo* ludzkości *epos*“...

Słowacki pisząc dalej swój poemat, nie uwolnił go wprawdzie od rozmaitych dygressyj, ale je znacznie ograniczył i o wiele więcej niż przedtem dbał o wątek epicki. Jeszcze we fragmentach pieśni VI i w pieśni VII-ej jest ich sporo, w następnych pieśniach ich liczba i znaczenie bardzo się zmniejsza, wskutek czego pierwiastek epicki stanowczo góruje nad niemi. Dygresye polemiczne tracą tu swój dawniejszy ostry charakter. Tak np. potrącając zarzut, który go spotkał ze strony *Dziennika Narodowego*, że naśladuje Byrona, Słowacki w żart go obracał, i żartował tylko ze swojej muzy (Mówią, że już raz była za milordem — Tak mówi *Dziennik Narodowy* — przeczę! — Ostrzegam wszystkich was, że jest dziewicą). W najobszerniejszej dygresyi, zwróconej do Bohdana Zaleskiego, którego poezye oddawna zapowiadane i przed ogłoszeniem jeszcze wielbione, ukazały się w czasie pisania dalszego ciągu *Beniowskiego*, i bardzo pochlebnie ocenione były przez *Dziennik Narodowy*, w tej

dygresyi Słowacki nie szturmował już do Troi poetyckiej, nie potrząsał mieczem, ale pobłażliwie i lekceważąco traktował współzawodnika, wiersze jego nazywał „katolicką wodą“, ubolewał nad jego „prostotą gołębia“ i „niewinnością dziecka“, a tak czuł się silnie usadowionym w swojem krześle ze słoniowej kości, że znalazł nawet pochwałę dla jego wiersza, „gdzie w ciągłym przymusie — Pała różowy brylant na turkusie“ [1]).

Ale najlepiej ta sytość zwycięstwa uwydatniła się w dygresyi, dotyczącej Mickiewicza i jego *Pana Tadeusza.* Chwalca Słowackiego w *Trzecim Maju* poniżał ten poemat, odmawiając mu cech narodowych, aby tem wyżej podnieść *Beniowskiego.* I oto Słowacki zdaje się wspaniałomyślnie brać w obronę od swoich chwalców tego, któremu tak niedawno groził śmiercią i włóczeniem trupa. Nazwawszy Homera i Mickiewicza bratnimi śpiewakami i dotknąwszy nieco „dzisiejszych Litwinów“, mówiąc, iż są „troszeczkę lepsi“ od Greków Homera, „ale mniejsi“ taką aureolę roztaczał nad epopeją Mickiewicza:

Jednak w tej cudnej epopei żyją:
W ich lasach trąba gada... boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją;

---

[1]) Do tych czasów odnosi się i krytyczny artykuł Słowackiego o nowych poezyach Bohdana, w szczególności o *Duchu od stepu* i kilku sonetach, artykuł widocznie przeznaczony do jakiegoś pisma peryodycznego, ale nie drukowany za życia poety i dopiero w *Kraju* 1892 Nr. 5 wydany przez p. Biegeleisena p. t. „Sąd J. Słowackiego o poezyach B. Zaleskiego“. Krytyka jest surowa, w wielu rzeczach trafna (wiadomo, że *Duch od stepu* należy do słabszych utworów Zaleskiego), w niektórych złośliwie świdrująca i niesłuszna, jak np. w rozbiorze gramatycznym jednego z piękniejszych ustępów tego poematu, gdzie jest obraz pochodu barbarzyńców na Rzym. Niektóre z zarzutów, odnoszących się do tego ustępu, wydają się na pierwszy rzut oka słusznemi, przy głębszem wniknięciu okazują się bezzasadnemi.

Wogole Słowacki krytykował poezye Zaleskiego przeważnie ze stanowiska wirtuoza. Uwielbiwszy własne wirtuowstwo w *Beniowskim,* chciał w tej krytyce pokazać, o ile niższym jest w tym względzie od niego Zaleski. Bardzo dobrze charakteryzuje Słowackiego, szczególnie w ówczesnym okresie, następująca refleksya jego: „Bez wielkiej ambicyi poetycznej dojść do niczego w poezyi nie można“. Tak, właśnie w tym względzie — jak zresztą i w różnych innych — wielka różnica zachodziła między Słowackim a Zaleskim, ale mylił się genialny współzawodnik *Mickiewicza,* gdy sądził, że ambicya mogłaby podnieść wyżej poezyę Zaleskiego. Właśnie ona to w *Duchu od stepu* uniosła słowika ukraińskiego na zupełnie dlań niewłaściwe pole historyozoficzne.

Patrzcie, jak ten żubr od pękniętej bomby
Cofa się; patrzcie, jakie wianki wiją
Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewosłęby;
Słuchaj i patrzaj, bo jako zjawienie
Litwa ubrana w tęczowe promienie

Wychodzi oto z lasu. — Z taką chwałą
Potrącał lutnię ten śpiewak Litwinów,
Iż myślisz dotąd, że to echo grało,
A to anielskich był głos serafinów.
Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!
Chociaż Gofredów nie miał i Baldwinów,
Ani mógł morza wiosłami zamącić,
Ani księżyca z wież krzyżowych strącić:

Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica;
Coś pada... myśmy słyszeli — słuchali;
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takimi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem...
Idźmy — znów czasu bóg postąpił krokiem.

Z tak poetycznem uwielbieniem odświeżał wrażenie, jakie na nim wywarł *Pan Tadeusz* przy pierwszem jego odczytaniu i chciał niewątpliwie w tych strofach dać dowód bezstronności. Ale ci, co tak wysoko bezstronność Słowackiego w tych strofach wynoszą, nie zwracają uwagi na strofę bezpośrednio po tamtych następującą, która tę bezstronność w nieco odmiennem stawia świetle: jako akt wspaniałomyślności ze strony zwycięzcy, akt służący niejako do stwierdzenia zwycięstwa.

Ale ten napis łatwo startej kredy
Niechaj zostanie! a ten, co przeczyta,
Niech sobie wspomni, żem na piramidy
Wchodził i deptał to, na czem czas zgrzyta;
Że nieraz końcem Pelidowej dzidy
Zrobiona trumna jest — albo rozbita.
Wąż Laokoński, który gryzł bez przerwy,
Syty — wlazł znowu pod tarczę Minerwy.

Cóż znaczyła ta przestroga poety, z której krytyka dotychczas nie korzystała? Oto, że czuł się on sytym zemsty i zwycięstwa i dlatego pozwalał sobie na wspaniałomyślność.

Inne strzały polemiczne tak w tych sześciu pieśniach, jak i w dalszych fragmentach puszczane w stronę Trentowskiego, Hegla,

dzienników poznańskich, poetów rosyjskich i czeskiego uczonego Hanki, nie mają już charakteru osobistego. Najdowcipniej zaostrzoną jest ta ostatnia strzała, wymierzona w pieczątkę Hanki z wyobrażeniem dwóch kozaków.

Co się tyczy lirycznych wynurzeń poety, to dwa z pomiędzy nich na szczególną zasługują uwagę, tem więcej, że poniekąd zdają się być sprzeczne z sobą. W jednem (z pieśni VII) objawia się samouwielbienie poety, poprzedzone demokratycznem proroctwem, które tak wygląda, jakby było napisane pod wpływem wezwań *Demokraty polskiego* i jego krytyki, ukazującej poecie nowe zadanie dla jego muzy.

Jest jakieś dziwne, ciągłe, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło.

W północy wstają mi włosy na głowie,
I zadziwiony słucham — i to słyszę,
Co muszą boscy słyszeć aniołowie —
Jakąś okropność przyszłą — co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie
Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi)
Ludy, bo wkrótce będziecie, jak bogi.

Co rozwiążecie wy w żelaznéj dłoni,
To rozwiązanem będzie już na wieki.
A kto odejdzie od was, gdzie się schroni?
Z was będą góry doliny i rzeki
I morza...
Czujcie! bo tętno już waszego chodu
W uszach wysokich ludzi — grzmi wyraźnie.

Jakąż rolę odegra sam poeta w tej nadchodzącej przyszłości ludów?

Ja jestem gwiazdą życia — co o świcie

Skąpana w krwawej jutrzence wychodzi
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę. — Duch w cierpieniach rodzi
I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały,
Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
W najwyższe czoła alpejskie i skały.
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czem śnię... niech przy mnie stanie!

Jeżeli porównamy samouwielbienie poety w pierwszych pięciu pieśniach *Beniowskiego,* z tem, które w tym ustępie się objawia,

to dostrzeżemy, że tamto miało przedewszystkiem za przedmiot wirtuozostwo, cudowność słowa poetyckiego, tu zaś poecie o coś innego chodzi, tu chce on być „gwiazdą życia“ dla nowej epoki, gromem i błyskawicą, wiodącą, jak chorągiew, zwycięskie szeregi ludów. Nastręcza się tu godne uwagi porównanie z *Anhellim*. W końcu tego poematu, jak wiemy, jest także przepowiednia krwawego zwycięstwa ludów, ale jak różne wobec tej przepowiedni zakreślał sobie poeta stanowisko. Anhelli, przeznaczony na cichą ofiarę serca, nie rzuca gromów i błyskawic, powołujących do walki, nie budzi się nawet na głos rycerza, zwiastującego zwycięstwo ludów. Tu jest inaczej; tu już tai się początek, albo raczej przygotowanie do tej roli, którą Słowacki potem miał odgrywać, tają się pierwsze dreszcze *Króla-Ducha*.

Drugie wynurzenie liryczne poety, na które chcę zwrócić uwagę, zawarte jest we fragmentach, z których Małecki złożył pieśń szóstą. Niewszystkie one, co prawda, dadzą się zaliczyć do czasów, o których mowa, ale ustęp, o który mi chodzi, prawdopodobnie z tych datuje czasów. Zarysowuje się w nim ówczesny stosunek Słowackiego do staroszlacheckiej przeszłości. On, który w *Grobie Agamenmora* symbolizując ją w czerepie rubasznym, w złotym pasie i czerwonym kontuszu, patrzył na nią z pogardą i rzucał na nią przekleństwo, teraz miał dla niej pobłażanie z miłością skojarzone.

... w dawnych ludziach złotą wiarę
I złote serca miłuję nad własne.
Dalej więc! — mówcie mi znów serca stare,
Usta umarłe dziś, lecz w oczach krasne,
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
Pokażcie mi się duchy żywe, jasne,
Ubrane w tęczę, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące.

Skądże pochodziła ta zmiana w usposobieniu Słowackiego dla „rubasznych czerepów“ przeszłości? Dwojakie jej było źródło. Naprzód wyobraźnia poety, która tak długo zamieszkiwała sfery fantastyczne lub exotyczne i napojona była tych sfer obrazami, pociągnięta barwnością pamiętnikowych utworów, które się w owym czasie ukazały, zaczęła sobie podobać w tej nowej sferze, znajdując w niej dużo dla siebie żywiołu i cieszyła się, gdy w jej bengalskiem oświetleniu ten świat zapadły, który się jej dawniej tak prozaicznie przedstawiał, teraz w tak poetycznych występował barwach. Przytem konfederacya barska była tym momentem dziejowym, który

swoją awanturniczością, rozproszeniem walki, bogactwem epizodów, przewagą indywidualizmu, szczególną mógł stanowić ponętę dla wyobraźni Słowackiego. Z drugiej strony do zmiany usposobienia w poecie jeszcze więcej może przyczyniła się ta okoliczność, że muza jego dopiero wtedy znalazła oddźwięk w narodzie, gdy porzuciwszy szlaki fantastyczne i exotyczne, zaczęła opiewać staroszlachecką sferę, owe „szczere polskie dusze", które jeszcze u wstępu do Beniowskiego, umieszczone obok „pijących gardeł, wąsów, psów, kontuszów", mają trochę ironiczne oświetlenie.

Kiedy napisał fantastyczną *Balladynę*, powiedziano mu, że szlachta tego nie zrozumie, i proroctwo się spełniło; jak tonący w mgłach *Anhelli*, tak i exotyczne poematy *„W Szwajcaryi"* i *„Ojciec Zadżumionych"*, na które tyle liczył, przyjęte były obojętnie, mimo całej doskonałości formy. A oto fragmentaryczny początek powieści staroszlacheckiej z dziejów barskich, z ledwie naszkicowanemi kilku postaciami, wszystkich poruszył, prawie wszystkim się podobał. Słowacki, rzecby można, przez wdzięczność poczuwał miłość dla tematu, który mu czynił wstęp do serc słuchaczy i zjednywał dawno upragnioną sławę, i stąd to po części poszło, że „rubaszny czerep staroszlachecki", tak pogardliwie przed tem traktowany, obudzał teraz w poecie tylko żal i współczucie.

Tyle o dygresyach. Co się tyczy wątku powieściowego, to ten jeszcze w pierwszych pieśniach, wskutek wprowadzenia do powieści Sawy, który się wydał Słowackiemu „ogromnym skarbem dla pisoryma", rozdzielił się na dwa pasma. Sawa wystąpił w powieści jako drugi bohater, a jako kozak, wprowadzał za sobą cały świat kozacko-hajdamacki do poematu, z pełnem efektu, ognistem i krwawem tłem rzezi i pożarów. A jak obok Beniowskiego stał ksiądz Marek, cudotwórczy patron konfederacyi barskiej, tak obok Sawy wystąpiła niemniej cudowna postać Wernyhory, proroczego przedstawiciela idealnej zgody między szlachtą polską a ludem ruskim, postać, która dla fantazyi Słowackiego stała się jeszcze większym skarbem, niżeli Sawa.

Rozpoczynając tedy pieśń szóstą, poeta znajdował się na rozstajnej drodze, którą sam sobie przedtem zakreślił: albo miał opowiadać dzieje Sawy, albo iść z Beniowskim wysłanym przez księdza Marka do Krymu. Wybrał pierwszą drogę i opowiadał mocowanie się Sawy z kozactwem, które go pociągnęło do połączenia się z hajdamakami przeciw szlachcie, a które on chciał pociągnąć

do uderzenia na hajdamaków, spętanie Sawy przez kozaków, a potem wyzwolenie jego przez Wernyhorę, bitwę szlachty pod wodzą podczaszego Potockiego z hajdamakami, którymi dowodził Zeleźniak, przyczem poeta znalazł sposobność wyprowadzić na scenę jaskrawo a świetnie odmalowany typ kobiecy, rozbójniczkę Hudymę, tak do pary postawioną przy Żeleźniaku, jak Aniela przy Beniowskim, a Swentyna przy Sawie. Te wypadki miały stanowić treść pieśni VI-tej, ale pieśń ta doszła do nas w urywkach, na luźnych kartkach, i nie wiemy napewno czy była tak wykończoną, jak cztery następne pieśni, od VII do X, które się przechowały spisane w dwu brulionowych zeszytach. Jakkolwiekbądź, to jest fakt, że poeta prędko porzucił tę drogę obrazów walki z hajdamactwem, ażeby wkrótce po rozpoczęciu pieśni VII zwrócić się do Beniowskiego i bardzo długo i szczegółowo opowiadać jego przygody w Krymie.

Myślę, że nie można tego uważać za rzecz jedynie przypadku, że pieśni zawierające podróż krymską zachowały się w całości, a inne we fragmentach tylko, i że były na zeszytach spisane, podczas gdy inne zachowały się na luźnych arkuszach i kartach. Myślę, że owe cztery pieśni zachowały się w całości dla tego, że były wykończone, tamte zaś dla tego we fragmentach do nas doszły, że nie były jeszcze ostatecznie ułożone, że miały ulegać różnym przemianom.

Kiedy pisane były fragmenta, ułożone przez Małeckiego w pieśń XI-tą, dokładnie określić nie można, nic jednak nie przeszkadza przypuszczeniu, że odnoszą się jeszcze do r. 1842. Natomiast fragmenta następnych pieśni trzeba koniecznie przenieść na czasy późniejsze, ponieważ — jak to już w wskazał Małecki — w XII pieśni znajdujemy wzmiankę o *Cybernetyce* Trentowskiego, która dopiero w r. 1843 wyszła na świat. Są przytem inne wskazówki późniejszego tworzenia fragmentów tej pieśni[1]).

Z tego wszystkiego, co się powiedziało o dalszym ciągu *Be-*

---

[1]) We fragmentach pieśni XII znajdujemy takie wiersze:

Nad morza teraz uciekam i blade
Tęczą nadmorskich kwiatów, wietrzne pola
Depcę . . . .

Otóż nad morze zaczął poeta jeździć dopiero od r. 1843; że przytoczony ustęp odnosi się nie do pierwszego pobytu nad morzem w r. 1843, ale do następnego roku, bardzo wyraźnym na to dowodem jest list poety do matki (z 12 sierpnia 1844), gdzie znajdujemy wyrażenia, jakby wzięte z przytoczonej strofy: „z tym listem (matki) poszedłem na wietrzne pola, stepom naszym podobne, tęczą nad-

niowskiego, można wyprowadzić wniosek, że grunt oryentalny, na którym się poeta obracał w czterech pieśniach, od VII do X, lepiej odpowiadał jego fantazyi, jego ówczesnemu usposobiemu od tła ukraińskiego, ponieważ powieść jego w dalszym ciągu o tyle tylko wiązała się w całość, o ile trzymała się tego gruntu. Dla czego tak było? Czy dla tego, że tło oryentalne więcej dostarczyć mogło awanturniczych i komicznych przygód? Czy że mniej krępowało poetę, mniej wymagało historyczności? Czy wreszcie, że łatwiej było iść utorowaną przez Byrona drogą? Nie rozstrzygając tych pytań, na to tylko chcę zwrócić uwagę, że jeśli poeta po napisaniu wyprawy krymskiej oglądał się za siebie, to musiał spostrzedz niezgodność pomiędzy zamiarem a wykonaniem. W pieśni szóstej zapowiadał, iż chce „na mogiłach stanąć“ i śpiewać „ludzi złotej wiary i złotych serc“, a oto ledwie dotknąwszy tych mogił i tych ludzi, przeniósł się w sferę exotyczną i tam zamiast złotych serc malował dziwne i komiczne przygody swego bohatera i jego przypadkowego towarzysza. Wirtuozowstwo w malowaniu tych przygód było wielkie i to, co pisał przed samem rozpoczęciem opowiadania podróży do Krymu (Każda z tych moich strof, jak blady topaz — Oszlifowany w różne kostki rymu) dawało się najzupełniej stosować do tego opowiadania, ale poecie, o coś więcej teraz chodziło, niż o samo wirtuozostwo i dlatego właśnie uczuwał niezadowolenie, że nie może sprostać zadaniu, które mu głosy krytyki i własna ambicya wytykała, zadaniu napisania bohaterskiej powieści poetyckiej na tle konfederacyi barskiej, jakiejś Iliady barskiej, jak sam nazywał swój poemat w jednym z późniejszych fragmentów.

Sadzę, że w taki to sposób należy rozumieć skargi Słowackiego, zawarte w listach do przyjaciela, na swoją niemoc, na swoją mozaikowość. A teraz rozważmy pytanie, czy mógł być zadowolony z napisanego w owym czasie dramatu, którego bohaterem jest Fantazy?

Dramat ten różni się od wszystkich utworów dramatycznych Słowackiego, które kiedykolwiek napisał lub próbował pisać, tem, że osnuty jest na stosunkach współczesnych, że najświeższą teraźniejszość stara się wyprowadzić na scenę. Możnaby powiedzieć, że odbił się na nim wpływ *Beniowskiego*, że to *Beniowski*, który swoją stroną satyryczno-polemiczną dotykał najrozmaitszych stosunków współczesnych, zachęcił, pociągnął poetę do utworzenia dramatu na

morskich kwiatów malowane“ (Listy II 204). W wydaniu *Pośmiertnych pism* Słowackiego (T. II str. 126) wydrukowano błędnie „wieczne pola“ zamiast „wietrzne“.

tle współczesnem. A pokrewieństwo między dygresyami *Beniowskiego* a *Fantazym* (niech mi wolno będzie nazywać tak ten dramat wobec braku ustalonej nazwy) zachodzi nie tylko we wprowadzeniu współczesności do poezyi, ale i w satyrycznem jej traktowaniu, w wirtuozostwie dowcipu, którem Słowacki odznaczał się oddawna, które wyostrzył na salonach księżnej Survilliers, a potem w salonie p. Bobrowej, a które starał się okazać w całym blasku tak w *Beniowskim*, jak i w *Fantazym*. Ten ostatni utwór przeciążony jest dowcipem, a raczej dowcipkowaniem, niemal wszyscy tam dowcipkują, czyni to nieustannie Fantazy w swoich rozmowach z Rzecznickim, czyni to Rzecznicki, drwiąc z Idalii z powodu jej mniemanego porwania, odpłaca mu się tą samą monetą hrabina Idalia, zanim się odpłaci — ni w pięć ni w dziewięć — poświęceniem, dowcipkuje hrabia Respekt, a nawet scena gotowania się na śmierć Fantazego i Idalii na cmentarzu nie jest wolną od dowcipkowania i to ciągle na ten sam mizerny temat porwania *Nowej Dejaniry*, pani Rzecznickiej, jakiegoś słomianego straszydła, niepokazanego nawet na scenie[1]).

Jest też inne jeszcze pokrewieństwo z Beniowskim i to już nie z dygresyami, ale z powieścią, a to mianowicie w postaci i sytuacyi Dyany, jednej z tych dziewiczych postaci, które Słowacki takim urokiem i blaskiem poezyi umiał otaczać. Jest to rodzona siostra panny Anieli z *Beniowskiego*, jest w niej ten sam hart i ta sama czułość i sytuacya jej podobna: jak tam ojciec, tak tu oboje rodzice chcą ją wydać za mąż nie za tego, kogo ona kocha.

Tyle jest wyraźniejszego pokrewieństwa między *Fantazym* a *Beniowskim*. Najważniejszą z cech wspólnych jest dowcip satyryczny i tę to wspólność uważam za nić, która nas może zaprowa-

---

[1]) Już z tego chociażby powodu, że właściwą Nową Dejanirą jest pani Rzecznicka, która się wcale nie pokazuje się na scenie, trudno dramatowi temu dawać nazwę *Nowej Dejaniry*. Za tą nazwą przemawia tylko to, że tak nazywa ten dramat w swojej broszurce o Słowackim (Juliusz Słowacki Paryż 1862 str 18) Reitzenheim, przyjaciel poety z ostatnich lat życia. W autografie nie dał poeta na czele żadnej nazwy, ale na ostatniej stronie pod ołówkowym napisem, nie z ręki poety pochodzącym: *Nowa Dejanira*, wypisano atramentem, wielkiem starannem pismem tytuł: *Fantazy*. Czy ten napis pochodzi z ręki Słowackiego? Być może, bo pismo jest podobne do jego zwykłego, drobnego pisma, ale gdyby nawet tak nie było, to zawsze napis ten wskazuje, że w otoczeniu poety dramat ten znany był i pod nazwą *Fantazego*. Zdaje się, że Słowacki, nie mając zamiaru wydawać dramatu, nie ustalił był jego tytułu i rozmaicie go nazywał. Dziś chcąc go ustalić racyonalnie, trzeba dramat nazywać *Fantazym*.

dzić do genezy dramatu. W Słowackim w owych czasach było w wysokim stopniu wyostrzone i rozmachane narzędzie dowcipu. Świadczy o tem nie tylko *Beniowski*, ale i artykuł jego p. t. „Krytyka krytyki i literatury“, pisany we wrześniu 1841 i przesłany *Orędownikowi*, który jednak z niego nie korzystał. Artykuł ten, w którym Słowacki występował pod nazwą Szekspira a miał za towarzysza Hogartha, rysującego karykatury na paznogciu, był jakby prozaicznem uzupełnieniem tego, co się dostało poznańskim krytykom w *Beniowskim;* prócz tego przedrwiwał rozmaitych poetów, którzy płody swoje składali w poznańskich pismach[1]). Otoż jak niegdyś chwilowy przypływ dziarskości w Słowackim wywołał pomysł *Mazepy*, tak teraz hogartowskie usposobienie poety domagało się ujścia w jakimś dramacie i znalazło je w *Fantazym.*

Czy Fantazy miał być satyrycznym wizerunkiem Krasińskiego, a Idalia pani Bobrowej, jak chcą niektórzy, np. p. Hoesick? Bardzo to rzecz podobna do prawdy, że Słowacki w owych czasach hogartowskiem spojrzeniem obejmował i swego przyjaciela i swoją ukochaną i łatwo znaleźć w *Fantazym* ustępy doskonale charakteryzujące stosunek Krasińskiego do p. Bobrowej i jej pretensye do niego[2]). Ale jakkolwiek do postaci Fantazego wciągnął Słowacki

---

[1]) Krytyka krytyki i literatury. Nieznany utwór Juliusza Słowackiego z autografu poety wydał dr. Bolesław Erzepki. Poznań 1891.

[2]) Takim np. ustępem jest to, co mówi Idalia w monologowej pierwszej scenie aktu II:

Tak się kręci
Świat — tak tańcuje każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnej pamięci
Snuje za sobą! tak się w jedwab mody
Obwija, i tak — ot z rąk mi wylata
I już... odemnie wziął ruch, a mnie nie zna!...

Jeszcze lepiej charakteryzują stosunek Krasińskiego do p. Bobrowej te ustępy z innego monologu Idalii (akt IV scena V).

Ach! gdyby godzina
Tego żywota, gdy mię ciągle poił
Z serca, jak z czary! — Gdy na kształt murzyna
Otellowego — w sztylet się uzbroił
I przyłożywszy mi do piersi — czekał,
Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?

. . . .

O! jak mi dobrze było, na pościeli
Granitów rzymskich — z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów...

wiele rysów, wziętych z Krasińskiego, począwszy od tak zewnętrznych, jak tytuł hrabiowski i bogactwo, a kończąc na marzycielskiej wyobraźni, rycerskich popędach i szlachetnej ofiarności, to jednak nie chodziło mu o to, aby dać wierny portret przyjaciela, ponieważ do postaci Fantazego wprowadził także część swojego ja, sobie tylko właściwą, a wówczas w nim górującą, owo hogartowskie usposobienie, chęć szermowania wyostrzonym dowcipem, a nawet swój już (nie Krasińskiego) stosunek do pani Bobrowej. Tym sposobem, jak w falującem źwierciedle wody zlewać się mogą dwie postacie nad nią obok siebie stojące, tak w Fantazym zlały się duchowe oblicza dwu poetów i mimo woli Słowackiego utworzyła się parodya dwu Wenedów, połączonych łańcuchem, którego rolę tym razem pełniła miłość dla p. Bobrowej.

Fantazy tedy jest to Słowacki, przenoszący się w sytuacyą Krasińskiego, poszukiwanego, tytułem, złotem i fantazyą od losu obdarzonego młodzieńca, a gonionego widmem dawnej miłości. Wraz z sytuacyą przybiera on pewne cechy jego charakteru, ale dzieje się to przeważnie dopiero w drugiej połowie sztuki; w pierwszej hrabia Fantazy Dafnicki jest wcieleniem ówczesnego nastroju Słowackiego. Żeby uzasadnić to twierdzenie, przypominam rozmowy Fantazego z Rzecznickim, charakteryzujące tak dobrze ówczesny popęd Słowackiego do wywijania stalą dowcipu, albo jeszcze bardziej charakterystyczne w tym względzie opowiadanie Fantazego przy herbacie o polskich gościach w Rzymie, utkane z samych drwin. Oto np. co mówi Fantazy o hrabinie Idalii:

... dałaby dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną.
Jej trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce i sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.
Nieszczęściem — takie biednej przeznaczenie —
Że jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.

Takie drwiny z kochanki w ustach Krasińskiego byłyby najwyższem nieprawdopodobieństwem, w ustach zaś Słowackiego są w zupełnej zgodzie z tem, co wiemy o jego traktowaniu Ludwiki Śniadeckiej albo Anieli Moszczeńskiej. A teraz posłuchajmy, co dalej mówi Fantazy o swoim stosunku do Idalii:

Gdym przybył, chciała mię poznać: ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy.
Przychodzę: — była zajęta ideją
Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze. —
Na to krzyknąłem bardzo wielkie „haro!“
I powiedziałem mojej pani szczerze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną
Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba
Świecącą, w oczu skrze lub na koralu
Ust gorączkowych...

. . . .

Myślała, że szydzę
Z początku; ale widząc, że ja na tem
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
Pan jeden — w jednej czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność wskazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystej druga
Z tej samej pary i z tego numeru.

Cały ten ustęp nie może mieć nic wspólnego ze stosunkiem Krasińskiego do pani Bobrowej, ale za to wiernie, dowcipnie i złośliwie charakteryzuje współczesny stosunek do niej Słowackiego, któremu się dostała rola beczki Danaid, podczas gdy on chciał być dającym i biorącym miłość Febem. Nie przytaczam innych ustępów, bo sądzę, że przytoczone aż nadto wyraźnie dowodzą, że w Fantazym oprócz Krasińskiego trzeba szukać Słowackiego, zwrócę jeszcze tylko na to uwagę, że nawet pod koniec dramatu, kiedy Fantazy staje się podobniejszym do twórcy *Nieboskiej komedyi* niż do autora *Beniowskiego*, nawet i wtedy wyskakuje z niego hogartowskie usposobienie poety. Tak jest w scenie na cmentarzu, kiedy w obliczu śmierci Fantazy dowiaduje się, że to nie Idalia, ale Rzecznicka była porwaną przez Kałmuka. Ten, który w obronie honoru Idalii gotów był narazić się na śmierć, na tę wiadomość zanosi się od śmiechu:

Cha! cha! cha! jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
Zejść się na ziemi i w tym famulusie
Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę
Wydrwić, ażeby drwin posągiem stanął
Na moim grobie. Cha! cha! cha! Utonę
We łzach serdecznych! — Cha! Kałmuk archanioł
Porywający z ręku Jezuitom
Panią Rzecznicką — i w galop — i w galop!...
Cha! cha! cha! śmiech mój gwiazdom i błękitom...
Wiwat typ wszystkich dewotek i salop,
Pani Rzecznicka, która była duchem
W pielgrzymce!! Dyabli! dyabli! cha! cha! cha! cha!

To pokładanie się ze śmiechu w takiej chwili musi się nam wydać bardzo dziwnem, zwłaszcza, że osoba, która ten śmiech wywołuje, jest nam zupełnie nieznaną i obojętną. Ale jeżeli się na to zgodzimy, że w Fantazego włożył poeta część swojego ja, swoje współczesne usposobienie, to ten cmentarny wybuch śmiechu stanie się zrozumialszym dla nas, usłyszymy w nim echo *Beniowskiego*, a w pani Rzecznickiej, nad którą się tak pastwi poeta, znajdziemy pokrewieństwo z panną Praksedą. Nawet wzmianka o Faustyzmie Fantazego wskaże nam pokrewieństwo dramatu — prawda, ze tym razem bardzo dalekie — z poematem, w którym poeta zapowiadał, że „jak się rozogni myśl, napisze Fausta“, i którego bohater miał pierwotnie w twórczej fantazyi poety wystąpić jako Faust polski.

Ale jeżeli Fantazy, jak to wykazałem, jest zlaniem w jedno dwóch mało podobnych, pod niektórymi względami wręcz sprzecznych z sobą charakterów, to muszą w nim zachodzić sprzeczności i niekonsekwencye. I rzeczywiście zachodzą. Dość jest zwrócić uwagę na to, że ten sam, który najzłośliwiej publicznie wyśmiewa swoją kochankę, broni potem jej czci, jak rycerz i chce umrzeć z nią razem. Możnaby myśleć, że Słowacki chciał się z góry zasłonić od tego zarzutu, nadając bohaterowi imię Fantazego, które miało zapewne oznaczać człowieka rządzącego się jedynie kaprysem fantazyi[1]). Ale czy taka zasłona dostateczna? Sądzę, że nie. bo i w kapryśnych postaciach, jeśli mają być prawdziwemi, musi być pewna konsekwencya, i nie mogą się kojarzyć rzeczy, wzajem wyłączające. Zresztą nie tylko w Fantazym tkwi niekonsekwencya; można po-

[1]) Prawdopodobnie nazwę bohatera podsunął Słowackiemu Musset swoim *Fantasio*.

wiedzieć, że cały dramat, pomimo rozrzuconych w nim skarbów poezyi, jest jedną wielką niekonsekwencyą.

Początek jego jest wyborny: charaktery narysowane wyraziście i śmiało, ustawione kontrastowo, dyalog zajmujący, dowcipem uiskrzony, węzeł dramatyczny zawiązany żywo i silnie, ale niedaremnie skarżył się poeta w dalszych pieśniach *Beniowskiego*, mniej więcej współczesnych *Fantazemu*, że „sztuka rozwiązań jest niełatwa“, bo nigdzie mu tak ciężko nie poszło rozwiązanie, jak w tym dramacie. W tragedyach, osnutych na tle fantastycznem, można było piętrzyć jedne na drugich zawikłania, bo przywołana na pomoc cudowność potrafiła najtrudniejsze węzły porozcinać, to też piorunami kończyły się *Balladyna* i *Lilla Weneda*. W tragedyach, osnutych na tle historycznem, już sama historya lub podanie wytykało kierunek rozwiązaniu. Ale dramat osnuty na tle realnem i współczesnem nie miał ani jednej, ani drugiej dogodności.

W dramatach, na dnie których spoczywa jakaś idea, ona poniekąd może wskazywać rozwiązanie, ale czy jest jaka idea w *Fantazym?* Prof. Małecki upatrzył ją i wyraził tytułem, który nadał dramatowi: *Niepoprawni*. Że tytuł niestosowny, że taka idea nie da się w dramacie wykazać, to już inni to objaśnili[1]), co do mnie chcę tu zwrócić uwagę na współczesne poglądy Słowackiego na twórczość poetycką w ogóle, a w szczególności dramatyczną, wyrażone we wspomnianej już „*Krytyce krytyki i literatury*“. Szekspir-Słowacki w rozmowie z redaktorami *Orędownika* i *Tygodnika* (Pan Or. i Pan. Tyg.) takie wypowiada zdanie: „Aby pisać, trzeba mieć coś pięknego przed oczyma imaginacyi — rzecz rozwidniającą się stopniami, obszerną jak świat, pełną ruchu i życia...

Pan Tyg. Idei...

Szekspir. Idei?... ja nie wiem... ale ja bez żadnej idei piszę... Rzecz stworzoną nazywam pomysłem... z pomysłu wynikają naturalnie figury i charaktery — charaktery znów oddziaływają na pomysł... jest zaś jakieś monotonne usposobienie duszy, które to wszystko harmonizuje i jedną barwą oblewa“...

W dalszym ciągu Słowacki wyśmiewał, podobnie jak w *Beniowskim*, poznańskich krytyków, upatrujących wszędzie w kształtach poetyckich symbolikę i allegoryę, i wyszukujących idei. Pan

---

[1]) Prof. St. Tarnowski w studyum „O Niepoprawnych Juliusza Słowackiego“. Przegląd Polski 1875.

Tyg. tak mówi do Szekspira: „wszędzie panie jest u wielkich poetów idea... np. wybierzmy najmniejszą rzecz: *farysa* przez jednego z naszych Arcy-mistrzów napisanego... farys jest to myśl... a priori rzucająca się w świat nieznany sobie empiryzmu, a stopniowe wymijanie... etc.... lecz wróćmy do Makbeta... zdaje mi się, że Makbet wystawia *wiedzę* a jego żona jest uosobieniem *woli*.,. dwie te skojarzone władze... przez świat empiryzmu dążąc... do osiągnienia ostatniego końca przeznaczeń... zakrwawić się muszą... lecz nie krwią cielesną, ale krwią ducha i t. d.“.[1])

Te i inne szyderstwa Słowackiego z krytyków godziły przedewszystkiem w autora krytyki *Anhellego,* więcej niż przed półtora roku umieszczonej w *Tygodniku literackim;* Słowacki przedrzeźniał nawet rozmaite jego wyrażenia, aby nie było wątpliwości, kogo ma na myśli, komu się chce odpłacić. Widocznie uważał odprawę daną w *Beniowskim* za zbyt lekką i niedostateczną. Przypominam, że w krytyce swojej Sadowski wyznaczał jakby hołdownicze stanowisko poezyi Słowackiego z powodu, że czerpie ona ideje z zewnątrz, nie z wnętrza samego poety, że każdą nową myśl chwyta i w osobny sposób rozwija, ale własnej myśli nie daje, i dla tego twierdził, że „Słowacki nie jest arcy-poetą“. Otoż na ten zarzut nie było w *Beniowskim* odpowiedzi, ale widać, że on głęboko tkwił w pamięci poety, skoro chciało mu się we dwa lata potem na niego odpowiadać i wkładać nawet w usta Panu Tyg. te słowa: „Nie jest to Arcypoeta... żadnej nowej drogi nie otworzył“.

Cóż znaczyła odpowiedź Słowackiego? Oto, że jeśli Szekspir nie potrzebuje idei, aby tworzyć arcydzieła i być „arcy-poetą“, to i on Słowacki, który jest Szekspirem polskim, może tak samo tworzyć arcydzieła i mieć prawo do tytułu, którego mu poznański krytyk odmawiał. Ale przytoczyłem ustęp z satyry Słowackiego nie na to głównie, aby pokazać, jak pomimo usadowienia się w krześle ze słoniowej kości Słowacki niepokojony był pamięcią dawniejszych zarzutów, ani na to, aby się zastanawiać, o ile słusznym był pogląd jego na Szekspira, tylko aby zaczerpnąć stamtąd objaśnienia dla genezy *Fantazego.* Na mocy własnych słów poety, współczesnych układaniu tego dramatu, możemy stwierdzić, że żadna idea nie przewodniczyła tworzeniu pomysłu jego. Miał on „przed oczyma wyobraźni“ kilka typów, hogartowskiem okiem uchwyconych, jeden

---

[1]) Krytyka krytyki i literatury 16—18.

z tych typów napełnił sobą, swojem ówczesnem usposobieniem — przynajmniej do połowy, i ustawił te postacie w zajmującej, dramatycznej sytuacyi. Bogaty i dowcipny fantastyk chce złotem kupić sobie u rodziców rękę pięknej panny, pomimo iż wie, że ona kocha kogo innego; w tej sprawie jest mu pośrednikiem wieszający się przy nim przyjaciel-faktor; rodzice panny z powodu złego stanu interesów gotowi sprzedać córkę, ale na układy rzuca cień zjawiająca się niespodzianie dawna kochanka bogatego i kapryśnego konkurenta. Dotąd było wszystko szczęśliwie utworzone i świetnie wykonane. Potrzeba było znaleźć rozwiązanie dla tej dramatycznej sytuacyi i tutaj wyobraźnia poety poszła w kierunku jego hogartowskiego usposobienia: ono to jej nastręczyło ów dziwaczny, karykaturalny motyw porwania Dejaniry, który widocznie przypadał bardzo do smaku poecie, ale który stał się przyczyną mnóstwa niekonsekwencyi w dramacie i z tego, co się tak pięknie zapowiadało, jako dzieło wyższej sztuki, uczynił melodramat.

Ów motyw, to istny *Deus ex machina.* Dla ustawienia jego i puszczenia w ruch poeta musiał wielkim kosztem sprowadzać aż z Syberyi majora z Baszkirem i Kałmukiem, a dla naprawienia tego wszystkiego, co ten *Deus* wyrządził, zmuszony był pod koniec awansować majora na głównego bohatera sztuki, skąd poszło, że sztuka mogła się wydawać tendencyjną i że prof. Małecki mógł upatrywać sens moralny „w przeciwstawieniu półdzikiej bezpośredniości Czerkiesa wykwintowi naszej rzekomej cywilizacyi“ [1]).

Ten major jest stekiem niekonsekwencyi i pomimo pozorów prawdy człowiekiem zupełnie sztucznym. Słowacki modelował go potrosze z kapitana Rykowa, tylko zapomniał, że ten ostatni był żołnierzem z czasów Suworowa, a nie jednym z dekabrystów, którzy należeli do najoświeceńszych i najbardziej ucywilizowanych ludzi swego czasu w Rosyi, więc coby może mniej raziło w Rykowie, owa naiwność w pomyśle ratowania przyjaciół za pomocą porwania kobiety, w majorze Słowackiego staje się krzyczącą niekonsekwencyą. Słowacki chciał, jak się zdaje, ten wybryk uzasadnić atawistycznem usposobieniem majora, Czerkieskiem jego pochodzeniem, ale w tym pomyśle bierze udział także i Jan, kochanek Dyany, i to przez poświęcenie się dla niej! więc tu już i tej wymówki nie ma, i nieprawdopodobieństwo wydaje się jeszcze dzikszem.

---

[1]) Małecki l. c. II 276.

Zresztą nie wiemy, kiedy się więcej dziwować: czy wtedy, kiedy major-liberał chce dzikiem bezprawiem przysłużyć się dawnym przyjaciołom; czy kiedy hrabia Fantazy, natrząsający się z Idalii, na pierwszą wiadomość o jej zjawieniu się, zamiast jej unikać, bieży do niej? czy kiedy dowiadujemy się, że pani Rzecznicka przebiera się w kapelusz i szal Idalii, rzekomo ażeby sprawić niespodziankę swemu mężowi, tak mało do tej czułości dobranemu, a właściwie, ażeby wprowadzić w błąd Kałmuka? czy kiedy Idalia chce się poświęcić dla Rzecznickiego, którym pogardza i dla jego żony, którą nazywa łachmanem, furyą i dziwolągiem? Czy kiedy Jan, dawny ułan polski, szuka ulgi dla serca w piosence sołdackiej o „matce gorzałce“ i o „kochance pałce?“ Czy kiedy major na jedno skrzywienie się hrabiego Respekta poświęca życie dla ocalenia człowieka, który go śmiertelnie obraził? Czy wreszcie kiedy niespodziewanie na końcu dowiadujemy się, że ten liberał-dekabrysta, „przepuszczał kiedyś okręt przez nogi“ i „chwytał za worek“, i z tego powodu jest bardzo majętny a majątkiem swoim chce uszczęśliwić ukochanego Jana, któremu dotychczas pozwalał chodzić w dziurawych butach?[1])

Ale wyjdźmy z tego lasu niekonsekwencyi, ażeby odpowiedzieć na pytanie, postawione na początku tego ustępu o *Fantazym:* czy mógł Słowacki być zadowolonym ze swego nowego dramatu? Myślę — na podstawie uwag wypowiedzianych o nim — że jeżeli nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze wszystkich niekonsekwencyi dramatu, to przecież cała sztuczność jego rozwiązania musiała ciążyć na jego sumieniu artystycznem i jak z dalszego ciągu *Beniowskiego,* który nie odpowiadał nowemu zadaniu, obmyślonemu dlań przez poetę, tak i z *Fantazego,* na którym przekonywał się, że „sztuka rozwiązań jest niełatwa“, nie był zapewne zadowolony.

W końcu jeszcze na jedno charakterystyczne podobieństwo między *Beniowskim* a *Fantazym* chcę zwrócić uwagę. W cytowanym ustępie artykułu Słowackiego *Krytyka krytyki i literatury* Szekspir-Słowacki mówi o „monotonnem usposobieniu duszy“ poety, które wszystkie szczegóły danego dzieła sztuki „harmonizuje i jedną bar-

[1]) Na obronę Słowackiego trzeba powiedzieć, że dramat jego przechował się tylko w brulionie, i że przynajmniej niektóre sprzeczności tak rażące a łatwe do usunięcia, jak np. to, że Jan oddaje księdzu Lodze pierścionek zaręczynowy, którego już nie powinien mieć przy sobie, bo go oddał przedtem Stelce, byłby Słowacki niewątpliwie usunął przy ostatecznem wygotowaniu do druku.

wą oblewa“. Usposobieniem, które bardzo silne piętno wycisnęło na *Fantazym*, było to, które nazwałem hogartowskiem, ale nie można powiedzieć, aby ono zharmonizowało i jedną barwą oblało wszystkie sceny i wszystkie postacie dramatu. Poeta wbrew panującemu w sobie usposobieniu nastrajał się niekiedy na ton inny, patetyczny, patryotyczno-demokratyczny, co właśnie nadało melodramatyczny charakter utworowi.

Ton ten w szczególności odzywa się w postaciach Dyany, Jana i majora. To, co Dyana w rozmowie z Fantazym mówi o swojej miłości dla chłopów i gotowości poświęcenia się dla nich, nosi na sobie widoczne ślady wpływu *Demokraty polskiego* i tego przyjęcia, jakie on zgotował *Beniowskiemu*, bo zresztą zostaje w dyzharmonii z tem, co potem Stelka o awanturach domowych opowiada Janowi. Jan „mieści w sobie Polskę“ i jest czemś w rodzaju zgorzkniałego i zdziczałego Kordyana, major jest Rykowem podniesionym do potęgi bohaterstwa. Między temi postaciami a tłem ogólnem nie ma zestrojenia, zharmonizowania, podobnie jak go nie było w dalszym ciągu *Beniowskiego*, pomiędzy poważnym tonem i uroczystemi zapowiedziami pieśni szóstej, a komicznem traktowaniem krymskich przygód bohatera w czterech dalszych pieśniach.

Na str.	7	wiersz	2 z dołu	zamiast	„Tamże I, 282“	czytaj	„Listy do matki I, 282„
„ „	19	„	3 z góry	„	„swem“	„	owem
„ „	63	„	11 „	„	poetycznych	„	patryotycznych
„ „	106	„	10 „	„	pochylił	„	pochylał
„ „	110	„	6 „	„	artyzm	„	egzotyzm
„ „	128	„	9 „	„	rinami	„	ruinami
„ „	206	„	2 „	„	wstępu	„	ustępu
„ „	216	„	8 z dołu	„	na stanowisku	„	na stanowisko
„ „	235	„	4 „	„	biały marmur nie	„	biały marmur, nie
„ „	272	„	9 „	„	wirtuowstwo	„	wirtuozowstwo.

Treść.

Str.

SŁOWO WSTĘPNE 1

CZĘŚĆ I. W drodze do sławy.

ROZDZIAŁ I. Dzieciństwo i pierwsze lata młodości. 1809—1831.
Rodzina poety i miasto rodzinne. — Charakterystyka ojca i matki. — Charakterystyka samego poety: stosunek jego do ludzi, stosunek do przyrody. — Wpływy wychowania. — Ewolucya marzeń dziecinnych. — Początek anhelizmu Słowackiego. — Stosunek poety do filaretyzmu i romantyzmu. — Pierwsze próby poetyckie Słowackiego. — Wpływ *Konrada Wallenroda* na jego młodzieńczą poezyę. — Szukanie karyery cywilnej w Warszawie. — *Hugo* i *Mindowe*. — Stanowisko poety w listopadowem powstaniu. — Podróż do Londynu. 3

ROZDZIAŁ II. Początek zatargu z Mickiewiczem. 1832.
Wydanie dwu pierwszych tomów poezyi i przyjaźń z Michałem Skibickim. — Przelotna chwila powodzenia. — Oczekiwanie przyjazdu Mickiewicza. — Krytyka *Wallenroda*. — Przyjazd Mickiewicza. — Jego sąd o poezyi Słowackiego. — Przedmowa Słowackiego do tragedyi *Mindowe*. — Jak Słowacki zrozumiał sąd Mickiewicza. — Ukazanie się trzeciej części *Dziadów*. — Co sądzić o wprowadzeniu doktora Bécu do *Dziadów*. — Część winy Odyńca. — Zaostrzenie się antagonizmu. — Poemat *Lambro* i jego stosunek do *Wallenroda*. — Zatknięcie bandery patryotycznej. — Przedmowa do *Lambra*. — *Godzina myśli;* prawda i zmyślenie w tym poemacie. — Odpowiedź Mickiewicza na wyzwanie. 28

ROZDZIAŁ III. W Szwajcaryi. 1833—1836.
Chęć zmierzenia się z nowym utworem Mickiewicza. — Stosunek *Kordyana* do *Dziadów* trzeciej części i do *Wacława* Garczyńskiego. — Co znaczy prolog w tym dramacie. — Słowacki nastraja się patryotycznie. — Recenzya *Kordyana* w dzienniku *Le Polonais;* jak ją przyjął Słowacki. — Wrażenie, jakie sprawił na nim *Pan Tadeusz*. — *Balladyna*. — Znaczenie epilogu. — Myśli matrymonialne Słowackiego; stosunek z Maryą Wodzińską. — Pragnienie większej doskonałości poetyckiej. . . . 53

ROZDZIAŁ IV. Wschód i Włochy. 1836—1838.
Stosunek do wujostwa w Rzymie. — Znajomość z Zygmuntem Krasińskim i jej wpływ na Słowackiego. — Podróż na Wschód. — Nastrój poety, jak się objawił w poemacie opisującym podróż. — *Grób Agamemnona*. — Czego Słowacki żądał od narodu. — U grobu Chrystusa. — Geneza i znaczenie *Anhellego*. — Pobyt we Florencyi. — Życie salonowe. — Próby miłości w celach artystycznych: Amerykanka, stosunek z Fornariną. — Aniela Moszczeńska. — Nadzieje pokładane w *Anhellim*. 77

ROZDZIAŁ V. Walka o sławę. 1838—1839.
Przyjazd do Paryża. — *Poemat o Piaście Dantyszku.* — Poemat *W Szwajcaryi.* — *Ojciec Zadżumionych.* — *Wacław.* — Sąd Krasińskiego o *Wacławie.* — Pierwsze głosy krytyki o *Anhellim.* — *Młoda Polska* o Trzech poematach i Dantyszku. — Odpowiedź Słowackiego. — O ile słuszne były żale Słowackiego. — Kosmopolityczny estetyzm Słowackiego i Krasińskiego. — Sadowskiego recenzya *Anhellego.* — Nadzieja wystąpienia na widowni europejskiej. 104

ROZDZIAŁ VI. Dwaj Wenedzi. 1839—1840.
Przedmowa do *Balladyny.* — Recenzya *Balladyny* w *Młodej Polsce.* — Współczesne usposobienie i twórczość Słowackiego. — Nowy głos krytyki w *Kalendarzu pielgrzymstwa polskiego.* — List Krasińskiego, dodający ducha Słowackiemu. — Krasiński o Słowackim w liście do Załuskiego. — Porównanie sądów Krasińskiego o Słowackim z sądem Mickiewicza. — Niekonsekwencya w radach Krasińskiego. — *Lilla Weneda,* żywioł osobisty w tej tragedyi. — Sąd Krasińskiego o niej. — Wpływ Słowackiego na przedmowę do *Trzech myśli Ligenzy.* 127

CZĘŚĆ II. Zdobycie sławy.

ROZDZIAŁ VII. Beniowski. 1840—1841.
Geneza poematu. — Zamiar stworzenia polskiego Fausta. — Co było zadaniem poematu. — Uczucia miłosne Słowackiego dla Anieli Moszczeńskiej, p. Bobrowej i Ludwiki Śniadeckiej i ich odźwierciedlenie w poemacie. — Stosunek Słowackiego do Mickiewicza. — Pierwsza uczta na cześć Mickiewicza w Paryżu. — Walka na improwizacye. — Pomysł drugiej uczty. — Drażliwość Słowackiego. — Artykuł „Improwizatorowie“. — Oburzenie Słowackiego. — Epicki wątek poematu. — Swentyna jako muza poety. 152

ROZDZIAŁ VIII. Beniowski. (Ciąg dalszy). 1840—1841.
Liryczno-polemiczna strona poematu. — Uwielbienie własnej poezyi. — Walka poety z krytyką. — Sprawa króla *de facto.* — Jak się odźwierciedliło w poemacie stanowisko Słowackiego w walce stronnictw emigracyjnych. — Credo religijne. — Religijność Słowackiego i Mickiewicza. — Walka z Mickiewiczem w ostatnich strofach. — Zarzut ultramontanizmu i panslawizmu. — Dokąd to Słowacki chciał prowadzić naród. — Szaleństwo gniewu. — Wpływ Krasińskiego. 187

ROZDZIAŁ IX. Trwogi i tryumfy. 1841.
Obrona *Nocy letniej* Krasińskiego. — Wyjazd do Frankfurtu i pobudki tego wyjazdu. — Światło, które pada na epizod frankfurcki z korespondencyi poety z Niedźwiedzkim, matką i p. Bobrową. — Przestrogi Krasińskiego. — Roznerwowanie Słowackiego. — Miłość ku p. Bobrowej. — Komedya w tragedyi życia Słowackiego i moment tragiczny w tej komedyi. — Sprawa pojedynku z Ropelewskim. — Jakie wrażenie wywarł

Beniowski na Bohdanie Zaleskim i Mickiewiczu. — Sądy krytyki emigracyjnej o *Beniowskim* i stosunek trzech głównych stronnictw emigracyi do tego poematu. — Tryumfatorski nastrój Słowackiego. 223

ROZDZIAŁ X. Przed transfiguracyą. 1841—1842.
Korespondencya z Krasińskim; nowe przestrogi przyjaciela. — Jego nauka o dumie i pokorze. — Niezadowolenie Słowackiego ze swojej twórczości. — Dalszy ciąg *Beniowskiego;* inne zadanie przed poetą. — Dygresye w dalszych pieśniach *Beniowskiego;* sytość zwycięstwa. — Pierwsze dreszcze *Króla Ducha.* — Ówczesny stosunek poety do staroszlacheckiej przeszłości. — Wątek epicki w dalszych pieśniach *Beniowskiego.* — Dramat *Fantazy,* jego pokrewieństwo z *Beniowskim.* — Kogo przedstawiał Słowacki w postaci Fantazego? — *Krytyka krytyki i literatury.* — Hogartowski nastrój Słowackiego. — Niekonsekwencye dramatu i jego melodramatyczność. 263

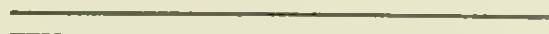

Przyczynki do słownictwa polskiego.

Napisał

Aleksander Brückner.

I.

Po najdłuższym zastoju na polu naszego słownikarstwa, gdy po „Lindem“ i po „Orgelbrandzie“ niwa jego wyjałowiała — przyniosło dopiero ostatnie dziesięciolecie nadspodziewanie obfite plony. Przed niem pojawiały się chyba rzeczy służące celom praktycznym, słowniki „kieszonkowe“, „podręczne“, jedne gorsze od drugich; czasem jaki zbiorek prowincyonalizmów, w rocznikach Biblioteki Warszawskiej lub w nowych serjach Kolbergowego „Ludu“; przy Biblii Zofii ogłosił Małecki krótki, przy Psałterzu Floryańskim, Nehring najobfitszy słownik z terminami wydawanego pomnika; do dziś pozostaje ów słownik prof. N e h r i n g a właściwie jedynym okazem staropolskiego słownika, starannym, umiejętnym, nieocenionym dla badacza. Zresztą panowała zupełna martwota na polu słownictwa, gdy około gramatyki przecież żywiej się krzątano. Synonimy polskie ks. biskupa K r a s i ń s k i e g o, to właściwie najważniejsze dzieło, a obok nich przyczynki dr. Ł e b i ń s k i e g o, zbierającego z dokumentów, statutów i literatury, terminy prawnicze, potem wojskowe.

Zmieniło się to z ostatniem dziesięcioleciem; odbił się i na polu słownictwa żywszy ruch nauki polskiej. Z trzema naczelnymi dziełami tej doby ostatniej połączone trud i nazwisko p. J a n a

Karłowicza. Sam wydaje on „Słownik wyrazów obcego a mniej jasnego pochodzenia, używanych w języku polskim“ (dotąd A—K, 4°, str. 333) i „Słownik Gwar Polskich“ (dotąd dwa tomy, A—E, str. 484, i F—K, str. 547, 1900 i 1901 r.) a bierze czynny udział w warszawskim „Słowniku Języka Polskiego“ (dotąd tom I, str. 1—955 wielkiej 8°, A—G, 1900; tom II, H—M, str. 1—1089, 1902 r.), wraz z pp. A. Kryńskim i Wł. Niedźwiedzkim; i z trzeciego tomu wyszły już dwa pierwsze zeszyty (litera N).

Nie wchodzimy tutaj w szczegóły wykonania tych dzieł iście pomnikowych: mieliśmy nieraz sposobność o nich się wyrażać, to nie skąpiąc słów najwdzięczniejszego uznania, to uzasadniając w szczegółach zapatrywania odmienne. Ale to niejedyne przyczynki leksykalne z owego dziesięciolecia. Pomijamy wydawnictwa nieznanych źródeł rękopiśmiennych, wzbogacających dawny nasz słownik, Łopacińskiego, Nehringa i innych; pomijamy opracowania dawnych zasobów leksykalnych, z pierwszych drukowanych słowniczków polskich (Mimerów i t. d. — w starannej pracy prof. Łopacińskiego, Prace Filologiczne V) i z rękopiśmiennego słownika Bartłomieja z Bydgoszcza, z roku 1532 (rzecz dokonaną z nadzwyczajnym nakładem pracy i czasu przez dr. B. Erzepkiego w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk) — nie sposób jednak nie wspomnieć o bogatych przyczynkach do słownictwa gwarowego, zamieszczanych w Pracach Filologicznych warszawskich, w Sprawozdaniach Komisyi Językowej (tom IV 1891, V 1894), w dziełach osobnych, jak w Jana Świętka „Ludzie Nadrabskim“ (1893). Z licznych tych przyczynków zasługują na osobliwszą wzmiankę bogaty „Słownik gwary podhalskiej“ Bronisława Dembowskiego (Sprawozdania V str. 339—444) i R. Lubicza (H. Łopacińskiego) „Przyczynki do nowego słownika języka polskiego“ I i II (Prace filologiczne IV, 173—279 i V, 681—976). Dalej prace specyalnego słownictwa, między niemi najbogatsza, Erazma Majewskiego Słownik nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich, dwa tomy, 1891 i 1894.

Obok owych dzieł staje godnie „Księga przysłów“ p. S. Adalberga (1895), po licznych próbach i pracach pierwsze wielkie, wyczerpujące przedstawienie bogactwa przysłownictwa polskiego, zaniedbanemu temu działowi rzucające umiejętne podstawy, wysuwające odrazu wlokącą się dotąd mozolnie i nieudolnie paremiografię polską na samo czoło wszystkich słowiańskich: żadna litera-

tura słowiańska, ani czeska, ani rosyjska, mimo dzieł Czelakowskiego, Dala i innych. podobnym szczycić się nie może. Naturalnie, i „Księga“ ma pewne braki; usunęlibyśmy z niej chętnie gnomy łacińskich gramatykarzy i wymysły Żabczyca, nie nadające się do przysłów; zato włączylibyśmy do niej liczne przysłowia, przytaczane po dawnych zabytkach a w objaśnianiu ich ściślejszą zachowywalibyśmy krytykę, odrzucającą wymysły późniejsze. Cenne w tym sensie poprawki i dodatki zamieścił dr. Fr. Krček, w lwowskim „Ludzie“, tomie VI i VII. Przed nim poświęciłem „Księdze“ i dawnym przysłowiom obszerne studyum w Ateneum z 1898 roku i umieszczałem w „Wiśle“ inne przyczynki; właśnie „Wisła“ drukowała bogate dodatki i z dawnych ksiąg powybierane i z ust ludowych wyjęte rozmaitych zbieraczy.

Nasze przysłownictwo zaczęło się bardzo późno; pierwszy wielki zbiór przysłów u Niemców (Bebela) o 110 lat wyprzedził Rysińskiego, a nawet Czesi znacznie wcześniej z pierwszym zbiorem wystąpili (Dicteria seu proverbia bohemica ad phrasim Latinorum accomodata atque per centurias — jak Rysińskiego — quondam *in usum scholae privatae* distributa, nunc vero longe auctiora in gratiam *studiose iuventutis* per M. Iac. Srnecium Warwazowinum edita, Pragae 1582). Nie znaliśmy jednak dotąd bynajmniej źródeł, z jakich Rysiński czerpał, odliczywszy kilka zwrotów z Reja czy Kochanowskiego; otóż odszukałem dwa drukowane źródła Rysińskiego, dzieła XVI wieku, cofające początki naszej paremiografii. A nie idzie nam tylko o wcześniejsze datowanie — kilka dziesiątków lat przecież, a choćby i cała ich setka, znaczniej nie zaważą; idzie nam o ustalenie formy i znaczenia przysłowia, bo mania rymowania dorabia niepotrzebne wiersze i fałszuje poprostu przysłowie, sprowadzając naszych paremiografów wręcz na najmylniejsze manowce; przykłady niżej przytoczymy. Nie wyczerpał też Rysiński bynajmniej zasobów dawnych i koniecznie powiększać należy jego „centurye“. Więc i na tem polu praca choć nie ukończona, bardzo daleko, dzięki Adalbergowi głównie, postąpiła.

Obok tych prac słownikowych i przysłowionych, należy się osobna wzmianka znakomitemu przyczynkowi dla naszej nomenklatury, średniowiecznej jeszcze, głównie botanicznej, dzięki nieznużonej pracy prof. Józefa Rostafińskiego Jego „Materyały źródłowe“ 1900 roku nie powtarzały tylko tysięcy wypisków z kilkudziesięciu rękopisów i druków, lecz cały jeden tom poświęcił autor opracowaniu

wzorowemu tych zapisków, oznaczaniu nietylko roślin, ale i nazwy, skąd się wzięła. W wielu razach tylko botanik mógł tego dójść i praca Rostafińskiego nabiera nietylko dla polskiej, lecz dla słowiańskiej filologii ogółem doniosłości, posuwa wielkim krokiem naprzód wiedzę naszą o tej terminologii i rzuca ciekawe światło na rozmaite procesy znaczeniowe, na kwestye pożyczek, wędrowania nazw od Niemców przez Czechów do nas, a co jeszcze ważniejsza, od nazw starożytnych do nowoczesnych, ujawniając proste przekłady tam, gdzieśmy się jakiejś mitologii, tajemniczości, a choćby rodzimości spodziewali i na mylnych podstawach jeszcze mylniejsze wnioski opierali.

Wszystkie te przyczynki, nieraz pierwszorzędnej wagi, skłaniały nas do podejmowania własnych poszukiwań na bogatej tej niwie.

Już w poprzednich pracach, np. w studyum o „Języku Wacława Potockiego“ (Rozprawy Wydziału filologicznego XXXI, str. 272—421. 1900), albo w rozprawkach, drukujących się w Pracach Filologicznych warszawskich, w tomie VI, występowaliśmy z liczniejszymi przyczynkami do dziejów wyrazów polskich, głównie obcych, rzadziej i rodzimych. Pracę tę podejmujemy na nowo, na skalę szerszą, nie w celach polemicznych, lecz w zamiarze dobadania się i odszukania prawdy, zbogacenia materyału, wykazania nadzwyczajnego bogactwa języka polskiego.

Gdzieindziej, w Niemczech np., istnieją osobne wydawnictwa peryodyczne, poświęcone dziejom językowym, gwarom i terminologii zawodowej, omawiające etymologię czy historyę słów; prof. K l u g e n. p., nie zważając wcale na swój znakomity, w licznych pięciu czy sześciu wydaniach rozszerzony i coraz poprawiany słownik etymologiczny języka niemieckiego, wydaje już w czwartym tomie obszerną i bogatą „Zeitschrift für deutsche Wortforschung“. O francuskich lub angielskich dziełach i wydawnictwach tego rodzaju milczymy, nie chcąc rzeczy zbyt rozszerzać; również pomijamy czynność osobnych towarzystw, n. p. „Allgemeiner deutscher Sprachverein“ i jego liczne publikacye i orzeczenia. U nas niema dotąd nic podobnego. A przecież nie może bynajmniej uchodzić za zbyteczne traktowanie historyi, znaczenia, pochodzenia wyrazów polskich, których dzieje nieraz bardzo skomplikowane i niejasne. We wstępie do rozprawki o języku Potockiego, pokazałem na licznych przykładach, że u nas i na słownikach nawet nie zawsze po-

legać można; nie dlatego, że pomijają liczne słowa i nie wyczerpują bynajmniej dawnej literatury, lecz dlatego, że wręcz w błąd wprowadzają, że podają fantastyczne znaczenia; że n. p. z nazwisk własnych robią appellativa; że mylnie tłumaczą nawet miejsca z Pisma św., gdzie przecież sam tekst wulgaty wszelkie nieporozumienie z góry wykluczaćby winien. Nie obejmują też ani „Linde“, ani nawet „Słownik Warszawski“ wszystkiego co polskie i z dawnej literatury coraz je dopełniać należy. W jaki ambaras bowiem wprowadzamy dzisiaj coraz liczniejszych na szczęście wydawców dawnych tekstów polskich! „Biblioteka“ prof. Wierzbowskiego np., zawierająca ciekawe przedruki najrzadszych broszur dawnych, ciągle walczy z lukami naszych słowników i błądzi nieraz fatalnie w objaśnianiu dawnych terminów. Otóż za zadanie obraliśmy sobie nietylko dopełniać zasoby historyczne naszego niewyczerpanego, niesłychanie bogatego języka, imponującego coraz nowymi szczegółami: ustalamy zarazem i wykład znaczenia i formę pierwotną i ojczyznę danego słowa i takim sposobem przysparzamy zarówno materyału porównawczemu słownictwu języków słowiańskich, jak i rozszerzamy podwaliny dla wyczerpującej historyi języka polskiego, która samą gramatyką, formami, bynajmniej nie stoi.

Zmarły przedwcześnie **Lucyan Malinowski** z zamiłowaniem tę samą gałąź uprawiał; zajmowały go jednak specyalnie tylko takie słowa gwarowe, a choćby i z języka piśmiennego, co pod wpływem assocyacyi brzmień, czy znaczenia formę pierwotną, lub znaczenie właściwe odmieniały; tak zwany słoworód ludowy był jego ulubioną materyą, traktowaną i w wydawnictwach Akademii (Tom XVIII Rozpraw naszego wydziału) i w Pracach Filologicznych warszawskich.

Otóż wstępujemy teraz sami w jego ślady, rozszerzając zakres jego pracy; w luźnych przyczynkach zamierzamy: podejmować kwestye co do pochodzenia i znaczenia słów polskich; notować z dawnych pism lub druków słowa, nie istniejące u „Lindego“ czy w „Słowniku Warszawskim“; omawiać kwestyę słów obcych, mianowicie ich właściwej ojczyzny, co do której i sami błądziliśmy i inni błądzą. Przyczynki nasze są luźne, jak nam materyał nadpływał; abecadłowy spis końcowy ułatwi wyszukanie każdego, omówionego tu terminu. Nie krępujemy się więc żadnymi względami: to bierzemy druk stary, nieznany wcale „Lindemu“, a nieraz i Estreicherowi i notujemy z niego nietylko słowa, ale i przysłowia

n. p., co bardzo potrzebne wobec zbyt późnych początków naszej paremiografii i wobec niedostatecznej znajomości pierwotnego znaczenia zapomnianych dziś przysłów, wniesionych do „Rysińskiego“ bez dalszych uwag. To bierzemy rękopis jakiś dawny — „Linde“ żadnych nie uwzględniał, trzymając się wyłącznie druków — notujemy z niego słowa nieznane lub równie przysłowia. To sięgamy do narzeczy, do zbiorków i tekstów, i objaśniamy je podobnie. Albo badamy imiona własne, miejscowe, i wydobywamy z nich ślady prastare, mowy polskiej pierwotnej i do kronik łacińskich i innych zapisków w tym samym celu sięgamy. Wracamy nawet do dawniejszych publikacyj średniowiecznych, prof. Nehringa np., aby objaśnić, czego dotąd nie objaśniono wcale lub objaśniono mylnie.

Oto n. p. wydał prof. Ulanowski w dziesiątym tomie Starożytnych prawa polskiego pomników (1888) między innymi i retorykę pochodzenia krakowskiego, z pierwszej połowy wieku XV, przechowaną w rękopisie praskim. Retoryka ta zawiera i kilkanaście glos polskich; zwracam tu na nie uwagę, gdyż nikt o tych glosach nie wspomniał, ile wiem. Wydaje mi się, że przepisywaczem rękopisu był Niemiec i w końcu glosy polskie zarzucił (one mieszczą się tylko w początkowej partyi), te zaś, co wciągnął, dla nieznajomości języka, fałszywie przepisywał; więc oryginał jego miał dla „nosówek“ przekreślone o; on znaczenia jego nie znając, samo o wpisywał. Mimo to glosy te zawierają niejedno cenne, np. clarescere *wscz:* jest to *uścić*, ów prastary termin polski nieznany np. zupełnie Malinowskiemu, chociaż jest i w Modlitwach Wacława, np. str. 50: wieczna mądrość zawżdy *wzcyøcz se*. (t. j. uściąc się, błyszcząc); *uścić* i *zuścieć się*, w Rozmyślaniu przemyskiem, w glosach Włoszka z r. 1447, w białoruskiem tłumaczeniu Historyi trzech króli, z początku XVI wieku, pochodzącem z polskiego przekładu; odwieczny ten termin słowiański, por. justrznię i jutro, znamy tylko z tych cytat. Dalej ciekawy dowód, że *Gąskami* nazywano błaznów naszych nie dopiero za Zygmunta Starego (Stańczyk nazywał się Gąska, a po nim i inni dziedziczyli nazwę), lecz już sto lat wcześniej, prawi przecież retoryka, że używa się „causa vituperii ut *forma Thersites*, *consilio Biczolth* (nie wiemy skąd to urosło) *eloquio Goska*“ (zamiast Gøska, Gąska). Fałszywie wypisana glosa hispidus — *scopawi*, powinno być *skropawy*, p. niżej aspera *skropawe*, termin stary a rzadki. I inne glosy mylne, n. p. asilus *szursey*,

czytaj zamiast tego *sirszeń*, bo to asilus oznacza; jeśli lubricum *śliske*, to salebrosum *glucze* raczej *glnące* czytać należy. Pytam też, czy „ab uberum coagula *puszy*" nie należy czytać *pirszi* (piersi)? *pleszu* vincor czytaj *pleśń*; rancor *sdzolklosczu* dobrze wypisane daje nowy przykład wsuwki d między z i ż, jak t między z a sz, *żdżółkłość* jak *żdżyć* zam. z — *żyć*, *żdżarty* zamiast *zżarty*, *szczedł* zam. z — szedł por. wszczedł, *żdżary* (zdziary, Zdziarski) zam. z — żary, *szczył* zamiast z — szył, *żdżął* zamiast zżął, a wedle tego nawet *wyżdżąć* i *zażdżąć* zamiast wyżąć, zażąć; dalej fulminis ictu *trzascavicz; plantatori sccepiczowi* (szczepicz powtarza się i w innych zabytkach); lima *piła;* legitimus *sprawny* i inne; nie rozumiem jednak „turges vulg. *ponkowmy*", (od pękowie, więc pękowim?) „intensus *cogi*" (w przeciwstawieniu do „remissus *slabi*"), srogi? a może pomyłka; również „sentine (in pede) — *tory*". Tu odnachodzimy też prototyp znanego przysłowia, dum ovis tonditur capre costilia contremescunt — kiedy owcę strzygą, na baranie skóra drży, u Srnecyusza: kdyż owcy střihau koze ržít lupá — więc szkolne to dicterium, nie rodzinne, jakby się zdawać mogło. Tak należy z każdego, i najdrobniejszego zabytku korzystać. Weźmy n. p. „Wigilie za umarłe ludzie", czytamy tam między innymi (Nehring, Psalterium florianense str. XXXIV): kto mi da, iż wypisano piorem żelaznym albo ołowną „szlyathą, albo drotem vitrąezono" było na krzemieniu — prof. Nehring znachodzi tu same mylki przepisywacza i pyta, czy nie należy czytać *plyathą*, *dlutem*, *vidrąszono*, ależ ze *ślatą* por. morawskie *šleta* Schiefer i *drot* również dobry (*drut* później jak *but* i t. p.).

To znowu bronimy języka przed zbytnim posądzaniem jego o cudzoziemszczyznę, n. p. o wrzekome pożyczki z węgierskiego, które gdzie zbroi i koni, ubioru i wojskowości nie tyczą, bardzo małą w języku naszym odgrywają rolę. „Słownik Warszawski" twierdzi wprawdzie nieraz inaczej, ale niesłusznie; n. p. czytamy tam pod wyrazem *cetać* kłócić się (I, str. 267): „może w związku z węgierskim csetepatéz kłócić się"; nie, jestto najzwyklejszy staropolski termin zamiast *cektać się*, w XVI wieku coraz używanego, a to zostaje w związku z cekaniem i z cektaniem, tj. świergoleniem ptasząt (w czeskim, słowieńskim i t. d.). Albo np. pod „Beskuryja beskurcyja beskurdyja" (są to połajanki gminne) czytamy tamże I, str. 117 „zapewne węgierskie *bösz* wściekły i *kurja* krzyk, wrzask", lecz i to mylne, gdyż obok *bezkurcyi* pojawia się np. u nas

i *bezdya* w tem samem znaczeniu i jest niczem innem, tylko *bestyją;* wiadomo przecież, na jak dowolne, umyślne zmiany wystawiamy słowa za — i przeklinania (np. Potztausend, Parbleu, Saperment i t. d.) lub unikamy zbyt wyraźnego wymieniania dyabła; nasze *wciórnascy* przecież tylko przez taką stałą aposyopezę (domyślaj się: djabli do *wszyscy)* doszły znaczenia dyabłów (już w XVIII wieku, u Załuskiego w Próbie pióra nowego poety, 1753 r., z jego Iuvenilia, np. dusza się *wcionarskim* podziałem dostała); otóż czytamy np. w Słowniku gwary podhalskiej Dembowskiego str. 363: „klnąc, rozróżniają kilka gatunków dyabłów, jakoto *jazerni*, *hermińscy*, *milońscy*, *siémecni*, *krotni*, *párecni*, *tysiącni*"; w całej tej terminologii dyabelskiej niemasz nic dawnego, są to same liczebniki, jak „wciurnascy", do których się „dyabłów" dopiero domyślać należy, a więc *milońscy* od *miljonów dyabłów* poszli, *siemecni* od *siem* = siedm (tamże str. 413 *siem* dyabłów zjadłeś i t. d.), *krotni* od kroci, *parecni* od pary, *jazerni* zaś znaczą to samo co *tysiącni*, bo pochodzą nie od jezero! jak „Słownik" mylnie objaśnia, lecz od węgierskiego *ezer* = tysiąc. Dodajmyż inny liczebnik węgierski: *harumpalcatnik* (próbujący kija na ludziach) nie pochodzi „zapewne niemieckie *herum* naokoło i *palcat*" (II, str. 21), lecz jest węgierskie *harom* trzy i *palcat* kije (wziąć kogo we trzy kije, mawiano). Przytaczam inny słowa tego przykład: w Uchwale dworskiej na Tatary z roku 1614 czytamy o piechocie polskiej, głównie z Węgrów złożonej, „nie mow beszte bizą" *(bizony* naprawdę), miej wszystko w porządku, „byś zaś ochmalony nie był obuszkiem albo *harum palcat*" (trzema kijami po plecach nie dostał). Umyślnie przytoczyłem owe *bizą*, bo nazwa *bizuna* z nikąd indąd, tylko z tego węgierskiego przysłówka emfatycznego wyszła; myli się p. Karłowicz, wywodząc go „może od nazwy zwierzęcia greck. bison żubr, jak taurea bizun od taurus, bykowiec od byk" — dla tej prostej przyczyny, żeśmy „bizona" nigdy nie znali i nic od niego nazywać nie mogli. „Harum bizun" najzwyklejsze słowa, z jakimi u nas po intermedyach, piosnkach i t. d. Węgra wprowadzają; od wykrzyknika towarzyszącego batom, same baty czyli bicz przezwano — też same dzieje co z „harapem", którego, jak tyle innych wyrazów, Rosyanie u nas pożyczyli, arapnik (por. u Gołubskiego w Replice z r. 1614: „musiał się gdzieś był kozyrą zabawić y do *arapu* omieszkać, kiedy drugim rozdawano"). Tu zwrócę ponownie uwagę, z jakich dziwnych trafów nazwy „monitorów boćkowskich" urastają, nietylko z wy-

krzykników (herab, bizony), lecz i z imion własnych. I tak jezuita Gołubski tj. Sawicki, szydząc w owej Replice z ministra, wysyła go „w gregorianki do szkoły jednej, którą galerą zowią", gdzie „bákáłarz zawsze nád szyią z hániebną bárbarą"; możnaby tu pomyślić o linie — barbarze, chociaż i indziej mawiano, weźmiesz barbarą, p. Język W. Potockiego pod Barbara. W XVII i XVIII wieku używano u nas „Makara" lub „Makarego" zamiast bata, np. w słynnej odzie do bizuna czytamy: gdy go z kołka *makarym* pan ojciec wychłostał, a w przewierszowanej Historyi o Faustynie (rękopis z początku XVIII wieku) grozi pan sługom, że „dla wywodu" pokolei *makarem* dostaną. W interludyach Dowgalewskiego z r. 1736 i 1737 (małoruskich) czytamy: pridatku dam *sergiejem* po pleczach. Nietylko *Boćki* w dziejach bizunowych zasłynęły, i *Nohaje* tatarscy w *nahajce* się uwiecznili, podobnie jak *Multanie* albo *Sasi* w nazwach szabli, n. p. skarży się bohater Piekarskiego (r. 1665) „tak mię tyrańsko chlustnął po skroniach *multanem*" a i przed nim już tego terminu zażywali Kmita I. A. i inni; to znowu Paprocki w Kole rycerskiem (1582 roku) każe potwarcę ze spotwarzonym puścić za pasy „albo dawszy im *sasy*" (str. 179, w. 26)*).

Umyślnie zatrzymałem się znowu nieco i dłużej nad temi nazwami; z tej wyprawy podbizonowej mogliśmy bowiem ponownie, naocznie się przekonać, jak przypadek i dowolność, a więc θέσει, nie φύσει, rządzą językiem; w przysłówkach *bizonyi* lub *herab*, w imionach własnych, Barbary, Makara czy Siergieja, nic batów i biczów nie wskazywało; usus tyrannus je wprowadził. A podobnie ma się rzecz i na innych polach, Balzaki, Flauberty i t. d. nie od XIX w. dopiero, modzie służąc, nazwami sprzętów i t. d. się uwiecznili. Z tą dowolnością liczy się zamało „Słownik Warszawski", objaśniając rozmaite łamigłówki językowe, wyciągając w loteryi etymologicznej (bo etymologia nie jest nauką, lecz sztuką,

*) Przytoczone wyżej *cetać* (Błażewski setnik przypowieści; Czechowic dyalogi i. t. d.) i *cektać* używa się po innych językach słowiańskich o świergocie ptaszym i o łaskotaniu; w ruskim n. p. szczekot sławij (świergot słowiczy w Słowie Igorowym) i szczekotat' łaskotać, czkliwyj, u nas cliwki = łaskotki (p. Słownik Dembowskiego); i w czeskim i kroackim spotyka się ceket itp. — rozgałęzione to bardzo słowo. W Uchwale dworskiej z r. 1614 znachodzę jeszcze jeden madiaryzm, „także y *fososze*" — jest to madj. *fosos* biegunka.

trafem, loteryą) przegrane. W nazwach n. p. potraw ta sama dowolność panuje, oto n. p. u Siennika (w Lekarstwach doświadczonych) czytam „żur albo *fámuła*“ (i Syreński zna famułę jako dawną nazwę takiego żuru owocowego), albo znana jest nazwa *gramatki* lub *gramatyki* (z czego po intermedyach szydząc i *gamratkę* robić każą), patrz cytaty w „Języku Potockiego“, dla rodzaju polewki. Nie waham się przypuścić, że to dowolne przekręcanie, ośmieszanie poważnej gramatyki i famulusów, i nie myślę dla nich wyszukiwać trudniejszych wywodów greckich.

Jeśli u tego samego Siennika czytam, że niektórzy zowią „*dorotką* jelito kątne w wieprzu“, to zrozumiem dlaczego dorotką nazywają i loch czy więzienie, ale niejedyna to krzywda, jaka piękne imię spotkała, bo w XVII wieku Dorotką i tę nazywają, u której wszystko kupisz, czy uprosisz, czy wystraszysz, jakby przedrzeźniając się męczenniczce stałej i stanowczej. Ale nazwy więzień, kar i t. d. znowu pełne owej dowolności i przypadkowości, wszystkie owe *tarasy*, *gąsiory*, *biskupy*, *kabaty* (bardzo częste w XVII wieku dla więzienia, turmy, ładny mi to kabat! chyba od ciasnoty i niewygody przezwany), *pilaty* i jak je tam nazywają (np. w „Lamencie chłopskim na pany“ — początek XVII wieku — czytamy „tudziesz powrozem weźmiesz *ná biskupie*“ i i.) — cóż dopiero mówić o sprzętach, ubiorach i t. d., np. *denar* lub *dynar* dla trójnoga (drybusa); p. Karłowicz twierdzi, że to *denar* od *dna*, denka, ale ja widzę, że najdawniejsze formy, n. p. w rejestrach z r. 1562 (patrz Jagiellonki Polskie) właśnie *dynar* stale dają, więc supponuję, czy to nie niemieckie Diener? Lecz to mimochodem; wracamy do terminów obcych, np. węgierskich, które u nas rzeczywiście są (wojskowe, jak szereg, czata, harc, orszak, giermek, paiż i t. d., pacholikowe, jak beszte, bizun, łogosz i t. d.), lecz zbyt ich rozszerzać nie uchodzi.

Polemizujemy również w przyczynkach naszych, otwarcie albo ubocznie, z różnymi innymi zapatrywaniami; przeczymy np. stale, jakoby język polski zawdzięczał cośkolwiek — nie mówiąc litewskiemu, ale nawet i ruskiemu (prócz minimalnych naleciałości — naturalnie nie myślimy tu o najnowszej fazie językowej, gdzie wychowańcy szkół rosyjskich, w otoczeniu rosyjskiem, zwroty rosyjskie żywcem naśladują); odwrotnie wykazujemy, nie mówiąc o litewskim, jak to nawet rosyjski język (cóż dopiero małoruski lub białoruski, żyjące do dzisiaj i z kapitału pol-

skiego) nawet w *kabaki* swoje, *tiurmy* i *puszki* (armaty) a może i *droty* z polskiego się zapożyczał, polskie terminy botaniczne (od *rumianku* począwszy), lekarskie, gramatyczne, filozoficzne i t. d. wchłaniał. To znowu protestujemy przeciw zasadzie, jakoby przysłowiem polskiem było wszystko to, co nasi gramatycy, słownikarze lub literaci za przysłowia udają; przysłowie łacińskie lub niemieckie dosłownie na polskie wytłumaczone, nie nabiera przez to samo polskości i z „Księgi Przysłów“ (naszych) należy wykreślić (lub osobno oznaczyć) wiele pozycyj, nie mieszać ich jak groch z kapustą z istotnymi przysłowiami polskimi: my tacy bogaci, że się bez pożyczek obejdziemy. To znowu idzie mi o to, aby nie zwiększać balastu mylnych form i znaczeń: usuwać np. i z „Słownika Warszawskiego“ to, co przyjęto tam na wiarę np. Wójcickiego, mylnie odczytującego druk czy rękopis, albo na wiarę krytyczniejszego zresztą Lindego, nie zawsze jednak wolnego od błędów. Docierać do pierwotnej formy czy znaczenia, do najdawniejszej cytacyi — znaczy nieraz usuwać wszelkie narośli i naleciałości niepotrzebne; na dowód przytoczę tu choćby dwa przysłowia, mylnie w Księdze Przysłów umieszczone i objaśnione, z tej prostej przyczyny, że autor nie miał i nie znał dawniejszych cytatów.

Pod „Benet“ przytacza „Księga“ przysłowie „beatus qui tenet, powiedział pan Benet“ i rozpisuje się szeroko o Wenecie i Benecie i o tem, jakoby „początek przysłowia tego dotąd nie był stanowczo orzeczony“ (str. 17). Tymczasem niema tu o czem orzekać; był najzwyklejszy aforyzm łaciński „beatus qui tenet“ i w tej formie zawsze go w dawnej literaturze u nas cytowano, np. w epigramatach Kochowskiego i t. d.; dopiero w XIX wieku dodał ktoś do rymu „powiedział Wenet“ albo „święty Benet“ i t. p. i dodatek ten bezsensowy odrzucić, a przysłowie z polskich między łacińskie przesadzić należy.

Pod „Mikstat“ (str. 307) przytacza „Księga“ przysłowie „Data z Mikstata“ lub „Skąd data? Z Mikstata“, twierdząc, że „przysłowie to określa niewłaściwie wyrażone zapytanie, życzenie lub też niezrozumienie się dwu osób“, poczem na mapie ów Mikstat odszukuje i po inne szczegóły do różnych źródeł odsyła: ależ „z Mikstata“, jak wyżej „Beneta“, przyczepiono najdowolniej i najmylniej, dla rymu, do przysłowia (jeśli je tak nazwać wolno) „skąd data“, t. j. skąd to, jak to; w XVII i XVIII wieku pytają W. Potocki w „Ogrodzie“: „myślę, skąd data“; Lipski, obruszając się na głupie

przymówki, w „Rozmowie Ziemianina z sąsiadem o teraźniejszych okolicznościach roku 1733“ (na odwrocie karty C_3): „niektórzy Poniatowskiego hetmanem cierpieć nie mogą: za co? dlaczego? *skąd data?*“ — więc to ani przysłowie, ani urosłe od jakiegoś przypadku, co się w Mikstacie zdarzył, lecz jest to sobie sposób mówienia, frazes i do „Księgi“ właściwie nie należy; zadaniem jej nietylko zgartywanie „przysłów“ na kupę jak największą, lecz i krytyka, ocena i sortowanie tego śmietnika, plew i ziarn. A plewy jest tam wiele, n. p. przytacza „Księga“ pod św. Mikołajem jako pierwsze przysłowie „alboć wezmę albo daj, *tak kazał św. Mikołaj*“, ależ ten dodatek bez najmniejszego sensu, i psuje tylko odwieczne przysłowie *albo daj alboć wydrę*, np. w tegoż Lipskiego „Rozmowie Polaka z Francuzem o wolności polskiej“, bez roku, karta E_4 — a przed nim tylu innych, i Rysiński je cytują — naturalnie bez owego głupiego przydatku. Podobnie powstały *Strachy na Lachy* (dawniej mawiano tylko *strachy to*) i t. d. Nie inaczej ma się rzecz ze słowami. Wierzbowski n. p. w przedruku „Sołtysa z klechą“ pisze stale *kłusiątko* („źrebię“ — fałszywie, gdyż kłusiątko konia, bydełko oznacza) i mógłby się powołać na autorytet „Słownika Warszawskiego“, cytującego za bałamutem pierwszej klasy, Wójcickim, „*kłusia*, klacz młoda“ z statutów Kazimierza Wielkiego. Bajki to; było w polskim, jak w starosłowieńskim (*kljusę* iumentum i t. d.) i czeskim (*klise* Füllen, *klisna* Stute i t. d.) *klusię*, n. p. u Świętosława czytamy „oth *clyrszącza* (iumentum) alybo skocząncza (pecus) k. 11, *klwszą* swyerzepyczą 18, *klusyą* Wislicja 57 i t. d. (tej pozycyi nie ma wcale w „Słowniku Warszawskim“!). W oryginale „Sołtysa“ będzie tylko *klusię* = konik, nie źrebię, bo któż źrebię do ciężkiej roboty zaprzęga? (por. wiersz 107 i 111: co się tycze *klusiątka* u mnie robiącego; prowadzę ja *klusiątko* wyprząszy do wody).

Zaczęto u nas prawić o jakimś osobnym języku pomorskim i odwieczną polską kaszubszczyznę oderwano od pnia macierzystego i wyodrębniono ją, powołując się na mniemane jej osobliwości w formach, znaczeniach i słowach. Otóż łatwo wykazywać, że wszystkie n. p. słowa kaszubskie, obce dziś językowi naszemu, on dawniej ogólnie, a dziś po narzeczach posiada; tu przytoczę choć jeden przykład, chociaż nie nowy, bo już przez p. Karłowicza objaśniony. Wedle Mrongowiusza bociana Kaszubowie *kłobocianem* nazywają, u Hilferdinga „klobocon klepie“, ależ to tylko: kle! kle!

bocian (od klepania i klekotania jego), jak go dzieci polskie wszędzie nazywają, n. p. w Ciechanowskiem wołają dzieci na bociana: kle, kle, kle, bocianie cóz ty mas w ogonie i t. d. (Wisła XVII, 1903, str. 38), albo w Białostockiem, „gdy dzieci ujrzą bociana, pytają: bocianie kle, kle bocianie, co niesies we dzbanie i t. d.“ Wisła XVI, str. 61; inne cytaty u Karłowicza w Słowniku gwarowym II, 359.

Podobnie dowodzimy, że słowa dziś tylko w gwarach, tu i owdzie zachodzące, niegdyś ogólniej znano i używano. Słowa np. nadające językowi Żebrowskiego w znakomitym przekładzie Przemian Owidyuszowych 1636 r., u nas dotąd nie dosyć ocenionym, ową nadzwyczajną malowniczość i jędrność i dosadność słowa, którychbyśmy próżno po innych pomnikach piśmiennych szukali, odnajdziemy w narzeczach, nad Rabą, czy gdziekolwiek indziej. Omawiając język i słownictwo psałterza puławskiego w Rozprawach XXXIV, str. 272, wspomniałem o czasowniku *lpieć:* aza *lpi* przy tobie stolec złości (numquid adhaeret tibi sedes iniquitatis — *przystanie* lub *przystaje* po innych psałterzach), jest to ἅπαξ εἰρημένον w staropolszczyźnie, ale u p. Dembowskiego w słowniczku podhalskim (Sprawozdania komisyi językowej V, str. 274) jest *lpieć* (lpić) czekać, cierpieć, folgować, n. p. na kwile mu jesce *zelpiem* (ścierpię), trza mu było jesce *zelpić* i t. p.

Od słów gwarowych przechodzę do rzemieślniczych, warsztatowych. Uzbierałem ich sporą garść z ustaw cechowych, głównie krakowskich (wydanych przez prof. Piekosińskiego) i ogłosiłem w Pracach Filologicznych VI — mimowoli jednak pytałem się, czy te rażące germanizmy warto notować, czy istniały one i poza warsztatem, czy znano je ogólniej? Wątpliwości usunie choćby inwentarz skarbcowy zamku Ciechonowskiego (bo taką była pierwotna forma tej nazwy, nie Ciechanów) z roku 1494, odnaleziony i wydany przez hr. Mycielskiego: wyrazy, jakie tam urodzony Joannes de Mrokowo zapisał, dowodzą, że terminy rzemieślnicze, niemieckie czy polskie, nie w cechu tylko i jego ustawach istniały, że znano je powszechnie: *szwankryn*, *abslak*, *polliadrze*, *pukle*, *knafle*, *rym*, *krancz* i t. d. godzą się z terminami, jakie n. p. przy opisach „majstersztuków“ znachodzimy.

Sięganie do dawnych źródeł poucza nas o coraz innych rzeczach. Nasze *taraban*, ztąd *tarabanić, wytarabanić się* (por. u Świętka w gwarze nadrabskiej *tarabanić*, bębnić, bić, iść ociężale) chciano

uważać za słowo „dźwiękonaśladowcze" — że to mylne, dowiedzie choćby cytat z mało komu znanego pisma „Do Stanu Szlacheckiego y Woyska Koronnego" (A—F, 4°, za Augustem III przeciw Leszczyńskiemu, z r. 1734, paszkwil zresztą strasznie zjadliwy i niecny), gdzie na karcie C_2 czytać: „było obierać Polaka *bez ále*, nie zcudzoziemczałego, nie takiego, któregoby strepitus *Tarabanow Tureckich* álbo Tołumbasow Tatarskich lub innych Potencyi instrumentow na zagłuszenie ogłoszonych przeciwko niemu rigorow ná tron prowadził" (por. na ostatniej karcie: tamći ná *Wielbłądach Tureckich y ná Bachmatach Tatarskich* á My w Imieniu Pańskim itd.): widocznie ci więc mają słuszność, którzy *taraban* wraz z (rosyjskim) *barabanem* z tureckiego wywodzą.

Jeźliby zaś kto zarzucił, że wszystko to zbyt drobnostkowe i nie nadaje się właśnie do poważnego traktowania, to odpowiemy, że czasem trafne ustalenie jakiegoś znaczenia, czy słowa, rozświetla najodleglejsze miejsca i czasy. Nie wspominam, że nieraz wyjaśnienie byle nazwy, najmozolniejsze kombinacye historyczne potwierdzić lub obalić może — w iluż to kwestyach etymologia nazwy jakiejś jedyny rozstrzygający argument przedstawia: pokażę na pierwszym lepszym przykładzie, co z jednego słowa wypływać może.

Dr. St. Kętrzyński w Studyach nad Gerwazym z Tilbury, przedstawionych Wydziałowi historycznemu, cytuje z tegoż Otia Imperialia, obok zdania o „Polonia... terra Vandalorum" i zdanie: „inter Poloniam et Russiam sunt duo fluvia, quorum nomina secundum vulgaris illorum linguae interpretacionem *Aper* et *Armilla*": szczegółów tych dowiedział się Gerwazy chyba od mistrza Wincentego — ja już wskazałem osobiste zetknięcie się obu świetnych pisarzy XII wieku; dr. Kętrzyński uważa słusznie *Aper* za *Wieprz*, ale „*Armilla* równa się prawdopodobnie *Narwi*" — tymczasem to mylka, gdyż mowa tu o Bugu, dzielącym rzeczywiście miejscami Polskę i Ruś i znaczącym Armilla. Otóż to znaczenie, nam dotąd wcale nieznane — istniało tylko po słowniczkach cerkiewnych zapisane *bug* armilla — bardzo a bardzo ciekawe, gdyż wzbogaca szereg owych prastarych pożyczek germańskich u Słowian, kiedy to i konungi i kupie i pieniądze i chorągwie i miecze, i tyle a tyle innych ważnych terminów, Słowianie od energicznych drużyn gockich i innych przejmowali; co za znaczenie znowuż baugom nordyjskim, zwykłej nagrodzie i czynu rycerskiego i spiewu skaldów, w życiu prastarem przypadało, o tem nie myślimy się tu rozwo-

dzić; pada więc światło i na Bolesława Chrobrego i czem to on wojów swoich dzielnych nagradzał; nazwa polska, u Anglika zapisana, rzuca więc promyk na zasunięte w najgłębszą pomrokę dzieje pierwotne. Dziwi nas tylko, że Wincenty z tej etymologii Wieprza i Buga nie skorzystał, skoroż ani Krakowowi, ani „Wandalowi“ (mniemanemu) nie przepuścił.

I „słówkami“ więc bynajmniej pogardzać nie należy. Na podstawie samych „słówek“ dowiodłem przecież zawisłości zupełnej, pierwotnej (przedkrzyżackiej) kultury pruskiej od polskiej, o czem nikt przed tem ani myślał; ze „słówek“ samych starałem się wyczytać dzieje całej kultury polskiej i następstwo oraz miąższość jej warstw rozmaitych w szkicach pod tyt. „Cywilizacya i Język“; więc przy tych „słówkach“ — tractant fabrilia fabri — i nadal zostaję. W publikacyach akademickich rozpocząłem te studya ową rozprawą o „Języku Wacława Potockiego“, gdzie nie chodziło, jak mniemano, o charakterystykę języka poety, lecz o przyczynki do dawnego słownika polskiego, do przysłów polskich, o poprawki i dopełnienia „Lindego“. Niejedną tam pomyłkę teraz poprawić mogę, np. *galbin* (str. 323, kilkuset *galbinów* odżałować i t. d.) jest rumuńska nazwa dukata; na str. 389 wystawiłem może mylnie *rząd* w lemma, powinno być *rzęd;* do przysłowia „*uchodzić w rękojeści*“ (nie dotrwać, nie dotrzymać słowa i t. p.) przytaczam cytat jeszcze z r. 1732, z Lipskiego (nie Konarskiego) Rozmowy o wolności polskiej Polaka z Francuzem (karta E_2) „chełpią się, iż to szabla polska Turków zastraszyła: dobrzeć oni mówią, tylko, że nie przykładają jako należy rapierow y flint niemieckich, które bardzo pomogły iako i pod Wiedniem, ale że ich niebyło pod Parkanem, sama tylko szabla ***uszła tam w rękojeści***“ (zawiodła).

Dzisiaj szczególniej, kiedy pod wpływem Młodej Polski, Wyspiańskiego, Reymonta i Żeromskiego, Kasprowicza, Tetmajerów i Rydla, język literacki nanowo się zasila i wzbogaca z zasobów dawnych i ludowych, czerpie, nowy Anteusz, z dotknięcia ziemi macierzystej świeżej rzeźkości, należy się podwójna uwaga wszelakim, dawnym i nowym, książkowym i ludowym „słówkom“. Wszystkich starych książek, czy rękopisów, na nowo drukować nie będziemy, ani o tem myślimy, lecz całkiem co innego, przeglądać dawne druki i księgi, i notować z nich co uwagi godnego. A wszędzie znajdzie się coś ciekawego. Nawet z kalendarzy Dunczewskiego obłowi się filolog — nie mówiąc o ważnych ich przyczynkach do

dziejów kultury, i niema prawie starej księgi, z którejby się czegoś ważnego nie dowiedziało. Kto np. wątpi o tem, że Kraków od Kraka tj. od Kruka nazwany, komu krakanie i wzmianka kronikarzy nie wystarczy, niechaj zaglądnie do katechizmu Michała Pontana z r. 1637 (kaszubskiego), a tam znajdzie słowa o Bogu, co to „wszystkiemu dobytku charną daje y młodym *krákom*“ co go wzywają. I jeżeli cała Słowiańszczyzna zachodnia roi się od Kraków i Krakowców, to wiemy na pewno co Krak oznacza, czy się za tym krakiem — krukiem jakaś tajemnica, totemistyczna czy inna, kryje, czy nie.

Nie zapominajmy, że język polski literacki rósł stale tą samą drogą, że przyjmował zawsze z narzeczy słowa, że proces ten przerywano tylko około r. 1550 i za czasów „klasyków“, wyświecających fantazyę z poezyi a ludowość (gminność) z języka; gdybyśmy szli za przykładem „klasyków“, narazilibyśmy język nasz na straszną niedokrewność, na upokarzające ubóstwo. Ileż to słów, dziś uprzywilejowanych w literaturze, niedawno dopiero z „najgminniejszych“ urosło. Któż z nas dziś jeszcze pomni, że n. p. *kojarzyć* jeszcze Knapiuszowi za plugawe, chłopskie słowo uchodziło, chociaż ono prasłowiańskie, albo że n. p. *oszczerca*, *oszczerstwo* to świeży takiż nabytek z mazowszczyzny; jeszcze Jabłonowski w „Skrupule bez skrupułu“ (1730, str. 25) wyraźnie to poświadcza: napátrzyłem się że tácy *osczyrcy* (*iáko ich Mazurowie zowią*) maią iakiś respekt i t. d. — rzeczywiście czytamy też w pacierzu mazowieckim (XVII w.) o *oscerku strednym*. Przed nim prócz szydzenia, wyrazu tego wcale nie używano, albo tylko w znaczeniu wyszczerzania zębów. Jabłonowski więc wprowadził z gwary to słowo (zamiast potwarcy, potwarzy, obmowy), do literatury pierwszy, taksamo on niemal pierwszy „*stuka* do sumnienia“ (str. 73) — ale nie udało się ani jemu, ani innym przed nim, również słowa *siła* (którego wciąż używał, np. w kilku wierszach po sobie: *siła* tak źle sądzi, tak *siła* do złego sądu co contribuunt... ia co to piszę *siła munia* obchodząc i t. d., str. 65) w literackim języku ugruntować.

Zachodzą i przykłady odwrotnego rozwoju: wyraz, niegdyś w języku literackim ogólny, cofa się do narzeczy, np. XV i pierwsza połowa XVI wieku używały stale, nawet w pismach ascetycznych, u Opeca i t. d., *poczliwego*, *uczliwego* i t. d.; tymczasem już na początku XVII znikły te złożenia zupełnie z języka literackiego, używają ich wyłącznie po paszkwilach na Mazurów, np. w owej „re-

lacyi mazowieckiej" z Biesiad Baltyzera, gdzie o *poczliwej* rzeczy i *ucliwem* paniąteczku mowa. I niejedyny to przykład podobny.

W pierwszym rzędzie idzie mi o wykazanie niesłychanego bogactwa języka polskiego, uszczuplonego nam dotkliwie przez dwukrotną jego reformę, w XVI i w XVIII w., wykluczającą ze szkodą i stratą niepowetowaną, tyle wyrazów dosadnych, cennych, ciekawych z obiegu literackiego. „Młoda Polska" zbogaca język na nowo, sięgając do narzeczy i słusznie tak czyni, i niech się bynajmniej nie troszczy o nawoływania różnych pseudo-purystów, biadających nad zachwaszczaniem języka niby prowincyonalizmami, późnymi, niepotrzebnymi, niedorzecznymi.

Pokażę znowu na kilku przykładach, jakie te „prowincyonalizmy" mieszczą nieraz wyrazy, zapoznane, cenne.

Oto n. p. czytam w „Ludzie Nadrabskim" (str. 724) „*zegleń* niemowlę (Säugling), zrzęda, nudziarz" — więc na pozór jakieś zanieczyszczenie języka niemieckim Säuglingiem; w istocie to staropolski termin, już średniowieczny, *żegleń* carbo (por. Rostafińskiego) przeniesiony z smolącego węgla na człowieka niemrawego, albo na dziecko, utworzony owym nierzadkim przyrostkiem — *leń*. Albo np. po narzeczach istnieje *ochnikować* dla bicia; że to nie marny, późny wymysł, dowiedzie nam np. Paszkowski w dziejach tureckich 1618 r., prawiąc „kazał go przez kilka dni *kijmi ochnikować*, że musiał ruski miesiąc za to się smarować" (Linde). Nie przeczymy, że są po narzeczach liczne „zepsute" wyrazy, których się wystrzegać należy w języku literackim — np. tylko *szwatrać* (szwargotać) jest dobre, *świajdrać*, *świańdrać* i t. p. są tylko odmiankami bez wartości; że są liczne, „zepsute" (nieraz do niepoznania) wyrazy łacińskie, np. takie *jankur* i *hankur* (rankor), *despet*, *rezuwisty* (rezolutny), *rezendrować* (rezydować), *do jimentu* (doszczętu) Sprawozd. IV, 321: poszło z inwentarza, por. *jimentarz* inwentarz (tamże: 377); *Labartus*, z *Albertusa*, *trubacya*, z turbacya, *komandya* i t. d., (ostatnie trzy z r. 1663) — ale te łatwo odsuwać, rozpoznawać ich „niemrawość". Narzecza — to niewyczerpane źródło, i coraz w dalszych uwagach będziemy wskazywali, jak wiele „staropolszczyzny" one zachowały, jak słusznie więc nimi się posługiwać należy i z nich, choćby dla języka literackiego, czerpać.

Temat ten przedstawia coraz nowe, zawsze zajmujące szczegóły. Wiemy n. p., jak krótką jest pamięć ludowa: największe przewroty polityczne i społeczne, niby kamień w wodę rzucony, poru-

szają powierzchnię, ale na chwilkę tylko, i niebawem odzyskuje ona dawną nieruchomość. Tem większą pamięcią odznacza się zato sam język; po takich Awarach, zdmuchniętych odrazu z powierzchni ziemi, do dzisiaj zachowaliśmy nazwę obrzynów — olbrzymów.

Podobne zjawiska wciąż natrafiamy i w narzeczach. Oto weźmy n. p. *świdrygáł;* Świętek (str. 718) tłumaczy je „obrotny, prędki, żartobliwy, figlarz; awanturnik". Na pierwszy rzut oka, niby to coś jak *swiscypáł* i podobne złożenia, z gałami (oczami) i z widzeniem (por. *świdrak* zezowaty) — ależ właśnie z zezem to nic niema do czynienia. Jest to może nazwisko wielkiego księcia litewskiego, brata i wroga Jagiełły, Świdrygiełły. O księciu tym chodziły dowcipne opowiadania, o których i najnowszy jego biograf (Lewicki) nie wie; w „Epiktecie" Bachowskiego (w obu wydaniach) czytamy na podstawie Stryjkowskiego, powtarzającego to nieraz, „Swidrygał książę ruskie w Wołoszech siedm lat pásł cábány, z książęcia był skotopas". Jeszcze dziwniejszą wiadomość znachodzimy w pisemku sowizdrzalskiem, w „Rozmowie Janasza Knutla", wydanej conajmniej trzykrotnie w XVII wieku, a więc dochodzącej i do ludu: Janasz klecha niechce być szewcem, garbarzem, ani kowalem:

A młot też ów kowalski, dyabełby go dźwigał:
Pamiętam, że *od niego dał gardło Świdrygał* —

wydawca (Wierzbowski) twierdzi, że to „nazwisko ludowe", tymczasem widoczna tu aluzya do jakiegoś opowiadania, znanego powszechnie, do awantury jakiejś; dla rymu byłoby się samym „drygał" wcale obeszło. Imię przeniesiono na innych awanturników, całkiem tak jak książkowy Bucyfał u ludu znakomicie się przyjął, oznaczaż on np. „krzykacza, wichrzyciela i dziewkarza" (Świętek).

Najtrudniej dotrzeć do źródła wyrazu; wątpliwości, mylki coraz zachodzą. N. p. taki *fidrygane* wiercipięta, *frydrygans* wiercipięta, pajac, *fidrygans* fircyk (p. w Słowniku gwarowym Karłowicza II. 14); w Słowniku wyrazów obcych wywodzi ich Karłowicz z niemieckiego Firlefanz, ale to nazwa tańca, nie ludzi. Jest to niemieckie *Federhans*, bardzo częste w XVI wieku (u Hansa Sachsa itd.); jest i u Czechów (niema go Jungmann w Słowniku, ale jest np. u Mikulasza Konacza 1547 r.) i znaczy „thrasona", buńczu-

cznego zawalidrogę, napastującego pod swym pióropuszem spokojnych ludzi; z „bramarbasa“ przechodzi to słowo i na oznaczenie fircyka.

Nietylko gwarowe słowa, i piśmienne wymagają tłumaczenia i rzecz to wcale przyzwoita, abyśmy je poznawali — oto zaraz *przyzwoity*, skąd się to wzięło? Linde tego nie objaśnia i ma dlań późne cytaty. Spotykałem się w drukach XVI w. tu i owdzie obok *przyzwoitego* i z *przywoitym*, ale uważałem to za błąd drukarski; dopiero w „Mnichu“ Kromerowym (1554) uderzyło mnie stałe używanie wyłącznie tej formy, z kilkadziesiąt razy. *Przywoity* pochodzi więc od *Przywoju* (urobionego, jak rozwój, zwój, powój, podwoje, nawój, wywój, obojczyk i t. d.), przywijania (zaszczepiania, priwiwnoj = szczepiony), tego co się patrzy, należy, a do tego przymiotnik na — ity, jak od *wyśmien* — (wysokość, wys + mien, nie od wy —) *wyśmienity* (excellens), od *znamien* — *znamienity* i t. d.; przywoity dostało potem z, jak *pozwolić* zamiast *powolić*, *przyzwolić* zamiast dawniejszego *przywolić* (w XV w.) i t. d., albo *doskonały* zamiast *dokonały*. Próżnobyśmy się więc biedzili nad etymologią słowa *przyzwoity*, gdyby stary druk nie wykazał jego właściwej formy lub nad pochodzeniem owego *wyśmienity*, gdyby dawny rękopis pierwotnego znaczenia nie dawał i takich przykładów próżnego ucierania się ze słowem wiele. Od „ucierania“ np. wywodzą u nas mimowoli słowo *utarczka*; nikt nie pomyśli, że to forma niemożliwa i rzeczywiście, jeszcze w XVI wieku u Mączyńskiego (por. u niego pod velites i t. d.), znajdziemy formę pierwotną, *utaczkę* od utaczania, napadania na nieprzyjaciela (czeskie utok, utočný i t. d.), ale już w XVI wieku wsunięto r, i zakryto tem pochodzenie słowa; od *ucierania* się z nieprzyjacielem mogłaby tylko ucierka lub utor pochodzić, utaczka zaś z *taczkami* i *wtaczaniem* równoległe.

Uwzględnianie dawnych źródeł objaśnia więc pochodzenie słów i znaczenie ich, i dowodzi, jak głęboko wkorzenione zasoby naszych gwar. Już nie raz wykazywałem, jak np. w biblii Leopolity, lub w Żywocie Opecowym, albo u pisarzy XVII w. powtarzają się „gwarowe“ słowa i zwroty dzisiejsze, np. *na ogułach* (zdradziecko), *niepeć* (nieżart), *wciórnascy* (wszyscy) i t. d.; jeżeli w oświęcimskiem dziś jeszcze wołają „tam do *pacwy*“ (tam do licha, tam do kata), to objaśniają nam tem termin owego zabytku XV wieku, którego najnowszy wydawca, prof. Rozwadowski, zrozumieć nie mógł, i tak coraz. Na zakończenie tego ustępu, zamiast dalszych luźnych przy-

taczań, uwzględnię mały wzorek prowincyonalizmów Krzęcińskich (Rozprawy Ak. wydz. filolog. XXVI, 1898, str. 370—401) i zwrócę uwagę na kilka jego pozycyj:

Bałamącić (piszę wedle ortografii języka książkowego), nie bałamucić; inne przykłady z ą znam z XVI i XVII w., np. w Recepcie Panaetiusa z r. 1600 bałámunctwá i báłámunctw, u Ramulta 1612 i t. d.

Banować się, hulać, polega na pomieszaniu bonowania (hulania) i banowania (żałowania, smutku).

Bażyć się zachciewać, termin staropolski, nie „czeski", jak tamże *dawić*, *gorki* gorący i i.

Bucyfał tęgi, tłusty; zbereźnik — por. wyżej uwagę o tym niedobitku z Aleksandreidy; por. też *sowiźrał* o lekkoduchu.

Gańdziarę z kija cygańskiego na człowieka powolnego, niezgrabnego przeniesiono.

Gmyz drobiazg; „owad" w starosłowiańskim i czeskim, por. nasze *giemzić*, swędzić.

Karkoska, termin znany już Klonowicowi, por. Język W. Potockiego, str. 282.

Myrski żwawy, ruchliwy; p. Dobrzycki (wydawca) twierdzi wprawdzie, że to wzięte z „czeskiego", ależ czeszczyzna właśnie niema wcale takiego przymiotnika (jest tylko rzeczownik mrsk, są czasowniki mrskati, mrštiti i t. d.); jest to staropolski termin, por. u I. Gruszczyńskiego w Sprawach dworzan króla węgierskiego Q 4 b, (r. 1581) „Jak więc koń *merzskliwy* nie jest w prácey trwáły, ták w zbytnim zálecániu w miłość człek nie stáły".

Mitwać się, mieszać się (pogoda z deszczem) — to unikat u nas, nie spotykałem się dotąd nigdzie z czemś podobnem; jest to starosłow. mitovati i mitušati na przemiany co robić, deń s noštiją mitušaję sę i t. p. — jak wiadomo, pochodzi ztąd miasto locus.

Nawsie (albo wągroda) termin dawny (XV wieku).

Niepeć; niepili (obcy) i t. d.; *oćwiara* „coś dużego, potwornego, ogromnego", por. *oczwernycze* terribilia w psałterzach floryańskim i puławskim.

Rozmówić odradzić, wymówić komu.

Pácwa „wyraz obelgi", w XV w. i t. d., por. wyżej.

Pal paliwo, taksamo u W. Potockiego, u którego powtarzają

się również np. *zadziesiętać* zakląć kogo (od dziesięciorga przykazań); *siodłaty* o gęsi i t. d.

Pochwiściel lekkoduch, zbijak — termin stary, który i do „mitologii“ polskiej się dostał! (u Kromera — Błażowskiego).

Praga upał, pragnienie, taksamo u W. Potockiego i w przysłowiu *osoliłeś by pragę*, do Pragi odnoszonem.

Spapęzić się zmęczyć się, zgrzać się, por. Język Potockiego 279; *taras* nieład, por. tamże 283.

Strąb zrąb z ową prastarą wsuwką.

Sciwiara, przezwisko, właściwie *nieczciwiara*, por. Nieczciwiarski po dawnych intermedyach; wydziercy, *nieczciwiarscy* u Piekarskiego i t. d.

Warko prędko zamiast *wartko*.

Wyscyrzac wyśmiewać, *wyscyrzać się* wyśmiewać się, w pierwotnym znaczeniu, jak niegdyś i *oscerzać się*, np. a oni sie *oszczercy* náśmiewáią z niego (Kozubales, broszura wierszem z r. 1626).

Zwydrzyć się, staropolski termin (nałożyć się do czego złego), tak jak i *popśnić się* zepsuć się i inne; my mamy już tylko zdołać, wydołać, ale w Krzęcińskiem, jak w starej polszczyźnie, jest i *wydolę*, *podolę* (*podoleć*), jak np. w Terencyuszu 1545 r. itd.

Oto tylko kilkanaście pozycyj, głównie takich, na które wydawca nie zwrócił wcale uwagi; możnaby dodać dawne przymiotniki n. p. *pleni* urodzajny (nie *plenny*); *płony* jałowy (nie *płonny*, jak już w XVI w. powszechnie mówiono, *płonny* n. p. w Mnichu Kromerowym 1554 r.); *niepıli* obcy (i w XV w., np. przyrodzony rychley nysz *nyepili* w Wiślicyi k. 24 i t. d.); *pogródka*, przyzba (pogródki w XV w. nieraz, *pogródka* cembrowanie, w Przasnyskiem) i t. d. Podobne bogactwa znachodzi się nietylko w Krzęcinach (tj. Krzczęcinach, od Krzczęty = Christiana nazwanych), lecz w każdej wiosce, takie Przasnyskie n. p. *przywąkroić się* (strażnik nie wiem poco *przywąkroił się* do wsi, tj. przyczepił się), znajdziemy u J. Bielskiego 1597 r. (przywąkronił się; w Tykocińskiem jest i czynne *przywąkroić* przynęcić; liczne przykłady, i dla *przywąkrolić*, zob. u Łopacińskiego, Prace filolog. V, 860); jeżeli w Głodnie (Łopaciński V, 853) mawiają *pryciać* szukać (cego *prycias*), toć wiemy jak sarkał Krz. Opaliński na *pruciających* wszędzie Jezuitów, co to po świecie latają y pruciają (Satyry str. 164, 8, 50 i t. d.) a w Suplikacyi do Zygmunta III (s. l. et a.) czytamy o żydach: prycíáią iák ogárzy.

Najciekawsze, najrzadsze terminy „staropolskie“ ocalały po narzeczach; np. zapisano w gwarze Zebrzydowskiej (Rozprawy filologiczne IX. 1882, str. 214) „*skowróżny*, zgrabny, ładny, ruchliwy“, por. „*skowróżyć* gderać, powszechnie używane na Kujawach“ (Matlakowski, Sprawozdania komisyi językowej V, 142) — czy nie poszło to z starego *skomroszny* lascivus (w tekstach i glosach XV) wieku)? W gwarz e brzezińskiej zapisano (Rozprawy VIII, 232 „*syc* sknera, skąpiec“, alež to w XVII wieku było ogólnem przezwiskiem dla mieszczan (szyc, jak dziś o łykach mówią, lub zamsik i t. p.), a to z niemieckiego poszło. W zagadce krasnostawskiej (o lnie i kądzieli) mawiają „stoi stojawa, na stojawie trzęsawa, na trzęsawie belica, na belicy *szkurłat*, na *szkurłacie* róży kwiat“ (Łopaciński, Prace filolog. V, 892), ale ten *szkurłat* to nie stoi „zapewne zamiast *szkarłat*“ (tamże 901), lecz jest szkurłatem, rzemieniem, skórą — dziś jeszcze po wszystkich podgórskich narzeczach wymię owcy szkurłatem nazywają (skurłát, Dembowski, 415 itd.) a w „Gospodarstwie dla młodych gospodarzów“ z r. 1596 czytamy o nienadanym zbytku, sadzeniu się na stroje i t. d.: „dłużey Pánu dosthánye Szárłatu Niżli thobye, *káwaszku* (niema w „Słowniku Warszawskim“), *szkurłatu*“, por. *skurat* tożsamo, np. wyprawiłeś się iák *skurat* ná ogniu, Exethesis Smotryckiego, z r. 1629; słowo samo urobione jak nadrabskie *gizłat*, wielka, gruba ręka, noga.

Że czasem w narzeczach w czemś pomylą się, np. powiedzą *szakłat*, gęstwina (Łopaciński V, 898), zamiast *szakłaku*, nie narusza to walnego znaczenia narzeczy dla trafnej oceny słów choćby książkowych. Z narzeczy dopiero dochodziłem początków i formy słów książkowych. Oto przykład: w satyrach Opalińskiego czytamy o panach, drwiących z szlachty i robiących, co im się żywnie podoba „A mili Chálágowie“ śmieją się z gadek i t. d. — nikt słowa tego nie objaśnił, w „Słowniku Warszawskim“ czytamy np. I. 269 „*chalag* (fałszywie, zamiast *chałag*, jak w pierwotnych wydaniach stale, n. p. z 1652 r. i t. d.), wolarz, gbur, cham, może w związku z tureckim chalk, motłoch, albo od okrzyku na woły chala!“. Nie należy zapominać, że ch i f w narzeczach stale się zmieniają, nietylko *chto* i *fto*, ale i *miech* i *mief*, *do nich* i *do nif*, właśnie dla śląskich i *wielkopolskich* narzeczy ta wymiana jest charakterystyczną; więc przypuszczam napewne nawet, że *chałagowie* Opalińskiego (ἅπαξ εἰρημένον) nie są niczem innem, tylko *fałagami*, plagami, batami (dać komu falagi, oszukać go i t. d., z tureckiego, por. Słownik I.

715; nadmieniamy jeszcze, że Chotomski w Eneidzie nicowanej pomieszał flagę z „fałagą"). Nie rozumiałem np. pochodzenia *sierlęczki* wiejaczki (częstej w XVI w.) i stosunku jej do *siedlęczki* tegoż znaczenia, ale narzecza mieniają dl na rl (*sierlić* ze *siedlić*, por. nasze *starczyć* ze *statczyć*) i objaśniają bez trudu sierlęczkę, o której patrz cytaty dalsze w Języku W. Potockiego. To znowu używamy terminu *włoć* chyba w botanice (prosiana włoć, solidago), ale po narzeczach jest do dziś włoć = kłos, np. koś czysto, nie zostawiaj *włoci* za kosą; zapytałbym więc, czy staropruskie *wolti* kłos, nie jest poprostu pożyczką z polskiego? Jeżeli na Podhalu (Dembowski str. 401) mawiają *prociw* i *proci* (idzie prociw nas; prociwić się, prociwień, prociwa), to nie mają oni tego z czeskiego, lecz zachowali staropolski tok (jak w prowadzić lub prorok), taksamo jak Kaszubi, mówiący np. *procimu* (w kancyonale Krofeja z roku 1586). Również znajdziemy dla formy *procza* (oprócz) przykłady w statutach mazowieckich Różanki 1449 r. i t. d.

Nie inaczej ma się z przysłowiami, zapomnianymi dawno w języku literackim, przechowanymi po gwarach, n. p. „*pozycana kukiełká*, mówi się z rodzajem pogróżki, która ma znaczyć, oddam ci wetzawet" (Dembowski 400) — ale u W. Potockiego „*wzajemna ta kukiołka*, w tymże ślubie chodzi mąż i t. d." — w „Księdze" niema wcale tego przysłowia. I tak między „przymowami" (przysłowiami) Dembowskiego (str. 404—406) cały szereg prastarych, np. *fto od strachu umiéra, to mu bzdzinami dzwoniom* — częste w literaturze polemicznej XVI wieku i z niemieckich facecyj wzięte; *rówwny z równym — g. z. g.*, już Jan Kochanowski do tego nieforemnego przysłowia aluzyę czynił; *dajze chłopie rząd, kie nie wis skąd* — polega na dawnem znaczeniu rzędu (w karczmie, gdy się kolejna płaci); *po dobrej strawie, dobra woda w stawie* (z anegdoty o Radziwiłowej i Smólskim, opracowanej u Naborowskiego i Potockiego) itd.

Dosyć jednak tych wypisów z gwar, dowodzących ich bogactwa i dawności. W następujących poniżej opracowaniach dawnych zabytków nietylko słownikarz, lecz i bibliograf i historyk literatury znajdą przyczynki, skoroż mawiamy o książce, nieznanej p. Estreicherowi nawet, albo o autorze i dziele jego i stanowisku w literaturze spółczesnej; a znajdą się i okruchy dla dziejów obyczajowości.

W końcu wypada mi tylko podziękować tym, którzy przesyłaniem dawnych książek, nieraz unikatów lub wskazywaniem

źródeł, do pracy czy pomogli, czy zachęcili, najpierw JW. Zygmuntowi hr. Czarneckiemu, udzielającemu najkosztowniejszych rzeczy z skarbów biblioteki swej w Rusku; dyr. Z. Celichowskiemu; dr. B. Erzepkiemu; prof. St. Ptaszyckiemu, który na Terencyusza zwrócił uwagę, i innym.

II.

Zaczynamy inkunabułem polskim (inkunabułami nazywamy druki polskie przed rokiem 1551), nieznanym jak niemal wszystkie inkunabuły Lindemu; drugi to już, który omawiamy; pierwszym był „Ezop" Biernata Lubelczyka; jemu poświęciliśmy obszerne studyum, literackie i leksykalne, w XXXIV tomie Rozpraw naszego wydziału (1902, str. 163—235; słownik wyrazów jego idzie tam od str. 222). Z prawdziwie staropolskim „Ezopem" (chociaż posiadamy go niestety dopiero w przedruku z r. 1578) może niemal „paragonować" staropolski „Terencyusz".

Właściwie to nie Terencyusz; są to tylko frazesy i sentencye z niego, wedle następstwa sześciu jego komedyj, ich aktów i scen, wybrane i polskim przykładem dla użytku młodzi szkolnej opatrzone. Sarkano przecież strasznie na niemoralność i rozpasanie Terencyuszowe (i Plautowe), mimoto nie mogła szkoła humanistyczna obywać się bez niego; od niego przejmowano głównie zwroty mowy potocznej, niezbędnie potrzebne w rozmowie i liście, i „święty" Erazm z Roterdamu nie mógł dosyć wychwalać i polecać Terencyusza dla użytku młodzieży. Aby więc i wilk był syty i koza cała, poświęcono wyuzdany tekst lub drastyczny niemoralnego wyzwoleńca, i zadowalano się wyborem owych nieprzepłaconych frazesów i lokucyj, najczystszą tchnących łaciną, uszlachetniających i okraszających banalną zresztą łacinę bakałarską, cytowanych ciągle i naśladowanych przez każdego nieco wytworniejszego łacinnika. My dziś Terencyusza, jak i Plauta, po szkołach przynajmniej nie czytujemy, i trudno dziś pojąć nawet, jaką się oni niegdyś cieszyli popularnością, Terencyusz przedewszystkiem, gdyż wobec niego Plaut nikł zupełnie. Cytacye z Terencyusza przewijają się ciągle nietylko w pismach naszych łacińskich, bo nawet i polskie je naśladują; jeśli n. p. Kochanowski w znanej pieśni („Trudna rada w tej mierze" i t. d.) powie *„już mi z myśli wypadły te obecne*

twarzy", to naśladuje on bezwiednie, czy umyślnie, ów frazes z Eunucha „deleo omnes dehinc ex animo mulieres, tedet cotidianarum harum formarum"; komentatorowie nasi o tem milczą, że cała owa pieśń Kochanowskiego jest tylko waryacyą owych krótkich słów zakochanego na śmierć młodzieńca.

Otóż, co słynny humanista, C. Cornelius Grapheus (Scribonius-Scryver, w swoich Colloquiorum formulae ex Terentii comoediis) rychlej uczynił, to powtórzyli za nim, dla chłopców polskich, dwaj bakałarze w Przemyślu, Mateusz, zmarły przedwcześnie r. 1542 i Walenty z Kęt, towarzysz jego; on rzecz od Mateusza wykończoną uzupełnił i poprawił, i wydał u Szarfenbergera, w Krakowie, r. 1545; już 1549 wyszło drugie jej wydanie; trzecie u Jakuba Siebenaichera, z roku 1586, kart. 162, w oktawce (w zbiorach hr. Z. Czarneckiego) opisał prof. Wierzbowski w Bibliografii III, str. 176, nr. 2788. „Ex Terentii comediis latinissimae colloquiorum *formulae* ordine selectae una cum eiusdem poetae insignioribus sentenciis *ydiomate polonico donatae*" nie myślimy tu bliżej opisywać; odsyłamy do Bibliografii p. Estreichera (XIV, 48); tytułu nie zmieniały i następne wydania, korzystaliśmy z unikatu, z egzemplarza jagiellońskiego 1545 r., znakomicie zachowanego. Mistrz Walenty poświęcił dziełko braciom Komorowskim, Janowi, kasztelanowi oświęcimskiemu, i Wawrzyńcowi, sekretarzowi królewskiemu, odznaczającym się tak zgodną miłością, że dedykacya ich postępowanie z Kserksesem i Arthobazanem równa, „quia tu (Johannes) et ille (Laurentius) unus homo et vere alter ego, quibus omnia communia sunt, videmini; hoc ego predico, quod scio, *communis enim mihi vobiscum patria est*". Otóż zaznaczam, że są to ci sami Komorowscy, którzy sobie na znak miłości braterskiej i psałterz Puławski nawzajem podarowali — tak się nazwisko tych panów żywieckich dwojako w dziejach naszego dawnego piśmiennictwa zapisało. Kładę nacisk i na tę „communis patria", bo niektóre niewątpliwe czechizmy naszego mistrza właśnie z stron żywieckich i od Kęt łatwo wytłumaczyć się dadzą.

Jak dokonali Mateusz i Walenty przekładu? Wogóle dobrze, zachowali i oddali szczęśliwie charakterystyczne zwroty łacińskie odpowiednimi polskimi; niebrak jednak i myłek, a więc tłumaczenie bywa i dosłowne, zamiast coby sens oddać miało; są i nieporozumienia, co wobec braku porządnych komentarzy i wobec zadowalania się powierzchownem zrozumieniem tekstu w trybie szkol-

nym średniowiecznym razić niemoże; niektóre złe tłumaczenia podyktował jednak widocznie wzgląd na szkolną obyczajność; jeśli np. mistrz Walenty „Lenona“ jako imię własne traktował, to uczynił on to umyślnie, aby żakom o godnem zajęciu i rzemiośle szlachetnem leyonów nie wspominać; tak więc w prologu do Adelfów czytamy „lenoni meretricem eripuit“ — „wydarł szermierkę Lenonowi“, i na drugiem miejscu „szluzył (!) Lenonowy“ (lenoni).

Dziełko Walentego rozpada się na dwie nierówne części; „Formulae“ idą od karty A 4 do Q 6, „Sententiae“ następują od Qu. 7 do S 7; w obu częściach powtarzają się nieraz te same frazesy, odmiennie tłumaczone. Sententiae odznaczają się doborem przysłów polskich, i zaznaczam z góry, że Rysiński, który z „Ezopa“ bez ceremonii przysłowia wybierał, i z tego „Terencyusza“ korzystał, gdyż jest, jak niżej wykażę, znaczne zbliżenie w wyborze i w wysłowieniu. Pierwotna forma przysłów ucierpiała jednak nieco u mistrza Walentego, gdyż on silił się na rymowanie, więc rozszerzał i przekształcał w tym celu krótkie gnomy polskie; tak robili jednak i inni, a i dziś jeszcze nie brak podobnych poprawiaczy.

Druk sam nie nadto poprawny, a co ważniejsza i w języku tłumacza samego zauważyć można niestałość, pewne wahanie się brzmień mianowicie. Znachodzimy np. *tesznośc* i *tesknośc; cirzpieć, cierzpieć* i *cierpieć* obok siebie, obok *mnimiał* (np. też ja się *domnimiał*), znajdziemy *mnimał, mniemał* i *mniemiał; dostałem* i *dostałech* ważą się nieraz; słowa chętnie on dwoi, da dwa tłumaczenia, polskie i obce, albo dwa polskie terminy przedłoży; czechizmów się nie ustrzeże, „np. XX minis emisti“ tłumaczy raz „za *dwadzyeścia* złotych wziął“, lecz przedtem powiedział „kupił za *dwaczet* grzywien“ — takich niekonsekwencyj dosyć, ale należy może zauważyć, że *dwadset* ogólno śląskie; czechizmem jest też *przyssazenye* coniuratio, a może i „gdy temu nie *zdolem*, por. dalekobych onemu wyęcey *niezdołał*“ (cum hoc non possum, illud minus possem), chociaż to raczej polska forma wedle *umiem* lub *śmiem*, do dawnego *doleć, zdoleć*, które rychło straciliśmy, cerkiewne odolěti, por. nasze *zdolewać* i wyżej str. 309.

Wypisuję teraz ciekawsze słowa, potem przysłowia. Z słów najbardziej dla mistrza Walentego znamienne *chłościć*, w licznych złożeniach, t. zn. zabierać, uderzać, trącać, porywać i t. p., n. p. *wchłoszczę ćie w rynstok*, in mediam viam provolvam (zaraz niżej używa zamiast tego *wtłoczę*), *schłoscilem* y siebie y cziebie (perdidi)

oto sie lepicy *chłość* z tymi obietnicami (quin tu hinc pollicitationibus aufer), ta niech sie z tąd *chłości* (haec hinc facessat), wy sie stąd *chłoscie* (vos hinc amolimini) — nie znają tego słowa nasze słowniki, a było niegdyś ogólnem, znachodzę je i w formie *kłosnąć* (zamiast *chłosnąć?*), np. w gwarze złodziejskiej w pierwszem intermedyum Scylurusa (Jurkowskiego) 1605 r., mówi Matys do Ktosia (złodzieja): mam trzesca blesca rogietkę, *przykłosnę* uranek swą biedkę; ale *kłosić* w zdaniu „uczyłbym ja był ciebie jako cepy *kłosić*“ (Szołtys z klechą, 1616 r., w. 249) zdaje się tem samem co *kłosować* naszych narzeczy (omłacać ziarno i t. d., por. Świętek lud nadrabski i. h. v.), por. Rozprawę o Języku Potockiego, str. 337. Do *chłościć* należy jeszcze cytat z „Różnicy sekty luterowej“, wiersza Łazarzowego około 1560 roku, przedrukowanego u Wiszniewskiego t. VII. 173—181: a kiedy z nich (lutrów) który pości, tudzież z niego drugi *chłości*, ten pry mu post przyjdzie snadnie, iściei iutro co ukradnie.

Ciekawy, nieznany zupełnie termin staropolski, to *zatego* = wnet, natychmiast, np. Zá tegoż umàrłà, wnet skonàłà (mors *continuo* illam occupat). Znam termin tylko z *Sprawy Chędogiej* rękopiśmiennej (1544 r. z dawniejszych przepisanej tekstów), gdzie jednak tem częściej za to przychodzi, np. thedy *zathegos* zwienął (znikł) na k. 280 i t. d.; odnachodzę je w białoruskiem, np. w „Witaniu na pierwszy wjazd ixa her Lutermachra“ z roku 1642, „a z Lachi *zá toho* poznajesz“ (natychmiast). Co ciekawe, że starolitewskie *zatag*, *zatagui*, *zatagagamis* i t. d. (zjawia się w różnych formach, od katechizmu Mażwida 1547 roku począwszy) z tego białoruskiego (nie z polskiego) w tem samem znaczeniu pożyczono — litewskie słowo było zagadką dla lingwistów, oto jego pochodzenie ruskopolskie.

„Mie zà *iebaká* masz“ (me *ignavum* putas): używanie tego obscoenum w znaczeniu przenośnem zna najbardziej język łużycki, tak blizki naszemu, pod licznymi względami; tam używa się tego słowa zamiast oszukiwania, np. (przysłowie) „żona muża zjebać wie, a byrnie na wszech sztyrjoch bokach woczi mieł“.

Mączyński w Słowniku z 1564 r. te same frazesy Terencyuszowe (bo i jego słownik w nie obfituje) tłumaczy zupełnie inaczej, na dowód, że z naszego dziełka wcale nie korzystał, np. „symbolum dedit“ tłumaczy on „dał *swą część na biesiadę*“, nasz mistrz Walenty zaś użył terminu „chłopskiego“, „dał na *rzęd*“: *rzędem* nazywano płacenie piwa w karczmie po kolei, najpierw jeden płaci

za wszystkich. potem drugi i t. d.; przestrzegano więc szlachcica: nie siadaj z chłopy *w rzęd*, później lub gdzieindziej i *rządem* to nazywano, np. w Wokabularzu królewieckim (kilka razy wydawanym; cytuję stale wydanie z roku 1566) czytamy „chłopom nie jest dobrze borgować, bowiem nie radzi płàcą *rząd* (Zeche, die oerten = urty) kiedy nà szepcu (Scheptz) piyą", por. w Języku Potockiego str. 389. Veterator tu *koth* nazwany, *lis* i t. d. u Mączyńskiego i innych.

Stać ma jeszcze znaczenie „kosztować", jak w rosyjskim do dziś, n. p. *skąpie* (tak!) żyie, ledwie *go* dziesięć pieniędzy obiad *stoi* — *żyje* zamienia już nieraz *żywie* dawniejsze.

Słów obcych naturalnie podostatkiem; jest już i *oszwabić*, np. *oszwabił* by mie (dolis me deluderis); *drajhulc* tu jeszcze w formie pierwotnej, „idz stąd ná *drey holtz*, ná szubienyce", por. „idź, choćby i na dray chultz", w Intermedyum (z klechą) 1616 r., w. 453, częste po drukach i rękopisach (np. w księdze Chamów i t. d.); *hadrunk*, którego i Rey i Czesi często używają, np. yest w tej rzeczy *hádrung* (scrupulus, na innem miejscu *kością* tłumaczony), „*hadrunku* (turbam) nie uczynił"; *zach* (ze zamtuzu), in ganeum „do *záchu*"; *szpruch*, „iż to wszystko twoie *spruchy*" (te esse huic rei caput), ale pro istis factis = „za ti *szprúchy*" myłką druku; meretrix tłumaczy *kortyzanką*, ale i *szermierką* (nie znam innego na to przykładu); *lefeczka* (od Leibchen?), „były kiedyś w sławie *lefeczki*, dziś ie przeszły *stradyotki*"; *bigos*, ego te exercebo hodie ut dignus es, *silicernium* „ya ćie dzis *nápowłocze* iakos godzien bigosie", gdyż silicernium tu nie stypę po umarłym (Mączyński), lecz starca godnego stypy oznacza.

Zbyt dosłowny przekład z łaciny szpeci nieraz polszczyznę mistrza, np. „słyszałem *ich przyjecháć zdrowe* od *żeglarza*, ktory ich pławił" (venisse eas salvas audivi ex nauta qui illas vexerat), albo „wiedziałem ciebie tak być mnie wiernym iako sam sobie" i inne.

Do czechizmów zaliczyłbym: „aże pod *świadomem*" (quin mihi testes adhibeam); po *niekolik* dni; może czechizmem, lecz raczej błędem druku będzie na początku „ku pssaniu" zamiast „pisaniu" i i.; „oddam to *w tenżenasob*" parem inferam gratiam.

Obcym jest i *fasoł*, „*phasoł*" facinus, „plugawy *fasoł*" facinus foedum; *kierat*, „vsiekszy *do kyeratu* (in pistrinum) cie dam; *łotryni*, scelesta; *rynek*, „co to za *giełk* (zgiełk) *na rynku?*"; sandalium „*pantofilá*"; „mussę go gdzie z tąd *wyparatować*" (aliquo mihi

est hic ablegandus) — po narzeczach są podobne słowa, *parandzić?*, n. p. *wparandzić* „włożyć" u Świętka, str. 721; lecz por. może *paratuły* w Poselstwie z dzikich pól z r. 1606.

Wymieniam teraz słowa domowe; pisownia ich nie zawsze wierna, np. *ináczy* zamiast inaczej; z mylkami druku coraz się liczyć wypada, więc np. twoie *broye* facta może być skróceniem zamiast *brojenia?* a może i termin pierwotny.

Ciekawe jest: „*co po wielu mowieniu*", gdzie atrakcyą syntaktyczną, w obu częściach zbitki, przypadek wyrażono, podobnie mawiano u nas stale „w oce mgnieniu" (zamiast w okamgnieniu) — do dziś w narzeczach, wocymieniu i t. p. (w tej chwili, Świętek str. 706 i t. d.); Seklucyan powie nawet w katechizmie z r. 1547: ku im (zamiast ich) gorszemu.

Ciekawe też niektóre tłumaczenia, np. actus — *sprawa;* sententia jest *wyrok* (*z czelniejssemi* tego poety *wyroki* cum insignioribus sententiis), zresztą stale *wola*, np. pisces ex sententia nactus sum dostałem ryb *pewney* (zamiast *po mey*) *wolei*" i t. d. Co do *czelniejszy*, czy nie zagodzi nam mistrz Walenty sporu z p. Karłowiczem o nasze *celny?* powtarza on je jeszcze raz: „chcą być wszędy *czelnieyszy*" primos se omnium rerum volunt. Jak to czytać i jak pojąć? P. Karłowicz koniecznieby łacińskie excellere excelsus do naszego *celny* przyczepiał; mnie się zdaje, że łacina tu nie winna, że wystarczy samo nasze (względnie niemieckie) *cel*, być na celu. Czy tu jednak i czoło, czelny (naczelny, naczelnik) nie wpływało? z pisowni tego nie wyrozumieć zawsze, bo cz w owych drukach i c i cz oznacza i u Czechów čeliti i celiti obok siebie znajdujemy.

Młokosek, z *młokoskow* „ex ephoebis" w języku Kęczanina przemawia mojem zdaniem najlepiej przeciw powszechnie przyjmowanemu wywodowi tego słowa z ruskiego, z *mołokosos* (tak twierdzi Miklosich jeszcze w Etymologisches Wörterbuch 187 „polnisch młokos Milchbart für russisch mołokosos", i Słownik Warszawski od mleka — mołoka, młokosa wywodzi). Uważam wszystkie dawne pożyczki ruskie w języku polskim za bajki: nigdy Polacy, stojąc nieporównanie wyżej co do kultury europejskiej od Rusi kijowskiej, niczego od Rusi tej nie brali; na odwrót Ruś to od „Polszczy" we wszystko się zapożyczała, w kulturę, myśli i słowa, i poświęcimy jeszcze osobny rozdział temu, ile to słów polskich nawet Wielka Ruś, moskiewska, używała i używa. Więc poprostu z góry nie wierzę, aby obywatel żywiecki u Rusi się zapożyczał; jego *młokos* nie od

mleka, lecz od młodzika pochodzi; por. słowa jak *piórkoś;* zresztą używa Walenty i słowa *młodzieńczyk.*

Dla yego, eius causa, jeszcze nie ma owego n, dla niego.

Brząknąć, iż więc nie masz *czym* brząknąć (ut nihil supra).

Warchoł często używane, obok fasoł i szpruchów, np. *warchoł* facinus.

Potrzeb częste, jak w „Ezopie", por. Rozprawy XXXIV, 235; *potrzeb* jest słuchać, *wielmi potrzeb* peropus est i t. d.

Báby zabákám, zawołam „akuszerkę"; oba terminy „staropolskie".

Krzywy winien, jak u Reja i t. d., jak po dziśdzień w narzeczach, zda sie sam sobie być *krzyw* (iniurius); ten *krzyw*, hic in noxia est.

Opóździć opóźnić, n p. bym była kęs *oposdzielá* omieszkáłá, por. *omieszkam* idź (!) cesso adire.

Natuchnąć, *nátuchnął mi* submonuit me (por. przytuknął, Rozprawy XXXIV 230); by mi było dobrze nie *potuszono* ni mihi esset spes ostensa; *nietuszącemu* nec opinanti.

Gębuś kochaneczek, n. p. witay *gębusku* miły (mi anime), podobnie w „Komedyi Rybałtowskiej" (1615 r.) woła gospodyni na męża: dla Boga, moj *gębusiu*

Pamiętnik ten, który pamięta (my zmieniliśmy zupełnie znaczenie tego i podobnych słów, *nocnik* był dawniej ten, co po nocach się tułał, *pamiętnik* ten, co pamiętał, *dziennik*, co straż, czy służbę dzienną odprawiał i t. d., same rzeczowniki czynnego znaczenia, jak *dzwonnik*, *rzecznik*, *grzesznik* i t. p.); ya go ták *vczestwie* ták vkászę iż mie do swey dalssey smierci będzie *pamiętnik* = adeo exornatum adeo depexum dabo ut dum vivat meminerit semper mei.

Obok *barzo*, używa mistrz Walenty *silno* i *duże*, n. p. silno *vprzeymie* (! w pierwotnem znaczeniu, czeskie *upřímo* otwarcie) dręczy nimis *graviter* cruciat; *duże* mu nagrzewa acrius instat.

Co do zaimków i przysłówków porównaj: *ni przecz inego; wsze* semper (nie. zawsze); *niekaki*, nunquam; *yakmiarz* prorsus (częste), *chcęcym* ia to vczynił (non imprudens); dáleko *drzewieyem* wiedział multo prius: *żadnąc* nunquam (por. *jednąc* raz, stąd urosło, jak wiadomo, nasze *jedną razą* i t. p.); jeszcze rozdzielnie pisze się *zá raz* una i ták wiele *raz* (nie razów!); *nádder* impense, z nad dert??; *troszeczkę; żywnie; kiego* mi czartá; *luto* mi przygody, *luto* mi że;

humane patitur *ludzko* wycierpiewa; ty *ilkiskolwiek* tu quantus quantus; wszelijaki, *wszeliákim* obyczajem (czy nie już *wszeláki?*); *zá tylo*.

Z rzeczowników wymieniam jeszcze *parchawká*, tuber (nie purchawka, jak zwykle mawiają); w *zapaski* in palestra; *obiyk*, remedium; *swiokry* socrus; *dospiech* otium; *psotę* (czeskie) voluptatem; *szubienicznik* furcifer; *blekot* fatuus; *starzynę* vetustatem; dualis: mieywá zárówno pracę o obudwu stronu; puha (czeskie?), *puhami* ciąć loris — pęga po polsku, *puha* u Orzechowskiego i t. d.; *stryk* patruus jak w narzeczach.

Z przymiotników *uczliwy* i t. p., schodzące już w XVII w. do chłopów, np. *naucżliwszy* honoratissime; *poczliwie* honestum; *zá páliczliwys* iest = iracundus (zapalczywy); *obáczny* perspicax; *blaskooka*, *parskonosa* caesiam adunco naso; *dobrzem żyw* disrumpor; *oycowskiego* zakrawasz patrizas; *niebytny* absens, nieraz tak, stąd nasza *niebytność*, zwierzchni y *niżni* (o bogach); *niezbednik* infelix.

Z czasowników: znane są formy *pomy* (pójdźmy); *nadziewam* sie (spodziewam); począł *podejmać* (podejmować) coepi adire; *roztarchał* (nie roztargał); *wcipiać się*, później *wścibiać się*, ale porównaj *zacpać* i t. p., nie *wćipiay sie* ty ne te admisce; *trawić*, marnotrawić, niechay *trawi* profundat; *przepierować*, od przepierania przepiórki, będzieszli daley *przepierował* si molestus pergis esse; *załuczyć*, por. łuczyć, trafić, rzucić, *záłuczyłem* go (inieci scrupulum homini); *siadłem* disperii; o rybach psujących się, mówi się: hi (pisces) ne corrumpantur, by *mi nie posnęli* (ryby pośnięte jeszcze w taksach XVIII w., o połowę tańsze od żywych); *rzekać* nazywać, iáko temu człowiekowi *rzekáią?*; *nabechtać*, nábechtał pellexit; *przyjajać* (od praesens przyjaję = sprzyjam), they yął *przyiayacz* ná vmor; przeklęcie: boday zle zginął vel *pyorun roztrzásl* (ut te magnus perdat Jupiter); a gdziem nie był, iedno w piekle *nie* (quo non!); *żertuie*, nie żartuie; *wynorzył* sie na świat, elatum foras; *oborzyć się*, satis astute adgredimini: chytroście sie *oborzyli* (por. czeskie obořiti se na koho, anfallen, angreifen); *wmatlać się*, wgmatwać się, por. czeskie matlati, wiakim sie warchoł *wmátlał* in quod me conieci malum; przynękać, częste wówczas, obok przynukać, *przynękały* impellebant; *chełznać*, nie kiełznać, jak od dawna, a mylnie, u nas piszą, dał sie rozkossy *ochelznąc* poki był żyw (obsequens fuit); *szeł* (!) precz abiit; *uszczypnę*, minuam (por. cer-

kiewne štip, eclipsis, serbskie uštap pełnia, przesunięte), cerkiewne štьnąti sę minui; porwać, w przekleństwie: *porwani temu* komu sie oddali (valeant); *wytchnął* tuli; *bębnać* i t. d.

Przechodzimy do przysłów i zwrotów przysłowiowych. Korzystał z nich już Tymoteusz Lipiński w rękopisie (u Krasińskich), obejmującym słownik przysłów — a za nim powtarzał wypiski S. Adalberg w Księdze przysłów; ponieważ jednak egzemplarz Lipińskiego — warszawski uniwersytecki? — był uszkodzony (zaczynał się dopiero od karty E, nie wiedział on, że wypisuje dzieło Kętczanina. I tak:

Kapturek, komusz *kapturek szyią*, aliquid monstri alunt, tak i Rysiński i Knapiusz.

Trzy, *niewiem kędy trzy* nullius consilii sum; por. on nie będzie wiedział *kędy trzy* quo se vertat (Knapiusz); delirat, *trzy po trzy* mówi (Rysiński).

Kół, to z tego płotu koł: hic de grege illo est (Rysiński).

Rożek, *moiá rzecz iako roszkowá* (podobnie Knapiusz i Rysiński) mihi ad rostros res redit; z łacińskich komentarzy wiemy, że mówiło się tak o położeniu rozpaczliwem, albo pogarszającem się stale, Rysiński wspomina Mandrabula, ofiarującego bogini z roku na rok podlejsze dary, porównaj, com o tem napisał w Ateneum 1898 r., str. 553, gdziem liczne z literatury polskiej przykłady przytoczył.

Szyszka, *zá szysskę borową maią* parvipendunt.

Następują same Sententiae: z prologu Andrii: intelligendo ut nihil intelligant = Ktorzy sie na rozumy wydaią, ći rádzi vpádáią.

Omnis res iam in vado = już iedno Bogá, kiedy domá nogá (po szczęśliwym wybrnięciu).

Nodum in scirpo querere, tłumaczą u nas zawsze dosłownie „sęku w sitowiu szukać", por. Adalberg 492, lecz to obcy zwrot a odmianka jego „sęku w sieci (!) szukać" niema sensu (czytaj w sicie = sitowiu); po polsku wyrażano tę samą myśl całkiem inaczej = *wczoráyszego dnia szukasz.*

Cum ratione insanire = zá piorkiem biegáć (Potocki W. żartem przełożył to na sanną jazdę, niebezpieczną).

Eunuch. I, 2 accede ad ignem hunc, iam calescens plus satis = Przystąp sie do kobiety, będziecz ciepło na trzy zbyty.

Omnium rerum vicissitudo est = Toć pewna nowina *bywssy lato bywa zima*, taksamo Rysiński.

Homines frigent = *ziedli im psi obiad.*

Mollities animi eicienda: y pokisz tak mam sobie *duszkać* (od wołania, duszko = oby, częstego w dawnej literaturze, duszkoż by tam być i t. p.); por. pani duszka = meretrix.

Tak vmiesz klekotać wiele, iżby y v iáłowey krowy vprosił ciele (o natrętniku).

Par pari referto = Ten podczas ludzie obyczay maią, Iż tak biyą iako im galą.

Ovem lupo credidisti = pewnemu polecił.

Ex iure hesterno panem atrum vorent = yáko z onegdáyssey polewki, Zrą borysowe stuki — najdawniejszy to przykład dla Borysa = chleba grubego, co od świętych ruskich, Borys i Hleb poszło; najdawniejszy przykład zarazem takiej przenośni z ruskiego w naszym języku, por. kole go borys w zęby i t. d.

Niech to w tobie nigdy nie będzie, Aby sie miał troskać o czem krol sie̜dzie (troska o tym „do czego tobie nic“, niepotrzebna).

Homo sum, humani nihil a me alienum puto, wypadło dosyć niefortunnie: Wssystkosmy ludzie y przydawa sie przydanemu y tákiego y owakiego!

Kto oycowi nie wyćierpi, ten drugiemu oczy wyłupi.

Sto godzin wyciecze, niż sie niewiasta oblecze; Rysiński dodaje *pierwej*...

Heautontimor. III, 2 Aquilae senectus: gdy sie woł trawy kędy dorwie kiedey (!) iey przestać tego niewie: ale mowa o pijaństwie, orzeł na starość jeść nie mogąc, coraz pije, wedle fabuły.

Gamrat każdy iest sokolego oka, zazrzy dobrze y do nadalssego kąta.

Ktory ma leniwe ledzwie, ten yzgory nie poćiągnie.

(Tego iest wiele) co sie tobie nie skrupi, to sie innemu zmiele.

Spem pretio emere = yako mowią przy dworze, nie kupuią kota w worze.

Gorzey być nie może, yako kiedy kaleta zlęże = peiore res loco non potest esse, quam in quo nunc sita est.

Patrz zkąd wiatr wieie, tedy cie deszcz nie zleie = ut homo est ita morem geras.

Kto długie wodzá miewa rad (często) z brzegu wylewá, odmiennie nieco u Rysińskiego, ale ostatecznie to samo, por. Adalberg 605). Było to pierwotnie neutrum, te wodza, jak ruskie vozża i t. p.; dopiero później przeszły *wodza* na *wodze*, jak *wiece* na *wiec*, ale już w Mnichu Kromerowym czytamy: ku swey woli ludźyom *wodzey* popuszcza (nowa nauka) II, a 3.

Lupus in fabula = wilká mienią, wilk w śieći.

Nierada by szyia puszczałá, iedno iż ręka *sklankę* (!) zadała; Rysiński ma tekst poprawny (*szczkawkę*) = ipsa si cupiat salus, servare prorsus non possit.

Musi drugi psiego skakać (nie każdemu sie może sstáć) = hoc licet facere impune huic, illi non licet.

Co rok to sie wynorzy co nowego, gdzie więc musimy popuszczać starego, Były i t. d., patrz wyżej pod *lefeczki*.

Suo sibi hunc ingulo gladio = sam mi na się pręt przyniosł.

I wilk sobie za krzywdę ma, gdy go chłop od kobył kijem wzbiera.

Kto zna morze, ten wie co *gorze*: jest i w Ezopie i u Rysińskiego.

Adversus stimulum calces = bość sie z widłami; zresztą tłumaczą to dosłownie i powstaje pseudopolskie przysłowie.

Ktorego w komorze doswiatszył wiernosci, smiele go i do brogu possli.

Kazdy wilk ssárą siersć ma (dotąd u Rysińskiego), każdy sie też z owcą podka.

Actum ne agas = nie siekay maku (nie trzeba siekać, powie Rysiński).

Komusz zedrzeć pypeć iedno vbogiemu, Panći sie odeymie swemu; u Rysińskiego tylko: zdarło mu pypeć = non rete accipitri tenditur nec milvo.

Ták proste matki trzymaią, iż kokossy (nie kokosze!) ná szkodę poią = gallina cecinit.

Verba fiunt mortuo: mow *wilku* pacierz, a wilk woli kozią máćierz: taksamo u Knapiusza (*wilkowi* Rysiński).

Kiegoż dyabła czynicie, że tak mną ssalicie.

Vir viro quid praestat: chłop na chłopa gdy iest płocha wedle boka — taksamo u Rysińskiego i Knapiusza; *płocha* tu nie „narzędzie tkackie“, jak Adalberg mniema, ale szabla.

In eodem luto hesitas = Táć bábá na onych kolech (albo: na tychże kolech baba, eandem cantilenam cantas).

Vorsuram solvis: wykupisz koszulę, zastawisz suknię: podobnie i u Rysińskiego.

Praesens quod fuerat malum in diem abiit (Phormio V. 3): *od młotká sie kaisz zá dzien* ktoreyem iuż był pewien (czytaj: odwlokła się kaźń i t. d.).

Niemało sobie ná łáznią zbierzesz.
Wilkowi jedno poleć, chceszli by było cało.

Auribus teneo lupum = *ani mie tam, ani mie sam*. Niesłusznie więc u Rysińskiego i t. d. (a za nimi u Adalberga) uchodzi za polskie przysłowie „wilka za uszy trzyma“, gdyż to dosłowny przekład z łaciny i Sz. Budny w Urzędzie miecza (1584) wyraźnie dodaje, przytaczając ten frazes „jak łacinnicy mowią“; u Adalberga, za jego źródłami, figuruje bardzo wiele przysłów polskich, dosłownie z łaciny tłumaczonych, więc właściwie wcale nie polskich. Tu i Mączyński wyraźnie dodaje: nie wiedzieć czego się jąć, ani mię tam, ani mię sam.

Da locum melioribus (u Stryjkowskiego mylnie mulieribus — vstąp twarogowi): *wstan* gowno twarogowi — *ustap* u Rysińskiego zamiast tego; Adalberg dla przyzwoitości opuścił.

Querere in malo iubes crucem = yaką okolo mnie *tárápathę* widzisz, a ieszcze mi gorzey życzysz.

Senectus ipsa morbus = ma co czynic z chorobą, komu lata dorobią.

Włosow tobie tylko na głowie nie, yako ma wielkie zadłużenie = quod si animam debet.

Mnimam że lepiey iest, gdy kto na dwoię może ieść = commodius esse opinor duplice spe uti.

Zysk miasto utraty = pro uno duo mihi sunt dati.

Oto krótki wybór słów i przysłów z pierwszego wydania 1545 r., ale na tem nie koniec znaczenia owego przekładu. Powtarzano go i w drugiej połowie XVI w., i bardzo to pouczający dla nas widok, jakto druga połowa odmiatała zwroty dawniejsze, których, jak Rey się przyznaje, (pierwszych terminów polskich) nieraz już wcale nie rozumiano. Nie z samym Terencyuszem tak postępowano: Siennik n. p. wydając zapiski lekarskie Lubelczyka, „starosłowieńskie“ tj. staropolskie terminy jego nowymi zastępował; biblia Leopolity już w dwanaście lat później (1574) zmieniała

szatę językową; nawet Opeców Żywot Pana Jezusa nie obywał się bez poprawek, tj. bez modernizacyi słownictwa swego; właśnie protestancka literatura odznaczała się dwornością, wypolerowaniem, cudnym językiem polskim, wyzbywającym się z zasady i stale dawnego słownictwa. Reforma językowa — i na to zwracam umyślnie uwagę — nie datuje dopiero od czasów Stanisławowskich czy księstwa warszawskiego; widziała ją po raz pierwszy już połowa wieku złotego; uszczuplono wtedy po raz pierwszy bogactwo słownictwa polskiego. Przekład Terencyusza może nam na to wymownym i nowym dowodem posłużyć; późniejsze wydanie, powtarzające nieraz nawet myłki druku pierwszego, mimo to zniwelowało zupełnie język, pozbawiło go wszystkich charakterystycznych, malowniczych, ludowych szczegółów, zubożyło go kompletnie. Więc ani razu nie powtórzyło terminu *chłościć*, zastąpiło go obojętnymi, zabierać się itp.; niema naturalnie *wmatlać, wyparatować*, zapomni o *jebaku*, o *kocie*, o *niezbedniku* nawet; zastąpi prorokowaniem „wieżczbienie", nie *szeł* a *szedł* i t. d.; jednem słowem, upodobni tę polszczyznę bezbarwniejszej, krakowskiej, ogólnie obowiązującej.

Osobno wymieniam tu jeszcze jeden termin: satis jam debacchatus es = dosycieś już *napaczwił* (późniejsze wydanie daje: d. sie iuż *nászálał*) — co to za *napaczwił?* że nie błąd druku (napastwił), dowodzi miejsce w Dyalogu Polikarpa o śmierci, z połowy XV wieku, gdzie wedle przedruku p. Rozwadowskiego (Materyały i prace komisyi językowej I, 1903, str. 191) czytamy w wierszu 327: śmierć chlubi się „szwe *poczvy* nath ludzmy stroya a wszdy wyeney myerze stoya, morza sządzye y pothszanthky i t. d."; wydawca terminu tego „nie rozumie" (str. 202); prof. Nehring domyślał się wyrazu *pozwy*, ale pozwów nad ludźmi nikt ani stroi, ani broi, zawsze tylko pozwy ludziom kładą się lub piszą; sens zaś całego zdania widocznie ten: swe figle, komedye (maszkary) nad ludźmi stroję, bo „gdy pożywam swego państwa, nie dbam o żadne lekarstwa", swe „poczwy" nad ludźmi stroje (swoje figle — do tego dla rymu dorobiono następny wiersz). *Poczwy* albo *paczwy* nietylko w *napaczwił* Terencyuszowym, ale i w Pamiętnikach nieprzepłaconego Paska odnachodzę. Opisując szturm na Koldyngę kłamie on, jak zawsze, siarczyście; opowiada o wysadzeniu baszty, zamkowej w powietrze, jak statuy narożne z dachu pospadały: „jednę wyrzuciły prochy całą nienaruszoną, która właśnie taka była jak kobieta żywa... a tak leżała owa *pacwa*, rozkrzyżowawszy

się in forma, jako człowiek z pięknego ciała stworzony" (str. 21, wyd. Gubrynowicza). Otóż wyśledziliśmy słowo przez trzy wieki, w każdym wieku po jednym przykładzie, i nawet nie wiemy na pewne, czy to *paczwa*, czy *pacwa*, pisownia rękopisu Dyalogu i druku Terencyuszowego nie dowodziłyby niczego, ale i *pacwa* może być zmazurzoną formą Münchhausena naszego [1]).

Wobec nadzwyczajnej rzadkości owych Terencyuszów (z trzech wydań ocalały wszystkiego cztery egzemplarze) i wobec znaczenia ich dla dziejów języka polskiego — jakżeż zajmujące, że w drugiej połowie XVI w. usuwano nietylko jawne czechizmy przekładu, ale nawet wszelkie „gminne" i przestarzałe wyrazy i zwroty nie darowano nawet czasownikowi *oszwabić* lub *zabakać*, zarzucono *zatego* i t. d. — zatrzymamy się teraz obszerniej jeszcze nad późniejszem wydaniem. Nawet tacy znawcy dawnej literatury, jak Jocher i Wiszniewski, nie spotkali się nigdzie z Kętczaninem i jego Terencyuszem; co o nim wiedzą, zawdzięczają wyłącznie Juszyńskiemu, którego egzemplarz do Dzikowa potem powędrował. Juszyński (pod „Kęczanin") donosi, że ma w rękopisie dwie ody tegoż do obu braci Komorowskich, którym pierwsze wydanie poświęcono; donosi dalej, że ma również w rękopisie dyalog „Kęczanina" o męce Pańskiej, polski, wierszowany i przytacza początek, chociaż ten nie bardzo na połowę XVI w. zakrawa, raczej wiekiem XVII trąci, lecz wobec braku innych wiadomości, i wobec zaginienia rękopisu, trudno coś stanowczego orzec.

Odnowione wydanie Terencyusza przedstawia się więc wcale odmiennie; opisuję je wedle egzemplarza, który dr. B. Erzepki łaskawie mnie przesłał. Brak pierwszej i ostatniej ćwiartki; egzemplarz zaczyna się od A_2 „Typographus Lectori"; drukarz powtarza przedmowę Walentego, o znaczeniu Terencyusza, wedle Era-

---

[1]) Naturalnie powtarza się to słowo w dzisiejszych narzeczach, znam je mianowicie z Pisarzowic koło Biały, gdzie je Wł. Kosiński zapisał (Sprawozd. kom. język. IV, str. 28); przed nim Ambroży Grabowski w „Prowincyonalizmach księstwa Oświęcimskiego i Zatorskiego" (Bibl. Warsz. 1849, III, 178), w obu formach, *pacwa* i *pocwa*, cy cie *pocwa* nadała, *pacwić sie* pastwić się, tam *do pacwy* (do licha, do kata); trzeci cytat z Krzęcin przytoczyliśmy już wyżej. Pochodzenie słowa nam niejasne; dawnego mego domysłu (od pacy, glinopacy) jużbym dziś nie powtórzył. Mniemałbym, że to niemieckie *Possen* pierwotnie o figurach, maszkarach, które strojono (u studni, budynków i t. d.), ale dawniejsza forma tego słowa była *Bossen*, więc nowa trudność.

zma. wypuszcza jednak wszystkie szczegóły dedykacyi, gdyż Komorowscy i Walenty dawno poumierali i można sobie było pracę Walentego bezkarnie przywłaszczyć; drukarz powiada tylko: idiomate sarmatico donata prius ab aliis, recensuimus, quaedam etiam vel omissa, vel a proprietate idiomatis et sententiae remota emendavimus, plurima addidimus... (ut) sarmaticae iuventuti purus sermo illius latinissimi seculi per vernaculum intellectus dulcescat etc. Na k. A_3 zaczynają frazesy od „Andrii“ etc. aż do S_8, Finis; potem od T_1 „Sententiae“ aż do X_1; ostatniej karty znowu brak w egzemplarzu. Będzie to nie drugie wydanie (z r. 1549), które p. Estreicher opisuje, gdyż podaje jako ostatnią jego sygnaturę V_8, jest to wydanie trzecie, z r. 1586, któremu Wierzbowski również 162 kart naznacza. Wydanie rzeczywiście obszerniejsze i poprawniejsze, zaraz na karcie A_3 mamy i *pisaniu* zamiast *pssaniu*, *ináczey* zamiast *inaczy* (pierwszego wydania); formy już ustalone, więc stale *mniemałem*, *cierpię* itp.; lokucyj jest i więcej i częściej — przez vel nowych polskich dodano; wiele przestarzałego opuszczono i zmieniono, chociaż czasami, jak gdyby uwaga wydawcy osłabła, i dawne błędy druku zatrzymano, i nowe porobiono. Z tego to wydania czerpię i nowe pozycye i poprawki pierwszego:

Andria prolog. facere ut noscat aliquis malefacta sua = powiedziec komu paćierz (taksamo u Knapiusza) por. I_5 dictis confutabitur = słowy będzie zgromion. vel *powiem mu paćierz.*

Sprawa I, scena 1. chuć i chęć obok siebie, ingenium noscere = *chuć* cżyję wybaczyć, ale animum ad aliquod studium adiungere = do iákiego cwiczenia przyłożyć *chęć*.

Ab hinc trennium = *tak* trzy látá (i na innych miejscach, np. *tak* piętnaście lat, my mówimy *temu)*.

Lana ac tela victum quaeritat = *wyprząda* sobie pożywienie (i w pierwszem wydaniu).

Dał *na rząd*, nie *na rzęd* pierwszego wydania.

Wstrzymywáł oń = continentia.

Eius causa = dla niego (dla yego pierwsze wydanie).

Wynorzyć = indicare.

Pro uxore habere peregrinam = miásto żony, chowáć sobie *pánią duszkę*.

Mala mens malus animus = diabelskie pokolenie.

Scena 2. Alios mores postulat = chce ábyś sie *obuł* w insze obyczáie; por. niżej *wyzuł*.

Dávus sum, non Oedipus = *prostym biernat*, od zakonnika wzięte, nie od „Bernarda", jak Adalberg mniemał.

Zbiwszy w niewolą cię dam ciężką, zamiast owego: usiekszy etc. pierwszego wydania.

Nulla circuicione uti = nie czynić żadnych *okoliczności*.

W scenie pierwszej: adolescentula forma et vultu adeo venusto *ut nihil supra* = iż więc niemasz czem brząknąć wyd. I, że strudná o drugą taką wyd. III; facinus = warchoł I, sprawá III i tak nieraz; *wsseliákim* obyczáiem I, *wszelákim* III; w scenie trzeciej, *potrzeb* I, *potrzebá* III, taksamo i niżej zawsze; raz tylko (G_3) iáko *potrzeb* cżynić.

Scena 4. digna cui committas primo partu mulierem = godna któreybyś w opiekę śmiele mogł poruczyć *pierwiastkę*.

Scena 5. Obok komuś kápturek szyią „vel już to coś tam niepewnego być muśi vel coś tam muśi być kuią".

Zamiast *jebaka* = tákże mię zá *gnoiá* masz; zamiast *za tego* = zá tymże; obstetricem accerso = báby zabákám I, po bábę idę vel Báby przyzwę.

Act. II, abi hinc in malam crucem = idź do powrozá (drey holtz I), ná szubienicę.

Hodie me postremum vides = dziś mię ostátnie widzisz vel tylo mego żywotá.

Scena 2. Mea certe in dubio est vita = źle o mnie vel zdrowie moie *na łyczku*.

Scena 4. Commutare verba = swárzyc sie z kim vel *fuk ná fuk*, por. Eunuch. I, 1 haec verba = te wszystkie *fuki*; być *fukiem* swym szykow nie pomylił, Phormio I, 4.

Scena 6. Veterator = wykrętarz (koth I).

Akt III, scena 1. In portu navigare = *po suszy pływać* vel niczego się nie bać, być bezpiecznym (Adalberg z Rysińskiego: na suszy pływa, tj. że kłamie bezczelnie; mylne).

Było ich *kilá* v mnie (aliquot me adiere); kiedy *inedy* (indziej); dowiádowáć sie, obiecować; mniemam, że będzie rozbrát (posse avelli).

Scena 4. Dolis me deluderis = kopasz dołki podemną vel zdradą ná mię idziesz (przedtem fallere dolis = szalić kim).

Rem restituere = rzecz... *wyżyć*, podźwignąć.

Akt IV, scena 1. Proximus sum egomet mihi = bliższym ja sobie vel *bliższa koszulá ćiáłu*.

Me et te imprudens perdidi = głupością swą y sobiem y tobie *źle posłużył.*

Scena 2. Anime! = *duszenko* (nieraz też zamiast *gębuśku* wyd. I), por. *milenki.*

Miser aeque atque ego = ták nędznik iáko y ia vel *obá nędzę klepiewá;* wy ztąd odeydźćie (amolimini); troszeczkę, nie troszuczkę; *wrzucę ćię* w rynsztok; millies *ná sto raz.*

Eunuchus. Sprawa 1, scena 1, *sprzyiáiáć* amare.

Sprawa 2, scena I. Eicienda haec mollicies animi = wyrzućić z śiebie tę nieudolność vel muśi *dáć tey sweywoley po gębie.*

Scena 2. Patria abligurire bona = oyczyznę przetráwić, *przełokáć;* narzecza mają *tyrmak*, *tyrmanić*, np. *przetyrmanił* całom ojczyzne (Dembowski 402), por. w Kromerze Błażowskiego: *rostrmániwszy* posag dissipata dote, *rostrmániona* y wyssána potęga polska laxate vires, marnie *roztrmániło* — ztąd nasze *trwonić? tranowić?*

pannis annisque obsitus = y ná szácie y ná látách *szczedł.*

contempsi prae me = pokinąłem nim vel podnoszkiem rozumiałem go sobie być.

Liczne są latynizmy, *niefortuná* infortunium; *despekt* mię potkał indignis sum acceptus modis; iużeś *zdesperował; nie lámentuyże;* nędznie y *mizernie* żywie; *niefortunnie; subtelny*, *foremny; meláncholia; na kołacyą* (comessatum; tak, *kołacja*, nieraz n. p. przy *kołácyey* in convivio H_4); *prokurator* (patronus).

sc. 2. plagas pati = *pukow* znosić.

chcą być wszędy *celnieyszy* vel chcą wszędy *ná hárc* wyieżdżać; *cudo.*

homines hic frigent = párzą sie tu bárzo.

wczáześ, (*wczáżeś* Heautont 1, 2) przyszedł; *namyślnie* de industria.

sc. 3. już mi sie przyiádły ty powszednie *twarzy* zamiast *cudności* (formarum) I. wyd.

deducere cibum = *uiąć komu obroku* (przysłowie).

duras fratris partes praedicas = o wielkim mi nieszczęśćiu *bráckim* powiádasz.

nimium calidus es = *gorąco cię kąpano* (Knapiusz tak samo, nie trzeba być gorąco kąpanym Rysiński).

a. 3 sc. 1. caepit eum satietas hominum = niemoże w horszaku ludzi wielkim wytrwać.

par pari referre = *oddać wet zá wet.*

sc. 2. fac periculum in palestra = skosztuy *w zapáski.*

e flamma te petere cibum posse arbitror = wierzę, że dla sztuki chlebá nie ćięszko tobie y kiiem wźiąć.

sc. 4. esse de symbolis = skłádánego obiádu záżywáć; Chaeream ei rei praefecimus = száffárzá chereaszásmy w tym vczynili; por. de symbolis = z pieniądzmi złożonemi.

sc. 5. nostin'hanc quam amat frater = znasz tę, ktorey brát *zástępuie zá trzewik* (frazes staropolski, używa go jako takiego jeszcze Sobieski i i., p. Język W. Potockiego pod wyrazem Trzewik).

suspectare tabulam pictam = pátrzáć ná málowány obraz; venire per impluvium = przyáć *dziorą;* flabellum = *oganka;* limis aspectare oculis = po oku pátrzáć; submovit (!) me = vpomniał mię (natuchnął wyd. I.); Turbam = warchołu (hadrunku w. I.); ad diverticulum = na chodnik álbo ná śćieszkę; varia veste = w száchowáną szátę; a colore mustelino = bárwy *piegowátey.*

parem referam gratiam = oddam to w tenże sposob!

złodziey, złodzieyká = sacrilegus; miłostká amor; illi faveo virgini = przyiáię oney pánnie; ligurire = zrżeć, *łokáć;* młodzieniaszkom (adolescentulis); facinus foedum = sprosny vczynek; zá *dwádzieśćiá* grzywien (nie dwaczet!); głowę *pántoflą* stłuklá; fatuus = błazen (blekot I. w.); attica eloquentia = oratorska sztuká.

Heautontimor. I, 1: homo sum, humani a me nihil alienum puto = wszystkochmy ludzie (protestanci potem dodali: tylko ksiądz pleban człowiek); por. niżej ut sunt humana = iákochmy wszystko ludzie (a. III, sc. 2).

te autem... re iuvero = wspomogę cię... *założeniem* (zakładać kogo, *załoga* nazywała się pomoc rzeczą, sprzężajem, bydłem i t. d. por. „mamy wspomagać a *zakładać* vbogie“, albo „yne yałmuznamy wspomagaly y też zakładaly“, Seklucyan katechizm.

sc. mihi res secundae sunt de amore = *płuży mi* miłość.

akt 2, sc. 3. in aurem utramvis ociose dormire = być bezpiecznym *spáć na to dobrze*, tak u Rysińskiego i innych, ale *śpi na obie uszy* (u Młodzianowskiego w kazaniach, w Potrójnym z r. 1597 i t. d.), nie polskie przysłowie (u Adalberga), lecz łacińska lokucya; brat Czerwenka wyraźnie zaznacza, że tak mówią ci, co po łacinie umieją.

collupletasti te = *spánoszáłáś sie.*

ambula = *wiiay*, mkni.

akt 3, 1 relevi dolia omnia, omnes serias = spoczynałem wszytkie *pułkowki* (pisownia *puł* regularna), wszytkie dzbany.

ambigere de finibus = gránicżyć.

sc. 2 aquilae senectus = ták sie stárzał że ieść iuż nie może vel *stáry trunkiem tilko żyw*; por. wyżej inne tłumaczenie

ille hanc deperit = on iey *dworzy*.

stale *owszeki* quidem, formy *owszeyki* nie znalazłem wcale; również *krnąbny* (protervus H_4 i i., jest jednak i krnąbrność); *dziecińska* to rzecz puerile; *kopasz dołki podemną* vel zdrádą na mię idziesz = dolis me deluderis; być *vczestnikiem* cżyich *dobr* (non expers partis).

Akt 4, sc. 3 alicuius rem in tuto collocare = z toniey kogo ná suszą wywieść.

prostym szermem = recta via (rem narrare).

sc. 4 agitare Dyonisia = *mięsopustowáć*.

podźmy zamiast *pomy* wydania I.

levabitur illi sumptus = nie ták mu będzie *stráwno*.

sc. 5 ita tu tua misceto = ták ty swe rzeczy *wichruy*.

sc. 6 ludis fortasse me = błáznuiesz mną podobno.

sc. 8 iamne oblitus es inter nos quod sit dictum = jużeś *zábaczył*, cośwá z sobą mowiła (zwykły termin naszych gwar).

a. 5, sc. 1 mam gmách *ná zádzi* = est mihi ultimis conclaue in aedibus.

psota = lascivia, na innem miejscu voluptas; si vivo adeo exornatum dabo etc., brzmi tu: mowię *ieślim vrodzony Dániel*, iż go ták vczestuię, tak vkaszę, iż mię do swoiey nadálszey śmierći będzie pamiętáł: w wydaniu I: ieslim *vrodżony Jan* = zwrot chyba przysłowiowy.

sc. 3 tui similis est = własnieć táki iáko ty vel *by ćię ziadł*.

Adelphi; prolog: wydárł *fryerkę* lenonowi.

a. 1. sc. 2 curemus aequam uterque partem = mieywa zárowno pracą káżdy o swey stronie (wyd. I.: pracę o obudwu stronu).

a. 2, sc. 1 hodie iterum ut vapulet = áby miał znowu dzisia záłowić ná guzy.

rozumiałem żeby sie iuż miał wyzuć z dziećińskich spraw = sperabam deferuisse adolescentiam.

niestetys bardzo często, raz i *niestetysz*.

usque ad necem = áż *vśiędziesz.*

za 20 grzywien kupiłeś (I wyd.: za 20 złotych wziął) = minis XX tu illam emisti.

sc. 2 ego spem precio non emo = ja kotá w worze nie kupuię; tuber purcháwká (wyd. I parchawká); inieci scrupulum homini = zádałem mu frásunek.

sc. 3 ktorą (rzeczą) wszystkie ine celuię, por. co w przednieyszych náukách iest biegły vel *celuie* insze = primarum arcium est princeps.

a. 3, sc. 1 moich nądz; nunquam = żadnego dniá (żadnąc wyd. I); *zleżenie* partus: *lutość*, *luto*, zawsze tak, raz tylko *litość.*

sc. 3 in ganeum = do *cechu! (záchu* wyd. I.).

ex sententia = po mey (wyd. I. pewney) woley.

a. 4, sc. 2 iáko tego człowieká názywáią (iáko temu człowiekowi rzekaią wyd. I).

zamiast *bigosie* wyd. I (silicenium): *stáry bzdyku.*

sc. 3 credere se negligi = iákby przenoszono okiem.

sc. 5 illam misere amat = *vprzeymie* á szalenie ią miłuie; lecz nieco niżej misere (cupere) = *názdech* prágnąć.

sc. 6 ad portum = do brony! (jakby portam!).

sc· 7 *vprzeymie* go to boli = re ipsa illi dolet.

ac. 5, sc. 1 verba fundis sapientia = *wieziesz słowa mędrku* (fundere verba = márnie co mówić).

dopieruchno, *tyluchne* dziécię, *prędziuchno*, *łacniuchno; wągl* (tak!).

sc. 9 o lepidum caput = o cudna głowko vel *bodayże cię głowká nieboláłá.*

Hecyra. act. 1, sc. 2 nisi praefinito loqui = iedno poprzęckę mowić.

acriůs instat = duże mu zágrzewa.

potym *po kilko* dni (nie: niekolik!)

akt 2, sc. 1 doctae in eodem ludo videntur = *by ie ná iedno kopyto zbił.*

an quicquam pro istis factis dignum te dici potest = yza co godnego tobie zá ty *spruchy* mogę rzec (szpráchy I).

namniey sie ná láthá swe stáre *nieobyglądáiąc*; por. niżej nieco: *obyglądać sie* ná kogo.

sc. 2 graviter ferre = obćiążáć sobie, bardzo tu ulubiony cza-

sownik, por. czeskie obtéžiti obtěžovati sobě něco w tem samem znaczeniu.

sc. 5 salve mi pater = pomagabog oycże, witay.

akt. 4, sc. 1, quicum tot consuesset annos = z którą sie ták wiele lat *zvczył.*

nepos = *wnęk.*

luctari = *biedzić sie,* mocowáć sie (ztąd dyalektyczne *biedki* zapasy).

Phormio akt 1, sc. 1 adversus stimulum calcitrare (dosłownie tłumaczą to, Knapiusz i inni: aza chcesz przeciwko ościeniowi — forma fałszywa do tego! — wierzgać lub: przeciw-kosturowi wierzgać próżno; w obu wersyach nie polskie to przysłowie) po polsku mówiło się: *z dyiabłem orzechy gryść* vel *mur głową przebijáć* vel *przećiw wodzie pływać.*

Zamiast *przyiaiać* wyd. I, *zprzyiáiáć;* lenonowi zostawia.

sc. 4 satis pro imperio = jákby cię sto koni ieźdźiło vel ledwoby sie ták pánu zeszło.

nie *zdołam* i nie *zdołał* (zamiast zdolem, zdolał I).

áduersarzom i takich latynizmów wiele n. p. w tey *kaużie* skażą; ich to *sekretarz; molestować* odiosi esse; kogo sie *mizerya* imie trzymać; tosz masz mie zá wielkiego *ingratá* itd.

akt 2, sc. 1 kosztowneście tu *wyżyli* wesele (confecistis).

omnes congruunt, unum cognovis omnes novis = wszyscy iedno tchną, iáko ieden táki drugi, *by ie ná iedno kopyto zbił.*

omieszkawam iść (omieszkam idz wyd. I); *zásackę.*

sc. 2, prima coitio acerrima = pierwsze potkánie nasroższe (więc nie polskie to przysłowie, chociaż jest i u Knapiusza).

sc. 3 dissimulat = *ochyla*; *zopáczyć* = rescindi; somnium = *márá.*

da locum melioribus = vstąp tym co lepiey płácą, więc wersya pierwotna, której już i Stryjkowski nie powtórzył, zdawała się nadto rubaszną.

quam uterque est similis sui = iáko káždy z nich *ná swoie koło wodę wiedzie.*

akt 4, sc. 1 słyszałem ze przyiecháły zdrowe (wyd. I s. ich przyiechać z.).

sc. 3 tá niech z tąd *idzie precż* — nie *chłości sie!*

quid si animam debet = co ieśli tak wiele dłużen, że y sam zá to nie stoi?

ad scopulum e tranquillo inferre = z pokoju wielkiego ná hak kogo przywieść; per impluvium decidit de tegulis = przez dymnik spadł z dáchowek.

sc. 5 áże *przy świádkách* (pod swiadomem wyd. I!).

akt 5, sc. 2 in eodem luto hesitas = wtąsz iáko y pierwey.

vorsuram solvere = *poprawic sie z piecá ná głowę*, z kłopotu iednego w więtszy wpaść.

malum in diem abiit = kłopot wzwlok! sie ná czás.

plagae crescunt nisi prospicis = rośćie na cię kiy ieśli temu nie zábieżysz.

sc. 6 *naucżćiwszy*, naszczęśliwszy; oto lepiey obietnicam tym *day pokoy*; iść do *franczymeru* (gynaeceum); twoich *spraw* (nie broie wyd. I); *pogány* (godzieneś) vituperandus; irritor = *doiadáią mi*; senes fiunt = *zgrzybieią*.

W dodatkowej części „Sententiae“ różnic mniej. Po przetłumaczeniu dosłownem, prozaicznem, następuje nieraz wierszowane, np. Andria I, 1 hoc tempore obsequium amicos veritas odium parit = czásu tego powolność sprawuie przyiaźń á prawdá nieprzyiaźń.

> Czásu dziśieyszego wiele sie náyduie tego:
> Kto sie rad potula ten przyiaćielá miewa,
> Kto o prawdzie dzwoni, *ten* ná guz goni.

(Ostatni wiersz dosłownie u Rysińskiego, tylko *taki*, nie *ten*, dla miary wierszowej).

Mala mens malus animus = Co sie łyso vrodzi, łyso zginie (Rysiński toż). Iako wilk záwzdy ná owcę mrze, thák zły schnie, gdy nie uczyni źle.

Sc. 2 omnes qui amant graviter sibi uxorem dare ferunt = wszyscy kthorzy gámrátuią ći sie nierádzi ożeniáią.

Sc. 3 seni verba dare difficile est = starego trudno ochytrzyć. *Polnicy* (myśliwi!!) zwykli mówić, iż stárego lisá trudno *vłowić* (Rysiński, *ułapić*) — a więc termin do *polowania* słusznie urobiony.

akt 2. sc. 4 verum illud verbum est vulgo quod dici solet, omnes sibi melius malle esse quam alteri = Prawdziwa iest oná powieść, iż káżdy woli ná swoy młyn wodę wieść. *Kto sobie niewoli, tego głowá boli* (i Rysiński).

akt 3, sc. 1 ego in portu navigo = ia iuż wytrząsł.

Eunuch. 2, 2: homo homini quid praestat = czemu człowiek człowieká lepszy.

omnia habeo = ni tego czegoby niemiáło páństwo moie.

4, 5 sine Cerere et Baccho friget Venus = kto nie doie á nie dopiie, wierę táki nie rad *cekluie*.

4, 7 omnia prius experiri quam armis sapientem decet = pokuś sie pierwey słowy Niżli sie śięgniesz do głowy (Rysiński, lecz oba *sie* opuszcza; podobnie Ezop).

Heautont. 2, 3: non fit sine periculo facinus magnum et memorabile = muśisz sie też też tego ważyć, chceszli ty niedźwiedziá pożyć, bez prace nie będą kołacże (użyte i na innem miejscu: przez p. n. b. k. = credebas dormienti haec tibi confecturos deos).

imeś stárszy, tym bądź nałáskáwszy.

tego lutuię silno = crucior.

tak rzekłá chuda: musi wszystko być ná co sie człowiek vda.

4, 3 quid si nunc coelum ruat = naydziesz tákiego, co sie boi ćieniá swego (Rysiński; z łacińskiego więc wzięte przysłowie o spadnięciu nieba, por. Adalberga pod „bać").

5, 5 naciężey począć (haec dum incipias gravia sunt).

Adelphi 2, 4 ut quisque suum vult esse ita est = tędy koń idzie, kędy go iezdny wiedzie.

Hecyra 1, 1 at qua via captent te illi, eadem ipsos capiam = godzi sie iego miłość tám nágnáć, kędy on chciał częstowáć.

2, 1 uno animo omnes socrus oderunt nuros = wszystki świekry *iedná niżli o iednę wolą* wszystkim niesprzyiáie niewiastom... viris esse adversas = záwżdy z mężmi wieść niesprosność.

4, 2 tute rem incommodam ut quaeque est in animum inducas pati = już odważ sobie ták pląsáć jáko będą bębnáć.

4, 4 nie iest w mey mocy co sámo toczy (censen te posse reperire ullam mulierem quae careat culpa etc.)!!

Phormio I, 4 laterem lavem = bym y gory przewracał, przedśiębym wczoráyszego dniá szukał.

fortes fortuna iuvat = kto mężnie płuży, temu fortuná służy

II, 2 prima coitio acerrima = naćięźey sie ostrászyć.

Si eam sustinueris, post illam iam ut lubet ludas licet = gdy raz niedźwiedziá zmożesz, iuż gdzie będziesz chćiáł, tám go zá nos powiedziesz (toż u Rysińskiego).

servum hominem causam orare leges non sinunt = máło masz máło mow.

vereor ne isthaec fortitudo in nervum erumpat denique = gdy będziesz cżego dokázował, pátrz, by więcey nie przestrugał (zresztą tłumaczy in nervum w łyka, lub w pęty), na str. Q 5 to samo przetłumaczono: boię się byś iedno nieprzećiągnął vel pátrz byś iedno w łykách niebył. Bywają więc bardzo znaczne różnice w tłumaczeniu tych samych zwrotów w pierwszej a drugiej części, i późniejsze bynajmniej nie bywa i poprawniejsze; oto np. jak odmiennie tłumaczy Walenty Aquilae senectus (Heautontim 3, 2) albo E flamma te cibum petere arbitror (Eunuch. 3, 2); Amantium irae amoris reintegratio est (Andria 3, 3) brzmi na k. C „miłuiących sie gniew miłości rozżarzeniem iest“, ale na karcie T. II, przyiacielskie rozgniewánie iest przyiáźni napełnienie“. Przytoczymy jeden obszerniejszy ustęp z Eun. 2, 2 matres student (filias) demissis humeris esse vincto pectore ut graciles sint; si qua est habitior paulo, pugilem esse aiunt, deducunt cibum, tametsi bona est natura, reddunt curatura iunceas = T_4 Pospolićie sie mátki stáráły, áby ich dziewki opádłych rámion były, áby ćienko rostąc *záwiązáłe pierśi* miáły; jeśli ktorá *vdatnieyszá* będzie (jest *przytłustszym* D_8), wnet iey vrągáią, wnet ią zapásniczką przezywáią, á ták chcąc temu pogodzić máło iey dáią ieść y pić (viąć komu obroku D_8), że z oney *wołowátey* pánny táką vczynią iáką mieć chćieli (wydwornym chowánim subtelne cżynią D_8).

A jeszcze jako próbę wierszowania naszego bakałarza z iście bakałarskimi rymami przytaczam z Eun. aktu 5, sc. 2 ową naukę o „paniach duszkach“, quae cum amatore suo dum coenant, liguriunt, harum videre ingluviem, sordes, inopiam, quam inhonestae sunt domi, atque avidae cibi, quo pacto ex iure hesterno panem atrum vorent, nosse omnia haec salus est adolescentulis:

Gdy z panicem wieczerzáią,
Tám by vyźrzał iáko *sie obieráią.*
A coż gdy będzie doma,
Iáká tám około nich chudobá.
Jáko sie niemáją w cżeść,
Bo sie im bárzo chce ieść.
Iáko z onegdáyszey polewki
Zrą borysowe sztuki.
To obaczyć dobrze wszystko
Iest młodzieńcom pożyteczno,

ale w pierwszej części (F_5) znachodzimy dla ligurire zrżeć, łokać; patrząć ná cżyje obżárstwo; zdrowo to młodzieniaszkom. Jeszcze

kilka sentencyj: stára to jest nowiná, że miedzy przyiaćielmi spolna iest suknia y skrzynia (Adelph. 5, 3 communia amiorum esse omnia); wiele nas tákiego przyrodzenia, iż gánimy swoie mienia (Phormio 1, 3 nostri nosmet penitet); gdzie pobożnośc tám y godność, káżdy wilk szárą etc. (2, 1 ecce similia omnia, omnes congruunt etc.); 4, 5 mulier mulieri magis congruet = z przyrodzenia to przychodzi, iże niewiástá z niewiástą rychley sie zgodzi; 4, 4 qui te e tranquillo ad scopulum inferat = będzie ie dobrze zganiał ale go mało będzie miał!!; żywa sprâwiedliwość często żywa złość (Heautont. 4, 5 ius summum etc.); myłką chyba czytamy: prozno temu ścierpieć kto nie chce táńcowáć (nae haud ille scit qui mihi nunc surdo narret fabulam 2, 1) i t. d.

Przy tym przekładzie „formuł" Terencyuszowych nasuwa się jeszcze jedno ważne pytanie, tym razem literackie i bibliograficzne; pytania tego nie poruszył p. Windakiewicz w Teatrze ludowym, a jest ono bardzo ciekawe. Mamy bowiem wyraźne świadectwo, że literatura polska posiadała przed owymi „Formułami" spolszczenie komedyj Terencyuszowych i Plautowych! Świadectwo wystawił stary, znakomicie około piśmiennictwa narodowego zasłużony Czech, Mikołaj Konacz (Finitor) z Hodisztkowa, gdy sam pierwszy z Czechów komedyę szkolną łacińską, Judytę Greffa, na czeskie tłumaczył. Nie mając oryginału pod ręką przytaczam słowa jego wedle cytaty u I. Vlčka Dêjiny české literatury I (1897), str. 350: „Nêmci také tím svým drsnatým švandrovným jazykem kterak historie spisují, vidíme. Co pak Poláci činí, kteříž nêkdy dosti malo neb nic svau řečí přirozenau psáti neumêli; ale cizí latinskí užívati musili, již pak nyní netoliko prosté rozprávky spisují, ale rykmy mírnými hry rozličné znamenitých poetuov, kratochvílných Terentia a Plauta svým tím hrubým a neohebným glagolem tisknau a na svêtlo vynášejí".

Nie mogą się słowa te żadną miarą odnosić do owych „Formuł", gdyż pisały się one w ciągu roku 1545 (krótko przed śmiercią starca; Judytę wydał, już po śmierci autora, znajomy jego r. 1547), gdy tymczasem te „Formuły" Szarfenberger 15 grudnia 1545 dopiero puścił w obieg. I potem co innego komedye rytmem wyłożone, a co innego wyjęte z nich prozaiczne sentencye, nie mówiąc już wcale o Plaucie! Ależ czy są jakie ślady polskiego Terencyusza i Plauta przed rokiem 1545 — milczą o nich spółcześni, nie wiedzą późniejsi.

Maciej Szarfenberg wydał był w oktawce, r. 1545, Formulae Terencyuszowe; po jego śmierci w inwentarzu jego księgarni z r. 1547 (Benis, Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce VII) znachodzimy pod nr. 492 (książki *in octavo!*) „Colloquia ex Terentio“ 5 egzemplarzy (chyba to nie Grapheusa = Scrivera?), a potem znowu pod nr. 721 „Colloquia Terentii“ 3 egz., pod nr. 12 „Terentii Sententiae“ 3, a pod nr. 85 tychże tyleż — czy to dzieło naszego Walentego? dziwna, że nie „Formulae“ właśnie nazwane. Plauta śladów niema, chyba, żeby kto komedyę Aule (*polonice*, nr. 489, trzy egzemplarze) wziął za Aulularyę. Ale jest zdaje się na pewne Terencyusz polski, przynajmniej w rubryce polskich książek (*Polonice*) wymienione wyraźnie „Comoediae Terentii“ 1 egzemplarz (więc nie był to artykuł jego nakładu) w oktawce (nr. 322) — czy z takiego polskiego Terencyusza nie zaczerpnął Rey swej wiedzy o Fedryaszu? Uderza nas wprawdzie głębokie milczenie źródeł; czyżby to Bielski i mistrz Walenty sam i Rey zresztą nic o nich nie wspomnieli! Przecież po komedyach humanistów zostały albo egzemplarze (jak po „Sądzie Parysa“) albo wyraźne cytaty jak z tłumaczenia Acolasta. „Comedia Aulae“ można i zupełnie inaczej, nie na Plautową, wyłożyć, i możnaby przypuścić, że Konacz pomylił się, że słyszał wyraźnie tylko o komedyach polskich (z łaciny tłumaczonych) i dodał mimowoli sam „Terencyusza i Plauta“, nie myśląc o innych, o neoterykach.

Przyznam się jednak chętnie, wolę ufać, że jakiś traf szczęśliwy polskiego Terencyusza i Plauta nam jeszcze dostarczy.

Z tej notatki wynika znowu cenność wydanego przez Dr. A. Benisa materyału bibliologicznego. Prawda, nie udało się wydawcy wielu pozycyj należycie oznaczyć, już w artykule moim w Pamiętniku Literackim (I, 1902, str. 544 i inn.) sprostowałem lub określiłem bliżej niejedno, ale takich sprostowań możnaby bardzo namnożyć, n. p. nr. 477 „Apologia de sinu aureo“, należy czytać „Apuleius de asino aureo“, zaraz następny nr. nie Tarnobius, lecz Arnobius już dla samego szyku abecadłowego drukować należało; *Slofarnya* (nr. 603) raczej *Szafarnia* (znane pod tym tyt. książki do nabożeństwa, chociaż znacznie późniejsze) czytam; nr. 667 grammatica *Lumaerii* graeca — czytaj *Linacri* i t. d.

Na zakończenie tego przedługiego ustępu dodam jeszcze, że późniejsze wydanie zachowało dawne *z ciężká* (czeskie *ztěžka* zaledwie) w owem „aliquid monstri alunt = y ći nie dobrze gádáią

z ćięszká komuś káptur szyią"; paulo momento hic illic impellitur = zá máłą chwilę może sie y tám y sám *chynąć*. Zamiast *przynękały* (I wyd., impellebant) daje późniejsze *przymuszały* (*musem* często już narabia), np. tosamo aliquid monstri alunt tłumaczy i przez „już to coś tám niepewnego być muśi vel Coś tám muśi być kuią"; zamiast „w iakim sie warchoł wmatlał" (I wyd.) = „w iakim sie frásunek wdał" (in quod me conieci malum); zamiast „dał sie roskoszy ochełznąć" (I wyd.) = „zażywał roskoszy" (voluptati obsequens fuit); non minuam meum consilium, już nie jest „nie vszczypnę", lecz nie odstąpie mey rády; multo prius, dáleko *drzewieyem* wiedział I = dáleko *pierweiem* wiedział niż ty; por. jeszcze *łączyć* w znaczeniu *dzielić*: illam a me distrahit necessitas = niewola mię z nią *łączy*; tibi id in manu est = to v ciebie *w gárzći* iest.

Jeden z ginących terminów dawnego Terencyusza, to *oblik* remedium; spotykamy go równocześnie u Seklucyana (katechizm 1547 i 1549 r.), np. o rzeczy doczesne Boga „mamy prossić pod obyczaiem, albo (iako zową) *pod oblikiem* zdawaiąc prośby nasze pod wolą bozą", ale o żywot wieczny itd. „tego mamy prosić *krom żadnego obliku*, ale temu wierzyć, że to da, bo obyeczal"; jest i w Dworzaninie jeszcze, ale potem rychło ginie.

Linde nieliczne przykłady przytacza pod *obligacyą* i *obligiem*, ale właśnie owe Seklucyanowe dowodzą jego myłki; jest wprawdzie w Dworzaninie i *obliqu*, lecz przeciw łacińskiemu terminowi polski oznacza coś wręcz obowiązaniu przeciwnego, warunkowego tylko i pozornego.

Cośmy wywiedli o odmianie, jakiej polszczyzna pisemna około połowy w. XVI uległa, odnosi się nieraz nawet do jednego i tego samego pisarza, którego styl pierwotny za młodu bywa odmiennym od późniejszego, „wytartego" i wypolerowanego.

Uderza to najbardziej u Erazma Glicznera. Jeśli czytamy późniejsze jego dzieła teologiczne i polemiczne, np. Odpór itd. lub Appellatyę, nie poznajemy w ich polszczyźnie, niczem nie wybiegającej od normy obowiązującej polszczyzny, jego Książek o wychowaniu dzieci, 1558 r., obfitujących mimo szczupłej objętości w rzadkie i dyalektyczne terminy, np. powie on tam: „nabrawszy ich (jabłek) w czapkę *zgolemo*", użyje nieraz terminu *głobić* (*pogłobić* jemu o dobre wychowanie, nie *głobić* ani starać), *pilować* i *przypilować*; on *sprza* (jak po śląskich narzeczach itd.), nie sprzyja, i winczuie; jemu *słusza jest* (zamiast przysłusza chyba); iáko oni *mżyk gráią* s swemi

bebisydmi; *porywki* i poswarki, prze *poprzeczne* zachowanie (Hagary przeciw Rebece); *fiżka*; mówi o „jędrnem“ słońcu; używa dawnego *wieliczyć*: z thego wyeliczą, wielce sie wielicyl á kokossył; w stadle á w *przyworze*; *tąpając* nogami (zresztą tupać mawiano, ale potępić itp.); upiłe i *ułokane* (por Terencyusza, jak przy fiżce itd.); z *lonośći* tej to jest zwyczaju złego wymoczyć; *zlecować* komu; ludźmi albo *człowiekami*; używa jedyny formy *turleje* (z turniejów i turmiejów) o zachodach, np. wyele turleyą, turleye a hałasy; każe powściągać dzieci „od zbytków *niefrymuśnych*“ i daje pierwszy przykład owego, w gwarach naszych wcale częstego, niewyjaśnionego terminu *frymuśny* (por. np. Łopaciński Prace V, 733: *frymuśne* jadło, wyszukane; *frymuśnica* grymaśnica; *frymużny* tożsamo, i pyszny, zarozumiały; jak Frydland, Frysztat itd. przechodzą w Fyrdland, Fyrsztat, tak i z *frymuśny* powstało *fyrmuśny* a z tego dalej *faramuśny*, *faramuszka*, a dalej może i *alamuśny*, czegobym nie od animuszny, zachowującego swe kształty lepiej, odwodził; pierwotne frymuśny można z *frywołtem*, comessatio, z niemieckiego, porównać, chociaż po niemieckich słownikach średniowiecznych terminu nie znachodzę, a może to niemieckie Fürwitz, ciekawość, wszeteczność?); *kotować* (szydzić); *literak*, *zabijak;* dziecię iż jest *bełchliwe; domalegajem; lejowi* (pijaki); *a pipi!;* áby im nie *pikało* pod kolany álbo rozum nie nuczył; sthan á záwołánye *huydmi* á wykrzykámi by zábijakámi (Seklucyan powiedziałby zabijaczami) grodzić, *huj* znany wykrzyknik. i w niemieckim itd.; kwitnieją albo *zrzenieją;* gdy nieco nauki *zdżdżmye* (forma fałszywa zamiast zażmie, powstała z — żdżąć = zżąć) — jak na niezbyt obszerną książeczkę (120 kartek malutkiej oktawki) wcale to spory wymiar rzeczy nieraz wręcz „dyalektycznych“, bo pominęliśmy wszystko niemal, co po spółczesnych częste (np. *wrają*, *dołożne* pisania, *sszycić* á bronić, *skład* = zakład, zuchwalnie, mglał, osocznicy – strzelcy, *podusk* zamiast poduszek i t. d.; zwracamy uwagę na acc. zamiast genet. przy nomina actionis, np. czas uczenia dziatki swe, na rzecz czynienie itp. — pomijamy liczne przysłowia). Jeżeli z tą tak dyalektycznie zabarwioną książeczką porównać trzy razy tak obszerny „Odpor“ jego (z r. 1579, egzemplarze, oprócz wymienionych dwu u Estreichera, są w Królewcu, Toruniu i Lwowie), to pokaże się, że z całego zasobu tych słów zostało mało co, np. *dołożna* sprawa i *dołożnie* (dokładnie); jeśliż tedy on łotr (na krzyżu) nie o czyściec, ale zaraz o krolestwo Chrystusowe *się głobił* (por. narzeczowe *za-*

głoba i *zagłaba* o trosce, niepokoju = starosłowieńskie *globa* mulcta, do czego Miklosich 66 żadnego przykładu z języków zachodniosłowiańskich nieodszukał, oddzielając *glob* od tego, i małoruskie *hołoblje* zamiast hłoblje tu należy; pierwotne znaczenie wszystkich tych terminów — zatykanie, zatyczka, klin (od pierwiastka gleb infigere, por. naszę rozprawę o Ezopach polskich str. 224); a my będziem modlitw *piłować*. Nawet we współczesnym z „Książkami“ owymi tłumaczeniu R. Lorichiusza (wydanem r. 1558, napisanem nieco wcześniej) brak owych terminów dyalektycznych, znajdziemy chyba *opilać* (wam to samym opiłáć); *narokiem* (umyślnie, por. Język Wł. Potockiego); *tałwisty* (u innych *tałowity*, o otyłym, n. p. ludziom obżartym, tłustym a *tałwistym*, o *tałwistość* obżarstwem się przyczyniali); psy łowcze albo *satynki* (nie znam tego terminu skąd inąd, zato *madalanski* — t. j. mediolański pies, tamże, aż w litewszczyźnie się oparł) i t. d.

A jak z Glicznerem, ma się rzecz i z innymi; nawet Górnicki np. w Dworzaninie 1566 r. nie wyrównał, tak jak w późniejszych swych pismach, całkiem polszczyzny, nie dostroił jej zupełnie do miary Reya czy Kochanowskiego, nie ustrzegł się form i zwrotów „gwarowych“. Powtarzamy więc, że nie dopiero pisarze Stanisławowscy i klasycy warszawscy, wystrzegali się słów „gburskich“, że dawno przed nimi, w wieku XVI, przejawiła się ta sama tendencya po raz pierwszy i do zubożenia języka polskiego doprowadziła.

III.

Jeżeli „Terencyusz“ 1545 r. był charakterystycznym dla dawniejszej polszczyzny, nie gardzącej gminnymi, miejscowymi wyrażeniami, to cztery Rozmowy M a r c i n a K r o m e r a, drukowane u Łazarza Andrysowica 1553 i 1554 r. (nie 1551), odznaczają się poprawnością i polorem języka takim, że mogą iść śmiało o lepsze z prozą Reya i Krowickiego, Orzechowskiego i Górnickiego, a choćby Wujka i Skargi.

Dzieła tego, ile wiem, dotąd dokładniej nie rozważano. Mamy obszerne prace o Kromerze, biskupie warmińskim i o Kromerze historyku, Eichhorna, Walewskiego i Finkla; noszono się nawet z myślą ponownego wydania tych Rozmów — ale planu nie usku-

teczniono, a szkoda; Biblioteka Dzieł Chrześciańskich, odnawiając np. kazania Birkowskiego, przysłużyłaby się niemniej przedrukiem Rozmów — przecież cenzura trudności robić może nie będzie. Rozmowy bowiem, to jedna z najpoważniejszych publikacyj apologetycznych katolickich; zaraz też po jej wydaniu polskiem zażądano od autora przeróbki czy tłumaczenia łacińskiego, lecz zajęty pracami zawodowemi, dyplomatycznemi, dopiero 1559 r. wypełnił Kromer to żądanie i wydał tekst łaciński w Dylindze, poświęcając go kardynałowi Truchsessowi, założycielowi uniwersytetu Dylińskiego; zaraz w następnym roku pojawiło się tamże niemieckie tłumaczenie (z łacińskiego tekstu; biblioteka berlińska posiada dwa egzemplarze wydania łacińskiego a jeden niemieckiego).

Dalsze koleje łacińskiego dzieła, które Kromer w porównaniu z polskim oryginałem z 1554 r. w końcu w dwójnasób rozszerzył, nas tu nie obchodzą; nas zajmie tylko pierwotna redakcya polska; korzystamy przytem z egzemplarza biblioteki w Rusku, obejmującym wszystkie cztery rozmowy, zachowanym przepysznie; opisu nie dajemy; wystarczy odsyłka do Bibliografii Wierzbowskiego.

Rozmowy Kromera, jedno z najpoważniejszych dzieł literatury polskiej XVI w., religijne naturalnie, bo nic ważniejszego wiek ów nad religię i spory wyznaniowe nie uznawał: i groza turecka, i powaby humanizmu wobec nich z pierwszego planu schodzić musiały.

Wstrzemięźliwość wysłowienia, odbijająca tak korzystnie od ówczesnych swarów i wyzwisk, nadzwyczajna jasność, logiczność, gruntowność wykładu, stałość przekonań, pewność siebie, wielka wiedza, sprawiają i na dzisiejszym czytelniku wrażenie bardzo korzystne.

Nie myślimy przytaczać o niem świadectw spółczesnych, sam fakt tłumaczeń i wydań świadczy najwymowniej o przyjęciu, jakie znalazło. Zwracamy przynajmniej uwagę na sąd bardzo wymagającego Hozyusza, znany nam z listów do Kromera (w II tomie korespondencyi); Hozyusz czytywał każdy dyalog, nawet przed oddaniem do druku, i uwag nie szczędził, szczególnie przy drugim i czwartym; nie powtarzamy zarzutów co do metody, co do wtaczania wzmianki o dekretach w przedmowie, wyliczania wszystkich miejsc z pisma św., użycia pierwszej osoby (my zamiast oni itd.) — uderza nas raczej, że Hozyusz zarzuca Kromerowi, zwykle lakonicznemu, zbytnią rozwlekłość, przypomina mu ów Azyjski niby

styl; zarazem jednak twierdzi, że zbyt ciężkie materye Kromer poruszył, że na stu czytających, chyba jeden się znajdzie, coby wszystko zrozumiał. Na sąd ten nie możemy się zgodzić; nam imponuje właśnie łatwa zrozumiałość wszystkiego; zbyt pesymistycznie zapatrywał się Hozyusz, zbyt jednostronny wielbiciel łaciny, na polszczyznę i czytelników polskich — czasy ich niemowlęctwa minęły były stanowczo.

„Mnich“ (dla krótkości go tak nazywamy) Kromera miły nam dzisiaj jeszcze dla miodopłynnej wymowy tego iście złotego języka; wierzyć się poprostu nie chce, że 350 lat od napisania jego nas dzieli — tak on wydaje się świeżym! Ciekawy on nam i drogi dla polszczyzny: jak znakomicie włada dworzanin Zygmunta Starego językiem ojczystym! widać ucznia Maciejowskiego, oddającego — przeciw Hozyuszowi i Fryczowi, przeciw zakusom humanistycznym i kosmopolitycznym — temu językowi, co się jemu należy.

Polszczyzny Kromerowej, krakowskiej, zygmuntowskiej, nigdzie też lepiej nie poznamy; żeby bowiem polski tekst Historyi o królewnie szwedzkiej z pod jego właśnie pióra wyszedł, dowieść nie sposób.

Polszczyzna to świetna; wolna od przeważnych wpływów łacińskich; wzory łacińskie posłużyły tylko Kromerowi do zaostrzenia zmysłu, jak poprawnie wysławiać się należy, jak budować peryody, zaokrąglać zdania; smak ten wykształcony na wzorach klasycznych, nie dopuszcza żadnych „makaronizmów“, żadnego pstrzenia szaty językowej płatkami łacińskimi. Pozornie u samego wstępu, wita cię naśladownictwo frazesu łacińskiego, gdyż „Przemowa“ zaczyna: „Pisarz czytelnikowi zdrowya“ i gdy pierwsze zdanie czytasz, obawiasz się przewagi czy wpływów łacińskich i nadal, lecz natychmiast przekonywasz się, że to nie tłumaczenie z łaciny tj. że nie myślał autor po łacinie, aby siebie samego, swoją myśl łacińską, na polskie wykładał. Oto początek:

„Aczkolwyek za chucyą y chciwoscią vznanya prawdy y rzeczy zbawyennych, ktora sye tych czasow pospolicye we wssech ludzyach okazuye, narodziło sye wssędy pisania o wyerze álbo religiey ták wyele, iż nie tylko wyęcey przyczyniać nyetrzeba ále by y dobrze vyąć, á powscyęgáć tych, ktorzy sye za mistrze wydawayą vczniami nyebywszy — a wszakoż, iż wyele yest ludzi oboyey płci w narodzye nassym polskim, ktorzy radzi sye też około

takich rzeczy y pisma obyerayą a Niemieckiego ani lacinskiego pisma nie czytuyą albo nyerozumyeyą, zdało mi sye zá potrzebną nyeco o takich rzeczach nassym yęzykyem napisać“ i t. d.

A potrzeba nagliła coraz bardziej. Minęły te czasy, kiedy z wielką biedą mógł się zdobyć książe Albrecht na nędzne, dosłowne przetłumaczenie katechizmu wedle wyznania augsburskiego, gdzie każdy zwrot nieudolność tłumacza tak zdradzał, że nie można tego było i drukować.

Wprawdzie umarł był rychło exdominikan Samuel Andreae, na którego książę, nietylko dla ewanielizacyi Mazurów swoich liczył, który pierwszy książeczkami polskimi — nie jak dotąd przywoźnemi niemieckimi i łacińskimi, ulegającemi coraz konfiskacyom — nową wiarę szerzył; miejsce zmarłego zastąpili najzupełniej uczniowie jego i na pierwszy plan — mimo zawiści współzawodników, nicujących nielitościwie i język i naukę jego — wysunął się eksmytnik poznański, Jan z Siekluk, Seklucyanem z łacińska się przezywający.

Coraz nowe wydania własnych dzieł (obszerny katechizm np., pełny najzjadliwszych wycieczek przeciw kościołowi rzymskiemu, wyszedł roku 1547 i zaraz znowu 1549) i przedruki dzieł obcych, Reya i innych, zalewały Polskę nowinkami pruskiemi; obok niego stawali do boju Malecki, Wojewódka i Trepka, chociaż głównie przekładami obcych dzieł, postyl i katechizmów niemieckich wojowali. Królewiec stawał się centrem najżarliwszej, najniebezpieczniejszej agitacyi.

Samymi represaliami, zakazywaniem czytania, konfiskatą towarów przywoźnych nie dało się niebezpieczeństwu zaradzić; należało się chwycić broni duchowej, książkę książką zwalczać, otrząść się z wiekowego snu błogiego.

Pojawiały się więc na razie pisemka popularne, dyalogi i rozmowy, broniące dosyć miękko starej wiary, Szczodrkowica, Korczewskiego i innych, lecz cóż one znaczyły? należało wytoczyć działa cięższego kalibru, burzące wszystkie pozycye nowowierników. Zadania podjęli się obaj mężowie, których i życie i obowiązki stanu tylokrotnie kojarzyły, Hozyusz i Kromer, ów po łacinie, ten po polsku.

Sczodrkowic czy Korczewski bronili szczegółów, przytaczali pismo św. dla usprawiedliwiania nauki a raczej obrzędów katolickich, czyśćca i popielca, celibatu i postu, święceń i świeczek, kultu

świętych i mszenia. Rozmowy Kromerowe w te szczegóły wcale nie wchodzą, i słusznie. Bo nie o to chodziło, czy można odnaleść tekstów dowodzących pleszu, popiołu, soli czy oleju, lecz chodziło tylko o pytanie, gdzie należy szukać kościoła prawdziwego, powszechnego, apostolskiego; jakie były jego cechy i znaki, czy zachował je kościół starodawny, czy między nowymi który nimi się odznacza. Wszystkie więc cztery rozmowy temu głównemu pytaniu poświęcone: na inne pytania odpowiedź wypadała sama, skoro tylko podstawę obroniono.

Więc w pierwszej rozmowie wykazuje mnich — dworzanin występuje tylko w osobie interlokutora, stawiającego pytania, nie polemizującego, rzucającego chyba jaką wątpliwość — że wiara i nauka luterska nie może być ową nauką apostolską, dla samej niezgody jej wyznawców; i dwu się nie znajdzie, coby we wszystkiem za jedno trzymali; burzą oni tylko miłość i zgodę chrześcijańską, sadząc się wszędzie opornie na myśl własną, własne wyrozumienie pisma św., całkiem wedle modły dawnych, potępionych heretyków, wtaczających nowe i niezwyczajne rzeczy około wiary naszej.

Druga rozmowa uczy, jako rozeznać co jest słowo Boże a co nie, czego się chrześcijanin dzierżeć ma, aby wymysłów a dum ludzkich albo czartowskich zabobonów i błędów za słowo Boże nie przyjmował; należy się poprostu trzymać, aby w błąd nie wpaść, kościoła bożego prawdziwego, który nie błądzi — ale gdzie ten kościoł, skoroż i heretycy go sobie przywłaszczają. Więc wykazuje się w rozmowie wtórej, że nie w słowiech pisanych albo i wyrzeczonych, ale w wyrozumieniu ich jest słowo Boże, a iż tem wyrozumieniem a wykładem nie kto inny jedno kościół władnąć i szafować ma, tak iż we wszem każdy chrześcijanin na jego wykładzie i zdaniu przestać a jego jako słupa i gruntu prawdy mocnie się dzierżeć musi, chce-li nie zbłądzić a zbawienia swego nie utracić.

W rozmowie trzeciej przystępuje Kromer do wykazania, co a który jest prawy kościół boży a poczem je poznać. Wyłożywszy cechy tego kościoła, zjednoczone tylko w katolickim, jednym, świętym, pospolitym albo powszechnym i apostolskim, pozostawia mnich rozmowie czwartej ukazanie samej nauki kościoła, a gdzie jej szukać, abyśmy się ustaw ludzkich albo zabobonów jakich miasto nauki kościelnej nie imowali, a sumnienia swoje niepotrzebnie nie

obciążali albo zawodzili; jak kościół tą nauką szafuje, co odmienia i postanawia, jaką mocą i jakim trybem.

Treść tę wyłożył Kromer spokojnie a gruntownie; ułatwił sobie sprawę, nie przecząc bynajmniej nadużyciom, które się do kościoła wkradły, nieuctwu i światowości duchownych, dowolnościom wszelakim — dyspensacye rzymskie dyssypacyami dobra kościelnego nazywa — ale coraz nastając na to, że złe używanie dobrego nie znosi, że chwalebne były początki Lutra, gdyby w pokorze i miłości chrześcijańskiej nie dał się był unieść zarozumiałości i bucie. Nieraz uwzględnia przy tem stosunki polskie, Łaskiego z oka nie spuszcza, Orzechowskiego i Maciejowskiego po imieniu nie nazywa, ale ich wystąpienie i słowa przytacza; narabia polskiemi przysłowiami, nawet od Stańczyka się zapożycza; wycieczek przeciw polskiemu trybowi sobie dozwala. Najbardziej na samym początku; więc z niego kilka ustępów charakterystycznych przytoczymy:

Woła Dworzanin na Mnicha: Słysz ty, licemierniku, antykrystów sługo, nieprzyjacielu prawdy i krzyża Krystusowego! wilku w owczej postawie, ty w błazeńskiem odzieniu, któryś się po błazeńsku ogolił. Mnich uchodzi, aby guza nie dostał, bo za takim gromem rad piorun bije; w końcu odzywa się „dziwnymi mye imyony krzcisz a nic nye wwyęzuyesz“. Dworzanin: wey mnicha, brałby, owa kyedybyć kto co wwyązał przekrzciłby sie, zrzuciwszy tę błazenską kapicę ze wszystkiemi zabobony licemierniczymi (tu zaznaczam, że wiązaniem nazywano dary chrzestne, że w dzień patrona „wiązano“ czemś solenizanta, wyrażenie to wieki przetrwało; tak n. p. pisze Czechowic w Wujku 1590 roku, str. 3 „my ktorych (Wujek) heretykami bez wiązánia krzci“; toż u W. Potockiego itd.). Zarzut łakomstwa odwraca mnich przeciw tym, ktorzy sye tey nowey ewangeliey yęli, aby kościoły złupili, księżą uciskali, dziesięcin niedawali, czynszow niepłacili, role, łąki, wsi kościelne odeymowali. Dworzanin: a nie czynią tego też waszy bożkowie niektórzy, którzy obrazy liżą? was rzekomo bronią *a daj sam dwie na łęk, jako Stańczyk mówi* (i na drugiem miejscu powtarza Kromer to przysłowie o obronie, żołnierz niby chłopa przed napaścią broni, ale najpierw sam sobie parę gęsi na siodło kłaść każe); odbieramy wam dobytki wasze, bo powinności waszej (wezwaniu i powinowactwu swemu) dosyć nie czynicie. Mnich: nie baczęć ja też, iżebyście wy, panowie dworzanie, i rycerze swemu

dosyć czynili; już wam też barzo miecze i groty pordzewiały a rychlej u drugiego książki najdzie niźli pleszki (plech, pancerz; por. w dziesięć lat później podobne przytyki Kochanowskiego, który snadź Kromera czytał).

Zarzuca teraz dworzanin duchownym, że całe ich staranie, aby we wszem nad nami laiki górę mieli a z jałmużny i ciężkiego potu naszego i naszych ubogich ludków. próżnując, psy, chłopy, szkapy karmili a dobrego bytu i swej woly we wszystkiey rozpustności łotrzy z łotry i kurwami używali... łotrowieście wszyscy mniszy i księża wespołek i z bogiem swym a bałwanem, papieżem. Mnich protestuje przeciw sprosnej mowie: inaczejci przed laty dworzanie mawiali, ale nie dziwuję się temu, garniec albo konew tym opływa, czym ją przeleiesz; (wy nie lepsi, nie używacie lepiej rzeczy waszych): mógłbychci ja też przypomnieć wasze i waszych żon łańcuchy, bramy, rzezanie, sznurkowanie, pirze, durkowanie (tj. dziurkowanie szat). haftowanie, gry, psy i ine stroje, marności i utraty; nie z nabożeństwać też pochodzi, iżeście nam drwa zdrożyli... ale stara przypowieść, kto w piecku lega, ten drugiego ożogiem maca. Dworzanin: ale my wżdy swe utracamy, wy ubogich partekę a pot naszych poddanych. Mnich: tenże wy też pot utracacie *a jużeście je tak ucisnęli i udręczyli ciężkimi a ustawicznymi robotami i winami, iż musi się Bóg nad wami za ich wzdychanim i płaczem ich krzywdy pomścić...*

Prawda, ustępów tak silnych i wymownych nie znajdziemy zbyt wiele. Niżej nieco mowa o Maciejowskim, biskupie krakowskim; mnich protestuje przeciw Lutrowi i żeniaczce mnichów, dworzanin na to: owa u ciebie w jednej cenie kurestwo a święte małżeństwo, ale temu nie dziw, gdyż są między wami, ktorzy śmieją powiadać i twierdzić, iż *lepiej* kapłanowi z wolną białą głową, ba i z cudzą żoną obcować, niżli się ożenić. Mnich: niewiem, by kto w kościele chrześcijańskim tak uczył. Dworzanin: biskup to jeden miał mówić, poszepcęć w ucho. Mnich: nie wierzę by ten to mówił; tak go to zły człowiek potwarza; jamci słyszał, iż on mówił: *znośniejsza* rzecz jest kapłanowi nieczystego grzechu się dopuścić niż się ożenić, daleko to od onego, toć tak ci waszy nowi ewanielistowie nietylko ludzkie ale i Boże słowa często wywracają.

Dalej zarzuca mnich nowowiernikom równe łakomstwo, bo oni „wołając na łakomstwo księżej, spustoszywszy kościoły, klasztory i ine dobre nadania, nie jednę ani dwie, jako Stańczyk, ale

dziesięć na łęk sobie dać każą a nigdy się nie nasycą (i przytacza obce przykłady z Noremberku i Straszburka): *za trzecim słowem* papieża, biskupy, księża i mnichy przeklinają i t. d. aza nie wiesz, skąd Luter naukę tę swoję nową zaczął? iż inemu a nie jemu odpusty papieskie na kazaniu opowiadać kazano, skąd się on *dobrej grzanki nadziewał.*

Obszernie wywodzi swary nowowiernicze np. o Interim walkę Melanchtona z Flacyuszem („Słowakiem, ktory w Majdeburku jest) i t. d. a tutaj, znowu po imieniu nie wymieniając i Orzechowskiego ostro dotyka: nadmieniając, jakie wręcz sobie przeciwne zdania o papieżu i kościele papieskim Luter wygłaszał, dodaje: i samić (doktorowie luterscy) niedawno inaczej mowili, wszak są drukowane książki De ecclesia Christi (Orzechowskiego 1546 r.) i Dyatryba (tegoż z r. 1548). „Teżci drugi pisał przed kilkiem lat przeciw Lutrowi, ale iż mu pisania jego *nie pochwalono*, a nie miało mu iść w pożytek, odmienił, a niedawno do papieża Juliusza sromotne a pełne potwarzy i fałszu książki napisał". (Ad Julium Tertium etc. z r. 1551).

Niedarmo uzyskal był Kromer pozwolenie czytania ksiąg heretyckich, jest on ich znawcą znakomitym, nietylko Lutra i Melanchtona, ale np. na k. K_4 czytamy u niego: ná tymże gruńcye i włoch nyeyáki, nyewyem co yest, mnich zbiegły czyli żyd (mowa o jenerale zakonnym Ochinie) błędy swoye sadzi mieniąc, iż p. Krystus z strony człowieczeństwa to jest ile człowiek jest urodzony syn boży a iż człowiecza natura zacniejsza i szlachetniejsza jest niż anielska a iż toż p. Krystus o rozwodzie ustawił co i Mojżesz a iż za leda przyczyną może się mąż z żoną rozwieść... a wżdy są ci ludzie u nas w Polszce, ktorzy takiego z inąd od mądrych i dobrych ludzi wygnanego fołdrują i mało nie na ręku piastują, nie dlaczego inego, jedno iż się z kościołem pospolitym nie zgadza, *którym nie dostawało by tak rozumu i śmiałości, by nie kościelne dobra.*

Tego bardzo pesymistycznego poglądu na pobudki polskich różnowierców trzyma się Kromer i nadal, mianowicie na k. N: *Nam się Polakom i Litwie teras tych nowinek zachciało, a jako i w strojoch także i w wierze, co ini porzucą, tego my się dopiero imujemy a z przyrodzenia to mamy, iż na nowiny mrzemy*... teżci przed stem lat niemało slachty i zacnych ludzi poczęło się było imować czeskiej wiary, jednak to rychło ustało, jedno iż nie dzi-

wowali się temu król i rada koronna, tak świecka jako i duchowna. Nie dali się złemu wkorzenić, niemając względu ani na powinność ani na zacność; strzeżono sie pirwej takich i karano je, którzy chcieli wszetecznie wiarą szermować, nie zasiadali ani obcowali s nimi dobrzy a stateczni ludzie. *A dziś to sobie za dworstwo mają a jakoby nie dworzanin ani wyczosany, który około wiary przekfiecać nie umie albo niechce.*

Także panowie dworzanie porzuciliście rycerskie ćwiczenia przodków swoich a teologiejście się jęli. A przetciwszy książki za dwa albo za trzy grosze, albo też usłyszawszy jedno co na biesiedzie od drugiego także dwugroszowego doktora śmiele a upornie o wierze się gadacie. Dworzanin: więcby lepiej kostki albo karty grać albo pić, aż oczy wylazą, albo o nierządnych i plugawych rzeczach mówić, jako pospolicie księża mówią, jeśli się zejdą, czyli ludzie a stany obmawiać? Mnich: przedsię i ludziom nie przepuszczacie ani pełnych ani gry ani plugastwa nie zaniechacie.

Jeżeli Seklucyan, wykładając katechizm, bił na nierząd statutu polskiego (o karę mężobójstwa), toć i Kromer w tyle nie zostawał, np. na k. L_1: i wy panowie slachta i rycerstwo, iż pokój, azaście się pługów, gospodarstwa i kupiectwa nie jęli, zbroje poniechawszy, tak iż wam miecze pordzewiały? w drugiej rozmowie czytamy, iż ci na które należy prawo i rząd stanowić, nie to ustawują, co wszem wobec lepszego, ale co sobie a swoim pożyteczniejszego być rozumieją, *coby się w naszych statuciech pokazać mogło, które szlachta sobie tylko ku pożytku stawi, nic albo mało względu mając na drugie stany*, także u rzymskich i wszech innych narodow. (Ustawy ludzkie podlegają dalej częstym odmianom) a zwłaszcza u nas w Polszce, gdzie często a mało nie na każdy sjem statuta odmieniają. Ale to są wyjątkowe wzmianki, zresztą trzyma się Kromer umyślnie samego przedmiotu.

Przy końcu pierwszej rozmowy wspomni więc dworzanin, że, nie wiedział nic o odmienności ciągłej Lutra i uczniów, „czego nam naszy ci dworscy kaznodzieje (kaznodzieje Zygmunta Augusta?) nie powiadają ani takich ksiąg ukazują“; mnich, nastając na niezgodę i niesforę nowowierników, że nie u nich kościoł być może i porządek ustaw i przełożeństwa, dodaje tym razem: jako też poniekąd dosyć ozdobnie po łacinie otym napisał St. Orzechowski przed kilkiem lat; podobnie cytuje przy końcu przemowy do ostatniej rozmowy dzieło Hozyuszowe: wyszły też teras księgi

pod imieniem synodu naszego polskiego po łacinie napisane barzo pożyteczne ku czytaniu w tych niniejszych zabiegach, gadkach i wątpliwościach około wiary i sprawy zakonu naszego chrześcijańskiego, tam cię biskupi nauczą, czego cię tu mnich niedouczy.

O Łaskim wspomina w rozmowie trzeciej (k. C_3): wyszły tymi czasy książki niejakie z Angliej, przy ktorych nasz jeden Polak imię swoje przypisał, w ktorych trzy są znaki kościoła bożego opisane, mym zdanim, sprostniejsze a niepewniejsze, niżli ony dwa luterskie, acz poniekąd ktemuż sie ściągają, jedno iż to jest obyczaj kacyrski na cudzych wymyślech nie przestawać, ale im co przydawać... z swey głowy wymyślać, jako nowi ci niemieccy i angielscy kacyrzowie czynią. Sami się nam wtrącają, tak iż dobrze nam, jako ono mowią, oczu nie wykolą.

Co do sądownictwa duchownego przyznaje nawet dworzanin w trzeciej rozmowie potrzebę jego, byle tylko z kresu nie wykraczało; mnich dodaje: ále im (duchownym) też swyeccy wyele przez gránice vymuyą á w sprâwy y vrzędy ich sye wpiráyą á już na koniec y sąd á rozeznánie około wyáry i kácyrstwá, co práwye własna rzecz biskupya, sobye przywłaszczają, a ono by dobrze aby każdy swego patrzył. Ustania wolnego wyboru biskupów przez duchowieństwo żałuje mnich naturalnie.

Co dziwna, że Kromer wierzył jeszcze w popa Jana i jego niezmierne państwa, wedle niego „jest też w Indyi a pod Popjanem, jako powiedają i piszą przez sześćdziesiąt królestw, ktoreby pod aleksandrynskim patryarchą być miały, ktore około wiary knam, a nie ku Grekom, syę przyznawają: jest tych ludzi nieco w Rzymie, nie szuje, ale zacnych i statecznych, a nie barzo dawno i posłowie od samego Popjana u papieża byli, wyznawający go być przełożonym stolice apostolskiej“.

W przemowie do rozmowy czwartej każe czytelnikowi, gdy o czem wątpił, „dołoż się mędrszych i uczeńszych, nie tych mówię, którzy Terencyusza, Owidyusza a nieco w Cyceronie a ktemu Locos communes (Melanchtona) albo confessionem Augustanam albo katechism jaki (Seklucyanów!) przećciwszy za uczone i mądre się wydawają, o każdej rzeczy śmiele swiegocąc, jako kiedy w nadętą macharzynę trzy ziarna grochu włoży, ale onych i t. d., których rozsądkowi ja też wszystkie rozmowy ty poddawam, nie sadząc się na swym rozumie, ktory rad *chełsnam* i t. d.; do Zebrzydowskiego pije dworzanin, który nie w biblii wyczytał był zdanie:

kapłan i prorok nieumieli przed opilstwem (Ezaj. 28) i mówi o tych księżach, co dopuszczają każdemu czynić co chce i *wierzyć by też chciał* (iż tak mam rzec) *i w kozę*, byle oni swoje dochody i pożytki spełna mieli.

„Rozmowy“ Kromera, to nietylko pomnik literatury polemicznej i teologicznej, uważamy je i za pomnik literacki a przedewszystkiem językowy. Kusił się przecież Kromer o wydanie rzeczy, których po polsku nie pisywano i walczył z niejedną trudnością, formował wyrazy *(powszechny)* i próbował nowej terminologii (np. *hasło* zamiast *skład* apostolski). Zarazem wystąpiła tu drukarnia Łazarzowa z pierwszym wielkim dziełem polskiem.

Druk przedstawia się bardzo korzystnie, bujny, wyraźny, czysty, brzegi szerokie; czcionki podobne do tych, jakimi drugie wydanie psałterza Reyowego drukowano a i ortografia niemal ta sama. Tylko a (łacińskie) kreskowane; nosówki, szczególniej ę, czasem przez em (i ęm) pisane; znakiem zmiękczenia jest zawsze y, chociaż miejscami wkradnie się i *(nie* itd.), y wyraża i jotę początkowo (w słowie i głosce) i spójnik. U spółgłosek dziwna niekonsekwencya: cz wyraża się przez ċz (nie cż), ale sz przez ss *(ſſ)* i sterczące te patyki, szczególniej jeśli się ich więcej zbije, np. *wyſſſſy*, wcale nieforemne; tosamo sz na końcu słowa i zgłoski pisze się jednak przez sz (idziesz, ksiąszka i t. p.). Tak kłócą się i inne zasady, fonetyczna z etymologiczną, np. pisuje się się stale *lidżba*, *cyęszki* itp. Zato chwalimy konsekwencyę w pisywaniu końcowych ym, — ymi (im, imi), chociaż i tu znajdą się nieraz mylki, n. p. yedno z *drugyem* obok w *tym*, o *czym* itd.) u przymiotników; rzeczowniki żeńskie mają dat. na — am, męskie na — om, ale do concylja — concyljam.

Tu wkraczamy jednak w dziedzinę może raczej zecera niż autora samego; obok bardzo starannej pisowni samogłoskowej uderza stałe używanie formy *abowim* (raz może tylko użyte *abowyem)* i, w przeciwieństwie do spółczesnych, piszących *jakmiarz* przeciw głosowni, stałe *yakmirz* (parę razy jest i *jakmyarz*). Niejednej formy błędnej, niehistorycznej, wystrzega się jeszcze Kromer; on zawsze *jednoci* (od jednoty), *zjednocony* kościół u niego (jak dziś jeszcze u Czechów), podczas gdy my fałszywego *zjednoczenia* od dawna używamy. Ale już on używa niehistorycznego *uczestnika* zamiast i obok *uczęstnika*, albo *płonny* powie, zamiast *płony*. Wyliczę teraz wedle następstwa rozmów ciekawsze słowa i zwroty, bo

i on je posiada, chociaż język jego od normy książkowej, krakowskiej, jak najmniej się oddala.

Już wyżej wspomnieliśmy stale używane *przywoity*, powtarzające się kilkadziesiąt razy; *przyzwoitego* ani razu nie znalazłem, jeśli dobrze pomnę. Również charakterystyczne *ustmie* t. j. ustnie, on zna i używa przymiotnika *ustny* nieraz, ale nigdy nie powie inaczej niż *ustmie;* znamy w polskim i czeskim inne podobne przysłówki na — mie (omacmie, mrokomie, kradomie itd.).

Już wyżej wspominaliśmy o przymiotniku *czelny* tj. naczelny, w Terencyuszu, tu mamy znowu wyraźny ślad tego, że pochodzi od *czoła* a zmieszał się z *celem*, że łaciny do niego plątać nie trzeba, czytamy więc na k. G_2: A nye mnimay, áby máłe roznice myedzy nimi były á na ktorych máło należy. I owssem o *czelnych* rzeczach nássey wyáry [1]).

Słowa *załoga* używa Kromer nie w naszym, lecz w czeskim sensie, zasadzka: L_2 iżebysmy pospolitey krześciyańskiey nàuki przećiw ich *załogom* broniąc czuynieysssymi y ostroznyeyssymi byli; podobnie czytamy w przedmowie do rozmowy trzeciey: acz mu (czartowi) sye yednym obyczayem nye ssáńcuye á odkryte będą *załogi* yego... odkrył yego tę *załogę* Duch św. przez wybrane sądy swoye doktory kośćyoła św.; ku *załodze* błędu.

Y *trucinyć* by sye łácno vstrzec, by yey nye słodzono á w dobrym yedle àlbo pićyu nyezádawano. Y ryby wędki by nye bráły by *nastrnogi* nyebyło — ten wyraz (nastrnożyć itd.) ma i Krescencyusz często i inni, Czesi mają tylko nástraha Köder; i w polskim nastroga i nastrożyć były pierwotne.

Czekawszy go *tyydźień* N_4: tey samey formy używa Łazarzowa drukarnia i w dziełku Strumieńskiego, o sypaniu stawów, w dwadzieścia lat później.

I u niego powtarza się *niezbedny* (może czeskie), jak *zabażyć*, co zpewnością czeskim nie jest (co sye komu *zábáży)*; obcem zato jest *walcać się* wälzen (valcovati u Czechów), którego i Orzechowski w Dyalogu używa, mówiąc o Długoszu co się po kąciech walca; tu czytamy: a nyę nissczy ten wyáry álbo przyśyęgi, ktory

---

[1]) Taksamo niżej O_2 b: odłączył się Chore kápłan, Dathan y Abiron zacn ludzye ze dwyemásty y pyącyądźyesyat *czelnych* ludźi y przełożonych od zboru żydowskiego i t. d. Podobnie pisze Gliczner 1558 r. i t. d.

sye z k. álbo z cudzymi żonami *walca* — dalej pyta dworzanin: kyedy kto sobye ná vrząd *pobocznicę* chowa.

Formy *Yadam* i *Yewa* Kromera nie rażą, on i *Matuszem* ewanielistę nazywa a *Dziwiszem* Dyonizego; i on używa formy *Saś* = Saksonia, a więc K_3: spráwił to, iż są wygnáni z *Sásiey*, w *Sasy*, (Sasi); pisse, *ále po hárápye* (po niewczasie); w *krucganku* sye zeydźyemy.

W drugiej rozmowie czytamy na początku: yesscze dwánascye nye bił (tj. zegar); á *yelo* (ile) ludzye, nie prożni onego co i t. d.; dwiema rybama; *acz nic* tyle co przynajmniej, z czego nowsi wydawcy *acz nie* mylnie tworzą, i tu częste, np. mógł Krystus wszystko co w ewanieliach mamy, za jeden dzień wypowiedzieć „álbo *acz nic* za ony trzy dni kyedy czterzy tysiące ludźi" itd.; *do dzysyádnyá* obok *dzisiedniá;* jedno z jego słów ulubionych, *bakać*, strofować, karać; drugie obok niego, *wyjądrzyć* tj. wyłuszczyć np. a yásnyey to odpis Innocenctiusow *wyyądrza*, było w koscyele wyele rzeczy ważnych, ktore ani przez P. Krystusá áni przez ápostoły yego *wyyądrzone* nyebyły; náuká przez kośćyoł św. *wyyądrzona*, bo lepyey *wyyądrzone* y obyáśnione tákowe náuki być mogą i t. d.

Ulubiony jest jak i Biernatowi z Lublina rzeczownik *dowora*, swoboda, przystęp, dostęp; np. tey wolnosci nie obrácayćye ku *doworze* ćyałá, *doworę* błędu wzyęli (częste) — por. język „Ezopa" w rozprawie naszej str. 224; *chyba* nie zeszło na przysłówek, rządzi jeszcze 2. przypadkiem, np. k. o: ktorych ksyąg nie mogł nikt otworzyć ani poźrzeć ná nie, *chybá lwá* z pokolenia yudowego á báránká, albo x. 3: ustawa też zaś ustała po wszem kresciyáńśtwie *chybá* Grekow á Rusi ktorzy sye yey yeszcze dźyerżą; podobnie i u Leopolity w biblii: *chyba* (prócz) mnie niemasz innego Boga.

Formy nie bywają jednolite, tak miesza się coraz *wobec* i *wobyec*, *własny* i *włastny*; są i błędy druku, więc np. co sądzić o formie „komuż tu więcey wierzyć, Luthrowi *zbrodoowi*" O_2? *nadder* częste; również *cyelestny*; obok *własnego* znachodzimy i *włascinny*, np. żadnyć wykład pismá nie bywa włascinnym to yest człowieczym wykłádánim; pospolitych słow na rzeczy nowe *włascinnie* używáyąc; uderza pisownia *obowia* zamiast obuwia: áni dwu sukyen, áni *obowya*, áni láski itd.

Jak w czeskim, używa Kromer obok pychy, pychu, np. *pychem* sie nie vnosił, ktobykolwiek z *pychu* rozkazánya kápłáńskiego

słucháć nie chćyáł i t. d. *Obojętny* znaczy jeszcze dwuznaczny: gdźyeby sye co trudnego á *oboyętnego* przytráfiło. *Sąd* naczynie częste, np. sędowye y narzędowye, albo: nye inacey (fałszywie zamiast *inaczey*) yedno yako kyedy kto ćyasną wronką *w sąd* wodę álbo piwo leye. *Sennik* znaczy tu jeszcze wykładacza snów, por. cośmy wyżej o wyrazie pamiętnik itp. powiedzieli. Z trzaskiem, nagle, np. *z pirwu* ij (zakon stary) sami dźierżeli... tám dopiro zgromádziwssy sye... przedsye nye *strzaskyem* ij skáźili.... pogány tylko od obowyęská zakonu wyzwolili: słowo ulubione np. u „Anonima protestanta" circa 1565, u Bartosza Paprockiego w Kole rycerskiem itd., por. naszą rozprawę o Ezopach polskich str. 233.

Z rozmowy trzeciej na k. a 6: a to są zbory czártowskye ktory yáko *z pirwu yednąc* (raz) począł gdzye może dźiwnymi obyczaymi ludźie zwodzi a wedle przysłowia nássego polskyego *podle kośćiołá kárczmę buduye.* Mówi o składzie albo haśle apostolskim, że to summa naszej wiary, którą yako złotnicy weinsteynem złoto (naukę by) probowali á co *podrożnego*, co *zdrożnego* doswyadssáli — przy końcu czwartej rozmowy do tegoż wraca i dodaje: máyą też y myńcárze y ći kthorzy sye około drogyego kámyenya obiráyą swe proby, ktoremi doswyadssayą y rozeznawayą, co dobra myńcá, co złá á co práwy kámyeń, co *ábentáyer* (kamień fałszywy, i Rey w Zwierzyńcu tegoż wyrazu używa, inni, np. Krowicki, mówią o obenteierze — od niemieckich jubilerów); snádnye poznasz w nászym zákonye ktora práwa á podrożna náuká á kthora obłędliwa y kácyrska... *podrożna* czyli *zdrożna* — myśmy dziś *zdrożną* i *zdrożność*, (por. *zbrodnia* wedle trafnego wywodu p. Karłowicza t. j. chybianie brodu) zachowali, ale *podrożnej*, trzymającej się prawej drogi, już nie znamy. Ty *cztyrzy* słowká... nye inácey (częsty błąd) yedno yako *po słádu* álbo po ssnurze naydźyemy: w kasztach zecerskich dwojakie czcionki dla ł były i z l nawet się mięszały. Pierwotny *zmarsk* się zachował, np. nyeraz nye máyąc zmazy álbo *zmársku.*

Osyewkowi álbo násyenyu: dwojakie tłumaczenie, ulubiona Kromera nawyczka, o czem jeszcze niżej wspomnimy. Ktorzy *pirwostki* duchá mamy. Na k. E_8 używa znowu przysłowia znanego: a nie źle mym zdánim (uczą Luteranie), *by tu żydá*, yáko ono mowyą, *nye zágrzebáli;* ktore oboye... Lutheranowye według tey náuki álbo dumy z námi wespołek *ácz nic* zá odssczepyeńce myeć mussą a nyeczuyą sie, iż *sámi też w oboyey* tey reżye są, bo y swyątośći

odrzucáyą y ksyęgami *brákuyą*; por. (Grekowie twirdzą. iż oni porządek apostolski) zadzierżeli albo znowu *w rezę* wstąpili. *Łączyć* znaczy Kromerowi zawsze oddzielać się, łączą się z kościołem. znaczy oddzielają się od niego; np. ktorzy z koscyołem sye zgadzáyą ále w inych sye rzeczach *łączą* F_3 itd. Nye był ci Dawid mistrzem á vczyćielem áni też ssáfárzem *álbo obrocznym*, ále rzędzićyelem á krolem żydowskim... ále nie trzebá wyele słow áni *dosádow* około rzeczy yásney; stoły *bánkirzom* poprzewracał; ktory *martwi* y ożywia. Ya nyewyem *inácey*, yedno, iż oni máyą kápłany y biskupy, ktore Ruś *popy*, *báćkámi*. władyki y też episkopy po grecku zowią, ci drudzy dzisyeyssy, *fárazmi* (niżej *fárarzy*) á sługámi koscyelnymi y pástyrzmi. Obok częstego miedzy już i *między* się zjawia; *zmyenkę* czyni, częste; bez *pochyby;* ktorzy swowolnye sámi sye w kazánye y ine sprawy a posługi koscyelne *wćyepiayą*. por. Rozprawa IV, C áni mogą sye *wsćyepyáć* w vrząd á spráwę ápostołow (tyle co *wscibiają*)... wymyslony przez ludżye swowolne á *skrzętne* (niespokojne), ktorym nowinki smákuyą; biskupá sobye *wolili*. Ták y *taczem (?)* sam był. to yest skałą. gruntem. gospodarzem á głową koscyołá swego Roman. 8. Abysmy sye nye wáháli álbo nye *narzáli* yáką wątpliwoscyą około wyáry. Na k. N_4 czytamy nowe przysłowie: a wssákoż nye ták sye to yednocenye ma rozumyeć, iżeby on (kościoł) záwżdy rozne á sporne zgádzáć miał, yáko yednacze myędzy ludźmi czynyą, nyewinnemu nyeco vymuyąc á winnemu przydawáyąc, skąd przysłowie v nas: *Iż kto sye na ludźye dawa połowicę tráći.*

Rzadszego wyrazu używa Kromer na k. O i w czwartej rozmowie na k F_4, mianowicie o papieżach zaznacza „a piszą nye *wtec* álbo ledá do kogo, ale Leo w kazányu, Mikołay do Cesárzow i t. d.“; „co po oczu, yesli głowá widzenye ich rozeznáwáć ma, yesli práwe czyli nye á bez baczenya á przychylenya głowy *wtecz* oczy patrzą?“ Taksamo Górnicki tego wtecz, lada gdzie, na chybi trafi, używał, na oślep (por. w Rotunda rozmowie Polaka z Litwinem 1564, str. 75: jako Orzechowski *w tecz* nic nie dowodząc blekoce); Górnicki zresztą i w innych zwrotach i słowach z Kromerem się zgadza; i on powie np. *przywoitha* krolewi, ma już femin. *wodzę* (jak Kromer), *zmienkę* czyni. *acz nic* = przynajmniej używa (np. więc mi to ácż nic Waszmość powiedz, aby przy zgrái — częsty wyraz Kromera — ácż nie zániechał tego sláchćic itd.), powie *zmárski, mozgowiec, inakszy* itd.

Dalej pisze Kromer: poidźmy (obok tej. używa i formy *pomy*) do biskupow y doktorow, którzy nyedáliby sye byli papieżom *kápturáć*, by byli rozumieli, iż zwirzchność ich nye yest wedle bogá, przodkyem Ireneus... męczennik ś. á *vczennik* (stąd nasza *uczennica!*) Polikarpa ś. ktory był vcznyem Jana św. i t. d.. Wyżej mieliśmy *skrzętny*, teraz i rzeczownik: onych czásow gdy papyeżowye yeszcze żadnego páństwá áni *bogátsᵗwá* (podobnie piszą oni stale *swietski* i t. d.) áni *skrzętu* przed pogańskimi Cesárzmi nie myeli.

Kromer obchodzi się nieraz samym z, gdzie my wz używamy, o *zmienkę* już mówiliśmy, podobnie *spominájąc*, *zgardzeni*, *szczęła*, *zględem* i i., np. z ich vstaw sye *ssczęłá* id., na tejże karcie (O_8) czytamy iż kárthäinski arcybiskup z *wyelim* biskupow chcą *klnąć* (nie kląć!) wssystkye ktorzyby *krssczyce* swoye podnośili; á ktoby inácey (!) czynił, iż tákowy *mozgowyec* yest a ssalony; opátrzył ye listy przespyeczeństwá álbo *gletem*.

W ostatniej, czwartej rozmowie czytamy, iż też kácyrzowye kośćyoł boży sobye przywłassczáyą á nas snyego *wystyrkáyą;* zamiast naszego *spospolitować* używa Kromer stale *spospolićić*, np. swyętokupstwo sye po wssem krześćiyaństwye bárzo *spospolićiło...* ći sámi, ktorzy sye nim pętáyą ye zákrywáyą á yáko ono mowyą winsse suknie obłoczą; zaraz dalej mowa o *czelnieyszych* koscyołach i Rzymskim, kthory *naczelnyeyszy* yest myedzy wssystkimi; o zwirzęcyu (!) y człowyecze. Nowa przypowieść: Lutheranowye kácyrzowye opisuyą (concilium powssechne) nye ynáczey yedno yáko *Márchołtowo drzewo* wedle przypowyesci nássey polskiey, yákye nigdy nyebyło áni być może. Ktokolwyek od yego (kościoła) zdánya y náuki sye *łączy*, prawdy y bogá *prazen* sye stawa (por. *możen* i i.). O oku: kyedy kto *brylokowáty* álbo *swidrowáty... wtecz* oczy patrzą; to sye wssystko oczom koscyelnym przygodzić może *chybá tégo* áby itd., por. iż sye tym zacnym synodom chybá Antyocheńskyego nye widzyáło ku krzywdzye być; ktore umye y może záś *strzaskyem* (nagle) ná vmysle odmyenić itd.

Uderza nas kilkakrotnie zapisane *mrożyć* zamiast *mrużyć*, np. może człowyek zámrożywszy oczy álbo omácmye itd. Broniąc papieży przeciw zarzutom kacerstwa, twierdzi „o Yanie 22. ssczyra też potwarz, ktora z *pochebyec* nyektorych Ludwika Cesárzá, z ktorym on *turnie* wyodł vrosłá (por. u Glicnera wyele *turleyą* itd., od „turnirów“ wzięte); prawi o Teodorze Cesárzowey *rzędzisse* (obok rzędziochy u innych, Paprockiego itd.); o cudzołostwie też y o *psoćye*

álbo nyeczystośći... *psotniki* álbo nyeczyste y cudzołożniki... *yelo* sye oney sámey rzeczy *dotycze* (stała forma. tu i indziej, dziś przez naszych purystów wyświecana z języka!). Gdźyeby papyeż álbo biskupi przykázowali, áby rycerscy ludźye ná woynye myeczow tylko á nye ssábel áni *dek* álbo konczyrzow vżywáli, dworzánye pyerza nye nośili áni ná kowanych boćyech chodźili, takyeby przykazánye niczemne było... álbo iżeby swyetscy ludzye *po dwu żon* myeli — czeskie *dyka* degen. Nye wáháli sye swyętą pánnę *bogurodźicą* zwać — nie bogarodzicą I_7! yáko ci dźisyeyssy mozgowcy zwykli mówić... co z dzyęką przyymowano bywa.

Wspomnieliśmy już, że druk często odmienny, że daje np. obok vczęstnika i vczestnika, myedzy i myędzy, *krolewey* a dwa wiersze niżej *krolowa* itd.; toż dotycze pisania wyrazów razem, czasem dzieli przyimek od czasownika, w wyęzować itp., często pisze przyimek z rzeczownikiem razem, przeczenie z czasownikiem np. wtey myerze ná báczności myeć máyą... *ledwy* (obok ledwe) álbo nigdy (onegdy i onegda)... kyedy sye *doworá* otworzy (ale jest i odworzy) máyą być odćyęty. Nye wnetby *strzaskyem* (ulubiony wtedy termin = nagle) zgánić á nogami chćyeć wzgorę przewroćić... a coż ná thym zwyssyli (zyskali). Stale zato pisze *vtćiwie, tćili, przetći* itd.; tężci sye Yewye zdrożno widźyáło nye vkussáć onego pyęknego owocu... przykazánye widźyáło sye nie potrzebne áni *podrożne* — Jakubowi Górskiemu (Rada pańska, r. 1597) wystarcza samo *drożnie:* gdy się kto o co drożnie a cnotliwie stara. Zawsze *swyádssy* i t. d.; pismá pálić a ktoby ye záchował, *nic mu nye płáćiło yedno gárło...* tá náuká dáwno pisaná yest ále yákoby yą *przyrznął* ná dźisyeysse czásy násse, *ktorych* kácyrzowye náukę wywracáyą y *wysspocáyą...* musić *máyem* lep zakryć kto chce iżeby náń ptacy przypádli, muśi ná wędę robaczká álbo myęsá yakyego nástrnożyć kto chce rybę vłowić (wspomniałem wyżej, że w Krescentynie 1549 najczęściej taksamo: gdy w sieći scirwu nastrnożysz, mięsa iakiego kęs nastrnożyć, nasthrnożywszy bobu abo grochu — jest jednak często i bez n. mięso nastrożone, pokarm nastrożyć, łowić myszy łapiczami lubo pasciami, syr nastrożywszy, wilk *ku nastrodze* idąc itd.; pomieszano więc widocznie nastrogę z trnożeniem).

W epilogu wraca Kromer jeszcze raz do Lutra, który nye zlyeć począł, a byli też drudzy, ktorzy sye *zástáwyali:* chcąc przećiwniki ony swoye ohydźić począł *strzęsać* nauki koscyelne... ktore swowolnym ludzyom przykre a przyćyęssssym były myenyąc ye

vstáwámi ludzkimi *znyewoláyącemi* á *złemi* zwyczáymi. ktoreby zácmyały chwáłę bożą... widząc iż tho płátno było, yęli sye tego Károlstádius y inni, *poszli de bene in melius* yáko ono mowyą, *yeden drugyego lepyey*, áż sye ledwy o wyárę opárli y tę yáko dobrzy bárwyerzowye z serc ludzkich do vst przypędzili. áby y tey snadź tym prędzey pozbyli zá Tureckim przymussenim álbo przyścyem (! zamiast — im) Antykrystowym (ale przedtem Ancykrystem go zwał).

Jeszcze prosi Dworzanin Mnicha, aby mu dumy nowowierników wyłuszczył „zwłaszczá około tych artykułow, kthore sye ninye v nas myedzy ludźmi nawięcey strząsáyą“; ale mnich wymawia się mu wyjazdem i na przyszłość to odkłada.

Pozostaje jeszcze wspomnieć o licznych a nieraz obszernych cytatach z pisma św. Tekst Kromerowy zupełnie odrębny, nie zgadza się ani z tłumaczeniem Ewanielii katolickiem z r. 1556, ani z biblią Leopolity 1561 r., więc może Kromer na nowo, osobno te cytaty tłumaczył, uderza jednak fakt, że tekstu on nie daje czystego, lecz go coraz glosuje; parę przykładów wystarczy; np. cytat z psalmu 44 brzmi: stanęła krolowa na prawicy yego w odzyenyu złotym *albo złotogłowowym* ogarnyona *albo obramowana* rozmaitoscyą; z 7 rozdz. ewanielii „Matusza“: to yest dom nye ná *rozlicznym á ustępuyącym* pyasku ále ná yedney cáłey á twardey opoce, ktorą áni woda płocze *álbo podrywa* áni wyátr rozwyewa *álbo wywraca* zbudowány“; do Kor. 1, 12: á niektore vstáwił bog w koscyele, przodkyem ápostoły, powtore proroki, potrzecye doktory, potym mocy, potym łaski vzdrawyánya, wspomagánya *álbo vdźyelánya*, rządzenya, rozmáitość yęzykow. Y zaż *vssyscy* ápostołmi? Y zaż *wssystci* (!) proroki? a do Ephezow tak pisse (4): A on dał koscyołowi nyektore ápostoły, nyektore proroki, á drugye ewányelisty, drugye pástyrze y doktory dla doskończenia swyętych, dla posługi, dla zbudowánya ćyáłá Krystusowego, áż sye zbyeżymy wssystcy w yednosc wyáry á vznánya Syná bożego w mężá doskonáłego w myarę zupełnego wyeku Krystusowego, ábysmy yuż nyebyli máluczkimi, ktorzybysmy sye narzáli á ktorychby vnosił wsselki wyátr náuki w obłudnosci ludzkiey, w chćiwośći (tamte mają chytrości) ku załodze błędu, ale áby prawdę czynyąc w miłosci roslismy we wssem weń, ktory yest głowá Krystus“.

IV.

Wiązankę tekstów z cechami gwarowymi uzbierałem dawniej i omówiłem w artykuliku Wisły 1898 r.; liczbę ich możnaby powiększyć — dodali też nowe, mazurskie teksty pp. Łopaciński i Erzepki; szczególniej w komedyach dawnych i intermedyach, tacy Sołtysi n. p. czy pijani u Baryki, czy trzeźwi w Rozmowie z Klechą występują, chłopskiej gwary używają; ale są to raczej wyrazy poszczególne, całość nie utrzymana w narzeczu, najczęściej jeszcze w mazurskiem, niby najłatwiejszem do kopiowania i przedrzeźniania.

Świeżo wydał p. I. Chrzanowski, z rękopisu Zamoyskich, wiersze Anonima — protestanta, pisane około 1562—1568 r., wiersze ciekawe dla treści rodzimej, wysłowienia prostego, łatwego. Anonim obserwujący wszystko co go otaczało bacznie i dobrze, nie mógł przejść obojętnie około gwary chłopskiej, ktora w rozjazdach jego po kraju nieraz o uszy jego się obijała i zużytkował jej właściwości w wierszu nr. 15 „O Krzcinach, grubą chłopską mową". Gdy wszystkie swe wiersze inne polszczyzną Reya i Kochanowskiego wygłaszał, tu pozwolił sobie „grubej, chłopskiej mowy" umyślnie, ale daleki on jeszcze od gwarowego naśladownictwa konsekwentnego, zadowolił się wplataniem słów i form „chłopskich" w tok mowy książkowej. Należy więc, co on „grubą mową" uważał, w wierszu tym wyodrębnić, gdyż cały dowcip, nie wykwintny, wiersza tego polega na wplataniu tych słów. Więc przedrukujemy tutaj tekst jego, kursywą wyrażając, co naszem zdaniem w oczach Anonima za grubą, chłopską mowę uchodziło:

Idziemy z *Staszkiem*, sami gdzie nie wiemy
Ale *jedną raz* na krzciny trafimy.
I *psiegam* ci tam była wielka *cizba*
Nalazła sie ich *pełniusieńka* izba.
Chociajeśwa sie na *palcoch spinała*,
Jednakeśwa tam małoco *widziała*.
Tać to *niebochnio* za stołem nie siedli,
Tak stojąc wszyscy pośród izby jedli.
A myśmy teże z daleka sięgali
Od tych, którzy nam przez próg podawali,
I w jakąś brzeczkę chleba nam *nakrszyli*
A my co rychlej *z krzynowa grabili.*

Staszko potem nasz wyrwie pod *pazuchą*
Jakąś grzaneczkę ogorzałą, suchą,
Co mu ją któraś *Halenka* podała
A też podomno sama nazbyt miała.
Bo wżdy poprawdzie *wanackiego grochu*
Było *zgolemo* ale mniej niż prochu.
Plackow, moskalów tych nic nie liczymy,
Jedliśmy gębą, bo to wżdy umiemy...
Ba, byłyć też tam nie żadne *glawije*
Co ludziom w głowic czynią więc *na nije* —
Ale krom śmiechu! wie go tam *francuga*
Wolałbych do nich niżli iść do pługa.
Jedno ty od nas tajemnice skryto;
Wszytko sie boim, aby nas nie bito.
A kij *ciem* twardy i zły jako krosta
Daleko gorszy niżli prosta chłosta etc.

Cóż więc uchodzi Anonimowi za „prostą" mowę? Najpierw nazwy osobowe, *Staszko, Halenka;* dalej liczba podwójna, owe *wa* i t. d.; podobnie *jedną raz* (chociaż drugą, trzecią raz nieraz wtedy mawiano, jest np. u Glicznera, ale właśnie język Glicznera w Książkach o wychowaniu, pełen „grubych" wyrazów); *pełnusieńko*, książkowej mowie obcy jak i *krzynow* (np. Sołtys w komedyi Baryki prawi o sobie: wolęć ia *ná krzynowie*... ábo tez y w donicy); *zgolemo*, wiele, prastarego terminu tego używa i Gliczner, p. w., ostatni używał go nieraz Żebrowski w tłumaczeniu Przemian Owidyuszowych, jest i u polemistów teologicznych, ale zawsze wyjątkowo, rzadko. *Psiegam* „chłopskie" skrócenie; *moskale*, a nawet *placki* (jak kloski) również były obce pismu; *nakrszyć*, zamiast *nakruszyć; ciem* było przestarzałe, chociaż druk tu i owdzie go używał, jeszcze w nowotnym Gospodarzu (1596). *Francuga*, od francy iście „chłopskie" urobienie, *macuga, pasztuga* (śmierć) i i.; to *niebochnio* nieznane nam, zdaje się oznaczać tych niebogich, niebożątek; *glawie* — *nie* daje rękopis; wydawca, poprawiający bardzo szczęśliwie niezliczone mylki rękopisu, zrobił z tego *głowice* i *nice*, bardzo trafnie, ale zostawilbym może *głowice*. Paprocki w Kole rycerskiem (77, wiersz 44) używa nawet *hławice*.

Nie zgadzam się z wydawcą tylko co do *wanackiego grochu;* zatrzymując brzmienie rękopiśmienne, porównam nazwę *wanatek*, czytam przecież u Łopacińskiego, Prace filologiczne V, 925 „*wanátka* gatunek jabłek, Busko; w Słowniku Wileńskim tylko *wanatki*", tamże znachodzę „*wanáki* kwiaty żółto kwitnące, hodowane

przeważnie po wsiach w ogródkach: miała w ogródecku wanaki, podziobały je ptaki"; z jedną albo z drugą nazwą zestawiam i *wanacki* (banacki?) groch Anonima; wydawca domyślał się onackiego od onaczenia tj. plecienia ni tak ni owak (kiedy się terminu właściwego nie zna albo użyć nie chce), ale ani takiego przymiotnika nie natrafiałem po tekstach i słowniczkach gwarowych, ani związek wymaga domyślania się „crepitus ventris", mowa przecież o potrawach wiejskich, o plackach i moskalach, o chlebie w brzeczce — polewce, nakruszonym, a więc i o grochu wanackim a dla rymu dodano, że jeszcze więcej niż grochu było prochu w tej *cizbie* (może zmazurzonej?)

Rozpisaliśmy się zbytnio nad tym wierszem, ale niezwykłyż on w otoczeniu Reyów i Kochanowskich.

Śledząc inne teksty gwarowe, wypadałoby może na drugiem miejscu położyć „Radę Pańską". Jakuba Górskiego przekład niegdyś „z włoskiego na polskie, językiem jakom mógł i umiał *płockim, mazoweckim*", o którym i wydawca, Januszowski, w trzydzieści lat później wspominał, że „polszczyzna trochę nie wedle wieku"; ale zamiast oryginału, posiadamy tylko tekst „wypolerowany" przez wydawcę. Nie wiele więc w nim osobliwszych słów i zwrotów pozostało; mimo to znajdzie się jedno i drugie, np. na str. 75 czytamy, jak w Terencyuszu 1545 r., o węgierskiej ziemi, co mocy tureckiej „*podoleć* nie mogąc" upadła — kilka wierszy wyżej, poprawił to Januszowski na *podołać*, tu widać zapomniał; *chutki* (ludzie obrotni, *chutcy)*, prędki, ulubione mazowieckie i kaszubskie słówko; lecz *dziurla* termin obcy: nie ugoni drugi żołnierz drzewcem tego, *co drugi doskoczy dziurlą* (wydawca objaśnia to „przyrząd używany przy tańcu, niewiadomo mi jakiego rodzaju"; jest to wschodni taniec sam, por. chorw. *zurla* Gaffer, Maulaffe, dalej taniec cygański i t. d.); zamiast *korbeły* czynić, o koniu, należy *korbety* położyć; *pikuliczkowie* zasię, co wzrostu małego itd., są i w czeskim, *pikulík*, *pikulíká* mała dziewczyna, złośliwa itd. — ale największą ozdobę Rady Pańskiej stanowią owe zwroty przysłowiowe i przysłowia, w które ta książka acz drobna nadzwyczaj bogata.

Przejdźmy do innej książki, tym razem wierszami napisanej, co z góry oczekiwania obniża, gdyż język poetycki tak się był przetarł, wzory książkowej mowy tak popłacały, że chyba wyjątkowo na jaką gwarową osobliwość liczyć można; i Paprocki i Stryj-

kowski, chociaż Mazurowie, w wierszach swych stale za Reyem czy Kochanowskim zdążają. Książkę, po śmierci autorskiej, brat w Krakowie, u Garwolczyka r. 1581 wydał: „Powinności dobrego towarzystwa“ Jana Gruszczyńskiego z Lipna, wydane przez Walentego Gruszczyńskiego, przypisane Zamoyskiemu i Jerzemu Mniszkowi (smutnej pamięci).

Książki opisywać nie myślę, odsyłając do Estreichera; nadmienię tylko, że egzemplarz (unikat w Rusku) był niegdyś klasztornym; Pro Coventu Lutomirie znajduję zapisane w środku. I o Gruszczyńskim nie myślę niczego powtarzać, że go jeszcze raz później wspominają itd.; prostuję tylko myłkę Juszyńskiego, powtarzaną ciągle przez innych, jakoby w tej obszernej księdze Walenty co pisywał; Walenty tylko dedykacye obie i przemowę do czytelnika napisał, reszta wszystko jest pióra brata, Jana.

Książka mogła być bardzo ciekawą, wypadła jednak dla wiersza nieudolnie. Jest to niby i Górnicki i Rey. Dworzanin i Zwierciadło, czy Żywot poczciwego człowieka, wzbogacony w anegdoty klasyczne (Apoftegmatów Budnego jeszcze nie było) i biblijne przykłady, nauki dobrego towarzystwa i obowiązki sługi względem pana a pana względem sługi: maksymy, uwagi, przestrogi, namowy towarzysza, co służbę opuścił i w oddaleniu towarzyszy dawnych, dobrych, miłych na pamięć przyzywa; ustęp obszerny, gdzie jednego po drugim przywoływa i jego przymioty, a choćby wady wspomina, wzorowany w swych ośmiowierszach na Zwierzyńcu Reyowym (a może „Panosza“ Paprockiego był bliższem źródłem), to najciekawszy, bo najbardziej indywidualny ustęp, „głowa“ całej książki, jak to autor sam wyraża.

Nie znacznyć to był wprawdzie ów dwór „króla“ Jana siedmiogrodzkiego i nie z samych Polaków się składał: tylko o nich mówi Gruszczyński, który z Mazowsza swego aż na Siedmiogród się dostał i po śmierci swego pana (1571 r.) do kraju wrócił. Wziął się na starsze lata do pióra, ale talentu poetyckiego nie miał, nawet tyle, co Paprocki, i daleko za Reyem w tyle pozostał; miejscami tylko wymowniejszym się staje. Zresztą wiersz jego taki lichy jak jego rymowanie: gorszego nie znam z całej dawnej literatury; to już nawet nie rymy częstochowskie ani bakałarskie, ale jakieś inne, zakazane; plątanie się myśli, powtarzanie i rozciąganie, najprozaiczniejszy dobór słów, brak obrazów, cechują te wiersze.

Wiersze brata, Walentego, jeżeli to ogółem możliwe, jeszcze

gorsze. I druk, acz bardzo wyraźny, nie najpoważniejszy, zawodzi nieraz, więc np. nie istnieje jakieś *pochrotnywam*, należy czytać *pochutnywam* i t. d.

Źródła Gruszczyńskiego — zwykłe, Valerius Maximus i t. d., ale raz cytuje Fortunata, którego polski przekład istniał, jak z inwentarzy księgarskich wiemy, już przed r. 1571, chociaż dotąd, ani z późniejszych wieków nawet, egzemplarza nie odnaleziono; na razie niech więc wiersze Gruszczyńskiego, nie znającego prócz łacińskiego innych obcych języków, dowodem polskiego Fortunata posłużą. W 7 cap. „Powinności Towarzystwa", gdy o szczerości i obłudzie mówi („Towarzystwo na tym iest, by rádźił *ten temu* — ulubiony jego zwrot — Komu też nic do tego, dáć *więc* pokoy iemu"):

Stowárzyszy się, *drugi z drugim (!) więc* na szkodę,
I w onym towárzystwie cżyni w rzecż ochotę,
Chcąc go przywieść ná iáki hak od swey obłudy,
Życząc mu więc w tym szkody *abo też* y zguby!
Jest przykład tego niezły w onym Fortunaćie,
Jesli baśń — lecz y báśnią prawdy *więc* mácayćie.
Będąc z swym towárzystwem v Páná iednego,
Zayrzeli mu, że go znał sobie łáskáwego.
Rádzili o nim pilno, by to iáko skáźić,
Łáskę Páńską żeby mogł iáką drogą stráćić.
Jeden ćwik, co iuż dawno iadł polewkę dworską,
Przywiodł był Fortunatá ná vćieczkę gorzką
Gdy się z nim stowarzyszył, wyrwał tę przycżynę,
Że Fortunat do Páná z powieśći wziął winę.
Nie dźiękuiąc y ziechał, cżego Pan żáłował.
Misterną w to przycżynę towárzysz vkował.
W cżym był chytry tego tam towárzyszá wymysł,
Zátrwożony Fortunat y iego zbłądźił zmysł.

Po tej próbie innych wierszów nie trzeba już przytaczać — a te nie najgorsze jeszcze. Z niedoszłym poetą godzi nas powaga, zacność, wyrozumiałość rycerskiego sługi, piastującego ideał polski, towarzyski, szlachetny, nie stroniący bynajmniej od świata i uciech jego, lubujący się w dzielnym koniu i pięknej zbroi (co za trafne porównanie: „y ná to miło pátrzyć *iak ná cudną zbroię*"), ofiarujący i życie za towarzysza, do gardła przy cnocie i wierze (wobec pana) stojący: o wierze religijnej, acz coraz mowa o Bogu i powinnościach chrześcijańskich i czym my pogan celujemy, nadzwyczaj mało uwag; widać otoczenie nowowierskie wpłynęło na byłego

katolika — Mazura, co wzmianki dogmatów i obrzędów starannie unikał.

Pisze przecież ośmiowiersz i na lekarza królewicowego, Blandratę, arcykacerza, jednego z ojców aryaństwa polskiego, osobistość bardzo dwuznaczną, nawet mało sympatyczną, a wyraża się o nim ostrożnie tak:

Blandrata doktor, Włoch, Hippocrates

Wielki philozow iśćie, wielką ma práktykę,
Hippocrates drugi iest, biegły ná phisikę.
Wielkiego rozumu w nim zásiadły rozmiáry,
Y vmie rádę dáwáć á snadź y do wiáry.
W dowćipie obyczáiow biegu iest ćichego,
Dostáie mu báczenia ná wiele dobrego.
W práktyce medycyny wiele ich celuie,
Lecź iż wiárą zástrasza, w tym bárzo wieluie

Morale.

Miedzy ludźmi ná świećie są rozrywki dźiwne,
Czásem z drugimi zgodnie, à czásem przeciwne.

Inni, których wspomina, są: „a naprzod sam Pan" (królewic Jan) barzo wychwalony, ze skromności i uprzejmości, z ćwiczenia w Muzach, z animuszu rycerskiego, za młodu fortuna go dziwnie obracała („czego ja nie wspominam, są ći co to znali a podobno y pismem znać drugim dawáli"); prawda — wiáry w nim nie wspominam, tylko zacność iego, był na wszelakie sprawy sercá *udałego* (ulubiony Gruszczyńskiego przymiotnik, rozumu y kształtu *vdałość* itd.); z Westą káżdą porownał w cnoćie swey snáżności y stym kleynotem poszedł z tey źiemskiey niskości; fortuna, śmierć, srodzy to wielce bojárowie, zgładziły go, gdy miał 30 lat, trzy miesiące i trzy dni.

Po nim idzie podczaszy St. Ligęza: nie wiem by go *sztychował* (inny ulubiony termin Gruszczyńskiego, częściej niż *celował* używany) kiedy kto w tey sprawie (miłości towarzyskiej); Paweł Secygniowski (Turki w Węgrzech á Moskwę ten od Polski gromił); St. Nieżowski, urodny i rozumny; Mikołaj Zborowski, z wielkich przodków; Kasper Bekes, węgrzyn, tu położony, iż polski ięzyk vmie — nieraz przewiedział drogę Konstántinopolską. Włodimir Zabłocki, moskwićin dzielny, z żoną; St. Pęchowski, z Wenusem

dzierży. obiecuie rad wiele, indźiey rzecz *nádobie* (najbardziej dla Gruszczyńskiego charakterystyczny termin, przypomina rosyjski). Woy. Korycieński, Bornomisą go zową, żeby winá nie pijał opácznie go mienią, choć więc *przekwintuie* (i przekwinty, termin Mączyńskiego i Gruszczyńskiego, nie od pań i panien dopiero wzięty, jak Górnicki twierdzi, dla wydwarzania) gdy podpije sobie, śmiesznie fuka choć grubie, ale ten tam *fuk* (mazowieckie słówko) z fantazyey nie z serca się ciągnie. Jak. Jastrzębski, ten nie spali gruszki i nie zaspi swych rzeczy dla miękkiey poduszki. Seraphin Sierácki, *porządnik* w sprawach swoich, na grosz twardy, chowa gi, *sprucky* ten ma zwykłe, gdy go z trzoseczká ma wźiąć, ledwo go odwikle, zdrowia raczey życżliw iest niż cżego pożyczy. Adam Kośmider, nieuk, ale na koniu ujdzie za Witezá, prędko sobie podleie, choć záwiley szyie. I. Dzibłowski, utratniczkiem rad bywa, kiedy brzęk iest w mieszku, ku Máruszkom duszkom. St. Kamieniecki, maluczki, nie przesiędzie więc koniá iego ćiáło zdrowe, ale dzielny do niego i w nim się kocha. Mik. Komorowski, o dumę posądzany. Wal. Grodziński, pilnie grodzi swe płoty, ciężko się dorabia. Modliński, szczwany lis i krotochwilnik, *gdźieś pierz* dźiáłá gdy záczżnie, gdy wesoł tą chwilą. Prokop Lipski, po czesku mowi, hráć chcem pánie brátrze miły czechaczek ten nie głupi, gdy go doyrzy Polaczek, to go tnie z wszystkiego. M. Krzeczowski na swym rad przestaje. J. Grot Cieligowski barz mądrey mowy nie dosiągł, ale był dobry, by pił wielkim *musem* (Maasz), w słowiech był ták obáczny iákoby żak w łowiech (ironicznie). Piotr Srzeniawa, prawy dworzanin, którzy się nie baczą, *poluie rad nimi*, w czym ma trefne *poskoki* insze zacne w sobie, rozliczne ma rozrywki y nie źle *nádobie*. P. Zawada, pisarz w skárbie, Epictetus, bo jak ten mało *miał na goli* (i Walenty tak się wyraża: to wymłacam, vdźielam, co też mam *ná goli)*, dopiero *urowszy* (urosszy, znana forma, podobnie ugrywszy wyniowszy i t. d.) w godności przybyło mu. Dawid Zborzyński stary, kuchmistrz, zawołany myśliwiec, gdy mnicha obaczył, wracał, przesiodłał więc znowu i by zdechł, do samey śmierci mawiał. Gabr. Bagniowski, podkomorzy, dobry i wierny, a „choć y ná *párypie*, nie vydźie mu więc záiąc choć duży mroz skrzypie". Ad. Buczek, kuchmistrz po p. Zborzyńskim, mądr kto go celuie, da wtráw odpor tobie. Kasper Czarnowiecki, podstoli, melancholik, urody kozackiej i wąsa. I. Stácherá, zwęgrzył się, ma trzecią już żonę, rączy, jako cwik w lataniu

czerstwy — drugiby rzekł, że ten ledwo źieie. I. Gniewosz, na niego każ by ná trzy tuzy, wewszemći rad zduży, wenusem chroma (na boku: pánná Sásembeska). Koperny, rotmistrz przy bronie, choć sam nie wielki, przedsię więc kufel zdużał spory. Kilian Żelech, zabit od Tatarow. Mik. Rożen, porywczy, zaś prętko zapomniał páchołę ubiwszy. I. Gnoieński, wymowny i mądry, lecz *szpetuszek* mogłby twarz swą położyć y oprocz poduszek. Jak. Marcinkowski, krzywo patrzy, nasienie Witezie, junácki obyczay krotochwilny, bo dumę vmie zárznąć pobrátynom inym. Jak. Korycki, dawny witez, w Károlu vmárł. Krogulecki, umiał języki, lecz rozrywká od wiatru, wichru, *pomęcona*, niespokojny więc. Maleckowski starszy, podagrą trapiony. Jarosz Chylicki, nie prostak, y Flus o tym świadczy y ozdobne chárty jego. Stanisław Kamocki, kozak urodą i wąsem, spiewa, w skrzypice rzeże, w miłości ochotney każdemu chce zdużyć. Mich. Maleckowski młodszy, węgrzyn w *tłumactwie* sławny, jedno mu nie domawiay, bo stániesz zá swátá. Piątkowski, iest by *koń ze Żmudzi*, nieco tępy, lecz chodu twardego, w dobroći przechodzi drugiego *rzeźnego*, nie ziadł też korcá soli w Węgrzech służąc, bo rychło wrocił do Polski. Golicki siełá był pozobál *bigosu* dworskiego. Komornicy, Jerzyk, w Grecyey zrodzony, zna języki; Mik. Kolucki, z niego *wynikawa* prostota przy dobroći, wnętrznym *spruchem* coś też obáczńego. I. Konarski do kuglarstwa dworskiego vdatny. J. Leniek, szablą y z *budzikanem* władał, w rękę go ćiskájąc brał na koniu bieżąc, żártki młodzik. Marćin Post choć *ski* niemiał, drudzy stąd slachćicá mianuią, wánienkę nośił k stołu. J. Lutożyrski, nowiniarz wielki, zresztą czysty, rzeźwy witeźik. Mik. Wolski chromoty nabył pod zamkiem Bániáni. I. Danicki, nie zdrów. J. Milanowski, wczás *dzielnostki* wydáią te w nim młode kości. Szcz. Laszcz: znałem takich niemało *co ich Koty zową*, prętkie do kuglowania, Laszcz witezik im *powinowaty*, bo mu przypadaią kotowskie *żarty* (podobne rymowanie stałe). Mik. Zdanowski, krociuchney vrodki a wyprawnych sztuczek, pochutnywa sobie w nich dzierżąc się żártkości. Ruseckiego porównywa do gruntu dobrego, lecz potrzebującego wpierw uprawy (gdźie chrost, głog, tarnie, mokradl, chárpęćiny iákie západły) — głowy ludzkie, podobne źiemi, ktora w sobie nieiednákiey wyprawy w pożytku *nádobie*. Mik. Beliná, młody witez, przystoyniey byś z szárszonem ábo z *ćichopękiem* obracał się niż z száblą, *bo Mazurom wnękiem* y piękney mu w káwtanie niż kiedy w páncerzu, w ktorym *pięknie* (czy ra-

czej pęknie) też swego by drugi w puklerzu, ma obyczay swych ziemkow.krzywdy więc nie ćierpieć, powinie się też z swoim, by obalić y piec: a morale: bywa cichość y fuk, choć nie pragnie drugi zwad, wdáć się więc muśi w puk (tu najwięcej terminów mazowieckich, znamy te cichopęki i jak cię pęknę i t. d. z śmiesznych relacyj i pozwów mazowieckich). Mik. Kaszowski: dzielnostka w nim, by w młodym gąśięćiu, z którego mężny gąsior bywa. Bal Horos t. i. odźwierny, Marchult, niby z tegoż rodu, nie *wydał kotá w brod*, *w powieśći był wymowny*, *báłkocki ięzyk znał*, *ktory tak bárzo trudny*, nie każdy go zeznał, wszystki ięzyki w nim miał y prętko im zmliwał, vsłyszawszy co trzebá byś się domyśliwał, mowcá wielki bywał ten Marchułtow potomek, k mądrej powiesci godno było dzwonić w dzwonek... był tak iako on Guzman, kto go znał, udały ktemu y Muzyk dobry a tą medodyą Guzy czasem wyspiewał gdy wszczął komedyą — to iest dawne Towarzystwo moje, tym kończy Gruszczyński ten najciekawszy ustęp dziełka wcale obszernego zresztą, liczącego około 6000 wierszy; kilkunastu towarzyszy, ogólnikami raczej zbywanych, opuściliśmy z tego „Gniazda cnót“ polskosiedmiogrodzkiego.

Z resztą tekstu możemy się krótko sprawić; jak Walenty przyznaje „nie na złotey nici słówká tu zebráne, polszczyzną swą powszednią pisano ná prętce... w stodole mey Minerwy nie *plenie* znam zboże“ (ale niżej *plenny*); księga niesie „*narzędy* żywota dobrego“; porównywa ćwiczenie rozumu z muzycznem: jak lutniście biegłemu łacny iest *rycwerek* (termin włoskie, później nawet w *wycwerki* i *wyćwiery*, grymasy, spolszczony) fántázyą może gráć iák mutetę własną, ktora uydźie za Timor et Tremor pieśń zacną“. Gwarowego *iacy* tylko, używa nieraz, np. a tę (cnotę) mamy sprawowáć nie słowkiem więc *iácy* ale rzeczą, lecz u tych *iácy* byłá (cnota u „poganów“) co mądrość ważyli i t. d. Jak Stryjkowski, używa i Gruszczyński terminu kawalkatorów włoskich: tákie *kárery* záwżdy w towárzystwie czynić.

Na k. B pisze o tych, co „tylko *ná hey* swoie żyćie sádzą — wykrzyk udałego męstwa (nie każda chwała dobrą, co ią ludzie ważą bo drudzy i t. d., por. u Glicznera 1558 r. „sthan á záwołánye *huyámi* á wykrzykámi by zábiyakámi grodzić“). Częsty u niego termin *poświatá*, n. p. do wszystkiego tákiemu ná źiemi *poświátá* światło) albo: *poświátá* się z nich przyda by po drugiey gwiaździe;

wszytkim rzeczom *poświátá* w kim P. Bog panuie i t. d.; ná zwyczáie pobożne *przekwintow* nie trzebá; ále też *kulfanem* być niewiem by potrzebá; boć tak iuż *wiełuią* (szaleią, i tu jak wyżej zamiast *wiłują*, od wiły błazna, napisane); skwápliwość y co mowią *gorąco kąpánie* (por. w Terencyuszu tenże zwrot) tá cnotá (fortitudo) *vpokoia*, bá dáie wytrwánie: ta wszelki *tram* nieszczęśćia mężnie znosić vmie... *dłuży* roskosz, szumy, burdy vmie znieść; nie przepuści drugi swemu swátu; iże Káim nie *skromił* Bogiem sercá swego; zá czym *antslagi* dźiwne z towárzystwá idą... rozliczne są wády ná *roskoski* márne; zbytkowi zdołáć y kámień niemoże... coż *Minerwá* (lubuje sobie autor w słowach łacińskich) człowiecza y ćielesne zdrowie? a tak pod miárą trzebá w towárzystwie *płużyć* (też ulubiony, nadużywany termin Gruszczyńskiego). Bez towárzyszá człek nic tu ná świećie nie iest, choćia mały choć wielki y też komu idźie *kwiest* (questus, dla rymu dobrana łacina!). Ten co więc ku vtráćie bębenká podbija (częsty zwrot przysłowiowy u niego)... kto też ściskłością goni, wzgárdzon też więc bywa... dobra miárá żywa, a nie *iácy* w szkole więc to się da rozumieć... kleynoty *czelnieysze;* w *nieczym* milczy przedsię (w czemś), łácniey *wągl* ognisty znieść ná ięzyku itd. — między przykładami statecznej przyjaźni (Damon i Pitias i t. d.) przytoczeni i Aswit z Asmundem. Z Marcholta cytat: násze przyrodzenie iest by kot ćwiczony, ow co od łowu myszy bywa odwiedźiony jednak on gdy mysz vyrzy sobą pochrotnywa(!)... dłaży to drugi w sobie długo zobáczności... *sieła* (por. *wiełują*) y dźiś iest ludźi, *nástąpił zás na swoy slad* (Piotr po zaprzaniu); gdyż się z rożności prawdá jako złoto *miękce* (zamiast *miekce*, migoce). On potwierdza, co i u innych czytamy:

Dobry zwyczay on stáry nászych oycow bywał
Ten stym choć práwo wiodąc ná worku ieźdżywał.

Że u rycerza przykłady kawalkatorskie nie rzadkie, łatwo zrozumieć, jeden przytoczymy dla kilku terminów:

Gniewliwemu człowieku ták trzebá folgowáć,
Jáko szkápie vporney *wodzą moderowáć*,
Bo gdy twárdoustemu ieźdźiec *wodze* puści,
Rychley twardoustość stąd *sporny* koń porzući...
Lecz iáko rozmáićie koniom przypátruią
Munsztuki *drábuiąc ie* y w nie ie włámuią,

widoczny tu zaród przechodzenia znaczenia na inne pole (drabowania): w słowniku warszawskim *drabować* szperać i t. d. zupełnie od *drabowania* (= traben) oddzielone i znakiem zapytania opatrzone.

Wodze mu więc popuszcża y munsztuk *wygrawa*
Gdy z niego gniew wypłoszy, prawdą go *hárcuie*

i t. d. kto się w to nárządźi... *dwá kroć przyiaćiel iuż ten co ziednány bywa* (przysłowie nasze twierdzi jednak inaczej); (na ziemi wierny przyjaciel) rzadki *iáko ná źiemi mármurowy kośćioł...*; *z powieści* (inni mówią: z pieśni) *nie wyrzucać nic nieprzystoynego* (mowa o prawdzie!). Są przenośnie i z gry w kart, z *rumlu* i *tenu* w nim (o tenie, do *wtenu* dodawać, przytoczyłem w „Języku Potockiego" przykłady z Potockiego i Gościeckiego str. 412, tu więc przykład o sto lat starszy):

Prostaká y chytrego iesli gdźie obaczasz
Dobrze iże tám *rumlu każdego więc mácasz.*

Raczey chytremu *w ten day* á szánuy prostego... por. w wierszu na Związek r. 1663: więc tedy dobrą mając, pasza z nimi zagrać siódmkę *wten*, potym tuza, przy królu zostawać itd. Iest cnót niemało, ktore iák baszty strzegą spraw życia *vdáło w swą rezę pociągáiąc* káżda gdźie potrzebá; nieżyczliwość, obłudá od wszech się ma *chynąć;* wzgárdá nie cáła pychá lecż w iey fárbie siedzi; hard drugi że się w rzeczy zda więc dworski sobie ták mniema iż ná wszystko rozum mu *nádobie więc domaká* rad lekko sobie *więc* pokłáda.

Z życia towarzyskiego wzięte i to:

Jáko iuż więc drugiemu nie zrownasz száteczką,
Kołpaczkiem y *káplarzem* ábo mágiereczką,
To ćię swym hárdym okiem wzgardza y przenośi,
Choć przed nim czapką swoią łamiesz sobie włosy,
Folsurko, *Mágiereczko* nie gardź też bieretem...
Káżdy coć czapką łamią, káżdego tym poczći.

(czci bywamy bliscy) nie száteczki (t. j. z szateczki) ábo też y z hordy (również ulubiony termin) niemáłej acż ci y to nie wádźi ábyś żył *vdaley;* drugi więc fántástyk... muśi w drugim rozum być by te znośił koty... vmiał mu skłádáć skromnie...

Nauki: ręce niech też nie *wichrzą*. nogi nie szaleią... by rozumy *pozobał*... bądź *pontały* ná głowie miał złote y pierze... á do każdego *łużyć* przyiáźnią poczćiwą... z ludźmi nie *wichrowáć*... drudzy tańcu *chutcy*... drugi się też podoba z swoimi *przekwinty*... tákiego przypadku rozmáite *bryże;* człowiek nie tym ozdabiáć się powinien *spruchem* (termin bardzo ogólny, mieliśmy go wyżej w Terencyuszu, częsty u Glicznera w Lorichiuszu mianowicie, później zupełnie się gubi), a choć czásem godnością nie iednáko *drożni*... ná *przekwinty* się zbytnie też nie wysadzaymy... kiedy swoim *mozgowcem* (tu tyle co mózgiem!) tám y sam chce kryslić: żeby kaganiec... iásnął (nie zgásnął) y drew z gáiu przyczynić dla ćiepłego *palá*. (o słudze pilnym) lecż iesli iáki *łibay* á do posługi *gnus*, tákiego więc potrzebá ćwiczyć przez częsty *guz:* lećie przepiorkę naydźie ná słomiánym polu (pies): sługá (gdy się niema czego iąć) muśi więc *egáwcem* być podczas; *kuncżerzyk* mieć, ruśniczkę... choćiaś niemáły kołnierz z zawoyków wyłożył y szłyk ábo też kołpak ná głowieś náieżył... *gnus*, kostyrá y kufel ći na chudym ieżdżą, więc prostak iák on Máćiek co młoći w stodole: cierpliwość áby byłá y rozum *nádobie;* ostrożny pan być ma w to ktorzy ná co *łucżą*, choć drugi sługá prostak żywiąc w swoim wieku, służąc tákim iákim iest y ktorego *brzbięku* (?) rád też widźi łáskáwą twarz páná swoiego, insza to... gdyby się więc złą spráwą do cżego miał *łucżnie;* ma báczyć *posądek* (słowá skądby poszły); a iesliże pan *wichrem*, hámowáć go z tego; więc też tyran *skrutny*... iże był łákomiec: trzebá żeby rozum sposobnośći *kosił* (!)... dobrey správie *zdużył:* drugi philozophá zamordował *duże*. Długa rozprawa o szlachectwie: więc potomkom to imię (szlachcic) záś *pożarem doszło*; (w starym słudze) ustał do posług *rym;* lecz rzeczona cnemu człeku tá powieść: Milcż ty a nie gaday (o Xenokratesie i Antypatrze, dał mu znác iákoby rzekł wierę już tu skłáday; dokończywszy wieká cześnego: pan zwierzchni choćia *świecki... ma... y w kápłany poyrzeć!*; co lecż (tylko!) wielkiego; w *mále* spraw; z iednych (koni) *cugi* zbieráią robić, ciągnąć w wozie; *duże* golą; *szkodźcow*.

Nadmieniam tu, że jak *siła* i *duży* (właściwie silny, zdrowy), podobnie i *mocy* dla *wiele* się używa, dziś jeszcze (moc ludzi) i po narzeczach, np. w śląskim (XVIII wieku) tłumaczą „Viel — wiele oder moc oder kąs“ (t. j. kans). Na końcu dzieła zebrał Gruszczyński wiele anegdot, apoftegmat klasycznych, np. o Kleomenesie i t. d. z Plutarcha.

Nasuwa się uwaga co do jednego wyrazu, z którym i wyżej u Kromera się spotkaliśmy, mianowicie *reza* = miara, n. p. *w swą rezę* pociągając Gruszczyński, w *obojej rezie* są... znowu *w rezę* wstąpili Kromer. Ulubiony to wyraz XVI wieku, rywalizujący chyba z *kłobą*, zna go i Linde, ale n. p. Korbut w cennej pracy swojej, Wyrazy niemieckie w języku polskim (Prace filologiczne IV 345—560, 1893) pominął go zupełnie, on ma tylko *ryzę (Riesz*, papieru, co w końcu z *arithmos* przez średniowiecznej łaciny *rismus* poszło, femininum w polskim i czeskim, jak w tylu innych razach np. *rzesza* Reich itd.); *reza*, o którą nam chodzi, zupełnie zaś co innego, jest to mianowicie niemieckie *rizze* Zirkel, Spalt, *riz* (to samo np. całkiem jak u nas: sîn herz nie übertretten hat *der mâze riz*), w słowniku gwarowym Schmellera: die riszen (rząd, linia), e'lange risse von häusern, das Kegel*ris* (o kręgielni, Kegelbahn); glosatorowie XV w. tłumaczą „circinus, instrumentum quo formatur circulus aequalis, ein *ryzze*", el compasso der *riczel* (wszystko od czasownika rîzen reiszen, nâch der mâze rîzen, einritzen wpisywać i t. d.). Otóż z tych terminów poszła nasza *reza*.

Przerzucamy się teraz na północnozachodnie kresy Rtej, do samego E l b i ą g a i ostatniego, poważnego, wystąpienia miasta pruskiego w własnej sprawie, przykrej i bolesnej aż nadto, w języku tego kraju, do którego Elbiąg z przynależnością swą się przyznawał i nią się szczycił. Nie zapytawszy miasta, zastawiono je r. 1657 elektorowi brandenburskiemu i pomimo nawoływań i próśb miasta, z zastawu go nie wykupiono; więc skorzystał Fryderyk III z interregnum po Sobieskim i z odciągnięcia wojsk polskich i saskich na Podole w r. 1698, aby miasto, nie spodziewające się niczego, nie obronne więc, przez generała Branta do poddania się wezwać, srogiem oblężeniem jemu zagrozić i gdy nadzieja odsieczy i obrony upadła, zająć je. Nastąpiła wprawdzie już r. 1700 ewakuacya, ale Elbiążanie czuli potrzebę usprawiedliwienia się, że tylko ostatnie niebezpieczeństwo, wbrew ich woli, przymusiło ich do wpuszczenia brandenburskiej załogi. Uczynili to w języku łacińskim i niemieckim i zapisuje p. E s t r e i c h e r w Bibliografii XVI, str. 34 owe druki (Bericht, warum Sr. K. D. Völker Einnehmung die Stadt Elbing 1698 nicht habe vermeiden können, 1700 i Informatio brevis cur S. E. Br. militis intromissionem civitas Elbingensis.. evitare non potuerit, w dwu wydaniach); nie wie jednak, że Elbiążanie poczuli się, co im zaszczyt przynosi, i do obowiązku

wyłożenia tego samego po polsku. Śliczny druk polski, takimi czcionkami i na takim papierze wybity, jakich spółczesne drukarnie polskie wcale już nie znają, przypominający żywcem najpiękniejsze okazy Łazarzowe lub Wierzbięcine z XVI wieku, folio, kart 8, p. t. Informacya krotka ze Najasnieyszego Elektora Brandeburskiego zolnierzowi intromissiey miasto Elbiąg roku MDCXCVIII zabronić nie mogło. Roku MDCC. W samą materyę, znaną z niemieckich i łacińskich tekstów, nie wchodzę; wymieniam tylko kilka zwrotów i słów tej „pruskiej" polszczyzny:

Na *zaszczyt* (tj. obronę) niewiernosci, że tylko z musu miasto Elbiąg zołnierza obcego *zawitało*, ktore dotąd *dufliwie* berłem Króla się wspierało, przytacza się fakty. Officerowie Brandenburscy *zamadlali* się u p. praesidenta przez służałych swojich... ta gdy się im przepiekła nadzieja; oddawszy wprzod zaręcznikow miastu... zawziętosc (tj. plan, zamiar) swoje Brant odkrył; zagrodziwszy na to magistrat consultę dał odprawę: niemoże w tak ważney materyey miasto ani grzanki pozwolić; prawem *włascizny*; uporna *ociątnosc*; *gburczykow*; starszym z cechow y giełd listy pogrozne doniesiono: aby co *drzewiey* spodziewali (się) odsieczy... byle ich pojęta o spiesznym *odsieczniku* ni omyliła nadzieja; *zagrażki* o zgubie miasta podane krzywdą pachną; smigownic *bombow* wielką moc nawiezli aby chciwie na łup mrącemu żołnierzowi (miasto) przez *przecieczkę* wszarpaninę podali; niepewna była z nieprzyjacielem się *kosztować*, strzelbie zas piorunowey muszkietnikom *scisły* na przedmiesciu budynek przeszkadzał; deputatow z oboiga *ordynkow;* według własnego *powinszu*... porządek także sobie do rzucania ogniow już więcey *za buba abo straszydło* jakie trzymać niemieli... jakoby się rzeczy rzkomo *dziejały;* czterydziesci y osm armaty wojenney, mozdzerzow dwanascie, z ktorych dwa 120 funtow rzucalne na błyskanie ogniow narychtowanych, faszynow do wymostowania przykopow; *wachtujących* mieszczan zdania; *gruz* y popioł *zarzysty*; miasto za paszą nienasyconego ognia kładzie; *odercia*, zarzewia co za korzyść, *rozmnozystym* woyny *pozerem* ginąc; listy w ktorych na *zarotę* swoję nazaliwszy się miasto; *rozwodziste* wały pomiarkowawszy, tak gęstym *wachtam* wystarczyć nie mogło; wdowy... *robociązow* albo parobczakow wysyłały; garztka wytartego mieszczanina w *pluskach*, dzdzach y sniegach *wachtując*... łozem przycisniona lezała; miasto w *osadę*, w ktorą się *zamagać* miało, zdrobniawszy... przez fatygi *wyikrzony* mieszczanin, przeciągłe pisali tomy, pospo-

lite interessa. niezapamiętliwy charakter. *swierczy* miasto; niepowodne wyronienia; nakładem zfornym przypadek zły ktory wszystkich *rupił* znosić; *podniatą* y łuczywem wielu przykrosci... nieukołysanego kwilenia mase, lubo *owrzedziałe y trupiaste*... długą nędzę klepac... scierw miasto, w pomoc y poradę okrzesane.

Karta D 2,b: Przydatek: zisciła łaska boska zwyż położony *powinsz*... bog pokoju niechay skutek... ku pożądaney *całowitości* miasta tego forytuje.

Niema tu nic szczególnego, wszystkie niemal terminy (żarota i t. d.) znamy dobrze skądinąd. co do *odercia* zam. odarcia wspominam, że i u Mączyńskiego podobne się znachodzą i „kaszubizmami“ trącą.

Od Mazurów i Prus przechodzimy w naszej całkiem dowolnej, przypadkowej wędrówce w inne kresy polszczyzny, na Śląsk czyli Śląsko (pole dodać należy). jak dawniej, jeszcze w XVI wieku mawiano.

Śląsku nie powiodło się najgorzej co do uwzględnienia jego w dyalektologii, głównie też zasługą nieodżałowanego L. Malinowskiego. a chociaż nie może on wykazywać zabytków tak dawnych jak np. Kaszubowie z swoim Krofejem, mimo to występują pisarze śląscy już w wieku XVII i ciągnie się szereg ich wydawnictw aż do naszych dni, a są i takie specyalne, jakich u żadnego innego narzecza nie spotykamy.

L. Malinowski i Jan Bystroń (o narzeczu w dolinie Stonawy, Rozprawy filologiczne XII, 1890) uwzględniali i druki dawniejsze, lecz najciekawszych i najbardziej pouczających nie znali wcale.

Zaczynam od Ślązaka, który jednak za młodu już, w Wilnie sam „studując“ a potem innych ucząc, polszczyznę swoję bardzo przetarł, od znanego dobrze, nieocenionego „fararza Kluczborskiego“, Adama Gdacyusza. Bystroń bowiem nie uwzględnił całej bogatej spuścizny po nim. Nie myślę jej tu wyliczać; p. Estreicher w Bibliografii XVII, 1899, str. 59—64, tak szczegółowo i dokładnie ją spisał, tyle podawał wyjątków, że byłoby marnowaniem papieru, gdybym chciał to powtarzać. Więc nie przytaczając tytułów, dedykacyj, szczegółów do biografii i t. p. wypiszę, czego Estreicher nie uwzględnił. A najpierw uwaga dotycząca narzecza śląskiego i dziś jeszcze. Narzecze to, arcykonserwatywne, pominąwszy wlazów niemieckich (nie w słownictwie tylko. ale i w składni)

stanowiska staropolszczyzny dotąd nie opuściło; wiem i z literatury i od księży śląskich samych, że czytają z największą swobodą np. postylę Reyową, Żarnowczyka, Dąbrowskiego (obie pierwsze przedrukowali nawet za naszych dni), lecz dzisiejszy język piśmienny polski sprawia im znacznie większe trudności. Gdacyusz naturalnie całkiem z Reyem i Kochanowskim się zgadza, on cytuje nawet chętnie Kochanowskiego, ale próżnobyśmy w utworach Jana za tymi cytacyami szukali, chyba one z Rotuł Mikołaja (brata) wyjęte. Dyalektycznego zabarwienia, jakie u Krofeja lub Pontana na Kaszubach widzimy, unika Gdacyusz, chyba partykuły jakiej odmiennie użyje, germanizm śląski wtrąci lub osobliwszem jakiem słówkiem się odznaczy. Ale są i u niego ciekawe rzeczy, na które teraz (pomijając co Bystroń i Estreicher przytoczyli) uwagę zwracam.

Łokać, pić, od którego *obłojca* (z obłoczca) pochodzi (nie od li — lać, jak u nas twierdzą), używa nieraz n. p. zrzeyćie *łoczcie*, albo: żeby za co żrzeć, *łokać* y durowáć mieli; dusipiwo mawiano ogólnie, więc i on powie że „tak *dusili:* u naszych slężakow popospolite o owych ktorzy *duszkiem* wypijają (etymologia jego fałszywa). Do nich zwraca się z zapytaniem: czego się wy pijanicy boicie, ktorzy owo codzień *lelum polelum* bydło nieme niemiernością i opilstwem przechodzicie? O takich, co to „wszystko przez gardziel przelawszy mizerakami zostawają“, mawiano to lelum polelum, co z karczmy do mitologii potem przeniesiono; od lelum urobiono nawet czasownik *lelkować*, mylnie w Słowniku Warszawskim przez „robić coś od niechcenia“ wytłumaczony i jako „dziecięcy“ wyraz oznaczony, mowa o pijanicach „bez ćwiczenia jedno co *lelkować* a kufle wytrząsać“.

I Gdacyusz przytacza, z obcego źródła, dziwną wiadomość o Swidrygielle, na dowód co wszystko o Swidrygale sobie opowiadano, na cośmy wyżej uwagę już zwracali; książę ten litewski „roskosznik niezmierny“ miał z sobą zawsze książkę kucharską, siadywał przy stole w południe czy wieczorem, po sześć godzin, 130 potraw mu gotowano, a kucharza, co coś nowego wymyślił, obdarowywał „czym znacznym“ — jako źródło przytacza „Creid. par. II post, epist. supra IX dominicam 178 u Stifl. in Tit. 648“. Jużto niemiecką literaturę zna on wybornie i sieje gęstymi z niej cytacyami, opowiadaniami i uczonymi, zupełnie zbędnymi dodatkami.

Łacińskie diem noctemque continuare potando tłumaczy on „wednie y w nocy żrzeć pić ustawicznie *lelom polelom*".

Tyle o pijakach; niemniej o przeklinających ciągle, nadużywających imienia Bożego: tacy bluźnią, „sakramentaią albo jako nasi Wasserpolowie (termin, którego on pierwszy używa nieraz o Polakach nadodrzańskich) zwykli, Gocfundaią, Gocleydaią, Jezusaią (imienia Jezus źle używaią)" — pożyczki to niemieckie, z Gottes Wunden i Gottes Leiden, przeklinają więc: „Gocfundy, Gocleydy, męka Boża, rany Boże w Tobie".

Ciągnie dalej: „Nic pospolitszego nad te klątwy: Porwoneś dyabłu. Dyabeł w tobie. Zły duch w tobie. Piorun w tobie, kaduk Boża kaźń w tobie. Bodajeś zkamiał, kordyjáki, *Korfanty* (tj. dyabeł, dziś i nomen proprium, np. znanego redaktora górnośląskiego), Święty Walenty w tobie. Boday wszyscy w cię wstąpili. Bodaieś jednego zjadł albo wypił". I na innem miejscu prawi: Gocleydy, Gocfundy, Sakramenty w tobie.

Nakoniec wylicza jeszcze raz wszystkie kwiatki stylu owego: „Gocszendy w tobie. Boday w tobie wszyscy zaryczeli, Boday ći łeb urwali y szyię ukręćili, Boday cię szlak zaraził, powietrze ruszyło, piorun roztrząsł, piorun w tobie, grom w tobie. Boża kaźń w tobie, bodajeś skamiał. Cięszkie niemocy, kordyaki, korfanty w tobie (święty Wálánty); innym razem powie: ki dyasek, ki bies, ki zły duch.

Gdacyusz objaśnia często jeden termin drugim w nawiasach, przykłady mieliśmy właśnie wyżej, ale jest ich więcej, np. trzewiki „na klockach (trepkach, korkach) albo abzacach jak z niemiecka mówią"; cmyntarz (kierchof); „bywáią zrękowiny (zmowiny, u nas mowią zmowa)"; polekku (powoli); bocian nosem ją karze (kluje, dziubie); sznicerowanego (rytego).

Inne objaśnienia: edulium ex sanguine (my to czarną juchą zowiemy); opowiada o szlachcicu, co „gdy konia *drábował* (patrz wyżej ten termin u Gruszczyńskiego) a tak go drábował, że z zbytniego poganiania (zaćinania) padł i zdechł"; pycha u Polaków nazwana „od pchania pysznych ludzi do piekła" (etymologia znowu fałszywa); szlachcic nazywa nieszlachcica: ty psi páznogieć, psia jucha, Zamsik, Cham. Raz cytuje dzieło Daniela Clementina, Antilogiae et Absurda z r. 1625 (p. Estreichera) na dowód, że absurda nie należy tłumaczyć niesłusznością, boć to iniquitas. Przysłowia cytuje nieraz, n. p. „a dzisia Polacy przypowiadają Verbum Szla-

chcic" (o dotrzymywaniu słowa); a dopieroż to chcesz Nieszpor zaczynać (poniewczasie); to je oni ponieważaią y *po kolędźie noszą* pokaż im figę; księże *pociągni się za nos* cape tibi hoc (z niemieckiego, iak i poprzednie: zacznij, stosuj do siebie); vivitur ex rapto (z Metamorfoz I, 144) = już *na wyrwus* żyjemy; (niech kaznodzieja upomina ile chce) „przecię naszy jako pospolicie przypowiadają *po stáremu Bartek;* pospolicie mówimy: o głodzie skakać się nie chce i t. d.

Przytaczam jeszcze niektóre wyrazy. Jak dziwnie Gdacyusz się nieraz wyrażał, widać ze wzmianki o członkach wiary, które są tak „*pogmatwolone*, iż do *wywięzlenia* y wymacania prawdy potrzebaby jakiego *oddennego*, któryby ją na wierzch *wywindował*, pływacza" (powiedzielibyśmy prościej — nurka); łacińskie *acies* o szyku wojennym i on jak Błażowski, przez *stal* tłumaczy: wyborną *stal* żołnierza przy sobie mając. Niewiem tylko, skąd on *moszkę* dla zgrai wychwycił, termin to przecież, ile wiem, ruski; czyżby on go z Wilna gdzie w młodych latach „studował", uczył i kazał, przywiózł? np. przeciw tak gęstey *moszce* zastępow engielskich (!) nierownie *likowitszych* (u Błażowskiego również używany termin); z niezliczoną *moszką* — lecz powie też: więcey zgraie szujowátey y halastry (!) nikczemney aniż chłopá hyżego. Zamiast dziwić dziwować się, używa *cudować:* cudujecie się, żem iest tak tłusty (przedtem powiedział cielisty), moja żona jest *miąższeysza* (grubsza) a przecież w jednym łóżku *rumu* dosyć mamy; nie *cudujmy* się (że Bóg nam nie chce użyczyć pokoju); zato żołnierze (na Śląsku podczas wojny 30-ietniej!) „z takową zárżliwośćią nad nami wydziwiają"; widząc nas być łotrasami.

I jeszcze przykład wyszukanych słów: skarży się na ks. Kruzyusza w Wilnie, od którego się dosyć nasłuchał „*żądlistych* słów, gdy *nienasytkiem* nienawiśći przeciw mnie *zażęty* i t. d., ale ja nie dałem się od tego mego *zawziątku* odgromić, chociaż on nieraz „y osoby mojey do *nasytku* z swoim językiem sie *naczosał" ; zatarczywymi* będąc na wytaczanie (krwi niewinney).

Inne słowa, choćby cudzoziemskie: *szybałym* (!) y machlerzem!; *flussow*, prawi Polacy mówią *fluksow*; kilka zbrodniow; niecnotowie; człowiek *nawzgardnieyszy*; *wielojakie* albo jak rozmaite?; dekret albo ortel; z panienstwa *ogolić*; fraucymerkę!; wyklnął (!) ją, krasną y stroyną; *swidrzącymi* oczymá poglądali; kiedy się *galancą* bryżuią, *páruki* noszą: na tych modnisiów chodzących zbrojnie

(„sub kordibus atque rapiris“ mawiamy żartem) do kościoła i strojnie narzeka on stale, np. mówi o *darmopyszkach* i galantkach, „wy *alamodowie* bez płaszczow y wy *alamodki* bez *koszek* (zamiast kożek, forma mylna) jáko tu u nas mowią álbo bez *mętlikow*“ (kożki, mętliki, i o księżych futerkach mawiano, nieraz w glosach XV w., andromeda i epomis, por. Słownik Bartłomieja z Bydgoszczy str. 181 odbitki) do kościoła chodzicie, ale Chrystus brzydzi się „taką galanteryą y *mustrámi* waszymi“ — „nowy alamodski *muster*“ nie nosić brody; stroyniey y szumniey się *wygalánćić*, nie wiedzą już „na jaką fozę alamodskie obuwia“ robić itd. To znowu wyzwie *gadunow* (plotkarzy), albo tego, co z cudzymi *matulkami* cudzołoży, ale bardzo sroży się na przymówki, jakie szerzą *blázgoniowie* (ztąd pochodzi słowo bluźnić, dodaję mimochodem) y niewstydliwi *gębalowie*“, co to lubią „szydzić y *wyszczerzać* się“ (częste u niego słowo np. *wyszczerzaiąc się* z niego szyderskie, tedy się on z niey *wyszczerzał*, będąc wielkim *oszczercą* szydźił; mieliśmy niedawno *oszczercę* takowego, ktory się zwykł z słowa bożego *wyszczerzać* i t. d.); oni to szydzili z jego polszczyzny, nawet z formy jak *pisem*, chociaż on jąim u dobrych autorów pokazywał a potem przymawiał: „niech jedno przyganiacz moy oczy z pudra (tak zamiast puzdra, gdzie z wsunięte) wyimie“ i dowodził, że nigdzie indziej niema takich „ożuwcow, szczekułow i gryzosłáwow“, coby tak swoich księży „bramowali“ jak między nami luteranami, „ile w tych krajach naszych“; oni to wyrzucali mu *małżonkować* (kiedy sie *małżonkować* máią, napisał on był) i *żołądkować* (dosłownie przetłumaczone z łacińskiego stomachari), *skwierczeć* (o pomoc), aby *strawica się wlokła*, czego on wszystkiego dowodzi i z Kromera i z Reya („jednego theologa“) w wykładzie Apokalipsy i z Komeńskiego in ianua linguarum.

Specyalnie śląskie używanie słów wyjątkowe u niego, o rzekaniu = modleniu sam powiada, że „wy tak mawiacie“; nuż zasłychnąłem *kąszczek* (nieco) przypomina śląskie kąs, zob. niż. Inne słowa (np. przyzwyczáiwszy się do *lábowánia*; *zczwártuią* zamiast ćwiertowania; *mieszkániczko; kramnicę* (budę); *krowieńce*, nie krowińce, por. psieniec i psiniec, np. u Paprockiego w Kole rycerskiem — tych namieszał był w Wilnie kupiec do tabaki i penowano go za to o paręset złotych — do roboty nie *przynucają;* mołojec; szędziwy!; *krzykać*, *wrzaskać*, inne *fochy* i rozpustę płodzić jęli; *czytańcze* czytelniku; ja na to y *krty* nie dam; młokos; w po-

mietlech (ma mężał: na *biodrę uchramować;* że mu się zaraz z dworu *forować* kazał; *forujże* się do itd. itd.) dzieli Gdacjusz z Birkowskim np. i innymi. I to była całkiem pospolita etymologia (powtarza się np. u biskupa Witwickiego itd.), wywodzić imię szlachty od szlachten (wrogów w boju), dodaje Gdacyusz, że toż powinien on w pokoju z własnymi członkami ciała, niema im cuglów popuszczać.

Język Gdacyusza nasuwa mi jednak niejednę uwagę jeszcze. Wyżej, powołując się na *utaczkę* Mączyńskiego, twierdziłem, że w pospolitszej (już u Górnickiego itd.) *utarczce* r wsunięto. Możnaby przeciw temu przytoczyć słowo *natarczywy* (natarczliwy) i z Gdacyusza owo wymienione wyżej *zatarczywy za.* Otóż *utaczka* może właśnie pod tym wpływem *natarczywego* tym łatwiej r przybrała, oba słowa pozornie sobie blizkie, uta-(r)-czka od *utoku* pochodzi, natarczywy zaś od *tarku* (cerkiewne тръкъ, serbskie trk bieg, trčati biedz, czeskie trčeti nacierać).

Drugim słowem trafię aż do starej pruszczyzny. Między glosami elbiąskiego wokabularza czytamy „*saninsle*“ dla pasu, słowo dawniej nie objaśnione, aż fiński uczony slawista, Joos. I. Mikkola (w artykule Baltisches und Slavisches, z rozpraw fińskiego towarzystwa uczonego XLV, 1903 r.) z polskiego je wywiódł, przypuszczając jakieś polskie * sąwiąslo (por. powiąsło), z którego by w pruskiem w wypadło (saninsle z sanwinsle). Otóż o wiele łatwiej czytać pruski termin *sauinsle* (n i u odróżniać trudno) i z polskim *zawięziel* je łączyć. Co do tego * zawięziel przypominam Gdacyuszowe *wywięzlenie* — inny przykład znajdziemy zaraz. Tu nadmieniam, że rozprawa prof. Mikkoli przynosi wiele nowego, uzupełnia i zbogaca jeszcze moje wywody słów staropruskich z polszczyzny, chociaż nie na każdy z jego wywodów bym się zgodził. Niepotrzebnie wtacza on jako źródło pożyczek i język t. j. narzecze pomorskie, zapominając, że przecież narzecza polskie XIII i XIV wieku z których Prusacy się zapożyczali, miały to ą (an) same, którego on u Kaszubów szuka, mawiały *pąto. wąs, wiąziel* (ansaljis w pruskim, bez w nagłosowego) itd., taksamo mają mazurskie narzecza reno itd. zamiast rano — więc można pomorszczyznę pominąć, wystarczy nam sama polszczyzna.

Wiąziel („ansaljis“) znachodzę bowiem w „Historii znamienitey itd. o Gryzelli salurskiey Xiężnie“ itd. (w Krakowie, bez roku, 36 str. małej 8⁰, druku bardzo zbitego); tam czytam, że apostołom

tylko zabronił Pan żon, aby byli wolni od wszystkich „*obwiązieli* cześnych“. Jest i poetycka przeróbka tej prozaicznej „powieści ludowej“, Grizella itd., z r. 1571 — autor nienazwany, Prusak jakiś, drukujący w Gdańsku rzecz swą, pierwszą nieudolną próbę poetycką, dedykuje ją Helszcze z Mortąg, żonie p. Adama Zalińskiego, sędziego tucholskiego, „i że rada czyta (a gdy niema co) tedy o tym pyta“; w rekonwalescencji swej, gdy „spokoiczku ná wiâtr“ wychodzić nie śmiał, dopadłszy tak rok niemieckiej Gryzeldy a niebawem potem polskiej też takowej — drukowanej więc przed r. 1571 — przełożył ją wierszykami, ponieważ wdzięcznieysze iest czytanie rymami:

> acz to znam, iże nie są chędogie, foremne,
> przeciw innym składáczom są práwie nikczemne,
> bo moy rozum nie przydał tu nic ozdobnego,
> bowiem się niedouczył, tępy iest do tego
> a przeto materią w innego bierzę,
> którą tu prostim szyrmem iako tako pierzę —
> kto źle nigdy nie pisał, dobrze też nie będzie
> nigdy pisał itd.

Ów „poeta“ trzyma się miejscami dosłownie tekstu prozaicznego, wziętego nie z Bokacyusza, lecz z Filipa Bergomensis de claris selectisque mulieribus i wyłożonego na polskie dla nauki i przykładu stałości niewzruszonej. Tekst prozaiczny bardzo obszerny, sama przemowa pana radcy, namawiającego księcia aby się „ożeniał“, ciągnie się od str. 3 do 13; zbiera on argumenty zewsząd, nawet od *niemot*: czem więcej masz dzieci, tem więcej proszą Boga za ciebie, jeżli bez potomka umrzesz, dostatków twoich „nábierze *niepili*“ (obcy, dziś jeszcze po narzeczach używane) i straci to „gámrátuiąc abo kostki igráiąc“; „z żoną cie czczycá nie będźie“, dziatki będą cię zwały „nánnem lubo tátą“; książę wybiera żonę z stanu, gdzie się kobiety „nie megluią áni przypráwuią“; ojciec Gryzeli nazwany Janikułą.

Przeróbka poetycka jeszcze obszerniejsza, liczy około 2400 wierszy, bardzo zresztą niezdarnych i prozaicznych. Zwracam uwagę na właściwość językową, „skracanie“, jak pszenica w pszeńca itp.— uchodzi to za cechę „kaszubską“, chociaż jest ogólnie polską, tu liczne tego przykłady, np. na *szubiency*; szczególniej podlega temu co raz słowo *znamienity*, np. wiele páiń (pań) z rodu znamientego nie

cełuią ni kąską rozumu twoiego, znamientem płodem, czásem rozum známientszy... w Xámitnem kábacie (por. wzorowáne Xámity háwterze háwtuiąc bramy *perlánki*), znamiętszego rodu, niźli panię znamiente; *pospoltowáć* z nierownym. Używa niejednego germanizmu, np. *brutka*, jak i na Śląsku (skąd brutká być miáłá, przeciw brutce iácháć, brutkę pańską ogłiędáć); *szálameie* (piszczkowie w szálameie pomorty puźany piskali). Z Ogrodu W. Potockiego i z ludowych narzeczy znam samurę, samorę = świnię prośną (por. Język Potockiego str. 390), tu dodam objaśnienie tego wyrazu, samura poszła może ze samurej = samej (jak jedurny każdziurny itd.), np. ktore *samurna* kąpałá. Infinitiv jeszcze nieraz na i, np. mogę mieći stobą itd.; fałszywa forma: duszę sniey wyżenić. Ojciec brutki (miłuchny tátuszku, thatusia miłego) nazywa się Janem. Szczegółów drastycznych nie skąpi, np. gościom przy biesiedzie „nieiednemu málmaszká wymkłá się precz z gęmby“; bawi się w długie przemowy, przed łożnicą jeszcze prawi radny pan o czteru przyczynach małżeństwa na str. 41—46. Przysłów chętnie zażywa, np. (dają) łotrinią łotrowi i iako ono mowią Mártę Gotárthowi; pánu smieiącemu się, niebu pogodnemu nie wierz; mąsz żony, oćiec syná nigdy nie sromoći; (ona myśli o wszystkiem, mówię to tak śmiele) iż gruszki niezábaczy w gorącym popiele. Pisownia niejedna dziwna, np. wiśśiało, białłych, wesselia, z takimi zdwojeniami spotykamy się zresztą częściej po rękopisach, niż w drukach. *Dziel-dziel* używa jak i Seklucjan i pruscy (kaszubscy) pisarze, np. (Gryzela dzieci swe) ięłá cáłowáć dźiel płáczȩc dźiel theż smieiąc; do *cánczleriey* odśilał(!) wsze sprawy; z *zebrá*; z Iáwą itd. zamiast Ewą!; zamiast owych obwiązieli pisze: od obowiążek czesznych (więc nasz obowiązek był niegdyś obowiązką, por. wiązka, powiązka itd.); byretek, w nim złote pontáły; vmiał gwiazdarstwo około przebádánia iákych przyszlich rzeczy; wiele cierpiąc *chutliwie*, niemaiąc przestrzeństwá itd. itd. — *bojała* i *stojał* itp. są ogólnopolskimi terminami gwarowymi.

Język prozaicznego tekstu, wzoru dla naszego Prusaka, nie przedstawia nic osobliwszego (z pierwodku przepámiętawał, zwoleństwo = wolność, áby tobie sprzyiáiáły, ia tobie sprzyiáię itd.), gładki; „poetá“ sili się za to na ton jakiś ludowy, kończy np. „po pracey napił bych się iesli mi co daćie“.

Wspomniałem dlatego tak obszernie o obu przeróbkach, gdyż egzemplarze ich należą do największych rzadkości, p. Estreicher np

nie przytacza przy nich żadnej biblioteki, ale prozaiczny tekst jest w ces. bibliotece petersburskiej, poetycki (z r. 1571) w Kurniku; Maciejowski III przytacza z przedmowy wyjątki; trzecia, znowu odmienna, przeróbka (wierszem Głoskowskiego z r. 1641) również tylko w jednym egzemplarzu ocalała.

VI.

Dosyć jednak zatrzymaliśmy się przy dawnych drukach, zawierających chyba nieznaczne ślady narzeczowe w słownictwie; przejdźmyż do druków rzeczywiście narzeczowych, poświęconych umyślnie gwarze i jej właściwościom. Ograniczymy się tym razem śląskimi wyłącznie. Zaczniemy od druku, nieznanego nietylko Malinowskiemu lub Bystroniowi, ale nawet ślązakowi, ks. Fiedlerowi, który był przekonany, że roku 1844 poraz pierwszy z dziełkiem o śląskim narzeczu (dolnym) występował — chociaż miał poprzednika wcale niezgorszego. O nim tu pomówimy naprzód.

Jest to niby urzędowy dokument, dziełko, wywołane przez potrzeby praktyczne. Ponieważ nie spotykałem się z wyciągami z niego a sięga ono jeszcze ośmnastego wieku, wymienię je więc tu i opiszę. Zamiary i zadania jego wynikają z samego tytułu:

Der Hoch- und Platt-Polnische Reise-Gefehrte für einen reisenden Deutschen nach Südpreussen und Ober-Schlesien. Nebst einer Anweisung zur Selbst-Uebung dieser Sprache von einem in jener Gegend wohnenden Verfasser. Breslau und Leipzig, bey Adolph Gehr. 1804. VIII i 136 str. małego 8⁰. Przedmowa podpisana przez jakiegoś E. G. H., w księstwie opolskiem, w sierpniu r. 1800; bawił w obwodzie kozielskim.

Skarżyli się Niemcy na trudność poprawnego czytania polszczyzny a jeszcze bardziej na trudność zrozumienia gwary ludowej, nawet gdy trudności języka klas wykształconych przezwyciężyli; więc dla ułatwienia obu rzeczy układa autor spisy słów i rozmówki o najzwyklejszych zajęciach, potrzebach itd. We wstępie prawi o różnicach między warszawskim Hochpolnisch a śląskim Plattem; jak owo w terminy łacińskie, tak to obfituje w niemieckie; dziwi się, dlaczego np. tamci, chociaż mają własne „Tscheschtsch", koniecznie „chonoru" używają a ci znowu „idang na luft" zamiast „(idę na) powietrze" mawiają, ale *powietrze* u nich burzę raczej

oznacza; Platt zachował niejeden dawny wyraz albo używa tego samego wyrazu w odmiennem znaczeniu, np. *rzekać* jego zastępuje „wysokie“ *modlić się*. I w samym Górnym Śląsku są odmiany w wymowie, właściwi „Wasserpolowie“, między Opolem a Brzegiem a głównie nad samą Odrą (ztąd ich nazwa) mówią „grubiej“, np. *macie* (a pochylone) jak mautsche. Po krótkich uwagach o wymowie następuje słówko o pozdrowieniach itd.; niech bandzie pochwałyn (!) Iezus Krystus skracają na *wałyn Je.*; odchodząc mówią *bydźcie* z Bogiem; twierdzenie ich *toć*, przeczenie *ni*; Wollen Sie tłumaczą *chcun to ponoczek* (panoczku; paniczku, gdy z młodym mówią); używają *joch był* częściej niż *ja byłem*.

Od str. 24 do końca idą słówka i rozmówki, drukowane (przez obie strony) w cztery rzędy obok; w pierwszym tekst niemiecki, w drugim Platt ortografią polską; w trzecim „wysoka polszczyzna“, w czwartym powtórzony Platt z drugiego rzędu, ale fonetycznie i w niemieckiej ortografii, więc *ia kupię* (drugiego rzędu) — jo kupiong (w czwartym), itd.; na ten czwarty rząd łożył autor najwięcej starania, podczas gdy drugi nieraz haniebnymi błędami druku zeszpecony; w cytacyach posługuję się owym czwartym, tylko szwabach łacinką zastępuję, ll przez ł, å przez ä; daję ó i á.

Dajemy tylko rzeczy ciekawsze lub rzadsze; np. na str. 31 nazywa się wołowe mięso: *owiensze mianso* (gowędo!) a wędzone *ukorzone mianso*; zresztą *szpek*, *szółdra* (szynka), *pieczunka* (pieczenia), *gáleczki* (kluski), *preclika* (obarzanek); zamiast wolę jeść, powiedzą: *ia iem lepszy*; *iadun* zamiast jedzą?

O podróżowaniu (str. 35); gościniec bity zowie się *wiela droga* (wiella!), rów albo doł *krzypopa*; ia *piechty* pójdą, droga sanna: *sanica*; *dwie* kunie nam upadli; daicie nam kunia *na forszpung* (na zaprząg); gospoda zowie się *gościńcem*, stajnia *masztalnią*, szopa *kołnią*, sieczka *siekaną*; pytają: daliście już futer kuniom i każą: *odpojmaj (oduzduj)* konie — ioch ich ieszcze ni *wyprzung*; żądają *teiu* czy *kofeiu*.

W liczebnikach znachodzimy obok zwykłych form dwadzieści itd. jeszcze i *dwadcet, jäden dwadcet, pianc dwadcet* itd., *trzydcet* i *czterydcet*; dalej *dwiesta*, *jeden dwudziesty;* pytają *wiela na zegarze* lub *jak skoro już;* *tolar* jest *twardy,* nie bity; dwugroszówka nazywa się *półtrak* albo *brumer;* denar — *widenka;* zamiast kwaterka mówią *kwaretka*, zamiast korzec: *ćwirtnia*, zamiast miarki: *ćwirtka;* dnie

zowią się *pindziałek* (!) *strzoda* itd.; południe *połedniem*, jesień *podzimem*, obok jutro mówią i *zejtra; po jutro* zamiast pojutrze; *ni mám już tak moc* (t. j. tyle), zawsze *trza mi*, *w tym tydniu;* ni tak *gorko* (gorąco); ón má dzis swój dzień *narodny; tanga* (tęcza), *psóta* (!) niepogoda; *wielnastkie krupy podajun* = grad pada, z owem ciekawem *wielnastki*, jak wciornastki, dawniej ogólne; *luft* sią ochłodził.

Str. 61 o mieście i wsi: gbur *siodłakiem* się nazywa, sołtys *fójtem*, piwowar *sładkiem*, wiatrak to *powiëtrznák*, zboże *obile*, żyto *reż*, tatarka *poganka*, rydel *rył*. Niektóre zwroty skleił nasz autor nie najlepiej, np. zejtra já bädą pszänicä wysiać albo já już nic nimam na poorać.

67 o sprzętach: drzwi albo *dwirza*, zwierciadło *zdrżadło*, lichtarz *świecznik*, szczypce *puclicht*, tabakierka *byksla*, *feifka*, *krzemek*, stal albo *ocelka*, hubka albo *szwomb*, *widelka* (widelce), *łeżka*, *płachta* na stół (obrus); nimogą já *klepać* (skrzesać) ognia; *pucuj* noże.

73 o ubiorze: *brzuszlek* albo *westa* (kamizelka), *galoty* (spodnie), *knefle* (guziki), *sznele* (sprzążki), *micka* czapka; iá *wdycky* (zawsze) noszą itd.; jużech sä oblek – zeblek, iách sä jeszcze ni obuł — zebuł.

77 towary itd.: *mandle* (migdały); tabaka *kurzona* lub *kurzawa* i wuniunca, *sznupawa;* korzenię *szczypláwe* (pieprz), imbier *zozwor*, cynamon *skorzyca czerwiona* (*czerwiennä* też), gwoździki *grzebiczki;* żółty imbier (curcuma) — szafranica albo żółciocha, żółczydło, żółta munka, żółty proch; korzenia tego *trzetego* (tartego); krochmalu — *szkróbku białego*, sinka *światła barwa* (por. niżej Blauholz *światłe trzáski*); hałun *lodek lodku;* syrop *syrok;* śrót *brók; jegły*, *szpandliki* (szpilki); *postrzedni*, *młety* (mełty); zębaty *ścikany;* i tu *światły światławy* tyle co modry, błękitny. Pytają dziewczyny: cóż byście to wy mieli, *dziocha*? stunżki bych chciała... ni bądzie to tyńsza (albo *lacniejsza*), za co albo *poczyn* (tak zawsze w czwartym rzędzie, w drugim i *poczym)*.

85. O pisaniu: czernidło (atrament), czernidłem (tak!) *szkłonka* (kałamarz), federmeser albo nóżyk, blajwaska (ołówek) i *arka*, nie arkusz, papieru.

89. O Bogu: modlitwa albo *rzekanie;* kancyonał *pieśnica; manżołek i manżołka*, *starzek* (dziadek), *starka* (babka), tatułek (!) i mamulka, pani *panuchna*, córka *cera*, *stryk* (stryj); *imianuje* sie (zowie się); *kieryż* (!) twój tatułek *umrzył?* moja siostra *terazki* młoda

pani jest (Braut), młody pán Bräutigam; niznám iá tego *farusza* (plebana).

95. O ciele; *lelita, pleca, cietucha* febra; *nawiść* (nienawiść); *przáciel przácielstwo* itd.; iách sie pisnuł głową albo iách szie bił do głowy (uderzył).

101. Zwierzęta: *leleń, orel* (tak oba razy!), *kacica* kaczka, *kokót*, *pinkáwa* (zięba), *raszka* Rothkehlchen (gil. łudarka), zamiast piegży *pieżga, plusgwa* (pliszka), trzynadel, kukawka, *katoperz* (nietoperz); bąde já dáć jedne swinięng zabic — takie i podobne zwroty znajdują się nieraz; iách tego roku jeszcze nie widział jaskółki *(jurzyka)*; byk mią *bodził!*; *harynek*, gunsionka (gąsienica); *błecha* albo *skáczka*, plószczyca (płośćica w kolumnie drugiej, pluschtschiza w czwartej — kolumna druga wykazuje dawniejszą pisownię, ći śi zamiast ci si); tam stoi *hul (pszczolnik)*, daj pozór; chrabunszcze liście *obeżrali*, mole sukniąng *zeżrali*.

109. Rośliny: *stróm* (pień); *popół* albo *topół* (topola); *krasikón* albo *szczudrek* (koniczyna); *szuitloch* (szczypiorek), *brankol* (jarmuż, Kohl); *czeczówki* (soczewice); *winorade* winogrona, *wieprzki* agrest, *ostrążyny* (ostrożyny, jeżyny); ostrugaj te jabka; gruszki jeszcze ni son ozdrzale, aprikozy na słońcu sie najlepi zdarzun, iá idą z winnicy a iách tam obezdrzał moje winorade.

117. Wojna itd: wiele naturalnie niemczyzny, loger, celt itd. szpotung (Sponton); szpiegun; brana (brama).

123. Rzemiosła itd., *zegárnik*, knetlarz (szmuklerz). ksiangarz (introligator), masarz (rzeźnik), rankawicarz, pociérkarz (cierlicarz, Brechenmacher); młynárz pszenicang jeszcze nie mioł (mełł); czy już práczka przyniósła moje *klaki* (bieliznę); kóminiarz zejtra chce kómin wymiátać... daj go pojùtro przyść, bo já zejtra ni bande doma.

127 do końca, luźne przymiotniki itd., *piekny, szumny,* szcześćliwy!; *pożczać* (pożyczać), *płaćéć* (płakać); *w postrzo ku*, kiedy albo *kieryż, inno* albo tylko.

Warto nadmienić, że niejeden pomnik dawniejszej literatury dziwnie ten język śląski przypomina, np. taki „Żywot Aleksego i Eustachiusza" (z r. 1529), cytuję go wedle przedruku Bystronia, Sprawozd. Kom. językowej V, 1894. 445 — 469). Żywot ów wyszedł u Szarfenberga, szóstowirszyk ku czytelnikowi podpisał Jan S. (t. j Jan z Sącza, który i przy Opecu Hallerowym pomagał a w kilka lat później, protestant, do służby księcia pruskiego się udał i we

Łku drukarnię prowadził i pastorem został — znany nam lepiej jako Jan Malecki!); godzi się jednak wątpić, czy to świeżo dla druku tekst przełożono: byłby się drukarz tem chyba pochwalił. Przypuszczam więc, że udział Iana S. ograniczał się do obu wierszów u początku i końca książeczki (Szostowirszyk i Napominanie) a tekst sam wzięty gotowy skąd inąd. Otóż ten tekst ma nieraz też właściwości, co i owa polszczyzna kozielska, a więc *postrzod* (rzeki) i *wpostrzod* (miasta) — u naszego Ślązaka mieliśmy *wpostrzodku, strzoda* itd., przykładu dla srebra jednak nie daje (strzebrem 1529); dalej *hnet*, *czernidło* (atrament), e zamiast ę w *piekny*, *nieszczescie*.

Słowa, które Łepkowski [1]) pierwszy u nas wypisał, powtarzają się nieraz u naszego anonima, ale *dęga* nie *tęga* (tęcza), *rosikoń* (koniczyna), *wieprzki* (agrest), *skrobek* (krochmal), *lelito*, *płaszczyca!* (pluskwa), *pszać* (por. wyżej *pszaciel* itd.); *zdrzało* źwierciadło; *galoty* (spodnie) itd.; *kłaki* dla odzieży zna i Słownik Warszawski, ale nasz Ślązak pisze *kłaki* bielizna.

Między anonima z roku 1800 a Łepkowskiego, inaugurującego naszą literaturę śląską, zbiory pieśni, zagadek, tekstów itd. Rogera, Cinciały, Malinowskiego (wydanych świeżo przez p. Zawilińskiego, w Materyałach antropologicznych itd. tomie IV i V) należy wstawić książeczkę, której Łepkowski daremnie poszukiwał, pastora międzyborskiego M. Fiedlera, Bemerkungen über die Mundart der polnischen Niederschleiser 1844 r., IV i 39 str. 8⁰. Książeczka wcale ciekawa, chociaż walną część jej zajmują teksty, pieśni ludowe (których uzbierał pastor około ośmiuset i do Poznania przesłał), listy mało charakterystyczne, najlepsze jeszcze między nimi Historya o wilku wędrownym (w prozie rymowanej, zakrawającej na wiersze) albo przemowa weselna drużby (komu *lost* i miło itd.). Ważniejsze niż te teksty: przedmowa autora o wymowie i języku śląskim, zgadzająca się z wywodami anonima np. wymowy jak *prauca;* wymiana końcowa f i ch, *mief* zamiast *miech*, *nif* zamiast *nich* (sięgająca jak wiadomo i do wielkopolskich narzeczy); formy na — *oma* itd. Fiedler daje i krótki spis słów, zaczyna od „onaczenia“, przytacza potem *żeniec* Bräutigam, *karlusz* (Kerl) chłop, junak (bez odcienia szyderstwa); *pozimek* wiosna; *pręga* tęcza; *zemrok* chmura;

---

[1]) W artykule Biblioteki Warszawskiej, 1849, III, o liczbie, literaturze, mowie itd. ludu śląskiego.

koncewie koniczyna; kartofle nazywa *jabłka*, *buchnery*, *knole*; *haruszy* kaczki (znam tylko haruś wołanie na kaczki); *kaduch* (!) pióro (gęsie) do pisania; *wieluk* Backofen; *bery* plotki, głupia gadanina; *kopeć* sztuka bydła (kopyto? nie znalazłem nic podobnego nigdzie indziej; on przytacza np. trzy *kopcie* bydła); z czasowników *porączyć* anordnen. *oszydzić* oszukać. czepać (czepnij, zamiast ciepać) rzucać, cpić tożsamo, siano zecpięte; z przysłówków: *chuinie kęs ludzi* (bardzo wiele ludzi. podobnie u anonima), *bezteć* allerdings; bardzo *scywno* było bango, podobnie *szkliwo* (= ckliwo); i on powtarza rzecz o używaniu w przemowie „oni, jeich" itd.

Bystroń potwierdza niektóre pozycye anonima, np. *owięzi* (o mięsie), *arch* (papieru) itd., tak że musimy je wszystkie za trafne uznać. Obok tych dwu niemieckich prac „dyalektologicznych", wyprzedzających nasze własne, wymienię jeszcze dwa druki ulotne. parodye, rozszerzone na Śląsku w kilku wydaniach: korzystał z nich (z wydań wcześniejszych) i L. Malinowski, ale tylko dla nosówek, ja uwzględniam wszystko. Są to parodye balad Szylerowych. Rękawicy i Nurka, wydane w Kluczborku u E. Thielmana 1892 r. p. t.: „Ta rękawica od Schillera przetłómaczył Dr. Haase teraz w Szczecinie pierwiej w Wołczynie" (wydanie trzecie), str. 7, i „Ten Uebersetzung tego Tauchera, niejakejś bojki od pana Schillera przez Dr. Haase w Wołczynie" (drugie wydanie, str. 8). Parodye to nie najgorsze, sprowadzone na poziom wasserpolów, między parobczaków i gburów; o germanizmy straszne, umyślne, nam tu nie chodzi. Gwara sama zachowana wcale dobrze, chociaż nie konsekwentnie; „mazurzy"; daje an, am zamiast ę; pochyla a (o, komedyjo itp.); w czasie przeszłym ma -ech zamiast -em, drukarz dzieli je; a *jak ech* tak wisiał, to *wroz ech* zoboczył itd., *którego ech* prosił. Egzemplarz „Rękawicy", o pół wieku starszy posiada w swych zbiorach Dr. Karłowicz.

Z „cwingera" „lew *nieli* byk wyłazi jak smyk" a potem *zaboncol* (beczeć), pod nosem *zamroncoł* (fałszywej nazalizacyi przykłady liczne: *mięseczek* mieszek; się *plęcie* do króla, plątać, tak się *plęcie* potwora itd.; na *ćwięku* ćwieku, ćwioku tam hoczyk zahaczył się itd.); potem *pociep* się i społ. *Ciepnąć* rzucić. bardzo częste, np. ten wziął ten ceski a *wciep* tej frelce zaroz go w łep; jo wam tam *wciepna* becher — *wciepnął* ten becher do wody. *ściepuje* westę jednym razem *pociep* się do wody, choćby mi tam *wciepnął* pieniędzy; potem *tygier* (czego i Siennik używa r. 1569) swój ogon

krańci i *bałamońci*: liczne przykłady takiego bałamącić i bałamęcić daje Karłowicz z tekstów gwarowych (I, 4); z dawnych druków np. Ramułt 1612 o bałamoncie się odzywa.

Jęzor znane ogólnie, rzadsze *borok*, *boraczek* zamiast nieborak, nieboraczek, jest i w pieśniach śląskich; *frelka*, *frelicka*, niemieckie, niemieckiem też zwrot: frelicko, co płacą? *gibki* prędki, *gipki* jak zając wymignął, albo z wody tak *gipki* jak zając wyfiknął („Nurek"); teraz panowie się *dziwają* a myślą, to *frańta* jest śmiały. Parobczyk *wartko* (ogólnie ludowe) ku frelce się ruchoł, te rękawicę jej doł do *klina* (podołku) a czekoł na trangield. Frelicka wyjęła *mięseczek szumny* (staropolski termin) i wybiera grosoki a stare *bucołki* (por. bucák, dawniej „czterocentówka" Karłowicz I. 130). Ona *padała*, ale on *pedzioł*: i *osmolołbych* im go (o odrzucaniu z pogardą, *osmoliłbych mu je*, nie chciał ich zarobić w „Nurku"). Krol pogłoskoł *karlusa* (nu, *karlus* czy nie mosz już chańci „Nurek") a dał mu na suknią i nowe *galoty* spodnie, i w „Nurku").

Bogatsze nieco słownictwo w „Nurku". Król „bechrem" tak *smarnął*, że aże *suszczało* (por. tak prawie gdy deszcz jeno parę dni *suści* — od szust, *szuścieć* i *szustać* używane dawniej i dla mieniania się i dla oszusta; pokrewne z tem *szwastać* tegoż znaczenia); dalej: *pragonek* pragnienie, lecz na ten becher *pragonku* nie mają; *zebuwo* swe bóty, por. *zebłóccie* galoty, *zebleko* koszulę; *szuminy* (szumowiny); mi *dzier* galoty (dzierż mi, trzymaj); już *wiatrz* (i po innych narzeczach ta forma) nie *bańtuje*, por. to taki gwołt, taki *chuk, bańtowanie* (*bantować* buszować, zwrócenie Mathyasza z Podola, około 1620 roku: nie ciężko nam *bańtować* po chałupie wszędzie, najdąli sie pieniążki, nasze szczęście będzie; zresztą po narzeczach, hałasować, dokazywać. Z węgierskiego). Widzicie go ten *srajta*, to jest kanalia — taksamo w ostatniej strofie. Kilka razy powtarza się *przyjwieś;* kieliszek gorzołki od zurty choć mojej t. j. Sorte. Tak wody podmorskie się na mnie *gichały:* biły na mnie, zlewały się; ciekawe to słowo, parę przykładów gwarowych daje Karłowicz: to tam deszcz *gicha* (leje), *gichać* wodom po kim, przyszed z wodą i *gichnął* temu parobkowi obie ćwierci na łeb; Karłowicz porównywa *gluchnąć* w tem samem znaczeniu i uważa oba za dzwiękonaśladowcze, lecz już w „Władysławie IV" Wielkopolanina, Twardowskiego, czytamy w Punkcie drugim „konkurs i *zgichnięnie*" (str. 156). *zgichnionemu* (zebranemu) gminowi" (166), a w „Wojnie domowej" II 71: iako gmin *z-gichnioną* gromadą

bydła przelęknionego; takie przykłady przeczą owym wywodom dzwiękonaśladowczym. Niżeli na wieki i *dokna* był wpadnął do morskiej paszczęki (rzadsze, częściej *docna*, a może i błąd druku). *Utopa*, niech ci się *stoplają* (topią); głambizna. Opisuje co w tej utopie gadu i morów (mora) — potworów było: tu coś jak *kiendroś*... tam *chrostok* okropny, tu wąż jak *sztama* (niemieckie). „Wolorz“ odrzeka się ręki królewny: tej *dziosze* to *dejcie lejtmąta* (lajtnanta) jakiego, jo *przaję* (*przyjaję* = przyjam, jedyna do dziś ocalona forma, nie sciągnięta; *przyjaje* jeszcze w XVII wieku używano i dorabiano nowy infinitiv *przyjajać*). Król kończy: „widzicie go ten *srajta* tak mądry jak *śmiałek*“ tak podoł król a kupił mu *statek* (t, j. sadybę, gospodarstwo, czeskie; lecz co jest *śmiałek*, czy czeskie *smetak* smieciuch itp.?). Zaznaczam, że obok stale wyrażanych nosówek zachodzą i formy bez nosówki, np. choćby mi tam wciepnół pinięDzy *ćwiertnica*, ja *wciepna*, przynieś *ta rankawica* i i.; z formą swojemi *tacoma* (niem. tatze) por. *oczoma* (swemi); kilka form może tylko w druku mylnie podanych, np. *jeżęli* albo „a zaś co im (Ihnen!) *spładło przyniesę*.

Kończąc te przyczynki gwarowe zwracamy się teraz do słownictwa średniowiecznego.

VII.

Materyałów, zebranych i objaśnionych przez prof. J. Rostafińskiego, o których już wyżej wspomnieliśmy, nie poddano dotąd ściślejszemu rozbiorowi filologicznemu, chociaż one i dla swej ilości i nowości, i znaczenia, ze wszech miar na to zasługują. Co dotąd zaniedbano, podejmujemy więc tutaj. Sprawdzamy poniżej wywody etymologiczne szanownego autora; polemizujemy z nim nieraz; nie godzimy się np. na wywodzenie nazwy naszym zdaniem słowiańskiej z niemieckiej; to znowu inaczej odczytujemy lub rozumiemy tekst czy nazwę dawną — że przy całej polemice, i dla nauki autora i dla nieznużonej pracy jego, z której tyle nowych i ciekawych pozyskaliśmy szczegółów, najwyższą zachowujemy wdzięczność i uznanie, nie potrzebujemy chyba osobno zaznaczać. Uwagi dołączamy do pozycyj autorskich, nie trzymając się ścisłego porządku; stronice odnoszą się do pierwszego tomu Materyałów źródłowych.

Str. 108. „Plantago. babka wodna, *łyżczyca* z powodu podobieństwa liści. co do *korzekwicy*, to nazwa oczywiście z czeskiego, z jakiegoś hořkvice. ale takiego miana w czeskich słownikach nieznajduję itd.“: *korzekwica* jest to samo i tak samo urobiona, jak *łyżczyca* od łyżki, od *korzkiew korzekwie* (staropolskie i kaszubskie) = łyżka, termin niegdyś ogólno polski, Prusacy go od Polaków przejęli (*karkis* = łyżka), powtarza go Bartłomiej z Bydgoszczy r. 1532 „trulla. cochlear coquinarium, *varzacha korzkyew; turgella korzkyew*“ (Erzepki str. 109 i 180, gdzie kaszubskie *korzciew* zacytowano). Powtarza się i w nazwach miejscowych. de Corzequi.

134. „Bifolium *bielidło* może z powodu białych kwiatów, *liczydło* może dające szczęście w nabywaniu. liczeniu pieniędzy“: liczydło to samo co bielidło, bielenie, upiększanie płci wyraża, ličba ličidlo ličiti i w czeskiem (do dziś) i w dawnej polszczyźnie Schmincke, Schmincken oznacza.

208. Pomiędzy nazwami koniczyny pojawia się nieraz tu i na str. 209 *chrościkoń* (trifolium i melilotus), autor nazwy tej nie oznacza bliżej, chociaż ona podziśdzień po narzeczach, od śląskich począwszy, ogólna, ale w różnych formach np. śląskie „*krasikon* oder *szczudrek*“ Reisegefehrte (1804 r. 110), *rosikoń* koniczyna Prace filologiczne V 866 i tam wymienione cytaty, pewnie zamiast chrościkonia (koń to chętnie zchrósta, konicz krasi konia).

187. „rośnie to drzewko między *labusiem* (z niemieckiego die Laube)“, czytaj *łabuzie*, słowiański to, nie niemiecki termin dla wszelakiego gąszczu, sitowia itd.

165. Herba pedicularis, a więc *wszelnik*, ale obok tego *szwelnik* kilka razy, z tą samą przestawką, z jaką u nas obok *wszytek* itd., *szwytek* w XIV i XV wieku mawiano; również w nazwach miejscowych (np. Sieprawice z Swiepr. = Wszepr.).

170. Berberys — czyrwona *glika*, „co znaczy glika, dojść nie mogłem, nie pomyłka druku itd.“ — czy nie jest to poprostu *glica* (iglica, wtedy ogólne, jest i u Mączyńskiego, jak gra obok igra itd.), od kolców?

171. Cynamon lub *skorzyca* (należało powiedzieć tosamo co *kora*, cerkiewne itd. koricę cynamon, skóra i kora tożsamo) „*patz*“ — alcż to nie termin polski, tylko łacińskie *patet* tak się pisze (t. z. że zostawiono wolne miejsce, nie wypisano terminu).

141. „*Szeszuła, szeszelinka*, oczywiście z niemieckiego Schale“; prasłowiański to termin, są i *szeszulęta* (scrotum) w dawnej polszczy-

żnie a bez tej reduplikacyi *szulata* w ruskiem. toż samo; *gwiżdż* z czeskiego hwiźd orzech robaczywy", należy czytać *gwiżdż* (od gwizdania, jak *świszcz*, świstun od świstania, dla orzecha robaczywego) i nie z czeskiego wywodzić, co jest prapolskiem; gwiżdż: świszcz = gwizdać: świstać, por. jeszcze *chwist* tożsamo (i w znaczeniu przenośnym dla pustej wewnątrz maszkary, *chwisty* w tym znaczeniu i w XVI wieku i jeszcze między ludem znane). Czy „wyrząbek" (tosamo co szeszclinki) trafnie odczytano, wolno powątpiewać, autor terminu nie objaśnia.

148. Pod pokrzywą wymienia autor i dawną nazwę (u Stanka) *okrzynek*, ale nie objaśnia jej — czy to ma jaki związek z krin lilium (z greckiego) czy też z okrzynem albo jak u nas zawsze mawiano z krzynowem (misą, dzieżą itd.)? „urtica biur", nieco niżej, znaczy minor (a^{or} = máior, b^{or} = minor, od sylogizmów).

157. Atriplex-lebioda „lebiditi se znaczy po czesku rozjaśniać się, lebiditi po słowacku (czytaj po serbsku) fovere curare. sądzę że nazwa lebiody jest z temi pojęciami w związku"; podobnie str. 288, lebiodka „po czesku lebiednik a lebediti znaczy cieszyć się, w ten sposób wyłożyli Czesi niemiecką nazwę tej rośliny Wohlgemuth". Czeskie lebediti rozjaśniać się, poszło od białości łabędzi i z łobodą-lebiodą (forma dwoista, jak nieraz w słowiańskiem, z *o* i *e*) w związku nie stoi, raczej łobuzie z łobodą zestawimy.

Nazwę *torzycy*, dla śnieci str. 92 i dla kanianki str. 272, wywodzi autor od jakiegoś „gwarowego *torzyć* tyle co niszczyć. stąd torzyca tyle co niszczycielka"; takiego słowa nie znam. znam zato *turzycę* (sierść zajęcza lub sarnia, już u Żery w facecyach itd.), lecz to coś odmiennego.

142. *Dziegieć* ma z litewskiego pochodzić, „z Litwy więc przyszły do nas rzecz sama i jej nazwa". Litwini od Słowian pożyczali wyrazy, nigdy odwrotnie się nie działo; słowo to czeskie, ruskie itd., więc nie z litewskiego poszło, chociaż mogą być sobie oba krewne (?), nie wywoziłaż Litwa tego towaru w tych czasach.

264. „Bagno albo porej", ledum palustre, z powodu miejsca gdzie rośnie, „porej z niemieckiego *porst*, przypuszczano słowiańskie pochodzenie tej nazwy, przeciw czemu przemawia wszystko z naszej strony". Rzeczywiście, forma *porej* w *polskich* ustach zdaje się niemożliwą, mimoto nie przeczyłbym słowiańskiemu pochodzeniu nazwy, raz dlatego, że od porst. porej trudno wywodzić; powtóre dlatego, że znachodzę *Porej* jako *nazwę miejscową* od najdawniej-

szych czasów. od dziesiątego wieku u Słowian nadłabskich (Porej nad Łabą!), pewnie chyba w znaczeniu bagna. Bartłomiej z Bydgoszczy ma nieraz słowa, przypominające zachodnią słowiańszczyznę, więc może i *porej* cudem jakimś doń się dostał; lepsze to niż niemożliwa etymologia niemiecka. *Porej* brat Wojciecha św. tu jednak nie należy, bo jest Porajem chyba.

Lewifuga *liszaj*, str. 246, ma i nazwy *wstol* (u Stanki) i *pstol*, one „mają wyrazić słup wznoszący się, itd.“ — ależ temu służy nazwa *stłupik* (jak w czeskiem, później *słupik*); *wstol* i *pstol* to tylko *wszoł*, por. nazwę *liszaj* dla tejże rośliny, gubiącej liszaje.

254. Peucedanum *smłód* „z czeskiego smled, to znaczy (po starosłowiańsku) fuscus... śniady na twarzy, tu zapewne z powodu barwy owoców, zrobiono z niej polski wyraz *smłód*, który się rozszedł po różnych innych roślinach baldaszkowych, dostał się nawet do niemczyzny. itd.“. Tymczasem ł w wyrazie *smłód* jest pierwotne, śmiady i śniady dostają l późno, np. śmlady, pośmledzieje u Reja w Zwierzyńcu. Niemają więc oba wyrazy smłód i śniady nic wspólnego; tematem dla pierwszego był smeld- i smold-; znamy go i z litewskiego.

Czy *świdwa* i *swidba*, str. 263, nazwane od jaskrawoczerwonej kory, dla czeskiego svíděti palić, silnie powątpiewam, bo svideti jest tylko svedeti swędzieć.

Tojeść vincetoxicum, str. 270, nosi nadzwyczaj ciekawą nazwę gdyby było tłumaczeniem niemieckiego Das ist; *tojeść* byłoby w takim razie pierwotną formą, *toje* i *tojest* poźniejszymi; należałoby i *tojad* porównać.

Zeby *szczyr* z niemieckiego Stier stür, str. 225, pochodzić miał, jest nieprawdopodobne. dla powtarzania się *szczyru* we wszystkich językach słowiańskich; raczej zgodziłbym się już na wywód *kawiasu* Consolida, str. 273, i *kawiacu* Scabiosa, 338, z czeskiego *havíř* Hauer (górnik), niby że górnikom szczęście przynosi; to pewna że to słowo obce — od niego wywodzi autor i *gobast* jako przekręcone hawias str. 276 — ale czy z tego czeskiego, wątpię bardzo, porównałbym czeskie *havez* Adenostylium. Również nie przypuszczam. żeby nasz *chaber* przez czeskie *charpa* z niemieckiego Kornblume (chorenpluem), str. 337, miał pochodzić; czeskie *chrpa* powtarza się chyba w naszem prastarem *charpęć* (zbiorowem jak *cięgć* itp,), które z nazwy zachwaszczonego miejsca przeszło na ozna-

czanie rozmaitych nieużytków, potem nawet wertepów; *chaber* może przestawieniem powstało, np. jak czeskie habř z hrabu?

Pisownia głos luźnych, jak inaczej i oczekiwać nie można było, bywa bardzo zepsuta; więc roją się nasze zapiski od nieskończonych błędów, od których chyba tekst myślącego, poważnego Stanki wolnym bywa; czy nie należało silniej zaznaczać, co tylko za błąd pisowni uważać trzeba; czy nie należało energiczniej tekstów poprawiać? Oto np. na str. 222 czytam dla scabiosa minor „*przygiełki*“ — czyż to nie błąd zamiast *szczygiełki*, częstego jako nazwa roślinna np. dla senecio, z którym dzieliłoby własności oficynalne (str. 333, jedno, to śpiwrzód a drugi krostawiec; lub szczygiełki str. 336). Podobnie chyba *moczyrał* nie istniał, może to jaki *moczyrad* (str. 255), ale już napewne *wrzast* poprostu błąd kopisty, który końcowe ss przez st oddał, forma polska tylko *wrzos*, innej niema — wystawił ją autor na czele, chociaż od poprawnych i pierwotnych zaczynać by należało, np. od *słunecznika*, nie od *słonecznika*.

W etymologiach autor niezawsze szczęśliwy. Np. nazwę *kopru* wywodzi on (str. 257) od kropienia, „bo baldach kwiatów kopru z kropidłem da się dobrze porównać“ — tu błąd metodyczny; trzebaż by naprzód dowieść, że Słowianie (bo nazwa kopru jest prasłowiańską) znali i używali kropidła (w jakich celach? kościelnych nie było!), aby mogli byli sami od przyrządu roślinę nazywać. Więc pozostaniemy raczej przy dawnym wywodzie od zapachu (litewskie *kwapas*). I wywód *pokrzywy*, dawniej *koprzywy*, od kropienia, tak żeby forma *kropiwa* pierwotną była (str. 148 „w związku z krop, ukrop, że kropi ciało, wywołuje bąble“), wcale nie trafne; boć mamy tylko formę *koprzywa* (i w nazwach miejscowych, słynny klasztor np. w Koprzywnicy) i przez przestawkę nie rzadką (por. krzypopę zamiast przykopy itd.) pokrzywę — kropiwa gdyby istniała, pewnieby zmianom nie uległa żadnym, strzegł by ją związek z kropieniem — niebyli też Słowianie tacy delikatni, żeby się koprzywy zbyt bali dla bąblów. Związek z koprem widoczny, ale jak go rozumieć? Przypomina się i *kipr* (psia konop, str. 283), roślina włóknista, jak i koprzywa: autor zestawia jej nazwę z kiprowaniem (tkaniem z kręconych nici), ależ to nowy wyraz obcy i dla starej nazwy roślinnej używać się go nie godzi; jest przecież prasłowiański przymiotnik kipr dla ciał porowatych, dziurkowatych i z tym chyba kipr Stanki łączyć należy. Również nie powiodło się objaśnienie *łoczygi*, która z *łodygą* nic niema do czynienia („łoczyga

znaczy tyle co łodyga, a zatem roślina, w której ta część jest najważniejsza" i t. d. str. 342), jest najpospolitszą pożyczką z łaciny, *lactuca* = *łocyka* (obok tego i *łocyga*, później dopiero *łoczyga*, autor formę mylnie przepisał).

Najgorzej obszedł się autor z bielonem, powiedział bowiem (str. 294), że hyoscyamus „po niemiecku bilse bilsenkraut, *z czego nasz bielon* zapewne pod wpływem nazwy *biel* młodej słoniny, bo liście rośliny... są tłuste w dotknięciu"; porównywając inne języki słowiańskie, widzimy, że pierwotnie po polsku *blonem* się nazywał (forma *blen* czeska? u Stanki są przecież bezsprzeczne formy czeskie). Czechizmy autor zwykle wyróżnia, ale nie wszystkie, n. p. nie oznacza jako takich: *mysze strzewce* (dla str. 272); *kosztywał* (str. 273), który nie „z łacińskiego costus przez niemieckie kostwurz", lecz wprost z czeskiego kostival poszedł, a tu należałoby uwzględnić zasady czeskiego głosowania, tłumaczącego niejedno dziwactwo botanicznej naszej nomenklatury dawnej.

I na inne wywody się nie zgodzimy, n. p. *przetarznik* albo *przetarzon* ma być nazwanym od *tarnienia* (cierpnienia, drętwienia), stąd *tarnina* niby str. 301) — ależ tarnina pochodzi od tarnu (ciernia) a tarnąć poszło z tarpnąć (cirpnąć) — czyż nie należy tu raczej czeski *přitržnik* Apothekerehrenpreis?

Alkakengi obok wielu innych nazw ma i oponiec, poponiec, popiniec, popeniec, a nawet bobonek i bobonki i bobenki — według autora powstał ten szereg z niemieckich boborell, boborella; czyż nie możnaby tu raczej pomyśleć o oponie i poponie, prastarej nazwie dla zasłony, czy nie byłoby tu zgody z nazwami, wziętymi od moszenek, tobołek, miechowice (miechonki), macherzynki?

Mylnie oznacza, zdaje mi się, autor przyczyny owych dziwacznych tłumaczeń średniowiecznych np. tigris — ząbr (żubr), onager — łoś, dromedarius — hors, ors; glosator średniowieczny, bo od niego to wyszło, tłumaczył nawet nazwy bożkow Wenery, Merkuryusza itp., albo kując sztuczne wyrazy (na wieki przed Jackiem Przybylskim) albo narzucając wyrazom swojskim, nie zajętym dotąd dla innych terminów łacińskich, osobliwsze znaczenie: *ząbr* i *łoś* były wolnymi, bo o zwierzętach samych głucho było po autorach, więc można było nimi zastępować nazwy łacińskie zwierząt zupełnie nieznanych; dromedara zaś orżem (horżem) dla szybkiego biegu przezwali — nie dopiero glosator Niemiec ułożył to „na poczekaniu" (str. 444 i 446).

Przy tłumaczeniu nietopyrz — *koze kril* (str. 433) należało wspomnieć, że to od *kozy*, skóry pochodzi. Tamże nie powiodła się etymologia nazwy dzikiego kota: *zdbik* ma pochodzić od dbać, czatować, pilnować, dybiące zwierzę, ależ zdbik jest tylko deminutivum do steb, zdeb (por. nasze *źdźbło* z pierwotnego *steblo)* i *steb* zpewnością nie od wspinania się i uczepiania nazwany; więc jedna to nazwa, nie dwie rozmaite; tkwi ona np. w prastarej nazwie czeskiej (już u Koźmy przedawnionej) pagus Stebecno albo w Stebniku ziemi halickiej.

Szeroko rozpisuje się autor o nazwach sokołów, str. 419—423 i zbiera ciekawe przyczynki do dawnej terminologii, nie powiodło się tylko z krzeczotem i białozorem, bo to jeden był ptak, białozor jest jego nazwa polska a krzeczot ruska! więc „krzeczot, czeskie skřebot (??) daje się odnieść do zgrzyt, skrzek, znaczy więc skrzeczący“ (421) mylne, już Miechowita wiedział i zapisał, że to nazwa ruska. Przyjęli ją już starzy Węgrzy, naturalnie od Rusi, i tak w średniowiecznej kronice Kezy (Gesta Hunnorum § 4) czytam: avesque *iegerfalc* que hungarice (!) *kerechet* appellantur.

Kra na str. 416 chyba niemiecki, nie polski, termin a *krok* czy nie błędem zamiast krak lub kruk? nie słusznie pomawia autor naszych szczygłów i czyżów o pochodzenie z niemieckiego (str. 410), Stieglitz i Zeisig, gdy rzecz ma się odwrotnie, niemieckie terminy z słowiańskich poszły.

Jeżeli autor raz obok bylicy *bydlicę* zapisuje, to pochodzi ta forma z mylnego spolszczania tego, co już polskie; podobnie wysadzają się mówić zamiast *gruby* (z niemieckiego Grube) — *grąba*, niby to bardziej polskie i i.

Tesznik (str. 189) nie od uciechy nazwany, jakoby ją wywoływał, lecz jak *tużebnik*, nazwa równoległa dowodzi, od *teszny* = tęskny; *gdule* (gruszki) nie od dulces nazwane, nie słodkie gruszki; trafny wykład (za Miklosiczem i t. d.) daje przecież p. Karłowicz w słowniku wyrazów obcych; *oczytek* (str. 184) dla rozchodnika nie może pochodzić „z rusińskiego od słowa znaczącego budzić, czuwać, że wyrwany przecież żyje“ — czeskie ocítiti i očíti (ożyć) byłyby o wiele bliższe.

Czy *budzicht* = benedicta (str. 195) nie polega na mylnem odczytaniu glosy? benedicere i t. d. skracało się w bndicere, więc u zamiast n przeczytano.

Pod *poziemkami* fragaria pojawia się (str. 194) i nazwa truskawek, nie od czeskiego trus (od trzęsienia), ale od trusku = druzgu, jak fragaria od frangere, my mówimy zdruzgotać, ale dawniej było i truskotać, więc słusznie pod artemisia (str. 329) obok *truskowca* (dlaczego autor zmienia to na truskowie?): *trzeszczyk;* tamże *proszek* i *proszec* lub *proszczek* wcale nie „zpewnością od czeskiego přeschnuti, zeschnąć się", lecz od polskiego prochu, wywodzić należy.

O *będrniku* (str. 196) jak i o biedrniku czy *biedrzeńcu* (str. 249) twierdzi autor, jakoby od *wiodra* pogody nazwane były, niby pogodniki, i powołuje się na liczne glosy z w (wiedrzeniec itd.); nam się wydaje, wobec zgody innych języków słowiańskich (czeskiego np.), że forma z b lepsza i dawna etymologia (Karłowicza), spolszczenieniezrozumiałej formy, trafniejsza. *Kuklik*, za to z czeskiego, od kukły (kapicy mniszej) pochodzi.

W *omieg* (str. 164) wkradła się późniejsza „nazalizacya", mylnie więc Miklosich dla *omięgu* formę omeng tworzy; na tejże stronicy *maślesz* autor wywodzi od tego, że masło na wiosnę żółto farbuje — wątpię, żeby w dawnych czasach takim się względem przy chrzczeniu roślin powodowano, Miklosich z *ślazem* i przyrostkiem *ma* nazwę łączy (p. slěz); *ślaz* sam łączy autor trafnie z *śluzem*, por. bluźnić i blazgonić.

Niektóre objaśnienia bywają może zbyt fantastyczne, n. p. *onica* (str. 231) od jakiegoś czeskiego onice zimowe szaty i t. d.; również *szakłak* (str. 232) nie da się z czeskiego seklavý trzęsący wywieść; *łub* (str. 234), por. *łubie* (zrobione z łubu na sajdak i strzały), nie pochodzi bynajmniej od łupienia, w formie z *b* jest ogólnosłowiańskiem; w *łapaszkach* (str. 109., por. n. p. koźlaszki) i w *miętlicy* (str. 111) żadnych niemieckich wpływów nie dopuszczamy; żeby *ocun* (str. 118) miał „truciciela" oznaczać, nie rozumiemy; za to *ochechulec* Stanki (str. 242) poprostu syrena i w innych glosach polskich się powtarza (chociaż pochodzenia czeskiego); *hordowit* (str. 235) tylko pozornie hardo zawitym się zdaje.

Autor poprawia nieraz bardzo radykalnie błędy rękopisów, ale nie wszędzie; podejrzywam np., że z błotnego bluszczu myłką tylko błotny lubszczek zrobiono (str. 296), *crczyel* (str. 227) opisuje on przez „czarciel", ale będzie to raczej *trsciel* (c i t trudno rozróżnić nieraz) albo *trzciel.* Na tejże 296 stronicy pomawiałbym

i *vatorsznyk* o proste przekręcenie z *warkocznik;* gdyby wątorżnik nawet rzeczywiście istniał, nie miałby nic z wnętrzem do czynienia, nie „oznaczałby jakiegoś działania na wnętrze"; czy *clodowski* Stanki autor słusznie na *słodowki* (niby amaro*dulce*) odmienił, wątpię, bo Stanki rękopis nie bezmyślny odpis niedołężnego kopisty, lecz praca oryginalna; więc nie wiem, czy to nie raczej jakie *kłodowki?* tamże *czirlacza* autor *czérlaczem* przepisuje, na str. 153 lepiej *cirlaczem*, może to od *cirlenia* (por. cierlica) przezwane, a więc tyle co międlica jaka? mietlicę mamy na str. 111 rzeczywiście.

Dla polygonum (str. 154) są nazwy bardzo liczne; *truskawiec* i t. p. wspominaliśmy wyżej; trzaskawiec i trzepietnik z tegoż zapatrywania wyszły; *spodzich* nie może być nazwany od tego, że przy ziemi spodem się rozkłada — wtedy nazwanoby go przyziemkiem i t. p., będzie to poprostu błąd rękopisu zamiast *sporzych* lub *sporysz;* „co znaczy *jęrzych*, nie wiem" — jest to nazwa ptaka, jerzyka, bo polygonum nazywa się i *kokoszką* i *języczkiem wroblim*.

Miesięcznik na str. 101, dla rośliny hermaphrodita i lunatica nazywanej, tłumaczy dobrze nietylko lunaticus (tak i u Bartłomieja z Bydgoszczy i „z oicem *miesiecznika*" — wedle ewan. Marka 9, w „Lekarstwie dusznem" z r. 1551) lecz i hermaphrodita, gdyż jak z glos XV wieku i z dzisiejszego podania ludowego (n. p. huculskiego) wiemy, hermafrodytów, zmieniających płeć, miesięcznikami nazywano.

Nazwy dla Chrysanthemum leucanth. str. 327, są nadzwyczaj ciekawe, lecz tłumaczyłbym je inaczej niż autor. Znachodzimy u niego *knietki*, *knierki*, *knieź*, *knówki* i *książki*; „sądzę, że pierwotnie knietki jako zdrobniałe od *kniat* i stąd przez niezrozumienie tego znaczenia, knierki, knowki, knieź; dlaczego książki nie wiem"; *kniat* zaś (str. 164) „należałoby może odnieść ze względu na błyszczące, pałające kwiaty do niecić, pruskie knaistis pożar". Mnie zdaje się, że knówki od knowia badyla (*kien kna*, *do kna* i t. d.) naprowadzają na to *kn*, które i w książkach (zamiast knią̇żkach) i w kniei (*kniehini* lub *kniechyni*, np. u Suszyckiego, Świat górny 1700 r.: w jaskiniach, lochach, kniechiniach) posiadamy, a od którego i kniat, knieć, knietki (nie knierki) pochodzić mogą.

Rupie nie pożyczone z niemieckiego raupe, lecz termin prasłowiański, oddawna przeniesiony na mole gryzące sumienie, stąd

rupić się = troskać się i t. p., przeciw str. 380; taksamo i w litewskim języku.

Czy *ostropest* z ostropestr powstał, wątpić można, gdyż i u Czechów obok ostropestrec i ostroperstec (z ostrymi palcami — kolcami) spotykamy, str. 336; nazwa labium Veneris mogłaby i inne kombinacye wskazywać.

Z pomiędzy licznych nazw dla Taraxacum officinale (341), platta monachi (pleszka, pleszyki itd.), wyróżnia się i „stryjów pąp" (stąd i *strykowie*, niepotrzebnie na *strzykowie* przerobione) i dalsze „pępowie, pępawa, pępownik", wszystkie tak od pępu, pępku, nazwane (*pupawa* znachodzę w ruskich tekstach z XVI wieku); wedle autora miałyby to być niemieckie nazwy: z papenplat pympanne, czeskiego pampalik i t. d. pochodzące, „sądzę, że i *fifa* (inna nazwa u Stanki) z niemieckiego pypow" — chyba niemożliwe, żeby Słowianin niemieckie dwa p w f podwójne odmieniał, więc mniemałbym raczej, że w owej *fifie* tkwi to słowo, z którego u nas później *fimfy* i *finfy* (szczutki i t. p.) zrobiono i nazwy dla strojów zbytnich, czupiradeł.

Włoć (str. 332) w *prosiana błoć* (sic) i *prośno włoć* albo *prosiana włoć* nie oznacza włosów prosięcia (dla owoców opatrzonych puchem) lecz jest włocią t. j. kłosem prosianym, polskie włoć pruskie waltis i t. d. (Miklosich 394).

Włoczanki (str. 306) „co znaczą, nie wiem, to pewne, że nie można tu czytać włoczanki i że pochodzenie jest od włoka" — wloczanki, raczej wloczenki, tłumaczą poprostu łacińskie lanceola (dlatego też kopice, kopiczki przezywane).

Stoiaczek (Asperula odorata, 311) wcale nie „nazwa oczywiście czeska" (chociaż podobnej autor wcale nie odszukał), lecz polskie stojączek; natomiast *rzymbaba* (str. 327, pod Chrysanthemum parth.) czeskie hřimbaba, z czego i Czesi řimbaba zrobili.

Oto nieco dodatków czy poprawek do tekstu prof. Rostafińskiego. Powtarzam, że są to nieliczne szczegóły, co do których się z szanownym autorem nie zgadzam; że przemilczałem zato o wszystkich tych nowych i trafnych objaśnieniach, które jemu zawdzięczamy, n p. co do marzany, tojesci i tylu a tylu innych słów; że dowiódł on w sposób niezbity znaczny brak rodzimości w nazwach roślinnych, znaczną ich zależność od źródeł południowych obcych; że usunął fantazye, szerzone pod tym względem

u nas i u innych Słowian; że zacieśnił i na tem polu związki łączące narody słowiańskie w ich terminologii z kulturą starożytnych, wykazał, jak rzecz raz stworzoną, powtarzano i w coraz innych warunkach; światło raz rozświecone podawano sobie z ręku do rąk, nie wzniecano go zawsze na nowo, niezależnie i niezawiśle. Walny to przyczynek do dziejów łączności kulturalnej europejskiej.

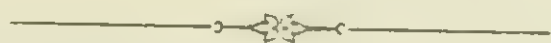

ROZPRAWY
AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.

WYDZIAŁ

FILOLOGICZNY.

Serya II. Tom XXIV.

Ogólnego zbioru tom trzydziesty dziewiąty.

W KRAKOWIE.
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1904.

Kraków, 1904. — Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego.

TREŚĆ.

Strona

1. M. KAWCZYNSKI: Amor i Psyche w poezyi starofrancuskiej. II. Pieśń o Rycerzu z łabędziem w połączeniu z cyklem poematów odnoszących się do pierwszej krucyaty.
   Część pierwsza: La chanson d' Antioche, Les chétifs, La conquête de Jerusalem.
   Część druga: La chanson du chevalier au Cygne et de Godefroid de Bouillon . . . . 1—296
2. S. SCHNEIDER: Rzut oka na dzieje orfiki w starożytności i w nowszych czasach . . . . 297—335
3. L. STERNBACH: Spicilegium Prodromeum . . . . 336—368

Amor i Psyche w poezyi starofrancuskiej.

II.

Pieśń o Rycerzu z łabędziem w połączeniu z cyklem poematów odnoszących się do pierwszej krucyaty.

Część pierwsza: La chanson d'Antioche, Les chétifs, La conquête de Jérusalem.

Część druga: La chanson du chevalier au Cygne et de Godefroid de Bouillon.

Streścił, rozebrał i objaśnił

Maksymilian Kawczyński.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

La chanson d'Antioche. Les chétifs. La conquête de Jérusalem (Poematy: o Antyochii, o Jeńcach, o zdobyciu Jerozolimy).

Punktem wyjścia do niniejszych roztrząsań była dla nas pieśń o Rycerzu z łabędziem, a to z tego powodu, że ona właśnie zawiera motywy z powieści o Amorze i Psysze. Pieśń ta atoli jest tylko jedną z części całego cyklu poematów o pierwszej krucyacie, to też jej znaczenie należycie zrozumiane być może dopiero w połączeniu z całością. Całość ta jest bardzo zajmującą i godną uwagi, boć odnosi się do jednego z największych ruchów w dziejach narodów chrześcijańskich, ruch zaś ten przypada na czasy historyczne wcale jasne, a współczesne o nim wiadomości są obfite. Możemy tedy dość dokładnie rozpoznać, w jakim stosunku zostają te utwory do rzeczywistości, a przez to nabierzemy wyobrażenia o stosunku epopei starofrancuskiej do zdarzeń historycznych, wogóle zaś wyjaśni się nam może stosunek poezyi epickiej do dziejów.

Wymieniliśmy wyżej nazwy poematów, które tu omawiać zamierzamy, zawsze podając najprzód streszczenie ich i to takie, któreby nietylko przedstawiało osnowę, ale zarazem jej zabarwienie, a nawet technikę poety. W ten sposób czytelnik będzie mógł śledzić i nawet oceniać wywody piszącego, w każdym zaś razie będzie miał doskonałą sposobność, aby poznać talent poety, jego stanowisko społeczne, sposób wygłaszania utworów. Mają one charakter całkiem odmienny zarówno co do treści, jak co do formy, aniżeli Partenopeus n. p. Ostatni jest romansem, tamte nazywają się *chansons de geste*. Ma to oznaczać pieśni dziejowe *(res gesta)*, albo bohaterskie, czem są w całej pełni. Później atoli wyraz *la geste* nabrał znaczenia rodu, a więc *chansons de geste* znaczą wtedy pieśni rodowe. Otóż ponieważ poematy do pierwszej krucyaty się odnoszące nie są wszystkie z tego samego czasu, przeto późniejsze z nich właśnie to zmienione znaczenie wyrazu *la geste* dobrze przedstawiają. Tak więc praca niniejsza może być i pod tym względem pouczającą.

Co się tyczy formy, to wszystkie należące do tego cyklu utwory pisane są w alexandrynach i to rymowanych, ale nie parami, tylko wiązkami wierszy, które się nazywają *laisses* albo *tirades*. Wiązki te nie są wcale równe, bo liczą od 7 do 107 wierszy. Każda wiązka ma niejako swój motyw, który przedstawia, albo nawet temat, np. obraz bitwy, albo udział tego a tego bohatera w tej bitwie. Tak więc długość wiązki zależy od zasobności motywu, ale zależy także od obfitości wyrazów wybrany rym dających. W streszczeniu naszem uwydatniliśmy tę budowę w ten sposób, że, ile możności, z każdą nową wiązką zaczynamy odstęp nowy. Mówimy „ile możności“, wypadało bowiem pominąć nietylko mnóstwo wierszy, nie zawierających nic znamiennego, ale nawet dwie lub więcej wiązek ściągnąć niekiedy w jednę. Zapewniamy wszelako, że z naszej strony nie dodaliśmy ani słowa. Wszystkie utwory tego cyklu pisane są w narzeczu pikardzkiem.

Zaczynamy od poematu o Antyochii, który zawiera 9000 alexandrynów w 352 wiązkach. Podzielony jest przez wydawcę na ośm pieśni [1]).

---

[1]) La chanson d'Antioche, p. p. Paulin Paris 1848. Wydanie to zaopatrzone jest w uwagi na ówczas bardzo cenne, a miejscami i dziś pożyteczne.

Poemat o Antyochii.

Pieśń pierwsza.

Seigneur, soiés en pais, laisiés la noise ester,
Sé vous volés chançon gloriose escouter.
Ia de nule millior ne vous dira jougler;
C'est de la sainte vile qui tant fait à loer,
Où Diex laisa son cors et plaier et navrer,
Et ferir de la lance et en la crois poser;
Iherusalem l'apele qui droit la veut nomer.
Cil novel Iougleor qui en suelent chanter,
Le vrai commencement en ont laisié ester;
Mais Grains d'or de Douai nel veut mie oublier,
Qui vous en a les vers tous fais renoveler....

Panowie, uspokójcie się, zaniechajcie hałasu, jeżeli chcecie słyszeć pieśń sławną. Żaden żongler nie zaśpiewa wam lepszej. Treścią jej święte miasto wsławione, gdzie Bóg ciało swoje wydał na rany i męki, na przebicie lancą i powieszenie na krzyżu. Nazywa się Jerozolimą. Nowi żonglerzy, którzy o tem śpiewają, opuszczają prawdziwy początek. Ale Graindor z Douai, który wszystkie wiersze odnowił, nie pominie go. Usłyszycie teraz o Jerozolimie i o tych, którzy się tam do Grobu świętego udali, z Francyi, z Berry, z Auwergnii, z Apulii, z Kalabryi, z Walii, ze wszystkich krain. Dla Boga cierpieli pragnienie i głód, i skwar i zimno i czuwanie, to też Bóg im to z pewnością nagrodził.

Baronowie, słuchajcie, przestańcie hałasować. Kto chce słuchać sławnej pieśni o Jerozolimie, niech się do mnie zbliży. Nie żądam od nikogo ani wierzchowca, ani podróżnego konia, ani futra, ani pieniędzy, chyba by mi sam dał dla miłości Boga. Powiem wam wszystkich, którzy tam byli: Piotr wyprawił się pierwszy, ale poniósł klęskę straszną, z której on sam tylko ocalał. Następnie wyprawił się Hugo Wielki z rycerstwem, Tankred i Bohemond i książę Godefrois, który Boga gorąco kochał; książę Normandyi z Normandami i Pikardami, Robert z Flandryi z bitnymi Flamandczykami. Było ich razem około stu tysięcy. Zdobyli Niceę, Antyochię, Jerozolimę, o tem wszystkiem was pouczę [1]).

[1]) Wstęp ten z kilku względów zasługuje na uwagę, to też później o nim wypadnie nam mówić jeszcze; tutaj tylko wskażemy na to, że nie jest on tylko wstępem do pieśni o Antyochii, lecz raczej do pieśni o Jerozolimie. Graindor z Douai już ma całość na uwadze, nietylko część jednę. Niezawodnie, że zapowiadając

Bóg, który w Betanii wskrzesił Łazarza i który dla nas mękę poniósł, ten niech nas oświeci i wzmoże, a niech pognębi wyznawców Mahometa. On grzech Adama męką swą zmazał, on nam dał swoje imię, bo od niego nazywamy się Chrześcijanami. Godzi się tedy, abyśmy dla niego przyjęli krzyż i pomścili się jego zniewagi na wyznawcach Antychrysta, Mahometa i Tervaganta.

Panowie, dla miłości Boga, uciszcie się, słuchajcie, abyście byli zbawieni po śmierci. Opowiem wam o dwóch łotrach, których powieszono obok Jezusa. Jednemu było imię Dimas, drugiemu Getas, bo obaj już byli chrzczeni. Rzekł Dimas do Jezusa, widząc ciężką mękę jego: zabierz mię ze sobą do nieba, a pomścij się nad niecnymi Żydami za twoją krzywdę. — Słysząc go Pan, zwrócił się ku niemu i rzekł: dopiero za tysiąc lat powstanie naród, który tu przybędzie wygubić pogaństwo, a podwyższyć chrześcijaństwo. To będą synowie moi, a ja ich opiekunem, wszyscy dziedzictwo otrzymają w niebie, gdzie i ty wraz ze mną dzisiaj się znajdziesz. Szydził z obietnicy Getas, ale mu to zganił Dimas, a Pan nasz proroctwo swoje jeszcze raz powtórzył [1].

A teraz słuchajcie o wyprawie Piotra. Pochodził on z Amiens, gdzie go bardzo kochano. Od czasu apostołów nie było lepszego kaznodziei. On się udał do Ziemi św., gdzie widział kościół w stajnię zamieniony. Pytał się Patryarchy, jak może na to pozwolić? Opowiedział mu Patryarcha o wielkim ucisku, jakiego doznają w tym kraju i tak go prosił: wezwij chrześcijan, aby nam pomoc przynieśli, jeżeli nie mamy zginąć i Grób święty. Odpowiedział pustelnik: chętnie im to powiem.

Panie, rzekł pustelnik, powiem ci, co uczynić zamierzam: chciałbym tu sprowadzić wszystkich książąt i hrabiów, baronów

treść swej pieśni, przypomina podobne wstępy do epopei starożytnych, ale dołączając do tego usilne, a kilkakrotnie powtarzane prośby o spokój, wywołuje w nas żywy obraz okoliczności, w jakich się odbywało śpiewanie. Bardzo cennym jest także dodatek śpiewaka o swej bezinteresowności, przyczem atoli nie zaniedbał powołać się na miłość Bożą.

[1] Na proroctwo to poemat kilkakrotnie się powołuje. Jeżeli się nie mylimy, to żaden z historyków współczesnych, opisujących krucyatę, nie podaje go. Jest możliwem, że ono wytworzyło się dopiero po pierwszej wyprawie krzyżowej, jeżeli nie jest własnym pomysłem poety. Mówiąc, że Dimas i Getas byli chrzczeni, wyobraża sobie poeta, że tylko przy chrzcie można otrzymać imię, imiona zaś te sam wymyślił, jak się zdaje, udając przed słuchaczami ogromną, nikomu nie znaną erudycyą. Tak przynajmniej postępują żonglerzy w wielu razach.

i rycerzy z Francyi, jeżeli taka jest wola Boga. — Poszedł ojciec Piotr modlić się do Grobu, a po modlitwie zasnął. Miał wtedy widzenie Boga, który mu rzekł: miły synu, podoba mi się twoja gorliwość. Idź do Patryarchy i zażądaj od niego pieczęci od Grobu świętego, aby ci wierzono. Następnie udaj się z powrotem do Francyi i memu ludowi oznajmij, że przyszedł czas, aby pospieszył na ratunek chrześcijaństwa z rąk podstępnych wrogów jego. Niebo jest otwarte dla nich, gdzie otrzymają koronę nagrody. — Powiedział to Piotr Patryarsze, pieczęć otrzymał, pożegnał się z nim i towarzyszami.

Ojciec Piotr udał się do Grobu, modlił się i kraj opuścił. Przez morze do Brandyża przybył (Brindisi), do Rzymu się udał do Apostoła, opowiedział mu, że Grób Zbawiciela widział w stajni dla koni i mułów. Panie, rzekł mu Piotr, wyzwól Grób z rąk Saraceńskich! — Apostolik odpowiedział: chętniebym to uczynił, powiedz tylko, w jaki sposób? — Rzekł Piotr: poszlij do Paryża, zwołaj z Francyi książąt i markizów, aby się pomścili krzywd Boga, który obiecał, że kto dla niego umrze, tego on do siebie przyjmie. Ja ich poprowadzę! — Ucieszył się Apostoł i zgodził się na to. — Zebrało się 60.000, a Piotr był ich przywódcą. Pomiędzy nimi znajdował się Harpin z Bourges, który swą ziemię królowi odsprzedał, Ryszard z Caumont, Jehan d'Alis, Baudouin de Beauvais, Ernous, brat jego; było tam wielu księży, kleryków, zakonników; baronów było niewielu. Apostoł przeżegnał ich i pobłogosławił, polecając, aby Piotrowi byli posłuszni. Prowadził ich Piotr. Ach Piotrze eremito! dlaczego tak się spieszyłeś, dlaczego nie czekałeś na Francuzów? Cały twój lud zginął śmiercią, albo był sponiewierany, do Lutyków w niewolę zaprowadzony (I. p. 21) [1]).

Puszcza się w drogę Piotr ze swą drużyną, pełny ufności w Syna świętej Maryi, do Konstantynopola się dostaje, przepływa przez cieśninę św. Jerzego (Bosfor), aby prowadzić swoich na górę Civetot, skąd już Niceę zobaczyli, sądząc, że wnet ją zajmą, ale nigdy do niej — nie weszli, tylko w żałosne nieszczęście popadli.

[1]) *Confondus et menés au regne des Lutis.* Lutycy, Słowianie (*Esclers, Esclavons*) stale w tej pieśni, jak i w następnych, oraz w wielu innych, stawiani są na równi z Saracenami. Ma to znaczyć, że nie uważano ich za chrześcijan, jakimi też w znacznej mierze jeszcze nie byli. Opinia ta wytworzyła się prawdopodobnie pod wpływem wieści o walkach cesarzy niemieckich ze Słowianami północnymi, połabskimi, ale nie należy zapominać, że pierwsza wyprawa krzyżowa, zwłaszcza Piotra, staczała krwawe walki z Serbami i Bułgarami. Wiemy już, że poeci starofr. Normannów także do Saracenów liczą.

Rozłożyli się obozem w dolinie, na błoniu. Niestety, pocóż się tam zatrzymywali? Już stamtąd nie wrócą, bo oto przybył tam ze Syryi Corbaran, ze 100.000 pogańskich Turków. Przysłał go sułtan z Persyi do Solimana w Nicei, aby żądać hołdu i haraczu. Soliman przyjął go uprzejmie, to też nazajutrz obaj z wojskiem, liczącem 150.000 niewiernych, ku Civetot się skierowali [1]). Przeciw nim wyjechali Harpin z Bourges i Ryszard z Caumont i Baudouin z Beauvais, i Jan z Alis i Fouquet i Ernols i inni baronowie, nacierając tak dzielnie, zabijając tak groźnie, że Turcy przed nimi ustępować zaczęli na górę, a nasi wrócili na noc w dolinę pod Civetot.

Ładna była noc i jasna od księżyca. Nasi ludzie obozują w dolinie Civetot. O świcie Corbaran i Soliman rozkazują się zbroić, z góry widzą liczne rzesze; lękają się o swoje państwo, ale Corbaran obiecuje, że wszystkich chrześcijan do Persyi w niewolę zapędzi. Czekają Turcy, aż w obozie msza się rozpocznie, bo to była niedziela. Wtedy zagrały ich trąby, napadli na chrześcijan, księdza przy ołtarzu zabił sam Soliman. Będziesz tego żałował, woła do niego Salahedin, bo cała Francya o to się wzburzy, najadą na ciebie, stracisz całe państwo, nawet i życie.

Wielka wszczęła się bitwa przy górze Civetot. Chrześcijanie wołają: Święty Grobie, pomagaj! *(Saint Sepulcre aïe!)*. Potok krwią płynie i mózgami, ale potęga niewiernych jest zbyt wielka. Cały dzień trwała bitwa, aż do zachodu słońca. Wtedy Soliman zatrąbił do odwrotu, a Corbaran rzekł: zacni baronowie saraceńscy, dziękujmy Mahometowi, że dał nam tu spotkać wyznawców Jezusa. Jutro wszystkich ich pojmiemy do niewoli, każdy z was dostanie ich po pięciu lub sześciu. — Tak słusznie, odpowiedzieli Saraceni. — W dolinie pod górą wypoczywają Francuzi, a Ryszard z Caumont tak do nich mówi: Towarzysze, natknęliśmy się na zbyt wielką siłę saraceńską. Zguba nasza jest pewną, ale drogo im sprzedajmy nasze życie. — Biskup z Forez zapewnia, że kto tu zginie dla Boga, tego dusza z pewnością do nieba się dostanie. Niech każdy się modli, zawołał, i wszyscy do modlitwy uklękli. Pobłogosławił

---

[1]) Corbaran, o którym tu mowa, ma być prawdopodobnie Kerbogast, sułtan Mossulu. Jacques de Vitry mówi o nim: *Corbagast quem nostri vulgariter Corbaram appellant*. Inni kronikarze nazywają go *Corbadas*. Tego Corbarana robi poemat panem w Oliferne, ma to być Aleppo, Aleph. — Panem Nicei nie był wtedy Soliman, lecz Kilidż Arslan, Łacinnicy atoli zwali go pospolicie Solimanem, a takie było naprawdę imię ojca jego.

ich biskup, a gdy powstali, każdy czuł w sobie siłę lwa i śmierć tyle sobie cenił, co guzik.

Nazajutrz ponowili atak poganie. Francuzi dzielnie się bronili, pardonu nie dają nikomu, piasek skrapiają krwią i mózgami. Wielka bitwa trwała aż do nony (do południa). Soliman trąbi do odwrotu, a Corbaran mówi: patrzcie na tych mizeraków, żaden z nich nam nie ujdzie. Od dwu dni nic nie jedli. Amidelis będzie stał na straży, a my jedzmy wobec nich, to ich głód jeszcze powiększy! — Jedzą Turcy w obliczu Franków, którzy mdleją na ten widok, biskup z Forez zapłakał. Po jedzeniu Corbaran prowadzi na naszych 60.000 Turków, ale i teraz dzielnie się bronią. Ryszard z Caumont zranił samego Corbarana, cała dolina zasłana trupami i rannymi. Tak trwało do nocy. Z chrześcijan zginęła połowa, 30.000 zginęło, reszta z głodu umierała. Boże, jakie nieszczęście!

Gdy noc zapadła, biskup z Forez gromadzi baronów i radzi, aby się poddać. Piotr, który zna kraj, niech ucieknie, niech się uda do Francyi po pomoc, a niejeden z nas z niewoli ocalić się zdoła. Piotr usłuchał rady, pożegnał się i o północy obóz opuścił. Poczernił sobie twarz, język saraceński znał, więc się przedostał niepoznany.

Już jest na drodze, przeto go tam zostawmy, a wróćmy do naszych ludzi tak bardzo litości godnych. Gdy dzień zaświtał, Saraceni zadęli w trąby, Corbaran na czele stu tysięcy Turków zjechał z góry w dolinę Civetot.

Zgromadzili się poganie w dolinie Civetot pod rozkazami Corbarana. Chce on mówić z przywódcami chrześcijan. Wysyła do nich Amidelisa z wezwaniem, aby się poddali. Ten tak do nich przemawia: Corbarans d'Oliferne żąda, abyście się zdali na łaskę jego, zabierze was z sobą do Persyi. Jeżeli uwierzycie w Mahometa, dobrze wam się będzie działo, będziecie panami. Byłoby szaleństwem gdybyście tego nie uczynili. Na to odpowiedział Ryszard z Caumont: raczej oddamy głowy nasze, aniżeli się wyrzekniemy świętego chrześcijaństwa. Ale się zdajemy na jego wolę, aby ocalić życie.

Zaniósł tę odpowiedź Amidelis Corbaranowi, który się głośno roześmiał i rzekł do Solimana: skończyliśmy walkę, Frankowie są pobici i wygłodzeni. Potem zawołał: biada temu, który Francuza dotknie, lub napadnie! Rozbrojono ich, nakarmiono i napojono. Potem ich po dwu skuto, ręce do tyłu skrępowano. Wołają do

świętego Boga majestatu: Panie Ojcze, tak mówią, miej litość nad nami.

Na górze Civetot zmarnieli ludzie nasi. Trzydzieści tysięcy życie straciło, drugą połowę Corbaran związać kazał i po całem pogaństwie rozesłał. Admirał z Persyi otrzymał 500, król Abraham 300, król Corbadas 100, dla siebie Corbaran 300 zatrzymał. Pomiędzy nimi był Ryszard o hardej twarzy. Baldwin z Beauvais, któremu niech Jezus błogosławi, był Harpin z Bourges i Jan z Alis, który nie był tchórzem i Foucher z Melans i biskup z Forez i opat z Fécamps i inni księża. Ach Boże, jak żałosne towarzystwo!

Na górze Civetot rozdzielono ludzi naszych. Kto widzi, że go odłączają od brata, stryja lub nieprzyjaciela, trapi się w sercu. Piętnaście tysięcy woła głośno: ach panie Corbaran, zlituj się nad nami, poślij nas tam, a tych gdzieindziej, uczyń to dla Boga twego! Przyzwolił na to Corbaran. Och Boże! jakie męki każdy z nich wycierpiał, jak ciężką niewolę, dłuższą, niż rok cały!

Corbaran odjechał, skutych ludzi naszych prowadząc. Przebywają wzgórza, szczyty i doliny, aż po licznych wypoczynkach stanęli w Oliferne. Wyszła na spotkanie syna mądra Calabre, biegła w pogańskim zakonie. Z podniesionymi ramiony idzie na spotkanie króla i mówi: miły synu, słuchaj co myślę: przyprowadzasz ludzi, którzy bardzo ci się przydadzą, zaprawdę, zanim umrę, ale nie wiem, kiedy się to stanie. Corbaran słyszał, głowę schylił, zesiadł z muła pośpiesznie.

Zesiadł z muła Corbaran, jeńców do wieży wrzucić rozkazał, wyjąwszy Ryszarda z Caumont, pana Jana z Alis, odważnego Harpina z Bourges, Baldwina z Beauvais, Fouchera z Melans. Tych w pałacu sklepionym zatrzymał, związanych i okutych. Każdego dnia noszą kamienie do murów, ciągną pługi jakoby bydlęta. Tak przebyli rok i dni piętnaście, aż za wolą Bożą Ryszard z Caumont dwu Turków zabił, przez co się wyzwolili, jak o tem pismo mówi.

Zostawmy ich tam, niech im Bóg pomaga, a mówmy teraz o Piotrze, jak uciekał przez wzgórza i szczyty i zarośla, aż przybył do cieśniny św. Jerzego, gdzie wsiadł na statek.

Piotr ucieka sam jeden, bez towarzysza, aż przybył do Rzymu, gdzie apostołowi opowiedział o klęsce: zginęliśmy wszyscy, zabili naszych Persowie i Saraceni, innych wzięli do srogiej niewoli, w Syryą zawiedli; dla miłości Boga, panie, ulituj się nad nami! Rzekł apostoł: nie opuszczę was, jeżeli taka wola Boża i świętych

jego, odzyskamy naszych ludzi. Pójdziesz do Francyi. zaniesiesz tam listy moje, wzywające królów, książąt. hrabiów, każdego po nazwisku. Francuzów. Piktawów. Flamandów. Burgundów. wszystkich, którzy wierzą w najświętsze imię Boga, aby się zebrali na sobór i pomścili się nad Esklawonami za Jezusa. Napisał listy. ołowiem przypieczętował, dał je Piotrowi nakazując, aby mowy wygłaszał. rozdawał krzyże i odpusty.

Pan Piotr jedzie z Rzymu na ośle dobrze osiodłanym. ma 50 towarzyszy przy sobie, do Lombardyi przybywa, pieczęć apostoła pokazuje. kazania wygłasza. Słysząc. że ksiądz przy mszy zabity został, oburza się naród i płacze. W ciągu tygodnia rozdał 100.000 krzyżów. Jedzie przez góry do Berry, do Auvergni, do bogatego miasta Paryża przybywa, gdzie kwiat był Francyi i baronostwa. Ha, możny królu Francyi, woła Piotr głośno, ulituj się prawdziwego Grobu Boga, zesromoconego przez Saracenów!

Zerwał się dobry król Filip na nogi i mówi: Czy to prawda, że poganie ludzi naszych zniszczyli, pomiędzy którymi przecież było wielu głośnych rycerzy? — Panie, odrzekł Piotr, wszyscy zginęli, albo ujęci zostali. A teraz apostoł wzywa, abyście im pomoc nieśli, święty Grób prawdziwy od pogan wyzwolili! Kto umrze dla Boga, ten otrzyma koronę, w niebie z aniołami łoże jego zaścielone będzie! — Bądź pochwalony, Boże, zawołał król i rzekł do hrabiego Hugona: bracie. ty pójdziesz!

Mówił Piotr z pustelni do króla: panie, dobry królu Francyi. słuchaj, co powiem: jestem Piotr eremita, który tę podróż odbyłem. aby się pomścić za Pana Boga na tych. którzy Jerozolimę zajęli, z moich ludzi jednych na murawie zabili, innych do niewoli zabrali. Sam jeden uciekłem przez pola i lasy, aż do Rzymu przybyłem pełen żalu. Apostoł listy do was przysyła i do baronów waszych. abyście wszystkich wasalów wezwali, hrabiów i książąt z ludźmi ich zgromadzili, a wtedy sam apostoł do nich przemówi, odpust da wszystkim, którzy się wyprawią, za grzechy, jakie od dzieciństwa popełnili. Rzekł król Francyi: chwalę to i przyzwalam.

Wezwał król Francyi wszystkich listami i pieczęciami, książąt, hrabiów. kasztelanów, przyjaciół. krewnych, radców. na dzień oznaczony do ładnego miasta swego Clermont w Auvergne. Apostoł z Rzymu także spiesznie się wybrał z 12 kardynałami, od miasta do miasta kwaterą stawał, przebył Lombardyą, wielkie drogi królewskie. po przez góry, doliny, a gdy już był blizko Clermont.

wysłał senessala, aby dla niego wybrał wspaniałe mieszkanie. Wita go miasto i okolica, wita król Francyi z dworem, biskupi, arcybiskupi i zakonnicy pospolici i Hugo duży, odważny i prawy, Robert z Flandryi i Rajmund z St. Gille i Stefan z Blois, Godefrois z Bouillon, młody Eustachy i jeszcze młodszy Baldwin i Guillaume Carpentier i biskup z Puy. Innych wcale nie zliczyć. Wszyscy udali się do swych gospód, potem idą do kościoła na wielkie nabożeństwo, sam apostoł mszę śpiewał, a gdy był rozebrany, wyszedł pierwszy, a za nim wszyscy inni, starzy i młodzi.

Panowie, uciszcie się, niech was Bóg błogosławi! To było w maju, gdy każdy ptak woła, słowik śpiewa i kos i sroka i skowronek w powietrze się wzbija, gdy las jest zaliściony, a łąki zielone. W Clermont zebrało się rycerstwo Francyi, Normandyi, Anglii. Gdy apostoł mszę skończył, wyszedł na błonie, gdzie wszyscy zasiedli na zielonej trawie. On powstał i tak przemawia: Panowie, pozwólcie dla Boga, abym powiedział, dla czego przybyłem do Francyi i o co was proszę. Tysiąc i dziewięćdziesiąt pięć lat temu Marya porodziła Jezusa Chrystusa, który przez lat 32 wiódł życie ludzkie, aż przybył do Jerozolimy na kwietnią paschę. Wieczorem zdradził go Judasz i wydał Żydom, których niech Bóg przeklnie! Bili go pięściami i rzemieniami, ukrzyżowali go na Kalwaryi. Ciało jego do grobu złożono, skąd zmartwychwstał, do nieba wstąpił, a nam zostawił swój grób i krzyż swój. Jerozolimę zabrał naród obrzydły, kościół zanieczyścił, stajnię z niego zrobił. Grób mają w swem posiadaniu i krzyż zostawiony bez czci i służby. Panowie, proszę was na Boga i na świętą Maryą, ulitujcie się owej ziemi straconej! Przyjmijcie krzyż wszyscy, niech Marya dziewica będzie wam pomocą w tamtem życiu, a w tem niech wam da zaszczyty i posiadłości!

Panowie, rzekł apostoł, słuchajcie mowy mojej, jestem ojcem waszym po Bogu, to też tylko dobre wam mówię. Straciliśmy ziemię obiecaną, którą Bóg dał niewolnikom Faraona w ziemi egipskiej. Ręką Mojżesza i Aarona wywiódł ich z niewoli, oddał im Jeruzalem i ziemię okoliczną na długie czasy. Tam Bóg cierpiał śmiertelne skazanie, gdy go zdradził Judasz i uczniów jego. Na krzyżu go powiesili łotrzy, a ojciec nasz cierpiał to, aby nas zbawić, i dusze nasze wybawić od piekielnego mieszkania. Ziemia ta jest straconą, zabrali ją ludzie Mahoma, Persy i Esclavony, przy nich zostanie, jeżeli im jej nie odbierzemy. Panowie, wspomnijcie na ową mękę,

którą Bóg dla nas wycierpiał. Niech każdy krzyż weźmie. i laskę i pas. Idźcie pomścić Jezusa. a teraz uklęknijcie. wyznajcie winy ze skruchą, a ja wam dam odpuszczenie od Jezusa. — Uklękli wszyscy. winę wyznali. a apostoł stojąc sam jeden. tak się modlił: Boże chwały. panie miły. któryś mękę cierpiał. Łazarza z grobu wskrzesił. panie. jak my to wszystko wierzymy. tak w opiekę od złego weźmij Boże. prawdziwy ojcze. wszystkich tych. którzy tu leżą. odpuszczenia pragnąc. Grzechy ich przebacz im. miły Boże. a ja odpuszczam im je w twem imieniu, wszystkim, złym i dobrym.

Pierwszy na nogi powstał król Francyi i rzekł do apostoła: Panie. słuchaj w imię Boga! Jestem już stary. spracowany. krzyża przyjąć nie mogę. ale brat mój Hugo. dzielny rycerz. pójdzie za moje grzechy. a ja go wesprę całym majątkiem. Słysząc to Hugo. z uciechy ucałował mu kolana i nogi. krzyż przyjmuje. a za nim stu innych książąt i hrabiów. Każdy chce przed innymi krzyż dostać. ścisk był wielki. jakich dwieście tysięcy przysięga na swoje głowy. że z całej siły będą pragnęli pognębić Mahoma. jeżeli im Jezus pozwoli popłynąć za morze.

Hrabia Hugo dziękuje królowi za honor i uprzejmość, jaką mu okazał dnia tego. Tylko staraj się królu, mówi, dać mi tyle rycerstwa. żeby wojsko Boże przez ciebie było wzmocnione. Przyrzekł to król. Ach Boże. ileż tam krzyżów rozdano. przyszyto do sukni i płaszczy. A którzy tam nie byli, słysząc o tem, śpieszą uczynić to samo. Jedzie hrabia Robert z Flandryi do domu, do Arras. do swej przyjaciółki Klemencyi i mówi jej łagodnie do ucha: pani, krzyż wziąłem, nie gniewaj się o to, zgódź się, pójdę do Syryi. grób od pogan wyzwolić. Pobladła hrabina. słysząc tę nowinę: panie. rzekła. nie pójdziesz. jeżeli to zależy odemnie. Masz dwu ładnych synków. którzy bardzo twej opieki potrzebują. Na to całuje ją hrabia i mówi: słuchaj. przyrzekam ci. że wrócę zaraz, jeżeli mi Bóg da życie. skoro tylko złożę mą ofiarę przy Grobie, skoro go ucałuję i modlitwę zmówię. Ani dwa tygodnie tam nie zostanę dłużej. Rękę jej na zapewnienie podaje. a płaczą wszyscy. którzy to widzą. Godefroi z Bouillon krzyż przypiął. Baldwin, Eustachy i inni baronowie w wielkiej liczbie. Niech im Bóg pomoże!

W Clermont, w Auvergne. liczne było zgromadzenie. Apostoł Urban do nich przemawia: Frankowie. Chrześcianie. dla Boga i jego imienia. wyzwólcie Grób ujarzmiony, a którzy tam zginą. u Boga znajdą nagrodę. Powstaje hrabia Hugo i Rajmund z St. Gille

i Godfryd z Bouillon i Robert Fryzyjczyk i biskup z Puy, a ten tak przemówił: panowie, należy porządek w wojsku utrzymać niech jeden drugiemu krzywdy nie wyrządza, towarzysze mają spory łagodzić, a jeden drugiemu stale pomagać! — Na to lud zawołał: tak czynić będziemy, słusznem jest, aby jeden drugiemu pomagał.

W Clermont w Auvergne na błoniu był dobry król Filip z Francyi wraz z drużyną, byli Anglicy, Flamandy, Normanowie, Niemcy. Wszyscy krzyż przyjęli, niech ich Bóg prowadzi i powróci. Błogosławi ich apostoł z Rzymu, zaleca im, aby się razem trzymali, nakazuje biskupowi z Puy, aby ich prowadził, aby znak przed nimi nosił, spory rozsądzał. Niech się nie lenią, przez góry i doliny wielkie marsze niech robią, szybko niech przejdą Francyą, Alemanią, Lombardyą i Rzym, a Jezus niech im da zwycięstwo nad dyabelskim narodem. Aïmer odpowiada: stosownie do twego rozkazu, panie, poprowadzę ich i znak poniosę.

Pieśń druga.

Bardzo było wielkie zgromadzenie w Clermont w Auvergne, gdzie armia Jezusa została urządzoną i zaprzysiężoną z całej ziemi francuskiej i innych krain. Wieść o tem doszła do dam i do panien, które wszystkie narzekały i żaliły się, mówiąc: Zgromadzenie to było dla nas nieszczęsnem, opustoszeją nasze pokoje, nie usłyszymy już pieśni, zabaw nie będzie, nawet najbogatsza zostanie osieroconą, wszystkie narzekać będziemy na los srogi.

Żalą się damy, proszą mężów, aby nie zapomnieli o nich gdy zdobędą świętą Ziemię i miasto, gdzie Bóg cierpiał. Płaczą wszystkie, a są i takie, które przypinają krzyż, aby towarzyszyć mężom lub ojcom. Zbiera się wojsko, żywnością objuczają muły, ruszają szyki, prowadzi je książę z Bouillonu [1]). Prowadzi je przez góry i doliny, nie zatrzymując się aż do Konstantynopola, gdzie pewnego ranka przybyli.

Pod Konstantynopolem już nasi stanęli, ale Boémond i Tan-

[1]) Nie prowadził całego wojska krzyżowego Godfryd z Bouillonu, ani teraz, ani w ciągu całej wyprawy, tylko każdy z wielkich baronów swoimi hufcami rozporządzał, bo też każdy swoje utrzymywał. Już w tem, jak i w innych rysach następnych okazuje się dążność do wywyższenia Godfryda.

kred są jeszcze w Apulii, gdzie oblegają potężnego króla [1]. Gdy się dowiedzieli o świętej wyprawie, natychmiast postanowili wziąć udział. Było ich 50.000, którzy krzyż przypięli. Na statkach popłynęli do Konstantynopola, gdzie ich wzięto zrazu za Saracenów, lub Słowian (Eselers), ale poznanych przyjęto bardzo przyjaźnie.

Tak byli liczni pod Konstantynopolem baronowie, że w mieście mieszkania znaleźć nie mogąc, obozowali w namiotach pod miastem. Cesarz widział ich bardzo niechętnie, nawet wygubić ich myślał, ale oparł się temu jego siostrzeniec Tatinus bez nosa *(Estatins l'esnasés)*, wódz jego wojska [2]) grożąc, że krzyżowcom pomagać będzie. Wbec tej groźby cesarz ustąpił, ale tajemnie zakazał sprzedawać żywność dla krzyżowców. Znów Tatinus za krzyżowcami się wstawiał, pomagał mu seneszal, wskazując na groźną, do ataku gotową postawę krzyżowców. Ten radził, aby wysłać do pielgrzymów deputacyą i zakładnika, sam się na takiego ofiarował, z wezwaniem, aby do cesarza przybyli i złożyli mu hołd z krain, które zdobyć zamyślają [3]). Zgodził się na to cesarz, wysłał seneszala z drogmanem *(drogeman)*, latinistą *(latinier)*, do wodzów francuskich. Ci odłożyli broń i ładnie ubrani udali się do pałacu z Godfrydem na czele. Cesarz siedział na złocistym fotelu, a zobaczywszy ich, podniósł głowę i wszystkich pozdrowił. Głos zabrał Godfryd, tak przemawiając: Pan Bóg wszechmocny niech ma w opiece cesarza i jego baronów. Pozdrawiamy cię, my z Fran-

[1]) Oblegali Saracenów w Amalfi, przedtem zaś Boémond z ojcem Robertem Guiscardem zaciętą walkę nie tylko przeciw Saracenom, lecz także przeciw Bizantyńcom prowadzili. Boémond, po śmierci ojca uszczuplony w dziedzictwie, już teraz myślał prawdopodobnie o zdobyciu sobie jakiego państwa na wschodzie.

[2]) *Tatinus quidam, truncati nasi*, mówi Albertus Aquensis, greccy pisarze nazywają go *Tatixos*. Nie był siostrzeńcem cesarza, lecz wiernie mu służył, chociaż z ojca był rodu saraceńskiego. Zdaje się, że był rozumnym i uczciwym człowiekiem. Nos miał ucięty z powodu spisku, do jakiego należał za poprzedniego panowania.

[3]) Pomijając wybryki żołnierstwa, ta była główna przyczyna nieporozumień pomiędzy krzyżowcami, a cesarzem Alexym. Żądał hołdu z krain, które należały przedtem do Byzancyum, ale teraz miały być dopiero zdobyte na Saracenach. Krzyżowcy hołdu tego odmawiali, to też Alexy żywności im odmówił. Chcieli ją przemocą zdobyć, ale wtedy przyszło do starć zbrojnych, w jednym z których właśnie Godfryd pobity został. Skoro tylko krzyżowcy warunek cesarza przyjęli, doznali od niego wszelkiego poparcia. Niestety, niesnaski te później znów się ponowiły i ponawiały bez końca.

cyi rycerstwo, jakiego dotąd nie widziałeś. Chcemy się dowiedzieć, jakie są twoje względem nas zamiary. Wiedz, że jeżeli nam odmówisz żywności, to weźmiemy się do mieczów, ale jeżeli dobrze się względem nas zachowasz, to będziemy twymi wasalami, a to niewiernym na złe wyjść może. — Na to cesarz: niczego więcej nie pragnę i chętnie pomocnym wam będę. Mego siostrzeńca Estatina z wami poszlę, ale uprzedzam was, że pogańscy Saraceni taki wrzask przed bitwą wszczynają, że możecie się przestraszyć od samego ich szczekania. — Na to książę Godefrois: takie jest wasze mniemanie, lecz gdybyśmy wrzasku Esclerów (Słowian) znieść nie mogli, jakżebyśmy wytrzymali cięcia ostrzy stalowych? — Słysząc to cesarz, zamyślił się, a potem zapytał drogmana: przyjacielu, kto to jest, który tak mówi, tak przystojny przytem i hardy, jak dotąd nikogo nie widziałem, odkąd żyję? — Łacinnik odpowiedział: to jest książę z Bouillon, sławny rycerz, który z pewnością zdobędzie miasta i kraje. — Ucieszył się cesarz, następnie przywoływał po kolei baronów, aby mu hołd złożyli, on zaś wszystkich o swej pomocy zapewniał. Dwu atoli odeszło bez złożenia przysięgi, co zasmuciło cesarza. Pytał się, kto oni? Estatins mu powiedział: jeden z nich to Boëmond, syn Roberta Guiscarda, który twego ojca zwyciężył, a drugi, to Tancred z Apulii, obaj równie groźni.[1])

Ośm dni zostali baronowie pod stolicą, używając dostatku chleba, wina i mięsa, a dziewiątego Estatins poprowadził ich nad cieśninę, gdzie już statki były przygotowane. Niech ich prowadzi Bóg na krzyżu umęczony.

Przeprawiwszy się, jadą zacni baronowie, nie zatrzymując się, aż zobaczyli wieże i mury Nicei, i ostry szczyt Civetot. Na ośle zjawił się tutaj Piotr pustelnik i opowiedział o klęsce doznanej, prosząc o zemstę, co mu też Francuzi obiecali[2]). Posuwają się

---

[1]) Tutaj poeta różni się od historyków, którzy wszyscy donoszą, że i Boémond złożył hołd, ale pod warunkiem, aby cesarz mu przyznał Antyochią wraz z ziemią szesnaście dni drogi wzdłuż, a ośm wszerz, na co się Alexy podobno zgodził. Tudebod wszakże dodaje, że Tankred wraz z całem wojskiem Boemonda tajemnie się przez cieśninę przeprawił, aby przysięgi cesarzowi nie składać.

[2]) Jeszcze przed klęską pod Civetot, jak wiemy, Piotr schronił się do Konstantynopola, gdzie się też, jak się zdaje, zebrały niedobitki jego tłumów, które prowadził, niedobitki dość jeszcze liczne. Tutaj przyłączyło się wielu z nich do armii chrześciańskiej.

naprzód, aż do fos, niszcząc wszystkie barbakany [1]. Postanowili otoczyć miasto dokoła, każdemu z wodzów osobne wyznaczając stanowisko.

Przeraził się sułtan Soliman na tę wiadomość, nocą z miasta od strony jeszcze nie zajętej wyszedł, aby wojska zgromadzić, silną załogę zostawiając. Gdy do miasta chciał wrócić, już wejścia zamknięte znalazł przez Rajmunda de St. Gille [2]). Przeto wysłał swego drogmana, który przebrany za pielgrzyma przez chrześcijan miał się przemknąć, załogę do silnej obrony zagrzać i pomoc obiecać. Ale goniec ów przez czujnego Boémonda z Tancredem schwytany został i na śmigownicy do miasta wrzucony.

O świcie zbroją się baronowie: pierwszy książę Normandyi, drugi hrabia Flandryi z drużyną. Do niego przybywa Baudouin Cauderons cały w zbroi i pokornie tak przemawia: panie, gdy byłem w Arras, twojem mieście obronnem, wobec wszystkich lekkomyślnie się chełpiłem, że jeżeli Bóg mi pozwoli, pierwszy cios na nienawistnych Saracenów wymierzę. Słysząc to hrabia, rozweselił się i głośno wobec baronów odpowiedział: przyjacielu, na Matkę Boską, przyznaję ci ten zaszczyt. Na to Baudouin dziękuje uprzejmie, konia kłuje ostrogami, potrząsa lancą i woła: Święty Grobie, pomagaj! *Saint Sepulcre, aïe!* [3]).

Już się Turcy na górze ukazują, aby uderzyć na Chrześcijan w równinie. Jest ich 50.000, wszyscy dobrze uzbrojeni. Przysięgają na Mahometa, że wszystkich Chrześcijan wygubią. To też zagrzewa naszych zacny biskup z Puy ładną przemową, po której wszyscy rwą się do bitwy na wyścigi, wołając: Święty Grobie, pomagaj!

Naprzód się wysuwa Baudouin Cauderon prosto na Hisdenta, syna Solimana. Rozbił mu piersi, serce wpół przeciął, na ziemię zwalił zakrwawionego, poczem miecza dobywszy, głowę ściął drugiemu pohańcowi, wołając: Święty Grobie, w imię Ojca wszechmocnego! Tak się ładnie bitwa zaczęła.

Oto patrzcie, na pole wysuwa się Guion de Porcesse, dobrze uzbrojony. Z lancą w garści prosto na pogan pędzi. Pisartowi prze-

[1]) To znaczy wszelkie fortyfikacye przed fosami się znajdujące, a więc tutaj palisady z kołów.

[2]) Ten hrabia później nadciągnął i zaraz miejsce wskazane sobie zajął.

[3]) O tę samą łaskę prosił Taillefer przed bitwą pod Hasting, jak opowiada Wace, w poemacie *le roman de Rou*.

bił tarcz, na ziemię go zwalił, ostrzem go przebił, uśmiercił bez spowiedzi, wołając: Święty Grobie! bijcie rycerze w imię mszy świętej! Niech ta hołota z nas nie szydzi!

Oto patrzcie, na pole dwu pogan pędzi, i już dwu Chrześcijan zabili. Widząc to młody Enguerrand de St. Pol, kluje ostrogami Morela i wnet jednego Saracena uśmiercił. Podobało się to ojcu jego Hugonowi, który daje ostrogi koniowi, najeżdża na Corbadina tuż przy mostku i mieczem przecina mu hełm razem z czaszką. I znów pędzi ku laskowi, gdzie ucina głowę synowi Farela, Torbantowi; innemu Saracenowi mózg na ziemię wyrzucił, a teraz spotykając syna, woła do niego: jednak byk więcej wart niż cielę! Ucieszył się z tego młody Enguerrand i wraz z Ansel'em de Ribemont pędzą na Saracenów, zabijając, tak, że błonie pokryło się wnętrznościami i trupami [1]).

Tankred, syn markiza, uderzył na Sachadin'a, lancę poprzez tarczę aż w serce mu wraził, poczem innemu Turkowi głowę odciął, tak, że daleko odskoczyła. Święty Grobie, bijcie zacni pielgrzymi!

Oto patrzcie, na pole goni Lambert, syn Quenon'a, przebitego Esclavona zwalił w piasek, wołając: Święty Grobie! bijcie baronowie, niech sobie Saraceni z nas nie szydzą!

Oto patrzcie, na polu Gautier de Donméart ostrym mieczem oddzielił Acoupart'owi głowę od tułowia, a syn jego Bernard przebił króla Floarta, posyłając duszę jego do piekła, gdzie niech ją djabeł strzeże. Na to ojciec: Święty Grobie, bij przed sobą Bernardzie!

Oto patrzcie, na polu sam Godfryd z Bouillonu. Woła do siebie Stefana z Blois i mówi: weźmij z sobą Baldwina Cauderon, i Baldwina z Gant i brata jego Drogona z Noiele i cztery tysiące ludzi, samych baronów. Ruszycie w górę ku temu szczytowi okrągłemu, strzegąc, aby nas zdradliwi Turcy z nienacka nie najechali. — Nie ucieszył się Stefan z tego polecenia, byłby wolał być w Blois w domu swoim. Z dreszczami wziął proporzec do ręki, zimno mu się zrobiło od głowy do pięt. Książę w dobrej to

[1]) Zdaje się, że Enguerrand i Ansele ściśle byli związani przyjaźnią, jak to później zobaczymy. Byli druhami.

uczynił myśli, ale źle postąpił, bo przez hrabiego wielkie poniosą straty [1]).

W górę się kierują ku prawej stronie zacni rycerze, proporzec na wietrze się rozwija. Tam było główne wojsko saraceńskie, z którego 15.000 wsiada na arabskie konie i przeciw baronom z góry się spuszcza. Widząc ich chorągiewki, hrabia Stefan z Blois nie chciał tam być za wszystko złoto z Montpellier. Więc został na miejscu z dwoma tysiącami w odwodzie, a dwa przeciw Turkom pospieszyło. Niebawem 2000 Turków legło na polu. Tedy sam sułtan z główną siłą do walki się kieruje, a Orchenés go zachęca, ażeby w imię Tervaganta najechać na Francuzów, a wszyscy zginą niezawodnie. Odnowiła się walka zacięta, wielka rąbanina, łamanie lanc, rozcinanie pancerzy. Mnóstwo zginęło Turków, ale nie mało Francuzów. Mówi więc Drogon de Neéle do Baldwina: każ zatrąbić do odwrotu, cofniemy się do tych dwu tysięcy, które na górze stoją, a źle wtedy będzie z tymi łotrami, jeżeli aż tam za nami pójdą.—Na to mu Baldwin z Gant: zacny baronie, nie ufaj hrabiemu Stefanowi, bo stąd aż do Besançon niema równego mu tchórza. Skoro zobaczy Saracenów, całą odwagę w domu zostawi. Cofają się mimo to, a ci na górze mówią do hrabiego z Blois: poco my tu stoim? Uderzmy na tych łotrów! — Na to Stefan: nie zrobimy tego, jest ich 30.000 Turków i Sklawonów, wrócimy raczej do armii, gdzie będziemy bezpieczni.

Mówi Oliviers de Jusi: panowie, słuchajcie! Tarcze nasze, pancerze, są całe, ran ani z przodu, ani z tyłu nie mamy; jeżeli uciekniemy do armii, szydzić z nas będą Bawary i Alemany, więc w imię potężnego Boga jedźmy na Turków! I tak zrobili: błyszczącymi mieczami tną Balduin Cauderon i Balduin z Gant i Drogon de Neéle i Guis de Porcesse i Hugo z St. Pol i syn jego Enguerrand. Przy nich jest Stefan z Blois, ale widząc rąbaninę, drzeć zaczął, mówiąc do siebie: Boże ojcze dobrotliwy, ach

[1]) Tutaj zaczynają się przytyki do Stefana z Blois, o których się mówiło w rozprawie poprzedniej. Przypominamy, że ten magnat aż do swej ucieczki z pod Antyochii nieledwie najpierwsze miejsce między wszystkimi wodzami zajmował. Ceniono jego mądrą radę, uprzejme obejście i wielkie bogactwa. Z tego wynika, że całe to z nim zajście jest wymyślone. Poeta użył tu swego prawa, przedstawiając rzecz nie jak się miała, lecz jak się mieć mogła, a przez to przygotował i objaśnił niegodny postępek hrabiego późniejszy.

gdybym był teraz w mojej dużej sali w Blois! Godfryd z Bouillon'u ma mnie za dziecko, tutaj mnie wysyłając! Rzuca tedy proporzec i ucieka.

Ucieka Stefan, co koń wyskoczy, a Balduin z Gant mówi: zacni Francuzi, Stefan z Blois naszej śmierci pragnie! — Na to mu Drogon: nie uważajmy na to, każdy niech tnie, jak umie najsilniej, lepiej głowę stracić najeżdżając, aniżeli zginąć w ucieczce. Nie chcę, aby ze mnie szydzono po śmierci. Prawdą jest wszelako, że Stefan z Blois nas zdradził.

Uderzają na Turków, wołając *Montjoie, Saint Sepulcre aïe!* modlą się do Matki Boskiej, ale Turków jest mnogość, dużo ginie Francuzów. Na jednego z nich jest Saracenów czterdziestu i trzech. Biją dzielnie Francuzi, wyją Saraceni, tak że wrzawę usłyszał za górą dzielny książę Godfryd i zawołał: *Saint Sepulcre aïe!*

Mówi Tankred z Apulii: słuchajcie, tam za górą wielka jest wrzawa! — Mówi książę z Bouillon: słyszę to także. — Mówi hrabia z Flandryi: panowie jedźmy tam! — A pan Hugo le Maine: ja tam jadę, za mną panowie! — Jadą galopem, po drodze hrabiego Stefana spotkali i pytają: co się tam dzieje? — Na to Stefan: jesteśmy pobici! — Pytają go, gdzie jest Drogon, Balduin i inni? którędy uciekli? — Odpowiedział: tam się biją jeszcze! — Więc hrabia z Flandryi kłuje konia, chwyta za leżący na ziemi proporzec, wysoko go podnosi, jadą spiesznie na Persów i Arabów. Niech im pomoże Bóg, który przebaczył Longinowi!

Bitwa jest zacięta. Ach Boże, jakże walczą i Drogon i Guidon i Balduin i Enguerrand i ojciec jego Hugo, ale poganie wyjąc otaczają ich zewsząd, z łuków do nich strzelają. Spojrzał ku górze Guidon i poznał po zbrojach Godfryda i dużego Hugona i Roberta i Tomasza z Couci. Ucieszony woła: *Montjoie le Charlon*, zły dzień się gotuje dla Persów i Sklawonów. Bo i Boémond na nich najeżdża. Tedy wszyscy puszczają koniom cugle i jak sokoły na ptactwo, tak się rzucają na Saracenów. Ci uciekają, ale na rozkaz Solimana zawracają na nowo, biją się, aż nadjechał książę ze smokiem na proporcu (Godfryd), a z nim Eustachy i Balduin, bracia jego i Raimond de Saint-Gille.

Już Turcy uciekają, bo goni ich Boëmond, zabija, wołając: *Saint Sepulcre*, naprzód rycerze! Wszyscy pospieszają, a z nimi Aïmer, dzielny biskup z Pui i Piotr pustelnik i król Ta-

furów i Rybałtów [1]. Ci wyją także, zabijając łopatami i ożogami.

Uciekają poganie, gonią ich Chrześcijanie aż za górę, wołając: *Saint Sepulcre*, bijcie baronowie! Po zwycięstwie wracają nasi uradowani. Głowy pogańskie śmigownicami rzucają do miasta Nicei, trzy tysiące jeńców do Konstantynopola posłali cesarzowi, który im w podziękowaniu przysłał chleba i wina, także lanc i tarczy. Jedzą Francuzi i Bogu dziękują, przysięgając, że nie odejdą, aż posiędą wielkie miasto Niceę.

Mówią tedy między sobą w Nicei Persowie i Sklawoni: ten naród jest odważniejszy niż lwy i lamparty, nie oprzemy się im; jeżeli sułtan Perski pomocy nam nie da, to ani Apollin, ani Mahomet nas nie ocalą. Rzekł im Salehadin: nasi panowie uciekli, nas tutaj na łasce piekielnych dyabłów francuskich zostawiając. Gdyby nam zapewniono życie i zdrowie, to byśmy się poddali. Na to się inni zgodzili i, za pośrednictwem Estatina bez nosa, bramy krzyżowcom otworzyli [2].

Z żalem poganie opuścili Niceę, udając się w dolinę Gurhenie, do Solimana, który gdy się dowiedział o stracie stolicy, cztery razy upadł omdlały na zieloną trawę i mało się nie wściekł [3]. Wszystko już stracił, jeżeli sułtan z Iconium (Coigne) mu nie pomoże. Francuzi weszli do miasta, siedemset osób ochrzcili, miesiąc tam odpoczywali, naprawiając hełmy i zbroje, podkuwając konie na nowo.

Pieśń trzecia.

Słuchajcie panowie, niech wam Jezus pomoże, słuchajcie pieśni dobrej do poznania, z dobrych wierszy złożonej. Niech Bóg

[1]) Były to niedobitki tłumów prowadzonych przez Piotra z Amiens, ale może i nowe tłumy biedaków, które się przyłączyły do armii krzyżowców. Ich królem był podobno jakiś rycerz normandzki, który miecz wymienił na pałkę, zbroję na łachmany. Tafur ma znaczyć po saraceńsku: włóczęga, żebrak. *Rex Thafur barbarica coepit lingua vocari. Thafur autem apud gentiles dicuntur, quos nos, ut nimis litteraliter loquar, trudannes vocamus.* Guibert de Nogent VII, 22

[2]) Estatin postarał się o to, aby zająć ważne miasto w posiadanie dla cesarza. Stracili przez to krzyżowcy bogate łupy, których im było żal najwięcej, ale za to cesarz Alexy podobno hojnie ich wynagrodził.

[3]) Quand l'entent Solimans, a poi qu'il n'esrabie. Quatre fois se pasma sor l'erbe qui verdie II, v. 955—6.

błogosławi Francyi i jej to policzy, że tylu dzielnych wydała mężów, którzy zdobyli ziemię na ludach niewiernych, nie bawiąc się chowaniem sokołów, ani myśląc o kochankach, tylko o prawdziwym krzyżu i o czcigodnym grobie, dla którego wojnę podjęli. Już Jerozolima tak była przygnębiona, że słowo Boże w niej zamilkło. Teraz już ją mają Francuzi, a poganie ją stracili. Niech będą błogosławieni ci, którzy ją im odebrali [1].

Francuzi, zdobywszy Niceę, oddali ją Tatinusowi bez nosa, muły objuczyli żywnością i ruszyli ku Antyochii. Ach Boże, jakie jeszcze mieli trudy do poniesienia!

Przybyli na równinę, aż do mostu łukowego nad rzeką, gdzie dwa dni wypoczywali. Tutaj oddzielił się Boémond z wojskiem swojem i książę Normandyi i hrabia Perche. Jadą w dolinę Gurhenie [2]) aby szukać żywności. Książę Godefroi swoje wojsko w porządku prowadził bez pośpiechu i wypoczywał przy wielkiej górze. Boémond szybko się posuwał, aż niespodzianie wielka moc Saracenów napadła z zasadzki jego straż tylną, zabierając pakunki i młode kobiety, a starsze męcząc bezlitośnie. Następnie w imię Tervaganta uderzają na Boémonda i Tankreda. Dowodził nimi Soliman z Nicei. Tutaj zginął od strzały młodociany Guillaume, brat Tankreda, świeżo na rycerza pasowany i już dzielnością odznaczony, zginęło wielu innych rycerzy [3]). Klęska im groziła zupełna, więc wysłano gońca do Godfryda z prośbą o pomoc. Ten natychmiast w 500 rogów zadąć kazał, zbroją się rycerze, na pomoc śpieszą. Dzień był ładny i pogodny, w południe słońce strasznie paliło, od skwaru omdlewał Tankred i inni rycerze. Wtedy panie i panny donosiły im wody, którą pokrzepieni walczyli dalej, aż nadciągnął Godfryd, z nim biskup Aïmer i Raimond i Estatins. Teraz źle będzie z Persami i Esclerami. Złamani uderzeniem uciekają, gonią ich rycerze na kilka mil, aż do nocy, obóz ich zdobyli, a w nim wielkie bogactwa i zapasy żywności. Nazajutrz biskup pogrzebał poległych, których dusze wszystkie były w raju. Soliman zaś wywodzi żale nad stratą synów Turnicana, Hisdensa, Richeneta, Orgais'a.

[1]) Z powyższego ustępu widzimy znowu, że poeta nasz nie już tylko Antyochyę, lecz Jerozolimę ma na myśli, a śpiewał w takim chyba czasie, kiedy Jerozolima była w posiadaniu Chrześcijan, a więc pomiędzy 1099 a 1187 r.

[2]) Tak nasz autor nazywa Dorylaeum, dając tutaj opis walnej bitwy, którą jak wiadomo krzyżowcy tam stoczyli z Kilidż Arslanem.

[3]) Śmierć młodego Guilleaum'a w tej bitwie jest poświadczona przez historyków.

Następnej soboty upał był tak wielki, przytem proch i kurzawa i taki brak wody, że tysiące osób zginęło. Doszedłszy do rzeki, pokrzepili się i wypoczęli. Rozdzielili się tu znowu, a Boémond z Tankredem przeszedłszy dolinę Botentrot, nie zatrzymał się, aż w Tarsie[1]. Balduin poszedł za przykładem Tankreda. Szuka żywności, paszy dla koni, ale nic nie znajduje. Upadają konie i rycerze, pieszo idący. Cztery dni tak się wlekli, głodni aż do szału, aż się zbliżyli do Tarsu. Ludzie Boémonda i Tankreda wzięli ich za Saracenów i chwycili za broń, ale poznawszy omyłkę, przyjęli ich uprzejmie. Hrabiowie na koń wsiedli, aby wyszukać miejsce, gdzieby Balduin mógł rozpiąć namioty. Tankred podzielił się z nim żywnością, którą Balduin wszystką między swych ludzi rozdzielił, dla siebie tylko równą innym cząstkę zatrzymując.

Ale oto nadbiega z miasta wysłannik, donosząc Balduinowi że Turcy miasto pod wieczór opuszczą, zabierając obfitość chleba, wina i zboża. Więc hrabia szybko zbroić się swym ludziom nakazał, Turkom żywność zabrał i do miasta ich wpędził. Co więcej, sztandar Tankreda na murach zatknięty zrzucić, a swój natomiast zatknąć kazał. Rozgniewany Tankred chwyta za broń, i chce walczyć z Balduinem, lecz że mu to zganiono, przeto Tars opuścił i udał się do Mamistre (dziś Missis), które to miasto wraz z Boémondem zdobyli. Następnie Tankred udał się do Sucre (dawne Cyrrhus dziś Choros), które także opanował.

Cóż się dzieje? Balduin w Tarsie wypocząwszy, zjawia się pod Sucre, gdzie go Tankred wyzywa na pojedynek. Balduin się wymawia, nie chcąc bratobójczej walki między Chrześcijanami, ale zaczepiony, broni się. Poganie chcą z tego korzystać, przeto Boémond wdaje się jako rozjemca, zaprasza Balduina do miasta, gdzie Tankred w koszuli i boso przeciw niemu wyszedł, przepraszając. Przebaczył mu Balduin, uścisnął i ucałował[2].

[1]) Poeta bardzo tutaj skrócił opis pielgrzymki rycerskiej. Bo dolina Gurhenie była jeszcze niedaleko Nicei, zaś Tars leży już blisko Syryi. Wiemy, że się posuwali przez Iconium, Heraklea (Eregli). Dolina Botentrot, przedtem wcale nie znana, zasługuje z tego względu na uwagę, że jest już wymieniona w Chanson de Roland. Zdaje się, że tutaj oddzielili się od głównego wojska Tankred, a po nim Balduin z Boulogne ze swemi drużynami.

[2]) Cała ta sprawa jest niejasną. Podług tego co opowiada poeta, winnym był Balduin, nie zaś Tankred. Ten, jak się zdaje, zajął miasto na podstawie kapitulacyi Saracenów, którzy żądali, aby wolno im było opuścić miasto, zabierając

Niespodzianie przybywa poselstwo do Balduina od Starca z Góry, bardzo możnego władcy, mieszkającego w Rohais (Edessa) z oświadczeniem, że da mu swą córkę za żonę i swoje dziedzictwo. Ucieszył się Balduin i niezwłocznie do Edessy pospieszył. Po drodze zdobył Ravenel (dawniej Arudis dziś Karabaoglu?) w Edessie kler chrześcijański w procesyi na jego spotkanie wyszedł. Ślub się odbył tamtejszym zwyczajem: narzeczony ubrany był w koszulę narzeczonej, aby ta serca jego stała się w ten sposób pewniejszą. Wielkie tu zyskał Balduin bogactwa [1]).

Tymczasem Godefroi, dobry książę z Bouillon, nadciągnął. Wszedł do Tarsu, stu rycerzy tam zostawił, to samo zrobił w Mamistre i Sucre. Boémond, Tankred (później i Balduin) z nim się połączyli, zajął Artais (Ertesi, na dzień drogi od Antyochii) gdzie dwu innych synów Solimana z wieży zrzucono na ziemię, a duszę ich dyablu posłano prosto do piekła. Niech Bóg prowadzi naszych, syn świętej Maryi. Strasznie się żalił Soliman, gdy się o tem dowiedział i wyrzuty czynił Mahometowi, że go nie ochrania. Miał jeszcze 30.000 ludzi ze sobą, więc zaczepił Francuzów, zabił dzielnego Gossona, ale pobity, cofnął się ku Żelaznemu mostowi.

Żalił się ojciec Gossona nad stratą syna, ale drugi syn Lambert pocieszał go mówiąc, że dusza poległego jest w raju, niech tego będzie pewnym. *De verté le sachiez.* Potwierdził to biskup z Puy, odwodząc od żalu, bo przed sobą mają Żelazny most, który z trudem przyjdzie zdobywać.

W Artais rycerstwo oczyściło hełmy, naprawiło pancerze, o świcie powstawali, wysłuchali mszy ś. i ku Żelaznemu mostowi wesoło ruszyli [2]). Tam była załoga, a w wieży dużo jeńców z Pio-

swe ruchomości. Przeciw temu protestowali Chrześcijanie w Tarsie i wysłali do Balduina, aby on zajął miasto, a Saracenów nie oszczędzał. Tak być by mogło, nigdy atoli Tankred nie byłby się przed nikim upokorzył w sposob tutaj opisany. Pewną jest rzeczą, że poróżnienie było silne.

[1]) Starzec z Góry był Grekiem z rodu, dawniejszym gubernatorem cesarza z Bizancyum, zawiadującym wszystkimi miastami w dawnej Syryi i Mezopotamii, których Saraceni dotąd nie zajęli. Nazywał się Todre, t. j. Teodor. Starcem z Góry nazywano raczej szefa sekty muzułmańskiej Hasziszinów.

[2]) Most ten na bystrym Oroncie był o 4 godziny drogi od Antyochii. Był murowany, miał dziewięć łuków, a z obu końców dużą wieżę z mostkiem zwodzonym i z bramą okutą prętami żelaznymi. Stąd jego nazwa. Stał do r. 1822,

trowej wyprawy, którzy widząc rycerstwo, wołali *Saint Sepulcre*, pomóżcie nam! Rzekł biskup z Puy: zacni baronowie, spełni się, co przepowiedział Bóg, który nas odkupił; przyjdą synowie moi, którzy się pomszczą za mnie. Przysięgliśmy w Clermont na relikwie, że tu przyjdziemy, aby to wykonać, albo umrzeć. Prośmy Zbawiciela, aby nam pokazał drogę, jak przebyć tę rzekę. — Słuchajcie, jak im pomógł Jezus, aby Mahometa pognębić.

Baronowie, którzy w Boga wierzycie, słuchajcie o cudzie Jezusa! Jednego dnia Enguerrand de Saint-Pol uzbroił się i jechał wzdłuż rzeki. Zobaczył Saracena, który z tamtego na ten brzeg przeprawił się wpław przez rzekę, aby szpiegować. Dogonił go, do wody wpędził, w jego ślad rzekę przebył, galopem pośpieszył do mostu, nie bronionego z tamtej strony, wtargnął do wnętrza, łańcuchy mostu zwiedzionego przeciął, i wołać zaczął na rycerstwo, bramy pilnując. Pierwszy go usłyszał ojciec jego Hugo, zebrał rycerzy, którzy płakali z radości i do syna pośpieszył. Most zajęli, wszyscy tędy przeszli.

Co teraz zrobić? Panowie, rzekł Enguerrand, wycierpieliśmy dużo głodu i pragnienia, ale teraz jesteśmy już pod Antyochią. Mamy przed sobą Turków na błoniu, zaopatrzonych w żywność. Tę na nich zdobyć trzeba. Jeżeli zginiemy, dusze nasze będą zbawione, pójdziemy przed Boga z wieńcami na głowach, a jeżeli żywność zdobędziemy, dobrze nam z tem będzie. Więc jedna część zostanie tutaj, przy wieży, a ja pójdę pod Antyochię, aby ich od miasta odciąć.

Tak uczyniono; hrabia Flandryi natarł na Turków ze swymi ludźmi, którzy taką rzeź sprawili, że pokrwawieni byli po łokcie. Uciekają Turcy ku Antyochii, ale tam Enguerrand drogę im zastąpił i tak nacierał, że aż ku hrabiemu Flandryi ich odepchnął i aż do rzeki wrzucił. Zaczerwieniło się błonie od ich krwi, 4000 w rzece utonęło, tylko niedobitki do miasta uciekły, z nimi Soliman z Nicei. Gdy stanęli przed królem Garsionem [1] ten zapytał Solimana, czyś obronił twój kraj? Na to Soliman zagniewany: ga-

gdy go trzęsienie ziemi zniszczyło. P. Paris l. c. p. 191. Inną tu jeszcze uwagę dołączyć należy; most ten nazywa poeta *pont de fer*, otóż Orontes nazywał się Ferreus. Zob. atlas Kieperta. Czyż nie stąd *pons ferreus?*

[1]) Ów król, a raczej emir Antyochii, nazywał się Bagi Sijan, z czego Francuzi zrobili Garsion.

nisz nas królu, lecz i ty, kiedy się pomścisz za śmierć syna twego najstarszego? — Patrzy król na schody i widzi, jak niosą ciało syna jego. Nie dziw, jeżeli narzekał!

Narzekał król Garsion z Antyochii nad śmiercią syna, żaden admirał, ani nawet brat Carcant pocieszyć go nie umiał, a Soliman rzekł: już Nicea stracona i Tars i Mamistre i Artais i ty miasto przez Chrześcian stracisz, bo choćby wszyscy przeciw nim się zgromadzili, pobici będą przed zachodem słońca, nie pomoże im Mahom ani Tervagant. A jeżeli cię oblegną, stracisz miasto i życie, chyba ci sułtan i król Corbaran na pomoc przyjdą! Słuchał tego Garsion, ani słowa nie mówiąc.

W wieżach zostało 900 Saracenów załogą. Ci chcą się wymknąć w nocy cichaczem, ale straż miał Enguerrand, który ich spostrzegł, 140 zabił, reszta uciekła. Teraz wyzwolili płaczących Alemanów, w wieży zamkniętych, którzy się chętnie do armii przyłączyli.

Już są nasi Francuzi za mostem, a teraz biskup z Puy tak do nich przemawia: słuchajcie zacni baronowie, oto Antyochia, a w niej groźny Garsion. Trzeba się obawiać, że nas podstępni Saraceni w nocy napadną. Kto się podejmie straży? — Ja się podejmuję, zawołał książę z Bouillon, do pomocy wezmę tylko konia mojego. — W nocy Soliman ze swymi ludźmi cichaczem napadł na armią. Wyjechał przeciw niemu książę ze lwiem sercem (*qui cuer ot de lion* III v. 800), ale przy nim jeszcze dwu było widać towarzyszy. To był św. Jerzy i św. Dymitr. Poznali Saraceni niebieskich rycerzy i do ucieczki się rzucili. Gonił ich książę, czternastu zabrał, wszystkim głowy uciął. Znaleziono je rankiem na piasku.

Radzą teraz rycerze nad oblężeniem, Saraceni przygotowują się do zaciętej obrony.

Pieśń czwarta.

Panowie, zacni rycerze, słuchajcie, usłyszycie dobrą pieśń w zgrabnych wierszach o baronach z Francyi, których Bóg ukochał, a którzy poszli za morze do Grobu, aby się pomścić na narodzie niewiernych.

Wszyscy już są pod Antyochią, na naradzie postanowili, że przy pierwszej bramie swój namiot wysoki rozepnie dzielny Tan-

kred z Alemanem Hungier'em i Rogierem de Rosoi, który trochę kuleje. Miejsce ich naprzeciw wysokiej wieży, przez olbrzymów niegdyś zbudowanej, a teraz pełnej podłych pogan, którzy wystawili dwie śmigownice tureckie, przysięgając, że Tankreda zabiją.

Przed drugą bramą stanął Boémond z Sycylii, naprzeciw starożytnej wieży, w której 4000 załogi. Boémond przysięga, że ich ogłodzi.

Przy trzeciej bramie, ku Kafarnaum, pod wieżą Josiana, stanął Robert Fryzyjczyk z Hugonem de Saint-Pol i synem jego Enguerrandem. Przeciw nim 3000 pogan zaciętych.

U stóp góry, naprzeciw wieży Fauseré stanął hrabia Bretanii Alain i Herbert książę z Bascle (z kraju Basków) i jego brat Godescaus i dzielny Szymon.

Przy najgłówniejszej wieży stanął książę Normandyi z baronami z Anjou i Maine.

Z tej strony Żelaznego mostu umieścił się biskup z Pui i Raimond z Tuluzy z Provensalami i Gaskonami. Wieży tej bronił Carcans z Syryi.

Na piaszczystej równinie poniżej biskupa stanął Estatin bez nosa, a z nim hrabia Nevers.

Przy innej bramie ku południowi rozpięli namioty Olivier de Jusi i hrabia z Perche i Raoul de Baugenci i Ryszard z Dijon, Raimbaud z Cameli i Acars z Monmarle, którzy się Garsionowi dobrze dadzą we znaki.

Od strony Jerozolimy, nad bystrą rzeką, zacny stanął baron, biegły w szturmowaniu, książę z Bouillon, który potem był królem i cesarzem w Jerozolimie, a korony złotej nosić nie chciał. Namiot jego jest wysoki i obszerny z pawilonami w różnych kolorach.

Przy bramie Fabura stanął Robert z Flandryi na czele 15.000 rycerzy [1]).

Naprzeciw bramy Brunamonta stanął Hugo brat królewski z Francuzami, których miał 10.000. Śliczne tam były namioty.

[1]) Wszystkich tych ładnych szczegółów dosłownie brać nie należy. Prawie wszystkie nazwy saraceńskie są zmyślone, a ze strony chrześcijańskiej są widoczne niedokładności. Tak n. p. Robert hrabia Flandryi jest już wyżej wymieniony, jako Robert Fryzyjczyk, ponieważ ród jego stamtąd pochodził. Z jednej osoby poeta znów zrobił dwie, natomiast pominął bardzo wielu znakomitych rycerzy, czego mu za złe wziąć nie możemy.

Przy innej bramie stanął król Tafurów z rybałtami, którzy przysięgają, że zębami rozszarpią i pożrą każdego poganina, którego schwytają. Ci krzyczą i wrzeszczą, a Saracen Princeples, patrząc na nich, mówi: na Apolina, skąd się wzięła ta hołota? Toć oni nie mają ani ubrania, ani uzbrojenia! Szkoda dla nich żywności!

Przy bramie Mahoma, brata admirała, stanął Tomasz z Marle a niedaleko niego Stefan z Aubemarle. Mieli 15.000 rycerzy.

Patrząc na nich Saraceni, przeklinają ich w imię Mahometa i Tervaganta, grożąc, że żaden z nich przy życiu nie zostanie. Nigdy miasta tego nie zdobędą, bo mury są zbyt wysokie i silne, bramy z żelaza, wieże wysokie. Raczej z głodu i trudów wyginą, bo napadać ich będziemy i rankiem i wieczorem [1]).

Wzdłuż rzeki jest łąka, na niej pasie się arabski koń Tabura, strzeże go dziesięciu Saracenów, uzbrojonych w topory. Lepszego konia nikt nie widział na świecie. Osiodłany był ładnie, a Francuzi, którzy go widzą przez rzekę, bardzo go są chciwi. Słuchajcie co zrobił Gontier z Daire, który dotąd był giermkiem. Wyszedł cichaczem z obozu, do pasa przywiązał ostrogi i miecz, przeżegnał się, wszedł do rzeki, przepłynął ją, ostrogi przypiął, na Saracenów uderzył, pięciu z nich zabił, na konia wskoczył, pogonił za drugimi pięciu, których także zabił, przed pościgiem tysiąca Persów i Esklawonów uciekł, przez wodę do swoich wrócił. Hrabia Robert ucałował mu oczy i twarz i brodę i obiecał, że gdy wróci do Flandryi, jego swoim seneszalem zrobi, a książe z Bouillon dodał: zrobimy go rycerzem, gdy tylko zechce. Na to Gontier: nie prędzej, aż do Grobu dojdziemy.

Rozgniewani Turcy o tę psotę, w 10.000 wyszli i ukryli się w starem zameczysku, czyhając na Raimonda, który z ludźmi poszedł po żywność do portu św. Simeona [2]) Już muły objuczone wracały, gdy napadli je, odegnali straż i muły do miasta pędzili. Przybiega hrabia z Tuluzy na pomoc i mimo mnogości pogan, muły odebrał. Postanowiono wtedy na radzie wojennej, aby obozy bliżej do miasta przysunąć, a przez to wycieczki poganom utrudnić.

[1]) Zdaje się, że Antyochia była jedną z najsilniejszych twierdz w owym czasie. Dokoła była otoczona bardzo wysokimi murami a tak szerokimi, że wóz w 4 konie zaprzężony mógł po nich jechać. Mury te były podwójne, a ciągnęły się po przez góry i doliny, nad nimi zaś sterczało wież czworobocznych 450. Zobacz opis: Gesta Franc. Bongars p. 23.

[2]) Port ten był o dzień drogi od miasta.

W pobliżu meczetu, przy bramie żelaznej, był most starożytny, wielką sztuką nad szumiącą wodą zbudowany. Tamtędy teraz Turcy wypadali i srodze dokuczali Chrześcijanom. Zwołał tedy biskup na naradę baronów na której postanowiono most zburzyć. Gorliwie się do tego zabrali z młotami i pikami, ale po trzydziestu dniach pracy tyle ujęli z mostu, ile na muła jednego włożyć można. Zbudowali teraz taran do rozbijania, ale Turcy mostu gorliwie bronili. Do miasta wpędzeni, z grzebieni murów strzelali do naszych z łuków z wielkim skutkiem, tarany ogniem greckim spalili. Trzeba było zaniechać zamiaru, Turcy zaś tem częstsze i dokuczliwsze robili wycieczki. Postanowili teraz Chrześcianie zbudować kasztel przy meczecie, co też mimo przeszkód i napaści zręcznie wykonali. Przy budowie znaleźli liczne sarkofagi, które otworzyli, głowy trupom poucinali i śmigownicami do miasta powrzucali.

Częste wycieczki robili Turcy z innej jeszcze strony, a mianowicie na drogę, która do portu prowadziła a przy której stał stary kasztel, gdzie się ukrywali. Postanowiono na radzie zająć to niebezpieczne miejsce, a Tankred sam się do tego ofiarował i zaraz pierwszej nocy czterystu kupców z żywnością, którą do miasta wprowadzić chcieli, przychwycił. Po dwu tygodniach atoli znów głód straszny dręczył wojsko chrześciańskie, nawet hrabiowie mają żywności nie wiele, a drobni ludzie nic zgoła. Szukają jej na 15 mil dokola, konie jedzą, które także z głodu ginęły. Rżą konie i muły, sokoły kraczą, płaczą kobiety, narzekają mężczyźni. Pociesza ich Godefroi de Bouillon, budzi ufność w Boga, zapewnia, że zdobędą Jerozolimę a potem Mekkę, gdzie zabiorą dwa duże świeczniki i do świętego Grobu zawiozą, aby Bogu, nie dyabłu przyświecały.

Straszny był głód, za mały chleb płacono dwa bizantyńce złote, sto soldów za udo ośle, za denara dwa ziarna bobu otrzymywano, jedzono trzewiki i buty. Baronowie uradzili, aby się wyprawić do portu świętego Simeona po żywność [1]). Udał się tam Boémond i hrabia Hugo z St. Pol i hrabia Rotols z Perche i Rai-

[1]) Wyprawę do portu Simeona podjął rzeczywiście Boémond i hrabia Raymond i z pewnością starali się przytem o żywność, ale zarazem zamierzali sprowadzić majtków do obozu, aby byli pomocnymi przy budowaniu warowni obozowych. Przyszło przytem do bitwy, w której Godfryd skuteczną przyniósł pomoc, a Saraceni ciężką ponieśli klęskę. Albertus Aquen. III. c. 64 n.

mond de Saint-Gille i inni. Żywność zakupili, ale nieostrożni, wracają rozproszeni, tak spiesznie im do obozu. Na to czekali właśnie Saraceni i w liczbie 15.000 na nich napadli. Cofnął się przed nimi Boémond (do portu) i Raimond, tylko Hugo poszedł naprzód, czternastu zabił, ale zewsząd otoczony został. Dzielny Evrard de Puisac prosi gorąco Boémonda, aby pospieszyć na pomoc Hugonowi, który konia straciwszy, bił się pieszo, a zguba jego była pewną. Usłuchali wezwania Boémond i Raimond, w dwieście mieczy na Turków natarli, Hugona oswobodzili. Konia dla niego zdobył Raimond na królu saraceńskim Alim, którego zabił. Na to z Antyochii nowe zastępy nadchodzą, więc spiesznie wyprawiono gońca do biskupa z Puy z prośbą o pomoc, bo zginą najdziejniejsi baronowie. Biskup przerażony zadął w róg, żwawo Francuzi zbroić się zaczęli, spieszą w stronę wrzawy wojennej, było ich 700 rycerzy, między nimi ani jednego Gaskończyka, a na czele Godfryd. Ten kłuł lancą, aż się złamała, potem dobył miecza i straszną rzeź sprawiał. Jednego Saracena przez kadłub przeciął na połowę, tak że wierzch spadł na błonie, a spód w siodle został i tak pogalopował do Antyochii, w śmiertelnym kurczu tylko mocniej jeszcze w strzemionach się trzymając [1]). Widząc ten czyn Francuzi, uczcili go radosnym okrzykiem *Montjoie!* Nowe posiłki nadesłał Garsion, ale im więcej Saracenów przybywało, tem więcej zabijali Francuzi. Bił Tankred i Boémond i Robert z Normandyi i Robert z Flandryi i Lambert z Liège i Enguerrand de Saint-Pol i książę Godfryd od lwa odważniejszy i Balduin i Eustachy i Alain z Bretanii i Hugo le Maine i król Tafurów bił z towarzyszami. Dziesięć tysięcy zabili mieczami, piętnaście set do wody wpędzili, gdzie zatonęli. Inni Saraceni widząc bramy miasta zamknięte, także w wodzie szukali ocalenia. Chwytali się słupów mostu, ale spychali ich lancami rycerze. Inni z wodą płynąc, zatrzymali się przy sztachetach, gdzie ryby łowiono. Było ich ze 200. Do nich podpłynął Raimbaut Cre-

[1]) Tudebodus p. 789 tak o tem opowiada: *Tunc dux Godefridus Christi miles potentissimus irruens in eos evaginato ense, percussit quendam gentilem ferocissimum tam viriliter, ut in duas partes ipsum divideret, a versice videlicet usque in sellam equi. Post hunc aggressus alium ex obliquo, secuit eum per medium.* Wyraźniej o tem Raoul z Caën: *Quis de Godefridi viribus stupendis praesumat, cuius ense trajectus Turcus, duo factus est Turci, ut inferior alter in urbem equitaret, alter arcitenens in flumine nataret.*

ton. na sztachety wyszedł. lancą i mieczem połowę uśmiercił. reszta zatonęła. trupy ich wszystkich Ferreus (Orontes) poniósł z wodą. Chwalili go za to wszyscy patrzący. biskup z Puy pobłogosławił w imię Zbawiciela świata. Ale Raimbaut sam osłabł przy tem. gęsto strzałami od Turków raniony. Już miał zatonąć, gdy na rozkaz Boga. św. Michał zdjął z niego pancerz i podniósł go do góry. Wypłynął wtedy Raimbaut na wierzch a znalazło się wielu, którzy do wody skoczyli. aby go wyciągnąć. Osłabionego. zbladłego, zaniesiono do namiotu Godfryda, gdzie mu lekarze zdrowie przywrócili. Dzielny to był rycerz. do Jerozolimy doszedł. grób Zbawiciela i inne relikwie ucałował, jak wam to pieśń opowie. jeżeli mnie słuchać będziecie [1]).

Klęska Saracenów była wielką, kto z nich mógł, do miasta uciekał. Gonił za nimi wyborny rycerz Rainaud Porqués, zapędził się nawet aż za bramę i tam piętnastu Saracenom głowy uciął. Niech go Bóg w swą opiekę weźmie. bo oto Turcy bramę zamknęli. zewsząd go opadli. strzałami konia mu zabili. Skoczył na nogi baron. schronił się pod łuk drzwi do piwnicy wiodących. tarczą się zasłonił i zabijał każdego. kto się zbliżył. Widział atoli. że mu śmierć grozi. bez spowiedzi. bez księdza. Więc modli się do Boga o przebaczenie grzechów. żegna się w myśli z przyjaciółką, którą w obozie zostawił dziś rano. Doniesiono o jego w mieście obecności Garsionowi. który wsiadł na konia i przybył na miejsce wraz z synem Sansadoinem [2]), aby się przypatrzyć zuchwalcowi. Rozgniewany był bardzo. że tysiące ludzi jego nie mogło pokonać jednego Francuza. ale sądząc, że to wybitna osobistość, postanowił go żywego zachować. Poddaj się. rzekł do niego, uwierz w Mahometa i w Tervaganta. a poszlę cię do sułtana. który cię zrobi almanzorem *(aumachor!)* Na to Rainaud: tyle go cenię, co psa zdechłego. przyszedłem do tego kraju. aby się pomścić za Boga. Zabiłem waszych ludzi 300. a jeżeli zdołam. zabiję więcej jeszcze. zdobędziemy to miasto, do Jerozolimy pójdziemy, zawojujemy Wschód cały. Więc mnie raczej zabijcie! — Na to Garsion: Wstyd na was Persowie. że on żyje jeszcze! — Sam Garsion zeszedł z konia. wziął ze sobą trzystu dostojników. przez dom wszedł do piwnicy, drzwi otworzyli. strzałami go razili. ale bronił się Rainaud. zabił

[1]) Znowuż zapowiada poeta pieśń o Jerozolimie.

[2]) Nazywał się Szams-Eddaulé, z czego zrobili Francuzi Sansadoine.

brata admirała, zabił Principla, zabił Malquidanta, zabił króla Asnów i Roboanta i Clarieta i Morganta. Teraz wszyscy się na niego rzucili, opanowali go, bili maczugami, tak że mu krew przez usta się rzuciła. Koniec temu położył Garsion, rozkazując, aby zaprzestano. Polecił go wyleczyć, dwudziestu Turkom oddał go pod straż, kajdany mu założono, ale żywiono go dobrze.

Pieśń piąta.

Opowiem wam teraz co się działo w armii chrześcijańskiej. Bardzo są zatrwożeni, drożyzna jest wielka, żywności nie mają. Piotr pustelnik siedzi przed namiotem, przychodzi do niego król Tafur z wielu ludźmi, było ich więcej tysiąca, wszyscy zgłodniali. Panie, poradź mi, na miłosierdzie Boże, umieramy z głodu i nędzy. Odpowiada Piotr: To skutek waszego niedbalstwa, macie Turków zabitych, nasoleni i upieczeni doskonali będą do jedzenia. Na to król Tafurów: Prawdę mówisz!

Od Piotra wróciwszy, zwołuje król swą hołotę, a było ich więcej niż 10.000. Obdzierają Turków ze skóry, gotują ich w wodzie, pieką na rożnie. Najedli się do syta. Zapach pieczeni zwabił Turków na mury, patrzeli na to, co się działo, rozpłakali się, przeklinali ich, Mahometa prosili o zemstę nad Chrześcijanami.

Król Tafur jest pokrzepiony wraz z towarzyszami, ostrymi nożami obdzierają Turków ze skóry na błoniu, w oczach Saracenów rozcinają na kawały, gotują i na węglach pieką, jedzą bez soli i bez chleba. Mówią do siebie: mamy zapusty po poście, mięso to lepsze od wieprzowiny. Głupi ten, co umrze z głodu, jak długo Turków starczy.

Zapach pieczonych Turków rozszedł się po mieście Antyochii. Poganie i poganki na mury wychodzą, także Garsion i syn jego Sansadoines i wnuk Isaés przypatrują się z wieży z oburzeniem. Widząc to Tafur, poprowadził swych rybałtów na cmentarz saraceński, wygrzebują ciała, zgniłe wrzucają do rzeki, inne obdzierają, suszą na wietrze. Przybywają do nich Boémond i Tankred i hrabia Robert i hrabia Hugo le Maine i biskup z Puy, wszyscy zgoła baronowie, ale uzbrojeni i pytają króla, jak mu się powodzi? Na honor, odpowiedział: dobrze nam, jedzenia mamy dosyć, ale nic do picia. Na to mu książę z Bouillon: panie królu i to mieć będziesz. Kazał przynieść butlę wina, napił się Tafur, dał także innym.

Widząc to Garsion, przywołał Boémonda i hrabiego Hugo, wyrzuty im czyniąc o taką zniewagę. Na to książę z Tarentu: nie

ma w tem naszej winy; to hołota, która nas nie słucha, a tureckie mięso bardziej im smakuje niż pieprzone pawie [1]).

Król Garsion proponuje Boémondowi rozejm na dwa tygodnie, dodając: mamy tu Rainauda, waszego rycerza, wy zaś macie mojego siostrzeńca, tych wymienimy, jeżeli się zgodzicie. Boémond przedstawił to baronom, a wszyscy się zgodzili na cztery dni rozejmu, ciesząc się, że Renauda odzyskają. Poganie chcieli pogrzebać swych zabitych. Właśnie umarł także jeden z krewnych Garsiona, który został pogrzebany w bogatej zbroi, z wielkiem bogactwem i ze sławnym mieczem, przez Galanda zrobionym. Miecz ten posiadał najprzód Aleksander, po nim Ptolemeusz, po nim Judasz Machabeusz, następnie Wespazyan, który pomścił się za śmierć Pana Boga i ofiarował ten miecz do jego grobu [2]). Miał go potem Cornumarant, ten go dał temu, który poślubił siostrę Garsiona, a naostatku miał go syn jego. Pogrzebano go tak skrycie, że nikt z wojska chrześcijańskiego nie widział.

Król Garsion pragnął stałego pokoju. Chciał, aby Renaud Porqués Chrześcijan do tego namówił, obiecując mu wielką nagrodę. Zjechali się baronowie z Garsionem przy jednej z bram. Obiecał Garsion dać część skarbu swego, obiecał uznać zwierzchność Chrześcijan, gdy zdobędą Jerozolimę, obiecał przysłać trzysta mułów z żywnością. Na to książę Bouillon: Wydasz nam najprzód główną wieżę twoją i Renauda.

Król Garsion kazał przyprowadzić na mule pięknie przybranego Renauda i takim go pokazał baronom; Renaud oznajmił, że się dobrze z nim obchodzono. Żądał teraz Garsion, aby mu siostrzeńca pokazano. Ten miał trzy ciężkie rany, które się wyleczyć

[1]) Zdaje się, że opowiadanie o żywieniu się ciałem Turków nie jest zmyśleniem, lecz srogą rzeczywistością. Jest o tem mowa w liście Dagoberta arcybiskupa Pizy i innych biskupów, oraz Godfryda i Raymonda do papieża i całego Chrześcijaństwa, który przytacza Michaud w tłómaczeniu pomiędzy innemi Pièces justificatives na końcu pierwszego tomu swej *Histoire des croisades, 1856. p. 506: Nous fûmes bientôt livrés à une famine si cruelle, que quelques—uns de nótres, dans leur désespoire, ne paraissaient pas éloignés de se nourrir de chair humaine.* I znowuż, już po zdobyciu Antyochii: *Une famine horrible qui y asssaillit l'armée, la mit dans la cruelle nécessité de se nourrir des cadavres des Sarrasins, déjà en poutréfaction.* Z tego by wynikało, że nietylko ludzie króla Tafurów na taką żywność się odważyli, ale pod Marrah nieledwie cała armia.

[2]) Istniała przeto już legenda, a może i poemat (*la Vengeance du Sauveur*) podług którego Wespazyan, zdobywając Palestynę, mścił się za śmierć Chrystusa.

nie dały. Pytał go wuj tajemnie. w jakim stanie jest wojsko chrześcijańskie? Odpowiedział mu. że ginie z głodu. tygodnia nie wytrzyma. Niech za niego miasta nie wydają, bo jego życie bez wartości. Na tem się rozmowa skończyła. podczas niej atoli król Tafur pochwycił jednego z emirów. co było pogwałceniem rozejmu. Za to Garsion w srogi sposób zemścić się postanowił na Renaudzie. Kazał go przyprowadzić. bić rzemieniami. że aż krew płynęła, na stole rozciągnąć. jakby na krzyżu. węglami. siarką, ołowiem spalić mu kazał wszystkie ścięgna. a gdy Renaud w tych mękach modlił się i krzyczał i ubolewał. że już pogan nie będzie mógł przecinać, bił go Garsion kijem po głowie aż do krwi. Po tych torturach rozwiązać go kazał, rany wyleczyć, ale Renaud już się ani wyprostować, ani chodzić nie mógł. Wtedy go kazał Garsion ładnie ubrać. na konia wsadzić. do siodła mocno przywiązać i oddać go Boémondowi, aby go wymienić na siostrzeńca. Z daleka już wołał do niego Renaud: na Boga, Boémondzie. nie oddawajcie za mnie nikogo, przywiązany jestem do konia. ścięgna mam spalone. jestem kaleką na całe życie. Słysząc to baronowie. za koń chwytają, pomścić się pragną, ale Saraceni uciekli, z łuków jakich 60 z naszych zabili. Za to ucięto głowę siostrzeńcowi Garsiona i wrzucono ją śmigownicą do miasta. Wtedy wypadli Turcy z miasta, bitwa się wszczęła, w której zginęło ich jakie 15,000. W nocy hrabia de Saint-Gille straż odbywał. nazajutrz zaś mógł widzieć Garsion z wieży ogromny obóz Chrześcijan wesoły, czyszczeniem i ostrzeniem noży zajęty, pełen wrzawy, rżących koni, szczekających psów. krzyczących sokołów. dymiących kuchni. kotłów parujących, mógł widzieć jeszcze bydlęta pędzone do portu i stamtąd z żywnością wracające. Pomyślał sobie wtedy. że Antyochii nie obroni, jeżeli pomocy nie otrzyma.

Zwołał Garsion naradę, a przedstawiwszy zagrożony stan miasta. zapytał. ktoby się odważył do sułtana udać się z prośbą o pomoc? Obiecuje mu za to hojną nagrodę. Syn jego Sansadoine oświadczył się do tego gotowym. Ucieszony ojciec uściskał go, rozpłakał się. łzy mu po nosie ciekły. Jeszcze tej nocy wysłać go z drużyną postanowił.

Garsion list do Sułtana napisać kazał, w którym mu donosi. że Chrześcijanie z wielką go najechali potęgą, Antyochią oblegli, pójdą do Mekki, tam dwa kandelabry zabiorą, w Jerozolimie przy grobie Jezusa je postawią. Gdyby sułtan wierzyć nie chciał, oto

połowa mojej brody, rzekł Garsion, jako dowód, przyczem połowę brody sobie odciął. Była to z jego strony wielka ofiara.

Gdy noc zapadła, uzbroił się Sansadoine, wsiadł na dzielnego Bajarda, który się nigdy nie męczył, to samo uczyniło 50 jego towarzyszy. Tych rozdzielił, 30 przy sobie zatrzymał i z nimi boczną furtką się wymknął, 20 kazał jechać prosto na most. Spostrzegli ich Boémond z Tankredem, którzy obozu strzegli, pogonili za nimi, wszystkich wygubili. Wrzawa potyczki obudziła Enguerranda, który szybko się uzbroiwszy, z drużyną na prawo od Antyochii się zwrócił Tutaj natknął się na Sansadoine'a, gonił go aż do rana, dopędził, już jednego towarzysza mu zabił, ale o mało sam od strzały jego nie zginął. Bóg go ocalił. Niezwłocznie teraz sam na Sansadoine'a natarł, ale ten uciekł dzięki koniowi, szybszemu niż sokół. Innych zginęło 14. Wtedy mgła się podniosła, deszcz padać zaczął i to podłych pogan ocaliło. Głowy zabitych zatknięto na palach.

Zobaczył Garsion głowy na palach i sądził, że zginął syn jego Sansadoine. Żal jego był wielki: łamał ręce, wyrywał włosy, gorzkie wyrzuty Mahometowi czynił, posąg jego rozbić zamierzał. W tem goniec nadbiegł od syna z doniesieniem, że jest cały i zdrów i na drodze do sułtana. Tak się z tego Saracen ucieszył, że wielkie tańce urządzić postanowił. Bo już się chrześcijan nie boi tyle co psa śmierdzącego.

Spieszy tymczasem Sansadoine przez góry i doliny, do Alepu wstąpił, opowiadając emirowi, co się w Antyochii dzieje. Pojechali dalej, konie odmieniwszy, tylko Sansadoine zatrzymał Bajarda. Przebyli Eufrat, który z raju płynie, a w którym nasz Bóg ochrzcił świętego Jana *(Ou nostre sire Diex baptisa saint Jehan, w. 688).* Przebyli Carcan, góry Mogres, tak że po 25 dniach stanęli w Sarmasane [1]), gdzie sułtan przebywał. Był tam ogród pełen drzew najosobliwszych, pełen ptaków śpiewających i tam sułtan swój namiot rozpiąć kazał.

Swój namiot złocisty kazał sułtan rozpiąć w cudnym ogrodzie pod Sarmasane. A był ów namiot z jedwabiów różnokolorowych i tak wielki, że 2000 Turków pomieścić się w nim mogło. W powietrzu się unosił sztucznie zrobiony duży Mahomet ze złota i srebra, czterema magnesami utrzymywany, a obracający się za pod-

[1]) Ma to być Samarcanda.

muchem wiatru. Sułtan i 14 królów go całuje, ściska, klękają przed nim i całują mu nogi, bogate mu składają dary.

Wchodzi Sansadoine do namiotu, a rozgniewany tym widokiem, mówi: szaleńcy, którzy czcicie tego bałwana! Wiedźcie, że Mahomet dwu szelągów nie wart. Wierzyłem w niego, a mimo to wszystko straciłem. Oto jak z nim postąpić należy: — po tych słowach pięścią w kark go uderzył, na ziemię zwalił, deptać zaczął... Powiesić go! zawołał sułtan. Lecz gdy się dowiedział, że to syn Garsiona, złagodniał, o przyczynę przybycia zapytał. Opowiedział mu Sansadoine o zagrożonym stanie Antyochii, o niesłychanem męstwie rycerzy chrześcijańskich, którzy zdobywszy to miasto, nieomieszkają zająć Bagdadu i Mekki. Sułtan wierzyć mu nie chce, Corbadas mówi, że pijany, ale Sansadoine wydobył na dowód brodę ojca swego i list jego, w którym o pomoc prosi. Na to przybywa Soliman z Nicei, w stanie znędzniałym, z 30 towarzyszami, do pastuchów raczej podobnymi. Ten potwierdza wszystko, co Sansadoine powiedział i także o pomoc prosi, bo inaczej się zabije. Na to mu Corbaran z Oliferny, że przecież pod Civetot już chrześcijan pogromił i 30,000 zabił. Na to mu Soliman, że to były włóczęgi *(tapins)*, a nie rycerstwo, które dopiero po nich przyszło.

Sułtan pomoc przyrzeka. Postanowiono wysłać czterystu gońców do wszystkich królów i emirów z wezwaniem, aby się spiesznie zgromadzili pod Corondą. Listy te w pięćdziesięciu różnych językach napisał klerk nubijski. Kalif apostolikus [1]) z Bagdadu ogłosił, że wszyscy, którzy udział wezmą w tej wyprawie, otrzymają odpuszczenie grzechów i sam przybył pierwszy. Po nim Arabowie, naród niegodziwy, który nie wierzy, że Bóg z dzieciny się narodził, że żył i umarł i zmartwychwstał. Z tymi Antykrystami trudna będzie walka, bo są hardzi i dzielne mają konie. Przybył król Sublicanas i Lew Czerwony (Alp-Arslan), którego Satanasem nazywają, a przyprowadzili 400.000 Turków. Przybył król syryjski, kuzyn Cornumaranta ze 100.000 ludzi [2]). Przybyli ze wschodu czarni ludzie, którzy na sobie tyle mają białego, co w oczach i na

---

[1]) *Kaliffe l'apostoile,* V. 955. Poeta uważa wyraźnie Kalifa jako papieża muzułmańskiego, a wyobrażenia i stosunki saraceńskie jako całkiem podobne do chrześcijańskich. Tak je przedstawiali już i współcześni historycy.

[2]) *Cosins germains estoit le roi Cornumaran* (V, v. 980). Ten Cornumaran będzie główny postacią w pieśni o Jerozolimie i o Młodości Godfryda. Widocznem jest, że nasz poeta już go zna dobrze

zębach. Z nimi jest matka Corbaranta, stara wiedźma, bieglejsza w czarach niż Morge i jej brat Morgant. Imię jej było Calabre, a była córką potężnego króla. Wywróżyła, że chrześcijanie zwyciężą i chciała syna odwieść od tej wyprawy, ale ten jej śmiercią zagroził, jeżeli nie zamilknie. (Tudebodus p. 795). Królowie z Mekki przywiedli ze sobą posąg Mahometa, w towarzystwie stu muzykantów, wśród tańców i śpiewów. Siedział na słoniu, błyszczący od złota, srebra i klejnotów. Wewnątrz był próżny, a siedział w nim dyabeł zaklęty i wołał i wróżył, a Saraceni mówili, że to potężny Bóg, który im pomagać będzie[1]. W jego imieniu ogłosił Kalif różne odpusty: kto ma pięć żon teraz, będzie mógł mieć piętnaście, lub trzydzieści, aby się mnożyli poganie i zwyciężyli Chrześcijan. Kto w bitwie zginie, z pewnością do raju się dostanie.

Miał sułtan perski syna Brohadasa, który rzekł do ojca: już jestem rycerzem, a jeszcze w bitwie nie byłem, mam długi miecz, a jeszcze nie zmoczony krwią francuską. Chciałbym Boémondowi uciąć głowę, przyprowadzić ci wszystkich baronów w kajdanach, aby twoje ziemie opuszczone uprawiali.—Powierzę ci go, rzekł sułtan do Corbaranta, ale głową mi za jego życie odpowiesz. -Strzedz go będę pilnie, rzekł wódz naczelny[2].

Pieśń szósta.

Jeszcze nigdy pogaństwo nie zgromadziło takiej armii, jak ta, która przez góry i doliny posuwa się ku Antyochii. Już Eufrat przebyli. Już się zjawili pod Affons, gdzie się skupiają[3]. Nazajutrz wzywają Balduina w Rohais, przez jednego z łaciników (tłómaczy)

[1]) Takie pojmowanie wiąże się wprost z nowoplatońską demonologią, o czem była mowa w drugiej części tych rozważań. Podług niej, w każdym posągu mieszka demon przedstawionej postaci. Zob. pisma Trismegista.

[2]) Powiedzieć można, że w ogólności poeta dość dobrze rozumie stosunki panujących na wschodzie. Kalifa z Bagdadu dość trafnie porównywa z papieżem, boć władza tego kalifa przeważnie była duchowną. Władzę świecką przyznaje poeta sułtanowi, zwąc go sułtanem perskim, a umieszczając w Samarkandzie albo w Khorassanie. Nazwiska jego nie wymienia, a był nim w owym czasie Barkjarok, już także bezwładny prawie wobec potężnych emirów, z których najmożniejszym był właśnie Kerboga, czyli Corbaran z Mossulu, naczelny wódz zjednoczonej armii saraceńskiej.

[3]) Fons Chaborae, o dzień drogi od Rohais, czyli Edessy. Zatrzymanie się groźnej, bo najmniej 300,000 ludzi liczącej armii, przez 3 tygodnie i to bezskutecznie pod murami Edessy, dzielnie przez Balduina bronionej, było może zbawieniem armii krzyżowej pod Antyochią, która wtedy jeszcze miasta nie była zdobyła.

aby się poddał, sturczył i trzema ogonami się ozdobił. Balduin im oznajmił, że się bronić nie będzie, a tymczasem wysłał gońców do Chrześcijan z prośbą o pomoc. Gdy Corbaran pod miasto z wojskiem podstąpił, znalazł opór zacięty, przeto za radą Sansadoina, aby czasu nie tracić, poszedł naprzód, obiecując sobie miasto zająć z powrotem. Niech Bóg wszędzieobecny Francuzów ochroni!

Jadą Saraceni i Esclery, już tylko o trzy dni drogi są od naszych, tymczasem poganie z Antyochii wycieczkę zrobili niespodzianą, wielu ludzi Boémonda wygubili, ale na nowo do miasta wrzuceni zostali. Przy tej okazyi, za wolą Boga ujęli chrześcijanie syna jednego z największych w Antyochii baronów, który miał straż nad główną bramą i sześciu wieżami. Posłał ojciec stroskany prośbę do obozu, aby mu chłopca przy zdrowiu zachowano, a zapłaci za niego dwoma końmi objuczonymi złotem i na zawsze będzie przyjacielem Francuzów.

Stroskany ojciec posyła im wielbłąda objuczonego aksamitem, sześćdziesiąt najlepszych rumaków, konia złotem obciążonego, prosząc w imię Boga w Bethleem urodzonego, aby mu syna zachowali. Ucieszyli się baronowie, chłopca ładnie ubrali po swojemu, jakby rycerza, na konia wsadzili, ojcu go odesłali. Chłopiec odtąd chciał zostać chrześcijaninem. Ojciec mu tego nie zganił, tylko radził mu o tem mówić po cichu, aby ich Turcy nie podsłuchali. Boémondowi zaś oznajmił, że wielka armia od Wschodu się zbliża.

Boémond zwołał baronów, aby uradzili, kogo wysłać na zwiady. Wybór padł na Stefana z Blois. Ten wyjechał za Czarną górę [1]), zobaczył armię saraceńską, która się rozciągała na siedem mil drogi Usłyszał ich trąby i bębny. Przestraszył się hrabia tak bardzo, że wróciwszy do obozu, ani słowa nie przemówił. Wtedy rzekł Godfryd: panowie, dajcie mu spokój, on pewnie jest ranny w płuca lub wątrobę, albo jest chory, najlepiej niech się każe zanieść do Liserdete (Alexandrette), mocnego zamku, aby się wyleczyć! — Na to rzekł hrabia Stefan: książę z Bouillon, dobrze mi radzisz, dziękuję ci za to. I rzeczywiście kazał sobie przygotować lektykę, najął do niesienia ludzi dwunastu, a gdy już Antyochyę z oczu stracił, wsiadł na konia i kłusem do Aleksandryi pospieszył, bo bynajmniej chory nie był.

---

[1]) O godzinę drogi od Antyochii.

Niech Bóg uczci baronów, którzy w obozie zostali. Przez całą noc straż odbywał hrabia Raimond i hrabia Flandryi. Boémond leży zmęczony w namiocie, bo wrócił z portu świętego Symeona. Dziwny mu się sen przyśnił: widział otwarte niebo, tak blisko był słońca i księżyca, że kraj jego pancerza widok ziemi mu zakrywał. Z góry spuszczała się drabina, dosięgając aż do murów Antyochii, miasta błyszczącego. Jeden z baronów wchodził na drabinę, inni za nim. Już byli w górze, gdy się drabina przerwała. Obudził się Boémond, na gród z wysokimi murami popatrzał i rzekł: O miasto, zhańbili cię poganie; niech mi Bóg da tyle życia, abym w tobie widział cześć Jezusa i Świętych.

Bardzo mocnem była Antyochia miastem, wysokie miała mury, wież kamiennych i marmurowych pięćdziesiąt. Strzeże go dwunastu admirałów, 6 emirów, każdy ma cztery wieże pod sobą, tylko jeden ma sześć. Nic nie wiedzą Saraceni o przybyciu odsieczy, więc proszą chrześcijan o rozejm na dwa miesiące, do czego Boémond wszystkich baronów nakłonił. Cały obóz cieszył się z tego, a Turcy jeszcze więcej.

Dwunastu admirałów strzegło miasta. Każdy po cztery miał wieże, tylko jeden miał sześć. Ten leżał na wspaniałem łożu, a był to ten sam, któremu syna oddano. Oto do niego przybywa posłaniec boży, który mu mówi: przyjacielu, czy śpisz, czy czuwasz? Przezemnie Bóg od żydów umęczony rozkazuje ci, abyś do miasta wprowadził wojsko chrześcijańskie, dotąd na wiatr, zimno i deszcze wystawione. — Rozmyśla o tem Turek, poczem znów zasnął. Oto na nowo staje przed nim posłaniec boży i mówi: przyjacielu, czy śpisz, czy czuwasz? Bóg ci nakazuje, abyś się ochrzcił, oraz bez zwłoki wydał miasto chrześcijanom. Zrób mocną drabinę ze skóry, po której na mury wnijdą. Już odchodzę, a ty nie zwłócz.. Odszedł anioł, Turek już nie spał, raczej płakał aż do rana [1]).

O świcie Turek wstaje, ubiera się, tajemnie idzie do sklepionej groty, gdzie leżało jakich tysiąc skór jelenich. Nóż i szydło ze sobą zabrał, skóry na mocne rzemienie pokrajał, odrzucając brzuchy, tylko grzbiety zatrzymując. Z każdego grzbietu wyciął 28 rzemieni, dobrze obliczył długość drabiny, a każdy szczebel zrobił tak szeroki i mocny, aby trzech rycerzy pomieścił i wytrzy-

[1]) O tym rozkazie bożym mówi Fulcherius Carnotensis w Duchesne' Historiae Francorum scriptores IV p. 827.

mał. Tylko w środku przez nieuwagę wziął skórę słabszą. Boże, niejeden wskutek tego ręce załamał, włosy wydzierał.

Powstał Turek, przeżegnał się, grotę opuścił, na mury wyszedł, a patrząc na obóz, rzekł: zacni chrześcijanie, nie wiecie jeszcze, że moje serce do was się zwróciło i że miasto na waszą wolę wydać zamierzam. Gdy wieczór zapadł, idzie Turek tajemnie do obozu, do Boémonda i mówi mu, że jutro w nocy do miasta go wprowadzi. Na to Boémond: jeżeli uwierzysz w Boga, będziesz zbawiony, ja zaś obiecuję ci moją opiekę, uwolnienie od wszelkich ciężarów, renty tysiąc bizantyńców. — Jeszcze tej samej nocy Turek swego syna jako zakładnika Boémondowi oddał.

Odszedł Turek. Boémond zwołał baronów i rzekł: panowie, Antyochią mi chcą wydać, a ja was proszę, abyście mi ją w imię Bożej miłości przyznali. — Prawie wszyscy rzekli: nie przeszkadzamy temu. Tylko hrabia de Saint-Gille oświadczył, że się na to nie zgadza, że i on ma prawo do udziału za trudy, głód i pragnienie, jakie ponosił [1]. — Wskutek tego upłynął dzień i drugi, a chrześcijanie nie zajęli miasta. Tymczasem Corbaran d'Oliferne dał znać Garsionowi, że już jest blisko i że we trzy dni pomoc mu przyniesie, na którą to wiadomość Garsion rozejm wypowiedział, admirałom czujność zalecił.

Położenie było groźne. Turek zmówiony z Boémondem niecierpliwił się, tegoż wieczora posłał po syna Roberta Guiscarda[2]) i rzekł mu: zanadto długo zwłóczysz; albo zajmij miasto niezwłocznie, albo oddaj mi syna, bo jutro już zgubieni będziecie. — Boémond do obozu się udał, do namiotu Godfryda, wołając: panie pośpieszaj, miasto nam zaraz będzie wydane! — Godfryd ze złożonemi w górę rękoma zawołał: niech Bóg będzie pochwalony! Szybko się zbroił i swej drużynie zbroić się polecił, po namiotach chodząc, zebrał tysiąc i siedemset śmiałków, po cichu do miasta się zbliżali, każdy

[1]) Hrabia Raimond z Tuluzy należał do najbogatszych magnatów swego czasu, a jego drużyna ze wszystkich była najliczniejszą. To też mógł mieć osobiste ambicye, atoli jego nieprzyjazne względem Boémonda postępowanie wynikało głównie z tej politycznej dążności, aby zdobyte przez krzyżowców kraje oddać pod zwierzchność cesarza bizantyńskiego, czemu Boémond najbardziej był przeciwny. Hrabia Raimond zawsze działał w porozumieniu z Alexym, często na szkodę wyprawy całej, mimo bardzo gorliwej pobożności.

[2]) Po Boémonda, który był młodszym synem Roberta Guiscarda.

miecza dobyć gotów. Schodzą w dolinę. bliżej murów. pierwszy Robert z Normandyi. za nim odważny hrabia Flandryi. Tankred i Boémond i inni baronowie.

Już Turek przy pomocy dwu psów drabinę na mur wyciągnął. żonę. która w Chrystusa uwierzyć nie chciała i groziła. że go zdradzi. strącił w przepaść. drabinę górnym końcem utwierdził i na dół spuścił. z latarnią czekał na baronów. Ucieszył się. gdy ich zobaczył. do pospiechu naglił. bo już było po północy. Francuzi chyba boją się byle czego, mówił do nich. Tak długo są zuchami, jak długo im się powodzi. a gdy natkną się na trudności. nie warci nawet rękawiczki! — Zaczerwienił się na ten wyrzut Robert z Flandryi i rzekł do Boémonda: wchódź pan pierwszy. bo to twoje miasto! — Boémond na to: nie wnijdę, bo bym się zwalił. Spieszcie się. wołał Dacien (takie było imię Turka)[1] bo gdy mnie kto zobaczy. głowę stracę! — Wahają się Francuzi. hrabia Flandryi aż płakał z gniewu, do księcia Godfryda pojechał. który strzegł obozu, aby mu to powiedzieć. Gniewał się książę także. Boga o łaskę prosił, w końcu rzekł: tyś jest dzielny rycerz. więc albo ty wnijdź pierwszy, albo ja sam wnijdę. — Na te słowa Robert do drabiny pospieszył. gdzie Dacien coraz więcej przynaglał. a nikt się wchodzić nie odważył. Mówi tedy hrabia Flandryi: panowie, porzuciłem bogatą Flandryę i żonę moją Klemencyą. bar-

[1]) Nazwisko owego przyjaciela chrześcijan podaje Tudebodus jako *Pyrrhus*, Guillaume z Tyru jako *Emir-ferus*, sam fakt bowiem wydania miasta przez zdradę jest prawdziwy. Owi historycy atoli podają. że był Armeńczykiem. a więc dawniej chrześcijaninem, przez co cała sprawa staje się łatwiejszą do zrozumienia. Chrześcijańscy Ormianie byli liczni w samej Antyochii i okolicy, zajętej przez Saracenów dopiero od lat kilkunastu. Ów emir Firuz, renegat, był rzeczywiście komendantem jednej z wież po stronie zachodniej. Pokrzywdzony przez Bagisijana. postanowił się zemścić, wydając swą wieżę Boémondowi. Tylko podług historyków Boémond sam przystawił drabinę. a jego ludzie na nią bez wahania się wstępowali. Poeta tedy prawdę wiąże ze zmyśleniem i tworzy sceny nadzwyczaj zajmujące i dramatyczne. Nie takie, jakie się odegrały, ale takie, jakie mogły się odegrać. Do tego miał zupełne prawo. Ze stanowiska historycznego dodać tu należy. że Boémond postanowił sobie z góry zdobyć Antyochią dla siebie. To też gdy z powodu propozycyi Firuza prosił baronów, aby mu przyznali to miasto i księstwo i gdy Raimond z Tuluzy się temu oparł. on oświadczył, niby drug Achilles, że powstrzyma się od udziału w walkach. Wnet jego współdziałanie okazało się niezbędnem, a Raimond zgodził się na jego żądanie. Wtedy przezorny a energiczny Boémond pod noc wyprowadził w góry znaczny hufiec, a okrążając miasto. o świcie pod ową wieżę się zbliżył. Tudebodus w Duchesne l c. p. 792.

dzo mnie kochającą i moich dwu synków. oto dla honoru Boga ja wnijdę pierwszy! — I już zaczął wchodzić. gdy go wpół objął Foucart, dobry rycerz, jego wychowaniec i rzekł: panie, ciebie nazywają świętym Jerzym dla dzielności. ciebie szkoda by było. po mnie nikt płakać nie będzie, pozwól niech ja wnijdę pierwszy! — Odepchnął go hrabia, ale Foucart tak długo prosił, inni baronowie tak go popierali, że hrabia Flandryi ustąpił, jego pierwszego puścił. Modlił się długo Foucart zanim wchodzić zaczął, a tymczasem Dacien niecierpliwił się coraz więcej. Przeżegnał się Foucart i już się wspinał. za nim Tankred i Boémond i Rainbaut Creton i Evrart i Enguerrand i Robert z Normandyi i hrabia Flandryi i Eustachy, brat Godfryda księcia. Spieszą się, już ich jest w górze 35, gdy się nagle drabina w środku zerwała. Dwu się zabiło, dusze ich do nieba poszły. Spojrzeli po sobie ci. którzy już byli na murze, ale Bóg im dał odwagę, a Dacien o swej wierności i gorliwości dla prawdziwego Boga zapewniał. Teraz zgasił latarnię, bo już świtać zaczęło.

Dacien tak rozporządził: połowa z was ujmie za motyki, aby odkopać najbliższą furtę, zasypaną dla bezpieczeństwa; następnie toporami ją wyrąbiecie. druga połowa pójdzie za mną do tego oto pałacu, gdzie mieszka brat mój. Albo przyjmie chrześcijaństwo, albo zabić go trzeba, bo inaczej nas wygubi. Turek chrześciaństwa przyjąć nie chciał, lżył brata straszliwie, to też hrabia Flandryi uciął mu głowę niżej uszów.

Czeka książę z Bouillon na błoniu, strzeże obozu od strony perskiego wojska. Żadnej nie otrzymując wieści od baronów, zaczyna się niepokoić, o ich życie lękać. Przybywa do drabiny, widzi ją zerwaną, pyta się o Roberta z Normadyi, o Roberta z Flandryi, o Tankreda, o Boémonda. Nikt mu o nich nic powiedzieć nie umiał. Może zginęli rozsiekani! Boże, zawołał, gdybym był z nimi, nie zginęlibyśmy tak łatwo. Narzeka książę, wcale mu nie wesoło.

Narzeka Godfryd, do obozu posłał, zbroić się i szybko przybywać rozkazał. Tymczasem jednak już baronowie furtę wyrąbali, przez nią książę ludzi swoich wprowadził. sześć wieży dobrego Turka obsadzili, na pałacu wywiesili proporce Boémonda ze złotym krzyżem, o świcie już główną bramę otworzyli, a o wschodzie słońca już 10.000 swego wojska do miasta wprowadzili.

Słońce teraz świecić zaczęło, a Turcy spali jeszcze. Było chrześcijan około 13.000 w mieście, z wież powiewały ich sztandary.

Inni jeszcze przybywają. wszyscy wołają *Montjoie!*[1]) uradowani. Zrywają się Saraceni. wołają na alarm. Garsionie, wołają. straciłeś miasto bez walki! — A baronowie nasi przebiegają miasto. rozcinają pogan. ładne poganki z rozpaczy łamią ręce. wydzierają włosy.

Zbierają się poganie, a jest ich ich 30.000. Teraz się zaczęła rąbanina. łamanie lanc. pękanie tarczy. dziurawienie pancerzy. Saraceni rzucają oszczepami, strzelają z łuków. biją maczugami z ołowiem. Ulice zawalone są zabitymi i rannymi. Bitwa trwała dzień cały i drugi jeszcze. Wierzcie, że wielka tam była wrzawa!

Bitwa trwała dwa dni i dwie nocy i jeszcze się nie skończyła. Z najwyższego zamku zeszedł sam Garsion z 10.000 Turków. każdy z nich bił się zawzięcie. wyparli Francuzów z głównej ulicy. sam Godfryd cofnąć się kazał swoim. Ale oto nadbiegają Robert z Flandryi i Hugo li Mains i Enguerrand i Tankred i Boémond. Teraz cztery ulice zdobyli. Turków zabijając. Święty Grobie, wołają. bez honoru zostanie ten. kto dobrze bić nie będzie. a co kto złupi, to będzie jego!

Enguerrand zbyt silnie kłuje ostrogami konia, który go zaniósł w pośród najsilniejszego hufca Garsiona. Zabił mu lancą wnuka w jego oczach. pięciu innych Turków przekłuł. a gdy mu się lanca złamała. dobył miecza i zabił króla Bredalanta. Wtedy Garsion konia mu przebił. Zrywa się Enguerrand na nogi, tnie mieczem dalej. ale jeżeli mu Jezus nie pomoże. zginie. bo ma zbyt wielką ciżbę pogan na okół. Spostrzegli to baronowie. żal im Enguerranda. *Saint Sepulcre* wołają, spiesząc mu na pomoc.

Wielka była rąbanina przy odsieczy Enguerranda. Zabili tam nasi tysiąc i sto pogan, których dusze na wieki do piekła poszły. Gdy to Garsion zobaczył. zawrócił do swego wysokiego zamku. za nim poganie, bo już byli przemożeni. Wtedy poganka porzuciła swego poganina. przyjaciel kochankę bez pożegnania. Zjawił się król Tafur, a z nim Piotr eremita. o siwych włosach i tysiąc zuchwałych rybałtów. Boémondzie. woła. i inni zacni baronowie. patrzcie jak na was Turcy z okien strzelają, ja wam ich wszystkich wydam. żywych lub zabitych! — Rybałci rzucają kamieniami z proc,

[1]) Pochodzenie tego okrzyku nie jest całkiem wyjaśnione. Znaczy on: *mons gaudii*, a przypuszcza się. że tak nazywano wzgórze. z którego pielgrzymi pierwszy raz Rzym spostrzegali. Takie samo wzgórze znajdowało się także przy Jerozolimie i nosiło tę samą nazwę. Wyraz ten stał się okrzykiem wojsk francuskich, zwłaszcza królewskich, albo w imię króla działających.

walą młotami, wspinają się na drabiny, zdobywają wieże, mury, palisady. Zabiwszy tysiąc pięćset pogan, bawili się z ładnemi pogankami, na co Jezus w niebie z przykrością patrzał. Co jeszcze żywych Turków zostało, wszystko ucieka do zamku, na wysokiej górze w skale wykutego.

Zamek był bardzo potężny, z bramą przez dyabłów zrobioną. Wieżę budował sam Cerber, za co został odźwiernym w piekle. Tu chronią się Turcy, ale wielu z nich spada do przepaści, co tyle znaczy, jakby do piekła wpadli. Garsion zgromadził tu 10 tysięcy uzbrojonych doskonale. Stąd mogą do miasta wpadać, albo w pole wybiegać, gdzie zechcą. Miasto zajęli nasi, hrabia Raimond przeniósł tu wszystkich chorych, cały obóz tu przeniesiono. Zabitych Turków pogrzebano za miastem i dobrze nakryto, z powodu złego odoru. Ładnych poganek ochrzcono dużo, także Dacien i syn jego chrzest z rąk biskupa otrzymali.

Pieśń siódma.

Zdobyto Antyochią w środę wieczorem, a już w czwartek wojsko całe przeniosło się do miasta, ze wszystkiem, co mieli. Główny zamek na górze zawsze jeszcze posiadali Saraceni i stamtąd często robili wycieczki, zwłaszcza w nocy, a żywności miało wojsko bardzo mało.

W piątek o świcie wypadają Turcy uzbrojeni z zamku, zasadzki na naszych czynią na ulicach, bronią się odpędzeni i znów do zamku chronią. Zabili nam wtedy trzech zacnych baronów. Tak nawet po zdobyciu Antyochii nie było dobrze Francuzom.

Jednego dnia patrzą pod słońce jaśniejące i widzą, jakby chmurę, która się podnosiła ku niebu. To była kurzawa kopytami końskiemi wzbudzana. Mówią jedni, to cesarz się zbliża z pomocą, mówią inni, nie, to wojsko saraceńskie. Tak też było. To Corbaran, który prowadził Arabów, Persów, Almorawów, Popelicanów, Turków, Medów, Samarytanów, Agolantów. Zatrzymali się, gdy zobaczyli z daleka wieże Antyochii, tylko młodzież podjazdy ku miastu czyniła, harcując, lance podrzucając [1]).

Wyjechał przeciw nim Roger de Barneville, rycerz zacny, z trzema przyjaciółmi. Zasadzkę na niego zrobili, nie śmiąc w otwar-

[1]) Było to w trzy dni po zajęciu miasta przez krzyżowców. Kerbogha, czyli Corbaran, postanowił sobie miasto otoczyć i krzyżowców wygłodzić.

tem polu walczyć, ale wielkie straty ponieśli. Już wracał Roger zwycięski, gdy koń mu się potknął na ścieżce i upadł. W jednej chwili tysiąc go otoczyło Turków, głowę mu ucięli, zatknęli na lancy, do Corbarana zanieśli [1].

Ucieszył się Corbaran, miasto otoczył, do kalifa i do sułtana napisać kazał o tem, obiecując, że będzie się starał wygubić chrześcijan, brata królewskiego z Francyi i innych najprzedniejszych w kajdanach mu odstawić, aby miał z kogo szydzić, gdy zechce. A tymczasem, niech sobie kochany sułtan każe krew puszczać, niech się zabawia na rzece rybołówstwem, niech płodzi jak najwięcej dzieci, aby po nim zostali obrońcy... Wnet potem, jak mi to powiadano, przybyła matka Corbarana. Słuchajcie, o czem do niego mówiła.

Miły synu *(Biaus fieus)*, rzekła ta pani, posłuchaj! Ty jesteś moją pociechą i sercem i myślą. W tobie cała moja radość i przywiązanie. Do Oliferne mojej stolicy przybył posłaniec z wieścią, że zwołani są twoi baronowie i że masz się bić z Francuzami. Chcę się dowiedzieć, czy to prawda? — Pani, odpowiedział Corbaran, tak jest na prawdę. Chce tego sułtan, nasz prawny obrońca *(avoués* adwokat). — Miły synu, rzekła matka, serce moje jest strwożone. Złe ci dano polecenie, mnie trzeba było zapytać! Francuzi mają tak potężnego Boga, o jakim jeszcze nie słyszałeś! To jest prawdą, a pismo to poświadcza. On Faraona poniżył, lud Izraelski z niewoli wybawił, przez Czerwone morze, bez brodu i bez mostu ich przeprowadził, króla z wojskiem zatopił, króla Almorawów, Edomitów, Kanaańczyków wydziedziczył, ziemię ich swoim przyjaciołom nadał. A teraz te narody zachodnie tak ukrzepił, że nikt przeciw nim się nie ostoi. Zdobędą nasze ziemie i dziedzictwa. — Słysząc to Corbaran, ledwie się nie wściekł.

Pani, rzekł Corbaran, zaprzestań gadania, do bitwy już jestem przygotowany! — Miły synu, na to mu matka, serce moje jest strapione. Wiem, że w bitwie nie zginiesz, ale zanim rok upłynie, skończy się twoje szczęście. Teraz jesteś szanowanym na dworze królewskim, ale większe będzie twoje poniżenie, niż wywyższenie jest teraz. Jak zając uciekniesz przed Francuzami i ich ostrymi grotami. — Słysząc to Corbaran, ledwie się nie wściekł.

[1]) Mówią o tem zdarzeniu historycy, mianowicie Raimundus de Ag. l. c. p. 151; lepiej Robertus Monachus, u Bongarsa p. 56.

Miły synu, rzekła matka, już się spełniły dni, jak to przed stu laty rzekli nasi przodkowie, że przyjdzie z najprzedniejszej ziemi naród, który zdobędzie siłą to państwo. Byłoby szaleństwem, gdybyś się bił przeciw nim. Nie zginiesz w bitwie, ale zanim rok upłynie, będę miała o ciebie strapienie. Ale powiedzieli mi wróżbici, że Brohadas jest bliskim końca dni swoich. — Pani, odpowiedział Corbaran, skończ twoje gadanie, bitwa będzie stoczoną. — Przestraszona matka pożegnała syna, zabrała wszystko co mogła, tu bowiem bezpieczeństwa nie było, powróciła do swego kraju, Corbaran został z baronami [1]).

Nasi Francuzi w mieście spokoju nie mają, ciągle na nich napadają Turcy z zamku, gdzie ginie ich wielu, niech Jezus dobry dusze ich do siebie zabierze. Drożyzna jest straszna, głód im dokucza, najbogatsi nawet nie mają żywności. Jedzą osły i konie i muły, ale bez chleba; jedzą korzenie i liście i zioła. Strasznie są osłabieni. Tak cierpią dla wiary, aby raj sobie zdobyć. Płacze hrabia Flandryi, bo chciałby się bić, a konia nie ma. Książe Bouillon z Tankredem poszli składkę zbierać w obozie, aby hrabiemu kupić wierzchowca. Turcy do bram szturmują, a nasi wyjść nie śmią, głodem osłabieni. Wielu ich ucieka z miasta w nocy, po sznurach się spuszczając, biegną do portu, opowiadają o biedzie, wskutek czego marynarze port opuszczają. Dwadzieścia pięć dni trwała ta sroga bieda [2]).

Panowie, opowiem wam o hrabi Stefanie z Blois, który jeszcze przed zajęciem Antyochii tak zachorował, że się z wojska oddalił, w zamku osobnym przebywał [3]). Zachorował hrabia, a choć już wyzdrowiał, do wojska nie wrócił. Zobaczywszy armią Corbarana pod Antyochią, zabrał się spiesznie, wyrzekł się rycerstwa,

[1]) O przestrogach matki Corbarana i o jej przepowiedni, mówi obszernie Tudebodus l. c. p. 795 za nim także Robertus Monachus, u których atoli ona sama jest wieszczką. Nie ulega tedy wątpliwości, że takie przepowiednie dochodziły do wiadomości krzyżowców.

[2]) Do takich uciekinierów po sznurach, których Francuzi funambuli nazywają, należał, podług historyków ówczesnych, zawołany rycerz Guillaume Charpentier, a także Piotr eremita. Tankred ich przychwycił i do miasta przypędził. Odtąd Piotr stale już przy armii pozostał, Carpentarius, mimo obietnicy, jednak uciekł ponownie. Bieda, głód, jakie panowały w zamkniętej zewsząd Antyochii, przerażają w opisach historyków ówczesnych. Tudebodus p. 788 oraz 796, a także Raimundus de Agiles ed. Bongars p. 152.

[3]) W Aleksandrette.

ku Konstantynopolowi się skierował. Pewnego ranka przybył do Loseignor [1], gdzie cesarz wojsko miał zebrane, opowiedział mu jak groźne jest położenie chrześcijan i odwiódł go od wykonania zamierzonej wyprawy z pomocą. Gorżko się na to żalił rycerz Gui, przyjaciel Boémonda, ale cesarz postanowienia nie zmienił. Co więcej, ludziom swoim kazał spustoszyć kraj Angory [2]).

Był w Antyochii starożytny kościół Panny Maryi. Proboszcz jego spał w nocy, gdy się zjawił u niego król Jezus ze świętymi Piotrem i Pawłem i Matką swoją. Wielka od wszystkich rozchodziła się jasność. Zawołał Jezus na księdza, który się zerwał, do nóg mu upadł, o litość i pomoc dla chrześcijan prosił. Na to mu Pan: czy nie widzisz, że im pomagałem? Czy nie zajęli Nicei, czy nie odnosili wszędzie zwycięstwa? Czy nie ochroniłem ich od głodu, zanim zajęli Antyochią? Czy nie zdobyli tego miasta? A jeżeli teraz cierpią, to za swoje grzechy, bo się nadto zabawiali z Saracenkami, z pogankami, jakby poganie!

Słysząc to Matka Boska, do nóg synowi upadła, wraz ze świętymi Piotrem i Pawłem, prosząc o litość dla wiernego narodu. Święty Piotr osobno prosił za nimi, bo go uczcili, kościół jego dawny odebrali Turkom, z czego się cieszyli inni apostołowie i aniołowie. Łaskawie Pan wysłuchał tych próśb i rzekł do księdza: idź i powiedz memu ludowi, aby nie zapomnieli o karze, jaka ich spotkała; niech się wyspowiadają i żałują, a w przeciągu dni pięciu będą ocaleni. To powiedziawszy znikł, wracając do nieba, zkąd zestąpił. Ksiądz dzięki złożył Bogu, a rano udał się do baronów.

Rano o tercyi przyszedł ksiądz do baronów i rzekł ze łzami: panowie, zacni rycerze, słuchajcie słów moich! — Zaprzestali rycerze utarczek, bramę zamknąć kazali, otoczyli księdza, który im oznajmił, co było zleconem. Biskup Aïmer kazał przynieść krzyże i relikwie i na nie przysiądz księdzu, że prawdę mówił [3]).

---

[1]) Lusciniola, to jest Philomelium, albo Philomela.

[2]) Rzecz się miała istotnie w sposób podobny. Stefan z Blois opuścił Aleksandretę, skoro się dowiedział o otoczeniu Antyochii przez armią saraceńską i udał się do cesarza Aleksego, którego jak wiemy, od niesienia pomocy krzyżowcom odmówił. Tudeb. p. 799.

[3]) Wizyę te opowiada dokładnie Tudebodus: Historia de Hierosolymitano itinere ed. Duchesne w Historiae Francorum scriptores IV. p. 797, a księdza nazywa po imieniu Stephanus. Tudeboda prawie zawsze podług tego wydania cytujemy.

Oto przybywa Piotr pustelnik i opowiada swoje widzenie: jeszcze Antyochia nie była przez nas zajęta, gdy przybył do mnie w nocy święty Andrzej i tak przemówił: Gdy wnijdziecie do miasta, to szukajcie w kościele św. Piotra, a znajdziecie lancę, którą Bóg był przebity na krzyżu. Potem znikł. Zdawało mi się, że to przywidzenie, ale dzisiejszej nocy to samo miałem objawienie i ten sam rozkaz. Poddaję się próbie ognia lub wody, na stwierdzenie, że mówię prawdę. Idźmy tam zaraz, aby się o tem przekonać. Poszli do kościoła, Piotr wskazał miejsce, gdzie szukać, dwunastu robotników zwołano, a pod wieczór wydobyto skrzynię z lancą. Radość była wielka, a księża nabożeństwo odprawili [1]).

Gdy lancę znaleziono, wszyscy nabrali otuchy. Przysięgli pospołu, że z bitwy nie uciekną i nie zatrzymają się, aż przy św. Grobie. Ładna to przysięga, mówili biedacy, niech Bogu będą za to dzięki! — Jeżeli historya nie zmyśla, to zaraz następnej nocy spadła straszna burza z piorunami na obóz saraceński, który przenieść okazało się potrzebą. Mimo to zaczepiać naszych nie przestali, pomagając tym z zamku wysokiego i robiąc ustawiczne wycieczki. Głowy ucięli trzem rycerzom, którzy się schronili do pewnego pałacu. Rozgniewany Boémond podpalił pałac, ale pożar rozszerzył się na miasto i zniszczył 2000 domów i świątyń [2]). Uradzili baronowie, aby murem zamknąć ulice od strony zamku i utrudnić Saracenom napaści, wysłali także, za radą biskupa z Puy, Piotra pustelnika, w deputacyi do Corbarana z oświadczeniem, że to królestwo oddawna do chrześcijan należy, którym je Turcy przemocą zabrali. Niech więc ustąpi dobrowolnie, albo też niech się spór rozstrzygnie walką osobną dwudziestu wybranych, przeciw dwudziestu, albo

[1]) O znalezieniu lancy donoszą wszyscy kronikarze, nawet arabscy, ale nigdy nie przypisują widzenia Piotrowi eremicie, tylko Piotrowi Bartłomiejowi z Prowancyi. To też wobec powątpiewania innych, nawet biskupa z Puy, ujął się za nim najgorliwiej hrabia Raimond i poszukiwanie zarządził. Zob. u Tudeboda p. 797 u Raimunda de Ag. p. 150. Nie ulega wątpliwości, że znalezienie tej lancy otuchę srodze zagrożonych krzyżowców bardzo pokrzepiło.

[2]) Pożar, spowodowany przez Boémonda, zniszczył rzeczywiście 2000 budynków, ale podług historyków powód jego był inny. Straszny głód, ucieczka Stefana z Blois i innych baronów, zły przykład owych uciekinierów po linach, działały tak źle na krzyżowców, że niektóre oddziały wymówiły posłuszeństwo i bić się nie chciały. Wtedy to energiczny Boëmond, któremu baronowie na 2 tygodnie naczelne dowództwo powierzyli, kazał rokoszanom zapalić kwatery i oto przyczyna pożaru. Tudebodus p. 778.

dziesięciu, albo też jednego przeciw jednemu. Zwyciężeni dobrowolnie mają ustąpić i poddać się zwycięzcom. Chętnie się na to baronowie zgodzili.

Ładnie ubrany pojechał Piotr na ośle do Corbarana, w towarzystwie Herluina, dzielnego rycerza. Przyjął ich siedzący na złotem krześle. Stanąwszy przed nim, nie pokłonili mu się zgoła, za co ich rozgniewani Saraceni byliby zabili, gdyby nie byli posłami. Wysłuchawszy pyszny Corbarant ich poselstwa, roześmiał się na głos i rzekł: jacy oni dowcipni, chcą abym dobrowolnie ustąpił, albo aby przez jednego wszyscy ocaleć mogli. Nic z tego, albo wyginą, albo się poddadzą i wyrzekną swej wiary nienawistnej, a wtedy okażę się dla nich łaskawym. — Słysząc to Herluin, odrzekł hardo: Wstyd na tego, któryby to przyjął. Mówisz jak szalony, gębą twoją śmierdzącą, nie znasz naszego narodu, nie rozumiesz, jak jest niebezpiecznie nie uznawać Jezusa i jego miłej Matki i jego Świętych. Nie wyjdzie tydzień, a wygubi was nasze rycerstwo. — Gdyby nie to, że był posłem, Corbaran byłby go kazał powiesić, to też wyszli posłowie, nie zwlekając, a Saracen zalecił swoim wojownikom, aby w bitwie starali się ich otoczyć, żadnego żywym nie puścić, bo gdyby który ocalał, to będzie się starał mścić aż do śmierci. Wieczorem po kolacyi grali Saraceni w szachy o głowy naszych wodzów, o Godfryda, Tankreda, Boémonda i obu Robertów [1].

Tymczasem w Antyochii radzili baronowie, kogoby wybrać do walki pojedyńczej. Wybór padł na księcia Godfryda, dzielnego rycerza z rodu Karola. O to tak się rozgniewał Robert z Normandyi, że kazał konia siodłać, aby armią z drużyną opuścić. Bo czy on nie jest z rodu niezwyciężonego Renauda, syna Aïmona? Czy Godfryd ma takich jak on krewnych? Nikomu on nie ustąpi pierwszeństwa. — Napróżno go stara się ułagodzić Fouchier d'Alençon i inni baronowie, mówiąc: jego ród jest wielki zaiste, wszak to jego przodka przywiózł łabędź na statku do Nimaie, sam jeden bez wio-

[1]) Poselstwo takie, o jakiem mówi poeta, odbył istotnie Piotr pustelnik do Kerbogi z wezwaniem, aby dobrowolnie odstąpił od Antyochii, która do św. Piotra należy. To uzasadnienie najmniejszego wrażenia nie zrobiło na Saracenie. Tłómaczem był hrabia Herluin, tylko prawdopobnie nie używał takich wyrażeń, jakie mu poeta w usta kładzie. Późniejsi kronikarze, jak Robertus Monachus, już mu każą mówić bardzo po grubiańsku, a mówią także o proponowanym pojedynku. Zob. Tudebodus p. 800.

seł. Ubrany był w biały płaszcz, helm jego błyszczał ładniej, niż pawie pióra! Sam cesarz go zatrzymał, dał mu żonę z tamtej okolicy, kuzynkę księcia Begona, oraz księstwo Bouillon, to też był potem cesarza chorążym, wojsko jego prowadził, wiernie mu służył aż do chwili, gdy łabędź po niego przybył. Bo to sobie zastrzegł, a teraz odpłynął na słone morze bez żagli i bez sternika. Córka po nim została, a od niej książe Godfryd pochodzi. Wybraliśmy go, bo ma odwagę barona, a gdy wsiędzie uzbrojony na rumaka gaskońskiego, nikt mu nie zrówna. Walczy doskonale konno i pieszo. — Dobrze wam język chodzi, odrzekł książę Robert, moglibyście kazania gadać [1]).

Dowiedział się Godfryd o gniewie Roberta, z drużyną do jego namiotu pośpieszył, grzecznie go pozdrowił i rzekł: Robercie, zacny panie, dzielny rycerzu, tyś więcej wart odemnie, przyznaję to chętnie, prawo walki ci ustępuję, jeżeli żądasz, lepszego od ciebie rycerza stąd aż do równin węgierskich nie znajdzie, nie ja winien, że mnie rycerstwo wybrało [2]).

Słysząc to książę Robert, grzecznie mu podziękował i rzekł: w imię Świętej Maryi, bij się ty, ja z tobą zostanę, pomogę w walce przeciw podłym poganom!—Owóż na to nadjeżdża na ośle węgierskim Piotr pustelnik.

Panowie, rzekł pustelnik, Corbaran sądzi, że giniecie z głodu, pojedynku nie przyjmuje, was wygubi, w kajdany okuje, nikogo ze swoich nie tracąc. — Jeżeli tak, woła Tankred, to się bić będziemy. — Pozwólcie, ozwał się Boémond, abym się pierwej biedaków o zdanie zapytał. Chodził po namiotach i oto co mu powiedzieli chłopi i mieszczanie: panie, wolimy zginąć tam na błoniach, aniżeli tu umrzeć z głodu. Bijmy się raczej!—W piątek będzie bitwa, odrzekł Boémond.—Niech Bogu będzie chwała, zawołali.

Taką wieść przyniósł Boémond baronom. Nawet biedacy chcą bitwy, a naznaczono ją na piątek. Dobrze, rzekł biskup, tylko was

---

[1]) Mamy tu już w głównym zarysie przedstawioną historyą o rycerzu z łabędziem. Najbliższy wniosek, jaki się tutaj nasuwa, jest ten, że pieśń o tym rycerzu istniała, gdy Graind'or de Douai swoje przerobienie poematu wykonywał. Napisaną była przed rokiem 1180.

[2]) Zdaje mi się, że Godefroi w całym ciągu wyprawy w podobny postępował sposób, zawsze ustępujący, łagodzący, w każdej chwili z chętną śpieszący pomocą. Scena ta jest prawdopodobnie zmyśloną, ale ma całkiem charakter owego czasu.

proszę panowie. pościć przez te trzy dni, boso po kościołach chodzić, hojnie rozdawajcie jałmużnę, dzielcie się żywnością z biednymi, aby wam Bóg pomagał! Tak będzie, jak rozkazujesz, zawołali.

Przez te trzy dni wszyscy żywności mieli dostatkiem, czyścili zbroje i ostrzyli miecze i lance. Opowiem wam o dwu rycerzach, o Evervinie z Anteaume i Piotrze Posteau z okolicy Montdidier, którzy razem mieszkali. Obaj byli wawasorami [1], ale zacnymi ludźmi. W czwartek poszedł Evervin do kościoła na modlitwę, a Piotr się ubierał. Przyszli do niego jego ludzie, mówiąc: panie, głodni jesteśmy, od siedmiu dni nie jedliśmy chleba, a mięsa nie ma nawet dla ciebie! — Przyjaciele, rzekł Piotr, nie troskajcie się, zabijcie osła Evervinowego, ugotujcie go i upieczcie. — Nie śmiemy, odrzekli, bo nas obije, porani, pohańbi! — Uczyńcie to na moją odpowiedzialność! — Wnet osioł gotował się w wodzie i piekł na węglach. Przeżegnał się Evervin, gdy pieczeń zobaczył. Skąd wzięliście mięsa? — To twój osioł, panie, odpowiedzieli. Evervin sądził, że to żart, pobiegł do stajni, wściekły był, gdy go tam nie znalazł, bo kto poniesie teraz jego pancerz i hełm do bitwy? Na to mu Piotr: na świętego Leodgara, nie gniewaj się, od głodu osłabieni jesteśmy, jakże się jutro bić będziemy? Do jutra wieczora będziemy zabici, albo też łupy zdobędziemy bogate. — Zrozumiał to Evervin, uściskał go, do wspólnego zasiadł jedzenia.

Już piątek nadszedł, już słońce weszło na niebo, a bramy Antyochii były zamknięte. Powstawali Francuzi, Lotaryngczycy i inne narody, biskup z Puy mszę odśpiewał, a słuchali jej z nabożeństwem. Wszyscy spowiadali się Bogu, bili się w piersi, płacząc, o przebaczenie grzechów prosili. Przeżegnawszy się, zawołali: na konie! Zbroją się, hełmy przypinają, miecze przypasują, zbierają się w mieście, dzielą się na hufce, tak jak do bitwy stanąć mają..

Słyszycie pieśń dobrą. Nie mówię tego, zacni panowie, abym żądał od was zapłaty. Jeżeli wam się ta pieśń nie podoba, nie słu-

[1]) To znaczy wasalami wasalów, a więc mieli tylko małe lenna. Montidier leży na południe od Amiens. Graindor z Douai mógł tę anegdotę, bardzo prawdopodobną, słyszeć w swojej okolicy od baronów tradycyjnie ją przechowujących, boć historycy o tem nie mówią.

chajcie jej, idźcie sobie dalej, ale taką dzielność godzi się przypominać, bo podobna już się nie pojawi.

Pieśń ósma.

Biskup z Puy był dzielny i wymowny, o służbę Bożą gorliwy. Zwyczajnie broni nie nosił, ale dziś ma być bitwa, przeto po nabożeństwie pospieszył do swego mieszkania, zdjął kapłańskie ubranie, a odział się zbroją, wsadził hełm zdobny klejnotami, przypiął ostrogi złociste, miecz przypasał, konia bojowego dosiadł od lewego strzemienia, tarcz na szyi zawiesił i stułę na to wszystko, w końcu ujął za twardą lancę ze smokami na chorągiewce. Teraz dał ostrogi koniowi, który podskoczył na 30 stóp wysoko. Do wojska biskup pogonił, ładnie je przywitał. Książę Bouillon jedzie ku niemu i pyta: Kto ty jesteś, rycerzu ze smokami, nigdy cię dotąd nie widziałem?— Ja jestem biskup, który cię bardzo kocha, odpowiedział. Przybywam was napomnieć, abyście Boga mieli na myśli. Bijcie silnie, a zdobędziecie wielkie łupy, chybabyście je stracili dla grzechów. Bóg wam przyśle aniołów swych na pomoc, a kto z was zginie, zasiędzie w niebie szczęśliwy między męczennikami.

Podnieśli ręce ku niebu nasi rycerze, a książę rzekł: cieszę się bardziej z twego przybycia, aniżeli z tysiąca rycerzy.—Rzekł tedy biskup: panie Robercie z Flandryi, stań na czele, bo ty lancę poniesiesz!—Na to Robert: panie, mówisz na próżno, nie poniosę lancy, choćby mi Soisson dawano. Ja chcę się bić razem z mymi Flamandami, których mam 10,000.

Biskup zwrócił się do Roberta z Normandyi: panie, ty poniesiesz lancę w imieniu Boga, który się dał ukrzyżować, do grobu złożyć, a potem zmartwychwstał, do piekieł zstąpił, aby swych przyjaciół stamtąd wyprowadzić!—Na to książę Normandyi: daj mi pokój, nie poniosę, choćby mi dawano złoto ze stu miast. Wraz z moimi ludźmi chcę ciąć podłych pogan, chcę zawstydzić Corbarana i Lwa czerwonego (Kilidż Arslana).

Biskup przywołuje dobrego księcia z Bouillon i prosi go: panie, w imię świętej Maryi, ponieś tę lancę! Odrzekł książę: nie poniosę za złoto całej Rosyi. Z moimi Lotaryngczykami bić będę moim dobrym mieczem, aż mi się ręce pokrwawią.

Widząc, że książę z Bouillon lancy nie poniesie, zwrócił się biskup do Tankreda, który mu na to: panie, nie trudź się gadaniem, nie poniosę, choćbyś mi dał wszystko złoto z Benewentu.

Mam ze sobą 10.000 dzielnej młodzieży, a wszyscy bić chcemy, aby Corbaran i Lew Czerwony pożałowali tego, że na nas czekali.

Więc do Boémonda zwraca się biskup, a ten mu na to: panie, daj pokój gadaniu, nie poniosę, choćbyś mi Paryż darował. Ja pragnę bitwy z Arabami, którzy pokrywają tu góry i równiny, a tego pragną także ludzie moi z Toskany, z Mont-Cenis, z Lombardyi.

Biskup prosi Hugona li Maine, aby lancę poniósł. Panie, odpowiedział, nie poniosę nawet za złoto z Montpellier; pierwszy cios ja wymierzyć pragnę. Panie, dodał Hugo, to nie naszą rzeczą nieść lancę, ale waszą raczej, jako kleryka i wyświęconego biskupa. My rycerze do bitwy jesteśmy, lancę ty ponieś, a my ci drogę otworzymy mieczami.

Rzekł tedy biskup: niech tak będzie, jak mówisz. Ja lancę poniosę, a teraz wam radzę, aby zostawić kogoś w mieście na straży przeciw Garsionowi w zamku wysokim, oraz aby wybrać do tego Raimonda de Saint-Gille.—Panie biskupie, odrzekł hrabia, wcale mi to nie miło, ja także chcę mieć udział w bitwie! Ale prosili go baronowie, a biskup go przekonał, że i tutaj będzie miał ważną służbę. Raimond tedy podzielił swych ludzi, jedną połowę dał biskupowi, drugą przy sobie zatrzymał [1]).

Biskup z Puy jeszcze raz prosi wszystkich, aby się popisali, otwiera bramę i obficie ich wodą święconą kropi.

Wyjeżdża Duży hrabia po za most na błonia ze swem rycerstwem w porządnym szyku, na dzielnych koniach, w zbrojach błyszczących. Widząc ich Corbaran, mówi do swego zaufanego Amedelisa: czy oni oszaleli, czy wyjeżdżają na polowanie, albo po żywność? — Panie, to są Francuzi, których brat króla do bitwy

[1]) Mowa tu o Garsionie, jakoby żył jeszcze, tymczasem naprawdę zginął zabity w górach, uciekając z Antyochii przy zdobyciu tego miasta. Zabili go Armeńczycy. Ale w zamku zawsze jeszcze była załoga saraceńska, którą Kerboga wzmocnił i dał jej komendanta. Raimond został w mieście głównie z tego powodu, że był chory. Podług jednych kronikarzy (Albertus Aquensis) lancę niósł biskup z Puy. Raimond de Agiles opowiada sam o sobie, że to on właśnie ją niósł przed biskupem. Jest wielce nieprawdopodobnem, aby biskup zlecał kruchą lancę do niesienia najdzielniejszym rycerzom, których ramię w bitwie bardzo było potrzebnem. Pomysł ten trzeba tedy przypisać poecie i przyznać, że jest artystycznie wcale zgrabny, nieco żartobliwy, podobnie jak niechęć Enguerranda, gdy mu biskup błyszczący hełm wodą chce zrosić, o czem będzie niżej.

prowadzi! - Wtedy rzekł Lew Czerwony: ten hrabia tak mi wygląda. że nie pragnę z nim się spotkać.

Wyjeżdża potem Robert z Flandryi, z liczną, hardą, a dobrze uzbrojoną drużyną. Zatrzymał się na błoniu, zagrzewając do bitwy. Corbaran pyta Amedelisa: znasz ty tego?—To Robert, hrabia z Flandryi, mądry, a silny!—Na to Lew Czerwony: istotnie zdaje się dzielnym, czekać na niego nie będę.

Hrabia Normandyi wyjeżdża z hardą i dumną postacią. Z nim 10,000 rycerzy, połyskujących od stali i złota. Stanęli na błoniu przy dwu drzewach laurowych a mówi im Robert: pamiętajcie baronowie, że jesteście żołnierzami Boga.

Wyjeżdża Godfryd z Bouillonu na błonia i mówi do baronów: patrzcie, tam powiewa Saracenów proporzec królewski, tam jest Corbaran i Lew Czerwony. Nie lękajcie się, że ich wojska liczne, tylko bijcie z całej siły! — Odpowiadają: podług twego rozkazu. — Corbaran pyta się Amedelisa: jak się ten nazywa z czerwonym smokiem?—To Godefroid, nie ma nad niego dzielniejszego rycerza. Ten nie dba ani o sokoły, ani o kobiety, tylko o bitwę. To on, który to rozciął emira na dwoje, tak że jedna połowa na piasek upadła, druga w siodle została.—Spuścił na to głowę Corbaran, a Lew Czerwony rzekł: i na tego ja mam czekać? nie zrobię tego, na Mahometa.

Tankred wyjeżdża jak prawdziwy paladyn i mówi do swych zuchów: tam przy owym proporcu jest największa siła tych synów Kaina, starajcie się, abyście tam dobrze rąbali. Panie, odpowiedzieli, ten który wodę w wino zamienił, niech sprawi, aby Saracenów drogo to kosztowało.

Oto Boémond wyjeżdża z Lombardami i Toskanami na pełne błonie. Ilu miał z sobą, powiedzieć nie umiem, ale miał i takich, którzy już zjedli swoje muły i konie, a mimo to odważni. Zapewniają hrabiego, że nie zawiedzie się na nich.

Starzy teraz wyjeżdżają, było ich ze 7000. Brody ich białe, jak kwiaty na błoniu. Myślałby kto, że z nieba przyszli. Zatrzymali się przy drzewie oliwnem, mówiąc: wstyd by był, gdyby młodzież lepiej od nas się biła!—Kto to tacy, pyta Corbaran?— To są starzy rycerze, którzy Hiszpanię zdobyli. Już oni więcej pogan zabili, niż ty liczysz ludzi w wojsku twojem.—Potrząsnął głową Corbaran a Lew Czerwony rzekł: nie będę na nich czekał.

Osobny hufiec prowadzą: Gautier de Doméart, Bernard li De-

litous, Hues de Saint-Pol i syn jego młody Enguerrand. Ten miał ładną zbroję błyszczącą, którą mu biskup rzęsiście skropił wodą. Panie, zawołał Enguerrand, nie moczmi mego hełmu, bo chciałbym aby go Saraceni błyszczącym zobaczyli!—Roześmiał się biskup i rzekł: niech cię Bóg ma w swojej opiece.

Wyjeżdżają na błonie, ale Enguerrand wszystkich wyprzedza, harce na koniu wyprawia. Kto to, pyta Corbaran, który tak ładnie harcuje?—Panie, nazywają go Enguerrand, albo też Taillefer. Kogo ten uderzy, temu żadna medycyna nie pomoże.—To nieprzyjemnie, rzekł Lew Czerwony, jeżeli wszyscy tacy, źle będzie z nami.

Wyjeżdża potem biskup z Puy z licznym hufcem, zagrzewa do zaciętej walki i zemsty za to wszystko, co dotąd wycierpieli. Pyta się Corbaran, kto to taki? — To ich biskup, panie, wicekardynał, który im rano nabożeństwo odprawia, ale i bitwę lubi. On to niesie cudowną lancę.

Piotr d'Estaenor i Rainard z Toul prowadzą hufiec z 10.000 dzielnych rycerzy. Ci stają od strony morza i zaraz chcieli najechać Saracenów, ale ich biskup prośbą powstrzymał.

Oto hufiec księży wychodzi, w alby ubranych, ale i uzbrojonych, choć pieszo. Ci także bić się będą, aby nie zginąć. Rzekł Lew Czerwony: tych się wcale nie boję jak długo będę na koniu, a oni pieszo.

Wychodzi Król Tafurów i Piotr pustelnik z liczną drużyną rybałtów. Włosy ich rozczochrane, brody długie, odzienie podarte. Chudzi są, wyschli, bladzi, brzuchy mają nabrzmiałe, nogi wykrzywione. Mają siekiery i ostre noże, maczugi i dzidy. Mówi do nich król: baronowie, słuchajcie! wycierpieliście biedy dużo, tam przed sobą macie pełno złota i srebra, kto je zdobędzie, stanie się bogatym. Corbaran pyta Amedelisa: jacy to ludzie, czy może dyabły raczej? Odpowiada mu: to hultaje, którzy pożerają naszych, bo im ciało lepiej smakuje, niż łabędzie pieprzone. Przestraszył się Corbaran i rzekł: pamiętaj Amedelisie, abyś mnie ku nim nie prowadził! A Lew Czerwony dodał: nie chcę się spotkać z nimi.

Panowie, słuchajcie teraz o hufcu kobiecym. Zebrały się damy w Antyochii na naradę i powiedziały sobie: panowie nasi poszli się bić, a jeżeli tam zginą, Turcy nas zesromocą, więc lepiej idźmy ginąć razem z nimi. Pobiegły do gospód, chwyciły za kije pielgrzymskie, zamiast chorągiewek woale zawieszają, kamienie

zbierają, dzbanki napełniają słodką wodą, razem z miasta wychodzą. Nawet tych ustraszył się Lew Czerwony, a Corbaran rzekł do Amedelisa: przedstawisz mi je następnie, abym je rozdał pomiędzy Turków [1]).

Hufce chrześcijańskie pełne są otuchy, szykują się, rozciągają od morza do góry. Widząc ich dziarskość Corbaran, kazał zawołać innego szpiega, zbiegłego Prowensala, który mu donosił, że chrześcijanie wygłodniali z łatwością będą pokonani. Oszukałeś nas, za to zapłacisz głową i ściąć go kazał natychmiast. Przywołał następnie swego szambelana i rzekł: skoro zobaczysz ogień płonący wśród wojska, zabieraj mój skarb i uciekaj z nim w miejsce bezpieczne. I jeszcze woła Amedelisa, polecając mu, aby się udał do Francuzów i pojedynek im zaproponował. Wielu było takich, którzy się na to zgodzić chcieli, nawet biskup, ale książę Normandyi zganił ich szorstko i Saracena wyprawił z wyzwaniem do walnej bitwy, w której albo jedni, albo drudzy pokonani zostaną.

Na tę odpowiedź Corbaran wsiada na konia, każe bić w bębny, dąć w trąby stalowe, gotować się do boju. Hufców 50 urządził, królów 50 nimi dowodziło. Lwu Czerwonemu nakazał, aby najeżdżał od strony morza, on zostanie tutaj od strony góry, a łucznikom poleca, aby oskrzydlili Francuzów. Odpowiedzieli: panie, wszystko będzie wykonane.

Pierwszy ruszył do boju Renaud z Toul na czele 10,000 ludzi. Wrzawa się tam podniosła, bo Saraceni bardzo krzyczeli, a że ich była przemoc, złamali naszych, głowy im ścinali. Renaud już konia stracił, czterema strzałami jest raniony a jeszcze groźnie się bije, ale bliską śmierć czując, prosi Boga o miłosierdzie, pozdrawia Francuzów sto razy, trzy trawki zrywa i połyka w miejsce hostyi [2]). Aniołowie duszę jego do nieba niosą, śpiewając: *Te Deum laudamus*. Widział to biskup, przyjaciel Pana Boga.

Lew Czerwony najeżdża w 30,000, ludzie jego rzucają ogień grecki, aby nasze konie spłoszyć. Francuzi się niepokoją. Wtedy biskup woła: panowie, jedźmy na nich, nie czekajmy, bo będziemy

---

[1]) Cały ten przegląd hufców chrześcijańskich jest z pewnością poetycznym, a bardzo ładnym obrazem. Pytania Corbarana, odpowiedzi Amedelisa, trwożliwe wykrzyki Lwa czerwonego, dają mu ruch i pewną dramatyczność; że nie jest bez podstawy historycznej, o tem się później przekonamy.

[2]) Powtarza się ten obyczaj niejednokrotnie w starofrancuskich epopejach.

pokonani, ja pojadę pierwszy! Dobra rada, zawołali baronowie, i oto Robert z Normandyi i Godfryd z baronami jadą galopem, kpią sobie z ognia greckiego, wielką rzeź Persom sprawili. Czerwony Lew ucieka, nie zatrzymuje się, aż przy namiocie Corbarana. Ten go pyta, co robisz admirale? Na to Lew: moi ludzie są zabici, ledwie ich co zostało przy życiu. Corbaran tedy do swoich: pomścijcie się za nich, zabijajcie, wieszajcie, resztę w niewolę do pana mego zaprowadzimy! Znów brzmią trąby, a jeżeli Jezus nie weźmie naszych w swą opiekę, dużo z nich wyginie. Ale na szczęście już Robert z pościgu powrócił do hufców, już je sprawił na nowo.

Corbaran zwrócił się ku górze, gdzie stoi dzielny Boémond. Straszna wszczęła się tam bitwa, wielu rycerzy już ich żony i dzieci nie zobaczą. Inne hufce Francuzów na pomoc się posuwają, na nich pada gęsty deszcz strzał tureckich. Ginie od nich mnóstwo niższych wojowników, padają konie, baronowie walczą pieszo. Niczem są trudy Oliviera i Rolanda, albo Viviena na Alescans, albo Eaumonta, albo Agolanta w porównaniu z tymi, jakie tutaj ponoszą nasi Francuzi [1]. Gdy już dosięgają niewiernych pohańców, gdy już ich mieczami rąbać zamierzają, ci śpiesznie zwracają się do ucieczki.

Goniec przybywa do hrabiego Hugona z gorącą prośbą o pomoc od Boémonda. Naprzód, rycerze, zawołał hrabia, do bitwy, której pragniecie. Sam niezwłocznie przebił Saracena, który lżył chrześcijan. Ale równocześnie od strzały zatrutej padł zacny Odon z Beauvais, chorąży Hugona. Rozżalił się hrabia na ten widok, mścił się zabijając Turków, a Guillaume z Beauvais ujął za chorągiew, leżącą na ziemi i podniósł ją wysoko.

Widząc Hugona, dzielnie posuwającego się naprzód, ruszył za nim Godfryd i Aleman Hungier, baron sławny, z dwu tysiącami rycerzy. Każdy zabija swego Turka, inni dwu, a inni więcej jeszcze. Mnogo koni biega z pozrywanemi uzdami po górach i dolinach, ale pogan strasznie jest dużo.

Hrabia z Flandryi był dzielnym rycerzem, w sam tłum pogański się wciska, admirała zabił, który lżył chrześcijan, jego to-

[1]) Ustęp ten ten jest bardzo cenny, bo dowodzi, że nietylko la Chanson de Roland, ale także la Bataille d'Aliscans, oraz la chanson d'Aspremont, znane były Graindorowi, a więc istniały przed rokiem 1180.

warzysze idą za jego przykładem, ale taka jest moc Arabów i Persów, że nasi srodze ucierpią, jeżeli im Bóg w pomoc nie przyjdzie.

Hrabia Normandyi jak tygrys w środek pogan wskakuje, za nim ludzie jego. Na samego Corbarana naciera i tak go ugodził, że nogami do góry zwalił go z konia w ciżbę. Byłby mu hrabia głowę uciął, gdyby nie Persowie, którzy go zasłonili, do namiotu w tył odnieśli. Ale Bawarowie, Alemany, Francuzi, Burgundczycy, Normanowie tak ostro nacierają, że Corbaran znów dosiadł konia i 40,000 Arabów i Persów około siebie strąbić kazał.

Oto patrzcie, Brohadas wyjeżdża na czele 30,000 Turków z rodu Judasza. Świetnie był ubrany i uzbrojony. Tych łakomców, zawołał, odstawię związanych ojcu memu w Bagdadzie i nie zwlekając, zabił rycerza z hufca biskupiego. Cieszy się z tego i chwali na głos, co słysząc dobry książę Bouillon, rzekł: łajdaku, ja ci zapłacę. Spiął konia, najechał, tarcz mu przebił i kadłub i serce, i rzekł: nie chwal się, nie szydź z naszych! Na widok jego śmierci zawyło 50,000 pogan, opłakując go. Corbaran strasznie był zmartwiony, żale wywodził, ojca jego się lęka, któremu obiecał strzedz syna starannie. Jakże teraz do niego wróci?

Corbaran gorżko jest zgryziony, hasłem zwołuje pogan, 50,000 ich zgromadził, aby pomścić śmierć Brohadasa. Odnowiła się bitwa zacięta, biją się nasi, ale zostali odparci tam, gdzie leżał trup królewicza. Corbaran rozkazał go podnieść, na konia położyć i unieść z pola bitwy, aby go zacnie pogrzebać, poczem znów do walki wraca. Enguerrand wraz z ojcem Hugonem groźnie Turkom dokuczają, za nimi przybywa król Tafur ze swymi ludźmi, którzy biją maczugami, toporami, nożami kłują. Siwobrody Piotr eremita laską w żelazo okutą bije jak może, damy kamieniami rzucają, wody podają spragnionym. Ale Turkom nowa nadciągnęła pomoc, źle z naszymi, jeżeli im Matka Boska nie pomoże. Do niej się modli biskup, rycerstwo zagrzewa. Bije hrabia Hugo, brat królewski i Drogon z Neéle i hrabia Rainaud i Clarembaud z Vendeuil i Anseaux de Ribemont i Raimbaut z Orange i Olivier z Marson i Stefan z Aubemarle i hrabia Odon i Gérard de Gournai i Gérard z Cerisi z dzielnymi Walonami i Tomasz de la Fère i Robert z Flandryi i Eustachy z Boulogne, brat Godfryda i Balduin z Mons i Lotaryńczyk Hernaut i Hugo z Dijon i hrabia Lambert z Liège i hrabia Rotrous z Perche i Geofrois z Tours i Raimbaut Creton i Foucher Sierota i Gérard z Dognon i Roger z Rosoi,

który trochę kuleje i Tankred i Boémond i biskup z Puy i książę Godfryd o lwiem sercu i Aleman Hungier i książę Normandyi i seneszal Hugon i wszyscy inni z Danii. Fryzyi. Alemanii. każdy swego zabija, krew i mózgi na piasek spływają.

Ale w tej srogiej walce biją także Saraceni. Jest ich 90 królów z Corbaranem na czele. Znał ich wszystkich ten, który tę pieśń ułożył. Ryszard pielgrzym. od którego ją mamy: *Ricars li Pelerins de qui nous la tenons*. Był tam Brudalans. Rodamus. Grandons, Brumans, Eliasz. Judasz Machabeusz. Samson. Antyoch czerwony. Salomon. Herod i Piłat. Nason i Sansadoines i Soliman i Amidelis i Lew Czerwony i wielu innych [1]).

Bitwa była zacięta i sroga. Hrabia Normandyi zabił Lwa Czerwonego. którego dusza w piekle zamieszkała; książę z Bouillon Solimanowi uciął głowę; Hugo Duży zabił Sansaidoine'a. którego Saraceni bardzo żałowali. Turcy strzelali z łuków. kobiety za włosy wlekli i zabijali; mnóstwo naszych życie straciło. Jeżeli im Bóg nie pomoże, to mogą być zwyciężeni.

Bitwa była zacięta, dyabelski naród bije mieczami, nasi już podołać nie mogą. gdy oto biskup z Puy spogląda ku górze i widzi nadjeżdżający hufiec wspaniały i liczny. a biały jak śnieg zimowy. Było w nim jeźdźców z 500.000. na czele św. Jerzy a baron św. Maurycy i Dymitr i Merkury są chorążymi [2]). Przestraszyli się nasi. sądząc. że to nowi przeciwnicy. którzy ich zwiążą jak psy gończe. ale uspakaja ich biskup. wskazując. że to aniołowie. Teraz gdy ich Turcy spostrzegli. wszyscy zawracają konie. wszyscy uciekają. Gonią ich baronowie. osłabione konie wymieniają na konie wolno biegające. Hungier. dzielny wasal. kieruje się do proporca saraceńskiego. aby go zdobyć. co mu się też udało. choć z wielkim wysiłkiem. Corbaran na ten widok ledwie się nie wściekł.

Corbaran. widząc ucieczkę swego wojska i klęskę jego i pro-

---

[1]) Pytanie skąd się wzięły w poemacie te rzekomo saraceńskie nazwiska? Oto ma je Tudebodus, tylko nie jako nazwy wodzów Corbarana, lecz jako szereg dawnych królów Antyochii, sławnego miasta, między którymi wymienia Brumandusa, Judasza Machabeusza, Eliasza, Samsona, Dawida, Salomona i t. d. Zobacz Tudebodus l. c. p. 804. Widzimy, że sam Tudebodus fantazyuje.

[2]) O tej niebieskiej pomocy mówi Tudebodus, wymieniając jako wodzów św. Jerzego, św. Dymitra i św. Merkurego; za nim wszyscy inni historycy. (Tudeb. l. c. p. 801). Będzie o tem mowa niżej.

porzec zdobyty. lży Mahometa. obiecuje go spalić na popiół za powrotem. Kazał też ogień rozniecić. aby ocalono skarb jego [1]. Nasi baronowie wszyscy dzielnych dokonywali czynów. biją Saracenów między morzem a górą. Coraz ich mniej, a naszych coraz więcej. Tył podali Turcy, wszyscy uciekają.

Ucieka Corbaran z całem wojskiem, z pod kopyt ich koni taka się podnosi kurzawa. że słońce ściemniało. Gonią ich nasi aż do kastelu Tankreda. tam noc zapadła. pogoń ustała. Wracają baronowie do gospód. tylko książę Bouillon nie wraca. Goni Corbarana ze swymi baronami, z nim samym żąda potyczki. Rozsierdzony Corbaran rozkazuje zatrzymać się swemu hufcowi. uderzają zapalczywie na drużynę księcia. już Hungier poległ. Claras strzałami go przeszył. już sam książę jest otoczony, koń pod nim zabity. Zerwał się książę na nogi. stanął plecami pod skałą w tym wąwozie, osłonił się tarczą. bił zapalczywie. ale czy się obroni?

Broni się książę jak dzik. jeden Saracen po drugim od miecza jego pada. Podziwia go Corbaran i pyta. jakie twe imię rycerzu? — Powiem ci. jestem Godfryd z Bouillon. —Słusznie cię chwalą. rzekł Corbaran. poddaj się żywy. ja cię zaprowadzę do Sułtana. pana mego. który cię hojnie zaopatrzy. — Nie baj. rzecze książę. tylko chodź się bić ze mną, bo jeżeli mnie nie zwyciężysz. pójdę za tobą aż do Persyi. sułtana powieszę. z Mekki zabiorę kandelabry. przy Grobie je postawię. Corbaran ledwie się nie wściekł od gniewu i na Turków zawołał: chwytajcie go! Wyjąc rzucili się Turcy. powalili go na ziemię. ale książę znów się zerwał na nogi. tylko że od gwałtownego skoku krew mu przez pępek popłynęła.

Zamorscy ludzie nasi, widząc, że w mieście niema Godfryda, szukać go zaczęli. Powiedziano im. że gonił Saracenów aż za górę, że go może zabili. lub jeńcem wzięli. Płaczą baronowie. szybko na konie wsiadają. niech ich Bóg prowadzi.

Galopem pędzą baronowie ku miejscu, gdzie książę o skałę oparty jak lew się broni. Zraniony w płuca i wątrobę, myśli o śmierci i pokornie się modli. winy wyznaje a ciągle się broni. Pędzą baronowie. już słyszą wrzawę pogańską. wołają *Montjoie* zdaleka. spadają na Turków. każdy swego zabija. już Claras ma

---

[1]) Rzeczywiście Saraceni zapalili trawę i krzaki. ale na to. aby się zasłonić od pościgu krzyżowców.

głowę uciętą, już Brudalans i Herodes leżą na ziemi i więcej niż 400 innych. Turcy są rozbici, książę ocalony.

Uradowani wracają nasi do gospód, zdejmują pancerze, odwiązują hełmy. Biskup z Puy chwali ich za męstwo, tylko prosi, aby tego wieczora zachowali się poważnie, bez śmiechów, bez kłamstw. Obiecali mu to wszyscy, wypoczywają po znużeniu, bo 100.000 ludzi dziś zabili, jak pismo poświadcza. W obozie saraceńskim znaleźli już przygotowane jedzenie, a było go podostatkiem. Liczą to, co zdobyli: 1500 wielbłądów, bez mułów i koni jucznych. Innego bydła tyle zajęli, że nie zrachować setek ani tysięcy. Zboża wystarczyłoby im na trzy lata. Co dopiero głód cierpieli, teraz mają obfitość.

Słuchajcie co wam powiem o tych w wysokim zamku. Widzieli bitwę, widzieli także białe rycerstwo, od Boga przysłane, które bitwę rozstrzygnęło. To ich wielce przeraziło, bo i ziemia się trzęsła i góry i nawet wieża zamkowa. Zażądali teraz chorągwi od naszych, pan Raimond de Saint-Gille posłał im swoją, którą na wieży zatknęli. Ale Lombardowie i Apulijczycy zrzucili ją, mówiąc, że to nie jest sztandar Boémonda, ani Tankreda. Do nich wysłali gońca z wezwaniem, aby się z admirałem rozmówili. Boémond spiesznie się tam udał, a admirał przywitał go tam uprzejmie, oświadczając, że mu odda zamek, tylko prosi, aby wszyscy jego Turcy i Persowie mogli wrócić bezpieczni do swego kraju i zabrać swe konie i majątek. Ci zaś, którzy zechcą zostać chrześcijanami, niech będą przez was ochrzczeni. Ucieszony Boémond odpowiedział, że przedłoży te żądania baronom, którzy się na to zgodzili wszyscy. Boémond dał poganom straż bezpieczeństwa, która im przez cały kraj towarzyszyła [1]).

Panowie, oto kończę tutaj opowiadanie. Ten, który te wiersze ułożył i pieśń zrymował, już wam o tych więcej nie powie,

[1]) Mowa tu o załodze; która po ucieczce Garsiona zawsze jeszcze w zamku zostawała. Opis poddania się zamku zgadza się zupełnie z przedstawieniem rzeczy u Tudeboda i w Gesta Franc. et aliorum Hierosolymitanorum, Bongars, p. 21, gdzie czytamy jeszcze tę wiadomość, że ów admirał ochrzcić się kazał. Hrabia Rajmund z Tuluzy mimo to obsadził bramę mostową, najważniejszą, swoimi ludźmi i dopiero w kilka miesięcy później, pod naciskiem wszystkich baronów, wydał ją Boémondowi. Opór jego zawsze wypływał z wierności, jaką cesarzowi Alexemu obiecał. Zob. Bongars p. 21, 24, 155, 158.

ani o innych sławnych czynach, aż innym razem, gdy pieśń będzie odnowiona.

Seigneur, or voel que soit ceste raison finées
Cil qui les vers a fait et la cançon rimée,
De ceus ne dira plus, ne d'autre renomée,
Dusqu'a une autre fois qu'ele ert renovelée [1]).

Uwagi o Chanson d'Antioche.

Nam się zdaje, że poemat powyższy zasługuje na poznanie, a czas, poświęcony na przeczytanie wyżej podanego streszczenia, nie jest straconym. Wymownie z niego przemawia duch, który ożywiał owe czasy, prowadził niezliczone tłumy rycerstwa i ludzi pospolitych na zdobycie Ziemi świętej, na wyzwolenie Grobu świętego. Poemat jest na wskroś chrześcijański, katolicki: jest religijny i wojowniczy zarazem, a to połączenie religijności z wojowniczością jest właśnie najwybitniejszem znamieniem owych czasów.

Walka toczy się pomiędzy Chrześcijaństwem a Islamem, powiedzieć możemy, że pomiędzy Chrystusem a Mahometem. Rycerstwo chrześcijańskie pełne jest ufności w pomoc Chrystusa, a podobnie ufnymi w pomoc Mahoma przedstawia poeta także i Saracenów. Zawiedli się ci ostatni; Mahomet jest całkowicie porażony, posąg jego bity, łżony, poniewierany przez samych Saracenów, podczas gdy jaśniejące zastępy niebieskiego rycerstwa najskuteczniejszą pomoc chrześcijanom przynoszą. Nie sądźmy, aby zjawienie się tych białych zastępów było wymysłem poety, bo oto świadectwo najdawniejszego historyka, a zarazem uczestnika pierwszej krucyaty, Tudeboda: *Coeperunt vero turmae ex utraque parte exire, nostrosque undique circumcingere, iaculando, sagitando, vulnerando. Exibant quoque de montaneis innumerabiles exercitus, habentes equos albos, quorum vexilla omnia erant alba. Videntes itaque nostri hunc exercitum, ignorabant penitus quid hoc esset et qui essent donec cognoverunt esse adiutorium Christi. Cuius ductores fuerunt sancti: Georgius, Mercurius, Demetrius. Haec verba credenda sunt, quia plures ex no-*

[1]) Wiersze te jasne nie są. Przedtem mówił Graindor, że tylko zrymował dawną pieśń, tutaj zaś, że i wiersze ułożył. Obiecuje następnie dalszą pieśń, gdy będzie odnowiona. Ciekawi jesteśmy, jaka to pieśń będzie.

stris viderunt [1]). Pomoc tę zapowiedział sam Chrystus na pięć dni naprzód jednemu z księży. innemu św. Andrzej wskazał miejsce, gdzie szukać lancy świętej, która tak się skuteczną w bitwie okazała. Prawda, że częste były chwile, w których ginący żałosne do Chrystusa podnosili westchnienia: *Quare non defendis sanguinem nostrum, qui hodie pro tuo nomine effusus est?* Ale była to kara za grzechy, niestety tak ciężkie, że aż w niebie czuć je było w sposób nieznośny: *sed multum pravam rem facientes multi Christiani eo quod iacent cum paganis mulieribus, unde immensus foetor ascendit in coelum...* Tud. 797. Zawsze atoli w chwili stanowczej skrucha, pokuta, wstawienie się Matki Boskiej (l. c.) nietylko od ostatecznej broniły zagłady, ale nadto do świetnego prowadziły zwycięstwa.

Aby to zwycięstwo zdobyć, nie żałują życia, śmierci się nie lękają, boć aniołowie ich dusze prosto do niebieskiej zanoszą szczęśliwości, podczas gdy dusza każdego zabitego Saracena w dyabelską moc popada. Taki jest duch przenikający poemat od początku do końca, ten sam duch, który krzyżowcom dawał siłę do wytrzymania trudów niesłychanych, do czynów prawdziwie bohaterskich. Nie da się zaprzeczyć atoli, że nietylko ze strony Saracenów, ale i chrześcijan, zapał do fanatyzmu, fanatyzm do okrucieństwa dochodziły.

Starajmy się przypatrzyć bliżej poematowi i rozpoznać formę i wiarygodność treści jego. Zacznijmy od pierwszej. Powiedzieliśmy już, że jest pisany w alexandrynach zebranych w związki, czyli tyrady o równym rymie. Każda wiązka wierszy ma swój temat lub motyw osobny. Równy rym przywoływał do pamięci wiersze należące do wiązki. Przejście od jednej wiązki do drugiej ułatwiał sobie śpiewak w ten sposób, że wiązkę następną zaczynał od motywu, na którym kończył wiązkę poprzednią. Tak n. p. wiązka 13-ta pieśni pierwszej kończy się opowiadaniem, że Corbaran przybył do warownej Nicei, że miasto roi się jak mrowisko od ludzi, których przyprowadził, że umieścił ich w gospodach i halach, a sam stanął w hotelu Murgalie:

Corbarans descendi en Nique la garnie De la gent qu'il amaine

[1]) Tudebodus l. c. p. 801. To samo dosłownie czytamy w Gesta Francorum, ed. Bongars 1611 p. 21, Tudebodus uczestniczył w całej pierwszej krucyacie, w której dwu braci stracił. Gesta Dei per Francos są prawie identyczne z historyą Tudeboda. Zdaje się, że to są dwie redakcye tej samej relacyi.

la cite enformie Es ostels et ès sales heberja sa maisnie Corbarans descendi à l'ostel Murgalie. Otóż następna wiązka zaczyna się od wiersza: *A l'ostel Murgali descendit Corbaran*, a potem dalsze zdarzenia przedstawia. — Podajmy inny przykład jeszcze: *Li jors est trespassés la nuis vient aproismant, El val de Civetot se vont no gent lojant.* Skończył się dzień, noc się zbliża, ludzie nasi rozkładają się w dolinie Civetot. Tak się kończy I, 18, a następna wiązka zaczyna się: *La nuit fu bele et clere et la lune serie, El val de Civetot se fu no gent logie.* Motyw jest ten sam, ale zaznaczyć wypada, że jest w nim maleńka zmiana, która tworzy zarazem drobny postęp w opowiadaniu. Poprzednio bowiem noc się dopiero zbliżała, a teraz już nadeszła ładna i jasna i z pogodnym księżycem. — Często się zdarza tak, że poeta powtarza końcowy motyw na początku następnej wiązki, ale w wyrazach całkiem odmiennych. Wszystko to jednakże, chociaż znachodzi się dość często, nie jest stałem prawidłem.

Jeżeli temat jest dłuższy, to wymaga więcej niż jednej wiązki wierszy, ponieważ rymu nie starczy, końcówka się wyczerpie. W takim razie poeta lubi przynależność tych wiązek do wspólnego tematu uwydatniać równym, albo podobnym początkiem wiązek. Tak n. p. opisując walkę i klęskę pod Civetot zaczyna wiązkę I, 21: *Au pui de Civetot furent li caple grant* (Silne były ciosy przy górze Civetot), wiązkę 22: *Au pui de Civetot ot grand ocision* (Wielkie było zabijanie przy górze Civetot) wiązkę 23: *Moult fu grans la bataille, jusqu'a none dura, Des mors et des navrés la terre senglenta, Solimans prist un cor, la retraite sona, Enson le Civetot, les paiens assabla* (Wielka była bitwa, trwała aż do południa, krwawiła się ziemia od zabitych i rannych, Soliman ujął za róg, zatrąbił na odwrót, na szczycie Civetotu pogan zgromadził); wiązkę 24: *La nuis est revenue et li jors trespassés, Desous le Civetot fut li vaus grans et lés* (Noc nadeszła, dzień się skończył, pod Civetot była długa i szeroka dolina); wiązkę 25: *El val de Civetot sont paien assamblé* (Zgromadzili się poganie w dolinie Civetot); wiązkę 26: *El pui de Civetot fu no gens desconfie. Plus de trente millier i perdirent la vie* (Na górze Civetot zniszczeni zostali ludzie nasi, więcej niż trzydzieści tysięcy życie straciło); wiązkę 27: *El pui de Civetot sont no gent departi* (Na górze Civetot ludzie nasi rozdzieleni zostali). — Podobnie jest przy opisie soboru w Clermont (I, 37, 38): *A Clermont en Auvergne fu grans l'assamblisons;* albo: *A Clermont en Auvergne, fors enmi la campagne, Fu li bons rois Phelipes à toute*

sa compaigne. — Podobnie przy pobycie krzyżowców w Konstantynopolu i w wielu innych miejscach. Sposób ten uwydatniał temat. wiązał tyrady w całość. wpajał słuchaczom nazwę i zdarzenie.

Poemat był śpiewany, jak to autor niejednokrotnie mówi, ale zdaje się. że wszystkie wiersze były śpiewane na tę samą jednostajną i skromną melodyę. z małemi zmianami. Podobnie więc, jak się śpiewają psalmy w chórze kościelnym. Jeżeli żongler dobrze umiał pieśń na pamięć. to sam sobie mógł przygrywać na skrzypcach. jeżeli nie. to mu przygrywał drugi. albo też całkiem bez towarzyszenia się obywało. Harfy były znane w owym czasie, nam się zdaje atoli, że do tego rodzaju pieśni nie używano ich, choć do nich właśnie nadawałyby się bardzo dobrze. Śpiew wprowadził tedy do utworu żywioł emocyjny, wzruszający, albo liryczny. nie ulega bowiem wątpliwości. że to. co tworzy najściślejszą istotę poezyi w ogóle. to płynie przedewszystkiem z liryzmu. Owoż ten czynnik liryczny poeta umie wzmocnić żywem współczuciem. głębokiem przejęciem się powagą przedmiotu. z jakiem przedstawia zdarzenia. Już Piotr pustelnik otrzymał upoważnienie do głoszenia krucyaty, już ludzie jego przygotowani w drogę ruszyli, a on ich prowadzi. Naraz wykrzyk żalu: ach biada Piotrze eremito, dla czegoś to uczynił? Bardzo wielkie było to szaleństwo, żeś na Francuzów nie czekał.

Elas Pieres l'eremites et por coi le fesis!
Ce fu moult grans folie que François n' atendis (I. w. 271)

Albo podobnie, gdy już tłumy Piotra zbliżyły się pod Niceę, obozem na błoniu stanęły: ach biada. dla czego nasz lud zacny tam się zatrzymuje? Już nigdy stamtąd nie wróci. klęska go czeka!

François se sont logié à une praérie,
Las! por coi s'i areste nostre gens seignorie?
Jamais n'en tornera, si sera malbaillie! (I. 266)

W poemacie opisującym tak zwycięską wyprawę. wyrazów podziwu i radości będzie więcej. niż żalu. z drugiej zaś strony nie brak wyrazów nienawiści i wzgardy dla pogan. Są one tak liczne. że ich osobno uwydatniać nie potrzeba. Na inną za to właściwość zwrócimy uwagę.

Ze streszczenia każdy czytelnik mógł się przekonać. że poeta jest mistrzem w opisie bitew. Umie wyprowadzać całe armie. umie je rozczłonkować. wyosobnić jednostki. ożywiać zdarzenia. Do osta-

tniej, a rozstrzygającej pod Antyochią walki, wyjeżdżają hufce chrześciańskie z miasta po kolei, każdy ze swym wodzem na czele, a Corbaran przypatrując się temu widowisku, każe sobie przez Amedelisa nazywać i charakteryzować baronów i ich drużyny. Pomysł ten jest wyborny. Tylko nadmienić trzeba, że poszczególne hufce w tej bitwie wyszczególnia także Tudebodus, a dokładniej jeszcze Raimundus de Agiles. Ten nawet wyraźnie wymienia Miradolina jako tego, który admirałowi dawał objaśnienia (zob. Bongars p. 154). — Jeszcze lepiej autor uwydatnia poszczególnych wojowników, wprowadzając ich po kolei na pole bitwy z wykrzykiem: oto patrzcie, to ten *(esvous=ecce vos!)*, a w następnych tyradach: oto patrzcie, to ten drugi; oto patrzcie, to ten trzeci. Każdy ma osobną grupę wierszy, która opisuje jego zachowanie się, skuteczność jego lancy i miecza.

Nie wszystko to jest atoli osobistą własnością naszego poety, bo już się znajduje w poprzednich pieśniach bohatyrskich, a mianowicie w *Chanson de Roland.* Powiedzieć przeto o nim tylko to możemy, że technikę tych pieśni znał doskonale i umiał jej używać. Mniej powszechnymi, chociaż i te już się poprzednio znachodzą, są przedstawione tutaj momenty żartobliwe, a równie ładnych przedtem jednak nie było. Do nich należy owa krytyczna chwila przy rzemiennej drabinie, po której krzyżowcy zakraść się mają do Antyochii, a na którą żaden z tych zuchów nie ma odwagi wnijść pierwszy. Wiemy, że się następnie zerwała. Albo ów moment ze świętą lancą (z pewnością dobrze spróchniałą) której żaden z baronów w bitwę nieść nie chce. Albo krótka scena z młodym, a dzielnym Enguerrandem de St. Pol, który prosi biskupa, aby go nie kropił, bo on chce się przedstawić Saracenom w błyszczącej zbroi. Obszarpani Tafurowie dają prawie zawsze obrazy komiczne, tylko z silnym dodatkiem dzikości.

Tak więc poecie przyznać należy wielką biegłość w opisywaniu bitew, oraz talent do scen żartobliwych. Oprócz tego ma on jeszcze inne zalety. Tak n. p. teologia obcą mu nie jest, zapatrywanie swoje umie poprzeć rozumowaniem (I w. 57—110), lubi dawać przemówienia i odważył się na to, aby przedstawić kazanie samego papieża. Gdzie może, tam opowiadanie przemienia w dyalog, rozmowę, co dużo ruchu pieśniom jego daje. Wyobraźnia jego jest tak żywą, że opisuje nietylko miejsce zdarzeń, ale i pogodę, jaka wtedy była. Widzieliśmy to na przykładach wyżej przytoczonych.

Wiadomości jego pewne nie są, ale wyobraźnia jego wszelkie braki uzupełnia. On lubi proroctwa i otóż każe nawet Chrystusowi na krzyżu przepowiedzieć pierwszą krucyatę (I w. 111—167). Aby zaś żadnej wątpliwości nie było co do tego, że wie to dokładnie, podaje nam nazwy owych łotrów obok Chrystusa wiszących. Nazywali się Dimas i Getas. Być może, że w tem idzie za jaką legendą nieznaną, ale jeżeli nam mówi, że Corbaran, do Nicei przybywszy, zajechał do hotelu Murgali, to w tem chyba żadnej się tradycyi nie trzyma. Ktoś powie, że może było jakie co do tego podanie. Poznamy niebawem, że być go nie mogło. To też przestajemy się dziwić, gdy Piotra i jego tłumy przez Apulią i Kalabryą prowadzi do Grecyi i do Konstantynopola, chociaż wiemy, że droga jego była inną. To znaczy, że wyobraźnia jego była żywą i do posługi skorą.

Nie można atoli powiedzieć, żeby poemat we wszystkiem był doskonały, bo jeżeli zawiera sceny świetne, to nie brak mu miejsc słabych. Przedewszystkiem nie opisał dość żywo warowni, murów i wież Antyochii, które w owym czasie należały do najpotężniejszych na świecie. Przeszło siedem miesięcy leżeli krzyżowcy pod miastem, nie myśląc wcale o tem, aby je szturmem zdobyć, czego nam poeta nie uwydatnił. Gdy je wreszcie dzięki zdradzie Firuza zajęli, znaleźli się wnet otoczonymi przez potężną armię Kerbogi. W mieście żywności nie było, wszelki dowóz był odcięty, straszliwy głód zapanował, wskutek tego choroby; konie były zjedzone; jedli nawet teraz rzemienie i skóry i jakże było stanąć do walki osłabionemu, głodnemu rycerstwu bez koni? Te bowiem ledwie najbogatsi baronowie zachowali. Bardzo ładnie zaznacza poeta tę okoliczność, opisując jak Godfryd z Bouillonu składkę zbiera w obozie, aby kupić konia dla Roberta hrabiego Flandryi. Tak więc nawet najmożniejsi baronowie cierpieli. Choroby także ich nie omijały: Stefan z Blois opuścił Antyochią na dwa dni przed jej zdobyciem, podając chorobę jako powód; Rajmund z Tuluzy tak był chory, że mimo chęci udziału w bitwie z Kerbogą wziąć nie mógł; Godfryd po zwycięstwie ciężko zachorował. Znękanie było powszechne, nie dziw tedy, że wielu widziało białe hufce niebieskie przybywające z pomocą, bo im się zdawało, że sami zwyciężyć nie mogą. Można przeto zarzucić poecie, jak to już uczyniono, że tego przeciwstawienia pomiędzy położeniem rozpaczliwem a świetnym tryumfem należycie nie wykonał. Na usprawiedliwienie jego powiedzieć da się chyba,

że wolał obrazy pogodne, zwycięskie, aniżeli ponure. Jego zuchy umieją sobie radzić nawet w ostatniej potrzebie: Tafurowie jedzą Turków, a rycerze ostatniego osła zarzynają, aby się pożywić.

W całości tedy poemat jest bardzo ładny. Pytanie teraz, czy się zgadza z prawdą historyczną? W głównych liniach niezawodnie. Opowiada nam poeta najprzód o pobycie Piotra pustelnika w Jerozolimie, o rozmowie jego z patryarchą, o widzeniu Chrystusa, o podróży do Rzymu. O tem wszystkiem nie mówi wprawdzie ani Tudebodus, ani Raimund de Agiles, ani Fulcherius Carnotensis, najstarsi historycy, którzy osobiście brali udział w pierwszej krucyacie, ale szeroko o tem się rozpisuje już Albertus Aquensis około r. 1120. To znaczy, że aż do niego już się utworzyła legenda o Piotrze. Ten historyk wspomina nawet o pieczęci, której Chrystus kazał żądać Piotrowi od patryarchy[1]). Ale rzecz godna uwagi: Anna Comnena, która mogła stan rzeczy znać bardzo dobrze, mówi wyraźnie, że Piotr pustelnik przedtem w Jerozolimie wcale nie był. Zob. jej Alexias ed. 1651, IX p. 313[2]).

To nie odejmuje Piotrowi zasługi doprowadzenia pierwszej krucyaty do skutku, ale tłómaczy nam, dla czego owi pierwsi historycy o jego uprzedniej pielgrzymce nic nie wspominają, a Ryszard pielgrzym w swym poemacie także o niej nie mówił. Dalej opowiada nam poeta o prawdziwej wyprawie Piotra, o strasznej klęsce pod Civetot, o soborze w Clermont, o wyprawie rycerstwa, o zatargach w Konstantynopolu, o zdobyciu Nicei, o bitwie pod Dorylaeum, o dalszym marszu aż pod Antyochią, o walkach tam staczanych, o zajęciu miasta, o wielkiej bitwie z Kerbogą. Te zdarzenia opisują wszyscy historycy, od Tudeboda począwszy, a poemat w całości zgadza się z nimi rzeczywiście. — Już w tej głównej osnowie atoli widzimy dwa ważne zboczenia; jedno w tem, że poeta kładzie wyprawę Piotra przed soborem w Clermont, co, jak wiadomo, z historyą się nie zgadza, a zdaje się nam, że będziemy mogli podać powód tego błędu w dalszym ciągu; drugi w tem, że poemat sprowadza Godfryda do Tarsu, gdzie ten wojownik nigdy nie był. Za Herakleą (Eregli) oddzielili się Tankred i Balduin od głównej armii i prosto do Tarsu ruszyli, podczas gdy armia główna drogą znacznie dalszą przez Kaisarieh i Marasz, ku Antyo-

[1]) ed. Bongars 185.

[2]) Cfr. Michaud Bibliothèque des Croisades II.

chii się kierowała, dokąd i Tankred następnie przybył, poróżniwszy się z Balduinem do tego stopnia, że o mało bitwy nie stoczyli ze sobą. Balduin znowuż nie był pod Antyochią, tylko z Tarsu udał się aż za Eufrat do Edessy (Rohais), którą jak wiadomo, zajął. A jak długo na tym najdalej ku wschodowi wysuniętym posterunku przebywał, tak długo dzielnie go bronił. To też poemat o Balduinie pod Antyochią nie mówi.

Tak więc największą niezgodność, przełożenie wyprawy Piotra i klęski jego przed soborem w Clermont, znajdujemy już w pieśni pierwszej. Dokladniej się przypatrując, znowuż w tej samej pieśni widzimy zboczeń od prawdy historycznej najwięcej. Opowiada poeta n. p. że sobor odbył się na wiosnę, co mu daje sposobność do opisu tej pory (p. 57, XXXIV), podczas kiedy on się odbył w listopadzie r. 1095. Poeta tam sprowadza króla Francyi Filipa, który tam obecnym nie był, ponieważ papież Urban II zwołał ten sobor poniekąd przeciw niemu, gdzie też klątwę na niego rzucił za nieprawe małżeństwo [1]). Z tegoż powodu nie szukać tam jego brata Hugona. Godfryd i jego bracia również tam byli nieobecni. Wszystko to więc poeta dowolnie wymyślił. Dodać atoli trzeba, że zgromadzenie biskupów, opatów, księży, oraz baronów i rycerstwa (z południowej Francyi przeważnie) było tam bardzo liczne.

Powiedzieliśmy już, że poeta Piotrowi z Amiens całkiem inną drogę wyznacza, aniżeli ta, którą on poszedł, ale że tą drogą nie zajmuje się bliżej, więc to ogólnego wrażenia nie psuje. Wnet tedy widzimy Piotra z jego tłumami przy górze Civetot, która jak się zdaje, oddzielała port Civetot (dziś Ghemlik, zob. Michaud, l. c. p. 80) od Nicei. Tutaj atoli uwydatnia poeta w armii Piotra eremity kilku znakomitych rycerzy, którzy z Solimanem i armią Corbarana świetne boje staczają. Oto ich nazwiska: Harpin de Bourges, Richard de Caumont, Baudouin z Beauvais, brat jego Ernold, Jean d'Alis, Fouques de Mélan; oprócz nich, biskup z Forois (Forez). Otóż o takich rycerzach owocześni historycy pierwszej krucyaty nic nie wiedzą, ani też o tym biskupie, nie ma bowiem takiego biskupstwa ani we Francyi, ani nigdzie. Jedno tylko z tych nazwisk, Harpin

[1]) Michaud: Histoire des Croisades 1856, I p. 51 n. Kugler: Geschichte der Kreuzzüge 1880 p. 17 n. Obu dzieł używaliśmy tam, gdzie one wystarczały, to znaczy, gdzie nie było trzeba sięgać do źródeł, których one nigdzie nie cytują.

de Bourges, pojawia się u historyków, ale dopiero sześć lat później. To znaczy, że baron ten ani w wyprawie Piotrowej, ani też w pierwszej krucyacie udziału nie miał.

Podobnie rzecz się ma z Corbaranem z Oliferne (Aleph-Aleppo), który ma znaczyć potężnego emira Kerbogę z Mossulu. Otóż pod Civetot wcale go nie było. Z tego wynika, że owe świetne boje, zachowanie się owych rycerzy, równie jak Corbarana, przemówienia, układy z Corbaranem, są całkiem zmyślone przez poetę. Historycy ówcześni (Tudebodus, resp. Gesta Francorum Bongars p. 2) wymieniają pod Civetot tylko dwu rycerzy, mianowicie Rajnolda, przywódcę Niemców, który uciekł do Saracenów, a z nim wielu innych, oraz Gautier'a Hołysza (*sine habere*, inni mówią *sens aveir = sans avoir*), który zabity został, podczas gdy Piotr uciekł do Konstantynopola, jak to poemat żartobliwie opowiada [1]. Widzimy z tego zestawienia, jak bardzo poeta upiększył opis tej smutnej klęski. Uczynił to, rozstając się z prawdą, zastępując ją własną, ale rutynowaną, na poprzednich wzorach wydoskonaloną fantazyą. Miał przytem atoli cel jeszcze inny, który się nam w dalszym ciągu wyjaśni.

Podobne upiększenia, zarówno heroiczne, jak żartobliwe, znachodzimy we wszystkich następnych pieśniach poematu, choć już nie sięgające tak głęboko w główną treść jego, jak w pieśni pierwszej. Wskazaliśmy na nie już wyżej, tutaj tylko dodamy, że z widoczną przyjemnością uwydatnia poeta niektórych rycerzy, a mianowicie Baudouin'a Cauderon z drużyny hrabiego Flandryi (I p. 108 n.), który prosi o przyznanie mu pierwszego ciosu w bi-

[1]) *Denique dominus Alamanorum Rainaldus concordatus est cum Turcis, ut traderet socios illis; et fingens se exire ad bellum, fugit ad illos, et multi cum eo. Illi autem, qui Dominum negare noluerunt, capitalem sententiam susceperunt; alios, quos coeperunt vivos, ad invicem diviserunt quasi oves, alios miserunt ad signum et sagitabant eos; alios vendebant et donabant quasi animalia. Quidam conducebant suos in domum suam, alios in Corosanum, alios in Antiochiam, alios in Aleph, aut ubi ipsi manebant. Isti primo felix acceperunt martyrium pro nomine Domini Iesu. Audientes denique Turci, quod Petrus heremita et Gualterius sine habere fuissent in Cirito, quae supra Nicenam urbem est, venerunt illuc cum magno gaudio, ut occiderent illos, et eos qui cum ipsis erant. Cumque venissent laetantes, obviaverunt Gualterio cum suis, quos Turci mox occiderunt. Petrus vero heremita paulo ante ierat Constantinopolin.* Wynika z tego, że Gautier sans avoir, którego my raczej pod imieniem Waltera Habenichts znamy, był Francuzem, nie Niemcem.

twie pod Niceą, Gontiera Daire, który sławnego konia zdobył, a był kuzynem hrabiego Flandryi (I p. 223—5) Raimbauda Creton, który Turków z mostu do wody spychał (I 265 w.), Renauda Porquet, który goniąc Saracenów aż w miasto, zamknięty w niem został (I. 369), a który także do ludzi hrabiego Flandryi należał (p. 270); Foucarda l'Orphenin, który nie chce pozwolić, aby hrabia Flandryi pierwszy wszedł na drabinę, sam się w jego miejsce iść ofiarując; nadewszystko zaś hrabiego Hugona z St. Pol i syna jego, dzielnego Enguerranda. Widocznie, że poeta zostaje do nich, chcemy powiedzieć do tych rodów, do owych okolic, w jakimś bliższym stosunku. Wielbiąc ich, wielbi swych własnych bliższych współziomków. Z pomiędzy innych, mniej uwydatnionych, ale zawsze wymienionych z pochwałą, znalazłoby się więcej z tego samego północno-wschodniego kąta Francyi. Tak n. p. Lambert, syn Conon'a, był hrabią w Beauvais, Gautier i Bernard de Domméart są także z Pikardyi, Baudouin był hrabią w Gant, a Droon z Néele był może jego ojcem [1]). Co do hrabiego Flandryi, to nie tylko jego samego uwydatnia, ale jego żonę Konstancyą i ładne ich dzieci. Dodać należy, że jeżeli poeta te wszystkie osobistości uświetnił, to ich nie wymyślił, wszyscy prawie bowiem są wymienieni u historyków [2]).

Nie zmyśloną jest także znaczna część poszczególnych motywów. Już w przypiskach wskazywaliśmy na zgodność niektórych ze świadectwami historycznemi, tutaj omówimy jeszcze cały ich szereg choć w krótkości.

1. Widzieliśmy, że w poemacie Piotr pustelnik ma widzenie w kościele Grobu św. w Jerozolimie, otrzymuje zlecenie od Patryarchy i na mocy tego udaje się do Papieża. Otóż najstarsi historycy o tej misyi nic nie wiedzą, dopiero Albertus Aquensis szeroko o tem mówi, a poemat całkiem zgadza się z jego przedstawieniem rzeczy. Zob. Bongars p. 185.

[1]) Do całego tego ustępu zob. P. Paris l. c. I p. 114—132, a zwłaszcza 126, oraz jego słowniczek.

[2]) Wogóle przy oblężeniu Nicei poeta wymienia około 55 baronów, z tych tylko dziesięciu jest takich, o których historycy nie wspominają. Obliczenie to może nie jest całkiem dokładne, ale wydanie Bongarsa jest tego rodzaju, że bardzo trudno niem się posługiwać. Nie wymienienie ich u historyków jeszcze nie dowodzi, żeby w pierwszej krucyacie udziału nie brali.

2. Poemat przedstawia, jako zabicie księdza podczas mszy pod Civetot pobudziło Europę do pomszczenia tego okrucieństwa. Otóż o księdzu zabitym mówią już Gesta Francorum et alior. Hieros. (c. 2 p. 2 Bongars).

3. Wiemy, że Corbarana pod Civetot nie było, to też najstarsi historycy o nim tam nie mówią, tylko o Solimanie (Kilidż Arslan). Owoż Albertus Aquen. (Bongars p. 240 – 1) następne chełpliwe słowa kładzie w usta Corbaranowi: *olim centum millia Christianorum stravi amputatis capitibus iuxta Civetot* etc. Widzimy, że poeta opiera się na tym historyku.

4. Poeta most i bramę żelazną szeroko opisuje, zdaje się, że znowu podług Alberta l. c. 226. A gdy opowiada o innym moście, który Saracenom dogodny był do wycieczek, a którego zburzyć krzyżowcy nie zdołali, to znowuż w zgodzie z Albertem (p. 228).

5. Świetnie się popisał Enguerrand zaraz po przybyciu krzyżowców pod Antyochią. Otóż Albertus p. 231 także tego junaka, którego Engelradem nazywa, bardzo uwydatnia, chociaż w innych okolicznościach

6 O zatapianiu Turków, strącaniu ich do rzeki po bitwie, jaką krzyżowcy stoczyli z portu św. Szymona wracając, pisze Albertus IV c. 33, ale także wyżej cytowane Gesta c. 18 p. 15. Żaden wszelako historyk nie pisze o bohaterskich czynach Rajmunda Creton i cudownej pomocy, jaką od św. Michała otrzymał. Także i męczeństwo Rainauda Porquet nie jest poświadczone, choć prawdą jest, że się Saraceni okrutnie nad chrześcijanami znęcali, o czem Fulcherius Carnotensis pisze. Zdarzały się sceny do umęczenia Porqueta bardzo podobne, z przybiciem na krzyż nawet. Tak na przykład o hrabi Clarembaud opowiadają, że gdy pod Gurbenie nadto się zapędził w pościgu za Turkami i dostał się wraz z dwoma kuzynami do niewoli, sam dał znać krzyżowcom, aby ich nie wymieniali, ponieważ, jako ciężko ranni, już się na nic nie przydadzą. Rozgniewani Turcy umęczyli ich za to, na krzyż przybijając. Zob. Romania XVII 525 n.

7. Uwydatniliśmy już, że poeta nazywa Kalifa apostolikiem Otóż tę samą nazwę dają mu Gesta c. 21: *Calipha eorum Apostolicus.* Wynika z tego, że rozumiano wtedy wcale dobrze różnicę między świecką władzą Sułtanów, a duchowną Kalifów. Sułtanem zwierzchnim był wtedy małoletni Barkjarok, pan Khorasanu i Persyi. W jego to imieniu dowodził Kerbogha z Mossulu. Małoletniość

miała za następstwo bezsilność władzy sułtańskiej, niezależność emirów, których niezgoda krzyżowcom zrazu zadanie bardzo ułatwiła. Już też w Gesta (l. c.) znajdujemy nazwy Cassianus zam. Bagi Sijan, u poety Gracien; Sensadolus zam. Szamseddaulé u poety Sansadoine; Corbaran zam. Kerbogha.

8. Poeta mówi, że Turcy w Antyochii rozejm zerwali z powodu znieważenia grobów przez chrześcijan. O takiem znieważeniu mówią Gesta c. 18 p. 15. Żaden z historyków atoli nie zapisuje, aby krzyżowcy pod Antyochią jedli ciała Turków. Także i pod Jerozolimą to się nie działo, ale z pewnością działo się pod Marrah, jak to już przytoczyliśmy. Poeta pozwolił sobie fakt ten przenieść z pod Marrah pod Antyochią i przypisać to samym tylko Tafurom.

9. W poemacie ów Firuz albo Pirrus, który Antyochię wydał Boémondowi, uczynił to na wyraźny rozkaz Boga, o czem mówi naprawdę Fulcherius (l. c. IX. p. 391 u Bongarsa). Podług Gesta (p. 14) ów Pirrus był Turkiem, a postępek jego umotywowany przyjaźnią dla Boémonda. U poety szlachetne obejście się chrześcijan z pojmanym synem owego emira, usposobiło go życzliwie dla nich. Otóż o takiem pojmaniu mówi Albertus III. p. 234, ale ze skutkiem całkiem przeciwnym. O zabiciu brata Pirrusa piszą Gesta c. 20.

10. Owe widzenia, szeroko w poemacie opisane, najprzód proboszcza od Panny Maryi w Antyochii, następnie Piotra, którego poemat pustelnikiem nazywa, choć to był inny Piotr Bartłomiej, są szeroko dopiero u Roberta Monacha opisane (Boongars p. 61). Gesta krótko tylko wspominają o wskazaniu miejsca lancy (p. 20), która mogła być relikwią po św. Merkurym, jak o tem legenda mówi, ukrytej przed kilkunasty laty, gdy Saraceni zdobyli Antyochią po raz pierwszy. Rozumie się, że Raimundus de Agiles mówi szeroko o znalezieniu lancy.

11. Podług Gesta (p. 20), poselstwo od krzyżowców do Corbarana sprawiali rzeczywiście Piotr pustelnik z Harluinem i już tutaj historyk (Tudebodus) każe im tak zuchwale przemawiać, jak to czytamy w poemacie. Proponowali pojedynek, który Cornumaran odrzucił, ale później, gdy widział wyjeżdżające do bitwy hufce chrześcijańskie, on sam, podług poematu, proponował pojedynek. Otóż pisze o tem istotnie Raimundus de Agiles (p. 154 u Bongarsa), dodając, że chciał Saracen, aby pięciu biło się przeciw pięciu, albo dziesięciu przeciw dziesięciu, co znowu krzyżowcy odrzucili.

12. Gesta piszą, że Sansadoine nie jeździł wprawdzie do Sułtana z prośbą o pomoc, ale wyjechał z zamku, gdzie po śmierci ojca był komendantem, naprzeciw armii Cornumarana, podczas gdy poemat każe mu się wykraść z twierdzy, aby u Sułtana szukać pomocy. Otóż i w tem poeta nie zmyśla samowolnie, lecz idzie za Albertem, który (III, p. 240) właśnie Sansadoine'a z poselstwem wyprawia i to wraz ze Solimanem.

13. Poemat sławi Rogera de Barneville, który sam jeden wyjechał na harce przeciw zbliżającej się armii saraceńskiej i śmierć tam znalazł. Turcy uważali to za wielki tryumf. Otóż ów Roger wymieniany jest przez historyków w różnych okazyach, o tej zaś wyprawie i śmierci mówi najszerzej Albertus (IV p. 248).

14. O hufcach, do ostatniej bitwy pod Antyochią wyprowadzonych, historycy różnie piszą. Gesta wyliczają sześć hufców: pierwszy Hugona Dużego z Francuzami i z hrabią Flandryi (wraz z jego ludźmi); drugi księcia Godfryda z jego wojskiem; trzeci Roberta z Normandyi z jego ludźmi; czwarty biskupa z Pui z wojskiem hrabiego Rajmunda (chorego) ale i ze swojem; piąty Tankreda z jego ludźmi; w szóstym był *vir sapiens* Boémundus *cum sua militia*. Zdaje się, że jak on zdobył Antyochią, tak też on tę wielką bitwę rozstrzygnął. Opowiadają Gesta dalej, że utworzono następnie szyk siódmy, *aciem septenam*, z części wojska Godfryda i hrabiego Normandyi, nad którą objął dowództwo hrabia Rainaud z Toul, jak o tem mówi i poemat, który też jego śmierć opisuje, czego Gesta już nie mają.

Raimundus de Ag. (p. 154) nie wiele się różni od powyższego opisu, poeta zaś wylicza hufców aż dwanaście, nie licząc kobiecego. Dochodzi do tego w ten sposób, że wymienia wszystkich siedem hufców powyższych, ale hrabiego Flandryi oddziela od Hugona dużego i daje mu hufiec osobny; co więcej, z ulubionych swoich Pikardów tworzy hufiec jeden jeszcze, stawiając na jego czele Hugona de St. Pol, syna jego Enguerranda, Gautiera de Doméart, Bernarda le Déliteux. Do tego dodał ładnie pomyślany hufiec starców z białemi jak kwiaty brodami, hufiec księży i hufiec Tafurów z Piotrem eremitą na czele [1]), oto ich dwanaście. Tyleż ma Albertus (p. 254), ale z liczniejszemi nazwiskami wodzów, oraz bez Tafurów,

[1]) O hufcu księży Raimundus nic nie wie, ale pisze (p. 154), że liczni księża w białych komżach kroczyli przed szykami, śpiewając.

bez księży i bez starców. Trzeba powiedzieć, że poemat idzie za Gesta, ale dodaje kilka szyków, ładnie wymyślonych.

15. O kropieniu wojska przez biskupa nie mówi żaden historyk, ale Raimundus de Ag. (p. 255) pisze, że Bóg spuścił deszcz pożądany na całe do bitwy wychodzące wojsko: *in principio egressionis nostrae ad pugnam imbrem divinum super omnem exercitum suum misit dominus, parvum sed valde gratum etc.* Czyżby menestrel ten deszczyk na kropienie przez biskupa zmyślnie zamienił?

16. Poemat opisuje śmierć Brohadasa, syna Sułtana, która to śmierć daje główne zawikłanie do poematu *les Chétifs*. Otóż historycy o śmierci żadnego syna sułtańskiego pod Antyochią nie wiedzą, ale Albertus pisze, że był tam Brodoan, którego nazywa potężnym emirem z Aleppu; mógł on być potężnym emirem, ale nie emirem Aleppu, którego panem był wtedy Ridwan. Zdaje się, że dopiero poeta z Brodoana zrobił Brohadasa; z emira, syna sułtańskiego.

Widzimy z tego porównania, że nawet w szczegółach zgodność poematu z historykami jest większa, aniżeli się zdawało. W wielu ustępach można by sądzić, że poeta zmyśla, ale bliżej się przypatrzywszy, widzimy, że ma punkt oparcia u któregoś z historyków. Nawet wtedy, gdy powiedzieć trzeba, że się myli, okazuje się nieraz, że omyłkę już historyk popełnił.

Przychodzimy teraz do pytania, kto był autorem poematu? Było ich dwu. Jedyny tekst, w dość licznych rękopisach przechowany, pochodzi od Graindora z Douai w Pikardyi. Kładzie się go na rok 1180 mniej więcej. Nazwisko jego jest nam znane, ponieważ sam się w poemacie wymienił w następnych wierszach:

Cil novel jogleor qui en suelent chanter
Le vrai commencement en ont laissié ester
Mais Grainsd'or de Douai nel veut mie oublier
Qui vous en a les vers tous fais renoveler (I p. 2—3).

„Nowi żonglerzy, którzy tę pieśń śpiewają, pomijają jej prawdziwy początek, ale Graindor z Douai, który wszystkie wiersze tej pieśni odnowił, o nim nie zapomni.“ Ta wzmianka jest ważną. Ona stwierdza wyraźnie, że istniała starsza, a rozpowszechniona wersya poematu, która tego początku nie posiadała. Cóż on zawiera? Zawiera opis pobytu Piotra pustelnika w Jerozolimie, widzenie, jakie tam miał i żądanie patryarchy, aby Piotr pobudził chrześciańską Europę do oswobodzenia Grobu świętego. Piotr zyskuje upoważnie-

nie papieża, ogłasza krucyatę, sam podejmuje wyprawę, która się kończy zupełną klęską pod Civetot. Jest prawdopodobnem, że tego wszystkiego w dawniejszej wersyi nie było, dodał to Graindor i poczytuje to sobie za zasługę. Z tego wynikałoby, że dawna wersya zaczynała się od soboru w Clermont i wielkiej wyprawy baronów. — Graindor dodaje, że wszystkie wiersze w poemacie odnowił. Coby to znaczyło? Przedewszystkiem to, że przestarzały język dawnego utworu odmłodził, ale mogłoby znaczyć więcej.

Nieco dalej znów mówi o sobie w sposób następny: słyszeliście już to opowiadanie w innej pieśni, lecz ta nie była tak rymowaną, jak nasza. Na nowo jest zrymowaną i opisaną, a ci, którzy jej chętnie słuchać będą, oby od Boga otrzymali zbawienie duszy. Niech ich dusza nie ogląda piekła, tego złego mieszkania.

Oï l'avez conter en une autre chançon,
Mais n'estoit pas rimée ensi com nous l'avons,
Rimée est de novel et mise en quaregnon,
Et cil qui volentiers en entendra le son,
Diex li otroit qu'il ait de s'ame garison
Que ja ne voie enfer, cele male maison (I p. 6—7).

Oświadcza Graindor, że zrymował na nowo pieśń, która przedtem była tylko adsonowaną. Jeżeli tutaj mówi o znanej już słuchaczom pieśni, to nie ma w tem sprzeczności z tem, co powiedział poprzednio, że nowi żonglerzy opuszczają początek, który on sam jeden daje. Tam była mowa tylko o samym początku, tutaj zaś już o całym poemacie, nawet z włączeniem Jerozolimy. Bo zaznaczyć należy, że na samym początku poematu o Antyochii śpiewak już zapowiada pieśń o Jerozolimie:

Seigneur, soiés en pais, laisiés la noise ester,
Se vous volés chançon gloriose escouter,
Jà de nule millor ne vous dira jongler,
C'est de la sainte vile qui tant fait à loer...
Jherusalem l'apele qui droit la veut nomer (I p. 1—2)[1]

A wnet potem:

Huimais porés oïr de Jherusalem parler
Et de ceus qui alèrent le sepulcre aorer (I p. 3).

„Otoż teraz możecie słyszeć o Jerozolimie i o tych, którzy poszli uczcić Grób św.“ A znowuż o kilkanaście wierszy dalej:

---

[1]) Porównać początek streszczenia.

Baron, or mescoutés, si laisiez le noisier...
Qui de Jherusalem veut oïr comencier,
Si so traie envers moi, per Dieu l'en veul proier (I p. 3 - 4).

„Baronowie, dajcie posłuch, przestańcie hałasować; kto chce słyszeć od samego początku o Jerozolimie, niech się do mnie zbliży, w imię Boga proszę go o to.“ To zapowiadanie pieśni o Jerozolimie na początku pieśni o Antyochii jest okolicznością bardzo ważną, która wskazuje na to, że już w owym pierwotnym poemacie było tak samo, a przerabiacz to samo zadanie ma na myśli. — W przytoczonych wyżej wierszach jedno tylko wyrażenie nie jest całkiem jasnem, a mianowicie *mise en quaregnon*. Co może znaczyć *quaregnon*? Po łacinie byłoby *quaterniony*, a więc najprędzej arkusze w czworo złożone. Czyżby pieśń pierwotna nie była dotąd spisaną, a dopiero Graindor to uczynił? Nie jest to prawdopobobnem, pieśń owa była nadto trudną do spamiętania, jak to niżej zobaczymy. Trzeba więc przyjąć, że poeta mówi o przepisaniu całej pieśni, które to przepisanie mogło zawierać różne dodatki nowego poety, mogło się równać przerobieniu. Przypuszczenie to potwierdza się następnem oświadczeniem poety, które daje na samym końcu poematu o Antyochii:

Seignor, or voet que soit ceste raison finée,
Chil qui ces vers a fais et la rime trovée,
Dus'c a une autre fois qu'ele ert renovelée.

Panowie, ten który te wiersze ułożył i rymy znalazł, chce na teraz zakończyć tę produkcyę aż do następnego razu, gdy w dalszym ciągu będzie odnowioną. Widzimy, że nasz poeta nietylko jest takim, który rymy odnowił, ale i wiersze ułożył.

Dowiadujemy się nadto od Graindora, jakie było nazwisko pierwszego tej pieśni autora:

Cil qui la chanson fist sot bien dire les nons
Ricars li Pelerins de qui nous la tenons (II p. 260).

„Ten, który tę pieśń ułożył, Ryszard Pielgrzym, od którego ją mamy, znał dobrze wszystkie nazwiska.“ Chodzi tu o nazwiska królów i baronów saraceńskich, znajdujących się w armii Corbarana. Wypełnia niemi aż dwanaście wierszy, wysilając się na brzmienia w jego rozumieniu saraceńskie. Powiedzieliśmy w przypisku na miejscu właściwem, że te nazwy pochodzą od Tudeboda.

który je podaje atoli jako nazwy dawnych królów Antyochii. Wynika jasno ze słów Graindora, że to już Ryszard pielgrzym przemienił je w nazwy wodzów saraceńskich.

Tak więc pierwszym autorem pieśni o zdobyciu Antyochii był Ryszard Pielgrzym. Kiedyż on żył i pisał? Wydawca naszego utworu, Paulin Paris, sądził, że Ryszard brał udział w pierwszej krucyacie, pieśń swą na miejscu układał, a jeżeli już o zdobyciu Jerozolimy nie śpiewał, to dla tego, że prawdopodobnie umarł w drodze, może w Archas. Jego pieśń pochodziłaby tedy z roku 1098. Co do treści swej wydaje mu się ona tak prawdziwą, tak pewną i wiarygodną, że tylko naoczny świadek mógł ją poznać i przedstawić. Jeżeli tedy Tudebodus, ów najpierwszy historyk, niejednokrotnie zgadza się z poematem, to dla tego, że z niego czerpał, on, historyk, czerpał z poematu [1]). Dziwna rzecz, że nawet Sybel ten sam widzi stotunek nietylko pomiędzy Tudebodem a poematem, ale także pomiędzy nim, a Albertem z Akwizgrany, oraz Robertem Mnichem. Oni także mieli korzystać z tego poematu, albo innych [2]).

Nie ulega wątpliwości, że są we Francyi i w Europie średniowiecznej kronikarze, którzy przejmowali do swych zapisków fikcye poetyczne, ale z tego nie wynika, aby to czynili historycy pierwszej krucyaty. Jest to stanowczo wykluczonem co do trzech, którzy do tej wyprawy należeli, jak Tudebodus, jak Raimond d'Aiguilles (de Agiles), jak Fouquier z Chartres. Niezawodnie, że i oni podają niektóre wiadomości nieprawdopodobne, ale podają je z pierwszej ręki, głęboko przekonani, że to prawdziwe fakty. Inni późniejsi, jak Albert Aqueński, albo Robert Mnich (z Reims) którzy w Jerozolimie nie byli, skazani byli na czerpanie wiadomości albo z dzieł poprzedników, albo z opowiadań już od pierwszego źródła bardzo oddalonych. Nie ma też żadnego dowodu, świadczącego, aby istniały jakiekolwiek poematy o krucyacie przed rokiem 1120.

Pierwszym, który się zwrócił przeciw zapatrywaniom Paulina Paris i Sybla, był Pigeonneau w książce pod tytułem: *Le cycle de la Croisade et de la famille de Bouillon* 1877, oświadczając, że

[1]) La chanson d'Antioche 1848 I. Introduction p. 44–50.

[2]) Sagen und Gedichte über die Kreuzzüge w Allgemeine Monatsschrift 1851 Juli p. 31–50. Rozprawa ta zawiera liczne omyłki w szczegółach i rozumowaniu.

Ryszard Pielgrzym czerpał z Tudeboda i z Alberta. Prawda, że dobitnego dowodu na to nie dał, ale mimo to zdanie jego zostało przyjętem przez Gröbera n. p.[1], a także przez Suchiera[2]. Wydawało się im prawdopodobniejszem. O dowód przekonywający jest trudno i chyba w tem widzieć by go należało, że poemat w kilku miejscach błędnie i niejasno przedstawia zdarzenia, które owi historycy opisują jasno i przyczynowo. Okaże się to niejednokrotnie w dalszym ciągu. To chyba jest dowód silny. Bo że się kroniki zgadzają z poematem, to jeszcze z tego nie wypływa, że poeta z nich czerpał, ale jeżeli przekręca wiadomości tam podane, to okoliczność ta dobitnie wskazuje na jego od kronik zależność, świadczy, że albo ich dobrze nie rozumiał, albo źle spamiętał.

Chodziłoby teraz o to, aby oznaczyć datę, kiedy Ryszard mógł pisać. Gaston Paris trzyma się zawsze jeszcze daty swego uczonego ojca, a więc roku 1098[3]. G. Gröber kładzie go na drugą ćwierć wieku dwunastego. H. Suchier prawie tak samo, ale przytacza rok 1138 jako datę, przed którą utwór położyćby należało, a to na podstawie następnego szczegółu: Ryszard Pielgrzym prosił pana Arnoulfa z Ardres, aby mu podarował cenne trzewiki. Arnoulf odmówił, za co się Ryszard zemścił, nie wymieniając zgoła nazwiska tego barona w swym poemacie. — Wiadomość tę pierwszy wydobył Pigeonneau (l. c. p. 47) z kroniki Lamberta d'Ardres z początku wieku trzynastego. Owóż wiadomość ta nie jest całkiem wiarygodną, bo może ją dowcipny kronikarz (jeżeli nie sam baron) wymyślił, aby trzewikami milczenie poetów wytłumaczyć. Nam się zdaje, że Arnulf († 1138) nikogo swem męstwem podczas wyprawy nie zadziwił, ponieważ żaden z historyków o nim nie wspomina. Tak zrozumiana wiadomość owego kronikarza staje się nowym dowodem na to, że poeci z historyków czerpali.

Lepszy jest szczegół, jaki ostatnimi czasy uwydatnił G. Paris w rozprawie pod tytułem: *La gran Conquista de Ultramar*. Obszerna ta kompilacya hiszpańska, napisana jest pod koniec wieku XIIIgo, a wykonana głównie podług historyków i poetów francuskich. Tam czytamy następne zdanie: *cuenta Ricare el pelegrino que escribió esta historia por mandado del principe Remonte d'Antioca*[4]. Hiszpański

[1]) Grundriss der rom. Philologie II, I 625, oraz 66.

[2]) Geschichte der franz. Litteratur 1900 p. 49 n.

[3]) La littérature française du moyen âge 1890 p. 125.

[4]) l. c. III 72 Romania XXII, p. 347.

autor mówi tedy, że Ryszard Pielgrzym napisał tę historyą na wezwanie księcia Rajmunda z Antyochii. Ta wiadomość jest bardzo cenną. Prawda, że źródło jej jest już późne, okoliczności niepewne, ale wewnętrzne prawdopodobieństwo wielkie. Ów książę Rajmund był młodszym synem znanego nam Guillaume'a Akwitańskiego, do ojca z wielu względów podobny. Możemy powiedzieć, że się przyżenił do Antyochii, poślubiając ostatnią dziedziczkę Boémunda. Co się nie stało bez wielkich trudności, tak ze strony jej dalszych krewnych, jak i ze strony matki, która sama za niego wyjść chciała. Zwyciężył te przeszkody wśród przygód, jak w jakim roman d'aventures i rządził księstwem od r. 1137 do 1149. Zginął w walce przeciw Saracenom, rozzuchwalonym smutną bezskutecznością drugiej krucyaty. Otóż, jeżeli komu mogło zależeć na tem, aby zdobycie tego potężnego grodu rozgłośnem się stało w pieśniach, to pewnie jemu, zwłaszcza, że to mogło ściągnąć do niego nowych zuchów, nowych obrońców. Wiadomość ta jest podaną u hiszpańskiego autora z okazyi bitwy pod Ascalon, coby znów wskazywało, że poemat Ryszarda obejmował tę bitwę stoczoną już po zdobyciu Jerozolimy, a więc kończącą pierwszą krucyatę. Także i ta okoliczność jest cenną. Z drugiej atoli strony ów autor zna także utwory Graind'ora, w których bitwa ta szeroko jest opisaną. To więc osłabia ową wiadomość. Ale Graindor wymienia wprawdzie Ryszarda jako autora, nic atoli przy tej pieśni o księciu Rajmundzie z Antyochii nie mówi. To więc wzmacnia wiadomość. Wzmacnia ją jeszcze ta okoliczność, że tenże książę Rajmund wymieniony jest także w Jeńcach. Przeto przyjmujemy ją bardzo chętnie i powiemy, że pieśń o Antyochii Ryszarda Pielgrzyma napisaną była około r. 1140. Przypuszczamy bowiem, że Rajmund raczej na początku aniżeli pod koniec niedługiego zresztą panowania, w ostatnich latach nieustanną zajętego walką, takiej pieśni sobie życzył.

Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, gdybyśmy zdołali wytworzyć sobie jakieś uzasadnione wyobrażenie o poemacie Ryszarda i jego stosunku do Graindora. Ważnem tem pytaniem na razie zająć się nie możemy, nie znając jeszcze całego Graindora. Dopiero w uwagach do poematu o Jerozolimie rozważać je będziemy mogli.

Poemat o Jeńcach (*Les chétifs*).

Bezpośrednio z pieśnią o Antyochii wiąże się w rękopisach pieśń zwana *Les chétifs*. Etymologicznie wyraz ten pochodzi z *captivi* i tutaj zachował to swoje pierwotne znaczenie, obok tego bowiem znaczył już wtedy, jak i dzisiaj, nieszczęśliwego, nędznego. Przejście łatwo zrozumieć: jeniec był zarazem bardzo nieszczęśliwym, mizernym. Pieśń o jeńcach jest już zapowiedzianą w pieśni o Antyochii, gdzie są także wymienieni wszyscy występujący w tamtej rycerze: Ryszard de Caumont, Jehan d'Alis, Harpin de Bourges, Baudouin de Beauvais i jego brat Ernold, Fouquier de Mélan. Opowiada o nich poeta, że należeli do wyprawy Piotra z Amiens, w bitwie pod Civetot zachowali się dzielnie, ale po ostatecznej klęsce, wraz z tysiącami innych pielgrzymów, dostali się do niewoli. Także i biskup z Forez równego doznał losu. Corbaran z Oliferne, zwycięski wódz Sułtana perskiego, ich właśnie zachował dla siebie. Zostawali u niego w ciężkiej niewoli rok i dni piętnaście, skrępowani łańcuchami i trzewiami, używani do noszenia ciężkich kamieni do budowli, właśnie jakby konie juczne. Aż za wolą Jezusa, króla niebieskiego, Ryszard z Caumont zabił dwu Turków, przez co wyzwoleni zostali (v 660—673). W taki sposób zapowiada pieśń poprzednia tę pieśń następną. Słuchacze byli ciekawi dowiedzieć się, w jaki to sposób owi nieszczęśliwi wolność odzyskali i tę ciekawość śpiewak osobną pieśnią zaspokoi. Utwór ten jest ogłoszony tylko w ważniejszych ustępach przez C. Hippeau. Pisany jest w alexandrynach ugrupowanych w rymowane tyrady. Ile wierszy zawiera całość, wydawca zaniedbał powiedzieć [1]).

Dla lepszego zrozumienia przypominamy tedy, że podług pieśni poprzedniej Corbaran, zwycięzca pod Civetot, został wysłany następnie z ogromnem wojskiem przez Sułtana Khorassanu i Kalifa z Bagdadu na odsiecz Antyochii. Obiecywał Sułtanowi, że jeżeli nie wszystkich wodzów, to przynajmniej niektórych: Godfryda, Boémonda, albo księcia Normandyi, okutych w kajdany mu odstawi. Przyłączył się do wojska syn sułtana, Brohadas, chcąc i on się odznaczyć pod wodzą Corbarana. Nie bez wahania zgodził się

---

[1]) C. Hippeau: La chanson du Chevalier au cygne et de Godefroid de Bouillon, Paris 1877 II p. 193—276. Dane przez wydawcę wyjątki obejmują wierszy około 2300. Całość może ich obejmować 4000.

na to ojciec, ulubionego syna troskliwej opiece wodza polecając. Wiemy już, że chełpliwy Saracen nie jako zwycięsca powrócił z tej wyprawy, lecz pobity na głowę; nie Godfryda mu odstawił, lecz zabitego Brohadasa. Pieśń o Jeńcach nam opowiada, co dalej nastąpiło.

Z trwogą stanął Corbaran przed Sułtanem, który na widok trupa syna swego, chwycił rozjuszony za łuk i strzelił do niefortunnego wodza, ale chybił. Rozkazuje tedy, aby go powiesić, lub w ogień wrzucić. Corbaran oświadcza, że zwycięstwo było niemożliwe, bo chrześcijanie są niezwyciężeni. Niech sąd Boży o tem rozstrzygnie, aby się Sułtan przekonał naocznie. Wybierz Sułtanie dwu najgroźniejszych Turków, a zapewniam, że jeden chrześcijanin ich zwycięży. Jeżeli nie, oddaję moją głowę i moje królestwo; jeżeli tak, to przebacz mi, powróć mi swoją łaskę i pozwól mi udać się do mojej ziemi.

Zgodził się Sułtan na tę próbę, sześć tygodni wyznaczył na nią czasu. Pyta się Corbaran swej matki, starej Calabre, gdzieby takiego chrześcijanina poszukać [1]). Calabre radzi przyprowadzić owych jeńców i z nich wybrać najdzielniejszego. Przyprowadzono ich, ale w jak nędznym znajdowali się stanie! Wszyscy w kajdanach, ręce łańcuchami związane, skóra zdarta od żelaza, ciało pokrajane, z głodu omdlewali. Nie mają ani koszuli, ani pantalonów, ani obuwia, stąd nogi ich poranione. Stanęli z głowami pochylonemi, na śmierć czekając, a widok ich był tak żałosny, że sam Corbaran się rozpłakał.

Rozpłakał się Corbaran na ich widok i wszelką stracił nadzieję. Boć żaden z nich do walki nie był zdolny. Rzekł tedy do matki: pójdę chyba do Antyochii prosić Boémonda, albo Godfryda, albo Roberta z Normandyi, aby stoczyli ową walkę, a ja im obiecam, że zostanę chrześcijaninem i oddam im Grób i Jerozolimę. Zganiła mu to Calabre bardzo ostro, że się gotów wyrzec Mahometa i inną podała radę: każ rozkuć tych rycerzy, ubierz ich przystojnie, daj jeść obficie i obiecaj, że ich wszystkich uwolnisz i hoj-

---

[1]) Matkę Corbarana znamy już z pieśni poprzedniej. Przedstawiona tam jest jako kobieta mądra, umiejąca z gwiazd prorokować. Powiedziało się tam, że mówi o niej Tudebodus i inni historycy.

nie obdarzonych odprowadzić każesz do Jerozolimy. Jest pomiędzy nimi jeden, oto ten, duży, który wczoraj młotem zabił mularza za to, że mu zbyt dokuczał. Tego wybierz.

Przywołał go Corbaran, obok siebie posadził, o imię zapytał i sprawę mu przedstawił, obiecując, że jeżeli zwycięży i jego ocali, to nie tylko jemu i towarzyszom da wolność, ale wszystkim jeńcom chrześcijańskim u niego będącym. Ryszard z Caumont odpowiedział: pozwól, że się z towarzyszami naradzę. — Ci prosili go usilnie, aby walki się podjął i ich ocalił, a Harpin de Bourges żałował bardzo, że jego nie wybrano.

Nazajutrz oświadczył Ryszard Corbaranowi, że się walki podejmuje, za co go sułtan siedem razy ucałował, swym własnym płaszczem go odział. Zdjął Ryszard płaszcz drogocenny i włożył go na Harpina. Co widząc Calabre, inny płaszcz na niego włożyła, ale Ryszard odział nim Jana z Alis, oświadczając, że żadnego nie przyjmie, jeżeli wszyscy jego druhowie nie będą równo okryci. Przywołał Corbaran szambelana i wszyscy otrzymali suknie z aksamitu, poczem Ryszard do stołu zaproszony został. Ale i tego odmówił, jeżeli i towarzysze razem z nim nie zasiędą. Zaproszono ich także, a sama Calabre kierowała usługą. Harpin jadł obficie, Ryszard pił podobnie i inni także; ach jakże tego potrzebowali![1]

Po obiedzie przyprowadzono Ryszardowi dzielnego wierzchowca, bo Corbaran chciał widzieć, jak go będzie używał i jak bronią robił. Chętnie Ryszard to uczynił, na konia bez użycia strzemion wskoczył, wszyscy podziwiali jego harce, uściskał go Corbaran. Calabre chciała mu jaką pannę przyprowadzić, aby mieć potomka od niego (l. c. p. 205), ale Ryszard nie byłby tego uczynił, choćby go pocięto. Więc Calabre kazała go często myć i kąpać, prowadziła go na przechadzkę, dała mu miecz bardzo dobry; należał on niegdyś do króla Heroda, który nim niewiniątka pozarzynać kazał. Takie przygotowanie trwało miesiąc cały.

Tak trwało cały miesiąc, w ciągu którego czynili rycerze pokutę, spowiadali się biskupowi z Forez, dwa albo trzy razy w tygodniu pościli. Z 300 koni arabskich, które Corbaran przyprowadzić kazał, wybrał Ryszard dużego a zwinnego siwka. Udali się w drogę do Sormasane[2] na dwór Sułtana. Ten także się modlić

[1]) Mamy w tem piękny przykład przyjacielskiej solidarności towarzyszy niedoli.

[2]) Do Samarkandy.

kazał do Mahoma, Tervaganta i Jupina (Jowisza), aby walka przyniosła honor Saracenom, a wstyd Francuzom.

Mądrą była matka Corbarana, na czarach lepiej się znała, niż nasi klerycy na łacinie. Pytała się wróżby, kto zwycięży, czy Mahom z Tervagantem, Apolinem, Jupinem, Chahü'em i Balsinantem, czy Jezus z Betleem, wraz z Matką swoją i św. Janem. Na wieży się zamknęła, wróżby szukając, a pokazało się, że Jezus zwycięży.

Wybrał Sułtan dwu najdzielniejszych Saracenów, olbrzymów prawdziwych. Jeden nazywał się Goliat, drugi Murgalé. Bitwę odbyto w czwartek rano. Pierwszy zginął Goliat, Murgalé bronił się tak dzielnie, że życie Ryszarda w wielkiem było niebezpieczeństwie. Modlił się Murgalé do Mahoma, Ryszard do Jezusa i teraz Saracen otrzymał ranę śmiertelną.

Słuchajcie panowie, jakie przed śmiercią złożył wyznanie! Ryszardzie, mówił, zawsze czciłem mego Boga, który mnie dzisiaj zawiódł i wstydem okrył. To też Mahoma tyle sobie cenię, co psa zdechłego, a wierzę w Jezusa Chrystusa, z Panny urodzonego, który umarł na górze Kalwaryi, lancą od Longina był w końcu przebity· Następnie popękała się ziemia i skały, a On z grobu zmartwychwstał. — Ładną masz wiarę, rzekł Ryszard, to też cię zaraz ochrzczę. Co gdy uczynił, zerwał trawkę, na 3 części ją podzielił i wszystkie dał rannemu do połknięcia. Teraz prosił Murgalé, aby mu ściąć głowę, bo nie chce wstydzić się przed swoimi, jako zwyciężony, a takie, rzekł, było moje przeznaczenie. — Tej prośbie Ryszard również uczynił zadość, chociaż żal mu go było. Krewni Murgalesa z gniewem na to wszystko patrzeli.

Sułtan dotrzymał danego słowa, Corbaran mógł wrócić do swego państwa. Towarzyszył mu jego hufiec przyboczny z 2000 Turków i wszyscy wyzwoleni jeńcy, a było ich 140. Kierują się ku Oliferne, gdy oto w drodze z zasadzki napadnięci zostali przez krewnych Goliata i Murgalé'go. W walce tej sam Corbaran został ranny, ale przy dzielnej pomocy chrześcijan odniósł zwycięstwo. Uciekli podstępni Persowie i Saraceni. Lecz do Oliferne[1]) jeszcze daleko, a po drodze czekają ich liczne trudy, walki, przygody· Skwar im dokucza, wiatr podnosi tumany prochu. Wypadało im

[1]) Wiemy już, że Oliferne ma znaczyć Aleph, czyli Aleppo. Emirem był tam Reduan, podczas gdy Kerboga, czyli Corbaran, był panem Mossulu.

jechać obok góry Tigris, na której mieszkała straszna bestya, zwana Satanas, wąż 30 stóp długi, o skórze tak twardej, jak miecz stalowy. Nie ma broni, któraby ją przebiła. Kolory miał różne: niebieski i biały i żółty i zielony i czarny i czerwony, a uszy tak wielkie jak tarcze, któremi się nakrywał, gdy był rozdrażniony. Na czole ma kamień błyszczący, który mu w nocy takie światło daje, jakby to był dzień. Nie sądźcie, że to bajka. Ogon jego był długi i gruby; kogo nim dosięgnie, ten życie traci. Mieszkał w nim dyabeł i czynił go strasznie zuchwałym. Rozgniewany ryczy i wrzeszczy, że słychać go na kilka mil dokoła. Nie przejdzie w pobliżu mężczyzna lub kobieta, którychby nie pożarł. To też ze wszystkich osad i zamków ludzie uciekli.

Słuchajcie panowie, niech wam Bóg błogosławi! Nikt nie opowiadał, ani nie słyszał lepszej pieśni, a odemnie ją poznacie. O odważnym Balduinie, w Beauvais urodzonym, towarzyszu Ryszarda. On walczył z tym wężem, który mu pożarł brata Ernolda.

Jedzie Corbaran wzdłuż góry dzień cały w kurzawie takiej, że jeden drugiego nie widział, mówię wam to na prawdę. Z koni pot się leje od gorąca. Jechali przez ziemię króla Abrahama, sławnego Saracena. Zobaczyli ogród cienisty, w nim źródło ożywcze. Tam Corbaran rozkazał rozpiąć namioty. Pożywili się, wody napili, której bardzo pożądali. A właśnie niedaleko było mieszkanie Satanasa z pazurami na łokieć długimi.

Słuchajcie panowie tej pieśni, którą kazał ułożyć dobry książę Raimond, a którego Saraceni zabili na szkodę Antyochii i całego kraju. Ten, który ją ułożył, otrzymał dobrą zapłatę, został kanonikiem u św. Piotra i proboszczem. Jak długo żył, pieśń tę chowano, dopiero po śmierci oddano ją św. patryarsze [1]. Dzielny Balduin był rodem z Beauvais, sławnego miasta; on to walczył z wężem za to, że mu brata pożarł. Takiej walki żaden chrześcijanin nie widział i takiego zwycięstwa, przez które 700 jeńców z wojska

[1] Odnosi się to widocznie do Raimonda młodszego syna znanego nam już Guillaume'a z Akwitanii, który otrzymał za żonę Konstancyą wnuczkę Boémunda, a z nią księstwo Antyochii. Było to 1136; wśród ustawicznych walk panował aż do 1149, kiedy to zginął w bitwie przeciw Nureddinowi. Autor chce w nas wmówić, że pieśń o Jeńcach ułożona była przed 1149, ale dodatek, że chowano tę pieśń jak długo żył nieznany jej autor, rzekomo w Antyochii kanonią wynagrodzony, każe nam wątpić o prawdzie tego zapewnienia. Żongler zapomniał też powiedzieć, komu patryarcha tę pieśń następnie wręczył!

Piotra pustelnika, wyzwolonych zostało od kajdan, powrozów, od ciężkich robót.

Panowie, rzekł Corbaran, widzę,ześmy zbłądzili, ale dalej już dzisiaj nie pojedziem. Jestem zmęczony. Ryszardowi otworzyła się rana, którą od Goliata otrzymał, to też stracił krwi dużo i jechać nie może. Tutaj zanocujemy, ale strzeżcie się przed wężem, czuwajcie z mieczem w ręku, jeżeli zginąć nie chcecie. — Panie, rzekł Harpin, jeżeli wąż przyjdzie, świat od niego uwolnimy. — Na Mahometa, bardziejbym się z tego ucieszył, jak z czterech miast darowanych.

Noc była ładna, nasi czuwają, a ja wam tymczasem powiem, jak to było z królem Abrahamem. Wąż mu zniszczył całą ziemię, z 15.000 Turków, których przeciw niemu wyprowadził, mało który przy życiu został. Więc udał się do Sułtana z prośbą o pomoc, a ten sam wyruszył na czele 60.000 Turków. Wszyscy się z tego cieszyli, ale Jezus tak sprawił, że zanim Sułtan przybył z tysiącami, sam jeden chrześcijanin węża pokonał, a przez to 700 jeńców wyzwolił.

Panowie, historya ta jest prawdziwą, o Balduinie, którego Jezus przez Ducha św. tak oświecił, taką mu dał przeciw wężowi siłę, że się pomścił za śmierć brata Ernolda, który także był jeńcem z armii Piotra pustelnika. Pieśń tę kazał ułożyć dobry książe Raimond i bardzo ją lubił.

Panowie, dobrzy chrześcijanie, słuchajcie dla miłości Bożej. Opowiem wam, jak wypoczywa król w ogrodzie, jak jedzie Sułtan z wojskiem i co się tymczasem stało. I to wszystko prawda, nie kłamstwo, bo świadczy o tem historya, której ja nie sfałszuję. *L'estoire le tesmoigne qui ja nen iert fausés* (p. 217) [1].

Oto wiedźcie, że pomiędzy jeńcami z wojska Piotra pustelnika był Ernold, sprzedany następnie jednemu z emirów. I on był wiązany, kajdanami skuty, nosił ciężkie kamienie, ciągnął wóz, jakby wół zaprzężony. Tak ich męczono od rana do wieczora, a kto dobrze nie ciągnął, był rzemieniami w kij wiązany, bity po plecach i bokach. W końcu nabrał do niego emir zaufania i wysłał na św. Jana z roczną dla Sułtana daniną. Za powrotem obiecał mu być przyjacielem i dobroczyńcą, ale napominał, aby strzegł się węża

[1] Można tutaj zaznaczyć, że żongler właśnie wtedy najbardziej zapewnia o prawdzie i na historyą się powołuje, kiedy najbardziej zmyśla.

na górze Tigris i objechał ją zdaleka na lewo. Pokornie podziękował Ernold Saracenowi i wesoły wybrał się w drogę, nie przeczuwając, że trzeciego dnia nie dożyje.

Już dwa dni był w drodze, nadszedł dzień trzeci, zamglony tak, że Ernold stracił drogę i prosto jechał ku wężowi, który był zgłodniały. To też, ujrzawszy rycerza i osła, podniósł się i ku nim się skierował. Zrozumiał Ernold niebezpieczeństwo, pobożnie się modlił i trawkę w miejsce hostyi spożył. Następnie celnie z łuku do potwora strzelił, ale złamała się stalowa strzała na jego skórze. Dobył miecza, ale i miecz się złamał. Wąż ogonem zabił osła, Ernolda chwycił w paszczę i rzucił w powietrze, następnie pogruchotanego chwycił w zęby, osła w pazury, jednego i drugiego do jaskini unosząc. Ernold żył jeszcze i wołał w niebogłosy o pomoc, modlił się do Matki Boskiej, do św. Mikołaja. Krzyk ten usłyszał Corbaran i zwrócił nań uwagę baronów. Wsłuchali się. Balduin głos brata rozpoznał.

Balduin, strasznie rozżalony, udaje się do Corbarana i prosi go, aby mu pozwolił walczyć z potworem. Corbaran pozwolenia odmówił, bo nie chce go na pewną śmierć wysyłać. Ponowił swą prośbę Balduin raz, drugi i trzeci, ale napróżno. Przeto Harpin wstawił się za nim, ufny w dzielność swego przyjaciela. Zgodził się teraz Corbaran, a Balduin z wdzięczności do nóg mu chciał upaść. Zbroił się. Harpin mu pomaga, następnie biskupa z Forez prosi, aby wysłuchał go spowiedzi i odpuścił mu grzechy. Uczynił to biskup przy krzaku dzikiej róży. Balduin krzyżem na ziemię się położył, twarzą ku wschodowi, o odpuszczenie grzechów błagając. Balduinie, rzekł biskup, sumienie twoje czyste, a za pokutę nigdy nie przebaczaj Saracenom. A gdy przybędziesz do miasta, gdzie Jezus cierpiał za nas mękę, będziesz w kościele służył rok i dni piętnaście. Następnie kazał sobie przynieść chleb, odśpiewał nad nim mszę i Balduina komunikował. Błogosławił rycerza także opat z Fécamp i dał mu list, który zawieszony na szyi, chroni od śmierci [1]). Nikomu dotąd tego listu nie dał. Ucałował Balduin swych druhów po kolei, a biskupa prosił i opata, aby się za niego modlili, poczem udał się na górę.

[1]) Opat ten dopiero w tej pieśni jest dodany. Można przypuszczać, że chodziło poecie o pochlebienie temu bogatemu opactwu. Być też może, że to opactwo szczyciło się posiadaniem podobnych listów.

Góra była stroma, ścieżka cierniem zarosła, kamieniami zawalona. Jechać na koniu nie było można, trzeba było iść pieszo ciągle pod górę. Męczył się Balduin w ciężkiej zbroi, wypoczywał i znów szedł dalej pomiędzy dzikiemi skałami wśród gadzin.

Słuchajcie panowie sławnej pieśni, od czasu Salomona nikt lepszej nie ułożył ani słyszał. Dowiecie się, jak Bóg, gdy zechce, w sercu jednego człowieka może obudzić więcej dzielności, niż jej okazało 10.000 Saracenów. Wyszedł Balduin na górę, stanął na skale, ogląda się, węża nie widzi. Woła do Boga, aby mu go pokazał. Oto zjawia się św. Michał w postaci gołębia i mówi mu: miej otuchę przyjacielu, ten, który Longinowi przebaczył i Łazarza ze śmierci wskrzesił, ten ci da zwycięstwo nad potworem. Spał teraz potwór, obciążony żerem, bo zjadł całego Ernolda, tylko głowę zostawił. Poczuwszy bliskość Balduina, obudził się, najeżył się ze złości, drapał skałę pazurami, z otwartą paszczą na rycerza ruszył. Ten z łukiem w ręku na niego czekał, następne zaklęcie na niego rzucając: Potworze, w imię barona św. Dyonizyusza, w imię barona św. Maurycego, w imię barona św. Wawrzyńca, upieczonego na rożnie, w imię św. Leonarda, który z więzów wyzwala, w imię św. Mikołaja i barona św. Egidyusza z Prowancyi i barona św. Jakóba z Galicyi i w imię wszystkich św. Apostołów i św. Grobu i w imię nieba i ziemi, zaklinam cię, abyś nie miał siły ani odwagi, aby mnie pożreć, albo okaleczyć! Tak zakląwszy, puścił strzałę, ale niestety, odbiła się od skóry, jakby od kamienia. Potwór teraz zaryczał, że aż góra cała odbrzmiewała, a Corbaran sam się przestraszył i jego drużyna. Corbaran był gotów zaraz uciekać, ale baronowie rozpoznali, że było z ich strony niegodnem, Balduina samego puścić na taką walkę. Wstydzili się tego, Jan z Alis mówi, aby choć teraz pośpieszyć. Wszyscy się na to zgodzili, a Corbaran nie tylko uległ ich prośbom, ale obiecał im towarzyszyć i zabrać z sobą 400 żołnierzy.

Idą na górę, a Balduin walczy. Potwór już go pazurami dosięgnął, tarczę mu rozbił, pancerz rozdarł, ciało mu na jednym boku rozszarpał aż do kości. Zachwiał się baron, ale zasłaniał się mieczem. Satanas miecz zębami uchwycił i oto co się stało przy pomocy Boga, św. Mikołaja, Michała archanioła i św. Gerwazego. Przegryzł wprawdzie miecz, ale ostry koniec utkwił mu w podniebieniu. Rzuciła mu się krew z gardzieli, z czego się Balduin bardzo ucieszył. Więcej się stało! bo pod wpływem owego zaklęcia

i tej rany, ów dyabeł, który mieszkał w wężu. wyszedł teraz z niego w postaci kruka. Zachwiał się Satanas, tak się czuł zaraz osłabionym, a Balduin bije go drugim mieczem po uszach, po bokach. Wąż nie mogąc zębami, broni się ogonem i tak nim wali po tarczy, że Balduin mało nie upadł; pazurami tarcz rycerzowi rozerwał do reszty. ale już nie miał dyabła w sobie. już osłabiony był krwi upływem. Wreszcie omdlał, a korzystając z tego Balduin, wpakował mu miecz do gardła, do wnętrzności. Chciał przebić mu serce, ale było za twarde. więc tylko płuca i wątrobę mu przedziurawił. ale już od tego wąż się wyciągnął i duszę wyzionął. Niech ją dyabeł zatrzyma. Teraz i Balduin omdlał od ran i krwi upływu. a odzyskawszy przytomność, zobaczył głowę brata, którą całował ze łzami, opłakując śmierć jego. Już on Grobu świętego nie zobaczy. jak sobie obiecywał, kanał św. Jerzego przepływając; już nie zobaczy ładnego miasta Beauvais, ani żony. ani dzieci, które tam zostawił! Ach jakie nieszczęście!

Teraz wam opowiem o Corbaranie i innych baronach. Zbroją się i na górę ruszają. Ale oto ów dyabeł, który wyszedł z węża. sprawił im wielką burzę i zamieszanie, tak że wszyscy poupadali. Dopiero gdy ich przeżegnał opat z Fécamp i sam biskup także. uspokoiła się burza, a dyabeł do rzeki się rzucił. w której przepadł. Nikt nie wie, co się z nim stało.

Idą baronowie na górę, także biskup i opat, z nimi Corbaran i jego żołnierze. Corbaran okazał się dobrym rycerzem, Bóg go polubił, on zaś później się ochrzcił wraz z 20.000 Turków. Matka jego Calabre tak się o to gniewała, że o mało nie umarła. Idą baronowie po jednemu, bo inaczej nie mogą. Słońce im dokucza. ale już weszli na górę. Zobaczył ich Balduin i bardzo się ucieszył. Tak był od ran i krwi upływu osłabiony, że sam nie byłby zeszedł. Jezus ich tu przyprowadził. Biskup go całuje i opat także. wszyscy się radują, że go żywym znaleźli, on wszystkim dziękuje.

Teraz udali się do Oliferne, stolicy Corbarana. Z pewnością było im tam bardzo dobrze. Wypoczywają po trudach podróży. tylko Harpin z Bourges wsiadł na konia, aby zobaczyć okolice miasta. Słuchajcie panowie, jakie tam miał przygody. Jechał na lewo od murów, wzdłuż łąki, na brzegu rzeki, gdzie się chłopcy kąpali. Między nimi był siostrzeniec Corbarana, bardzo od wszystkich kochany. Nauczyciel go zostawił śpiącego na płaszczu pod drzewem oliwnem, a sam przypatrywał się zabawom kąpiących się.

Cóż się nie stało! Wilk potężny, Papionem zwany, wybiegł ze skał i porwał chłopca. Spostrzegł to hrabia Harpin, za wilkiem pogonił w góry, trzy mile go ścigał. W mieście rozruch, wielu wsiadło na konia, aby ścigać zwierza, bo Corbaran i matka jego rozdzierają na sobie suknie, wyrywają włosy z żalu i gniewu.

Trzy mile ścigał Harpin zwierza, ale bezskutecznie. Aż tu duża małpa, której się chłopiec podobał, schodzi z drzewa i wydziera go wilkowi. Wilk był zmęczony, puścił chłopca, którego małpa zaniosła na wysokie drzewo, aby się z nim bawić. Harpin zesiadł pod drzewem, chłopiec go zobaczył i wołał o pomoc, obiecując wyrzec się Mahoma i Tervaganta, a ochrzcić się w Jordanie, jeżeli go wybawi. Harpin go zapewnił, że go Matka Boska nie opuści, sam jednak zaniepokoił się, bo już zmrok zapadał, a on nie wiedział, gdzie się znajduje.

Gdy tak narzekał i modlił się, oto cztery lwy na niego wychodzą. Przestraszył się hrabia, modlił się jeszcze goręcej, potem mieczem zakreślił koło i krzyż w okrąg siebie i konia i rzeczywiście lwy koła tego za sprawą Boga przestąpić nie śmiały. Teraz zaklął je aby odeszły, w imię św. Hieronima, który choremu lwu cierń z nogi wyciągnął. Słysząc to święte imię, lwy uciekły pospiesznie.

Czekał hrabia pod drzewem noc całą, a dopiero o świcie małpa schodzić zaczęła, unosząc chłopca. Teraz jej go hrabia odebrał, ale rozjuszone zwierzę długiemi ramionami bić go zaczęło, za włosy targać, tarczę wydarło, kłami ją pogryzło, połamało i dopiero uciekło, gdy mu Harpin ramię odciął.

Szuka hrabia dalszej drogi, ale jej znaleść nie może. Ciernie go ranią ze wszystkich stron aż do krwi, koń jego zmęczony, więc zobaczywszy trawę, tam się zatrzymał w dolinie, aby koń się pożywił. Tutaj rozmyślając, spostrzega o wschodzie słońca, a było to w lutym, 10 opryszków pędzących 20 wielbłądów, 10 wołów 5 koni objuczonych. Wszystko to zabrali dziewięciu kupcom, których zamordowali, łupy tutaj w pustkowiu ukryć zamierzając. Pięciu z nich było dobrze uzbrojonych, bo to byli rycerze, których Corbaran wydziedziczył i wypędził. Oddali się tedy rozbojowi i bardzo w tem zasmakowali. Gdy zoczyli chłopca, zaraz go zabrali, a Harpina wezwali, aby się poddał, jeżeli nie chce być rozsiekanym. Modlił się Harpin i niezwłocznie najmłodszemu z braci głowę uciął, potem dwu sługom jeszcze, w końcu uciekać zaczął. Ścigają

go. konia pod nim strzałami zabili. Pod skałą stanąwszy, broni się hrabia, żegna się w myśli ze swymi towarzyszami. Pyta go najstarszy z braci: kto ty jesteś wasalu? On opowiada swą historyą, jak sprzedał hrabstwo Bourges królowi Francyi, aby się do Ziemi św. wybrać i wszystko co mu się następnie przygodziło. Saracen nie czuł się tem wzruszony, bo mu zabił brata i dwu ludzi; zabije także chłopca, bo Corbaran jest jego wrogiem, wyzuł go ze wszystkiego, na banicyą skazał. — Na to Harpin: jeżeli chłopca zabijesz, postąpisz jak szalony, ponieważ przez niego wszystko odzyskać możesz, coś stracił; co do mnie, to ślubowałem nigdy się nie poddać, więc niech mi pomoże ten, który za nas cierpiał na krzyżu i od Longina przebity został.

Rozpoczyna się strzelanie do Harpina, który się broni, jak może. Ale oto nadjeżdża Corbaran z 1000 Arabów. Całe to pustkowie zjeździli, najprzód za śladem małpy, potem konia, a w końcu za trzema jeleniami, które im drogę wskazywały, aż tutaj przybyli do skały. Białe były jelenie, ładne i rogate, panowie, to byli trzej święci: Jerzy i Bartłomiej i Dominik. — Harpin jest ocalony, bracia rozbójnicy uciekli, schronili się do obronnej jaskini, gdzie mają nagromadzone zapasy i bogactwa, gdzie przebywają ich żony i dzieci. Ściga ich Corbaran, zapowiada, że ich wszystkich powiesić każe. Oni widząc, że są zgubieni, obiecują królowi wydać chłopca, okupić się czterema końmi, złotem objuczonymi, stu sztukami greckiego jedwabiu. Panowie baronowie, wstawcie się za nami! — Corbaran dał się ułagodzić, przebaczył im, ale wszystko to dla siostrzeńca uczynił. Złoto podarował Harpinowi, poczem wszyscy wrócili do Oliferne.

Przywitali Harpina towarzysze, a on do nich: teraz pośpieszymy do Grobu! — Na to Ryszard: przyłączmy się do armii, do Roberta z Normandyi, Boémonda, Tankreda i innych baronów, pomożemy zdobyć Jerozolimę, Turków będziemy zabijali. — Harpin odpowiada: na święto Wniebowstąpienia! Więc ty nie tęsknisz, Ryszardzie, aby zobaczyć i ucałować Grób święty i ową świątynię przez Salomona zbudowaną? Co do mnie, niech ciało zginie, byle dusza ocalała! — Na to wszyscy Francuzi: Harpinie! do Grobu św. ruszajmy!

Corbaran był szlachetnym Saracenem. Wszystkich chrześcijan zaopatrzył w pancerze, hełmy, dobre miecze i lance. Matka jego dała im konie, namioty, ubrania, naczynia, wyznaczyła admirała,

(emira), aby ich bezpiecznie aż do celu zaprowadził. Corbaran dał im listy do króla Jerozolimy, który jest jego wujem i do syna jego Cornumaranta [1]). Wsiedli na konie. Corbaran towarzyszył im pięć mil daleko, poczem wrócił do Oliferne. Tak Bóg wyzwolił jeńców naszych, z więzienia ich wydobył. Wielka jest moc jego, kto mu ufa, ten nie może być zgniecionym!

Et no caitif chevalcent que Dex a delivrés
Et getés de la chartre, tes fu sa poestés,
Qui en lui a fiance ne peut estre grevés (p. 270).

Wesoło jadą nasi pielgrzymi przez ziemie saraceńskie, przez Armenią, Syrią, przez dolinę Bacaire, przez Eberie i Balaquin i Helemane; 15 dni trwała ich podróż, aż nad Jordan przybyli w sobotę rano, gdzie zostali przez dzień cały i kąpali się w rzece. Tutaj pożegnał się z nimi emir, który im towarzyszył. Hrabia Harpin kazał pozdrowić króla Corbarana, a sam z druhami prosto do Jerozolimy się skierował.

Było to w niedzielę o świcie, gdy wysłuchawszy mszy w ogrodzie świętego Abrahama, gdzie jak mówi historya, Chrystus odbył post czterdziestodniowy, wsiedli na konie i w drogę ruszyli. Przy Czerwonej cysternie natknęli się na 500 Turków, z Jerozolimy wysłanych, aby szukali pomocy u admirała Arabii, u króla Iberyi, u Corbarana. Bo w Jerozolimie przestraszyli się, słysząc, że już na nich jedzie z Antyochii Boémond i Robert z Normandyi i Hugo duży, już o milę od miasta rozpięli namioty. Zanim wieczór nadejdzie, nasi baronowie ciężką stoczą walkę w dolinie Józefata z pogańską tłuszczą, która Boga nie czci, ani syna świętej Maryi.

Jadą nasi pielgrzymi przez dolinę, na czele pan Harpin z Bourges, który ślicznie siedział na koniu i ładną miał zbroję. Zacni rycerze, mówi, ci Turcy nas chcą najechać, pokażcie się dobrymi wasalami, wspomnijcie o mękach, jakich od pogan doznaliśmy! — Odpowiedzieli wszyscy Francuzi: niech no sprobują!

Jadą nasi jeńcy, Harpin chorągiew dzierży. Boże, jaką ładną miał zbroję, miecz dobry przy lewym boku, na tarczy lew malowany! Pyta ich Turek, który się naprzód wysunął: Ca wy za jedni? Czy wierzycie w Mahoma, Apolina, Jupina i Baratona? — Na to

---

[1]) Postaci te poznamy w poemacie o Jerozolimie. W ten sposób poemat o Jeńcach zapowiada i przygotowuje poemat następny.

Harpin: nie baj ladaczego, a Francuzi: bijmy ich panowie! Złożyli lance, najeżdżają, kłują, aż się drzewce połamały. Wyciągają miecze, każdy swemu Turkowi łeb ucina, albo nogi, albo im przekłuwają boki, płuca, wątrobę. Ze wszystkich pogan jeden tylko został przy życiu, który do Jerozolimy uciekł, aby zawiadomić o klęsce. Byliby zginęli Ryszard i inni jeńcy (chétifs) gdyby ich Bóg nie miał w swej opiece.

Turek ocalony, który uciekł, nie zatrzymał się aż w Jerozolimie, w głównej ulicy, przy wieży Dawida. Król grał w tabliczki (*tablettes*) otoczony admirałami. Gdy się dowiedział, że jego poselstwo wyginęło, bladł i czerwienił się, za brodę się targał. W bębny uderzyć kazał, 50.000 wojska zebrał. Zły dzień mieć będzie Ryszard i jego towarzysze niewoli, jeżeli im Bóg nie pomoże.

Cornumarant bogatą przywdziewa zbroję, na której malowany jest Mahom i błyszczy w środku karbunkuł. Wsiada na szybkiego konia, który 15 mil biegł bez ostrogi, staje na czele 50.000 zuchwałych pogan, którzy się zebrali przy świątyni Salomona. Jedzie także Ryszard i jego towarzysze, chyba na śmierć jadą. Ale Bóg ich ocalił i jego imię najświętsze. Kto jemu ufa, zawsze dobrze wyjdzie.

Mais Dex les a gari par son saintisme non.
Qui en lui a fiance ja n'aura se bien non.

Uwagi o pieśni *Les Chétifs*.

Przedmiot tej pieśni, los jeńców chrześcijańskich w niewoli saraceńskiej, mógł zaciekawiać słuchaczy francuskich w okresie wypraw krzyżowych. Jeńców takich była liczba wielka. Wszakże już większa część tłumów prowadzonych przez Piotra dostała się do niewoli, a nie sądźmy, aby z armii prowadzonej przez Godfryda i towarzyszy jego, niejeden przez Saracenów ujęty nie został. Hugo li Maine brat króla, wysłany z Antyochii w poselstwie do Konstantynopola, stracił w drodze wszystkich ludzi i z trudem sam do Bizancyum się dostał. — Mówiło się już o wyprawie z roku 1101, prowadzonej przez Stefana z Blois, Guillaume'a Akwitańskiego, Stefana księcia Burgundyi, Guillaume'a hrabiego Nevers, Hugona dużego, arcybiskupa medyolańskiego Anzelma, hrabiego

Parmy, Welfa, księcia bawarskiego i wielu, bardzo wielu innych znamienitych baronów. Liczyła ta wyprawa najmniej 300 tysięcy ludzi, pomijając zastępy kobiet, między któremi znajdowała się Ida, margrabina austryacka. Wiemy już, jaki był los tej wyprawy: nie wielu tylko ledwie żywych dostało się do Antyochii, nie wielu też w sromotnej ucieczce ocalenie w Konstantynopolu znalazło, armia cała albo wyginęła, albo też do niewoli się dostała. Zginęła także margrabina Ida. Mimo to, owe niedobitki z Antyochii i z Konstantynopola starały się dostać do Ziemi św., aby ślubu dopełnić, uczcić grób Chrystusa. Uczynili to, już się zabierają do powrotu morską drogą, gdy dzielny, ale zbyt porywczy król Balduin przyłączył ich do swego nielicznego hufca, z którym najechał na przemożne zastępy Saracenów pod Ramle. Wiemy już, co się stało; został otoczony, sam się przedostał, ale ledwie z życiem uciekł w nocy i to przy pomocy Saracena, który mu się chciał odwdzięczyć za ocalenie żony, a drożyn górskich w tamtej okolicy bardzo był świadomy. (Zob. Wilh. Tyrensis X. c. 21). Natomiast wszystko rycerstwo albo zginęło (między tymi był Stefan z Blois), albo do niewoli wzięte zostało. Taki sam los spotkał, jak wiadomo, całą wyprawę z roku 1147, która także w małej tylko części do Ziemi św. dotarła.

Tak więc liczni byli jeńcy, którzy w niewoli saraceńskiej jęczeli. Poeta nasz wymienia z nich sześciu, oprócz biskupa z Forez i opata z Fécamp. Mieli oni należeć do zastępów prowadzonych przez Piotra z Amiens, a dostali się do niewoli pod Civetot. Sam Corbaran zabrał ich dla siebie i zapędził do Oliferne. Los ich był srogi, ale dzielność tak wielka, a pomoc Chrystusa tak skuteczna, że zawstydzili Saracenów we własnej ich stolicy, Corbarana od sromotnej śmierci ocalając. Za to obdarzeni wolnością, po różnych przygodach przybyli pod Jerozolimę właśnie w tej chwili, kiedy z drugiej strony zjawiły się tam straże przednie armii chrześcijańskiej, prowadzonej przez Godfryda z Bouilon i jego towarzyszy. Od razu też wzięli, jak to zobaczymy, znakomity udział w potyczce z Saracenami.

Pytanie teraz, o ile się te przygody zgadzają z prawdą? Bez długiego rozmysłu odpowiemy na to, że ów straszny wąż Satanas, raczej do krokodyla podobny, boć ma nogi i pazury i paszczę i twardą skórę, ale na górze mieszkający, jest wymysłem naiwnym, reminiscencyą smoków starożytnych, ale skombinowaną z niejasnemi

wiadomościami o krokodylach. W Syryi ich nie ma, w Egipcie krzyżowcy nie byli jeszcze, ale byli dość blisko, aby zasłyszeć coś o tamtejszych potworach. Od słoni natomiast wziął żongler uszy duże jak tarcze, któremi opatrzył Satanasa. Także ów groźny wilk Papion, który chłopca porywa i pozwala małpie sobie go odebrać, albo owe lwy, które nie śmią przekroczyć magicznego koła, nie wzbudzają w nas ani wiary, ani przerażenia. Widocznem jest, że poeta chce słuchaczom coś powiedzieć o dziwach Wschodu, ale nie znając go, nic prawdziwego a ciekawego zarazem powiedzieć nie umiał, podaje naiwne wymysły, obliczone na równie naiwnych słuchaczy.

Przygody rycerskie, opisane w poemacie, z pewnością nie są prawdziwe, ani prawdopodobne, ale może przywiązane są do osób prawdziwych, które wsławić miały? Rzeczywiście, znajdujemy jednego z nich wymienionego kilkakrotnie u historyków. Jest nim Harpin de Bourges. *Tunc Harpinus Bituricam urbem Philippo regi Franciae vendidit et cum Goscelino de Cortenaia et Milone de Braia iter Hierusalem iniit.* Tak pisze Ordericus Vitalis: Hist. eccles. X[1]. Odo Harpinus ożeniony był w Bourges, gdzie objął wicehrabstwo r. 1092. Nie mając dzieci, sprzedał je królowi roku 1100 lub 1101 i wyprawił się do Ziemi św. Miał ze sobą dwu rycerzy: Goscelina de Cortenaie i Milona z Braie, a przyłączył się do hufców Hugona, brata królewskiego[2], Gaufreda hrabiego Vendosme i Guilleaume'a Akwitańskiego. Wiemy, że cała ta ogromna armia w Azyi mniejszej zupełnie zniszczoną została. Hugo umarł w Tarsie, a Wilhelm pieszo do Antyochii się dostał. Z nim razem prawdopodobnie Harpin. To też i on zwiedził Jerozolimę, ale gdy książę Akwitański już do Europy odpłynął, Harpin został w Syryi, bo wziął udział w nieszczęśliwej bitwie pod Ramle, o której już wyżej była mowa, gdzie się dostał do niewoli wraz z Milonem de Braie, Guillaumem Sine-habere, bratem jego Szymonem i innymi. Zaprowadzono go do Babilonii, gdzie zostawał lat kilka i oto jak został uwolniony: Przybyli do Babilonu kupcy bizantyńscy z towarami, gdzie opłaciwszy się sułtanowi, przebywali czas dłuższy, odwiedza-

[1]) Rec. des. hist XII, p. 685. Wszyscy inni historycy krucyat piszą o jego dzielności i pojmaniu.

[2]) Był to ten sam Hugo, o którym już mowa była, hrabia Vermandois, zwany przez kronikarzy *magnus*, przez poetę *li Mains*, co jako *duży* rozumieć należy.

jąc kościoły, ubogich chrześcijan i jeńców. Przez nich zaniósł Harpin prośbę do cesarza Alexego, aby go z niewoli wydobył. Cesarz zażądał od emira, aby jeńcowi dał wolność, bo inaczej mścić się będzie w całem swem państwie na poddanych babilońskich. Wnet Harpinus, uwolniony i obdarzony hojnie, przybył do Konstantynopola, aby cesarzowi dzięki złożyć. Stąd udał się do papieża Paschalisa, który mu poradził porzucić życie świeckie. Poszedł za tą radą Harpinus i wstąpił do klasztoru w Clugny. — Prawdziwe przygody jeńca przedstawiają się tedy inaczej, aniżeli je opisał poeta. Nie należał on bynajmniej do wyprawy Piotra z Amiens, nie pod Civetot dostał się do niewoli, lecz dopiero w sześć lat później pod Ramle. Wolność otrzymał nie wskutek zwycięskiej walki towarzysza niedoli, lecz wskutek pośrednictwa cesarza Alexego. Z niewoli oswobodzony, nie pod Jerozolimę pospieszył, lecz do Europy powrócił, aby się zamknąć w klasztorze.

Nazwisko innego z wymienionych jeńców, Ryszarda de Caumont, u historyków wypraw krzyżowych nie jest znane, lecz znajdujemy w kronice klasztornej pod tytułem: *Gesta Seheri abbatis Calmosiancesis* [1]). Zapisane tam jest jako imię świadka w sporze opata z jednym z baronów o donacyą. Było to wnet po roku 1101. Z tego by wynikało, że ów świadek nie mógł być towarzyszem Harpina i nie wiadomo, czy był wogóle w Ziemi św. Nazwiska innych jeńców są historykom oraz kronikarzom ówczesnym nieznane.

Tak więc pieśń o Jeńcach ma jedyne oparcie w rzeczywistości w Harpinie z Bourges i jego niewoli. Oparcie to odnosi się raczej do jego nazwiska, aniżeli do charakteru i przygód prawdziwych. Przypisane jemu i jego towarzyszom przygody, są zmyślone od początku do końca, ale mimo to są pouczające, bo przedstawiają nam stan umysłowy poetów owego czasu i słuchającej ich publiczności. Śpiewali o tem, co ich samych zajmowało i co mogło zajmować słuchaczy. Zasadniczem ich przekonaniem jest wyższość chrześcijaństwa i jego wyznawców nad Saracenami. Jeden rycerz zwycięży dwu najdzielniejszych muzułmanów. Jeden rycerz pokona potwora, przed którym 10.000 Turków uciekło. Tylko rycerz chrześcijański nie ulęknie się ani wilka Papiona, ani małpy, ani czte-

---

[1]) Recueil des hist. XIV p. 125. Opactwo to należało do dyecezyi Tulle w południowej Francyi.

rech lwów, ani gromady rozbójników. Takie dobre rozumienie o dzielności rycerstwa chrześcijańskiego byłoż uzasadnione? Nam się zdaje, że tak. Historya rycerstwa średniowiecznego nie ma może kart świetniejszych, jak wiele z tych, z których się składa historya wypraw krzyżowych. Rozważając te walki, widzimy, że bardzo często stosunek sił był bardzo nierówny. Jeden rycerz stawał zwycięsko przeciw dziesięciu, a nawet dwudziestu Saracenom, a jeżel Baldwin I. pod Ramle poniósł tak srogą klęskę, to dla tego, że w 200 koni uderzył na 10.000.

Wszelako wyższość ich płynie tylko w części z osobistej ich dzielności, w znacznie większej mierze zależy od łaski i pomocy chrześcijańskiego Boga. Tak ich uczyła religia, tak oni sami odczuwali, tak śpiewak rzecz tę przedstawia. Gorąca wiara, umartwienia, spowiedź, pokuta, nabożeństwa, są najskuteczniejszymi do osiągnięcia tej pomocy sposobami. Zaznaczamy atoli, że używają także zaklęć, jak Baldwin z Beauvais wobec potwora, używają listów cudownych, które od śmierci chronią, jak talizmany; zakreślają koła magiczne, których cztery lwy przekroczyć nie śmią. Toby znaczyło, że wiara owych ludzi silnie przesiąknięta jest pogańskiemi przymieszkami.

Pytanie, która wiara jest lepszą, zajmuje wszystkich ludzi owego czasu. Świadczą o tem poematy, które tu rozbieramy, a w których i Saraceni są tem pytaniem zajęci. Przypominajmy sobie przestrogi starej Corsable, jakie dała synowi: rycerze chrześcijańscy są niezrównani, Chrystus jest potężniejszy od Mahoma. Cały poemat o Jeńcach ma być niejako nowem potwierdzeniem tego przekonania. Że to pytanie zajmowało wiele ówczesnych umysłów, o tem przekonywają nas liczne pisma ówczesnej literatury, liczne zapiski u kronikarzy. Jedno z takich świadectw tutaj przytoczymy: Około roku 1080 Manasse I, arcybiskup z Reims, wraz z biskupami z Beauvais i z Tarentu i innymi towarzyszami, dostali się w niewolę sułtana z Babilonu. Tam znaleźli dawniejszego już jeńca nazwiskiem Ursé, biskupa z Bari, który męczony przez Saracenów, wyrzekł się wiary i został muzułmaninem. Ze złośliwości teraz namówił sułtana, aby nowych jeńców poddał próbie niebezpiecznej. Niech udowodnią cudami wyższość wiary swojej, albo niech zginą wszyscy. Przerazili się jeńcy takiem żądaniem, zwątpili o sobie, z wyjątkiem bardzo świętego pustelnika Guillaume'a. Ten prosił o trzy dni czasu do przygotowania się, modlił się i pościł, nakazał

modlitwy i posty towarzyszom, a następnie zdziwił cudami Saracenów. Sułtan hojnie obdarzył wszystkich jeńców i puścił ich wolno[1]). Moglibyśmy powiedzieć, że jak tutaj Guillaume dowiódł wyższości chrześcijaństwa świątobliwością, tak Ryszard z Caumont orężem. Nie sądzimy, aby którykolwiek sułtan saraceński uczynił zależnym los którego ze swych emirów od pojedynku chrześcijańskiego rycerza; nie umiemy też zapewnić, o ile wyżej podana przez kronikarza wiadomość o Guillaumie pustelniku zgadza się z prawdą, ale jedno i drugie przedstawia doskonale stan umysłów owego czasu.

Wypada nam teraz zająć się pytaniem o autorstwie poematu. W tekście samym znajdujemy ustęp następny:

Li bon princes Rainaud qui la teste ot colpée
Que Sarasin ocirrent, la pute gent desvée,
(Antioche en remest dolente et esgarée,
La terre en fu perdue que Franchois ont gardée;
Onques puis par nul home ne fu si amontée,
Bien doit s'arme estre salve et devant Deu portée)
Ceste canchon fist faire, c'est verités provée.
Quant l'estoire l'en fu devant lui aportée,
Chil qui la canchon fist en ot bone soldée,
Canoines fu saint Perre et provende dorée.
Tant com li clers vesqui fu la canchon gardée,
Et quant il dut morir et l'arme en fu alés,
Al sainte patriarche fu la canchon livrée [2]).

Mówi nam tutaj poeta, że pieśń tę kazał napisać dobry książę Renaud, który miał głowę uciętą, którego zabili Saraceni, podły naród niewierny: Antyochia wskutek tego popadła w żal i strapienie. Straconą została ta ziemia, którą Francuzi dzierżyli. Odtąd już jej żaden człowiek tak nie podniósł. To też dusza jego pewnie jest zbawioną i zaniesioną do Boga. Gdy mu tę historyę przedłożono, ten, który napisał tę pieśń, dobrą otrzymał zapłatę. Został kanonikiem u św. Piotra (w Antyochii) i złotą prebendę otrzymał. Jak długo żył ten kleryk, pieśń była niedostępną, a gdy umarł i dusza jego odeszła, wtedy pieśń tę wydano świętemu patryarsze (w Antyochii).

---

[1]) Hist. litt. de la France VIII p. 639.
[2]) Ed. Hippeau II. p. 213.

W następnych wierszach znowu jest wzmianka o pieśni i o księciu.

Li bons princes Raimons, qui ceste estoire ama
Fist faire la canchon et riens n'i oblia (l. c. p. 217).

Dobry książe Rajmund, który lubił tę historyę, kazał pieśń tę napisać i niczego w niej nie zapomniał (sic!) To znaczy chyba, że nic w niej pominąć nie kazał. Tego księcia już znamy, rządził w Antyochii od 1137—1149. Wymienił go pisarz hiszpański jako tego, który wezwał Ryszarda pielgrzyma do napisania pieśni o Antyochii. Podług autora Jeńców, miał on także spowodować napisanie tej właśnie pieśni, za co wynagrodził autora złotą prebendą i kanonią u św. Piotra. Autor ten wymieniony nie jest, a najbliższe przypuszczenie jest to, że był nim ktoś inny, nie Ryszard pielgrzym. Ale ten ktoś inny pisał także z polecenia księcia Rajmunda, jak to dalej czytamy, tego samego księcia, który kazał napisać poemat o Antyochii, o czem już nam hiszpański autor powiedział. Podług przytoczonego wyżej świadectwa, byłby to dziwny człowiek, który napisawszy poemat hojnie nagrodzony, trzymał go w ukryciu aż do swojej śmierci. Czy na to piszą się poematy, na to się nagradzają przez książąt? Wiadomość ta wydaje się nam bardzo podejrzaną. Ona nie przeczy wprost, że Ryszard pielgrzym jest także autorem tego poematu, twierdzi tylko, że ten autor już nie żyje, a przyznaje, że poemat o Jeńcach pojawił się później, dopiero po śmierci kanonika, który go napisał, a wiadomo, że kanonicy z reguły długo żyją. Ryszard pisał około r. 1140, Graindor około 1180. Pomiędzy temi datami nie ma śladu, aby istniał poemat o Jeńcach. Sądzić stanowczo można, że pojawił się właśnie za czasów Graindora. Czy by to nie on był jego autorem? Ale dla czegoż wymienia księcia Rajmunda? Skąd wie o nim? Wie o nim z poematu Ryszarda o Antyochii, gdzie był wymieniony, a gdzie go on w swojem przerobieniu przemilczał. Przemilczał umyślnie, aby go umieścić w poemacie o Jeńcach, umieszcza go zaś tutaj, aby osłonić ten utwór, całkowicie zmyślony, powagą księcia. O Ryszardzie pielgrzymie nie wiemy, czy był księdzem, ani czy dostał bogatą kanonią w Antyochii, a jeżeli Graindor oznajmia, że autor Jeńców, którego po imieniu nie wymienia, otrzymał tak hojną nagrodę, to czyni to znowuż w tym celu, aby w umysłach słuchaczy podnieść wysoko wartość utworu, oraz ile możności podniecić ich do podobnej szczo-

droty. Wszystko to są przypuszczenia, sądzimy atoli, że one w dalszym ciągu znajdą poparcie.

Zdobycie Jerozolimy[1]).

Pieśń pierwsza.

Uzbroiły się łotry pogańskie w Jeruzalem, a było ich 50.000[2]). Ryszard z towarzyszami jadą na swą zgubę, ale Bóg ich ocalił, bo w nim ufność mają.

Od armii oddzielił się Godfryd z Bouillonu i Robert z Normandyi i Robert z Flandryi i kulawy Robert z Rosoi i z nimi 10.000 rycerzy. Już widzą wieżę Dawida i świątynię i bramę św. Szczepana. Rozpłakali się, całują ziemię, gryzą piasek *(il baisoient la terre, morjoient le sablon)*. Jeden drugiemu mówi: tędy chodził Jezus, jego towarzysze i apostołowie. Przecież wszystkie trudy i głód i pragnienie i wichry i burze i śnieg i mróz, przez jakieśmy przechodzili, przydały się na coś, kiedy oglądamy miasto, w którem Bóg śmierci się poddał dla naszego odkupienia.

Wsiadają na konie, na smycze chwytają i spędzają zdobycz od doliny Józafata aż do góry Syon, od Siloe aż do Betanii, gdzie Bóg Łazarza wskrzesił. Zatrzymali się przy górze Oliwnej. Niezliczona była ilość wielbłądów, wołów i tłustych baranów, którą zabrali. Gdyby to im się udało zatrzymać ją bez straty! Ale aż do wieczora nie jeden nie chciałby tu zostać, nawet gdyby mu Soissons dawano.

Wracają Francuzi ze zdobyczą aż do grobu Maryi w dolinie Józafata. Teraz król Jerozolimy kazał dąć w trąbę na wieży Dawida, a słychać ją było na dwie mile dokoła. Wyjeżdża 50.000 pogan, na czele król Corbadas i syn jego Cornumarant. Chcą odbić zdobycz, a uzbrojeni są doskonale.

---

[1]) La conquête de Jérusalem, ed. C. Hippeau 1868, XLVII, 365, pieśni ośm, wierszy 9135. Wstępu tu nie ma, ponieważ poemat łączy się bezpośrednio z Jeńcami.

[2]) Obrońców Saraceńskich było w Jerozolimie, podług historyków, 40.000 Poeta nie bardzo przesadził.

Straszna była bitwa w dolinie Józafata. a słońce dokuczało. Łamią się lance. dźwięczą miecze po hełmach. ale zbyt liczne są hufce Judasza. Wszelako książę Godfryd przysięga na św. Tomasza. hrabia Flandryi na św. pana Łukasza. że raczej w trumnę się położą. niż oddadzą choć jednego barana. Więc książę woła: święty Andrzeju z Patras! baronowie wołają: Saint Sepulcre! inni: święty Mikołaju! Bijcie baronowie, bo to nie żarty!

Panowie, ciężki to był dzień w owej dolinie! Ileż to ludzi, ile koni padło od strzał pogańskich! Biją baronowie oburącz mieczami. ale słońce praży. pragnienie im tak dokucza. że piją krew i pot koni i ich urynę.

Ciężka była to walka. konie biegają po dolinie. włócząc swe trzewia ze sobą. ziemia pokryta mózgiem i krwią zlana. Francuzi się bronią. choć im ciężko; kto konia stracił. ten pieszo się bije. Patrzą ku górze Oliwnej i widzą drużynę na koniach w zbrojach błyszczących. Robert z Flandryi mówi: to pewnie Arabowie! Na to książę: łupu Turkom nie oddam. na Boga. pókim żywy! Wyślijmy dwu gońców do hrabiego de Saint-Gille i do Tankreda! Niech spieszą z pomocą. jeżeli nas przy życiu chcą zobaczyć!

Wysłano Anteaume'a z Chalons i Fouchiera z Chartres jako rycerzy zaufanych. a tymczasem Turcy nacierają coraz silniej. ale Francuzi się bronią. Godfryd bije. kłuje. rąbie Saracenów. Wnet zabił ich 140. Wołają wszyscy: ach jakiż to dzielny baron. niech mu Bóg da długie życie! Pomagajmy mu!

Gońcy poselstwo sprawili. zbroi się pomoc i spieszy na pole walki. Lepiejby było Turkom schować się za bramy. jeżeli zginąć nie chcą. Spieszą się baronowie. damy wodę niosą dla spragnionych. biegną boso i nogi im się krwawią. ale chętnie to znoszą dla Jezusa. Spieszy Boémond i Tankred. bo pragną ocalić od śmierci księcia i Roberta z Normandyi i hrabiego Flandryi i Eustachego i Balduina.

Powiem wam teraz o hufcu. który zdaleka widzieli. Już nadjechał. a książę ich pyta: kto wy tacy? Czy wierzycie w Boga. syna Maryi. czy też w Mahoma i Tervaganta? — Na to Ryszard: kto wy jesteście? od trzech lat nic o naszych nie wiemy! — Nazywają mnie Godfrydem z Bouillonu. a przyszedłem tu do Grobu pańskiego. — A my jesteśmy jeńcy Corbarana. ze smrodliwego więzienia po srogich cierpieniach ocaleni.

Ucieszyli się jedni i drudzy, a książę Godfryd rzekł: zacni rycerze, widzicie, jak nam dokuczają Persy i Araby, pogańskie narody, które nie chcą wierzyć w Jezusa, że się z panny narodził i po śmierci zmartwychwstał. Konie nam pozabijali[1], osłabili nas bardzo, pomagajcie nam w imię Ukrzyżowanego na Kalwaryi! — Wszyscy jeńcy razem zawołali: Święty Grobie, pomagaj! Teraz nam dobrze! Ostrogi koniom dają, rzucają się w walkę, każdy swego Turka zabił. Oto pan Jan z Alis, zacny rycerz z Berry, rzuca się na admirała, syna Barbasa z Persyi. Przebił go razem z tarczą, dusza mu wyszła, djabli ją wzięli. Ale jego konia pochwycił i podał pieszemu. I znowuż na innego emira napadł, który w Boga nie wierzył, żelazo w mózg mu wsadził, dusza z niego wyszła, djabli ją wzięli i szybko do piekła zanieśli.

Pan Ryszard z Caumont nie leni się bynajmniej. Koniowi dał ostrogi na Turka, przebił mu tarcz, całą lancę w kadłub mu wsadził i woła: baronowie, bijcie naprzód, pomścijcie się za wszystkie męki!

Pan Harpin z Bourges ślicznie był uzbrojony, na Boga; na tarczy miał lwa białego, jak kwiat morwowy. Koniowi dał ostrogi, przebił Turka na wylot i zawołał: Święty Grobie! naprzód baronowie! Kłuł tak długo, aż mu się lanca złamała; wtedy miecza dobył, a kogo rąbnie, ten już zabity.

Balduin z Beauvais był dzielnym rycerzem. Boże, jak ładnie był uzbrojony i jakiego miał konia! Na szczycie hełmu miał topaz z rajskiej rzeki wydobyty, dał mu go Corbaran za to, że węża zabił na górze Tigris. Ten najechał na admirała Patris'a z Bagdadu (Baudas), lancę mu wsadził aż w serce razem z chorągiewką, a duszę jego djabli wzięli. Gdy się Balduinowi lanca złamała, dobył miecza i ciął innego emira po hełmie aż do zębów, innego aż do mózgu. Jak lew między baranami, tak gospodarzył zacny baron między pohańcami. Ryczą poganie, bo widzą, że są pobici.

A pan Jan z Alis nie próżnuje. Boże, jak ładnie siedział na syryjskim koniu i jak ładnie był odziany, wszystko to od Corbarana. Lancą przebił admirałowi tarcz i serce i wątrobę, tak, że spadł na piasek. Djabli zabrali duszę jego do swej siedziby. Bijcie zacni rycerze, zawołał Jan z Alis, pomagaj pani Święta Maryo *(dame Sainte Marie)!*

[1]) Rycerzy samych zbroje chroniły od strzał.

Teraz hrabia z Flandryi i książę Godfryd i całe rycerstwo poznało Ryszarda i Jana i Harpina i Fouchiera i bogatego z Fécamp opata i biskupa z Forez i całą drużynę jeńców, którzy niszczą Saracenów, jak lwy zgłodniałe niszczą owczarnię. Cieszą się baronowie, Boga błogosławią.

Biskup z Forez siedział dobrze uzbrojony na gaskońskim wierzchowcu. Na chorągiewce miał krzyż złoty, jako swój znak. Najechał na admirała Faraona, bratanka Corbadasa i rozbił mu lancą tarcz, rozdarł pancerz, przebił piersi i wątrobę i płuca i serce i śledzionę i nerki. Konia jego zabrał, który miał cenne osiodłanie. Widząc to Robert z Flandryi, rzekł do księcia z Bouillon: a to się spisał ten tonsurowany! Na Boga, pomagajmy mu! I biją Saracenów, Persów i Esclawonów.

Przerazili się Turcy i Persowie śmiercią tego admirała, targają włosy i brody, drapią twarze. Cornumarant chciał się przebić mieczem, ale mu go wydarto. Cofają się do bramy św. Szczepana, który łańcuchem żelaznym silnie za sobą zamknęli. Francuzi wracają do obozu, przy meczecie zabierają zdobycz, którą drogo zapłacili. Hrabia Normandyi nie mógł ręki odjąć od rękojeści miecza, tak kurczowo ją trzymał, trzeba było wodą i winem ją zwilżyć. Po drodze spotkali Boémonda z wojskiem i damy z wodą, której wszyscy chciwie pożądali. Obstępują naszych jeńców, słuchają ich opowiadania.

Wracają baronowie do meczetu, pędzą zdobycz, rozdzielają ją pomiędzy wszystkich. W nocy czat nie rozstawiają, tylko śpią w pancerzach na gołej ziemi z tarczą pod głową.

Boémond bardzo się martwił, że nie miał udziału w bitwie w dolinie Józafata, więc wstaje w nocy, przywdziewa zbroję, bierze lancę z chorągiewką z jedwabiu w Rosyi [1]) robionego, zbiera 10.000 swoich rycerzy i rusza ku Cezarei po zdobycz. Połów wielbłądów, wołów, kóz, baranów, był obfity. Już wracają, do Rames się kierując. Atoli Turcy z Cezarei, niech ich Bóg pognębi, zbierają się do bitwy, statek wysyłają do Ascalony z gorącą prośbą o pomoc przeciw chrześcijanom, w żelazo zbrojnym, którzy się nie lękają ani strzał, ani pocisków. Admirał Fanios w Ascalonie trąbami i bębnami zwołuje wojsko. Już doszli nasi do Rames, gdzie

---

[1]) *Qui fu d'un riche paile et fais fu en Rossie* I, 26 v. 500. Ma to znaczyć: z dalekiego, obcego kraju.

się modlili w kościele św. Jerzego, bili się w piersi, o odpuszczenie grzechów, prosili Boga i barona św. Piotra i zacnego św. Jerzego[1] Oto już jadą Turcy uzbrojeni, jadą śpiesznie przeciw niewiernym pohańcom, obiecując niebo tym, którzy tu śmierć poniosą. Tam razem z Aniołami wstawać i kłaść się i przebywać będą. Już na siebie najeżdżają, już za pierwszem zderzeniem zginęło 400 pohańców, których dusze dyabli do piekła zabrali.

Bitwa była zacięta, a Turcy pobici już wyją i szczekają ze złości, gdy oto spostrzegają, że im pomoc nadchodzi. Z Jaffy nadjechało 15.000 Turków. Ciężka się odnowiła bitwa. Boémond zagrzewa swych rycerzy na nowo, biją się wołając: Saint Sépulcre, św. Jerzy, zacny baronie, pomagaj! Ale jak psy dzika, tak Saraceni obsaczyli naszych, rażąc strzałami, pociskami, lancami. Zginą, wierzcie mi, jeżeli im Bóg nie pomoże.

Otóż św. Jerzy i św. Bartłomiej i św. Dominik i św. Dyonizy z Francyi, jadą, jak sokoły na czele legionu aniołów, biją Saracenów, a każdy cios ich jest śmiertelny. Poganie tego najazdu wytrzymać nie mogą, uciekają. Boémond ich goni, pędzi aż do morza, gdzie ich 4000 utonęło, a dyabli dusze ich do smrodliwego piekła zabrali. Innych 4000 leżało na piasku pod skałami. Dzięki składają rycerze dzielnym świętym baronom, a Boémond rozkazuje teraz zabierać konie, miecze, lance, zbroje, hełmy pohańców, głowy im poucinać, do ogonów końskich przywiązać, aby je następnie wrzucić do miasta Jeruzalem ku przestrachowi. Objuczyli tą zdobyczą 15 tysięcy wielbłądów i tyleż mułów.

Już wracają nasi do obozu, wita ich Godefroi, pytając, skąd tyle zwierzyny dostali? Boémond opowiada, jak się pod Rames bili i oświadcza, że cała zdobycz ma być rozdzielona, a kto nie ma miecza lub zbroi, lub konia, wszystko to teraz otrzyma! — Jakże się wszyscy ucieszyli! Cały obóz ma zapasów do zbytku. Biskupi, opaci i wszyscy księża odśpiewali msze i litanie. Nadeszła noc, wojownicy zdejmują zbroje pokrwawione, wypoczywają w namiotach, książę Godfryd strzeże obozu. Nazajutrz znów są msze śpiewane i litanie, obóz zwijają, objuczają muły i konie, kierują się ku Jerozolimie. W przedniej straży książę Normandyi, brunatny

[1]) Rames ma znaczyć Arymateą; był tam rzeczywiście grób św. Jerzego. Miejscowość ta leży na połowie drogi między Jerozolimą a Ascalon.

na twarzy, a odważny. Już doszli do Montjoie, już Jerozolimę zobaczyli (*Virent à la Montjoie, Jerusalem ont choisie* v. 775).

Zobaczyli Jerozolimę, z koni zeszli, na piasku uklękli, witają święte miasto, księża śpiewają aleluja i Te Deum laudamus i głośne kiryele: *Chantent alleluja, laudamus te Deum! De hautes queri-ieles oïssiez la canchon* v. 786. Oto wojownicy Jezusa całują ziemię i gryzą i mówią sobie: tędy Jezus przechodził i jego towarzysze. Nie stracone są trudy nasze i głód i pragnienie i napaści, kiedy oglądamy to miasto, w którem Bóg śmierć poniósł dla naszego odkupienia! — Przypatrywali się temu z murów poganie.

Na Montjoie zatrzymali się Francuzi, płaczą z rozrzewnienia, patrząc na wieżę Dawida. Widzą sztandar pogański długi i szeroki, wysoko zatknięty, na nim pogańska wiara wypisana. Zuchwali to ludzie, którzy tu stolicę założyli, gdzie nie ma ani trawy, ani rzeki, ani łąki, ani zdroju, aż do Siloe, a tam woda jest słona i nie dobra. A jednak piją ją baronowie, bo wina nie mają, ani kapłonów do jedzenia, ani zwierzyny pieprzonej; jedzą mięso pół surowe, nie osolone. Dużo jeszcze poniosą trudów, dużo trupów padnie, zanim zdobędą święte miasto.

Pieśń druga.

Teraz zaczyna się pieśń pełna jasnej treści, nikt takiej dotąd nie ułożył, ani nie słyszał. Pan Piotr pustelnik wsiadł na osła, zabrał baronów i książąt, wjechali na górę powyżej doliny Jozafata, skąd było widać całe miasto Jeruzalem. Byłem już tam, zacni panowie, tak mówił; patrzcie, tam jest Góra oliwna, gdzie Jezus zażądał oślicy; tam złota brama, przez którą do miasta wjechał po gałązkach oliwnych i palmowych i po sukniach, które mu na drogę ścielono; tam pretoryum, gdzie go sądzono i gdzie go Judasz za 30 srebrników sprzedał; tam słup, przy którym go biczowano; patrzcie, tam Kalwarya, gdzie go ukrzyżowano i gdzie mu Longin bok przebił; tam grób, gdzie go Józef złożył; tam świątynia Salomona, gdzie Bóg pocieszył apostołów, mówiąc im: *Pax vobis*, tam ich nauczył 99 języków; tam góra Syon, gdzie umarła matka Jezusa, a tu dolina Józafata, gdzie ją pogrzebano. Prośmy ją teraz, aby nam Bóg odpuścił grzechy wielkie i małe, wszystkie jakie popełniliśmy...! Amen, Ojcze Boże! zawołali wszyscy. Słodki Jezusie, opuściliśmy naszą ziemię i lenna i zamki i żony i dzieci i dworzan, już widzimy to miasto, gdzie umęczony zmartwychwstałeś

daj nam pomścić się na Turkach i Persach i Arabach! I zaraz zbroić się zaczynają.

Panowie, rzekł im Piotr, zacni rycerze i biskupi i opaci, patrzcie na mury Jerozolimy, jakie są mocne, jak wysokie wieże, jak silne bramy! Niech każdy sprawi się jak najlepiej, a kto zginie, ten w raju mieszkanie otrzyma!

Rzekł Tomasz de la Fère, rycerz odważny: zaiste nie wiem, jak zdobędziemy to miasto, które ma mury tak silne, rowy tak głębokie! A tu w okolicy nie ma ani źródła, ani rzeki, tylko pustkowie. Nie ma drzewa, żeby ugotować strawę, a za wodę drogo się płaci. Ale, na św. Piotra, raczej umrę, a bić będę tych pohańców!

Rzekł hrabia Flandryi: Niech mi Bóg będzie łaskawym, ale się dziwię, że syn Boży takie pustkowie wybrał sobie na mieszkanie. Tu powinna być ziemia żyzna, tu rosnąć powinny kadzidła wonne, marzanna, imbier, róże, lekarskie zioła, ludziom pożyteczne. A tu nie ma ani lasu, ani łąki, ani źródła, tylko pustynia. Zaprawdę, wolę ja mój zamek w Arras i moje stawy rybne, jak całą tę ziemię. Ale, na moją dla Klemencyi wierność i na syna mego Balduina, raczej umrę, a nie wyrzeknę się szturmu do tych bram silnych!

Tak radzili baronowie nad doliną Józafata; rzekł Boémond: zaiste Jerozolima jest silniej obwarowana, niż wszystkie miasta dotąd zdobyte. Nawet niż Antyochia, gdzie zginął Garsion. Tam już biedę cierpieliśmy, tutaj będzie większa. Ale wszystko zniesiemy, aby dusze nasze zbawić.

Rzekł Tankred odważny i dzielny: Oj, oj, panie Boémondzie, a wszakże sam mi mówiłeś jeszcze pod Rames, że gdy świętą Jerozolimę zobaczysz, ziemia smakować ci będzie jak placek, albo bułka! A teraz narzekasz! Nie trwóż się przyjacielu, Bóg nam pomoże! Pić będziem krew końską i urynę, tylko wytrwajmy, do szturmu zaraz idźmy, ja będę z pierwszymi, a nie zatrzymam się, aż przy świątyni. — Zagrały trąbki, zbroi się wojsko, do bramy św. Szczepana się posuwa. Tu im mówi Hugo Wielki brat króla Francyi. Zacni rycerze, to miasto jest silniejsze niż Antyochia, szturmując do bramy, straty poniesiemy niepowetowane. Szturm bez maszyn na nic się nie przyda! — Na to książę Godefroi: to są mądre słowa.

Rzekł Hugo Wielki: panowie, zacni rycerze, wszyscy tu braćmi jesteśmy, razem cierpieliśmy głód i pragnienie i burze i deszcze i śniegi. Już jesteśmy przy Jerozolimie, ale mówię wam nie na żart, że szturm bez maszyn na nic się nie przyda, tylko o śmierć przyprawi Francuzów, Andegaweńczyków, Bretonów, Prowensalów, Gaskonów, Szkotów, Anglików, Genueńczyków! — Tak postąpić należy, rzekł Godefroi i hrabia Normandyi i Robert z Flandryi.

Rada zacnego Hugona jest dobra, rzekł Godefroi i otóż co wam powiem: ja z moimi ludźmi rozłożę się obozem przy górze Syon i bramy miasta pilnować będę! — Rzekł Girard z Gournai i Tomasz z Marle: my obóz rozłożymy w dolinie Józafata a stamtąd będziemy przysyłali wodę ze Siloë, na 80 mułach dla całego wojska, każemy także budować maszyny! — Rzekł hrabia de Saint-Gille: ja zamieszkam na górze Oliwnej, po żywność będę się wyprawiał do Arabów, wszystko co zdobędę, wojsku oddam, bram strzedz będę, pogan nie wypuszczę, maszyny budować każę! — Pochwalili za to hrabiego. — Panowie rzekł książę Normandyi, ja tutaj będę obozował przed bramą św. Szczepana. Stąd Turcy często wypadać zechcą, ale ja czujnym będę strażnikiem. Maszyny każę budować, co zdobędę, wszystko im oddam! — Rzekł hrabia Flandryi: my się rozłożymy przed bramą Dawida jako pilni stróże. — My panowie, rzekli Tankred i Boémond, w Betleem będziemy obozować, na głównym trakcie; co zdobędziemy, będzie dla całego wojska. — My, rzekł Eustachy, przy Lwim dole zamieszkamy, żywności aż do morza szukać będziemy. Rzekł jeszcze Hugo duży, którego wszyscy bardzo kochali: panowie, dzielmy się żywnością, ale także i wodą, aby jej ktoś nie sprzedawał za srodze drogie pieniądze [1]). — Wszyscy to pochwalili i co zrobić obiecali, na relikwie zaprzysięgli.

Oblegli Francuzi miasto obronne, otoczyli namiotami i lancami. Król Corbadas patrzał na to z wieży i rzekł do syna Cornumaranta, za rękę go trzymając: miły synu, ten wściekły naród z za morza przyszedł i zabierają mi moją posiadłość. Poradź mi synu, co począć?

---

[1]) Więcej niż od głodu cierpieli pod Jerozolimą Krzyżowcy z powodu pragnienia. Wody wśród lata nigdzie nie było, przywożono ją z daleka czerpaną z brudnych kałuż, pełną drobnych pijawek, które czepiając się w gardle i wnętrznościach, powodowały upływ krwi i śmierć.

Miły synu, rzekł król Corbadas, już 500 lat temu Grecy, Syryjczycy, Ormianie i Pataroni prorokowali, że Francuzi nas najadą, aby pomścić się za śmierć ich Pana, którego żydzi umęczyli. Widzisz ich teraz w żelazo odzianych, nie lękających się ani łuku, ani strzały zatrutej, ani ostrej lancy. Powiedz mi synu, jak się im oprzeć? — Ojcze, odrzekł wasal, jak długo miecz przy boku noszę, nie lękaj się niczego. Zaopatrzeni jesteśmy na 60 miesięcy w chleb, wino, mięso i ser, miasto ma mocne mury, kpię sobie z ich szturmu. Zresztą brak wody wnet ich ztąd oddali.

Z najwyższej wieży, z okna marmurowego patrzał król na wojsko chrześcijan, na ich namioty linami przytwierdzone, na konie rżące, na szermierkę młodzieży, na tańce pań i dziewczyn. Książę Godfryd wyjeżdża z braćmi, szukają miejsca, gdzieby maszyny postawić. I oto widzą trzy jastrzębie około szczytu wieży Dawida uganiające za dwoma gołębiami. Książę chwycił za łuk, tak celnie wymierzył, że jedną strzałą zabił wszystkie trzy ptaki. Spadły przy synagodze Mahoma i Tervaganta. Cieszy się książę, Francuzi śmieją się z radości, bo wszyscy w tem widzą wróżbę, od Boga wskazówkę, że Saraceni pobici zostaną. Czują to Saraceni, siedem ich tysięcy się zbiegło, aby to widzieć, król Corbadas przestraszył się, pokazał Cornumarantowi, zawołał stryja Lucabela, 140 lat starego, białego jak kwiat lilii, a wielce mądrego i pytał, co to znaczy? Pytał się wszystkich, którzy się tam zbiegli, tak przemawiając: Panowie, zacni Saraceni, Mahomet o nas zapomina, pozwalając na to, że Francuzi Antyochią zdobyli, a teraz mnie najechali. Pod Antyochią pobili na głowę Corbarana, zabili syna sułtańskiego Brohadasa, za co gdy Corbaran miał głowę stracić, oświadczył sułtanowi, że zawsze jeden Francuz pobije dwu najdzielniejszych Turków. Sułtan nie chciał temu wierzyć, ale się sam przekonał. Tutaj oto któryś z nich jedną strzałą zabił trzy ptaki. Oto one, a teraz powiedzcie, co to znaczy? — Na to wstał Lucabel z długą brodą i szerokimi wąsami, biegły w siedmiu naukach i tak się ozwał: Corbadasie, jesteś królem i panem w Jerozolimie, ale pytasz o radę starszego od siebie. Otóż ci powiem, że od kiedy żyję, dużo widziałem cudów spełnionych za sprawą tego ich Boga, który dobrowolnie umarł na Kalwaryi. On ich zawsze ma w swojej opiece, resztę jutro wam powiem. — Przestań, przerwał mu Corbadas, nic mów więcej, bo nie chcę, abyś mi ludzi przestraszał. Najlepiej, niech Cornumarant miasta strzeże, jak radził Malcolon.

Noc była ładna i jasna. Cornumarant uzbroił sam siebie i 10 tysięcy Arabów. Wsiadł na konia Plantamora, sławnego ze zwinności, wyjechali przez bramę Dawida. Przy tej bramie straż miał Harpin z Bourges z 500 ludźmi, a przy św. Szczepanie Ryszard z Caumont, przy Złotej bramie Jan z Alis, przy czwartej Stefan z Aubemarle. Przy każdej bramie po 500 rycerzy.

Modli się Harpin z Bourges: Ach dałby Bóg, abym mógł ulżyć sercu mojemu, bijąc się z Saracenami! Bo ich bardzo nie cierpiał. Na to wyjeżdża Cornumarant z 10.000 Turków. Mówi Harpin: oto mam czego pragnę, rycerze, pomścijcie się za Boga! Zachowajcie się cicho, aby od miasta odjechali daleko! — Turcy odjechali od miasta, aż tu za nimi zagrzmiało: Święty Grobie, pomagaj! Bijcie zacni rycerze! Harpin najeżdża na Gorbana, syna Brehiera, i przebitego z konia zwalił, na niego Cornumaran najeżdża wołając: „Damaszek", ale go nie uszkodził. Wszczęła się bitwa zacięta. Saracenów była wielka mnogość, odpędzili naszych, do namiotów dotarli, skąd sześciu znakomitych rycerzy zabrali i 14 innych. Pędzą ich przed sobą, bijąc maczugami z ołowiem. Zabolało serce Harpinowi na ten widok, więc znów woła: w imię Grobu świętego naprzód! — Odważnie nacierają, ale bezskutecznie. Słyszą wrzawę Francuzi, zbroją się, ale nie dość żwawo. Prędzej przybiegł Ryszard z Caumont i jak sokół na kaczki, tak się rzucił na Turków. Wnet zabił ich 14, ale najbardziej pragnie odbić zabranych, więc tak dokucza tym, którzy ich pędzili, że sami uciekli. Goni za nimi Ryszard ze swymi ludźmi, zaścielają ziemię zabitymi i rannymi. Na tę wrzawę całe wojsko się zrywa, wołają trąby i rogi. Cornumarant zawraca konia ku miastu, ku bramie Dawida, goni za nim Harpin i Ryszard, on na Ryszarda zawraca i ciął go po hełmie. Szczęście, że cięcie poszło płasko, bo inaczej, źle byłoby z Ryszardem.

Cornumarant był zawołanym rycerzem, a konia miał szybkiego. Skokami pędzi na Harpina i tak go ugodził po hełmie, że mu go przeciął, tylko Bóg go od śmierci zachował. Łotrze, zdrajco, źle na tem wyjdziesz, zawołał Harpin i nuże z mieczem na Turka, ale mu się nie udało. Widzi Cornumarant, że się zjawia coraz liczniejsze rycerstwo, więc spieszy do bramy Dawida, którą za nim zamykają. Z tych pogan, którzy zewnątrz zostali, żaden życia nie zachował. Rozkazuje Conumarant, aby opatrzyć i uzbroić wieże, grzebienie murów, bramy, bo jutro szturmu spodziewać się należy.

Strzał przygotować jak najwięcej, lanc w żelazo okutych. Nasi bogowie nas zawiedli, mówi, obić ich każę kijami, maczugami, drągami. Ach, szkoda Jerozolimy, królewskiego miasta, bogatego w ogrody, winnice, w złoto, w jedwab, w aksamit! — Zaczerwienił się król od gniewu, niewiasty płakały. Poganie wysyłają gońców do królów przyjaznych, do sułtana Oryentu, z prośbą o pomoc, na mury wnoszą kamienie i głazy. Na tem noc zeszła.

Pod Jerozolimą na obszernym piasku gromadzą się rankiem książęta, hrabiowie, baronowie. Pierwszy przybył Godefroi z Bouillon, za nim Balduin i Eustachy i Drogon z Moscon i Raimond z Saint-Gille i Gautier d'Avelon i Robert z Normandyi, zczerniały na twarzy, jakby opieprzony, i Robert Fryzyjczyk (z Flandryi), Tankred, markiz dzielny z Boémondem, Enguerrand de Saint-Pol i Hugo z czarnymi wąsami, Tomasz de la Fère i hrabia Rotrou z Perche, Tomasz z Marle o lwiem sercu, Harpin z Bourges i Ryszard z Caumont, Balduin z Beauvois, Jan z Alis, biskupi i opaci. Przybył też król Tafur z towarzyszami, a miał ich 5000. Żaden z nich nie miał ani sukni, ani płaszcza, ani futra, ani obuwia, ani na głowie kapelusza, ani koszuli, ani pantalonów, tylko same łachmany. Takie były ich jedwabie. Głowy mają rozczochrane, lędźwie spieczone, nogi popękane. Każdy ma w ręku maczugę z ołowiem, drąg, młot, pikę lub siekierę, albo kosę wężowatą, albo prosto nasadzoną. Taką kosę ma także ich król, biada temu, kogo nią dosięgnie. Odziany jest w worek bez rękawów, bardzo już dziurawy, sznurem przepasany. Baronowie bardzo go poważają, a biskup dał mu benedykcyę.

Przemówił król Tafur: panowie, czegoż zwłóczymy? Dla czego nie idziemy do szturmu? Stąd aż do Renu nie znajdzie nigdzie tyle dzielnego rycerstwa, ile tu się zgromadziło, więc starajmy się, aby coś zrobić! Wygubmy to plemię Kaina. Dobry koniec dopiero dzieło dobrem czyni.

Mówił po nim biskup z Mautran: baronowie, zacni chrześcijanie! W tem mieście Jezus, syn Maryi, poddał się śmierci, a kto umrze dla niego, ten sobie wieczne życie zdobędzie. Napadły nas tej nocy owe psy pogańskie, ale zostawili 7000 trupów na pobojowisku. Radzę, jako wasz kapelan, aby śmigownicami trupy te do miasta powrzucać. Następnie szturm przypuścimy! — Wszyscy zawołali: zróbmy tak zaiste. Zaraz do tego się zabrał Grzegorz inżynier, rodem z Arras i majster Mikołaj z Duras rodem. Ustawiają

maszyny, świszczą trupy w powietrzu, krew się z nich leje i mózgi. Poganie w mieście z przerażeniem na to patrzą, a stary Lucabel mówi: takie jest dawne proroctwo, że ten, który trzy jastrzębie jedną strzałą przeszyje, będzie królem Jerozolimy i całego kraju, aż do Antyochii. — To są brednie, zawołał Cornumarant, nie przyjdzie do tego, jak długo żyję i ten miecz przy boku noszę. Wycieczki na nich robić będę, aż ich zniszczę. — Uzbroił Cornumarant pogan 50.000, na murach 25.000 postawił, do walki jest gotowy. Widzą to Francuzi i wołają Montjoie! Zbrójcie się rycerze! Zgromadziło się ich 50.000. Dzielą się na hufce Hugo Duży niesie znak królewski, biskup z Mautran świętą lancę i wszystkich błogosławi.

Pieśń trzecia.

Usłyszycie pieśń bardzo świętą, takiej nikt jeszcze nie śpiewał, o zdobyciu świętego miasta, gdzie Bóg był biczowany, przebity, w grobie złożony, skąd dnia trzeciego zmartwychwstał. Jakże się cieszyć mogli ci, którzy poszli za Słone morze i ucałowali Grób święty.

Król Corbadas wyszedł na wieżę, z czasów Abla pochodzącą, patrzy z okna, Saraceni obsadzili mury, wszyscy z maczugami, toporami, lancami, aby bronić miasta. Tyle jeszcze krwi rozleją, że potok z niej mógłby młyn obracać. Nasi baronowie porządkują hufce, a biskup z Mautran, we włosiennicę odziany, zagrzewa je i błogosławi.

Pierwszy hufiec utworzyli starzy rycerze, a prowadzi ich hrabia z Perche. Inny hufiec z 10.000 prowadzi Tomasz z Marle i Hugo z synem Enguerrandem i Rambaud Créton. Biskup lancę im pokazał, którą Jezus był przebity. Na jej widok wszyscy płakać zaczęli i wołać: do szturmu nas prowadźcie! Inny hufiec z 10.000 poruczył Godfryd Balduinowi z Beauvais i Harpinowi i Robertowi z Caumont i Janowi z Alis. Ci poszli pod bramę św. Szczepana. — Inny hufiec z 10.000 prowadzi Lambert z Liège, ku górze Syon. Grzegorz z Mikołajem ustawili wieże do szturmu przy wieży Dawida, a pierwszeństwo szturmu przyznano Tafurom.

Ładny był dzień i jasny i od słońca błyszczący. Pierwsi atak rozpoczęli rybałci króla Tafura. Przedewszystkiem chcą fosę wypełnić i wykonali to na szerokość wozu, ale ucierpieli bardzo od pogan, którzy na nich kamienie rzucali, wodę lali gorącą, strzelali z łuków. Tysiąc i 700 rybałtów rany odniosło, ale ani jeden się

nie cofnął, tylko dziurawić mur zaczęli. Teraz cierpieli jeszcze więcej, sam król więcej niż 20 ran otrzymał; radzi nie radzi, od murów odstąpić byli zniewoleni.

Hugo Duży trąbi do szturmu. Godfryd zachęca słowami, sam lancą w bramę Dawida uderza, ale tutaj Cornumarant dowodzi. Strzelił do niego Godfryd i lekko zranił, on natomiast zabił Payen'a z Beauvais. S-ty Michał zabrał duszę jego, a biskup odmówił litanią.

Brama Św. Szczepana już w 7 miejscach jest przedziurawiona, lecz Turcy z wewnątrz naprawiają ją zręcznie. Fosa także jest zasypana i tam posuwają nasi drabiny do szturmu, tam maszyny stawiają. Po drabinie wybiegł na sam szczyt Gautier z Flandryi, już za grzebień chwycił, ale mu Turek toporem ręce uciął. Spadłszy, zabił się na miejscu. Bardzo go hrabia żałował, szturm ponowić kazał, ale Turcy ogień grecki na maszyny rzucili i spalili je.

Silny był szturm, ale został odparty[1]). Straty były wielkie, a rannych więcej jeszcze: Balduin w piersi, Harpin w twarz, Ryszard z Caumont w głowę. Ogłuszony został Jan z Alis i wielu innych. Ale wszyscy postanowili, że nie odstąpią, dopóki miasta nie wezmą, mimo że im głód dokucza i pragnienie. Boémond rzekł do Gotfryda: kuzynie, ja się wyprawię po wodę do rzeki. Niech wyślą 15000 bydląt jucznych, a ja ich z moimi ludźmi osłaniać będę.— Jesteś prawdziwym baronem, rzekł Godfryd. Wyruszył po drodze spotkał długi konwój żywności, którą pogański król Grascien z Akre skrycie do miasta wprowadzić zamierzał. Miał z sobą 4000 Esclerów. Pierwszy Boémond najechał na króla, ale ten o życie prosić zaczął i obiecał się ochrzcić. Ucieszył się z tego Boémond i przyjął go do łaski, inni poszli za jego przykładem, ale upornych wygubiono, albo wzięto do niewoli. Z radością powitano w obozie zdobycz Boémonda. Było jeść na dni 15, byle jedli i pili wstrzemięźliwie, jak radził biskup. On także ochrzcił króla; innych zaś Turków, którzy się Mahoma wyrzec nie chcieli, wydano rybałtom, którzy ich obdarli, zabili, a trupy do miasta wrzucili. To wszystko widział Corbadas ze swej wieży, a trupy powrzucane wywołały w mieście smutek i rozruch. Miał król w więzieniu 14 jeńców chrześcijańskich, którzy męki wielkie cierpieli, jęczeli w kajdanach. Teraz ich Cornumarant wyprowadzić kazał, a byli pomiędzy nimi

---

[1]) Tak było rzeczywiście, pierwszy szturm, zaraz następnego dnia po przybyciu pod Jerozolimę podjęty, został odparty.

krewni Roberta z Flandryi i Godfryda. Wszystkich bez litości kazał biczować aż do krwi, następnie pędzić po mieście, klując z tyłu, w końcu powrzucać do głębokiego lochu. Ale Bóg ich zniósł lekko na dół i anioła im posłał na pocieszenie.

Cornumarant widzi, że miasto potrzebuje pomocy, pyta o nią wszystkich, zwłaszcza starego Lucabela. Ten radzi napisać listy i przez gołębie rozesłać do najmożniejszych sułtanów. Bardzo tę radę i kilkakrotnie zalecał. Usłuchano go, już gołębie z listami wyleciały. Spostrzegł je Gracien i zaraz baronom powiedział, co to znaczy. Strzelać do nich zaczęli, obiecali po bizantyńcu za każdego gołębia. To też największa ich część pospadała. Kilka leciało dalej, na nie Godfryd puścił sokoły, które mu je wnet przyniosły. Listy przeczytali, widzieli, że Saraceni gorąco o pomoc proszą. Teraz Godfryd polecił biskupowi, aby inne listy napisał, donoszące, że się Cornumarant chrześcijan nie boi i że wszyscy w domu spokojnie zostać mogą. Te listy zawieszono gołębiom na szyi i z nimi poleciały. Czekano, kiedy wrócą z odpowiedzią, a wtedy znów na nie sokoły puszczono, znów je schwytano, listy im odebrano, inne napisano i te do miasta puszczono. Napisali zaś tak, że sułtan jest rozgniewany na Corbadasa i żadnej pomocy mu nie przyniesie. To sprawiło wielki smutek w mieście, a Lucabel rzekł: teraz Jerozolima jest straconą, jeżeli nam Mahomet nie pomoże. Zniecierpliwiony Cornumarant chciał obić stryja, tylko że mu maczugę odebrano. Ojca wszelako ponownie zapewnił, że póki on żyje, Francuzi do Jerozolimy nie wejdą.

Pieśń czwarta.

Słońce jasno świeciło, dzień był pogodny. Francuzi widzą Turków czynnych, a sami są zmartwieni. Rzekł tedy książę Bouillon; nie ma czego się kwasić, do nowego szturmu przygotować się trzeba. Zadmijcie w rogi, w imię św. Dyonizego! — Na to hrabia Hugo: słuchajcie panowie mej rady: nie idźmy wszyscy razem na rzeź, tylko każdy hufiec niech wybierze swoją gromadę do szturmu, inni zaś niech ich bronią strzałami z łuków. Tak po kolei zmieniać się będą a Turcy będą umęczeni. Wszyscy tę radę pochwalili.

Pierwszy wystąpił król Tafur z rybałtami, bo mu to przyrzeczono. Ranny już był w 30 miejscach, lecz rany pakułami pozatykał. Biskup z Mautran pobłogosławił jego i wszystkich jego ludzi.

Drugi hufiec był z młodzieży, a prowadził go Enguerrand de Saint-Pol. Biskup takie mu dał polecenie, że nie ma się ruszyć z miejsca, aż głos rogu usłyszy. Wszyscy patrzą z tęsknotą na mury miasta, bo każdy pragnie do wnętrza się dostać i Grób święty ucałować. Ach Boże, rzekł Enguerrand, proszę Cię, aby nam się szturm udał i abym widział moich ludzi odważnie w górę się wspinających. — Bądź tego pewnym, odrzekli, byleśmy drabiny o mur oprzeć mogli. — Patrzał na to z wieży Corbadas i przeklął Francuzów w imię Apolina.

Trzeci hufiec był z Bretonów i Normanów. Książę Robert powierzył go Josserandowi i Tomaszowi, kuzynowi swemu. Biskup ich pobłogosławił, zalecił stać na miejscu, aż ich kolej przyjdzie. Oni z tęsknotą na mury patrzą, tak trudne do zdobycia, w których cierpiał Jezus, a Corbadas przeklina ich z wieży, w imię Tervaganta[1]).

Następny hufiec był z Boulończyków, Flamandów i Burgundów, wszystko dzielnych ludzi. Było ich 15·000 a prowadził ich Hervin i Huon Aleman i Raimbaud Créton.

Inny hufiec był z Francuzów. Było ich 20·000. Ich hrabia, Hugo Duży, powierzył przywództwo Tomaszowi z Marle.

Siódmy hufiec był z Prowansalów, Gaskonów, Piktawów. Było ich 10·000. Ich hrabia, Raimond de Saint-Gille, dał przywództwo Antelmowi i Girardowi z Toral, Bernardowi z Dors, Janowi de la Fère.

Ósmy hufiec był z Apulii, Kalabryi i Sycylii i Wenecyi. Boémond był ich panem, a dowództwo zdał na Hugona, na Richera, swego krewnego, na Gérina z Pawii.

Dziewiąty hufiec był z księży, wszyscy biało ubrani, rozdają hostye, śpiewają litanie. Pyta się Corbadas Lucabela: co to za ludzie? — Ten odpowiada: to są ich adwokaci, przez których umieją trafić do Boga! — Niech ich Mahomet przeklnie, rzekł Corbadas.

Dziesiąty hufiec z dam był złożony. Bić się nie miały, ale chcą kamienie zbierać do proc i wodę nosić. One także tęsknią, aby wnijść do św. miasta.

---

[1]) Następne tyrady schematycznie powtarzają ten sam temat, złożony z następnych motywów: Nazwanie hufca i jego wodzów, błogosławieństwo biskupa i jego zalecenie, nabożna tęsknota rycerzy, przekleństwo Corbadasa. Należy przyznać, że ten temat jest ładny, również jak jego składniki, ale my mamy obowiązek skracać.

Jedenasty hufiec był ze samych baronów, a prowadzić go miał książę z Bouillon.

Baronowie przywołują Mikołaja z Duras, który wraz z Grzegorzem zbudował wieżę, skąd łucznicy mogli bezpiecznie strzelać do Turków na murach; zbudowali też drabiny, ze szczeblami ze skóry, dla każdego hufca jednę i sporządzili taran na kołach, do rozbijania murów. To wszystko przysunęli już blisko, ale na niewiele się przydało. Turcy ogniem greckim spalili maszyny, smołą wrzącą poparzyli tych, którzy przy nich byli. Bóg dopuścił to wszystko, dopuścił te męki, bo sam tu był umęczony, a miało to znaczyć, że Boga (Królestwa niebieskiego) tak łatwo zdobyć nie można.

Dobry książę z Bouillon zadął w róg, pierwszy hufiec ruszył pod mury, to byli rybałci. Nie uważając na kamienie, na strzały, podchodzą pod mury, stawiają drabinę, król Tafur wchodzi, ale Turek cepami tak go uderzył, że ze szczytu drabiny spadł aż we fosę z rozbitą głową i nosem. Nie zabił się atoli, odniesiono go na noszach, dwu lekarzy wnet go wyleczyło.

Dobry książę z Bouillon zatrąbił, to był znak do odwrotu dla rybałtów, po nich nastąpiła młodzież. Swoją drabinę przystawili do pierwszej, wchodzą pod górę, nie uważając na smołę i kamienie. Już Enguerrand głowę nad mur podnosi, ale Cornumarant czeka na niego, maczugą oburącz w głowę go uderzył. Spadł Enguerrand aż na dół, a razem z nim wszyscy, którzy byli na drabinie. Podobnie się stało na drugiej drabinie, na której 15 straciło życie. Książę trąbi do odwrotu, damy wodę przynoszą, której wszyscy bardzo pożądali.

Nowy hufiec nadchodzi, to byli Normandczycy i Bretonowie. Ci rozbijają mur dalej, trzecią drabinę przystawiają, ale coś nikt wchodzić nie chce. Nie bądźcie tchórzami, wołają damy. Wspina się Josserand, za nim Tomasz, ale Turcy belkę na nich rzucili, siedmiu zabili.

Ładny był dzień i jasny i słońce gorące. Nowy hufiec idzie do szturmu, z Boulogne i z Flamandyi. Teraz cztery drabiny mają, na nich wchodzi Hongier l'Allemand i Hervin i Raimbaud Creton i Paiens de Cameli. Hongier już jest blisko grzebienia, gdy w tem Turek hakiem go chwyta i na wierzch wyciąga, także Hervina; już ich schwytali i nie puszczą. Odbić ich chce Raimbaud i Payens, zabili każdy swego Turka, ale sami do fosy zwaleni zostali.

Pokazał przy tem Bóg cud wielki, bo tak łagodnie spadli, że im się nic nie stało.

Wstydził się Hongier stojąc na murze, że został schwytany, przyjaciel jego Hervin wstydził się także. Oto Hongier chwyta w pas admirała Malcolon'a i zrzuca do fosy, to samo zrobił Hervin z królem Ysabrasem. Potem biją się jeszcze, 15 Turków zabili. Poddali się dopiero Cornumarantowi, który im życie zapewnił. Malcolon i Ysabras schwytani zostali przez naszych, proszą o życie, obiecują za siebie wydać nie tylko owych dwu, lecz także owych czternastu, a w dodatku dwa muły obciążone złotem i jedwabiem. Śmiał się z nich książę, mówiąc do Roberta z Flandryi: to jakieś grube a głupie ryby! Bo byłby ich oddał za samych Hongiera i Hervina. Ale chętnie przyjął i resztę. Szturmu dalszego zaprzestano, wymianą się zajęto.

Skończył się dzień, noc nadeszła. Boémond strzegł obozu, ale go Turcy oczarowali, bo nie ustrzegł, że spalili wszystkie maszyny i tarany i drabiny. Zmartwionych naszych biskup z Mautran pocieszał, że mimo to Jerozolimę zdobędą, jeżeli jest taka wola Boża.

W Jerozolimie zebrali się Turcy na naradę. Mówi im Cornumarant, że woli głowę stracić, niż miasto. Pojedzie szukać pomocy u sułtana, cały Oryent na chrześcijan sprowadzi. — Nie cieszy się z tego ojciec jego Corbadas, przeklina miasto i świątynie i grób święty. Chce się przebić sztyletem, ale mu go wydarto. Cornumarant go pociesza, ściska i całuje, zapewnia, że najdalej za miesiąc powróci, wielkie wojsko sprowadzi, a tymczasem są zaopatrzeni: chleba, mięsa i wina mają dosyć.

Dzień minął, noc nadeszła, na którą Cornumarant czekał. Była jasna, bo księżyc świecił. Obozu strzegł Robert z Normandyi z 500 rycerzami. Cornumarant nakazał pozorną wycieczkę zrobić z miasta w 15.000 ludzi, przez bramę Dawida na obóz, a sam korzystając z zamieszania, wymknie się przez bramę świętego Szczepana. Tak też zrobiono. Wyjechał na szybkonogim koniu Plantamorze z mieczem w dłoni, z rogiem Heroda na sznurze. Napotkał dwu rycerzy, którzy mu drogę zastąpili. Jednego z nich zabił, przed drugim uciekł. Ten wołać zaczął: *Saint sépulcre!* baronowie, ten Turek uciekł z miasta, jedzie pomocy szukać! Słyszy to dobry książę Bouillon, rozgniewany daje koniowi ostrogi, i goni, ale szybkonogi Plantamor jest najlepszym koniem na świecie. Już Cornumarant jest przy klasztorze, tam zadął w róg, którego głos dobrze słyszano

w Jerozolimie. Ucieszyli się Saraceni, bo wiedzą, że młody król ocalał. Napróżno goni za nim książę Godefroi i wielu innych baronów, z wielką częścią całego obozu.

Niespodzianie natknął się Cornumarant na hrabiego Balduina z Rohais (Edessa). Jechał w 4000 rycerzy pod Jerozolimę, dokąd go brat wezwał. Zobaczywszy go Saracen, ukłuł aż do krwi Plantamora, który się puścił jak sokół. Ale aragończyk Primsaut, koń Balduina, w całej Persyi był sławny. Zanim słońce wzejdzie, on dogoni Plantamora, który już pocić się zaczął. Poganinie, zawołał Balduin, spróbuj się ze mną! Zła godzina przyszła na ciebie! — Słyszy to hardy poganin, widzi, że Balduina ludzie daleko w tyle zostali, przeto zawraca na niego. Balduin uderzył na niego lancą, przebił mu tarcz, ale Turek miał zbroję doskonałą i z siodła ani się ruszył. Teraz Turek go ugodził, tarcz mu przebił, nawet i pancerz, żelazo tuż przy nagim ciele przeszło. Hrabia zawołał: Święty Grobie, pomagaj!

Hrabia Balduin dobył miecza i rąbnął Saracena po głowie, cały hełm mu rozpłatał, z czaszki krew mu popłynęła. Na widok swej krwi, Saracen nabrał podwójnej siły, bo taka była jego natura. Odmachnął się i także cały hełm Balduinowi rozciął, ale go nie zranił. Teraz zawołał: czy ty myślisz, że ja się ulęknę jednego Francuza? Na twoje nieszczęście z za morza przyszedłeś, bo wszyscy Frankowie będą ze skóry obdarci, a hrabiowie powieszeni. Jadę do Szacha po posiłki, cały Oryent na was sprowadzę!

Słyszy to Balduin rozgniewany i pyta: kto ty jesteś? — Powiem ci, ale i ty mi swoje imię powiesz. — Zgadzam się na to. — Wasalu, jestem Cornumarant, syn Corbadasa, króla Jerozolimy. — Poganinie, jestem Balduin, brat księcia Bouillon i hrabiego Eustachego. — Z dobrego jesteś rodu, rzekł Cornumarant a teraz się bijmy! — Już się Saracen zamierzył, ale widzi ludzi Balduina nadjeżdżających, więc Plantamora zawraca, daje mu ostrogi i ucieka. Balduin goni za nim.

Ucieka Cornumarant, kłując konia ostrogami, goni go Balduin na Primsaut'cie, szybkonogim koniu. Oto teraz Cornumarant spotyka hufiec saraceński, prowadzony przez Orkana. Poznał go ucieszony Cornumarant, hasło zawołał, na czele hufca stanął, przeciw Balduinowi się zwraca. Ten pewną widzi zgubę, więc ucieka, do swoich ludzi się zbliża. Tutaj stanął, za sobą widzi Cornumaranta z wojskiem, który woła: za daleko zapędziłeś się, zanim słońce zaj-

dzie, żyć przestaniesz! — Kpię sobie z ciebie i z twego wojska, odrzekł Balduin i najeżdża na Saracenów z drużyną. Lance się łamią, tarcze pękają, poganie padają na ziemię. Balduin wyrwał lancę z rąk zabitego Turka i najeżdża na Cornumaranta. Tak go uderzył, że go zwalił na piasek. Plantamora mu zabrał. Oto Orcan jedzie na niego z 14 pohańcami. Już mu całą tarcz zrąbali, ale Bóg go od ran osłonił. Puścił Plantamora, ale za to przeciął barona saraceńskiego aż do serca. Cornumarant dosiada Plantamora i znów do bitwy spieszy.

Ciężka była walka, wszyscy zmęczeni i zgrzani. Saracenów było 10.000 przeciw 4000 naszych, którzy dłużej wytrzymać nie mogli. Balduin dał znak do odwrotu. Ku Jeruzalem zmierzają, ale Cornumarant ich ściga i grozi. Spostrzegł Balduin zameczek przy stawie, trzciną zarosłym. Tam ludzi swych prowadzi i bronić się im każe, sam ukryje się w trzcinie, a gdy Saraceni go miną, do Jerozolimy po pomoc pospieszy.

Zamknęli się ludzie Balduina w zamku, on sam w trzcinie się ukrył. Oto w tej trzcinie pełno było pijawek, obsiadły dobrego konia Primsaut'a w 30 miejscach. Balduinowi wsunęły się pod pancerz w 200 miejscach. Sądził baron, że zginie wraz z koniem, ale go Bóg ocalił. Saraceni oblegli zamek, gdzie się nasi dobrze bronią. Wtedy rzekł Cornumarant: wiem z pewnością, że ten Frank, który mnie dzisiaj gonił i zranił, do zamku nie wszedł, on z pewnością jest w trzcinie ukryty. Zapalmy ją a zginie. Płonie trzcina, światło rzuca daleko. Balduin lęka się śmierci, modli się do Boga: *Pater alpha et om* (sic), ty któryś sprawił, żem się narodził, ocal mię, spraw, aby mnie i konia opuściło robactwo, bo inaczej zginiemy! — Oto spadły wszystkie pijawki. Balduin wyjeżdża z trzciny z błyszczącym mieczem w ręce, konia ostrogami kłuje. Widzi go Cornumarant, krzycząc, goni go z czeredą pohańców.[1])

Ucieka Balduin, krew sączy z niego ze wszystkich stron, równie jak z konia. Cornumarant go ściga na szybkonogim Plan-

[1]) Przygodę taką król Balduin rzeczywiście przeszedł. Uciekając z pod Ramle, ścigany przez Saracenów, ukrył się w krzakach, skąd go Saraceni, zapalając je, wypłoszyli, ale jednak nie dosięgli. Stało się to atoli dopiero w trzy lata później, aniżeli poeta opisuje. Ale rzecz dziwna, żaden łaciński historyk o tej przygodzie nie mówi, tylko Arab Ibn Alatyr. Zob. Michaud: Historiens Orientaux des Croisades I. p. 214. Jakim sposobem dowiedział się o tem poeta, który nam widocznie podaje reminiscencyą tej awantury? Chyba tylko przez ustne opowiadanie.

tamorze. Już się zbliżają do owego klasztoru, gdy spostrzegają Godfryda, Roberta, Boëmonda, Tankreda i wielką siłę rycerzy. Niech cię dyabli wezmą, zawrzasnął Cornumarant, rzucając lancę za Balduinem. W imię Tervaganta uciekajcie panowie, bo oto Francuzów 30.000. — Uciekają w góry, nie zatrzymując się wcale.

Nasi książęta zobaczyli krwawiącego się Balduina. Godfryd go ściska, a on woła: nie zatrzymujcie się, jedźcie na odsiecz moim ludziom w zamku oblężonym! Pojechali, konie ostrogami kłując; wszystkich Turków zabili, jacy tam byli; oswobodzeni rycerze dziękują im, ściskając i ciesząc się. Teraz wracają do Balduina, który już omdlewał, a koń jego upadał. Płaczą baronowie. Godfryd go całuje w szyję. Tomasz z Marle cudowny list mu położył na głowie i oto podnosi się baron na nogi, wsiadł na łagodnego konia, zaś dobrego Primsauta z Arragonii oddano dwu pachołkom w opiekę.

Już drużyna Jezusa wróciła do obozu, myśląc o nowym szturmie. Cornumarant jedzie spiesznie dalej, listy wysyła do Damaszku, do Tabaryi, przejeżdża Syryą, dyabeł go prowadzi, aż zajechał do Persyi do Sułtana. Zastał go pod Sarmasane[1] w otoczeniu innych królów. Z płaczem i krzykiem upadł przed nimi, nogi im ściskał, prosząc o litość i pomoc, bo bez nich przepadnie Jeruzalem. Miły siostrzeńcze, rzekł sułtan, pomoc będziecie mieć i wielką i śpieszną. Pożarłbym chrześcijan, gdyby byli do jedzenia. Najadę na nich i zawojuję całą Francyą i Normandyą! Zdobędę Jerozolimę już w piątek, przed wieczorem. — Chętnie by to uczynił, ale nie poznał jeszcze rycerstwa bożego.

Pieśń piąta.

Panowie, dobrzy chrześcijanie, powiem wam o świętem mieście, jak je Bóg oddał tym, którzy dla niego dużo trudów ponieśli.

Jednego ranka wstał książę Normandyi, zwołał wszystkich baronów, aby uradzili, jak zdobyć święte miasto, zanim Cornumarant przyprowadzi odsiecz. Rzekł biskup z Mautran, który był uczonym klerykiem: słuchajcie panowie, dzisiaj w nocy miałem wskazanie od Boga, że na górze Oliwnej jest święty eremita, od 10 lat w skale mieszkający. On wam powie, jak miasto zdobyć, idźcie więc do niego. — Panie, tak zrobimy, jak radzisz! — Poszli, szukali wszędzie, nikogo na górze nie znaleźli. Wróciwszy obsypali

[1]) Samarcanda.

wyrzutami biskupa, że sobie z nich zakpił. — Nie tak, pójdę razem z wami, ale wszyscy boso i w koszulach, jak pokorni pielgrzymi. — Rzekł książę Bouillon, tak zrobimy, jak każesz.

Panowie, na górze Oliwnej przebywał święty człowiek, który żył chwałą bożą, oddany modlitwie. Teraz go znaleźli a on im powiedział: idźcie w dół poza zamkiem Gastona, tam znajdziecie drzewo przydatne na tarany. W lesie, pod Betleem, znajdziecie deski, któremi je osłonicie, wtedy uderzcie na miasto, a zdobędziecie je. Wiedzcie tylko, że Bóg pychy nie lubi.

Była to niedziela, od wszelkiej roboty wstrzymali się dnia tego, w poniedziałek zebrali cieśli i inżynierów: Mikołaja i Grzegorza, do belek, które w oznaczonem od pustelnika miejscu już od 30 lat z rozkazu Boga leżały. Zaprzągli 96 koni, przed bramę Dawida przyciągnęli, tu maszyny na kołach zaczęli budować, skórami je odziali, w środę już były gotowe. Następnej nocy przewieźli je pod bramę św. Szczepana.

Słuchajcie panowie, w czwartek o świcie wstali baronowie, prosili Boga, aby im dał zdobyć miasto, Godfryd w róg zadął, wszystkie narody się uzbroiły, wszyscy walki pożądają. Król Tafur zebrał swoich rybałtów 10.000, obiecując im bogatą zdobycz. Plecione z wici osłony robić kazał, pod którymi mur rozbijać będą. Patrzał na to Corbadas z wieży wysokiej i przeklinał baronów w imię Apollina. Ale błogosławił ich biskup z Mautran, lancę św. do góry podniósł, z czego się wszyscy ucieszyli.

Tarany pod same podsunąwszy mury, rozbijają je, ale Turcy bronią się, rzucają kamienie, ogień, belki, strzelają z łuków, leją wrzącą smołę i stopiony ołów, ogniem greckim wszystko zapalają. Lecz wiatr obrócił ogień ku nim, który oni octem gasili. Damy przynoszą naszym wodę do picia i zachęcają do walki zapewnieniem szczęścia niebieskiego. Wszyscy wodzowie tu przyjechali, z koni zsiedli, pikami, młotami, rozbijali bramę. I już brama rozbita, już się przez nią wdzierają nasi, gdy niespodzianie Turcy spuścili drugą bramę, która trzech z naszych zmiażdżyła.

Trzech z naszych zmiażdżyła brama, św. Michał zabrał ich dusze i niósł do nieba, śpiewając. Nasi rozbijają mury taranem, król Tafur przybiega ze swymi, pikami, hakami, kamienie z muru wydobywają. Pod osłoną plecionek z gałęzi nie lękają się strzał ani smoły. Tomasz z Marle, rycerz zawołany, prosi Tafura, aby

go przyjął do swej roty, za co obiecuje być jego wasalem. Zgodził się na to król Tafur i zaraz przysięgę od niego odebrał.

Nadszedł wieczór, Francuzi chcą do obozu wracać. Widzi to dobry książę Godfryd i bardzo się tem zmartwił. Gromi ich ostrymi słowy: póki byliście daleko, chcieliście gryźć zębami mury Jerozolimy, gdzie Chrystus był za nas umęczony, a teraz spać się wam chce! Ja stąd nie odejdę, aż Jerozolima będzie zdobytą. — Popłakali się baronowie, chwaląc Godfryda, i zostali wszyscy przez noc pod murami. Rybałci podkopywali się bezustanku i już wyłom w murze na wylot zrobili, tylko go na razie zatkali pakułami.

O świcie zagrały rogi, trąby, dudy i bębny. To był piątek, dzień męki Pańskiej. O południu już kawał muru zwalili. Książę z Bouillon kazał rzucić pomost, sam wszedł na niego, aby go pohańcy nie zniszczyli. 30 z nich zabił, aż się spocił dobry książę, który jak dzik się srożył. Teraz wydziera się król Tafur, bo on chce być pierwszy w Jerozolimie, ale Tomasz z Marle go wyprzedzi. Była to właśnie godzina, w której Jezus został umęczony.

Woła król Tafur na swoich ludzi: baronowie, miasto jest otwarte, wchodzić żwawo! Tomasz z Marle wyszedł z fosy z pokrwawioną twarzą i mówi do swych 30 towarzyszy: podnieście mnie na lancach i wrzućcie do miasta! Tak zrobili, a pamięć o tem wiecznie trwać będzie.

Dobry Tomasz z Marle jest wrzucony do miasta, już się podnosi, gdy go beduinka maczugą po głowie uderzyła. Upadł pan Tomasz, biegną Turcy, aby go rozsiekać, co widząc król Tafur, zawołał na swoich: święty Grobie, pomagaj, bijcie, zacni rycerze! Wnet całą kupę trupów położyli. Oswobodzony Tomasz, który dla tego tylko nie zginął, że miał list cudowny, zabezpieczający mu życie, zamierzył się teraz mieczem na ową beduinkę. Ta go prosi: nie zabijaj mnie zacny rycerzu, powiem ci wróżbę: od Turków nie zginiesz, ale twój pan cię zabije! [1]). — Za tę wróżbę jeszcze bardziej rozgniewał się Tomasz i zabił złowrogą wieszczkę. Teraz biegnie do bramy, zamek jej rozcina, z królem Tafurem podnoszą ją na bloku w górę. 30 rybałtów umocowało ją na sznurach. Go-

[1]) Tak się stało rzeczywiście w kilkadziesiąt lat później. Zginął pokonany przez hrabiego Vermandois, syna Hugona Dużego. Był to ten sam Tomasz z Marle (albo Marne), opisany w pracy poprzedniej jako jeden z najokrutniejszych baronów. Tam też podane są bliższe rysy jego charakteru i okoliczności śmierci jego.

nią rybałci po ulicach, zabijają Saracenów, księża chwalą Boga, śpiewając: *Te Deum laudamus.*

Słuchajcie panowie sławnej pieśni! Było to w piątek, gdy nasi chrześcijańscy baronowie zdobyli Jeruzalem, właśnie o godzinie, kiedy Jezus był umęczony. Uciekają pohańcy, goni ich książę Bouillon i Tankred i Boémond i Eustachy i Raimbaut Créton. Na ulicy w krwi i mózgach aż do kostek broczyli. Wrzeszczą Saraceni: panie Mahomecie, pomagaj! Miej litość nad nami! Już cię nie zobaczymy z posiłkami, panie Cornumarant! — Krzyczą pohańcy, wrzeszczą, wyją jak psy, saracenki załamują ręce, rozdzierają szaty, przeklinają ziemię, która takich wydała ludzi, wszyscy lamentują. Na wieży król Corbadas targa brodę, omdlewa, trzeźwi go stary Lucabel.

Zdobytą jest Jerozolima. Uciekają poganie, aby życie ocalić zabijają ich chrześcijanie. Wielką rzeź sprawił Robert z Normandyi, a hrabia Hugo uśmiercił całą gromadę przy Złotej bramie. Saracenki uciekają ku wieży Dawida, rybałci je gonią, robią z niemi, co im się podoba, potem obdzierają ze wszystkiego. Ani jeden pohaniec nie został żywy, wyjąwszy tych, którzy się zamknęli w wieży Dawida.

Teraz baronowie myślą o wygodzie, wyszukują pałace, gdzie zamieszkać, stajnie, gdzie konie postawić. Tylko dobry książę Bouillon i Robert z Flandryi i Tomasz z Marle myślą o czem innem. Idą prosto do grobu, do świątyni, przed nią klękają, całują grób i ściskają i płaczą. Wszelki brud jedwabnemi chustkami ścierają, ozdabiają ołtarz, na którym Jezus był ofiarowany w świątyni. Potem dopiero myślą o wypoczynku. U wyjścia ze świątyni zobaczyli pałac wspaniały. Bóg go właśnie dla nich zachował. Jego właściciel klucz im oddał, a był ślepy od lat 30. Godfryd rzucił ową chustę na twarz jego, a starzec natychmiast wzrok odzyskał. Oddał im pałac i skarby, chrzest przyjął, a Godfryd go wziął pod swoją opiekę. Nakazali też, aby wszystkie trupy z miasta wyrzucić; Saracenów spalono na kupie, chrześcijan przystojnie pogrzebano. Biskup z Mautran odśpiewał mszę, a następnie baronowie maszyny przed wieżę Dawida ustawili, aby ją szturmem zdobyć.

Gdy to zobaczył król Corbadas, przywitał naszych baronów i tak do nich przemówił: Słuchajcie mnie, panowie, wieża ta jest bardzo mocna. Zanim ją zdobędziecie, wielkie poniesiecie straty! Pozwólcie odejść bezpiecznie mnie i mojej drużynie, a oddam ją

wam dobrowolnie. Zgodzili się baronowie, wyszło Saracenów 7400. Udali się do Barbais, a król ciągle narzekał. Byłby sobie życie odebrał, gdyby nie Lucabel. Niech sobie idą do dyabła! Nasi do miasta się przenieśli, damy idą do świątyni, w domach i na ulicach palą się kadzidła. *Te Deum laudamus* wszyscy głośno śpiewają. Domy i mieszkania ubrane są w materye, biskup z Mautran solenną mszę odprawił, a bogata była po niej składka. Całą składkę rozdał biskup pomiędzy ubogich. Przez dwa tygodnie wszyscy książęta otwarty dwór prowadzili, aż pewnego czwartku rano zebrało się przed świątynią, na placu trawiastym, całe rycerstwo, które ciężkie trudy poniosło, aby się pomścić za Boga, dużo twierdz zdobyło, w żadnej bitwie nie było zwyciężone. Nikt dotąd na świecie takich ludzi nie widział.

Przed świątynią zebrało się rycerstwo, biskup z Mautran założył stułę, w rękę ujął świętą lancę i tak do baronów przemówił: Zdobyliście panowie to miasto, teraz trzeba nam króla, któryby go strzegł, ziemi okolicznej bronił, kościół święty odnowił. — Wszyscy na to: to wielka prawda! A cały lud zawołał: Niech królem będzie dobry książę z Bouillon. — Słysząc to biskup, zwrócił się do księcia, pokłonił się i rzekł: zbliż się, panie, aby otrzymać Jeruzalem, sławne miasto obronne. — Panie, odrzekł książę, nie mówmy wcale o tem, wielu tu jest książąt znakomitych, którym ja ustępuję pierwszeństwa! — Tacy byli liczni, którzy się na te słowa rozpłakali.

Biskup z Mautran zwrócił się do hrabiego Flandryi: zbliż się zacny baronie, aby otrzymać Jerozolimę i całą ziemię do niej należącą. — Panie, odrzekł hrabia, nigdy się na to nie zgodzę. Gdym opuszczał Flandryą, przyrzekłem Klementynie, że skoro tylko zwiedzę świątynię Salomona i ucałuję Grób i odmówię modlitwy, niezwłocznie do powrotu się zabiorę. Już teraz chciałbym być w Arras, w moim dworze, gdzieby mnie Balduin, mój syn, ujął za połę, a jabym go ucałował sto razy. Jużbym nie wrócił do tego kraju za wszystko złoto, jakie jest aż do łąk Nerona. — Biskup spuścił brodę na te słowa: Tak więc sławne miasto, nie chcą cię przyjąć ci panowie! Tak więc święty Grobie, wstyd ci robimy!

Biskup z Mautran rzekł tedy do księcia Normandyi: panie, w imię Boga, przystąp bliżej, aby otrzymać królewską godność i nosić koronę w świątyni *Domini*. Najwyższe to królestwo na świecie, to też ty i twoi przyjaciele będziecie przez to wywyższeni. — Panie, odpowiedział Robert, mam ja ziemię szeroką i długą, a obie-

całem, że wrócę, skoro tylko uczczę grobowiec. Całe ciało mnie boli od ciągłego noszenia pancerza. Już zerwałem palmy i przygotowałem się do drogi, jutro rano odjeżdżam. — Westchnął na to biskup i bardzo się martwił.

Biskup z Mautran stał przed świątynią na podwyższeniu wobec licznego ludu. Spiesznie Boémonda przywołał i tak przemówił: panie przyjmij Jeruzalem i honor z tem złączony[1]. Wszakże tu Jezus mękę cierpiał, a ty będziesz przez to wywyższony! — Panie, nie uczynię tego, mam Apulię i Kalabryę i to mi wystarcza. Zerwałem palmy w ogrodzie św. Abrahama, związałem je srebrnym jedwabiem. Jeżeli Bóg pozwoli, jutro wyruszam. — Serce bolało biskupa, a płacz był wielki.

Biskup z Mautran zwraca się do Hugona Wielkiego i w imię Boga go prosi, aby przyjął Jeruzalem, królewskie miasto, gdzie Bóg cierpiał dla nas mękę i śmierć. — Panie, odrzekł hrabia Hugo, za dużo już cierpiałem, w tym kraju nigdybym zdrów nie był, bo ta ziemia tu nadto gorąca od żaru słonecznego. Już palmy zerwałem, jutro wyruszam, gdy koguty zapieją.

Narzekał wymownie biskup z Mautran, że żaden z baronów korony miasta przyjąć nie chciał, gdzie Chrystus za wszystkich cierpiał. Wszyscy płakali, płakał też Godfryd z Bouillonu. Teraz biskup tak mądrze poradził: dziś pościć będziemy i czuwać noc całą, klęcząc na gołych kolanach. Każdy będzie miał świecę całkiem nową, a czyja świeca zapali się z woli Boga, ten będzie królem i otrzyma koronę.

Zgodzili się na to baronowie, we włosiennice się ubrali, spowiadali się biskupowi, który im dał rozgrzeszenie. Komunia św. im starczyła za obiad. Poszli do świątyni, przez noc tam zostali, na ziemię się kładą, w piersi się biją. Innego tam światła nie było, tylko lampa. O północy lampa gaśnie, rozbrzmiewa grzmot, który baronów śmiertelnie przestraszył. Potem zabłysło, świeca księcia Bouillon się zapaliła. Jemu Bóg przyznawał królestwo i honor Syryi.

Widzą to wszyscy, powstają, rosa pada z ócz dobrego księcia, krople wzdłuż twarzy mu spływają. Proszę Boga, rzekł, aby mi dał zwycięstwo nad pohańcami! — Cieszą się wszyscy, ściskają go, bo

---

[1]) Honor znaczył w takim razie przywileje, władzę, ale także ziemię i dochody.

wiedzą, że lepszego króla Jerozolima mieć nie może. Prowadzą go do ołtarza, niosą go w procesyi, biskup z Forez dał mu benedykcyą, poczem koronować go chciano. Ale książę rzekł: nie myślmy o tem panowie, abym na głowie nosił koronę ze złota, gdzie Jezus cierniową nosił. Moja korona nie będzie złotą, ani srebrną, ani mosiężną. Przyniesiono z ogrodu św. Abrahama *espiku*[1] i tym go uwieńczono. A kto go wieńczył? Najgodniejszym uznano króla Tafurów, który też to wykonał, a następnie hołd złożył, równie jak wszyscy baronowie. Kler cały śpiewał *Te Deum laudamus*.

Przez tydzień król Gotfryd sądził sprawy w świątyni Salomona, a dnia następnego baronowie w drogę się wybierali. Przywołał ich król, zgromadzili się przed świątynią, a on do nich tak przemówił: Panowie, na Boga z Betleem, chcecie mnie opuścić, samego wśród pogan zostawić! Jeszcze nie zdobyliśmy ani Tyru (Sur), ani Akkonu, ani Damaszku, ani Tabarie, ani Belvais, ani Escalony, ani Barbais, ani Talant. Cała nasza pielgrzymka na nic się nie przyda, żaden pielgrzym w Jordanie nie będzie się kąpał. Proszę was tedy, pozostańcie, służcie naszemu Panu w tej świętej ziemi.

Tak do licznych baronów przemówił król Godfryd przed świątynią. Odrzekł hrabia Flandryi: rozważ królu, że nie każdy jest ze stali, albo żelaza, aby cierpieć jeszcze więcej. Moje żebra jakby połamane, w 20 miejscach skóra mi zeszła, od dwu lat nie myłem sobie głowy. Ja powracam, a jeśli chcesz, powracaj z nami panie!— Jedźcie tedy z Bogiem, ja zostaję, niech mi Bóg pomoże i Święta Trójca! — Król Tafurów teraz zawołał: panie, ja z tobą zostanę, wraz z moimi 10.000 rybałtami, a szczerze pomagać ci będziemy. Oświadczył także hrabia Saint-Gilles, że zostaje i Eustachy starszy brat Godfryda i Balduin, razem 10.000 rycerzy. Inni odjeżdżają, drogę biorąc na Jerycho, gdzie Bóg pościł dni 40. Każdy tam się pomodlił, poczem do Jordanu przybyli, gdzie się wszyscy kąpali. Stąd jadą do Tabarie (Tiberias), gdzie ich napadł Dodequin z Damaszku z 15.000 Turków. Montjoie, zawołali baronowie i Turków rozpędzili, ale Dodequin zamknął się w Damaszku, miasta im nie oddał, a szturmem zdobyć go nie mogli[2]. Mimo to, pojechali dalej

[1]) espic—nard = épinard.

[2]) Emir Damaszku nazywał się Dekak z czego Dodequin, ale tutaj śpiewak nadto się oddalił nie tylko od prawdy, ale i od prawdopodobieństwa. Droga z powrotem bynajmniej na Damaszek nie prowadziła.

przez Galileę, gdzie widzieli stół, przy którym Bóg nakarmił 5000 ludzi dwoma chlebami i pięciu rybami. Nocowali nad jeziorem, a rano do dalszej zabierali się drogi. Wtem gołąb przyniósł im list, który odczytał biskup z Forez. Przeczytawszy go, zawołał: Święty Grobie pomagaj! Wracać nam wypada do Jerozolimy, bo Cornumarant prowadzi na nią niezliczone wojska. Jedzie na naszych 60 królów, samych Esklerów. Tę jednę bitwę jeszcze stoczyć mamy, a potem Godfryd sam będzie bronił Jerozolimy. Prosi nas król, abyśmy to uczynili. — Oświadczył na to Robert z Flandryi, że bitwę tę stoczyć trzeba, bo taka jest wola Boża. — Znalazło się 30.000 rycerzy, którzy chcieli jechać dalej, ale tym w drodze stanęli Hugo Duży i Robert z Normandyi i Boémond, prosząc ich w imię Jezusa, aby się nie stali wiarołomnymi. Bo gdy odjadą, ślub ich będzie nie wykonany, a bardzo mało okażą miłości Jezusa, który tutaj za nas tyle wycierpiał. — Usłyszawszy to rycerze, zawołali: niech giną poganie! Zabrzmiały trąby i rogi, na konie wszyscy wsiadają i powracają do Jerozolimy.

Pieśń szósta.

O wiele wcześniej, niż ci rycerze powrócili do Jerozolimy, stanął tam Cornumarant. Miał z sobą 100.000 wojska, które zebrał na prędce, zanim sułtan z armią o wiele większą nadciągnie. Spieszno mu było ocalić miasto, lecz już po drodze spotkał strapionego ojca swego Corbadasa, którego pocieszył zapewnieniem, że miasto odbierze, a zupełne wytępienie chrześcijan jest pewne, bo to sobie sułtan postanowił.

Zbliżywszy się do Jerozolimy, zaczął w dolinie Józafata zabierać bydło. Pasterze krzyk taki podnieśli, że go usłyszał król Godfryd w Jerozolimie. Obronę miasta zdał na króla Tafurów i na Piotra pustelnika, sam z 4000 rycerzy wyjechał w pole. Saint-Sépulcre, aïe! panowie, popiszcie się, niech z nas nie drwią sobie poganie! Sam najechał na Cornumaranta, zwalił go z Plantamora na ziemię, już mu głowę uciąć zamierzał, gdy 10.000 Turków na pomoc się zbiegło, wołając: Damaszek! Tiberias! Odbili go. Cornumarant wsiadł znów na Plantamora, zadął w róg Heroda, całą armią przywołał.

Biją się dzielnie chrześcijanie, Godfryd sam zabił 14 królów i emirów, ale Saracenów jest siła zbyt wielka, ku Jerozolimie naszych odpierają, hrabiego de St.-Gille wzięli do niewoli.

Cofają się nasi do miasta, w bramie pyta Piotr pustelnik Godfryda, jak mu poszło? — Źle, nigdy się nie ucieszę, bo hrabia Raimond jest jeńcem. — Idźmy go odbić, woła Piotr z królem Tafurów. I ruszają, z nimi Godfryd, Eustachy i Balduin na Primsaut'cie. Zaraz go poznał Cornumarant i przeciw niemu poskoczył. Tak się potężnie zderzyli, że obaj z siodeł na ziemię wypadli. Pośpieszyli ku nim Saraceni, z drugiej strony rybałci, wszyscy skłębili się w zażartej bitwie. Trupy kupami leżały. Balduin ujął w pas Cornumaranta, do ziemi przycisnął. Nadjechał Godfryd, głowę poganinowi chciał uciąć, ale ten oddał mu miecz, poddając się. Zabrali go baronowie, ku Jerozolimie zawracają. Poganie podnoszą krzyk wielki i wycie, król Sucamant chce odbić Cornumaranta. Uderza na niego Balduin, tnie po hełmie, ale cios bokiem poszedł. Sucamant stracił ucho i prawe ramię. Odnowiła się bitwa, wszyscy chrześcijanie walczą jak zuchy, ale pogan zebrało się 60.000, naciskają zbyt silnie, do miasta naszych wpychają, sami starają się wedrzeć. Przy bramie stanął Godfryd i zabija jednego Saracena po drugim. Teraz z pomocą mu przyjeżdżają na koniach św. Jerzy, św. Dominik i św. Maurycy z 30.000 białych rycerzy. Św. Jerzy rzekł do Godfryda, prowadź nas, jeżeli jesteś zuchem. Stanął na ich czele książę, uderzyli na pogan, do wieczora walczyli, 50.000 położyli na polu, reszta uciekła ku Rames. Niestety, zabrali hrabiego z Tuluzy z sobą, którego strasznie katowali, tak że z 20 miejsc krew mu się lała.

Skoro słońce zaświeciło, wysłali poganie gońców na wszystkie strony, z żądaniem posiłków do Caucaire[1]) do Akre, do Heroda, bo Cornumarant został ujęty przez chrześcijan. Gorżkie wywodził Corbadas żale za synem. Wszyscy mają się zebrać przy sułtanie z Persyi, który ciągnie ku Rames. Wojsko jego zajmowało trzy mile długości, a dwie szerokości. Sułtan przebywał w namiocie, a ten wam opiszę.

Słuchajcie, jaki był namiot sułtana. Wyrobiony był dla Alexandra, kiedy żył jeszcze, przez Mahometa Gomelina robotą mozaikową i ażurową przy pomocy nigromancyi i czarów. Był tam przedstawiony pierwszy porządek świata przez Boga ustanowiony, dzień tam był i słońce i księżyc i wody i ziemia i morze z falami, ryby, zwierzęta i wiatry i gwiazdy w powietrzu. Wszystko tam

[1]) Zdaje się, że to ma być Kaïr — al Cair.

było wyrobione z kryształu, jaspisu, złota i lazuru. Było tam 30 działów, wszystkie z emalii. Siedem nauk wyzwolonych dysputowało z sobą. Ramy dokoła były z koralu, albo ze słoniowej kości, albo z hebanu. W namiocie były osadzone drogie kamienie, mające tę własność, że kto na nie patrzy we dnie, tego nie można oszukać, ani otruć niczem. Liny i nakrycie były z najlepszego jedwabiu, utkanego przez Arans (Arachnę), którą za to Pallas w pająka przemieniła. Odtąd z własnego brzucha nić wydobywa. Słupy były bardzo grube, a z najlepszego arabskiego złota. Mahomet Gomelin na nich oparł swą wiarę. Chciał być Bogiem i takim być przez świat nazywanym, ale nasz Bóg nie chciał na to zezwolić. Sprawił tedy, że jednego czwartku upił się Mahomet w gospodzie, a gdy wyszedł, położył się na gnoju i tam usnął, gdzie go też wieprze zagryzły. Z tego to powodu żydzi nie chcą jeść wieprzowiny. Salehadin kazał go przenieść do Mekki, do bogatego żyda, który się znał na czarach. W magnes kazali go włożyć, tak że ani jest na ziemi, ani w niebie, tylko w powietrzu. Czczą go dotąd poganie, Saraceni i Esclery[1]).

Namiot sułtana był bardzo cenny. Na szczycie miał karbunkuł, który świecił na 8 mil daleko. Na nim była postać Apollina, z kijem w ręku, którym groził Francuzom; Mahometa w namiocie postawili, a 14 królów z Afryki go ściskało[2]). W tę jego postać wszedł dyabeł i tam hałasował i gadał. Poganie, mówił Satenas, zbliżcie się do mnie, aby słyszeć, że postanowiłem obalić wiarę chrześcijańską. Niech Bóg rządzi niebem, do mnie należy rząd ziemi. Odemnie macie winnice, i zboże, i łąki i kwiaty. Mnie macie służyć i wielbić. — Słysząc to poganie, na kolana się rzucili, mówiąc: w takiego Boga wierzyć się godzi. Zaś kalif, ich apostolik, rzekł: teraz możecie brać po 2, 3, 4 albo 5 żon, aby wywyższyć naszą wiarę. Ja to nakazuję i sułtan także, bo chcemy wygubić

---

[1]) Taką więc legendę o śmierci Mahometa nienawiść chrześcijan wymyśliła. Godnem jest uwagi, że biegłość w czarach przypisywaną jest Mahometowi, Żydom oraz Saracenkom, jak się to wyżej widziało. Mianowicie wszystkie dzieła artystycznie niezwykłe są sprawą czarów. W opisie tych dzieł nie jedną znajdujemy reminiscencyą ze starożytności klasycznej.

[2]) *Mahomet Gomelin ont fais jus abaissier... Enmé le tref le misrent desos un paile chier, Oïant Sodant de Perse i entra l'aversier Si que paien l'oïrent taborer et noisier*, l. c. p. 222 v 5570. Mówiliśmy o takiem prorokowaniu demona z posągu przy demonologii Apulejusza.

wszystkich Francuzów, a naszą ziemię spustoszałą zaludnić. — Na to rzekł Amulaine i wszyscy pohańcy: zgadzamy się na to!

W tysiąc rogów i tysiąc trąb zadęli, zbroją się wszyscy, wyprowadzają słonie, konie, muły, psy i sokoły, a wszystko rży, szczeka i wrzeszczy. Mahometa na wozie ciągnie lew i wąż i olbrzym i gryf i smok, na każdym jedzie pohaniec. Dyaki śpiewają głośno, Persowie i Esclawoni tak hałasują, że słychać ich 5 mil daleko.

Sułtan wyjechał na czarnym mule, a ubrany był bardzo bogato. Zewsząd ściągały się do niego hufce. Ku Jerozolimie jedna część ruszyła, od strony bramy św. Szczepana zaczepiając. Przeciw nim wyjechał Godfryd, napotkał Marbrina, syna króla Sucamanta. Chciał się z nim bić, ale ten poznawszy króla, prosił go o litość i poddał się. Odprowadzono go do Jerozolimy. Przestraszyli się pohańcy i radzą, co począć. Postanowili hrabiego Raimonda wymienić za niego, albo za Cornumaranta. Wysłali poselstwo z 3 królów i 100 Esclavonów do Godfryda. Ten zgodził się na żądanie i obiecał wydać Cornumaranta, ale poprzednio chce go zadziwić swoją potęgą. Kazał tedy swojemu rycerstwu przechodzić przed królem saraceńskim, ale przechodzą ci sami 10 razy, tylko w różnem ubraniu. Tafury nawet ładnie się ubrały, ale w końcu pokazali się w łachmanach. Cornumarant zdziwił się tej potędze. Balduin go uściskał i prosił, aby chrzest przyjął, ale hardy poganin odrzekł, że nigdy tego nie uczyni, a chrześcijanie zawsze w nim będą mieli zaciętego wroga. Turcy oddali hrabiego Raimonda, którego kąpielami i ziołami wyleczono.

Obóz sułtana był o 5 mil od Rames. Pokrywał daleko wszystkie doliny i góry. Takiego wojska od czasu Adama nikt nie widział. Samych królów było 150, a wojska 30 razy po 10.000. Ich trąby i rogi słychać w Jerozolimie, góry i doliny echem odbrzmiewają. To niezliczone wojsko rusza na święte miasto. Prowadzi je sułtan admirał, który przysiągł na swoją brodę, że całą Francyą zawojuje i zniszczy. Ale jeżeli się Bogu podoba, broda jego przepadnie, bo już wraca rycerstwo (z Galilei) do Jerozolimy, a wojsko sułtana może być pobite.

Pieśń siódma.

Dobrą pieśń teraz usłyszycie, lepszej żaden żongler wam nie opowiedział. a cała będzie prawdziwa. bo się w Biblii znajduje: *et si est vérités, en la Bible est trovée* [1]).

Jedzie admirał ze swoją potęgą, 150.000 ludzi go poprzedza, którzy niosą bogów. Mahoma i Tervaganta. oraz skarb admirała sułtana. Kalif przywołał do siebie królów i rzekł: rozkazuję, aby 10.000 z was poniosło odkryte skarby sułtana pod Jerozolimę, a wszyscy inni tajnie za nimi pójdą. Francuzi są chciwi, wyjdą z miasta, aby skarby zabrać, wtedy wy rzucicie się na nich i głowy im pościnacie. — Mądra jest rada Kalifa. odpowiedzieli i wcale nie dziecinna. — Zrobili tak, w procesyi niosą skarby, Achoparty tańczą w około nich. a za nimi postępuje 50.000 łuczników i 100 tysięcy wybornych jeźdźców. Chorążym jest Cornumarant. który się strasznie odgraża Godfrydowi.

Admirał ze swymi baronami zatrzymał się w Rames, skarby zaniesiono aż pod Jerozolimę i złożono przed bramą św. Szczepana, który tam był kamieniami zabity. Patrzy na to z murów król Godfryd, przemawia do swoich i zakazuje, aby nikt się nie ważył wyjść z murów miasta. Poszedł potem na wieżę Dawida. widzi zastępy tureckie, do Boga się modli i skargę zanosi, że się czuje opuszczonym, że nie wie, czy zdoła obronić Grób św. Płacze żałośnie dobry król Godfryd. że aż litość bierze. Potem dobywa miecza i tak mówi: jeszcze mój mieczu zaczerwienisz się krwią saraceńską; zanim umrę. taką rzeź sprawię. że dusza moja będzie uświęconą!

Schodzi dobry król na dół i zaleca strzedz miasta i trzymać się w pogotowiu do jego obrony. To się nie podobało królowi Tafurów, który rzecze: Czyż u dyabła jesteśmy tu w więzieniu? Wiemy wszyscy. że zginiemy. ale śmierci się nie boimy. Wyjdźmy z miasta, napadnijmy na samego sułtana! — Temu się Godfryd nie sprzeciwia. Zbroją się wszyscy. nawet Piotr pustelnik pancerz przywdziewa i na konia siada, baronowie mu w tem pomagają. Zamiast lancy wziął drąg wielki zaostrzony, lecz go trzymać nie umiał, tylko w poprzek przed sobą położył. Mimo to zapewnia. że samego Cornumaranta do niewoli weźmie.

Jedzie Piotr jako rycerz, a król Tafurów żartuje sobie z jego rycerstwa. Wszyscy baronowie wyjeżdżają. Piotr rzuca się w pośród

[1]) Nie można twierdzić, aby nasz żongler miał dokładne wyobrażenie o biblii, ale pomysłową śmiałość w cytowaniu źródeł ma ogromną.

Saracenów, wnet stracił konia i lancę, tarczy wcale nie wziął, za to mieczem oburącz bije mężnie na okół siebie. Otoczyło go 2000 pogan, ale nie śmią bliżej do niego dostąpić. Sam Cornumarant na niego najeżdża, żądając od starca, aby się poddał, za wąsy zaprowadzi go do sułtana. Nawet przeciw niemu broni się Piotr, atoli został przez płuca przedziurawiony, powalony, związany i do sułtana odstawiony. Jego postać duża, szeroka, jego długa broda i wąsy, rozczochrane włosy, twarz niemyta a opalona, zęby potężne, wzbudzały postrach. To jeden z tych, mówią, którzy Turków pożerają. Zakazali mu się ruszać, bo inaczej zetną go zaraz, ale zawołali lekarza, Lucion się nazywał, aby wyleczył ranę jego. Ten dał mu ziele *marubion* zwane, a bardzo cudowne, przez Salomona znalezione, a które siedmiu mędrców z więzienia wydobyło [1]). Skoro je połknął, natychmiast był zdrów i wesół jak sokół. Kazali mu usieść pomiędzy admirałami, on jednego z nich uderzeniem pięści zabił, sądząc, że się na jego życie zmawia. Sułtan go zapytał, czy się chce wyrzec Jezusa, a uwierzyć w Mahometa? — Dla czego nie? odpowiedział Piotr. — To przynieście Mahoma! Przynieśli go jaśniejącego od złota i klejnotów. Ochrzcili Piotra na turecki sposób, on zaś modlił się skrycie, aby go Bóg wybawił z rąk tych pohańców. Bardzo się Turcy z tego chrztu cieszyli.

Posadził sułtan Piotra obok siebie i pytał po romańsku, jacy to ludzie, ci jego towarzysze i czy to prawda, co mówią o Godfrydzie, że tak potężnie mieczem rąbie. — Święta to prawda, rzekł Piotr, to też żadnego króla, ani admirała się nie lęka. — Na to wprowadzają konia, którego jeźdzca Godfryd w pół przeciął w pasie, bo tymczasem krzyżowcy bili się dalej. Godfrydowi aż ręka spuchła na rękojeści miecza od rąbania. Wchodzi Sucamant bez ramienia, a sułtan go pyta, kto cię tak obciął? To Balduin, odpowiada, brat Godfryda. — Rozgniewany sułtan postanawia wysłać posła do Godfryda z wezwaniem, aby się poddał natychmiast i uwierzył w Mahometa, bo inaczej będzie rzucony lwom i niedźwiedziom na pożarcie. Jeżeli uwierzy, przyjacielem jego będę i hojnie go obdarzę, a że jestem bogaty, to pozna po pośle. Którego umyślnie za radą Kalifa, w najbogatszą zbroję ubrano i dano mu najlepszego konia.

---

[1]) Chil deffrema son coffre, s'èn trait marubion
C'est une saintisme herbe que trova Salemon
Qui jeta les VII sages de charté et de prison v. 6406.

z drogocennym czaprakiem. Bo mówił Kalif: Francuzi są chciwi. będą pożądali tarczy i zbroi i konia, splami się przez to ich rycerstwo, w bitwie pokonani będą. — Mądra to rada, rzekł sułtan i tak uczynił.

Przybył poseł admirała do Jerozolimy, zajechał przed świątynię. gdzie baronowie byli zgromadzeni. konia do kółka przywiązał i tak się w imieniu sułtana oświadczył królowi: jeżeli się nie wyrzekniesz Jezusa i nie poddasz, każe cię lwom rzucić na pożarcie. obu twych braci każe ze skóry obedrzeć, całe wojsko powiązać i strzałami wygubić. Jeżeli się poddasz. zrobi cię swoim dziedzicem w Oryencie. — Łacinnik to królowi przetłumaczył, ten zaś odpowiedział: póki ramię moje mieczem władać jest zdolne, Jerozolimy nie oddam, natomiast żądam od sułtana, aby mnie się poddał, pogłówne zapłacił od wszystkich pogan. Bo mam zamiar zdobyć także i Persyą, pójdę do Mekki i zabiorę tam świeczniki, aby je przy Grobie w Jerozolimie postawić. Mahometa oddam rybałtom. którzy go obedrą ze wszystkich kosztowności, sułtanowi każę oba oczy wyłupić, następnie go zetnę, bo sobie go mniej cenię, niż parę złotych.

Oto ordynkiem teraz przechodzą rycerze, ładnie ubrani, dwu po dwu, potem ci sami wracają w innem przebraniu, także rybałci niby rycerze przechodzą, ale żaden na kosztowności posła ani okiem nie rzucił. W końcu rybałci przechodzą we własnem ubraniu, w łachmanach, z maczugami. Król Tafurów patrzy na posła, oczami przewraca, paszczę otwiera, zębami zgrzyta. Przeraził się Turek, (bo sądził, iż go chce pożreć) trząsł się jak w febrze. Leżało na ziemi 30 złotych bizantyńców, ale rycerze i rybałci deptali po nich, żaden się nie schylił.

Przywołał teraz Godfryd Marbrina, syna królewskiego i żądał, aby się wyrzekł Mahoma. Ten odmówił. Godfryd wyzywa go na pojedynek. Przyznaje poganinowi pierwsze uderzenie lancą i pierwsze uderzenie miecza; jeżeli go zwycięży, odejdzie wolny i cały. jeżeli nie, to wtedy Godfryd go uderzy. jak będzie mógł najlepiej. Wyjechali pod górę Kalwaryi. poseł był obecny. Marbrin i tutaj nie chce uznać za Boga tego, którego żydzi umęczyli i zabili. Pojedynek się rozpoczyna: Marbrin uderza lancą, przebija tarcz Godfryda, nawet pancerz. ale żelazo przeszło obok skóry, nie raniąc. Zaprawdę, rzekł Godfryd. który ani drgnął na koniu, dobrze mnie pchnąłeś. Teraz spróbuj mieczem: uderzył go Marbrin

mieczem po hełmie, ale bezskutecznie. Na mnie kolej, rzekł Godfryd, pomszczę się za Jezusa. Miecz jego zabłysnął, spadł na hełm, przeciął go, potem spadał dalej, jak wiatr z szumem przez cały kadłub, przez całego konia. Dobry był miecz jego, bo ani się wyszczerbił. Wołali chrześcijanie: błogosławiony ojciec, który zrodził takiego syna! Balduin i Eustachy ściskają go, ciepłem winem i wodą ramię mu zmywają, bo mu się wysiliło od tego cięcia. Obie połowy Marbrina i konia jego przywiązują na konia jucznego i oddają go posłowi, aby to sułtanowi wraz z odpowiedzią przedłożył. Ten to uczynił, opowiadał o wielkiej liczbie rycerstwa, o ich obojętności na złoto, o straszliwości turkożerczych Tafurów, o niezrównanej sile Godfryda. Słyszał to Piotr tam obecny i śmiał się pod swoją siwą brodą.

Sułtan wzdycha głęboko, targa się za brodę, pieni się ze złości, Piotra w żelazo zakuć, 30 trębaczom dąć w rogi rozkazał. Zbroją się poganie, hufce porządkują, a było ich 50, każdy po 30.000. Sam zasiadł do szachownicy z Almulainem, wojsko pod Jerozolimę ruszyło, aby ją obsaczyć i szturmem zdobyć.

Szturmują Saraceni do Jerozolimy, z jednej strony ci z Siglai pod mury podchodzą, w 15-stu miejscach je wyrąbują, wdrapują się, wyją, z drugiej strony Cornumarant mur na sążeń rozwalił. Wszędy Saraceni wciskają się, baronowie ich zabijają, już fosę nimi zapełnili, rybałci maczugami walą, ale nowi nadchodzą bez końca. Miasto byłoby zdobyte, gdyby nie noc zapadająca. Cofnęli się Turcy do Rames, aby nazajutrz powrócić. Wtedy zginie Godfryd, sroższą śmiercią zginie, niż Roland, tak rozkazuje sułtan.

W Jerozolimie zbiera się rycerstwo w świątyni Salomona, a Godfryd tak do nich przemawia: już nasi baronowie nas opuścili, już płyną za morze, a mnie tu zostawili samego. O mało miasto dziś nie zostało zdobyte. Co począć? Jutro wyjdziemy z miasta, do bitwy staniemy. Lepiej zginąć, aniżeli dostać się do saraceńskiej niewoli. — Zgoda, zawołali, tobie ufamy, żaden z nas ani na cztery kroki nie ustąpi. — Idźcie teraz do gospód, rzekł król, ja nad wami czuwać będę. Jutro rano niech każdy do bitwy będzie gotowy. — Ja, rzekł Balduin, ani nie zdejmę z siebie pancerza, pełny jestem otuchy, nie lękajcie się ich wielkiej liczby! Czy jeden pies nie rozpędzi 2000 zajęcy? Tak będzie z nimi! — Wszyscy się ucieszyli na te słowa, każdy chciał czuwać razem z królem, wszyscy do Grobu się udali, świece ze sobą przynieśli.

ale żadna się nie zapaliła. Słuchajcie cudu! Modlił się król Godfryd na kolanach klęcząc, modlił się długo i gorąco i oto jasność się podniosła i świecę jego zapaliła. Teraz wleciał gołąb biały, inne świece od jego świecy zapalił, królowi list oddał. Jeden z kleryków list ten odczytał, w którym Bóg donosi Godfrydowi, że wojsko chrześcijańskie powróciło, już przebyło rzekę Jordan, jutro przed skwarem będą tutaj. Jakże się wszyscy ucieszyli, jak Grób święty ściskali! Czuwali wszyscy przez noc całą, rano z miasta wyjechali, straż Raimondowi powierzając. Jadą naprzeciw rycerstwa, które z daleka rozpoznało proporzec Godfryda ze smokiem o skręconym ogonie. Śpieszą naprzeciw siebie przez piasek, ściskają się i cieszą.

Dowiedział się sułtan o powrocie rycerstwa, które mu wyzwanie do bitwy posłało. Była to sobota, a bitwa miała się odbyć w piątek na równinie pod Rames. Piotr słyszał to, bił się w piersi jako renegat, żałował, że w niej udziału mieć nie będzie.

Baronowie w nocy czuwali, w niedzielę szli w procesyi i mszy słuchali, w poniedziałek msza była w Betleem, następnych dni czyścili zbroje, ostrzyli miecze i lance. Biskup z Mautran z rozkazu Boga wydobył lancę św., na której były jeszcze znaki krwi boskiej. Inni mieli nieść krzyż prawdziwy, na którym Jezus umarł, inni słup, przy którym był biczowany. Na widok krzyża wszyscy pospołu na ziemię upadli, całując ją, następnie szli w procesyi, śpiewając *Te Deum*. W piątek rano jeszcze idą do Grobu, gdzie biskup mszę odprawił, po niej całują się pospołu pocałunkiem pokoju, z miasta wyjeżdżają, aby się na hufce podzielić. Przed nimi niosą krzyż prawdziwy, lancę i słup.

Godfryda był pierwszy hufiec, który przybył na pole bitwy pod Rames. Zobaczył go sułtan, przed namiotem się przypatrujący, i zapytał Piotra: powiedz mi kto to, jeżeli go znasz? Piotr odpowiedział: to jest król, który to owego poganina rozciął. Imię mu Godfryd, ojcem jego matki był rycerz z łabędziem, który przybył do Nimaie. Nie było nigdy i już nie będzie drugiego takiego rycerza [1])! — Niechętnie słuchał tego sułtan.

[1]) *Sire, ce est li rois qui le paien colpa.*
Godefroi a non, qui sa mere engenra,
Li Chevaliers au chisne, c'a Nimaie ariva.
Tex chevaliers ne fu, ne jamais ne sera.

Drugi hufiec nadciągnął, a sułtan się zapytał, kto go prowadzi? — To Robert z Normandyi, ten który zabił Czerwonego lwa pod Antyochią. Sławny to rycerz! — Na Mahoma, rzekł sułtan, tyle go sobie cenię, co zgniłe jabłko!

Trzeci hufiec podobał się sułtanowi, wyglądają zacnie i zuchowato. Kto oni? — To brat króla Francyi, Hugo Duży, który to zabił Solimana pod Antyochią! — Na Mahoma, rzekł sułtan tyle ich cenię, co dwa denary, wszystkich w niewolę zabiorę, aby zaludnić pustynie Abilantu [1].

Czwarty hufiec także dobre wrażenie zrobił na sułtanie. Szkoda, że nie wierzą w Mahometa. Kto są oni? — To Tankred i Boémond ich prowadzą. Obaj bardzo dzielni i bitwy chciwi. — Tyle ich cenię, co dwie rękawiczki.

Hufca hrabiów Rotrou del Perche i Stefana z Blois i hrabiego Vendosme i Lamberta z Liège nie cenił sobie Sułtan więcej, jak psa zdechłego.

Nastąpił hufiec Stefana z Aubemarle, Hugona z St. Pol, syna jego Enguerranda, dzielnych rycerzy. Ostatni był król Tafurów z rybałtami. — To są ci, rzekł Piotr, którzy jedzą Turków bez soli i pieprzu. — Teraz niesiono i krzyż prawdziwy i lancę i słup. Miasto oddano pod straż księży i kobiet.

Pieśń ósma.

Widząc naszych gotowych do bitwy, Sułtan rozkazał podnieść swój sztandar na żelaznym wozie umieszczony. Zrobiony był z kilku części; podstawę miał złotą, inna część była z dębu, inna z róży dzikiej, inna z hebanu, z gruszy, ze słoniowej kości, ostatnia znów ze złota. Cały był wonny od balsamu, a wysoki na 50 sążni. Nigdy nikt tak wysokiej dzwonnicy nie widział. Na szczycie siedział Apollo, w ręku trzymając księgę, zawierającą zakon najstarszy, czasu Adama sięgający. Za pomocą negromancyi (*yngremanche*) on przepowiada i wróży [2]. Na głowie miał karbunkuł tak jaśniejący, że na trzy mile w koło było go widać.

---

[1]) Może z Babilonu?

[2]) Tak więc moc wieszczenia Apollina przypisana jest czarnoksięstwu. Ów sztandar przypomina bardzo sławne c a r o c c i o z pod Legnano. Sztandar Saracenów w tej tu bitwie był ozdobny, ale nie tak, jak opisuje poeta. Kupił go po zwycięstwie Robert z Normandyi za 20 marek srebra i darował Patryarsze. Zob. Raimundus de Agiles, l. c. p. 183.

Przy tym sztandarze zbierają się Saraceni do bitwy. Sułtan wezwał do siebie wszystkich synów 15, aby się pomścili śmierci Brohadasa. ich brata [1]. Każdy z nich stoi na czele 20 tysięcy Esclawonów. Wszyscy przyrzekli. że mu głowę Godfryda jeszcze przed nocą przyniosą. Wszyscy udali się na pole bitwy wśród dźwięku rogów i trąb, wycia i wrzasku pohańców. Hufców mieli poganie 50. pod dowództwem 50 królów. Niektóre hufce były z ludzi czarnych, jak pieprz, w innych wszyscy mieli kły, jak odyńce, w innych mają psie głowy, albo dzióby, albo rogi na głowie. Takie to wojska zgromadziły się na równinie pod Rames. Już się zbliżają ku sobie, już Godefroi na czele naszych najeżdża na Sinagona. starszego syna sułtańskiego. Sinagon złamał swoją lancę, Godefrois swoją w serce mu wsadził. Spadł z konia. duszę jego dyabli wzięli do smrodliwego piekła. Zacni chrześcijanie. zawołał król, oto pierwsze nasze cięcie! — Biją się, gonią, przecinają, rąbią, zabijają wśród wielkiego krzyku i wrzawy. Czternastu braci zabitego pragnie zemsty. Lucifer szukając Godfryda. zabił po drodze Anseisa z Pis, którego duszę św. Michał do raju zaniósł. Także Acéré szuka i lży Godfryda. a po drodze zabił Odona z Mohière, dwu innych jeszcze zwalił w piasek. Lucifer zabił dzielnego rycerza Renauda z Beauvais. Zobaczył to Eustachy z Boulogne i rozgniewał się srodze. bo był przyjacielem Renauda, pogonił za Luciferem, lancę w serce mu wsadził. Acéré także od jego miecza zginął, wnet potem Princeple. syn admirała. Na ten widok przyjeżdża do niego Godfryd i mówi: bracie, patrzałem na ciebie! Tak bijesz, jak nasz dziadek, rycerz z łabędziem, który Saxona zwyciężył [2]). Razem się trzymajmy, przyjacielu, ale na Boga. gdzie jest Balduin? — Oto ten właśnie nadjeżdża na Primsaut'cie aragończyku. W oczach braci zabił jednego z synów Malagu'a, oraz Corsuta. jednego z synów Sułtana, gonił za Sanguinem, ale ten mu uciekł. za to królowi Marchepalu tak zdjął głowę, jakby z bzu była.

Oto patrzcie, jak pędzi na koniu Robert z Normandyi, w sam środek Turków pędzi. królowi Atenasowi przebił tarcz i serce. Dyabli wzięli duszę jego. Innemu Turkowi głowę przeciął aż do uszu·

---

[1]) Ten, jak wiemy, zginął już pod Antyochią.

[2]) *Frère, or vos ai véu;*
De ces grant cops sanblés nostre aiol qui ja fu,
Le chevalier au chisne, qui le Saisne ot vencu.

zabił admirała z Nubii. Strasznie zabija książę, a poganie uciekają przed nim, jak sroki przed sokołem. Ale niech go Jezus ma w swej opiece, bo może zginąć. Zapędził się za uciekającymi aż do Trzech Cieni, gdzie Matka Boska, zmęczona od skwaru, zapragnęła cienia i cień tam się zrobił i dotąd pozostał. To było na drodze ku Jaffie. Tam Robert sam się znalazł otoczony od Turków, którzy go strzałami obsypywali. Już mu konia zabili, baron bronił się pieszo. Rycerze jego szukają go napróżno. Idą do Roberta z Flandryi i płacząc mówią, że Turcy Roberta zabrali. *Saint sépulcre*, zawołał hrabia z Flandryi, naprzód rycerze! Do jego drużyny przyłączyli się Boémond i Tankred, przez Turków się przerąbują, odcinając głowy, ramiona albo nogi, aż dotarli do Roberta, całego krwią zbroczonego. Wsadzili go na konia, to też zaraz otrzeźwiał książę i po drodze zabił jednego Turka. Ściskał baronów, a oni jego.

Oto patrzcie, pyszny Cornumarant jedzie na czele 30.000 pohańców, wołając: Damaszek! Tiberias! Jedzie także Esmeré, syn Sułtana, który łży głośno Godfryda, odgrażając się zemstą za śmierć trzech braci. Miał ze sobą 20.000 pogańskiego rycerstwa. Nie widząc Godfryda, zwalił z konia Rogera de Rosoi, ale ten szybko skoczył na nogi i tak ugodził poganina, że mu uciął ramię wraz z tarczą. Spadł poganin z konia, którego zabrał Roger dla siebie.

Jeszcze 11 synów zostało Sułtanowi, ci zbierają się razem, z nimi 30.000 wojowników, wszyscy chcą się bić i zemścić. Na nich jedzie Rotrou z Perche, pan Hugo Duży, hrabia Vendosme i Lambert z Liège. Hugo woła: Montjoie! i lancą 30 Turkom wyprul wnętrzności. W końcu złamała się lanca, więc dobył miecza i przecina Saracenów. To samo robią jego towarzysze. Cornicas nowy hufiec na chrześcijan prowadzi, na Tomasza z Marle uderza, ale ten ani się zachwiał w siodle. Już dobywa miecza, aby się zemścić, ale poganin uciekł na szybkim koniu. Jak węgiel poczerwieniał od gniewu pan Tomasz, najeżył wąsy i dla uspokojenia się zabił Clariona, innego syna Sułtana, a potem dwu jeszcze braci jego: Brehiera i Luciona.

Oto patrzcie, jedzie Enguerrand z ojcem Hugonem, i już zabił Takona, innego syna Sułtana i brata jego Maltriblona i brata jego Danemona. I już tylko dwu synów Sułtana przy życiu zostało, a tych wam nazwę: Sanguin i Aufage. Widząc, co się stało, podnieśli oni krzyk wielki, a z nimi wszyscy Saraceni straszne wycie, które było słychać aż w namiocie Sułtana.

Aufages, rozsierdzony śmiercią braci, kłuje konia ostrogami, najeżdża na Enguerranda, przeszywa mu tarcz, pancerz i serce. Spada rycerz na ziemię, do Ducha św. się modli, aby swemu ludowi pomagał, rękę do góry podniósł, aby się przeżegnać, ręka ku wschodowi upadła. Św. Michał zabrał jego duszę do nieba, gdzie mu aniołowie i święci usługiwali i słusznie, bo dla Boga poniósł męczeństwo.

Wielki był żal ojca, wielki żal wszystkich baronów. Już się hrabia Hugo chciał przebić mieczem, ale Robert z Flandryi wyjął mu go z dłoni. Wszyscy, wszyscy serdecznie tego rycerza żałowali. Na tarczy ciało jego poza pole walki wynieśli.

Hrabia Hugo dosiadł wierzchowca i szuka oczami Aufage'a, zabójcę syna. Zobaczył go na czele drużyny, pędzi na niego, po hełmie go bije, tak że mu spadły ozdoby i kamienie, przeciął hełm i pancerz i kadłub aż do piersi. To odpowiedź, poganinie, za śmierć Enguerrand'a. Nowy wrzask pomiędzy pohańcami, nowa napaść. Espeki teraz nadciągają, z dzióbami jak ptaki, napadają na rybałtów i rozszarpują ich. Bardzo ich uszkodzili, ale król Tafur zagrzał ich do męstwa i wtedy tak wywijali maczugami, że całe kupy trupów pokładli. Uciekają Espeki, wielki wrzask podnosząc.

Bitwa była wielka, ani przedtem ani potem większej nie było Oto Cornicas z za Czerwonego morza jedzie na koniu Cornu, szybszym niż jastrząb. Już zabił Raoula i Rogera, gdy go zoczył Balduin i wybornego konia jego. Bardzo tego konia zapragnął. Daje ostrogi Primsaut'owi, ciął Cornicasa po hełmie aż do brody, zrzucił go z konia, którego zabrał i przesiadł się na niego. Saint Sépulcre, zawołał, naprzód rycerze! Ale nowe hufce pogan nadjeżdżają, Maurowie z Maurytanii, Gauffry i Bougre'y i ci z Bocidentu, którzy mieszkają na 10 dni drogi od pękającego drzewa, a co rok kąpią się w rzece młodości [1]). Nie słyszą, ani nie mówią, a do bitwy bardzo są skorzy. Nadjeżdżają Asny z wielkim krzykiem. Ciężko

[1]) Zdaje się, że pękające drzewo, to ma być *L'arbre sec.* — *Une fois ens en l'an, por renovelement, Se vait chascuns baigner el flove de jovent.* v 8135—6. Co do „suchego drzewa", to podług średniowiecznych poetów rosło ono na granicy ziemi. Wnet za niem było wejście do piekła. A było ono tem samem drzewem, z którego Ewa jabłko zerwała. Od tego czasu uschło, a kora płatami z niego opadała. Z pestki atoli owego owocu zakazanego wyrosło inne drzewo i z niego właśnie krzyż był zrobiony, na którym Chrystus śmierć poniósł. Takie w owym czasie opowiadano wieści o *l'arbre sec.* — Strumień młodości pochodzi z *Roman d'Alexandre,* czyli z Pseudo-Callisthenesa.

będzie naszym. bo już są zmęczeni. Pokrzepia ich biskup z Mautran widokiem krzyża prawdziwego i lancy i słupa. Nie ustępujcie ani kroku, woła. a kto polegnie, raj sobie zdobędzie! — To też biją nasi Saracenów, pokotem ich ścielą. Ale znów nowy hufiec olbrzymów nadchodzi, przeciw nim biskup z Mautran prawdziwy krzyż podnosi i wtedy olśnieni olbrzymi zabijają siebie wzajemnie maczugami. Rzucają ogień grecki, ale rzucają na swoich, a wiatr zanosi go na innych pogan. Z 15.000 zostało ich tylko 500, którzy uciekli.

Oto hardy Cornumarant pędzi na rączym Plantamorze, z gołym mieczem w dłoni, zabija po drodze Girarda z Gournay. Spostrzegł go Balduin i goni go na koniu Cornu aż w pobliże namiotu Sułtana. Tego Cornumarant zawiadamia. że wielka część narodów jego już wyginęła. Na to nadchodzi Sanguin, syn sułtana, w towarzystwie pogan. którzy głośno wzywają imienia Apollina, Margota, Mahoma, Jupina i Tervaganta. Klękają przed Sułtanem, Sanguin mu oznajmia, że wszystkich synów stracił. z wyjątkiem jego (który tylko ma jedno ramię). Cztery razy zemdlał sułtan, a gdy odzyskał przytomność. kazał sobie zbroję wkładać. Ubierają go królowie i admirałowie, a nazywali się Matusales, Josués. Barufles. Nanożniki zrobione były przez żyda Salatres'a, biegłego w tajnych umnościach. Pancerz pochodził jeszcze z czasów Izraela i Galant'a, na hełmie był wizerunek Mahoma i wypisane nazwiska Apollina, Tervaganta, Jupina i Mahoma. Miecz był ukuty przez dyabła Barresa, w górze Loquiferne (Lucyfera), gdzie był zamknięty. Półtora roku nad nim pracował, krzyża na nim nie zrobił, tylko litery. Długi był na 6 stóp, szeroki na pół stopy, ostry jak brzytwa, całkiem czarnego koloru, a nazywa się la Hisdeuse. Wspaniale wyglądał sułtan na koniu Maigremor, a zapowiedział, że który pohaniec z bitwy ucieknie. głowę będzie miał ściętą. Ciężka walka czeka naszych ludzi, niech im Bóg dopomoże!

Jadą nowe hufce. 100.000 Esclerów i Arabów puszcza sułtan na naszych, prowadzi ich Corbadas, który już zabił Mikołaja z Clermont i Berarda. Nie podobało się to Boémondowi i tak go przeciął. że mu wnętrzności na siodło wypadły. Gdy się o tem dowie Cornumarant, syn jego, będzie mu nieprzyjemnie, rzekł Boémond i zawołał: Saint Sépulcre, bijcie naprzód panowie!

Inny hufiec prowadzi Lucabel, już zabił Raoula i Guiona de Montbel. Widzi go Tankred, po głowie go mieczem uderzył, tak że spadł nieżywy na ziemię. A potem zaraz zabił Pinela, Amustanta

i zawołał: Saint Sépulcre, bijcie zacni młodzieńcy! Patrzał na to biskup z Mautran i przysiągł na św. Daniela, że takich ludzi od czasów Abla nie było, a takiej bitwy od czasów Izraela.

Oto patrzcie, Cornumarant zobaczył ojca zabitego, zatrząsł się i zapienił. Plantamorowi dał ostrogi, zabił Guiona d'Autemure razem z koniem, zabił Garniera i Garina z Beaufort i Doona z Belquerre.

Jedzie Sułtan na czele 100.000. Najechał na hrabiego z Blancdras i zwalił go z konia, najechał na Tankreda, ale ten go cięciem ogłuszył; jedzie dalej i zabił Guirré'go. Cieszą się Saraceni, ogień grecki na naszych rzucają, palą im tarcze i czapraki, konie padają bez życia. Teraz biskup z Nobles i opat z Fécamp dotykają ognia lancą i słupem i oto zwraca się na pohańców. Biskup z Puy (sic) strzałom pogan przeciwstawił krzyż prawdziwy, a strzały zwracały się przeciw poganom.

Oto patrzcie, Balduin z Beauvais i Ryszard z Caumont jadą przez bitwę, w tłumy się wciskają, kogo dotkną, ten już się nie ruszy. Tak już siedmiu królów zabili.

Oto patrzcie, Almulain pędzi przez pole, przebija hrabiego Vendosme, czem się Godefrois zmartwił bardzo, więc taki cios mu wymierzył, że go przeciął aż do piersi, dobrego konia mu zabrał i rzekł: nie chełp się nadto poganinie! I znów się zjawił Cornumarant, zabijając Guillaume'a i Piotra z Chalon. Bardzo to rozgniewało Balduina. Cornumarant ucieka przed nim, ten go goni na dobrym koniu Cornu, dopędził przy Trzech Cieniach, pierwszy go po hełmie ugodził i przeciął mu głowę aż do zębów. Przeklęty poganinie, zawołał, pozdrawia cię Piotr ze Chalon. Zabrał Plantamora, dobrego konia i miecz Murglaie, konia dał bratu Eustachemu, dla siebie miecz zatrzymał.

Zginął Cornumarant, hardy wojownik, całe pogaństwo wielki żal podnosi, a sułtan nowe hufce na naszych wysyła. Boże, wołał biskup z Mautran, pomóż naszym ludziom i rycerstwu, które tak się trudzi dla Ciebie!

Oto patrzcie, jedzie Robert z Normandyi i Robert z Flandryi i Tankred i Boémond i Godefrois i Eustachy na Plantamorze i Balduin na Cornu z Rosyi *(de Rossie)* i Tomasz z Marle i Hugo Wielki i Hugo z St. Pol, strapiony śmiercią syna i Balduin z Beauvais i Ryszard z Caumont i Harpin z Bourges. Miecze ich do rękojeści pokrwawione, a jadą na nową bitwę. Już odpędzili Saracenów aż

do ich sztandaru, gdy tam nowe zastępy Arabów na naszych się rzuciły. Zginą nasi, bo są bardzo zmęczeni, gdy wtem biskup z Mautran patrzy ku prawej stronie i widzi hufiec ze 100.000 w zwartych szeregach, biały jak kwiaty. Poznaje św. Jerzego na czele, oraz barona św. Maurycego. Wszystko to rycerstwo miało lance z chorągiewkami. Kierują się ku sztandarowi pogańskiemu, św. Jerzy schylił się i uwolnił Piotra pustelnika z okowów. Ten znalazł jakiś pancerz i wdział go niezwłocznie, chwycił za topór, który wisiał w namiocie sułtana i ściął nim sztandar pogański, wsiadł na konia i zaraz ściął Sanguina, ostatniego syna sułtańskiego. Poganie byliby go napadli, ale widząc hufiec aniołów, przerazili się i uciekli. Sułtan widzi ucieczkę i podnosi żale przeciw Mahometowi, przeciw Apollinowi. Tak ich czcił i szanował, że złota ich postacie zrobić kazał, a oni pozwolili na zgubę ludzi jego. Porozbija, spali w ogniu, nigdy już ich czcić nie będzie. Podobnie zagniewany był kalif, który uciął głowę Mahometowi Gomelinowi, zawiązał ją w chustę i uciekł na wielbłądzie.

Baronowie nasi gonią uciekających pogan i wielką im rzeź sprawiają. Nie uciekają poganie drogami, lecz którędy mogą, wszyscy do Acre się kierują[1]). Taka kurzawa podnosi się za nimi, że jasny dzień się zaciemnił. A że już ku wieczorowi się miało, przeto biskup z Mautran prosił Boga, aby dzień przedłużył. Bóg uczynił zadość prośbie jego, słońce znów się podniosło na niebie. To też zabijają nasi Saracenów setkami i tysiącami, krew płynie strumieniami, mózgi i trupy ziemię pokrywają. Hrabia Hugo zabił Malquidanta, Godefrois Amustanta, Piotr pustelnik syna jego. Balduin puścił się w pogoń za samym sułtanem i zapędził się aż pod Acre. Tutaj rozkazał sułtan swej drużynie, aby się zwróciła przeciw Balduinowi i jego towarzyszom. Zabili ich, został tylko Balduin i Raimbaud Créton przy życiu, ale ten ostatni już nie miał konia. Mówi Balduin do Raimbauda: dam ci mego szybkonogiego Cornu, wsiądź na niego i pospiesz do naszych, aby przybyli z pomocą. — Nie zrobię tego, rzekł Créton, tu z tobą zostanę, niech nastąpi co chce, ciebie nie opuszczę. — Pojedziesz, nastaje Balduin i już z ko-

[1]) Rames, gdzie poeta bitwę umieszcza, leży istotnie na drodze z Jerozolimy do Acre. Pobici Saraceni mogliby tędy uciekać do tego portu. Atoli bitwa ta, kończąca pierwszą krucyatę, toczyła się nie pod Ramleh, lecz w pobliżu Ascalon, bardziej na południe ku Egiptowi, dokąd wojska kalifa egipskiego nadciągnęły.

nia zesiadł. Ale rączy koń wyrwał mu się i popędził jak błyskawica, 20 Turków po drodze tratując. Obaj baronowie zostali pieszo. Turcy na nich napierają, zasypują strzałami, a sułtan pyta, kto wy? — Ja Balduin, ten Raimbaud Créton! — Ty więc jesteś jednym z dyabłów z Bouillon, bratem Godfryda, który nam Jerozolimę zabrał. Przez was 15 synów straciłem. Zemścimy się na was obu, ze skóry was obedrzemy, potem w smole ugotujemy. — Pan Bóg nam pomoże, odrzekł Balduin, a Raimbaud zawołał: bijmy ich, jak długo żyjemy! — I rzeczywiście, ucinają ręce i głowy, ale zginą, bo Turków jest moc wielka, która ich strzałami zasypuje.

Szybkonogi Cornu popędził aż na pole bitwy pod Rames, zobaczył go Godefrois bez jeźdzca, przeraził się, pobladł, bo sądził, że Balduin już nie żyje. Na to przybywa Piotr i mówi: panie, widziałem twego brata pędzącego ku Acre w pogoni za sułtanem! — Eustachy zadął w róg, wszyscy baronowie na pomoc śpieszą. Spostrzegł kurzawę sułtan i rzekł: Francuzi jadą, uciekajmy do Acre, jeżeli zginąć nie chcemy! — Uciekają do miasta, bramę za sobą zamknęli. Sułtan wsiadł zaraz na statek z 700 Arabów i popłynął do Siglai, zostawiając w Acre 30.000 Turków. Baronowie znaleźli Balduina i Raimbauda rannych i obu pokrwawionych, ale obu przy życiu, z czego się ucieszyli. Wracają do swoich, w obozie pod Rames znaleźli żywności dostatkiem, także dobrego wina i owsa. Najedli się do sytości i spać położyli, Boémond straż odbywał.

Nazajutrz o świcie wstali książęta i hrabiowie i rycerstwo, zabrali wszystkie kosztowności z obozu, namioty, konie juczne i różne bydło, a było tego dużo. Rannych kładą na tarcze i niosą do Jerozolimy, także niektórych zabitych, jak Enguerranda, którego wszyscy bardzo żałowali, ojciec najbardziej. Pocieszał go Hugo Duży i Godefrois, że syn jego niebo sobie zyskał i że żalem nic nie naprawi, ale ponieważ biskup z Mautran był najuczeńszy, więc jego do ojca posłali. Sami zajęli się rozdzieleniem zdobyczy, a tak rozdzielili, że każdy, choćby najuboższy, dostał obficie. Następnie kadzą w Jerozolimie, w świątyni przy Grobie mnóstwo świec zapalili.

Trzy dni wypoczywali baronowie, poczem zebrali się w świątyni na naradę. Hugo Duży pierwszy tak przemówił: panowie, zwyciężyliśmy pod Rames, przy pomocy Boga, ale co teraz zrobimy? Idźmy zdobywać Cezareę, Jaffę i Acre, skąd dopiero za morze popłyniemy. Zgodzili się na to baronowie, a Godefrois od-

rzekł: wielka to będzie łaska, jeżeli tak zrobicie, niech wam Bóg odpłaci!

Nazajutrz rano zagrały rogi, zbroją się baronowie, miecze przypasują. Hrabia Hugo z St. Pol dyszy chęcią zemsty za śmierć syna. Jadą, ale cały kraj znaleźli opuszczony przez Turków i Esclerów, nie było ich ani w Rames, ani w Cezarei, ani w Jaffie. Ucieszyli się wszyscy, załogi zostawili w zamkach, do Jerozolimy wrócili. Niechętnie wracał Hugo z St. Pol, ten chciał Acre szturmować, ale mu tego zabroniono.

Oto co się stało pod Jerozolimą; z rozkazu Boga znalazł się lew, który zwłoki wszystkich poległych chrześcijan zaniósł pod Jerozolimę i w porządku ułożył. Nazwano to miejsce *Le charnier du lion* [1]). Wszyscy się temu dziwili i Bogu dziękowali. Biskupi i opaci z procesyą tam poszli, śpiewając *Te Deum laudamus*, a biskup mszę odprawił w poniedziałek.

Przyniesiono do Jerozolimy także zwłoki Cornumaranta. Przyznawali wszyscy, że to był dzielny rycerz, ale dzielniejszy jeszcze ten, który go zabił. Na to Balduin: z tego się wcale nie cieszę, ale chciałbym serce jego oglądać! — Otworzono jego ciało, wydobyto serce, pokazało się, że było niezwykle wielkie, ledwie się do hełmu wmieściło. Mówili między sobą: niezwykle wielkie serce miał ten baron, szkoda, że nie chciał czcić Boga i Panny świętej. Rzekł Balduin: gdyby był wierzył w Boga, nie byłoby równego jemu rycerza. — Serce zawinęli w jedwab i włożyli do ciała, ciało do bogatej trumny, którą za miastem pogrzebano.

Uradzili baronowie, że pójdą Acre zdobywać, za co im Godefrois bardzo dziękował. Tymczasem bitwa się skończyła i pieśń także. Cieszą się zacni baronowie, Bogu dzięki składają i czczą św. Grób prawdziwy.

Uwagi o poemacie o zdobyciu Jerozolimy.

Pod względem artystycznym pieśń powyższa ma wartość niepospolitą. Od samego początku daje opisy żywe i zajmujące, a zajęcie to nie tylko nie słabnie, ale nawet potęguje się aż do samego

---

[1]) Legenda widocznie do nazwy tu jest dorobiona i stosownie do niej. W taki sposób powstały, jak się zdaje, liczne bardzo podania już w starożytności i czasach następnych.

końca. Rozumiemy rozczulenie Godfryda i towarzyszy jego, którzy, wyprzedzając armię, pierwsi ujrzeli święte miasto Jerozolimę. Ale postąpili zbyt zuchowato, bo napadnięci przez 50.000 Saracenów, pod wodzą samego króla Jerozolimy Corbadasa i syna jego, zuchwałego, a bardzo mężnego Cornumaranta, już są bliscy zguby, już wysyłają gońców z prośbą o pomoc, gdy niespodzianie zjawiają się „Jeńcy,“ dzielny Harpin z towarzyszami, którzy sami także potykali się z hufcem Saracenów, a teraz księciu Godfrydowi skuteczną pomoc przynoszą! Po odniesionem zwycięstwie przybywają na pole bitwy Boémond z Tankredem, a zasmuceni, że udziału w niem nie mieli, nową podejmują wyprawę ku Cezarei. Czy to niespodziane spotkanie się, i złączenie pod Jerozolimą, Godfryda, przybywającego od zachodu, Jeńców, którzy od wschodu się zjawiają i od razu wzajemną sobie pomoc przynoszą, nie jest sceną znakomitą? Albo czy ta rywalizacya w dzielności Godfryda, Boémonda, Tankreda, Jeńców, nie otwiera bohaterskiego poematu w sposób bardzo zajmujący?

Tymczasem nadciągnęły tłumy pielgrzymów. Piotr z Amiens opisuje im gmachy miasta, które zna tak dobrze, pragną je zdobyć od razu, do bramy św. Szczepana szturm przypuszczają. Ale nie byli przygotowani, nawet drabin nie mieli, to też zostali odparci.

Baronowie otaczają miasto, obszernie przygotowują się do nowego natarcia. Z wieży Dawida król Corbadas spogląda na stolicę swoją i na obóz chrześcijański, widzi jak niezrównany Godfryd, który pod Antyochią jednym zamachem miecza przez pół przeciął Saracena, tutaj jedną strzałą trzy przeszył ptaki od razu. Upadły u stóp Corbadasa. Przeraził się Saracen. To z pewnością znak jakiś, jakaś wróżba! Jak ją tłómaczyć? Stary Saracen Lucabel rozumie jej znaczenie; ten kto tego dokonał, zdobędzie Jerozolimę. Takie jest dawne proroctwo. Ognisty Cornumarant chciałby zabić proroka, a z nim zniszczyć proroctwo, robi wycieczki, szturm nowy odpiera, wieże oblężnicze pali, gołębie wysyła z prośbami o pomoc, a gdy się to nie udało, wyjeżdża tajemnie, aby samego sułtana i kalifa tutaj sprowadzić.

W tej wyprawie spotyka się niespodzianie z Balduinem, bratem Godfryda. Zuch spotyka zucha. Jeden ma dzielnego konia Primsaut'a, drugi jeszcze dzielniejszego Plantamora. Jeden jest wcieleniem dzielności chrześcijańskiej, drugi groźnego zuchwalstwa po-

gańskiego. To przeciwstawienie jest bardzo dobrze pomyślane. Rozumiemy, że jeden z nich zginie, ale który i kiedy? Na razie żaden, ale szukają się do końca poematu, zawsze rozdzieleni, bo tymczasem innych zabijają, aż dopiero w ostatniej bitwie pod Ascalon dogonił Balduin srogiego, bo śmierci ojca i straty królestwa mszczącego się Saracena i zabił go jednem uderzeniem miecza. Zdobył na nim dobrego konia Plantamora i miecz niezrównany Mortglai (*mortis gladius*).

Już w poemacie o Antyochii hrabia Hugo z St. Pol z młodym synem Enguerrandem tworzą grupę ładną. Tutaj zachowują się z równą dzielnością przez cały ciąg poematu, aż dopiero przy jego końcu młody Enguerrand śmierć znajduje. Rozpacz ojca, który nawet samobójstwo chce popełnić, przedstawił poeta w sposób wzruszający.

Wielkich bitew opisanych mamy trzy: pierwszą w której Godfryd pomoc niespodzianą od jeńców otrzymał, drugą z armią, którą Cornumarant przyprowadził, trzecią z niezliczonemi zastępami sułtana. Każda urozmaicona z wielkim talentem, najlepiej może ostatnia, w której sułtan stracił po kolei czternastu synów. Wiemy, że piętnasty, Brohadas, zginął już pod Antyochią. Mniejszych potyczek jest więcej, pojedynków bez liczby, cały szereg zajmujących epizodów, jak z Tomaszem z Marle, który się lancami na mur rzucić kazał i pierwszy bramę otworzył, albo z księciem Normandyi, którego Turcy otoczyli, podobnie jak Balduina, z wiernym druhem jego Raimbaudem Créton, a których ocalił dobry koń Cornu.

Cały poemat przedstawia nieprzerwany ciąg wielkich obrazów, scen dramatycznych, opisów pełnych żywości. — Nie braknie w nim także scen żartobliwych, do których przedmiotem są najczęściej Tafury, z obszarpanym ich królem. Poeta ma widoczną dla nich sympatyą, przedstawia ich do głębi przejętymi głównym celem wyprawy. Ich królowi przyznaje zaszczyt uwieńczenia Godfryda na Obrońcę Grobu świętego, a gdy baronowie, ślubu dopełniwszy, spiesznie do powrotu się zabierają, tafurów zostawia poeta wiernych przy Godfrydzie i nadal. — Zabawnym tematem jest także wyprawa Piotra pustelnika w zbroi rycerskiej, z drągiem w poprzek zamiast lancy. Wzięty przez Saracenów do niewoli, wyrzeka się nawet Chrystusa, obiecuje wiarę w Mahoma, ale tylko

na pozór, śmiejąc się pod wąsami. W tem może poeta pozwolił sobie więcej niż należało.

Śmiałą w pomyśle jest scena, w której baronowie nie chcą przyjąć korony, ofiarowanej im przez biskupa z Mautran. Przypomina ona bardzo podobną scenę w poemacie o Antyochii, w której się wodzowie zaszczytu niesienia lancy świętej wyrzekają. Owóż takich podobieństw, bliżej się przypatrując, jest pomiędzy obu poematami więcej. Mówiliśmy z uznaniem o owej scenie w poemacie o Antyochii, w której poeta żywo nam przedstawia całą armią krzyżowców, wyprowadzając do ostatniej bitwy po kolei hufce, z jakich się składała. Przypatruje się wódz saraceński zdaleka temu widowisku i żąda od Amedelisa, zbiegłego z Antyochii, aby mu objaśnił, jakie to hufce i jacy ich wodzowie. Całkiem podobnie i w poemacie o Jerozolimie pojmany Piotr pustelnik opisuje sułtanowi nadciągające do ostatniej bitwy hufce chrześcijańskie, oraz ich wodzów. Temat ten możemy nazwać defiladą, a poeta uważał go za tak dobry, że w poemacie o Jerozolimie opisał jeszcze dwie defilady krzyżowców, ale żartobliwe, w których Godfryd szczupłą liczbę swych wojowników maskuje w ten sposób, że każe tym samym rycerzom wracać po kilka razy; także i Tafurom, którzy raz pojawiają się w ładnych zbrojach, drugi raz w łachmanach.

Przewaga liczebna Saracenów jest w poemacie o Jerozolimie równie wielką, jeżeli nie większą, jak w poemacie o Antyochii. Wrzaski ich, głos niezliczonych trąb i rogów, rozchodzą się na długie mile w około. Rycerstwo chrześcijańskie, mimo niezrównanej dzielności, nie zdołałoby pokonać tej ogromnej siły, gdyby nie pomoc cudowna. Taką pomoc przyniosła pod Antyochią lanca święta[1]. Otóż poeta nas poucza, że ta sama lanca okazuje także siłę swoją pod Jerozolimą, siłę pomnożoną działaniem prawdziwego Krzyża św., oraz co jeszcze dziwniejsze, owego słupa, przy którym biczowanie się odbyło. Jednakże mimo działania św. relikwii okazała się już pod Antyochią potrzeba osobistej pomocy świętych Jerzego, Dymitra i Merkuryusza. Podobnie pod Jerozolimą, podług poematu, św. Jerzy dwa razy sam, trzeci raz pospół z świętymi Maurycym i Dymitrem, zawsze na czele białych hufców zbrojnych przynoszą w chwilach krytycznych skuteczną pomoc. Rozumiemy, że wobec takich posił-

---

[1]) Najgorliwszym obrońcą lancy św. był hrabia Tuluzy; on to więc, albo raczej kapelan jego Raimundus de Agiles, przyniósł ją pod Jerozolimę.

ków, Saraceni ostać się nie mogli. Otóż pomoc niebieska pod Antyochią poświadczona jest przez Tudeboda, jak się powiedziało. który to historyk o hufcach niebieskich pod Jerozolimą nic nie wie, chociaż tam był obecny. Z tego wnosić można, że poeta motyw ten z pod Antyochii przeniósł także pod Jerozolimę, odmieniając go nieco, a nawet powtarzając trzy razy [1]).

To samo powiedzieć należy o proroctwach, które, w odniesieniu do Corbarana i do Antyochii, poświadczone są przez Tudeboda; poeta przenosi je także pod Jerozolimę z tą odmianą, że prorokuje nie już stara Corsable, lecz starszy jeszcze Lucabel.

Wskażmy na kilka innych podobieństw: w pieśni o Antyochii czytamy, jak się wykradł Sansadoine, syn Garsiona, z otoczonego miasta, aby się udać do sułtana z prośbą o posiłki; otóż tutaj poeta nam opisuje, jak Cornumaran wykradł się z oblężonej Jerozolimy aby do tegoż sułtana z prośbą pospieszyć.

Ładne są bezwątpienia sceny, w których Corbadas z wieży Dawida spogląda na miasto, na obóz krzyżowców, z trwogą myśląc o losie, który go czeka. Otóż poeta w podobny sposób kazał się przypatrywać Garsionowi w Antyochii na miasto i obóz z okien wysokiego zamku swego.

Po walnem zwycięstwie pod Antyochią nad Corbaranem gorliwy Godfryd zapędził się w pościgu tak daleko, że się znalazł wobec samego Corbarana i jego świty. Już przy jego boku zginął dzielny Hongier l'Allemant a zguba księcia była pewną, gdyby nie pomoc pośpieszna przyjaciół, którzy nieobecność jego spostrzegli. Tak samo pod Jerozolimę zapędził się książę Normandyi aż do trzech Cieni, gdzie najprzód przez Saracenów otoczony został, ale następnie wyzwolony przez Boémonda i Tankreda. Nieco później pogonił Baldwin aż ku Jaffie za pobitym sułtanem, który już się cieszył, że go ze skóry obedrze i w oliwie żywcem ugotuje, gdy, znowuż Godfryd z baronami z pożądaną przybyli pomocą. Widzimy tedy ten sam temat powtórzony w pieśni o Jerozolimie dwa razy.

Wszędzie atoli poeta umie wprowadzić pewne urozmaicenie Tak n. p. Godfryd dowiedział się o niebezpieczeństwie brata przez jego dobrego konia Cornu, który zbiegłszy, uganiał bez jeźdźca

[1]) Do jakiego stopnia legenda o niebieskich hufcach, walczących po stronie chrześcijan wnet się rozszerzyła, widzieć można u Roberta mnicha: Historia Hierosolymitana l. V u Bongarsa p. 53.

po obozie. Motyw bardzo dobry i prawdopodobny. Cornumarant w swojej wyprawie okazuje się o wiele bardziej zuchowatym, niż Sansadoine, chociaż obaj wykradli się przy pomocy podobnego podstępu.

Nie ulega tedy wątpliwości, że podobieństwo w tematach pomiędzy pieśnią o Antyochii. a pieśnią o Jerozolimie jest wielkie. Wskazuje ono wyraźnie na to samo pióro, na tego samego autora, albo przerabiacza, na tę samą technikę poetycką. Przyznać atoli trzeba, że pieśń o Jerozolimie zawiera także całkiem nowe tematy i motywy. Do takich zaliczyć trzeba niespodziane spotkanie pod Jerozolimą Jeńców, przybywających od wschodu, z Godfrydem od zachodu nadciągającym. Albo opisywanie miasta krzyżowcom przez Piotra eremitę. Wysyłanie gołębi przez oblężonych i zmyślne wobec nich postąpienie krzyżowców. Zuchowate żądanie Tomasza z Marle aby go na tarczy lancami podrzucić w górę aż na mur, oraz proroctwo beduinki. Dzielne postąpienie Hongiera i Hervina, którzy z drabiny hakiem na mur przez Turka wyciągnięci, widząc się w niewoli, każdy swego admirała, lub króla, w pas uchwycił i na dół krzyżowcom rzucił. Przypominamy atoli, że w pieśni o Antyochii poeta kilka takich niezwykle zuchowatych czynów uwydatnił. Świetnym jest opis wyprawy Cornumaranta do sułtana, jego niespodziane spotkanie się z Baldwinem, walka zacięta, nadciągnięcie posiłków saraceńskich, ukrycie się Baldwina w trzcinie, gdzie go wraz z koniem niegodziwe pijawki obległy. Uwydatniwszy te podobieństwa i różnicę, powtórzymy raz jeszcze, że cały poemat jak na owe czasy i autora, który sam się żonglerem nazywa, jest świetny i wspaniały.

Przechodzimy teraz do pytania, o ile opisy poematu zgadzają się z prawdą historyczną. W całości zgoda taka jest widoczną. Krzyżowcy, opuściwszy Antyochią, posuwali się wzdłuż brzegu morskiego, aż dopiero od Joppe zawrócili przez Ramle i Emaus ku Jerozolimie. Próbowali zdobyć to miasto szturmem od razu, w kilka dni po przybyciu, ale nawet drabin nie mieli, więc zostali odparci. Było to w czerwcu, skwar nieznośny, wszystkie źródła wyschnięte, srogi brak wody dla ludzi i koni, brak żywności zabranej poprzednio przez Saracenów, brak drzewa do budowania drabin i maszyn oblężniczych: wszystko to przetrwali, po czterech tygodniach wieże oblężnicze i drabiny były gotowe, szturm rozpoczęto 17-go lipca wczesnym rankiem, nazajutrz miasto było zdobyte. Znaną jest rzeź

straszna, jaką tam krzyżowcy sprawili. Trupy Saracenów wywleczono za miasto, gdzie z nich ułożono całe góry, aby je spalić. Bóg tylko jeden wie, ile ich było, *et nemo scit numerum eorum nisi solus Deus* tak Gesta (28), zaś Albertus Aquensis pisze wyraźniej, że wycięto wszystkich Saracenów, kobiet i dzieci nie oszczędzając (VI. 23. 30).

W cztery dni potem (22 lipca) przystąpiono do wyboru króla. Gdy hrabia Raimond z Tuluzy, pisze o tem Raimundus de Agiles, godności tej otrzymać nie chciał, albo i nie mógł (był nielubiany), wybór padł na Godfryda. Po trzech tygodniach (22 sierpnia) nowy król jeszcze raz hufce chrześcijańskie wyprowadził w pole pod Ascalon, gdzie się zgromadziły liczne wojska saraceńskie. Zwycięstwo chrześcijan było zupełne. Teraz dopiero baronowie pomyśleli o powrocie do domów, do Europy. Wykonali ślub. Grób św. z rąk saraceńskich wydarli, pod Antyochią złamali potęgę sułtana Seldżuków, pod Ascalon zniszczyli armią kalifa z Kairu. Z dumą spoglądać mogli na dokonane dzieło, które było tak trudne i wielkie, że chyba widoczną była w tem pomoc Boża. Takie było przekonanie ich własne i całego chrześcijańskiego świata, takie też przekonanie przemawia z całego naszego poematu, który przedstawia i opisuje wszystkie tutaj uwydatnione zdarzenia.

Zaznaczyć wypada, że i w szczegółach niektórych poemat zgadza się z historyą. Prawdą jest np., że krzyżowcy, trapieni nieopisanem pragnieniem, głodem, udali się do pustelnika mieszkającego na górze Oliwnej z prośbą o radę. Zalecił im post i modlitwy. Biskupi, stosując się do tego, nakazali post trzydniowy, następnie procesyą na górę Oliwną, na górę Syon, do kaplicy św. Szczepana w stronie doliny Józafata. W ciągu tej procesyi strzelali do nich Saraceni z murów, urągali im w sposób bluźnierczy, jak pisze Albertus (p. 276—7) a za nim poemat. — Prawdą jest, że drzewo do machin oblężniczych krzyżowcy zdaleka, aż od strony Arabii, ściągali z lasu, który im wskazał krajowiec chrześcijanin, Syryjczyk z rodu: *frater conchristianus, natione Syrus* (p. 275). Wiklinę do odziania machin starzy i młodzi, kobiety i dzieci od Betleem znosili. Prawdą jest, że Saraceni posyłali sobie wiadomości przez gołębie, bo świadczy o tem Raimundus de Agiles (p. 173). —Wież do szturmu mieli krzyżowcy dwie, jednę należącą do Godfryda, drugą do Raimunda z Tuluzy. Otóż wieża Godfryda znacznie pierwej do murów się zbliżyła, niż wieża hrabiego Rajmunda, która stała naprzeciw wieży

Dawida, czyli zamku, najsilniejszego punktu w mieście. Godfryd sam był na najwyższem piętrze wieży wraz z bratem Eustachym, na niższym ludzie jego, pomiędzy nimi bracia Ludolf i Engelbert z Tournai. Tak pisze Albertus, widocznie podług lotaryńskich tradycyi i dodaje, że pierwsi na mury Godfryd z Eustachym wskoczyli (p. 277). Gesta (p. 27) wymieniają rycerza Letholda jako pierwszego, który jest prawdopodobnie tą samą osobą, co podany przez Alberta Ludolf. O Tafurach nie ma mowy u żadnego historyka. Tu więc poeta użył fantazyi, a wymysł jego, sławiący obszarpanych tafurów na równi z najświetniejszem rycerstwem, ma niezawodnie charakter demokratyczny. — Poeta opisuje, że gdy wszyscy baronowie odmówili przyjęcia korony, wybór Godfryda rozstrzygnięty został cudownem zapaleniem się świecy jego w kościele Grobu św. O tem nie wie żaden historyk, atoli już Albertus opowiada (p. 381) jak w tym samym kościele ogień z nieba w każdą wielką sobotę spada na lampę olejną, od której świeca paschalna zapaloną bywa. Dzieje się to celem utwierdzenia wiary w Zmartwychwstanie Pańskie. Widocznem jest tedy, że poeta dawną tę legendę zastosował do wyboru pierwszego króla, ale jej całkiem nie zmyślił. W podobny sposób postępuje często, a postępowanie takie na rachunek swobody poetycznej policzyć należy. — Jak Sansadoina z Antyochii, tak Cornumaranta z Jerozolimy wysyła poeta z prośbą o pomoc do sułtana. Trzeba powiedzieć, że ani Sansadoine ani Cornumaran tam nie jeździli, ale prawdą jest, że zarówno Cassianus, jak Ifthikar poselstwa takie wyprawiali i to więcej niż jedno, jak to u Gesta p. 15 czytać można. Pisze także Albertus (p. 275), że poselstwa dochodziły z miasta Jeruzalem do sułtana i od sułtana do Jeruzalem. Spostrzegli się krzyżowcy, straż ukrytą przy górze Oliwnej ustawili i wnet dwu posłów saraceńskich od Ascalonu (Egiptu) przybywających, schwytali.

Wszystkie główne, a także wiele ubocznych, powyżej uwydatnionych zdarzeń prawdziwych opisuje nasz poeta, ale trzeba zaznaczyć, że już do głównego zarysu wprowadza znaczne zmiany. Zaraz na początku poematu spotykamy Jeńców, spotykamy Godfryda, który, wyprzedzając armią, miał się posunąć aż do Jerozolimy po barany i inną zdobycz. O Jeńcach już wiemy, że ich tam nie było; ale byłożby prawdą, co mówi o Godfrydzie? On miałby się wyprawić na zdobywanie baranów? Nie miałże nikogo z niż-

szych, który by się wyprawił zamiast niego, jeżeli zdobycz była potrzebną? Zobaczmyż, czy o tem historycy wspominają!

Podług nich armia krzyżowców, posuwając się od Jaffy ku Jerozolimie, stanęła obozem w Emaus. Tutaj przybyła deputacya chrześcijańska z Betleem, prosząc o opiekę. Zawsze gotowy do wypraw trudniejszych, pojechał tam Tankred niezwłocznie w 100 koni. Wyprawa ta należała niezawodnie do trudniejszych, boć Betleem leży poza Jerozolimą ku wschodniemu południowi. Tymczasem z armii krzyżowców wyjechał mały oddział aż pod Jerozolimę dla dostania języka, ale i dla łupów. Istotnie zabrali liczne trzody bydła, które im Turcy odbić chcieli, groźnie się gromadząc. Położenie było niebezpieczne, gdy w tem zjawił się niespodzianie Tankred z Betleem, od przeciwnej strony przybywający, który Turków rozpędził. Najszerzej o tem pisze Albertus Aquensis (Bongars p. 278), podług którego na czele tej wyprawy po łupy stał Gaston z Béarn, podczas gdy Tudebodus (p. 809) wymienia Raimunda Pileta i Raimunda de Taurina. Być może, że był w niej jeden i drudzy, ale widocznem jest, że poeta to właśnie zdarzenie tak bardzo przemienił, powiększając je do rozmiarów wielkiej bitwy, zamiast Gastona dając Godfryda, zamiast Tankreda Jeńców.

Przypomnijmy sobie, że podług poety, Boémond, żałując, że w tej walce nie miał udziału, wyruszył także po żywność, ale ku Cezarei. Wraca zwycięski z bogatym łupem, prowadząc z sobą jeńców saraceńskich, gdy niespodzianie tak się zobaczył zagrożonym od innych Saracenów, że aż św. Jerzego było potrzeba, aby go ocalić. Otóż ci sami historycy opowiadają, że już z pod Jerozolimy wysłano oddział do Jaffy po żywność, która tam okrętami przybyła. W drodze wyprawa ta byłaby zniszczoną od Saracenów, gdyby jej z pomocą nie był pośpieszył Raimond Pilet. To prawdziwe zdarzenie wydało się poecie za drobnem, przeto nadał mu większą donioslość (za wielką może), wprowadzając doń Boémonda i św. Jerzego. Wypada dodać atoli, że Boémond rzeczywiście w podobnem znalazł się niebezpieczeństwie, gdy wracał z bardzo skutecznej wyprawy po łupy. Wybawił go wtedy z przeciwnej strony niespodzianie się zjawiający Robert z Flandryi, który i Boémonda ocalił i łupy już stracone Turkom odebrał. Tylko stało się to pod Antyochią, w samym początku oblężenia tego miasta, jak opowiada Albertus (p. 231—2) nie zaś pod Jerozolimą.

W tych przykładach poeta do swych znacznie powiększonych lub przeniesionych skądinąd obrazów wziął dwa fakty rzeczywiste. Zdarza się atoli, że się i bez nich obywa. Tak n. p. zaraz po wyborze króla wyprawił wszystkich wybitnych baronów z powrotem do domu, a więc jeszcze przed bitwą pod Ramleh-Ascalon i już ich nawet do Galilei nad jezioro Genezaret zaprowadził. Tutaj gołąb im przyniósł list z wiadomością o wielkiej potrzebie Godfryda. Otóż to się całkiem mija z prawdą. Baronowie, jakby przewidując to, co miało nastąpić, nie myśleli na razie o tem, aby Godfryda opuszczać. Pytamy się dla czego ten wymysł żonglera? Raz dla tego, aby uwydatnić dzielność księcia i jego wierność dla Grobu św., a nadto aby owego gołębia, jako posłańca z listem wyprawić. Chciał coś nowego słuchaczom opowiedzieć. Słyszał on o użyciu tych ptaków do noszenia wieści, ale nie rozumiał, jakie do tego potrzebne są warunki.

Na drodze wymysłów w szczegółach, z prawdą historyczną niezgodnych, zaszedł nasz poeta daleko. Widzieliśmy, że Boémond ma wybitną rolę zaraz na początku poematu o Jerozolimie i że ją zachowuje do końca. Otóż wszystkie te jego dzielne czyny są zmyślone, bo go wcale przy zdobyciu Jerozolimy nie było. Zostawszy panem Antyochii, miasta większego i bogatszego niż Jerozolima, panem okolicznej ziemi, o wiele żyźniejszej niż skaliste otoczenie grodu Dawida, nie mógł opuścić tej cennej zdobyczy, wymagającej ustawicznej czujności.

Jeszcze ładniejsze są walki Baldwina z Cornumarantem. Pomyślane są całkiem oryginalnie, opisane zajmująco. Otóż tego Baldwina, nazwanego wyraźnie bratem Godfryda, także wcale przy zdobyciu Jerozolimy nie było, ponieważ strzegł hrabstwa swego Edessy, bardziej jeszcze od Saracenów zagrożonego, niż Antyochia. Obaj z Boémondem dopiero po zdobyciu świętego miasta pielgrzymkę tam odbyli.

Mądre rady przypisuje poeta Hugonowi Wielkiemu, aby wprzód wieże zbudować i dopiero przy ich pomocy Jerozolimę zdobywać. Rad tych hrabia Hugo dawać nie mógł, ponieważ ani teraz, ani później pod Jerozolimą nie był. Zaraz po zdobyciu Antyochii wysłany przez krzyżowców do Konstantynopola, już stamtąd na razie nie powrócił, a gdy wybrał się do ziemi św. po raz drugi, umarł w drodze, w Tarsie został pogrzebany. Hongier l'Allemant wdziera się odważnie na mury Jerozolimy, a nawet zrzuca

z nich admirała saraceńskiego: otóż ten sam Hongier zginął już przy boku Godfryda pod Antyochią, w owym pościgu za Corbaranem, jak nam to sam poeta opisał.

Jedną z najładniejszych postaci w poemacie o Antyochii i o Jerozolimie jest młody Enguerrand, syn hrabiego Hugona z St. Pol. Przypomnijmy sobie, jak dzielnie się już pod Niceą popisywał, jak pod Antyochią żelazny most zajął. Otóż pod Jerozolimą już go niestety nie było, umarł bowiem w Marrah. *Engelradus, Hugonis comitis filius, iuvenis mirae audaciae in hac urbe aegritudine detentus, vita discessit*, pisze Alb. Aquensis V, 30. Natomiast Raimundus de Agiles pisze, że tam zabity został (p. 164) oraz dodaje, że ukazał się w nocy przyjacielowi swemu Anzelmowi de Ribemont pod Archas, aby mu bliską śmierć zapowiedzieć. W każdym razie pod Jerozolimą już nie był, a mimo to poeta harcować mu tam każe. Prawda, że ostatecznie ginie także w poemacie, ale dopiero w bitwie pod Ramle-Ascalon, ku srogiemu ojca strapieniu.

Niepospolitego saraceńskiego wojownika przedstawił nam poeta w Cornumarancie. Młody, zwinny, odważny, zacięty, zaopatrzony w niezrównanego konia Plantamora i miecz śmierć niosący, jest syn króla Corbadasa kreacyą nową i udatną. Dotąd wszyscy saraceńscy wodzowie byli karykaturami zuchwalstwa, wcieleniem chełpliwości, pierwszy dopiero Cornumarant jest dzielnym wojownikiem. Otóż ten Cornumarant nigdy nie istniał, jak nie istniał nigdy ojciec jego Corbadas. Historycy nic o nich nie wiedzą. W Jerozolimie króla wcale nie było, tylko egipski gubernator Iftikar-Eddaulé. Wszystkie te trzy nazwy: Corbaran, Corbadas i Cornumarant są odmianami jednej nazwy rzeczywistej *Kerbogha*, którego łacinnicy Corbaranem nazywają, nic o dwu drugich nie wspominając. Czy nie dziwić się płodnej pomysłowości żonglera, który z jednej postaci trzy zrobić umiał[1])?

---

[1]) Nasuwa się nam przy tej sposobności pytanie, co się naprawdę stało przy zdobyciu Jerozolimy z owym egipskim gubernatorem. Poeta opowiada, że król Corbadas (to znaczy gubernator) poddał się na łaskę, wraz z wieżą Dawida, hrabiemu z Tuluzy, ale następnie wyprowadza go do bitwy pod Ascalon wraz z całą armią sułtana, gdzie mu śmierć zadaje, równie jak synowi jego. — Otóż na prawdę gubernator poddał się hrabiemu, który go wraz ze świtą do Ascalony odprowadzić kazał: *fecit vero comes Raimundus conduci Ammiralium, et alios qui cum eo erant usque Scalonam sanos et illaesos*. Gesta p. 28. Nie wiemy atoli, czy brał udział w bitwie pod Ascalon. Co do tej bitwy nadmienić wypada,

Ważną rolę, zwłaszcza w ostatniej bitwie, przypisał poeta biskupowi z Mautran, czyli Marturano w południowych Włoszech. Biskup ten był rzeczywiście pod Jerozolimą, otrzymał nawet katedrę w Betleem, mówi o nim Tudebodus i inni historycy, ale mówią nie dobrze. *Episcopus namque Martranensis aliter quam recto itinere gradiens cum Bethlehemiticam ecclesiam fraudulenter obtinuisset...* Raimundus de Agiles p. 179. W każdym razie nie był on następcą zmarłego w Antyochii legata, biskupa Aïmera. A jednak poeta przypisuje mu w Jerozolimie i w bitwie pod Ramleh-Ascalon taką samą rolę, jaką miał zacny biskup z Puy. Otóż biskup z Mautran w bitwie rzeczonej obecnym już być nie mógł, ponieważ ujętym został krótko przedtem przez Saracenów i już na zawsze przepadł bez wieści: *tertio vel quarto die* (po otrzymaniu biskupstwa) *a Sarracenis captus nusquam inter nos comparuit...* tak kończy Raimundus zdanie co dopiero przytoczone: a Tudebodus (p. 813) dokładniej tak to opisuje: *Postea Dux Godefridus misit Martoronensem episcopum Hierusalem Raimundo Sancti Egidii et Roberto Normano et aliis Senioribus, quod cito pergerent ad eum si praeliari cum paganis voluissent. Episcopus vero Martoronensis rediens, recitata verba Patriarchae et Ducis ferens, invenit Sarracenos, qui apprehenderunt illum secumque nescimus ubi duxerunt.* Tudebodus p. 813. To znaczy, że gdy Godfryd ruszył do Ascalon, Rajmund z Tuluzy i Robert Normandzki zostali jeszcze w Jerozolimie, nie wierząc, aby bitwa była bliską. Rajmund może i z tego powodu, że był Godfrydowi niechętny za ową wieżę. Do nich wysłał Godfryd biskupa z wezwaniem, aby przybywali. Biskup ujęty został przez pogan na drodze do Jerozolimy. W bitwie tedy obecnym już nie był, ale był tam nowo obrany patryarcha Arnulf, który, podług Alberta, niósł w tej bitwie drzewo krzyża świętego, przez niego właśnie

że podług poety, Saracenami w niej dowodził sułtan z Babilonu. To jest omyłka. Wodzem ich był Afdalah, wezyr kalifa z Egiptu, który pragnął odzyskać Jerozolimę, zdobytą przez niego na Selczukach wtedy, gdy krzyżowcy Antyochią oblegali. Dziwna rzecz, tę samą omyłkę popełniają wszyscy historycy owocześni, wszyscy mówią o sułtanie z Babilonu jako wodzu Saracenów pod Ascalon. Błąd poety jest w tym przypadku zarazem błędem historyków. — Co do wieży Dawida, dodajmy, że hrabia Rajmund wziął ją w posiadanie, a następnie Godfrydowi, jako królowi, oddać jej nie chciał. Podobnie jak w Antyochii Żelaznego mostu Boémondowi. Dopiero na uchwałę baronów oddał ją, lecz nie Godfrydowi samemu, tylko biskupowi z Albary.

świeżo znalezione. O lancy w tej bitwie niesionej, nie mówi nietylko Tudebodus, lecz nawet Rajmundus de Agil. Słup zaś jest już wymysłem samego żonglera.

Nie przestając na tem, że po biskupie z Puy już naznaczył następcę, poeta samego tego w Antyochii zmarłego biskupa na polu bitwy jako obecnego wymienia i każe mu po dawnemu zagrzewać walczących do męstwa (p. 335). Umieszcza tam także Estatina, który już z pod Antyochii do Konstantynopola powrócił.

Piotr z Amiens ani myślał o tem, aby się przebierać za rycerza i w bitwę ruszać. Podług świadectwa historyków został w Jerozolimie, wraz z innymi księżmi, którym straż miasta poruczono. Zachęcał tam do modlitwy, postów, procesyi. Chrystusa się nie wyrzekł, w Mahoma nie uwierzył nawet na żart. Prawdą jest, że do rycerstwa powołania nie miał, co widać stąd, że z pod Civetot uciekł; chciał także uciec z Antyochii, tylko go Tankred przytrzymał.

Wogóle tedy ta śmiałość w zmyślaniu, nie wskazujeż ona na tego samego, który na sobór w Clermont sprowadził króla Francyi, brata jego Hugona, Godfryda, Boémonda i innych baronów, których tam wcale nie było? Na tego samego, który Piotra pustelnika i jego tłumy poprowadził przez Apulią i Kalabryą i Grecyą do Konstantynopola jeszcze przed soborem? Na tego samego, który pod Civetot sprowadził Corbarana z Persyi i kazał mu stoczyć walną, a dokładnie opisaną bitwę z rycerstwem chrześcijańskiem? Otóż nie było tam ani Corbarana, ani rycerstwa wielkiego, nie było sławnych Jeńców! Wyprawę Piotra zniszczył na drodze do Nicei pan tego miasta Kilidż-Arslan, którego chrześcijanie Solimanem nazywali.

Usuńmy z poematu wszystko to, co jako niezgodne z prawdą historyczną uwydatniliśmy, cóż pozostanie? Tylko najogólniejszy zarys prawdziwy, a przeważająca część poematu okaże się wymysłem. A właśnie te wymysły są najpiękniejszą jego częścią. Miałże poeta prawo tak postąpić? Niezawodnie, że miał. Nie przedstawił historyi jaką była, ale jaką być mogła. Wprowadził do utworu takie motywy, takie sceny, które słuchaczy jego najbardziej zajmowały, tworzył po ich myśli. Nie przedstawia wiernie zdarzeń historycznych, ale słuchaczom swoim mówi o prawdziwych herojach pierwszej krucyaty, o Boémondzie, Balduinie, Hugonie Wielkim, o biskupie z Puy, o których jak najwięcej słyszeć chcieli. Temu pra-

gnieniu ulegając, umieszcza ich nawet tam, gdzie ich nie było, przypisuje im czyny, jakich nie wykonali, ale z pewnością wykonać byli zdolnemi. Z tego punktu widzenia uważany, poemat jest zajmujący a nawet prawdziwy, nie co do faktów, ale co do charakteru osób i zdarzeń. Prawdziwszy w każdym razie, niż Tassa *Gerusalemme liberata*. Widzimy bowiem, że ani się śniło Krzyżowcom o Kloryndach i Armidach. Nie ulega wątpliwości, że pod względem artystycznym *Jerozolima wyzwolona* jest doskonalszą, aleź bo Tasso już miał wykształcenie renesansowe, wykształcenie bardzo wysokie, talent niepospolity, podczas gdy nasz autor był tylko wędrownym, nieledwie żebrzącym śpiewakiem, lecz z jego poematu przemawia prawdziwy duch, jaki ożywiał krucyaty, wojowników w niej udział biorących.

Mimo to, zaprzeczyć się nie da, że dla ludzi, znających prawdziwą historyę krucyaty, poemat o Jerozolimie z powodu wielkiej poetyckiej swobody traci na wartości. Pod względem artystycznym jest ładniejszy, niż poemat o Antyochii, ten atoli mniej nas razi, ponieważ od prawdy historycznej mniej odbiega. Powiedzmy tak, że poeta mógł zachować wszystkie zdarzenia i czyny, jakie opowiada, tylko powinien je był przypisać osobom, które naprawdę pod Jerozolimą walczyły. Zamiast Boémonda, Balduina i dużego Hugona powinien był sławić Gastona z Béarn, Rajmunda Pileta. Ale cóż, kiedy imiona tych ostatnich były zapomniane, podczas gdy pierwsi znani byli wszystkim i wszyscy o nich jak najwięcej słyszeć pragnęli, a prawdziwego stanu rzeczy świadomymi nie byli. Okazuje się z tego, że epopeja historyczna, o treści tak dowolnej, możliwą była tylko wobec społeczeństwa, którego ciekawość była wielką, ale wiedza zdarzeń historycznych bardzo małą. My już nie będziemy się uczyć historyi z tych utworów, ale co z nich poznamy doskonale, to stan umysłów ówczesnego społeczeństwa, jego wyobrażenia, zamiłowania, pragnienia, a zarazem jego niedbałość o ścisłą prawdę.

Któż więc jest autorem tego poematu? Niema w nim żadnej co do tego wskazówki, ani też żadnego świadectwa ubocznego. Widzieliśmy atoli, że składa się on z tych samych, albo bardzo podobnych tematów, z tych samych, albo bardzo podobnych motywów, co poemat o Antyochii. Technika poetycka jest w nim także zupełnie ta sama, język i styl bez żadnej różnicy. Sądzimy przeto, że autorem tego poematu, w tej formie, jaką obecnie posiada, jest

ten sam śpiewak, który się wymienił w poemacie o Antyochii, a więc Graindor z Douai. Wskazywaliśmy niejednokrotnie na to, że na początku pierwszej pieśni poematu o Antyochii, oraz w dalszym jego ciągu, niejednokrotnie zapowiedziany jest poemat o Jerozolimie. Graindor z Douai go zapowiadał, a zapowiadając, nie mógł go nie dać. Nic go bowiem nie zobowiązywało do obiecywania pieśni o Jerozolimie, kiedy mógł się ograniczyć do pieśni o Antyochii.

Wszelako wiemy już, że Graindor z Douai autorstwa Pieśni o Antyochii sobie nie przypisuje, tylko wymienia Ryszarda Pielgrzyma, jako twórcę tego poematu, który on tylko odnowił, spisał, rymami ozdobił. Jakiż tedy jest stosunek Graindora do Ryszarda? Bo nie ulega wątpliwości, że pierwszym autorem jest Ryszard Pielgrzym. Pytamy się przeto, czy także w pieśni o Jerozolimie Graindor jest tylko odnowicielem pracy Ryszarda, czy może inny poeta utwór ten ułożył, a znowuż Graindor go odnowił? A dalej, kto jest autorem Jeńców? Zanim własną na to odpowiedź damy, przedstawimy najprzód panujące dotąd zapatrywania najwybitniejszych uczonych.

Zaczynamy od Gastona Paris, którego zdanie już znamy po części. Sądzi on, a zdanie swoje bardzo krótko wyraża, że pieśń Ryszarda była najpierwszym wogóle opisem pierwszej krucyaty, zrazu całkiem prawdziwym, bo Ryszard Pielgrzym był prawdopodobnie jednym z towarzyszy Godfryda z Bouillonu, na co jego przydomek wskazuje. *Richard le Pèlerin, qui était peut-être, comme son surnom semble l'indiquer, un des compagnons de Godefroi de Bouillon* [1]. Tak więc uczony francuski trzyma się tutaj zapatrywań swego ojca, dodaje atoli, że jeżeli teksty dochowane zawierają dużo bajek *(récits fabuleux)*, to pochodzi to od późniejszych przerabiaczy, którzy je dodali. Pisałby tedy Ryszard pielgrzym około r. 1099. Jest to przypuszczenie żadnem świadectwem nie stwierdzone, boć każdy pątnik do Ziemi św. i w każdym czasie mógł się nazwać pielgrzymem. O *les Chétifs* także się krótko wyraża i z lekceważeniem: *il n'y a que des aventures romanesques sans intérêt, unies par un lien assez lâche à l'histoire de la guerre sainte.*

G. Gröber sądzi [2], że Ryszard pielgrzym pisał w drugiej ćwierci wieku 12-go. Czerpał z Tudeboda, Alberta i innych pism

[1]) La littér. française au moyen âge 1890, § 29.

[2]) Grundriss der rom. Phil. II. I. § 25. Zob. także § 56.

nieznanych, nie był rymującym kronikarzem, jak łacińscy poeci tego przedmiotu, tylko śpiewał w stylu wędrownych poetów pieśni bohaterskich, podobnie jak uzupełniacz, który podług zasłyszanych opowiadań opisał zdobycie Jerozolimy, oraz podobnie jak sam Graindor z Douai. *Unüberarbeitet gebliebene Strophen von Richards Werk sind möglicherweise die 13 assonierenden Schlussstrophen der uns vorliegenden chanson d'Antioche* [1]. Podług Gröbera, Ryszard napisał tylko poemat o Antyochii, jego dzieło uzupełnił jakiś inny nieznany poeta opisem zdobycia Jerozolimy, a Graindor oba te poematy przerobił. Otóż tego drugiego, całkiem niepoświadczonego autora przyjąć trudno. Ważnem jest atoli zdanie ostatnie, podług którego dochowało się 13 tyrad z poematu Ryszarda. Takie już zresztą było przypuszczenie Paulina Paris. Jeżeli tak jest, to przypatrzywszy się im dokładnie, będziemy mogli rozpoznać charakter utworu tego pierwszego poety. Uczynimy to niebawem.

H. Suchier także Ryszardowi tylko pieśń o Antyochii przypisuje, nie mówi wcale o tem, kto miał napisać pieśń o Jerozolimie, ale sądzi, że także była zrazu adsonowaną, a później przerobioną. Przerabiaczem jest Graindor z Douai. Z pierwotnej, adsonowanej formy zostało jeszcze strof kilka w rękopisach: *ihr Vergleich mit der späteren Bearbeitung zeigt, dass der Bearbeiter Reim und Ausdruck geändert, auch neue Verse hinzugefügt, den Inhalt der Quelle aber fast unangetastet gelassen hat* [2]. Suchier ma na myśli te same strofy, o których już Gröber mówił.

Wogóle tedy Gröber zgadza się w tem z Suchierem, że Ryszardowi przypisuje tylko poemat o Antyochii; poemat o Jerozolimie ułożył ktoś późniejszy, oba zaś przerobił Graindor. Co do Chétifs widzieliśmy, że Gröber kładzie ten utwór na jakie 30 lat później od Graindora, podczas gdy Suchier sądzi, że go Graindor przerobił, poczem dodaje: *Dieser Komplex von Kreuzzugsliedern lag in seiner älteren, assonierenden Gestalt bereits in der Mitte des 12 Jahrhunderts*

[1]) Sprostować tu należy niektóre niedokładności, lub omyłki Gröbera. Mówi słusznie, że Graindor przytacza Ryszarda, jako źródło nazw saraceńskich książąt w armii Corbarana, nie spostrzegł atoli, że te nazwy są u Tudeboda, ale podane są tam jako nazwy dawnych władców Antyochii, na co na właściwem miejscu wskazaliśmy. Graindora kładzie na rok 1180, ale *Les Chétifs* na początek wieku 13-go (§ 66), a przecież ten poemat jest już objęty przeróbką Graindora! Widzimy, że zdania Gröbera nie są ani należycie oparte, ani też ze sobą związane.

[2]) Geschichte der franz. Litteratur 1900, p. 49.

vor (l. c. 50). Tak mówiąc, przyjmuje za prawdę widocznie to, co się czyta w Les Chétifs o Rajmundzie z Antyochii, bo w takim razie i poemat o Jeńcach jużby istniał przed rokiem 1150. Nam się zdaje, że ta wzmianka jest tam dowolnie wsuniętą przez Graindora, aby poematowi, przedstawiającemu zdarzenia całkiem zmyślone, nadać pewne znamię autentyczności.

Takie są zapatrywania najwybitniejszych romanistów. Gröber i Suchier całkiem się różnią od G. Parisa, Suchier znowu od Gröbera, co do daty Jeńców, który to poemat Gröber aż na wiek 13 kładzie, podczas gdy Suchier sądzi, że już istniał w środku wieku XII-go. Różnica w zdaniach bardzo duża. Na jedno się tylko wszyscy trzej zgadzają, a mianowicie, że pierwszym autorem pieśni o Antyochii był Ryszard, co zresztą sam Graindor powiedział, a la Gran Conquista potwierdziła. To pomijając, czyjeż zdanie będzie najbliższem prawdy? Jeżeli wolno uprzedzić tutaj to, co nam niżej powiedzieć wypadnie, to nam się zdaje, że wszyscy trzej się mylą.

Zobaczymy przedewszystkiem, jaki jest stan tekstów Wszystkie dochowane rękopisy wymieniają imię Graindora, czyli inaczej: wszystkie zawierają tekst przez niego przerobiony [1]. Paulin Paris atoli, pierwszy wydawca poematu o Antyochii, znalazł w niektórych rękopisach dwa fragmenty, z przeróbki Graindora wyłączone, które ogłosił na końcu swego wydania. Fragmentom tym dokładnie należy się przypatrzyć.

Pierwszy z nich (l. c. II. p. 286—8) obejmuje wierszy 62, aleksandrynów, jak w całym poemacie, tworzących jedną wiązkę, zrymowaną na *é*. Treścią jej śmierć biskupa z Puy, jego pożegnanie z baronami, zalecenie wyboru następcy, jako którego wybrano biskupa z Mautran, czyli Martorano. W ostatnich wierszach zwraca się śpiewak do króla Corbarana. Jakiż jest stosunek tego fragmentu do tekstu Graindora? Ponieważ Graindor o śmierci biskupa z Puy mówić zaniedbał, przeto fragment ten jest uzupełnieniem poematu o Antyochii. Wszelako mówiąc o biskupie z Mautran, zdradza autor, że znaną mu jest pieśń o Jerozolimie, ponieważ tam dopiero jest mowa o tym biskupie. Rzeczywiście, nawet historycy dopiero w Jerozolimie biskupa z Martorano wymieniają. Należy wnioskować, że w Antyochii wcale obecnym nie był. Autor fragmentu po-

[1] Wyjątek tworzy rękopis najmłodszy, a więc najmniej ważny, w którym tekst jest przerobiony przez Graindora, ale imię jego nie wymienione.

zwolił sobie przenieść do Antyochii, o czem dopiero w Jerozolimie mówić było można. Końcowe zawrócenie do Corbarana wskazuje na to, że ten śpiewak zamierza przejść do Jeńców w związku z tekstem Graindora. Wynika z tego, że wartość tego fragmentu jest bardzo mała i że jest tylko drobnem uzupełnieniem tekstu Graindora, a późniejszem od niego.

O wiele ważniejszy jest fragment drugi (l. c. p. 289—304), ponieważ jest dłuższy, zawierając wiązek 13, a wierszy około 230. Godnem uwagi jest to, że jego wiązki z aleksandrynów nie są rymowane, lecz adsonowane. Toby znaczyło, że ten fragment jest starszy od Graindora. Nie pochodziż on od owego Ryszarda pielgrzyma? Powiedział to już P. Paris, a Gröber i Suchier potwierdzili. My także przyjmujemy to zdanie, ale z dodatkiem, że język tego fragmentu jest odmłodzony. Nic w tem niema dziwnego, ani osobliwego, bo to się działo wówczas ze wszystkimi tekstami.

Prawdopodobnem jest tedy, że mamy kawałek dochowanego poematu Ryszarda, z którego będziemy mogli nabrać wyobrażenia o jego technice i talencie. Treścią jego jest zajęcie zamku antyocheńskiego przez Boémonda, śmierć biskupa z Puy, jego pogrzeb. O następcy jego w osobie biskupa z Mautran niema tutaj mowy, bo rzeczywiście takiego następcy tutaj nie wybrano. Opowiada nam dalej poeta, że Godfryd z Antyochii udał się przez Ravenel do Rohais (Edessy) do brata swego Balduina, a hrabia Rajmund z Tuluzy ruszył do Camelerie, następnie do Lambare (Elbara), którą zajął i biskupa tam osadził, stąd do La Lice (Laodycea), a stąd do Marrah, którą 5 tygodni oblegał. To wszystko opisane jest w siedmiu wierszach, to znaczy bardzo krótko, po kronikarsku. Następuje opowiadanie o głodzie. Już zjedzono wielbłądy i osły, niektórzy Turków jedzą. Rajmund de S. Gille wybrał się z wielu ludźmi w góry, aby mieczem zdobywać żywność. Słuchajcie jaką łaskę okazał Bóg tym, którzy tam zabici zostali: mają krzyże czerwone jak krew na piersiach. Francuzi bardzo się temu dziwili. Ludzie króla Tafura, który ostrą kosę nosi, niczego się nie boją, każdą ziemię pustoszą, ubierają się w worki na szyi zawiązane, zresztą są obnażeni. Tej drużyny wszyscy obawiają się najbardziej. Do zdobycia Marrhy trzeba było maszyn, temi rozbijają mury, potem szturmują, przyczem zginął dzielny Anselme de Ribemont. Warto przytoczyć dwa wiersze, w których śmierć jego opisuje:

Ansiel de Ribemont le baron nos ocisent
De lui fu li os Deu forment affebloïe (p. 297).

Nie tylko dziwić się trzeba, że autor nie umiał ładniej opisać śmierci tego wybitnego barona, ale popełnia przy tem ten błąd, że każe mu zginąć już pod Marrah, kiedy on dopiero pod Archas śmierć znalazł. W następnych dwu wiązkach opowiada o próbie lancy św. Było wielu takich, którzy w nią nie wierzyli: *Car moult i ot de cels qui nel créoient mie* (p. 299). Wtedy oświadczył ksiądz, który wskazał miejsce, gdzie była złożoną, że odziany we włosiennicę poniesie ją przez ogień, na dowód, że jest prawdziwą. Nagromadzono ciernia, przez środek ścieżkę zrobiono, zapalono ogień, który księża pobłogosławili. Ksiądz we włosiennicy i boso, rzekł: panowie baronowie, zacni chrześcijanie, św. Andrzej Apostoł objawił mi, że po tym sądzie nie będę żył dłużej, jak dni pięć. W obliczu wszystkich wszedł w ogień z lancą w ręku. Bóg sprawił, że nie zajęło się jego odzienie, ani ciało. Cieszą się Francuzi, zrywają z niego suknię, wydzierają mu włosy, bo chcą mieć relikwie, aż go zabrał hrabia z St. Gille. A było to trzy dni przed Paschą. Po tem opowiada, że Godfryd opuścił Rohais, chcąc się połączyć z Krzyżowcami pod Marrah. W drodze, przejechawszy Ravenel z 25 ludźmi, został napadnięty przez trzystu Turków. Najechał na nich, a Bóg sprawił, że Turcy uciekli na swoją szkodę, a Francuzi zdobyli broń i konie. Książę przybył do Marrah, gdzie posłaniec od Boga mu oznajmił, aby niezwłocznie ruszył na Jerozolimę, którą zdobędzie. Baronowie zwijają obóz, zabierają żywność z chleba i mąki, przybywają do Triple (Tripolis), gdzie się im okupił pan tego miasta. Ucieszeni baronowie ruszają nazajutrz przez Gibel, Acre, Assur i Sur (Tyrus) przez Saiete, aż do rzeki i miasta Rames, które było opróżnione. Ucieszeni baronowie zajęli je i ustanowili biskupa, w czem dobrze postąpili.

Oto treść i sposób opowiadania tego ważnego fragmentu, którego nikomu innemu, tylko Ryszardowi przypisać należy. Jasnem jest, że on ma inny charakter, aniżeli pieśni, które dotąd poznaliśmy. Opisuje ostatnie zdarzenia z pobytu chrześcijan w Antyochii, a mianowicie zajęcie zamku przez Boémonda, oraz śmierć i pogrzeb biskupa z Pui, a następnie całą drogę Krzyżowców z Antyochii, aż pod Jerozolimę, do Ramleh czyli Rames. To jest fakt nadzwyczaj ważny. Opisuje w dość dokładnej zgodzie z historyą. Graindor tego nie ma, a jasnem jest, dlaczego to po-

minął, odrzucił. Ponieważ wsadził Jeńców w to miejsce, a pieśń o Jerozolimie zaczyna od niespodziewanego, a efektownego spotkania się ich z Godfrydem. To, co fragment opowiada, to wszystko jest zapisane u historyków. Rajmund z Tuluzy, oddzieliwszy się od Krzyżowców, udał się w głąb kraju, sądząc, że tam będzie łatwiej o żywność, za Libanon, gdzie obsadził Elbara i po pięciotygodniowem oblężeniu, wśród straszliwego głodu, zdobył Marrah, które to miasto także leży w głębi Syryi, niedaleko Albary. Otóż poeta każe mu teraz z Elbara przybyć do Laodicei nad morze, a więc przebyć Libanon i znowuż stąd wracać za Libanon pod Marrah. Takich niedorzecznych marszów Rajmund nie robił. A jednak w Laodicei był, tylko nieco później, gdy z Marrah doszedł do Archas, które już leży blisko morza. Teraz dopiero udał się do Laodicei, aby odebrać żywność, którą dla niego liczne okręty przywiozły, a które w Archas lądować nie mogły, ponieważ tam nie było portu. (Raim. de Agiles, p. 164). Dalsze stacye wymienia poeta znowu w porządku niewłaściwym: Tripolis, Acre, Sur, Sagitta (Sydon), podczas gdy geograficzny porządek jest: Tripolis, Sagitta, Sur, Acre. Ale to rzecz mniejsza, w każdym razie widać z tego, że pouczał się z jakiejś historyi pierwszej krucyaty, tylko że mu pamięć nie dopisywała i bałamucił. Wyraźną jest u niego atoli dążność do kronikarskiej dokładności.

Ze zdarzeń, które przedstawia, najbardziej go zajmował pogrzeb biskupa z Puy, oraz próba ze św. lancą, którą znowuż zgodnie z kronikami opisał (Raim. de Ag. 167—171). Bitwy nie przedstawił żadnej. Gdzie się do tego nadawała dobra sposobność, jak przy spotkaniu się Godfryda z hurmą Saracenów, tam opis zbył krótko, kazał Turkom uciekać bez walki, a chrześcijanom cieszyć się z łupów. Łupy lubi bardzo, zwłaszcza w wiktuałach, kilka razy o tem wspomina. Cieszy się też, ile razy Krzyżowcy miasto jakie bez oporu zajęli, albo od Turków okup otrzymali. W tem wszystkiem niema nic bohaterskiego i to jest najwybitniejsze znamię tego fragmentu. Styl w nim jest niezręczny, przedstawienie rzeczy ospałe, bez żywości. Autor chce się zbliżyć do innych pieśni bohaterskich, ale nie ma potrzebnego do tego talentu. Braknie mu przedewszystkiem najważniejszego warunku: on się nie zna nic na rycerskiem rzemiośle, na przebijaniu lancą, na rąbaniu mieczem. Oto jedno znamię tego fragmentu.

Drugiem wybitnem jego znamieniem jest to, że wszystko, co

opowiada. znajduje się w kronikach. Z tą różnicą. że w kronikach częstokroć lepiej jest opisane, aniżeli u niego. W jednym tylko ustępie wysilił własną fantazyę, aby ozdobić wiadomość kronikarską. Podamy go w dosłownem tłómaczeniu: „Oto atakują miasto (mowa o hrabi Rajmondzie pod Camelerie. który to zamek Tudebodus nazywa Talamani, a Albert z Akwizgrany Talaria). zabierają żywność, Turek stąd wyszedł. uzbroił się. wsiadł na konia, a miał wszystkie cztery nogi białe (*sic!*), na przodzie czoła miał przymocowaną kartę (*sic* scl.. koń), jechał tak długo. aż się zbliżył do awangardy (tym razem nie koń. tylko Turek). Pan Rainals z Beauvais chwycił tarcz, idzie ugodzić poganina. nic go nie oszczędzając. Jak długo mu wytrzymuje lanca (?) zwalił go zabitego na trawę i zabrał konia. wraca do wojska Bożego; Francuzi się cieszą. wykonał czyn rycerski *(chevalerie a faite).* Rainals wziął list, kazał czytać kartę, która mówi. że był z Mekki (kto?). prowadził wielką drużynę, przybył, aby harcować i bić się z Francuzami“ [1]. Taki jest najwyższy wysiłek obrazowania. jaki znajdujemy we fragmencie. Pewną jest rzeczą, że nie jest jasny, że opisany jest niedołężnie, że karta na czole konia *(al topet)* jest śmieszną i do niczego nie służy. że zabicie Saracena i zabranie mu konia nie jest tak wielkiem bohaterstwem, ażeby Francuzi aż się temu dziwić mieli. W całości tedy cały ten ustęp, nie upowodowany niczem, bez żadnych pozostawiony następstw. okazuje wyraźnie dziecinne jakoby niedołęstwo naszego autora.

Kto nim był? Fragment jest starszy od przeróbki Graindora, bo jest adsonowany, podczas gdy Graindor wyraźnie oświadcza, że przerobił Ryszarda pielgrzyma adsonacye na rymy. Że zaś pomiędzy Ryszardem a Graindorem nie wiemy o żadnym innym przerabiaczu, przeto jest rzeczą pewną. że ów fragment jest rzeczywiście pozostałością z dzieła Ryszarda. Z tego punktu widzenia odsłaniają się nam różne wnioski. Przypominamy najprzód. że rozebrany dopieroco fragment opisuje drogę Krzyżowców od Antyochii aż pod Jerozolimę. Następnie, że już w Pieśni o Antyochii, nawet w przeróbce Graindora. zapowiadaną jest pieśń o Jerozolimie, albo raczej. że sama pieśń o Antyochii nazwana jest pieśnią o Jerozolimie, co tylko do pierwszej jej formy u Ryszarda odnosić się może. U Graindora jest ona oddzieloną i tworzy osobną całość, u Ry-

[1]) O liście podobnym mówi Rajmundus de Ag. Bongars p. 162, 7.

szarda nią nie była. Przypominamy i to, że la Gran Conquista wymienia imię Ryszarda dopiero po bitwie Ramleh—Ascalon, a więc przy końcu pierwszej krucyaty. Poemat Ryszarda sięgał przeto aż do tego zdarzenia. Z tego wynika, że podstawą obu dochowanych poematów o Antyochii i o Jerozolimie jest rzeczywiście poemat Ryszarda, który przedewszystkiem opowiadał po kronikarsku, bez zmysłu artystycznego, wszystkie ważniejsze zdarzenia całej pierwszej krucyaty.

Nie trudno teraz będzie rozdzielić na obu autorów, co im przypada. Ryszardowi przedewszystkiem szereg zdarzeń prawdziwych, po kronikarsku opowiedzianych, ale z błędami i omyłkami jak te, któreśmy we fragmencie wykazali. Graindorowi wszystkie ozdoby, rozwinięcia tematów, a więc przemówienia, rozmowy, pojedynki, bitwy, przeglądy wojsk, sceny zabawne, jak ta, w której każdy z baronów po kolei uchyla się od niesienia lancy św. w bitwie z Corbaranem, albo podobna scena przy drabinie rzemiennej, albo scena z Enguerrandem, który nie chce, aby mu błyszczącą zbroję kropić wodą święconą. W scenach tego rodzaju posuwa się poeta aż do płaskiej komiczności, boć taki charakter ma tchórzliwe zachowanie się Lwa Czerwonego podczas przeglądu wojsk chrześcijańskich, do ostatniej bitwy pod Antyochią wyjeżdżających. W takich scenach Graindor okazuje się prawdziwym żonglerem-joculatorem.

Na jego poczet położyć także należy liczne sceny z Tafurami już pod Antyochią, podczas gdy Ryszard, w zgodzie z historyą, dopiero pod Marrah o nich mówił; dalej heroiczne sceny z Gontierem d'Aire, Raimbaudem Porquet, Renaudem Créton, Hongierem Niemcem, Tomaszem z Marle i wiele, wiele innych. Powiedzieć możemy wogóle, że Graindorowi przyznać należy wszystkie zmyślenia, a tych jak najwięcej. Te odjąwszy, zostanie tylko szereg zdarzeń prawdziwych, ospale opowiedzianych, i to właśnie będzie własnością Ryszarda. Być tedy może, że Graindor zatrzymał wszystko, co napisał Ryszard, ale dodał do tego trzy razy więcej. Z tego też powodu, że wszystko zatrzymał, nazwał swój utwór odnowieniem Ryszarda, swoim zaś nazwać go nie chciał, aby zachować poematowi starożytną autentyczność. Z tego samego powodu poemat o Jeńcach przypisał nieznanemu kanonikowi od św. Piotra w Antyochii, chociaż ten utwór nic kanonicznego, ani antyocheńskiego nie zawiera.

Zestawmy jeszcze raz oba świadectwa, jakie mamy o pierw-

szym autorze poematu. Hiszpański autor tak się wyraża: „Ryszard pielgrzym pisze, że ten poemat historyczny napisał z rozkazu księcia Rajmunda w Antyochii". Słowa te pisze przy końcu opisu całej krucyaty, po bitwie pod Ascalon. Graindor powiedział jeszcze przy końcu poematu o Antyochii, że autorem jest Ryszard pielgrzym. Następnie w Jeńcach powiedział, że autor tej pieśni otrzymał kanonią od księcia Rajmunda w Antyochii. Oba te świadectwa zgadzają się, tylko Graindor rozdzielił swoje na dwa poematy. W jednym wymienił Ryszarda, w drugim księcia Rajmunda z dodatkiem, że ten książę aż kanonią dał autorowi. Być może, że Ryszard był księdzem i że otrzymał kanonią od Rajmunda. To jest prawdopodobne. Ale dlaczego Graindor mówi o tem w Jeńcach, który to utwór z pewnością nie pochodzi od Ryszarda, ponieważ, jak to wykazaliśmy, Ryszard, w zgodzie z historyą, poprowadził krzyżowców z Antyochii pod Jerozolimę? Oto Graindor podszywa się tutaj pod owego kanonika, aby swemu własnemu utworowi dać więcej autentyczności, podnieść go przez to w cenie, zdobyć i dla siebie hojniejszą zapłatę od słuchaczy.

Tak więc pewną jest rzeczą, że utwór Ryszarda nie obejmował Jeńców, ponieważ rozbierany wyżej fragment prowadzi z Antyochii prosto pod Jerozolimę, ale obejmował opis zdobycia świętego miasta. Ten opis wszelako zajmował tam prawdopodobnie miejsca niewiele. Opis oblężenia Marrhy, które trwało pięć tygodni i zdobycia tego miasta, obejmuje we fragmencie wierszy 60; ileż tedy przyjąć na opis zdobycia Jerozolimy, które także tylko pięciu tygodni oblężenia wymagało? Dajmy na to wierszy sto pięćdziesiąt, drugie tyle na opis bitwy pod Ramleh-Ascalon, to będzie razem wierszy 300, co z pewnością jest za dużo. Uważmy dalej, że Ryszard trzyma się ściśle jakiejś kroniki. Otóż w głównej kronice Tudeboda cały opis krucyaty obejmuje ksiąg pięć, a z tego na zdobycie Jerozolimy i bitwę pod Ascalon przypada mniejsza połowa księgi piątej. Ten sam stosunek znachodzimy w innych kronikach i ten sam zachował prawdopodobnie i Ryszard. Połowa jednej księgi dała Ryszardowi wierszy 300, druga połowa drugie 300, a 600 wziąwszy pięć razy otrzymujemy wierszy 3000 na objętość całego poematu Ryszarda. Komu tego mało, niech przyjmie 6000 — otóż dwa te poematy u Graindora liczą wierszy 16.000, wyłączając Jeńców. W ten sposób uwydatnia się nam w przybliżeniu stosunek pierwotnego poematu Ryszarda, do przeróbki jego u Graindora.

Nietrudno domyślić się, dlaczego poemat o Jeńcach został wsunięty pomiędzy poemat o Antyochii a poemat o Jerozolimie. Graindor, przerabiając utwór Ryszarda, dał mu tak wielką objętość, że utworzyły się dwa i to obszerne poematy. Otóż spostrzegł się wtedy, że treść w obu jest prawie ta sama. W jednym i drugim przymarsz krzyżowców, otoczenie miasta, potyczki, szturmy, w końcu wielka bitwa. Wygłoszenie ich zajmowało z pewnością cztery posiedzenia. Przez cztery dni z rzędu słuchanie zdarzeń podobnych mogło znużyć słuchaczy. Należało przedzielić je czemś odmiennem i właśnie do tego mają służyć *Les chétifs*. Tam słyszeli obecni o smutnym losie wziętych do niewoli, o poniewieraniu ich, nakładaniu na nich ciężkich robót. Wszelako dzielność krzyżowców była tak wielką, że z najcięższego położenia wydobyć ich była zdolną. To się tu stało. Nastąpiły przygody z Satanasem, z wilkiem Papion, z małpą, rozbójnikami. A więc coś odmiennego, opis Oryentu, dziwny wprawdzie, nawet niedorzeczny, taki właśnie, jakim go sobie wyobrażał Graindor z Douai, który na Wschodzie nie był.

Sądzimy tedy, że autorem Jeńców jest Graindor, a mniemanie to poprzeć możemy silnym bardzo argumentem. Przypomnijmy sobie, że ten śpiewak na początku poematu o Antyochii gani innych żonglerów, którzy także śpiewali o krucyacie (podług Ryszarda), że nie znają jej prawdziwego początku. On go poda. I co podaje? Oto opis wyprawy Piotra, klęskę pod Civetot, w której właśnie ci Jeńcy do niewoli się dostali. W ten sposób on właśnie przygotowuje ten poemat, który następnie bardzo zręcznie splótł z poematem o Jerozolimie. To jest pewnem, a z tego punktu wyjaśnia się nam, dlaczego w poemacie o Antyochii w tak rażący sposób wyprawa Piotra poprzedza sobór w Clermont. Oto właśnie Graindor dodał opis tej wyprawy, której Ryszard nie opowiedział, zaczynając od soboru w Clermont. Dodał go od samego początku, pozostawiając dalszy ciąg tak jak był. Postąpił sobie w tem z prawdziwie żonglerską niedbałością, a może i z nieznajomością rzeczy. Niepospolicie biegły był w zmyślaniu, ale w prawdziwej historyi nie był wyuczony. W owych czasach niewielu było takich, którzy ją znali.

Spróbujmy teraz jeszcze bliżej oznaczyć stosunek Ryszarda, a następnie Graindora do owoczesnych historyków pierwszej krucyaty i zapytajmy się, z którego historyka czerpał Ryszard? Czy

da się odpowiedzieć na to pytanie? Spróbujmy, wybierając z fragmentu motywy najbardziej znamienne i szukając ich przedewszystwiem u trzech najdawniejszych historyków, którzy w pierwszej krucyacie sami udział wzięli. Który z nich pisze o wycieczce Godfryda do Rohais, do brata swego Balduina? Jedyny Rajmundus de Agiles, l. c. p. 156: *dux Lotharingiae versus Roais profectus est.* Pisze ten historyk, że Godfryd ku Edessie pojechał, nie do samego miasta, a Balduin wyjechał naprzeciw niego przez Eufrat i tam się spotkali. Tak więc z ku Rohais zrobił Ryszard do Rohais [1]. — Kto pisze o potyczce, jaką stoczył Godfryd z saraceńską napaścią? Znowuż Rajmund de Agiles, tylko opisał ją o wiele lepiej, niż poeta. — Kto mówi o owych zmarłych, na których ciele krzyże spostrzeżono? Tenże Rajmund: *hi autem omnes defuncti cruces in dextris humeris habuerunt* (p. 161) [2]. Mówi także Rajmund o strasznym głodzie pod Marrah: *interea tanta fames fuit in exercitu, ut multa corpora Sarracenorum iam foetentium quae in paludibus civitatis eiusdem per duas hebdomadas et amplius iacuerant, populus avidissime comederat* (p. 161). O śmierci biskupa z Puy piszą wszyscy historycy, o próbie ze św. lancą najszerzej Rajmundus, a Ryszard opowiada całkiem w jego duchu.

Tak więc nie ulega wątpliwości, że Ryszard korzystał z Rajmunda. Wszelako, gdy analizę jeszcze dalej posuniemy, to natykamy się na trudności. Ryszard mówi, że Godfryd przez Ravenel jechał do brata. Rzeczywiście miejscowość ta leży na drodze do Edessy, ale Rajmund o tem nie mówi. — Ryszard wymienia Tafurów i opisuje ich, czego Rajmund niema. Nazwę ich i opis dopiero u Guiberta de Nogent znajdujemy. Nie zapominajmy atoli, że Ryszard pielgrzym był z pewnością w Antyochii u księcia Raj-

---

[1]) Gotfryd pojechał przez Ravenel do Tell-bashir ku Edessie, a więc ku bratu, i to głównie z tego powodu, jak opowiada Albertus, że w Antyochii straszna panowała śmiertelność. Zginęło wtedy 100.000 pielgrzymów, jak pisze Tudebodus. Zdaje się, że sam Godfryd już zdrów nie był, boć umarł w półtora roku później.

[2]) Zjawisko to tłomaczą może następne słowa z *Baldrici archiepiscopis Historia Jerosolimitana* (Bongars p. 89): *Multi etiam de gente plebea crucem sibi divinitus innatam iactando ostendebant, quod et idem quaedam ex mulierculis praesumpserunt. Hoc enim falsum deprehensum est omnino. Multi vero ferrum calidum instar crucis sibi adhibuerunt, vel peste iactantiae, vel bonae voluntatis ostentatione.* Baldricus należy do późniejszych historyków.

munda: otóż tam mógł się łatwo dowiedzieć i o Ravenel i o Tafurach.

Jeżeli pewną jest rzeczą. że Ryszard opierał się na Rajmundzie. oraz że Graindor zatrzymał to. co Ryszard napisał (z wyjątkiem owego fragmentu. który przeszkadzał umieszczeniu poematu o Jeńcach pośrodku) wynikałoby z tego. że i u Graindora podstawą jest Rajmund. Tak też jest niezawodnie, atoli zwracano już niejednokrotnie uwagę na to, że Graindor czerpał także z Tudeboda, oraz z Alberta Akwizgrańskiego. Tutaj i my także niejednokrotnie wskazywaliśmy na te źródła. Pytanie teraz. czy i Ryszard je znał i z nich korzystał? Zdaje się, że na to pytanie należy odpowiedzieć twierdząco. przynajmniej co do Tudeboda. Powiedziało się już wyżej, że Graindor. wyliczając długi szereg wodzów saraceńskich w armii Corbarana (Kerbogi) pod Antyochią, właśnie w tem miejscu powołuje się na Ryszarda. mówiąc: ten. który tę pieśń ułożył, umiał wymienić wszystkie nazwiska. Ryszard pielgrzym. od którego ją mamy (II p. 260): *Cil qui la chanson fist, sot bien dire les noms, Ricars li pelerin de qui nous la tenons.* Wiemy także, że większą część tych imion przytacza Tudebodus jako nazwy dawnych królów Antyochii [1], tak że Ryszard popełnił tu wielką omyłkę, albo dopuścił się wielkiej dowolności. Pewną atoli jest rzeczą, że Ryszard korzystał z Tudeboda.

Przystępujemy teraz do owych grup wierszy, do których jedynie może się odnosić wyrzeczenie Suchiera, że przerabiacz wogóle mało co zmienił, tu i owdzie wiersz dodał, wyrażenie poprawił, adsonacye na rymy zamienił, zresztą wszystko zachował. Grupy te uwydatnił Pigeonneau w swej cennej pracy: *Le cycle de la Croisade et de la famille de Bouillon.* 1877 (p. 48 n.). On pierwszy przedstawił, że zapatrywania P. Paris'a i H. Sybla, jakoby te poematy powstały już podczas pierwszej krucyaty, nie mają podstawy, ponieważ zdarzenia, jakie opisują, opowiedziane są u Tudeboda i Alberta z Akwizgranu. To jest prawdą, tylko trzeba zauważyć, że dowodem to jeszcze nie jest. P. Paris i Sybel sądzili, że kronikarze ci czerpali z pieśni. Zapatrywanie takie wiąże się u tych uczonych z ro-

[1]) Także i Tudebodus grubo tutaj zmyśla, dając nazwy biblijne królom w Antyochii.

mantycznem pojęciem, że historya zawsze pierwszy wyraz w poezyi znajduje. To zapatrywanie wyznaje także G. Paris. Zagadnienie, jak widzimy, zasadnicze. Zaprzeczyć nie można, że są kronikarze średniowieczni, którzy czerpią z pieśni i w ten sposób zmyślenia do historyi wciągają. Takim jest np. Albertus de Trium fontium z wieku XIII, albo Filip Mousket, albo Jacques de Guise i wielu innych, ale takim nie jest ani Tudebodus, ani Rajmund d'Aiguilles. Jakże tedy rozstrzygnąć, czy oni pierwsi, czy poeta? Oto oni opowiadają w należytym związku, u nich rozumiemy przyczynę i skutek, podczas gdy w naszych poematach często to właśnie jest wypaczonem. Jako przykład przywieść możemy owe nazwy z antyocheńskich na saraceńskie przemienione, co już Ryszard popełnił; albo marsz Rajmunda z Tuluzy z głębi Syryi do Laodicei i stąd znowu w głąb Syryi, co znaleźliśmy we fragmencie, który temuż Ryszardowi przypisać należy; albo przybycie Godfryda do Tarsu, gdzie ten książę nigdy nie był, a co także już Ryszardowi przypisać należy. Tak więc, o ile to tyczy naszego cyklu, historya jest starszą, a poezya na niej się opiera.

Otóż Pigeonneau wydobył z czterech rękopisów grupę z 17 aleksandrynów adsonowanych, obok nich tę samą grupę rymowaną, ale zawierającą wierszy 25. Należą one do pierwszej pieśni poematu o Jerozolimie, do owej wielkiej bitwy, jaką Godfryd tu miał stoczyć z Saracenami, a w której od Jeńców niespodzianą pomoc otrzymał. Tutaj książę wysyła gońca do hr. Rajmunda, do Boémonda i Tankreda, aby z pomocą przybyli. Pigeonneau uważa ową grupę adsonowaną jako pierwotną, drugą, jako przerobioną, a Suchier na tem oparł, zdaje się, swe zdanie, że przeróbka mało się różniła od poematu pierwotnego. Tymczasem Pigeonneau przeoczył, że ten sam ustęp znajduje się w poemacie ogłoszonym przez Hippeau (p. 9) w. 162—210), gdzie zawiera wierszy blisko 50.

Jakiż jest stosunek tych trzech odmian? Czy najobszerniejsza jest najpóźniejszą, jest rozszerzeniem poprzednich? Tak mogłoby się zdawać, a jednak to nie jest możliwem, ponieważ te ustępy należą do obrazu bitwy prawie całkiem wyimaginowanej, albo raczej powiększonej do gigantycznych rozmiarów; bo występuje w niej Boémond, który pod Jerozolimą wcale nie walczył; bo do obrazu tego należą Jeńcy, którzy są całkiem zmyśleni. Otóż zmyślił ich Grain-

dor, ten sam, który dużo umiał zmyślać, albo powiększać, ten sam, który pod Jerozolimą zgromadził cały szereg baronów istniejących i nieistniejących, żywych i już umarłych, obecnych tam i nieobecnych. We wszystkich tych rękopisach Graindor jest wymieniony. Z tego wynika, że owe krótsze wersye są skróceniem obszernego opisu Graindora, owa zaś najkrótsza wersya w adsonacyach jest skróceniem wykonanem przez żonglera, który dobrze rymować nie umiał, co się zdarza niejednokrotnie.

Starofrancuski poemat o pierwszej krucyacie oparty na historyi arcybiskupa Baldryka.

Uwzględnić tutaj należy inny jeszcze poemat odnoszący się do pierwszej krucyaty, a dochodzący nawet aż do czasów Balduina II-go. Dotąd nie jest ogłoszony, ale dał o nim wiadomość Paulin Meyer w rozprawie: *Un récit en vers français de la première croisade, fondé sur Baudri de Bourgueil* [1]), dołączając cały szereg wyjątków. Dowiadujemy się z tej pracy, że poemat dochował się w dwu rękopisach, w Anglii się znajdujących. Jest obszerny, bo obejmuje więcej niż 19.000 aleksandrynów, tyradami rymowanych, a więc tak jak u Graindora. Cały ten poemat ma atoli inny charakter. Oparty jest przedewszystkiem na *Historia Hierosolymitana* Baldrici Archiepiscopi [2]). Tenże Baudry był najprzód opatem w Bourgueil, następnie arcybiskupem w Dôle. Miał już lat 60, jak to sam powiada, gdy się zabrał do tej pracy, która głównie na tem polegała, aby wiadomości podane w Gesta Francorum lepszym i godniejszym wielkiego przedmiotu wyrazić stylem. Pełno u niego wyrażeń z pisma świętego, a nie braknie też reminiscencyi ze starożytności. Postaci Achillesa. Ajaxa, Ulissessa są autorowi dobrze znane. Umarł r. 1130. Po nim zabrał się pisarz nieznany do przerobienia tej łacińskiej historyi na poemat francuski. Kiedy to uczynił, trudno powiedzieć; P. Meyer sądzi, że około połowy wieku XII-go. W treści trzyma się łacińskiego źródła, a więc prawdy historycznej o wiele ściślej, niż którykolwiek inny poeta owego czasu; we formie zaś widocznem jest,

[1]) Romania 1876, p. 1—63.
[2]) Bongars p. 84 n.

że idąc za przykładem arcybiskupa, stara się o wyrażenie poprawne, rym dobry, wiersz nie kulejący na sylabach. Sam sobie przyznaje te zalety:

Ore vos comencerai l'estoire qui mult est bien rimée
Tute faite par metre, sanz sillabe fausée,
D'Antioche la grant comme el fud recovrée,
Et de Jherusalem la cité renomée [1].

Poeta widocznie nie jest żonglerem, tylko klerykiem, starającym się o dokładność. W treści nic tedy u niego nie znajdujemy do podziwiania. Nam atoli głównie o to tutaj chodzi, aby się przekonać, czy jest jaka styczność między tym utworem a poematem Graindora? Otóż w całości oba są całkiem od siebie niezależne. Treść ich ta sama, tylko pierwszy zawsze jest trzeźwy, zawsze z historyą zgodny, podczas gdy drugi pełen jest dodatków, ozdób, obrazów, poetyckiej swobody.

Tak więc utwory są niezależne, o ile o tem ze skąpych ustępów, przez Meyera przytoczonych, sądzić możemy. Niespodzianie atoli znachodzimy tutaj wiersze następne:

Il li a dit: Amis pensez tost del haster,
Pensez sur tute rien de servir et guarder,
Mon biau fiz Moadas que je tant puis amer;
Car se il i morroit il m'estovreit desver.
— Sire, dist Corbaran, riens ne t'estoet duter;
Va t'en a Sarmacene seignier et reposer,
Et sachiez bien de voir, si Franceis puis trover,
Tant t'en amerrei gié dont tu porras popler
L'ile de Marmoions u fait mal converser.
Iloc les feras vivre et tut tens laborer... (l. c. p. 31).

Poeta opowiada, że sułtan Persyi wezwał wszystkich swych podwładnych, aby się zgromadzili; wylicza następnie owe przeróżne narody, potem każe się sułtanowi z następnemi słowy zwrócić do Corbarana, przeznaczonego na naczelnego wodza tej wyprawy: przyjacielu, staraj się pospieszyć, przedewszystkiem zaś strzeż i pilnuj mego miłego syna Moadasa, którego tak kocham; bo gdyby tam zginął, to chybabym oszalał. — Na to Corbaran: niczego się nie obawiaj, idź do Samarkandy, tam wypoczywaj i każ sobie krew puszczać, wiedz też na pewne, że jeżeli Francuzów znajdę, to ci ich

[1] L. c. p. 9—10.

tylu przyprowadzę, że będziesz mógł zaludnić wyspę Marmoion, gdzie źle przebywać. Tam im każesz mieszkać i ciągle pracować. — Otóż scenę tę dobrze już znamy. Szeroko ją przedstawia la Chanson d'Antioche, z tą różnicą, że Moadasa nazywa Brohadasem, co jest podrzędnem. Myślimy sobie, że poemat o Antyochii, oraz zrymowany Baldricus z jednego może czerpią źródła! Otóż żaden z historyków pierwszej krucyaty o tej scenie nic nie mówi, sułtańskiego syna nie zna. Nawet Baldricus, nawet Fulcherius Carnotensis o tem nie wspominają. Wiemy także, że sułtan ówczesny Barkjarok był małoletni, a więc sam chłopcem dopiero. Wynika z tego, że to jest wymysł poetycki. Kto go wymyślił? Wielką w tem biegłość poznaliśmy u Graindora z Douai, to też jemu go przypisać należy. Wiemy także, że w pieśni o Jerozolimie z tego jednego syna sułtańskiego zrobił piętnastu i każdego z pozostałych czternastu przyprawił o śmierć żałosną. Ta okoliczność popiera silnie przypuszczenie nasze, a z tego wynika, że ów poemat, oparty na historyi arcybiskupa Balderika, korzysta z poematu Graindora, jest przeto od niego późniejszy i nie przypada na środek wieku 12-go, jak chce Paulin Meyer, lecz położyć go trzeba po roku 1180.

Ale na tem jeszcze nie koniec: oto P. Meyer przytacza dwa inne ustępy (p. 57—59), gdzie czytamy w pierwszym jak Corbaran samotrzeć ucieka pobity z pod Antyochii ze zwłokami Moadasa (Brohadasa), jak za Eufratem drużyna jego żale wyprawia nad zabitym, złorzecząc Mahometowi i Tervagantowi, jako dalej jadą do Samarkandy, gdzie sułtan przyjmuje Corbarana pytaniem, czy przyprowadził niewolnikami Boémonda, Godfryda, Tankreda, Roberta z Normandyi, Baldwina, Hugona, wszystkich w kajdanach? Ze wstydem odpowiada mu Saracen, nie dawno temu tak hardy, że szczęścia nie miał, ale wobec niesłychanego męstwa chrześcijan nie mogło być inaczej. Nawet gdyby sam sułtan był pod Antyochią, nie byłoby mu poszło lepiej. Ledwie z życiem uciekliśmy, a tutaj oto zwłoki Moadasa. — Na tem kończy się przytoczony ustęp. Znamy i tę scenę także i wiemy, co po niej nastąpiło. Oto sułtan zagroził Corbaranowi śmiercią, ten zaś poddał się wyrokowi, ale pod warunkiem, aby sułtan wybrał dwu najdzielniejszych Saracenów, on zaś jednego rycerza chrześcijańskiego przeciw nim postawi, a gdy ten zwycięży, będzie to dowodem, że nikt chrześcijan zwyciężyć nie może, on zaś od kary wolnym być nie powinien. — Tak więc wiersze tutaj omówione z rękopisu oxfordzkiego zgadzają się do-

słownie z wierszami w *les Chétifs*, tak, że mowa tu być może tylko o kopii. — Przechodzimy do drugiego ustępu. Tutaj mamy opisaną walkę zaciętą między Francuzami a Saracenami, o co sułtan się gniewał, bo już Corbarana niewinnym uznał. Wiemy, że krewni poległych w walce Saracenów napadli podstępnie na Corbarana i wyzwolonych z niewoli Jeńców i ztąd owa walka. Następnie czytamy w tym ustępie, że Corbaran z towarzyszami przybył do swej ziemi, gdzie Jeńców także umieścić był gotowym i dać im lenna, byle uwierzyli w Mahoma. — Na to mu Ryszard, że wcale o tem nie myślą, tylko do Grobu św. udać się pragną. Corbaran dał im ochronę aż do Jerozolimy. Niech będą za to dzięki Jezusowi, który ich z niewoli tureckiej wyzwolił. Amen, amen, amen. — W taki sposób kończy się cały utwór i rękopis, jak opowiada P. Meyer. Otóż tutaj sprawa się wyjaśnia, zdaje się bowiem, że cała ta część poematu, tycząca powrotu Corbarana do Sarmasene ze zwłokami Moadasa, następnie walka Ryszarda i podróż Jeńców do Jerozolimy, jest skróconą kopią poematu *Les chétifs*. Skróconą jest, ponieważ opuszcza walkę z potworem Satanasem na górze, przygodę z wilkiem, małpą, lwami, rozbójnikami. Na tem się opierając, możemy powiedzieć, że poemat obecnie rozbierany, w tej formie w jakiej P. Meyer nam go dał poznać, zależy w swej części końcowej całkowicie od *Les Chétifs*, czyli inaczej zależy od tej formy pieśni o pierwszej krucyacie, jaką one od Graindora otrzymały. Chyba by przyjąć, że uwydatnione tutaj ustępy, jako z Graindora pochodzące, później dopiero dodane w rękopisie zostały. Na pytanie to możnaby znaleść odpowiedź dopiero po dokładnem zbadaniu obu rękopisów tego nowego poematu, oraz po porównaniu całości z całością u Graindora. Przypuszczenie to nie wydaje się nam prawdopodobnem i na razie nie potrzebujemy go uwzględniać.

Wynik naszych rozbiorów, uskutecznionych na podstawie ogłoszonych dotąd dokumentów, jest wogóle ten, że pomijając jeden fragment przez Paulina Paris ogłoszony, a który Ryszardowi pielgrzymowi przypisać należy, wszystkie inne, mianowicie te, które Pigeonneau uwydatnił, oraz poemat na podstawie historyi Baldrica napisany, są już zależne od przeróbki Graindora, a więc od niego późniejsze.

Poemat prowensalski o pierwszej krucyacie.

Historyk Gaufrei de Vigeois podaje następną wiadomość: Grzegorz Bechada *de castro de Turribus* (sic) rycerz, człowiek utalentowany i nie bez znajomości literatury, napisał obszerny poemat w języku ojczystym. Aby napisać dobrze i przyjemnie, użył na to dwanaście lat życia. Rady szukał u biskupa Eustorgiusza i u Gauberta Normanda. Panem jego był Gulpherius de Turribus, który w tej wojnie, zwłaszcza pod Marrah, dzielnymi czynami wielką sławę zyskał [1]).

Wiadomość ta jest bardzo cenna. Dowiadujemy się, że autorem bardzo obszernego, jak się zdaje, bo przez lat dwanaście pisanego poematu o pierwszej krucyacie, był Grzegorz Bechada, wasal Golfiera de las Tors, możnego barona, który się bardzo odznaczył pod Marrah, a także historykom jest znany, którzy go nazywają Gulferius de Turribus. Z tego wynika, że należał do wybitnych wojowników. Zamek jego leżał w ziemi limuzyńskiej, a biskup w Limoges, Eustorgius, dawał poecie wskazówki. Biskup ten rządził dyecezyą swoją od 1115—1137, zaś baron Golfier umarł r. 1126. G. Paris sądzi, że poemat po śmierci tego wojownika rozpoczęty został. Może wnet po śmierci, zaraz roku 1127. W takim razie byłby ukończony r. 1139. Powstał w tym samym czasie, kiedy podług naszej daty Ryszard pielgrzym swój utwór napisał.

Istnienie poematu wątpliwem być nie może, bo jest stwierdzone rękopisem, znalezionym w Madrycie, a ogłoszonym przez Paulina Meyera [2]). Niestety rękopis jest tylko drobnym fragmentem, zawierającym około 200 wierszy, alexandrynów, adsonowanych wiązkami. Opisana w nich owa wielka scena, w której krzyżowcy wyjeżdżają z Antyochii do bitwy, a Corbaran każe sobie objaśniać, czyje to hufce. Opisującym nie jest tutaj Amedelis jak u Graindora, lecz Arloin, czyli Herluin, ten sam, który wraz z Piotrem eremitą poselstwo sprawował od krzyżowców do wodza Saracenów, a którego Corbaran niby przy sobie zatrzymał. Opisy są wymowne, pełne siły, a każda ich część kończy się zuchwałą nieco radą Herluina dla Corbarana, aby uciekał, jeżeli chce ocaleć. W poemacie francuskim Lew czerwony, obecny temu przeglądowi, sam sobie

---

[1]) Chabanneau: Biographie des Troubadours, p. 9.

[2]) Archives de l'Orient latin II p. 473.

daje radę, że na tych zuchów czekać, z nimi się bić, mogłoby być niezdrowo. Zgodność obu poematów w tym motywie jest uderzającą i nasuwa myśl, że jeden go przejął z drugiego, a więc Graindor, jako późniejszy, od Bechady.

Zastanawia nas, dla czego Bechada wybrał Herluina zamiast Amedelisa i tłómaczymy sobie tę okoliczność w ten sposób, że ów Amedelis u Roberta mnicha przedstawiony jest, jakoby był zbiegłym z Antyochii z powodu głodu Prowensalem. (Bongars p. 63). Bechada jako Prowensal, wolał go pominąć i zastąpić Herluinem.

P. Meyer wyraził powątpiewanie, czy fragment madrycki należy do poematu Bechady. Przeciw niemu wystąpił G. Paris w doskonałej, a wyżej już wzmiankowanej rozprawie pod tytułem: *La chanson d'Antioche provensale et la gran Conquista de Ultramar*[1], w której nie tylko wykazać się strarał, że ów fragment jest pióra Bechady, ale także zdobyć jakieś jaśniejsze wyobrażenie o treści prowensalskiego poematu. Używa do tego hiszpańskiego dzieła pod tytułem: *La gran Conquista de Ultramar*. Dzieło to jest obszerną kompilacyą z końca wieku XIII, posługującą się historyą wypraw krzyżowych Guillaume'a z Tyru, oraz wszystkimi poematami francuskimi, które należą do cyklu pierwszej krucyaty, a które tu omawiamy. Otóż G. Paris wykazał, że posługuje się ono także poematem Bechady. Widocznem jest, że u poety prowensalskiego baronowie i rycerze z południowej Francyi, a zwłaszcza pan jego, Golfier de las Tors, więcej są uwydatnieni i sławieni, aniżeli ci z północnej. Zupełnie tak samo, jak u Graindora rycerstwo z północnej, a zwłaszcza północno-wschodniej Francyi najładniejszych dokonywa czynów.

Na uwagę zasługuje jeden szczegół, uwydatniony przez G. Parisa. Podług *la gran Conquista*, powód do pierwszej krucyaty był następny: trzech rycerzy, Aicart de Montmerle z Burgundyi, Raimond Pelet z Poitou i Gondemar de Unisi wybrali się do Palestyny jako pielgrzymi. Przybywszy do Jerozolimy, Aicart nie miał czem zapłacić wstępu do kościoła Grobu św., przeto, podług zwyczaju, otrzymał od stróża uderzenie w kark. Stróżem był renegat Jean Ferret, a ugodził tak silnie, że Aicard upadł na ziemię i krew mu się nosem puściła. W świątyni spali rycerze, we śnie zaś widzieli anioła, który im polecił udać się do papieża i żądać od niego

[1]) Romania XVII, XIX, XXII.

w imieniu Boga, aby ogłosił krucyatę i wyzwolił Ziemię świętą. Aicardowi zaś w szczególności obiecał anioł, że się pomści doznanej zniewagi. W to ufając, rzekł Aicard do Ferreta: czekaj tu na mnie, na tem samem miejscu głowę ci utnę. Udali się rycerze do Rzymu, poselstwo sprawili, papież ogłosił krucyatę, w której wzięli udział. Niestety Aicard poległ pod Jerozolimą jeszcze przed jej zdobyciem. Mimo to słowa dotrzymał, bo tego dnia, gdy to miasto zdobyto, wstał ze śmierci, Ferretowi przed świątynią głowę uciął, jak o tem pisze nawet Guillaume z Tyru (l. VIII, c. q). — G. Paris sądzi, że takie było w poemacie prowensalskim umotywowanie pierwszej krucyaty, a przypuszczenie to można poprzeć tą okolicznością, że owi trzej rycerze wszyscy byli z południa, a więc wszyscy mową, obyczajami, uzbrojeniem do siebie, do Golfiera de las Tors, do Rajmunda hrabiego Tuluzy zbliżeni. Wynika z tego, że zrazu różne opowiadano legendy o pierwszym powodzie do krucyat, zaś legenda o Piotrze pustelniku, dzisiaj powszechnie przyjęta, później dopiero i to pod wpływem Alberta z Akwizgranu się ustaliła.

Skończyliśmy rozbiór pierwszych trzech poematów cyklu krucyatowego. Wykazaliśmy, że pierwszy poemat o Antyochii obejmował także opis zdobycia Jerozolimy. Autorem jego był Ryszard pielgrzym, który go napisał na żądanie Raimunda, księcia Antyochii, około r. 1140. Utwór jego, także już w aleksandrynach, ale tylko adsonowanych ułożony, nie był obszerny, a podawał tylko fakty u historyków zapisane. Około r. 1180, w każdym razie przed zdobyciem Jerozolimy przez Saladyna, poemat Ryszarda został przerobiony przez Graindora z Douai, który nietylko adsonancye na rymy przemienił, ale zarazem cały utwór przerobił, rozszerzył, dał mu pięć razy większą od pierwotnej objętość. Nie pisał już na życzenie księcia Antyochii, przeto starał się zdobycie Jerozolimy przedstawić z równą świetnością, jak zdobycie Antyochii. Wskutek tego końcowa część pierwotnego poematu urosła w osobny, a obszerny, bardzo świetnie napisany poemat. Ponieważ zaś dwa te poematy treścią swoją były całkiem do siebie podobne, przeto ten sam poeta, to jest Graindor, przedzielił je od siebie poematem o treści odmiennej. W ten sposób powstał utwór o Jeńcach. Autorstwo Graindora stwierdza się dobitnie przez to, że właśnie tych Jeńców wprowadził na początku poematu o Antyochii, o którym to po-

cząteku mówi, że inni żonglerowie wcale go nie znają. Stwierdza się dalej przez to, że wszystkich tych Jeńców w poemacie o Jerozolimie umieścił. Data 1180 dla przeróbki Graindora jest dobrą, ale tylko w przybliżeniu. Całkiem pewnem jest to tylko, że Graindor pisał przed rokiem 1187, to jest przed zdobyciem Jerozolimy przez Saladyna, ponieważ się cieszy, że święte miasto, przez krzyżowców zdobyte, dotąd w ich posiadaniu zostaje. Możnaby nawet przypuszczać, że Graindor, odnawiając poemat, chciał przypomnieniem dawnych czynów zagrzać do nowej krucyaty, którą też roku 1189 podjęto. W takim razie odnowienie mogło być wykonane nawet dopiero 1185, byle przed zdobyciem Jerozolimy.

Wszystkie trzy rozebrane poematy podane są jako poematy historyczne, chansons de geste. Staraliśmy się wykazać w czem się zgadzają z historyą, w czem od niej się różnią. Poznaliśmy, że nawet najbardziej z nich zmyślony, *Les chétifs*, zawsze jeszcze ma pewną podstawę, daną przez historyków w proroctwach i przestrogach matki Corbarana, w wieściach o losach jeńców chrześcijańskich pomiędzy Saracenami.

Zadaniem naszem filologicznem było objaśnić poematy, czas i sposób ich powstania; nie było zaś bynajmniej pisać historyą pierwszej krucyaty. Że jednak wypadło nam przy tem obeznać się nietylko z poematami, ale i z historykami owych zdarzeń współczesnymi i dzisiejszymi także, przeto mieliśmy sposobność poznać bliżej tę niezwykłą w dziejach epokę. Możemy tedy powiedzieć, że drugiej, równie zajmującej, równie pouczającej, równie wzruszającej, równie podziwienia godnej, nie ma w dziejach narodów chrześcijańskich. Źródła są bardzo obfite, wydania ich przystępne, nawet saraceńskich pisarzy. Historyk, któryby się chciał zająć temi zdarzeniami, nie znajdzie ani wdzięczniejszego tematu, ani bardziej zajmującego, ani obfitszego lub donioślejszego. Nam się zdaje, że nawet podane wyżej streszczenia starofrancuskich poematów mogłyby mu być przydatnemi, do tego mianowicie, aby wszystkie te zdarzenia, a zarazem sceny, a także i wszystkie osobistości, unaocznił, uwydatnił sobie i czytelnikom z podobną żywością, jaką u Graindora poznaliśmy.

Pieśń o Rycerzu z łabędziem w połączeniu z cyklem poematów odnoszących się do pierwszej krucyaty.

CZĘŚĆ DRUGA.

La chanson du Chevalier au cygne et de Godefroid de Bouillon.

I. Pieśń o Rycerzu z łabędziem[1]).

Or entendez, segnour, que Dious vos doinst science!
S'oiiés bonne canchon de moult grant sapience;
Ainc n'oït-on si vraie despuis le tans Silence.
Ceste canchon ne veut noise, ne bruit, ne tence,
Mais douçour et escout et pais et reverence.
Du Chevalier au Cisne vos dirai la prouvence...

Słuchajcie panowie, niech was Bóg oświeci, przynoszę wam pieśń głębokiego znaczenia; nikt tak prawdziwej nie słyszał od czasu Silence *(depuis le tans Silence)*[2]). Pieśń ta nie znosi gwaru, hałasu, sporów, lecz wymaga posłuchu i spokoju i uszanowania. Powiem wam, jakie było pochodzenie Rycerza z łabędziem, także o jego braciach, jak byli okradzeni. Nigdy dotąd dobrze nie słyszeliście o ich urodzeniu *(mais onques bien n'oïstes la premiere naiscence)* (v. 8), jak popadli w wielkie pognębienie. Dzisiaj dowiecie się tego odemnie, do czego niech mi Bóg pomoże[3]).

---

[1]) La chanson du Chevalier au cygne, ed. Hippeau 1874, w. 7110.

[2]) Jeżeli ów Silence nie jest wypaczonem wspomnieniem mitologicznem Saturna, to jest własnym pomysłem autora. Nie sądzimy, aby się pojawiał u innych poetów. Wzmacnia prośbę o spokój.

[3]) Ze słów tych wynika, że poprzednio powstała pieśń o zjawieniu się Rycerza z łabędziem i jego nagłym odjeździe. Utworzył ją nieznany śpiewak już przed rokiem 1180, ponieważ Graindor o niej wspomina. Śpiewak obecny dorabia do niej początek, wskutek czego stała się dalszym ciągiem tej, którą obecnie przedstawiamy, mimo to, że jest starszą. Zapewnieniom śpiewaka, że jest całkiem prawdziwą, nie trzeba ufać zbytecznie.

Panowie słuchajcie w imię Boga, ojca duchowego, niech was Jezus z ręki dyabła wyzwoli; śpiewają wam inni o okrągłym stole, o płaszczach, okrytych aksamitem i sobolami, ja wam nie będę mówił o bajkach, ani o kłamstwach, lecz wygłoszę wam pieśń wcale nie modnie płochą, lecz całkiem prawdziwą, ponieważ jest w historyi. Spisać ją kazała dobra pani Orable, bardzo odważna i mądra, grzeczna i miła, wewnątrz murów Orange, miasta warownego i godnego podziwu [1]).

Panowie, zacni wolnego stanu słuchacze, uważajcie, usłyszycie dobrą pieśń, dotąd nieznaną. Historya ta długo była ukrytą w pewnem opactwie, tak jak słońce chmurą się zakrywa; teraz na jaw wychodzi. Pan [2]) nasz chce obecnie, aby była rozgłoszoną, słyszaną i znaną od wszystkich zacnych ludzi. Słyszeliście już pieśń o Rycerzu z łabędziem, ale niema ani starca, ani kobiety siwej, którzy słyszeli o jego urodzeniu, z jakiej pochodził ziemi: teraz się tego dowiecie. Powiem wam to bardzo dobrze, jeżeli Bóg pomoże.

Panowie, ładnej słuchajcie pieśni, przyjemnej do słuchania. Historyą tę znaleziono na pewnej wyspie wśród morza, zwanej Illefort [3]). Tam był król przystojny i dzielny, imieniem Oriant. Posiadał miasta, zamki, miasteczka i wsi dla swego honoru, w potrzebie sto tysięcy ludzi mógł zgromadzić. Miał matkę i żonę; matka była dyablicą, aby świat czarować, imię jej było Matabruna. O złośliwszej starej nikt dotąd nie słyszał. Żona o jasnej twarzy miała imię Beatryx, była dobrą i nikt jej nie ganił. Stara Matabruna nie cierpiała jej i starała się ją poniżyć i zawstydzić.

Pewnego dnia pan z żoną o jasnej twarzy (*al vis cler*) patrzeli z wieży dla rozrywki na kraj i zobaczyli biedną kobiecinę, niosącą dwoje dzieci. Na jej widok pan zaczął płakać, z ładnych oczu jego łzy pociekły: pani moja, rzekł, miłość nasza nie jest wielką, ponieważ Bóg nam nie dał ani syna, ani córki; widzę tam kobie-

---

[1]) Pani Orable znaczy Arabelę, ochrzczoną Saracenkę, którą Guillaume d'Orange pojął za żonę. Jedyną podstawą do tej wzmianki są poematy cyklu o Guillaumie d'Orange, bo w rzeczywistości owa Arabela może nigdy nie istniała.

[2]) To znaczy: Bóg. Nasz żongler niemałą sobie przypisuje misyę.

[3]) Należy to wszystko tak rozumieć, że przygoda zdarzyła się na wyspie Illefort, a opisać kazała ją pani Orable, a opis ten dostał się do pewnego opactwa. Dowiadujemy się później, że to opactwo było w Poitiers, gdzie książkę w szafie przechowywano. Kto ciekawy, niech idzie z Boulogne (stąd pochodził prawdopodobnie nasz śpiewak) do Poitiers, tam niech szuka szafy, a w niej książki, a w książce tej historyi.

cinę, żebraczkę, która dwoje dzieci niesie, dwoje ładnych bliźniąt, bo równych i sobie podobnych.

Panie, odrzekła dama, mówisz od rzeczy, bo nigdy nikomu na świecie nie uwierzę, żeby kobieta mogła mieć naraz więcej niż jedno dziecko, jeżeli nie miała do czynienia z dwoma mężczyznami. Słyszał to pan i zabolało go serce: zaiste, rzekł, moja pani, mówisz jak szalona, Bóg wszystko może, a błądzi ten, który tego nie rozumie. — Tak często mowa nasza sprowadza na nas wielkie przykrości, jak tego się dowiecie, jeżeli historya nie kłamie.

Nadszedł wieczór, dzień się skończył, pan z żoną wypoczywali, i oto za sprawą Boga, ojca wszechmocnego, dama odrazu poczęła siedmioro dzieci. Niech więc nikt nie gada od rzeczy, bo na damie pomści się, co w płochości poprzednio mówiła. Pan miał świadomość, że żona jego poczęła i rzekł do niej: niech ci Bóg da takie dziecko, któreby nas ucieszyło i honor nam przyniosło. — Oby się to sprawdziło, odpowiedziała dama, nie przeczuwając, co ją czeka. Oboje poszli do klasztoru św. Wincentego, gdzie dla nich odprawiono nabożeństwo, złożyli przy tem w darze pierścionek złoty i srebrny.

Przyszedł na panią czas porodu. Nie było przy niej nikogo, tylko stara Matabruna, która w Boga nie wierzyła. Siedmioro dzieci, jedno po drugiem, na świat przyszło, podług woli Boga. Siedm fei było obecnych, które każdemu z dzieci los przeznaczyły. Każde z nich miało srebrny łańcuszek na szyi. Dziwiła się temu stara, nie rozumiejąc, co to znaczy. Dzieci były ładne i dorodne, z nich sześciu synów i jedna córka. Stara postanowiłą popełnić wielkie morderstwo, za podszeptem dyabła, za co ją niechybna spotka kara.

Urodziły się dzieci jedno po drugiem, mówię wam tak, jak czytałem w historyi; jedna córka, sześciu synów bardzo do siebie podobnych, każde z łańcuszkiem na szyi. Nikogo przy pani nie było, tylko owa stara, łakoma złośnica, która rzekła: Beatryx, ja sprawię, że cię mój syn spalić każe. Przypomnij sobie, coś powiedziała, że kobieta może mieć tylko jedno dziecko, chybaby się oddawała dwu mężczyznom. Podług tego syn mój ma prawo twierdzić, żeś się oddawała siedmiu. Słysząc to dama, modlić się zaczęła do Matki boskiej (*dame sainte Marie*), prosząc ją o opiekę. Stara rzekła: na nic się to nie przyda; przywołała sługę imieniem Marek, jeżeli historya nie kłamie, wiernego a bogatego jej domownika.

Przyjacielu, rzekła mu stara, wzbogacę cię więcej jeszcze, tylko wykonaj, co ci wskażę i przysięgnij, że wykonasz. Przysiągł

jej sługa, nie wiedząc, o co chodzi. Żona mego syna, rzekła, urodziła tych dzieci siedmioro, idź je utopić w rzece, lub bagnie. Śpiesz się, a gdybyś się przed kim wygadał, każę cię powiesić.

Usłyszawszy to sługa, przestraszył się, ale odmówić nie śmiał. Stara obiecała go wzbogacić i wolność mu nadać, sama zabrała dzieci śpiącej królowej, oddała je Markowi i nakazała mu śpieszyć się, a gdy wróci, znajdzie dla siebie przygotowane jedzenie i picie. Zabrał Marek dzieci, zawinął je i poszedł z ciężkiem sercem.

Odszedł Marek, a stara, nic dobrego na myśli nie mając, przechodzi obok budy, w której suka zległa świeżo siedmioro szczeniąt. Zabrała je wszystkie w suknię przed siebie, sukę nożem zabiła, wrzuciła do studni, idzie do syna, który niecierpliwie, a z radością, oczekuje wiadomości o rozwiązaniu żony. Miły synu, rzekła do niego, ze zbolałem sercem przychodzę do ciebie, żona twoja porodziła tych oto siedmioro szczeniąt. Zgrzeszyła ciężko przeciw Bogu i przeciw ludzkości. Nic tak przewrotnego niema, jak daleko wiatry wieją. To też każ ją wydać na męki i spalić. — Matko Boska, zawołał pan, sądziłem, że na świecie niema uczciwszej kobiety! Wobec wszystkich ludzi spalić ją każę. — Tak uczyń, rzekła stara i uczyń to zaraz, bo sprawiedliwość zwłoki nie cierpi.

Miły synu, mówiła stara, sprawiedliwość zwlekająca nie warta guzika. Oto szczenięta, dowód jej winy. Każ ją spalić i to bez poprzedniej spowiedzi. — Nie tak, odrzekł pan, który był uczciwym; gdym ją zaślubiał, sprawiedliwość przyrzekłem jej wobec licznych baronów. Nie każę jej spalić, lecz ją wrzucę do głębokiego lochu, skąd nie wyjdzie, chyba umarła.

Miły synu (*biaus fis*) dlaczego zwłóczysz? dlaczego Boga i siebie pomścić nie chcesz? Zostaw to mnie! — Król, grzechu się bojąc, zlecił wykonanie wyroku matce, która zawołała na dwu podłych, zaprzedanych niewolników, nazwiskiem Malfaisant i Ricier, zaprowadziła ich aż do łoża damy, kazała jej ręce związać z tyłu rzemieniem, biła ją pięścią po plecach, poczem ją pochwycili słudzy i do więzienia nieśli krzyczącą i narzekającą: Matko Boska, co się ze mną dzieje! gdzie dzieci moje? nigdy w niczem nie przewiniłam! — Na nic ci się nie przyda krzyczenie, ani Bóg, ani ludzie ci nie pomogą [1].

Szorstko ją nieśli niewolnicy, odzianą tylko kożuchem, do lochu wrzucili, nie dali ani sukni, ani poduszki, ani kaftana, tylko

[1]) Mamy w tem obrazek samowoli i okrucieństwa owych czasów.

trochę podściołki, jakby zwierzęciu. Za to też oślepli z woli Bożej i już nie przewidzą w tem życiu. Starej zaś nic się nie stało złego, bo ją dyabli strzegli. Piętnaście lat pani tak przebyła w żalu i strapieniu, mało jedząc i mało pijąc.

Zostawmy damę, mówmy o dzieciach. Król, ich ojciec, który miał imię Oriant, nic o nich nie wiedział. Niesie je Marek zasmucony, dochodzi do lasu, w głąb idzie na milę, przybywa do płynącej wody i już je chwyta, aby je wrzucić.

Już je chwyta Marek, aby je uśmiercić, gdy spostrzegł, że się uśmiechają do niego. Wzdychać zaczął poczciwiec z litości. Oj biada, zawołał, jeżeli je zabiję, dusza moja za to ucierpi. Ładne są dzieci, a pan mój ich ojcem! Za całe cesarstwo ich nie zabiję. Odrywa połać płaszcza swego, zawinął dzieci i polecił Bogu i baronowi Świętemu Egidiuszowi (*Puis les commande à Dieu et au baron S. Gille,* p. 13).

Zostawił Marek dzieci na brzegu, Bogu je polecił i wraca. Matabrunie powiedział, że je utopił, jedno przewracało się przez drugie, krzyczały, nikt im nie pomógł, utonęły jak zwierzęta, każde ze swoim łańcuszkiem. — Teraz wam powiem, jaki przymiot miały łańcuszki. Jak długo dzieci je posiadać będą, tak długo nie umrą, a gdy je stracą, przemienią się w łabędzie, jak głosi historya (*Cisnes les convient estre, l'estoire si le crie,* p. 14).

Łańcuszki wielkie mają przymioty, bo jak długo je dzieci mieć będą, tak długo nie umrą, a gdy je stracą, przemienią się w łabędzie. Krzyczą dzieci, przewracają się, już się zbliżają do wody. Oto zjawia się pustelnik całkiem siwy, który od 37 lat mieszkał tu w głębokiej pieczarze, do dzieci się zbliża.

Idzie do dzieci pustelnik, który już od dawna ludzi nie widział, liśćmi był odziany, bo ubrania nie miał, zapłakał nad niemowlętami, modlić się zaczął do Boga, aby im pomoc przysłał. I oto zjawiła się łania.

Gdy skończył pustelnik swą modlitwę, zjawiła się łania, dzieci karmić zaczęła. Bóg ją przysłał na pokrzepienie dzieci. Ucieszył się pustelnik z tego cudu, a łania poszła za nim i za dziećmi aż do pustelni. Karmiła je, a pustelnik się modlił co dzień, aby na prawych wyrosły ludzi. Tak się żywiły aż do lat 10-ciu, nigdy nie jedząc chleba, ani ciastka, chyba korzonki, albo zioła. Znajdujemy to w historyi (*on le trueve en l'estoire,* p. 15).

Do lat 10-ciu pustelnik żywił dzieci wespół z łanią, a gdy wyrosły, same po skałach szukały sobie żywności, łania zaś wróciła

do lasu. Jadły jabłka z jabłoni i korzonki i rosły dziwnie. a pustelnik ubierał je w liście laurowe. Otóż opowiada historya. która się znajduje w szafie w Poitiers (*L'estoire nous raconte, en l'aumaire à Poitier,* p. 16), że przyszło na nie wielkie nieszczęście. Szedł przez las leśniczy. człowiek Matabruny. zły. a jej poufały. Przyszedł do pustelni ów łotr i sprowadził wielkie utrapienie.

Słuchajcie panowie. niech Bóg dla was będzie łaskawym. wiedzcie tedy. że kogo Bóg chce ocalić. ten nie zginie. Był w tej puszczy leśniczy. wychowaniec Matabruny, ten przyszedł do pustelni. w czasie gdy zacny pustelnik był nieobecny. Nigdy dotąd. rzekł chciwiec. takich siedmiorga ładnych dzieci razem nie widziałem. a łańcuszki ich mają cenę wielką. Spać się nie położę, dopóki tego Matabrunie nie powiem. — Historya opowiada. że się nazywał Malquarrés, ponieważ był duży i zdradziecki. Poszedł do Matabruny i powiedział jej o siedmiorgu dzieci. tego samego wieku i tak ładnych, jakich dotąd nie widział. — A czy mają może łańcuszki na szyi? — Właśnie że mają, wartości stu marek, albo i więcej. — Przyjacielu. rzekła stara. zrobię cię rycerzem. tylko zabierz im łańcuszki, a gdyby się opierały, to zabij. — Tak uczynię, jako rozkazujesz. rzekł okrutnik i poszedł do lasu. Matabruna tymczasem kazała przywołać Marka i pytała. co zrobił z dziećmi owego czasu. gdy mu je oddała? Przyznał się do wszystkiego. za co mu stara wiedźma oczy wyłupić kazała. A leśniczy poszedł do lasu i zastał tam tylko sześcioro dzieci, bo jedno z nich zabrał pustelnik ze sobą. lubiąc je najbardziej. Najeżony zbrodniarz dobył miecza, przestraszył dzieci bardzo i zabrał im łańcuszki i oto zaraz w górę podleciały jako ptaki, bo taki czar Bóg na nie nałożył (*car ensi les avoit nostre sire faés,* p. 19). Poleciały aż na staw króla. ich ojca. Łańcuszki zabrał zbrodniarz nieuczciwy. oddał Matabrunie. która się z nich bardzo ucieszyła. Ale pustelnik rozżalił się. gdy powróciwszy. dzieci już nie było. Co się stało. Matko Boska. z braćmi mymi i siostrą, wołał w rozpaczy chłopiec, który pozostał!

Rozpaczał chłopiec za braćmi i siostrą, szukał po lesie na wszystkie strony. ale napróżno. Uspakajał go pustelnik. mówiąc. że wszystko się dzieje z woli Bożej. Był chłopiec ładny i duży i wyrosły. Włosy miał długie aż do nóg, ale ubranie jego nic nie było warte. O milę mieszkał król Oriant, ojciec jego, który był bardzo miłosierny i obficie rozdawał jałmużnę biedakom. Pustelnik. nie mając się czem żywić, posyłał tam chłopca codzień.

Codzień chłopiec chodził po jałmużnę, którą rozdawał seneszal króla. Chłopcu dwa chleby dawał. Inni zjadali je zaraz, on ze swymi zaraz odchodził.

Szedł nad staw, gdzie pływały łabędzie, jego bracia i siostra, o czem on nie wiedział. Płakał tam, łzy mu mimowoli płynęły po twarzy, rzucał im chleba, aby je do siebie przywabić, one przypływały, bo go poznawały dobrze.

Tak trzy upłynęły lata, od czasu gdy Malquarré, ów złodziej, zabrał łańcuszki pięciu braciom i siostrze. O ojcu i matce nic nie wiedzą, bo dzieci uważały pustelnika za swego ojca. Chłopiec wieczorem wracał do lasu, oczekiwany przez pustelnika, a płakał zawsze, gdy zobaczył łabędzie.

Matabruna, otrzymawszy łańcuszki, przywołać kazała złotnika i poleciła mu, aby je stopił i z nich srebrny dla niej zrobił kubek. Złotnik zabrał je do domu, stopił jeden i o dziwo, tyle otrzymał srebra, że starczyło na dwa duże kubki, jak to słyszałem poświadczone. Zdziwił się, bo mu się to dotąd nigdy nie zdarzyło. Matabrunie jeden kubek zaniósł, drugi i resztę łańcuszków żonie oddał do schowania. Ucieszyła się Matabruna, sądząc, że dzieci są już teraz zgubione, a pomyślała zarazem, aby i matkę ich zgładzić ze świata. Mówi tedy do syna, że ludzie go lekceważą i obmawiają, ponieważ nie ukarał, jak należało, żony swojej. Czas już, aby ją spalić, a wtedy będzie mógł poślubić inną kobietę. Tak długo go podmawiała, aż się zgodził i wezwał pismem wszystkich baronów, aby się zgromadzili, bo czwartego dnia żona jego ma być spaloną w ich obecności.

Już się baronowie zbierają, wielu z nich żałuje królowej. Oto o północy zjawia się u pustelnika anioł jaśniejący i woła do niego: dobry pustelniku, czy śpisz? — Kto mnie woła? — pyta pustelnik. Powiedz, jeżeli jesteś od Boga, a jeżeli nie, oddal się! — Od Boga jestem, odrzekł anioł i oznajmiam ci, że masz u siebie chłopca wysokiego pochodzenia, który zasłynie z dzielności i baronostwa. Opowiedział mu anioł całą historyę dzieci i matki ich Beatryxy, świętej męczennicy, która po piętnastu latach srogiego więzienia, nazajutrz ma być spaloną. Bóg rozkazuje, aby chłopiec jutro poszedł walczyć w obronie matki. — Boże, rzekł pustelnik, jakże się to stać może, gdy on dotąd rycerza ani nawet nie widział? Zginie z pewnością! — Na to anioł: za długo z tobą mówię: w imieniu króla Jezusa jutro ma walczyć!

Eremito, rzekł anioł, jutro każ mu wcześnie udać się do mia-

sta, aby bronił życia swej matki. Bóg to nakazuje. — Uczynię jego wolę, rzekł pustelnik, a anioł oddalił się, śpiewając. Przez całą noc rozmyślał eremita o rozkazie. W jaką on suknię chłopca ubierze? chyba z liści i gałązek? Ale to wszystko zdaje na Boga. Nad ranem budzi chłopca, który się pyta, czy pójdą do lasu? On wie o dobrych gruszkach, z których sobie obiad zrobią.

Odszedł anioł, został pustelnik i rozmyśla o bitwie, do której ma stanąć chłopiec, a w której z pewnością zginie. Obudził go i powiedział, że z rozkazu Boga ma walczyć w obronie matki. Dziwi się chłopiec, bo nie wie, co to jest matka, pyta, czy to jest co do jedzenia, czy to ptak, czy zwierzę? Wyjaśnił mu sprawę pustelnik, a chłopiec poddał się woli Bożej. Mówi atoli: powiedz mi panie, jak ja się bić będę? — Pustelnik na to: ubiorą cię w zbroję, na konia wsadzą, tak mi się zdaje. — Co to jest koń? pyta chłopiec. — Nie wiem, odpowiada pustelnik, ale przedewszystkiem trzeba cię ochrzcić, gdyż dotąd chrześcijaninem nie jesteś. Będziesz się nazywał Eliasz, bo to jest wielkie imię. Ojciec twój ma imię Oriant, matka Beatrix. Matabruna chce ją uśmiercić, a Malquarré jest tym, który zabrał łańcuszki twojemu rodzeństwu. Już czas w drogę, więc nie odwlekaj. — Odprowadził pustelnik chłopca bez czapki, ubranego w liście do połowy. Teraz usłyszycie bitwę bardzo ciężką, jaką stoczył chłopiec młody a silny. Nikt wam dotąd czegoś podobnego nie opowiedział.

Idzie chłopiec zaniepokojony, Boga często na pomoc wzywając. Paznogcie miał wielkie, włosy pokudłane, myty wcale często nie był, podobny był do wilka lub niedźwiedzia, w ręku miał kończastą maczugę. Gdy wyszli z lasu, zobaczyli miasto i tu go pustelnik pożegnał. Idzie chłopiec sam jeden, bez towarzysza, bez doradcy, na pomoc matce, dla której już znoszą ciernie i słomę. Już jej Matabruna ręce z tyłu związała, jak złodziejowi, i cieszy się, że dziś spalić ją każe. Gromadzą się baronowie, służba, kobiety i dzieci, aby widzieć to potępienie. Król sam jedzie zasmucony, konno, na czele; prowadzą królową, która się modli, o pomoc woła do Boga. Cieszą się jedni, smucą się i płaczą drudzy, wyrywają sobie włosy, rozdzierają ubranie. Gwar powstał wielki, chłopcu się zdawało, że to polowanie. Widział ojca na koniu, a dotąd ani konia, ani jeźdźca na koniu nie widział. Wszystkiego był ciekawy, zbliża się do samego króla, aby go pytać, a anioł boży siedział mu na ramieniu i podsuwał mu, co miał powiedzieć. — Słuchaj, mówi do króla, kto

ty jesteś? na czem ty siedzisz. to nie jest ani jeleń, ani łoś. Co to jest? — Król byłby się roześmiał, gdyby nie był bardzo zasmucony, ale odpowiedział, że jest królem i że siedzi na koniu. — Czy koń je żelazo, że je tak gryzie? — Nie, to jest wędzidło, aby go powstrzymać. Powiedz mi teraz, jak ty się nazywasz? — Nazywam się „miły syn“, innego imienia nie mam. Ale dlaczego jesteś smutny, królu? — Z powodu żony, którą mam spalić, dlatego, że ciężko zgrzeszyła i siedmioro szczeniąt urodziła. Dla niej to ten ogień zapalony. — Na to chłopiec, że ten sąd jest niesprawiedliwy, a on chciałby udowodnić, że to kłamstwo. Z tego król bardzo się ucieszył, a Matabruna tymczasem krzyczy i bije Beatryxę. Widząc to chłopiec, mówi do króla: uczciwy człowiek nie powinien się dać uwodzić zdrajcom. Ty królu śpiewasz dzisiaj i czytasz z takiej gramatyki, że w dniu sądu oblicza Jezusa oglądać nie będziesz, jeżeli myślisz, że to prawda: *Mais tu cantes et lis ore de tel grammaire Dont tu ne verras ja Jesus ens et viaire Aujour du jugement, se tu crois tel affaire* (p. 36). Jam gotów dzisiaj dowieść każdemu, że kłamie, choćby był prefektem i burmistrzem: *qui soit prevos et maire!* — Król z tego bardzo był ucieszony.

Cieszył się król z mowy chłopca, bo bał się Jezusa Chrystusa Niecierpliwa Matabruna zaczęła króla za płaszcz ciągnąć, że aż mu go rozdarła, mówiąc: głupi spotkał głupiego, ale niechże już raz wyrok będzie wykonany! — Król jej wskazuje na chłopca, który gotów udowodnić, że oskarżenie królowej jest kłamliwe. Matabruna poskoczyła ku chłopcu i garść włosów mu wydarła. Tego mi ojciec mój w lesie nigdy nie zrobił, zawołał chłopiec, ale powtórzył, że do bitwy jest gotów, tylko że nie wie, jak się bić. Baronowie pochwalili jego chęć, a król postanowił, że bitwa się odbędzie. Królowa wezwała Malquarrésa, bo jego sobie wybrała za obrońcę. Kazała przynieść doskonałą zbroję, pancerz przez dwu dyabłów kuty poza morzem, nagoleniki, hełm błyszczący, tarcz z dwu lwami srebrnymi, dwa doskonałe miecze, z trzydziestu wybrane. Sama Matabruna przypięła mu ostrogi, uderzyła go mieczem, przypasała mu go i hełm mu na głowę wsadziła. Koń jego był arabski, cały w żelazo ubrany, dwu żonglerów grało podczas tego na skrzypcach i śpiewało sonety i piosneczki. Tak Matabruna zrobiła Malquarrésa rycerzem z niewolnika[1]).

[1]) *Deux jongléours i fist la vielle vieller*
Sonnés et cançonnétes y fait assez canter p. 40.
Jest to najdawniejsza bodaj wzmianka o sonecie, który jednak wtedy nie

Duży był Malquarrés i silny, a ze świeżego rycerstwa i obiecanej wielkiej nagrody bardzo ucieszony. Śmierć chłopaka jako pewną zapowiada. Lecz ten się nie lęka, tylko prosi, aby i jego uzbroić, co mu król obiecuje.

Cieszy się chłopiec, że będzie uzbrojony, ale prosi zarazem, aby go ochrzcić, bo jeszcze chrztu nie otrzymał. Król kazał przywołać opata Gautier z głównego klasztoru i jemu to polecił. Opat przed kościołem kazał postawić kadź z wodą, ale poprzednio włosy i paznogcie mu obciął, uczesał, płaszczem odział, a dopiero potem ochrzcił na imię Eliasza [1]). Podczas tego obrzędu wszystkie dzwony w mieście same dzwonić zaczęły, co wszyscy obecni jako cud i dobry znak dla Beatrixy rozumieli. Gdy go po chrzcie ubrano na nowo, nie było nad niego przystojniejszego młodzieńca. Bogate ubranie dała mu matka chrzestna Salomas, a ojcowie chrzestni: książę Montbas i opat obiecali znaczny majątek.

Ucieszył się chłopiec ze chrztu, a teraz prosi o rycerstwo. Król kazał dwu dworzanom spiesznie przynieść uzbrojenie, co też wykonali, wybierając najlepsze. Dziwną tarcz przynieśli, całą białą, srebrzystą, na niej krzyż czerwony i napis: Od Boga darowana, kto ją nosi, w boju nie zginie! Jeden z dworzan, który był piśmienny, zaraz to odczytał i rozumiał, że to znak wielki. Takiej tarczy nikt dotąd nie posiadał. Znaleźli ją wiszącą na drzwiach za sprawą Boga.

Niecierpliwiła się Matabruna i żądała, aby pojedynek zaraz się odbył. Już oddawna Malquarrés czeka na koniu, aby zabić chłopaka, którego tyle ceni, co główkę czosnku. Na to Eliasz, że się gróźb nie boi, a ma nadzieję w Jezusie, że jeszcze dzisiaj, zanim słońce zajdzie, Malquarrés i Matabruna za grzechy należytą otrzymają karę. Króla prosi, aby go pasował na rycerza.

Dwaj dworzanie ubierają go w zbroję, która mu cięży; wsadzają na głowę hełm zielony ze srebrnemi obrączkami, perska to z Indyj robota z za morza; przyprowadzają konia żelazem okrytego, na szyi tarcz sławną zawieszają. Król uderza go mieczem po karku, przypasuje mu go do boku i mówi: jesteś rycerzem, niech ci Bóg da odwagę. — Taką niech będzie wola Jego, odpowiedział.

---

miał jeszcze swej formy ustalonej. Całość daje opis ówczesnego pasowania na rycerza. Zawiera ono już więcej czynności, niż w Partenopeusie, ale jeszcze nie tyle, ile będzie miało w przyszłości. Mianowicie o herbie niema jeszcze mowy.

[1]) Mamy powyżej ciekawy opis chrztu, dzwony zaś same dzwoniące, przywołują nam na pamięć cud podobny z pieśni o św. Alexym.

Wsiadł Eliasz na konia, ale się chwieje i za siodło się chwyta. Dają mu lancę do rąk z żelazem z Tudeli (Toledo) i miecz dobry mu podają, on zaś się modli o pomoc i mówi do króla: cięży mi żelazna suknia, niechże się do niej przyzwyczaję, niech twoi dworzanie mnie oprowadzą przez ulice. Zgodził się król na to, a Eliasz ich pyta: na czem ja siedzę? czy koń jest groźnem zwierzęciem? a jak się nazywa ten garnek, który mam na głowie? do czego on służy? a co mi wisi na szyi, co to jest? do czego są owe kolce przy piętach? Pouczają go, a on okazał się pojętnym. Już wie, jak się co nazywa, do czego służy, jak broni używać. Teraz do walki gotów, a od czasów Rolanda nie było zaciętszej. Matabruna woła na Malquarrésa, aby natarł, on też koniowi niezwłocznie daje ostrogi.

Wielka zaczęła się walka, jednym na strapienie, innym ku radości. Najeżdżają na siebie, aż ziemia tętni; tak uderzają na się lancami, że siodła z tyłu się popsuły. Zwalili się obaj z koni, które w ulicę pobiegły. Stało się coś dziwnego: koń Eliasza ugodził drugiego konia kopytem w głowę, oba wybił mu oczy, zabił go. Zerwał się Malquarrés na nogi, także i Eliasz. Tamten tak bije mieczem po hełmie Eliasza, że się iskry posypały i hełm się nadwerężył; Eliasz, modląc się, uciął przeciwnikowi hełmu na trzy palce, ale chwiał się, miecz wyciągając z żelaza. — Wielka toczy się walka. Malquarrés przeciął hełm Eliaszowi i cieszy się, że królowa będzie spaloną. Kłamiesz, woła Eliasz, i także mu hełm przeciął. Jeden lekceważy drugiego. Malquarrés uciął Eliaszowi kawał hełmu, Eliasz tak się odciął, że się iskry posypały. Teraz obu rękami miecz ujął i ciął w tarcz, aby ją rozpłatać, ale dyabli pomagali Malquarrésowi, tak że się złamał w połowie miecz Eliasza. Cieszy się głośno Matabruna, cieszy się Malquarrés.

Eliasz dobył drugiego miecza i następując na Malquarrésa i bijąc go po hełmie, tak że go już w głowę zranił, woła do niego, że się nie ośmieli uderzyć w krzyż na jego tarczy. Właśnie że się ośmielę, woła Malquarrés, i tnie tak silnie, że się Eliasz zachwiał. Ale w tej chwili z krzyża buchnął ogień na Malquarrésa, tak że go strach zdjął i omdlał. Dyabli przywrócili mu przytomność i znowuż Eliasza ciął po głowie. Matabruna woła do niego, aby zabił chłopaka, tak że król jej przypomniał regułę, podług której nie wolno wołać, gdy się biją przeciwnicy.

Obaj są zmęczeni, na cztery lance od siebie odeszli, o ściany

się oparli, przyklękli nawet, bo osłabieni są wielką krwi utratą. Beatrix widzi swego obrońcę osłabionym, płacze, wątpi o swem ocaleniu, gorąco się modli do Boga, aby okazał jej niewinność. Zerwał się Eliasz na nogi i z mieczem zwanym Murglaie [1]) podchodzi ku przeciwnikowi, który się krwią broczy. Na ten widok Matabruna zaczyna się lękać i złorzeczy Eliaszowi, który tnąc w Malquarrésa złamał już drugi miecz. Korzysta z tego Malquarrés, godzi w tarcz Eliasza, w sam krzyż na niej, ale teraz cud się stał: wąż o dwu głowach z tarczy się wysunął, ku Malquarrésowi skoczył, około głowy mu się obwinął, oczy mu wygryzł, tak że złoczyńca na ziemię upadł. Skoczył na niego Eliasz, złamanym mieczem rozcina mu rzemienie przy hełmie, głowę mu oddziela od kadłuba, do króla zanosi. Matabruna tymczasem spiesznie uciekła.

Gdy Eliasz zabił Malquarrésa, odciętą głowę jego zaniósł królowi, pytając, czy się dobrze zachował? — Bardzo dobrze, Eliaszu, miły przyjacielu! — Kilku dworzan pobiegło, ażeby zdjąć pęta z królowej, która uklękła, Bogu dziękując za ocalenie [2]). Następnie pospieszyła do Eliasza, aby go ucałować, ale tej czułości on nie rozumiał i rzekł: nie chcę tego. Przyprowadźcie mi teraz Marka, któremu oczy wyłupiono za to, że nas ocalił! — Zjawił się Marek, Eliasz ujął głowę jego rękami, modlił się, następnie chuchnął w jego oczy i z łaski Boga Marek wzrok odzyskał. Wszyscy to podziwiali, król najwięcej i teraz zażądał, aby mu Eliasz wyjaśnił, jakiego jest pochodzenia. Dowiedział się, że jest jednym z jego synów, których było sześciu i jedna córka i że Matabruna zabić ich kazała, podsuwając szczenięta na ich miejsce. Marek ich ocalił, pustelnik wychował i żyli szczęśliwi, aż im Matabruna łańcuszki zabrać kazała. Wtedy się sześcioro zamieniło w łabędzie, a on sam został niezmieniony. — Płakał król, słysząc to opowiadanie, płakała królowa, omdlewając. Zjawił się teraz złotnik, przynosząc pięć łańcuszków, które zachował, bo tylko jeden stopił. Przyjął je z podziękowaniem Eliasz, dał złotnikowi wolność, królową i króla wezwał, aby szli za

[1]) Tę nazwę już znamy, czytaliśmy ją u Graindora. Wynikałoby z tego, że ten poemat napisany po 1180 r.

[2]) Pojedynek Malquarrésa z Eliaszem uwydatnia nam żywo stosunki prawnicze w średnich wiekach. Dlaczego król Oriant gotów był wyrzec się żony i skazać ją na śmierć, chociaż czuje, że jest niewinną? Dlatego, że ją oskarżyła Matabruna, a nikt jej zaprzeczyć nie śmiał. Dopiero z woli Bożej Eliasz podjął walkę, a zwyciężywszy, udowodnił, że Beatrix jest niewinną.

nim aż do stawu. Tam zasiedli na piasku, on przywołał łabędzie do siebie, które z radością przypłynęły, włożył im łańcuszki na szyję i oto cztery przemieniły się w chłopców, jeden w dziewczynę. Dla szóstego łabędzia zabrakło łańcuszka. Cztery razy łabędź omdlewał, potem wołał żałośnie, dziobem się szarpał. Wszyscy się nad nim litowali.

Wszyscy żałowali łabędzia, a dzieciom wnet przyniesiono bogate ubranie. Przywołano księdza Floransa, który ich ochrzci i da im imiona: Oriant, Oriont, Zacharyasz, Jan, Rosette, bo tak jest zapisano.

Król Oriant rzekł do zgromadzonych baronów: panowie, już długo żyję na świecie, sto lat już skończyłem, to też koronę chcę zdać Eliaszowi, którego tu widzicie.—Wszyscy odpowiedzieli: niech będzie podług twej woli. — Oddał koronę Eliaszowi, który mu za nią podziękował. Królowa ucieszyła się z tego. Udali się do kościoła, gdzie król ukoronował syna. Bogatą była ofiara, którą złożyli na ołtarzu. — A teraz, rzekł Eliasz, chcę ukarać Matabrunę; skrzywdziła i sromotą okryła mą matkę, o stratę jednego brata mię przyprawiła. Przeto wzywam wszystkich baronów, aby do dni czterech zgromadzili się z pocztami swymi pod zamkiem Malbruiant, gdzie się zbrodniarka zamknęła. Zanim ten tydzień upłynie, chcę, aby ukaraną została. —Przyrzekli wszyscy posłuszeństwo, jeden zaś z obecnych, kuzyn Malquarrésa, pospieszył do Matabruny, aby jej donieść, co jej grozi. Rozwścieklona stara, zamiast mu podziękować, nożem go przebiła. Następnie swoich ludzi wezwała, aby do obrony stanęli, zamek obficie w zboże, chleb i wino zaopatrzyła, fosy i mury naprawić kazała.

Nadciągnął z licznem wojskiem Eliasz i rozłożył się obozem nad rzeką Chieras, która od strony Bagdadu płynie. Zamek Matabruny ze wszystkich stron otoczył, maszynami kamienie i pociski do wnętrza rzucać zaczął. Matabruna wysłała wojsko swoje do walki w polu, ale, strasznie porażone przez Eliasza, uciekło do zamku. Pogonił za niem Eliasz, pogonił zbyt żwawo, bramę za nim zamknięto i znalazł się w wielkiem niebezpieczeństwie. Spostrzegli to ludzie jego i do zamku szturmować zaczęli.

Matabruna zażądała, aby się walka rozstrzygnęła pojedynkiem, między Eliaszem a jednym z jej baronów. Za wielkie skarby i obietnice podjął się tego Heurdré, ona zaś, przeciw wszelkiej uczciwości, ukryła w lesie pobliskim dziesięciu rycerzy, którzy mieli

zdradziecko napaść Eliasza, gdyby został zwycięscą. Bo jego zguby i śmierci pragnie przedewszystkiem. Jednakże anioł zjawił się w namiocie Eliasza i uwiadomił go o zasadzce, radząc, aby i on ze swej strony piętnastu rycerzy ukrył dla swej obrony.

Piętnastu uzbrojonych ukrył Eliasz, siedmiu dużych, sześciu mniejszych, a imiona ich są zapisane. W walce dyabeł bronił Heurdrégo, ale Eliasz mimo to uciął mu prawe ramię i do walki niezdolnym uczynił. Zawrzasnął Heurdré, zasadzka wypadła na Eliasza, ale i jego obrońcy przypędzili na dzielnych koniach [1]. Wszczęła się potyczka, której Matabruna z wieży się przyglądała, a widząc porażkę swych ludzi, posyła im pomoc, ale bezskuteczną, bo i tych Eliasz pokonał z towarzyszami, seneszala im zabił, niedobitki do zamku wpędził.

Uciekli do zamku ludzie Matabruny, Eliasz popędził za nimi, bije ich i tutaj, do fosy wrzuca, Matabruny szuka. Znalazł ją, śmierć jej zapowiada, a ona znienacka chwyta ostry dziryt i z tyłu go nim uderza. Bóg go obronił od śmierci, ale zdradzieckie pchnięcie rozgniewało go bardzo, chwycił ją za włosy i zrzucił ze schodów na dół, gdzie ją potłuczoną ujęli żołnierze, związali ręce i nogi, na konia włożyli i do stolicy wysłali. Zamek Malbruiant poddał się z resztą załogi.

Matabruna będzie dziś jeszcze spaloną, ale poprzednio złoży swe zeznania: „Nigdy nie kochałam Boga, ani jego najświętszego imienia; lubiłam najchętniej złe, podstęp i zabójstwo. Gdybym mogła, dziś jeszcze zabiłabym Eliasza i własnego syna mojego, spaliłabym wsi i miasta, zniszczyła pola, ludzi powtrącałabym do więzienia. Zdradliwie oskarżyłam moją synową, kazałam utopić jej dzieci, podłożyłam za nie szczenięta, chętnie chciałam ją spalić na węgiel. Od czasu Salomona nikt tyle złego nie zrobił, co ja, ale Boga o przebaczenie nie proszę; jeżeli pójdę do piekła, to będę tam miała dużo towarzystwa". — Z przerażeniem słuchali obecni jej spowiedzi, chętnie ją do ognia wrzucili, ona zaś naostatku krzyknęła jeszcze: „wszystkich mieszkańców tej ziemi dyabłu polecam". Spaliła się, dyabli wzięli jej duszę.

Tak nadszedł wieczór; baronowie do stołu zasiedli, potem spać się pokładli, tylko Eliasz nie spał aż do północy.

[1]) Konie te odróżnia poeta jako *bai, morel, vair, arondel, bausant, arabis, passavant, bis*, p. 83. Słuchający baronowie przekonali się, że się znał na maści.

Wszyscy już śpią w sali, tylko Eliasz nie śpi. Modli się do Boga i do świętego Mikołaja. Oto zjawia się anioł biało ubrany i mówi: wiesz, co zrobisz teraz Eliaszu? Rano zaraz pożegnasz się z ojcem i matką, całą zbroję zabierzesz, tarczy z krzyżem nie zapominając. Czeka cię przygoda, która ci wielki zaszczyt przyniesie. Pójdziesz nad staw, tam łabędź, brat twój, przyciągnie statek ładnie zrobiony, ty zaś zrobisz, co on ci powie. — Będę posłuszny we wszystkiem, odrzekł Eliasz.

Odszedł anioł, został Eliasz. Rano biją dzwony, baronowie się zgromadzili, jeden z opatów czyta mszę przy świętych relikwiach, składają ofiary, żegnają się wychodząc z kościoła, zbierają się w sali, gdzie do nich Eliasz tak przemawia: proszę was panowie, abyście w spokoju wysłuchali, co wam powiem. Ojcze mój, proszę cię, abyś pamiętał o żonie twej i mojem rodzeństwie. Jeżeli się znajdzie wysoki baron, któryby pojął siostrę mą za towarzyszkę *(à per)* i za żonę, daję mu posiadłość Matabruny, która ma wielką wartość. Gdybym nie wrócił, dziedzicem moim i następcą jako król będzie starszy z mych braci. Jeżeli wrócę, obejmę rząd na nowo bez sporu. Oriontowi nadaję ziemię, która do króla Hugiera należała, Zacharyaszowi wyspę Monrahier, Janowi Monbel. Proszę was zarazem, abyście mnie nie pytali, gdzie idę i kiedy wrócę, bo wam nie powiem. — Przeżegnali się na to baronowie i płakać zaczęli. Matka zawołała go do osobnej komnaty i dała mu róg ze słoniowej kości, na srebrnym łańcuchu zawiesiła mu go na szyi, mówiąc: gdy nań popatrzysz, nie zwątpisz o twoim prawie. — Eliasz kazał zabrać na statek swą zbroję bogatą, tarcz z krzyżem, dobrego wina i chleba pszennego i sera twardego. Wszyscy nad staw poszli, gdzie łabędź na złotym łańcuchu przyciągnął statek przez Boga przysłany. Różne potrzeby tam składają, Eliasz sam wchodzi, poleca Bogu króla, królową i wszystkich obecnych. Odpłynął, niech go Bóg prowadzi.

Król i królowa z płaczem odeszli, łabędź radośnie pociągnął statek ze stawu na morze. Na pełne wypłynęli morze i tak płyną dzień cały i noc i nazajutrz do południa. Wtedy zobaczyli miasto saraceńskie; także i Saraceni ich zobaczyli, powychodzili na mury, aby zobaczyć łabędzia i statek. Sądzą, że w czółnie są wielkie bogactwa, więc szybko biegną do swych łodzi, czterystu ich wsiada i kierują się na morze. Eliasz widząc to, płacze, wskazuje ich łabędziowi, który głośno krzyczy, dziobem się rani i rozdziera. — Uzbroił się Eliasz, modli się do Boga, a Saraceni się zbliżają, wo-

łając, aby im wydał skarby. — W odpowiedzi Eliasz wrzucił do wody wino i chleb. — Rozgniewani Saraceni grożą, że zjedzą łabędzia upieczonego i rzucają na Eliasza pociski, które przeszyły tarcz jego, zraniły go do krwi. Krzyczy łabędź. Eliasz się ogląda i widzi 300 statków z białymi żaglami, a krzyżami czerwonymi, które się do niego zbliżają. Bóg je przysłał z pomocą. Dowodzi nimi Św. Jerzy, a aniołów i archaniołów było tam wyżej tysiąca [1]. Cieszy się łabędź, białe żaglowce nacierają, burza się wszczyna, statki saraceńskie rozbijają się, toną, z nimi wszyscy Saraceni. Chce za łaskawą pomoc dziękować Eliasz, ale Święty Jerzy mu odpowiada, że Bogu niech podziękuje. Eliasz na to: jego woli się poddaję teraz i zawsze.

Oddala się Święty Jerzy. Eliasz zawiązał swą ranę, ale głód mu dokucza. Boże, święta Pani Maryo, czy już mam zginąć? — Słyszy to łabędź, krzyczy z żalu, płyną jeszcze długo, aż zobaczyli na skale zamek wspaniały. Tam się kierują, ale na swoje nieszczęście! Zamek nazywał się Salvage, dzikim *(cel castel apele-on par son droit nom salvage)*, panem jego był Agolant o dzikiej twarzy, który już bardzo wielu ludzi zabił. Eliasz rzekł do brata łabędzia: pilnuj statku i zbroi mojej, którą tu zostawiam, sam pójdę szukać żywności, choćbym miał róg mój zastawić. — Poszedł, Agolanta przed bramą zobaczył siedzącego z rycerzami, pozdrowił go, róg za jedzenie ofiarował, lecz Agolant nie przyjął go, choć mu się bardzo podobał. Na stół dano dziesięć półmisków jedzenia, a wino było mocne i drogie. Po jedzeniu zapytał Agolant, kto jest i skąd? Opowiedział mu swą historyę Eliasz, a także jak spalił Matabrunę, a Agolant był właśnie rodzonym bratem Matabruny. Gdyby nie to, że Eliasz jadł i pił u jego stołu, byłby go zabił na miejscu [2], ale śmierć go nie minie, tymczasem wrzuci go do lochu z wężami i żółwiami, po tygodniu będzie spalony. Otóż w zamku był pachołek wychowany przez ojca Eliasza, ten tajemnie w nocy z zamku wyszedł i pospieszył donieść Oriontowi, co grozi bratu jego.

Oriont hojnie pachołka nagrodził, spiesznie zebrał braci i baronów i ruszył z pomocą. Pod zamkiem Agolanta stanął właśnie w chwili, gdy stos już zapalono, a związany Eliasz już weń miał

[1] Jest to przeniesienie na morze tej samej pomocy niebieskiej, jaką krzyżowcy pod Antyochią otrzymali, podług Graindora także pod Jerozolimą trzy razy.
[2] Rys znamionujący dawne prawo gościnności w sposób godny uwagi.

być wrzuconym. Wraz z nim miał spłonąć Simon, wasal Agolanta, który brał Eliasza w obronę przed panem. Na wiadomość o oblężeniu, porzucił Agolant ofiary, wybiegł z rycerstwem poza mury przeciw odsieczy. Tymczasem ów usłużny pachołek rozwiązał pęta ofiar, uzbroili się Eliasz i Simon, ze swej strony uderzyli na Agolanta i jego żołnierzy. Po zaciętej walce sam Agolant zginął z ręki Eliasza, zamek został zdobyty przez niego i dany w lenno Simonowi. Pożegnawszy się z Eliaszem uściskami i pocałunkami, bracia z wojskiem odjechali, on sam jeden pozostał, nawet bez giermka.

Eliasz poszedł do portu przy morzu, rozgląda się, spostrzegł łabędzia, który się ukrył przed złymi ludźmi, wsiadł na statek i obaj popłynęli. Niech ich Bóg prowadzi i królowa Panna. Łabędź podał bratu dziobem korzeń rośliny, lepszy od wszelkiej innej medycyny. Eliasz przyłożył go do swej rany i natychmiast się zgoiła [1]).

Eliasz całkiem jest z rany wyleczony i tem lekarstwem zdziwiony wielce. Z morza wpłynęli na Ren i zbliżyli się do Nimaie (Nimwegen), znacznego miasta, którego mury i wieżę już było widać. Eliasz zobaczył rybaka w czółnie, który tam na życie pracował dla siebie i dzieci i zapytał go, jaka jest przyczyna tej wrzawy, którą było słychać?

Powiedz mi naprawdę, rzekł Rycerz z łabędziem, czy tam Saraceni są zebrani, czy chrześcijanie? — Panie, powiem ci prawdę: zjawił się w tej ziemi zdrajca niebezpieczny, z dziesięciu tysiącami w żelazo okutych rycerzy. Nazywa się książę Rainier, a zabrał księżnie Bouillon całą posiadłość, której dziedziczką miała być córka jedynaczka, bardzo urodna. Dziś właśnie zwołani są baronowie na sąd.

Mówił rybak: okrutny jest książę saski, dziś na sąd zebrali się baronowie i na pewne odsądzą ją od wszystkiego, jeżeli jej Jezus Chrystus nie pomoże, który za nas dał się umęczyć. — Na to Rycerz: Boże, obym już był przed tym sądem i aby walka okazała, po czyjej stronie sprawiedliwość! — Spiesznie się oddala Eliasz,

[1]) Ta strofa tworzy przejście od pieśni poprzedzającej, do tej, która teraz ma się rozpocząć od zdania: Z morza wpłynęli na Ren i t. d. Druga pieśń jest starsza, niż pierwsza.

przybywa do portu, wyskakuje na ląd jako dzielny żołnierz, chwyta za róg błyszczący, który mu u szyi wisi i tak silnie weń zadął, że wszyscy sąd przerwali, aby biedz zobaczyć, kto przybył. Nawet cesarz tam się udał. Rycerz pozdrowił go ładnie i wszystkich baronów, bo dobrze umiał po romańsku *(car bien sot le romans)*; ze statku zabrał miecz i tarczę i lancę z chorągiewką, pożegnał łabędzia, mówiąc: polecam cię Bogu, gdy będzie potrzeba, pojaw się z łodzią.

Odpłynął łabędź, cesarz zabrał barona, trzech giermków niosło, zbroję jego, do zamku się udali, tam go odziano w suknię bogatą, on usiadł na niskiej ławce u stóp króla, a sąd na nowo został podjęty.

Sądzą baronowie spór między Saxonem a damą, a jeden z nich tak przemawia: znamy przedmiot sporu i oświadczamy z żalem, że jeżeli dama nie znajdzie niebawem kogoś, ktoby się podjął jej obrony, to ani dla niej, ani dla jej dziedziców nic nie pozostanie [1]).

Powstał teraz Rycerz z łabędziem, którego Bóg tu przysłał, spojrzał na damę płaczącą i jej córkę urodną, wzruszył się litością i tak się odezwał: Łaskawy królu Saxonów, w imię Boga przedstaw mi przedmiot sporu, abym się nie ujmował w sprawie nieuczciwej, gdyż mam chęć stanąć do walki. — Wszyscy obecni zdziwili się na te słowa, a cesarz ucieszył się z nich, bo Saxon krzywdził damę. Ona sama teraz wystąpiła, a była odważną i rozumną i dobrze ułożoną. Pozdrawia rycerza i oświadcza: przywołuję na świadka cesarza samego, że ziemię tę dzierżyłam lat czterdzieści, a ojciec mój lat pięćdziesiąt, i to bez żadnego sporu, a na to mam dokumenty. — Prawdą jest, co mówi dama, rzekł cesarz, a ona dalej: widząc Saxon, że mąż mi umarł i że obrońcy nie miałam, zajechał mą ziemię zuchwale, ale ufam w twą dzielność rycerzu i rychłe zwycięstwo. Zuchwałym jest Saxon i potężnym, mógłby wojować z samym królem Otonem, to też widząc mnie bezbronną, zabrał mi przemocą posiadłość i zamek dziedziczny, ja zaś nie mam krewnych, bo wymarli. Pochodzę od Renaud'a, syna Aymon'a [2]), ojcem moim był Godefrois brodaty, książę

[1]) Taki był często przebieg procesów w średnich wiekach. Wszyscy sędziowie wiedzą, że Sason jest krzywdzicielem, ale że jest potężnym wojownikiem, nikt sprzeciwić mu się nie ma odwagi, bo w takim razie sprawa rozstrzygała się pojedynkiem.

[2]) Był to bohater, wsławiony epopeją, pod tytułem *Renaud de Montauban*

Bouillon, wielki wojownik, który zdobył dla mnie Louvain i St. Tiron. Z mężem Jossiaume mieliśmy tylko tę córkę, która powinna być księżną Bouillon. — Prawdę mówi, rzekł cesarz, potwierdzić to może każdy arcybiskup, stąd aż do łąk Nerona (aż do Rzymu). To usłyszawszy, rzekł Rycerz z łabędziem: proszę cię tedy, łaskawy królu Saxonów, abyś sprawiedliwość wymierzył tej damie; będę adwokatem w jej obronie i dowiodę tego żelazem i stalą Saxonowi, że nie miał prawa zajeżdżać ziemi tej pani i zabierać z niej czegokolwiekbądź. Na to ci daję mój zastaw. — Uczynię tak, rzekł cesarz, a czterech książąt i siedmiu hrabiów poszło zawiadomić o tem Saxona. Ten teraz wystąpił, jako człowiek bardy i rzekł: Słuchajcie Bawary, Alemany, Saxony, Lotaryngi, prawi baronowie! Ziemię, której pani ta chce bronić, przeciw mnie, tyś mi ją dał cesarzu, na co mam świadka w arcybiskupie Raignierze, w księciu Lowanium i w waszym kluczniku. Zająłem tę ziemię i już jej nie oddam. Ani ty cesarzu, ani nikt jej już nie pomoże. Mam z sobą dziesięć tysięcy rycerzy dbałych o mój honor i nikogo się nie ulęknę. Daję zakładników, a kto ze mną zmierzyć się zechce, to mu tak zapłacę, że zbroczy się ciało jego krwią jego mózgu. — Na to Rycerz z łabędziem: Daj pokój gadaniu, każdy tchórz umie grozić, być bowiem może, że już wieczora, ani zachodzącego słońca nie zobaczysz, i że ten się przerazi, u którego nocujesz.

Dano zastawy do rąk cesarza, trzydziestu rycerzy stanęło jako zakładnicy księcia. Zamknięto ich w zamku pod wieżą. Cesarz wezwał swych baronów na sędziów, a nie było między nimi ani biednego wasala, ani mieszczanina. Weszli do pokoju, otworzyli okna, aby mieć światło i widzieć malowidła złotem i kolorami, przedstawiające kwiaty i źwierzęta. Cesarz tam kazał wymalować, jak przodkowie jego dzierżyli tę ziemię; inne malowidło przedstawiało walkę Aleksandra w Indyach; inne, jak jeden almanzor zabił sławnego Bucefała [1]); inne jak Paris porwał piękną Helenę i do Troi ją uwiózł; inne jak Menelaus i Agamemnon miasto oblegli i zdobyli je przy pomocy drewnianego zamku zaczarowanego, a na-

[1]) Ustęp ten jest bardzo znamienny; żongler udaje, że zna doskonale starożytność. Coś o niej słyszał, ale czego dokładnie nie wie, to uzupełnia własnemi kombinacyami, posuwającemi się w śmiałości aż do zuchwalstwa. Imię własne *Almansor* ma znaczyć wielkiego władcę wogóle, ale tę przemianę już dawniej utworzono.

stępnie spalili, zniszczyli, rozpędzili mieszkańców na strapienie. W tym bogatym pokoju zasiedli sędziowie.

Pokój był bardzo bogaty, a kto go tak sportretował (wymalował) dużo miał wiadomości *(cil qui si la portraist ot moult bon escient)*. Ale było tam coś więcej jeszcze i coś lepszego; pod złocistym baldachimem siedział posąg ze srebra tak umnie zrobiony, że zaraz palcem wskazywał na tego, kto sądził fałszywie [1]. Tam zasiedli sędziowie pospołu, a pierwszy głos zabrał książę Limburga. Panowie, słuchajcie co powiem: ten pyszny Saxon dużo już złego sprawił, a nawet cesarzowi często się uprzykrzył. Czy jest jaki książę, któregoby on nie najeżdżał i nie krzywdził? Mnie także zwalił pokrwawionego z konia przy Gués de Saint-Florent, spustoszył mi ziemię, a nigdy nawet nie pomyślał, aby się ugodzić i szkodę wynagrodzić. Podobnie wyzuł z dziedzictwa księżnę, zabrał jej Bouillon, zamek rodzinny, a każdy wie, że ta pani, oraz jej córka, są prawemi dziedziczkami. Tylko nikt nie ma odwagi powiedzieć mu to, tak jest groźny, równie jak ludzie jego. Nawet cesarz nie śmie mu nic zarzucić. Otóż ja mam nadzieję w Bogu wszechmocnym, że on właśnie przysłał nam tego barona, aby nas od Saxona uwolnił. To też niech cesarz postanowi, że z zakładników zwyciężonego nikt z życiem nie ujdzie, nie okupi się ani srebrem, ani złotem. Bo gdyby zakładnicy Saxona wykupili się od śmierci, to jeszcze przed św. Wincentym spustoszę całą tę ziemię.

Wszyscy pochwalili to zdanie, a posąg nie zadał mu kłamu. Po księciu z Limburga przemawiał hrabia z Namur, jak to znaleźliśmy w historyi. Panowie, rzekł, mądrze mówił książę, ale jednak radzę nie słuchać go. Saxon jest pyszny, okrutny, zdradziecki, ale ma wielką parentelę, całkiem mu oddaną. Być może, że on zwycięży, a wtedy nas wszystkich zniszczy, bo Rycerz z łabędziem, chociaż mu przyznają moc czarodziejską *(le chevaliers le cisne, que on tient por faé)* nie wydaje się dlań dość silnym przeciwnikiem. To też radzę, aby zakładnikom pozwolić się wykupić, ktokolwiek będzie zwycięzcą. Gdy hrabia skończył tę mowę, posąg na niego palcem wskazał.

Po hrabi z Namur zabrał głos książę Simon z Lotaryngii. Wyglądał całkiem na barona. Panowie, rzekł, słuchajcie, co po-

[1]) Ten szczegół wskazuje na czyny i dzieła Wirgiliusza, podług legend średniowiecznych.

wiem: Saxona strzedz się należy, bo to jest człek gwałtowny; panią z Bouillon wyrzucił z jej siedziby, zniszczył mnóstwo miast i zamków, spalił Saint-Tiron, nawet kościoły, opactwa niszczy, Boga się nie bojąc. Rycerza z łabędziem Bóg nam przysłał. Zakładników nie puścimy, bo oni mścili by się na nas za swego pana. — Wszyscy się na te zdania zgodzili.

Odbędzie się tedy bitwa zacięta, a jeżeli Saxon będzie zwyciężony, to jego zakładnicy wszyscy życie stracą, żona jego i córka będą spalone, a on powieszony.

Sąd został naznaczony na wtorek po Zielonych Świętach. Cesarz zgodził się na to i na wszelkie warunki. Saxona ubierają w zbroję, jego przyjaciele konia arabskiego mu prowadzą; Rycerza z łabędziem ubiera sam cesarz we własny pancerz, w hełm własny, ładniejszego nikt nie widział. Naczelny koniuszy przyprowadził cesarskiego konia z Kastylii, nazywał się Flori. Obaj przeciwnicy do kościoła poszli, wysłuchali mszy do Ducha św. jeden przy ołtarzu św. Piotra, drugi św. Remigiusza. Bogate złożyli ofiary. Wsiedli na konie, na pole bitwy się udali, na łąkę kwiecistą, tam zaprzysięgli zdania swoje. Saxon skłamał przy tem. Krzyżem się położyli na ziemi, prosząc o łaskę Boga, przeżegnali się prawą ręką, a gdy wsiedli na konie, już było koło południa [1]). Obaj przeciwnicy są na koniach, ładnie uzbrojeni. Rycerz z łabędziem mówi do Saxona: książę Saksonii, oddaj Bouillon pani, której się należy. Skrzywdziłeś ją, żadnego do jej ziemi nie masz prawa, korzystałeś z tego, że nie ma obrońcy. Szalonym jesteś, idąc przeciw Bogu i sprawiedliwości. — Rozgniewany Saxon odrzekł: wasalu, mówisz jak kaznodzieja, mnichem być powinieneś, śpiewać w chórze raczej, niż walczyć; będziesz tego żałował, zanim dzień się skończy. — Rycerz z łabędziem, widząc, że zgody nie będzie, odsadził konia wstecz. Teraz się walka rozpocznie dwu dzielnych wasalów, o jakich nie słyszeliście dotąd.

Już jadą na siebie, już tarcze dziurawią, już lance łamią. Konie mają zwinne i mocne pancerze. Już obaj leżą na ziemi, jakby nieżywi. Straż pola bitwy przybiega, skrapiają im twarze wodą, trzeźwią ich. Rzeczywiście zrywają się na nogi do dalszej

---

[1]) Opis ten wstępnych do pojedynku przygotowań jest bardzo ciekawy i pouczający. Przysięga jaką składają, wskazuje na to, że wynik pojedynku będzie zarazem sądem Bożym.

bitwy. Dobywają mieczy, składają się grzecznie a zręcznie, ale walka będzie groźną, zanim się skończy.

Jak lwy rozgniewane nacierają na siebie. Saxon grozi, wzywa przeciwnika, aby się poddał, bo zginie i wymierzył mu srogie cięcie w głowę, ale ten się zastawił zręcznie tarczą i ze swej strony tak ugodził Saxona, że mu odciął z hełmu nakrycie nosa (nanosnik) wraz z nosa połową i wargą. Krwią zalał się Saxon, a Rycerz z łabędziem, który był zacnym człowiekiem, tak rzekł do niego: oddaj ziemię komu należy, a będę twoim wasalem i pięć set rycerzy księżnej Bouillon cztery razy na rok służyć ci będą, gdy zechcesz. — Ladajaki synu, *(fiex à putain)* odrzekł Saxon, oszpeciłeś mi twarz, a teraz chcesz mi hołd składać! Nie ma zgody między nami, takich sześciu jak ty, jeszczebym pokonał. — Biją się dalej i ostro sobie dogadują.

Saxon zażądał spokoju, zdjął przyłbicę, wypadł mu nos i warga. To go rozwścieklilo, natarł z większą jeszcze zaciętością, rozciął hełm rycerzowi, ogłuszył go tak, że przykląkł na prawe kolano. Dowiedziała się księżna z córką, że rycerz się zachwiał, spłakały się rzewnie i modlić się zaczęły w długiej modlitwie przed krucyfixem.

Oprzytomniał Rycerz z łabędziem, biją się dalej, hełmy sobie płatają. Bóg ma w opiece rycerza, a Saxon do dyabła modlić się zaczął: dyable piekielny, zapomniałeś o mnie! Przybądź mi na pomoc, bo ja nie wierzę w Boga, kościołowi nic nie dam, ani zakonom, ani pustelnikom. Wdowy i sieroty obedrę, chrześcijaństwu wrogiem będę. A ty, mówi do rycerza, nie ucieszysz się, chociażbyś mnie zwyciężył; mam 10 tysięcy baronów, którzy cię zgładzą, zanim rok upłynie. — Słyszy te bluźnierstwa straż pola z osłupieniem, a rycerz Bogu się poleca i biją się dalej. Za oszpecenie chce się Saxon pomścić, ale Bóg strzeże swego sługę. Rycerz z łabędziem odciął mu dłoń prawą, tak że z mieczem odpadła. Wtedy Saxon porzucił tarcz, wpół objął rycerza i niesie go do wody, aby go utopić. Ale że był krzywoprzysiężcą, więc Bóg sprawił, że zahaczył się ostrogą i upadł na ziemię. Szarpią się leżący, rycerz pod siebie dostał Saxona, rękojeścią miecza rozbił mu twarz, hełm mu zerwał, odgiął pancerz i w obliczu wszystkich uciął mu głowę i zapytał straż, czy wykroczył w czemkolwiek przeciw przepisom? Bynajmniej, odpowiedzieli panowie, którzy strzegli pola, a było ich dwunastu.

Straż pomaga rycerzowi wsieść na konia, oni także wsiadają, wszyscy udają się do cesarza, do pałacu, przez ulice ludem napełnione. Głowę Saxona trzyma rycerz w hełmie, przedstawia ją jako dowód zwycięstwa, za uzbrojenie gorąco cesarzowi dziękuje. Rozebrano go ze zbroi, przyniesiono wody do mycia, odziano go w suknią, cesarz go obok siebie posadził, bardzo go chwaląc. Przyprowadzono 30 zakładników Saxona, kazano się im wyspowiadać, i wszystkim ścięto głowy.

Pieśń ta jest świętą i pełną prawdziwego baronostwa, tak jak to historya opowiada. Zakładników Saxona ścięto, ale po spowiedzi i komunii z chleba święconego i wina. To też dyabeł nie mógł im szkodzić. Głowy ich wrzucono do wody, ciała pogrzebano pod krzyżem w Montoire.

Inni Saxonowie dwór opuścili rozgniewani. Było ich 4700. Zaraz szukali sposobności, aby szkodzić cesarzowi. Zobaczyli po drodze zamek Milesent, który należał do Florent'a, wnuka cesarza. On sam był w Nimaie, żona jego zastępowała go. Napadli Saxoni na zamek, złupili go, podpalili. Pani schroniła się do kościoła św. Maurycego, ale jej dwie dorodne córki zabrali, w ogrodzie schwytali dwu chłopców kasztelana, także cesarskiego kuzyna. Tych ściął zaraz Segars de Monbrin, dowódca saksoński, a przywoławszy Otrégo, Węgra rodem, oddał mu obie panny na wolą i kazał je do lasu wyprowadzić. Węgier miał ze sobą stu pachołków, pobili się o nie, one tymczasem przez ciernie i zarośla uciekły, a po trzech dniach błądzenia, dostały się do klasztoru, gdzie była ksienią ich ciotka. Tak ocalały.

Zostawmy Saxonów, których niech Bóg wygubi, a wróćmy do zacnej księżnej, która wraz z córką klęczący modliła się przy ołtarzu św. Wincentego, w kościele św. Marcina. Pośpieszył do nich giermek z wiadomością, że zabity jest Saxon i ścięci jego zakładnicy. Ziemia teraz do niej należeć będzie. Księżna złożyła dzięki Bogu i pośpieszyła do cesarza. Miłościwy królu, rzekła do niego, od Jezusa Betleemskiego doznałam dzisiaj łaski i od tego tutaj rycerza. Ziemię moją tobie oddaję, nadaj ją temu baronowi i niech zarazem pojmie córkę moją za żonę, a ja zostanę mniszką w klasztorze św. Florenta. — Zgadzam się na to chętnie, rzekł cesarz, a Rycerz z łabędziem oświadczył, że lenno przyjmuje, ale z tym warunkiem, że skoro Pan zażąda jego przybycia, a zjawi się łódź jego, bez zwłoki do niego się uda.

Cesarz zaraz młodą parę zaręczył. a nazajutrz ślub się odbędzie. Przystojny jest rycerz, panna biała jak lilia, czerwona jak róża. W nocy kąpano ją, komnaty zdobiono, łoże uścielono. Nazajutrz, pięknie ubraną w jedwab i gronostaje, tysiąc rycerzy odprowadziło do głównego kościoła, jadącą na mule, z jednym z książąt przy boku. Mszę śpiewał arcybiskup Raignier. Wesele wyprawiał sam cesarz. Piętnastu hrabiów podawało na stół zwierzynę i inne liczne potrawy, które trudno powiedzieć. Pełno było książąt w sali i skrzypków i śpiewaków. Wszystkim Rycerz z łabędziem bogate rozdaje dary. Tego dnia nie narzekał żaden żongler ani żaden bretończyk: *Ainc le jour ne s'en plainst jonglerres ne bretons* w. 4095 [1]). Dla nowożeńców rozpięto wspaniały pawilon, pełen róż, mięty, mieczyków i tataraku. Wszystko za sprawą Boga. Tam zostawiono nowożeńców a Rycerz z łabędziem tak rzekł do Beatryksy: cieszę się, miła przyjaciółko, że jestem twym mężem, wszelako bacz, abyś nie była zdrajczynią, tylko wiernego serca, wtedy radość nasza i cześć się pomnożą. — Odpowiedziała panna, która umiała ładnie mówić: Panie, tak niech Bóg sprawi i Duch święty.

Rycerz z łabędziem widzi się w pawilonie z Beatryxą i mówi do niej: proszę cię o jedno przyrzeczenie. — Ona na to: Sire, powiedz, czego sobie życzysz, cała jestem na twoje usługi. — Miła przyjaciółko, słuchaj, co powiem: jak długo chcesz mnie mieć za towarzysza, tak długo nie pytaj mnie, kto jestem, ani z jakiej ziemi. A jeżeli mnie zapytasz mimo mego zakazu, w przeciągu dni dziewięciu rozstaniemy się. — Ona na to: Sire, miły synu barona, raczejbym kije zniosła, zanimbym ciebie stracić miała z takiego powodu. — Przyrzekła mu, a jednak go zapytała w sali w Bouillon i straciła go, jak się to wie na pewno, i jak to w tej pieśni usłyszycie.

Zaufał jej Rycerz z łabędziem, całował ją i ściskał z miłością. Urodziła się im córka, nigdy nie było uczciwszej, nigdy jej serce nie pomyślało o żadnej zdrożności, ani szaleństwie [2]). Ona była matką dobrego księcia Godfreda, hrabiego Eustachego i króla Balduina, a wszyscy trzej byli lojalnymi braćmi.

---

[1]) Tak więc Bretończycy stanowili osobną klasę śpiewaków, lub muzyków, obok żonglerów. Zamiast skrzypiec, miewali harfy, zwane *hrotta* (rote).

[2]) Śpiewak wie już, że Ida będzie następnie sławioną jako święta.

Panowie uciszcie się, dobry zacny narodzie, słuchajcie pieśni tyczącej barońskwa. Zasnął Rycerz z łabędziem w pawilonie o złocistym orle, ale Beatrix czuwała. Jeszcze przededniem, przed świtem przyszedł do niej anioł, jaśniejszy od świecy zapalonej. Zobaczywszy go pani, zbladła i przestraszyła się, ale anioł do niej: miła, zacna pani, nie lękaj się, Bóg ci pozdrowienie przysyła, jako swej zaufanej i pożądaną przysyła nowinę. Poczęłaś córkę, która będzie księżną Bouillon i posiędzie Boulogne przez małżeństwo. Trzech będzie miała synów sławnych, dwu z nich będzie królami Jerozolimy, trzeci hrabią. To też pielęgnuj starannie tę córkę, skoro się urodzi, sama ją karmij, aby nie była wynaturzoną przez mamkę. Poczem anioł okadził łoże srebrną kadzielnicą i pokazał jej dla uspokojenia krzyż czerwony. Ośmielona pani przemówiła do anioła: panie *(sire)*, który znasz wszystkie rzeczy, przeszłe i przyszłe, powiedz mi, czy ten dzielny rycerz, który tu śpi obok mnie, jest wysokiego rodu? — Na to anioł: Bóg ci go przysłał, on ci ziemię ocalił, od wydziedziczenia obronił. On jest zacniejszego rodu niż cesarz, który ma Kolonią. Więcej nie pytaj mnie, ani jego. — Poddaję się temu, rzekła dama, w tem obudził się rycerz, a anioł się oddalił [1]).

Nazajutrz rano wstał Rycerz z łabędziem, ubrał się, dosiadł konia, którego mu cesarz z przyjaźni ofiarował, udał się do kościoła św. Marcina, gdzie już dzwonili i dokąd cesarz przybył. Po mszy udali się do pałacu; tam już sute jedzenie było zastawione. Podano im wody do mycia rąk, rycerz zasiadł obok cesarza i rzekł do niego: zamierzam pożegnać się z wami cesarzu, aby obejrzeć wraz z żoną me zamki; a ponieważ Saxoni są podstępni, przeto daj mi taki orszak, abym nie potrzebował lękać się ich w drodze. — Na to cesarz: towarzyszyć ci będzie mój kuzyn Galien z dziesięciu tysiącami rycerzy. — O Boże, wielki żal będzie po jego śmierci, którą znajdzie w cztery dni później, nad brzegiem Renu. Gdyby to król wiedział przez usta jakiego wieszczka, nie byłby go tam posłał za wszystkie skarby Aiquin'a: *Se li rois le seüst par boche de devin Il ne li envoiast, por le tesor Aiquin,* w 4251 [2]).

[1]) Tak więc od samego początku budzą się w księżniczce obawy, czy nie wyszła za kogoś niższego rodu. Żongler zna historyę biblijną, bo nie da się zaprzeczyć, że to zjawienie się anioła i jego proroctwo przypomina bardzo zwiastowanie anioła Gabryela.

[2]) Aiquin jest imieniem wodza saraceńskiego, który najechał Bretanię, a o którym śpiewał żongler nieznany, wcześniejszy widocznie od pieśni niniejszej.

Po jedzeniu przyniesiono innego wina, a cesarz umył ręce i teraz zażądał, aby mu Rycerz z łabędziem hołd złożył, co też tenże zaraz wykonał. Wieść o jego odjeździe zaraz się rozniosła, a był tam szpieg, który ją bez zwłoki zaniósł Saxonom.

Siedmiu hrabiów saskich zebranych było w la Roche-Gondré; przy nich piętnaście tysięcy wojowników, złych i podstępnych. Im to doniósł szpieg o podróży Rycerza z łabędziem. Zawołali: dobra do zemsty sposobność i zaraz w drogę ruszyli. Czwartego dnia przeprawili się przez Ren przy Koblencyi, gdzie prefektem był Asselin, cesarski urzędnik, ale oddany Saxonom. Odwiedził ich, ukrytych w lesie, zaopatrzył w chleb, mięso i wino, siano i owies. Następnie tak im poradził: ja pojadę naprzeciw Rycerza z łabędziem i Galiena, z sokołami, niby dla zabawy, zaproszę ich do siebie, a wy się przygotujcie do batalii. Gdy będzie pora, doniosę wam, a sam chciałbym uciąć głowę Rycerzowi z łabędziem.

Rycerz z łabędziem tymczasem opuścił Nimaie z Galienem; mieli 7.500 wojowników. Cesarz Oton towarzyszył im jakie pół mili i przestrzegał przed Saxonami, bardziej niż Ganelon zdradzieckimi. Miał tej nocy sen niepokojący, w którym dwu lwów walczyło przeciw siedmiu. Galienowi z ust gołąb wyleciał ku niebu. Od tego snu dreszczów dostałem i już nie spałem więcej, tak powiedział. — Na to rzekł Rycerz z łabędziem: będziem mieli bitwę, w której niech nam Bóg da zwycięstwo.

Trzy dni jechało wojsko, czwartego ranka znużone wypoczywało na łące. Konie się pasły, gdy się zjawił Asselin z 10-ma towarzyszami, wszyscy ładnie odziani. Przyjęto go uprzejmie, usadzono na trawie, dano mu kurcząt, sarniny, ryb, wina dobrego. On ich do siebie zaprosił i obiecał przygotować zapasy na wieczerzę, a teraz radził spać jeszcze, choć już słońce wysoko było na niebie. Tymczasem wysłał pachołka z poleceniem do hrabiów, aby szyki sprawili i na śpiących napadli. Pachołek się nie lenił, polecenie wypełnił, Saxony spiesznie się zbroją.

Zbroją się Saxony, konie siodłają, ale co się stało: najlepszy z ich koni: Ferrant z Nimaie uciekł im, pogonił aż do obozu Rycerza z łabędziem.

Pospieszył za nim pachołek, chwycił go, ale chwytając, spadł z konia i ciężko się skaleczył. Ujęto go, on wyznał, co się dzieje u Saksonów. Rycerz z łabędziem sam wsiadł na owego

Ferranta, dzielnego konia, do zbrojenia się wezwał [1]). Asselina niezwłocznie z towarzyszami powieszono na dębie. Nie zmówionoby pół psalmu, gdy już rycerstwo było gotowe do bitwy. Pięć szyków sprawili, trzystu rycerzy zostawiono przy Beatriksie.

W przedniej straży stanął Rycerz z łabędziem, objeżdża hufce, zachęca, nakazuje bić i zabijać na wszystkie strony, nie patrzeć na łup, po bitwie wszystko dla nich będzie, co zdobędą. Od Saxonów zjawił się rycerz z wyzwaniem, że siedmiu hrabiów chce pomścić śmierć swego księcia. Pytał się także o Asselina, pokazano mu go na dębie wiatrem szarpanego, Galiens zaś dodał, że jeżeli chce zabrać ubranie jego i jego towarzyszy, to niech ich rozbierze. Jest warte sto marek srebra! — Zemdlał wasal na ten widok.

Z przykrą nowiną wrócił wasal do swoich, opowiedział, co widział, do walki przygotować się radził. To nie będzie turniej, lecz krwawa batalia, w pieśniach opowiadać będą o zabitych, a Rycerz z łabędziem może Rolanda przewyższy (p. 172).

Żałują hrabiowie śmierci prefekta i jego doborowej drużyny. Są tacy, którzy radzą zgodę, bo Rycerz z łabędziem jest czarodziejski *(faé)* a w dzielności Rolanda może przewyższy; lecz Segars de Monbrin łży ich, grozi rycerzowi śmiercią bez spowiedzi. Saxon był moim wujem, moim przyjacielem i druhem, to też aby mi okazać wierność waszą, mścijcie się, zabijajcie bez pardonu, ucinajcie głowy! — Odpowiedzieli mu: pozabijamy, bo jesteśmy liczni i odważni.

Już się wojska zbliżyły do siebie na odległość strzały. Pięknie był uzbrojony Rycerz z łabędziem, który swoich zagrzewa, aby bronili swego kraju i swych przyjaciółek. Niech się starają, aby im dobre zanieść nowiny. On sam będzie im na czele świecił przykładem. — Piękną miał zbroję Segars, jeden i drugi kłują konie ostrogami, jak dwa jastrzębie na siebie najeżdżają, Segars łamie swą lancę, Rycerz z łab. swoją wpycha mu w ciało razem z chorągiewką dwujęzyczną, czerwoną, i woła: Nimaie, w imię króla Otona! Bijcie baronowie, wygubimy tych zdrajców.

Mdleje cztery razy Segars na ziemię zwalony, a gdy Rycerz

---

[1]) Koń Ferrant, który przygalopował do obozu Rycerza z łabędziem, dając sobą dowód, że niedaleko są wrogowie, bardzo przypomina dobrego konia *Cornu,* który także swoją ucieczką dał znać krzyżowcom, że Balduin jest otoczony przez Saracenów. To znaczy, że śpiewak zna pieśń o Jerozolimie.

z łabędziem wyciągnął swą lancę, dusza Segarsa wyszła z ciała, aby się dołączyć do krzywoprzysiężców.

Dzielnie się bije młody Pons, syn Guinemara, prefekt w Ardenach, a wychowaniec starej księżny Bouillon. Bije wołając „Bouillon“, za co go Rycerz z łabędziem chwali. — Powiem wam prawdę, że po tej bitwie wiele dam płakało, wiele panien męża dostać nie mogło. Segars leży zabity na trawie, a Rycerz z łabędziem goni za Gaudin'em z Roche-Agüe, przebił mu jego dobrą zbroję i zwalił zabitego na ziemię. Innego barona zabił jak psa, mózg mu wycinając. Pons dowodzi 500 rycerzami z Bouillon i przy boku Rycerza z łabędziem tak bije Saxonów, że z 2.000 ludzi Segarsa ledwie 30 przy życiu zostało i to bez nosa, albo brody, albo ręki, albo bez ramienia, albo bez nogi, bez pięty. Uciekli nie z bojaźni, tylko że przed śmiercią chcą się wyspowiadać.

Panowie, było to w maju, kiedy kwitną łąki i pierwsze się kosi siano. Rycerz z łabędziem pierwszym dowodził szykiem. Beatrix, ładniejsza niż fea lub syrena, na mule przecisnęła się do niego i pyta, czy cały? Zapewnia, że się modli za niego do tego, który odbył post czterdziestodniowy, przebaczył Magdalenie, Jonasza z brzucha wieloryba ocalił. Umie modlitwę Karola Wielkiego, którą ten cesarz w bitwie odmawiał, a którą ułożył św. Sylwester podczas swego postu na łańcuchu, a potem królową Helenę nawrócił, matkę Konstantyna. Ach, gdybyśmy już byli w Bouillon w naszej komnacie! Zesiadł z konia Rycerz z łabędziem, zdjął hełm błyszczący, zesiadła także Beatrix, a o ładniejszej damie żaden żongler nie śpiewał. Uściskali się czule [1]).

Galien teraz rusza naprzód, Rycerz z łabędziem przyłącza się do niego na dzielnym Ferrancie, a ludziom swym na łące wypoczywać każe. Niech Bóg pognębi Saxonów wiarołomnych. Oto nowy szyk prowadzi Espaullars de Gormaise, do gryfa podobny, a dobrze uzbrojony. Miał miecz w Brytanii ukuty przez Dionesa, jak mówi historya; 30 razy go przetapiał, 32 razy przekuwał, aby nie zawiódł. Kupiec Malarars sprzedał go za 100 marek złota, 20 sztuk jedwabiu i konia hiszpańskiego. Posiadał go niegdyś Cezar, który zdobył Anglią, Anjou, Alemanią, Francyą i Normandyą i Burgundyą i Akwi-

[1]) Byłaż to pora do ściskania? Tuż poprzednio dał śpiewak dowód, że go pobożne legendy bardzo zajmują.

tanią i Apulią i Bułgaryą, Saksonią i Maurytanią [1]). Prowadzi Espaullars swój szyk z dwu tysięcy jeźdźców przeciw Galienowi, którego szyk mniejszy, ale dzielny. Sam na niego najeżdża, lanca jego z tarczy w górę się pośliznęła, w oko Galienowi weszła, mózg mu przeszyła. Umiera Galiens, cieszy się Espaullars. Rycerz z łabędziem żale wywodzi, chciałby ocucić towarzysza, wyrzuty sobie czyni, że go źle bronił [2]). Tarczą go nakrył, sam następnie wsiadł na dzielnego konia Ferranta i w bój się rzucił. Jednego Saxona uśmiercił, wołając Montjoie, zachęca wojowników Galiena, aby się pomścili śmierci dowódcy, a przez to dali dowód, że go kochali. To też wnet 400 Saxonów zginęło, tak, że nie zobaczyli żon ani dzieci. Uciekają inni, Espaullars ich zawraca. Znakomitą pieśń usłyszycie, jeżeli się kto znajdzie, kto wam ją zaśpiewa.

Espaullars już zabił dzielnego Gontastra, już się cieszą Saxony, gdy Rycerz z łabędziem chwycił za proporzec Galiena, najechał na Espaullarsa, królewskie żelazo w pierś mu wsadził, wraz z proporcem i drzewcem, wołając hasło zabitego. Rozpłakali się rycerze Galiena, słysząc hasło jego, a Rycerz z łab. woła, aby zabijali tych, którzy go zabili, sam też zabija dla przykładu.

Już Sasi uciekają, niech ich Bóg skarze, zostawiając dowódcę na łące. Ścigają ich królewscy, zaścielając drogę odciętemi nogami, głowami, trupami całymi, rannymi. Konie bez jeźdźców uganiają po polu. Ale oto dwu innych hrabiów saskich powstrzymuje uciekających; Enors de la Perre i Josserand zdradliwy, każdy na czele 2 tysięcy rycerzy. Rycerz z łab. także dwa szyki przeciw nim prowadzi, jeden powierzając Hugonowi de Roche-Bise, drugi Guionowi z Falise. Dowiecie się o bitwie, którą wam opowiem, nigdy nikt lepszej nie słyszał.

Hugo pierwszy najechał na Josseranda i wraził mu w środek ciała swój proporzec złocisty. Biją Saxonów ludzie Hugona, idąc za jego przykładem. Doniesiono o tem Enorowi, omdlał z żalu, cztery razy zapłakał, potem pogonił za Hugonem, przebił mu piersi i serce, zabija drugiego, cały szyk rozpędza ze swymi ludźmi. Kto tam nie uciekł, złego się doczekał wieczoru.

[1]) Czy można znać lepiej historyą i geografią, jak ten żongler? Wszystko to wyczytał, zdaje się, z książki w szafie w Poitiers się znajdującej, albo podobnej. Ostatecznie, ma to znaczyć, że Cezar liczne wykonał zdobycze, co jest prawdą, kraje zaś wylicza żongler te, które znał.

[2]) Ta sytuacya przypomina stosunek Corbarana i Brohadasa pod Antyochią.

Uciekli ludzie Galiena po śmierci Hugona dowódcy, ale teraz Guion występuje do walki ze swym szykiem. Już zabił Marsiena, Abiena, Uriena, wołając do swoich: bijcie na cześć Pana Boga, króla niebieskiego. Ale Enors dotrzymuje pola i źle byłoby z Guionem, gdyby się nie był zjawił Rycerz z łabędziem. Ten na Enora najeżdża, pancerz mu płata, jakby był z bawełny, zabił go, wołając Montjoie, ludzie jego mszczą się strasznie na Saxonach za śmierć Galiena. Już zginął Josserand i Enors, ale nowych trzech hrabiów saskich występuje ze swymi szykami: Mirabeaux, Fouchars i Garnier, każdy ma 2 tysiące rycerzy dobrze uzbrojonych. Jeżeli Bóg nie przyjdzie z pomocą Rycerzowi z łab., to źle być z nim może i z żoną jego i dziedzictwem w Bouillon. Razem z tylną strażą mieli 7 tysięcy, podczas gdy Rycerz z łab. ma tylko 3 tysiące, oraz pięćset, którzy strzegli Beatrixy i zwierząt jucznych. Widząc takie tłumy nieprzyjaciół, modlić się zaczął Rycerz z łab. do Boga, a potem najeżdża odważnie i zabija, ale Saxoni wyparli jego ludzi z pola bitwy i jakich stu zabili. Nawraca swoich rycerz i grozi, że źle będzie temu, który się cofnie. Więc idą naprzód, on sam zwalił z konia Foucharta i wziął go do niewoli, szyk jego rozbił. Najeżdża teraz na szyk Garniera, bije on i ludzie jego. Tam była rąbanina i krzyki bolesne i narzekania, bo więcej niż tysiąc ludzi tam zginęło ze stron obu. Przy Rycerzu z łabędziem tylko stu zostało. Ci uciekają, rycerz z nimi się cofa, ale zawracając, zabił jakich 10 jeszcze.

Najeżdżają zwycięscy Saxoni, na ich czele Mirabeaux de Tabor. Przeciw niemu się zwraca Rycerz z łab., bije go, ale pancerza nie przeciął, tak był dobry. Na niego teraz siedmiu napada Saxonów, bił się jak Roland lub Olivier, uciekli, których nie zabił, jak skowronki przed jastrzębiem. Do nowej napaści zachęca swoich Mirabeaux, przeciw temu, który mu zabił wuja, księcia saskiego. To też strasznie natarli, tak, że Rycerz z łabędziem cofnął się z garstką swoich aż do tylnej straży, gdzie była Beatrix. Tam go napadł Mirabaux z Garnierem. Rycerz z łabędziem zasłał pole trupami, tak się bronił dzielnie, ale tamci nacierają, jego chcą zabić przedewszystkiem. Widzi Beatrix niebezpieczeństwo, jakie mu grozi, i jej samej, bo chcą ją zabrać do niewoli. Modli się tedy gorąco do Boga, ale Saxoni szydzą z jej modlitwy.

Rzeczywiście Mirabeaux zabrał Beatrix, nie zważając na jej płacze i krzyki. Rycerz z łabędziem, patrząc na to zdaleka, omdlewa

z żalu, ale oto biała jaskółka usiadła niespodzianie na szczycie jego hełmu i rozkazuje mu w imieniu królowej aniołów, dziewicy bez zmazy, aby odbił żonę Saxonom, mimo przeważającej ich siły. Zebrał tedy pozostałych mu ludzi i uderzył z odwagą, a Bóg mu przyszedł z pomocą w ten sposób, że na Saxonów zesłał obłok, z niego wyszła chmura ognista, która sprawiła, że się zaćmiły oczy zdrajców i nie poznając się, sami siebie zabijali wśród krzyków i wrzawy[1]). Rycerz z łabędziem najechał na Mirabela, zwalił go z konia i wziął do niewoli, Garnier uciekł ze Saksonami, ścigani do nocy. Tak się skończyła zdradziecka ich napaść; ze siedmiu hrabiów, tylko Garnier uciekł, dwóch wziętych do niewoli; Mirabeaux, Fouchars i inni zabici; z 15.000 zostało tylko 36.

Teraz dopiero mógł się posilić Rycerz z łabędziem, nic od wczoraj nie jadłszy. Nazajutrz pogrzebano zabitych w wielkiej mogile, na której krzyż postawiono. Zwłoki Galiena obmyto, zaszyto w jedwab i położono na noszach. Odesłał je Rycerz z łabędziem cesarzowi do Nimaie, wraz z wszystkimi jeńcami. Cesarz wyprawił Galienowi pogrzeb wspaniały z wigiliami i komendacyą. Pogrzebano go w kościele św. Samsona w marmurowym sarkofagu. Cesarz kazał sobie opisać całą podstępną zasadzkę Saxonów. Dowiedział się, że Rycerz z łab. podobny był do kosiarza, który kosą zboże ścina, że przewyższył Rolanda, Oliviera, Guillaume'a d'Orange, Samsona, Engeliersa. Z siedmiu hrabiów saskich oddał mu dwu jeńcami, inni zginęli, tylko Garnier uciekł. Mirabel i Fauchars prosili o łaskę, chcieli się wykupić, poddać się cesarzowi, ale ten odmówił i kazał obu końmi rozszarpać, innych powiesić na polu bitwy. Tak otrzymali należną im zapłatę.

Za zdradę zawsze się kara należy, teraz wam opowiem o Rycerzu z łabędziem. Objął w posiadanie Bouillon, kazał sobie zaprzysiądz wierność i potomstwu, jeżeli mu je da Pan Bóg. Wszyscy baronowie chętnie to uczynili. Kraj w pokoju utrzymywał, urzędnikom nie pozwolił krzywdzić wdów ani sierot, niesprawiedliwe zwyczaje usuwał, chodził do kościoła często, jeździł na polowanie i na rybołówstwo, na św. Jana pasował nowych rycerzy, jakich dwudziestu pięciu, następnie się bawiono, a nie było śpiewaka, żonglera lub menestrela, którvby nie otrzymał sukni lub

[1]) W podobny sposób zyskali zwycięstwo krzyżowcy pod Ascalon, jak opisuje Rajmundus de Agiles, Bongars p. 183.

konia. Ci, idąc na inne dwory, opowiadają o jego pańskości i roznoszą jego sławę aż do Czerwonego morza:

Ainc n'i ot canteor, jogleor, menestrier, C'on ne donast mantel ou bliaut, o cender. Palefroi, ou ronchi, si bien les fist loer; Cil vont as autres cors, n'ont cure d'arester; Si content son barnage, ne le volent celer; Tot parolent de lui, dusqu'en la roge mer (p. 210)[1].

Przyszła święta godzina, gdy pani z Bouillon porodziła córkę. Trzymał ją do chrztu opat od św. Droona, ochrzcił ją arcybiskup na imię Idain... Jakże się później wsławiła! Dama złożyła bogate dary w kościele, wielkie wyprawiono uczty, a Idę starannie wychowywano. Była roztropniejszą mając lat cztery, niż inne mając siedem, ojciec gorąco się modlił o łaskę dla niej, ubierano ją bardzo starannie.

Słuchajcie panowie, co wam teraz opowiem. Rycerz z łabędziem miał sen dziwny; zdawało mu się, że wyszły z lasu cztery lwy, za nimi trzy niedźwiedzie i dwa smoki latające i jakie 30 tysięcy psów różnych. On zabił jednego lwa, ale inne zwierzęta rzuciły się na niego, zwaliły z konia, rozszarpać chciały, smoki oczy mu wykłuć. Z ludzi jego wielu mu pożarły. Opowiedział ten sen Beatriksie, która się wnet domyśliła, jako roztropna, że to zapowiada nową napaść Saxonów. Rzeczywiście, nowych siedmiu hrabiów gromadzić zaczęło swe wojska, aby pomścić śmierć i klęski tamtych. Sprawcą tego najazdu jest Garnier, który uciekł żywy, na czele stanął książę Morant, syn Rainiera.

Pierwszego maja Ren przebyli na statkach o wschodzie słońca, następnie wsiedli na dobre konie i ruszyli na Bouillon. Goniec o tem doniósł Rycerzowi z łab. Wnijdź na wieżę, rzekł do niego, a zobaczysz sześćdziesiąt miast gorejących. Wszystko po drodze złupili i spalili. Jutro oblegną zamek Bouillon. — Zwołał książę Bouillon swych baronów, prosił o pomoc, którą oni przyrzekli. Dwa małe szyki utworzył po 200 ludzi. Jeden oddał seneszalowi Tierry do obrony zamku, z drugim sam podjął wycieczkę, zabił w niej barona Abla, zaś Acarin'a, który był synem Mirabela, przeciął na dwoje jak szmatę. Saxonowie uciekają, zatrzymał ich pa-

---

[1]) Czyby aż do Czerwonego morza zachodzić mieli francuscy śpiewacy? Jest w tem przesada poetycka, ale do Syryi, jak długo Antyochia i Jerozolima były w posiadaniu Francuzów, udawać się mogli. Sens tego oświadczenia jest taki, że sława baronów od poetów zależy, a godzi się zauważyć, że to samo o sobie twierdzili humaniści i poeci renesansowi.

latyn Galeran de Monbrin. Rozgniewany śmiercią Acarin'a, najechał na księcia, ten go z konia zwalił, ale sam także zwalony został i otoczony zewsząd. Dobytym mieczem bronił się dzielnie, ale co z nim będzie?

Oto koń jego uciekł do Bouillon, zobaczył go Tierry, domyślił się niebezpieczeństwa, szybko ze swymi ludźmi i z mieszczanami na pomoc pospieszył, zwalił Galerana, konia jego oddał swemu księciu, natarli na Saxonów, pędzili ich przed sobą, aż ich Garnier z wielką siłą zatrzymał. Wrócili tedy do Bouilllon, gdzie ich Saxoni oblegli, jak historya o tem opowiada.

Galerans stanął pod Bouillon, z nim Malprian i hrabia Fondaus i Garnier zdrajca i książę saski. Mają przy sobie 15.000 ludzi, innych nie licząc, którzy pustoszą ziemię cesarza Otona. Postanowili ogłodzić zamek. Tak radzą między sobą, a książę Bouillon także się naradza, każe dąć w rogi, gromadzi wojsko, nocą wycieczkę urządza. Zobaczywszy go Malprian, wyzwał go na pojedynek na swoje nieszczęście, bo w nim zginął. Już żadnej damy, ani panny nie pocałuje. Wyszły z niego płuca i trzewia i wątroba. Rąbią bulionczycy, Sasi się cofają, zabierając na tarczy zwłoki Malprianta.

Grzebią Saxoni Malprianta, w Bouillon książę nową zbiera naradę. Przedstawił na niej, że Saxoni niespodziewanie ich osaczyli nieprzygotowanych; żywności nie wystarczy im na długo, trzeba wysłać gońca z prośbą o pomoc do cesarza Otona. Wszyscy się na to zgodzili. List do cesarza skreślił mądry kleryk Hendri. Goniec o świcie wymknął się z zamku, spieszy do Kolonii, do Moguncyi, bo tam się cesarz przeniósł. List doręczony odczytał przed radą kleryk Daniel, cesarz był wzruszony prośbą księcia Bouillon i postanowił dać ostrą nauczkę Saxonom. Polecił zwołać baronów z ludźmi do Kolonii, gdzie się wnet 30.000 konnicy zebrało. Chorążym i wodzem został książę Lotaryngii.

Oton, cesarz Alemanii, zdał chorągiew księciu Lotaryngii. Wojsko jego było świetne, a Saxonom dał się we znaki, jak opowiada historya. Cztery szyki utworzył cesarz; pierwszy prowadził hrabia Grée, drugi książę Lotaryngii, trzeci książę Limburg, sam cesarz czwarty. Naprzód panowie, zawołał, ukarzmy Saxonów, za śmierć Galiena, za spustoszenie ziem naszych. Ruszyło wojsko, a było co patrzeć na pancerze, na hełmy, na lance, na znaki, na konie dzielne. Oj! źle będzie z Saxonami!

Na czatach był Galeran de Montbrin; zdziwił się bardzo, zobaczywszy wojsko cesarskie, kazał dąć w rogi, aby się zbrojono. Usłyszycie pieśń dobrą o bitwie, jeżeli słuchać zechcecie.

Ładny był ranek, słońce już świeciło, słowik śpiewał i skowronek. Słychać hasła, biją się Saxony z Niemcami (Alemanami). Książę Bouillon także z swoimi baronami z zamku wyjeżdża, naciera na księcia saskiego, z konia go wali. Saxoni na pomoc śpieszą, cesarz na nich najeżdża, wielka jest bitwa, zginął w niej Garnier zdrajca i wszyscy hrabiowie saxońscy, ich książę do niewoli wzięty, reszta uciekła. Łupy wielkie rozdał cesarz wojsku, księcia Saksonii zabrał i odjechał. Zabitych pogrzebali krajowcy.

Już o Saxonach i ich okrucieństwie opowiadać nie będę. Rycerz z łabędziem naprawia swe miasta i zamki zniszczone. W ciągu lat siedmiu zaludnił się kraj na nowo. Ida już miała przeszło lat pięć, w 60 krajach nie było ładniejszego dziecka. Wychowują ją starannie i książę i matka, to też bardzo była roztropną i dobrą, gdy miała lat sześć. O niej pieśń moja mówić będzie, jeżeli dobrze posłuchacie.

Sześć lat już miała Ida, była grzeczną i roztropną i zgrabną i ładną. Ubrana w suknię z Kartaginy, na której tkane były kwiaty i ryby morskie i ptaki latające. Cieszy się z niej ojciec i matka. Wyjdzie później do Boulogne za męża, będzie matką Godfryda z dzielnem sercem, hrabiego Eustachego, znakomitego barona, króla Baudouina, wielkiego pana, którzy zajęli Antyochią na wielką szkodę Saracenów.

Gdy Ida do siódmego doszła roku, była jeszcze ładniejszą i rozumniejszą. Kochali ją ojciec i matka, ale ta wnet na siebie ściągnęła wielkie nieszczęście na resztę życia. Słuchajcie panowie, jak ją dyabeł uwiódł do grzechu: jednej nocy myślała sobie, dla czego pan zakazał jej pytać go kiedykolwiek, z jakiej jest ziemi i jakie ma imię. Postanowiła sobie złamać ten zakaz, choćby nie wiem co nastąpić miało. Wcześnie rano wstał Rycerz z łabędziem, ubrał się, poszedł do kościoła, modlił się nabożnie, złożył hojną ofiarę na ołtarzu, wracając uściskał córkę przy spotkaniu. Nadeszła matka, ale ze złym zamiarem. Właśnie tego dnia upłynęło lat siedem od ich ślubu i od czasu, gdy jej zdobył stracone dziedzictwo. Straci go teraz dama przez swą lekkoduszność — Panowie, słuchajcie, jeżeli wam Bóg błogosławi: Rycerz z łabędziem, zacny baron, ściskał i całował bardzo swą córkę Idę, gdy zadzwoniono

na południe, a pachołek zawołał na wodę. Poszedł się myć książę, za nim liczni rycerze. Po sutym obiedzie wielu bawiło się w szermierkę, inni w szachy lub warcaby. Cały dzień się bawią po pańsku. Po wieczerzy spać poszli. Ale księżna spać nie mogła, tylko się przewracała z boku na bok, wreszcie obudziła męża i rzekła jak szalona: panie, w imię Boga, syna Maryi, jakie masz imię, gdzie się urodziłeś, w którym kraju, z jakiego rodu? — Gdy to baron usłyszał, przeraził się, zaczerwienił od gniewu, rozżalił się w sercu: Pani, odpowiedział, kończy się nasza miłość, jutro się rozstaniemy. — Dama myślała, że to sprawa dyabelska. Rozmawiali ze sobą do świtu, wtedy książę wstał zmartwiony, ubrał się, poszedł do kościoła na mszę, wróciwszy kazał osiodłać konia syryjskiego, przypasał miecz. Dwór go pytał: miły panie, dokąd się udajesz? Odpowiedział: opuszczam was, bo łabędź wnet się zjawi, umarłbym, gdybym tu dłużej został. — Żalą się dworacy, księżna płacze, do nóg mu się rzuca, ale napróżno go błaga. Przywołał Idę, uściskał ją i tak do niej przemówił: żal mi cię córko, tracisz dziś twego najlepszego przyjaciela, przez płochość twej matki, podobnej do Ewy, która mogąc jeść dużo lepszych owoców, pragnęła właśnie tego, który jej był zakazany. Nawet Adama do tego skusiła, wskutek czego z raju wypędzeni zostali, tak że ciężko na chleb pracować byli zniewoleni. Tak postąpiła matka twoja względem mnie, mimo obietnicy. Wracam teraz do mej dalekiej ojczyzny, ani do jutra zostać nie mogę. — Płaczą wasale, hrabiowie i kasztelany, i panie i panny, dworacy i chłopi w wysokim pałacu, nawet Aude tak w Blavies nie narzekała: *Moult demainent dolor sus el palais altain Que n'ot onques à Blaies demené par Audain* (p. 246) [1].

Wielka zapanowała żałość w sali kamiennej, płakały panny i rycerze, damy i służące, nawet ludzie ubodzy. Urodna księżna, nie mniej od Heleny ładna, bije się w piersi, rozdziera szaty i takie wywodzi narzekania: Ach nieszczęśliwa, która tracę mego przyjaciela tak ukochanego. Sierotą będziesz teraz, Ido córko moja. Dla ciebie nigdy już się nie odzieję w szaty bogate, spać nie będę w łożu miękkiem, lecz się oblekę we włosiennicę ostrą, jak ciernie, w czarną sukmanę, jak niewolnica *(com esclavine)*. Do lasu ucieknę, żywić się będę korzeniami i ziołem, będę żebraczką mizerną, na wzór

---

[1]) Omylił się tu żongler, bo Aude nie w Blaie płakała, lecz w Aix podług pieśni o Rolandzie.

Mariny [1]). Księżna klęka przed mężem i mówi: panie, nie gniewaj się tak bardzo; gdy mnie porzucisz, wszystko pójdzie na zniszczenie. Saxony spustoszą moje państwo. — Na to jej książę: gdyśmy się pobrali, prosiłem cię jako przyjaciółkę, abyś nie pytała ani o moje imię, ani o pochodzenie. Postąpiłaś jak Ewa, od której pochodzisz. Już łabędź po mnie wraca, ani dziesięciu już dni nie zostałbym za żadne skarby saraceńskie. — Słysząc to pani, pozieleniała, straciła przytomność, twarz jej zczerniała jak tarnka. Dwie panny ją trzeźwią: Mahaus i Aeline (Matylda i Adelina). Wszyscy, wielcy i mali, płaczą w sali marmurowej.

Teraz żałuje pani swego postępku, a historya nam mówi, że to odpokutowała. Idzie jeszcze raz do księcia i mówi: miły panie, czy tak Idę pozostawisz w dzieciństwie? Któż ją cenić będzie, gdy ciebie straci? Wieść się daleko rozejdzie o tem rozstaniu. Zostaw mi przynajmniej jaką pamiątkę, czy tarcz, czy szpadę, róg, albo lancę! — Zostawię, odpowiedział, róg mój ze słoniowej kości dla Idy, są na nim trzy obrączki i kamyki wielkiego znaczenia. Jeżeli go strzedz nie będziecie, może wam to szkodę przynieść. Chętnie go dama przyjęła, jak opowiada historya, a co się z nim stało, dowiecie się, jeżeli słuchać będziecie.

Słuchajcie panowie w imię Boga wszechmocnego! Żegna się Rycerz z łabędziem ze wszystkimi, żal mu Idy, która rzewnie płakała, a dla niej płakało 300 innych. Bogu wszystkich poleca, wsiada na konia, za nim księżna i Ida, prosto do Nimaie się udaje, do cesarza. Do pałacu przybywszy, pozdrawia go rycerz układnie, cesarz go ucałował, obok siebie posadził, także i księżnę i Idę. Rycerz zabrał głos, przypominając, że obiecał zostać przy żonie tylko tak długo, aż nie przybędzie po niego łabędź. Na te słowa łabędź wielkim krzykiem oznajmił swe przybycie. Wszyscy do okien pobiegli, wszyscy się dziwią, także i cesarz, któremu żal stracić rycerza. Obiecuje mu dodać dwa zamki, cztery włości, za szyję go ramieniem obejmuje, ale Rycerz odparł, że zostać nie może, choćby mu cesarz dał Paryż, albo Londyn, albo Wincestre, albo sławną Kolonią. Spieszno mi, obawiam się, że Pan mój zgani mię za opóźnienie: *Moult me crieg que me Sires ne me tort a folor* (p. 252).

---

[1]) Zdaje się, że na wzór Maryi Egipskiej.

Płaczą cesarz, księżna, wszyscy obecni biskupi, opaci i księża. Krzyczy łabędź, spieszy się Rycerz, bo inaczej mógłby umrzeć tu zaraz u stóp cesarza: *Se vos me tenes, de verte le sachies*, *Ja me verres morir ichi entre vos pies* (p. 252).

Ale proszę cię cesarzu, bądź opiekunem i doradcą dla Idy, której w twej obecności zdaję me ziemie i lenna. Po śmierci swej matki, niech ona będzie ich dziedziczką. Cesarz to przyzwolił. — Łabędź znów zawrzeszczał gniewliwie. Rycerz wskakuje na konia i spieszy na brzeg rzeki, składa do czołna tarcz i lancę, zdjął płaszcz drogocenny, miecz zatrzymał przy boku. Wstąpił sam do czołna, cztery razy się przeżegnał i zawołał: panowie, zostańcie z Bogiem! Odpływa łabędź ładny i wesoły, zabiera barona tak wsławionego. Znikł, jakby zatonął, nikt nie wie, dokąd się udał.

Płynie łabędź przez morze, zabierając dzielnego wasala, a w smutku zostawiając wszystkich na brzegu. Księżna drze na sobie ubranie, twarz drapie, omdlewa. Cesarz ją wsadził na muła, Idę przed siebie posadził, wracają do Nimaie. Przed pałacem była ładna sosna gałęzista, pod nią Ida hołd mu złożyła z całego dziedzictwa. Dobry nocleg dał im cesarz u siebie, a nazajutrz księżna wróciła do Bouillon, ale bez małżonka.

Wróciła księżna do Bouillon, kraj w pokoju utrzymała, Idę wychowywała starannie, co dnia opłakiwała straconego męża, rozdawała hojne jałmużny, odziewała ubogich, wznosiła ołtarze, kaplice i kościoły, msze śpiewać kazała, aby jej Bóg powrócił tego, którego straciła. Wszystko napróżno.

Panowie, słuchajcie pieśni na prawdzie opartej, powagą historyi stwierdzonej. Rządziła księżna krajem. Miała róg zostawiony jej na pamiątkę, który zawiesiła między inne rogi. Pół roku upłynęło, gdy jednego dnia, po obiedzie, pożar wybuchł tak nagły, że obecni uciec mogli tylko w tem, co mieli na sobie. Cała sala stanęła w płomieniach. Oto zjawił się ptak, w postaci białego łabędzia, trzy razy ogień okrążył, potem się weń rzucił i w obliczu wszystkich wyleciał z ognia nieuszkodzony z rogiem owym w dziobie i z nim odleciał. Zrozumiała w tem księżna zarzut niedbalstwa, rozpłakała się, a ludzie wieść roznieśli po całym kraju. Bo książę zapowiedział, że będzie nieszczęście, jeżeli rogu nie będzie chować z honorem i starannością. Tak więc zbłądziła po raz drugi, bo nie wolno się jej było pytać o imię męża i o jego pochodzenie. Żałowała tego bardzo, nosiła włosiennicę przez resztę życia, nigdy weł-

nianej koszuli nie wdziewała. jadała tylko raz na dzień. starała się być dobrą. Idę oddała w naukę magistrowi Salemonowi. kapelanowi swemu. który ją ładnie wyuczył psałterza i godzinek. Gdy miała lat czternaście. nie było ładniejszej panny aż do Kafarnaum. Starali się o nią książęta. hrabiowie i baronowie. ale matka żadnemu jej dać nie chciała, pamiętna tego, co jej anioł powiedział.

Gdy miała lat czternaście, Ida już była dużą i ładną. Twarz miała okrągłą. oczy błyszczące i wesołe. usta małe. zęby czyste. ramiona okrągłe i pełne. biodra szerokie. a stan wąski. W całej Francyi nie było przyjemniejszej panny. Bóg ją kochał. a to się okazało na jej potomstwie, jak opowiada historya. Godefroi był jej synem i Witasses (Eustachy) i król Baudouin, znany zdobywca. Oni to Niceą i Antyochią zawładnęli. Byli postrachem Turków i Persów. którzy nigdy równie nieprzyjemnych i groźnych sąsiadów nie mieli.

Uwagi dotyczące pieśni o Rycerzu z łabędziem.

Podług pieśni powyższej Rycerz z łabędziem jest dziadkiem Godfryda z Bouillon. Od niego pochodzi pierwszy król Jerozolimy, który przez to. że był pierwszym królem świętego grodu. zasłynął ponad wszystkich innych krzyżowców. Niezwykły bohatyr nie mógł mieć zwykłego pochodzenia i oto jakiego mu przodka znaleziono! Przodek ten w pierwszej krucyacie udziału nie brał, z czego wynika, że pieśń ta wychodzi poza zakres poetyckiej historyi tej wyprawy. Ma przeto już charakter odmienny od poprzednich. a przez nią właśnie całość cyklu. z historycznego, przechodzi w genealogiczny, rodowy. Oto drugie znaczenie, jakiego nabrał wyraz *geste;* najprzód oznacza historyą wogóle. następnie ród, a właściwie poetycką historyą rodu. Autor jego. którego imię poznamy. poszedł w tem za wzorem innych cyklów epickich, w których bohatyrowie także otrzymali podobny rodowód poetycki. Tak Charlemagne. tak Guillaum'e d'Orange, tak Doon de Mayence. tak Garin le Lorrain, tak też i Godfryd. Wszystkie te poematy są późniejsze od pieśni głównych, ale sięgając aż poprzed czyny bohatyra. stawiają się chronologicznie przed niemi, wszystkie uzupełniają niejako historyą wsławionej osoby lub wsławionych osób, o których publiczność słuchać lubiła.

Pieśń o Rycerzu z łabędziem składa się widocznie z dwu części. Jedna z nich opowiada nam, jak ten rycerz stał się ojcem Idy, ta zaś matką Godfryda; druga, skąd się wziął ów dziwny łabędź, który sam bez rozkazu przybywał lub odpływał z łodzią, przywożąc tajemniczego rycerza. Tamta jest w poemacie drugą częścią, choć ułożona była pierwej, druga później powstała, a mimo to stała się częścią pierwszą i słusznie, ponieważ dalej wstecz sięga.

Że tak było istotnie, na to mamy dowód w samym poemacie. Zaraz na wstępie w tyradzie trzeciej mówi poeta do swych słuchaczy: słyszeliście już pieśń o Rycerzu z łabędziem, ale nie ma tak starego człowieka, ani kobiety tak osiwiałej, którzyby słyszeli coś o jego pochodzeniu, w jakiej ziemi się urodził. Teraz się tego dowiecie. Powiem wam o tem bardzo dobrze, jeżeli mi Bóg pomoże:

Du Chevalier au cisne avés canchon oüe;
Il n'i a si viel hom, ne feme si kenue,
Qui onques en oïst le premiere venue,
De quel terre fust nes; mais or ert entendue,
Je l'vous dirai moult bien, se Dix m' est en aiue[1]).

Ponieważ tedy opowiadanie o rycerzu z łabędziem jest starsze, przeto od niego zacząć nam wypada. Najpierwszą bodaj o niem wzmiankę znajdujemy w historyi królestwa Jerozolimy przez Wilhelma arcybiskupa Tyru, gdzie ten uczony autor daje nam najprzód o Godfrydzie wiadomości historycznie dokładnie, które tu w skróceniu przedstawimy. Oto co mówi: pochodził zacny książę z Francyi, z prowincyi Reims, z miasta Boulogne przy brzegu morza angielskiego, z rodziców znakomitych i nabożnych. Ojcem jego był starszy Eustachy, hrabia tej ziemi, którego pamięć jako męża znakomitego, pobożnego, bogobojnego, żyje jeszcze w pamięci tamtejszych ludzi; matką była Ida, siostra księcia Lotaryngii Godfryda, z przydomkiem Struma, szanowne miejsce między matronami Zachodu zajmująca. Ów Godfryd, będąc bezdzietnym, przyjął za syna siostrzeńca, tego samego, co on imienia, którego dziedzicem wszystkich posiadłości ustanowił. *Qui postmodum cum sine liberis esset, nepotem aequivocum in filium suum adoptavit, eumque universi patrimonii sui heredem constituit* (l. c. IX, 5). A miał on trzech

---

[1]) Zobaczymy niżej, że to oświadczenie żonglera jest bardzo ważne.

braci godnych siebie, Baldwina, hrabiego Edessy, który po nim królestwo Jerozolimy objął; Eustachego, który odziedziczył hrabstwo Boulogne, a po śmierci Baldwina, królestwa Jerozolimy, mimo wezwania, objąć nie chciał; Wilhelma, z zacności do braci podobnego. Baldwin i Eustachy towarzyszyli bratu w sprawie krzyżowej; trzeci w domu pozostał. Był zaś Godfryd, jak starszy wiekiem [1], tak i cnotami najprzedniejszy: pobożny, bogobojny, sprawiedliwy, gardzący światowością, rzecz w młodym wieku i w stanie rycerskim rzadka, modlitwie oddany, hojny, łaskawy, Bogu miły. Wzrostem był pomiędzy największymi mniejszy, pomiędzy średnimi większy, bezprzykładnie silny, muszkularny, jasnowłosy, jasnobrody, (flavus, trochę rudy), w rycerskiej dzielności niezrównany.

Matka tych książąt święta, religijna, przewidziała ich przyszłość jeszcze w młodym wieku będących. Gdy raz bawili się około niej podług zwyczaju, kryjąc się pod jej płaszcz, wszedł ojciec Eustachy i zapytał, skąd pochodzi ten ruch pod jej płaszczem niezwykły. Na to matka odrzekła, jak powiadają: kryje się tam trzech mocarzy, z których jeden będzie księciem, drugi królem, a trzeci hrabią. Co się też następnie i sprawdziło. Bajkę o łabędziu, chociaż wielu zapewnia o jej prawdziwości, bo pospolicie mówiono, że od niego pochodzą, pomijam umyślnie, ponieważ zdaje się, że takie mniemanie od prawdy odbiega. *Praeterimus denique studiose, licet id verum fuisse plurimorum astruat narratio, cygni fabulam, unde vulgo dicitur sementivam eis fuisse originem, eo quod a vero videatur deficere talis assertio* (l. c. IX, 7).

Teraz zaczynają się nam już rozjaśniać stosunki historyczne prawdziwe. Matką Godfryda była rzeczywiście Ida, mężem jej Eustachy II, hrabia Boulogne i Lens, ale Ida nie była jedynem dzieckiem swych rodziców, bo miała brata Godfryda, dziedzicznego księcia Lotaryngii, z którego łaski dopiero Godfryd krzyżowiec otrzymał księstwo, ale nie od razu, bo cesarz inaczej zarządził.

---

[1]) W tem jest omyłka, ponieważ Eustachy był najstarszym. Tak zapisane jest w dokumentach fundacyi, utworzonych przez Idę. Zob. *Acta Sanctorum* aprilis II p. 141 n. *Vita beatae Idae* mówi tak samo (l. c.). Fakt, że on nosi imię ojca i on dziedziczy Boulogne, stwierdza to dobitnie. Te same źródła nic o Wilhelmie nie wiedzą. Natomiast Ordericus Vitalis (H. t. IV) wspomina coś o córce Idy, a więc siostrze Godfryda, która miała być wydaną za Henryka VI-go cesarza, ale wnet odtrąconą. Gdy zaś tenże Ordericus (l. c. IX) wzmiankuje później, że szwagrem Godfryda był krzyżowiec Conon de Montaigu, przeto być może, że ta sama siostra wyszła następnie za Conona. Zob. Acta SS. l. c. p. 140.

Genealogia książąt lotaryngskich jest następna: Godfryd z Arden, hrabia Verdun, miał syna Gozzilo (*Gothilus Magnus*), który już posiadał wyższą i niższą Lotaryngię. Matką jego była Kunegunda, córka Bosona, króla Arelatu i Irmengardy, córki Ludwika II-go, cesarza rzymskiego, syna Lotara I-go. Stąd to książęta lotaryngscy, nawet jeszcze Gwizyusze, wywodzili się zawsze od Karola Wielkiego. Synem owego Gozzilona, zmarłego roku 1040, był Godfryd Brodaty, zwany także *Audax* albo *Magnus*. On także był księciem obu Lotaryngii, a od cesarza Henryka III-go otrzymał jeszcze Spoleto. Dodajmy, że brat jego Fryderyk był nawet papieżem, pod nazwą Stefana V-go, ale tylko rok jeden. Pierwszą żoną Brodatego była Doda, matka Godfryda, oraz Idy. Drugą żoną była Beatryx, wdowa po Bonifacym, margrabią Tuscyi, z którym już miała troje dzieci: Fryderyka, Beatryx i Matyldę. Pierwszych dwoje wcześnie umarło, została tylko Matylda, dziedziczka Tuscyi, co znaczy chyba Etruryą. Małżeństwu Godfryda z jej matką, które posiadłości księcia nadmiernie pomnażało, starał się cesarz przeszkodzić, ale bezskutecznie. Brodaty Godfryd, nie mając dzieci z tą drugą żoną, szuka innego sposobu, jakby Tuscyą stale dla rodu swego nabyć i dlatego zaślubił syna swego Godfryda z Matyldą już jako dzieci.

Ten Godfryd, zwany Gibbosus, albo Struma, objął rządy po ojcu r. 1069. Był bitny, o Włochy nie dbał, pomagał Henrykowi IV. Roku 1071 przybyła z Włoch narzeczona jego, Matylda, ale wnet go opuściła na zawsze, z powodu, jak mówią, nieprzyjaznego usposobienia jego dla kleru, podczas gdy ona była gorącą wielbicielką Grzegorza VII-go. Jest to owa sławna Matylda z Canossy.

Młodsza od Godfryda Garbatego siostra jego Ida wydaną została za Eustachego II-go, hrabiego Boulogne i Lens. Ponieważ Godfryd Garbaty dzieci nie miał, przeto przed śmiercią adoptował drugiego jej syna imieniem Godfryd. Zginął, zabity w podstępny a okrutny sposób roku 1076. Zdaje się, że adoptowany syn jego, przyszły krzyżowiec, miał lat szesnaście, gdy objął dziedzictwo.

Widocznem jest, że w całej tej genealogii, o ile dotyczy Idy, matki Godfryda, króla Jerozolimy, nie ma nic nadzwyczajnego, nic mistycznego. Ida pochodziła z rodu bardzo potężnego, wojowniczego, ale bez żadnego obcego a tajemniczego przybysza. Zobaczymy teraz, jaki jest stan rzeczy po stronie ojca jego, Eustachego.

Podług archeologów [1]), ród hrabiów z Boulogne wywodzi się od hrabiów de Ponthieu. Pierwszy był Guillaume de Ponthieu, który nabył hrabstwo Boulogne; po nim nastąpił Arnulfus około 972 r. Po nim Balduin, Eustachy I. w końcu Eustachy II, mąż Idy, który pomagał Wilhelmowi Zdobywcy w najeździe na Anglią i za to tam pewnemi posiadłościami nagrodzony został. Także i w tym rodzie żadnego Rycerza z łabędziem, żadnego nieznanego przybysza nie znajdujemy.

Nic dziwnego tedy, że historyk Wilhelm Tyreński, jak to widzieliśmy, legendy o tym rycerzu za prawdziwą uważać nie chce. Wszelako on już ją zna, a że pisał to około r. 1180, przeto w tym czasie już fikcya ta była rozpowszechnioną. Przeróbkę Graindora także się kładzie na ten sam czas, a widzieliśmy, że i on o tej baśni wspomina. Tu miejsce przeto przytoczyć dokładnie cały ustęp u niego tej sprawy dotyczący.

Znajduje się w pieśni siódmej poematu o Antyochii (w 750 n.) Mowa tam o wyborze najdzielniejszego zucha do pojedynku, któryby roztrzygnął o walce Chrześcijan z Saracenami. Wybór padł na Godfryda, czem urażony Robert normandzki oświadcza, że on powinien był być wybranym, ponieważ pochodząc od Renauda, syna Aimona, jest lepszego rodu, niż Godfryd. Na to baronowie: nie mów tego, z wielkiego, na Boga Stworzyciela, jest Godfryd rodu. Z pewnością słyszałeś, co mówią, kim jest, a kim nie jest. Łabędź przywiódł jego dziadka na brzeg rzeki w Nimaie, na sam środek brzegu przy głównej wieży, samego jednego, w małej łodzi; nawet wiosła nie było. Dobrze był ubrany i odziany w płaszcz biały, a głowa jego bardziej błyszczała, niż pawie pióro. Cesarz go zatrzymał na takim warunku, że będzie mógł się oddalić bez żadnej przeszkody. Dał mu potem żonę z owej okolicy, krewną swoją, kuzynę księcia Begona, dobrą i żyzną ziemię mu nadał, oraz odział go zaszczytem Bouillonu. To też prowadził jego armię, chorągiew nosił, chętnie mu służył bez nieporozumień, aż wrócił łabędź o swej porze i zabrał wasala na słone morze w małej łodzi bez żagla i majtka. Żadnym darem cesarz go zatrzymać nie mógł, z czego smucił się cały dwór jego. Już o nim nic następnie nie słyszeli.

[1]) Zob. Acta SS. l. c. p. 139.

Pozostała po nim córka w zamku Bouillon, a książę Godfryd jest z tego rodu.

Sire, n'en parles mais, ce dient li baron
Moult est de grant parage, par Dieu qui fist le mont.
Bien aves oï dire qui il est et qui non.
Son ave duist uns cisnes à Nimaie el sablon,
En mi le plain gravier au plus mestre donjon,
Tout seul en un batel, ainc n'i ot aviron,
Bien chaussiet et vestu d'un paile d'auqueton,
Plus reluisoit ses chies que pene de paon.
S'el retint l'emperères par tel devision,
Qu'il s'en poroit r'aler sans nule contenson,
Puis li dona moillier en cele region,
Une soie parante, cousine au duc Begon,
Terre bone et fegonde dona id au baron,
Et si le ravesti de l'onor de Buillon.
Puis li guia ces os, porta son gonfanon,
Volentiers l'en servi sans nule mesprison,
Tant que revint li cisnes a la soe saison;
Le vassal emmena en un petit dromon
Parmi la mer salée sans sigle et sans noton,
Ains nel put retenir li rois par nesun don.
Moult en furent dolent li gent de la maison,
Onques puis n'en oïrent autre devision.
Une fille en remest el castel de Buillon,
Li dus Godefroi est de celle estracion.

Cały ten ustęp Graindora jest ciekawy i godny uwagi. Legenda o Rycerzu z łabędziem za jego czasów już istniała, sądzimy, że istniał właśnie poemat. Atoli, trzymając się jego tekstu, zauważymy, że przedstawia się ona powieść nieco odmiennie od tej formy, w jakiej ją znamy. Rycerz z łabędziem, ładnie ubrany (a więc nie hołysz) zjawia się tutaj niespodzianie w Nimaie bez bliżej oznaczonego powodu. Cesarz go zatrzymuje, robi go swym chorążym czyli wodzem, daje mu bogate lenno i w dodatku żonę, krewną swoją, a kuzynkę księcia Begona. Po pewnym czasie, gdy już termin upłynął, znów zjawił się łabędź i rycerza zabrał. Nie ma tu mowy o księżnej z Bouillon, wyzutej z dziedzictwa, nie ma mowy o pojedynku z groźnym Saxonem, o oddaniu Beatryxy za żonę Rycerzowi z łabędziem w nagrodę za zwycięską obronę. Tajemnicze jest przybycie i oddalenie się jego, a zawarunkowane jedynie jakimś terminem, który oznaczy przybycie łabędzia. Różnica jest znaczną, a wytłómaczyć ją można w ten sposób, że Graindor nie

dobrze znał, albo nie dobrze pamiętał cudzy poemat, a wzmiankując o nim ubocznie, dowolnie robił dodatki. Do takich dodatków należałaby wzmianka o księciu Begonie, która w ten sposób dałaby się rozumieć, że gdy Begon w poprzedzającej poezyi, ale w poezyi właśnie, był księciem Lotaryngii, więc Graindor zwyczajem żonglerów sprządł znowu poemat z poematem, robiąc Beatryxę z Lotaryngii kuzynką Begona z Lotaryngii, czem w poezyi zawsze być mogła, choć w rzeczywistości nie była.

Na uwagę zasługuje także sposób, w jaki Graindor opisuje zjawienie się Rycerza z łabędziem. Nie łabędź sam go zadziwia najwięcej, lecz łódź która płynęła do celu bez steru, żagli, wioseł i bez marynarzy. Taką łódź znamy już dobrze z Partenopeusa.

Otóż to samo pojmowanie tej powieści znajdujemy u Renaud'a autora pieśni: *Les Enfances de Godefroi de Bouillon*, który tak się wyraża:

Moult le sert jentilment, li fiex de palasine
Dame Yde la contesse, qui moult est proz et fine,
La fille al chevalier qui vint en la santine
Que li chisnes conduist contreval la marine;
En tant com il i fu soffri mainte haïne,
Et de maint haut baron maltalent et corine;
Puis en fu remenés quant vint à son termine[1].

Żongler opowiada o pobycie Eustachego na dworze angielskim i dodaje: bardzo zgrabnie usługuje królowi syn paladynowej, pani Idy hrabiny, bardzo dzielnej i delikatnej, córki owego rycerza, który w łodzi przybył, ciągnionej przez łabędzia w górę rzeki; jak długo tam był, cierpiał dużo nienawiści, od wielu wysokich baronów nieżyczliwość i zawziętość, następnie był odwieziony, gdy upłynął termin jego. Oddalenie się rycerza i tutaj zależnem jest od terminu jakiegoś, ale mowa tu jest o wrogach jego, od których dużo cierpiał nienawiści, co należy odnieść do Saxonów.

Podobne pojmowanie przechodzi nawet do kronik łacińskich i dzieł naukowych. Oto co przytacza Wincenty z Beauvais (Spec. naturale III. c. 127) z zaginionej kroniki Helinanda: *In Coloniensi dyocesi famosum et immane palacium Reni flumini supereminet, quod Juvamen nuncupatur ubi pluribus olim congregatis principibus ex improvisu advenit navicula quam collo alligatam cignus trahebat argen-*

[1]) La chanson du chevalier au cygne ed. Hippeau II. p. 32.

tea catena. Ex inde miles novus et incognitus omnibus exiliit et cignus navem reduxit. Miles postea nobilem duxit uxorem et liberos procreavit. Tandem in eodem palacio residens, cignum inspiciens adventantem cum eadem navicula et catena statim in navem se recepit et ulterius non comparuit. Progenies eius usque hodie perseverat. Zamiast Nymwegen daje Helinand Juvamen, pałac nieznany. Niewytłómaczony odjazd rycerza zależny jest od przybycia łodzi z łabędziem. Potomstwo jego do dziś istnieje, mówi kronikarz. Nie trzeba sądzić atoli, że klasztornego kronikarza zajmuje poetyczność tej powieści, on w Rycerzu z łabędziem widzi demona, który, przybrawszy postać ludzką, spłodził nawet dzieci. Tego są zdolne demony, mówi, jak właśnie ten przykład dobitnie o tem świadczy. Zaznaczamy przeto, że umysł Helianda zajęty jest demonologią. Inną atoli okoliczność uwydatnić należy: oto przed r. 1180 żaden kronikarz nie wie o Rycerzu z łab., Heliand już wie o nim, a wie z poematu i zaraz to zapisuje. Guillaume z Tyru, wiedział już także, ale nie wierzył.

Co więcej, w samej pieśni o Rycerzu z łabędziem wypowiedziane jest wyraźnie to samo zapatrywanie, z dodatkiem wcale niespodziewanym:

Li chevaliers le chisne se dreche isnelement,
La pucele reçoit et quanqu'a lui apent,
Et dist qu'il la prendra per itel covenant,
Se ses sires le mande et lui vient a talent,
De qui il tient sa terre et tot son chasement,
Et il voit le mesaige et sa nef ensement,
Que a lui s'en ira sans nul delaiement [1]).

Po zwyciężeniu Saxona oświadczyła księżna Bouillon, że wstąpi do klasztoru, a córkę swoją oddaje zwycięscy. Cesarz na to przyzwolił, a wtedy: „Rycerz z łabędziem szybko powstaje, przyjmuje pannę i wszystko co do niej należy i mówi, że pod tym warunkiem ją bierze za żonę, że gdy go wezwie, kiedy zechce, pan jego, od którego ma ziemię i całe zaopatrzenie i gdy zjawi się posłaniec jego z statkiem, on bez zwłoki do niego się uda." — Dowiadujemy się tutaj o panu zwierzchnim, którego Rycerz z łabędziem jest wasalem i któremu chce być posłuszny na każde wezwanie. Tym panem jest Bóg, nie kto inny. Za jego wolą pojawi się łabędź, a Rycerz z nim odpłynie. Taki jest pierwszy warunek, a dopiero kilka-

---

1) ed. Hippeau p. 149.

dziesiąt wierszy dalej (p. 152) Rycerz stawia żonie ów drugi warunek, a właściwie zakaz pytania, który Beatryx przyjmuje.

Co sądzić o tych różnicach? Czy przyjąć jakieś redakcye starsze tej pieśni, gdzie Rycerz z łabędziem także już znika, jak Amor u Apulejusza, ale w których powód tego zniknięcia był odmienny aniżeli później?

Nie jesteśmy pochopnymi do przyjmowania takich zaginionych pieśni, jeżeli ich istnienie nie jest poświadczone wyraźniej. Nam się zdaje, że mamy w poemacie trzykrotną reiteracyą; rycerz odjedzie, gdy czas upłynie i łabędź się pojawi; odjedzie, gdy jego pan zwierzchny tego zażąda; odjedzie, gdy żona złamie zakaz. Żongler chce uzasadnić niespodziewany odjazd jak najlepiej i dla tego gromadzi przyczyny, nie rozumiejąc, że jedna drugą osłabia. Ponieważ tedy w *chanson du Chevalier au cygne* mamy obok innych także ten motyw, że rycerz odjedzie, gdy czas upłynie, a łabędź znów się pojawi, przeto sądzimy, że zarówno Wilhelm Tyreński, jak Graindor z Douai, jak Helinand, znali właśnie tę pieśń ze słyszenia, przedstawili jej osnowę, jak ją spamiętali, a spamiętali niedokładnie. Zresztą, wzmiankując ją tylko nawiasowo, nie mieli obowiązku być dokładnymi, krytyczna zaś ścisłość jest całkiem obcą umysłom owego czasu.

Przechodząc do rozważania genezy tego poematu i jego motywów, zaczniemy od tego motywu, który nas co dopiero zajmował. Skąd wziął poeta pomysł, aby oddalenie się rycerza upowodować upłynieniem pewnego czasu? Sądzimy, że taki pomysł był mu najbliższym, słyszał to wielokrotnie, często bowiem znachodzi się w Piśmie św., a zwłaszcza w Nowym testamencie: gdy nadejdzie czas, albo już nadeszła godzina itp. Ale to nie wystarcza. Ważniejszym jest wzgląd następny: Rycerz z łab. zastrzega sobie wobec cesarza wolny odjazd w danej chwili, a takiego pozwolenia potrzebował, stając się jego wasalem, przez małżeństwo z dziedziczką księstwa Bouillon. To już chyba motyw ten dodatkowy całkiem wyjaśnia.

Idźmy dalej, przypominając, że cały poemat o Rycerzu z łabędziem służy do tego, aby dać Godfrydowi z Bouillon niezwykłe pochodzenie, takie, któreby nie było mniej zaszczytnem od rodu Renauda z Montauban, albo Partenopeusa. To też sądzono, że ów łabędź powinien mieć jakiś związek z Godfrydem, albo jego rodem. Pierwszy z uczonych, który się tym cyklem zajmował, P. Paris, nie widząc żadnego innego wytłómaczenia, wpadł na pomysł zaiste

filologiczny. Sądził, że Godfryd, jako krzyżowiec, miał krzyż przypięty, albo przyszyty, a więc był *cruce signatus*, *chevalier au signe*, możnaby powiedzieć. Że zaś *signe* wymawia się tak samo, jak *cygne*, przeto powstał wskutek tego *chevalier au cygne*, któremu następnie dodano odpowiednią fikcyę. Przeciwko temu powiedzieć można najprzód, że w takim razie owym *chevalier au cygne* powinien być sam Godfryd, a nie jego dziadek, który nie mógł być jeszcze *signatus*; a potem, że łabędź po starofrancusku nazywa się *cisne* (od *cicinus*), jak to w samym poemacie czytamy, a więc nazwa ta w miejsce *signe* wsuniętą być nie mogła. Chociaż wytłomaczenie to jest niemożliwe, to jednak podane jest jeszcze w podręczniku Junkera (1894, § 50), ponieważ lepszego nie znaleziono.

W inną i lepszą stronę zwrócił się Reiffenberg, który w swych *Monuments pour servir à l'histoire des provinces de Namur, de Hainaut et de Luxembourg*, 46—48, tomy IV—VI, bardzo szczegółowo zajmuje się naszym poematem, przytaczając o nim mnóstwo świadectw, jakie zebrał. Otóż świadectwa te zaczynają się od Wilhelma z Tyru, bo starszych nie ma. Natomiast późniejsze pojawiają się już w pierwszej połowie wieku XIII, a ciągną się aż jeszcze w XVII wieku. Pragnąc znaleść bliższą jaką styczność Rycerza z łabędziem z Godfrydem, szukał starych znaków herbowych, albo pieczęci, i nic nie znalazł. Dziwić się temu nie będziemy, ponieważ za czasów Godfryda z pewnością jeszcze stałych znaków rodowych nie było, Graindor zaś daje mu smoka na proporcu. Ostatecznie więc żadnego związku z łabędziem.

Dopiero w ostatnich latach zabrał się do tego przedmiotu J. F. D. Blöte i z niezwykłą wytrwałością w całym szeregu rozpraw starał się go wyjaśnić [1]). Przyjmuje najprzód, że powieść o Rycerzu z łabędziem może być podaniem rodowem. Przechodzi tedy porządkiem wiadomości kronikarskie o wszystkich znacznych, a zwykle i spokrewnionych w tamtej okolicy rodach i wykazuje, że ani ród hrabiów z Limburga, ani z Luxemburga, ani książąt dolnej Lotaryngii, ani hrabiów z Boulogne, w dwunastym wieku, a więc i poprzednio, nic o Rycerzu z łabędziem nie wiedzą, cho-

---

[1]) Der historische Schwanritter I, Zeitschrift für rom. Philologie XXI; II, tamże XXV p. 1—44; das Aufkommen des clevischen Schwanritters, Zeitschrift für deutsches Alterthum XLII p. 41. Zapowiada dalsze jeszcze prace w tymże przedmiocie, mianowicie das Aufkommen des brabantischen Schwanritters.

ciaż zapisują starannie wieści o pochodzeniu z Troi, albo od Karola Wielkiego. Biografia Idy, rzeczywistej matki Godfryda, a księżniczki z Bouillon, pisana jest najpóźniej r. 1143, ale i tu nie ma wzmianki o dziwnym rycerzu, który przecież miał być jej ojcem. Tak samo historycy pierwszej krucyaty, zdarzeniu temu współcześni, albo krótko potem piszący, którzy zapisują starannie wszystko co najlepszego, albo najciekawszego wiedzą o Godfrydzie, niekiedy nawet niedorzeczne pogłoski, o Rycerzu z łabędziem nic nie wiedzą. Z tego wnioskuje słusznie, że takie dawne podanie rodowe nie istniało, a mianowicie, że nie istniało żadne podanie, tyczące się tajemniczego pochodzenia Godfryda z Bouillon i jego braci. *Godfried von Bouillon und seine Brüder waren von Haus keine Nachkommen eines wunderbaren Vorfahren* (*Der historische Schwanenritter* II p. 7). Myśmy także doszli do tego samego rezultatu, rozważając wyżej podaną genealogią Godfryda po mieczu i po kądzieli.

Pyta się następnie, czy ta powieść nie opiera się na dawnem podaniu ludowem, takiem zwłaszcza, któreby miało związek z totemizmem, t. j. z wiarą w pokrewieństwo ze zwierzętami. Ono mogło być ogólnem, do żadnego rodu nieprzywiązanem. Po długiem dochodzeniu (l. c. 7—23) oświadcza, że takie przypuszczenie byłoby mylnem. — To jest moment ważny. Podług panującej dzisiaj metody w historyi literatury wogóle, a w szczególności co do takich opowiadań, można liczyć na pewne, że dzisiejsi uczeni od razu uciekną się w mglistą sferę podań ludowych, albo odwiecznej mitologii. Rzeczywiście, oto co pisze G. Paris: *dans le chevalier au cygne nous avons une vieille légende mythologique rattachée aux origines de la maison de Bouillon.* H. Suchier przedstawia zapatrywania podobne: *eine wallonisch-lothringische Volkssage erzählte von einer von Feinden bedrängten Herzogin, der eine Art Schutzgeist ihres Geschlechts, ein Ritter in strahlender Rüstung, in einem von einem Schwan gezogenen Schiff zu Hilfe kam und sie befreite*[1]). Tak więc jeden z tych zasłużonych filologów ucieka się do mitologii, drugi do podań ludowych. Co najmniej, to jeden z nich się myli, a może i obaj. Takie rzekome wyjaśnienia są nadzwyczaj łatwe, bo nie wymagają, ani też nie znoszą dowodzenia, chyba by było utkane ze samych

[1]) G. Paris: *La littérature française au moyen âge* 1890 § 29 H. Suchier: *Gesch. d. franz. Litt.* p. 50.

domysłów. To też przytoczymy własnemi słowy zdanie Blötego, do którego doszedł po długiem i starannem roztrząsaniu: *eine absichtliche Verbindung mit irgend welcher vorher schon bestehenden lothringischen, oder fremden, oder erfundenen Tradition ist ausgeschlossen. Eine unwillkürliche Uebertragung einer lothringischen Landessage oder eines lothringischen Märchens auf Gottfried hat nicht statt gefunden. Es gab vor Gottfried eine solche Tradition in Lothringen überhaupt nicht. Dies Resultat ist im Einklang mit dem Schweigen der Berichte von einem Schwanritter vor ca. 1180 und mit der Thatsache dass es in der germanischen und keltischen Mythologie kein göttliches Wesen gab, dessen charakteristisches Attribut oder Merkmal ein Schwan ist* (l. c. p. 23). Z tym wynikiem zgadzamy się zupełnie, ponieważ w badaniu swem autor trzymał się starannie źródeł i świadectw historycznych, a bądźmy pewni, że w piśmiennych społeczeństwach każde zjawisko nowe, niezwykłe, nawet irracyonalne, znajdzie kogoś, który je zapisze, poświadczy. Nie jest zaiste gorzej w historyi, jak w geologii, gdzie przecież dawno zaginione zwierzęta i rośliny ślad swój zostawiły.

Tak sobie oczyściwszy pole badania, stawia Blöte inne przypuszczenie, a mianowicie, że powieść o łabędziu odnosi się może do jakiejś osobistości historycznej, do zdarzeń prawdziwych, związanych następnie ściślej z rodem książąt z Bouillon i hrabiów z Boulogne. W tym celu śledzi pilnie wiadomości o stosunkach pokrewieństwa we wszystkich pokoleniach tych dwu rodów i oto co znalazł: Baldwin z Edessy, rodzony brat Godfryda, miał za pierwszą żonę Godehildę z Toëni, w Normandyi, którą poślubił tuż przed pierwszą krucyatą i zabrał ze sobą na tę wyprawę. Ród baronów z Toëni wywodził się od brata Rollona, zdobywcy Normandyi. Z rodu tego zasłynął zwłaszcza Roger, który roku 1018 z drużyną udał się do Hiszpanii, aby walczyć z Saracenami. On pierwszy z Francyi to uczynił, dla tego kronikarze o nim piszą. Dowiedział się, że w Barcelonie umarł hrabia, że Saraceni oblegają miasto, że wdowa Ermessinda jest bezradną, bliską zguby, on tedy śpieszy na pomoc, Saracenów odpędza, za co otrzymuje córkę Ermessindy za żonę. Po niejakim czasie (latach 17) wraca do Normandyi, gdzie wnet zginął, w wojnie domowej, ale imieniu jego pozostał na zawsze przydomek Hiszpańskiego. Otóż Godehilda, żona Baldwina, była właśnie wnuczką tego Rogera. Blöte sądzi, że w tych zdarzeniach jest dużo podobieństwa z tem, co o Rycerzu z łabę-

dziem opowiadają: z daleka przybył rycerz nieznany, obronił od wrogów wdowę zagrożoną, otrzymał jej córkę w małżeństwo, w końcu odjechał i przepadł. Drużyna Baldwina, przypuszcza Blöte, opowiadała sobie o tych czynach dziadka ich pani; z ich kół wyszedł zawiązek opowiadania przedstawionego następnie w poemacie o Rycerzu z łabędziem. Bo uważmy, że dziadek żony Baldwina, był niby także jego dziadkiem, a przeto dziadkiem Godfryda (l. c. p. 30—32).

Jakieś podobieństwo pomiędzy temi zdarzeniami a przygodami Rycerza z łabędziem jest niezawodnie, i wspomnienie ich mogło wpłynąć na ukształtowanie powieści, należy wszelako uwydatnić słabe strony tego przypuszczenia. Najsłabszą jest to, że Blöte drużynie Baldwina każe przechować tę tradycyą. Wobec tego, należy zauważyć, że Godehilda, żona Baldwina, umarła już w drodze w Azyi mniejszej, a Baldwin, jak wiemy, ożenił się w Edessie raz drugi, a w Jerozolimie raz trzeci. Umarł bezdzietny. Z pewnością o tradycyach rodu Toëni już tam mowy nie było, choć zawsze w historyi zapisany pozostawał fakt, że rycerz, z daleka przybyły, obronił wdowę i otrzymał jej córkę za żonę. Silniejszy zarzut będzie ten, że owi historycy i kronikarze wypraw krzyżowych przez długie lata nic o tem nie wiedzą, aż dopiero około r. 1180 pierwszy arcybiskup z Tyru o wieści tej wspomina, a Graindor dokładniej o niej mówi. Można tedy przyjąć, że owo opowiadanie nie zjawiło się wcześniej, jak około r. 1170, a do tego czasu cała drużyna Baldwina oddawna była w grobie. Chcemy przez to powiedzieć, że powieści o Rycerzu z łabędziem z tych kół wywodzić nie można, jak to czyni Blöte.

Nie bez znaczenia będzie zarzut, że ów Roger z Toëni nie został hrabią Barcelony, a wracając do Normandyi, zabrał, jak się zdaje, żonę z sobą. Pomijamy szczegół, że Roger nie stoczył z nikim pojedynku w obronie Ermessindy i jej córek (bo miała ich dwie, oraz syna), wobec takich szczegółów poeta mógł użyć należnej mu swobody, zanaczyć atoli wypada, że nie ma w tej wieści żadnej wzmianki ani o łodzi bez wioseł płynącej, ani o łabędziu.

Blöte przyznaje sam tę trudność ostatnią, mówiąc: *in den Quellen, die im 11 und in der ersten Hälfte des 12 Jhds von Roger de Toëni berichten, findet sich nichts von einem Schwan* (p. 30). Ale się nie zraża, tylko szuka dalej. Idzie za rodem Toëni do Anglii, gdzie

się już Toni piszą. Udali się tam wraz z Wilhelmem Zdobywcą i bogato w ziemie zaopatrzeni zostali. Klasztor św. Albana leżał w pobliżu ich siedziby, opiekowali się nim gorliwie, to też kronikarze tego klasztoru piszą o nich w swych dziełach. — Czytamy tedy u Mateusza Paris: *erat enim (Rogerus de Thoni) in armis clarissimus, et genere, natione Normanus, ab illis famosis militibus trahens propaginem, qui a cygni nomine intitulantur.* (Blöte l. c. p. 34). Tu jest mowa o łabędziu, w połączeniu z rodem Toni. Blöte bardzo wielką wagę do tego cytatu przywiązuje. Niestety Mateusz Paris pisze dopiero r. 1250, gdy już poemat o łabędziu wszędzie był znany. Ta okoliczność pozbawia świadectwo tego kronikarza całej wartości, pomijając niejasność jego wyrażenia, które zdaje się wskazywać raczej na nazwę *Swan* albo *Cygne.*

Znalazł dalej Blöte w poemacie treści heraldycznej z r. 1300 wiersze następne: *Blanche cote et blanches aletes, Escu blanc et banière blanche Avoit o la vermeille manche Robert de Tony ki bien signe ke il est du chevalier a cigne* (l. c. p. 32). Miał więc Robert Tony białą suknię i białe wyłogi, tarcz białą i biały proporzec, a na nim rękaw czerwony, co wszystko znaczy, że pochodzi od Rycerza z łabędziem. Nie ulega wątpliwości, że wiersze te wiążą Roberta Toni ze sławnym Rycerzem, ale są zbyt późne, aby dowodziły czegoś o zdarzeniach w wieku jedenastym. Wyobrażenia w nich przedstawione wytworzyły się z pewnością pod wpływem poematu, oraz niejasnego zapisku Mateusza Paris, który mógł je podsunąć heraldycznemu poecie tak, jak podsunął Blötemu. Wyobrażenie to wsparte zostało tradycyą rodową, że Godehilda Tony była żoną Baldwina, brata Godfryda, obaj zaś, podług znanego powszechnie poematu, pochodzili od Rycerza z łabędziem. Bo ów heraldyczny poeta, aby pochlebić, mógł nie uważać na to, że był tylko związek rodu Toni z rodem Rycerza z łabędziem, a nie było pochodzenia. Inna jeszcze okoliczność silnie się sprzeciwia przypuszczeniu Blötego: na początku wieku czternastego już stałe znaki herbowe były w użyciu; otóż jeszcze Robert Toni ma na proporcu czerwony rękaw, a nie łabędzia, jakbyśmy się spodziewali, i jakby było niezawodnie, gdyby pochodzenie od Rycerza z łabędziem było w tym rodzie dawną tradycyą. Ta tradycya dopiero się tworzy przez kronikarzy i dworackich poetów późniejszych.

W każdym razie ów poeta heraldyczny już przyznał Robertowi Toni niezwykłe i sławne pochodzenie aż od Rycerza z łabę-

dziem. To też nie będziemy się dziwili, że r. 1403 Staffordowie, którzy pochodzą od drugiego syna owego hiszpańskiego Rogera, hełm swój mieli ozdobiony łabędziem, a r. 1500 Edward Stafford-Buckingham już się nazwał pochodzącym wprost od Eliasza, Rycerza z łabędziem (*lineally descended*, Blöte l. c. p. 39), czem w żaden sposób być nie mógł, choćbyśmy jak najpobłażliwiej uznawać chcieli te przypuszczenia. On pochodził od Rogera Hiszpana, a nie od Eliasza.

Podobnie, jak w Anglii, działo się na kontynencie, gdzie mnóstwo rodów już od pierwszej połowy XIII wieku wywodzi się od sławnego rycerza, wszystkie atoli dopiero w lat kilkadziesiąt po poemacie. Najprzód hrabiowie z Namur, których zdaje się kronikarz Lambert d'Ardres tak zaszczycił; równocześnie, a może nawet nieco prędzej, książęta z Brabantu, których Wolfram von Eschenbach splótł z białym rycerzem; w tym samym czasie hrabiowie z Brogne; wnet też hrabiowie Limburg; znacznie później, ale za to tem płodniej hrabiowie z Cleve, od których ród łabędzia rozszedł się do Loen, do Hesyi, do Prowancyi, do Teysterband. Z drugiej strony kronikarze Brabantu sięgnęli aż do Juliusza Cezara i do Arkadyi. Bo stąd pochodził Silvius Barbon, generał Cezara, którego łabędź po Renie przyciągnął, a jasnem dla nich było, że właśnie od Barbona pochodzi nazwa Brabantu. Nie chcieli być gorszymi książęta z Tongre i dla tego Wasserbourg (1549) splótł ich także i z Cezarem, i z Barbonem, i z łabędziem, i z Karolem Wielkim, nie omieszkając sięgnąć aż do Troi [1]).

Powiemy tedy, że krytyka negatywna Blötego wydaje się nam doskonałą; ani mitologiczne, ani ludowe tradycye poematu nie wyjaśniają. Atoli konstrukcya pozytywna tego uczonego nie całkiem jest wystarczającą. Przed pojawieniem się poematu nie ma najmniejszej wzmianki o łabędziu przy rodzie Toni, późniejsze zaś przypisywanie się do tego nie dowodzi niczego. Jedno tylko wydaje się nam prawdopodobnem, a mianowicie, że w Boulogne (a więc nie w Edessie i nie w Jerozolimie) przechowała się pamięć o Rogerze Toëni, który przybył zdaleka, obronił wdowę od wrogów za co jej córkę otrzymał w małżeństwo. Słyszał o tem zdarzeniu poeta, wziął je za temat do swego utworu, który zapomocą ładnych

[1]) Zob. Reiffenberg, l. c. Introduction, ale także wszystkie wymienione prace Blötego.

zmian i dodatków, rozwinął, w sferę poetycznej tajemniczości przeniósł.

Chodzi teraz o to, aby wyjaśnić wszystkie owe dodatki i zmiany, które poematowi właściwy mu charakter nadają. Będziemy się starali wytłómaczyć je na podstawie literatury współczesnej, a za taką uważamy nietylko to, co wtedy pisano, ale i co czytano. Poecie najbliższą była poezya, trzeba tedy rozpoznać jaki sposób tworzenia objawia się w utworach ówczesnych. Pieśń o Rycerzu z łabędziem ma jakieś jądro historyczne, jak to się okazało, lecz ten zawiązek historyczny rozwinięty jest przy pomocy zmyśleń.

Ładne te zmyślenia mogą pochodzić tylko od bardzo zmyślnego człowieka, a właśnie nasi wędrowni poeci, jak Graindor, Renaud i wielu innych, byli specyalistami od zmyślania. Takie było ich rzemiosło, a od zmyślności zależał ich zarobek. Starali się tedy o nowe pomysły, że zaś całkiem nowe pomysły są bardzo rzadkie przeto odmieniali dawniejsze, tworzyli nowe kombinacye, czyli połączenia, a w tem odmienianiu i łączeniu doszli do niepospolitej wprawy. Widzieliśmy też niejednokrotnie, że tam, gdzie nowe produkują zmyślenia, tam powołują się nie na wieści ludowe, lecz na historyą, na książkę, znajdującą się w szafie gdzieś daleko, aż w Poitiers, gdzie może nigdy nie byli.

Nasi poeci wędrowni żyją tedy wogóle całkowicie w świecie fikcyi, poetycznych zmyśleń, swoich własnych i cudzych. Z jednego poematu wysnuwają drugi, z drugiego trzeci, jak to już widzieliśmy i jeszcze dokładniej zobaczymy. Postępują tak w całości i w szczegółach. Przypomnijmy tutaj, w jaki sposób Graindor uzasadnia urazę Roberta z Normandyi, że Godfryda, nie jego, wybrano pod Antyochią do pojedynku z Saracenem; uzasadnia tem, że on pochodzi od Renauda syna Aïmona. Otóż Robert zgoła od Renauda nie pochodził, tylko od Rollona, pochodzenie to wszelako podług żonglerów, było mniej zaszczytnem, jak od Renauda de Montauban, wsławionego już w ładnym poemacie. — Mówi nam dalej tenże Graindor, że cesarz dał Rycerzowi z łabędziem za żoną kuzynkę księcia Begona. Wiemy już, że się to nie zgadza ani z poematem, ani z prawdą historyczną, i że w tem mamy prawdopodobnie nowe zmyślenie Graindora, ale to pomijając, kto był ten Begon? Był nim książę Lotaryngii, brat Garina, obaj wsławieni niepospolitym cyklem poematów: *la geste de Loherains.* Tak postępują nasi żonglerowie w całości i w szczegółach.

Mówimy tedy, że poemat o Rycerzu z łabędziem wynikł z techniki poetyckiej, jaka się w *chanson de geste* wyrobiła, to znaczy, z potrzeby, aby dać Godfrydowi niezwykłe pochodzenie poetyckie, oraz z potrzeby napełnienia próżnej zawsze kieszeni naszych wędrownych poetów. Boć ładne zmyślenie lepiej ją napełniło, niż nieudałe. Do najładniejszych fikcyi poetycznych w poprzedniej literaturze należał niezawodnie Partenopeus, który na łodzi bez żagli, wioseł, steru i majtków zjawiał się w Chef d'Oire i w takiż sposób stamtąd odpływał. Na jego wzór pomyślano sobie naszego Rycerza. Ale łódź Partenopeusa była czarodziejską, posłuszną rozkazom biegłej w czarach Meliory; podczas gdy poemat o Rycerzu z łabędziem należy do cyklu najszczerzej religijnego i chrześcijańskiego. Tutaj czarodziejska łódź byłaby niemożliwą, bo czary w tym cyklu poematów przypisywane są wyłącznie Saracenom, albo raczej Saracenkom. Motyw ten wydał się jednak bardzo zajmującym. Dosłownie go poeta ani mógł powtórzyć, ani chciał, zaprzągł przeto do łodzi łabędzia. Ptak ten duży i silny i ładny, znany w okolicach nad Skaldą, Mozą i dolnym Renem, doskonale nadawał się do tego. Ale skąd mu potrzebna inteligencya do ciągnienia łodzi na wyznaczone miejsce i czas wyznaczony? Do pojawienia się znowu, gdy termin upłynął? To było sprawą Boga, u którego nic nie ma niemożebnego. Ta myśl odsłania nam zasadnicze zapatrywanie, panujące w całym cyklu poematów krucyatowych. Bóg, który w chwilach najgorętszej walki, a słabnięcia już sił rycerzy chrześcijańskich, przysyłał im kilkakrotnie niebieskie hufce na pomoc, pod wodzą świętych baronów: Maurycego, Jerzego, Dymitra; Bóg, który wskazał we śnie księdzu Piotrowi, gdzie szukać świętej lancy i gdzie ją też następnie znaleziono; Bóg, który przestraszonym Saracenom uciekać kazał na jej widok; ten sam Bóg kazał łabędziowi przywozić nieznanego, a Bogu widocznie miłego rycerza i zabierać go znowu, gdy czas minął.

Łabędź stał się tutaj sługą bożym, narzędziem boskich zamiarów. Znaczenie jego podniosło się niezwykle. Ale czy to znaczenie nie było już wielkiem od dawna? Czy nie należał już do keltyckiej lub germańskiej mitologii? Na to pytanie Blöte, po starannem zbadaniu sprawy, dał odpowiedź stanowczą, że żadne z bóstw keltyckich lub germańskich nie zostawało w jakimś związku z łabędziem. To też gdy dawno temu von der Hagen chciał wykazać prastare germańskie lub keltyckie mitologiczne znaczenie tego ptaka, oparł

się przedewszystkiem na baśniach, którym my siły dowodowej odmawiamy, jako zapisanym zbyt późno, aby mogły świadczyć o dawnych wiekach[1]).

Inaczej rzecz się przedstawi, gdy się zwrócimy do grecko-rzymskiej mitologii. Tutaj świadectwa są dawne i liczne, o znaczeniu, jakie mu przypisywano, o poetyczności, jaką go odziano. Zaczynają się od Platona, sięgają aż do Martiana Capelli po przez Owidyusza, Hygina, Athenaeusa i innych[2]).

Uwydatnimy z nich te tylko, które nas bliżej dotyczą. Tak więc nie dziw, że łabędź jest rozumnym, bo jest przemienionym w ptaka człowiekiem, królem nawet. Nazywał się Cycnus, był przyjacielem (Hyginus mówi, że krewnym) Phaëtona. Słodyczą śpiewu od Apolina obdarzony tak opłakiwał śmierć młodego śmiałka, że wskutek długiego żalu w ptaka się przemienił[3]). Ptak ten zbliżającą się śmierć żałosnym śpiewem zwiastuje: *Is quoque moriens flebile canit* Hyg. 154. Z tego to powodu jako wieszczy ptak *ales auguralis* poświęcony jest Apolinowi: *quam ob causam Apolini sacra aves est.* Świętym jest także dla żeglarzy, pragną go widzieć, jako dobrą wróżbę, ponieważ nigdy nie daje się falom zalać: *Cycnus in auguriis nautis gratissima ales, Hunc optant semper quia nunquam mergitur undis* (Aem. Macer). Oto jedne znamiona łabędzia u starożytnych: jest ptakiem wieszczym, dobrej wróżby, śpiewa głośno, fal morskich się nie lęka. Dowiemy się zaraz, że służył za pojazd, albo jako stworzenie pociągowe dla bogów lub bogiń. On zaniósł Clio na księżyc i tam samą zostawił, spiesząc powrócić na bagna: *Clio citimum circulum hoc est in Luna collocavit hospicium: Sola vero, quum vector eius Cygnus... stagna petierat.* (Mart. Capella I, 926). Stają łabędzie do służby przed wozem Apollina, gotowe podnieść w górę tego, któryby zechciał: *augurales vero*

---

[1]) V. d. Hagen: *die Schwanensage.* Philol. Abh. der kgl. Akad. der Wiss. Berlin 1846. Autor zaczyna swoje wywody od Makrokosmus i Götterdämmerung Rozróżnia *männliche Schwanensage*, w których Lohengrina na pierwszem stawia miejscu, następnie Brabona i t. d. Korzysta tu głównie z Reiffenberga, o którym już się mówiło. Co do *weibliche Schwanensagen* przytacza przedewszystkiem baśniowe figury, nawet i takie, które z łabędziem żadnego nie mają związku, jak np. *Melusine* Rozprawa nie ma żadnej naukowej wartości, a jednak taką samą jest metoda dzisiejszych folklorystów. Podobnej metody trzyma się P. Cassel w książce: *der Schwan in Sage und Leben*, Berlin 1872, tylko że materyał jego jest nieco lepszy.

[2]) Roschers Mythol. Lexicon II, p. 1699.

[3]) Virgilius: Aeneis X, 189, do tego Servius.

alites ante currum Delio constiterunt, uti quis vellet, vectus ascenderet (M. Cap. l. c.). Nawet Wenus używała ich do zaprzęgu: *dicuntur cycni currum Veneris trahere.* Ovid Ars am. IV, 808. — Zaznaczamy jeszcze, że Grecy mieli pewien rodzaj łodzi, które *kyknos* nazywali. — Otóż jeżeli chodziło o dawne reminiscencye, wspomnienia, które mogły były wpłynąć na wybór łabędzia do ciągnienia łodzi z rycerzem, to mamy ich tutaj dosyć.

Tak więc łabędź nie ma żadnej styczności z Amorem i Psychą, możnaby powiedzieć. Nam się zdaje atoli, że ma, bo ostatecznie on zastępuje Zefira. Przemiana Zefira w łódź czarodziejską została już wykonaną przez autora Partenopeusa, nowy poeta zatrzymał ją, zaprzęgając do niej łabędzia, który podług Martiana Capelli służbę taką doskonale pełnił. Przypominamy, że Capella bardzo był w średnich wiekach znany i ceniony, książka jego służyła za podstawę szkolnej nauki do *artes liberales.*

Mamy tedy wytłómaczoną łódź i łabędzia. Łódź wskazuje na Partenopeusa, gdzie ona także zjawia się niespodzianie. Łabędź tłómaczy się dostatecznie z Martiana Capelli, oraz z tradycyi starożytnej. Jedno i drugie razem zastępują Zefira w powieści Apulejusza. Dla czego znikł Rycerz z łabędziem? Właściwie on znikł dla tego, że Amor znikał pierwszy, ale tego powodu poeta podać nie chciał. Mówi przeto, że Rycerz odpłynie, gdy się łabędź z łodzią pojawi. Miało to być wobec cesarza zastrzeżenie, że w danym razie Rycerz się oddali, a cesarzowi nie będzie wolno temu przeszkodzić. Zastrzeżenie to było potrzebnem, ponieważ przyjmując pannę za żonę i lenno od cesarza, Rycerz stał się wasalem, którego postępowanie zależnem było od suzerena. Już się to powiedziało.

Widzimy, że to zastrzeżenie jeszcze nie podaje powodu, dla którego Rycerz miałby się samowolnie oddalić, zrywając swój stosunek lenniczy. Dla tego żongler dodaje, że Rycerz z łabędziem zakazał, aby go pytano, skąd jest i z jakiego rodu. Każdy powie, że warunek ten był kapryśny, podobnie jak kapryśnym był na pozór zakaz Amora, aby go Psyche nie pragnęła widzieć. Sądzimy, że pierwsza kapryśność tłómaczy się najlepiej drugą. Otóż w jednym i drugim razie wywołuje chęć złamania go, odsłania możliwość nowych scen dramatycznych, właśnie zaś o to chodziło poecie najwięcej. Istotnie, dziwaczny zakaz wzbudził w Beatryxy podejrzenie, czy też rycerz czasem nie jest z rodu niskiego, dla niej w mężu nieodpowiedniego, tak jak zakaz Amora wzbudził podej-

rzenie w Psysze, czy on nie jest potworem. Uspakajał B. pod tym względem anioł, ona przez lat siedem powstrzymała niepokój i ciekawość, ale dłużej już nie mogła. Zapytała się, katastrofa nastąpiła. Postąpiła podobnie do Psychy. Rycerz opuścił ją z wyrzutem, udał się do Nimaie, aby się pożegnać z cesarzem, łabędź zjawił się tam zaraz i już krzykiem objawiał swą niecierpliwość. Wsiadł rycerz, odpłynął i znikł bez wieści.

Mamy tedy w poemacie zakaz, złamanie zakazu, rozłączenie, trzy motywy, które, w połączeniu z łodzią bez wioseł i żagla i majtków, dostatecznie uzasadniają i stwierdzają nasz domysł, że powieść poetyczna o Rycerzu z łab. w tej części naśladuje powieść o Amorze i Psysze. Nie mogła jej naśladować bliżej, ponieważ wszystkie wybitniejsze motywy już były użyte w Partenopeusie, a więc znane, a więc niemożliwe do zastosowania. Jeżeli żonglerzy użyli tych czterech motywów, które także znachodzimy w poemacie o Partenopeusie, to zmieniając ją znacznie. Przygotujmy się tedy na to, że gdy inny jaki poeta znów do tego wzoru się ucieknie, to będzie z niego korzystał z jeszcze większemi zmianami, będzie naśladował jeszcze bardziej z daleka.

Pytanie teraz, czy powieść o Rycerzu z łabędziem naśladuje Partenopeusa, czy też Amora i Psychę? Odpowiedź na to, że w starofrancuskim poemacie Rycerz z łabędziem obejmuje napowrót rolę Amora. On stawia warunek, Beatryx go łamie, on się oddala. Nie tak więc, jak w Partenopeusie, gdzie Melior warunek stawia, kochanek go łamie, ona go wypędza. Z tego wynika, że autor powieści o Rycerzu z łabędziem znał zarówno powieść Apulejusza, jak i powieść o Partenopeusie, z której przejął łódź płynącą bez wioseł, żagli, steru i majtków.

Omówione dotąd motywy nie dawały poematowi należytej objętości. To też widzimy go wypełnionym opisami bitew, w których poeta miał biegłość niepospolitą. Po zaślubieniu Beatryxy, Rycerz z łabędziem chce udać się do Bouillon, aby objąć księstwo w posiadanie i odebrać hołd od wasalów. Obawiając się napaści mściwych Saxonów, prosi cesarza o ochronę, ten mu daje własnego kuzyna Galiena z licznymi hufcami do towarzystwa. Okazał się w ten sposób nader dla obcego uprzejmym. Następuje podstępna zasadzka, o tej zasadzce zawiadomił nieświadomych niebezpieczeństwa koń zbiegły, któremu podobny jest koń Cornu pod Jerozolimą. W zaciętej bitwie poległ kuzyn cesarza Galien, wraz z większą

częścią walczących ze stron obu, co przypomina śmierć Brohadasa pod Antyochią. Beatrix nawet do niewoli się dostała. Widząc to Eliasz, zemdlał, jak opowiada żongler. Nam się zdaje, że to nie była chwila do omdlewania. Lecz oto jaskółka usiadła mu na hełmie i rozkazała w imieniu Królowej aniołów, aby uderzył na Saxonów. Uczynił to, żonę odbił i szczęśliwie z nią do Bouillon przybył. Wróćmy jeszcze na chwilę do owej jaskółki, która służy tu za pośredniczkę pomiędzy Matką Boską a Eliaszem. Pomysł jej pochodzi prawdopodobnie z tej samej głowy, co łabędź. Mimowoli przypomina się nam tutaj mewa, która Wenerze wiadomości o synu zanosi. Za mewą usłużny orzeł, a więc znamienne z Amora i Psychy motywy. Zarówno łabędź jak jaskółka są wykonawcami prowidencyonalnej opieki Bóstwa.

Pomijamy dalsze walki, których nawet jest za dużo i w których Rycerz z łab., a teraz książę Bouillon, za często cesarza o pomoc prosi. Nie można powiedzieć, aby ta niemoc postaci jego dodawała nowego blasku. Zaciętość, jaka znamionuje Saxonów w poemacie, jest reminiscencyą walk Karola W., walk Henryka IV przeciw nim, a także może świeżych całkiem walk Barbarossy przeciw Henrykowi Lwu.

Po siedmiu latach pożycia, Beatryx mimo zakazu zapytała męża, jakie jego imię, z jakiego jest kraju i z jakiego rodu. Stosownie do wyobrażeń owego czasu, mogła rzeczywiście być zaniepokojoną, czy mąż jej nie jest podejrzanego pochodzenia. Czarodziejskim (faé) nazywa go sam poeta. — Widząc swój zakaz złamanym, oświadcza rycerz, „że ich opuszcza, umarłby, gdyby zwlóczył, łabędź wnet się zjawi.“ Nie rozumiemy zgoła, dla czego miałby umrzeć? O takim warunku i groźbie nic nam poeta nie powiedział. Ważnem jest atoli, że rycerz porównywa niepowściągliwą żonę z Ewą, która wielką niedolę na ród ludzki sprowadziła. Żongler dostrzegł, że Ewa z Psychą, a przez to i z Beatryxą ma wspólne rysy wyraźne. Nam się zdaje atoli, że poeta przekroczenie Beatryxy nadto ciężkiem uczynił. Ewa mogła połowę winy na węża złożyć, Psyche na złośliwe siostry, Beatryx sama jedna całe jej brzemię nosi. Poeta powinien był także obok niej postawić czarną postać jaką złośliwą i podstępną, której namowom byłaby dopiero uległa.

Do tej ciężkiej winy Beatrix dodała po niejakim czasie drugą. Tracąc męża na zawsze, prosiła go o pamiątkę jaką. Darował jej

róg z obrączkami i kamykami niezwykłego znaczenia, ale przykazał, aby go mieć w szczególnem poszanowaniu. Beatryx zawiesiła go pomiędzy inne rogi. To też niebawem pożar wybuchł, cały zamek ogarnął, byłby i róg spłonął, gdyby nie łabędź, który przyleciawszy, rzucił się w płomienie, zabrał go z sobą.

Co do tej nowej winy Beatryxy, powiedzielibyśmy, że ona albo jest zbyteczną, albo nie wystarczającą. Zbyteczną, jeżeli Beatryx miała zachować charakter poważny, jedną tylko winą zaćmiony; niewystarczającą, jeżeli miała wyrażać ciągle się powtarzającą ułomność kobiecej duszy. Żongler byłby lepiej zrobił całkiem ten motyw pomijając, bo na zdarzenia żadnego on wpływu nie ma.

Z uwag powyższych wynika, że autorowie starofrancuskich poematów nie tylko korzystają z pomysłów poprzedników swoich, lecz szukają ich także u pisarzy starożytnych, zwłaszcza u Apulejusza, który im podawał świetny, dramatyczny, do niewyczerpanych odmian nadający się temat zakazu i jego złamania. Okazało się przytem, że w przeprowadzeniu pomysłów, w rysunku charakterów, owi śpiewacy nie są konsekwentni, są niedbali. Przy większej staranności i lepszem poczuciu logiki, zgodności poszczególnych rysów z całością, utwory ich, zadziwiające niejednokrotnie śmiałością pomysłów, mogłyby być lepsze. Krytyk klasyczny powiedziałby, że im braknie przedewszystkiem logiki i dobrego smaku.

Przechodzimy do części pierwszej, uzupełniającej część drugą. Publiczność, słuchająca pieśni o Rycerzu z łabędziem, z pewnością była bardzo ciekawą dowiedzieć się, skąd się wziął ów ptak tajemniczy, wraz z nie mniej tajemniczym rycerzem. Znalazł się żongler, który tę ciekawość zaspokoić postanowił i ułożył pieśń o ich pochodzeniu. A nam się zdaje, że był nim właśnie autor omawianej dotąd powieści. Opowiada, że był król dobry, który miał bardzo złą matkę. Nazywała się Matabruna. Złość jej tłómaczy w ten sposób, że nie wierzyła w Boga, tylko w czarta. Stawia się sam przez to na stanowisku nabożnem, chrześcijańskiem, dodaje bowiem, że była pochodzenia saraceńskiego. Najbardziej nie cierpiała synowej Beatryxy, zawzięła się na jej zgubę.

Zdarzylo się, że Beatryx na widok kobiety z bliźniętami odezwała się bardzo nieroztropnie. Powiedziała, że te dzieci z pewnością pochodzą od dwu mężczyzn. Skrzywdziła niewinną, to też karę

za to poniesie, bo oto od razu urodziła ich siedmioro. Była to widocznie kara za niesłuszne posądzenie. Co więcej, złośliwa Matabruna zabrała jej dzieci, kazała je do lasu wynieść i tam zabić, w ich miejsce podsuwając siedmioro szczeniąt. Rozumiemy, jak srogi wniosek z tego wypływał. Matabruna żądała, aby winowajczynię spalić niezwłocznie, król chcąc być wyrozumiałym, skazał ją tylko na srogie w lochu więzienie.

Powiedzmy zaraz, że drażliwy temat o nieprawości pochodzenia bliźniąt, lub liczniejszego jeszcze porodu, nie raz jedyny tutaj się pojawia w literaturze. Mamy go także w opowiadaniach wierszowanych Marie de France, poetki z ostatniej ćwierci XII w., pod tytułem *li lai du Fresne*, opowiadanie o Jesionie. Była baronowa, która porodziła dwie córki odrazu. Lękając się ciężkiego posądzenia, kazała spiesznie jednę z nich, zawiniętą w kołdrę, porzucić daleko na dziedzińcu żeńskiego klasztoru pod jesionem. Zakonnice zajęły się podrzutkiem, wychowały dziewczę, które się stało później rywalką siostry, ale postępowała tak skromnie, jak Grizeldis. Poznano ją ostatecznie po owej kołdrze, matka przyznała się do niej, tłómacząc swój dawny postępek panującem uprzedzeniem.

Widzimy z tego przykładu, że pytanie to niepokoiło umysły owego czasu i że poetka zdaje się ganić ten przesąd, o którym mamy dawniejszą jeszcze wzmiankę w średniowiecznej literaturze łacińskiej. Oto co pisze Paulus Diaconus, w swej Historia Langobardorum I, 15: *his temporibus quedam meretrix uno partu septem puerulos enixa, beluis omnibus mater crudelior in piscinam proiecit necandos.* Mamy tu więc aż siedmioro dzieci, których matką była *meretrix*. Jest to najstarsza wzmianka, świadcząca o owem uprzedzeniu. Autor dodaje, że właśnie obok stawu przejeżdżał król Agelmund, który, litując się, konia zatrzymał, lancą dzieci przewracał Jedno z nich za lancę chwyciło. Król zdziwiony kazał je wyciągnąć, wychować, a wyrosło ono na bardzo bitnego młodzieńca, który nawet po śmierci króla sam rządy objął.

Nie da się zaprzeczyć, że oba powyższe opowiadania mają kilka motywów wspólnych z poematem. Bliźnięta, które królowa spostrzegła, są u Marie de France. Urodziła następnie królowa sama siedmioro dzieci, a więc jak owa meretrix Dzieci miały być zabite, co znowu zgadza się z Pawłem Dyakonem. Król, który się zjawił niebawem i ocalił jedno dziecko, podobny jest do pustelnika, które wszystkie od śmierci ochronił. Paweł Dyakon zdaje

się wierzyć w owo uprzedzenie, które Marie de France potępia, a jeszcze silniej żongler, przypisujący takie sprawy woli Bożej. Z tego punktu widzenia utwór żonglera i poetki nabierają charakteru społecznego, zwalczają uprzedzenie bardzo rozpowszechnione i bardzo krzywdzące[1]). Różnica pomiędzy poematem a poprzedniemi wersyami leży w tem, że w nich nie ma Matabruny, zawziętej teściowej, nielitościwej wobec synowej zarówno, jak i jej dzieci.

Zamiar Matabruny nie udał się. Pachołek, który miał dzieci utopić, zdjęty litością i poruszony sumieniem, porzucił je w lesie, ale żywe. W samą porę przyszedł tam święty pustelnik i zabrał je, zjawiła się łania, i karmiła je, aż wyrosły. Wszystko stało się za sprawą Boga. W legendach średniowiecznych łanie dość często przysługę tę spełniają, tak np. w historyi Genowefy z Brabantu, która atoli może jest późniejszą od poematu i przy jego pomocy utworzoną została. Wszelako już w starożytności mamy podobne przykłady, tylko zamiast łani, wilczycę, która wykarmiła Romulusa i Remusa, albo kozę, która żywiła samego Jowisza.

Dzieci wyrosły, każde nosiło złoty łańcuszek na szyi. Skąd one? Oto przy narodzinach zjawiło się 7 fei, z których każda jednemu dziecku dała łańcuszek w prezencie. Łańcuszki miały tę czarodziejską właściwość, że z ich stratą wiązała się przemiana ludzkiej postaci w łabędzią. Czy to wytłómaczenie jest dostatecznem? Było wierzyć we feje, a tę wiarę miał żongler, mieli jego słuchacze. Feje jednoczyły w sobie moc wszystkich bóstw żeńskich a nawet męskich starożytności.

Zobaczył dzieci z łańcuszkami zaufany Matabruny leśniczy, zabrał im je, dzieci przemieniły się w łabędzie, z wyjątkiem jednego, który towarzyszył pustelnikowi. A wskutek tego zatrzymał łańcuszek i postać ludzką. Na rozkaz Matabruny, złotnik miał stopić łańcuszki i kubek z nich zrobić. Otóż już jeden łańcuszek dał tak wielką ilość złota, że starczyło na dwa kubki. To też nie rozbijał innych, tylko je ukrył nie zepsute. To był cud, ale taki, którego już fejom przypisać nie można. On przypomina 5 chlebów na pustyni.

---

[1]) Marie de France przypisuje swoje *lais* królowi Anglii. Któremu? Są tacy, którzy w nim widzą Henryka II (1154—1189), inni Ryszarda Lwieserce. W tym razie *lais* byłyby napisane dopiero po 1189 a powiastka, o Jesionie mogłaby być późniejszą od poematu o Matabrunie, ułożonego po 1180. Pewności nie ma żadnej i nie będzie. Przyjmujemy Jesion jako starszy, ale z zastrzeżeniem.

Chłopiec miał właśnie lat trzynaście, gdy jego opiekun otrzymał rozkaz Boga, przez anioła mu przyniesiony, aby chłopca wyprawił do miasta, gdzie ma stanąć do walki w obronie matki, która będzie nazajutrz spalona, jeżeli obrońcy nie znajdzie. Takie rozkazy prorocy otrzymywali od Boga.

Zdziwił się pustelnik, ale usłuchał, zdziwił się także chłopiec, bo jeszcze miasta nie widział, ani konia, ani rycerza, ani wiedział co ojciec lub matka, nawet ochrzczony nie był, imienia jeszcze nie miał. Usłuchał wszelako, do miasta poszedł. Anioł boży usiadł mu na łopatce, aby go inspirować, o co ma się zapytać, jak odpowiedzieć:

Li angles dame Diu sur s'espaulle séoit
Et quanqu'il devoit dire de bien li enseignoit (853—4).

To też w krótkim czasie dowiedział się i nauczył wszystkiego. Tutaj przypomina się nam młodociana dzielność Partenopeusa, w większym atoli stopniu młodość Percevala, którego matka, straciwszy męża i starszych synów w walkach turniejowych, osiadła z pozostałym jej jedynakiem w głębokim lesie, aby go wychować w zupełnej nieznajomości wszystkiego, co się rycerstwa tyczy. Wyrósł na silnego i odważnego łowca, ale gdy pierwszych rycerzy niespodzianie spotkał, olśniony ich błyszczącym widokiem, stawiał im podobnie naiwne pytanie, jak Eliasz. Powinowactwo psychologiczne obu tych postaci jest wyraźne, jedna jest wzorowaną podług drugiej. Być jednak może, że Perceval dopiero na wzór naszego chłopca jest pomyślany.

Ochrzczony imieniem Eliasza i ubrany w cenne szaty chłopiec zaraz wyładniał. Wdziano mu zbroję, którą dostał od króla, na ramieniu zawiesił sobie tarcz białą, z czerwonym krzyżem i z napisem: od Boga dana. Bił się dzielnie, ale zwyciężył tylko przy pomocy tarczy, z której krzyża oślepiający ogień buchał na przeciwnika. Teraz Matabruna ma być spaloną, ale uciekła. Zjawił się złotnik z łańcuszkami, od których łabędzie znów postać ludzką odzyskały. Był to skutek czaru, który feje do łańcuszków przywiązały, a czar zawsze był pogańskim.

Zwróćmy się na chwilę do pogaństwa. Jeżeli Lucius od róż zjedzonych stracił postać oślą, a odzyskał ludzką, to z dziećmi mogło się stać coś podobnego przy pomocy łańcuszków! Rzeczywiście ową przemianę dzieci należy odnieść do metamorfoz w starożytności tak pospolitych. Metamorfoza w łabędzia najbliżej się

wiąże z metamorfozą Luciusa, ponieważ ten także przemienił się w osła i z osła znów w człowieka. W miejsce maści i róż mamy tutaj talizman. Widocznem jest, że talizmany, znane już w Rzymie za cesarstwa, a przyniesione ze Wschodu, bardzo się od tego czasu rozpowszechniły.

Niestety, łańcuszek jednego łabędzia był stopiony, jeden brat na zawsze łabędziem został. Nie żałujmy go wszelako zbytecznie, bo on tak ładnie woził swego brata Eliasza po morzu i rzekach, że się jeszcze dzisiaj podoba teatralnej publice. Jako łabędź, on umiał znaleść ziele, wszelkie rany od razu gojące, jako łabędź, rzucał się on w ogień, aby róg uratować; jako człowiek nie byłby umiał tego wszystkiego uczynić.

Król Oriant uznaje Eliasza za dziedzica i zaraz mu zdaje koronę. Już tedy w charakterze królewskim Eliasz zdobywa zamek Matabruny i wymierzywszy jej zasłużoną karę, rozdaje kraje, a sam jakoby słuchał wyższego rozkazu, o którym poeta wszelako nic nie mówi, żegna się ze wszystkimi, zabrania pytać, dokąd się udaje i kiedy wróci, wsiada do łodzi, ciągnionej przez łabędzia i odpływa. Uważmy, że i ten poeta zakazu pytania używa. Sądzilibyśmy, że prosto do Nimaie podąży, ale nie, po drodze ma różne przygody, z których wychodzi zwycięsko, prawda, że często wspierany bożą pomocą. Cała flota niebieska o białych żaglach na pomoc mu przybyła, gdy się widział zagrożonym od saraceńskich korsarzy, w czem należy widzieć reminiscencyę białych hufców pomagających krzyżowcom pod Antyochią, a podług Graindora także pod Jerozolimą.

Punktem wyjścia całej powieści o pochodzeniu Rycerza z łabędziem jest tedy kara, jaka spotkała Beatryxę za to, że podejrzywała cnotę kobieciny z bliźniętami. Sama za to aż siedmioro porodziła dzieci, cnota jej popadła w srogie i jeszcze sroższe podejrzenie. Wydaje się nam, że kara tutaj nie zostaje w sprawiedliwym stosunku do winy. Czuje to żongler i dla tego otacza następnie dzieci szczególną opieką boską.

Cudowność chrześcijańska jest użytą w poemacie w obfitej mierze, możnaby nawet powiedzieć, że jest nadużytą, dziecinną. Nie razi nas anioł, przynoszący rozkaz Boży pustelnikowi, ale anioł siedzący na ramieniu chłopca, aby mu podsuwać pytania i odpowiedzi, wydaje się nam pomysłem dziecinnym. Podsunięcie tarczy przez Boga, albo w imieniu Boga, wydaje się nam nadużyciem

cudowności, płomień buchający z krzyża jej wypaczeniem. Jeżeli aż cała białożaglowa flota niebieska przybywa na pomoc, to w tem widzimy zbyt już częste powtarzanie orężnej pomocy nieba.

Dziwna rzecz i godna uwagi. Obok tej cudowności chrześcijańskiej mamy czarodziejstwo starożytne, z fejami związane. Wszystko co się odnosi do łabędzi, do łańcuszków, do przemian płynie właśnie z tego źródła. Mieliśmy tedy słuszność, mówiąc, że równocześnie z chrześcijaństwem szerzyła się demonologia starożytna. Pochodzenie Rycerza z łabędziem okazało się dziwacznem właśnie wskutek tego poplątania.

Autor poematu korzysta z Graindora z Douai, ale motywy od niej przejęte przesadza; korzysta z cudowności legend, ale i w tem przesadza. Jest człowiekiem pobożnym, może nawet byłym klerykiem, bo motywów z Pisma św. chętnie używa, ale pobożność jego gruba, materyalna, jaskrawa, oparta na cudach przesadzonych. Różnorodne motywy nie są u niego związane w jednolitą całość. Najsłabszym momentem utworu jest właśnie moment najważniejszy: tajemniczy odjazd Eliasza, już jako króla, niczem nie jest uzasadniony. Tutaj właśnie potrzeba było jakiegoś zobowiązania, któreby nie dozwoliło Eliaszowi objawić swego imienia i pochodzenia. Widocznie ten warunek jest zapożyczony skądinąd, a nie spojony należycie z całością. Łańcuszki w miejsce innego talizmanu wybrane są prawdopodobnie z tego powodu, aby łabędź miał czem łódź ciągnąć; owoż żongler zapomniał, że właśnie łabędź stracił swój łańcuszek. Odjazd Eliasza ma go zaprowadzić do Nimaie, ale prowadzi go rzemiennym sterem, że tak powiemy. Żongler oblicza długość poematu na posiedzenia i dla tego wypycha go epizodami o walkach na morzu i lądzie. Tak robią wszyscy. Bardzo słabą stroną jest i to, że Eliasz całkowicie zależnym jest od łabędzia, do czego ten żadnej wyższej kwalifikacyi nie posiada, bo mu jej autor nie dał. To też niektórzy uczeni, jak to widzieliśmy, szukają źródła pomysłu tego w zaginionej mitologii celtyckiej, albo i germańskiej, podług której Eliasz z łabędziem byłby wysłańcem krainy śmierci. W poemacie samym nic na to nie wskazuje. Mówi wprawdzie w części drugiej Rycerz z łabędziem, że wszystko co robi, to z rozkazu Boga; co posiada, to ma od niego: ale stąd daleko do twierdzenia, że jest wysłańcem Hadesu. Pomysł sam byłby odrażającym, a księżniczka z Bouillon, byłaby pożałowania godną, gdyby była skazaną na żonę nagalwanizowanego trupa.

Z różnorodnych stron, powiedziało się, wziął autor swoje pomysły, ale z Amorem i Psychą poemat jego żadnej chyba styczności nie ma? Tak możnaby myśleć, należy wszelako przypatrzeć się lepiej. Pokazało się, że w części drugiej poematu jest Amor, bo go zastępuje Rycerz z łabędziem, jest Psyche, którą Beatryx zastępuje. Rycerz pospieszył na pomoc Beatryxie, jak Amor Psysze; wziął ją za żonę, znowuż na wzór Amora; postawił warunek, który był zakazem, w czem postąpił znów jak Amor; Beatryx zakaz złamała, jak Psyche, i tegoż samego doznała losu, utraciła męża. Tak było w części starszej. Jasnem jest, że autor części młodszej tego wszystkiego powtórzyć nie mógł, to też nie szukać tam Amora ani Psychy. Ale może jest Wenus? Zaiste, nie ma tu bogini miłości ładnej, pysznej i płochej. Boć stara Matabruna do niej nie podobna. Uważmy wszelako, że Wenus jest teściową, a jako taka nienawidzi synowej, prześladuje ją, pragnie ją zgubić. I otóż Matabruna staje się od razu bardzo do niej podobną. Widzimy wyraźnie, co zrobił autor: usunął urodę, płochość, a zachował tylko złość; to znaczy, że uprościł charakter skomplikowany; tę złość pogrubił, zabarwił najjaskrawiej, zamienił w niepohamowane zamiłowanie szkodzenia, złączył ją z brzydką starością, chciwością, saraceństwem, nawet zaparciem się Boga. Te ostatnie rysy bardzo wskazują na pogaństwo wogóle. Tak nakreślony charakter i jemu bardziej się podobał i łatwiej rozumieli go słuchacze. Jest w nim styl epoki. Stanie się przez to Matabruna jeszcze wybitniejszym wzorem złośliwej teściowej, aniżeli Wenus i jako taka często się pojawiać będzie. Odnosimy Matabrunę wprost do Wenus u Apulejusza z tego powodu, że pomiędzy drugą a pierwszą nie ma w literaturze innej złośliwej teściowej.

Na inny jeszcze moment należy zwrócić uwagę. Okazało się przy rozbiorze powieści Apulejusza o Amorze i Psysze, że cały ten utwór zabarwiony jest jedną ideą zasadniczą. Jest nią opatrznościowa działalność Amora. Otóż w poemacie o pochodzeniu Rycerza z łabędziem dostrzegamy coś podobnego. Amora tu nie ma, ale jest Bóg, który od samego początku opiekuje się dziećmi, z najzgubniejszych wydobywa je stanów, ostatecznie do szczęścia je doprowadza, matkę ich z srogiego poniżenia wydobywa. Zamiast opatrzności pogańskiej, mamy chrześcijańską. Objawia się ona w cudach, których widzieliśmy tutaj cały szereg. Można powiedzieć, że w tem dostroiła się pieśń wstępna, do pieśni głównej, bo i tam

już ten nastrój dostrzegamy. To też ta pieśń główna w jeszcze bliższym związku zostaje z powieścią Apulejusza. Ośmieliliśmy się wyrazić przypuszczenie, do dowiedzenia bardzo trudne, że może ta część późniejsza pochodzi od tego samego autora, co część poprzednia o Rycerzu z łabędziem. Niebawem jeszcze nam o tem mówić wypadnie.

Wyjaśnienie poematu o Rycerzu z łabędziem posunęło się już dość daleko, lecz ukończonem jeszcze nie jest. Pokazało się, że składa się z dwu części, z których każda była zrazu osobnym poematem. Najprzód ułożono pieśń o dziwnem pojawieniu się nieznanego rycerza z łabędziem w Nimaie, a z jego rodu właśnie wywiedziono Godfryda z Bouillon. Pieśń ta powstała przed rokiem c. 1180. Później dopiero dołączono do niej pieśń wyjaśniającą pochodzenie tego rycerza i jego dziwnego towarzysza. Dwie te pieśni złączono następnie w jednę, ale szew widać dzisiaj jeszcze w tekście, który ogłosił Hippeau, gdzie począwszy od przybycia do Nimaie, imię Eliasz znika całkowicie, a zostaje tylko *le chevalier au cygne*. Dalej jest w Bernie rękopis, który zawiera poematy, należące do cyklu krucyat, mamy więc tutaj i pieśń o Rycerzu z łabędziem, ale pieśni o jego pochodzeniu nie ma. Poemat zaczyna się od przybycia rycerza do Nimaie. To znaczy, że rękopis ten pochodzi z czasu, w którym początek tego poematu jeszcze nie istniał [1]. A dalej istnieją inne jeszcze utwory literackie, których głównym tematem jest przemiana siedmiorga dzieci w łabędzie. Utwory te omówimy po kolei. Jako pierwszą z tych powieści położymy znany nam już poemat o Matabrunie i przechodzimy zaraz do drugiej.

Druga powieść o przemianie dzieci w łabędzie. Znajdujemy ją w łacińskiem dziele pod tytułem: *Dolopathos, sive de rege et septem sapientibus* [2]. Autorem jego zakonnik Johannes de Alta Silva, a więc z klasztoru Haute-Seille w Lotaryngii. Napisane jest przed r. 1212, a należy do tak licznych, a zawsze nieco od-

---

[1]) Sami tedy wskazujemy na wszystkie argumenty, które przeciw naszemu przypuszczeniu przemawiają, a jednak go nie porzucamy, ponieważ widzimy w obu utworach ten sam rodzaj fantazyi, i tę samą technikę poetycką.

[2]) ed. Oesterley, 1873.

miennych wersyi powieści o Siedmiu mędrcach. Dolopatos tem się różni najwięcej od wszystkich innych, że zawiera tylko przypowieści mędrców, a więc siedem w zasadzie, zamiast czternastu. Otóż siódmą jest tutaj powieść o łabędziach (l. c. p. 73—9), która się w żadnym innym tekscie tej powieści nie znajduje, a mówiąc to, mamy na myśli przedewszystkiem teksty wschodnie. Z tego wynika, że jest utworem zachodnim, na gruncie francuskim wzrosłym. Jest rzeczą niezbędną podanie jego streszczenia, a będziemy się starali zrobić je jak najkrótszem.

Młody magnat pojechał do lasu na polowanie. Goniąc białego jelenia [1]) zapędził się tak daleko, że zbłądził. Znalazł się przy zdroju, w którym kąpała się nimfa, trzymając złoty łańcuch w ręce. Zabrał jej ten łańcuch przemocą, przez co nimfa całą siłę oporu straciła. Obiecał ją poślubić, a o północy wyczytała z gwiazd, iż porodzi od razu sześciu synów i jedną córkę. Nazajutrz zabrał ją do domu, jako żonę. Matka jego przyjęła ją na pozór uprzejmie, ale w duszy znienawidziła ją. To też gdy przyszedł czas urodzin, zabrała jej dzieci, kazała je pachołkowi zabić, a podłożyła siedem szczeniąt. Rozgniewany mąż kazał szczenięta utopić, a żonę w głównej sali pałacu zakopać aż po piersi, dodając rozkaz, aby po jedzeniu rycerze i służba nad nią myli ręce, wycierając je o jej włosy, oraz aby ją żywiono jedzeniem dla psów dawanem [2]).

Pachołek tymczasem dzieci nie zabił, tylko porzucił w lesie. Znalazł je pustelnik, *qui philosophandi gratia silvam pro urbe degerat, inque specu morabatur*. Żywił je mlekiem łani, później zwierzyną, którą sami upolowali. Tak upłynęło lat siedem, gdy magnat dzieci w lesie zobaczył, o czem matce powiedział. Wysłała ona tegoż pachołka do lasu, aby dzieciom zabrał łańcuszki. Trzymała je właśnie siostra w ręce, gdy się bracia kąpali, wydarł je jej, ale jej własnego zabrać nie zdołał. Teściowa dała je złotnikowi, aby z nich zrobił puhar, ale ani stopić, ani młotem rozbić się nie dały, z wyjątkiem jednego, który się nieco uszkodził. Z innego tedy złota zrobił puhar, a łańcuszki przechował. — Tymczasem

[1]) Biały ten jeleń wskazuje na romanse celtyckiego pochodzenia, gdzie ich jest dużo. Po za tem nic już celtyckiego w powiastce tej nie ma.

[2]) To opowiadanie jest ważne ze względu na Tysiąc nocy i jedna. Uważmy, że ta wersya jego jest odmienną od innych wersyi francuskich, nie znajduje się we wschodnich wersyach powieści o Siedmiu mędrcach, a znajduje się w Tysiąc nocy.

łabędzie wraz z siostrą poleciały na staw, otaczający zamek ojca. Tam siostra przybrała znów postać ludzką i chodziła żebrać do zamku. Jedną częścią jałmużny dzieliła się z łabędziami, drugą dawała nimfie nieszczęśliwej, przy której też w nocy sypiała. Zobaczył ją pan zamku, zdziwił się, że ma łańcuch złoty na szyi, zapytał ją, skąd jest, ona opowiedziała wszystko, co wiedziała. Strach przejął teraz matkę i pachołka, który już pobiegł za dziewczęciem nad staw, aby ją zabić, ale pan to spostrzegł, miecz mu wydarł, do zeznań zniewolił jego i matkę. Wydobyto nimfę niewinną z dołu, do którego jej nieprzyjaciółkę wsadzono. Złotnik przywołany oddał łańcuszki, łabędzie postać ludzką odzyskały, z wyjątkiem jednego, którego łańcuch był nadwerężony. Ten się przywiązał do jednego z braci i to jest ów sławny z tego na wieki łabędź, że w łodzi złotym łańcuchem ciągnął zbrojnego rycerza. *Hic est cygnus de quo fama in eternum perseverat, quod catena aurea militem in navicula trahat armatum.*

Taką jest powieść Jana zakonnika z Haute-Seille. Podobieństwo jej do poematu o Matabrunie jest wielkie. Mamy i tutaj matkę siedmiorga dzieci od razu urodzonych, zła teściowa wydaje dzieci pachołkowi na śmierć, a w miejsce ich podsuwa szczenięta, pustelnik dzieci wychowuje, mają one łańcuszki złote, które pachołek zabiera, wskutek tego przemieniają się w łabędzie, odzyskawszy je, odzyskują postać ludzką; niewinność matki i tutaj na jaw wychodzi, a zła świekra jest skazaną na srogą karę. — Ale są różnice mniej lub więcej znaczne, o których niżej mówić będziemy, tutaj już zaznaczając, że łacińska powieść nie daje opisu pojedynku, ani oblężenia zamku Matabruny, wogóle nie zna elementu rycerskiego.

Co więcej: nie ma tu Boga, anioła, żadnego cudu, przez Boga sprawionego. Daje to powieści tej całkiem odmienny charakter Ona nie chce być wyjaśnieniem poematu o pochodzeniu Rycerza z łabędziem, tylko ma myśl przewodnią całkiem odmienną. Jest jedną z powieści o Siedmiu mędrcach, a więc ma służyć jak wszystkie inne jako dowód, że kobiety są przewrotne, podstępne, kłamliwe i ufać im nie można. Do tego dobrze się nadaje. Ale autor zna już powieść o Rycerzu z łabędziem, pod koniec bowiem wyraźnie na nią wskazuje. Pytanie teraz, czy łacińskie opowiadanie jest starsze od poematu o Matabrunie, z którym ma tak wielkie podobieństwo? Na to pytanie odpowiedzieć wypada.

Całym Dolopathosem, a w szczególności opowiadaniem o łabędziach. zajmował się najbardziej G. Paris. Jego zdaniem jest to powieść ludowa przez Jana z Lotaryngii słyszana i spisana. Widzi w niej wiele pierwotnego wdzięku, dziwności i poezyi. Odnosi ją do dalekiej starożytności, mianowicie opis męki, na którą skazana jest nimfa, ma charakter mitologiczny: *la description du supplice qui lui est infligé est une description évidemment très primitive et qui ne peut avoir qu' une explication mythologique*[1]). Przyznajemy się. że nie rozumiemy zgoła, w czem leży mitologiczność zakopania kobiety po piersi w ziemię i znęcanie się nad nią w sposób srodze bolesny, a niczem nie uzasadniony. Powiedzieliśmy już, że w tem znęcaniu się widzimy naśladowanie znęcania się Wenery nad Psychą, naśladowanie pogrubione. Zapatrywania G. Paris uważamy za całkiem subjektywne, bo na żadnych dokumentach nie oparte.

Utwór zakonnika Jana został później przetłómaczony w wierszach na język francuski przez jakiegoś Herberta. Powieść o łabędziach jest tutaj opowiadana bez zmiany motywów ładnie, chociaż nieco szerzej[2]). Tylko przy końcu, niezadawalając się wspomnieniem ogólnikowem o rycerzu, mówi wyraźniej, że on został następnie księciem Bouillon: *Puis tint de Bouillon le duchiet* v. 10085. Nie mamy przeto żadnego powodu, aby to tłómaczenie uważać za osobną odmianę powieści.

Trzecia powieść o przemianie dzieci w łabędzie. Utwór ten, pisany w tyradach z rymowanych alexandrynów, ogłoszony został przez H. A. Todd'a pod tytułem: *La naissance du Chevalier au cygne ou les Enfants changés en cygnes*, 1889 r. Krócej można go nazwać *Elioxe* od imienia matki dzieci[3]). Treść jego w ogólnym zarysie następna: Król Lotar, panujący w pobliżu Węgier, zbłądził na polowaniu goniąc jelenia. Zmęczony, położył się i zasnął. Zobaczyła go Elioxa królowa, która mieszkała w jaskini sąsiedniej i zasłoniła rękawem swoim twarz jego od słońca[4]). Król obudził się, spodobał ją sobie i oświadczył chęć pojęcia jej za żonę. Zgodziła się na to, chociaż wiedziała. że umrze, urodziwszy od razu siedmioro dzieci. Zabrał ją król do zamku, gdzie w matce jego Matrosilii znalazła nieprzyjaciółkę. Poród nastąpił podczas nieobe-

---

1) Romania II, p. 490 n. oraz XIX p. 314 n.

2) Li romans de Dolopathos, ed. Brunet et Montaiglon 1856.

3) Zob. Romania XIX p. 317.

4) Motyw ten wzięty jest z romansu o Tristanie i Izoldzie.

cności króla, który wyjechał na wojnę. Wszystkie dzieci miały łańcuszki złote na szyi, jak to przepowiedziała matka, która bezpośrednio po porodzie umarła. Przepowiedziała była także, że z nich wyjdą królowie, którzy za morzem panować będą[1]. Teściowa włożyła dzieci do dwu koszów, i kazała słudze zanieść je w leśną gęstwinę, gdzie najwięcej dzikich źwierząt. Sługa, litością powodowany, postawił je na oknie pustelnika, który je przy pomocy swej siostry wychował, żywiąc mlekiem kóz swoich. Gdy syn z wojny powrócił, powiedziała mu matka, że zmarła żona jego porodziła siedem smoków, które jej rozdarły wnętrzności, a następnie odleciały. Po siedmiu latach inny pachołek zobaczył w lesie siódmaki z łańcuszkami na szyi, o czem powiedział Matrosilii, która mu poleciła, aby im zabrał łańcuszki. Uczynił to, gdy spały. Przeciął łańcuszki ostremi nożycami, siostra jednakże, która spała osobno swój zatrzymała. Wszyscy bracia przemienili się, za przebudzeniem się, w łabędzie i ulecieli na rzekę, w pobliżu zamku króla płynącą. Siostra ich, którą pustelnik oddalił, poszła za nimi. Prosiła o chleb w zamku, następnie dzieliła się nim z łabędziami. Widział to król, a zaciekawiony pytał ją o powód przyjaźni dla ptaków. Powiedziała mu wszystko, co wiedziała. Król groźbą zniewolił matkę do wyznania winy, przyniesiono pięć łańcuszków, włożono je na szyje łabędzi, które odzyskały ludzką postać. Szósty łańcuch już był stopiony na naprawę puharu królewskiego, to też szósty łabędź ptakiem pozostał. Król przebaczył matce, a ucieszony, wyprawiał festyny i turniej. Pasowani na rycerzy, bracia rozjeżdżają się każdy w swą stronę szukać przygód. Z jednym z nich popłynął łabędź, a od tego właśnie mieli pochodzić zamorscy królowie.

Ostatnie wiersze utworu wzięte są z poematu o Rycerzu z łabędziem, aby w ten sposób połączyć jeden poemat z drugim. Autor omawianego utworu jest utalentowanym poetą, wierszowanie ma gładkie, zna wiele pieśni, o których wspomina. W osnowie trzyma się opowiadania Jana Cystersa z Haute-Seille, które zmienia dość często, ale nieznacznie. Najważniejsza różnica w tem leży, że kazał Elioxie umrzeć po porodzie, przez co usunął znęcanie się, które może było dla niego wstrętnem. To też król mógł przebaczyć matce, a poemat otrzymać zabarwienie pogodne, do którego przyczyniają się także opisy festynów i turnieju. Widoczny w tem

[1]) W Jerozolimie.

jest wpływ romansów rycerskich. Autor jest pobożny, układa ładne modlitwy, ale cudów nie mnoży. Z Elioxy nie zrobił fei, chociaż dał jej dziwne dzieci. Pustelnik u niego wcale nie jest całkiem osamotnionym, mając siostrę do towarzystwa i kozy. O zachowanie konsekwencyi dba autor tak mało, że kazał porozcinać pięć łańcuszków, a mimo to zachować im działanie mistyczne, albo czarodziejskie. Wogóle, nie śpiewa on dla publiczności lubiącej rysy grube i jaskrawe, jak w pieśni o Matabrunie, lecz raczej dla towarzystwa więcej ogładzonego, wyższego.

Niezwykle ładnym, mówi G. Paris [1], jest opis przebudzających się dzieci po odebraniu im łańcuszków. „Spały dzieci aż do świtu, a gdy pierwszy ze snu się wydobył, wyciąga ramiona jakby dla przyjemności, ale czuje we wszystkich członkach i wielkich i małych, że się zmienia jego natura: na ciele, na twarzy, na ramionach, na nogach, wszędzie ma pióra, stał się ptakiem białym jak lilia, już nie był zdolnym słowa wygłosić. To samo stało się drugim, tak, że wszyscy sześciu stali się białymi ptakami, w powietrze się podnieśli. Biali są, mają długie szyje, a nogi czarne. Na to wszystko patrzała ich siostra, która głowę pod kołdrę wsadziła, ale tak, że trochę jej twarzy było widać (v. 2035).“— Ustęp ten wywołuje w nas przypomnienie, tylko nieco dalsze. Wszakże to u Apulejusza czytaliśmy coś podobnego. Oto co mówi, gdy już jego Lucius cały wysmarował się maścią: *Jamque alternis conatibus libratis brachiis in avem similem gestiebam. Nec ullae plumulae, nec usquam pinnulae; sed plane pili mei crassantur in setas, et cutis tenella duratur in corium; et in extimis palmulis, perdito numero, toti digiti coguntur in singulas ungulas, et de spinae meae termino grandis cauda procedit. Iam facies enormis, et os prolixum, et nares hiantes, et labiae pendulae. Sic et aures immodicis horripilant auctibus..... non avem me, sed asinum video... sed iam humano gestu simul et voce privatus* [2]... W całości tedy dwa te opisy bardzo są do siebie podobne. W obu mamy metamorfozę i szczegółowy jej opis, co przypadkowem być nie może. Zasługuje na uwagę, że oba opisy zaczynają się od wyciągania ramion, bo i Lucius miał zamiar w ptaka się przemienić, nie w osła. Przyjąć trzeba, że Metamorfozy Apule-

---

[1]) Zob. Romania XIX p. 336.

[2]) Metamorfozy III, p. 24.

jusza, oraz powiastka o Amorze i Psysze należały do książek starofrancuskim poetom dobrze znanych. Oni wszyscy, pisząc te dzieła, oddychali atmosferą Metamorfoz oraz Amora i Psychy; z tej to kopalni czerpali ideje i materyały, z których następnie nowe złożyli utwory. Wykazaliśmy to przecież w znacznej mierze, reszty domyślać się można.

Czwarta powieść o przemianie dzieci w łabędzie. Znajdujemy ją w obszernem omawianem już dziele hiszpańskiem pod tytułem: *Gran Conquista de Ultramar*, co znaczy: Wielka zdobycz za morzem. Mowa tu o zdobyciu Jerozolimy, a wciągnięto do tej historyi także pochodzenie Godfryda z Bouillon'u. Podstawą opowiadania jest poemat o Beatryxie, ale z wielu dodatkowymi motywami. Ponieważ to opracowanie nie wpływało wcale na ukształtowanie poematów francuskich, przeto poprzestajemy na tej wzmiance[1]. Dodajemy, że matką dzieci jest tutaj Isomberta.

Przechodzimy teraz do nowego pytania, a mianowicie, jaki jest stosunek tych utworów względem siebie? Pytaniem tem zajmował się szczegółowo także G. Paris i taką daje odpowiedź[2]): powieść sama jest bardzo dawną i ma znaczenie mityczne. Opowiadano ją w Lotaryngii, gdzie ją spisał Jan z Wysokiego lasu. Obok jego opowiadania najwierniejszego powstało inne, nieco zmienione, z którego dwie wywodzą się wersye: Elioxa i zaginiony poemat, a z tego zaginionego Isomberta i Beatryx.

Jak widzimy, punktem wyjścia dla paryskiego profesora jest powieść ludowa, która jest zarazem mitologiczną i opowiadaną była w Lotaryngii. Zdaniem naszem takie przypuszczenie jest tylko przypuszczeniem, nie zaś wyjaśnieniem. Pragnęlibyśmy przedewszystkiem dowiedzieć się, kiedy to lud ją utworzył, z jakiej mitologii ją czerpał, dla czego ją opowiadał właśnie w Lotaryngii, a nie gdzieindziej? Nam się zdaje, że nikt na świecie na te pytania odpowiedzieć by nie zdołał. To też podziękować trzeba Blötemu, że pole badania w tej sprawie z owego mitologicznego i baśniowego chwastu oczyścił. Co do nas, to my i tutaj naszą zastosujemy metodę, starając się wyjaśnić tę powieść z ówczesnej literatury, zupełnie tak, jak to uczyniliśmy wobec pieśni o Rycerzu z łabędziem. Za ówczesną zaś literaturę uważamy nie tylko to, co wtedy pisano, ale i to co czytano.

---

[1]) Zob. Romania l. c.

[2]) Romania XIX, p. 326.

Niezawodnie, że ten łabędź był zagadkowym i zadziwiającym. Dla czego był tak rozumnym, a brat jemu tak posłusznym? Odpowiedziano na to, że był przemienionym człowiekiem. 'Autor tej odpowiedzi zamierzył sobie zadziwić słuchaczy swoich historyą o metamorfozie. A więc na podobieństwo Owidyusza i Apulejusza, których znano obu. Jeżeli korzystano z powieści o Amorze i Psysze, to nawet trudno im było nie korzystać z Metamorfoz. Pamphila w Metamorfozach przemieniła się w sowę, Lucius w osła, dla czego ktoś nie mógł się przemienić w łabędzia? Byle bez czarów, bo te są grzeszne. A więc sprawiły to feje, a wiara w feje była we Francyi powszechną. One się zjawiały przy narodzinach dziecka, albo przy chrzcinach jego i wyznaczały mu los, niekiedy dziwaczny. Tak więc przemiana dzieci w łabędzie tłómaczy się całkiem dostatecznie sprawą fei. Siedem ich zjawiło się przy ich urodzinach i każda z nich jednemu dziecku dała łańcuszek na szyję z przywiązanym doń urokiem przemiany. Zamiast maści, której używała Pamphila, mamy tutaj łańcuszki magiczne, jedno tak mądre, jak drugie.

Tak jest w pieśni o Matabrunie, a jakże ma się do tego Jan Cysters? On z matki dzieci robi nimfę (nympha), co ma znaczyć prawdopodobnie feję. To też każde z jej dzieci rodzi się z łańcuszkiem. Nam się zdaje, że ten pomysł jest o wiele gorszy aniżeli pomysł w pieśni o Matabrunie, trudniej bowiem urodzić z łańcuszkiem, niż otrzymać go po urodzeniu od fei. Powiedzielibyśmy tedy: Jan zakonnik zmienia wersyą już znaną, ale zmienia na gorsze.

Teraz dalej: w Matabrunie leśniczy, oddany Matabrunie, donosi jej, że w lesie widział dzieci z łańcuszkami, które on z rozkazu pani zabiera, z wyjątkiem jednego. — W Dolopatosie król pierwszy zobaczył dzieci. Sądzilibyśmy, że przez to już powinny być ocalonemi, ale nie, król sam opowiada o tem matce, która teraz dopiero wysyła pachołka, aby zabrał łańcuszki. To było zbyt niebezpieczne wobec faktu, że król dzieci widział. A więc Jan Cysters zmienia na gorsze.

W pieśni o Matabrunie najdzielniejszy z braci zachował swój łańcuszek, on też następnie stanął do walki, mając lat piętnaście. Podobny jest w tem do Partenopeusa, a jeżeli chcemy, to i do młodocianego Amora, powieść nabiera charakteru rycerskiego i prowadzi już do czynów Rycerza z łabędziem. W Dolopatosie dziew-

czyna zachowała łańcuch, ale mimo to przemieniła się w łabędzia i poleciała z braćmi na staw przy zamku pana. Nie rozumiemy, dla czego chłopcy, kąpiąc się, nie zatrzymali łańcuszków na sobie. W Matabrunie jest lepiej, tam leśniczy śpiącym dzieciom zabiera talizmany. Znowuż trzeba powiedzieć, że Jan Cysters zmienia, ale na gorsze.

Z tego wszystkiego wynika, że poemat o Matabrunie jest starszy, podług niego układał Jan zakonnik swoją powieść, z niego przejął siedmioro dzieci, zostawiając ten fakt niezwykły bez żadnego upowodowania. Dodamy krótko, że autor Elioxy opiera się na opowiadaniu Jana z Wysokiego lasu, znowuż zmieniając je dowolnie, ale zgrabnie. Ostatecznie tedy: autor Matabruny pisze swój poemat jako wstęp do bohaterskiego poematu o Rycerzu z łabędziem; autor Dolopatosa zmienia go, skracając i przystosowując do opowiadań moralnych o złośliwości kobiet; autor Elioxy zmienia znów tekst Jana, rozwijając tak, aby się poemat jego sam w sobie podobał wyższemu towarzystwu, a zarazem mógł służyć za wstęp do pieśni o Rycerzu z łabędziem.

Sądzimy tedy, że ani ludowej baśni o Rycerzu z łabędziem, ani też baśni o pochodzeniu dzieci zmienionych w łabędzie nie było, jak to przyjmuje G. Paris, a za nim wszyscy zgoła historycy starofrancuskiej literatury. Twierdzimy, że wszystkie te ostatnie opowiadania są utworami żonglerów i poetów z końca wieku XII.

Z tego punktu widzenia podziwiamy ich ruchliwość umysłową, pomysłowość i twórczość, a na poparcie zdania naszego o pierwszeństwie pieśni o Matabrunie, możemy przytoczyć własne zeznanie jej autora, który mówi tak: słyszeliście pieśń o Rycerzu z łabędziem, otóż nie ma tak starego człowieka, ani tak osiwiałej kobiety, którzyby coś wiedzieli o jego pierwszem pochodzeniu, albo w jakiej ziemi się urodził. Teraz to usłyszycie: *Du chevalier au cygne avez canchon oüe. Il n'a si viel hom, ne feme si kenue Qui oncques en oïst le première venue, De quel terre fust nes, mais or ert entendue* (v. 28 n.) To jest świadectwo rozstrzygające. Żonglerowie kłamali jak najęci, to prawda, ale w takiej sprawie żaden skłamać nie mógł, jeżeli nie chciał na siebie ściągnąć szorstkiej nagany słuchaczy, albo współzawodników, którzyby tę powieść znali od ludu, przez Jana, lub autora Elioxy. Ci ostatni tedy zmieniali dowolnie powieść o Matabrunie.

Zapatrywanie nasze otrzymuje silne bardzo potwierdzenie z innej strony. Oto późniejsi poeci zmieniają powieść o Rycerzu z łab. jeszcze inaczej i kierują ją w całkiem nową stronę. Początek do tego dał Gerbert de Montreuil, jeden z tych dwu, którzy ułożyli zakończenia do poematu o Gralu, zaczętego przez Krystyana z Troyes. W tem swojem zakończeniu Gerbert doprowadza do małżeństwa pomiędzy Percevalem a Blanchefleur, którzy się już u Krystyana bez małżeństwa kochali, a co stało się przyczyną, że Perceval świętego Gralu odnaleść nie mógł. Teraz małżeńska para, moralnie wydoskonalona, przepędziła noc pierwszą w zupełnej wstrzemięźliwości. W nagrodę za to nad ranem zjawił się wysłannik boży, który Percevala nazwał miłym bratem i przepowiedział mu co następuje: z twego rodu wynijdzie panna miła i ładna, abyś to wiedział, która poślubi bogatego króla, lecz wskutek grzechu i nieroztropności, bez winy, popadnie w wielkie niebezpieczeństwo, bo może być spaloną lub wygnaną. Ale porodzi syna, który ją z tego niebezpieczeństwa wybawi. Inne jeszcze będzie miała dzieci, które zdobędą liczne ziemie. Jeden z nich, a to jest najważniejszem, będzie miał zrazu postać człowieka ładnego i przystojnego, stanie się później ptakiem, z czego się ojciec i matka smucić będą. Wiedz także, że starszemu synowi przygodzi się ładna awantura: będzie miał za żonę pannę, dla której zdobędzie ziemię przez bitwę. Z niego to urodzi się córka, której owoc będzie niezwykłym, a drogim wszystkim ludziom, bo z niej urodzi się trzech synów, którzy zdobędą Jerozolimę i grób i krzyż prawdziwy [1]).

Ustęp ten jest bardzo zaciekawiający; mówi tu Gerbert, że Perceval i Blanchefleur będą mieli córkę, a będzie nią Beatryx, żona Orianta. To znaczy, że Gerbert wiąże pieśni o Rycerzu z łab. z pieśniami o św. Gralu. Beatryx ma być córką Percevala. Co dalej mówi, to wszystko nam już jest wiadomem i zgadza się z treścią wyżej rozbieranych poematów.

Na tej samej drodze pójdzie Wolfram von Eschenbach śmiało o wiele dalej, bo podług niego, z małżeństwa Percevala i Condwiramur dwu synów się zrodzi: Kardeiz i Loherangrin. Pierwszy otrzymał dziedzictwo po ojcu, drugi został wysłany z Munsalvaesche

[1]) Potvin p. 210.

to znaczy z pałacu św. Grala na pomoc księżniczce Brabantu, którą Wolfram zostawia bez imienia. Przybył do Antwerpii, nie do Nymwegen, bo właśnie tamto miasto leży w Brabancie. Ponieważ złamała zakaz pytania, opuścił ją mąż na zawsze. Jeszcze dotąd Brabanci o nich mówią [1]. — Tutaj widzimy, że Wolfram całkowicie pomija powieść o przemianie dzieci w łabędzie, trzyma się tylko drugiej części poematu, który na swój sposób przemienia. Nie bierze atoli na siebie odpowiedzialności za te przemiany, tylko ją składa na Provensala Guot'a (Kyot von Provenz) który (jak nas zapewnia) prawdziwą powieść zachował, podczas kiedy Crestien de Troyes ją zmienił. Otóż w literaturze francuskiej, ani prowensalskiej, nie ma ani śladu takiego utworu, być tedy może, że on jest wymysłem Wolframa. Ważniejszem jest to, że tutaj Rycerz z łabędziem jest bezpośrednio synem Percevala. Nazwisko jego Loherangrin czyli Lohengrin, ma znaczyć Garin le Loherain, czyli Garin Lotaryngczyk. Wiemy, że takie nazwisko nosił bohater jednego z wielkich poematów starofrancuskich.

Pojawiają się następnie w drugiej połowie wieku XIII dwa niemieckie poematy, tyczące Rycerza z łabędziem. Jeden z nich, *der Schwanenritter*, przez Konrada z Würzburga, trzyma się wersyi francuskiej, jak ją wyżej poznaliśmy; drugi zaś pod tytułem *Lohengrin* z roku około 1280 powieść pierwotną zmienia jeszcze bardziej w kierunku przez Wolframa naznaczonym. To też i tutaj mamy dziedziczkę Brabantu. Imię jej Elsam. Obrońcą jej jest Lohengrin, syn Percevala, z Gralu przysłany na łodzi ciągnionej łabędziem. Napastnikiem jest Telramund, jeden z dworzan zmarłego jej ojca, który twierdzi, że Elsa jemu już małżeństwo przyrzekła. O słuszności jego twierdzenia może tylko pojedynek rozstrzygnąć, i w nim to obrońcą Elsy jest Lohengrin. Telramund jest zwyciężony, Elza sama prosi Lohengrina, aby ją wziął za żonę. Zgodził się na to, ale pod znanym warunkiem. Za podmową jednej z dam, która nienawidziła Lohengrina za to, że zwyciężył jej męża w turnieju, zapytała Elza męża o jego nazwisko i pochodzenie. Łabędź się pojawił, Rycerz odpłynął. Taką jest opowieść, która służyła za podstawę Ryszardowi Wagnerowi do jego sławnej opery. Z pierwotnej francuskiej powieści zostało w niej zawsze dość dużo, ale

---

[1]) Zob. Wolfram v: Eschenbach ed. Lachmann 1872, księga XVI, a zwłaszcza pag. 387—8.

usunięto przedewszystkiem owych siedmioro dzieci. Pytanie, na którem polega poemat o Matabrunie, już nie było na czasie, już było rozstrzygnięte.

Pewną jest rzeczą, że poemat o Rycerzu z łabędziem zyskał bardzo na połączeniu ze św. Gralem. Tajemnicze pojawienie się rycerza, warunek przez niego postawiony, tajemnicze zniknięcie, wszystko to nabrało lepszego upowodowania. Tajemniczą jest przecież także powieść o Amorze i Psysze. Niektóre wybitne jej wpływy przeniesione na grunt średniowieczny, przedstawiają się tam zrazu w formie nie dość związanej, nie dość zaokrąglonej i dopiero z czasem, pracą całego szeregu umysłów, doszły do wydoskonalenia. W końcu utworzył się niejako nowy mit o Rycerzu z łabędziem, a jest prawdopodobnem, że mity starożytne tworzyły się w sposób podobny.

II. *Les Enfances Godefroid* (Młodzieńcze lata Godfryda[1]).

Seignor, oiés canchon dont li mot sont verai
Si com dit li estoires, ne vos en mentirai
D'Ydain la damoisele un petit vos dirai
S'entendre le voles, bien vos deviserai
Comment fu mariée, la verité en sai,
Li jentiex emperere, dont tant conté vos ai
Sires est d'Allemaigne de Coloingne et d'Ausai
A une pentecoste tint sa cort a Cambrai.

Panowie słuchajcie pieśni całkiem prawdziwej, historyą potwierdzonej, bez kłamstw, a mianowicie jak pana Ida (córka Rycerza z łabędziem) wyszła za mąż, co mi dobrze jest wiadomem. Już dużo opowiadałem o cesarzu, panu Niemiec i Kolonii i Ausai[2]. Na Zielone święta dwór on zebrał w Cambrai. Wszyscy panowie tam się zjechali, także i księżna (z Bouillon) z córką Idą. Przybył także młody i grzeczny hrabia z Boulogne, Eustachy.

---

[1]) La chanson du chevalier au cygne et de Godefroid de Bouillon ed. Hippeau 1877, III. 1—189.

[2]) Ausai znaczy Alzacyą. Bardzo ważne jest, co poeta mówi, że już dużo opowiadał o cesarzu Niemiec i Kolonii. Gdzie to opowiadał? Oto w poemacie o Rycerzu z łabędziem. Z tego wniosek, że ten sam żongler jest autorem pieśni o Rycerzu z łabędziem i pieśni o młodości Godfryda.

Było to w same Zielone święta, cesarz z panami poszedł do kościoła, gdzie wielką mszę śpiewał biskup z Akwitanii. Po nabożeństwie wrócili do sali, zatrąbiono na mycie (rąk), poczem zasiedli do stołu. Piętnastu hrabiów usługiwało, Eustachy podawał wino, krajał mięso, a czynił to zgrabnie. To też po obiedzie prosił cesarza, aby mu dał za żonę Idę, córkę księżny Bouillon [1]. Cesarz przywołał księżnę i zapytał, czy się zgadza na to małżeństwo. Chętnie się zgodziła, bo już od poczęcia córki wiedziała, że ma być hrabiną w Boulogne. Cesarz ujął Idę za rękę i w obecności wszystkich oddał ją Eustachemu. Po obiedzie wyjechali panowie na błonie, aby harcować, księżna do kościoła poszła. Wieczorem była kolacya, a po niej żonglerzy śpiewali i grali na skrzypcach. Poszli już wszyscy na spoczynek, tylko hrabia z Boulogne przywołuje dwu gońców, aby im dać polecenia.

Hrabia wysłał gońców z wezwaniem do wszystkich wasalów, aby się na sobotę stawili. Księżna córkę kąpała, przygotowywała jej suknie. Wasalów stawiło się 4000. W niedzielę stu rycerzy udało się po Idę, wsadzono ją, ubraną bardzo bogato, na muła hiszpańskiego, zaprowadzono do św. Krzyża. Tutaj cesarz nadał hrabiemu księstwo Bouillon, poczem ślub się odbył. Mszę odśpiewał biskup wyświęcony. Przez cały dzień bawiono się kosztem cesarza. Po obiedzie sami żonglerzy grali na skrzypcach, harfiści na harfach, inni na psalteryonach, *li contéor*, powieściarze opowiadali romanse i awantury. Hrabia rozdawał wszystkim płaszcze, muły, konie, tak, że go chwalili. — Dla nowożeńców przygotowano bogate łoże, pobłogosławione ze wszystkich stron przez biskupa. Historya opowiada, że tej nocy poczęła hrabina dzielnego harcownika, który otrzymał na imię Eustachy.

Tejże nocy hrabina miała dziwny sen. Widziała się przeniesioną do Jerozolimy przed sam grób Jezusa. W świątyni spostrzegła pełno puszczyków i nietoperzy, które się gnieździły nad wielkim ołtarzem. Z jej ust wyszły 2 orły i jeden gryf, które powypędzały owe puszczyki i nietoperze, następnie ją przeniosły na szczyt wieży Dawida, skąd oglądała całe miasto i kraj cały. Orły usiadły na jej ramionach, gryf u piersi jej się uwiesił, wnętrzności jej wyciągnął, przez Złotą bramę wyleciał, którędy przechodził Je-

[1] Upowodowanie oświadczyn hrabiego Eustachego zgrabnością w usługiwaniu przy cesarskim stole jest znamiennem na owe czasy.

zus, wszystkie mury opasał jej wnętrznościami. Obudziła się dama, dwa razy zakrzyczała. Przeżegnał się Eustachy, a gdy się dowiedział o powodzie, rzekł: widzenie twoje ma wielką doniosłość, a znaczy, że twoje potomstwo wywyższy ciebie i Jerozolimę.

Nazajutrz ugościli cesarz i cesarzowa młodą parę bardzo uprzejmie, do stołu usiedli wszyscy obecni bez krzyku i bez kłótni. Śpiewali żonglerzy, na skrzypcach grali Bretonowie. Następnie hrabia odesłał żonę do Boulogne, sam z cesarzem udał się do Akwizgranu, gdzie złożył hołd. Nazajutrz pojechał do Bouillon, aby objąć to księstwo w posiadanie i kazać sobie przysiądz wierność mieszkańcom i urzędnikom, obiecując zachować prawa mieszczan i rycerzy. Książę saski przemocą chciał to księstwo zabrać, za co w Nimaie zabity został. Po tygodniu udał się do Boulogne, gdzie go radośnie ładna żona przywitała.

Tutaj postanowił wyprawić wesele i polecił seneszalowi, aby je urządził wspaniale. Seneszal udał się konno do Lonviller, gdzie hrabia posiadał do spółki owczarnię z tysiąca owiec. Rzekł do wspólnika, aby mu 20 baranów pożyczył, co też ten niezwłocznie uczynił [1]). Stała się przytem rzecz, której się dziwili wszyscy zgromadzeni księża, opaci, mnisi, rycerze, mieszczanie, damy i kanonicy. Pomiędzy baranami był jeden czarny, a jego łopatkę właśnie hrabia z hrabiną dostali do jedzenia. Hrabina Ida chciała wróżyć z łopatki, a gdy ta już była z mięsa obrana i oczyszczona, przypatrywała się jej uważnie. Hrabia ją prosił, aby wróżyła. Po pewnem drożeniu się rzekła: jedliśmy dzisiaj cudzą własność, ten baran należał do twego wspólnika, a sam jeden był czarny. Hrabia nie chciał temu wierzyć, zawołał seneszala, a ten potwierdził, co hrabina powiedziała. Za to odstąpił hrabia żonie swoją część owczarni, aby owego wspólnika wynagrodziła jak należy [2]). Mówiła hrabina dalej, przypatrzywszy się łopatce z uwagą: ciesz się hrabio, bo Bóg nam da dobre dzieci: jednego hrabiego, jednego księcia *(duc)* jednego księcia udzielnego *(prince)* i dwu królów, a razem będzie tylko trzech synów. Dziwili się wszyscy, jak to być może. Oto tak, rzekła hrabina: pierwszy syn będzie hrabią w Boulogne, drugi będzie księciem w Bouillon, które posiadasz przezemnie, trzeci bę-

[1]) Szczegół ten rzuca ciekawe światło na sposób gospodarowania w wielkich dobrach w owym czasie.

[2]) Hrabia, zdaje się, czuł się zawstydzonym, że się wspólnictwo wydało, oraz że pożyczone barany dawał na stół.

dzie księciem udzielnym w arabskiej ziemi, a ci dwaj będą następnie królami w Jerozolimie [1]. Hrabia prosił Boga, aby się tak stało jak hrabina wróżyła.

Wesele trwało dwa tygodnie, poczem się goście rozjechali. Przyszedł czas, gdy hrabina urodziła syna, który otrzymał imię Eustachy. Do chrztu go trzymali opat z St. Giosse i opat od St. Bertina. Sama hrabina go karmiła, nie chcąc, aby się wynaturzył przez mamkę. Gdy już do sił doszła, udała się do kościoła, bogato ubrana w hermeliny i sobole, pas miała na sobie ozdobiony topazami, agatem, szafirami. Pas ten chronił noszącego od wszelkiego robactwa. *Nus hom qui l'ait sor lui mar dotera vermine.* Nastąpiła uczta, przy której wielu było Bretonów i Pikardczyków i zacnych żonglerów, którzy śpiewali bardzo silnie i głośno.

W drugim roku hrabina urodziła drugiego syna, jak mówi historya. Ten to w Jerozolimie jedną strzałą trzy zabił ptaki od razu, z czego się Turcy bardzo smucili. Przyszedł i syn trzeci, a wszystkich karmiła sama hrabina, co ludzi bardzo dziwiło. Zdarzyło się raz, że gdy hrabina była w kościele, jedno z dzieci w domu bardzo płakać zaczęło. Piastunka przywołała śpiesznie jednę z dziewczyn, aby dziecko nakarmiła. Sądziły, że hrabina tego nie pozna, ale ona spostrzegła, że dziecko miało mokrą gębę. Rozgniewała się strasznie, że aż zczerniała, dziecko położyła na stole, kulała je tak długo, aż mleko wyrzuciło, poczem je obok innych położyła, wszystkie nakryła swoim płaszczem hermelinowym i usiadła przy nich. Wszedł do tego pokoju hrabia, a zdziwiony, że hrabina na jego przybycie nie wstała, zapytał o przyczynę? Odpowiedziała, że ona należy do wyższych godnością aniżeli on, bo oto pod płaszczem ma hrabiego, księcia i króla. Hrabia się uśmiechnął na to proroctwo, które go cieszyło.

Pobożną była hrabina, włosiennicę wdziewała, wkładała ostre kamyki do trzewików, które na gołych nogach nosiła, do kościoła chodziła chętnie, biednych odziewała, ołtarze zdobiła, mnichów, księży i kleryków szanowała.

Gdy już najmłodszy Balduin miał lat ośm, a najstarszy 10, ojciec kazał ich uczyć z książek, jeździć konno, harcować, mieczem robić, lancą najeżdżać, grać w szachy i tabliczki *(tables)*, sidła na

---

[1]) Drugi syn Godefroi, książę Bouillon, był królem w Jerozolimie, a po jego śmierci królem tam został brat jego Balduin, aż dotąd hrabia, albo książę Edessy.

ptaki zastawiać, co wszystko więcej lubili, niż książki *(clergie)* Harce bardziej ich wabiły, niż nieszpory albo kompleta. Zawsze byli ładnie ubrani, suknie i trzewiki mieli do miary [1]).

Eustachy miał lat 12, i już był roztropny, odważny i ugrzeczniony. Wtedy postanowili rodzice wysłać go na dwór króla angielskiego, aby tam sobie rycerstwo zdobył. Dali mu pieniędzy obficie, dużo sukien, sokołów. Zabrał ze sobą dziesięciu towarzyszy, sług i pachołków 26, oraz 4 rycerzy, starszych i ugrzecznionych. Na statek wsiedli w Wissant, wnet do Dovres przepłynęli. Stamtąd jechali przez Cantorbile (Canterbury) i Rochester do Londynu, gdzie się król znajdował. Gospodą stanęli naprzeciw św. Pawła u bogatego mieszczanina. Tam kazał Eustachy przygotować wielką wieczerzę i ogłosić na ulicach, że wszystkich do siebie zaprasza. Wielu przybyło, bawili się wesoło, ubodzy otrzymali obficie żywności.

Nazajutrz udał się Eustachy do kościoła, po mszy czekał aż król wyjdzie, aby mu się przedstawić, jako syn hrabiego z Boulogne. Król go zaprosił na dwór, dał mu miejsce za swojem krzesłem i kazał trzymać złoty kubek do picia. Wszyscy go polubili, ponieważ był bardzo szczodrym. Rozdawał towarzyszom wszystko, co miał, suknie, sokoły, konie. Pierwszemu kucharzowi dał futro z soboli i płaszcz z sobolowymi brzegami, drugiemu kucharzowi pierścień z kamieniami i kunie futro [2]). Król także go lubił i na polowaniu kazał mu nieść swój kołczan. Bardzo zgrabnie umiał służyć syn hrabiny, córki owego rycerza, którego łabędź do brzegu przyciągnął i który tu dużo doznał przykrości od innych baronów, aż odjechał, gdy termin nadszedł (p. 32). Modliła się hrabina gorąco do Boga, do św. Katarzyny, do św. Dyonizyusza, za synem aby mu cześć przyznali.

Tymczasem hrabia Eustachy w Boulogne ciężko zaniemógł. Opadł z ciała, siły stracił, w łóżku już trzy miesiące leżał. Modliła się za niego hrabina, msze śpiewać kazała Benedyktynom, ale choroba nie ustępowała. Zamyślił korzystać z tego wasal jego, nieuczciwy a bogaty, nazywał się Rainaumes.

Ów wasal nazywał się Rainaumes, od hrabiego posiadał Monsternel jako lenno. Wierność powinien był zachować tem bardziej,

---

[1]) Dowiadujemy się tutaj, co ceniono w wychowaniu młodych baronów, a co lekceważono, jako niestosowne do ich stanu.

[2]) Wszystkie te szczegóły są bardzo znamienne.

że synowie hrabiego jeszcze byli młodzi i żaden nie był rycerzem. Otóż on zebrał swoich krewnych i wawasorów, obiecał im wielkie nagrody, aby mu pomogli hrabiego zniszczyć i hrabstwo sobie przywłaszczyć. Najechał na jego ziemie, palił wsi i miasteczka, zabierał ludzi, bydło, wszelkie ich mienie, zamki łupił. Na tę wiadomość hrabia zrywał się z łóżka, aby bronić swej własności, ale na nogach utrzymać się nie mógł. Tak był zmartwiony, że śmierci pragnął. Hrabina poradziła, aby dać o tem znać synowi w Londynie. Wysłano gońca, ten przybył na zamek króla, właśnie gdy Eustachy stał z kubkiem za królem przy obiedzie. Pociągnął go za rękaw, powiedział co się stało i że hrabina przeklnie pierś, która go karmiła, jeżeli się nie pomści na Rainaumie.

Słysząc to Eustachy, mówi do króla: panie, odbierz kubek! Król się zaśmiał i rzekł: co ci się stało, Eustachy, mnie się pić nie chce teraz! — Odbierz, bo rzucę, na św. Feliksa zapewniam! — Król odebrał kubek, a Eustachy, nie żegnając się, śpiesznie wyszedł. Pędził konno aż do Cantorbile, gdzie się gorąco modlił w kościele św. Trójcy, krzyżem leżąc, następnie do Dover jechał, do Wissant się przeprawił w nocy, mówiąc, że jest królewskim posłańcem.

Prosto ku Monsternel pędził Eustachy, po drodze widział spustoszoną ziemię. Spotkał rycerza, którego prosił, aby mu konia swego pożyczył. — Panie, to tylko klacz, wstyd byłby dla ciebie! — Wnet ci ją oddam, tylko dawaj. — Pojechał dalej, innego rycerza zabrał do towarzystwa, pod Monsterenel zobaczył zdrajcę, bawiącego się z innymi, zaraz go wyzwał, pancerz i piersi i serce mu przebił. Zawrócił teraz i śpiesznie do Wissant pojechał, przeprawił się do Dover, do Londynu przybył o południu, za krzesłem króla stanął. Zapytał się król: co się z tobą stało przedwczoraj? Z pewnością wezwała cię przyjaciółka twoja? Żartował sobie król z niego, a Eustachy powiedział tylko: nie mogłem zrobić inaczej.

Towarzysz jego tymczasem zajechał do Boulogne, aby oznajmić hrabiemu, że już Rainaume nie żyje. — Kto go zabił? zapytał hrabia, trzy razy się żegnając. — Syn wasz Eustachy, sam na to patrzałem! — Niech będzie błogosławiona godzina, w której się urodził, zawołała hrabina, płacząc z radości! — Tego samego rycerza wysłano do Londynu, aby zawiadomił króla, jakiego zucha ma przy sobie. Zaczekał rycerz, aż król od stołu wstanie i wtedy mu zdał sprawę z poselstwa. Zdziwiony król zapytał: co mówisz, więc on był za morzem? — Tak jest Panie. — Teraz król kazał przywołać

Eustachego, który siedział przy jedzeniu; wyrzuty mu czynił, że nic mu nie mówił o swej wyprawie. Byłby mu dał rycerzy do pomocy, sam byłby z nim pojechał, aby zdrajcę ukarać. — Odpowiedział młodzieniec, że nie śmiał tego uczynić i sam jeden pojechał. — Teraz król: wykąp się Witasse, towarzyszy twoich zaopatrz, bo dla twego honoru ty i oni wszyscy rycerzami pasowani będziecie. Tobie dam lenno, zrobię cię seneszalem Anglii. — Upadł Eustachy do nóg królowi, ale ten go podniósł.

Idzie Eustachy do swego hotelu, wszyscy się kąpią i myją. Król kazał dla wszystkich nowe zrobić ubranie. Zgrabny Eustachy przywdział najprzód koszulę jedwabną, na nią włożył tunikę w pasy, pantalony miał w kwiaty, płaszcz z wschodniej materyi. Jak sokół przewyższa srokę, srebro ołów, róża pokrzywę, tak przewyższał młodzieniec wszystkich towarzyszy.

Jadą wszyscy na dwór bez wrzasku, król ich przyjął uprzejmie, sala pełna była różnych ludzi, a byli także harfiści i Bretonowie, były skrzypce i symfonie i powieściarze śpiewający *(conteors de sons)* i różne żonglerstwo. To trwało aż do nocy. Teraz udaje się młodzieniec do kościoła św. Pawła, gorąco się modli o honor dla siebie, o życie dla ojca. Czuwał przez noc całą w kościele aż do rana, mszy wysłuchał przy ołtarzu św. Marcina. Teraz do pałacu wrócił, gdzie bardzo było głośno. Pokrzepili się chlebem, mięsem i winem, poczem go król rycerzem pasował. Dwu hrabiów wdziało mu trzewiki, sam król przypiął mu złote ostrogi, wdziano mu pancerz bielutki, jak kwiat głogu, przywiązali mu hełm, pochodzący od króla Konstantyna, cesarza rzymskiego. Hełm ten należał następnie do króla Aiquina, na nim został zdobyty przez barona Gerin'a, następnie go posiadał król Francyi za pośrednictwem Basina złodzieja, który go ze skarbca księcia zabrał w złodziejski sposób; w końcu król angielski otrzymał go przez jednego ze swych kuzynów [1]). — Sam król opasał go dobrym mieczem stalowym, na plac wyprowadzono rumaka karego, z siodłem z ryby morskiej,

[1]) *Un elme li lacherent qui fu roi Constentin — L'emperéor de Rome, puis fu li rois Aiquin; En une grant bataille que fistrent sarrazin, Fu conquis sor le roi del bon vassal Gérin; Puis l'ot li rois de Franche par le larron Basin, Qui el tresor le duc le prist par larrechin* etc. v. 1589 n. Ważnem tu jest wymienienie Aiquin'a i Basina. Pierwszy jest główną postacią w poemacie tegoż nazwiska; drugi występuje w poemacie *Jehan de Lanson*. Nasz poemat jest więc późniejszy od nich.

czaprak jego był z przodu ze wschodniej tkaniny, z tyłu z hermelinów, uzda warta była dużo szterlingów — aż do Renu nie było ładniejszego konia.

Witasse go dosiadł, w rękę ujął lancę jasionową, tarczę miał pokrytą skórą delfina. Wszyscy teraz wyjechali wraz z królem na błonie nad Tamizę. Tam ustawiono kwintanę na dwu słupach, zawieszono na niej pancerz, a na to silną tarcz. W tę figurę uderzył Eustachy lancą, tak że przebił tarcz i pancerz, a lanca aż do rękojeści przeszła na drugą stronę. Podziwiał to król i wszyscy baronowie (v. 1621 n)[1]. Harcują wszyscy aż do zachodu słońca, poczem król wszystkich do siebie zaprosił. Weselili się wszyscy, a żonglerzy grali na instrumentach; Eustachy i dla nich okazał się hojnym: dał im płaszcze i tuniki i futra, tak że wszyscy byli zadowoleni. To też kochali go wszyscy, bo nie był dusigroszem; złota, ani srebra nie chował. Dziś każdy bogacz tylko o sobie myśli, szczodrość i zacność jest znienawidzoną, panią jest chciwość, która wszystkich upodliła, i królów, i hrabiów, i biskupów, i opatów. Co więcej gadać? Dobrego nic nie ma[2]).

Tak więc, panowie, Eustachy został rycerzem, mając lat 13 i pół. Wraz z nim pasowanych było 30 jego towarzyszy. Bardzo się z tego ucieszył ojciec jego, który z łaski Jezusa nawet i wyzdrowiał.

Hrabia z Boulogne wyzdrowiał i zajął się wychowaniem dwu młodszych synów Godfryda i Balduina. Ładnie wyrośli, zgrabni są i grzeczni. Godfryd już miał lat 14, ale tego nigdzie na służbę hrabia nie posłał, bo jego kochał najbardziej. Gdy już miał lat 17, nie było przystojniejszego młodzieńca w całej Francyi, tak pismo zapewnia: *che conte l'escriture*.

Otóż w kwietniu na Wielkanoc pasował go ojciec na rycerza wraz z innymi, których liczby nie wiem. Świetną mu przywdziano zbroję, przypasano miecz przez Galanda ukuty, równocześnie z Durendalem, mieczem Rolanda; na tarczy miał dwa lwy młode, na

[1]) Ta zabawa, albo raczej ćwiczenie wojskowe, wspominane jest kilkakrotnie w literaturze wieków średnich. Zdaje się, że *quintana-quintaine* pochodzi jeszcze ze starożytności, a w gimnastyce znana jest do dzisiaj. Jest to rzucanie drążków okutych do słupa z głową ruchomą na zawiasach.

[2]) Znane nam to zapatrywanie poetów starofrancuskich co do szczodrości powtarza się i tutaj, co dowodzi, że było bardzo rozpowszechnionem. W całości opis ten jest bardzo zajmującym jako obraz ówczesnych obyczajów.

chorągiewce przy lancy trzy orły latające jako znak *(enseigne)*[1]). Tak wyjechał na harce, po których uczta się odbyła, a następnie żonglerzy grali na skrzypcach i śpiewali, byli także zacni powieściarze (conteor) z Poitou i Bretanii i z za morza (z Anglii) i z innych krajów. Uprzejmy Witasse tak ich obdarzył, że żaden się nie skarżył przy odejściu.

Po skończonych uroczystościach kazał hrabia przywołać Godfryda i polecił mu, aby się udał do cesarza i prosił go o przyznanie mu księstwa Bouillon jako lenna. Godfryd pojechał z 15 rycerzami, przybył do Nimaie, gdzie go cesarz za podbródek uchwycił i ucałował. Podczas gdy rozmawiali, przybywa panna, córka kasztelana Ivon'a, do nóg się cesarzowi rzuca i skargę zanosi przeciw kuzynowi Guidonowi, który, korzystając ze śmierci jej ojca, i z jej sieroctwa, zabrał jej całe dziedzictwo. Cesarz kazał niezwłocznie posłać po Guidona, aby się wytłómaczył. Guido przybył i oświadczył, że jej ojciec kazał jej wstąpić do klasztoru, a jego, syna swej siostry, zrobił dziedzicem. To on gotów stwierdzić walką przeciw komukolwiek bądź. Cesarz polecił baronom, aby sąd wydali. Dwunastu ich zasiadło do rady i tak zawyrokowali, że jeżeli panna nie znajdzie obrońcy, to wszystko straci. Panna prosiła swych wasalów i krewnych, aby stanęli w jej obronie, ale żaden do tego nie miał odwagi. Powstał Godfryd, zapytał cesarza, czy słuszność jest po stronie panny, a gdy ten go o tem zapewnił, oświadczył, że on się jej obrony podejmuje i dał rękawicę jako zastaw (gage).

Każdy z przeciwników miał teraz dać poręczycieli. Guion dał ich 15, panna tylko dwu dała, krewnych swoich. To mało, oświadczył cesarz, że zaś nikogo więcej znaleść nie mogła, więc siebie samą w zakład daje, na co się cesarz zgodził. Po złożeniu przysięgi na relikwie św. Jerzego, przez obu rycerzy, że mówią prawdę, wyznaczono pojedynek na poniedziałek po Zielonych świętach. Obaj mszy wysłuchali, następnie wyjechali na błonie. Tutaj Godfryd jeszcze raz wezwał kasztelana, aby nie krzywdził swej bratanicy i nie popełniał ciężkiego grzechu; na co mu Guion: przyjacielu, czy ty czasem nie byłeś mnichem w Citeaux, że ta-

[1]) Widzimy, że Godfryd nie miał za młodu łabędzia jako znaku, a także, że na tarczy i chorągiewce miał różne znaki; Graindor powiedział, że książę z Bouillon miał smoka na proporcu, co znaczy, że jeszcze stałych znaków rycerskich nie było, gdy poematy te były pisane.

kie kazanie umiesz gadać? Tyle je sobie cenię, co dwie główki czosnku [1]). — Po takiej odpowiedzi, rozgniewany Godfryd najeżdża na kasztelana, ale ten był starszy, silniejszy, bardziej wprawiony. Walka była długa i ciężka, a skończyła się tem, że Godfryd bocznem cięciem, którego się wyuczył, zdjął kasztelanowi głowę. Panowie, jak sądzicie, rzekł Godefroi do straży, czy pojedynek zakończony? Tak jest, odpowiedzieli, a panna otrzyma swe posiadłości. — Cesarz kazał zdjąć zbroję z rycerza, odziać go pięknym płaszczem *(mantel)* obok siebie go posadził. Panna złożyła mu grzeczne podziękowanie, a on jej na to: piękna *(belle)*, nie uczyniłem tego ani dla złota, ani dla srebra. tylko dla miłości Boga. — Odjechała panna niebawem, Godefroi został jeszcze, aby otrzymać inwestyturę, co gdy się stało, księciem był nazwany. Pojechał do Bouillon, odebrał tam przysięgę wierności od kasztelanów, wawasorów. Wszyscy ją chętnie złożyli.

Usłyszycie odtąd pieśń niezwykłą, zgodną z historyą i prawdą. W ten sam dzień św. Jana. gdy Godefroi odbierał przysięgę, wielkie było święto w Mecce, dokąd Sułtan zwołał swych wasalów. Zebrało się 30 admirałów (emirów) 20 królów koronowanych i 100 biskupów podług ich obrządku. Sam kalif, który jest ich pierwszym apostolikiem, miał kazanie. Po tej uroczystości na cześć Mahometa bawili się wszyscy wesoło. Jutro dowiedzą się dziwnej nowiny.

Matka Corbarana, stara Calabre. wyszła pod noc z miasta, usiadła w ogrodzie, na gwiazdy patrzała, wróżyć zaczęła, a to co wywróżyła, było bardzo smutne. Chciała się zabić z żalu, tylko że noża nie miała. Już się urodził ten, który miał jej wnuka Cornumaranta pozbawić królestwa. Zemdlała z żalu stara Calabre.

Przytomność odzyskawszy, wyszła z ogrodu, a rano modliła się do Margota, Apolina, Jupitera, Noiron'a [2]). Baronowie zebrali się w mahomeryi (meczecie), dokąd się i Calabre udała. modląc się klęczący. Wyszli po nabożeństwie wszyscy i ona z nimi, a wtedy usiadłszy, z ręką na podbródku, tak mówiła do sułtana: panie, we Francyi żyje trzech młodzieńców z tego samego małżeństwa, jeden z nich, Godefroi, jest księciem w Bouillon, dwaj drudzy są bardzo

---

[1]) Podobnie odpowiadał Renier Rycerzowi z łabędziem. Cały ten epizod z panną osieroconą jest powtórzeniem przygody z księżną Bouillon, tylko bez matki i bez małżeństwa.

[2]) Noiron znaczy Nerona, a Margot prawdopodobnie Merkurego.

młodzi. Wróżby moje powiedziały mi, że to oni właśnie zdobędą Syryą, Niceę i Antyochią i Liche (Laodiceę) i Tolon (Ptolomaidę), i Cezareę i port św. Szymona. Słysząc to sułtan, poruszył wąsami, ale milczał.

Rozgniewany był sułtan, w końcu tak przemówił: mówisz jak szalona, nic w tem nie ma prawdy, głupi ten, kto temu uwierzy. Na te słowa przyszedł właśnie Cornumarant, któremu swoje proroctwo powtórzyła. On także uwierzyć nie chciał, przeto przedstawiła mu je dokładniej. Ci, którzy ciebie i ojca twego pozbawią królestwa, przyjdą z za morza. Pochodzą od rycerza, którego łabędź przywiózł. Jeden z nich ma imię Godefroi, drudzy jeszcze są młodzi. Za trzy lata wojsko ich się ruszy. Pierwsze będzie zniszczone przez Solimana i mego syna, ale po niem przyjdzie drugie, które się pomści. Prowadzić je będzie Godefroi i jego bracia. Zdobędą Niceę i Antyochię i wieżę Dawida. Panem będzie ten, który w obliczu wszystkich zabije trzy ptaki jednym strzałem. Już 300 lat temu Dyana to przepowiedziała, a teraz nadszedł czas wypełnienia. — Słysząc to Cornumarant, przestraszył się bardzo, ledwie nie zemdlał, ale już teraz sobie postanowił iść zobaczyć tego Godfryda.

Miły wnuku, mówiła stara, słuchaj mnie dalej. Ten ród Łabędzia wywłaszczy cię i będzie potężny, ale i oni następnie upadną, pójdą w zapomnienie. Nasza wiara się podniesie, odzyska wielką część ziemi. Wtedy król francuski zbierze nowe wojsko, przyjdzie tutaj, aby pokutę czynić i pomścić się na Turkach. Ale ci niech się niczego nie boją, bo jeżeli tam nie będzie rodu Łabędzia, to nie doznają porażki.

Ów król francuski z wielką mocą przybędzie przez Konstantynopol, ale wiedz, że wojsko jego od głodu wyginie i drożyzny. Turcy z murów pokazywać im będą chleb, aby ich jeszcze więcej pognębić, a potem ich wybiją, jak zwierzęta leżeć będą niepogrzebani. Król sam powróci do swego kraju pełen żalu [1]).

Znacznie później nowe przyjdą zastępy z całego świata, bo do tego kraju przywołają nasi sławnego admirała Salahadina. Ten będzie bitny, hojny i groźny. On Babilonu będzie panem, on Jeruzalem zdobędzie i Ascalon i Cezareę, a o Acre będzie się bił trzy lata. Przy tem oblężeniu będzie król pełen pomyślności. Filip bę-

¹) To się odnosi do drugiej krucyaty, którą prowadził Ludwik VII.

dzie miał imię. Byłby pierwszym na świecie, gdyby nie chciwość i skąpstwo. Moje wróżby mówiły, że on może rozbiłby Mahometa, gdyby nie ród, który go nienawidzieć będzie i na życie mu nastawać.

Miły wnuku, w tem wojsku będzie z północy stary cesarz z kwitnącą brodą. On pierwszy ruszy przez Apulią, Kalabryą i Rosyą. Na morze wcale nie pójdzie. Ale zanim tu dojdzie, zginie z całą drużyną. Wtedy dopiero zjawi się Filip i zdobędzie Acre, ale bardzo mu będą nastawać na życie inni, a nawet swoi: (*si home*) Zazdrościć sobie będą wzajemnie, to też Jezus, ich Zbawiciel, nie będzie ich bronił. Jednego zostawią panem, potem powrócą za morze. Więcej powiedzieć ci nie mogę, bo chmura zasłoniła mi gwiazdy[1]).

Wzdycha sułtan oraz baronowie jego, i wszystko to spisać kazali. Miły wnuku, dodała Calabre, nigdy już ród Łabędzia nie będzie tak potężny, jak w owym czasie. To wam opowiada *Renaud*, że sułtan aż poczerwieniał od gniewu[2]).

Na to powstał kalif, ich apostolicus albo kardynał, powstał ze złocistego krzesła i tak przemówił: wczoraj o północy przed pianiem koguta, matka Corbarana wróżby stawiała i widziała, że z za morza przybędą narody, które naszą ziemię zdobędą, dla tego za pokutę *(par nom de penitance)* nakazuję wam, aby każdy, który ma tylko 3 żony, wziął ich sześć. Starajcie się napłodzić dzieci, któreby obroniły ziemię od innowierców.

Nazajutrz rozjechali się poganie, Cornumarant wrócił do Jerozolimy i oświadczył ojcu, że niezwłocznie uda się do Francyi, przebrany za pielgrzyma, aby zobaczyć swego śmiertelnego wroga. Zmartwił się bardzo stary Corbadas z tego oświadczenia, załamywał ręce, bo się obawiał, że syn jego zginie w podróży, ale napróżno go odwodził.

Cornumarant przygotowuje się do drogi. Jednego tylko weźmie towarzysza, biegłego w językach łacinnika ze Syryi. Dwa noże stalowe zrobić kazał, ostre jak brzytwy, a do nich dwie pochwy, bo zamyśla zabić księcia z Bouillon. Nikt prócz ojca o jego podróży nie wiedział, tajemnie opuścił miasto, przebył ramię morskie św. Jerzego (Bospor), był w Konstantynopolu 3 dni, do Sy-

---

[1]) To się odnosi do trzeciej krucyaty, do Barbarossy, oraz do sporów pomiędzy Filipem Augustem a Ryszardem Lwie serce.

[2]) Dowiadujemy się tutaj, jakie było imię żonglera.

cylii się skierował, na dwór Tankreda przybył i Boëmonda. Przy bramie stanęli jak ubodzy pielgrzymi z palmami w ręku. Prosili o pożywienie. Wprowadzono ich do pałacu, gdzie otrzymali podostatkiem chleba i mięsa i wina, a że to był dzień barona św. Marcina, więc widzieli tam zebranych wielu rycerzy. Ale za nic ich sobie mieli.

Opuścili miasto obaj pielgrzymi, żartują sobie z baronów sycylijskich, przybyli do Salerno, skąd do Rzymu się udali. Właśnie tam apostolik, biało jak kwiat ubrany, zebrał koncylium wielkie z 2000 księży i opatów. Byli (Saraceni) w kościele, ale wigilii nie odmawiali, widzieli ich wszystkich, z papieżem mówili, przy stole jego jedli. Nazajutrz poszli dalej, przez górę Jowisza (Mon-Jeu, wielki Bernard), a ponieważ słyszeli, że hrabia Raimond z St. Gille jest najwalniejszym baronem w chrześcijaństwie, przeto chcieli zobaczyć jego bogactwo i zacność. Usiedli tam przy bramie pod drzewem, o miłosierdzie prosili, jako pielgrzymi. Nakarmiono ich, wieczerzali razem z hrabią, nocowali w mieście, nazajutrz dalej poszli, drwiąc sobie z hrabiego, oraz jego bogactw i dzielności. Już się teraz Cornumarant o los Syryi nie boi, bo widział, że Francuzi są biedni i bez wartości [1]. — Następnie zaszli do Puy, do biskupa, który ich także nakarmił i napoił, nocleg wskazał, 5 soldów dał na drogę. Ach Boże, że też nie wiedział, jacy to zdrajcy, którzy Godfryda chcą zabić skrycie. — Do Blois następnie przybyli, gdzie ich hrabia Stefan pytał o Grób prawdziwy, nakarmił, napoił, 5 soldów dał na drogę. Nocowali w domu Urbana [2]. — Idą dalej, do Etampes doszli, gdzie przebywał król Filip z żoną Konstancyą i bratem Hugonem li Maine. Tutaj także gościnność znaleźli, z królem przy stole jedli. Odchodząc, żartowali sobie z króla i dworu jego. Jeżeli owi trzej bracia nie są lepsi od wszystkich, mówili, to możemy być spokojni. — Z Estampes poszli do Normandyi, która jest blisko Bretanii. Dobrego hrabiego Roberta zastali w Costances (Coutance), który ich także o Ziemię świętą pytał, przy swym stole ugościł. — Tak przeszedł Cornumarant przez

---

[1]) Widzimy z tego, jak wielką wartość przypisywano bogactwu w owym czasie.

[2]) Pewność, a zarazem zachwałość, jaką żonglerowie okazują w swych wiadomościach, jest zdumiewającą. Tak n. p. Renaud wie, po stu niby przeszło latach, u jakiego mieszczanina stanął gospodą Cornumarant w Blois, on, który nigdy nie istniał. Tak samo widzieliśmy u Graindora.

Pontieu. Abbeville, Amiens, Arras, Valenciennes, Hainaut i Mons i Liège. Stąd do Lotaryngii się dostali, księcia w Metz znaleźli, opowiadali mu o Sułtanie i Grobie, prawdę i kłamstwo. — Przeszli przez puste Ardeny, aż do Saint-Trond zapielgrzymowali, do bogatego opactwa. Usiadł król na ziemi, między innymi ubogimi, prosząc o jałmużnę.

Do St. Trond przybył Cornumarant, usiadł przed klasztorem, rozmyślał, jak dojdzie do Bouillon i zabije księcia. Wychodzi opat z 10 zakonnikami, idzie do starosty (prevost), przed którym ma sprawę, a potem go prosi o miłosierdzie, jako pielgrzym z Ziemi św. Popatrzał na niego opat, który już był w Jerozolimie, zobaczył bliznę na jego twarzy, przypomniał sobie, że go zna, do klasztoru zabrał, ugościł. Po jedzeniu rzekł do niego opat: gdym był w Jerozolimie, zaniemogłem ciężko, tyś mną się przez dwa tygodnie opiekował, poznaję cię, jesteś królem Jerozolimy. Powiedz mi, co cię tutaj sprowadziło?

Słysząc to Cornumarant, osłupiał i już za nóż chwytał pod siermięgą, tylko że go powstrzymał jego towarzysz. Odpowiedział, że opat się łudzi, że on jest pielgrzymem, pogan nienawidzi, którzy konie swe przy Grobie Jezusa postawili. — Roześmiał się opat i rzekł: dobrze się wykręcasz, ale mnie nie przekonasz. — Naprawdę dobył teraz Saracen noża, zabije opata, bo nie chce, aby go przed kimkolwiek zdradził. Opat ucieka, Saracen nożem za nim rzuca, ale go chybił, poczem w izbie się zamknął. Opat zwołał ludzi, którzy z mieczami, kijami i maczugami do pokoju wtargnęli, Saracena ujęli z przodu i z tyłu, bili go nie pomału, bo zabił jednego z ludzi. Teraz dopiero upadł opatowi do nóg i obiecał, że wyzna, dla czego tu przybył. Ten zaś z wdzięczności za dawniej doznaną opiekę, zapewnił go, że nie będzie tego żałował.

Cornumarant, zapewniony, opowiedział opatowi wszystko, co go do tej tajnej podróży spowodowało, całą wróżbę starej Calabre. Otóż gdyby zobaczył, że Godfryd, który go ma wydziedziczyć, nie jest dzielnym, ani potężnym, ani hojnym, to go zabije nożem; natomiast uszanuje go, jeżeli go takim znajdzie. — Na to opat, że za dwa tygodnie pokaże mu księcia i braci jego, a wtedy sam będzie się mógł przekonać. Tymczasem zatrzymał go u siebie i gościł po królewsku, tajemnie zaś wysłał swego przeora z 3 mnichami do Godfryda, aby mu donieść, jaka jest o nim wróżba na Wschodzie i aby zewsząd ściągnął rycerstwo, wspaniale je ubrał i uzbroił

pokoje swego pałacu ozdobił cennemi materyami, tatarakiem i miętą wyścielił, wieczorem rzęsiście oświetlił. Wtedy opat przybędzie ze swymi Saracenami, aby byli zdumieni tem, co zobaczą. Słysząc o wróżbie, książę ukląkł zwrócony ku Wschodowi, pobożnie się modlił, we wszystkiem też za radą opata postąpił.

Wysłał gońców Godefroi do ojca swego w Boulogne i do braci i do baronów, do Kolonii, Metz, Brukseli, do Limburga, Namur i do Mons, wszystkich prosząc, aby z rycerstwem, przystojnie odzianem, do niego zjechali. Zjechali się panowie z rycerstwem w liczbie 10.000. Książę im dokładnie opowiedział, dla czego ich sprosił. Chce olśnić Saracena, zadziwić. Podzielili się na hufce: pierwszy miał prowadzić Enguerrand de St. Pol, drugi hrabia Pontieu, trzeci książę z Lovanium, czwarty książę Lotaryngski, piąty Robert z Flandryi; na końcu miał się zjawić Godfryd w towarzystwie braci, biskupa z Metz, księcia z Limburga, hrabiego z Hainaut, hrabiego Hugona z St. Pol i innych poważnych baronów wszystkich z drużynami.

Wyjechał opat Gérard z Saracenami do Bouillon, a miał ze sobą 10 rycerzy i 12 zakonników, którzy jego dwór tworzyli. Kiedy się już zbliżali do zamku Godfryda, zobaczyli Enguerranda z 400 rycerzami, na dzielnych koniach i w błyszczących zbrojach. Co to za ludzie, zapytał Saracen? — Oni należą do drużyny księcia, a wyjechali tutaj, aby się zabawić! Opat przywitał się z nimi i zapytał: Gdzie jest książę? — Jest w Bouillon w swym pałacu. Niezadługo spotkali drużynę hrabiego Pontieu, a widząc ich bogate zbroje i proporce, mówi Cornumarant: to pewnie książę? — Bynajmniej, to są ludzie jego. — Następnie spotkali księcia Lovanium z drużyną harcującą. — Podziwiał ich Saracen i rzekł: ten jest książę! — Mylisz się, to jego ludzie. — Jeszcze bardziej zdziwił go książę Lotaryngii ze świetnym orszakiem. Panie, to już pewnie książę! — Nigdy książę nie wyjeżdża z tak małą drużyną. — Hrabia Flandryi nadjechał ze wspaniałym orszakiem. Już widzę księcia, zawołał Saracen! — To nie on, odrzekł opat, jego orszak jest świetniejszy. — Coraz więcej utwierdzał się Cornumarant w myśli, że Jerozolima jest dla niego straconą.

Wreszcie wyjechawszy z doliny, zobaczyli nową drużynę. Ci już nie mieli zbroi, ani tarczy, tylko bardzo bogate ubrania. To z pewnością jest książę, zawołał Saracen! — Tak jest, tym razem się nie mylisz, rzekł opat, z takim orszakiem wyjeżdża

książę; dzisiaj wyjątkowo ma mniejszy, bo tylko 400 osób. Opat zaprowadził Saracena do księcia, przedstawiając jako swego gościa, pielgrzyma z Jerozolimy. Książę uprzejmie go przywitał, pytając, którędy szedł, dokąd idzie? Następnie zbliżyli się do miasta, gdzie mieszkańcy tańczyli po ulicach, ładnie ozdobionych jedwabiem i materyami. Pełno tam było sokołów, psów gończych. Weszli do pałacu, którego sale obwieszone były aksamitem, jedwabiem, suknem cennem. Wszyscy goście byli ubrani kosztownie. Książę pierwszego opata zaprosił do mycia, następnie Saracena, poczem zasiedli do stołu. Obfitość potraw była wielką. Cornumarant był odurzony tem wszystkiem co widział, bogactwem, mnogością dworzan. To jeszcze nic, rzekł opat, to jego dwór zwyczajny, gdyby przyjaciół sprosił, zebrałoby się 100.000. — Zwrócił się Saracen do swego towarzysza i rzekł: teraz uważam ową wróżbę za prawdziwą. Nigdy znakomity Tiebaud, mąż Arabeli (Orable) nie miał około siebie takiego dworu [1]). Jeżeli ten książę z braćmi zechcą się udać za morze z ich świetną drużyną, nie wątpię, że zdobędą całą naszą ziemię. Nic się przed nimi nie ostoi. — Towarzysz jego Armeńczyk (Hermins) pocieszał go, budził w nim otuchę, zapewniając, że on się oprze im wszystkim.

Po jedzeniu książę wstał od stołu, jedni hrabiowie, markizowie i rycerze zasiedli do szachów, inni harcować się udali, inni tańczyć poszli na błonie, inni przypatrywać się walce dzików i niedźwiedzi [2]). Książę został w sali, Saracen pytał się opata, czy może zwierzyć się Godfrydowi kim jest i po co tu przybył. Opat go zapewnił, że żadne mu wskutek tego niebezpieczeństwo nie grozi, tak zacnym jest książę. Cornumarant zbliżył się do księcia, słuchajcie, co mu mówił.

Poszedł Cornumarant do księcia i rzekł: widzę cię tak dzielnym i dobrym i zacnym i szczodrym, że wyznam ci moją tajemnicę. W Mecce wróżba powiedziała, że ty z braćmi zdobędziesz Antyochyą i Jerozolimę, a ja będę przez was wydziedziczonym. Z tego powodu tu przybyłem przebrany. — Kto ty jesteś, zapytał go książę głośno wobec wszystkich? — Jestem królem Jerozolimy, opat mnie tu przyprowadził, cieszę się, żem z tobą mówił, teraz

---

[1]) *Onques Tiebaus li bers, qui maris fu Orable, N'ot nul jor en sa vie tant riche conestable,* v. 3526. To się odnosi do geste Guillaume'a d'Orange.

[2]) Całość opisu daje obraz dnia świątecznego na wielkim dworze.

powrócę do mego kraju, jeżeli na to pozwolisz i zapewnisz mi bezpieczeństwo. — Panie, odpowiedział książę, jeżeli taka jest wola Jezusa, z pewnością nie zaniedbam udać się za morze, zdobyć Jerozolimę, z pogaństwa ją oczyścić. — Ucieszyli się baronowie z tej odpowiedzi, a Cornumarant rzekł: książę Godefroi, uprzedzam cię, że zanim to wykonasz, walka będzie ciężką i krwawą, ale jeżeli mnie zwyciężysz, to dla mnie wstydu nie będzie. Powiedz mi tylko jeszcze, jeżeli łaska, kiedy wyprawę podejmiesz? — Najpóźniej za lat pięć. — Dobrze, do tego czasu utwierdzę wszystkie zamki i miasta, wojsko dobrze uzbroję, a bić się będę do upadłego.

Dwa dni gościł Cornumarant w Bouillon, poczem prosił księcia o pozwolenie odjazdu i bezpieczeństwo na drogę. — Jak daleko moja ziemia sięga, zapewniam ci bezpieczeństwo, a teraz proszę, abyś żądał, czegokolwiek potrzebujesz, a wszystkiem służyć ci będę. — Podziękował król za tę dobroć, ale z niej nie korzystał. Opat nakazał siodłać konie, sam Godfryd milę pieszo ich odprowadził, baronowie za nim jechali, harcując.

Zajechał opat z królem do Saint-Trond, a nazajutrz Cornumarant w drogę się wybrał, znów jako pielgrzym, pieszo, z grubą laską z jabłoni w ręku, ubrany w kudłatą suknię *(esclavine)*. Odprowadził go dobry opat Gérard na milę drogi.

Słuchajcie panowie pieśni ciekawej, żaden żongler lepszej wam nie zaśpiewał. Wszakże to od tej awantury wzięła początek wyprawa krzyżowa i zdobycie świętego miasta. Jedzie Cornumarant ucieszony, że życia nie stracił, ale cóż, zanim wieczór zapadnie, w wielkim się znajdzie niebezpieczeństwie. Bo oto ściga go Thierry z Losanne, z dwoma towarzyszami, rycerz, którego Godefroi wypędził z kraju, a który sobie pomyślał, że zabiwszy Cornumaranta, łaskę księcia odzyska. Zaczaił się więc przy drodze, napadł na Saracenów, lancą przebił na śmierć towarzysza króla, który rozsierdzony, tak go laską pielgrzymską po głowie uderzył, że mu się mózg rozprysnął. Teraz zabiera mu tarcz i miecz, drugiego z napastników rozciął na dwoje, trzeci uciekać zaczął. Goni go Cornumarant na koniu Thierry'ego, dłoń mu uciął i żąda wyznania, czy to nie Godefroi z opatem na niego tę zasadzkę urządzili [1]). Dowiedział się, że niesłusznie ich posądzał. Nakazuje mu teraz, aby się postarał o pogrzebanie zabitych, oraz aby doniósł opatowi i księciu

[1]) Widzimy z tego, jak niebezpieczne były drogi w owym czasie.

o tem, co się stało. Książę tak był rozgniewany, z powodu zasadzki, że gotów był kazać powiesić ostatniego wspólnika, ale na prośby opata darował mu życie, ciesząc się, że Cornumarant cały i zdrowy z tej przygody wyszedł.

Po długiej i uciążliwej podróży wrócił Cornumarant do Jerozolimy, do pałacu ojca swego, króla Corbadasa. Zemdlał ojciec z radości na widok syna, o którego życie słusznie się lękał. Ale gdzie twój towarzysz? — Opowiedział Cornumarant, jak zginął z ręki zdrajcy Thierry'ego Alemana. — Czy byłeś w Bouillon? — Byłem, a nie zdołałbym opowiedzieć tego, com widział w jednym dniu długim majowym, chociażbym zaczął ze skowronkiem, a mówił do komplety. Sułtan nie ma takiego bogactwa, takiego dworu, jak książę Bouillon. Zapowiedział mi, że przyjdzie zdobyć cały kraj wraz z Jerozolimą. Sułtanowi nic nie zostawi, ani stopy ziemi. — Należałoby, abyś sam to Sułtanowi oznajmił. — To też przenocowawszy, zaraz nazajutrz udał się Cornumarant w drogę do Sormasany, do pałacu Sułtana, przed którym stały drzewa ze złota z emalią. Przybył tam w czerwcu, gdy siano się robi, sułtana znalazł w towarzystwie czterech królów i admirała Jugain'a. Opowiedział mu wszystko, że był w Bouillon, w Ardenach, rozmawiał z Godfrydem, który postanowił cały Wschód zawojować, aż do Mekki. Jak tam zaszedłeś? — Pieszo, w przebraniu pielgrzyma! — Ile ma drużyny Godfryd? — Miał przy sobie 10.000, a najbiedniejszy jeszcze był bogato ubrany. W razie potrzeby może zebrać 100.000. — Wiedział książę, kto ty jesteś? — Sam mu powiedziałem, bo poznał mnie opat z St. Trond, powiedziałem mu także o wróżbie. — Obecni zaczęli szemrać na to, a Sułtan rozgniewany rzekł: chwyćcie go i wtrąćcie do więzienia, karkan na szyję mu rzućcie, on nas zdradził, przez niego zguba na nas przyjdzie. Sądzić go będziemy. Na to przyjeżdża Corbaran i Garsion i Soliman, królowie Sułtanowi poddani, wchodzą do pałacu.

Corbaran z Oliferne, Garsion z Antyochii, Soliman z Nicei, byli potężnymi wasalami a przyjaciołmi i krewnymi Cornumaranta. Wchodzą do pałacu i pytają, z jakiego powodu ta wrzawa? — Cornumarant ma być o zdradę sądzony. — Pytają go, o jaką zdradę? Opowiedział im o swej podróży, o wróżbie, oraz o groźbie Godfryda, o jego wielkiej potędze. Ale nie zdradził nikogo, swej niewinności gotów bronić przeciw dwu, trzem, albo czterem najlepszym wojownikom. — Tak dobrze, daj zastaw Sułtanowi, a gdyby cię

chciał pokrzywdzić, wszyscy mu wojnę wypowiemy. Na głos tego rogu mego, rzekł Corbaran, niezwłocznie 10.000 wojska wpadnie do pałacu [1]).

Królowie udają się do Sułtana. Corbaran klęka przed nim, i tak przemawia: panie, ja twój wasal, upraszam cię, abyś miał litość nad tym krewnym naszym. Oskarżony jest niesłusznie, niech to udowodni przeciw najbitniejszemu na Wschodzie Turkowi, a jeżeli będzie zwyciężony, powiesić go możesz. Oto mój zastaw na to. — Sułtan z gniewem odpowiedział, że zakładu nie przyjmie; Cornumarant jest zdrajcą, tajemnie umówił się, aby mnie wydziedziczyć, a samemu bezpiecznym zostać. Dzisiaj jeszcze będzie powieszony. Corbaran prosi natarczywiej, sułtan odmawia coraz groźniej i przywołuje admirałów, aby winnego natychmiast do więzienia odprowadzili. Słysząc to Cornumarant, poskoczył do tej części sali, gdzie wisiały tarcze i miecze, uzbroił się, ściął głowę najbliższemu Turkowi. Corbaran w róg zadął, 10.000 Turków wpadło do sali, biją ludzi Sułtana, Cornumarant samemu Sułtanowi zagraża, zabił już kilku Saracenów, straszna wszczęła się bitwa. Sułtan rozkazuje z miasta całego zebrać wojowników i pomścić się swojej zniewagi, bo inaczej wszystkim odbierze posiadłości. To też zjawia się król Medów ze swoim oddziałem, ale wnet go zabił Cornumarant, zjawia się admirał z Coine (Iconium) i almanzor z Nubii, i książę z Orkanii. Odnowiła się straszna bitwa, krzyczą ranni, a zabici milczą. Siła Sułtana okazała się większą, Corbaran się cofa, zostawiając na trawie wielu zabitych, bo walczyli dzień cały. Cornumarant spiesznie do Jerozolimy się oddalił.

Nazajutrz Garsion i Corbaran spotykają Almulaina, wielkie u Sułtana mającego znaczenie. Tego proszą, aby pośredniczył pomiędzy nimi a panem ich. Obiecał to, do sułtana się udał, oświadczył mu, że Cornumarant gotów się upokorzyć przed nim i walką stwierdzić, że żadnej zdrady względem niego nie popełnił. Sułtan rozwścieklony ani słyszeć chce o tem, z wojskiem pójdzie na niego, wydziedziczy go, wypędzi. Almulaine spokojnie mu przedstawił, że niesłusznie Cornumaranta oskarżył, niesłusznie obrony mu odmówił, nie dziw tedy, że się starał uwolnić od więzienia, do którego miał

---

[1]) Pojedynek sądowy, obyczaj zachodniej Europy, żongler naiwnie przenosi do Saracenów. Widzimy, że wprowadza tutaj te same osoby, które już znamy z poematów Graindora, tylko Garsiona przekręcił na Graciona.

być wtrącony. Każdy z nas uczyniłby to samo. Jeżeli pójdziesz z wojskiem na niego, to on także zbierze swoje i być może, że zostaniesz pobity. Radzę więc, zapewnij mu bezpieczeństwo, a on stanie przed tobą. — Choć niechętnie, zgodził się Sułtan na to, wysłał do Cornumaranta pełnomocników, Almulaine'a, Aufage'a i Aumachora. Ci pojechali do Jerozolimy, publicznie zapewnili mu bezpieczeństwo od sułtana, sami za niego poręczając. Cornumarant zebrał krewnych swoich: Corbaranta, Lwa Czerwonego, Solimana, Garsiona i innych. Z nimi tedy i z wojskami ich udał się do Sormasane, do Sułtana.

Przybył bitny i butny Cornumarant z przyjaciołmi do Sormasane, a z nimi 100.000 wojska. Zostawili je za miastem, ze sobą tylko 10.000 zabrali, bez zbroi, ale z ukrytą pod sukniami bronią. Sułtan wyznaczył króla z Pinkrenie do walki, ale tego odrzucił Cornumarant, jako niegodnego siebie; wyznaczył Sułtan króla Boidentu, ale i ten został odrzucony; wyznaczył Lwa z gór, prawdziwego olbrzyma, Cornumarant z lekceważeniem cofnął swą rękawicę. Będzie z tego bitwa, mówili obecni, zginie dużo Turków. Sułtan wyznaczył Fernaganta Aupatrisa. Nie było równego mu rycerza, aż do kraju Lutyków (Lutis). Tego przyjął Cornumarant z chęcią. Obie strony dały zakładników. Nazajutrz ma się odbyć walka na wysepce, gdzie tylko sami walczący zostaną. Cornumarant poszedł czuwać przez noc w świątyni Wenery, nazajutrz odprawił dla niego nabożeństwo ich arcybiskup, poczem się lekko posilił i zbroić się zaczął. Miał hełm po królu Dezyderyuszu, następnie otrzymał go Caraheus od Ogiera li Danois; uzda na konia jego była w Viane zrobiona dla Oliviera, gdy z Rolandem miał walczyć. Uzbroił się w lancę, w kilka ostrych pocisków, dwa sztylety; chciano mu jeszcze dać dwie maczugi, ale on, biorąc przykład z Francuzów obciążać się nie chciał [1]).

Aupatris modlił się w świątyni Jowisza i uzbroił się podobnie. Także Sułtan wdział zbroję znakomitą, oraz inni królowie. Przeciwników przewieziono przez wodę, bitwa się zaczęła, z brzegów rzeki, z murów i z wież mnóstwo ludzi się jej przypatrywało [2]). Zderzyli się, lance im się połamały, już Aupatris konia stracił, już na ziemi

---

[1]) Ten szczegół przypomina Partenopeusa, a wyliczenie posiadaczy hełmu i uzdy wskazuje, że autor zna chansons de geste.

[2]) Scenę tę przejął śpiewak z poematu Girard de Viane.

leżał. Usiłuje teraz przeciwnikowi konia zabić, po głowie go uderzył odłamem lancy, ale go tylko ogłuszył, następnie miecz mu w sam tył wsadził! Rozgniewany Cornumarant o stratę dobrego konia, natarł na Aupatrisa zapalczywie, zranił go mocno w łopatkę, ogłuszył cięciem w głowę, tak, że miecz mu wypadł z dłoni.

Już mu Cornumarant popłatał hełm podwójny, teraz mu ranę w głowę zadał. Zachwiał się odurzony Aupatris, upadł na kolana. Widzą to jego przyjaciele, i proszą Sułtana, aby walce koniec położył, jeżeli nie chce być wielce zawstydzonym. Bo Cornumarant głowę utnie Aupatrisowi, a wtedy życie stracą także jego zakładnicy. Dał się przekonać Sułtan, z brzegu zakazał dalszej walki, z czego się Aupatris ucieszył, bo już mu śmierć w oczy zaglądała. Przewieziono ich obu z wyspy, rannego opatrzono, Cornumaranta pogodzono z Sułtanem, który niebawem zamki i wieże przeciw Francuzom utwierdzić rozkazał.

Słuchajcie, panowie, pieśni bardzo słyszenia godnej. W Bouillon tymczasem wszyscy owi zebrani tam baronowie przyrzekli, że w wyprawie krzyżowej udział wezmą. Jeden zachęcał drugiego, aby duszę zbawić, biskupi i opaci ludowi to głosili. W ten sposób zebrało się wielkie wojsko, które za morze ruszyło. Prowadził je Piotr Eremita, było w niem dzielnych ludzi dużo, sądzili, że całą krainę zdobędą, ale mało było w niem książąt, którzyby je prowadzili. To też całe zostało pobite, wygubione, rozproszone. Do niewoli dostał się biskup z Forez i Harpin z Bourges i Jan z Alis, i Ryszard z Chaumont, który to później dwu Turków w pojedynku zwyciężył.

Gdy się baronowie Francyi dowiedzieli o zniszczeniu armii Piotra, zebrali swoje wojska, więcej niż 100.000. Prowadził je dobry książę Godefroi przez góry i doliny i Hugo Wielki. To też zdobyli Niceę i Antyochią i Jeruzalem, podwyższyli Chrześcijaństwo, a sławny Godefroi królem wybrany został.

Panowie, wy, którzy słuchaliście tej pieśni, Renaud, dzieło to kończąc, prosi was wszystkich, abyście modlili się za niego do króla, który stworzył niebo i daje rosę i do świętej Panny Królowej, aby, gdy dojdzie do kresu życia, przebaczyli mu wszystkie winy, obciążające duszę jego. Niech każdy powie amen, już skończona jest historya. *Amen chascuns en die: li estoire est finie.*

Uwagi do pieśni *Les Enfances Godefroi de Bouillon.*

Pieśń ta zawiera 5213 wiązkami rymowanych alexandrynów, wypełniała przeto całe jedno posiedzenie. Napisana jest przez Renauda, który się sam pod jej koniec wymienia, prosząc słuchających o przebaczenie uraz i o modlitwę do Boga, do Świętej Panny, gdy umrze. My wyczytujemy z tego najprzód, że był pobożny, a potem, że był już stary, ponieważ myślał o śmierci. Pieśń ta napisana jest po zajęciu Acre przez krzyżowców, którą to zdobycz poemat wprost królowi Filipowi Augustowi przypisuje. Przypisuje to w formie proroctwa starej Corsable, która wróży także o jego sporze z Ryszardem Lwie serce, o jego powrocie za morze, o pozostawieniu jednego pana w Syryi, a więc Ryszarda. Więcej Corsable powiedzieć nie umiała, ponieważ chmura zakryła gwiazdy. To znaczy, że żongler nie wiedział jeszcze, co nastąpić miało. Inaczej bowiem byłby prawdopodobnie powiedział coś o powrocie Ryszarda, jego długiej niewoli. Król Filip August wsiadł na statek z powrotem do Francyi 31 lipca 1191, Ryszard Lwie serce został w Syryi, jako wódz naczelny, aż do 9 października 1192. Z tego wnosić można, że pieśń napisaną została pomiędzy jedną datą a drugą, a dla krótkości powiedzmy roku 1192 [1]).

Poeta Renaud był wtedy już stary. Czyżby poprzednio nic nie napisał? Otóż G. Gröber przypuszcza, że on właśnie napisał pieśń o Matabrunie, a to z tego powodu, że w obu tych utworach jest ten sam sposób opowiadania, te same pomysły, podobne powoływania się na pieśni poprzednie [2]). To jest prawdą i na to się zgadzamy, tylko na tej samej podstawie się opierając, idziemy dalej i przypuszczamy, że on także napisał pieśń o Rycerzu z łabędziem. Tutaj także mamy ten sam sposób opowiadania, ten sam rodzaj pomysłów, oraz powoływanie się na poematy poprzednie. Są inne

[1]) G. Paris w La littér. fr. au moyen âge 1890 p. 248 kładzie ten poemat, i to już w drugiej redakcyi, na rok 1175, bliżej nie motywując swego zdania. My uważamy je za niczem uzasadnione, a pierwszą redakcyą poematu kładziemy na 1192. Wcześniejszej daty nie pozwalają przyjąć wzmianki o Basinie i o Aiquinie, o Filipie Auguście, i o Ryszardzie Lwie Serce; późniejszej, brak wszelkiej wzmianki do zdarzeń następnych się odnoszącej.

[2]) Zob. Grundris der rom. Phil. II 1, p. 578. Gröber kładzie ten utwór po 1192, nasza data jest dokładniejsza i uzasadniona, czego u Gröbera nie ma. Widzieliśmy, że nawet do końca roku 1191 odnieść można poemat.

jeszcze i to ważne znamiona, wspólne wszystkim trzem utworom, a mianowicie pobożność autora, oraz gloryfikacya Idy i jej synów. Do tej gloryfikacyi zmierza poeta już w pieśni pierwszej.

Jest okoliczność, już kilkakrotnie uwydatniana, która się temu sprzeciwia, aby wszystkie trzy pieśni przypisać jednemu autorowi, ta mianowicie, że gdy w pieśni o Rycerzu z łab. ten rycerz nie ma imienia, to w pieśni o Matabrunie nazywa się Eliaszem. Atoli możnaby sobie wytłómaczyć tę niezgodność w sposób następny: pieśń o Rycerzu z łabędziem napisana jest najwcześniej, później dopiero o Matabrunie, gdzie ten rycerz jako chłopiec nazwany Eliaszem. Oto poeta, ze zwykłą żonglerom niedbałością, zostawił pierwszy utwór niezmieniony, nowego nazwiska doń nie wprowadził. Każdy słuchacz rozumiał, że Rycerz z łabędziem a Eliasz, to ta sama osoba. Z drugiej strony, na poparcie naszego zapatrywania możemy się powołać na własne słowa żonglera, wyżej dosłownie przytoczone, w których mówi, że już dużo opowiadał o grzecznym cesarzu: *li jentiex emperere, dont tant conté vos ai* [1]). Owoż o cesarzu Otonie szeroko jest mowa w le Chevalier au cygne, a wcale nie ma wzmianki w Matabrunie. Żongler przemawia tutaj jako autor, nie jako śpiewak, a z pewnością, jak długo żył, pieśni przez siebie ułożonych innym śpiewakom nie udzielał. Byłby się wyzbył zarobku.

Z pewnością tedy pieśń pierwsza i trzecia są utworem tego samego poety; Gröber oświadczył to samo o drugiej i trzeciej, z czegoby wynikało, że wszystkie trzy ułożone są przez Renauda.

Powiedzieliśmy już, że pracę Graindora kładzie się na r. 1180, ale ta data tylko w przybliżeniu trafna. Pewnem jest tylko, że wykonaną została przed rokiem 1187, to jest przed zdobyciem Jerozolimy przez Saladyna, ponieważ poeta mówi, że krzyżowcy zdobyli Jerozolimę i dotąd ją posiadają. Czy powiedzieć, że Graindor pisał przed rokiem 1183, kiedy to Saladin stał się uznanym panem nietylko Egiptu, ale i Mezopotamii. Aleppu, Damaszku? To już trudniej, bo łatwo być może, że właśnie utworzenie się tej potęgi stało się pobudką do przerobienia dawniejszego poematu, aby zachęcić do nowych usiłowań, do podjęcia nowej krucyaty, która roku 1189 rzeczywiście do skutku doszła. Być tedy może, że Graindor pisał roku c. 1184. Owoż poemat o Rycerzu z łabędziem na-

[1]) Zob. l. c. Hippeau XXXV, XXXVI, gdzie wymienieni są także: Roland, Olivier, Samson, Engeliers, Guillaume d'Orange, to znaczy, okazuje się ta sama erudycya, na podstawie której Gröber przypisuje Renaudowi pieśń o Matabrunie.

pisany jest przed Graindorem, który pod koniec pieśni o Antyochii daje jego streszczenie. Trzymając się dawnej daty dla Graindora, Rycerz z łabędziem mógł być napisany roku 1178; zaś uwzględniając powyższe rozumowanie, mógł być utworzony dopiero c. 1182. Widzimy, że różnica jest mała i zgoła nie rozstrzygająca. My przypisujemy Renaudowi wszystkie trzy omawiane tu utwory: Rycerza z łabędziem, Matabrunę i Młodość Godfryda. Pierwszy napisany jest 1178—1182; ostatni r. 1192; środkowy pośrodku, a w każdym razie po Graindorze. W ciągu lat około dwudziestu napisane są te trzy poematy, a nam się zdaje, że dwudziestoletni okres twórczości można przyznać poecie Renaudowi, który r. 1192 już myśli o śmierci.

Poemat o Młodości Godfryda składa się z dwu części, z których pierwsza zajmuje się hrabiną Idą i dziećmi jej, druga przedstawia proroctwa starej Corsable i odważną ciekawość Saracena Cornumaranta. Mówmy najprzód o pierwszej. Poeta opowiada tutaj o Idzie, jej mężu Eustachym i synu tegoż imienia. Ida jest uwydatnioną o wiele więcej, niż jej mąż, który tylko choruje. Rzeczywiście, była to głośna swojego czasu osoba. Napisano o niej kilka biografii łacińskich, z których najważniejsza zdaje się pochodzić z r. 1143, a napisaną była w opactwie St. Waaste pod Boulogne, fundowanem właśnie przez nią [1]). Umarła r. 1113, jako siedemdziesiąt letnia. Biografowie nazywają ją *sancta, sanctissima, beatissima, venerabilissima*. Fundowała kilka klasztorów, wiele innych odnowiła i zaopatrzyła. Już za życia liczne działała cuda. Biograf chwali ją za to, że dzieci swoje sama karmiła, poeta mówi to samo, a dodaje scenę z wałkowaniem dziecka, aby cudzy pokarm wyrzuciło, w czem chyba własny koncept żonglera widzieć należy. Rzecz godna uwagi: w Rycerzu z łabędz. anioł z nieba poleca Beatryxie, aby i ona Idę sama karmiła, co znaczy, że autor tego poematu także już znał życiorys Idy i z niego korzystał, a podług nas, on jest tą samą osobą co autor Młodości Godfryda. O cudach nie mówi, ale przypisuje jej sny wieszcze, oraz zdolność wróżenia z łopatki.

Oprócz Idy uwydatnia bardzo poeta starszego jej syna Eustachego, któremu już w latach młodzieńczych przypisuje dzielność niepospolitą. Wiemy, że i on brał udział w pierwszej wyprawie

[1]) Acta Sanctorum, Aprilis II. Vita beatae Idae p. 141 n.

krzyżowej, u Graindora wymieniony jest kilka razy z pochwałą, ale wogóle nie jest wyszczególniony nad innych. Renaud uważa, że to za mało i daje mu szerokie miejsce w poemacie, a to nas naprowadza na domysł, że on sam pochodził z Boulogne, bo i język jego na to wskazuje, równie jak dążność sławienia rodu hrabiów tej okolicy. Co o nich opowiada, jest tylko w części prawdziwem, resztę uzupełnił zmyśleniem, o którem powiedzieć trzeba, że jest nowem i zgrabnem. Ciekawymi są w każdym razie obrazy obyczajów ówczesnych, jak opis wychowywania dzieci, wysługiwanie się o godność rycerską na obcym dworze, obrzędów i uroczystości połączonych z pasowaniem na rycerzy, wróżenie z łopatki. Przypuszczamy, że o faktach prawdziwych, przedstawionych w poemacie, a tyczących Idy przedewszystkiem, dowiedział się śpiewak w opactwie świętego Waasta.

Druga część poematu jest odmienna. Autor przenosi nas na Wschód aż do Mekki, opisuje wielkie zebranie książąt, nawet biskupów saraceńskich, których aż stu policzył. Sam ich papież albo kardynał miał kazanie. Występuje tu znów stara Calabre, którą już znamy z Graindora, to znaczy, że Renaud, który w pierwszym utworze niczem nie zdradza, aby znał tego poetę, teraz go zna widocznie i z niego korzysta [1]). Calabre prorokuje z gwiazd, a jej wróżby przestrzegają Cornumaranta, którego także znamy z Graindora i tylko z niego. Postać owej prorokini jest ciekawą. Występowała już w pieśni o Antyochii, w Jeńcach, teraz znów się pojawia. Zdaje się, że to jest postać prawdziwa, ponieważ mówi o niej Tudebodus [2]), to zaś, co opowiada, streścimy tutaj od razu po polsku, aby obszerny ten u historyka ustęp zbyt dużo miejsca nie zajął.

Opowiada tedy, że sułtan Wschodu postanowił zebrać wszystkie siły i wysłać je pod wodzą Kerbogi, emira z Mossulu, na pomoc Antyochii. Kerboga, który się u Tudeboda nazywa Curbalan, a u naszych poetów Corbaran, już stanął pod tem warownem miastem. Wtem przybywa do niego matka Calabre i mówi z płaczem: „Synu, czy to prawda, co słyszę, że chcesz walczyć z Chrześcija-

---

[1]) Wskazywaliśmy przy poemacie o Matabrunie na motyw, który także mógł już być przejęty od Graindora.

[2]) l. c. p. 785. Cytujemy tego pisarza zawsze podług Duchesne: Rerum Francicarum Scriptores IV.

nami? Proszę cię i zaklinam na twą dobroć i dzielność i sławę, sięgającą od Wschodu do Zachodu, na imię twoje, groźne dla wszystkich, nie czyń tego ani teraz, ani nigdy.“ — Na to rozgniewany Curbalan: zdaje mi się matko, żeś oszalała! Dla czego nie miałbym się bić z nimi, kiedy mam więcej admirałów, niż oni żołnierzy? — Na to matka: słodki synu, wiem, że Chrześcijanie tobie nie sprostają, ale ich Bóg walczy codzień za nich, dniem i nocą ich strzeże, czuwa nad nimi, jak pasterz nad trzodą swoją, pognębia ich wrogów. Bo oto mówi prorok Dawid: *Dissipa gentes, quae nomen tuum, Domine, non invocaverunt.* To też oni jeszcze do bitwy nie są gotowi, gdy już Bóg najlepszy, wraz z świętymi, nieprzyjaciół ich zwycięża. Chrześcijanie nie napróżno nazywają się synami Chrystusa, *filii adoptionis et promissionis*, jak mówi prorok, albo *haeredes Dei cohaeredes autem Christi*, jak apostoł mówi, sam zaś Chrystus powiedział: *a solis ortu usque ad occasum erunt termini vestri, ita ut nemo audax stabit contra vos.* Któż takim słowom zaprzeczy, albo się sprzeciwi? Jeżeli wojnę tę przeciw nim podniesiesz, okryjesz się wstydem, stracisz wielu żołnierzy i wszelkie mienie, w ucieczce ocalenia szukać będziesz. Nie zginiesz w tej bitwie, bo ich Bóg inną ci karę przeznaczył, wyrok napełni cię zgryzotą, tego jeszcze roku umrzesz. Już od stu lat napisane jest w waszych i ich księgach, że naród chrześcijański nas zwycięży, nas wszędzie pobije. Wyczytałam to, wpatrując się w gwiazdy, badając planety niebieskie, dwanaście znaków zodyaku, przy pomocy rozmyślań. Lękam się teraz, abym ciebie nie straciła, nie została opuszczoną.

Ustęp powyższy jest bardzo ważny ze względu na historyą poetycką Calabre'y i naszych poematów wogóle. Rozumiemy teraz, dla czego ona występuje już w Chanson d'Antioche, a występuje w tej samej roli. Rozumiemy teraz, w czem leży zawiązek poematu les Chétifs. Co Calabre przepowiedziała, to się ziściło; Corbaran jest pobity i skazany na śmierć. Znowuż Calabre przychodzi z pomocą synowi i poddaje mu myśl pojedynku jednego chrześcijanina przeciw dwu Saracenom. Zadania tego podjął się Richard de Caumont i ocalił Corbarana, który nietylko okazał się słownym, ale głęboko wdzięcznym. Uważmy teraz, co zrobił żongler Renaud z tego proroctwa: z pod Antyochii przeniósł je na lat pięć przed pierwszą wyprawę krzyżacką, a rozszerzył aż do r. 1192. To jest postąpienie

prawdziwie poetyckie, które biednemu Renaudowi, skarżącemu się na skąpstwo świata, nawet królów i książąt, zaszczyt przynosi.

Proroctwo babki, że cały Wschód ma być zawojowany przez jednego z braci pochodzących od Rycerza z łabędziem, przestraszyło Cornumaranta Znamy go już jako Saracena odważnego, zuchwałego, zaciętego, tutaj Renaud dodaje mu rysy nowe: miłosierdzia i wygórowanej, ale uszlachetnionej ambicyi. Miłosierdzia, bo jako królewicz w Jerozolimie otoczył opieką chorego opata z St. Trond; teraz zaś, dowiedziawszy się o wróżbie, wybierze się do Europy, do Lotaryngii, zobaczyć Godfryda. Pozna li w nim dzielnego rycerza, to go uszanuje; ale gdy go zobaczy lichym, ubogim, skąpym, to go zabije, ponieważ nie chce uledz byle komu. Cornumarant ocenia ludzi podług zasad naszego żonglera i wszystkich żonglerów wogóle. Była to, zdaje się, zasada powszechna

Wybiera się tedy królewicz Jerozolimy na awanturniczą a niebezpieczną podróż do Europy. Lecz dziwna rzecz, nie kieruje się wprost do Bouillon, tylko zwiedza po drodze dwory Boëmonda, hrabiego Tuluzy, biskupa w Puy, hrabiego Blois, króla Francyi, przy którym przebywa brat jego Hugo, odwiedza księcia Normandyi. Widzimy, że stara się poznać wszystkich najwybitniejszych panów z pierwszej wyprawy krzyżowej, o których żongler wiedział, ze świetnych poematów Graindora. Wszyscy ci panowie wzbudzili w butnym Saracenie wielkie lekceważenie, mimo że od wszystkich aż nadto dobrego doznał przyjęcia. Twarda to jakaś natura, którą wzruszyć nie łatwo. Dopiero Godfryd i jego dwór olśnił go, wzbudził w nim największy podziw i poddanie się losowi. Szkoda, że ta wspaniałość, jaką tam zobaczył, była przygotowaną, teatralną. Uznać trzeba atoli, że nasz żongler w zręczny sposób zjednał Cornumarantowi pośrednictwo opata z St. Trond, bo inaczej Saracen, przybywający z chęcią zabicia Godfryda, żywym z Lotaryngii wyjść był nie powinien. Litościwa uczynność jego w Jerozolimie zobowiązała mu opata, świetne proroctwo pochlebiało Godfrydowi i zachęciło jego przyjaciół do podjęcia wyprawy. Umotywowanie to jest naiwne może, ale zgrabne. Ładnym też jest opis coraz większego podziwienia na widok hufców, pojawiających się na drodze do Bouillon. Już o pierwszym sądził Saracen, że to Godfryd z orszakiem, tak był świetny, ale się omylił. Następnie omylił się jeszcze pięć razy. A więc pięć razy niejako utwierdziło się i pomnożyło jego zdziwienie. Motyw ten jest znowu jakoby przeglądem

wojsk, których kilka tak ładnie u Graindora opisanych widzieliśmy, a który tutaj w nowej przedstawia się odmianie.

Jasnem jej że jak w pierwszej części poematu sławioną jest hrabina Ida, oraz jej starszy syn Eustachy, tak tutaj nad wszystkich baronów, którzy brali udział w pierwszej krucyacie, wywyższony jest Godfryd z Bouillon. Taką samą myślą przejęty jest poemat o Rycerzu z łabędziem i o Matabrunie, w czem trzeba widzieć nowy argument na twierdzenie, że wszystkie trzy poematy pochodzą od tego samego autora.

Chodzi teraz o to, aby zrozumieć, jakim sposobem do tego przyszło, że żaden inny z wielkich baronów, walczących w tych ciężkich bojach, tego zaszczytu nie dostąpił, aby o nim i przodkach jego osobne pieśni śpiewano? Czy Godfryd tak bardzo wszystkich innych baronów przewyższał? — Odpowiedzieć można, że on był pierwszym królem Jerozolimy, a ktoś może doda, że cała ta wielka wyprawa pod jego wodzą się odbyła. Boć tak nas uczono! Otóż tej sprawie bliżej przypatrzeć się godzi, a w tym celu starać się będziemy w ogólnych rysach określić stanowisko wszystkich najwybitniejszych baronów po kolei.

Zaczniemy od Hugona Wielkiego, brata królewskiego, a hrabiego Vermandois i Valois, które to hrabstwa wziął w posagu z żoną Adelaidą. Był drugim synem Henryka I i Anny księżniczki kijowskiej, córki Jarosława. Dowodził pocztami własnymi i brata swego, króla Filipa. W drodze będąc przez Italię (nawet Rzym odwiedził), otrzymał w Lucca z własnych rąk papieża Urbana II proporzec, a przez to, czy nie zarazem także jakoby naczelne dowództwo? Tego zdaje się Hugo wcale nie pragnął, ale innych słuchać pewnie nie myślał. Do utworzenia jakiego dla siebie państewka na Wschodzie bynajmniej nie dążył, co znaczy, że był bezinteresowny, ale także i niedbały. Osobiście odważny i bitny, lubił wspaniałe występowanie, co, obok dużego wzrostu, może sprawiło, że mu dano przydomek *li Mains-Magnus:* wspaniały i wielki. Po zdobyciu Antyochii udał się, jak już wiemy, do Konstantynopola, za zgodą baronów, aby zebrać posiłki, czy to od cesarza, czy z Europy, z Francyi przedewszystkiem. Bo nawet aż do Francyi zaszedł, gdzie go z naganą przyjęto. To też wyprawił się raz drugi do Syryi, ale rozbity, szukał schronienia w Tarsie, gdzie śmierć znalazł r. 1102.

Robert, hrabia Normandyi, z przydomkiem *Courte-heuze* (krót-

kie spodnie), był starszym synem Wilhelma Zdobywcy, a jako taki, otrzymał Normandyę. Niezależność lubił do tego stopnia, że wojował z własnym ojcem, którego mało nie zabił w walce. Byłbyż on słuchał rozkazów Godfryda z Bouillonu? Po śmierci ojca, nie starał się o koronę Anglii, którą zabrał młodszy brat jego Wilhelm Rudy. Był to znak niedbałości w wielkiej sprawie; otóż niedbałym był on także i w sprawach drobnych. Ordericus Vitalis pisze, że zdarzały się u niego chwile, kiedy chleba w zamku nie było, albo kiedy nie mógł wyjść z łóżka, nie mając się w co ubrać. Dworzanie zabierali mu odzienie. Aby mieć fundusze na wyprawę krzyżową, zastawił u tegoż brata całą Normandyą na lat pięć, za sumę 500.000 koron. Bił się dzielnie, całą krucyatę wytrzymał, do zdobycia Jerozolimy pomógł, brał udział w bitwie pod Ascalon. Dopiero 1100 wrócił do Normandyi, gdy się dowiedział o śmierci brata. Po drodze ożenił się był w Sycylii. Władzę tymczasem już był objął drugi brat jego, młodszy, Henryk, z którym walkę toczył lat sześć blisko, aż zwyciężony i z wyłupionemi oczyma wrzucony został do więzienia, w Cardiff, gdzie umarł dopiero r. 1134. Nad wyraz smutny miał koniec.

O Stefanie z Blois już się mówiło kilka razy. Przypomnimy tylko, że uchodził za najmajętniejszego. Tyle ma zamków, (to jest dominiów), ile dni w roku, tak mówiono. Porównywano go z Cezarem i Wirgiliuszem. Pomiędzy baronami takiej używał powagi, że go uważano jakoby za naczelnego wodza: *Stephanus Carnotensis comes,* (był hrabią w Blois, Chartres i Troyes). *qui erat caput nostrum, quem omnes maiores nostri elegerant ut esset nostrorum ductor...* Tudebodus l. c. p. 799. Wiemy, że już przed zdobyciem Antyochii krzyżowców opuścił, do Blois wrócił, r. 1101 drugi raz się wyprawił, śmierć znalazł pod Rames. O zwierzchnictwie Godfryda niema mowy wobec niego.

Najgorliwiej oddany świętemu zadaniu był niezawodnie Rajmund de Saint-Gilles, tak się od pierwszego swego hrabstwa i nadal nazywający, choć mógł się nazywać inaczej, odziedziczywszy po bracie hrabstwo Tuluzy, oraz wielkie posiadłości w księstwach: Narbonne, Nîmes, Rouergues. Z pierwszą żoną dostał połowę Prowancyi i w tym samym czasie, około 1066, walczył już był z Normandami w obronie papieża Grzegorza VII. Bił się już także z Saracenami w Hiszpanii, pomoc niosąc Alfonsowi VI, królowi Leonu

i Kastylii. W podziękowaniu dostał Elwirę, córkę jego [1], jako trzecią żonę, a przez to stał się równocześnie szwagrem Rajmunda z Lotaryngii i Henryka burgundzkiego, którzy także Alfonsowi pomagali i w tenże sposób nagrodzeni zostali. Przypiąwszy krzyż, ślubował do końca życia walczyć przeciw niewiernym. Zgromadził wojska do 160.000, najwięcej ze wszystkich baronów, rządy swych posiadłości zdał na starszego syna, Roberta, zabrał żonę Elwirę, także swojego z nią syna i wybrał się na krucyatę. Miał wtedy może lat 53 i był zdaje się między przednimi baronami wiekiem najstarszy. Wyruszył bodaj ostatni, ale jeszcze w czas stanął przed Niceą, aby zająć wyznaczone jego hufcom miejsce pod miastem. W Antyochii obsadził swoją załogą wież kilka i główną bramę, wraz z owym mostem żelaznym, w tym głównie zdaje się celu, aby miasto oddać Alexemu. Boémond wróg cesarza, tak się tem zniecierpliwił, że załogę Rajmunda, po kilkunastu tygodniach czekania, przemocą wypędził.

Hrabia Rajmund nie był tak bezinteresownym, aby o sobie nie myśleć. Zamierzał i on zdobyć dla siebie państewko, na południu od Antyochii, z Tripolis nad morzem, jako stolicą, ale które miało sięgać aż za Libanon, gdzie rzeczywiście zdobył Elbarę i Marrah. Podboje te przerwał, aby ruszyć pod Jerozolimę, gdzie oblegał wieżę Dawida, czyli kasztel główny, rezydencyą gubernatora, który mu się poddał, gdy już od wschodu i północy krzyżowcy do miasta wtargnęli. Po zajęciu Jerozolimy miał silny zatarg z Tankredem o łupy, które ten zabrał w pałacu Salomona wyłącznie dla siebie, a raczej dla ludzi swoich. On pierwszy wybrany był królem, ale tej godności zrzekł się dla Godfryda, to zdaje się być prawdą. Byłby on przez cały ciąg wyprawy pod komendą księcia Bouillon? Trudno pomyśleć!

Palestynę opuścił r. 1100, aby się udać nie do domu, lecz do Konstantynopola. Tu zebrał nowe ogromne wojsko, a posuwając się wraz z innymi wielkimi baronami przez Azyą mniejszą, został do szczętu rozbity, jak się już powiedziało. Ponownie udał się do Konstantynopola, a gdy stąd, zdążając do Ziemi św., przybył do Tarsu, został tu uwięziony przez Tankreda, jako winny rzekomo owej klęski poprzedniej. Uwolniony na wstawienie się możnych baronów, którzy go jako wodza uznawali, udał się r. 1103 pod

---

[1]) Córkę naturalną.

Tripolis, długo to miasto oblegał, aż do śmierci swej r. 1105. nie zdobywszy go. Syn jego Pontus władał już hrabstwem i stolicą. — Hrabia Rajmund był z pewnością krzyżowcem bardzo gorliwym, osobiście bitnym, rozważnym, tylko nadto upartym, mało wyrozumiałym, a stąd niepopularnym.

Najbliższym jego przyjacielem i sąsiadem w pokoju i wojnie był Aïmer (Adhemar), biskup z Puy, jako legat papieski powagą wielką odziany, przy tem roztropny i światły. Można o nim powiedzieć, co pieśń o Rolandzie mówi o zacnym arcybiskupie Turpinie, że bardzo ładnie benedykcyę dawał i dzielnie mieczem rąbał. On niezawodnie często łagodził spory i niesnaski, on dobrą radą służył na konferencyach. W bitwie pod Antyochią prowadził swoje własne hufce i Rajmonda, który był ciężko chory. Jako Prowensal prowadził Prowensalów. Zdaniem złośliwych północnych rycerzy, dzielniejsi oni byli do jedzenia, niż do boju, ale można to nazwać czarnem, ze złości płynącem oszczerstwem. Biskup Aïmer umarł wkrótce potem w Antyochii, a po śmierci pokazywał się niektórym jako cierpiący karę w purgatorium za to, że w świętą lancę nie wierzył.

Boémond, syn starszy Roberta Guiscarda, wojował już za życia ojca przeciw Alexemu, którego wojska pobił pod Janiną i Artą. Ojciec, umierając, całą swą posiadłość Apulią i Calabrią przekazał młodszemu synowi Rogerowi, dla tego, że matkę jego bardziej lubił. Pokrzywdzony Boémond rozpoczął zaciętą wojnę przeciw bratu i zdobył na nim Tarent. Aby powiększyć swe dzierżawy, oblegał Saracenów w Amalfi, gdy się dowiedział o ogłoszeniu krucyaty. Ognistą wymową zapalił wojowników, zebrał 20.000 piechoty i 10 tysięcy jazdy i ruszył do Konstantynopola. Nienawiść jego do Greków była tak silna, że do stolicy cesarskiej przybywszy, namawiał Godfryda, aby zdobyć to miasto i państwo, czemu się Godfryd oparł. Historycy nowsi zgadzają się na to, że to on właśnie wygrał bitwę pod Dorylaeum, on pobił Kerboghę, on podstępem Antyochię zajął, która mu się przeto słusznie należała. Wynika z tego, że ze wszystkich baronów on był najdzielniejszym wodzem, najenergiczniejszym wojownikiem. Niestety, już w roku 1100, porzucając zdobywanie Aleppu, podążył do Malatii (Melitene przy spływie zachodniego i wschodniego Eufratu), to znaczy, aż do Armenii, na zaproszenie tamtejszego księcia armeńskiego, który mu kraj swój odstąpić obiecał. W tej wyprawie zaskoczony od emira Ibn Danisz-

menda, nietylko pobity, ale nawet do niewoli wzięty został. Trwała ona dwa lata. Wypuszczono go dopiero za wielkim okupem.

Po uwolnieniu, udał się do Italii, Francyi, Włoch, głosząc gorącemi słowy, za zgodą Paschalisa II, nową krucyatę. W tym czasie pojął za żonę księżniczkę francuską, córkę Filipa I, dla Tankreda siostrę jej wyjednał. Po kilku latach zebrały się w Apulii pod jego wodzą znaczne siły, które poprowadził... na Byzancyum, przeciw Alexemu. Zaczął oblegać Durazzo, ale bezskutecznie. Nie długo potem umarł w Apulii roku 1111, zostawiając dziedzictwo swoje, starannie strzeżone przez te długie lata przez Tankreda, następnie przez Rogera del Principato, małoletniemu synowi, późniejszemu Boémondowi II. Po tym została tylko córka, którą wydano za znanego nam Raimonda, młodszego syna Guillauma Akwitańskiego, owego trubadura.

Pozwolimy tu sobie dodać następną uwagę. Niechęć Boémonda do Alexego, która się zmieniała szybko w nienawiść wszystkich krzyżowców, jako łacinników do schizmatyków, była może głównym powodem, że te świetne, heroiczne wyprawy, pochłonąwszy kilka milionów ludzi, spełzły ostatecznie na niczem. Że nieufność Alexego do krzyżowców była uzasadniona, o tem świadczą dążności Boémonda, o tem świadczy jeszcze dobitniej późniejsze utworzenie cesarstwa łacińskiego. Skutkiem tych nieporozumień było, że pierwsza wyprawa starała się tylko przebić przez Azyą mniejszą i dotrzeć jak najprędzej do Syryi, celu wyprawy, nie dbając o to, aby sobie tyły zabezpieczyć, aby trwałą z Europą złączyć się komunikacyą. Zabrali Kilidż Arslanowi Niceą, pobili go pod Dorylaeum i poszli dalej, zostawiając go za sobą pobitego, lecz nie pokonanego, zostawiając groźnego Ibn Daniszmenda w Suzie (nad górnym Kisil Irmakiem). W krótkim czasie emirowie ci zreorganizowali swe wojska i stali się bardzo niebezpiecznymi. Zastępy krzyżowe powinny były posuwać się tylko w miarę zupełnego oczyszczenia kraju z Saracenów, zaopatrzane we wszelkie potrzeby przez Alexego, któremu kraj ten powinien był być oddany. Potrzeby te były wielkie, nieodzowne, a tylko Byzancyum mogło je zaspokoić. Nie uczynili tego, przebili się z wielkiemi stratami przez Azyą mniejszą, zdobyli Antyochią i Jerozolimę, dokonali czynów niezrównanych, atoli — już r. 1101 — pokazała się naglą̨ca potrzeba nowej wyprawy krzyżowej, którą też Hugo Wielki, Rajmund z Tuluzy, Stefan z Blois, Stefan z Burgundyi, Guillaume Akwitański, Anselm,

arcybiskup medyolański, z 50 tysiącami Lombardów, Thiemo, arcybiskup salcburski, Welf z Bawaryi, Ida z Austryi i bardzo wielu innych poprowadzili. Była ta wyprawa liczniejszą jeszcze niż pierwsza, a została zniszczoną do szczętu właśnie przez Kilidż Arslana i Ibn Daniszmenda. Klęska ta była tak srogą, że w czterdzieści lat później Ludwik VII i Konrad II już na poprzek Azyi mniejszej maszerować się nie odważyli. Azya mniejsza stracona albo nie zdobyta, to znaczy Syrya stracona i Konstantynopol także.

Tankred był bratem ciotecznym Boémonda, synem Emmy, siostry Roberta Guiscarda. Tytułują go markizem, choć zdaje się, że wielkich posiadłości nie posiadał. Już za młodu był bitny, poważny w obyczajach, pobożny, przytem sławy chciwy. W krucyacie przyłączył się do brata swego, ale miał oddzielny hufiec, z którym się chętnie najtrudniejszych zadań podejmował, byle ludzie mogli coś zyskać przy tem, sam bowiem był bardzo bezinteresowny. A zawsze nieustraszony, tylko może nadto porywczy, nie dość rozważny. W marszu na Jerozolimę przyłączył się do Godfryda, od którego następnie otrzymał Galileę, jako lenno. Podczas niewoli Boémonda, albo jego długiej nieobecności, on zarządzał Antyochią, niejednokrotnie rozszerzając to państwo. Nienawidził Greków, a także Rajmunda z Tuluzy, ich przyjaciela, z taką samą siłą, jak Boëmond. Niejednokrotnie zamiast bić Saracenów, bił Greków i zabierał im dzierżawy. Umarł bezdzietny, w rok po Boémondzie, roku 1112.

Zwracamy się teraz ku północnemu wschodowi Francyi, skąd wielu znamienitych rycerzy na krucyatę ruszyło. Możnym baronem był Robert hrabia Flandryi, syn Roberta, zwanego Fryzyjczykiem, który sam r. 1085 pielgrzymkę do Jerozolimy odbył [1]), aby się oczyścić z win, które nie były lekkie. Na jego to życzenie zamordowano w okrutny sposób Godfryda garbatego, księcia Lotaryngii, tego samego, który Godfryda krzyżowca za syna i dziedzica przybrał [2]). Robert Fryzyjczyk już wtedy mianował zarządcą posiadłości syna swego, który mógł mieć lat dwadzieścia kilka,

---

[1]) Fryzyjczykiem nie od tego był zwany, żeby z Fryzyi pochodził, bo rodem był z Flandryi, lecz dla tego, że się ożenił z Gertrudą, rodowitą hrabiną fryzyjską.

[2]) Stosowną upatrzywszy chwilę, wsadzono mu ostry rapier z tyłu do wnętrzności.

a podczas krucyaty o dwanaście lat więcej. Był przeto w sile wieku, a w boju tak dzielnym, że go poeta ze świętym Jerzym porównał, a historycy nazwali krzyżowców mieczem i lancą. Ale czy stosunki osobiste pomiędzy nim a Godfrydem z Bouillonu mogły być tego rodzaju, aby go Robert jako komendanta uznał? Z krucyaty szczęśliwie wróciwszy, żył jeszcze lat dwanaście, do roku 1111, gdy pomagając królowi Ludwikowi VII w walce z Anglikami, utonął w rzece Marne pod Meaux.

W sąsiedztwie Flandryi znajdujemy rodzinę hrabiego Eustachego z Boulogne, z której aż trzech synów udało się na krucyatę. Najstarszy Eustachy, dziedzic hrabstwa Boulogne; młodszy Godfryd adoptowany przez wuja Godfryda garbatego; najmłodszy Balduin, żonaty z Godehildą Toëni, która mu w drodze umarła, zostawiona pod opieką Godfryda wtedy, gdy Balduin aż za Eufrat się udał, aby zająć Edessę. Udział trzech braci w krucyacie świadczy niezawodnie, że rodzina była pobożną.

Hrabia Eustachy, trzeci w Boulogne tego imienia, z pewnością obowiązek swój rycerski zaszczytnie wypełnił, wszystkie trudy krucyaty aż do końca wytrzymał, na mury Jerozolimy jeden z pierwszych, zaraz za bratem, księciem Godfrydem wskoczył. Ale równie dzielnych baronów było tam wielu, on zaś przed innych się nie wybił. Do domu powrócił szczęśliwie. Córkę Matyldę, jedynaczkę, wydał za Stefana z Blois, który królem Anglii został, a był synem znanego nam Stefana i Adeli, córki Wilhelma Zdobywcy. Oto wszystko, co się o nim da powiedzieć, to znaczy, że wiadomości o nim są bardzo skąpe.

Pomijając tymczasem Godfryda, powiedzmy kilka słów o najmłodszym z braci, Balduinie. Jako najmłodszy, nie był dziedzicem po ojcu, ani też adoptowany przez nikogo. Miał z pewnością jakie zamki, ale żadnego lenna większego. To też nie tyle pobożność wiodła go do Azyi, jak gorące pragnienie zdobycia kraju jakiegoś, władzy. W tym celu nie lękał się ruszyć aż za Eufrat, aby zająć Edessę i umiał tę posiadłość nie tylko obronić, ale nawet rozszerzyć. Po wczesnej śmierci starszego brata, został królem w Jerozolimie, a nowsi historycy uznają w nim prawdziwego organizatora tego królestwa. Odważny był aż do zuchwałości, to też mówiliśmy już o klęsce, jaką poniósł pod Rames. Wiemy, że ją wnet powetował, nawet aż do Arabii, nawet nad Nil się zapędził. Dla królestwa swego zdobył trzy bardzo silnie obwarowane porty morskie:

Accon, Sidon i Beirut. Należał z pewnością do najodważniejszych, najzuchwalszych wodzów, jakich zna historya. Ożenił się drugi raz w Edessie, ale tę żonę, posądzoną o niewiarę, później w Jerozolimie odpędził; poślubił następnie (r. 1113) Adelaidę, bogatą wdowę po księciu sycylijskim Rogerze, ale po czterech latach i tę do domu odesłał. Pod względem obyczajów nie był wzorem cnoty. Jest w jego charakterze pewna bezwzględność, może nawet do okrucieństwa posunąć się zdolna. Umarł bezdzietny r. 1118.

Godfryd, brat jego, już od lat dziesięciu objął dziedzictwo Godfryda garbatego, a obejmując je, miał lat szesnaście. Dziedzictwo to wszelako bardzo zostało uszczuplonem przez cesarza Henryka IV, który znaczną część posiadłości Godfryda garbatego nadał synowi swemu, Konradowi. Młody Godfryd otrzymał tylko allodia, które mogły być liczne, oraz margrabstwo Antwerpii jako lenno. Dolną Lotaryngią otrzymał Konrad. Mimo to Godfryd wiernie służył Henrykowi w walce z papieżem i wasalami. Podobno własną ręką zabił r. 1080 Rudolfa szwabskiego, wybranego cesarzem przeciw Henrykowi; podobno gdy Henryk Rzym oblegał, on jeden z pierwszych wdarł się do miasta i otworzył cesarzowi bramę lateraneńską. Są to wiadomości niepewne; pewnem jest to wszelako, że w nagrodę usług otrzymał od cesarza księstwo Bouillon, odebrane roku 1093 Konradowi za bunt przeciw ojcu. Był więc Godfryd, przy rozpoczęciu krucyaty, księciem w Bouillon dopiero od niedawnego czasu. Zdaje się, że księstwo Bouillon oznaczało całą dolną Lotaryngię, tego tytułu bowiem już jego wuj używał. Uważmy teraz, jak się do wyprawy przygotowuje; oto mieszkańcom miasta Metz pozwala się wykupić od danin za jakie 500.000 koron. Być może, że to było wogóle pierwsze wykupienie się mieszczan w średnich wiekach. Biskupowi w Verdun sprzedaje księstewka Stenay i Mouzon, oraz swe prawa do hrabstwa Verdun, prawa po Godfrydzie garbatym odziedziczone. Za jaką cenę, nie umiemy powiedzieć. Co więcej, biskupowi w Liège sprzedał samo księstwo Bouillon za 300 marek srebra i 4 marki złota. Dałoby to, sądzimy, jakie 20.000 koron. Oprócz tego potworzył liczne fundacye pobożne w Antwerpii i Maestricht.

Książę Godfryd dobrze się tedy zaopatrzył w fundusze, tak, że mógł sformować jakie 90.000 wojska. Rajmund z Tuluzy miał większą armię, ale chyba żaden inny z baronów. Pod jego wodzą należy umieścić wszystkich baronów niemieckich, nie licznych zresztą, którzy w pierwszej krucyacie udział wzięli, a przyłączyli się

do Godfryda, jako do jedynego obecnego tam wielkiego wasala cesarstwa niemieckiego. Sam Godfryd, jako z Boulogne pochodzący, nie mógł być niemcem, ale prawdopodobnie znał także język znacznej części flamandzkich poddanych swoich. Pewnem jest, że do dowództwa nad licznymi a możniejszymi baronami francuskimi prawa żadnego nie miał. Nasuwa się tutaj pytanie, czy on, wyzbywszy się najważniejszych posiadłości, miał zamiar wrócić jeszcze do kraju? Możnaby wątpić o tem.

Jasnem jest tedy, że książę Godfryd mógł od samego początku pomiędzy baronami zająć stanowisko bardzo poważane. Osobiście był mężnym, odznaczał się wielką siłą fizyczną, jak to nam już wiadomo. Historycy nie mówią nic o jakimkolwiek zatargu jego z innymi baronami, a wspominają nieraz o tem, że w każdej potrzebie innym z chętną spieszył pomocą. Nie dowodzi to wszelako, aby był uzdolnionym na naczelnego wodza, a sądzić można, że takiej zdolności nie posiadał. Z czego sądzić? Z tego, co zarządził w Jerozolimie w czasie krótkiego swego panowania. Stał się jakoby wasalem patryarchy, na którego rzecz zrzekł się znacznej części szczupłych i tak dochodów królestwa. Wszystko to osłabiało siłę odporną małego jeszcze i zewsząd zagrożonego jego państwa.

Okazuje się z tego, że Godfryd był pobożnym, aż do głębi zadaniem wyprawy przejętym rycerzem. Wodzem naczelnym w ciągu całej wyprawy nigdy nie był, żadnego bliższego tytułu do tego nie miał. Gorliwość jego zrównoważoną była ambicyą, zdolnością i bogactwem innych wielkich baronów, którzy nie potrzebowali się wysprzedawać ze swoich posiadłości, aby zebrać hufce prawie równe jego szeregom albo i większe. Duma ich, wyłamująca się z pod władzy prawowitego króla, nie byłaby się ukorzyła przed adoptowanym księciem. To też u wszystkich historyków ówczesnych wyczytać można, że każdy z baronów swoimi hufcami rozporządzał, ponieważ każdy swoje opłacał. Wspólne działanie układano na wspólnych naradach. A widzieliśmy już, że niektórzy z baronów na własną rękę podejmowali wyprawy uboczne; tak Tankred do Tarsu, Balduin do Edessy, Raimund z Tuluzy aż za Libanon, Boémond Antyochią opanował.

Przyznać atoli trzeba, że po zdobyciu Antyochii, w czasie marszu na Jerozolimę, stan rzeczy się zmienił. Nie było już w armii Hugona, brata królewskiego; nie było Stefana z Blois, nie

było Boémonda, nie było Balduina, nie było biskupa Aïmera. Z wielkich baronów zostali tylko: niedbały Robert normandzki, przyjaciel jego Robert z Flandryi, uparty Rajmund, hrabia Tuluzy, wreszcie Godfryd, który teraz po kilku miesiącach zwłoki nalegał, aby na Jerozolimę ruszyć, który przy szturmie prawie pierwszy na mury skoczył, który po zdobyciu świętego miasta godnością króla zaszczycony, nie wahał się, pełen poświęcenia, zostać tutaj po odjeździe baronów, z 200 jeźdzcami i tysiącem piechoty. Tyle bowiem tylko mu zostało z owej wielkiej armii, z jaką wyruszył. Umarł nieżonaty i bezdzietny, niespełna w rok później, podobny do rycerza zakonnika, wzór dla przyszłych Templaryuszy [1]).

Teraz legenda zaczęła złocić imię jego cudami, teraz zamiast dziadka Eustachego znalazła poezya dla niego całkiem innego przodka, który już sam był wysłannikiem niebios na obronę uciśnionej wdowy i sieroty, teraz poeta każe najdzielniejszemu z Saracenów (wymyślonemu) Cornumarantowi, zwiedzić rezydencye wszystkich wielkich baronów, jacy w pierwszej krucyacie udział wziąć mieli i jednego tylko Godfryda uznać za groźnego przeciwnika. Nasz przegląd powyższy miał za zadanie rzeczywistość przeciwstawić poezyi.

Rozumiemy teraz, jakim sposobem Godfryd z Bouillon tak bardzo zasłynął. Stało się to pomału. Graindor go już pochwałami uwydatnia, ale u niego jeszcze wyraźnie czytać można, że Godfryd nad innymi baronami żadnej władzy nie ma. Dopiero Renaud wywyższył go nad wszystkich. Tylko jemu ma do zawdzięczenia, że od Rycerza z łabędziem pochodził, a fikcyjne to pochodzenie miało być o wiele wyższem niż prawdziwe, a świetne koligacye lotaryńskie przez matkę, siostrę Godfryda garbatego, (tytularnego) męża Matyldy z Canossy.

Godfryd, pochodząc po matce z Bouillon, po ojcu z Boulogne, z pewnością mówił po francusku i czuł się Francuzem, inaczej stanowisko jego pomiędzy samymi Francuzami, z jakich się składała pierwsza krucyata, byłoby bardzo trudnem. Nawet Boémond

---

[1]) Uważmy, że po wszystkich trzech braciach tylko jedyna córka Eustachego została, ród męski wygasł całkowicie. Przez córkę tej jedynaczki, albo wnuczkę raczej, hrabstwo Boulogne dostało się hrabiemu Dampierre. Śpiewak Renaud sławił tedy ród dawnych hrabiów swego miasta rodzinnego, Boulogne, a sława ta udziela się także ówczesnym jego dziedzicom po kądzieli.

i Tankred byli pochodzenia francuskiego. W późniejszych jeszcze krucyatach Francuzi Niemców postponowali. Książe Lotaryngii nie byłby został królem w Jerozolimie, gdyby nie był Francuzem, ponieważ to królestwo od samego założenia aż do końca istnienia swego było francuskiem. Świadczą o tem ustawy w języku francuskim, jakie mu nadano: *Assises de Jérusalem*. Godfryda wybrano królem jako dzielnego, sprawie Grobu świętego gorąco oddanego do poświęcenia się gotowego rycerza, wtedy gdy inni baronowie już za Europą tęsknili. Królem wybrany, stał się wcieleniem wszystkich zwycięstw, całej krucyaty, zabłysnął w całem Chrześcijaństwie, a zwłaszcza we Francyi. W Niemczech nikt o nim poematu nie napisał.

Wiadomość o dalszych poematach.

Zamierzamy tu dodać wiadomość uzupełniającą o innych poematach, które już po za pierwszą krucyatę wybiegają, ale są niby dalszym ciągiem tych, które tutaj się omawiało. Bo jeżeli cykl ten urosł od przodu, to więcej jeszcze narastał od końca. Z wyjątkiem dwu, żaden z nich nie został dotąd ogłoszony, to też jesteśmy zniewoleni co do wszystkich nieogłoszonych polegać na wiadomościach, jakie o nich ogłosił Pigeonneau.

Wszystkie rękopisy, mówi [1]) wspominają o pieśni opowiadającej zdarzenia po zdobyciu Jerozolimy przypadające. A więc o zdobyciu Acre, Sur (Tyr) Tabarie, o Templaryuszach i Rycerzach św. Jana. Pieśń ta niestety, całkiem zaginęła.

W połowie wieku XIII-go pojawiają się przeróbki na prozę wszystkich przez nas omawianych pieśni. Z przeróbkami temi łączą już wprost prozaiczne opowiadania o dalszych zdarzeniach, pod tytułem: *le Livre du Conquest, les Livres des passages d'Outremer* i pod. Wtedy przetłómaczono też na język francuski Historyą Jerozolimską Guillaume'a z Tyru, ponieważ zaś ta kończy się na r. 1184, przeto Ernoul uzupełnił ją dalszym ciągiem.

W tymże wieku XIII znalazł się żongler, który oświadczył, że jeżeli mu zapłacą, to on powie, co się stało z Rycerzem z łabędziem po jego odjeździe. Rzecz niezmiernie ciekawa! Oto on

---

[1]) l. c. p. 164 n.

wrócił do Lillefort. królestwa ojca swego. Tam zjawił się anioł z listem, w którym było polecenie, aby szukano w podziemiach zamku Monbruiant, a znajdą łańcuszek łabędzia. Jeden z braci znalazł go rzeczywiście. choć nie bez trudności. Położono go na ołtarzu podczas mszy. którą odprawiał biskup z Lillefort. Otóż podczas podniesienia, łabędź obecny przemienił się w człowieka. — Eliasz sam dobrze rządził swym krajem, szczodry był dla klasztorów. Chętnie oddawał się łowom i jednego razu zobaczył okolicę podobną do Bouillon. Zaraz tam zamek zbudował, podobny do zamku Beatryxy, a okolicę nazwał Ardenami. Zbudował także opactwo, imieniem Sainteron, gdzie ustanowił opatem owego pustelnika, który go wychował. Sam też po niejakim czasie do klasztoru wstąpił. Przybył tam po dalekich przygodach opat z St. Trond (ten sam, który był w Jerozolimie i znał się z Cornumarantem). Przez niego uwiadomił żonę i córkę, że chce je widzieć przed śmiercią. Przybyły spiesznie, córce przepowiedział, że będzie miała trzech sławnych synów. Gdy odjechały, umarł niebawem, wnet po nim także Beatrix.

Pod koniec wieku XIII nowe powstają pieśni, jako dalszy ciąg poematu o Jerozolimie. W niej opowiada żongler, że Corbaran ochrzcił się, stosownie do przyrzeczenia, jakie dał w *Les Chétifs*. Sam sułtan za to najechał na niego i obległ Oliferne. Pośpieszyła na pomoc bratu Florence, królowa z Rosyi, czyli z Alenie (kraju Alanów). Z drugiej strony Godfryd przybywa z pomocą, poznaje Florencyą, zakochuje się w niej, urządza dla niej festyny, turniej, w końcu ją poślubia. Corbaran chciał chętnie widzieć ochrzczoną starą Calabrę, matkę swoją, a ponieważ ta się opierała, uczynił to przemocą i wsadził ją do klasztoru. Pieśń ta nazywa się: *Li crestientés de Corbaran d'Oliferne,* a widzimy, że ona nawiązuje się do poematu *Les chétifs*.

Następna pieśń opisuje zdobycie Acre przy pomocy wszystkich baronów, którzy pod Jerozolimą walczyli. Był tam także Corbaran z Chrześcijanami, a głównym przeciwnikiem Dodekin z Damaszku.

Trzecia pieśń opowiada o śmierci Godfryda, który umarł po odjeździe baronów. Otruł go patryarcha Herakliusz, który został przez Balduina I wtrącony do więzienia, gdzie umarł [1]). Balduin dokonywa czynów znakomitych. Zjawia się teraz Balduin de Se-

---

[1]) Patryarcha ten żył rzeczywiście w Jerozolimie, ale znacznie później, już za czasów Saladyna. Życie jego było bardzo rozpustne, gorszące.

bourg, który po śmierci Balduina króla, poślubia wdowę jego i staje się opiekunem jego syna pogrobowca [1].

Nowa pieśń mówi już o Saladynie. Z rzeczywistością dosyć jest zgodna, ale nie dochodzi do zdobycia Jerozolimy przez tego sułtana.

Wspomniany wyżej *Balduin de Sebourg* staje się bohaterem nowej obszernej pieśni, od niego nazwanej, w której jest przedstawiony jako syn Róży; siostry Rycerza z łabędziem. Do tego dodano, także już w wieku XIV, nową i obszerną pieśń pod tytułem: *Le Bastard de Bouillon,* który miał być synem Balduina króla i saraceńskiej księżniczki. Oba ostatnie poematy są w treści bardzo już awanturnicze i swawolne. Gröber przyjmuje, że znane były włoskim epikom, jak Boiardo i Ariosto. — Wszystkie, nawet ostatnie, choć już wychodzą poza pierwszą krucyatę, trzymają się zawsze rodu Rycerza z łabędziem.

Wymienione tutaj utwory tak są pełne zmyśleń, że już mało co, albo nic wspólnego nie mają z rzeczywistością. W pomysłach są niekiedy dobre, a nawet nowe, zwłaszcza dwa ostatnie, które wyróżnić trzeba, chociaż są bardzo rozpustne; środkowe bowiem ani dobrych pomysłów nie mają. Atoli umysły owego czasu już szukały prawdy, nie fikcyi. To też owe dwa utwory należą do ostatnich wogóle z rodzaju chansons de geste, który to rodzaj całkowicie się wyczerpał. Pojawiają się następnie obszerne poematy historyczne, ale są to rymowane kroniki, w opisach mniej lub więcej zgodne z rzeczywistością. — Widzimy tedy, że cykl pierwszej krucyaty, który się przemienił w cykl Rycerza z łabędziem, doszedł do ogromnych rozmiarów i niesłusznie zalicza się powszechnie do mniejszych.

ZAKOŃCZENIE.

Poznaliśmy dokładnie w obu częściach niniejszej pracy pięć obszernych poematów starofrancuskich, które, wraz z kilku utworami podrzędniejszymi, tworzą cykl, odnoszący się do pierwszej krucyaty. Nie wszystkie są równej wartości i równego charakteru. Niektóre z nich mogą się zaliczać do najlepszych utworów staro-

[1] Syna żadnego Balduin nie zostawił.

francuskiej poezyi. Za takie uznalibyśmy pieśń o Antyochii i pieśń o Jerozolimie. Oba te poematy są epopejami na wskroś wojowniczemi i rycerskiemi, oba się odnoszą do bardzo ważnych zdarzeń w dziejach ludzkości, w obu walczą nietylko bohaterowie, ale całe zastępy wojowników. Nieco inny charakter ma pieśń o Jeńcach w której już tylko kilka osób występuje. Znowuż inny charakter ma pieśń o Rycerzu z łabędziem wraz z pieśnią o Matabrunie. Nastrój jej więcej jeszcze religijny, niż poprzednich, przytem tajemniczy, mistyczny. Pełno tu cudów, które stwierdzają, że Bóg opatrznościową swą opieką otacza nietylko narody, ale i poszczególnych ludzi, nie pozwalając na to, aby ostatecznie złe tryumfowało. Od tego to tajemniczego, zawsze z rozkazu Boga działającego rycerza, ma pochodzić sławny Godfryd i rodzeństwo jego. Nie da się atoli zaprzeczyć, że cudowność tu przedstawiona, nie jest bez pewnej przymieszki czarodziejstwa. Bóg sam wykonywa tutaj *faérie*. Ta okoliczność sama jedna wskazuje na to, że ten pomysł przeniesiony jest ze świata pogańskiego w chrześcijański. — W ostatniej pieśni, która dotyczy młodzieńczych lat Godfryda, mamy świetnie naszkicowaną postać młodego Eustachego, brata Godfryda, naówczas nie dosyć sławionego przez śpiewaków. Znalazł się poeta, który imię jego z cieni na światło wydobył. Znaczenie tej pierwszej części pieśni jest raczej lokalne, odnoszące się do miasta Boulogne i do dawniej panującej w niem rodziny, o której, zwłaszcza o hrabinie Idzie, liczne tam fundacye świadczyły. Poematowi autor starał się dać szerszy horyzont historyczny i w tym celu wprowadził doń Cornumaranta, saraceńskiego bohatera. Rzecz godna uwagi: nie przedstawił go we wstrętnym charakterze.

Wszystkie te utwory powstały od roku 1140 do 1192, wliczając do nich także poemat Ryszarda pielgrzyma, który służył Graindorowi za podstawę.

Najróżniejsze w nich przedstawione są zdarzenia i uczucia, jednego prawie braknie prawie całkiem, to jest miłości. Rycerz z łabędziem popłynął do Nimaie, nie myśląc wcale o tem, że się ożeni, Beatryxa wyszła za niego, ponieważ życzyła sobie tego matka i cesarz, oraz ponieważ wypadało tak zrobić z wdzięczności. Małżeństwo ich jest tylko epizodem objaśniającym pochodzenie domu panującego w Boulogne, a poza tem małżeństwem nie ma wcale mowy o miłości we wszystkich pięciu poematach. Ta okoliczność nadaje im znamię jakiejś męskiej powagi. W trzech naj-

starszych poematach myśl o walce z Saracenami tak napełnia serca rycerzy, że na wszystko inne obojętnymi ich czyni. Tak jest słusznie, i taki sam nastrój jest właśnie jednem ze znamion wszystkich najdawniejszych i najpoważniejszych chansons de geste.

Jaka różnica, gdy je z Partenopeusem porównamy! Ona odsłania dwa odmienne okresy historyczne, staje się wyrazem odmiennych warstw społecznych, które się bodaj teraz dopiero dokładnie wyróżnicowały. Jeden z tych światopoglądów jest poważny, religijny. Początek swój ma w legendach świętych, z tą różnicą, że religijny ascetyzm, stałość w wierze, gorliwość apostolstwa, gotowego na śmierć męczeńską, przemieniają się w odpowiednie cnoty rycerskie, w niestrudzoną walkę przeciw niewiernym, w walkę gotową na znoszenie głodu, pragnienia, wszystkich trudów wojennego życia, w walkę gotową na śmierć za wiarę. Tem właśnie uczuciem oddychają najstarsze i najlepsze starofrancuskie poematy bohaterskie. Słuchali ich chętnie wszyscy baronowie od najwyższych zacząwszy, słuchały niższe stany. Teraz zjawia się kierunek nowy, głoszący używanie życia, zalecający piękne stroje, opisujący wspaniałe pałace, ozdobne meble. Takie pojmowanie życia wytwarza się w rezydencyach najbogatszych panów w Poitiers, w Blois, a wyrazem jego, pod względem jasności doskonałym, jest właśnie poemat o Partenopeusie.

Wszystkie poematy, cykl pierwszej krucyaty tworzące, mają to wspólnego, że się odnoszą do zdarzeń i postaci prawdziwie historycznych, o których liczne pozostały relacye, nawet od naocznych pochodzące świadków. Staraliśmy się wyjaśnić, o ile ich treść zgadza się z wiadomościami poświadczonemi. Okazało się, że ich autorowie chętnie wiadomości historyczne przyjmują; ale i drobną wzmiankę umieją zamienić w wielki obraz; do nazwiska choćby tylko, umieją dodać zdarzenia; gdzie im trzeba, zmyślą i nazwisko, nieobecnych obecnymi czynią, umarłych z grobu wywodzą i bić się im każą, słowem, nie ma dla nich niemożliwości, są Napoleonami w swoim zawodzie. Gdzie już czego innego nie wiedzą opiszą pojedynek lub batalią, a w tem są mistrzami.

Przypatrzyliśmy się ich technice i widzieliśmy, że była swobodną, doskonale do sposobu wygłaszania i do słuchaczy zastosowaną, pełną prostoty, ale zarazem pełną wdzięku, a przez to właśnie wielce artystyczną. Ludzi, którzy umieli tak władać językiem, że bez trudności tworzyli grupy z kilkudziesięciu wierszy, nie

tylko adsonowanych, ale rymowanych, a z tych grup długie poematy o kilku, a nawet o kilkunastu tysiącach wierszy, nie trzeba uważać za prostaków. Byli to artyści swojego rodzaju, w umności swej biegli do zadziwienia.

Wykształcenie żonglerów z pewnością nie było równe, a tem mniej ich talent. Byli pomiędzy nimi tacy, którzy sami układali pieśni, jak Graindor lub Renaud, większa atoli była liczba tych, którzy tylko wygłaszali utwory innych. Niektórzy z nich byli kandydatami na kleryków, tylko że przed czasem ze szkoły uciekli, albo ich wypędzono. Inni byli już klerykami, lecz w ostatniej chwili wybrali raczej wędrowną, a często hulaszczą swobodę, zamiast ostrej reguły. Byli i tacy, którzy poduczywszy się w klasztornej szkole, wstępowali na czas dłuższy w służbę starszego żonglera, albo mu nawet zapłacili za przygotowanie do żonglerskiego zawodu. Zawsze przy nim zostając, wyuczyli się z czasem pieśni, które wygłaszał, przygrywali mu na skrzypcach lub harfie, bo każdy z nich znał muzykę, grał na jakim instrumencie, każdy umiał śpiewać. Pozostały po żonglerach małe książki pargaminowe, najczęściej bardzo zużyte, które im służyły do wyuczenia się pieśni, do odświeżenia pamięci. Są oni śpiewakami historycznymi, ale o dokładną znajomość historyi nie starają się wcale. Nie oni stosują się do historyi, lecz historya ma się stosować do nich. Przedstawiają ją taką, jaką być mogła, mniej dbając o to, jaką była. Powagą dla nich są poematy poprzednie, nie dzieła historyczne chociaż chętnie szukają punktu oparcia w historyi. Nie da się zaprzeczyć, że niektórzy z nich znają łacinę i korzystają czasami z dzieł uczonych, wiedzą coś o Troi, o Alexandrze, o Juliuszu Cezarze, chętnie się popisują wzmiankami o Grecyi i Rzymie, ale gdzie im wiedza nie dopisuje, tam ją uzupełniają zmyśleniami, które co najmniej zuchwałemi nazwać można. To samo powiedzieć należy o ich geografii. Natomiast podziwiać trzeba ich pomysłowość, którą doprowadzili do jakiejś, prawie technicznej, doskonałości. Dziwić się temu nie można: od nowości pomysłów zależał ich zarobek, to też szukali nowych motywów, tematów, doskonalili je, kombinowali w rozmaity sposób.

Powiedzieliśmy już, że wyraz *geste* nabrał z czasem dwojakiego znaczenia. Pierwotnie znaczy dzieje, a charakter dziejowy posiadają pieśni o Antyochii i o Jerozolimie w stopniu wybitnym, w stopniu wyższym, niż jakikolwiek inny starofrancuski poemat

historyczny. Tłómaczyć to należy nie tem, że krucyaty były zdarzeniami świeżemi, o których liczni historycy dokładne podali wiadomości, lecz tem, że Graindor za podstawę swych poematów wziął dawniejszy poemat Ryszarda, o którym wykazaliśmy, że był pisany z kronikarską dokładnością. Uważmy teraz, jak postępuje Renaud: w pieśni o Rycerzu z łabędziem mówi nam, że Godfryd pochodzi od Rycerza z łabędziem i od Beatryxy, księżnej Bouillon, co się z prawdą historyczną bynajmniej nie zgadza. W pieśni o Matabrunie opowiada, od kogo Rycerz z łabędziem pochodzi, co znowu jest tylko fikcyą. W pieśni o Młodości Godfryda mówi nam o matce jego Idzie, bracie jego Eustachym i o młodości jego samego. — Utwory żonglera są *chansons de geste*, ale wyraz *geste* nabrał tu znaczenia *rodu*, bo śpiewak zajmuje się przedewszystkiem rodem Godfryda. Kontynuatorzy uzupełniają historyą własną Godfryda i całego rodu jego, a czynią to nie na podstawie historyi, lecz na podstawie fikcyi poprzednich. W ten sposób utworzyły się wszystkie wielkie cykle starofrancuskich epopei, a przyjąć możemy, że starogreccy νόστοι w sposób podobny kontynuowali Iliadę, rywalizowali z Odyseą.

Bardzo liczne są we wszystkich powyższych poematach, wzmianki, które śpiewacy robią o sobie, o żonglerach wogóle. Dowiedzieliśmy się z nich, że się zbiegali gromadnie na wszelkie dworskie uroczystości, na wesela, na turnieje, na koronacye, na rycerskie pasowania. Nie brakło ich też pewnie na odpustach, na imieninach, wszędzie tam gdzie się zbierała większa liczba gości, publiczności wogóle. Przybywali z Pikardyi, z Poitou, z Bretanii. Każda okolica miała swą specyalność, każdy żongler starał się o to, aby znać pieśni, opowiadania, których inni nie znali. Różne też mieli instrumenty: jedni harfy, drudzy skrzypce, inni psalteryony. Zawsze na owych zebraniach przychodziła dla nich pomyślna chwila, kiedy się kunsztem swym popisać mogli. Było to zwykle po obfitym obiedzie, kiedy baronowie wypoczywali, zabawiając się winem i rozmową. Zebrania te były gwarne, hałaśliwe, to też żongler co chwila o ciszę prosi, obiecując nawet zbawienie duszy tym, którzy spokojnie słuchać będą. Zręcznie wsuwają narzekania na brudne skąpstwo, wplatają pochwałę hojności, przymawiając się o konia, płaszcz lub futro. Na pieniężną nagrodę składali się zapewne wszyscy goście, gospodarz domu dawał ubranie lub konia.

a jeżeli żongler był żonatym, co niekiedy się zdarzało, to niezawodnie szafarz dworski wypełnił mu sakwy wiktuałami.

Zależni od publiczności, starali się o szczególnych pomiędzy tą publicznością dobrodziejów. Szukają ich w zamkach i opactwach, o których w poematach wspominają. Za każdą pochlebną wzmiankę, czy to o osobie, czy o rodzie, czy o klasztorze, czy o miejscowości wogóle, należało się osobne wynagrodzenie. Albo też wzmianki te były podziękowaniem za już doznane łaski. Nawet wyższego rzędu poeci, jak autor Partenopeusa, do tego samego uciekali się środka. Tak postępowali już retorowie starożytni, którzy byli zarazem panegirystami, ten sam obyczaj był też pomiędzy renesansowymi humanistami bardzo rozpowszechniony.

Śpiewacy pieśni dziejowych zazwyczaj poważną przybierają minę. Udają, że uczą historyi, na którą się powołują, zwłaszcza tam, gdzie zmyślają najbardziej. Nie gańmy ich za to, fikcye ich należą do najładniejszych, jakie poeci wogóle wymyślili. Chodzi o to, aby wykazać, na jakiej drodze do tego doszli, z jakich złożyli je elementów już poprzednio wytworzonych. To właśnie staraliśmy się przedstawić w pracy niniejszej. Okazało się, że żadna baśń na utworzenie tych poematów, a zwłaszcza o Rycerzu z łabędziem nie wpływała, a to z tego powodu, że baśni tego rodzaju nie było. Zaznaczyć zaś należy, że później fikcya poety się rozpowszechnia, różne rody od cudownego rycerza się wywodzą; różni kronikarze baśń tę w różnych odmianach zapisują. Z tego się wysnuwa wniosek silnie uzasadniony, że w wieku dwunastym baśń taka nie istniała.

Rzut oka na dzieje orfiki w starożytności i w nowszych czasach.

Napisał

Stanisław Schneider.

Był czas, niepowrotnie miniony, kiedy to greckość starano się estetycznie pojmować i dopatrywać się w kulturze helleńskiej, zwłaszcza w sztuce, harmonii życia i piękna, która zapewne była udziałem nielicznych poszczególnych jednostek i gościła na szczytach społeczeństwa, nie potrafiła jednak przeniknąć do dolin, by uszczęśliwić powszechność. Taki to świat pogodny i jasny, ale sztucznie wzniesiony ponad warstwę ludową, stworzyli homerowi poeci, nadworni piewcy wielmożów. W porównaniu z poprzednią, tak nazwaną myceńską epoką, pieśni Homera stanowią postęp olbrzymi, od barbarzyństwa poniekąd do człowieczeństwa; lecz iście religijnej, moralnej podstawy jeszcze w nich niema. Stąd jednomyślna klątwa, jaką je obłożyli reformatorscy filozofowie różnych szkół: Xenofanes, Heraklit i Platon. Homerowy, słoneczny świat bogów i ludzi przedewszystkiem musiano mieć do niedawna na myśli, chcąc widzieć w helleńskości wyłącznie kult piękna jako zmysłowej harmonii, nie pomnąc wszakże na słowa prorocze Heraklita, któremu więcej chodziło o prawdę i dobro, aniżeli o piękność, skoro przestrzegał, że utajona harmonia lepsza od jawnej.

Tę powierzchowną harmonię zburzono niemiłosiernie pod hasłem historyczności. Genetyczna metoda badania miała zastąpić bezkrytyczny po części, dotychczasowy zachwyt. Odtąd zaczęto uważać Grecyę nie za raj utracony i skończony ideał, lecz za pokrewny współczesnym organizacyom ludzkim wytwór dziejowy. Aby wyśledzić wszelkie ścieżyny stopniowego rozwoju cywilizacyi greckiej,

chwycono się środków porównawczych, począwszy od językoznawstwa i mitologii, a na socyologii, folklorze i ekonomii skończywszy. Atoli posunięto się za daleko, w imię ciągłej zmienności historycznej i ewolucyi, odmawiając bezwzględnej oraz trwałej wartości prawzorom greckim. Zapewne, filologia klasyczna opiera się na historycznych danych i posługuje się historyczną metodą, ale w zasadzie jest umiejętnością duchową i ma do czynienia z płodami ducha. Nie wszechuczoność jej celem, o której wyrzekł wspomniany już efezyjski mędrzec, że rozumu nie uczy, tylko poznanie duszy starożytnego człowieka z jej wiekuistą treścią. Powiedział zaś o duszy ten sam Heraklit, że jest niezmierzona i że ma głęboki grunt;, a jedyną mądrością jest znać bożą myśl, kierującą wszystkiem. Na te tory etyczne, wieczne i religijne schodzą coraz częściej badania nad starożytną Grecyą po czasach jednostronnego estetyzmu i za wszechstronną chcącej uchodzić polihistoryi. Obok metody historycznej wysuwa się tedy dziś na plan pierwszy psychologiczne odczucie i zrozumienie kultury greckiej.

1.

W chwilach przełomu, kiedy dawne wierzenia i przekazana religijność znikają, a filozoficzne poglądy i systematy jeszcze się nie pojawiły, zwykła powstawać dążność do bezpośredniej łączności człowieka z bóstwem i zapewnienia sobie nieśmiertelności wraz z lepszym losem po śmierci. Takiemu dusz nastrojowi zawdzięcza byt swój poezya orficka, która w odziedziczoną formę heksametrową wlała nowego ducha. Pierwszy w pewien ład i porządek ujął i wydał resztki tejże poezyi Lobeck, w dziele, noszącem tytuł: „Aglaophamus“ (r. 1829), przez co położył silną i niespożytą podwalinę dla wszystkich późniejszych na tem polu badań. Pomimo jednak znakomitego znawstwa, popełnił jeden błąd wielki, że nie odróżnił w dochowanej puściźnie po Orfeuszu głębszej, ważniejszej i pierwotniejszej warstwy od orgiastycznych i lżejszych naleciałości. Dlatego sąd Lobecka o teozofii orfickiej wogóle nieprzychylny i lekceważący, chociaż i przy ówczesnym stanie wiedzy mógł wypaść o wiele trafniej [1]).

[1]) Aglaoph. II, 964: Itaque omnia, quae de Orphei sive Orphicorum sanctitate et sapientia et systemate theologica (sic enim vocant rem commenticiam) quamvis late et magnifice disseruntur, si suffles, corruent, quoniam sine fundamentis crevere.

Przekonywamy się o tem z wykładów, jakie przed wyborowem kołem słuchaczy i słuchaczek, we własnem mieszkaniu, w Dreznie wygłaszał przez 7 lat od r. 1805 Böttiger, który je wydał następnie pod napisem: „Ideen zur Kunst-Mythologie“ [1]. Aczkolwiek nie znał jeszcze dzieła Lobecka i nagromadzonego w niem materyału, przecież z bystrością niezwykłą przeprowadził i uzasadnił w swoich wykładach podział na dwie religie: nieba i ziemi. Z jednej strony kult fenickiego Molocha i Astarty, jakoteż orgie Dyonizosa-Sabaziosa, Cybeli i t. p.; z drugiej natomiast strony zoroastrowe uwielbienie Ormuzda-Mitrasa. Orgiastycznym misteryom przeciwstawia więc Böttiger kaukazyjsko-orfickie, albowiem Orfeusza wywodzi od Kuretów na Krecie, przybyłych tam od Kaukazu. Orfika w porównaniu z grubozmysłowym kultem bakchickim byłaby — jak słusznie wnioskuje Böttiger — pochodzenia czystszego, opierającego się na nauce o gwiazdach. Dla nas istotnem jest dokonane w tem dziele odłączenie stanowcze orfiki — mniejsza na razie zresztą o jej pokrewieństwo z nauką Zoroastra — od kultu Dyonizosa.

Głównie wzniesiona przez Lobecka budowla, chociaż z olbrzymim nakładem pracy i wiedzy, przeszkodziła należnej ocenie orfiki i jej wpływu na dzieje religii, właśnie z powodu jej pomieszania z bakchickim pierwiastkiem. Skarży się na to Gerhard w wybornej rozprawie: „Über Orpheus und die Orphiker“ [2]. To pomieszanie pochodzi jeszcze — według trafnego przypuszczenia Gerharda od Onomakrytosa, znanego fałszerza wróżb Muzajosa na dworze Pizystrata. On miał podsunąć Orfeuszowi i, za poduszczeniem prawdopodobnie wyroczni delfickiej, jego autorstwu przypisać pewien poemat, którego bakchicka mistyka wstrętną i obcą była właściwej istocie Orfeusza. Poemat ten odpowiadał wszelako religijnej potrzebie czasu i stał się podstawą późniejszej mistyki; odtąd attycki Orfeusz służył na potwierdzenie tego, co było zgoła przeciwnem jego trackiemu imiennikowi.

Zdawałoby się, że już najnowsze badania nie będą popadały w grzech główny Lobecka i że przestaną wiązać nierozerwalnym węzłem dyonizyjskie misterye z nauką Orfeusza. Tymczasem nawet w tak doskonałem dziele, jak „Psyche“ Rohdego, nie znachodzimy

---

[1]) 2 tomy (wyd. w latach 1826 i 1836). Drugie wyd. w Lipsku 1850.

[2]) Abhandl. d. königl. Akad. d. Wissensch. in Berlin 1851. Philol. u. hist. Abhandl. str. 9–95.

bynajmniej uwydatnionej różnicy i przeciwieństwa między bakchickim a orfickim nastrojem. Kiedy zaś Maass spróbował nie w byle jakiej książce p. t.: „Orpheus" (München 1895) wykazać zasadniczą odrębność starszej i pierwotniejszej od dyonizyjskiej — religii orfickiej, Rohde zaprzeczył temu kategorycznie, gdyż zdaniem jego nie było orfiki przed drugą połową VI w.; powstała ona dopiero na trackim gruncie i na tle kultu Dyonizosa, ale wyrosła z własnych duchowych potrzeb greckich i jako ruch religijny czysto grecki poczęła się przez Greków i podjętą została dla Greków [1]). Jakże jednak pogodzić z tem twierdzeniem Rohdego o czysto greckim początku religii orfickiej zdanie, wypowiedziane na innem znowu miejscu, że mistyka w greckiej krwi była obcą krwi kroplą [2]).

Dalej i konsekwentniej, niż Rohde, doszedł Kern, zasłużony na polu badań nad orfiką, który nie chce nic słyszeć o Tracyi; owszem przyjmuje nawet za pewnik, że urobienie orfickiego dogmatu odbyło się w Atenach i że gwałtowna, wszczęta przez orfików, rewolucya dopiero w Attyce wybuchnęła, gdzie nastąpiło skojarzenie religii Dyonizosa z eleuzyjskiemi misteryami [3]). Albowiem wbrew Lobeckowi i Rohdemu nie można dzisiaj zaprzeczyć, że silny prąd bakchickiego żywiołu dostał się za Pizystrata i za jego udziałem do kultu eleuzyjskiego, w którym Dyonizos obok Demetery i Kory zajął miejsce pod nazwą Iakchosa. Bronili tego zdania skutecznie Duemmler i Toepffer, który po zakwestyonowaniu początków orfiki z Tracyi na tyle był przedmiotowym, że przyznał, iż pochodzenie kultu Dyonizosa jeszcze zawsze jest tajemnicą dziejów religii greckiej [4]). Taka orfika podrobiona i na bakchickie pokostowana wzięła początek niewątpliwie w Atenach. Na to można, a nawet trzeba się zgodzić. Ale od tego skonstatowania faktu do zaprzeczenia, jakoby czysty i niesfałszowany kult orficki nie istniał nigdy i nigdzie przed kultem dyonizyjskim, a zatem niezależnie od niego, doprawdy skok ryzykowny, na który za przewodem Rohdego niełatwo się odważyć.

---

[1]) Kleine Schriften von Erwin Rohde. 2. B. Tübingen u. Leipzig 1901. Orpheus, str. 293—313.

[2]) Tamże: Die Religion der Griechen, str. 314—339.

[3]) Otto Kern: Orphischer Totenkult (Aus der Anomia. Berlin 1890) str. 86—95.

[4]) Ferd. Duemmler: Kleine Schriften III, str. 43. Joannes Toepffer: Beiträge zur griech. Altertumswiss. Berlin 1897. Die Mysterien von Eleusis, str. 341.

Są owszem jeszcze i inne prócz przytoczonych powody, nakazujące ostrożność, które zaraz poznamy bliżej.

2.

Jeden z najlepszych znawców orfiki, Gruppe [1]), doszedł do przekonania, że wyobrażenia orfickie były rozpowszechnione w VI w. w całym ucywilizowanym świecie helleńskim, i że Teogonia t. zw. rapsodyczna powstała nie w tymże wieku, lecz znacznie później, po czasach Platona, gdyż on wiadomości swoje orfickie, w niczem niezgodne z tą rapsodyczną Teogonią, zaczerpnął prawdopodobnie z jakiejś starszej, orfickiej Teogonii, której istnienie zatem już w IV w. przynajmniej byłoby zapewnionem. Ta Teogonia orficka różni się wprawdzie w szczegółach, ale nie zasadniczo, od owej, której pozostałości dochowały się w Teogonii Hezyoda, a ślady u Homera. Rodowód bogów, który Orfeusz wyprowadza podobnie, jak Homer i Hezyod, od Okeanosa, nic niema wspólnego z genealogią w Teogonii rapsodycznej, gdzie męsko-żeńska istota Erikapajos (czy Erikepajos?) najpierw Noc stwarza, a potem z nią Uranosa, Gaję itd. Nauce Orfeusza nie chodzi, jak rapsodycznej Teogonii, o panteistyczne zapatrywania; na miejscu w „Prawach“ Platona (715 E), wyjętem z wierzeń orfickich, chodzi przeciwnie o wszechmocność i wszechsprawiedliwość Boga. Natomiast Kern [2]) utrzymuje błędnie, jak Gruppe wykazał, że Teogonia rapsodyczna jedynem była dziełem orfickiem z końca VI w.; różne zaś inne rapsodye tudzież hymny orfickie — podług mylnego zdania Kerna (Zu den orph. Hymnen. Hermes 24. 1889. str. 498—508) — miałyby być sfałszowane lub interpolowane. Centralistyczny pogląd na rozwój orfiki, nacechowany asymilującą przewagą kultu Dyonizosa, u Kerna doszedł do ostateczności i Orfeuszowi odmówił wszelkiej podstawy do autonomii. A jednak ma ten bajeczny śpiewak niezbyte prawo do samoistności wobec zaborczej, wszystko chłonącej przemocy Dyonizosa.

Posiadamy wyraźne świadectwo, że Eschyl w „Bassarydach“ przedstawił Orfeusza, czczącego Heliosa i oczekującego na wzgórzu Pangajon pojawienia się tego bóstwa. Dowiadujemy się bowiem,

---

[1]) Die rhapsodische Pheogonie und ihre Bedeutung innerhalb der orphischen Litteratur (Jahrb. f. class. Philol., 17. Supplementb. 1890, str. 687—747.

[2]) De Orphei Epimenidis Pherecydis theogoniis quaestiones criticae. Berolini 1888.

że on odmawiał czci Dyonizosowi i za najwyższego boga uważał Heliosa, którego też Apollinem nazywał. Budząc się w nocy, szedł przed świtem na wzgórze t. zw. Pangajon i czekał tam na wschód słońca. Za to rozgniewał się na niego Dyonizos i w tragedyi Eschyla posłał swe służki Bassarydy, a te go poszarpały i rozproszyły jego członki na wszystkie strony (Eratost. Katast. 24, p. 140). W tym micie niezatarte są ślady antagonizmu Heliosa i Dyonizosa, przedstawicieli wprost sprzecznych kultów: uranicznego i chtonicznego. Naodwrót wyobraża legenda odporność wiary orfickiej, każąc Tytanom, synom nieba i ziemi, rozszarpać Dyonizosa Zagreusa, syna Zeusa i Persefony, chtoniczne bóstwo.

Tytanów nazywa hymn homerowy do Apollina pityjskiego bogami, z których ludzie i bogi pochodzą (w. 335 i nast.). W jednym z hymnów orfickich (Orphica rec. Abel, hym. XXXVII), powstałym niezawodnie pod wpływem bakchiki, są już oni tylko początkiem i źródłem wszystkich strapionych śmiertelników, jakoteż tworów morskich, skrzydlatych i ziemskich. Komentator Platona Proklos (do Polit. p. 372) i Neoplatonik Iamblichos (Protrept. VIII, 134) mówią o karze pośmiertnej duszy w podziemiu za tytaniczne i wielkie przewinienia (Τιτανικὰ ἁμαρτήματα, μεγάλα ἁμαρτήματα). Srogi dogmat pitagorejski o pierworodnym grzechu Tytanów [1]) wyznaje Platon w „Prawach“ (VII, 829 E), gdzie hymny orfickie, które dość często wysławiają potęgę tytaniczną, nazywa wprawdzie z ironią przyjemnymi, zarazem jednak usuwa ze swego państwa. W orfice słońce, Helios, zowie się stale Tytanem (Argon. 512, hym. VIII, 2); taksamo Apollo, Kronos, Herakles (hym. XII, 1; XIII, 2; XXXIV, 3); Eos nazwana posłanką wielkiego boga, wzniosłego Tytana (hym. LXXVIII, 3). Raz nawet Tytanowie są mianowani szczęśliwymi bogami (fr. 35, 507 w wyd. Abla). Dlatego orfikę, w przeciwieństwie do pitagorejskiego Apollina i eleuzyjskiego Dyonizosa, można uważać za kult słońca-Tytana i synów nieba i ziemi — Tytanów.

Tytaniczny pierwiastek sprzeciwia się zarówno chłodnemu i spokojnemu kultowi Apollina oraz jego pitagorejskich wyznawców,

---

[1]) Por. Dio Chr. Or. XXX, 550: λέξω ὑμῖν οὔτε τερπνὸν ὄντα οὔτε χαρίεντα λόγον, ὅτι τοῦ τῶν Τιτάνων αἵματος ἐσμὲν ἡμεῖς οἱ ἄνθρωποι· ὡς οὖν ἐκείνων ἐχθρῶν ὄντων τοῖς θεοῖς οὐδὲ ἡμεῖς φίλοι ἐσμὲν ἀλλὰ κολαζόμεσθά τε ὑπ᾽ αὐτῶν καὶ ἐπὶ τιμωρίᾳ γεγόναμεν ἐν φρουρᾷ.

jak i szalonym orgiom dyonizyjskim. Toteż Orfeusz, a raczej orficy mieli z przekąsem Pitagorejczyków nazywać prawowiernymi Muz kapłanami, którzy dopiero w dojrzalszym wieku dochodzą do lepszego pojęcia i pogłębienia religii w tym kierunku, że ona nie polega na ciągłem oczyszczaniu umysłu ze zmysłów przez moralne, fizyczne, matematyczne i metafizyczne ćwiczenia [1]). Po stanowczem dopiero wytrąceniu z rachunku zmysłów i przejściu do porządku nad tytanicznym żywiołem mogło nastąpić zbliżenie między rozumem apollinowym a dyonizyjskim szałem. Dokonał tego sprzęgnięcia z sobą sprzeczności Onomakrytos w interesie Delf i Aten, a przedewszystkiem Pizystratydów, którym z pewnością nie zależało na rozbudzaniu przez orfikę tytanicznej ducha potęgi. Jeśli więc ktoś utrzymuje, jak Rohde (Kl. Schr. 2. B., str. 303), że poezya i teologia orficka wiedzą tylko o ścisłej zgodzie Apollina z Dyonizosem, to stwierdza fakt dokonany w Attyce, ale przeocza, jakim i czyim kosztem przyszło do tego sojuszu. Aby religię Zeusa i „prawowitego tej religii Mesyasza“, jak go w ostatnich czasach nazwano, Apollina pityjskiego ratować, zawarto z nowym, przemożnym bogiem Dyonizosem przymierze, a zapomniano o dawniejszych, zrodzonych przez eter i królujących w eterze, olbrzymich prawach Tytanów, które Zeus powywracał [2]).

Ta wzmianka o eterze przywodzi nam na pamięć inskrypcyę na pomniku, wzniesionym dla poległych pod Potydeą w roku 432, że „eter przyjął ich dusze, a ciało ziemia“ (CIA. I, 442: Αἰθὴρ μὲν ψυχὰς ὑπεδέξατο, σώματα δὲ χθὼν τῶνδε). Napis ten w urzędowy niejako sposób potwierdza, że już w początkach wojny peloponeskiej, kosztem ludowych wierzeń w pośmiertne bytowanie w Hadesie, rozpowszechniła się inna wiara, zasadzająca swój dogmat o nieśmiertelności duszy nie na istnieniu w podziemiu, lecz na pobycie w niebiańskim i pokrewnym eterze. Wiarę zaś tę w nieśmiertelność duszy nadziemską wypowiadają następujące Orfeuszowe wiersze: ψυχὴν δ' ἀνθρώποισι ἀπ' αἰθέρος ἐρρίζωται... ἀέρα δ' ἕλκοντες ψυχὴν θείαν δρε-

---

1) Marsilius Ficinus: De immort. anim. XIV, 10: Alii vero Pythagoreo ritu purgant mentem a sensibus per morales, physicas, mathematicas, metaphysicas doctrinas. Hos apellat Orpheus Musarum legitimos sacerdotes, qui tandem in aetate maturiori de religione sentiunt multo melius...

2) Por. Esch. Prom. 149: νέοι γὰρ οἰκονόμοι κρατοῦσ' Ὀλύμπου· νεοχμοῖς δὲ δὴ νόμοις Ζεὺς ἀθέτως κρατύνει. τὰ πρὶν δὲ πελώρια νῦν αἰστοῖ... Sofokl. Król Edyp 865: νόμοι πρόκεινται ὑψίποδες, οὐρανίαν δι' αἰθέρα τεκνωθέντες, ὧν Ὄλυμπος πατὴρ μόνος...

πόμεσθα... ψυχὴ δ' ἀθάνατος καὶ ἀγήρως ἐκ Διός ἐστιν. . ψυχὴ δ' ἀθάνατος πάντων, τὰ δὲ σώματα θνητά [1]). Obie wiary: Orfeuszowa w niebo i dyonizyjska w podziemie, równoważyły się i przeplatały nawzajem do najpóźniejszych czasów. I tak na pewnym nagrobku Zenodota, rzymskiego rycerza, przytem sławnego mowcy lub filozofa za Hadryana i Marka Antonina, czytano słowa: Grób ten pokrywa ciało wielkiego herosa Zenodota, a dusza jego znalazła w niebiosach, gdzie Orfeusz, gdzie Platon, święte dla ubóstwianych miejsce (θεοδέγμονα χῶρον) [2]).

Choćbyśmy nawet nie mieli wyraźnego świadectwa, że mistrz uwielbiony Platona wierzył w powrót duchów po rozłączeniu z ciałem do nieba (Cic. Lael. IV, 13), nie moglibyśmy dać wiary żartobliwemu zwrotowi Sokratesa z platońskiej „Apologii“ (41 A), że kilka razy chce umrzeć, jeżeli prawda, że tam w Hadesie spotka się z Orfeuszem i Muzajosem, z Hezyodem i Homerem. Przeciwnie, mówiąc o przesiedlaniu się duszy na inne miejsce, Sokrates mógł mieć na myśli niebiosa Orfeusza, którego umieszczenie w podziemiu oznacza tylko aneksyę przez kult Dyonizosa. Nie znając jeszcze zupełnie słusznej mem zdaniem hipotezy Gerharda o dowolnej redakcyi Onomakrytosa, pisałem w jednej z swych rozpraw zgodnie z jego zapatrywaniem w ten sposób dosłownie: „Translokacyi gwałtownej tak Orfeusza jak Muzajosa z pod gwiazd i słońca do ciemnego podziemia niewątpliwie dokonał Onomakrytos, ślady zaś namacalne jego fałszerstwa można rozpoznać dobrze w Wergiliuszowskiem elizyum (Aen. VI, 637 i nast.). Tam królują Orfeusz z Muzajosem, a eter, gwiazdy i słońce, znane nam ze sceneryi tracko-orfickiej, musiały powędrować za nimi pod ziemię“ [3]). A na innem znów miejscu o Nekyi Wergilego twierdziłem, że on spro-

---

[1]) Kroll przytacza te wiersze w artykule: Antiker Volksglaube (Rh. Mus. 1897, str. 340).

[2]) K. Lehrs: Populäre Aufsätze aus dem Alterthum. 2. Aufl. (Leipzig 1875). Vorstellungen der Griechen über das Fortleben nach dem Tode, str. 343. G. Anrich: Das antike Mysterienwesen in seinem Einfluss auf das Christentum (Göttingen 1894), str. 39: Wie in früheren Zeiten besteht (in der römischen Kaiserzeit) der Glaube an das Seelenreich drunten im Hades, an das Elysium und die Wohnungen der Seligen. Daneben begegnet, vielleicht häufiger noch, die andre Vorstellung, dass die Seele aufwärts schwebe in den leuchtenden Äther und sich zum Himmel, zu den Wohnungen der unsterblichen Götter erhebe.

[3]) Wzmianki Platona o Orfeuszu (Eos t. VII, str. 81).

wadził Orfeusza z tą samą poetycką swobodą do Hadesu. co słońce tudzież gwiazdy, rozumie się jako „sol suus“ i „sua sidera“, odróżnione od „Titania astra“ [1]).

Widać z tego, że autor Eneidy w opisie swoim podziemia korzystał albo wprost z poematu, podrobionego przez Onomakrytosa, lub może za pośrednictwem nieznanego utworu aleksandryjskiego poety, jak przypuszczono [2]). Bądź co bądź jednak ów opis jest mieszaniną pitagorejsko-apollinowych i dyonizyjskich pierwiastków, z najzupełniejszem atoli pominięciem orfickich, które Wergili gdzieindziej, a mianowicie w księgach „Ziemiaństwa“, uwzględnił [3]). Tam rzeczywiście wzgarda śmierci, wzlot żywcem między gwiazdy i wniebowstąpienie świadczą o przeciwpodziemnym tracko-orfickim wpływie. Wieszczka Sybilla, która sprowadza do podziemia i wtajemnicza w misterye Eneasza, właściwie nie jest ani kapłanką Apollina ani Dyonizosa, gdyż owładniętą szałem bakchickim Apollo musi ujarzmiać i sobie czynić posłuszną. Natomiast Helios, utożsamiony z Zeusem, nazwany w jednym z hymnów orfickich (VIII, 8, 13) przewodnikiem pobożnych do dobra, wrogiem zaś bezbożników, z Diką, zasiadającą u jego boku i spoglądającą z nieba na życie wieloszczepnych śmiertelnych (LXII, 2 i nast.), nie mają tak z Teogonią rapsodyczną, jak wogóle z pitagorejsko-bakchicką kontaminacyą, nic wspólnego. Zaczątków orfiki, starszych bez żadnego wątpienia od pitagoreizmu i bakchiki, szukać trzeba — jeżeli nie w Tracyi, idąc śladami tradycyi — w każdym razie za jej pomocą.

3.

Sofokles w dochowanym fragmencie z „Tereusa“ mieni Heliosa najdawniejszym przedmiotem czci bohaterskich Traków (fr. 523 N²: Ἥλιε, φιλίπποις Θρῃξὶ πρέσβιστον σέβας). Utożsamiał zaś z Zeusem i Uranosem Heliosa, bo go uważał za stwórcę bogów i ojca wszystkich przez połączenie z Ziemią [4]). Z tego małżeństwa wyszli na-

---

[1]) Studya filolog. nad rozwojem oświaty greckiej w V w. przed Chr. (tom XXXIII. Rozpr. Wydz. filol. Akad. Umiej. w Krakowie) str. 31.

[2]) Norden: Vergilstudien. Hermes 28 (1893), str. 360—406. W komentarzu do Werg. Eneidy ks. VI (P. Vergilius Maro Aeneis Buch VI erkl. v. Ed. Norden. Leipzig 1903) stara się tenże autor dowieść, że źródłem dla eschatologii rzymskiego poety był utwór apokaliptyczny stoika Posejdoniosa.

[3]) Georg. IV, 221 i nast.: deum namque ire per omnia... nec morti esse locum, sed viva volare sideris in numerum atque alto succedere caelo. Por. II, 490.

[4]) Vit. Arat. p. 274: Καὶ Σοφοκλῆς Δία τὸν ἥλιον καλεῖ λέγων· Ἥλιος οἰκτείρειέ

samprzód Tytanowie, wspaniała dziatwa, młodzież niebiańska, przodkowie plemion człowieczych (hym. XXXVII początek: Τιτῆνες, Γαίης τε καὶ Οὐρανοῦ ἀγλαὰ τέκνα, ἡμετέρων πρόγονοι πατέρων… fr. 39, 1: Κούρους δ' οὐρανίωνας ἐγείνατο πότνια Γαῖα…). Takiem potomstwem, nie poddającem się śmierci, ale wierzącem w jednego boga, ojca na niebie i w żywot wieczny na łonie matki ziemi, byli rycerscy Trakowie. Zwłaszcza o Getach mówi Herodot (IV, 93 i 94), iż sądzą, że bez umierania idą do boga Zalmoxysa, któremu wyłącznie cześć oddają. Był to widocznie bóg słońca, jedyny Bóg, którego kult uznawali. Nadto jeszcze słyszymy, że Trakowie wierzyli w powrót dusz od Zalmoxysa na ziemię [1], a zatem znaną im była nieśmiertelność innego rodzaju od pitagorejskiej i dyonizyjskiej, ponieważ tamta ogranicza się do podziemia i ziemi, ta zaś obraca się między ziemią a niebem. Nie pitagorejskim jest bowiem dogmat w t. zw. aureum carmen, które podaje (w. 70 i nast.), że dusze zmarłych przenoszą się do nieba i stają się nieśmiertelnymi bogami [2]. Raczej jest ta nauka zapożyczką z religii orfickiej. Dalsza z niej konsekwencya taka wypływa, że ubóstwiony w niebie wraca na ziemię już nie jak człowiek, lecz jako bóg nieśmiertelny, który przez pobyt na ziemi staje się znów człowiekiem, odzyskującym przez śmierć naodwrót boskość i nieśmiertelność w niebie. Tę podstawową myśl orficką o ciągłej wymianie bogów i ludzi między niebem a ziemią wypowiadają zgodnie dwaj doskonali znawcy orfiki oraz reformatorzy na polu filozofii: Heraklit i Empedokles [3].

Zanim jednak przejdziemy do wykazania wpływów orfickich na tych dwóch myślicieli, musimy pierwej poznać niektóre szcze-

---

με, ὃν οἱ σοφοὶ λέγουσι γεννητὴν θεῶν καὶ πατέρα πάντων. Prokl. do Tym. V, 295: καὶ πρώτην νύμφην ἀποκαλεῖ Ὀρφεὺς τὴν Γῆν καὶ πρώτιστον γάμον τὴν ἕνωσιν πρὸς τὸν Οὐρανόν. Anecd. Bekk. p. 292: οἱ πρῶτοι Ἀθηναίων γεγενημένοι γονέας ᾤοντο εἶναι γῆν καὶ ἥλιον… Por. hym. XXVI. 1: Γαῖα θεά, μῆτερ μακάρων θνητῶν τ' ἀνθρώπων… Sofokl. Antyg. 338: θεῶν τε τὰν ὑπερτάταν, Γᾶν…

[1]) Phot. Suid. Etym. M. s. Ζάμολξις: τοὺς ἀποθανόντας ὡς Ζάλμοξίν φασιν οἴχεσθαι, ἥξειν δὲ αὖθις. καὶ ταῦτα ἀεὶ νομίζουσιν ἀληθεύειν. Pomp. Mela 2, 18: alii (między Trakami) redituras putant animas obeuntium.

[2]) Cobet: Collectanea critica, Lugd. Bat. 1878. *c)* Pseudopythagorae τὰ χρυσᾶ ἔπη, str. 460—469.

[3]) Por. Herakl. fr. 62 (wyd. Dielsa): ἀθάνατοι θνητοί, θνητοὶ ἀθάνατοι, ζῶντες τὸν ἐκείνων θάνατον, τὸν δὲ ἐκείνων βίον τεθνεῶτες. Empedokl. fr. 112, 4 (Poet. philos. fragm. ed. Diels): χαίρετ'· ἐγὼ δ' ὑμῖν θεὸς ἄμβροτος, οὐκέτι θνητός πωλεῦμαι μετὰ πᾶσι τετιμένος…

góły z Teogonii Epimenidesa i Ferecydesa, oraz porównać je z Teogonią orficką. Epimenides z Krety przyjmował dwa pierwiastki: mgławicę (Ἀήρ = Χάος) i noc (Νύξ), z których powstał Tartar. W tej mierze co do udziału Tartaru w stworzeniu świata i bogów zgadzał się z Muzajosem (fr. 6 Kink. Philod. π. εὐσ. p. 61, 15 Gomp.: ἐν δὲ τοῖς ἀναφερομένοις εἰς Μουσαῖον γέγραπται Τάρταρον πρῶτον τὴν Νύκτα καὶ... Philod. ibid. v. 5: ἐμ μέν τισιν ἐκ Νυκτὸς καὶ Ταρτάρου λέγεται τὰ πάντα). Powtórzył za Hezyodem, że Kronos zrodził Erynie; ale że złota Afrodyte i nieśmiertelne Mojry podobnież były jego córkami, o tem sam tylko Epimenides donosi (Tzetzes ad Lycophr. Alex. 406: Καὶ Ἐπιμενίδης ἐκ Κρόνου, ὡς Ἡσίοδος, ταύτας [τὰς Ἐρινύας] φησὶ γενέσθαι λέγων οὕτως· Γήματο δ' Εὐονύμην θαλερὴν Κρόνος ἀγκυλομήτις | ἐκ τοῦ καλλίκομος γένετο χρυσέη Ἀφροδίτη | Μοῖραι τ' ἀθάνατοι καὶ Ἐρινύες αἰολόδωροι). Afrodytę razem z Mojrami czczono w Atenach i Sparcie, t. j. w tych właśnie miastach, w których Kretyjczyk Epimenides — jak wiadomo — przebywał [1]).

Natomiast Ferecydes ze Syros uważa Zeusa za siłę twórczą wszechświata w odwiecznem zjednoczeniu z podziemiem (Laer. Dyog. I, 119: Ζὰς μὲν καὶ Χρόνος ἦσαν ἀεὶ καὶ Χθονίη. Χθονίῃ δὲ ὄνομα ἐγένετο Γῆ, ἐπειδὴ αὐτῇ Ζὰς γῆν γέρας διδοῖ). Demeterę nazywa Ferecydes Χθονίη, a jego Ζάς (oczywiście = Ζεὺς χθόνιος, hym. XVIII, 3) jako pojęcie panteistyczne, tworzące z nią nierozerwalną spójnię, jest to Zeus, opiewany w kołach bakchickich i pitagorejskich jako początek, środek i koniec wszystkiego [2]). Dla Kronosa i tytanomachii nie było więc w teologii Ferecydesa żadnego miejsca obok przedwiecznej wszechmocy Zeusa. Jak Νύξ u Epimenidesa, tak Ζάς u Ferecydesa, są chtonicznemi równorzędnemi bóstwami, które w misteryach dyonizyjskich pojawiają się jako: θεῶν γενέτειρα... ἠδὲ καὶ ἀνδρῶν, Νύξ γένεσις πάντων (hym. III początek)... Μαῖα, θεῶν ὑπάτη, Νὺξ ἄμβροτος (fr. 117, 1) i Πρωτόγονος, oglądany przy pierwszem zabłyśnięciu przez samą jedną noc świętą (fr. 59), utożsamiony zaś z Erikepajosem, Fanesem, Faetonem, Erosem, Metisem, a pochłonięty przez Zeusa-Dyonizosa, zrównanego z Hadesem i Heliosem (por. fr. 7: Εἷς Ζεύς,

---

[1]) Zob. Kern: De Orphei Epimenidis Pherecydis theogoniis, str. 73.

[2]) Por. Orph. fr. 123, 2: Ζεὺς κεφαλή, Ζεὺς μέσσα, Διὸς δ' ἐκ πάντα τέτυκται... fr. 5, 30 i 6, 35: ἀρχὴν αὐτὸς ἔχων ἅμα καὶ μέσον ἠδὲ τελευτήν. Plat. Prawa IV, 715 D (Orph. fr. 33): Ὁ μὲν δὴ θεός, ὥσπερ καὶ ὁ παλαιὸς λόγος, ἀρχήν τε καὶ τελευτὴν καὶ μέσα τῶν ὄντων ἁπάντων ἔχων... Archytas, uczeń Pitagorasa, mówi (Jambl. Protr. IV, 60): ὁ θεὸς ἀρχά τε καὶ τέλος καὶ μέσον ἐντὶ πάντων...

εἷς Ἀίδης, εἷς Ἥλιος, εἷς Διόνυσος, εἷς θεὸς ἐν πάντεσσι... fr. 169: Ἥλιος, ὃν Διόνυσον ἐπίκλησιν καλέουσιν... fr. 235: ἀγλαὲ Ζεῦ Διόνυσε, πάτερ πόντου, πάτερ αἴης, Ἥλιε παγγενέτορ, παντταίολε. χρυσεοφεγγές).

O tym Protogonosie, o którym snać Teogonia rapsodyczna najchętniej rozprawiała, jak widać z resztek, o jego połknięciu przez Zeusa i zrównoważeniu tegoż Zeusa z Dyonizosem, co więcej nawet z Heliosem. Epimenides i Ferecydes nic nie wiedzieli, o ile wnosić można z fragmentów. Ani Noc ani Zeus jednego lub drugiego nie mają nic do czynienia z Heliosem albo Dyonizosem. Utożsamienie Zeusa z Dyonizosem i zagarnięcie na własność orfickiego Heliosa są dopiero późniejszym nabytkiem z czasów, kiedy chodziło o to, by silnie przeciwstawić Zeusowi niebiańskiemu „innego Zeusa“, jak go Eschyl nazywa (Hiket. 217). To zaognienie walki pomiędzy dwoma Zeusami, skończone kompromisem Apollina, syna uranicznego Zeusa, z Zeusem chtonicznym i jego synem Dyonizosem, przypada na czas władzy Pizystratydów. Wtedy też na ateńskim gruncie uróść mogła legenda o ocaleniu serca rozszarpanego przez Tytanów Dyonizosa Zagreusa, które Atena zaniosła ojcu Zeusowi i przyczyniła się przez to do odrodzenia chtonicznego Dyonizosa, syna Zeusa (Hadesa) i Persefony, w nowej postaci potomka Zeusa uranicznego i Kadmejki Semeli (por. fr. 200 i 206). Jako taki Dyonizos znacznie spokorniał, z groźnego przeciwnika i wywłaszczyciela wszystkich Olimpijczyków stał się godnym układu z Apollinem delfickim i wstęp otrzymał do eleuzyjskich misteryów. Znamienną ewolucyę od Nocy i Protogonosa do Zeusa-Dyonizosa i tegoż pogodzenia z odrębnym kultem Zeusa-Apollina przedstawiał ów rapsodyczny poemat, którego rozpowszechnienie Kern za Lobeckiem odnosi do końca w. VI. Zgadza się to datowanie z przypuszczeniem Gerharda i naszem, że Onomakrytos był Teogonii rapsodycznej w 24 księgach autorem, czy redaktorem. Ale nie widzę, dlaczego ta Teogonia miałaby być pierwotniejszą i starszą od Teogonii Epimenidesa i Ferecydesa, jak tego usiłuje napróżno dowodzić Kern [1]), gdyż co do Epimenidesa, przynajmniej dziś po odkryciu „Ustawy ateńskiej“ Arystotelesa, nie może być wątpliwości, że jeszcze w VII w. lub na początku w. VI oczyścił on od zakały miasto Ateny po zamieszkach Kilońskich. Owszem, ślady Kronosa z jego potomstwem u Epimenidesa, a przywłaszczenie Heliosa przez Teogonię rapso-

[1]) W przytocz. rozpr. str. 79 i nast., 91.

dyczną, wymownie świadczą, że przed tą Teogonią istniała inna, orficka, która łączyła kult Afrodyty, córy Kronosa, z nadziemskim kultem słońca i znaną była tak dobrze Epimenidesowi, jak później Heraklitowi i innym.

4.

Z lekkim odcieniem żartobliwości utrzymywał Heraklit, że gdyby słońce chciało przekroczyć swą wymierzoną drogę, to służki Diki Erynye przywoływałyby je do porządku (fr. 94 wyd. Dielsa). Ta sama Dike, siedząca w niebie przy boku Zeusa-Heliosa (por. hym. VIII. 8, 13 i LXII. 2), jest karcicielką niesprawiedliwych odstępców bożego prawa (LXII. 4 i 9: τοῖς ἀδίκοις τιμωρός... ἐχθρὴ ἀδίκων, εὔφρων δὲ σύνεσσι δικαίοις. Plat. Prawa IV, 715 D: τῷ δ' ἀεὶ ξυνέπεται Δίκη τῶν ἀπολειπομένων τοῦ θείου νόμου τιμωρός). O to jedyne prawo boże, którem się żywią wszystkie prawa ludzkie, chodziło nadewszystko, zarówno Heraklitowi (fr. 114), jak Empedoklesowi, który je nawet topograficznie zdefiniował w eterze [1]). Prawo to odpowiadało nieprzedawnionym prawom Tytanów, pogwałconym przez Zeusa. Uzupełnieniem zaś tego Zeusa, strasznego władcy, któremu służą w tragedyi Eschyla „Prometeusz w okowach" Κράτος i Βία, jest Zeus w opowieści Protagorasa o tym Tytanie (Plat. Protag. 322 A). Czytamy tam, że Zeus zesłał ludziom Hermesa, przynoszącego z sobą αἰδῶ τε καὶ δίκην, ażeby za pomocą tych podpór ładu i więzi społecznej mogli zakładać miasta (ἵν' εἶεν πόλεων κόσμοι τε καὶ δεσμοί, φιλίας συναγωγοί). Pogodzenie ludzkości i jej tytanicznych praw niebiańskich, zrodzonych przez olimpijski eter, z ładem zaprowadzonym przez Zeusa, mógł Eschyl święcić w tragedyi, zaginionej niestety, w „Prometeuszu wyzwolonym", Sofokles zaś w „Antygonie", gdzie chór w gigantycznych zwrotach i antytezach wielbi potęgę człowieka (ww. 332—375). Powoli wywiązały się w ludziach po dzikich i przedkulturalnych czasach, w których Przemoc była wspólniczką Zeusa (Moschion fr. 6: ἦν δ' ὁ μὲν νόμος ταπεινός, ἡ Βία δὲ σύνθρονος Διί, ὁ δ' ἀσθενὴς ἦν τῶν ἀμεινόνων βορά), państwowe i społeczne popędy. Wtedy dopiero człowiek stał się reprezentantem kultury, gdy ἀστυνόμους ὀργὰς ἐδιδάξατο, mówiąc słowami Sofoklesa.

---

[1]) Empedokl. fr. 135 (Poet. philos. fragm. ed. Diels).

Wybawicielem rodu ludzkiego od barbarzyńskich, krwiożerczych i ludożerczych stosunków, miał być Orfeusz [1]), którego niezwykłą postać o niepospolitej wiedzy i sercu natchnionem Empedokles głęboką czcią otaczał i mienił zwiastunem nowej ery, królestwa miłości (por. fr. 128 i 129 w Poet. philos. frag.). Jego Cypryda czy Afrodyte dowodzi, że jak w bakchice odwoływano się od przemocy Zeusa do Dyonizosa, tak w orfice do Afrodyty. Epimenides podaje jako jej siostry, a córki Kronosa, Mojry oraz Erynie. Te zaś ostatnie były, jak wiemy od Heraklita (fr. 94) i z orfickiego hymnu (LXII), nieodstępnemi pomocnicami niebiańskiej Diki, wspólniczki Zeusa-Heliosa (hym. VIII, 13). Ale słyszymy także o innej Dice, w przeciwieństwie do tamtej nadprzyrodzonej i połączonej z litością (αἰδώς τε καὶ δίκη), o Δίκη πολύποινος, ulegającej żelaznej i przyrodzonej konieczności [2]). Orficka Dike była uosobieniem prawa, zwłaszcza boskiego, tymczasem Dike chtoniczna reprezentantką przyrody [3]). Dlatego Dike, mająca obok podziemnych bogów swoją siedzibę, której hołduje w szale bakchickim Antygona, jest powtórzeniem wprawdzie i naśladowaniem Diki orfickiej, jednak zachodzi między niemi tak wielka różnica, jak między bogów podziemnych niepisanemi prawami, których początku nikt nie zna, a niebiańskiemi, których sam Olimp jest ojcem [4]). Analogicznie do Diki także jej nieodstępne towarzyszki, Erynie i Mojry, musiały uledz zdwojeniu: córki Kronosa i Euonimy, podług świadectwa Epimenidesa, zostają tedy potomstwem Nocy (hym. LIX, 1: Νυκτὸς φίλα τέκνα μελαίνης). Takich odpowiedników i odbić niebios w podziemiu, jak n. p. Ζεὺς χθόνιος lub ἡ ξύνοικος τῶν κάτω θεῶν Δίκη, poznamy więcej za pośrednictwem mędrca efezyjskiego.

---

[1]) Sext. Empir. adv. math. II. 31 (IX, 15): οἱ γὰρ νόμοι πόλεων εἰσι σύνδεσμοι... παρὸ καὶ ὁ ἠθολόγος Ὀρφεὺς τὸ ἀναγκαῖον αὐτῶν ὑποφαίνων φησίν· ἦν χρόνος, ἡνίκα φῶτες ἀπ' ἀλλήλων βίον εἶχον σαρκοδακῆ, κρέσσων δὲ τὸν ἥσσονα φῶτα δάϊζεν.

[2]) Orph. fr. 125: Τῷ δὲ Δίκη πολύποινος ἐφείπετο πᾶσιν ἀρωγός. Parmen. I. 14: Δίκη πολύποινος (por. VIII, 14 i 30).

[3]) Proklos do plat. Alcyb. III, 70 (Orph. fr. 126): Πρὸ τοῦ κόσμου Δίκη συνάπτεται τῷ Διί· πάρεδρος γὰρ ὁ Νόμος τοῦ Διός, ὥς φησιν Ὀρφεύς.

[4]) Sofokl. Antyg. 450 i nast.: ἡ ξύνοικος τῶν κάτω θεῶν Δίκη... τἄγραπτα κἀσφαλῆ θεῶν νόμιμα... κοὐδεὶς οἶδεν ἐξ ὅτου 'φάνη. Pseudo-Demost. w mowie przeciw Arystogejt. I, 8 o Eunomii ἣ πάσας καὶ πόλεις καὶ χώρας σῴζει i o jej siostrze Dice, ἣν ὁ τὰς ἁγιωτάτας ἡμῖν τελετὰς καταδείξας Ὀρφεὺς παρὰ τὸν τοῦ Διὸς θρόνον φησὶ καθημένην πάντα τὰ τῶν ἀνθρώπων ἐφορᾶν...

Heraklit wieszczym duchem natchniony zapowiada, że kto nie spodziewa się, ten niespodziewanego nie znajdzie, gdyż nie da się ono zbadać ni dowieść (fr. 18. por. słowa św. Pawła w liście do Żydów roz. XI. 1 w przekładzie Wuyka: A jest ci wiara gruntem rzeczy tych, których się spodziewamy, wywodem rzeczy niewidzianych). Albowiem rzeczą jest wiary to, co najwiarogodniejszy poznaje i jako prawdy strzeże; zaiste zaś kłamców i ich popleczników już też Dike potrafi schwycić (fr. 28). Ludzi czeka po śmierci, czego nie spodziewają się, ni przypuszczają (fr. 27). Jakiż to głosi artykuł wiary pozagrobowej Heraklit i komu grozi wdaniem się Diki? Na to pytanie mamy najwyraźniejszą odpowiedź, że wróży w ogniu wiecznym zagładę po śmierci wszystkim czcicielom Dyonizosa, utożsamionego z Hadesem (fr. 14 i 15). Nie uznaje podziemia z chtonicznymi kultami, dla niego jest to tylko jedna i ta sama droga w górę i na dół (fr. 60: ὁδὸς ἄνω κάτω μία καὶ ὡυτή), z ziemi do nieba i z nieba na ziemię. Dyonizyjscy wyznawcy Diki w Hadesie nawet imienia jej nie znaliby, gdyby nie było Diki nadziemskiej (fr. 23: Δίκης ὄνομα οὐκ ἂν ᾔδεσαν, εἰ ταῦτα μὴ ἦν).

Dusza w systemie kosmicznym Heraklita przechodzi cztery stadya, zstępując z nieba: ogień, powietrze, wodę i ziemię; analogicznie wznosi się, przebywając w odwrotnym porządku: ziemię, wodę, powietrze i ogień (por. fr. 36, 76, 77). Myśl tę kolejnej metamorfozy duszy za życia i po śmierci przejął filozof efezyjski najniewątpliwiej z orfiki (fr. 36, por. Orph. fr. 230). Widać tylko, że eter orficki utożsamił ze swym wiecznie żyjącym ogniem (fr. 30: ἦν ἀεὶ καὶ ἔστιν πῦρ ἀείζωον), duszę zaś — według pojęć niektórych śmiertelną (Orph. fr. 6, 12: ψυχῶν θνητῶν) — z powietrzem. Skala orficko-heraklitowa wygląda zatem, jak następuje: αἰθήρ = πῦρ, ψυχή = ἀήρ, ὕδωρ, γῆ. Dusze, schodząc ku ziemi, wskutek wilgoci dymią i swój duchowy charakter zmieniają na zmysłowy (fr. 12: ἀπὸ τῶν ὑγρῶν ἀναθυμιῶνται — fr. 85: θυμῷ μάχεσθαι χαλεπόν· ὅ τι γὰρ ἂν θέλῃ, ψυχῆς ὠνεῖται). Przeciwnie, idąc do nieba, nabierają suchości i potęgują logos, moc ducha (fr. 115: ψυχῆς ἐστι λόγος ἑαυτὸν αὔξων — fr. 118: αὔη ψυχὴ σοφωτάτη καὶ ἀρίστη). Pitagoreizm tak samo odróżniał τὸ λογικόν od τὸ ἄλογον = τὸ θυμικὸν + τὸ ἐπιθυμητικόν (Diels: Doxogr. 389 sq.), lecz nie uznawał uprawnienia θυμοῦ obok λόγος na podobieństwo Heraklita. U niego wspólny i wszechświatowy logos jest żywicielem jednostek ludzkich (fr. 2); atoli bogiem nie jest, jak nie jest nim także ogień przedwieczny. Dla

Heraklita. pierwszego z pomiędzy mędrców, bogiem jest bowiem istność pozaświatowa, odrębna od wszystkiego, a działająca w świecie za pośrednictwem Słowa i ognia (por. fr. 2: τοῦ λόγου δὲ ἐόντος ξυνοῦ ζώουσιν οἱ πολλοὶ ὡς ἰδίαν ἔχοντες φρόνησιν z ew. św. Jana roz. I o Słowie: Wszystko się przez nie stało... W niem był żywot, a żywot był światłością ludzi). Słowo było więc na początku i było u Boga, którego sobie Heraklit wyobraża jedyną mądrością, Zeusem albo nie Zeusem: Zeusem, jeśli się go supranaturalistycznie, nie Zeusem, jeśli się go panteistycznie pojmuje (zob. fr. 32, 50, 108).

Wobec tego nie może być wątpliwości, że Heraklit się wzniósł do poznania osobowego boga i że w nieśmiertelność duchowej strony człowieka, pomimo ciągłych jej przemian, sam święcie wierzył i drugim owe dogmaty orfickie do wierzenia podawał. Helios-Zeus, dla którego nie było miejsca na greckim Olimpie, tak dla orfiki jak i dla Heraklita stanowił symbol wciąż nowej światłości boga (por. fr. 6, 99). Dusze ludzkie do niego dążą i jako jego zesłańcy schodzą na ziemię. Jednej, tejsamej drodze do góry na dół, wskazanej przez orfickie misterye i Heraklita, pitagoreizm i bakchika mają do przeciwstawienia wiarę ludową w κατάβασις εἰς Ἅιδου. Nadano jednak tej drodze do Hadesu pozory drogi do niebiańskiego eteru, skopiowawszy orficki pogląd i popełniwszy na nim najprostszy plagiat. Eter (ogień), powietrze, woda i ziemia miały uzasadnienie w następstwie po sobie atmosferycznem, lecz jaką racyonalną podstawę ma naśladowcze jedynie identyfikowanie podziemnych rzek z orfickimi pierwiastkami? Ogniowi odpowiadać ma Piriflegeton, powietrzu Acheron, Ocean wodzie, a Kocytos ziemi [1]). Jak duszom w orfice, tudzież u Heraklita, sprawia roskosz wcielenie i znijście z nieba na padół ziemski (εἰς γένεσιν πτῶσις), tak duszom w bakchice, skutkiem niewolniczego naśladownictwa, oraz przekory, pożądanem jest wspięcie się na powierzchnię ziemi z Hadesu [2]). Jakżeż daleko jednak odbiega ta żądza życia orficka i zaczerpnięte ze źródeł orfickich

[1]) Olympiod. do plat. Fedona roz. 60 i 61 (Orph. fr. 155 i 166). Por. Pfleiderer: Die Philosophie von Heraklit von Ephesus im Lichte der Mysterienidee (Berlin 1886) str. 143: das Feuer, überhaupt das Warme steigt nach oben, unten ist die feste Erde, in der Mitte schweben die wässrigen Nebel und Wolken...

[2]) Por. Herakl. fr. 77. Empedokl. 110, 9: σφῶν αὐτῶν ποθέοντα ἐπὶ γένναν ἱκέσθαι... Verg. Aen VI, 713 i nast.: animae, quibus altera fato corpora debentur... supera ut convexa revisant rursus et incipiant in corpora velle reverti.

pragnienie wcieleń powtórnych od pitagorejskiej metempsychozy (Orph. fr. 226: κύκλου τ' ἀλλῦσαι καὶ ἀναψῦξαι κακότητος)!

Prototypu pojęcia grzechu jako pierworodnego zła, panującej nad wszystkiem mocy, szukać należy u Babilończyków. Od nich, nie od Egipcyan (Herod. II, 81), Indów [1]) albo Chińczyków [2]), przeniósł Pitagoras na grunt grecki naukę o liczbach z teokratycznym na świat poglądem. Liczba siedem tak w kulcie Apollina, jak u Babilończyków i Izraelitów, była ogromnej wagi [3]). Dwunastka Olimpijczyków, nieznana przed Solonem w Atenach, także jest babilońskiego pochodzenia. Do liczb tych dodał Pitagoras czwórkę, którą wziął również od Babilończyków, a która dalej powtarza się w liczbie czterech pierwiastków u Heraklita i Empedoklesa [4]). Nadto spijanie zimnej wody przez dusze w podziemiu dla odświeżenia się jako symbol zbawienia, znany z tabliczek odkrytych w dolnej Italii tudzież z inskrypcyi, chociaż prośba za duszą zmarłego w stałej formułce: εὐψύχει καὶ δοίη σοι τὸ ψυχρὸν ὕδωρ zwraca się do Ozyrysa, nie tyle może pochodzi z egipskich misteryów, ile z babilońskiego kultu. Zgoła błędnem jest wszakże wywodzenie ψυχρὸν ὕδωρ od ψυχή [5]), która przecież oznacza równocześnie motyla, skrzydlatego nie po to, żeby się rzeźwić zimną wodą w Hadesie, lecz żeby zlatać ku ziemi i pod niebo się wzbijać.

Pesymistycznym zapatrywaniom babilońskim, hebrajskim i pitagorejskim, na życie pośmiertne i nieśmiertelność duszy [6]), wręcz

---

[1]) Schröder: Pythagoras und die Inder. Leipzig 1884.

[2]) Gladisch: Die Religion und die Philosophie in ihrer weltgesch. Entwickelung u. Stellung zu einander. Breslau 1852.

[3]) Roscher: Zur Bedeutung der Siebenzahl im Kultus und Mythus der Griechen (Philologus 1901) str. 360 i nast.

[4]) Car. aur. 47 i nast.: Οὐ μὰ τὸν ἀμετέρᾳ γενεᾷ παραδόντα τετρακτύν, παγὰν ἀενάου φύσιος ῥίζωμά τ' ἔχουσαν. Zob. Fries: Babylonische u. griech. Mythologie (N. J. f. d. klass. Alt. 1902, str. 689—707). Empedokl. fr. 6 (Poet. philos fragm. ed. Diels): τέσσαρα γὰρ πάντων ῥιζώματα πρῶτον ἄκουε· | Ζεὺς ἀργὴς Ἥρη τε φερέσβιος ἠδ' Ἀϊδωνεύς, Νῆστίς, θ', ἣ δακρύοις τέγγει κρούνωμα βρότειον. Laer. Dyog. VIII, 76: Δία μὲν τὸ πῦρ λέγων, Ἥρην δὲ τὴν γῆν, Ἀϊδωνέα δὲ τὸν ἀέρα, Νῆστιν δὲ τὸ ὕδωρ. Por. fr. 17, 16 i nast. τοτὲ μὲν γὰρ ἓν ηὐξήθη μόνον εἶναι ἐκ πλεόνων, τοτὲ δ' αὖ διέφυ πλέον' ἐξ ἑνὸς εἶναι, πῦρ καὶ ὕδωρ καὶ γαῖα καὶ ἠέρος ἄπλετον ὕψος...

[5]) Dieterich: Nekyia (Leipzig 1893) str. 95.

[6]) Jeremias: Hölle und Paradies bei Den Babyloniern (Der alte Orient. I. Jahrg. Leipzig 1900. 3 Heft) str. 21: Diogenes Laertius scheint recht berichtet zu haben, wenn er den chaldäischen Philosophenschulen (besser Priesterschulen) nicht nur Unsterblichkeitsglauben, sondern auch einen Auferstehungsglauben zu-

przeciwstawia się w charakterze nagrody pozgonnej ciągłe picie w Hadesie (ἐν Ἅιδου μέθη αἰώνιος), które jest tylko projekcyą owych sympozyów, jakie egipski kult Ozyrysa-Dyonizosa w życiu greckiem rozkrzewił [1]). Tego picia w podziemiu zimnej wody czy wina, stosownie do pesymistycznych lub hedonistycznych wyobrażeń o życiu wiecznem, wcale nie znały misterya orfickie ani Heraklit, którego ideałem bynajmniej nie był mąż upajający się i mający duszę wilgotną, gdyż suchą duszę uważał za najmądrzejszą i najlepszą, a z lekceważeniem sądził o duszach w Hadesie, że wąchają (wyziewy bagniste? Zob. fr. 98, 117, 118). Dogmat orficki głosił tedy wędrówkę dusz, w przeciwieństwie do pitagorejskiej poczynającą się w niebie i kończącą się ubóstwieniem człowieka na ziemi; dyonizyjski natomiast dogmat poprzestał na zrównaniu wybranych duchów z bogami w podziemiu, chyba przez analogię z orfiką i zapatrzywszy się na nią, przydając wiarę w powtórne wcielenie i zmartwychwstanie cnotliwych ludzi [2]).

5.

Empedokles, podobnie jak Heraklit, uważa wszechświat nie za stworzony przez Boga, ale za jego emanacyę, za wypływ świętego i niewysłowionego serca, które chyżemi myślami na wskroś przebiega świat cały. Boga pojmuje czyściej i wznioślej od panteisty i monoteisty zarazem Xenofanesa, bo osobowo i indywidualnie, jakkolwiek nie antropomorficznie [3]). Albowiem przeciw antropomorfi-

---

spricht. Por. Bertholet: Die Gefilde der Seligen. Ein akademischer Vortrag (Tübingen u. Leipzig 1903) str. 12: Thatsache ist, dass wir auf babylonischem Boden der Vorstellung einer Insel der Seligen in Verbindung mit einer Entrückungssage begegnen...

[1]) Plat. Polit. II, 363 (Orph. fr. 227). Dyod. Syc. I, 96, 4 i nast. (Orph. fr. 153) τὴν μὲν γὰρ Ὀσίριδος τελετὴν τῇ Διονύσου τὴν αὐτὴν εἶναι... τὰς δὲ τῶν ἀσεβῶν ἐν Ἅιδου τιμωρίας καὶ τοὺς τῶν εὐσεβῶν λειμῶνας καὶ τὰς παρὰ τοῖς πολλοῖς εἰδωλοποιίας ἀναπεπλασμένας παρεισαγαγεῖν, μιμησάμενον τὰ γενόμενα περὶ τὰς ταφὰς τὰς κατ' Αἴγυπτον. Zob. Gladisch w zacyt. dziele str. 78, Sittl: Dionysisches Treiben und Dichten im 7. u. 6. Jahrh. v. Chr. (Würzburg 1898) str. 26.

[2]) Gomperz: Griech. Denker I, 108 i nast. o paralleli między egipską „Księgą zmarłych" a napisami na dolnoitalskich złotych tabliczkach. Tęskne marzenia o drugiem życiu na ziemi u Eurypidesa (Hipol. 1080, Herakl. 638 i nast.). Por. Pindar Ol. II; Verg. Aen. VI, 713 i nast.

[3]) Herakl. fr. 30, Empedokl. (Poet. philos. fragm. ed. Diels) fr. 134, Xenofan. (tamże) fr. 14, 15, 23. Por. Ferd. Duemmler: Kleine Schriften II, 155—160: Zur orphischen Kosmologie (Archiv f. Gesch. der Philos. 1894. VII, 147—153).

zmowi najwyższej istoty oraz szczęśliwych i długowiecznych bogów nie mniej występuje od Eleatów (fr. 21, 12; 23, 8; 131—134). Jego θεὸς ἄμβροτος, οὐκέτι θνητός, którym się mieni (fr. 112, 4), ma tak samo chwilowe i warunkowe znaczenie, jak ἀθάνατοι θνητοί, θνητοὶ ἀθάνατοι Heraklita (fr. 62). Ale naczelny bóg Empedoklesa, którego Harmonia gęstym obłokiem zasłania, Σφαῖρος κυκλοτερὴς μονίῃ περιηγέι γαίων (fr. 27, fr. 28: περιηγέι χαίρων), jest zapożyczką od Chaldejczyków. Można to stwierdzić przez porównanie z t. zw. ἱερὸς λόγος, w którym powtarzają się wyrażenia wspólne z określeniami owego bóstwa u Empedoklesa[1]). Bóg ten nieznany, utożsamiony poniekąd z Zeusem przez Heraklita, przebywa ponad słońcem, ziemią i morzem, tak iż łatwo w nim się domyśleć Uranosa, tem łatwiej, że niebo kilkakrotnie u tego filozofa pojawia się w nierozerwalnym sojuszu z słońcem, ziemią i morzem (fr. 22, 2; 27 1 i 2; 47).

Pokutowania duszy za grzechy i przechodzenia jej za karę z jednego tworu w drugi nie przejął Empedokles od orfików, którym nieznane było zło pierworodne z potrzebą odkupiających i oczyszczających środków (Καθαρμοί Empedokl. fr. 117: ἤδη γάρ ποτ᾽ ἐγὼ γενόμην κοῦρος τε κόρη τε | θάμνος τ᾽ οἰωνός τε καὶ ἔξαλος ἔλλοπος ἰχθύς). Metempsychozę pitagorejską, za którą idzie, należy ściśle odróżnić od μετενσωμάτωσις i palingenezy orfickiej, do której ostatecznie nawiązał, pitagorejskie pojęcie ciała jako więzienia duszy (σῶμα = σῆμα) od orfickiego wyobrażenia o ciele jako zbawczym przybytku duszy (σῶμα = σῶσμα, od σῴζειν). Sam się zalicza Empedokles do potępieńców, miotanych po przestworach powietrza, ziemi i morza, poczytuje się za wygnańca i tułacza z bożego zrządzenia, gdyż zaufał szalonej kłótni (fr. 115, 13: τῶν καὶ ἐγὼ νῦν εἰμι, φυγὰς θεόθεν καὶ ἀλήτης, | Νείκεϊ μαινομένῳ πίσυνος). Wierzy jednak w oswobodzenie od złego (fr. 144: νηστεῦσαι κακότητος), nie tyle po babylońsku i pitagorejsku na tamtym świecie (por. Orph. fr. 226: Κύκλον τ᾽ αὖ λῆξαι καὶ ἀναπνεῦσαι κακότητος = κύκλου τ᾽ ἀλλῦσαι καὶ ἀναψῦξαι κακότητος), ile w duchu orfickim przez powrót do pierwotnej Miłości, wszechświat w jedną całość wiążącej (fr. 17, 7; 20, 2; 21, 8; 26,

---

[1]) Orph. fr. 4, 14; 5, 15; 6, 20: αὐτὸν δ᾽ οὐχ ὁρόω· περὶ γὰρ νέφος ἐστήρικται... 5, 15; 6, 22 i nast.: οὐ γάρ μέν τις ἴδοι θνητῶν μερόπων κραίνοντα, | εἰ μὴ μουνογενής τις ἀπορρὼξ φύλου ἄνωθεν | Χαλδαίων· ἴδρις γὰρ ἔην ἄστροιο πορείης, | καὶ σφαίρης κίνημ᾽ ἀμφὶ χθόνα ὡς περιτέλλει | κυκλοτερές, ἐν ἴσῳ τε κατὰ δὲ σφέτερον κνώδακα (κυκλοτερές γ᾽ ἐν ἴσῳ, κατὰ δὲ σφέτερον κνώδακα). Empedokl. fr. 27: Ἁρμονίης πυκινῷ κρύφῳ ἐστήρικται | Σφαῖρος κυκλοτερής... fr. 29: σφαῖρος ἔην καὶ ἴσος ἐστὶν αὐτῷ.

5; 35, 4 i nast.). Sięgnął dalej i głębiej za orfiką od Epimenidesa, bo tamten Afrodytę wywodzi od Kronosa, tymczasem on królową Cyprydę uważa za wcześniejszą od króla Zeusa, Kronosa i t. p. (fr. 128). Zdaniem Empedoklesa Cypryda lub Afrodyte jest początkiem wszystkiego (fr. 95: Κύπριδος ἐν παλάμῃσιν ὅτε ξύμ πρῶτ' ἐφύοντο) i wszystko spajającym łącznikiem (fr. 22, 5: ἀλλήλοις ἐστέρικται ὁμοιωθέντ' Ἀφροδίτῃ. 71, 4: ὅσα νῦν γεγάασι συναρμοσθέντ' Ἀφροδίτῃ...)

Gdybyśmy chcieli w krótkich wyrazach scharakteryzować tendencyę orficką, jak się ona przebija z dochowanych fragmentów Heraklita i Empedoklesa, to powiedzielibyśmy, że tak orfika jak ci dwaj filozofowie poruszają się w odśrodkowym kierunku od centralnego kultu Zeusa. Dla Heraklita jest Zeus pojęciem względnem i warunkowem, dla Empedoklesa istniał o tyle, o ile godził się z kultem słońca, które ów mędrzec znamiennie i po orficku nazywał Tytanem (fr. 38, 4). W orfice Tytanowie byli wysoko czczeni królował nad nimi Kronos przed Okeanosem na niebiańskim Olimpie (fr. 104), byli bogami szczęśliwymi (fr. 35.507); dopiero w dyonizyjskich misteryach uchodzą za κακομῆται, ὑπέρβιον ἦτορ ἔχοντες (fr. 102) i za strąconych przez Zeusa do Tartaru (hym. XXXVII, 3; fr. 97, 100), pomimo że obdarzyli go jako pierwsi sztukmistrze grzmotem i gromem, a Hefajstosa i Atenę δαίδαλα πάντ' ἐδίδαξαν, ὅσ' οὐρανὸς ἐντὸς ἐέργει (fr. 92). Okeanos tedy następował w orfickiej Teogonii po rządach Kronosa i Tytanów. Od niego Homer i Hezyod podług Platona wyprowadzali ród bogów. Platon przytacza także dwuwiersz orficki na dowód, że i Orfeusz ród bogów wywiódł od Okeanosa [1]). Byli to wszakże olimpijscy bogowie z Zeusem na czele, młodsza dynastya, którą gdzieindziej Platon nawiązał do starszej generacyi orfickiej: Gei i Uranosa [2]).

---

[1]) Plat. Kratyl. 402 B (Orph. Abel fr. 32): Ὥσπερ αὖ Ὅμηρος Ὠκεανόν τε θεῶν γένεσίν φησι καὶ μητέρα Τηθύν· οἶμαι δὲ καὶ Ἡσίοδος. λέγει δὲ που καὶ Ὀρφεύς, ὅτι· Ὠκεανὸς πρῶτος καλλίρροος ἦρξε γάμοιο, | ὅς ῥα κασιγνήτην ὁμομήτορα Τηθὺν ὄπυιεν. Hom. Il. XIV, 201: Ὠκεανόν τε, θεῶν γένεσιν, καὶ μητέρα Τηθύν... 246: Ὠκεανοῦ, ὅς περ γένεσις πάντεσσι τέτυκται...

[2]) Plat. Tym. 40 D (Orph. fr. 31): Γῆς τε καὶ Οὐρανοῦ παῖδες Ὠκεανός τε καὶ Τηθὺς ἐγενέσθην... Hez. Teog. 44: οὓς (θεοὺς) Γαῖα καὶ Οὐρανὸς εὐρὺς ἔτικτον. Prokl. do plat. Tym. V, 293 (Orph. fr. 91): πμώτην νύμφην ἀποκαλεῖ Ὀρφεὺς τὴν Γῆν καὶ πρώτιστον γάμον τὴν ἕνωσιν αὐτῆς πρὸς τὸν Ουρανόν. — καὶ ἔοικε διὰ ταῦτα καὶ Οὐρανῷ τούτῳ καὶ Γῇ προσήκειν ὁ γάμος ὡς ἐκεῖνον Οὐρανὸν καὶ Γῆν ἐκείνην ἐπεικονιζομένους. ὃ δὴ καὶ οἱ θεσμοὶ τῶν Ἀθηναίων εἰδότες προσέταττον Οὐρανῷ καὶ Γῇ προτελεῖν τοὺς γάμους.

Takich pokoleń bogów, dzierżących berło nad światem, sześć rozróżnił Orfeusz, od Uranosa jako pierwszego zacząwszy, a na Dyonizosie jako szóstym skończywszy. Piątego z rzędu Zeusa opiewał jeszcze w swej Teogonii, ale przed opowieścią o ostatnim z kolei Dyonizosie kazał się Muzom powstrzymać [1]). Oczywiście, w przeciwnym bowiem razie nie byłby Orfeuszem, lecz chyba Onomakrytosem, przewrotnie wywyższającym Dyonizosa, a poniżającym Tytanów [2]). Można się wahać z domysłem, kogo i w jakim porządku genealogia bogów orficka stawiała na drugiem, trzeciem i czwartem miejscu po Uranosie a przed Zeusem i Dyonizosem, czy np. Kronosa, Okeanosa, Forkysa, czy też zdaniem Platona: Okeanosa, Forkysa, Kronosa (Tym. 40 D). Ale to pewna, że Fanes i Nyx w niej żadnego — wbrew Proklosowi (do plat. Tym. V. 291 A: θεῶν βασιλέας παραδέδωκεν Ὀρφεὺς κατὰ τὸν τέλειον ἀριθμὸν τῶν ὅλων προεστηκότας Φάνητα, Νύκτα, Οὐρανόν, Κρόνον, Δία, Διόνυσον) — miejsca nie mieli. Wyobrażenie, że Noc pochwyciła w swe ręce berło po Erikepajosie (Fanesie) i że została matką Ziemi i Nieba, nie jest orfickiem, tylko dyonizyjskiem i stamtąd pochodzi, skąd Dyonizos Zagreus i Zeus chtoniczny — z Krety. Kretejczyk Epimenides Noc uważał za stworzycielkę wszechświata, a znał się na oczyszczeniach, które Zeus (naturalnie podziemny) zalecał sprowadzać z Krety [3]).

Mamy więc źródło, z którego kult podziemnego Zeusa czyli Hadesa wypłynął. Wykopaliska w Knossos na Krecie stwierdziły, że Zeus tam czczony w postaci byka w myceńskiej epoce był identyczny z późniejszym Dyonizosem, do którego modliły się kobiety w Elidzie: ἄξιε ταῦρε (Plut. de Is. et Os. c. 35 p. 364). W bakchice zwało się to panteistyczne bóstwo Zeusem-Dyonizosem (fr. 235, 3), ταυρογενής (fr. 160, 7), ταυρωπός (hym. XXX, 4), ταυρομετωπος (hym.

[1]) Plat. Fileb. 66 C. (Orph. fr. 34): Ἕκτῃ δ' ἐν γενεῇ (φησὶν Ὀρφεύς) καταπαύσατε κόσμον ἀοιδῆς. **Syrianus do Aryst. Met. p. 935 A (Orph. fr. 113)**: Ἀθανάτων βασιλῆα θεῶν πέμπτον σε (Δία) γενέσθαι. Prokl. do plat. Tym. V, 291 A (Orph. fr. 85): καὶ μετὰ τοῦτον ἕκτος ὁ Διόνυσος. Olympiod. do plat. Fedr. (tamże): εἶτα τὸν Δία διεδέξατο ὁ Διόνυσος.

[2]) Pausan. VIII, 37, 5: Παρὰ δὲ Ὁμήρου Ὀνομάκριτος παραλαβὼν τῶν Τιτάνων τὸ ὄνομα Διονύσῳ τε συνέθηκεν ὄργια καὶ εἶναι τοὺς Τιτᾶνας τῷ Διονύσῳ τῶν παθημάτων ἐποίησεν αὐτουργούς.

[3]) **Orph. fr. 86, 87, 89. Dyod. Syc. V, 75, 4**: Τοῦτον δὲ τὸν θεὸν (Ζαγρέα) γεγονέναι φασὶν ἐκ Διὸς καὶ Περσεφόνης κατὰ τὴν Κρήτην... **Prokl. do plat. Tym. I, 36 E (Orph. fr. 183)**: Διὸ καὶ παρὰ τῷ Ὀρφεῖ τὰ καθάρσια κομίζειν ὁ Ζεὺς ἀπὸ τῆς Κρήτης παρακελεύεται...

XLV. 1) i brane było za jedno z Hadesem oraz Heliosem (fr. 7, 1; 169; 235, 4). Takiego Zeusa, Hadesa-Dyonizosa, odrzucał z oburzeniem Heraklit (fr. 15); z takim Zeusem dwurożnym polemizował zawzięcie Empedokles (por. fr. 29, 1; 134. 2: οὐ γὰρ ἀπὸ [οὐ μὲν ἀπαὶ] νώτοιο δύο κλάδοι ἀίσσονται... Orph. fr. 123, 16: ταύρεα δ' ἀμφοτέρωθε δύο χρύσεια κέρατα...). Jego φρὴν ἱερή (fr. 134. 4) ma tylko nazwę podobną z ἱερὴ καρδίη owego Zeusa (Orph. fr. 46, 9). Od oryentalnych wyobrażeń o bogu w kształcie byka trzymały się zdala jońskie i sycylijskie Muzy, by użyć wyrażenia Platona (Sofist. 242 CD), które natchnęły Heraklita i Empedoklesa do wznioślejszego pojęcia o bezcielesnym, niemateryalnym bogu, obranym z naleciałości ludzkich, a nawet zwierzęcych. Do wschodnich, przedhomerowych wpływów należy odnieść kult kretyjskiego Zeusa, który potem Dyonizos w sobie skupił i scentralizował [1]). Pohomerowy Zeus z Tytanami miał do walczenia i z ich autonomią, której orfika strzegła; Zeus zaś przedhomerowy nie zna porywów indywidualnych i odśrodkowych — życia, wszystkich równa w kierunku dośrodkowym, w obliczu — śmierci.

Właśnie zaś Empedokles nie uznaje ni śmierci, ni narodzin, dla niego życie jest wiecznem, jednem i wspólnem w ciągłych przemianach. Jak Heraklit ἰδίαν φρόνησιν, tak on uważa ζωῆς ἰδίου μέρος za ludzkie złudzenie wobec τὸ ὅλον i εἷς κόσμος, zastępujące tamtego λόγος ξυνός lub εἷς καὶ κοινὸς κόσμος [2]). Główną różnicę między systemem Heraklita a Empedoklesa, mimo wielkiego podobieństwa ich zasadniczych myśli, w tem widzę, że Heraklit nie mówi nic o po-

---

[1]) Winckler: Die babylonische Kultur in ihren Beziehungen zur unsrigen (Leipzig 1902) str. 29 i nast.: Der Stier ist das heilige Tier Marduks, des Gottes von Babylon, d. h. das Tier, in welchem sich dieser ebenso offenbart, wie der ganz genau entsprechende ägyptische Osiris im Apisstiere. Por. Delitzsch: Zweiter Vortrag über Babel und Bibel (Stuttgart 1903) str. 30 i nast.: In vollständiger Uebereinstimmung mit den Babyloniern und Assyrern sieht der Prophet Habakuk (Kap. 3) Jahve herannahen mit Pferden und Wagen, Bogen und Pfeilen und Lanze, ja sogar (Vers. 4) „Hörnen an seiner Seite“, mit Hörnern, dem Symbol der Hoheit, Stärke und Sieghaftigkeit...

[2]) Por. Empedokl. fr. 2, 3. 6; 8, 15; 26, 5. Herakl. fr. 2, 89. φύσις = γένεσις, γέννα jak θάνατος, jest pozorna: φύσις οὐδενός ἐστιν ἁπάντων θνητῶν... φύσις δ' ἐπὶ τοῖς ὀνομάζεται ἀνθρώποισιν (fr. 8). Trzeba uważać narodziny jako pozorne, również jako pozorne φρόνησιν ἔχειν καὶ νώματος αἶσαν (fr. 110, 10), stosownie do wyrażeń i wyobrażeń ludzkich (Herakl. fr. 2: τοῦ λόγου δὲ ἐόντος ξυνοῦ ζώουσιν οἱ πολλοὶ ὡς ἰδίαν ἔχοντες φρόνησιν).

kucie i środkach oczyszczających, którym osobne dzieło p. t. Καθαρμοί Empedokles poświęcił, ale zawierzył dobroci natury ludzkiej, nie potrzebującej dopiero zmycia ze siebie grzechu pierworodnego. Może zawdzięczał ten pogląd, w gruncie rzeczy optymistyczny, swemu jońskiemu pochodzeniu; tymczasem Empedokles na dobre musiał się z pod oryentalnych i pitagorejskich wpływów wybijać. Jego zaklęcia i układane przez niego czarodziejskie formułki odpowiadały zapewne czarom i zażegnywaniom medyjskich magów, o których tyle od Herodota słyszymy (VII. 19. 37. 43. 113. 191). Bliższe przepisy, jak się należy modlić o dobre rzeczy do bóstw niebiańskich, natomiast o odwrócenie złego do ziemi i herosów, podaje nieznany autor traktatu Περὶ διαίτης w zbiorze Hippokratesa (ks. IV: Περὶ ἐνυπνίων, roz. 4). Silne zaś oddziaływanie Empedoklesa na tego pisarza niewątpliwie stwierdzono (Gomperz: Griech. Den. I[1]. 230 i nast., 453). Przeciw magom wystąpił Heraklit, wymieniwszy ich w otoczeniu następującem: νυκτιπόλοι, μάγοι, βάκχοι, λῆναι, μύσται (fr. 14: ... τὰ γὰρ νομιζόμενα κατ' ἀνθρώπους μυστήρια ἀνιερωστὶ μυεῦνται). Ale magiczna wiedza Empedoklesa nie tyczy się podziemia, dla niego miejscem kary za grzechy, czyśćcem, a oraz nieba uzupełnieniem, jest ziemia (fr. 121: ἀτερπὴς χῶρος, Ἄτης λειμών)[1]). Chociaż pobyt u niebian przedstawia mu się nader ponętnie, przecież zupełnie po orficku u końca przemian wróży powrót na ziemię przyszłym lekarzom, wieszczom, poetom i t. p., z których wykwitną najbardziej czczeni bogowie. Takim wcielonym bogiem i dobroczyńcą swych ziomków, któremu wszyscy hołdują jako wieszczowi i lekarzowi, nazywa się Empedokles po kole doznanych przeobrażeń[2]).

6.

Udowodniwszy w ten sposób, że podstawowe pojęcia o wcieleniu i odrodzeniu duchowem (παλιγγένεσις, μετενσωμάτωσις) tak He-

---

[1]) Zob. Diels: Über ein Fragment des Empedokles (osobne odbicie ze sprawozdań berlińskiej akad. umiej. z r. 1897) str. 10: Die Erde selbst... erscheint dem pessimistischen Dichter wie den Orphikern als Jammerthal. Der für den Hades sonst übliche Ausdruck zeigt, dass er den Ort der Verdamniss nicht unter, sondern auf der Erde suchte.

[2]) Por. fr. 147: ἀθανάτοις ἄλλοισι ὁμέστιοι, αὐτοτράπεζοι, εὖνιες ἀνδρείων ἀχέων, ἀπόκληροι, ἀτειρεῖς. 146: εἰς δὲ τέλος μάντεις τε καὶ ὑμνοπόλοι καὶ ἰητροί καὶ πρόμοι ἀνθρώποισιν ἐπιχθονίοισι πέλονται, ἔνθεν ἀναβλαστοῦσι θεοὶ τιμῇσι φέριστοι.

raklit jak Empedokles przejęli z wyobrażeń orfickich, muszę przyznać zarazem słuszność badaczom: Pfleidererowi, Kernowi, oraz Aallowi, którzy wnieśli cokolwiek świeżego powietrza w przestarzałe poglądy na filozofię tych dwóch myślicieli greckich [1]). Atoli Kern nie odróżnia oddziaływania idei orfickiej z jednej od wpływu dyonizyjskiego misteryów z przeciwnej strony, tego drugiego wpływu szczególnie na Eleatów: Xenofanesa i Parmenidesa. Δίκη πολύποινος Parmenidesa nie jest orficką niebianką, tylko chtonicznem bóstwem, któremu Antygona cześć składa. Heliady we wstępie do dzieła Parmenidesa nie wiozą go do światłości niebiańskiej, lecz do podziemnej [2]). Takie wyznanie zasadnicze orfickie, jakie napotykamy w tych wierszach (Orph. fr. 251): οὐδὲν ἔχει μίαν αἶσαν ἐπὶ χθονός, ἀλλὰ κυκλεῖται | πάντα πέριξ· στῆναι δὲ καθ' ἓν μέρος οὐ θέμις ἐστίν, ἀλλ' ἔχει, ὡς ἤρξαντο, δρόμου μέρος ἕκαστος — żywcem powtarza się w kołowrocie duchowym Heraklita i Empedoklesa, u Eleatów natomiast byłoby wprost niemożliwem. Xenofanes zaś przez to wręcz się wyłączył od orfików, że nie uznawał Tytanów, synów nieba i ziemi, ni tytanicznego początku ludzi, twierdząc, że wszyscy powstali z ziemi i wody, że z ziemi wszystko pochodzi i do ziemi też wszystko wraca (fr. 1, 21; 27; 29; 33). Monizm Xenofanesa od ziemi się nie odrywa: co jest na ziemi, jest ἄνω; κάτω, co jest pod ziemią (fr. 28). Takie pojęcie ἄνω-κάτω sprzeciwia się orfickiemu utrakwizmowi, podług którego ziemia i niebo są zależnymi od siebie współ-

---

[1]) Dzieło pierwszego wymienione w uw. 1 str. 312. Kern: Empedokles und die Orphiker. Arch. f. G. d. Philos. I (1888) str. 498—508. Aall: Der Logos bei Heraklit. Ein Beitrag zu den ideengeschichtl. Studien. Zschr. f. Philos. u. phil. Kritik, 106 (1895) str. 217—252. Tenże: Gesch. d. Logosidee in d. griech. Philos. (1. Teil: Der Logos. Gesch. seiner Entwickel. in d. griech. Ph. u. d. christl. Litter.) Leipzig 1896. Pfleiderer wskazał na Heraklita zależność od misteryów orfickich, Aall nieśmiertelność indywidualną u niego znalazł wypowiedzianą. Tamten spotkał się z krytyką Dielsa ujemną (Arch. für Gesch. d. Philos. I, 105 i nast.), ten z nieprzychylną oceną Patina: Neues und Altes zur herakl. Logoslehre. Bl. f. d. bayr. Gymn.-Schulw. 33 (1897) str. 385—399.

[2]) Kern: Zu Parmenides. Arch. f. G. d. Ph. III (1890) str. 173—176. Zob. o Dice Parmenidesa i Sofoklesowej Antygony uw. 2 i 4 na str. 310. Fr. 1, 1—38 Parmenidesa raczej zestawić można z pitagorejską Κατάβασις εἰς Ἅιδου, niż z „Hanneles Himmelfahrt" wbrew Dielsowi (Parmen. str. 9). W. 9 i nast.: Ἡλιάδες, κοῦραι προλιποῦσαι δώματα Νυκτός, εἰς φάος... tyczą się jazdy do podziemnego słońca. Por. Pindar. fr. 106: Τοῖσι λάμπει μὲν μένος ἀελίου τὰν ἐνθάδε νύκτα κάτω... Verg. Aen. VI, 6, 40: largior hic campos aether et lumine vestit purpureo solemque suum, sua sidera norunt...

czynnikami; dlatego u Heraklita taż sama droga z ziemi do nieba zowie się ἄνω, co z nieba na ziemię κάτω (fr. 60), a Empedokles przez κάτω rozumie nie podziemie, lecz ziemski padół płaczu (fr. 121). Droga, na którą Eleaci wstąpili, nie była drogą duszy, którą Heraklit przeszedł, badając siebie samego, by znaleźć wreszcie głęboki, wzmagający sam siebie λόγος (fr. 45. 101. 115); była to raczej droga szału i bakchickiego nastroju (Parm. I. 37: μόνος δ' ἔτι θυμὸς ὁδοῖο λείπεται...).

Z wyłuszczonych powodów nie mogę wierzyć Kernowi, jakoby Teogonia, t. zw. rapsodyczna, która powstała z końcem VI w., wywarła taki sam wpływ na Empedoklesa, jakiemu Parmenides bezsprzecznie uległ. Owszem, Gruppemu należy oddać sprawiedliwość, że przed Platonem i u niego samego wykrył znajomość innej, odrębnej Teogonii orfickiej, która podług wywodów naszych o wiele starszą była od rapsodycznej i w przeciwieństwie do niej wpłynęła na psychologiczne oraz teozoficzne poglądy Heraklita i Empedoklesa. W dolnej Italii spotkali się Eleaci z kultem podziemnym, znanym z wierszów na złotych tabliczkach, odkrytych w grobach z trzeciego stulecia przed Chr. Na jednej z owych tabliczek z Turioj czyta się nawet wezwanie do tak obcego orfice, a zrównanego w bakchice z Dyonizosem, Fanesa [1]). Jest zaś rzeczą wysoce znamienną, że kult Fanesa-Dyonizosa nie dotarł do sąsiedniej Sycylii, gdzie żadnych dotąd nie znaleziono śladów bakchickich; przeciwnie, mamy wyraźne literackie wskazówki, świadczące o tem niezbicie, że na Sycylii orfika w piątym wieku była rozpowszechniona. Sycylijski komedyopisarz Epicharm, o którego wycieczce przeciw pewnemu twierdzeniu Xenofanesa wspomina Arystoteles w Metafizyce (Γ 5. 1010ª 4), zwalczał panteizm tego filozofa (zob. Gomperz: Wiener Sitz.-Ber. 78, 569) i brał niejako w obronę dualizm i parallelizm orficki nieba i ziemi, duszy i ciała, przed atakami monisty.

Resztki bowiem komedyi Epicharma dowodzą, że on przyznawał się do teoryi ewolucyjnej orfików, ciągły ruch w świecie i wieczne życie kosmiczne zasadzając na σύγκρισις i διάκρισις, czyli podług terminologii Empedoklesa na μίξις i διάλλαξις albo Φιλότης i Νεῖκος [2]).

---

[1]) Orph. fr. 167, 3: ὃν δὴ νῦν καλέουσι Φάνητά τε καὶ Διόνυσον... 6: πρῶτος δ' ἐς φάος ἦλθε, Διώνυσος δ' ἐπεκλήθη...

[2]) Epicharm (Diels: Die Fragmente der Vorsokratiker. Berlin 1903. str. 96 i nast.) fr. 9: συνεκρίθη καὶ διεκρίθη κἀπῆλθεν ὅθεν ἦλθεν πάλιν, γᾶ μὲν εἰς γᾶν, πνεῦμα

Mamy więc znowu u Epicharma, jak w orfice, u Heraklita i Empedoklesa, tę samą drogę z ziemi do nieba (ἄνω) i z nieba na ziemię (κάτω), całkiem przeciwną do drogi Xenofanesa i bakchiki: ἄνω-κάτω, z podziemia na ziemię i z ziemi do podziemia. Epicharm także uchodził w starożytności za wynalazcę problemu, zwanego Αὐξανόμενος λόγος, który potem sofistów zaprzątał. Idzie w nim o to, że mimo ustawiczne stawanie się, przybywanie i ubywanie z dniem każdym, istnieje w nas niezmieniona, stała substancya. Bernays wykazał przed półwiekiem zależność Epicharma w tym względzie od Heraklita [1]). Szkoda jednak, że nie przytoczył rozstrzygających słów jego własnych: ψυχῆς ἐστι λόγος ἑαυτὸν αὔξων (fr. 115). Tenże uczony w innej rozprawie p. t.: „Ueber das Phokylideische Gedicht“ wykrył ślady żydowsko-hellenistyczne w poemacie, którego autor, żyjący prawdopodobnie w Aleksandryi w pierwszem lub drugiem stuleciu po Chr., wyłożył zapożyczone z Biblii moraly pod przybranem imieniem starohelleńskiem Focylidesa [2]). Mnie się zdaje, że myśli, zawarte w tym poemacie, posłużyć mogą do zrozumienia nieco lepszego dyonizyjskich misteryów, do których czynią aluzyę dwa początkowe i dwa końcowe wiersze utworu (ww. 1 i 2: Ταῦτα δίκης ὁσίῃσι θεοῦ βουλεύματα φαίνει Φωκυλίδης ἀνδρῶν ὁ σοφώτατος ὄλβια δῶρα — ww. 229 i nast.: Ταῦτα δικαιοσύνης μυστήρια, τοῖα βιεῦντες ζωὴν ἐκτελέοιτ᾽ ἀγαθὴν μέχρι γήραος οὐδοῦ).

Jakby dalszy ciąg myśli Xenofanesa (fr. 27: ἐκ γαίης γὰρ πάντα τελευτᾷ) brzmią w poemacie, podanym przez Bernaysa w całości, następujące wiersze: καὶ τάχα δ᾽ ἐκ γαίης ἐλπίζομεν ἐς φάος ἐλθεῖν | λείψαν᾽ ἀποιχομένων... σῶμα γὰρ ἐκ γαίης ἔχομεν κἄπειτα πρὸς αὖ γῆν | λυόμενοι κόνις ἐσμέν· ἀὴρ δ᾽ ἀνὰ πνεῦμα δέδεκται (ww. 103 i nast., 107 i 108). Wiemy ze wstępu do dzieła Parmenidesa, że εἰς φάος u Eleatów oznaczało kierunek do podziemnego słońca w elizyum. Teraz dowiadujemy się z wierszy, które dopiero co przytoczyliśmy,

---

δ᾽ ἄνω... fr. 22: ἄνω τὸ πνεῦμα διαμενεῖ κατ᾽ οὐρανόν. Emped. fr. 8, 3; Φιλότης i Νεῖκος po wiele razy.

[1]) Plutarch. π. τ. κοινῶν ἐννοιῶν πρὸς τοὺς Στωικούς 1083ᵃ: ὁ τοίνυν περὶ αὐξήσεως λόγος ἐστὶ μὲν ἀρχαῖος· ἠρώτηται γάρ, ὥς φησι Χρύσιππος, ὑπ᾽ Ἐπιχάρμου... π. τ. ὑπὸ τοῦ θείου βραδέως τιμωρουμένων 559ᵇ: μᾶλλον δὲ ὅλως ταῦτα γε τοῖς Ἐπιχαρμείοις ἔοικεν, ἐξ ὧν ὁ Αὐξανόμενος ἀνέφυ τοῖς σοφισταῖς λόγος... Bernays: Gesammelte Abhandlungen I B. (Berlin 1885): Epicharmos und der Αὐξανόμενος λόγος, str. 109—117 (przedruk z Rhein. Mus. 1853, str. 280—288).

[2]) Tamże str. 192—261 (Th. Mommsen zugeeignet... Berlin 1856).

że ἀήρ = αἰθήρ, przyjmujący do siebie πνεῦμα = ψυχή (por. Laer. Dyog. IX. 19 o Xenofanesie: πρῶτός τε ἀπεφήνατο, ὅτι πᾶν τὸ γινόμενον φθαρτόν ἐστι καὶ ἡ ψυχὴ πνεῦμα), nie jest to ani orficki ὑψιφανὴς Αἰθήρ (Orph. hym. V, 4), ani empedoklejski Τιτὰν αἰθήρ (fr. 38. 4). Dalsze wyrazy poematu wskazują najdowodniej, że tego światła i tego eteru szukać należy za misteryami eleuzyjskiemi, Pindarem, Wergilim i t. p. nie w niebie u Zeusa αἴθριος Heraklita (fr. 120), ale w Hadesie i tamtejszem elizyum, gdzie nad duszami króluje inny bóg, „innym Zeusem“ nazwany przez Eschyla. Wyrazy te opiewają: κοινὰ μέλαθρα δόμων αἰώνια καὶ πατρὶς Ἅιδης, πάντες ἴσον νεκύες· ψυχῶν δὲ θεὸς βασιλεύει. ξυνὸς χῶρος ἅπασι, πένησί τε καὶ βασιλεῦσιν (ww. 111 i nast.). Ale co najważniejsza, w lichych pod względem formy zewnętrznej wierszach ów Pseudo-Focylides wygłasza myśl, oczywiście niewłasną, o apoteozie ludzi pośmiertnej w Hadesie: ὀπίσω δὲ θεοὶ τελέθονται (w. 104). Myśl ta wydała się Bernaysowi do tego stopnia niegrecką tudzież nierzymską, że czemprędzej pospieszył z łatwą a niestosowną poprawką: ὀπίσω τε νέοι τελέθονται, coby miało oznaczać: „Und sie, die Dahingegangenen, werden wiederum (ὀπίσω, rursus) jung“!

Nadawszy takie znaczenie słówku ὀπίσω zamiast: następnie, w przyszłości, przetłómaczył dowolnie Bernays słowa poprzednie, zacytowane powyżej: „weil wir hoffen, es werden die Reste der Dahingeschiedenen wohl aus der Erde wieder (?) an das Licht kommen“. Wysnuł stąd bezpodstawny wniosek o ciał zmartwychwstaniu; tymczasem tyle tylko można wyczytać z wierszy Pseudo-Focylidesa, że się nie godzi rozrywać ciała i duszy harmonii u zmarłego człowieka (n. p. przez spalenie pozostałości), aby szczątki dostawszy się do podziemnego miejsca zbawienia, mogły w proch się obrócić i oswobodzić duszę (ww. 102, 105, 107 i nast.: οὐ καλὸν ἁρμονίην ἀναλυέμεν ἀνθρώποιο... ψυχαὶ γὰρ μίμνουσιν ἀκήριοι ἐν φθιμένοισιν... κἄπειτα πρὸς αὖ γῆν λυόμενοι κόνις ἐσμέν...). Takie zatrzymywanie ciał przez zmarłych, zanim się z nich wyzwolą ich dusze w podziemnem elizyum, nie jest niczem szczególnem w wyobrażeniach ludowych, przeciwnych Homerowi, o których na innem miejscu pisałem, mówiąc o Nekii Wergilego: „Dydona patrzy ponuro, płacze i spuszcza w dół oczy, a Pryamida Dejfobos zjawia się poszarpany na całem ciele (Aen. VI, 303: [Charon] subvectat corpora cymba... 306: defunctaque corpora vita... 467 i nast., 494 i nast.)... Anchizes już jest szczerym duchem w elizyum, którego Homer

(ani też Hezyod) nie zna w podziemiu, oczyszczonym z cielesnych przywar i ziemskich naleciałości (Aen. VI, 743 i nast.: per amplum mittimur Elysium et pauci laeta arva tenemus, donec longa dies perfecto temporis orbe concretam exemit labem purumque relinquit aetherium sensum atque aurai simplicis ignem) [1]. Przed ubóstwieniem duchów w elizyum byłby się może Bernays nie wzdrygnął, gdyby był znał tabliczki dolnoitalskie i napis na jednej z nich, w którym dusza po wyzwoleniu ze strasznego koła cierpień dostaje się do królowej podziemia i słyszy od niej ten wyrok: ὄλβιε καὶ μακαριστέ, θεὸς δ' ἔσῃ ἀντὶ βροτοῖο (Diels: Die Fragmente der Vorsokratiker, str. 495; fr. 18, 10. Tamże fr. 20. 4: θεὸς ἐγένου ἐξ ἀνθρώπου).

Gomperz odsłonił tu podobieństwo z egipską „Księgą zmarłych“. Można poprzeć tę analogię słowami Heraklita czy Xenofanesa, który widząc Egipcyan, płaczących za zmarłymi i składających im ofiary, rzekł do nich: Jeżeli ci są bogami, nie opłakujcie ich; jeżeli zaś ludźmi, nie skladajcie im ofiar [2]). Historycznego znaczenia nie można przyznać tej wiadomości odnośnie do Heraklita lub Xenofanesa (Diels ją umieścił na czele fałszywych i sfałszowanych fragmentów Heraklita, a w adnotacyi do tego fr. 127 odmówił historycznej wartości tyczącemu się Xenofanesa apoftegmatowi). Atoli jądro tej opowieści nie jest zmyślonem, że Egipcyanie czcili umarłych jako bogów i jako bogom składali ofiary. Także kosztowny zwyczaj balsamowania dowodzi, że w starożytnym Egipcie dostanie się nieśmiertelnych części człowieka do podziemia czyniono zawisłem od utrzymania ciała [3]). Jeśli zaś jest w Egipcie mowa o zmartwychwstaniu, to w innem ciele jako o przywileju dusz uznanych za świątobliwe; niema zaś mowy o indyjskiej wędrówce dusz, na-

---

[1]) Studya filolog., str. 21 i nast.

[2]) Plut. π. δεισιδαιμ.: Ξενοφάνης δ' ὁ φυσικὸς τοὺς Αἰγυπτίους κοπτομένους ἐν ταῖς ἑορταῖς καὶ θρηνοῦντας ὁρῶν ὑπέμνησεν οἰκείως, ὦ οὗτοι, φησίν, εἰ μὲν θεοί εἰσι, μὴ θρηνεῖτε αὐτούς· εἰ δ' ἄνθρωποι, μὴ θύετε αὐτοῖς. Herakl. fr. 127: ὁ αὐτὸς πρὸς Αἰγυπτίους ἔφη· εἰ θεοί εἰσιν, ἵνα τί θρηνεῖτε αὐτούς; εἰ δὲ θρηνεῖτε αὐτούς, μηκέτι τούτους ἡγεῖσθε θεούς.

[3]) Wiedemann: Die Toten und ihre Reiche im Glauben der alten Ägypter (Der alte Orient. II Jahrg. 2 Aufl. Leipzig 1902, 2 Heft) str. 28: es gab im alten Aegypten eine Zeit, in welcher man glaubte, das Unsterbliche im Menschen werde stets mit dem Körper verbunden bleiben, auch nachdem das für irdische Augen sichtbare Leben erloschen war. Die Fortdauer der unsterblichen Teile war an die Erhaltung des Körpers gebunden.

znaczonej w tym celu, aby powolne ich oczyszczenie uzyskać[1]). Nieśmiertelność więc duszy, w którą nad Nilem wierzono, najstarsza i nieoddzielna od kultu Demetery i Dyonizosa, jak utrzymuje Herodot (II, 49 i 123), nie miała nic do czynienia z metempsychozą indyjską, a ubóstwienie orfickie dusz ludzkich w niebie i zejście ich na ziemię najmniejszej nie posiada w egipskich wierzeniach analogii, choć prawdopodobnie był od tych wierzeń starszym pierwowzór innej nieśmiertelności duszy z apoteozą niebiańską.

7.

Jeszcze jeden znamienny szczegół spotyka się w poemacie Pseudo-Focylidesa. Ziemi nie każe on trupom niepogrzebanym odmawiać, zabrania rozkopywać ich groby i niewidziane rzeczy odkrywać przed słońcem, aby gniewu demonów nie wzbudzać[2]). Jest tu przeciwstawiony kult zmarłych, demonów, kultowi życia i słońca, przed którem tamten się tai. Wszakże Heraklit powiedział, że trupy bardziej trzeba wyrzucać od gnoju (fr. 96); a podczas gdy Pseudo-Focylides nazywa rzeczą szpetną rozrywać harmonię duszy i ciała u nieżywego człowieka (w. 102), Heraklit innej szukał harmonii, ukrytej, lepszej od jawnej (fr. 54). Podobną wzgardę, jaką dla śmierci i trupów żywił Heraklit w przeciwieństwie do egipskiego i bakchickiego kultu umarłych, napotykamy w Aweście, gdzie za najcięższą zbrodnię uchodzi spalić albo pogrzebać trupa, a za największą radość, sprawioną ziemi, wykopać psy zdechłe i pochowane ciała ludzkie (Vendidad I, 48 i 66; III, 39 i 40). Ale Heraklit nie był wyznawcą perskiego Ahuramazdy, którym go chciano zrobić (zob. Gladischa dzieło, powyżej zacytowane). Raczej nie dopuszczając do rozdziału między dniem a nocą, światłością a ciemnością (fr. 57, 67, 99), podobnie bogu swojemu wyznaczył miejsce wyższe,

---

[1]) **Tamże str. 32: Solche Verkörperung in verschiedenen Leibern ist in Ägypten nicht eine Seelenwanderung, wie in Indien, sie ist nicht dazu bestimmt, eine allmähliche Laüterung der Seele des Menschen zu erzielen. Sie ist ein Vorrecht, das dem selig befundenen, zaubererfahrenen Toten zu Teil wird... Por. X. Pawlicki**: Hist. filoz. grec. t. II, cz. 1, str. 134: **nie masz przecież żadnego związku pomiędzy tą wiarą (egipską) a metempsychozą Pitagorejczyków lub Platona, bo ta jest karą za grzechy, tamte przemiany zależą wyłącznie od dobrej woli dusz błogosławionych.**

[2]) Ww. 99 i **nast.**: Γαῖαν ἐπιμοιρᾶσθαι ἀταρχύτοις νεκύεσσι. μὴ τύμβον φθιμένων ἀνορύξῃς, μηδ' ἀθέατα δείξῃς ἠελίῳ, καὶ δαιμόνιον χόλον ὄρσῃς.

pośrednie, jakie zajął u Persów Mitra, który łagodził w nadzmysłowej jedności kontrast światła i cienia, Ormuzda i Arymana[1]).

Religia Ahuramazdy nie była ludową, dopiero Artaxerxes II wprowadził do niej żywioł ludowy przez oficyalne przyjęcie kultu Mitry i Anâhity. Następstwem tego było, że Ahuramazda wobec bóstw, wysuniętych na pierwszy plan, zeszedł do drugorzędnego znaczenia[2]). Z zaprowadzeniem kultu Mitry zapewne łączy się wiara w powrót do życia i nieśmiertelność ludzi, nieznana w tem rozumieniu Aweście, a poświadczona przez Teopompa i Tertulliana, którą Porfiryusz wziął nieoględnie za metempsychozę, mimo że ta nie godzi się z przechodzeniem dusz symbolicznem w misteryach Mitry przez rozmaite sfery niebiańskie planet tudzież gwiazd stałych[3]). Heraklit znał Awestę z jej niebiosami i piekłem, krajem Ormuzda i Arymana. Wiemy, że ironicznie mówił o duszach wąchających w Hadesie (fr. 98: αἱ ψυχαὶ ὀσμῶνται καθ' ᾅδην). Z perskich ksiąg świętych dowiadujemy się, że dusza złego człowieka dostaje się po śmierci w nieczystą okolicę Arymana, dokąd z północy wiatr cuchnącą woń niesie; tę zaś woń nosem wąchać przychodzi złej duszy, zanim dojdzie do nieskończonej ciemności (Khorda-Avesta [t. 3, w przekł. Spiegla „Avesty"] XXXVIII, 25, 26, 33). Natomiast dusza czystego człowieka podług wyobrażenia Heraklita z pewnością nie poprzestaje na wąchaniu zapachów roślinnych, nawiewanych z południa do dziedziny Ormuzda, i na dotarciu do niezmierzonego światła (tamże 7, 8, 15).

Helios w misteryach orfickich, jak Mitra w perskich, oznacza więc odwołanie się od rozbratu, jak tam Ormuzda i Arymana, tak tu Apollina i Dyonizosa, do wyższej instancyi, którą Heraklit nazywa bogiem, wzniesionym ponad ludzkie mniemania o złem lub dobrem (fr. 102). Przepowiednie Apollina delfickiego nie są dla niego decydującym, jak dla Pitagorejczyków, probierzem, a bóg,

---

[1]) Plut. de Is. et Os. c. 46: καὶ προσαπεφαίνετο (Ζωρόαστρις) τον μὲν (Ὠρομάζην) ἐοικέναι φωτὶ μάλιστα τῶν αἰσθητῶν, τον δ' (Ἀρειμάνιον) ἔμπαλιν σκότῳ καὶ ἀγνοίᾳ, μέσον δ' ἀμφοῖν τὸν Μίθρην εἶναι· διὸ καὶ Μίθρην Πέρσαι τὸν Μεσίτην ὀνομάζουσι.

[2]) Ed. Meyer: Gesch. d. Alterth. I. B. §§. 417, 450, 451.

[3]) Diog. Laert. prooem. sec. 9: Θεόπομπος ἐν τῇ ὀγδόῃ τῶν Φιλιππικῶν καὶ ἀναβιώσεσθαι, κατα τοὺς Μάγους, φησὶ τοὺς ἀνθρώπους καὶ ἔσεσθαι ἀθανάτους. Tertull. Praescr. 40 o „imago resurrectionis" w misteryach Mitry. Porphyr. de abst. IV, 16: δόγμα πάντων (magów perskich) ἐστὶ τῶν πρώτων μετεμψύχωσιν εἶναι, ὃ καὶ ἐμφαίνειν ἐοίκασιν ἐν τοῖς τοῦ Μίθρα μυστηρίοις.

przez którego natchniona erytrejska Sybilla w szale tysiącom lat prawdę nieupiększoną wieszczy, nie jest Dyonizosem, gdyż jego zwolennikom Heraklit grozi ogniem po śmierci [1]. Grozi tym ogniem także magom, kapłanom perskim i apostołom nauki Zaratustry, złożonej w Aweście. Słońce było pierwotnie dla szczepów aryjskich w Indyach i Persyi symbolem bóstwa, ponieważ je uważano za dawcę wszelkiego życia i źródło wszechistności na ziemi. Wcześnie jednak u Greków kult słońca został przyćmiony Olimpem, który Heliosa nie znał. Powrót do niego, ale bez jaskrawego przeciwstawienia do nocy, jest wiekopomną zasługą orfiki i pod jej wpływem snujących swoje poglądy filozofów [2]. Taksamo, jak analogia już w najdawniejszych czasach istniała między Heliosem a Mitrą, istniało też pokrewieństwo Afrodyty niebiańskiej, która w orfice pierwszorzędne miejsce zajmuje, i z babylońską Ištar i z perską Anâhitą.

Oryentalny początek Afrodyty był znany Herodotowi, który o ziomkach swoich powiada (I. 131): Ἐπιμεμαθήκασι δὲ καὶ τῇ Οὐρανίῃ θύειν παρά δὲ Ἀσσυρίων μαθόντες καὶ Ἀραβίων. Καλέουσι δὲ Ἀσσύριοι τὴν Ἀφροδίτην Μύλιττα, Ἀράβιοι δὲ Ἀλίττα, Πέρσαι δὲ Μίτραν. I rzeczywiście w psalmach pokutnych Babilończyków jawi się Ištar (Bilit = Mylitta) jako przemożna bogini, stworzycielka wszystkiego i matka bogów [3]. U Persów Anâhita jest zdrojem urodzajności roślin, zwierząt i ludzi. Może od dyademu z stu gwiazd lub przepaski w pół ciała (Khorda-Avesta XXI. 30, 127 i 128) nazywano ją Mitrą, jak poświadcza Herodot. W hymnie orfickim do Afrodyty między innymi epitetami czytamy (LV. 1—5): οὐρανίη... γενέτειρα θεά... πάντα γὰρ ἐκ σέθεν ἐστίν... γεννᾷς δὲ τὰ πάντα. Takiemże bóstwem kosmicznem jest Afrodyte Empedoklesa, która

---

[1]) Herakl. fr. 93: ὁ ἄναξ οὗ τὸ μαντεῖόν ἐστι τὸ ἐν Δελφοῖς οὔτε λέγει οὔτε κρύπτει ἀλλὰ σημαίνει. Por. Stob. Flor. V. 72: Ὡς γὰρ ὁ ἄναξ ὁ ἐν Δελφοῖς οὔτε λέγει οὔτε κρύπτει ἀλλα σημαίνει, κατὰ τὸν Ἡράκλειτον, οὕτω τῶν Πυθαγορικῶν συμβόλων καὶ τὸ φράζεσθαι δοκοῦν κυπτόμενόν ἐστι καὶ κρύπτεσθαι νοούμενον. Zob. Herakl. fr. 14, 15, 92.

[2]) E. Maass: Die Tagesgötter in Rom und den Provinzen (Berlin 1902) str. 127: Licht und Dunkel sind wol die treibenden Kräfte aller menschlichen Kulturentwicklung. Wir wollen es den Griechen aber danken, dass sie, sonnengeboren und sonnengenährt, dennoch das stechendgrelle Licht gemässigt haben. Nur so konnten sie auch den Schrecken der Finsterniss bannen. Die Nacht ist ihnen nicht so sehr unheimlich, als „die freundliche“ (εὐφρόνη). Dla Heraklita ἡμέρη (φάος, ἥλιος) i εὐφρόνη są tezą i antytezą w jednej syntezie (fr. 26, 57, 67, 99).

[3]) Bahr, Die babylonischen Busspsalmen u. d. Alte Test. (Leipzig 1903) str. 6, psalm II, 3—7.

i teraz i od początku wszystko, cokolwiek się rodzi, sprzęga ze sobą (fr. 71. 4: ὅσα νῦν γεγάασι συναρμοσθέντ' Ἀφροδίτῃ...). czyli, jak obrazowo wyraża się mistrz z Agrygentu. sztucznie gwoździami zbija miłości (por. 86 i 87). Gdy uwzględnimy, że również Harmonia posługuje się kitem bożym, by spajać białe kości (fr. 96), nasunąć się musi wniosek. że ta z czcigodnem obliczem Harmonia. zakrywająca gęstą mgłą boga w niebie (fr. 27, 3; 122, 2), jest to uosobienie twórczości Afrodyty, nazwane tem imieniem od sztuki układania wszechrzeczy w miłosny zestrój (ἁρμόζειν, ἁρμόττειν). U Heraklita boża myśl (γνώμη) rządzi wszystkiem. u Empedoklesa święte serce (φρὴν ἱερή)[1]. Nie sąż to atrybuty jednego bóstwa w dwoistej postaci: Zeusa (Heliosa. Uranosa) i Afrodyty, Bela (hebr. Baal) i Ištar, Mitry i Anâhity?

Po tem, co ledwie zaznaczyłem z powodu zbyt niedokładnej znajomości historyi starożytnego Wschodu, może nie wyda się nieprawdopodobnem twierdzenie, że nie w Tracyi szukać należy pierwotnej i właściwej ojczyzny orfiki. lecz że trzeba uważać ten kraj za pośrednika szczególnie perskich wpływów i za krzewiciela pokrewnej kultowi Mitry czci aryjskiego Heliosa. Szczegół istotnie ważny, że zgoła niepodobna u Traków wykazać przeświadczenia o grzechu, potrzeby oczyszczenia, zbawienia, kar podziemnych itp., przemawiałby mem zdaniem raczej za rozpowszechnieniem u nich pojęć orfickich, niż przeciw niemu, jak podniesiono[2]. Wprawdzie Herodot (IV. 95) nazywa Traków pod względem kulturalnym i duchowym ubogim ludem, wszakże przy swojej nieokrzesanej dzielności, wolni od niemęskiego przecywilizowania, tworzyli oni tem podatniejszy grunt do zakorzenienia nowej nauki. Tracya spełniła wobec Grecyi podobną rolę, jak Lidya wobec Azyi: obie były rozsadnikami nie tylko samego kultu Dyonizosa. Co do niego, to Egipt stanowił jego właściwe ognisko. skąd się rozbiegły promienie cudzoziemskiego obrzędu na wszystkie strony, po Tracyi, Lidyi, dolnej Italii i t. d. Tracki Dyonizos Βασσαρεύς (Βάσσαρος Orph. hym. XLV, 2 i LII. 12) i trackie bakchantki Βασσαρίδες przezwiska te zawdzięczali długiej, lidyjskiej skórze lisa (βασσάρα), którą sam bóg przy-

[1] Herakl. fr. 41: εἶναι γὰρ ἓν τὸ σοφόν, ἐπίστασθαι γνώμην, ὅτέη ἐκυβέρνησε πάντα διὰ πάντων. Por. Empedokl. fr. 134, 4 ο φρὴν ἱερή i Parm. fr. 12. 3 ο δαίμων ἣ πάντα κυβερνᾷ (fr. 13: πρώτιστον μὲν Ἔρωτα θεῶν μητίσατο πάντων).

[2]) Gomperz: Griech. Denk. I, 437 do str. 104 § 2.

wdziewał i którą też nosiły na sobie jego służki [1]). Nie przypadkowe bynajmniej, lecz symboliczne ma ta odzież znaczenie. Zamiast ofiary z lisa orszak Dyonizosa wkładał na siebie lisie skóry, podobnie jak zamiast na ofiarę zabijać kozła, chór zwolenników Dyonizosa, niekoniecznie Satyrów, przebierał się za kozły; stąd τραγῳδία nie tyle znaczy podług dawniejszej i wznowionej obecnie etymologii „pieśń przy ofierze kozła" [2]), ile stosownie do przyjętego dzisiaj powszechnie zapatrywania „pieśń kozłów", t. j. choreutów, odzianych w skóry koźle. Jak tutaj odzież koźla jest substytucyą zapewne koźlej postaci arkadyjskiego bożka Pana i zapowiada pobicie wraz z wywłaszczeniem jego wesołej i zmysłowej natury na rzecz skupionej w sobie i skrytej siły Dyonizosa, ucieleśnionej w postaci byka; tak tam oznacza kostyum lisi zwycięstwo tegoż boga nad przebiegłością i przemyślnością czczonego w Azyi bożka „lisa-geniusza" [3]).

To pochodzenie Dyonizosa z Lidyi uwydatnione jest w pewnym hymnie, w którym nieznany twórca mieni go nie tylko Beotą i Trakiem, ale i Lidyjczykiem (Orph. rec. Abel. p. 284, v. 12). Lidyjczycy tak samo byli walecznym i wojowniczym ludem, zwłaszcza tęgimi jeźdźcami, jak Trakowie. Jeżeli im, rycerzom nieustraszonym, zaświtało w odległych czasach światło jedynobóstwa, to nie był to kult ludowy, gminny Dyonizosa, który jako późniejszy i nawiany z Egiptu wszędzie się rdzenniejszego monoteizmu uczepiał, przerabiał go na swą modłę panteistyczną i prześladował. Tak było w Tracyi i Grecyi, tak też musiało być przedtem w Lidyi. I rzeczywiście czytamy u Herodota (I, 94) o wywędrowaniu z małoazyatyckiej siedziby do Italii zastępu Lidyjczyków pod przewodnictwem syna ich króla Atysa, a brata Lidosa, Tyrsenosa; dlatego ci pelazgijscy osadnicy przybrali nazwę Tyrsenów i nadali krajowi założonemu miano Tyrrenii. Z powyższego podania wynika to, co dzisiejsza etruskologia potwierdza, że Tyrsenowie lub Etruskowie z Lidyjczykami byli wspólnego, więc aryjskiego pochodzenia. Polityczny i religijny charakter etruski kształcił się w formach ary-

---

[1]) Zob. cytaty w Rohdego „Psyche" str. 300, uw. 2 i 302, 6.

[2]) Reisch: Zur Vorgeschichte der attischen Tragödie (Sonderabdruck aus der Festschrift für Th. Gomperz, 451—473). Wiedeń 1902.

[3]) Gustawicz: Lis mikita w bajce i wierzeniu ludowem u wschodnich Azyatów (w „Ludzie" z r. 1902) str. 6: lis zażywa w wysokim stopniu bałwochwalczej czci u wszystkich prawie ludów wschodniej Azyi, przedewszystkiem zaś u Chińczyków...

stokratycznej ustawy, tymczasem duch mu pokrewny lidyjski uległ egipskim wpływom i pod działaniem szczególnie kultu Dyonizosa szybko się demokratyzował. U wychodźców natomiast przeważał wpływ Babilonu, jak wnosić można z odnalezionych w najstarszych grobach Etruryi (w Caere i Vulci) jakoteż Lacyum (w Praeneste) płyt złotych z wyciśnięciami skrzydlatych lwów i inną ornamentyką babilońską. Kto wie, czy zadziwiająca na owe czasy wiedza wszechrzeczy boskich i ludzkich, przyznana przez dziejopisa Liwiusza Numie Pompiliuszowi, „disciplina tetrica ac tristis veterum Sabinorum“ (ks. I, roz. 18), nie rozwinęła się prędzej na tle etrusko-lidyjskiem i babylońskiem, bliższa — być może — cywilizacyi kaukaskiej, z której wiek temu prawie Böttiger wywiódł poglądy orfickie, aniżeli o przeszło sto lat późniejszej nauce Pitagorasa, którego zatem oddziaływaniu na Numę Liwiusz zaprzecza? System t. zw. duodecymalny nie zdaje się być narodowo-italskim wbrew Mommsenowi (Röm. Gesch. I. B. 1. Buch), lecz babilońsko-etruskim (por. Winckler: Himmels- u. Weltenbild der Babylonier etc. Leipzig 1901, str. 14 i nast.; 12 miast związkowych etruskich; Liv. I. 19: Atque omnium primum ad cursus lunae in duodecim menses describit annum...). Związku zaś z jednej strony między Etruryą i Lidyą, a z drugiej strony Kaukazem, szukają nowsi uczeni na polu językowem. Czyż wobec tego nie jest możliwem, że Lidyjczycy do Azyi Mniejszej przynieśli z nad Kaukazu zawiązek pojęć orfickich, których wyparcia z Lidyi przez kult Dyonizosa się domyślamy, wnioskując po analogii z Tracyą a przeciwieństwie kulturalnem z Etruryą?

8.

Na tej zasadzie rodowód orfiki znacznie trzeba wysunąć w górę, w przedhistoryczne czasy. Klęska lidyjsko-greckiego świata, Krezusa i sprzymierzonych z nim filhelleńskich władców Egiptu i Babilonu, zadana w r. 546 przez Cyrusa, przyćmiła pewnie blask i znaczenie panteistycznych, powinowatych bóstw Babilonu, Egiptu i Grecyi: Marduka, Ozyrysa i Dyonizosa. Mimoto w Attyce, za przykładem tyranów Peryandra w Koryncie i Klejstenesa w Sycyonie, popierał Pizystrat kult Dyonizosa, pojednanego z Apollinem w Delfach, a oraz przyswojonego misteryom eleuzyjskim. W początkach wojny peloponeskiej żądała jeszcze wyrocznia

delficka pierwocin płodów polnych dla bóstw z Eleuzys, do których też należał Dyonizos, znany z attyckich waz do użytku w misteryach [1]). Ale już równocześnie, w urzędowej inskrypcyi ateńskiej na cześć poległych pod Potydeą, mamy dowód uznania ze strony państwa przeciwnej wiary orfickiej w nieśmiertelność duchowej części człowieka w niebie zamiast w podziemiu. Może to ożywienie i rozszerzenie tradycyi Orfeuszowej stoi w niejakiej styczności z nawiązaniem stosunków państwowych z Persyą, „którą — zapewne od czasu wyprawienia Kalliasa do króla Artaxerxesa I (465—425) — uważano w Atenach za jedno z mocarstw zaprzyjaźnionych (por. Herod. VII, 151 i Plut. Per. 15 o φιλίαι βασιλέων“ [2]). Czciciele Ahuramazdy nie byliby się bratali z zagorzałymi wyznawcami chtonicznych bogiń w Eleuzys tudzież Dyonizosa, którego chyba musieli utożsamiać ze swoim Arymanem.

O dalszych losach orfiki krótko można powiedzieć, iż na ten stopień napięcia i wysokości tonu, na jaki się ona wzniosła w Atenach po wojnach perskich, za czasów Cymona i Peryklesa, nigdy już potem wzbić się nie potrafiła. Poeci, filozofowie i literaci zagłębiali się wówczas w nurtach mistyki, aby wyłowić z nich tajemnicę misteryów: Sofokles był uczestnikiem misteryów, może nie tylko eleuzyjskich, a Jon z Chios objawiał w swym Triagmosie znaczenie trójcy wszystkiego (Harpokr. s. Ἴων· ἀρχὴ δέ μοι τοῦ λόγου· πάντα τρία καὶ οὐδὲν πλέον ἢ ἔλασσον τούτων τῶν τριῶν...). Drugi przybrany Ateńczyk, Stezymbrot z Tazos, napisał między innemi dzieło περὶ τῶν τελετῶν, w którem zajmował się mitologią misteryów. Dalej Protagoras, wykształcony podług podania przez magów perskich w mistyce religijnej i filozoficznym sceptycyzmie [3]), otrzymał za swą wymowę przydomek Λόγος, a jego mądrość zdobyła sobie

[1]) O. Kern: Zwei Kultinschriften aus Kleinasien (w Beiträge zur Gesch. d. griech. Philos. u. Relig. von P. Wendland u. O. Kern. Berlin 1895) str. 85 i nast: Berühmt ist Apolls Orakelspruch, der am Beginn des peloponesichen Krieges die Erstlinge des Feldes für die Götter von Eleusis einfordert. Und nur so erklärt sich der Dionysos der attischen Mysterienvasen... es ist der delphische Dionysos...

[2]) Ustęp z mojej rozpr. p. t.: Silni i słabi w teoryi Sokratesa (odbitka z „Muzeum“ r. 1897) str. 8.

[3]) Philostr. V. soph. I, 10 o Protagorasie: ὡμίλησε δὲ καὶ τοῖς ἐκ Περσῶν μάγοις κατὰ τὴν Ξέρξου ἐπὶ τὴν Ἑλλάδα ἔλασιν... τὰ δὲ ἀπορεῖν φάσκειν, εἴτε εἰσὶ θεοὶ εἴτε οὐκ εἰσί, δοκεῖ μοι Π. ἐκ τῆς Περσικῆς παιδεύσεως παρανομῆσαι· μάγοι γὰρ ἐπιθειάζουσι μὲν οἷς ἀφανῶς δρῶσι τὴν δὲ ἐκ φανεροῦ δόξαν τοῦ θείου καταλύουσιν οὐ βουλόμενοι δοκεῖν παρ᾽ αὐτοῦ δύνασθαι.

epitet ἡδυλόγος σοφία. W Sokratesie ostatnim orfika zajaśniala płomieniem [1], u Platona zaś tli się gdzieniegdzie, np. w „Tymajosie", wydobywając się z pod tłumiących pitagorejskich pierwiastków [2]). W czasach aleksandryjskich zanika, a górę bierze nanowo kult Demetery i nieodstępnego jej towarzysza Dyonizosa. Jeden z Ptolemeuszów zakłada Eleuzys pod Aleksandryą, a poeta Kallimach pisze hymn na świąteczny obchód tych aleksandryjskich Eleuzyniów [3]). Samego Aleksandra na równi z Dyonizosem czczono, Ptolemeusza zaś zwano νέον Διόνυσον. Hymny t. zw. orfickie, w Małej Azyi i koło Aleksandryi powstałe, zredagowano w drugiem lub pierwszem stuleciu przed nar. Chr. prawdopodobnie w Egipcie [4]). Chociaż nie wyszły one wcale ze szkoły stoickiej, jak próbowano wykazać [5]), to jednak wpływ stoickich poglądów jest w nich niezaprzeczony. Wiadomo, że filozofia przyrody stoików wzorowała się na utworze Heraklita περὶ φύσεως i że stoicki bóg za przykładem Xenofanesa, Heraklita i Empedoklesa, obrany z ludzkich oraz zmysłowych kształtów, stanowi przeciwieństwo do teologii i religii ludowej, która znalazła dobitny wyraz w pewnym fragmencie, będącym mieszaniną niezręczną pitagorejskich i bakchickich składników [6]). Orfickiego w nim niema nic, a w t. zw. hymnach orfickich jest orfickiego tyle tylko, ile znachodzi się w nich niezatartych śladów reakcyi heraklitowo-

---

[1]) Stauffer: Zwölf Gestalten der Glanzzeit Athens im Zusammenhange der Kulturentwicklung. München u. Leipzig 1896, str. 509: Sokrates schlieszt sich, wie man aus der Apologie des Plato wird folgern dürfen, an die Erzählung der orphisch-mystischen Religiosität an, die seit langem dem sehnsüchtigen Gefühl des Menschen nach einer Fortsetzung dieses irdischen Lebens in einem höheren, befriedigenden Ausdruck verliehen hatte...

[2]) X. Pawlicki: Hist. filoz. gr. t. II, str. 380 i nast.: Fedros nic nie wie o koniecznem spadaniu dusz na ziemię, lecz własnej ich winie przypisuje smutne to zdarzenie... W Timeuszu dusze muszą zaludniać ziemię, bo tego wymaga piękność wszechświata... Nie wstąpiła dusza do ciała dla odcierpienia kary, lecz aby spełnić posłannictwo... Ziemia zatem nie jest dla duszy miejscem wygnania, ani ciało nie jest więzieniem, dopóki ona wiernie wypełnia swą missyę...

[3]) Callimachi hymni et epigrammata iterum ed. U. de Wilam.-Moellendorff (Berol. 1897) hymn. VI, 70 sq.: τόσσα Διώνυσον γὰρ ἃ καὶ Δάματρα χαλέπτει· καὶ γὰρ τᾷ Δαματρι συνωχίσθη (poprawił Wilamowitz w wykładach ze συνωργίσθη) Διόνυσος.

[4]) Dieterich: De hymnis orphicis (1891) p. 24 sq., 52.

[5]) O. Kern: Zu den orphischen Hymnen (Hermes 24. 1889) str. 498—508.

[6]) Orph. fr. 123. Zob. o tym fragm. Ferd. Duemmler: Kleine Schriften II, 155—160

stoickiej, opartej o orfikę, przeciw gminnemu terio- i antropomorfizmowi bóstwa.

Oddziaływaniem stoików daje się wytłómaczyć wskrzeszenie wyobrażeń orfickich na nagrobkach trzeciego wieku, gdzie mowa o niebiańskim początku duszy ludzkiej i jej powrocie do niebian[1]. Ale o palingenezie, ani orfickiej, ani platońskiej (w „Fedonie“ roz. 15 i 61), której jeszcze poeta Eurypides pożądał, nie słychać na tych nagrobkach[2]; widocznie stoicy jej nie przepuścili jako mniej zgodnej z duchem czasu, któremu już dosyć było jednego życia. Zresztą np. stoik Kleantes w swym dochowanym hymnie do Zeusa (Stob. ecl. phys. I, 2, 12) posługuje się terminologią i pojęciami, stanowiącemi własność zarówno orfiki jak Heraklita. Zeus jest u niego poprostu ojcem, a więc osobą; nie stwórcą wprawdzie, ale sternikiem przyrody; władcą ognia, wspólnego słowa i prawa (por. ww. 3 i 34: Ζεῦ, φύσεως ἀρχηγὲ... σὺ πάτερ..., ww. 2 i 35: πάντα κυβερνῶν... γνώμης, ᾗ πίσυνος — πάντα κυβερνᾷς [Herakl. fr. 41], w. 10: πυρόεντα ἀεὶ ζώοντα κεραυνόν [Herakl. fr. 30 i 64], ww. 12 i 21: κοινὸν λόγον i ἕνα — λόγον αἰὲν ἐόντα [Herakl. fr. 1 2], ww. 24 i 39: θεοῦ κοινὸν νόμον i κοινὸν ἀεὶ νόμον [Herakl. fr. 114: ὑπὸ ἑνὸς τοῦ θείου sc. νόμου]. Od niego, jako od ojca, pochodzi ród ludzki (w. 4: ἐκ σοῦ γὰρ γένος ἐσμέν... por. w. 5 „Fenomenów“ Arata: τοῦ γὰρ καὶ γένος εἰμέν..., gdzie Zeus pozdrowiony również pokrótce „ojcem“, a pochodzący od niego ród bogów nazwany tylko wcześniejszym od ludzi, w. 15 i nast.: χαῖρε πάτερ... αὐτὸς καὶ προτέρη γενεή...). Taki Zeus homerycki, πατὴρ ἀνδρῶν τε θεῶν τε, uduchowiony, raz u Homera wspomniany też krótko jako „ojciec“, stanowił modłę do Fidyaszowego Zeusa w Olimpii[3]); a niewiadomo, dlaczego Fidyasz nie mógłby był z wyobrażeń orfickich zaczerpnąć doniosłego pojęcia o bogu-ojcu, wyłaniającym ze swego wnętrza bogów i ludzi, przytem wszakże nic nie tracącym z własnej oso-

[1]) Rohde: Psyche, str. 672 i nast.

[2]) Tamże: str. 674 i nast.

[3]) Wilamowitz: Reden u. Vorträge (Berlin 1901) str. 182 i nast.: In Pheidias' athenischer Seele lebte ein anderer Zeus, von jener universalen Majestät, die in den homerischen Versen liegt, dass sein Kopfnicken, auch wen er Gewährung nickt, Himmel und Erde erschüttert, aber zugleich der Gott, den schon der homerische Dichter ohne weiteren Zusatz Vater nannte... Der Zeus Olympias darf nur angesehen werden als der Exponent des Glaubens und der Vorstellungen, die diejenigen Menschen von ihm hatten, die ihn in Olympia verehrten...

bowości. Zeus Kleantesa jest takim samym bogiem żywotnym, orfickim, heraklitowym, wszechobecnym a jednak odosobnionym (por. Herakl. fr. 50: ἓν πάντα εἶναι, fr. 108: πάντων κεχωρισμένον i hymn Kleantesa, w. 14: ὕπατος βασιλεὺς διὰ παντός).

Nie odszukawszy, mimo orfickie wpływy, śladów palingenezy ni w czwartem, ni w następnych stuleciach przed Chr., pospiesznie sądzi Rohde, że starożytna kultura przy skonaniu wierzyła najsilniej i najgoręcej w nieśmiertelność duchową na tamtym świecie [1]). Tymczasem należało uwzględnić dążenia neoplatońskie i neopitagorejskie, niekoniecznie kończące się przekonaniem, które genialny autor „Psychy" tak sformułował: Das Göttliche steigt nicht hernieder; der Mensch muss zu göttlicher Höhe und Ferne hinaufstreben, um sich zu vereinigen mit dem Einen vor aller Vielheit [2]). Przeciwnie, wpływom nowopitagorejskim i nowoplatońskim przypisać trzeba wysuwające się coraz więcej w teoryi wędrówki dusz na plan pierwszy ubóstwienie jako ideał, już w tem życiu możliwy do urzeczywistnienia. Zbawienie (σωτηρία) i nieśmiertelność nietylko przedstawiają się jako przyszłe dobro, lecz owszem przeżywane bywają w mistyczny sposób wciąż bez ustanku na ziemi podczas dokonywającego się ubóstwienia [3]). Na tej deifikacyi, do której mądrość starożytnego świata dzięki wznowieniu orfickiego dogmatu doszła, ojcowie kościoła pierwszych wieków zaczęli nowy gmach wznosić, upatrując najwyższy cel człowieka w stawaniu się bogiem (θεὸν γενέσθαι, θέωσις, ἀφομοίωσις καὶ ἕνωσις πρὸς Θεόν) [4]). Zdaje się, że pisarze chrześcijańscy szczególnie mieli na myśli eleuzyjskie misterye, które przetrwały do końca w. IV po Chr., gdy przeciwstawiali je wraz z kultem Dyonizosa chrześcijańskim misteryom za przykładem Klemensa Aleksandryjskiego (Protrep. 119). W ewangelii św. Jana czytamy o Chry-

---

[1]) Psyche, str. 685.

[2]) Tamże str. 689.

[3]) Anrich: Das antike Mysterienwesen in seinem Einfluss auf das Christentum (Göttingen 1894) str. 58: Namentlich aber tritt die Idee der Vergottung mehr und mehr in den Vordergrund und erscheint im Neoplatonismus als das in gewisser Weise schon im diesseitigen Leben zu verwirklichende Ideal des gesamten philosophischen Strebens... str. 114: Diese Erlösung aber ist nicht lediglich ein zukünftiges Gut, vielmehr wird sie in steigendem Masse fort und fort in mystischer Weise erlebt. So setzt sich der Gedanke der zukünftigen Unsterblichkeit um in der eines schon während des Erdenlebens sich vollziehenden naturhaften Vergottungsprozesses...

[4]) Por. X. Pawlicki: Hist. filoz. gr. II, 370.

stusie: Ἐγώ εἰμι ἡ ἄμπελος ἡ ἀληθινή (XV, 1; por. rocz. VIII „Eosu“, str. 69: τὴν ἄμπελον δὲ τὴν ἀληθινὴν βλέπε) dla odróżnienia od „winnej macicy“, symbolu Dyonizosa. Może nie było bezpośredniego i świadomego oddziaływania misteryów pogańskich na chrześcijańskie τὸν λόγον καὶ τοῦ λόγου τὰ μυστήρια (Klem. Aleks. tamże)[1], w każdym razie musiały być znaczne analogie i parallele między orficką a chrześcijańską nauką, których głęboko wyżłobione łożyska tak równolegle i blisko siebie biegły, że Justyn Męczennik mógł Heraklita, Sokratesa i im podobnych, co wedle „słowa“ żyli, zaliczyć między chrześcijan (Apolog. I, 46 p. 83^c: οἱ μετὰ λόγου βιώσαντες Χριστιανοί εἰσι, κἂν ἄθεοι ἐνομίσθησαν, οἷον ἐν Ἕλλησι μὲν Σωκράτης καὶ Ἡράκλειτος καὶ οἱ ὅμοιοι αὐτοῖς κτλ.).

---

[1]) Anrich: Das antike Mysterienwesen etc., str. 235: Schon das allgemeine Urteil der kirchlichen Schriftsteller über die das Hauptbollwerk des untergehenden Heidentums bildenden Mysterien legt den Schluss nahe, dass ein direkter Einfluss der Mysterien auf das Christentum, d. h. eine bewusste Aufnahme von Formen und Institutionen der Mysterienculte, kaum stattgefunden haben kann. — Lehrbuch der Religionsgesch. herausg. v. de la Saussaye II^2, 326: Richtig ist allerdings, dass christliche Anschauung und Cultussitte Manches vom Mysterienwesen und Orphismus herübergenommen hat, wenn auch das Maass, in dem dies geschehen ist, oft überschätzt wird.

Spicilegium Prodromeum

scripsit

LEO STERNBACH.

Dissertationis argumentum nobis libellus rarissimus vel Krumbachero ignotus suggessit, qui anno 1614 Parisiis prodiit, hoc titulo instructus: στίχοι ἀδήλου περὶ τῆς ἁγίας Βαρβάρας. Carmen Gr. Jambographi in divam Barbaram Virginem et Martyrem. Fed. Morellus Profess. et Interpres Reg. Graecos Trimetros e Bibliotheca Regia eruit, recensuit et senariis Latinis expressit. Etenim editionis Morellianae fonte indagato non solum sordes eluere licebit a Morello ingestas, sed etiam certum de versuum auctore iudicium proferri poterit. Nullam vero dubitationem habet sententia nostra, contextus originem e codice Parisino Gr. 854 (bombyc. in 4°. s. XIII) repetendam esse, ubi f. 232^r sq. iidem versus leguntur. Qui enim primo adspectu propter gravem lectionum discrepantiam residere videtur scrupulus, facile eximitur, si Morelli rationem in editionibus adornandis consideramus: hoc scilicet consuetudinis vitio laborabat, ut lectore non monito ad arbitrium codicum memoriam mutare non gravaretur, quotiescumque tradita scriptura offensionem concitaret. Nec leve pondus argumentationi nostrae inde accedit, quod idem codex Parisinus etiam in carmine de S. Panteleemone (f. 420^r sqq.) Morello benignam materiam licentiae ostentandae praebuit[1]).

[1]) Ἐγκώμιον εἰς τὸν ἅγιον μεγαλομάρτυρα Παντελεήμονα. Elogium Sanctissimi Martyris Pantoleonis Graecis Iambicis olim ab auctore incerto scriptum et e Bibliotheca Regia erutum a F. Morello (Lutetiae 1605); argumentorum momenta apparatus criticus editionis nostrae affert (Joannis Geometrae carmen de S. Panteleemone, Cracoviae 1892 = Rozprawy Wydz. filol. Akad. Umiej. vol. XVI p. 218 sqq.).

Hic autem est codicis habitus, ut non incertus auctor in censum veniat, sed Theodori Prodromi poesis proponatur, cuius nomini tota carminum series inde a f. 225[r] usque ad f. 232[v] addicenda est:

I) Synaxarium anepigraphum. Nimirum poetae nomen propter lemmatis detrimentum desideratur; neque in codice Marciano Gr. 512 (chartac. in 8°, s. XIV) f. 256[v] comparet, qui e Parisino fluxit, quamquam inscriptio addita est: μονόστιχα κατὰ μῆνα εἰς ἕνα ἕκαστον ἅγιον. Theodorum Prodromum adgnoscit[1]) praestantissimus codex Vaticanus Gr. 305 (bombyc. in 4°, s. XIII) f. 109[v] τοῦ αὐτοῦ μονόστιχα εἰς τὰ τέλη τῶν ἑκάστης ἡμέρας μνημονευομένων ἐν ὅλῳ τῷ ἔτει ἁγίων, συνεμφαινομένου καὶ τοῦ ἐπωνύμου τοῦ ποιητοῦ τοῖς ἐν ἑκάστῳ μηνὶ ἀρκτικοῖς τῶν πρώτων στίχων[2]) στοιχείοις, omnem vero dubitationem acrostichis tollit, qua primi singulorum mensium versus ita conectuntur, ut lemma τοῦ Προδρόμου prodeat[3]):

*Τ*ὸν Συμεώνην[4]) ἐκ στύλου πόλος φέρει.
Ὁ βαπτίσας σε Παῦλε νῦν θνήσκει λίθοις.
*Ὑ*μνῶ θανόντας τοὺς σοφοὺς Ἀναργύρους.
*Π*ηγὰς χαρίτων καὶ θανὼν Ναοὺμ[5]) νάει.
*Ῥ*όδοις λόγων στέφω σε, τῶν λόγων ἔαρ.
Ὁ δὲ Τρύφων προὔφθασε θανὼν τὴν σπάθην.
*Δ*ὸς Εὐδοκία σὸν τράχηλον καὶ στέφου.
*Ῥ*αγεῖσα γῆ κάλυψον ὀστᾶ Μαρίας.
*Ὀ*ρῶν[6]) λίθοις μέμυκεν Ἱερεμίας[7]).

---

[1]) Eiusdem igitur poetae versus exciderunt in codice Laurentiano Plut. XXXI n. 2 (bombyc. in 4°, s. XIII), quem initio carere gemella inscriptio (τοῦ αὐτοῦ — στοιχείοις) evincit f. 1[r] synaxario nostro praemissa.

[2]) Στοίχων Vat.; στίχων corr. La Porte du Theil (cf. Patrol. Gr. vol. CXXXIII p. 1079 A Migne) neque aliter in Laur. scriptum extat. — Praeterea in Laur. ἁγίων deesse moneo, sed μνημονευσομένων perperam enotavit Bandinius Catal. vol. II p. 75; falso etiam p. 77 codicem saeculo XV exaratum esse statuit.

[3]) Haud obscura nominis significatio redit ad diem septimum mensis Januarii, quo synaxis Joannis Prodromi celebratur: Συμπρόδρομος κλήσει σε καὶ μόνη (μόνην falso Laur.) σέβω, ubi inepta est codicum Par. Marc. memoria: Συμπρόδρομε κλήσει σε μέλπω παμμάκαρ. Carmen adhuc ineditum propediem Analecta Bollandiana una cum aliis synaxariis metricis vulgabunt.

[4]) Neglecto syllabae ην compendio Συμεὼν ex Marc. profert Krumbacher, Gesch. d. byzant. Litter. [2]p. 739, ex Par. Omont, Inventaire sommaire des manuscrits Grecs de la bibliothèque nationale vol. I (1886) p. 160.

[5]) Ναοὺμ ante θανὼν ponit Laur.

[6]) Ὁρῶν Vat. Par. Marc.

[7]) Ἰερεμίας Par.

Μιμῇ τελευτὴν Σωκράτους, Ἰουστῖνε.
Ὁ Δαμιανὸς σὺν Κοσμᾷ θνήσκει λίθοις.
Ὑπῆλθε πῦρ παφλάζον ἡ Σολομώνη [1]).

II) περὶ τῆς ἁγίας Τριάδος κατὰ ἀλφάβητον. Quod carmen alphabeticum (cf. Krumbacher o. l. p. 718) sub Ptochoprodromi nomine editum a Boissonado, Anecd. Gr. vol. IV (Paris. 1832) p. 440 sq. (= Patrol. Gr. vol. CXXXIII p. 1221 sq.) [2]) Theodorus Prodromus in poemate εἰς τὸν Βαρέα τὸν καταφλυαρήσαντα αὐτοῦ τὸ τοῦ αἱρετικοῦ ὄνομα (ibid. p. 1405 sqq.) non sine ostentatione pietatis testem producit, falso haereseos crimine insimulatus (ibid. p. 1411 v. 144 sqq.) [3]).

III) Εἰς τὰς ἀρετὰς καὶ κακίας [4]). Inscriptionem τοῦ Προδρόμου στίχοι εἰς τὰς ἀρετὰς καὶ εἰς τὰς κακίας exhibet codex Vaticanus Gr. 307 (bombyc. f. 1, chartac. f. 2 sqq. in 8⁰, s. XIV) f. 1ʳ sq., lemma τοῦ Προδρόμου Laurentianus Abbat. Florent. 2761 sive Conv. Soppr. 48 [5]) (membran. in 4⁰, s. XIV) f. 292ʳ sq., ex quo libro carmen protraxit N. Piccolos, Supplément à l'anthologie Grecque (Paris. 1853) p. 220 sqq. [6]). Quae memoriae ratio ad quaestionem nostram solvendam sufficit; neque enim in contentionis iudicium

---

[1]) Σολομόνη Marc.

[2]) Ex Par. Morellus anno 1611 deprompsit cf. not. 4.

[3]) Ex hoc poemate contumeliis referto perperam carmini alphabetico adiuncti sunt trimetri: εἰ ταῦτα πιστά, πῶς με πιστῶν ἐξάγεις; | εἰ δ' οὐχὶ πιστά, προςτίθει τὰς αἰτίας (= p. 1411 v. 168 sq.), quos quidem Par. recte omittit. Quodsi argumenta requiruntur, quae versus εἰς τὸν Βαρέα Theodoro Prodromo vindicandos esse evincant, praeter codicum memoriam excitari possunt verba, quibus epigrammata in Vetus et Novum Testamentum (p. 1101—1220) aperte designantur (p. 1412 v. 175 sqq.): ὃς σὺν Θεῷ σύμπαντα τὸν πάλαι νόμον | καὶ τὸν καθ' ἡμᾶς ἐν στίχοις τετραστίχοις | παραφράσας εὔκλειαν ἀπηνεγκάμην.

[4]) Ex Par. libellus a Krumbachero non commemoratus originem duxit, cui titulus est: Prosopopoeia virtutum et vitiorum Graecis iambicis senariis scripta ab auctore incerto. Nunc primum e Bibliotheca Reg. prodit. Fed. Morellus interpres Reg. Latinis trimetris expressit (Lutet. 1611). Idem codex praeterea tria carmina appendicis loco edita suppeditavit: νουθετικοὶ (n. VI), περὶ τῆς ἁγίας Τριάδος κατὰ ἀλφάβητον (n. II), εἰς τὸν Ἀβραὰμ ξενίζοντα τὴν ἁγίαν Τριάδα (n. IV). Ceterum electos e Prosopopoeia versus Morellus iam anno 1608 protulerat in editione (cf. Patrol. Gr. vol. CXXXIII p. 1053 A) opusculi Prodromei ἀνατροπὴ τοῦ· πενίη σοφίην ἔλαχε (ibid. p. 1313 sqq.).

[5]) Cf. Studi Italiani di filologia classica vol. I (Florentiae 1893) p. 142.

[6]) Haec editio Krumbacheri aciem fugit p. 444.

diversa traditio venit, quae quidem (Michaeli) Psello[1] vel Paniotae[2]) poema adscribat.

IV) Εἰς τὸν Ἀβραὰμ ξενίζοντα τὴν ἁγίαν Τριάδα. Inter Theodori Prodromi carmina legitur p. 1223 Migne (ex Vatic. 305 f. 117ᵛ, quem codicem excussit Dutheilius, Notices et Extraits des mss. de la bibliothèque du Roi vol. VIII 2. Paris. 1810, p. 193[3]).

---

1) Unicus testis est codex Parisinus Gr. 3058 (chartac. in fol., s. XVI), ab Arsenio Apostolii filio (1465—1535) exaratus, f. 36ʳ sqq. (τοῦ σοφωτάτου Ψελλοῦ ἴαμβοι εἰς ἀρετὰς καὶ κακίας), quem contextum ipse Arsenius circa annum 1519 (cf. E. Legrand, Bibliographie Hellénique vol. I, Paris. 1885, p. 167) prelo subiecit. Ex Arsenii enim editione et exemplaria manu scripta fluxerunt (codex Vindobonensis Theol. Gr. 249 s. XVI, Atheniensis 1183 s. XVIII, 1264 s. XVII) et libri typis expressi pendent, scilicet editio Basileensis a. 1544, praeter quam nulla Krumbachero l. l. innotuit (Heraclidis Pontici qui Aristotelis aetate vixit Allegoriae in Homeri fabulas de diis ed. Conr. Gesner in appendice. Argentoratensis a. 1560 (Ἀριστοτέλους περὶ ἀρετῶν καὶ κακιῶν βιβλίον α'. Τοῦ σοφωτάτου Μηχαὴλ — sic — τοῦ Ψελλοῦ ἴαμβοι εἰς ἀρετὰς καὶ κακίας. Ὅροι Πλάτωνος. Excudebat Josias Rihelius), Francofurtensis s. a. (Ἀριστοτέλους περὶ ἀρετῶν βιβλίον α'. Τοῦ σοφωτάτου Μιχαὴλ τοῦ Ψελλοῦ ἴαμβοι εἰς ἀρετὰς καὶ κακίας. Ὅροι Πλάτωνος. Francforti ad Viadrum, per Joan. Eichhorn). — Ceterum Arsenii fidem recensio pessimà labefactat putidis interpolationibus inquinata, unde Pselli nomen auctoritate prorsus carere perspicitur; nihil iuvant undecim capita (XLVIII—LVIII) περὶ ἀρετῶν in Pselli 'omnifaria doctrina' (Patrol. Gr. vol. CXXII p. 717 sqq.) nec magis prodest opusculum τοῦ σοφωτάτου Ψελλοῦ περὶ ἀρετῶν καὶ κακιῶν in codice Berolinensi Philippico 214, ex quo initium (f. 198ᵛ) adposuit L. Cohnius Catalog. (Codices ex bibliotheca Meermanniana Philippici Graeci nunc Berolinenses, Berol. 1890) p. 93: τί ἐστιν ἔργον φρονήσεως; ἔργον δὲ τῆς φρονήσεώς ἐστι τὸ βουλεύεσθαι, τὸ κρίναι τὰ ἀγαθὰ καὶ κακά, siquidem cum Ps., Aristotele cap. IV p. 1250ᵃ 30 sq. conspirat. diversum autem est a iambographi characterismo: συνάγομαι μὲν ἐκ μακρᾶς ἐμπειρίας, | πιθῶ δὲ σεπτοὺς τοὺς ἐμὲ κτησαμένους (ἐμὲ κεκτημένους falso Ars., κτησαμένους ἐμὲ Morellus ex libidine, non ex Par.).

2) Lemma τοῦ Πανιώτου εἰς τὰς ἀρετὰς καὶ εἰς τὰς ἀντιθέτους αὐταῖς κακίαις (sic; cf. Piccolos o. l. p. 221) exhibet codex Laurentianus S. Marco 318 (chartac. in 8°, s. XIV) f. 1ʳ. Auctorem fortasse significat Joannes Tzetzes Epist. XCVII p. 86, 18 sqq. (Pressel.) ἤκουσταί μοί, φιλανθρωπότατε βασιλεῦ, ὡς θριαμβικῷ δίφρῳ μέλλεις τιμᾶν τὸν τοὺς λόγους τιμήσαντα, τὸν ἐκ Πανίου φιλόσοφον, τὸν διπλοτρίπλως τῆς πρωτοκουροπατικοῦ ἀξίας ἀξίως ἀξιωθέντα, ubi Scholiastes adnotat: ἡ λογικὴ μεθόδῳ δεινότητος κατὰ τοῦ πανιώ . . . αῦτα (l. Πανιώ<του τ>αῦτα) δοκεῖν γράφει.

3) Ex Par. poema iam anno 1611 a Morello protractum erat in appendice ad Prosopopeiam virtutum et vitiorum (cf. p. 338 not. 4) post synaxarium versus exhibet codicis Par. exemplar Marcianum (cf. p. 337 supra) f. 260ʳ. quod describens H. Zanettius (Graeca D. Marci bibliotheca codicum mss., Venet. 1740) p. 276 observationem adiecit: auctor est Manuel Phile, J. A. Fabricii auctoritate (Biblioth. Gr. vol. VII p. 714 ed. vet.) nixus, quam secuti sunt G.

V) Τοῦ αὐτοῦ εἰς εἰκόνα τοῦ ὑπεραγάθου σωτῆρος Χριστοῦ ὡς ἀπὸ βασιλέως κυροῦ Ἰωάννου. Ex Par.[1]) edidit Miller ad Philen vol. II p. 354 sq. Quodsi additamentum τοῦ αὐτοῦ expendimus, eo adducimur, ut inde a n. I[2]) carminum seriem ab uno eodemque poeta conscriptam proponi concludamus ac n. I scriptoris nomen, n. II, III, IV τοῦ αὐτοῦ librari incuria excidisse colligamus; certum vero esse iudicium de Theodoro Prodromo versuum auctore, n. I et II ex ipsius versificatoris testimonio efficitur, n. III et IV codicum auctoritate comprobatur, quae insuper n. VI sqq. magno ad persuadendum momento est, praesertim cum etiam Par. lemmate τοῦ αὐτοῦ n. VI, VII, VIII magni discriminis adminiculum subministret.

VI) Τοῦ αὐτοῦ νουθετικοί. Inter Theodori Prodromi opuscula recepit Migne p. 1422 contextu Dutheilii usus o. l. p. 197 sq., qui editionem Basileensem (1536)[3]) quatern. ζ′ f. 2ᵛ expressit codicum Vatic. 305 et Paris. 2831 lectionibus adiutus[4]).

VII) Τοῦ αὐτοῦ κατὰ φθόνου. Theodori Prodromi reliquiis inseruit Migne p. 1421 ex recensione Dutheilii[5]).

VIII) Τοῦ αὐτοῦ ἐπὶ ἀναγνώσει. Ex Par. et Marc. Philae carminibus (cf. ad n. VI) adiunxit Miller vol. II p. 355 sq.

Wernsdorfius (Manuelis Philae carmina, Lipsiae 1768, p. 310) et E. Miller (Manuelis Philae carmina vol. II, Paris. 1857, p. 399), videlicet codicis Vaticani Gr. 1126 (f. 151ᵛ) lemmate decepti, quod quidem librarii socordia inrepsit.

[1]) Notitia τοῦ αὐτοῦ Theodorum Prodromum designari Miller statuit; ante annum 1143 carmen compositum esse ex v. 22 sq. sequitur: Ἰωάννης σοι ταῦτα, πιστὸς οἰκέτης, | πορφυρόβλαστος Κομνηνὸς αὐτοκράτωρ.

[2]) Synaxario praemittitur Papisci et Philonis Judaeorum cum Christiano abbate dialogus de fide f. 220ᵛ sqq.

[3]) Κύρου Θεοδώρου τοῦ Προδρόμου ἐπιγράμματα ὡς παλαιότατα, οὕτω καὶ εὐσεβέστατα, ἐν οἷς πάντα τῆς ἑκατέρας διαθήκης κεφάλαια ὡς ὀλβιώτατα συλλαμβάνονται καὶ τἄλλα τινά, ἃ πίναξ τῇ ἑπομένῃ σελίδι ἰδίᾳ δηλοῖ (apud Joannem Bebelium). In Basil. carmen nostrum ita cum n. VII coaluit, ut singulis versibus trimetri singuli ex altero poemate admisceantur, unde etiam inscriptionis ratio (τοῦ αὐτοῦ νουθετικοὶ κατὰ φθονούντων) intelligitur.

[4]) Ex Par. Morelli (a. 1611; cf. p. 338 not. 4) immemor edidit Miller ad Philen vol. II p. 388, qui versus in codice Marciano 512 Philae tribui perperam tradit; Marc. enim f. 256ᵛ — 263ʳ n. I, IV, VI—XIV, XVII ex Par. repetit, quapropter auctoris nomen reticetur, Millero autem Zanettii adnotatiuncula ad n. IV (cf. p. 339 not. 3) ita imposuit, ut propter τοῦ αὐτοῦ etiam n. VI, VII, VIII Philae in Marc. vindicari falso contenderet.

[5]) Cf. ad n. VI. Philae opusculis aeque ac n. VI subiunxit Miller vol. II p. 389 perinde codicis Par. apographo Marciano in errorem inductus.

IX) Τοῦ αὐτοῦ ἐπὶ κήπῳ et X—XIII) εἰς τὸ αὐτό. Ex Par. foras dedit Morelli libellus: Κήπου ἔκφρασις ἀδήλου. Senarii in horti spectaculum. Federicus Morellus Interpres Reg. e Greco incerti auctoris vertit (Lutet. 1609); sed iam anno 1536 tamquam ἀνεπίγραφα prodierant in Basil. (post n. VI sq.). Theodori Prodromi opusculis (post n. VI collectionis Parisinae) adnectit Vatic. Gr. 305 f. 121r, lemma τοῦ φιλοσόφου κυροῦ Θεοδώρου τοῦ Προδρόμου diserte in Vatic. Gr. 307 f. 2 praemittitur.

XIV) Μονῳδικοί[2]) ἐπὶ τῷ γαμβρῷ τῶν βασιλέων κυρῷ Μανουὴλ τῷ Ἀνεμᾷ. Ex Par. (et Marc.) edidit Miller ad Philen vol. II p. 356 sqq., qui Theodori Prodromi versus offerri coniectura adsecutus est[3]).

Secuntur f. 232r στίχοι περὶ τῆς ἁγίας Βαρβάρας, quod carmen totam quaestionem movit. Iam vero ad propositum confidenter reverti possumus, quoniam codicis ipsius habitus iudicium ab opinionis arbitrio seiunctum praestat. Aperte igitur versus sibi vindi-

---

[1]) Cf. praeterea quae de Parisino Suppl. Gr. 501 f. 18v adnotavit Miller, Notices et extraits des mss. de la bibliothèque nationale vol. XXIII 2 (1872) p. 6, de Vindobonensi Suppl. 3935 f. 183r Papademetriu Vizantijskij Vremennik vol. X (Petropoli 1903) p. 152: Marciani memoriam (f. 260v) ex Par. pendere ad n. VI docui. — Ad n. IX referendum esse duorum versuum specimen: (ὁρᾷς, θεατά, τοῦ φυτῶνος τὴν χάριν; | πρόκυψον, ἅψαι τῶν φυτῶν, οὐδεὶς φθόνος e codice Borbonico II D 22 f. 315r editum ab Hausrathio Byzant. Zeitschr. vol. X (1901) p. 103 n. 2 obiter moneo.

[2]) Μονῳδικός falso Miller enotavit.

[3]) Ad Par. redeunt etiam excerpta adespota, quae ex nostro poemate (v. 3—6. 33 sq. 37—41. 46—51. 57—60. 67—72. 77—83. 159—162) deprompsit Ducangius ad Zonar. vol. II p. 122 sq. ed. Paris. (vol. VI p. 196 sq. Dindorf.). De carminibus nunc quidem deperditis disertum auctoris testimonium extat v. 4 sq. οἱ παιανικοῖς καὶ γαμηλίοις λόγοις | τοὺς τῶν τέκνων σου (l. σοῦ) συγκροτήσαντες γάμους. Ex codice Marciano XI 22 f. 86v a Millero vulgati sunt (Annuaire de l'association pour l'encouragement des études Grecques en France vol. XVII, Paris. 1883, p. 55 sq.) ἐπιτύμβιοι ἐκ προσώπου τῆς θυγατρὸς τοῦ δεσπότου τοῦ ἀποιχομένου Ἀνεμᾶ καὶ τῆς κυρᾶς Θεοδώρας, ἥτις συνεζεύχθη τῷ Ἀγγέλῳ, unde Manuelis Anemae (15) et Thedorae Comnenae (11) filiam protonobilissimi Michaelis Angeli (18 sqq.) filio nuptam praematura morte (16) periisse discimus; viri autem nomen Acta synodi Constantinopolitanae anno 1156 habitae detegunt, quae quidem praesentiam tradunt τοῦ πανσεβάστου σεβαστοῦ καὶ γαμβροῦ τῆς μακαριωτάτης πορφυρογεννήτου καὶ περιποθήτου αὐταδέλφης τοῦ κραταιοῦ καὶ ἁγίου ἡμῶν βασιλέως κυρᾶς Θεοδώρας κυροῦ Ἰωάννου Ἀγγέλου (apud Nicetam Acominatum Patrol. Gr. vol. CXL p. 177 C). Nondum lucem vidit eiusdem codicis Marciani (f. 47r sqq.) ἐπιτύμβιος αἶνος ὁμοῦ καὶ θρῆνος εἰς τὸν πανευτυχέστατον γαμβρὸν τοῦ ἀοιδίμου βασιλέως καὶ αὐτοκράτορος Ῥωμαίων Ἰωάννου τοῦ πορφυρογεννήτου κυρὸν Μανουὴλ τὸν Ἀνεμᾶν.

cat Theodorus Prodromus, nec leve pondus ad sententiam nostram firmandam inde accedit, quod poetae nomen diserta aliorum codicum memoria confirmatur, qua de re testes sunt Borbonicus III A 6 (s. XIV) f. 106v apud Cyrillum (Codices Graeci mss. regiae bibliothecae Borbonicae) vol. II (Neap. 1832) p. 200 et Baroccianus 197 (s. XIV) f. 209v apud Coxeum (Catalogi codicum mss. bibliothecae Bodleianae) vol. I (Oxonii 1853) p. 343, tum Laurentianus Plut. V n. 10 (chartac. et membran. in 4⁰ min., s. XIV) f. 195r, quem ipse inspexi. Illic poema[1]) a trimetro λαμπρῶν ὁ πατὴρ ἀξιοῖ σε τῶν γάμων initium capit, in Laur.[2]) primus versus est: ἂν ἐξ ἀκάνθης εὐφυὲς τρυγᾷς ῥόδον. Scilicet argumentum suum non uno carmine auctor exsequitur, sed cogitationum varietate exponit, quare non sine iusta causa coniuncta sententiarum ornamenta ita disiunxi, ut decem poematia prodeant. Hinc igitur Laur. non fragmentum (v. 57 sqq. in Par.), sed carmen omnibus numeris absolutum offert eodemque modo fortasse etiam Borbon. et Barocc. in versu τὴν εἰς σέ, μάρτυς, πατρικὴν ἀστοργίαν (v. 12 in Par.) subsistunt. Quae traditionis ratio si nota esset explorataque, in contextu recensendo codicum Borbon. et Barocc. collationem sine molestia desiderarem; utut est, operae pretium facere mihi videor, si versus e Morellianae editionis latebris extraxero a corruptelarum et interpolationum sordibus purgatos:

α′.

Λαμπρῶν ὁ πατὴρ ἀξιοῖ σε τῶν γάμων,
(τῶν γὰρ θεϊκῶν), Χριστόμαρτυς Βαρβάρα,
καὶ βασιλικὴν ἐνδύει σε πορφύραν,
χρωννύς σε τῶν σῶν αἱμάτων τῇ κογχύλῃ.
Λαμπὰς δὲ γαμήλιος αὐτός ἐστί σοι
ὅλος κεραυνόβλητος ὀφθεὶς ὑψόθεν.

β′.

Πρηστήριοι πρὶν οὐρανόβρυτοι φλόγες
παιδοφθόρον φθείρουσι Σοδόμων πτόλιν,

---

[1]) Στίχοι Προδρόμου κυροῦ Θεοδώρου εἰς τὴν ἁγίαν Βαρβάραν Borbon.; ex Barocc. Latinam inscriptionis paraphrasin exhibet Coxe.

[2]) Τοῦ Προδρόμου στίχοι εἰς τὴν ἁγίαν Βαρβάραν.

Adnotatio critica: α) 1 ὁ πατὴρ] πατὴρ σὸς Mor. || 2 Χριστόμαρτυς] **scripsi:** Χριστόμαρτυ Par., Χριστομάρτυς Mor. || 4 χρωννύς] scripsi: χρωννύ Par. || 5 λαμπὰς δέ γ' αὐτός ἐστί σοι γαμήλιος Mor. || β') 1 οὐρανόβρυτοι] οὐρανόβλητοι Mor.; cf. ϛ′ 5 || 2 Σοδόμων] Σωδόμων Mor. || 3 νῦν δε] **scripsi:** νῦν δὲ Par.; cf. P. Maas Byzant.

κεραύνιοι καὶ νῦν δε πυρὸς λαμπάδες
παιδοκτόνον φλέγουσιν αἰσχρὸν πατέρα·
ὁ γὰρ ἐφ' ὕψους ἐκδικεῖ πατὴρ φθάνων
τὴν εἰς σέ, μάρτυς, πατρικὴν ἀστοργίαν.

γ'.

Ὁ τεκνοφόντης ἴσχε μαργῶσαν χέρα,
μὴ κατενεγκὼν ἀνελεῖς τὴν παρθένον.
Οὐ σὸν τὸ τέκνον οὐδὲ σῆς ἐξ ὀσφύος·
εἰ τοῦτο γὰρ ἦν, οὐκ ἀποσφάττειν ἔτλης
τὴν παῖδα τὴν εὔπαιδα, δύςπατερ πάτερ.
Πλὴν οὐ βραδύπους ἡ Δίκη· τὸ πῦρ φθάνει.

δ'.

Καλὸν κακοῦ κόρακος ᾠὸν εὑρέθης
καὶ τὴν παλαιὰν ᾔσχυνας παροιμίαν·
οὐκοῦν ἐπωάσαντος ἐν σοὶ τοῦ Λόγου
συλλαμβάνεις μὲν πνεῦμα καθ' Ἡσαΐαν,
νεόττιον δὲ μαρτυρικὸν ἐξάγεις·
ἆρ' ἀετός σε, μάρτυς, οὐ κόραξ κύει;

ε'.

Προέρχεται μὲν ἐκ καλάμης ὁ στάχυς·
πλὴν ἀλλὰ τὸν μὲν ἀποθήκη λαμβάνει,
τὴν δὲ φλέγει πῦρ· ἆρα γοῦν καὶ Βαρβάρα
καλαμίνης προῆλθε πατρὸς ὀσφύος;
Οὐκοῦν Θεοῦ μὲν ἀποθήκη Βαρβάραν,
πῦρ δὲ φλογίζον τὴν καλάμην λαμβάνει.

ϛ'.

Τὸν Θεσβίτην κτείναντα τοὺς Βαὰλ θύτας
οὐράνιον πῦρ ἀναδιφρεύει φθάνον.
τὸν σὸν δέ, μάρτυς, πατέρα κτείναντά σε
ὀλέθριον πῦρ ἐκπεσὸν καταφλέγει·
διπλοῦν γὰρ ἴσως οὐρανὸς τὸ πῦρ βρύει,
ἓν μὲν κολάζον, ἓν δὲ πῦρ σωτηρίου.

Zeitschr. vol. XII (1903) p. 291 | **5** γὰρ] γάρ γ' Mor. || γ') **1** ὁ] ὦ Mor. || δ') **2** παροιμίαν] scil. κακοῦ κόρακος κακὸν ᾠὸν cf. Schneidewin-Leutsch ad Zenob. IV 82, Gregor. Cypr. Leid. II 34, Apostol. IX 20 | **3** ἐν σοὶ] scripsi: ἔν σοι Par. | **4** Ἡσαΐαν] cap. VII 14 cl. XXVI 18 || ε') **1** προέρχεται] προςέρχεται Mor.; cf. 4 || **2** τονμὲν Par.; τὸν μὲν Mor. | **3** τηνδὲ Par., τὴν δὲ Mor. | ἆρα] ἄρα Mor. (δ' 6 Mor.

ζ'.

Ἡδύκρεων σῦς, ἀλλὰ τέλματος τόκος·
καὶ Βαρβάρα γοῦν βορβόρου κἂν ἐξέφυ,
ὅμως πρόκειται τῷ Θεῷ τροφὴ ξένη
καὶ πᾶν τὸ συσσίτιον αὐτοῦ λαμπρύνει·
χαίρει Θεὸς γὰρ ἀπὸ σαπρῶν βολβίτων
ἄρτους ἑαυτῷ καθαροὺς παριστάνων.

η'.

Πατὴρ ὁ θυτήρ, παῖς τὸ θῦμα παρθένος·
τί τοῦτο; μή τις καὶ πάλιν [ὁ] Ἰεφθάε
θυγατροθυτεῖ τῷ Θεῷ; μὴ σύ, ξένε;
Τοὖργον μὲν ἶσον, ὁ σκοπὸς δ' ἐναντίος·
πλὴν ἀλλ' ἰδού, πῦρ ὑετίζεται ξένον,
τὸν ἱερευτήν, οὐ τὸ θῦμα συμφλέγον.

θ'.

Τὸν Ἰσαὰκ μὲν Ἀβραὰμ θύων πάλαι
μάχαιραν ηὐτρέπιζε καὶ πῦρ καὶ ξύλα,
ὁ βάρβαρος δὲ Βαρβάραν πατὴρ θύων
τῆς μὲν μαχαίρας ἠκόνησας τὸ στόμα,
τὸ πῦρ δ' ἀφῆκας, ἀλλὰ δὴ καὶ τὰ ξύλα·
πλὴν καὶ τὸ πῦρ ἄνωθε καὶ τὸ πῦρ φλέγει,
καὶ σὺ δ' ὁ θυτὴρ ἀρκέσεις ἀντὶ ξύλων,
πάρεργον ὀφθεὶς τῶν ἀφ' ὕψους ἀνθράκων.

ι'.

Ἂν ἐξ ἀκάνθης εὐφυὲς τρυγᾷς ῥόδον,
ὁ σὴρ δὲ τὴν μέταξαν ἱστούργησέ σοι,
τὸ δ' ὄστρεον μάργαρον ἐσφαίρωσέ σοι,
τὴν πορφύραν δ' ἡ κόχλος ἐξήνθησέ σοι.

Ap' sine spir. et acc.) | 5 inc. f. 232v Βαρβάραν] Βαρβάρα Mor. | ς') 1 Θεσβίτην] scripsi: Θεσβύτην Par.; de re cf. Reg. III 18, 40 et IV 2, 11 || 6 σωτηρίου] σωτήριον Mor. || ζ') 1 ἡδύκρεων] ἡδύκρεως Mor. | 6 παριστάνων] παριστάναι Mor. || η') 2 ὁ delendum esse significavi | 3 θυγατροθυτεῖ] θύγατρα θυτεῖ Mor.; de re cf. Iudic. XI 30 sqq. || θ') 1 Αβραὰμ (sine spir.) Mor.; de re cf. Genes. XXII || 4 ἠκόνησας] ἠκόνησεν in mg. coniecit Mor.; cf. γ' 1 cl. θ' 7 || 5 ἀφῆκας] ἀφῆκεν Mor. (cf. 4), sed in Par. syllabae ας m. rec. εν (p. comp.) superscripsit || 6 ἄνωθε] scripsi: ἄνωθεν Par. || ι') habet Laur. || 1 εὐφυὲς] Laur.: ἀγενὲς (pro εὐγενὲς?) Par. || 2 μέταξαν] Laur. (et Mor.): μέταξιν Par.; cf. 6 || 3 om. Laur., at cf. 6 || 4 τὴν πορ-

δεῦρο προσελθὼν ἱστόρει καὶ Βαρβάραν.
ῥόδον, μέταξαν, μαργαρίτην, πορφύραν,
ὡς ἐξ ἀκάνθης, σηρός, ὀστρέου, κόχλου,
τοῦ καὶ φονευτοῦ καὶ φυτοσπόρου, λέγω.

Versus de S. Barbara in Par. sine ulla intermissione trimetri excipiunt sedecim, quos quidem Morellus lacunae signo addito post ι′ 8 non recte exhibet; diversum enim argumentum in conspectum venit eaque est contextus ratio, ut quattuor tetrastichis Alexii Contostephani gladium celebrari pateat:

α′

Στομοῦσι καλῶς Χριστομάρτυρες δύο
Κοντοστεφάνου τὴν σπάθην Ἀλεξίου,
ὁ μὲν λεόντων εἰς σφαγὰς τῶν εἰς δύσιν,
ὁ δὲ δρακόντων εἰς τομὰς τῶν εἰς ἕω.

β′.

Ὡς τὴν φλογίνην, Πέρσα, ῥομφαίαν τρέσον
Κοντοστεφάνου τὴν σπάθην Ἀλεξίου·
οἱ μάρτυρες γὰρ πῦρ ἀκοντίζουσί σοι·
φύγε πτοηθείς, μὴ τὸ πῦρ σε προφθάσῃ.

γ′.

Ἀλέξιος μάρτυρας ἐν σπάθῃ γράφων
Κοντοστέφανος ψαλμικῶς δοκεῖ λέγειν·
οὐ τῆς σπάθης σώσει με τὸ στίλβον στόμα,
ἰσχὺς Θεοδώρου δε καὶ Δημητρίου.

φύραν δ' ἡ] καὶ προφύραν ὁ Laur. | ἐξένθησέ] ἐθρέψατό Laur., ἐξήρπασέ Mor. || 5 προσελθὼν ἱστόρει καὶ Βαρβάραν] πρόσελθε, Βαρβάραν καθιστόρει Laur. || 6 post 7 exhibet Laur. || μαργαρίτην] μάργαρον καὶ Laur. | 8 om. Laur.; potius 7 sq. et hic et ϑ interpolatori tribuerem, si sex versuum ambitus (cf. α′ β′ γ′ δ′ ε′ ϛ′ ζ′ η′) requireretur, sed simili ratione non est aequalis et congruens versuum numerus in carminibus ἐπὶ κήπῳ (n. IX—XIII supra), ubi primum poema duodecim, reliqua octonos trimetros offerunt, quamquam et illic membrorum commoditas et aequitas detractis quattuor versibus (2. 10 sqq.) carminis primi facile reponi potest.

Adnotatio critica: Ex Mor. repetivit Ducangius, Famil. Byzant. (Lutet. 1680) p. 181, ubi in contextu Graeco duo versus (γ′1. 4) desiderantur in translatione Latina expressi | α′) 2 Κοντοστεθφάνου Par. (Κοντοστεφάνου Mor.) || 3 λεόντων] corr. Mor., λυαίων Par.; ad χιμαιρῶν ducere videtur Theodorus Prodromus p. 1393 C ἡ δυσμικὴ δὲ τῶν Γετῶν πανσπερμία, | ἡ Σκυθικὴ χίμαιρα, τὸ ξύνθρουν γένος | ἐμῇ μαχαίρᾳ παγγενεὶ διεφθάρη | β′) 4 φυγὲ Mor. || γ′) 2 ψαλμικῶς] cf. XLIII 3 ||

δ'.

Κοντοστεφάνου τὴν σπάθην Ἀλεξίου,
τὴν δίστομον πρὶν καὶ πρὸ τῶν τυπωμάτων,
τετράστομον ποιοῦσι μάρτυρες δύο
ὡς ἄλλο διπλοῦν ἀκονηθέντες στόμα.

Quodsi de versuum auctore quaestio exoritur, iudicandi ansam quadamtenus lemma in Par. omissum aufert, attamen sponte coniectura se offert, etiam illic Theodori Prodromi fetum adgnoscendum esse. Appositissime autem cum Theodori Prodromi aetate Alexii Contostephani nomen convenit, quoniam in haec tempora vita Alexii Contostephani incidit, quem anno 1161 belli ducem fuisse in expeditione Hungarica narrant Ioannes Cinnamus V 5 p. 211, 22 sqq. et 212, 12 sq. (Bonn.), Nicetas Acominatus p. 166, 23 sq. (Bonn.), Synopsis Sathae p. 255, 14 sq., cognationis gradu addito, quo domum imperatoriam contigerat. Etenim Manuelis I Comneni (1143—1180) ἀδελφιδοῦς vocatur, videlicet ex Anna [1]) Manuelis sorore genitus, quae Stephano Contostephano [2]) nupserat. Eodem sensu ἀνεψιοῦ appellatio occurrit apud Michaelem Glycam Epist. XXI (Patrol. Gr. vol. CLVIII) p. 929 C (cum Krumbacheri observatione: Michael Glykas, Sitzungsber. d. philos.-philol. und hist. Cl. d. bayr. Akad. 1894 p. 435 sq.) et in Actis synodi Constantinopolitanae apud Nicetam Acominatum Patrol. Gr. vol. CXL p. 177 A et 253 A, quae quidem in vivis fuisse anno 1166 Alexium demonstrant. Maximi vero momenti et ponderis ad quaestionem diiudicandam duo ipsius Theo-

---

4 Θεοδώρου δε] correxi: Θεοδώρου δὲ Par., Θεουδώρου δὲ Mor. δ') 4 ἀκονηθέντες] scripsi: ἀκονισθέντες Par.

[1]) Cf. E. Miller, Recueil des historiens des Croisades. Historiens Grecs vol. II (Paris. 1881) p. 185 A.

[2]) Alius eiusdem nominis vir sub Basilio II Macedone (976—1025) inclaruit (Scylitzes p. 437, 4 sqq., Zonaras XVII 6 vol. III p. 548, 16 sqq. Bonn.), ab Alexii patre diversus est etiam Stephanus, qui cum fratre Isaacio, magno duce classis, sub Alexio I Comneno (1081—1118) contra Boëmundum, Roberti Guiscardi filium, militabat (circa annum 1106). Nostro in Corcyrae oppugnatione (anno 1149) fragmentum lapidis ex machina ab hostibus emissi mortiferam plagam inflixit (Cinnamus III 4 p. 97, 6 sqq., Nicetas Acominatus p. 105, 15 sqq., Synopsis Sathae p. 231, 23 sqq. cl. Ephraemio 10156 sqq. p 407 Bonn.), quam deflet poema codicis Marciani XI 22 f. 69ᵛ sqq. a Millero carptim editum, Croisades vol. II p. 772 sqq. Anno 1147, quo Cosmas II Atticus patriarchae potestate privatus est, panypersebasti gradum habuit cf. Rhalles et Potles, σύνταγμα τῶν θείων καὶ ἱερῶν κανόνων vol. V (Athenis 1852) p. 307, 12 sq., ubi perperam πανυπερσεβεστάτου legitur.

dori Prodromi carmina sunt, in honorem Alexii nostri conscripta, quae luce donare iuvat. Ac prius quidem suppeditant codices: Marcianus Gr. 524 (chartac. in 4⁰, s. XIV, **M**) f. 103^v et Vaticanus Gr. 1126 (membran. in 16⁰, s. XIV) f. 149^v sq.[1]), ita tamen ut M nomen τοῦ Προδρόμου diserte adponat[2]), in V librarii errore (cf. p. 340 not.) τοῦ αὐτοῦ Manuelem Philen significet:

---

[1]) Hinc v. 1 sq. resectionis causa non addita protulit Miller ad Phil. vol. II p. 270.

[2]) Lemmatis fidem confirmant versus inediti, qui in M subiungutur: τοῦ αὐτοῦ εἰς ἄνθρακα· ἐπιστολὴ πρὸς τὸν κανικλείου (42 vv.), cum ipse auctor nomen suum edat v. 14 sq. τοὺς δ' εἰς σὲ παύει (φεῦ!) δρόμους τοῦ Προδρόμου ἄφυκτος ὀφθεὶς (ὠφθεὶς M) τοῖν ποδοῖν ποδοστράβη et 32 οὐκ ἐνθυμητὴς ἀρκέσει πρὸ Προδρόμου, neque ullam dubitationem poema tertium inicit: τοῦ αὐτοῦ εἰς ἐγχείριον τῆς Ὁδηγητρίας (17 vv.), ubi Eudocia Comnena, uxor Theodori Stypiotae, prodit, quem disciplinae suae alumnum fuisse Theodorus Prodromus testatur p. 1370 sqq. Migne. Auctoris autem nomine carent poemata reliqua (IV—LXXIV) in M subiecta (f. 104^r—112^v), quamquam ex mea quidem sententia florilegii concinnator syllogen Prodromeam digerere voluit. Cui sententiae nihil officit carminum IV—XII traditio, quae quidem in Christophori Mytilenaei corpusculo Cryptensi occurrant n. 138. 120. 121. 123. 125—127. 132. 134, quoniam haud semel Theodoro Prodromo Christophorus possessione sua cessit cf. Spicilegium Laurentianum 'Eos' vol. VIII, Leopoli 1902) p. 79 sq. Hoc vero monendum est, in M memoriam integriorem servari, quae tamen C. Hornae culpa in E. Kurtzii editione (die Gedichte des Christophoros Mitylenaios, Lipsiae 1903) non comparet. Nimirum apparatus criticus, quem Horna in Kurtzii usum e variorum codicum exemplis corrasit, neque plenus est et mendis scatet plurimis; cuius iudicii documentum speciminis gratia scripturae discrepantiam ex M f. 104^r sq. proferam, quem codicem iterum iterumque legere Hornae licuit (cf. 'Wiener Studien' vol. XXV, 1903, p. 217): **Christoph. 120:** inter v. 4 et 5 supplementum legitur: τί γὰρ κεφαλῆς τιμιώτερον μέρος; | ἣν κοσμικῶς στέλλοντες οὐκ ὀρθῶ νό^ω (post νό propter chartae fissuram fortasse μ periit, nisi forte νόω genuina est lectio. Ceterum ι ἀνεκφώνητον in hoc codice haud raro desiderari moneo; nec tamen Christophoro eximi potest scribendi ratio σώζεις **123**, 1, ζῶον **125**, 1, ubi σῴζεις et ζῷον lectore non monito in textum recepit Kurtzius; ι omittit etiam M^b (sive M f. 180^v) et C || 6 π<λ>ὴν (π... secundum Hornam; λ abscissum est, ἣν per compendium exaravit librarius) || **121**, 6 φειδῶ (non φειδὼ) || **123**, 1 καλόν σε (non καλὸν σὲ — eodemque modo M^b, ubi praeterea in inscriptione pro Χριστοῦ habes: σωτῆρος ἡμῶν Ἰησοῦ Χριστοῦ. Etiam ex C καλόν σε recte enotavit Rocchi, quam lectionem tacite Kurtzius mutavit) || **125**, 2 οἷον ἐστὶ (etiam M^b; non οἷόν ἐστι) || **126**, 2 <κλείσ>ας (non κλείσας — scilicet κλείσ prorsus evanuit) || **127**, 10 ἀνεῖλον (non ἀνεῖλκον) || 13 πλέων θέλων (non πλέον θέλω) || **132** lem. διατοῦτο (quemadmodum etiam in C legi; non διὰ τοῦτο) || 3 προσέρχη dilucide (neque ι ἀνεκφώνητον deest) || **134**, 1 <μν>ὰς (eodemque modo C, non μνᾶς — abscissae sunt in M litterae μν) || γαλὴ τίς (etiam M^b; γάλη τίς C, non γαλῆ τις) || 4 μόνος (non πάλαι).

Εἰς εἰκόνα ἔχουσαν τὸν Χριστὸν ἱστορημένον.

Ἂν ἡ Θεοῦ χεὶρ οἶδε καὶ τύπους γράφειν,
ἡ πρὶν βροτοὺς γράψασα πλαστικοῖς νόμοις,
ἡ σή σε χεὶρ ἔγραψεν ὧδε, Παντάναξ,
ἐξ αὐτοβαφῶν καὶ θεϊκῶν χρωμάτων·
ἢ μὴν προφήτην Μωϋσῆν εὑρὼν νέον
τὸ ξύλον εἰςδὺς ὡς βάτον λαλεῖν θέλεις·
ἢ μὴν δι᾿ ἡμᾶς ὡς δι᾿ Αὔγαρον πάλαι
τὸ ξύλον εὑρὼν ἀπομάττῃ τὸν τύπον,
ὡς ἂν τρίτον μόρφωμα τῆς σῆς ἰδέας,
λινοῦν, κεραμοῦν καὶ ξύλινον, τυγχάνῃ.
Ἔδει γὰρ ἴσως τὸν ταθέντα σε ξύλῳ
κἀν τῷ ξύλῳ νῦν ἐμφανισθῆναι πάλιν.
Χθὲς εὗρον εὐτύχημα τὴν σὴν μητέρα,
νῦν καὶ τὸν υἱόν· καὶ Θεόν σε λαμβάνω·
ἴσως γὰρ ἴσως υἱϊκοῦ πόθου βίαις
τῆς μητρὸς ἐκτὸς οὐκ ἐκαρτέρεις μένειν
κἀντεῦθεν αὐτὴν ἦλθες εὑρήσων πάλιν·
καὶ δόξα τῇ σῇ χρηστότητι, Χριστέ μου,
ὅτι πρὸς ἡμᾶς ἀξιοῖς καταλύειν·
κἂν οὐκ ἐγὼ γὰρ Ἀβραὰμ τύπον φέρω,
Μαμβρῆ τέως δρῦν τὴν κατοικίαν βλέπω,
ἐν ᾗ ξενίζω δουλικῶς τὸν Δεσπότην
καὶ τοῦ πόθου τὸν μόσχον ἀσμένως θύω,
ἐξ οὗ φαγὼν μέμνησο τῆς σῆς ἑστίας.
Ἀλέξιόν με τὸν ξενίσαντα σκέπε
Κοντοστέφανον, Κομνηνὸν τὸ μητρόθεν,
στομῶν κατ᾿ ἐχθρῶν ἐν μάχαις μοι τὴν σπάθην,
φρουρῶν τὰ τέκνα, τὴν τεκοῦσαν συσκέπων,
τὴν ἀπὸ Δουκῶν ἱκέτιν σου Μαρίαν,
καὶ τῆς ἐκεῖθεν ἀξιῶν κληρουχίας.

Adnotatio critica: Εἰς — ἱστορημένον om. V (τοῦ Προδρόμου **praemittit M**, τοῦ αὐτοῦ **exhibet V**) || **1** ἂν] ἢν **citra necessitatem coni.** Miller || **3** ἔγραψεν] ἔγραφεν **M** || **5** ἢ **V** | μὴν] μὴ M; **cf. 7 (et** ἂν **v. 9 in** M) || **6** ξῦλον **V** || λαλεῖν] λαχεῖν **M** || **7** ἢ **V** || μὴν] μὴ **M** || **8 inc. f. 150r V** || ξῦλον **V** || ἀπομάττῃ] ἀπομάττει **V** || **12** κἀν] κἂν **V** || **13** εὗρον] εὑρὼν **V** || **15** γὰρ ἴσως] γὰρ ἴσθι **M** || **18** χρηστότητι] Χριστότητι **M** || **20** Ἀβραὰμ **V** || **21** Μαμβρῆ] Μαββρῆ **M$_1$**, Μαμβρῆ M$_2$, Μαβρῆν **V**; **cf. Genes. XIII 18 et alibi** || δρῦν **V** || **22** ξενίζω] καὶ ξενίζω **V** || **27 loquendi ratio plane similis est in Par.** α′ **1 sq. (p. 345 supra)** στομοῦσι καλῶς Χριστομάρτυρες δύο | Κοντοστεφάνου τὴν σπάθην Ἀλεξίου || **29** ἱκέτιν] ἱκέτην **V m. pr.**

Mariam Ducaenam (29) uxorem fuisse Alexii Contostephani nec liberos ei defuisse (28) Prodromi carmen commode docet, matris prosapia verbis Κομνηνὸν τὸ μητρόθεν (26) haud obscure significatur, quae locutio recurrit in sigillo apud G. Schlumbergerum, Sigillographie de l'empire Byzantin (Paris. 1884) p. 646:

Κοντοστεφάνου τὰς γραφὰς Ἀλεξίου
ἐγὼ κρατύνω Κομνηνοῦ τοῦ (τὸ?) μητρόθεν.

Longe plures notitias alterum poema ineditum effundit, quod servat codex Laurentianus Conv. Soppr. 627 (chart. in 8°, s. XIII, L) f. 15ʳ sqq.

Τοῦ Προδρόμου εἰς τὸν Κομνηνὸν κῦριν Ἀλέξιον τὸν Κοντοστέφανον.

Ἔδει με σιγᾶν· εἰ δὲ καὶ γράφειν ἔδει,
θυμηδίας ῥήματα καὶ λόγους μόνους
πανηγυρικοὺς σὺν χαρᾷ γράφειν ἔδει,
σκιρτῶντα καὶ κροτοῦντα σὺν εὐθυμίᾳ,
ἐφ' οἷς ἀπείροις ἀγαθοῖς Θεὸς στέφει
τὸν εὐγενῆ μου, πάγχρυσόν μου δεσπότην·
ἐπεὶ δὲ πικρὸς ἀγρίας τύχης φθόνος
γράφειν με συνήλασε θρηνώδεις λόγους,
δακρυῤῥοοῦντα καὶ γοῶντα βυθόδεν,
ὡς ἐκραγείσης τῆς καλῆς τριδενδρίας,
Ἀλεξίου θανόντος, ὃς χρυσοῦς κλάδος
δυσὶν ἀδελφοῖς ἦν καθαρῶς ἐμπρέπων.

Adnotatio critica: L madore affectus saepius scripturam lectu difficilem exhibet; in damnum praecipue versuum initia incurrerunt f. 15ʳ et 16ʳ Col. I, clausulae f. 15ᵛ et 16ᵛ Col. II, nec semper certas esse contextus nostri lectiones nonnumquam e vestigiis vix aparentibus concinnatas ingenue fateor; supplementa, quae propter litterarum ductus evanidos potius coniecturarum speciem praebent, signo < > denotavi || 7 ἐπεί δε L, ac similiter 62. 63. 100. 196. 208. 266 cll. 49. 236 (sed 198 πίοι δὲ), tum ἀνήρ γαρ 204, quibus locis novam scribendi rationem inire vereor, novis praeceptis destitutus, quae Maasium eruturum esse speroi idem valet de enclitico particularum γὰρ (36. 155) et δὲ (175. 296. 319. 353; cf. tamen 130. 202. 303) usu in caesura semiquinaria, praesertim cum 353 proparoxytonon falso evadat cf. quae in Nicolai Calliclis editione (Rozprawy Wydz. filol. Akad. Umiej. vol. XXXVI, Cracoviae 1903, p. 315—392) nuper observav p. 318 n. 1, ad carm. XXV 14, XXVI 22, XXVIII 27. Sed Maasii studiis edoctus (der byzantinische Zwölfsilber, Byzant. Zeitschr. vol. XII, 1903, p. 294 sqq.) in caesura semiseptenaria δὲ repudiavi 24 (cf. ad Callicl. XXIV 15); adde 144 ||

καὶ πικρὸν ἡμῖν τὸν γόον λελοιπότος.
ἔδει λαβεῖν με τοῦ λόγου συνεργάτην
καὶ τοῦ στεναγμοῦ προςλαβεῖν κοινωνίαν,
ὡς ἂν ἐπαρκέσαιμι πενθῶν ἐκ βάθους
ἀνδρὸς τόσου στέρησιν (ὢ πικροῦ λόγου!)·
ἔδει τεμεῖν με τὸ πλάτος τῆς καρδίας
καὶ συσπαράξαι τῶν μελῶν μου τὴν θέσιν,
ὡς ἂν ποταμοῖς ἐκραγεῖσιν αἱμάτων
καταῤῥανῶ τὸν τάφον ἀντὶ δακρύων·
πῶς γὰρ τόσην ἄσβεστον, ἄστεκτον φλόγα
στέρξας μενῶ τὸ πρᾶγμα καθ᾽ ἡσυχίαν,
οὐκ ἀποβαλοῦμαί δε καὶ ψυχῆς σθένος
καὶ σωματικὰς ἐκθερίσω δυνάμεις,
ὡςεὶ θερίστρα τῷ πάθει χρησάμενος;
Καὶ γοῦν καλῶ τὰ πάντα πρὸς συνεργίαν·
ναὶ καὶ συνεργήσατε τοῖς δάκρυσί μου
καὶ τοὺς στεναγμοὺς βυθίους πέμψατέ μοι,
οὐρανὲ καὶ γῆ καὶ τὰ κύκλῳ καὶ πέριξ·
ἄνδρα γὰρ οὐράνιον ἐν φρενῶν βάθει
καὶ ψυχικῶν ἄγαλμα πασῶν χαρίτων
γῆς βυθὸς αἴφνης ἐξαποκρύψας ἔχει·
ἥλιε, καὶ σὺ φῶς τὸ λαμπρόν σου σβέσας,
δίδου μαρασμὸν συμφορᾶς φλογὶ τόσης·
τὸν εὐπρεπῆ γὰρ καὶ καλὸν τὴν ἰδέαν,
τὸ πυρσολαμπὲς τῶν ἀνακτόρων σέλας,
Ἅιδου σκοτεινὸς ὑπεδέξατο ζόφος.
Ἀνὴρ ἐγὼ δείλαιος ὢ ταῦτα γράφων!
πῶς καρτερεῖν τὸ πρᾶγμα καὶ στέγειν ἔχω
καὶ πῶς παρ᾽ αὐτοῖς οὐ θανατῶ τοῖς λόγοις
καὶ νεκροποιὸν οὐχ ὑφίσταμαι πάθος;
Φρονήσεως πέπτωκεν ἔμψυχος πίναξ,
πανευγενῶν ὄλωλεν ἠθέων χάρις,
εὐβουλίας πύργωμα, σύντομος φράσις·
νοῦς στεῤῥός, ὀξὺς ὑπὸ γῆν (φεῦ!) ἐκρύβη
καὶ πλημμυροῦσιν οἱ ποταμοὶ δακρύων
ἐν τῇ καθ᾽ ἡμᾶς καὶ βασιλίδι πόλει·

24 ἀποβαλοῦμαί δε] **scripsi**: ἀποβαλοῦμαι δὲ **L**; **cf. ad 7** || **26** χρησάμενος] **propter proparoxytonon in versus fine collocatum coniectura** κεχρημένος **commendatur nec tamen necessaria est** || **36** εὐπρεπῆ γαρ **L**; **cf. ad 7** || **42** οὐχ᾽ **L eodemque modo**

ἐμοὶ δ' ἁπλοῦται τοῦ στεναγμοῦ τὸ πλάτος
καὶ δακρύων ῥοῦς τὴν κλίνην ὑποβρέχει.
Ὢ πῶς με πικρᾶς συμφορᾶς θλίβει <βάρος>
καὶ ταραχώδης συμπνίγει τρικυμία,
ἐναλλαγέντων ἀθρόον τῶν πραγμάτων
ἐκ χαρμονῆς τοσῆσδε πρὸς λύπην τόσην!
Τίς ἡ τοσαύτη συμφορὰ καὶ πικρία
καὶ τί τὸ συμβὰν πάθος ἐξαιφνιδίως
καὶ καταπιμπρῶν εὐγενῆ συναυλίαν;
Μή μου πλανῶμαι σὺν νεκροῖς τεταγμένος
τὸν τοῦ <κρατ>οῦντος αὐτανεψιον βλέπων;
Φεῦ! ἀλλὰ πενθεῖ βασιλεὺς ἐκ καρδίας.
θρηνεῖ κραταιὸς Αὐσονάρχης δεσπότης,
εἰπεῖν δὲ ταὐτὸν ὡς βρυχᾶται μὲν λέων.
ὄρη δὲ πιμπλᾷ καὶ νάπας στεναγμάτων.
Ἆρα κυπαρίττινον ἄνθος ἐψύγη;
ἆρα ⏑ — <ὕπν>ωσσεν ἀκμάζων νέος,
Ἀλέξιος, κάλλιστον ἄνθος ἐν νέοις,
πρεσβυ<τικὸς> φρόνημα, χαρίτων βρύσις;
Οὔκουν πλάνη τὸ πρᾶγμα καὶ θρηνεῖν δέον
<τοὺς τῇ τοσ>αύτῃ συμφορᾷ τηρουμένους:
Ὢ τίς πρὸ ὥρας ἰταμῶς ἔκοψέ σε,
<πανευθαλ>ές, κάλλιστον, εὐῶδες ῥόδον;
ὢ πικρὸς οὗτος ἐν θερισταῖς ἀγρίοις,
⏓ — ⏑ — ει σὲ στάχυν παρ' ἐλπίδα!
Χθὲς συμπονῶν ἵστασο γεννάδας νέος,
⏓ — ⏑ — ⏓ κατὰ Περσῶν βαρβάρων
τῷ φωςφόρῳ γίγαντι τῆς γῆς Αὐσόνων,
<καὶ> νῦν ⏑ — ⏓ ὑπὸ Ταρτάρου σκότον
αἰφνηδὸν οὕτως ὁ χρυσόθριξ ἐκρύβης.
⏓ — ⏑ οὖντα σὺν κρατίστῳ δεσπότῃ
κατ' ἀλλοφύλου βαρβαρικῆς ἰσχύος

---

215 || **49** ἐμοί δ' L; cf. ad 7 || **56** ἐξαιφνιδίως] ἐξ αἰφνιδίου (superscr. ως) L; genuina lectio superscripta est etiam 80 et 250, falsa 88 || **58** τεταγμένος] scripsi: τεταγμένως L || **59** κρατοῦντος] falsam scripturam νεκροῦντος (propter 58 νεκροῖς?) litterarum ductus innuunt; cf 129. 303 || **62** εἰπεῖν δε L; cf. ad 7 || **63** ὄρη δε L; cf. ad 7 || **65** participium post ἆρα expectatur; θανὼν litterarum vestigia excludunt || **70** ἴταμῶς L || **73** expectatur: <ὃς ἐκθερίζ>ει || **80** ἀλλοφύλους (superscr. ο υ) L || **81** ἐξέπεμψε] scripsi: ἐξέπεσέ L; ceterum codicis scripturam in versus introitu non satis certam esse animadverto

πανευγενὴς σύζυγος ἐξέπεμψέ σε
καὶ νῦν σιγῶντα καὶ τακέντα τῇ νόσῳ
⏓ — διαπόντιον ἀπολαμβάνει·
τὸν ἱππότην χθές, εὐσθενῆ ξιφηφόρον,
τῷ μητρόθεν θείῳ σε σύμμαχον φέρει
στερρῷ βασιλεῖ, πορφυρανθεῖ δεσπότῃ.
⏓ — <θανατ>όβλητον ἀρτίως βλέπει,
παθαίνεται σὲ καὶ σιγᾶν σιγὴν τόσην·
καὶ — ⏑ — ⏓ οὐδὲ συνθάνοι τέως
καὶ τάφος εἷς δέξαιτο τὴν συζυγίαν;
Ὦ γράμμα τερπνὸν καὶ γλυκύτητος γέμον,
ὢ χερσὶν ἐγχαράξας αὐτὸς ἰδίαις
⏓ — ⏑ — ⏓ — ⏑ — τῇ συζύγῳ
καὶ λαθικηδὲς πρὸς μικρὸν κιρνᾷς πόμα!
⏓ — ⏑ τῶν σῶν ἐκλελησμένος λόγων
ὁ τῇ γραφῇ ζῶν, ταῖς ἀληθείαις νέκυς·
τὸν δύσπλοον πλοῦν τοῖς φιλοῦσιν ἐκπλέεις·
τὸ γράμμα τέρψις ἦλθε, τὸ πρᾶγμα ξέσις,
πολλὴν ἀναξαίνουσα βαρυαλγίαν·
ὁ πλοῦς δὲ τόξον εὑρέθη τεταμένον,
Κομνηνικαῖς βέλεμνα βάλλων καρδίαις.
Ὦ δυστυχὲς πλοῦ καὶ θαλάσσιε κλύδων
ὅλας θαλάσσας ἐκτομοῦντες δακρύων
καὶ πρὸς πέλαγος βαθέων στεναγμάτων
διεκπερῶντες συγγενὲς κλεινὸν γένος!
ὢ φροντίς, ἡ τὸ σῶμα τοῦ πεπτωκότος
ἡμῖν ἐπαχθῆ, δυστυχῆ χόρτον φέρεις!
Οὐκ ἐκ δρυὸς τάχα σε καὶ ξύλου βλέπω,
ἀλλ' ἐκ σιδήρου καὶ πυρὸς πεπηγμένον·
βέλη γὰρ ἡμῖν ὡς πυρίφλογα φέρεις
καὶ καταπιμπρᾷς πᾶσαν ἐγκάτων θέσιν·
ὁ δ' εὐσθενής μοι καὶ καλὸς πανοπλίτης
Ἀλέξιος (φεῦ!) ἀκινησίαν φέρει,
καὶ τοξότου χεὶρ ἡ πανευστοχωτάτη
ναρκᾷ πρὸς ἔργον οὐδ' ἐνεργεῖν ἰσχύει.

|| **84** τὸν] ὃν (ut videtur) L || **88** παθαίνεται σὲ] scripsi: παθαίνεταί (παθαίνεσθαί m. sec. dare voluit; cf. 308) σε || **92** ὢ] ᾧ? ὃ? || **93** <ἔχεις παριστᾶν ἰδίως> litterarum ductus videntur offerre || **95** inc. f. 15v || **100** πλοῦς δε L; cf. ad 7 || **101** βάλλων] coniectura βάλλον carere possumus || **107** χόρτον] φόρτον? || **120** καὶ] malim:

Ὦ ψυχρέ, πικρὲ δυςμενοῦς Ἅιδου ζόφε,·
ἢ τὸν νεκρὸν δός, ὃν καλύψας εἰςφέρεις,
ἢ προςλαβοῦ φιλοῦντας εἰς ἕνα τάφον,
οἷς οὐδὲ τὸ ζῆν ἐστι νῦν βουλητέον
καὶ μὴ βλέπειν ἔχουσι φιλτάτην θέαν.
Ζητοῦσιν οἱ φιλοῦντες ὃν λαβὼν ἔχεις.
ζητεῖ βασιλεὺς τὸν θανόντα καὶ κλάει·
ἀδελφόπαι, χρύσασπι πιστότατέ μου,
ἡρωϊκὴ φρόνησις. ἀνδρεία φύσις.
ὢ σπεῦσον, ἐλθέ. συμπόνει μοι τὴν μάχην,
ἑτοίμασον τὸ τόξον. ἕλκε τὴν σπάθην
καὶ τὰ βέλη μέθυσον ἐξ εὐτολμίας
τοῖς Περσικοῖς αἵμασιν ἠρυθρωμένα.
Καλεῖ μὲν οὕτω τοῦτον ὁ κρατῶν ἄναξ,
ὁ κείμενος δὲ τῇ νόσῳ βεβλημένος,
κἂν δουλικὴν ἔθρεψεν ἐκ βρέφους σχέσιν.
ἴσην βασιλεῖ καὶ Θεῷ πίστιν φέρων,
εἰς ἓν μόνον λέληθε προςκρούσας τόδε,
τὸ μὴ παρευθὺ τοῖς βασιλέως λόγοις
ἵππῳ καθεσθεὶς καὶ λαβεῖν μακρὸν δόρυ
καὶ συνταράξαι τὴν φάλαγγα βαρβάρων·
ἡ γὰρ νόσος βέβληκεν αὐτὸν καιρίαν
κἀντεῦθεν ἀργεῖ χείρ, βουλή, τόξου τάσις.
Τίς πικρά, λυπρά, τελχινώδης κακία
δένδρον τόσον κλᾷ, χώννυσι τόσην βρύσιν;
Θρηνεῖ τὰ βασίλεια τὸν πεπτωκότα·
σφόδρα γὰρ ὑπέλαμπε τοῖς ἀνακτόροις·
θρηνεῖ βασιλεύς· οὐδὲ γὰρ φέρειν ἔχει,
ἀδελφιδοῦν. τοῦτόν δε μὴ βλέπειν ἔχων·
τήβενναν αὐτήν, καταπόρφυρον φάρος
τίθησιν ὑπόλευκον ἐκ τῶν δακρύων
καὶ βασιλικοῖς ἀναμιγνύει λίθοις
ὡς μάργαρον πίπτοντα ῥοῦν τῶν δακρύων.
Βουληφοροῦν πέπτωκεν εὔφραδὲς στόμα,
γλῶσσα σιγᾷ λαλοῦσα σύνεσιν μόνην·
καὶ μὴ καθ' αὑτὸν συσκοπεῖ τὰ πρακτέα,

εἰ || 144 τοῦτόν δε] τοῦτον δε L; cf. ad 7 (emendatione: ἀδελφιδοῦν τοσόνδε non est opus) || 149 βουληφοροῦν] in βουληφόρον (cf. 158) mutare non audeo || 150 λαλοῦσα]

ὡς καλὸν αὐτοῖς κῦρος ἠρέμα νέμει
σὺν τῷ κρατίστῳ βασιλεῖ τῶν Αὐσόνων;
Κἀντεῦθεν ἡμᾶς οὐδ' ἐπιβλέπειν θέλει·
ἀπασχολεῖ γὰρ τοῦ νοὸς τὰς φροντίδας
εἰς κοσμικῶν σύγκλωσμα πολλῶν φροντίδων.
Οἴμοι! πλάνη τὸ πρᾶγμα καὶ κοῦφος λόγος·
τὸν γὰρ καλόν σε καὶ πολὺν βουληφόρον
(ὦ φύσεως ἄγαλμα, χαρίτων πίναξ,
'Αλέξιε! ῥάγηθι καρδίας πλάτος!
διχῇ ῥαγὲν βλήθητι κατὰ γῆς πλάτους!)
῞Αιδου φαγεῖν ἴσχυσε παμφά<γον στό>μα.
Ποῦ συμφορὰν εἴπῃ τις ἐμβριθεστέραν,
ὅτε τὸ λωτοῦ γλυκερώτερ — ∪ ∪̄
αἴφνης ἐφησύχασε καὶ σιγῶν μένει,
ὕπνον δ' ὑπνοῖ χάλκειον — ∪̄ — ∪ ⏓.
ὁ νοῦς ὁ πανδέξιος. ἡ πτηνὴ φύσις:
Ἡ πνὺξ βλέπειν θέλει σε τὸν ∪̄ — ∪ —.
ἡ πανστρατιὰ τὸν καλὸν στρατηγέτην.
καὶ σὺ σιγᾷς, νέκρωσιν — ∪ — ∪ ⏓,
Οἷον δεδαπάνηκε κάλλος ἐν νέοις
θερίστρια γραῦς ἐν βρα<χυτάτῳ χρόνῳ>!
Ἔστω! τὰς ἄλλας ἀθετεῖς ὁμιλίας
καὶ δυσχερῶς μέν, ἀλλ' ὅ<μως> ∪̄ — ∪ ⏓,
πανευπρεπεῖ δὲ σώφρονί σου συζύγῳ,
ἣν ἔπνεες ζῶν καὶ παρ — ∪̄ — ∪ ⏓,
πῶς οὐ παρηγόρημα τῆς λύπης δίδως;
Οὐ συνεδενδρώθητε — ∪̄ — ∪ ⏓,
φοίνικες ἄλλοι συμπλοκαῖς ἡρμοσμένοι,
ἀνακτορικοῖς ἐμπρέπ<οντες κη>πίοις
καὶ λαμπρὸν αὐξάνοντες εἰς ὕψος μέγα;
καὶ νῦν μαρασ<μὸν> σοῦ μαρ — ∪̄ — ∪ ⏓
συνεψύγη σύζυγος εὐθαλεστάτη
καὶ κατὰ γῆς ἔρριψε τὴν εὐκοσμίαν.
Σὺ φῶς ἀνῆπτες πυρσολαμποῦς λυχνίας,

---

correxi: λαλοῦσαν L **151** vitio fortasse laborat ‖ **155** ἀπασχολεῖ γὰρ] ἀπασχ(ο)λ γαρ L; cf. ad 7 | **164** ὅτε] scripsi: ὅτι L | expectatur: γλυκερώτερ<ον στόμα> ‖ **168** expectatur: τὸν <βουληφόρον> cf. 158 cl. 149 ‖ **172** supplementum incertum esse moneo ‖ **175** πανευπρεπεῖ δε L; cf. ad 7 | **180** ex coniectura, non litterarum vestigiis insistens supplevi ‖ **182** μαρ<ανθεῖσα>? ‖ **184** εὐκοσμίαν non satis dilu-

ζωή, πνοή, φ<ῶς>. συγχ ∪ – ∪̄ – ∪ ⏓,
καὶ σοῦ κρυβέντος ὑπὸ γῆν συνεκρύβη
καὶ πρὸς <δύσιν> κλίναντος <εἰς δύ>σιν βλέπει
καὶ νυκτερινὸν ἐνδιδύσκεται πέπλον·
τὰ στέρνα – ∪̄ – σι τῶν στεναγ<μάτων>.
∪̄ – ∪ – ∪̄ εισι δακρύων βρύσις.
<ἐναντιοῦται> τῇ καθαρᾷ τρυγόν<ι>.
Πῶς οὖν ἐνέγκῃ τοὺς ἐναντίους πονους,
φλόγα στεναγμῶν καὶ ποταμὸν δακρύων;
Πάντως τὸ πῦρ φλέξειε τὴν ἔνδον θέσιν,
φθερεῖ δὲ ταύτην ὑγρότης ἐξ ἀγχόνης
καὶ καθόλου φεύγοι μὲν ἄρτον δακρύων,
πίοι δὲ ῥεῦμα βαθέων στεναγμάτων,
τὴν σὴν φέρειν στέρησιν οὐ δυναμένη.
Ταύτῃ παρηγόρημα τῆς λύπης δότε
αἱ σωφρονικαὶ συγγενεῖς Κομνηνίδες,
θρηνήτριαι δὲ λιγυρῶς ᾄσατέ μοι
ταύτης τὸ πικρότατον ἄλγημα τόδε·
ἀνὴρ γὰρ αὐτῆς ἐν στρατηγίαις μέγας,
ἔμφρων, περιδέξιος, ἀγαλματίας,
πορφυροφυοῦς, εὐθαλοῦς μητρὸς κλάδος,
εὐκαρπίαν σύμπασαν ἀρετῶν φέρων,
ἀνθῶν δὲ τερπνῶς ἐν βασιλείοις δόμοις,
λεπτὴ σκιὰ νῦν καὶ κόνις κούφη μένει
καὶ τὸν τόσον δίπηχυς ἐγκρύπτει λίθος.
Ὦ πικρὲ τυφὼν ἀγριωτάτης νόσου,
ὃς πνεύσας ἄφνω κατὰ γῆς βάλλεις κάτω
τόσην κυπαρίττινον, εὐμήκη χάριν,
πῶς τὰς τόσας χάριτας οὐ κατῃδέσω
καὶ τὴν καλὴν εὔχροιαν οὐχ ὑπεστάλης;
πῶς δένδρον ὑψίκομον ἐκριζοῖς ἄφνω
καὶ συσκιάζεις τῶν καλῶν τὴν αἰθρίαν;
Οὐ χθὲς τριὰς ἦν εὐγενῶν ὁμαιμόνων,
κλεινή, πολυζήλωτος ὡς χρυσοῦ χάρις

---

cide legitur || **186** φ<ῶς> cf. 292. 297; similis est Theodori Prodromi versus apud Boissonadum Anecd. Nov. (Paris. 1844) p. 383 v. 306 ζωή, πνοή, φῶς, βάθρον, ἄγκυρα, σκέπη || **188** supplevi ut potui || **190** sq. de sententia cf. 194. 197 sq. || **191** inc. f. 16r || **196** φθερεῖ δε L; cf. ad 7 || **204** ἀνήρ γαρ L; cf. ad 7 || **208** ἀνθῶν δὲ τερπνῶς] scripsi: ἀνθ' ὧν δε (cf. ad 7) τερπνῶν L || **211** ἀγριωτάτης] cor-

ἢ φωτολαμπὲς πῦρ διαυγὲς ἡλίου;
ὃ τριττὺς ἦν χθές, σήμερον δυὰς πόθεν;
ποῖος τομεὺς τέτμηκεν οὕτως ἀθρόον
ἀδελφικὴν σύμπνοιαν; Οὐ θρηνεῖν δέον·
ἔλυτρον ἦσθα τάφε· κρύψας γὰρ ἔσω
τὸν μάργαρόν μου τὸν πολύτιμον φέρεις·
τὸν λυχνίτην μου λύχνον ἀφήρπασέ με
τραχύς, σκοτεινὸς καὶ δυςάντητος λίθος·
ἄνθρακα λίθον εἶχον, ὃς σβεσθεὶς τέως
ἄνθρακας ἡμῖν ὑπανῆψε δακρύων.
Ἆρα πρὸ καιροῦ τὸν μαρασμὸν εἰςέδυς,
καύχημα τερπνὸν εὐγενῶν ῥιζωμάτων·
οὐ γὰρ παρῆλθεν ἡμερῶν πλήρης χρόνος,
παρὰ μέσῳ δ' ἔαρι τῆς ἡλικίας
τὸ τερπνότατον ἐξαπεψύγη ῥόδον
καὶ λευκότατον ἐκμεμάρανται κρίνον,
τμηθεὶς δ' ἀωρὶ βότρυος νέου δίκην
εἰςάγεται καθάπερ εἰς ληνὸν τρύγης
τὸν πικρὸν Ἅιδην (πῶς ὑποίσω τὸν λόγον;)
καὶ θανάτου χάλαζα τὸν καλὸν στάχυν
πρὸ τοῦ πεπασμοῦ κατὰ γῆς κατακλίνει.
Ἐν ταῖς θαλάσσαις σὰς ὁδοὺς κατειργάσω
κἀν τοῖς ποταμοῖς σὰς διανύεις τρίβους,
ὢ παντοδαπῶν ἀρετῶν ἔμπνου τόπε!
τὸ Δαυϊτικὸν ταῦτά σοι γράφει στόμα·
ἐν γὰρ θαλάττῃ πλεύσας ἡμῖν εὑρέθης
λυπρὸν προςαγκάλισμα, φορτὶς πικρίας,
ὅλους ποταμοὺς ἐξανοίγων δακρύων.
Ὦ φορτὶς αὕτη βαθέων στεναγμάτων,
ὦ φόρτε πικρὲ θλίψεως βαρυτάτης!
ἄρτον γὰρ ἐψώμισας ἡμᾶς δακρύων·
πάσας ὁδοὺς κατέσχε τοῦ θρήνους βάρος,
πάσαις πλατείαις ἐξανοίγεται γόος,

rexi: ἀγριώτατε L || **226** με] suspicione caret || **230** ἆρα] ἄρα L; cf. 64. 65 || **235** κρῖνον L ut 263; cf. ad Callicl. XXV 6 || **236** τμηθείς δ' L; cf. ad 7 || **242** κἀν] καὶ ut videtur L || **243** τόπε] malim: τύπε L; cf. 331 καὶ σώφρονος τύπωμα πανσέμνου βίου tum 434 φρονήσεως πέπτωκεν ἔμψυχος πίναξ cll. 159. 272 || **244** Δαυϊτικὸν] Psalm. LXVIII 2 || ταῦτα σοι L || **246** προςαγκάλισμα] scripsi: προςαγγάλισμα L || **246** φορτὶς] φόρτος? cf. 249 || **250** ἐψώμισεν (superscr. ας) L | ἡμᾶς] scripsi: ἡμῖν

<ἦ> κατὰ τὸν δίκαιον εἰπεῖν Αὐσίτην,
αἱ γῆς ὅλαι κλαίουσιν αὔλακες μέγα,
σοῦ κατὰ γῆς πεσόντος, εὐγενὲς κλάδε.
Ὦ πικροποιὲ καὶ κακάγγελε χρόνε,
ὦ φῶς ∪ – μάλιστα τῆς τόθ' ἡμέρας,
καθ' ἣν ὁ γλυκύτατος ἐτμήθη βότρυς!
⏓ – ∪ – ⏓ τῶν ἀνακτόρων κλέος
θερίζεται (φεῦ!) τῷ ξίφει τοῦ θανάτου·
⏓ – ∪ – ⏓ τήνδε μοι τὴν ἡμέραν·
μεθ' ἡμέρας Κύριος ἀλλ' ἀποσβέσαι
⏓ – ∪ – ⏓ ὄψιν ὡς ἀγροῦ κρίνον·
τὴν σὴν λαλιὰν ὡς γλυκυτάτην ἔγνων.
⏓ – ∪ – ⏓ <Σο>λομῶν ταῦτα γράφει,
ψυχὴν δὲ τὴν σὴν ὥςπερ ἔγκαρπον ξύλον.
⏓ – ∪ – ⏓ – <γ>λυκὺ στόμα λέγει·
τανῦν δ' ἀπανθεῖς ἐν μαρασμῷ τῆς νόσου,
⏓ – σιγᾷς ⏓ <τὴν> σιγὴν τὴν ἐσχάτην
καὶ τὸ γλυκάζον ἀποκέκλεισται στόμα·
⏓ – ∪ – σε τὴν καλὴν καὶ κοσμίαν,
τρυγὼν φίλανδρε, σώφρονος τρόπου πίναξ,
ἄγαλμα τερπνὸν σωφρονικῶν ἠθέων!
φεῦ! εἴδομέν σε πολλάκις καὶ συχνάκις
προκύψασαν ἄνωθεν ὡς φῶς ἡλίου
καὶ φωςφοροῦσαν ὡς σελήνην ἐκ νέου,
πλησιφαὲς φέρουσαν ἀστράπτον σέλας,
καὶ τὸν Σολομώντειον εἴπομεν λόγον·
τίς ἐστιν αὕτη καὶ πάνυ τι κοσμία
ὄρθρου δίκην βαίνουσα, λάμπουσα πλέον,
καλὴ σελήνης ὡς τὸ πάμμεγα φάος,
ὡς ἡλίου δὲ κάλλος ἐκλελεγμένη·
τανῦν δέ σε βλέπων τις εὐστόχως ἄρα
ἄλλον Σολομώντειον ἁρμόσοι λόγον·
⏓ – ∪ – ⏓ καὶ καλὴ τῇ – ∪ ⏑̲

L; cf. Psalm. LXXIX 5 || **253** Αὐσίτην] Job XXXI 38 || **262** ἡμέρας] dubitanter scripsi: ἡμερῶν L; de sententia cf. Evang. Matth. VI 28 || **263** κρῖνον L || **265** Σολομῶν] Cant. IV 3 et VI 5 || **266** ψυχὴν δε L: cf. ad 7 || **267** expectatur: <Ἱερεμίου τὸ> cf. Ierem. XXXI 12 || **271** σὲ? || **273** τερπνὸν] scripsi: τερπνῶν L || **278** Σολομώντειον]. Cant. VI 9 || **281** καλὴ] καλὸν ut videtur L || **284** Σολομώντειον] respici videtur Cant. I 5 μελαινά εἰμι ἐγὼ καὶ καλὴ || **285** inc. f. 16ᵛ | ante καὶ dignovisse mihi videor ...

ῡ — μελ — ῡ — ⏑ — ῡ — ⏑ ⏓,
ἀλλὰ χαρίτων ψυχικῶν ἡ τερπν<ότης>,
κάλλος μέγα σὸν καὶ ⏑ — ῡ — ⏑ ⏓·
καίτοι μικρόν τι νῦν ὑπένδος τοῦ πάθους!
πυνθάνομαί σε τὴν καθαρὰν τρυγόνα,
τὴν ἀπαραμύθητον ἐν πένθει τόσῳ·
οὐκ ἦσθα φῶς ἄντικρυς ἢ πνοῆς χύσις
τῷ φιλτάτῳ σου ζῶντι, καὶ συνευνέτῃ;
οὐ συνανήχθης ὡς κυπάριττος νέ<α>,
ὡς ἀναδενδρὰς ὕψος εἰςήρθης μέγα,
συνήκμασας δὲ τῷδε, συνανετράφης,
καὶ σὲ πνοὴν ἔσχηκε καὶ φῶς ὀμμάτων;
νῦν γοῦν παρούσης τῆς πνοῆς σου τῷ τάφῳ,
σὲ τὸ γλυκὺ φῶς οὐδὲ προςβλέπειν ἔχων,
λήθης πόμα πέπωκε· φεῦ μοι, τί<γράφω>;
Ὦ κλεινὸν Ἀνδρόνικε, καὶ θεῖον κάρα,
Κομνηνόπαι, ξύναιμε τοῦ τεθνηκότος,
ἀδελφόπαι δὲ τοῦ κρατοῦντος Αὐσόνων,
πῶς ὑπενέγκῃς τοῦ λόγου τὴν πικρίαν,
Ἀλεξίου στέρησιν ἀθροωτάτην
ἐν ἀλλοδαπῇ μανθάνων τοῦ φιλτάτου;
τάχα παρ' αὐτῷ τῷ πανωδύνῳ λόγῳ
ψυχὴν προέσθαι κινδυνεύσεις εἰς τέλος
καὶ συνθανεῖν βούλοιο τῷ παμφιλτάτῳ·
ἀλλ' ὢ τὸ μικρόψυχον ἔστω <μακρ>όθεν!
μεῖνον τὸ συμβάν, τλῆθι τὴν τόσην πάθην,
μὴ καρδιακοῖς χώραν ἐνδώσεις πόνοις
καί τις παρ' ἡμῖν ἄλλος αὐξήσει πόνος·
ἔχεις μερίμνας, ἃς πρὸ τῶν ἄλλων ὅλων
ὁ κοσμορύστης βασιλεὺς δέδωκέ σοι,
σ<οὶ> συμμερίζων τοὺς ἀναγκαίους πόνους
ὡς πιστοτάτῳ καὶ σταθηρῷ τὰς φρένας,
καὶ πρόσχες αὐταῖς, ὡς χρεὼν ἐπαρκέσα<ι>,
ἀδελφικὸς δὲ μὴ ταράξοι σε κλόνος
καὶ νυμφικὸν πένθος σε μὴ θροησάτω!

χοῦσα || **286** μελ<αινα> ? || **288** post καὶ syllabae θε vestigia comparent || **289** ὑπένδος] scripsi: ὑπενδοῦς L || **296** συνήκμασάς δε L; cf. ad 7 || **308** προέσθαι] scripsi: προέσται L; cf. 88 || **312** χῶραν L || **319** ἀδελφικός δε L; cf. ad 7 || **328** ἐμψύχ<ων>

ἡ γὰρ καταστράπτουσα κάλλει χαρίτων,
πανευγενὴς Δούκαινα, σὴ κλεινὴ δάμαρ,
ξένον φιλοτίμημα γυναικῶν γένους,
ὅλη καταμάργαρος ἀρεταῖς ὅλαις,
ὅλη καταποίκιλτος ἐν σεμνοῖς τρόποις,
παρηγοροῦσα φαρμακεύει τὴν ν<όσον>
καὶ καταπαύει τὸν πολὺν ταύτης κλόνον
σοφοῖς δροσισμοῖς ἐμψύχ — ξε — ◡ ⏑·
ἡ δ' αὖ σεμνὴ ξύναιμος ὑμῶν Εἰρήνη,
ἣν ἀρετῶν εἴποιμι χρυσῆν ἑστίαν
καὶ σώφρονος τύπωμα πανσέμνου βίου,
καλῶς τὸ καῦμα τῶν στεναγμάτων <ψ>ύχει
καὶ τὴν τοσαύτην σβέννυσι κραδαλγίαν.
Οὐκοῦν ἀνακτῶ τοῦ πόνου τὸ φορτίον
καὶ τὰ βάρη κούφιζε τῶν στεναγμάτων·
κἂν γὰρ πρὸ ὥρας οὗτος ὁ χρυσοῦς στάχυς
Ἅιδου θερίστρῳ (φεῦ!) θερισθῆναι φθάνῃ,
ἀλλ' εἰς τὰς ἄνω συγκομίζεται θέσεις
ἄρτος καθαρὸς τῇ Θεοῦ πανδαισίᾳ·
κἂν τῶν παρόντων ἐκλέλειπταί σοι π<όνων>
καὶ τῆς κατ' ἐχθρῶν τοῦ βασιλέως μάχης,
ἀλλ' ὁπλίτης ἕστηκε γεννάδας ἄνω
Θεῷ παρεστώς, τῷ παναλκεῖ Δεσπότῃ·
ὁ γὰρ κραταιὸς Αὐσόνων σκηπτροκράτωρ,
ὃς δεύτερος παῖς τοῦ Θεοῦ χρηματίσας
ἔργα Θεοῦ δρᾷ πανσόφως καθημέραν,
πνευματικοῖς ὥπλισεν ὅπλοις ἐνθέοις
σὸν γλυκὺν αὐθόμαιμον, ἀντ' Ἀλεξίου
Ἀντωνίου δοὺς κλῆσιν ἐν μονοτρόποις·
ἐν ταῖς ἀσάρκοις συμπλακεὶς στρατάρχι<αις>
ῥᾷον τὰς αὐτῶν παγίδας διαδράσοι·
ἀντὶ σπάθης δέδωκε τοὺς θείους λόγους.

ξε<νισμάτων>? ‖ **333** κραδαλγίαν] correxi: καρδιαλγίαν L contra metri leges; formam aliunde incognitam confirmat vox κραδέλαφος (apud Nicetam Acominatum p. 718, 10 Bonn.) Lexicographis itidem ignota; sane poeta σβέννυσιν ἀλγηδόνα commode scribere poterat ‖ **337** θερίστρῳ] θερίστρα comprobare videtur 26 cl. Nicetae Acominati scholiasta poetico apud Millerum, Croisades vol. II p. 186 A v. 5, quo loco Ἅιδου θερίστρα recurrit; de forma θερίστρῳ cf. Reg. I 13, 20 καὶ κατέβαινον πᾶς Ἰσραὴλ εἰς γῆν ἀλλοφύλων χαλκεύειν ἕκαστος τὸ θ έ ρ ι σ τ ρ ο ν αὐτοῦ, ubi erant qui τὰ θεριστήρια repone-

ἀντὶ κράνους δὲ τῷ τέως σιδηρέου
πνευματικὴν κόρυθα δίδωσι φέρειν.
Καὶ δὴ παριστᾷ τῷ Θεῷ καὶ Δεσπότῃ
νέον στρατάρχην, εὐσθενῆ <παν>οπλίτην,
συνόντα φαιδρῶς τοῖς Θεοῦ στρατηγέταις·
τῇ δ' εὐπρεπεῖ σοὶ καὶ καθαρᾷ τρυγόνι,
ἣν θλίψις ἐξέκαυσεν ἡ συνευνέτου,
λιπόντος ἄφνω τὸν βίον <παραυτίκα>,
Θεὸς παρηγόρημα τῶν πόνων νέμοι
καὶ βασιλεὺς σβέσειε <πῦρ> θρηνημάτων,
οὗ τὸ κράτος γένοιτο (συνεύξασθέ μοι!)
ταῖς ἡλικαῖς σύνδρο<μον>‿ – ∪ ⊻.

Medio in spatio integrae aetatis (44. 65. 66. 74. 171. 232 sq. 240 cll. ἀωρὶ 236, πρὸ καιροῦ 230, πρὸ ὥρας 70. 336) ereptum esse rebus humanis Alexium discimus neque ultra Manuelis I Comneni tempora († 1180) in ultimo vitae anno definiendo progredi licet, siquidem imperator μητρόθεν θεῖος (85) appellatur. Alexius imperatoris ἀδελφιδοῦς (144), ἀδελφόπαις (123), αὐτανέψιος (59) fuisse dicitur [1]) eademque ratione Andronicus, Alexii frater, ἀδελφόπαις τοῦ κρατοῦντος Αὐσόνων (303) vocatur. Ex silentio praeterea effici cogique potest Alexium liberis orbum de vita migrasse, cum tantummodo vidua aetate florens (273) commemoretur, tum gravissimi momenti testimonia sunt de duobus germanis fratre orbatis (10 sqq. et 217 sqq.), utpote quae Andronicum fratrem (301 sqq., 334 sqq.) et Irenam sororem (329 sqq.) producant. Ioannem fratrem [2]) vivo

---

rent | 353 κράνους δε L; cf. ad 7 | 356 <παν>οπλίτην cf. 112 | 359 θλίψις] accentum intactum reliqui | 360 <παραυτίκα>] expectatur praematurae mortis significatio.

[1]) Itaque praeter alios scrupulos (cf. Krumbacher, Michael Glykas p. 436), vel temporis ratio obstat, quominus cum Stephani filio Alexius Contostephanus confundatur, qui anno 1195 a plebe Constantinopolitana imperator consalutatus in carcerem detrusus est (Nicetas Acominatus p. 600, 22 sqq. Synopsis Sathae p. 414, 14 sq.), anno 1200 seditionem capite videtur luisse (Nicetas p. 687, 10, Synopsis p. 427, 9); multitudinis vero concitatorem equidem non diversum esse puto ab Alexio Contostephano, qui anno 1191 sub Isaacio II Angelo dignitatem pansebasti sebasti et chartularii habuit (Papadopulus-Cerameus, ἀνάλεκτα Ἱεροσολυμιτικῆς σταχυολογίας vol. II, Petropoli 1894, p. 362, 21 sq.).

[2]) Etiam Theodorum, qui anno 1145 a Manuele contra Persas missus est (Cinnamus II 5 p. 39, 11), anno 1152 ex insidiis periit (ibid. III 15 p. 124, 7 sqq.), Stephani filium nuncupat Miller, Croisades vol. II p. 196 A, quam opinionem refellit Theodori Prodromi carmen in codice Bodleiano Thom. Roe XVIII f. 459v,

Alexio mortuum esse evincant. denique iudicandi ansam haud spernendam versus 306 sqq. offerunt, quoniam Andronico nuncium acerbi funeris perlatum esse comperimus, cum peregre exercitum duceret toti bello imperioque praefectus; belli enim summam Andronico commissam esse aliunde constat annis 1167. 1169. 1173[1]. Iam vero nullam ad partem valet bellum Hungaricum anno 1167 et inchoatum et perfectum (Cinnamus VI 7 p. 270. 4 sqq., Nicetas Acominatus p. 197. 10 sqq., Synopsis Sathae p. 269. 5 sqq.), cum in pugna decretoria Ioannis virtutem eminuisse diserte Cinnamus p. 274. 12 sq. testificetur; quapropter aut expeditio contra Aegyptios mense Julio anni 1169 suscepta in censum venit (Cinnamus VI 9 p. 278. 20 sqq., Nicetas p. 208. 21 sqq., Synopsis p. 273. 25 sqq.) aut de bello cogitandum, quod vere anni 1173 contra Venetos exarsit (Nicetas p. 224. 17 sqq., Synopsis p. 281. 21 sqq.)[2]. Utcumque res se habet, Ioannes Contostephanus, qui simul cum Alexio inter synodi Constantinopolitanae anno 1166 habitae testes commemoratur (μηνὶ Μαρτίῳ ἕκτῃ, ἡμέρᾳ πρώτῃ ἰνδικτιῶνος ιδ′) a Niceta Acominato (Patrol. Gr. vol. CXL p. 253 A), ante fratrem Alexium decessise putandus est; itaque falso post Ducangium (Famil. Byzant. p. 180) Miller (Croisades vol. II p. 196 D) eum usque ad Isaacii II Angeli (1185–1195) tempora vixisse statuit, Nicetae Acominati traditione usus p. 483, 13 sq., secundum quam nauarchi dignitate ornatus est anno 1186 ὁ Κοντοστέφανος Ἰωάννης οὐδοῦ ἐπιβὰς γήρως. Nimirum vir homonymus, Theodori (cf. p. 360 not. 2) fortasse frater, respicitur, quem simul cum Ioanne Alexii fratre interfuisse synodo anni 1166 ex Actis supra laudatis discimus, ubi definite nomen adponitur: τοῦ πανσεβάστου σεβαστοῦ κυροῦ Ἰωάννου τοῦ Κοντοστεφάνου (Patrol. Gr. vol. CXL p. 253 C)[3]; in hunc etiam optime quadrant Constantini Manassae

---

ubi Anna, Stephani Contostephani uxor, haec loquens inducitur (Vizantijskij Vremennik vol. X p. 117 not.) σκυμνεύομαι δὲ τεττάρων (sic legendum pro τέτταρτον) τούτῳ γόνον, (τὸν πρωτογεννῆ Κομνηνὸν Ἰωάννην, καὶ τὸν ποθεινὸν καὶ γλυκὺν Ἀλέξιον καὶ τρίτον Ἀνδρόνικον ἐν τοῖς ἄνδρασι, | μίαν δὲ καὶ θήλειαν, Εἰρήνην λέγω). Alium fratrem Demetrium A. Papadopulus-Cerameus Vizant. Vrem. vol. V (1898) p. 671 invexit Milleri lapsu (Croisades vol. II p. 368 C) in errorem inductus.

[1]) Bellum Iconiense, quod in annum 1176 incidit, ipse Manuel administravit; Andronicus Contostephanus extremum agmen duxit teste Niceta p. 234. 6 et 242, 18 sq., ex quo pendet Synopsis p. 286. 4 sq. et 290. 22 sq.

[2]) Andronicum classi praefuisse Cinnamus VI 10 p. 284. 4 sqq. non tradidit.

[3]) Eiusdem memoria etiam in Actis synodi anno 1156 habitae occurrit ibid. p. 177 D, seiunctum a nomine τοῦ περιποθήτου ἀνεψιοῦ τῆς κραταιᾶς καὶ ἁγίας

μονῳδία ἐπὶ τῇ σεβαστῇ κυρᾷ Θεοδώρᾳ τῇ τοῦ Κοντοστεφάνου κυροῦ Ἰωάννου συζύγῳ et παραμυθητικὸν εἰς τὸν σεβαστὸν κυρὸν Ἰωάννην τὸν Κοντοστέφανον, ubi Stephani filium significari non recte censent A. Papadopulus-Cerameus, qui monodiae partem e codice Cahirensi primus publici iuris fecit, Vizantijskij Vremennik vol. V (1898) p. 671 sqq.), et E. Kurtzius, monodiae integrae nec non consolationis editor[1]), (ibid. vol. VII 1900 p. 621 sqq.). Haudquaquam enim verba

αὐτοῦ βασιλείας κυροῦ Ἀλεξίου τοῦ Κοντοστεφάνου (p 177 C). Etiam Theodorus sebasti dignitate auctus erat (cf. Cinnamus III 15 p. 124, 8).

[1]) Codicis Marciani (Append. Class. XI 22) apographo editor usus est, quod subministravit C. Horna. Hornae igitur, non Kurtzio errata adsignanda sunt a codicis (M) contextu aliena: Monod. l. **28** νῦν ἀλλ' (νῦν δ' ἀλλ' M, quam scripturam loci gemelli confirmant Monod. 177 et Consol. 22; cf. praeterea P. N. Papageorgiu Byzant. Zeitschr. vol. XII. 1903, p. 260) || **35** πεφυλλοβόληκεν (pro πεφυλλοκόλληκεν emendavit Kurtzius, sed M πεφυλλοκόλληκε offert, unde πεφυλλοβόληκε lucramur || **49** οὕτως (οὕτω M; cf. 102. 158, Consol. 105, 159. 214. 276) || **99** περιτρίζουσιν (περιτρύζουσιν M) || **163** περιλαβεῖν (πέρας λαβεῖν M); — Consol. l. **8** βλίσων (βλύσαν M, quae lectio ad βλύσων ducit) || **48** πρύμνης (πρύμναν M) || **63** θεοῦ (θεῖος M) || **88** τοὺς ἄνω τόπους (καὶ τοὺς ἄνω τόπους M) || **106** σύμμετρον (pro σύμετρον Kurtzius, attamen in M distincte σεμνὴν superscriptum est; cf. etiam P. Maas Byzant. Zeitschr. vol. XI, 1902. p. 508) || **189** παλευτοῦ (pro παλλευτου Kurtzius; sed compendiosa codicis scriptura vox παλλευτρίας significatur, unde παλευτρίας reponendum est) || **194** δ' (δὲ M; cf. eodem modo Mon. 115 σὺ δὲ ὑπέρκεισαι cll. 24. 67. 82. 115. 116. 119. 127. 136. 174, Consol. 22. 39. 40. 55. 63. 111. 114. 131. 172. 180. 183. 205. 226. 231. 250. 253 bis. 262. 264 bis. 288. 289. Elisionis exempla sunt Mon. 28. 41. 87. 90. 96. 142, Consol. 74. 283 cl. 43, ubi Euripidis locus repetitur) || **254** χῷ (Χριστῷ sive potius Χριστῶ M vulgari nominis compendio; ex coniectura Χριστῷ repperit A. Sonny cf. Byzant. Zeitschr. vol. X, 1901, p. 659). Praeterea codicis ipsius memoria adgnoscit Monod. 41 formam ἐγγράφοντος, quemadmodum Papadopulus-Cerameus libri Cahirensis scripturam ἐγγράφον correxit (ἐγγράφοτος ex M enotavit Horna compendii notione non perspecta), tum Kurtzii emendationes comprobat compendiorum ratio Monod. 80 οὐρανίου (non οὐρανοῦ) et Consol. 308 πατὴρ (non πῆρ), distincta codicis scriptura Consol. 86 ἀπόφλησιν (non ἀπόφλοσιν), 137 ἤσχαλλεν (non ἤσχαλεν). Maasii insuper praecepta sagacissima (o l. p. 507 sq.) M sancit Monod. 30 ἐπῆλθε μοι (non ἐπῆλθέ μοι), 106 μῆλον σου (non μῆλόν σου), Consol. 4 κρατῆρα σοι (non κρατῆρά σοι), 135 εἶναι σοι (non εἶναί σοι) — 176 στῆσον ποτὲ (non στῆσόν ποτε), quibus locis haec adici potest lectionis varietas in Kurtzii apparatu neglecta: Monod. 26 αὐτῆς ποτὲ, 55 ὅσαι τὲ, 118 χρυσεόν τις, 125 ἀναγράφει τί, 150 τοίαδέ τις, 163 εἴπῃ[o] τις, Consol. 6 προπιόμενος σοι, 33 οἶδα σε (ubi σε ex τε m. rec. fecit), 57 οἶδα σου, 112 ἐχρῆτο τινὶ, 131 sq. ἐνταῦθα μοι, 145 ὅσά σε, 147 καινὰ τινὰ, 191 δροσίζεταί σοι (non δροσίζεται σοι), 232 μανθάνει τίς, 236 καταλαμβάνει τί, 283 ἀπολίποι τίς, 301 ἵνά τι, 314 τοῦτο ποτὲ. Accedunt incuriae exempla in lacunis indicandis, siquidem resectae contextus particulae minus accurate ab Horna proponuntur: scilicet Consol. 117 nunc ὁ.ωραν (non..

καλῷ τὸ γένος Consol. 162 et ἀνδρῶν εὐγενέστατε Monod. 4 sq. ad imperatoris consobrinum denotandum Manassae suffecissent. sed profecto copiosam stemmatis enarrationem auctor aulae ingenio accommodatus et ad adulationem compositus largitus esset. Quae ratio cum praeterea de uxore valeat, cuius nobilitatem Manasses attenuatis verbis laudat (ἔβλαστε μὲν γὰρ ἐξ ἐπισήμων τοῦ γένους Monod. 159), C. Castellanii coniectura redarguitur. qui Theodoram Ioannis Contostephani uxorem et ipsam Manuelis I Comneni consobrinam fuisse suspicatus est. carmine codicis Marciani XI 22 f. 41r sq. ab-

---

(= ον)
ώραν) comparet, 119 ἐθελού . . . πομένει (non ἐθελ . . . . πομένει), 198 βέ . . . στε (non β . . . . στε), 237 ἐκ . . ' νην (non ἐκ . . . . ν . .), ubi ην compendio exprimitur, 286 ἀπ . . των (non ἀ . . των), manca vero memoria prodit Monod. 29 sq. νεκρ . . . . ατολοφύρομαι (non νεκρὰν ὤμοι κατολοφύρομαι — neque enim minutissima syllabae ὰν vestigia reperiuntur neque vocis subsequentis accentus in codice conspicuus quidquam valet, unde potius forma οἴμοι cum codice Cahirensi Manassae reddenda est cf. **A n a l e c t a M a n a s s e a**, 'Eos' vol. VII, 1902, p. 194 l. 23, ubi eadem ratione οἴμοι per parenthesin interponitur; quae vero ibid. p. 193 l. 5 adhibetur conclamatio ὤμοι ἐγώ, τίνος βλέπω τοῦτον τὸν σύλλογον Maasii rationem confirmat, qui Monod. 3 ὤμοι ἐγὼ πάλιν πενθίμην λύραν ἁρμόζομαι post ἐγὼ interpungit o. l. p. 509), 31 λάλ . μα (non λάλημα), 57 . . ' ς ἀνθρώπους (non εἰς ἀνθρώπους), 59 ἀν . ρείας (non ἀνδρείας), 126 σειρη . (non σειρὴν — etiam accentum periisse moneo!), 127 . . νὴ (non γυνὴ), 166 . . . τα (non πάντα), Consol. 6 sq. πλ . ροῖ (non πληροῖ), 8 το . . λήματος (non τοῦ κλήματος), 47 θαυ . . ' ζομεν (non θαυμάζομεν), 152 δι . λᾶ (non διπλᾶ). Ceterum indiligentiae exempla nequaquam exhausta esse scito; quod iudicium selecta varietas probabit: *Monod.* 11 προπεμπτήρια (accentus notam librarius induxit, quae primitus syllabae πεμ apposita erat) || 12 sq. ἀποκρατῆρος || 19 δακρύων m. rec. in margine scripsit || 41 ἐγώ δ' || 53 γραφῆς M_1 (non σαφῆς, ut Horna exhibet; quodsi Monod. 163 et Consol. 106 superscriptis emendationibus menda sublata esse animadvertit, cur nostrum locum reticuit, ubi syllaba γρα inducta librarius μορ superscripsit? cf. etiam 79. 92, Consol. 30) || 62 ἐνδημίαν M_1 || 78 πολιορ-
ος
κεῖ, sed prius ι ex alia littera effectum est || 79 βριάρεως || 80 δρῦς || 85 καλλοναὶ (= καλλοναὶ M_1, καλοναὶ M_2 cf. καλονὴν Consol. 62; sed καλλοναῖς Monod. 55) || 87 ἢ δ' || οὐχ' ex more librariorum (etiam 91 cf. οὐκ' 96. 97. 170) || 90 τό δ' || 92 συγκερρανυσάτω M_1 || 107 τράχηλοί (non τράχηλός) || 112 σωφρονική, sed pro σωφ primitus σωσ (propter Σωσάνναν) librarius exaraverat || 130 ἐπιμᾶλλον || 138 narratiunculam de Candaulae uxore nota marginalis (p. comp.) σημειοῦ (σημείωσαι, σημειωτέον) commendat, quae notula etiam Consol. 41. 48. 94. 110. 148. 211. 222. 277 recurrit || 139 περιλυδῆς || 156 χαριττογλωττοῦσιν M_1 (alterum τ induxit librarius) || καὶ M_1, ἢ M_2 || 170 vocis μόχθοις syllaba μόχ ex νόσοις facta est || 173 μηδ' || 180 sq. ἀντιβιάζουσα M_1, βιάζονται M_2 || 182 ἔρνος cf. Thesaur. Didot. vol. III p. 2048 D || *Consol.* 7 καταστελῶν || 12 ἐπιπάσσων (non ἐπιπάσων) || 24 ὑπὸ non expunxit (cf. Monod. 85, Consol. 85), sed linea induxit librarius || 30

usus, cuius inscriptio praeter Theodorae nomen nullum omnino sententiae adminiculum praebet: ἐπάσματα εἰς τὴν κυρὰν Θεοδώραν, τὴν θυγατέρα τοῦ Καίσαρος καὶ τῆς πορφυρογεννήτου κυρᾶς Μαρίας τῆς πρώτης θυγατρὸς τοῦ ἀοιδίμου αὐτοκράτορος Ῥωμαίων κυροῦ Ἰωάννου τοῦ Κομνηνοῦ[1]). Accedit, quod neque Stephani filio[2]) neque alteri Ioanni[3]) nuptiarum tempus convenit, quod versu 31 (καὶ νῦν αὐτὸν καταβαλὼν τὸν ἀρχηγὸν Παννόνων) ita stabilitur, ut aut anni 1166 (Cinnamus V 17 p. 249, 9 sqq.; Nicetas p. 176, 7 sqq., Synopsis p. 259, 28 sqq.) aut anni 1168 (Cinnamus p. 273, 10 sqq., Nicetas p. 204, 3 sqq., Synopsis p. 271, 23 sqq.) triumphus in censum veniat.

Quantas autem difficultates aequalium homonymia obicere

ἀκ$\overset{\text{ον}}{\text{ον}}$τισθεὶς (scilicet in textu parum dilucida erat syllaba ον ex α, ut videtur, facta) | 31 ὠρυόμενον (quae scribendi ratio haud raro in codicibus comparet) | 34 μὴ δὲ | 52 λᾶβρος | 55 οἶδεν λόγος (superscript: ό) (ubi alia quaedam littera in ν mutata est) | 64 πληθῦς | 85 καὶ τοῦ χρεώστου καταβοᾶται καὶ τοῦ χρεώστου καταβοᾶται (cf. Monod. 85) || 98 περιΐασι ἄνθρωπον (non ἄνθρωποι) | 108 μὴδ' | 110 (= 112. 122) Δημῶναξ (non Δημῶναξ), quae forma Manassae relinquenda est | 137 ἀμηχανῶν deleto accentu, quo littera η notata erat | 146 μὴ δὲ | 158 ὤκτειρεν | 170 in νοούμενον librarius νο ex φαιν fecit | 185 πυλίνης M_1 | 189 καθημέραν | 192 ἐπιτάδιον (non ἐπιστάδιον, quemadmodum Horna enotavit; ἐπιστήθιον recte correxisse videtur Kurtzius; nihil huc facit Hesychii glossa: ἐπιτάδιος· ὁ ἐραστής) | 193 ἐνοπτρίζου in margine repetitur (in textu syllaba ρι minus dilucide expressa erat) || 195 ἐλᾶσαι || 196 τὸν τῶν (non τῶν) | 238 ῥαφανῖδες eodemque modo 241 ῥαφανῖδας (non ῥαφανίδες — ῥαφανίδας), quae scripturae pro genuinis habendae sunt (itaque 237 ῥαφανίδας in ῥαφανῖδας muto) | 240 καὶ (pro κάρα? cf. Monod. 69) ante καταιθαλώσας adicitur | 283 παμμύρῳ (non παμμύρῳ) | 323 παρακαλέσ$\overset{\text{α}}{\text{ει}}$ (non παρακαλέσαι. Videlicet falsae coniecturae ansam forma πεῖσαι 324 praebuit, quam in πείσει commutandam esse observatio nostra docet 'Wiener Studien' vol. XXIV, 1902, p. 474 not.; Hornae iudicium ibid. vol. XXV, 1903, p. 210 nihil moror).

[1]) Epitalamio di Teodoro Prodromo per le nozze di Teodora Comnena e Giovanni Contostefano (Venet. 1888) p. 6. — Castellanii sententiam amplexus est Kurtzius Byzant. Zeitschr. vol. VIII (1899) p. 554 et Vizant. Vrem. VII p. 622.

[2]) Videlicet aetate provectus erat, siquidem iam anno 1144 simul cum iuniore fratre Andronico dux exercitus fuerat in expeditione contra Raimundum, Antiochiae principem, suscepta (Cinnamus II 3 p. 33, 21, Nicetas p. 71, 9 sq., Synopsis p. 219, 13). Ceterum anno 1166 edictum propositum erat περὶ τοῦ μὴ γίνεσθαι γάμον ἑβδόμου βαθμοῦ ἐξ αἵματος (Rhalles et Potles, Σύνταγμα, vol. V p. 95 sqq.).

[3]) Grandiorem natu eum tunc fuisse inde elucet, quod iam anno 1156 pansebasti sebasti dignitate ornatus, aetate nimirum adulta, synodi particeps fuerat; proceres vero Byzantinos primis fere pubertatis annis matrimonium iniisse constat.

possit, carminis inediti exemplo docere iuvat, quod a re nostra non alienum est, quoniam Contostephanorum familiam attingit:

Εἰς τάφον τοῦ Κοντοστεφάνου.

Ἂν ἐν σκιαῖς, ἄνθρωπε, καὶ γραφαῖς θέλῃς
βίου κατιδεῖν εὐμεταβλήτους χρόας,
νῦν τοὺς καθ᾽ ἡμᾶς μάνθανε βλέπων τύπους.
Ἡ ζῶσα νεκρὰ προςλαλῶ Θεοδώρα·
ἐγὼ Κομνηνῶν εὐκλεοῦς ἔφυν γένους,
πάππων προῆλθον ἐκ σεβαστοκρατόρων,
ὧν παῖς σεβαστὸς Ἀδριανὸς γεννάδας,
ἐμὸς πατήρ· ὡς εὖγε τῆς πρώτης τύχης!
Καιρὸς γάμων ἦν· εὐτυχῶ κἀν τοῖς γάμοις,
ἀνδρὶ ζυγεῖσα, (φεῦ! λαλεῖν ἔτι θέλω
καὶ μὴ παρ᾽ αὐτὴν τὴν λαλιὰν ἐκπνέω;),
ὁμευνέτην λαχοῦσα, (τοῦ πάθους ὅσον!
μνήμη γὰρ αὐτοῦ καὶ μόνη με συγχέει),
Κοντοστεφάνων εὐγενοῦς ῥίζης κλάδον·
τὸν Ἀνδρόνικον οἶδας, οὗ μέγα κλέος,
οὗ νοῦς σταθηρός, οὗ βαθύγνωμοι φρένες
καὶ χεὶρ σθεναρὰ καὶ σθεναρὸς βραχίων,
ἐξ ὧνπερ οἰκείωσις αὐτοκρατόρων
καὶ φίλτρον ἐγκάρδιον ἐκ βασιλέων·
ἔργοις γὰρ αὐτῶν ἠμένιζε καρδίας·
προςμαρτυρεῖ πρίγκιψ δὲ τῆς Ἀντιόχου,
ὁ πρὶν ἀλαζών, ὁ θρασὺς τύφου γέμων,
ἄκων ὑπαχθεὶς προςκυνῆσαι μακρόθεν

Adnotatio critica: Versus offert codex Marcianus Gr. 524 (M; cf. p. 347 not. 2 supra) f. 110r sq. (n. LXX) || 16 inc. f. 110v || 18 οἰκείωσις] scripsi: οἰκείωσιν M, qua lectione recepta post v. 19 lacuna statuatur necesse est || 21 προςμαρτυρεῖ] correxi: παραμαρτυρεῖ M || τεττάρων] correxi: τετάρων M || 31 τοῦτο μοι M || 41 προςλαβὼν] scripsi: προςλαλῶν M — Versus in Contostephanum excipit in M epigramma εἰς τὰς ἑπτὰ συνόδους τοῦ Χριστοῦ μέσον ἱσταμένου, quod etiam inter Nicolai Calliclis reliquias M offert (n. XV editionis nostrae); hoc loco codex (m) versum primum omittit, v. 8 emendationem nostram διαγράφει pro διαγράφοι confirmat. Sequitur sine lemmate Calliclis carmen X. Ceterum occasione data Callicli nostro adnotationis auctarium adicere lubet, quod codices MV denuo excussi suppeditarunt: I lem. καλὸν fortasse deest in M || II 1 ἐνταῦτα (sic) V || 7 καρπῶν V || IV 2 τι etiam V || VIII 5 in M falso post Ἐδὲμ interpungitur; cf. quae p. 384 observavi || 8 τύπε M_1 || X 1 inc. f. 98r M || XI 7 legendum cum M: δόξης ἐρῶ· παρέσχες ἄφθονον κλέος (scri-

ἄνακτι πιστῷ Μανουὴλ. γῆς δεσπότῃ,
καὶ Σικελὴ ναῦς καὶ πόρος Βρεντησίου.
Τίς ἱππότης ὡς οὗτος ἢ τις ὁπλίτης;
τίς δεξιὸς σύμβουλος ἐν βουλῆς χρόνοις;
γλυκὺς προςειπεῖν, εἰ δὲ προςβλέψῃ, χάρις.
Τοιοῦτον ἔσχον εὐτυχῶς ὁμευνέτην,
μήτηρ δ' ἀπ' αὐτοῦ τεττάρων ὤφθην τέκνων·
θνήσκει τὰ δύο· τοῦτό μοι πρῶτος πόνος·
ὅμως τὰ λοιπὰ τὸν πόνον παρηγόρουν.
ἄῤῥην δὲ μᾶλλον, ὃς πατρὸς σώζων τύπον
διπλοῦν παρεῖχε τὸν τεκόντα προςβλέπειν·
φθόνος δ' ἐπαύξων τὰς ἐμὰς θλίψεις πλέον
πικρᾷ νόσῳ δίδωσι καὶ τὸν πατέρα·
κἀνταῦθα δὲ φρόνησις αὐχεῖ τὸ κράτος·
χαίρων γὰρ ἀπέθριξε τὴν χρυσῆν τρίχα,
νέφει δὲ κρύψας ἀμφίων τὸ σαρκίον.
ψυχῇ δὲ λαβὼν ἡλιάζουσαν χάριν
καὶ κλῆσιν ἄλλην προςλαβὼν Ἀντωνίου
ἀρχὰς λαθὼν παρῆλθε τὰς ἐν ἀέρι.
λεπτὴν κόνιν τύμβῳ δε πιστεύει μόνην.
Κἀγὼ μονάζω στρουθὸς ἐν δωματίῳ·
τούτου δὲ καὶ χοῦν ὥςπερ εὐλαβουμένη
ὀστοῖς ἐμοῖς πρόςγειον ἱστῶ τὸν τάφον.
Σὺ δ' ἀλλὰ σεμνὴ ψυχοσῶστις παρθένε,
οὓς νῦν φθάσαν διεῖλε θανάτου ξίφος,
ἐν οὐρανοῖς σύναψον εἰς μονὴν μίαν,
υἱὸν κριτὴν σὸν ἱλεοῦσα τοῖς δύο.

Ac prima quidem specie de Andronico Stephani filio cogitatio subit, praesertim cum hunc et adversus Raimundum, Antiochiae principem (cf. v. 21 sqq.), profectum esse una cum Joanne fratre constet (cf. p. 364 not. 2) et cum patre interfuisse expeditioni Siciliensi (cf. v. 25), quae anno 1149 contra Rogerium missa erat, Cinnami testimonio III 4 p. 97, 18 sqq. confirmetur; attamen carminis nostri

ptura ἐρῶ minus dilucida est) | 12 με (pro τις) litterarum ductus innuere videntur || 14 sq. interpunctio cum M ponenda est post βίου (14) et post τέκνα (15) || 20 optime M σεβαστὸς p. comp. (non δέσποινα) || XII 2 post ἐκεῖθεν litteram ἐ dispexisse mihi videor || 6 verba γραφὴν δὲ τοῦ parum dilucide exarata sunt, item 8 <φέρ> || 16 est λίθον, non λίθοιν XIII 6 litteram θ oblitam nec satis cla-

argumentis diligentius perpensis diversi Andronici Contostephani obitum defleri conficitur [1]. Scilicet Theodora Comnena (4 sq.) mariti mortem deplorat morbo consumpti (36 sqq.) et in viduitate se relictam esse testatur cum filio et filia (32 sqq.), cum quattuor liberos enixa duobus vivo Andronico privata esset (30). Stephani autem filium anno 1182 cum quattuor filiis excaecatum esse iussu Andronici Comneni prodit Nicetas p. 346, 6 sqq. (= Synopsis p. 330, 19 sqq.). [2]) Ducaenam [3]) vero eius uxorem fuisse Theodorus Prodromus p. 359 supra (v. 322) aperte docet.

---

ram repetivit librarius || 16 videtur librarius σερ (= σῶτερ) pro σηρ (= σωτὴρ) correxisse || XVI 15 mendum typographicum est πικρὸν δέ pro πικρόν δε cf. p. 338 ad XXIV 15 || XVIII 2 typothetae est erratum τε pro τι | 5 videtur ἡδονὴν extare || XIX lem. compendio codicis V etiam προσώπου significari potest || XXI 8 συζεῖν M || 27 Καματηρόν (non Καματηρὸν) V || XXII 6 interpungendum est cum M post πόνος || 14. 18 εἰς etiam M || 29 γάρ ἐστὶν ut videtur M || 39 erratum est φλέγεις pro φεύγεις || XXIII 12 reponendum cum M Κομνηνοπανσέβαστον (p. comp., sed παν M_2 pro δουκ) ἐκ Δουκῶν γένους (formae Κομνηνοπανσέβαστος alterum exemplum offert Georgius, chartophylax Callipolitanus, in codice Laurentiano Plut. V n. 10 f. 182v) || XXV 6 κρίνα etiam M || excidit (cf. ad 1) v. l. ναρκίσσους pro ναρκίσους || 23 νενυγμένοις M_1 || 34 est ὕτω sine littera initiali (cf. XVI 7) || XXVI 1 γενος κόσμοις M_1 | post 24 exciderunt versus duo: ὄλβου πλατυσμόν, ἀλλὰ καὶ δόξης νέμοις | καὶ τὴν Ἐδὲμ σχοίνισμα καὶ θεῖον λάχος | XXVII 1 fortasse est: <σεπ>τὸν | XXVIII 1 τὰς M_1, τοὺς M_2 || αἱ M_1, οἱ M_2, quae manus etiam οἱ superscripsit cf. 3 49 πλέοντες m. pr., ut videtur || 66 καὶ M, sed κ ex τ librarius fecit (nimirum τὰς scribere voluerat) || XXIX 8 legendum: χροιάς τε (χροιὰς τὲ M) || XXX 76 ἐκ non satis certum est || 108 est εἰς || 117 est πάθους || XXXII 17 κάτλος V.

[1]) Raimundum Constantinopolim profectum esse, ut Manuelem placaret, testis est Cinnamus p. 35, 19 sqq. (cf. etiam Miller, Croisades vol. II p. 198 B), nostro tamen loco potius triumphus anno 1159 de Renaldo, Antiochiae principe, actus respicitur (Cinnamus IV 21 p. 187, 6 sqq.), qui adulatoribus largam materiam imperatoris celebrandi praebuit (cf. poemata apud Millerum ibid. p. 303 sqq., 305 sqq., 319 sqq.). Praetera verba πόρος Βρεντησίου eo ducunt, ut versum 25 ad expeditionem anni 1156 contra Guilelmum, Rogerii filium et successorem, susceptam referamus, quo Brundisium obsessum esse tradunt Cinnamus IV 10 p. 159, 9 sqq., Nicetas p. 125, 11 sqq., Synopsis p. 239, 11 sqq.

[2]) Facinus significat Eustathius Thessalonicensis p. 398, 16 sqq. (Bonn.).

[3]) Rem non perspexit Horna „Wiener Studien" vol. XXV (1903) p. 210. Theodora nostra filia fuit sebasti Hadriani (7), neptis (cf. 6) Isaacii Comneni, qui primus sebastocratoris titulo ab Alexio I Comneno ornatus erat (cf. Anna Comnena III 4 vol. I p. 147, 7 sqq., Zonaras XVIII 21 vol. III p. 731, 12 sqq., Codinus de off. 2 p. 7. 5 sqq. Bonn.), et Irenae Alanae. Hadrianus non diversus est a Joanne, Bulgariae archiepiscopo cf. H. Gelzer, der Patriarchat von Achrida (Abhandl. d. philol.-hist. Cl. d. sächs. Gesellsch. d. Wissensch. 1902, Nr. 5) p. 7 sqq.

Vocabula

quae non habent H. Stephani Thesaurus Didotianus. C. Ducangius (Glossarium ad scriptores mediae et infimae Graecitatis. Lugduni 1688), S. A. Cumanudes (συναγωγὴ λέξεων ἀθησαυρίστων. Athenis 1883), E. A. Sophocles (Greek Lexicon of the Roman and Byzantine periods. Lipsiae 1888). H. Herwerdenus (Lexicon Graecum suppletorium et dialecticum. Lugduni Batavorum 1902):

Ἀναδιφρεύειν p. 343 (ϛ′ 2).
βαθύγνωμος p. 365 (v. 16).
διπλοτρίπλως p. 339 not. 2
δυςπάτηρ p. 343 (γ′ 5).
ἐνθυμητής p. 347 not. 2.
ἐξαιφνιδίως (ἐξ αἰφνιδίου?) p. 351 (v. 56).
ἐξαποκρύπτειν p. 350 (v. 33).
θανατόβλητος (?) p. 352 (v. 87).
θερίστρα p. 350 v. 26 (cf. p. 359 ad v. 337; forma θέριστρον utitur Constantinus Manasses Consol. l. 100).
θρῆνος (τὸ) p. 356 (v. 251); eadem forma recurrit apud Christophorum Mytilenaeum XL 41 p. 22 Kurtz.
θυγατροθυτεῖν p. 344 (η′ 3).
ἱερευτής p. 344 (η′ 6).
καταποίκιλτος p. 359 (v. 325); anno 1894 vox denuo procusa est cf. Cumanudes, συναγωγὴ νέων λέξεων ὑπὸ τῶν λογίων πλασθεισῶν ἀπὸ τῆς ἁλώσεως μέχρι τῶν καθ᾽ ἡμᾶς χρόνων vol. I (Athenis 1900) p. 528.
Κομνηνοπανσέβαστος p. 367 not.
κραδαλγία (ex coni.) p. 359 (v. 333).
οὐρανόβρυτος p. 342 (β′ 1); sine auctoritate adfertur a Millero ad Philen vol. I p. 155 not. 9.
πανεύστοχος p. 352 (v. 114); cf. πανευστόχως in Theodori Prodromi carmine apud Boissonadum Anecd. Nov. p. 374 (v. 78).
[πανστρατιὰ p. 354 (v. 169); nominativi forma aliunde non innotuit].
πορφυροφυής p. 355 (v. 206).
πρωτογεννής (= πρωτογενής) pag. 361 not.; habet praeterea Nicetae Acominati scholiastes apud Millerum, Croisades vol. II p. 186 A, tum Theodorus Prodromus apud Boissonadum o. l. p. 375 (v. 109) ex emendatione nostra: ὁ πρωτογεννής (πρωτογενής Boiss.), ὁ γλυκύτατος τόκος.
πρωτοκουροπατικός p. 339 not. 2.
σύγκλωσμα p. 354 (v. 156).
Συμπρόδρομος p. 337 not. 3.
τεκνοφόντης p. 343 (γ′ 1).
ψυχοσῶστις p. 366 (v. 47).